NAJGŁOŚNIEJSZA AMERYKAŃSKA POWIEŚĆ ROKU



HANYA YANAGIHARA



małe życie



Hanya Yanagihara

MAŁE ŻYCIE

przełożyła Jolanta Kozak

wydawnictwo wab

Tytuł oryginału: *A Little Life*

Copyright © Hanya Yanagihara, 2015

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Jolanta Kozak, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

I Lispenard Street 6

1 7

2 26

3 60

II Postczłowiek 75

1 76

2 138

3 150

III Upiększacze 187

1 188

2 205

3 228

IV Aksjomat równości 247

1 248

2 298

3 325

V Szczęśliwe lata 372

1 373

2 419

3 491

VI Drogi Towarzyszu 548

1 549

2 568

3 592

VII Lispenard Street 609

Jaredowi Hohltowi z przyjaźnią, z miłością

I

Lispenard Street

1

Mieszkanie numer jedenaście miało tylko jedną szafę, za to były tam rozsuwane oszklone drzwi otwierające się na mały balkon, z którego dało się obserwować mężczyznę po drugiej stronie ulicy, siedzącego na zewnątrz w samej koszulce i szortach, chociaż był październik, i palącego papierosa. Willem uniósł dłoń w geście powitania, ale tamten mu nie odmachnął.

Gdy Willem wszedł do pokoju, Jude bawił się przeszklonymi drzwiami szafy, otwierając je i zamykając.

– Jest tylko jedna szafa – powiedział.

– Nic nie szkodzi – odparł na to Willem. – I tak nie miałbym co w niej trzymać.

– Ani ja. – Uśmiechnęli się do siebie. Agentka wynajmu dreptała za nimi. – Bierzemy je – oznajmił Jude.

Jednak gdy wrócili do biura wynajmu, poinformowano ich, że nie mogą wynająć tego mieszkania.

– Dlaczego? – spytał Jude agentkę.

– Nie zarabiają panowie wystarczająco dużo na pokrycie sześciomiesięcznego czynszu i nie mają panowie żadnych oszczędności – odparła agentka, nagle opryskliwa. Sprawdziła ich kredyt i konto bankowe i poniewczasie uświadomiła sobie, że jest coś nie w porządku z dwoma facetami po dwudziestce, którzy nie są parą, a jednak chcą wynająć mieszkanie z jedną sypialnią na nudnym (lecz kosztownym) odcinku Dwudziestej Piątej Ulicy. – Mają panowie kogoś, kto mógłby za panów poręczyć? Szefa? Rodziców?

– Nasi rodzice nie żyją – odparł pospiesznie Willem.

Agentka westchnęła.

– W takim razie radzę panom obniżyć oczekiwania. Nikt, kto zawiaduje dobrze utrzymanym budynkiem, nie wynajmie lokum kandydatom z panów profilem finansowym. – Po czym wstała, wyraźnie kończąc rozmowę, i wymownie spojrzała na drzwi.

Kiedy to oznajmili JB i Malcolmowi, przedstawili całą rzecz jako komedię: podłoga mieszkania była cała w mysich odchodach, a agentka się naburmuszyła, bo robiła słodkie oczy do Willema, a on nic.

– Kto by zresztą chciał mieszkać na Dwudziestej Piątej róg Drugiej – skomentował JB.

Siedzieli w Pho Viet Huong w Chinatown, gdzie dwa razy w miesiącu umawiali się na obiad. Pho Viet Huong nie był specjalnie dobry – pho była podejrzanie słodka, sok limonkowy mydlany i po

każdej wizycie co najmniej jeden z nich czuł się struty – a jednak przychodzili tam, z przyzwyczajenia i z konieczności. W Pho Viet Huong można było zjeść miskę zupy albo kanapkę za pięć dolarów, można też było wybrać danie za osiem do dziesięciu dolarów, ale za to wielką porcję, której połowę dało się zaoszczędzić na następny dzień albo na późniejszą kolację tego samego wieczoru. Tylko Malcolm nigdy nie zjadał całej porcji, ale też nie odkładał połowy na jutro, bo gdy się najadł, odstawiał talerz na środek stołu, żeby Willem i JB – którzy byli wiecznie głodni – dojedli resztę.

– Oczywiście, że nie chcemy mieszkać na rogu Dwudziestej Piątej i Drugiej, JB – odrzekł Willem z anielską cierpliwością – tylko że nie bardzo mamy wybór. Nie mamy pieniędzy, pamiętasz?

– Nie rozumiem, czemu nie zostaniesz tam, gdzie jesteś – powiedział Malcolm, który przesuwał właśnie po talerzu grzyby i tofu.

Zawsze zamawiał to samo: grzyby ostrygowe z duszonym tofu w zawiesistym brązowym sosie. Willem i JB śledzili jego ruchy.

– No bo nie mogę – odparł Willem. – Zapomniałeś? – Tłumaczył to Malcolmowi chyba z dziesięć razy przez ostatnie trzy miesiące. – Chłopak Merritta się wprowadza, więc ja muszę się wynieść.

– Ale dlaczego to ty masz się wynosić?

– Bo umowa wynajmu jest na nazwisko Merritt – uciął JB.

– Aha – mruknął Malcolm. I zamilkł. Często zapominał o tym, co uważał za nieistotny szczegół, ale też nie zżymał się, gdy inni mu to wypominali. – No tak. – Przesunął grzyby na środek stołu. – Ale ty, Jude…

– Nie mogę wiecznie tkwić u ciebie, Malcolm. Twoi rodzice mnie pewnego dnia ukatrupią.

– Moi rodzice cię uwielbiają.

– Miło, że tak mówisz. Ale przestaną mnie uwielbiać, jeśli się nie wyprowadzę, i to szybko.

Malcolm był jedynym z ich czwórki, który mieszkał w domu rodziców, a JB często mawiał, że gdyby on miał taki dom jak Malcolm, to też by się go trzymał. Nie żeby dom był szczególnie wspaniały – w istocie był stary i zaniedbany, a Willem wbił sobie kiedyś drzazgę, przesuwając ręką po balustradzie – ale za to był duży: prawdziwa kamienica z Upper East Side. Siostra Malcolma, Flora, która była trzy lata starsza od niego, wyniosła się ostatnio z mieszkania w suterenie, a na jej miejsce wprowadził się Jude, z tym że miało to być rozwiązanie krótkoterminowe. W końcu rodzice Malcolma upomną się o ten lokal, żeby go zamienić na biuro agencji literackiej jego matki, co oznaczało, że Jude (któremu zresztą trudno było pokonywać wiodące w dół schody) musiał szukać innego mieszkania.

I naturalne było, że zamieszka z Willemem; przez całe studia dzielili pokój w akademiku. Na pierwszym roku we czterech zajmowali lokum składające się z obitego boazerią wspólnego pokoju, gdzie stały ich biurka, krzesła i kanapa, którą ciotka JB dostarczyła Przewozem Mebli, oraz drugiego,

znacznie mniejszego pokoju, do którego wciśnięto dwa piętrowe łóżka. Pokój był tak wąski, że gdy Malcolm i Jude położyli się na swoich dolnych pryczach, bez trudu mogli chwycić się za ręce. Jedna część pomieszczenia należała do Malcolma i JB, druga – do Jude'a i Willema.

– Czarni przeciwko białym – mawiał JB.

– Jude nie jest biały – protestował Willem.

– A ja nie jestem czarny – dorzucał Malcolm, bardziej, żeby wkurzyć JB, niż dlatego, że w to wierzył.

– Cóż… – odezwał się teraz JB, przysuwając sobie widelcem talerz z grzybami. – Pewnie moglibyście obaj sprowadzić się do mnie, ale coś mi się zdaje, że nie przypadłoby wam to do gustu.

JB mieszkał na solidnym, zasyfionym strychu w Małej Italii, pełnym dziwnych korytarzy prowadzących do nieużywanych ślepych zaułków o dziwacznych kształtach i półpokoi. Był to niedokończony budynek pokryty sheetrockiem, należący do ich kumpla z college'u. Ezra był artystą, kiepskim, ale on nie musiał być dobry, bo jak mu stale wypominał JB, przez całe życie nie będzie musiał nawet palcem kiwnąć. Nie dość, że sam nie będzie musiał pracować, to jeszcze dzieci dzieci jego dzieci nie będą musiały hańbić się pracą. Mogą przez pokolenia produkować złą, niesprzedającą się, bezwartościową sztukę, a i tak stać ich będzie na najlepsze oleje i niepraktyczne wielkie lofty w centrum Manhattanu, które będą mogli zagracać owocami swoich marnych decyzji architektonicznych. A jak im się znudzi żywot artystów – JB był przekonany, że tak się stanie w przypadku Ezry – wystarczy, że zadzwonią do urzędników zawiadujących ich trustem, a otrzymają ot tak zastrzyk gotówki, sumę tak pokaźną, że trzej przyjaciele (może poza Malcolmem) nie widzieli podobnej na oczy ani nawet nie mogli o tym marzyć. Ezra był użyteczną znajomością, nie tylko dlatego że pozwolił JB i paru innym kumplom ze szkoły zamieszkać w swoim apartamencie – gdzie zawsze cztery czy pięć osób korzystało z kątów poddasza – ale także dlatego że był poczciwy i hojny i lubił wydawać huczne przyjęcia, na których masa jadła, dragów i alkoholu dostępna była za friko.

– Moment – powiedział JB, odkładając pałeczki. – Właśnie mi się przypomniało, że w redakcji jest taka jedna, co chce wynająć chatę w imieniu swojej ciotki. Zdaje się, że na skraju Chinatown.

– Za ile? – spytał Willem.

– Prawdopodobnie za darmo, nie miała nawet pojęcia, jaką rzucić cenę. Chce tam mieć kogoś, kogo zna.

– Myślisz, że mógłbyś szepnąć o nas słówko?

– Nawet lepiej: przedstawię was. Dacie radę wpaść do redakcji jutro?

Jude westchnął.

– Ja się nie wyrwę.

Spojrzał na Willema.

– Nie ma problemu. Ja mogę. O której?

– Pewnie w porze lunchu. Pierwsza?

– Będę o pierwszej.

Willem był nadal głodny, ale pozwolił JB dojeść swoje grzyby. Posiedzieli potem jeszcze trochę, bo czasami Malcolm zamawiał lody dżakfrutowe, jedyną zjadliwą pozycję w menu, po dwóch łyżeczkach je odsuwał i Willem z JB mogli dokończyć porcję. Ale tym razem Malcolm nie zamówił lodów, więc poprosili o rachunek, żeby go przestudiować i podzielić sumę co do dolara.

Nazajutrz Willem stawił się u JB w redakcji. JB pracował jako recepcjonista w małym, lecz prestiżowym czasopiśmie z siedzibą w SoHo, zajmującym się wielkomiejskim światem sztuki. Była to dla JB posada strategiczna, gdyż – jak wyjaśnił Willemowi pewnego wieczoru – miał taki plan, że zaprzyjaźni się z którymś z redaktorów, dzięki czemu jego prace zostaną zaprezentowane na łamach pisma. Szacował, że cała akcja powinna potrwać z pół roku, co oznaczało, że zostały mu jeszcze trzy miesiące.

JB obnosił się w pracy z miną wyrażającą łagodne niedowierzanie – zarówno w to, że w ogóle pracuje, jak też w to, że nikt jak dotąd nie docenił jego geniuszu. Nie był dobrym recepcjonistą. Chociaż telefon dzwonił w zasadzie nieustannie, JB rzadko go odbierał. Jeśli chciał się z nim skontaktować któryś z kolegów (sygnał telefonii komórkowej w budynku czasem zanikał), musiał zastosować specjalny kod: dwa dzwonki, odłożenie słuchawki i dopiero telefon właściwy. A i wówczas JB nie zawsze odebrał – ręce miał zajęte pod kontuarem rozczesywaniem i splataniem kłębów włosów z worka na śmieci, który trzymał u stóp.

JB przechodził bowiem, jak to sam określił, fazę włosów. Ostatnio postanowił odejść od malarstwa na rzecz rzeźby z czarnych włosów. Każdy z jego kolegów spędził wyczerpujący tydzień dreptania za JB od fryzjera męskiego do salonu damskiego w dzielnicach Queens, Brooklyn, Bronx i Manhattan, czekania na zewnątrz, gdy JB wchodził do środka, żeby poprosić właścicieli o zmiecione sterty włosów, a potem holowania coraz cięższego worka za dumnym artystą. Wśród wczesnych prac JB znalazła się *Maczuga* – piłka tenisowa, którą ogolił, przeciął i napełnił piaskiem, a następnie oblepił klejem i turlał po dywanie włosów, aż powierzchnia zaczęła falować niczym podwodne wodorosty – a także *The Kwotidien*, seria przedmiotów codziennego użytku – zszywacz do papieru, drewniana łopatka, filiżanka – oblepionych sierścią. Teraz JB pracował nad projektem na dużą skalę, o którym odmawiał dłuższej dyskusji z kolegami – pokrótce projekt wymaga rozczesywania i splatania włosów

różnej długości, aby otrzymać z pozoru nieskończony sznur nastroszonych czarnych kłaków. W ubiegły piątek obietnicą pizzy i piwa zwabił kolegów do pomocy przy splataniu, jednak po wielu godzinach nudnej roboty stało się jasne, że żadnej pizzy ani piwa nie będzie, więc koledzy wyszli, nieco zirytowani, ale nie bardzo zdziwieni.

Projekt *Włosy* nudził wszystkich, chociaż Jude – jako jedyny spośród nich – uważał, że obiekty są śliczne, a ich wartość artystyczna zostanie kiedyś dostrzeżona. W podzięce JB ofiarował mu pokrytą sierścią szczotkę do włosów. Inna rzecz, że później odebrał prezent, bo pojawiła się szansa sprzedania go przyjacielowi ojca Ezry – facet nie kupił, ale JB nigdy nie oddał szczotki Jude'owi. Projekt *Włosy* okazał się problematyczny także pod innym względem; któregoś wieczoru, kiedy we trzech znów dali się zwabić do Małej Italii na kolejne rozczesywanie, Malcolm zauważył, że włosy śmierdzą. Istotnie – nie śmierdziały niczym obrzydliwym, ale wydzielały ostry, metaliczny zapaszek niemytej głowy. Na to JB dostał jednego ze swoich ataków szału, nazwał Malcolma samonienawidzącym się czarnuchem, wujem Tomem i zdrajcą rasy, a wtedy Malcolm, który rzadko się złościł, ale wściekały go tego rodzaju pomówienia, wlał swoje wino do najbliżej stojącego worka z włosami, po czym wstał i ostentacyjnie wyszedł. Jude pospieszył, najszybciej, jak mógł, za nim, a Willem został, żeby udobruchać JB. I chociaż przeciwnicy nazajutrz się pogodzili, to ostatecznie Willem z Jude'em poczuli (niesprawiedliwie, sami to wiedzieli) większą złość na Malcolma, bo w następny weekend musieli wrócić do Queens i znowu zbierać włosy po fryzjerach, żeby zrekompensować JB zmarnowany worek.

– Jak tam życie na czarnej planecie? – spytał teraz Willem, zwracając się do JB.

– Czarno – odparł JB, wpychając kłąb włosów, który właśnie rozplątywał, z powrotem do worka. – Chodźmy. Powiedziałem Annice, że przyjdziemy tam o wpół do drugiej.

Telefon recepcji zaczął dzwonić.

– Nie odbierzesz?

– Zadzwonią później.

Szli w stronę centrum, a JB narzekał. Jak dotąd koncentrował swoje uwodzicielskie wysiłki na starszym redaktorze imieniem Dean, zwanym przez wszystkich DeeAnn. Byli nawet, z Willemem i Malcolmem, na imprezie w Dakocie, w mieszkaniu rodziców któregoś z młodszych redaktorów, gdzie z jednego obwieszonego dziełami sztuki pokoju przechodziło się do następnego, równie obwieszonego dziełami sztuki. Podczas gdy JB gadał w kuchni z kolegami z pracy, Malcolm i Willem przeszli się po apartamencie (a gdzie był Jude owego wieczoru? Pewnie pracował), podziwiając serię prac Edwarda Burtynsky'ego w pokoju gościnnym, zestaw wież ciśnień Becherów ustawionych w czterech czy pięciu rzędach na biurku w gabinecie, gigantycznego Gursky'ego ciągnącego się nad połową regałów w bibliotece oraz, w sypialni małżeńskiej, całą ścianę fotogramów Diane Arbus,

rozwieszonych tak gęsto, że tylko na górze i dole ściany widać było kilkucentymetrowe prześwity. Podziwiali właśnie zdjęcie dwóch dziewczynek o słodkich buziach z zespołem Downa, pozujących w zbyt ciasnych, zbyt dziecinnych kostiumach kąpielowych, gdy podszedł do nich Dean. Był wysoki, ale miał drobną, ospowatą twarzyczkę susła, przez co wydawał się zezwierzęciały i niebudzący zaufania. Malcolm i Willem przedstawili się i wyjaśnili, że znaleźli się tutaj jako przyjaciele JB. Dean odwdzięczył im się informacją, że jest jednym ze starszych redaktorów pisma, zawiadującym działem sztuki.

– Ach tak – odparł ostrożnie Willem, pilnując się, żeby nie zerknąć na Malcolma, którego reakcjom nie ufał. JB wspominał im, że upatrzył sobie na potencjalną ofiarę szefa działu sztuki: to musiał być ten.

– Widzieliście kiedyś coś podobnego? – spytał Dean, gestem ręki ogarniając prace Arbus.

– Nigdy – przyznał Willem. – Uwielbiam Diane Arbus.

Dean zesztywniał, a jego drobne rysy zbiegły się w centrum twarzy.

– Prawidłowo: DeeAnn.

– Słucham?

– DeeAnn. Jej imię wymawia się DeeAnn.

Ledwo zdołali wyjść z pokoju bez parsknięcia śmiechem.

– DeeAnn! – powtórzył później JB, gdy mu opowiedzieli całą historię. – Chryste! Co za pretensjonalny dupek.

– Przecież to *twój* pretensjonalny dupek – przypomniał Jude. I od tej pory nigdy nie mówili o Deanie inaczej jak DeeAnn.

Niestety wydawało się, że pomimo niezmordowanych umizgów do DeeAnn w ciągu trzech miesięcy perspektywa zaprezentowania prac JB w piśmie nie przybliżyła się ani na jotę. JB pozwolił nawet DeeAnn zrobić sobie laskę w saunie na siłowni – i dalej nic. JB codziennie znajdował pretekst, żeby przespacerować się do sekcji redaktorskiej, gdzie na tablicy ogłoszeń wywieszano na białych fiszkach tematy artykułów na najbliższe trzy miesiące, i sprawdzić listę nazwisk początkujących artystów – i codziennie doznawał rozczarowania. Zamiast swojego widział nazwiska rozmaitych beztalenci i pyszałków, osobników, którym należały się fory lub którzy znali kogoś, komu wypadało oddać przysługę.

„Jak tam któregoś dnia zobaczę Ezrę, to się zabiję", deklarował za każdym razem JB, na co przyjaciele odpowiadali: „Nie zabijesz się, JB" albo: „Nie przejmuj się, JB, kiedyś tam zawiśniesz", albo: „Na co ci oni, JB? Znajdź sobie innych protektorów", a JB odpowiadał kolejno: „Jesteś pewien?", „Szczerze, kurwa, wątpię", „Zainwestowałem, kurwa, swój czas, całe trzy kurwa miesiące życia, więc

będę się, kurwa, tego trzymał, bo inaczej wszystko, kurwa, na marne jak zawsze". Jak zawsze oznaczało: szkołę średnią, powrót do Nowego Jorku, projekt *Włosy* albo życie w ogóle – w zależności od tego, jak nihilistycznie czuł się JB danego dnia.

Nadal biadolił, kiedy doszli do Lispenard Street. Willem, który mieszkał w mieście zaledwie od roku, nigdy nie słyszał o takiej ulicy, uliczce właściwie, długiej na dwie przecznice i biegnącej o jedną przecznicę od Kanału. Zresztą nawet JB, który się wychował na Brooklynie, nigdy nie zetknął się z tą nazwą.

Znaleźli dom i wcisnęli guzik domofonu 5C. Odpowiedziała dziewczyna, której głos przez domofon zabrzmiał skrzekliwie i głucho, i wpuściła ich do środka. Korytarz był wąski, z wysokim stropem i ścianami w kolorze gównianego brązu, przez co poczuli się jak na dnie studni.

Dziewczyna czekała w drzwiach mieszkania.

– Hej, JB – powiedziała, a potem spojrzała na Willema i zaczerwieniła się.

– Anniko, to mój przyjaciel Willem – przedstawił JB. – Willem, Annika pracuje w dziale sztuki. Jest spoko.

Annika spuściła wzrok i podniosła dłoń szybkim ruchem.

– Miło cię poznać – powiedziała do podłogi.

JB kopnął Willema w kostkę i wyszczerzył się do niego. Willem go zignorował.

– Mnie też miło cię poznać – powiedział.

– No więc to jest mieszkanie. Mojej ciotki. Mieszkała tu przez czterdzieści lat, ale właśnie się przeniosła do domu emeryta. – Annika paplała bardzo szybko i najwyraźniej doszła do wniosku, że najlepiej będzie traktować Willema jak zaćmienie Słońca i nie patrzeć na niego w ogóle. Trajkotała coraz szybciej, o ciotce, o tym, co ciotka stale powtarzała, że okolica się zmieniła, o tym, że nigdy nie słyszała nazwy Lispenard Street, póki się nie sprowadziła do centrum, i jak jej przykro, że lokal nie został odmalowany, ale ciotka wyprowadziła się dopiero co, więc ledwo zdołali go wysprzątać w ubiegły weekend. Patrzyła przy tym wszędzie, tylko nie na Willema: na sufit (wytłaczana cyna), na podłogę (popękany, ale zawsze parkiet), na ściany (na których dawno temu wisiały ramki ze zdjęciami, po których zostały duchy jaśniejszych plam), aż w końcu Willem musiał jej grzecznie przerwać i poprosić o pokazanie reszty mieszkania.

– Och, czujcie się jak u siebie – powiedziała Annika. – Zostawiam was samych. – Mimo to dalej dreptała za nimi, bardzo szybko opowiadając JB o jakimś Jasperze, który wykorzystuje Archera wprost nieprzyzwoicie, i pytając, czy to nie podejrzanie łatwe i dziwne jak na otwarty tekst. Willem był do niej teraz odwrócony plecami, więc gapiła się na niego otwarcie, nie przerywając paplaniny, która brzmiała coraz bardziej absurdalnie.

JB obserwował, jak Annika obserwuje Willema. Nie widział jej nigdy w takim stanie – takiej nerwowej i dziewczęcej (zazwyczaj była naburmuszona i milkliwa i nawet trochę jej się bano w redakcji, bo na ścianie nad swoim biurkiem przyczepiła pracochłonnie wykonaną rzeźbę serca z żyletek X-Acto), ale JB widział już masę kobiet zachowujących się w ten sposób w obecności Willema. Działał na wszystkie. Ich przyjaciel Lionel zwykł mawiać, że pewnie Willem w poprzednim życiu był rybakiem, bo bezwiednie wabi do siebie cipeczki. A Willem przeważnie (choć nie zawsze) pozostawał nieświadom własnej atrakcyjności. JB spytał kiedyś Malcolma, jak sądzi, dlaczego tak jest, a Malcolm powiedział, że Willem tego nie zauważa. JB tylko mruknął w odpowiedzi, ale rozumował tak: ponieważ Malcolm jest najmniej wrażliwą znaną mu osobą, to skoro nawet Malcolm zauważył reakcje kobiet na Willema, niemożliwe było, aby sam Willem ich nie spostrzegał. Jude wysunął odmienną hipotezę: jego zdaniem Willem nie reagował na kobiety, żeby mężczyźni wokół niego nie poczuli się przezeń zagrożeni. To już brzmiało bardziej sensownie. Willem był powszechnie lubiany i nigdy nie chciał wprawiać innych ludzi w zażenowanie, toteż możliwe, że, przynajmniej podświadomie, udaje coś w rodzaju ignorancji. Tak czy owak fascynujące było (i nigdy nie nudziło się trzem kumplom) obserwować Willema w otoczeniu kobiet, z czego chętnie sobie później dworowali, na co on zazwyczaj tylko się uśmiechał i nic nie mówił.

– Czy winda w tym domu działa? – zapytał nagle Willem, odwracając się.

– Słucham? – Annika była zaskoczona. – Tak, zwykle działa. – I ściągnęła blade usta w wąski uśmieszek, który (co JB uświadomił sobie ze skurczem żołądka) był w jej wydaniu flirtem. Och, Anniko, pomyślał JB. – A co zamierza pan wnieść do tego mieszkania?

– Naszego przyjaciela – odrzekł JB, uprzedzając Willema. – Ma kłopot z chodzeniem po schodach i potrzebuje sprawnej windy.

– Aha – powiedziała, znów się rumieniąc. Wróciła do wpatrywania się w podłogę. – Przepraszam. Tak, działa.

Mieszkanie nie było olśniewające. Przedpokój o powierzchni niewiele większej od wycieraczki, z którego na prawo wchodziło się do kuchni (gorącej, pochlapanej tłuszczem klitki), a na lewo do części jadalnej, zdolnej pomieścić może stolik karciany. Półścianka oddzielała tę przestrzeń od salonu z czterema oknami okratowanymi od zewnątrz i wychodzącymi na zaśmieconą ulicę. Na końcu korytarzyka po prawej stronie mieściła się łazienka o drzwiach z mlecznego szkła, z wysłużoną emaliowaną wanną, a naprzeciwko łazienki była sypialnia, długa i wąska, z jednym oknem. Stały tam dwa drewniane stelaże łóżek, równolegle, obydwa przysunięte do ścian. Na jednym z nich leżał materac, bulwiasty, bez wdzięku i ciężki jak zdechła szkapa.

– Materac nie był używany – powiedziała Annika.

Opowiedziała długą historię o tym, jak to sama chciała się tu wprowadzić, kupiła już nawet materac w ramach przygotowań, ale w końcu nigdy z niego nie skorzystała, bo zamieszkała z Clementem, przyjacielem, który wcale nie jest jej chłopakiem – Jezu, co za obciach powiedzieć coś takiego. W każdym razie jeśli Willem decyduje się na mieszkanie, to ona dorzuca materac gratis.

Willem podziękował.

– Co sądzisz, JB? – zapytał.

Co sądził? Sądził, że to szambo. Oczywiście, sam też mieszkał w szambie, ale to było jego szambo z wyboru, a ponieważ miał je za darmo, to pieniądze, które wydałby na czynsz, wydawał na farby, przybory malarskie, dragi i od czasu do czasu taksówkę. Gdyby jednak Ezra zdecydował kiedyś, że chce pobierać czynsz, to JB nie mieszkałby tam ani dnia dłużej. Rodzina JB nie miała tyle forsy co rodzice Ezry albo Malcolma, ale nigdy by się nie zgodziła, żeby JB wyrzucał pieniądze na mieszkanie w szambie. Albo znaleźliby mu coś lepszego, albo dali miesięczną zapomogę, żeby go wesprzeć. Lecz Willem z Jude'em nie mieli takiego wyboru: musieli sami o siebie zadbać, a że pieniędzy zawsze brakowało, byli zmuszeni zamieszkać w szambie. A skoro już, to lepsze takie szambo niż jakieś inne, bo po pierwsze, tanie, po drugie, w śródmieściu, po trzecie, osoba wynajmująca miała chrapkę na pięćdziesiąt procent ich pary.

– Myślę, że jest idealne – powiedział JB, a Willem przyznał mu rację.

Annika wydała okrzyk radości. Jeszcze tylko szybka wymiana zdań i po wszystkim. Annika zyskała lokatorów, a Willem i Jude dach nad głową. Na koniec JB przypomniał Willemowi, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby przyjaciel postawił mu miskę klusek na lunch, zanim będzie musiał wrócić do redakcji.

JB nie był zwolennikiem introspekcji, ale jadąc pociągiem do matki w niedzielę, nie umiał powstrzymać się od uczucia pewnego samozadowolenia, połączonego z czymś na kształt wdzięczności, że ma takie życie i rodzinę, jakie ma.

Jego ojciec, który wyemigrował do Nowego Jorku z Haiti, zmarł, kiedy JB miał trzy lata, i chociaż JB wmawiał sobie, że pamięta jego twarz – dobrą, łagodną, z wąskim paskiem wąsów i policzkami, które wzdymały się jak śliwki, kiedy się uśmiechał – nigdy nie miał pewności, czy nie zdaje mu się tylko, że pamięta, dzięki częstemu wpatrywaniu się w fotografię na nocnej szafce matki. Był to jedyny jego smutek z dzieciństwa, a i ten był raczej rodzajem zobowiązania – JB nie miał ojca, a wiedział, że dzieci bez ojców noszą żałobę z powodu takiej straty. Osobiście nie doświadczał jednak tęsknoty. Po śmierci ojca matka – haitańska Amerykanka w drugim pokoleniu – zrobiła doktorat z pedagogiki, ucząc przez cały czas w publicznej szkole niedaleko domu, która jej zdaniem nie dorastała do poziomu

jej syna. Zanim JB dzięki stypendium znalazł się w liceum, drogiej prywatnej szkole, do której musiał dojeżdżać z Brooklynu prawie godzinę, matka została dyrektorką innej szkoły, na Manhattanie, oraz adiunktem w Brooklyn College. Pisano o niej w „New York Timesie" – o jej innowacyjnej metodzie nauczania – i chociaż JB nie okazywał tego przed kolegami, był z niej dumny.

Matka zawsze była zajęta, kiedy dorastał, a jednak nigdy nie czuł się zaniedbywany, nigdy nie pomyślał, że matka woli od niego swoich studentów. W domu miał babcię, która mu gotowała, co tylko zechciał, śpiewała po francusku i dzień w dzień zapewniała go, że jest jej skarbem, geniuszem i mężczyzną jej życia. Były też ciotki: siostra matki, detektyw z Manhattanu, i jej partnerka życiowa, farmaceutka, też Amerykanka w drugim pokoleniu (z tym że pochodziła nie z Haiti, tylko z Portoryko). Ciotki nie miały dzieci, więc traktowały JB jak syna. Siostra matki uprawiała sport i nauczyła JB rzucać oraz łapać piłkę (nie bardzo się tym ekscytował, lecz w późniejszych latach umiejętność gry okazała się użyteczna w życiu towarzyskim), jej partnerka natomiast pasjonowała się sztuką. Jednym z najwcześniejszych wspomnień JB była wycieczka z tą ciotką do Museum of Modern Art, gdzie, pamięta to doskonale, gapił się na *One: Number 31, 1950* oniemiały z zachwytu i ledwo słuchał ciotki wyjaśniającej, w jaki sposób Pollock namalował ten obraz.

W liceum, gdzie szczypta rewizjonizmu pozwalała mu się wyróżniać, a przede wszystkim wprawiać w zakłopotanie bogatych białych kolegów, JB zamazywał granice prawdy o swoim życiu. W legendzie na swój temat był czarnym półsierotą jakich wiele, z matką, która skończyła szkołę dopiero po jego urodzeniu (nie wspominał, że szkołą tą były studia wyższe, więc wszyscy przyjmowali, że ma na myśli szkołę średnią), i ciotką pracującą na ulicy (myśleli, że prostytutką, gdyż JB nie zajęknął się, że ciotka jest policjantką). Jego ulubione zdjęcie rodzinne zrobił najbliższy przyjaciel z liceum, Daniel, któremu JB zdradził prawdę, zanim wpuścił go do domu, żeby pstryknął rodzinny portret. Daniel pracował nad cyklem zdjęć przedstawiających awans z nizin społecznych, toteż JB musiał pospiesznie skorygować wrażenie, że ma ciotkę ulicznicę i matkę, która ledwo czyta i pisze, zanim zaprosił przyjaciela do środka. Danielowi opadła szczęka, więc nie odezwał się ani słowem, a matka JB właśnie wtedy otworzyła im drzwi i kazała czym prędzej wchodzić, bo zimno, więc Daniel musiał usłuchać.

Wciąż oszołomiony, upozował grupę rodzinną w salonie: babcia JB, Yvette, zasiadła w swoim ulubionym fotelu z wysokim oparciem, a wokół niej stanęły po jednej stronie ciotka Christine ze swoją partnerką Silvią, a po drugiej JB i jego matka. W ostatniej jednak chwili babcia Yvette zażądała, żeby jej miejsce zajął JB.

– To on jest królem domu – poinformowała Daniela, mimo protestów wnuka. – Jean-Baptiste! Siadaj!

Usiadł. Na fotografii ściska podłokietniki pulchnymi dłońmi (już wtedy był pulchny), a panie po obu stronach uśmiechają się do niego z góry. JB patrzy prosto w obiektyw i szczerzy się szeroko, rozparty w fotelu, który powinna zajmować jego babka.

Ich wiara w niego, w jego ostateczny triumf, pozostawała niezłomna, budząc niemal zażenowanie. Kobiety były przekonane – mimo iż jego własne przekonanie zostało tyle razy poddane próbie, że trudno było je wykrzesać – że zostanie kiedyś wielkim artystą, że jego prace zawisną w największych muzeach i że ludzie, którzy dotąd nie dali mu szansy, po prostu się na nim nie poznali. Czasem JB im wierzył i pozwalał się uskrzydlić ich niezłomnej pewności, z reguły jednak odnosił się do tego podejrzliwie, bo opinie kobiet z domu zdawały się tak różne od opinii reszty świata, że zastanawiał się, czy sobie z niego kpią, czy może powariowały. A może mają zły gust. Jak zdanie czterech kobiet może się tak gruntownie różnić od zdania wszystkich innych ludzi? Prawdopodobieństwo, że to ich opinia jest słuszna, było niewielkie.

Mimo wszystko w każdą sobotę z ulgą odbywał potajemne wizyty w domu, gdzie jedzenia miał w bród i za darmo, gdzie babcia prała jego rzeczy i gdzie każde jego słowo oraz każdy szkic przyjmowane były z pomrukami aprobaty. Dom matki był znanym terenem, miejscem, gdzie JB otaczano kultem i gdzie każdy zwyczaj, każda tradycja zdawały się skrojone na miarę jego potrzeb. W którymś momencie wieczoru – po kolacji, ale przed deserem, gdy siedzieli wszyscy w salonie przed telewizorem, a na jego kolanach spoczywał ciepły kocur matki – JB obejmował spojrzeniem swoje kobiety i czuł, jak coś mu się w środku wzdyma. Myślał w takich chwilach o Malcolmie, który miał nieprzeciętnie inteligentnego ojca i czułą, ale roztrzepaną matkę, a potem o Willemie, którego rodzice nie żyli (JB spotkał ich tylko raz, na weekendowym wyjeździe w pierwszej klasie, i zdumiał się ich powściągliwością i formalnością, tym, że byli całkiem nie w stylu Willema), no i na koniec o Judzie, którego rodzice po prostu nie istnieli (tajemnicza sprawa: znali Jude'a przeszło dziesięć lat, a nadal nie byli pewni, czy w jego życiu w ogóle byli jacyś rodzice; wiadomo było tylko, że sytuacja jest żałosna i nie trzeba o niej mówić) – i zalewała go fala ciepła, szczęścia i wdzięczności, jakby w jego piersi wzbierał ocean. Jestem szczęściarzem, myślał, a zaraz potem (ponieważ z natury współzawodniczył i w każdej chwili życia świadom był własnej pozycji wobec kolegów) poprawiał się: jestem największym szczęściarzem na świecie. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że może na to nie zasługuje albo że powinien lepiej się starać wyrazić swoje zadowolenie. Nie – jego rodzina była szczęśliwa, gdy on był szczęśliwy, a zatem jedynym jego obowiązkiem wobec rodziny było pozostawać szczęśliwym i żyć własnym życiem, na własnych warunkach.

– Nie trafiają nam się rodziny, na jakie zasługujemy – powiedział kiedyś Willem, kiedy się upili. Miał na myśli oczywiście Jude'a.

– Zgadzam się – potwierdził JB. I faktycznie się zgadzał.

Żaden z nich – ani Willem, ani Jude, ani nawet Malcolm – nie miał rodziny, na jaką zasługiwał. W sekrecie jednak JB zrobił wyjątek dla siebie: on miał rodzinę, na jaką zasługiwał. Cudowną rodzinę, prawdziwie cudowną, i wiedział o tym, co więcej – naprawdę na nią zasłużył. „O, jest mój genialny chłopczyk!", wykrzykiwała Yvette, gdy wchodził do domu, a jemu nigdy nie przyszło do głowy, że mogła nie mieć absolutnej racji.

W dniu przeprowadzki zepsuła się winda.

– Cholera! – zaklął Willem. – Przecież pytałem o to Annikę. JB, masz jej numer?

Ale JB nie miał numeru Anniki.

– Trudno – westchnął Willem. – A zresztą, co za sens wysyłać esemes do Anniki? Przepraszam, koledzy – zwrócił się do wszystkich – ale trzeba będzie skorzystać ze schodów.

Zdawało się, że nikt nic nie ma przeciwko temu. Dzień był piękny, późnojesienny, rześki, suchy, z wietrzykiem, a ich było aż ośmiu do przeniesienia niezbyt licznych pudeł i paru sztuk mebli. Willem i JB, Jude i Malcolm, Richard – kumpel JB, Carolina – kumpelka Willema, i jeszcze dwóch przyjaciół ich wspólnych przyjaciół, którzy obaj nazywali się Henry Young, ale powszechnie znani byli jako Azjatycki Henry Young i Czarny Henry Young, dla rozróżnienia.

Malcolm, po którym nikt się tego nie spodziewał, okazał się sprawnym menedżerem i porozdzielał funkcje. Jude miał iść pierwszy do mieszkania i kierować ruchem oraz ustawianiem kartonów. W przerwach miał zacząć rozpakowywać większe sztuki i rozcinać pudła. Carolina i Czarny Henry Young – oboje niscy, ale silni – mieli przenosić kartony z książkami, które były odpowiednio niedużego rozmiaru. Willem, JB i Richard mieli taszczyć meble, a Malcolm z Azjatyckim Henrym Youngiem wszystko inne. Przed zejściem na dół każdy miał brać pudła, które Jude już poskładał, i stawiać je na sztorc przy krawężniku obok pojemników na śmieci.

– Pomóc ci? – spytał cicho Willem Jude'a, gdy pozostali już zabrali się do roboty.

– Nie – odrzekł krótko Jude.

Willem przez chwilę obserwował jego nierównomierną, powolną wspinaczkę po schodach, bardzo zresztą stromych i wysokich, dopóki nie stracił go z oczu.

Łatwa to była przeprowadzka, szybka i niedramatyczna. Skończywszy, posiedzieli trochę w mieszkaniu, rozpakowując książki i jedząc pizzę, a potem rozeszli się na imprezy i do barów, a Willem i Jude nareszcie zostali sami na nowym gospodarstwie. Bałagan był niemożebny, ale sama myśl o ustawianiu rzeczy na miejscach była po prostu zbyt męcząca. Siedzieli więc bezczynnie, zdziwieni tym, jak szybko robi się ciemno, i tym, że mają gdzie mieszkać, gdzieś na Manhattanie,

w mieszkaniu, na które ich stać. Obydwaj zauważyli uprzejmie powściągliwe miny przyjaciół na widok mieszkania; najwięcej komentarzy zebrał pokój z dwoma bliźniaczymi wąskimi łóżkami – „Jak z wiktoriańskiego przytułku", według opisu Willema na użytek Jude'a. Ale nie martwiło ich to – grunt, że chata była ich, wynajęta na dwa lata i nikt nie mógł jej im odebrać. Na mieszkaniu tutaj zaoszczędzą nawet trochę pieniędzy – a na co im większa przestrzeń? Oczywiście, obaj pragnęli piękna, ale to musiało poczekać. A raczej: oni musieli na to poczekać.

Rozmawiali, ale Jude miał przymknięte oczy i Willem poznał – po uporczywym trzepocie jego powiek i mocnym zaciśnięciu pięści, tak mocnym, że widać było oceanicznie zielone nitki żył podskakujące na grzbietach dłoni – że Jude cierpi z bólu. Po tym, jak sztywno Jude trzymał nogi oparte o karton książek, poznał Willem, że ból jest silny. I wiedział, że nic nie może na to poradzić. Gdyby powiedział: „Jude, przyniosę ci aspirynę", ten odparłby: „Nic mi nie jest, Willem, nic mi nie potrzeba", a gdyby powiedział: „Jude, może się położysz?", Jude odrzekłby: „Willem, nic mi nie jest. Przestań się martwić". W końcu więc Willem zrobił to, co wszyscy przez ostatnie lata nauczyli się robić, gdy Jude miał atak bólu nóg – pod byle pretekstem wyszedł z pokoju, żeby Jude mógł się spokojnie wyciągnąć i czekać, aż ból minie, nie musząc rozmawiać i marnować energii na udawanie, że nic mu nie dolega, że jest tylko zmęczony albo że dostał skurczu, albo na jakiekolwiek inne słabe wyjaśnienie, które zdołał wymyślić.

W sypialni Willem znalazł wór na śmieci z ich pościelą i po raz pierwszy w życiu oblekł materac, a potem drugi dla Jude'a (kupili go za grosze tydzień wcześniej od wkrótce eksdziewczyny Caroliny). Willem posortował swoje rzeczy: koszule i spodnie, bieliznę i skrapetki, na każde przeznaczając osobny karton świeżo opróżniony z książek, a następnie wsunął kartony pod swoje łóżko. Rzeczy Jude'a zostawił w spokoju, za to przeniósł się do łazienki, którą wysprzątał i zdezynfekował, zanim wystawił pastę do zębów, mydła, maszynki do golenia i szampony. Raz i drugi przerwał pracę, aby podkraść się i zajrzeć do salonu, gdzie Jude leżał w tej samej pozycji, z zamkniętymi oczami, dłonią wciąż zaciśniętą i głową odwróconą tak, że Willem nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

Willem żywił do Jude'a skomplikowane uczucie. Kochał go (ta część była prosta) i bał się o niego, i nieraz czuł się jak starszy brat, obrońca, a zarazem przyjaciel. Wiedział, że Jude poradziłby sobie bez niego – już sobie radził – ale czasem dostrzegał w nim rzeczy, które go niepokoiły i wpędzały w poczucie bezradności, paradoksalnie połączonej z jeszcze większą chęcią niesienia pomocy, chociaż Jude rzadko prosił o jakąkolwiek pomoc. Wszyscy kochali Jude'a i podziwiali go, lecz Willem miał czasem wrażenie, że przyjaciel pozwala mu ujrzeć nieco większy kawałek swego wnętrza niż innym, odrobinę większy, i nie był pewien, co powinien zrobić z tą wiedzą.

Na przykład z bólem nóg. Odkąd go znali, wiedzieli, że ma problem z nogami. Trudno było tego nie zauważyć, bo przez całe studia Jude używał laski. Był dwa lata młodszy od nich; kiedy go poznali, jeszcze rósł. Podpierał się wtedy kulą ortopedyczną i nosił na nogach coś w rodzaju szyn z bolcami, przyśrubowanymi do kości, które ograniczały możliwość zginania kolan. Lecz Jude nigdy się nie skarżył, przenigdy, chociaż nie bronił innym uskarżania się. Na drugim roku studiów JB poślizgnął się na lodzie, upadł i złamał nadgarstek – wszyscy zapamiętali teatr, jaki wtedy urządził, z jękami i wrzaskami bólu, i to, jak przez cały tydzień po zdjęciu gipsu odmawiał opuszczenia szpitala, a odwiedzały go tam takie tłumy, że aż napisała o tym studencka gazeta. W pokoju z nim leżał piłkarz z kontuzją łękotki, który wciąż powtarzał, że JB nie ma pojęcia, co znaczy ból. Jednak Jude odwiedzał JB codziennie, podobnie jak Willem i Malcolm, nie żałując mu jakże pożądanego współczucia.

Którejś nocy po tym, jak JB łaskawie dał się wypisać ze szpitala i wrócił do akademika, by dalej pozyskiwać powszechną uwagę, Willem obudził się i stwierdził, że pokój jest pusty. Nie było to specjalnie dziwne: JB był u swojego chłopaka, a Malcolm, który w tym semestrze uczęszczał na kurs astronomii w Harvardzie, siedział w laboratorium, gdzie sypiał we wszystkie wtorki i czwartki. Willem też znikał na noc, zwykle w pokoju swojej dziewczyny, ale teraz ona miała grypę i została u rodziców. Ale Jude zawsze spał w akademiku. Nigdy nie miał dziewczyny ani chłopaka i noce spędzał w ich wspólnej sypialni, tak że Willem nauczył się traktować jego obecność na dolnym łóżku jako coś równie znajomego i stałego jak morze.

Sam nie był pewien, co go skłoniło do tego, żeby zejść cicho z łóżka i postać chwilę na środku pokoju, rozglądając się wokół, jakby Jude mógł wisieć niczym pająk pod sufitem. Ale wtem zauważył brak kuli, więc zaczął szukać Jude'a, nawołując go z cicha, najpierw w saloniku, a potem w korytarzu wiodącym do wspólnej łazienki. Po mroku panującym w pokoju łazienka wydała się skąpana w mdlącym świetle cicho brzęczącej jarzeniówki. Willem był tak zdezorientowany, że nawet się nie zdziwił, kiedy pod drzwiami ostatniej kabiny dostrzegł stopę Jude'a, a obok niej koniec kuli.

– Jude? – wyszeptał, pukając w drzwi, a gdy nie dostał odpowiedzi, dodał: – Wchodzę.

Otworzył drzwi i znalazł Jude'a na podłodze, z jedną nogą podkuloną pod klatkę piersiową. Jude wcześniej wymiotował: część wymiocin tworzyła kałużę na posadzce, a ich resztki przywarły do ust i podbródka Jude'a. Oczy miał zamknięte i był spocony; jedną ręką trzymał uchwyt kuli z taką intensywnością, jaka – o czym Willem miał przekonać się z czasem – bierze się tylko z największego cierpienia.

Przestraszył się, zmieszał i zaczął zasypywać Jude'a pytaniami, na które ten nie był w stanie odpowiedzieć. Dopiero gdy Willem spróbował go dźwignąć z posadzki, Jude krzyknął i wtedy Willem pojął, w jak strasznym jest bólu.

Częściowo go ciągnąc, Wilem jakoś zdołał doholować Jude'a do sypialni, zapakować do łóżka i niewprawnie oczyścić. Zanim skończył, najgorszy ból chyba minął, więc Willem spytał, czy wezwać lekarza, na co Jude pokręcił głową.

– Ale Jude – perswadował Willem – przecież cię boli. Musimy ściągnąć jakąś pomoc.

– Nic nie pomoże – rzekł Jude i zamilkł na dłuższą chwilę. – Muszę po prostu przeczekać. – Mówił prawie szeptem i dziwnie słabowicie.

– Co mogę zrobić? – spytał Willem.

– Nic – odparł Jude. Milczeli. – Ale Willem… posiedzisz chwilę ze mną?

– Oczywiście.

Jude leżał, trzęsąc się jak w febrze, więc Willem ściągnął kołdrę ze swojego łóżka i opatulił go. W którymś momencie sięgnął pod koc, odnalazł rękę Jude'a i rozwarł mu pięść, aby móc potrzymać jego spoconą, pokrytą odciskami dłoń. Od dawna nie trzymał za rękę innego faceta – ostatni raz przed laty, po operacji brata – i zdziwiło go, jak silny jest uścisk Jude'a, jak muskularne ma on palce. Jude godzinami dygotał i dzwonił zębami, aż w końcu Willem położył się przy nim i zasnął.

Nazajutrz rano obudził się w łóżku Jude'a z pulsującą dłonią, a gdy obejrzał jej grzbiet, dostrzegł sinawe smugi po żelaznym uścisku palców przyjaciela. Wstał nieco chwiejnie i przeszedł do wspólnego pokoju, gdzie znalazł Jude'a przy biurku, nad lekturą. Nie mógł nic odczytać z jego rysów w oślepiającym świetle późnego poranka. Jude na wejście Willema oderwał wzrok od książki, po czym wstał i przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– Strasznie mi przykro – powiedział wreszcie Jude.

– Nie ma powodu – odparł Willem, zupełnie szczerze, bo nie było.

Jude jednak wciąż powtarzał:

– Strasznie mi przykro, Willem; strasznie mi przykro…

I choćby Willem nie wiem ile razy zapewniał go, że nie ma powodu, Jude nie znajdował w tym ukojenia.

– Tylko nic nie mów Malcolmowi i JB, okej? – poprosił.

– Nie powiem – obiecał Willem.

I nie powiedział, chociaż koniec końców okazało się to bez znaczenia, gdyż Malcolm i JB też zobaczyli Jude'a w ataku bólu, jakkolwiek tylko parę razy tak silnym jak ten, którego świadkiem był owej nocy Willem.

Nigdy o tym nie rozmawiał z Jude'em, ale w następnych latach miał go oglądać w boleściach dużych i małych, widział przyjaciela krzywiącego się z lżejszego bólu, a czasami, gdy ból był nie do zniesienia – wymiotującego, padającego na podłogę lub nawet tracącego przytomność i bredzącego

w malignie, tak jak teraz. Choć miał zwyczaj dotrzymywać obietnic, zastanawiał się jakąś częścią świadomości, dlaczego nigdy nie porozmawiał o tym z Jude'em, dlaczego nigdy nie nakłonił go do zwierzeń, co czuje, i dlaczego nigdy się nie ośmielił zrobić tego, co setki razy podszeptywał mu instynkt: usiąść obok Jude'a i pomasować mu nogi, by skłonić do posłuszeństwa zbuntowane zakończenia nerwów. Zamiast tego zamykał się w łazience i znajdował sobie jakieś zajęcie, podczas gdy parę metrów od niego jeden z najdroższych mu przyjaciół siedział samotnie na obskurnej kanapie, odbywając powolną, smutną podróż powrotną do świadomości, do krainy żywych, i nikogo przy nim nie było.

– Tchórz z ciebie – oznajmił Willem swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Odwzajemnił spojrzenie ze zmęczonym niesmakiem. Z salonu słychać było tylko ciszę. Willem przystanął niewidoczny w progu, czekając, aż Jude do niego powróci.

– To jest gówniane miejsce – powiedział od razu Malcolm do JB, i chociaż się nie mylił – na sam widok przedpokoju dostał gęsiej skórki – to do domu wracał w melancholijnym nastroju, zastanawiając się po raz któryś, czy naprawdę lepiej mieszkać w domu rodziców niż we własnej, choćby gównianej, klitce.

Biorąc na logikę, oczywiście powinien zostać tam, gdzie mieszkał. Zarabiał bardzo mało, pracował do późnych godzin, a dom rodziców był wystarczająco duży, by Malcolm mógł ich, teoretycznie, nie widywać całymi dniami, jeśli nie miał ochoty. Zajmował całe piętro, które prawdę mówiąc, też było dosyć gówniane, taki panował tam śmietnik (matka przestała posyłać do niego gosposię, gdy Malcolm zrobił awanturę, że Inez zniszczyła mu jeden z modeli domków), poza tym miał dostęp do kuchni, pralki i pełnego spektrum czasopism prenumerowanych przez rodziców, a raz na tydzień dorzucał swoje rzeczy do płóciennej torby, którą matka oddawała do pralni chemicznej po drodze do pracy, a Inez następnego dnia odbierała. Nie był dumny z tego układu, to oczywiste, ani z tego, że ma dwadzieścia siedem lat, a matka nadal dzwoni do niego do pracy, gdy zamawia warzywa i owoce na cały tydzień, żeby zapytać, czy Malcolm zje dodatkową porcję truskawek albo co woli na kolację – palię czy leszcza.

Byłoby prościej, gdyby rodzice respektowali te same podziały przestrzeni i czasu, które szanował Malcolm. Nie dość, że oczekiwali, iż w każdą niedzielę zje z nimi śniadanie i obiad, to jeszcze mieli zwyczaj wpadać z wizytą na jego piętro. Pukanie do drzwi było wtedy jednoczesne z naciśnięciem klamki, chociaż Malcolm klarował im ustawicznie, że w takim przypadku pukanie mija się z celem. Wiedział, że nie powinien tak myśleć, bo to bezczelność i niewdzięczność z jego strony, ale czasami bał się wręcz wracać do domu, na nieuniknione pogaduszki, które będzie musiał znieść, zanim czmychnie na górę jak nastolatek. Najbardziej jednak przerażała go wizja domu bez Jude'a; chociaż

mieszkanie w suterenie było bardziej niezależne niż góra Malcolma, to i Jude'owi rodzice składali lotne wizyty, toteż zdarzało się, że Malcolm schodził do przyjaciela i zastawał tam swojego ojca robiącego mu wykład na jakiś nudny temat. Ojciec szczególnie lubił Jude'a – często powtarzał Malcolmowi, że Jude ma prawdziwie intelektualną głębię i horyzonty, w przeciwieństwie do reszty jego przyjaciół, których nazywał fiu-bździu. Gdy Jude'a zabraknie, cały ciężar wysłuchiwania skomplikowanych tyrad ojca na temat rynku i płynności światowych finansów, i na inne tematy, które niewiele Malcolma obchodziły, spadnie na niego. Chwilami podejrzewał nawet, że ojciec wolałby mieć Jude'a za syna: kończył te same studia, na które teraz uczęszczał Jude; sędzia, u którego Jude robił aplikację, był mentorem ojca Malcolma w jego pierwszej firmie; Jude był asystentem prokuratora w wydziale kryminalnym w biurze prokuratora okręgowego, tym samym, w którym ojciec Malcolma pracował w młodości.

„Wspomnicie moje słowa: ten mały wysoko zajdzie" albo: „Tak rzadko się spotyka kogoś, kto już u zarania kariery staje się gwiazdą dzięki własnym zaletom", mówił często ojciec do Malcolma i jego matki po rozmowie z Jude'em, przy czym zawsze był bardzo zadowolony z siebie, jak gdyby geniusz Jude'a był jego zasługą. W takich momentach Malcolm wolał unikać wzroku matki i jej współczującej miny.

Łatwiej byłoby, gdyby Flora nadal była w domu. Kiedy szykowała się do wyjazdu, Malcolm delikatnie zasugerował, że mogliby zamieszkać razem w jej nowym mieszkaniu z dwiema sypialniami przy Bethune Street, lecz ona albo rzeczywiście nie rozumiała jego aluzji, albo wolała udać, że nie rozumie. Florze chyba nie przeszkadzało oczekiwanie rodziców, by dzieci poświęcały im wiele czasu, dzięki czemu Malcolm mógł spędzać więcej godzin u siebie na górze, pracując nad modelami domów, mniej zaś na dole, wiercąc się na projekcji któregoś z tasiemcowych festiwali filmowych Ozu – pasji ojca. Kiedy Malcolm był młodszy, bolało go, że ojciec woli Florę, i to tak ostentacyjnie, że dostrzegali to nawet przyjaciele domu. „Fantastyczna Flora", mawiał o niej (lub, na różnych etapach jej dojrzewania: „Frywolna Flora", „Furiacka Flora" czy „Feralna Flora" – ale zawsze z uznaniem), i nawet dziś – chociaż Florze prawie stuknęła trzydziestka – ojciec najzwyczajniej się nią cieszył. „Fantastyczna powiedziała dzisiaj coś wielce dowcipnego", mówił przy obiedzie, tak jakby Malcolm i jego matka nie rozmawiali z Florą, i to regularnie; albo po brunchu w mieście, gdzieś w pobliżu domu Flory: „Dlaczego Fantastyczna musiała się wyprowadzić tak daleko od nas?", chociaż mieli do niej piętnaście minut samochodem. (To wyjątkowo wkurzało Malcolma, ponieważ ojciec stale mu opowiadał lukrowane historie o tym, że jako dziecko przeniósł się z Grenadines do Queens i że potem już zawsze czuł się jak w pułapce pomiędzy dwoma krajami, i że Malcolm też kiedyś powinien zakosztować ekspatriacji, bo to go niezmiernie wzbogaci jako osobę i da mu jakże pożądaną

perspektywę, i tym podobne i tak dalej. A przecież gdyby Flora ośmieliła się kiedykolwiek wyprowadzić z wyspy, a jeszcze nie daj boże do innego kraju, Malcolm nie miał najmniejszych wątpliwości, że ojciec by się załamał).

Malcolm nie miał przydomka. Czasami ojciec nadawał mu nazwiska innych sławnych Malcolmów: „X", „McLaren", „McDowell" czy „Muggeridge" (to na jego cześć ponoć ochrzczono Malcolma) – ale on odbierał to zawsze jako przytyk, a nie wyraz sympatii, jako przypomnienie, kim Malcolm mógłby być, a nie był.

Czasami, często, zdawało się Malcolmowi, że głupio robi, nadal się przejmując, zamartwiając, że ojciec chyba nie bardzo go lubi. Nawet jego matka tak uważała. „Nie przejmuj się. Tatuś nie ma na myśli nic złego", powtarzała po kolejnym ojcowskim monologu na temat ogólnej wyższości Flory. Wówczas Malcolm – pragnąc jej wierzyć, chociaż irytowało go, że matka wciąż mówi na ojca „tatuś" – chrząkał gniewnie albo coś burczał, żeby jej pokazać, że i tak mu nie zależy. A niekiedy – właściwie coraz częściej – irytował się na siebie, że w ogóle poświęca tyle czasu na myślenie o rodzicach. Czy to normalne? Czy nie ma w tym czegoś trochę żałosnego? Przecież miał dwadzieścia siedem lat! Czy taki się człowiek staje przez mieszkanie w rodzinnym domu? Czy może tylko jego to spotkało? Naprawdę trudno o lepszy argument na rzecz wyprowadzki. Malcolm chciał wreszcie przestać być wielkim dzieciuchem. Późnym wieczorem, kiedy piętro niżej rodzice celebrowali codzienną rutynę, dudnienie starych rur towarzyszące myciu twarzy, a potem nagła cisza, gdy wyłączali kaloryfery w salonie, mówiły Malcolmowi lepiej niż jakikolwiek zegar, że jest godzina jedenasta, jedenasta trzydzieści, północ. Układał sobie listę rzeczy do załatwienia, i to pilnie, w nadchodzącym roku: praca (w zastoju), życie uczuciowe (brak), seksualność (nierozwiązana), przyszłość (niepewna). Te cztery punkty były zawsze takie same, choć nieraz zmieniała się kolejność. Stała była też zdolność Malcolma do precyzyjnego opisywania bieżącej sytuacji, połączona z kompletną niezdolnością do znajdowania rozwiązań.

Na drugi dzień rano budził się z postanowieniem, że dzisiaj się wyprowadza i mówi rodzicom, żeby mu dali spokój. Ale gdy schodził na dół, była tam matka szykująca mu śniadanie (ojciec już dawno wyszedł do pracy), od której dowiadywał się, że dzisiaj kupuje bilety na coroczną wycieczkę do St. Barts, i czy Malcolm mógłby jej powiedzieć, na ile dni zechce tam do nich dołączyć. (Rodzice nadal opłacali jego wakacje. Nigdy nie wspomniał o tym przyjaciołom).

– Tak, mamo – odpowiadał. A potem zjadał śniadanie i wychodził na cały dzień, wkraczał w świat, w którym nikt go nie znał i w którym Malcolm mógł być każdym.

2

O piątej po południu w każdy dzień powszedni i o jedenastej rano w każdy weekend JB wsiadał do metra i jechał do swojej pracowni w Long Island City. Podróż dnia powszedniego była jego ulubioną. Wsiadał przy Kanale i obserwował, jak na każdej stacji wagon zapełnia się i opróżnia stale zmienną mieszanką rozmaitych ludów i odmian etnicznych, a mniej więcej co dziesięć przecznic populacja pociągu rekonstytuuje się w prowokacyjne i nieprawdopodobne konstelacje Polaków, Chińczyków, Koreańczyków, Senegalczyków; Senegalczyków, Dominikańczyków, Hindusów, Pakistańczyków; Pakistańczyków, Irlandczyków, Salwadorczyków, Meksykanów; Meksykanów, mieszkańców Sri Lanki, Nigeryjczyków i Tybetańczyków – przy czym jedynym czynnikiem spajającym tę mnogość było to, że tu, w Ameryce, wszyscy byli nowi i wszyscy nosili na twarzach ten sam wyraz wycieńczenia stanowiący mieszankę determinacji i rezygnacji właściwą tylko imigrantom.

W takich chwilach JB czuł zarówno wdzięczność za własne szczęście, jak i sentymentalny zachwyt swoim miastem – a uczuć tych nie żywił często. Nie należał do tych, którzy celebrują swe miasto jako wspaniałą mozaikę, i wyśmiewał się z ludzi, którzy tak czynili. Jednak podziwiał – bo jakże nie podziwiać? – zbiorowe dzieło wysiłku, prawdziwego wysiłku, jaki bez wątpienia wykonali tego dnia jego towarzysze z pociągu. Zamiast wstydzić się własnego względnego nieróbstwa, odczuwał ulgę z jego powodu.

Jedyną osobą, z którą kiedykolwiek omawiał tę kwestię – ogólnikowo, co prawda – był Azjatycki Henry Young. Jechali właśnie do Long Island City – to Henry Young znalazł mu miejsce w pracowni – gdy jakiś Chińczyk, drobny i żylasty, z persymonowo-czerwoną plastikową torbą wiszącą ciężko na ostatnim zgięciu palca wskazującego prawej ręki (jakby gość nie miał siły albo ochoty nieść torby w sposób bardziej zdecydowany), przesunął się i zasiadł ciężko na ławce naprzeciw nich: skrzyżował nogi, objął się rękami i momentalnie zasnął. Henry, którego JB znał od szkoły średniej i który był, jak on, stypendystą, a jego matka była krawcową w Chinatown, spojrzał na JB i przekazał ruchami ust: „No patrz, na litość boską!”, a JB w lot zrozumiał tę szczególną mieszankę winy i przyjemności, którą odczuwał Henry.

Inną jego ulubioną cechą tych wycieczek metrem w dni powszednie było samo światło, które wypełniało pociąg jak coś żywego, gdy z turkotem przejeżdżał przez most, które ścierało zmęczenie z twarzy współpasażerów, odsłaniając ich rysy z czasów, kiedy przybyli do Ameryki, gdy jeszcze byli młodzi, a Ameryka wydawała im się możliwa do zdobycia. JB obserwował, jak dobrotliwe światło

rozlewa się po wnętrzu wagonu niczym syrop, patrzył, jak wygładza zmarszczki na czołach, podświetla siwe włosy na złoto, agresywny połysk tandetnych tkanin przemienia zaś w lśniący przepych. A potem słońce przesuwało się, w miarę jak pociąg bezdusznie od niego uciekał, i świat powracał do normalnych smętnych form i kolorów, a ludzie do normalnego smutnego stanu – i była to przemiana tak okrutna i nagła, jakby się dokonała za sprawą czarodziejskiej różdżki.

Lubił udawać, że jest jednym z nich, lecz wiedział, że nie jest. Czasem pociągiem jechali Haitańczycy, a JB słuchem po wilczemu wyostrzonym wyławiał z ogólnego szumu miękki, śpiewny ton języka kreolskiego i bezwiednie się na nich oglądał – na dwóch mężczyzn o twarzach okrągłych jak twarz jego ojca, na dwie kobiety o miękkich noskach zadartych jak nos jego matki. Za każdym razem miał nadzieję, że trafi się jakiś naturalny powód, by się do nich odezwać – mogli się przecież pokłócić o właściwą drogę, a wtedy włączyłby się i podsunął im rozwiązanie – ale nigdy się nie trafił. Zdarzało się, że Haitańczycy, nie przerywając rozmowy, omiatali wzrokiem ludzi na ławkach, i wtedy JB sztywniał, gotowy do uśmiechu, lecz oni nigdy nie rozpoznawali w nim swojego.

Bo oczywiście nie był swój. Sam wiedział, że ma więcej wspólnego z Azjatyckim Henrym Youngiem, z Malcolmem, z Willemem, nawet z Jude'em niż z tymi Haitańczykami. Wystarczyło na niego spojrzeć: wysiadał na Court Square i szedł trzy przecznice do dawnej fabryki butelek, gdzie dzielił pracownię z trzema innymi artystami. Jaki prawdziwy Haitańczyk znajduje miejsce w pracowni artystów? Czy prawdziwym Haitańczykom przyszłoby w ogóle do głowy zostawić duży, darmowy apartament, gdzie w kącie, teoretycznie, mogliby sobie malować czy coś dłubać, po to, żeby wsiąść w metro i jechać pół godziny (ileż pracy można wykonać w trzydzieści minut!) do nasłonecznionego, brudnego studia? Nie, oczywiście, że nie. Żeby wymyślić taki luksus, trzeba mieć amerykański umysł.

Na strych, który mieścił się na trzeciej kondygnacji, wchodziło się po metalowych schodkach, które brzęczały niczym dzwon, gdy się po nich stąpało. Pomieszczenie było białe, z białą podłogą, chociaż miejscami tak pochlapaną farbami, że wyglądała, jakby ktoś tam rozłożył szmaciane dywaniki. We wszystkich ścianach znajdowały się wysokie niszowe okna – jedyny element wyposażenia, o które czwórka artystów dbała, myjąc je regularnie (każdy miał pod opieką jedną ścianę), ponieważ światło było aż za dobre i grzechem byłoby dać mu się marnować. Była też łazienka (nie do opisania) i kuchnia (nieco tylko mniej straszna), a na samym środku stał stół z blatem z jednej płyty pośledniego marmuru wspartym na kozłach. To była przestrzeń wspólna, z której każdy mógł korzystać, gdy jego projekt wymagał więcej przestrzeni, toteż po paru miesiącach marmurowy blat był upstrzony smugami fioletu i żółci i nakrapiany kosztowną kadmową czerwienią. Tego dnia stół pokrywały długie pasy rozmaicie barwionej organdyny, obciążone na końcach przyciskami do papieru; luźne końce tkaniny powiewały w podmuchach sufitowego wentylatora. A pośrodku widniał złożony w namiot kartonik z informacją:

SUSZY SIĘ. NIE RUSZAĆ. POSPRZĄTAM JUTRO PO POŁUDNIU. DZIĘKI ZA CIERPLIWOŚĆ. H.Y.

Strych nie miał ścian działowych, ale podzielono go na cztery równe sekcje taśmą izolacyjną, której niebieskie linie dzieliły nie tylko podłogę, ale także ściany i sufit nad przestrzenią każdego artysty. Każdy z nich był superuważny w respektowaniu terytorium pozostałych: udawało się, że nie słychać, co się dzieje w sąsiedniej kwaterze. Nawet jeżeli sąsiad szeptał do ukochanej przez telefon i słyszało się każde słowo. Kiedy chciało się wkroczyć w czyjąś przestrzeń, stawało się na niebieskiej taśmie i wołało kolegę, raz i cicho, po imieniu, a i to tylko wtedy, gdy ten stał w głębi swojej strefy, i prosiło się o pozwolenie przejścia.

O piątej trzydzieści po południu światło było idealne: gęste jak masło i nabrzmiałe, wypełniało całe pomieszczenie tak jak wcześniej przenikało pociąg, czyniąc je obszernym i pełnym nadziei. JB był sam. Richard, który zajmował strefę obok niego, pracował nocami w barze, więc w pracowni bywał rano, podobnie jak Ali, którego kwatera przylegała do przestrzeni JB z drugiego boku. Zostawał Henry, którego działka była po przekątnej od JB i który zwykle zjawiał się o siódmej wieczór, po całodziennej pracy w galerii. JB zdjął kurtkę, rzucił ją w kąt, odsłonił swój obraz, usiadł przed nim na stołku i westchnął.

To był jego piąty miesiąc w pracowni, którą uwielbiał – uwielbiał bardziej, niż się tego kiedyś spodziewał. Podobało mu się, że koledzy są prawdziwymi, poważnymi artystami; nigdy nie mógłby pracować u Ezry, nie tylko dlatego, że wierzył w prawdziwość słów swego ulubionego profesora: „nigdy nie maluj tam, gdzie się pieprzysz", ale przede wszystkim dlatego, że pracować u Ezry znaczyło być bez przerwy otoczonym namolnymi dyletantami. U Ezry sztuka była narzędziem służącym do prowadzenia określonego stylu życia. Malowałeś, rzeźbiłeś albo robiłeś gówniane instalacje, bo to usprawiedliwiało szafę pełną spranych T-shirtów i brudnych dżinsów oraz dietę z ironicznie tanich amerykańskich piw i ironicznie drogich, ręcznie robionych amerykańskich fajek. A tu, w pracowni, tworzyłeś sztukę dlatego, że była to jedyna rzecz, w której jesteś dobry – tak naprawdę jedyna rzecz, o której myślałeś pomiędzy przebłyskami myślenia o tym, o czym myślą wszyscy: o seksie, żarciu, spaniu, kumplach, forsie i sławie. Ale gdzieś w głębi, czy piłeś z kimś przy barze, czy jadłeś obiad z przyjaciółmi, zawsze tkwił twój obraz, jego kształt, i za twoimi źrenicami embrionalnie polatywały miriady możliwości. Był taki okres – przynajmniej miałeś nadzieję, że był – z każdym obrazem czy projektem, kiedy życie twojego dzieła stawało się dla ciebie realniejsze od codziennego życia, kiedy będąc gdziekolwiek, myślałeś tylko o powrocie do pracowni, kiedy nieświadomie usypywałeś na knajpianym stoliku kopczyk soli i kreśliłeś na nim wątki, wzory i plany, a białe ziarnka przelewały się niczym muł rzeczny pod opuszką twojego palca.

Lubił też specyficzną a nieoczekiwaną koleżeńskość panującą w pracowni. Zdarzało się w weekendy, że wszyscy byli na miejscu jednocześnie, i chwilami JB wyłaniał się z mgły swojego obrazu. Wtedy miał wrażenie, że oddychają w jednym rytmie, niemal dyszą z koncentracji. W takich chwilach czuł zbiorową energię wypełniającą przestrzeń niczym gaz, palny i słodki, i żałował, że go nie może pozamykać w fiolki, żeby z nich czerpać, gdy zabraknie mu inspiracji, kiedy przyjdą dni przesiadywania godzinami przed obrazem jakby w nadziei, że jeśli będzie gapił się w niego wystarczająco długo, obraz eksploduje w rzecz genialną i naładowaną życiem. Lubił ceremoniał czekania na niebieskiej linii i pochrząkiwania w stronę Richarda, a potem przekraczania granicy i wspólnych oględzin pracy Richarda, kiedy we dwóch stali przed nią w milczeniu i wystarczało zamienić parę słów, by się zrozumieć. Tyle czasu spędza się na tłumaczeniu samego siebie i swojej pracy innym – co ona znaczy, co chciało się osiągnąć, dlaczego chciało się to osiągnąć, dlaczego wybrało się akurat te kolory i sposób nakładania i technikę – że ulgą było przebywanie z osobą, której nie trzeba tłumaczyć niczego: po prostu się patrzyło i patrzyło, a jeśli padło jakieś pytanie, to na ogół techniczne i konkretne. Jakby się romawiało o silniku spalinowym czy kanalizacji – kwestie mechaniczne i jednoznaczne, w których na każde pytanie jest jedna odpowiedź, góra dwie.

Pracowali w różnych technikach, więc nie było między nimi rywalizacji, nie było sytuacji, w której wideoartysta bał się, że kolega z pracowni wyprzedzi go z wystawą, i mniejszy był lęk, że gdy do studia przyjdzie kurator wystawy, zamiast w twojej pracy, zakocha się w pracy sąsiada. A jednak – i to jest ważne – szanowali wzajemnie swoje dzieła. Henry tworzył rzeźby dekonstrukcyjne, jak je nazywał. Dziwaczne i pracochłonne ikebany z kwiatów i gałęzi wykonanych z różnych rodzajów jedwabiu. Po ukończeniu instalacji usuwał z niej druciany stelaż, tak że rzeźba opadała na ziemię w postaci abstrakcyjnej kałuży kolorów, i tylko Henry wiedział, jak wyglądała jako obiekt trójwymiarowy.

Ali był fotografikiem i pracował nad serią zdjęć pod tytułem *Historia Azjatów w Ameryce*: każdą dekadę od 1890 roku reprezentował jeden fotogram. Do każdego fotogramu Ali budował oddzielną dioramę, przedstawiającą jakieś epokowe wydarzenie lub temat, w sosnowej skrzynce o boku metra; skrzynki zrobił mu Richard. Ali zaludniał je plastikowymi figurkami kupowanymi w sklepie rzemieślniczym, które sam malował, drogi i drzewa robił z gliny garncarskiej, którą potem szkliwił, a tła malował pędzlem o włosiu delikatnym jak rzęsy. Następnie fotografował te dioramy i wykonywał odbitki. Z nich czterech tylko Ali miał agenta i szykowała mu się wystawa za siedem miesięcy, o którą lepiej było nie pytać, bo na każde wspomnienie o niej Ali strasznie się denerwował. Nie postępował w porządku historycznym – miał już gotową pierwszą dekadę dwudziestego pierwszego wieku (odcinek Broadwayu gęsto obstawiony parami białych mężczyzn i postępujących parę kroków za nimi

azjatyckich kobiet), a także lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku (malutki Chińczyk bity przez dwóch miniaturowych białych łobuzów z łomami, na werniksowanej podstawie, która miała przedstawiać mokry od deszczu asfalt parkingu), a obecnie pracował nad latami czterdziestymi, dla których malował obsadę pięćdziesięciu ludzików: mężczyzn, kobiet i dzieci, reprezentujących więźniów obozu internowania w Tule Lake. Dzieła Alego były najbardziej pracochłonne z prac ich czwórki i nieraz, robiąc sobie przerwę we własnych projektach, pozostali przechodzili do strefy Alego, żeby przy nim posiedzieć, a on, ledwie unosząc głowę znad szkła powiększającego, pod którym trzymał trzycalową figurkę, domalowując jej spódnicę w jodełkę i jeździeckie buty, podawał im strzęp stalowej waty, który należało postrzępić, żeby przypominał toczące się ziele szarłatu, albo cienki drucik, do którego trzeba było przywiązać poprzeczne kawałki, żeby przypominał drut kolczasty.

Jednak JB najbardziej podziwiał pracę Richarda. Richard był rzeźbiarzem, lecz pracował tylko w materiałach efemerycznych. Wyrysowywał na szkicowym papierze niesamowite kształty, a następnie odtwarzał je w lodzie, maśle, czekoladzie, smalcu, po czym filmował ich znikanie. Pogodnie obserwował dezintegrację swoich prac, ale JB, który nie dalej niż w minionym miesiącu patrzył, jak solidny twór Richarda wysokości ośmiu stóp – podobna do wzdętego żagla konstrukcja z zamrożonego soku grejpfrutowego przypominającego skrzepłą krew – roztapia się i ginie w nicości, nagle poczuł, że chce mu się płakać, chociaż sam nie wiedział, czy to z powodu niszczenia czegoś tak pięknego, czy po prostu z przepastnej głębi zjawiska codziennego zanikania. Ostatnio Richarda mniej interesowały substancje topniejące, a bardziej takie, które przyciągają niszczycieli; szczególnie fascynowały go mole, które podobno lubią miód. Zwierzył się JB, że ma wizję rzeźby, której powierzchnię tak gęsto pokrywają mole, że nawet nie widać kształtu rzeczy, którą owe insekty zżerają. Parapety okien Richarda były zastawione słojami z miodem, w których porowate plastry pływały jak płody w formalinie.

JB był wśród nich jedynym klasycystą. Malował. Gorzej – był malarzem figuratywnym. Gdy uczył się w szkole średniej, nikt już nie dbał o malarstwo figuratywne; wszystko inne – wideo-art, sztuka performance'u, fotografia – kręciło ludzi bardziej niż malarstwo sztalugowe, a już dosłownie wszystko było lepsze niż prace figuratywne.

– Tak się dzieje od lat pięćdziesiątych – westchnął jeden z jego profesorów, kiedy JB mu się poskarżył. – Znasz hasło o żołnierzach marynarki? „Nieliczni, dzielni…"? To my, samotni przegrani.

Nie można powiedzieć, by przez te lata nie próbował innych mediów (ten głupi, fałszywy, ściągnięty z Mereta Oppenheima projekt *Włosy*! Czy istnieje coś bardziej tandetnego? Pokłócił się o to potwornie z Malcolmem, była to jedna z ich najgorszych kłótni, w której Malcolm nazwał jego prace „namiastką Glenna Ligona", i najgorsze w tym było oczywiście to, że Malcolm miał rację), bo chociaż JB nigdy

by się do tego nie przyznał, czuł, że w malarstwie figuratywnym jest coś zniewieściałego, wręcz panieńskiego, a w każdym razie z pewnością nie gangsterskiego, lecz ostatnio pogodził się z tym, kim był: kochał farbę, kochał portret i tym zamierzał się zajmować.

No i co? Znał ludzi – *znał* ludzi – którzy technicznie byli znacznie od niego lepsi. Lepiej rysowali, mieli lepszy zmysł kompozycji i koloru, byli bardziej zdyscyplinowani. Za to nie mieli pomysłów. Artyście, tak jak pisarzowi czy kompozytorowi, potrzeba tematów, potrzeba idei. A on przez długi czas nie miał żadnych. Próbował malować tylko czarnych ludzi, ale mnóstwo artystów malowało czarnych ludzi i JB czuł, że nie ma tutaj nic do dodania. Przez jakiś czas rysował dziwki, ale to też mu się znudziło. Rysował swoje krewne, lecz w końcu poczuł, że wraca w ten sposób do tematu czarnych ludzi. Zapoczątkował serię scenek z komiksu o Tintinie, z postaciami portretowanymi realistycznie, jako ludzie, ale wkrótce wydało mu się to zbyt ironiczne i płytkie, więc przestał. Leniuchował więc, zapełniając płótno za płótnem, portretując ludzi na ulicach, ludzi w metrze, sceny z licznych imprez u Ezry (te najmniej mu się udawały: wszystkie postacie były z gatunku tych, co to ubierają się i poruszają, jakby stale byli pod obserwacją, więc JB poprzestał na szkicowaniu pozujących dziewczyn i mizdrzących się facetów, których wzrok starannie odwracał od własnego spojrzenia). Trwało to aż do pewnej nocy, kiedy siedział w przygnębiającym mieszkanku Jude'a i Willema, patrząc, jak ci dwaj wspólnie szykują kolację, wymijając się w miniaturowej kuchence jak dwie zabiegane lesbijki. Był to jeden z rzadkich niedzielnych wieczorów, których JB nie spędzał u matki, bo razem ze swoją matką i siostrami wybrała się w rejs po Morzu Śródziemnym, w którym uczestnictwa JB odmówił. Przywykł jednak do niedzielnego towarzystwa ludzi, no i do kolacji – kolacji z prawdziwego zdarzenia – wprosił się więc do Jude'a i Willema, o których wiedział, że będą siedzieli w domu, bo nie mają pieniędzy na to, żeby gdzieś wyjść.

Miał ze sobą szkicownik, jak zawsze, i gdy Jude usiadł przy stole w jadalni, żeby siekać cebulę (wszystkie prace przygotowawcze musieli wykonywać na stole, ponieważ w kuchni nie było blatów), zaczął rysować niemal machinalnie. Z kuchni dobiegało wielkie walenie garnkami, pachniało podgrzewaną oliwą, a kiedy JB tam wszedł i zobaczył, jak Willem rozbija skrzydełko kurczaka patelnią do omletów, z jedną ręką uniesioną nad mięsem, jakby chciał mu dać klapsa, i zaskakująco błogim wyrazem twarzy – naszkicował również jego.

Jeszcze nie wiedział, czy zmierza do jakiegokolwiek celu, ale tydzień później, kiedy wszyscy wybrali się do Pho Viet Huong, przyniósł ze sobą jeden ze starych aparatów Alego i sfotografował całą trójkę przy jedzeniu, a potem zrobił im zdjęcie, jak idą ulicą w śniegu. Poruszali się bardzo wolno ze względu na Jude'a, ponieważ chodniki były śliskie. JB widział ich w podglądzie aparatu, ustawionych szeregiem: Malcolm, Jude i Willem. Malcolm i Willem po obu stronach Jude'a,

dostatecznie blisko (wiedział to, sam bywał na tejże pozycji), żeby go złapać, gdyby się poślizgnął, lecz nie tak blisko, żeby Jude miał podejrzewać, że przewidują jego upadek. JB uświadomił sobie, że nigdy się nie umawiali, by to robić: samo tak jakoś wyszło.

Zrobił zdjęcie.

– Co robisz, JB? – spytał Jude, a w tej samej chwili Malcolm zażądał:

– Daj z tym spokój.

Tego dnia impreza odbywała się na Centre Street, na strychu u ich znajomej, niejakiej Mirasol, której bliźniaczkę, Phaedrę, znali z college'u. Wszedłszy, rozpierzchli się i dołączyli do różnych grupek, a JB – pomachawszy do Richarda przez cały pokój i stwierdziwszy z irytacją, że Mirasol przyszykowała cały stół jedzenia, co oznaczało, że właśnie zmarnował czternaście dolarów w Pho Viet Huong, kiedy tu mógł się nażreć za darmo – zaczął dryfować w kierunku Jude'a, który rozmawiał z Phaedrą i jakimś grubym bubkiem, który mógł być chłopakiem Phaedry; był z nimi jeszcze chudy brodacz, w którym JB rozpoznał kolegę Jude'a z pracy. Jude przysiadł na oparciu jednej z kanap, Phaedra obok niego, i oboje patrzyli z dołu na grubego i chudego, i wszyscy się z czegoś śmiali. JB zrobił zdjęcie.

Normalnie na przyjęciach łapał kogoś albo sam był łapany przez którąś grupkę, po czym spędzał noc w roli jądra zmieniających się konfiguracji trzy- i czteroosobowych, przeskakując od jednej do drugiej, zbierając ploteczki, rozpuszczając nieszkodliwe pogłoski, udając wtajemniczonego i skłaniając innych do wyznawania mu, kogo nienawidzą, prostą metodą opowiadania o własnych obiektach nienawiści. Jednak tej nocy dryfował po pokoju czujny i w zasadzie trzeźwy, fotografując trzech swoich przyjaciół poruszających się po wybranych przez siebie orbitach i nieświadomych tego, że JB ich śledzi. W pewnym momencie, gdy impreza trwała już parę godzin, znalazł ich przy oknie bez innego towarzystwa. Jude coś mówił, a pozostali dwaj, nachyleni ku niemu, słuchali, a zaraz potem odchylili się wszyscy z głośnym śmiechem – i chociaż JB przez moment poczuł lekkie ukłucie zazdrości, to zarazem triumfował, bo udało mu się zrobić oba ujęcia. Dziś w nocy jestem aparatem – powiedział sobie. – Jutro będę z powrotem JB.

W zasadzie jeszcze nigdy się tak dobrze nie bawił na imprezie. Jego bezkrwawych łowów nie zauważył nikt oprócz Richarda. Kiedy godzinę później wychodzili we czwórkę, żeby pojechać na peryferie (rodzice Malcolma byli na wsi i Malcolm był pewien, że wie, gdzie matka chowa swoją trawę), Richard nieoczekiwanie klepnął JB serdecznie w ramię i spytał:

– Pracujesz nad czymś?

– Tak mi się zdaje.

– Gratulacje.

Na drugi dzień siedział przed komputerem, przeglądając wczorajsze obrazy na ekranie. Aparat nie był doskonały i przymglił każde zdjęcie dymnym, żółtawym światłem, które z powodu nieumiejętnie ustawionej ostrości sprawiało, że wszyscy wydawali się ciepli, pełni i miękko zarysowani, tak jakby sfotografowano ich przez szklankę whisky. JB zatrzymał się na zbliżeniu twarzy Willema, uśmiechającego się do kogoś (bez wątpienia dziewczyny) poza kadrem, a potem przełączył na zdjęcie Jude'a z Phaedrą na kanapie. Jude miał na sobie intensywnie niebieski sweter, co do którego JB nigdy nie miał pewności, czy należy do Jude'a, czy do Willema, ponieważ obaj go często nosili, a Phaedra ubrana była w wełnianą sukienkę w odcieniu porto; skłaniała głowę ku głowie Jude'a, którego włosy pojaśniały przy czerni jej włosów, a gruzełkowate turkusowe obicie kanapy sprawiało, że oboje błyszczeli niczym klejnoty świeżymi, wspaniałymi kolorami i rozkosznym odcieniem skóry. Takie kolory każdy chciałby namalować, więc JB przystąpił do dzieła, najpierw naszkicował scenę ołówkiem, a następnie przeniósł szkic akwarelami na sztywniejszy podkład, by na koniec namalować go akrylami na płótnie.

To było przed czterema miesiącami i w tej chwili JB miał już prawie jedenaście ukończonych obrazów – co jak na niego było zdumiewającym osiągnięciem – przedstawiających sceny z życia przyjaciół. Był Willem oczekujący przesłuchania, studiujący scenopis po raz ostatni; stał oparty podeszwą jednego buta o lepką czerwoną ścianę w tle; był Jude na jakimś spektaklu, z twarzą w półcieniu, uchwycony w sekundzie uśmiechu (za zrobienie tego zdjęcia omal nie wyrzucono JB z teatru); był Malcolm usadowiony sztywno na sofie parę stóp od swojego ojca, z prostymi plecami i dłońmi zaciśniętymi na kolanach (obydwaj oglądali film Buñuela wyświetlany poza kadrem). Po kilku eksperymentach JB zdecydował się na płótna o wymiarach standardowego wydruku – dwadzieścia cztery na dwadzieścia cali – wszystkie w poziomie, gdyż wyobrażał je sobie wystawione kiedyś w długim szeregu obiegającym wszystkie ściany galerii, a każdy obraz następowałby zaraz po poprzednim jak klatki na taśmie filmowej. Przedstawienia były realistyczne, fotorealistyczne. JB nie wymienił aparatu Alego na lepszy i starał się oddać na obrazach to leciutkie zamazanie, jakie nadaje wszystkiemu obiektyw – wrażenie, jakby ktoś uklepał wierzchnią warstwę widoczności, pozostawiając efekt subtelniejszy, niż oko jest w stanie zarejestrować.

W chwilach niepewności martwił się czasem, że projekt jest zbyt egzaltowany, zbyt introwertyczny – w takich momentach pomagała świadomość wystawy, przypominając, że *komuś* jego prace się podobały, że ktoś je uważał za ważne albo co najmniej piękne. JB nie mógł jednak zaprzeczyć, że praca ta sprawia mu przyjemność, daje poczucie posiadania i zadowolenia. Chwilami trochę żałował, że sam na tych obrazach nie występuje – oto była narracja z życia jego przyjaciół, w której jego nieobecność stanowiła poważną lukę – ale z drugiej strony radowało go odgrywanie roli boga. Zaczął

inaczej postrzegać przyjaciół, nie tylko jako dodatek do własnego życia, ale jako wyraźne postacie zamieszkujące swoje własne historie. Nieraz czuł, że przygląda im się po raz pierwszy, chociaż znał ich przecież tyle lat.

Jakiś miesiąc po rozpoczęciu projektu, kiedy już wiedział, że właśnie na tym chce się skupić, musiał oczywiście wyjaśnić przyjaciołom, dlaczego za nimi chodzi z aparatem, fotografując codziennie sceny z ich życia, i dlaczego to takie ważne, żeby mu pozwolili robić to dalej, jak najczęściej i z bliska. Siedzieli przy obiedzie w wietnamskiej knajpce na Orchard Street, co do której mieli nadzieję, że godnie zastąpi Pho Viet Huong, i po przemówieniu JB – które naprawdę wiele go kosztowało – wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Jude'a. JB od początku się spodziewał, że z nim będzie problem. Pozostali dwaj zgodzili się, ale to nie wystarczało. Musieli się zgodzić wszyscy trzej, inaczej projekt by nie wypalił, tymczasem Jude był bardzo wyczulony na własnym punkcie. W college'u, kiedy ktoś chciał mu zrobić zdjęcie, odwracał głowę lub zasłaniał twarz, a kiedy się uśmiechał lub śmiał, odruchowo zakrywał usta dłonią, martwiąc przyjaciół tym tikiem, którego wyzbył się dopiero niedawno.

Tak jak się JB obawiał, Jude zareagował podejrzliwie.

– Co by to miało objąć? – pytał co chwila, a JB, mobilizując całą swoją cierpliwość, zapewniał go raz po raz, że oczywiście nie ma na celu upokorzenia ani wykorzystania nikogo, chce tylko stworzyć kronikarski zapis upływu ich życia. Pozostali nic nie mówili, pozostawiając to jemu, i Jude ostatecznie się zgodził, chociaż bez entuzjazmu.

– Jak długo to potrwa? – spytał.

– Na zawsze, mam nadzieję – odparł JB.

I naprawdę miał taką nadzieję. Żałował jedynie, że nie zaczął tego projektu wcześniej, gdy wszyscy byli jeszcze młodzi.

Wychodził ramię w ramię z Jude'em.

– Jude – powiedział cicho, tak żeby inni nie usłyszeli. – Wszystko, co ciebie dotyczy, pozwolę ci obejrzeć zawczasu. Jeśli zawetujesz, nie wystawię.

Jude popatrzył mu w oczy.

– Obiecujesz?

– Przysięgam.

Pożałował tej obietnicy, gdy tylko ją złożył, ponieważ Jude był jego ulubionym modelem. Najpiękniejszy z nich czterech, miał najbardziej interesującą twarz i zupełnie niezwykłą kolorystykę, a zarazem był najbardziej wstydliwy, przez co przedstawiające go obrazy zawsze były dla JB cenniejsze od innych.

Następnej niedzieli, kiedy znów był u matki, przejrzał kilka pudeł z czasów college'u, które trzymał w swoim dawnym pokoju, szukając fotografii, którą wiedział, że ma. Przedstawiała Jude'a w ich salonie w akademiku, częściowo zwróconego do obiektywu. Lewym ramieniem obejmował klatkę piersiową, tak że widać było jedwabistą gwiazdę blizny na wierzchu dłoni, natomiast w prawej ręce trzymał bez przekonania niezapalonego papierosa. Ubrany był w T-shirt z długim rękawem w granatowo-białe paski, który raczej nie należał do niego, bo był za duży (chyba że specjalnie, bo w tamtych czasach Jude nosił same za duże ubrania – jak się później okazało, celowo kupował większe rozmiary, żeby móc je nosić przez kilka lat, ponieważ jeszcze rósł), a włosy, które w tamtym czasie miał dłuższe, żeby móc się za nimi schować, sięgały mu do linii szczęki. Ale tym, co JB najlepiej pamiętał z tego zdjęcia, był wyraz twarzy Jude'a – ta czujność, która go podówczas nie opuszczała. Od lat nie oglądał tej fotografii, lecz patrząc na nią, odczuł wewnętrzną pustkę, z której wyjaśnieniem miałby kłopot.

Właśnie nad tym obrazem pracował w tej chwili, dla niego odstąpił od przyjętego schematu i wybrał płótno kwadratowe o czterdziestocalowym boku. Całymi dniami eksperymentował, żeby utrafić w podstępny, żmijowozielony odcień tęczówek Jude'a, i po raz kolejny poprawił kolor włosów, zanim poczuł się zadowolony. Obraz był świetny i JB to wiedział, wiedział w sposób absolutny, jak się czasami coś wie, i nie miał najmniejszego zamiaru pokazać go Jude'owi, dopóki portret nie zawiśnie gdzieś w galerii i Jude już nie będzie mógł nic zrobić. JB wiedział, że przyjaciel będzie niezadowolony z tego, jak krucho, kobieco, bezbronnie i młodo wygląda, wiedział też, że Jude znajdzie mnóstwo wyimaginowanych powodów, żeby znienawidzić ten obraz – powodów, których JB nigdy by nie wymyślił, gdyż nie nienawidził się w takim stopniu jak Jude. Lecz dla niego ten obraz wyrażał wszystko, co miał nadzieję wyrazić w tej serii płócien; był listem miłosnym, był dokumentem, był sagą, był *jego*. Kiedy go malował, czuł, że unosi się w powietrzu, jakby świat galerii i imprez, i innych artystów, i ambicji skurczył się do wielkości łebka od szpilki – do czegoś tak małego, że można by to kopnąć daleko od siebie jak piłkę i patrzeć, jak ląduje na dalekiej orbicie, z którą on, JB, nie ma nic wspólnego.

Dochodziła szósta. Światło niedługo się zmieni. Na razie jeszcze otaczała go względna cisza, chociaż z daleka słyszał tramwaj turkoczący na szynach. Przed nim czekał jego obraz. Ujął pędzel i przystąpił do pracy.

Trwała akcja „Poezja w metrze". Ponad rzędami plastikowych siedzeń, w wolnych przestrzeniach między reklamami gabinetów dermatologicznych i firm obiecujących uzyskanie stopnia naukowego drogą korespondencyjną, umieszczono podłużne laminowane arkusze zadrukowane poezją.

Drugorzędny Stevens, trzeciorzędny Roethke i czwartorzędny Lowell – wiersze, które nikogo nie były w stanie pobudzić, gniew i piękno zredukowane do pustych aforyzmów. Tak w każdym razie mówił JB. Był przeciwnikiem tej poezji. Wiersze pojawiły się w metrze, gdy był w gimnazjum, więc skarżył się już na nie od piętnastu lat.

– Zamiast finansować prawdziwą sztukę i prawdziwych artystów, dają pieniądze klice starych panien bibliotekarek i fagasów w kardiganach na odgrzebywanie tego gówna! – darł się do Willema, przekrzykując zgrzyt hamulców pociągu F. – Całe to gówno na modłę Edny St. Vincent Millay. Albo porządnych poetów, których wykastrowali. W dodatku samych białych, zauważyłeś? Co to, kurwa, ma być?

Tydzień później Willem zobaczył w metrze wiersz Langstona Hughesa i zadzwonił do JB, żeby mu to powiedzieć.

– Langston *Hughes*? – jęknął JB. – Pozwól, że zgadnę: *A Dream Deferred*, zgadza się? Wiedziałem! To gówno się nie liczy. Zresztą gdyby coś rzeczywiście wybuchło, to gówno rozpadłoby się w dwie sekundy.

Tego popołudnia Willem siedział naprzeciwko wiersza Thoma Gunna: „Ich związku całe dzieje / Dyskusja o tym, czy istnieje". Pod spodem ktoś dopisał czarnym flamastrem: „Nie martw się, stary, ja też nie mogę znaleźć cipy". Willem przymknął oczy.

Marne widoki, skoro już jest zmęczony, a minęła ledwo czwarta i jego zmiana nawet się nie zaczęła. Nie trzeba było jechać z JB na Brooklyn poprzedniej nocy, tylko że nikt inny nie chciał z nim pojechać, a w dodatku JB upierał się, że Willem jest mu to winien, no bo czy on nie poszedł z Willemem w ubiegłym miesiącu na koszmarny monodram jego kumpla?

No więc pojechał, oczywiście.

– Czyj to zespół? – spytał, gdy czekali na peronie.

Willem miał za cienki płaszcz, a w dodatku zgubił jedną rękawiczkę, więc przyjął postawę kumulującą ciepło – ramiona wokół klatki piersiowej, dłonie pod pachami, lekkie bujanie się na piętach – jak zawsze, kiedy przychodziło mu stać dłużej na zimnie.

– Josepha – odpowiedział JB.

– Aha.

Willem nie miał pojęcia, kto to jest Joseph. Podziwiał JB za godny Felliniego duży krąg znajomych, z których każdy był barwnie przebranym statystą. On sam oraz Malcolm i Jude odgrywali role istotnych, chociaż niższej kategorii akcesoriów wizji JB – ważnych łączników lub zastępców kierownika artystycznego, z grubsza odpowiedzialnych za funkcjonowanie całej maszynerii.

– Grają hard core – powiedział uprzejmie JB, jakby to miało pomóc Willemowi zaszeregować Josepha.

– Jak się nazywa ten zespół?

– A właśnie. – JB się wyszczerzył. – To jest najlepsze. Nazywają się Smegma Cake 2[1].

– Co takiego? – spytał Willem, krztusząc się ze śmiechu. – Smegma Cake 2? Dlaczego? Co się stało ze Smegmą Cake 1?

– Zaraziła się gronkowcem – krzyknął JB ponad hurgotem pociągu wtaczającego się na stację. Stojąca obok nich starsza kobieta skrzywiła się boleśnie.

Jak można się było spodziewać, Smegma Cake 2 nie była za dobra. Tak naprawdę nie była nawet hardcorowa – bardziej już skoczna i bezładna („Coś się stało z ich dźwiękiem!" – wrzasnął JB w ucho Willema podczas jednego z dłuższych numerów, pod tytułem *Phantom Snatch 3000*. „Tak – odwrzasnął Willem – do dupy!"). W połowie koncertu (każdy utwór trwał chyba ze dwadzieścia minut) Willemowi zakręciło się w głowie – od absurdalności występu i strasznego ścisku – więc zaczął się niewprawnie gibać z JB, potrącając ludzi wokół, aż w końcu wszyscy zaczęli bezładnie wpadać na wszystkich, ale wesoło, jak grupa ledwo chodzących maluchów. JB złapał Willema za ramiona i zaśmiewali się, patrząc sobie w oczy. W takich momentach Willem kochał JB bez zastrzeżeń za jego umiejętność i chęć wygłupiania się, za wspólną frywolność, na jaką nigdy nie mógłby sobie pozwolić z Malcolmem ani z Jude'em – z tym pierwszym nie, bo Malcolm wbrew swoim deklaracjom zważał na to, co wypada, a z Jude'em nie, bo Jude był poważny.

No i oczywiście dziś rano Willem cierpiał. Obudził się w zajmowanym przez JB kącie strychu Ezry na nieposłanym materacu przyjaciela. Obok, na podłodze, soczyście chrapał JB umoszczony na stercie prania zalatującej torfowiskiem). Willem nie bardzo pamiętał, jak właściwie wrócili do domu przez most. Nie był amatorem alkoholu, a tym bardziej upijania się, ale w towarzystwie JB czasami zachowywał się inaczej. Z ulgą wrócił na Lispenard Street, do ciszy i czystości, do wpadającego ukośnie przez okno słońca, w którym smażyła się jego połowa pokoju pomiędzy godziną jedenastą a pierwszą. Jude już dawno wyszedł do swoich zajęć. Willem nastawił budzik i momentalnie zasnął, a gdy się obudził, ledwo miał czas na szybki prysznic i połknięcie aspiryny, zanim pognał do metra.

Restauracja, w której pracował, dorobiła się reputacji zarówno z racji kuchni – potrawy były skomplikowane, lecz nie do przesady – jak i nienagannej klasy i uprzejmości obsługi. W Ortolanie uczyli ich okazywać serdeczność bez poufałości i komunikatywność bez kolesiostwa. „Nie jesteśmy we Friendly's", mawiał jego szef, Findlay, kierownik sali. „Uśmiechaj się, ale imienia swojego klientom nie podawaj". Podobnych reguł było w Ortolanie więcej: pracownice mogły nosić obrączki ślubne, ale żadnej biżuterii. Pracownikom nie wolno było mieć włosów dłuższych niż do dolnej cześci

ucha. Żadnego lakieru do paznokci. Zarost nie więcej niż dwudniowy. Wąsy tolerowano sporadycznie, podobnie jak tatuaże.

Willem kelnerował w Ortolanie już prawie dwa lata. Przed Ortolanem pracował w porze brunchu w weekendy i w porze lunchu w dni powszednie w gwarnej i popularnej restauracji Digits w Chelsea. Klienci (prawie sami mężczyźni, co najmniej czterdziestoletni) pytali go, czy on też jest w menu, po czym się zaśmiewali obleśnie, zadowoleni z siebie, jakby byli pierwszymi ludźmi, którzy zadają Willemowi to pytanie, a nie jedenastym i dwunastym, który to robi tylko na tej jednej zmianie. Mimo to zawsze się uśmiechał i mówił: „Tylko na przystawkę", na co oni odpowiadali: „To ja poproszę", a on znów się uśmiechał i na koniec dostawał sowity napiwek.

Przyjaciel ze studiów, Roman, też aktor, polecił Willema Findlayowi po tym, jak zarezerwował sobie stałe miejsce w operze mydlanej i rzucił pracę w Ortolanie. (Roman przeżywał konflikt wewnętrzny z powodu zgody na ten występ, ale – zwierzył się Willemowi – co było robić? Za gruba forsa, żeby odmawiać). Willem był mu wdzięczny za rekomendację, bo oprócz kuchni i obsługi Ortolan słynął także – choć w znacznie mniejszej grupie ludzi – z elastycznych godzin pracy, zwłaszcza kiedy Findlay kogoś polubił. Gustował w małych brunetkach z płaskim biustem i wszystkich mężczyznach, pod warunkiem że są wysocy i chudzi, lecz – głosiła plotka – nie w Azjatach. Willem stawał czasami w progu kuchni i obserwował niedobrane pary drobniutkich czarnowłosych kelnerek i chudych dryblasów, krążące po głównej sali i wymijające się w skomplikowanych menuetach.

Nie każdy, kto pracował w Ortolanie, był aktorem. Lub, mówiąc ściśle, nie każdy, kto pracował w Ortolanie, nadal był aktorem. Istniały w Nowym Jorku takie restauracje, w których człowiek z aktora obsługującego stoliki przeistaczał się niepostrzeżenie w kelnera, który kiedyś był aktorem. Ale jeżeli lokal był dostatecznie dobry i szanowany, była to w pełni akceptowana – o ile nie pożądana – zmiana kierunku kariery. Kelner w dobrze widzianej restauracji mógł zdobyć dla znajomych atrakcyjne rezerwacje, mógł oczarować personel kuchenny, żeby tym znajomym posłał posiłki za darmo (chociaż, jak się Willem przekonał, czarowanie personelu kuchennego nie było wcale takie łatwe). Co aktor, który obsługuje stoły, mógł załatwić swoim przyjaciołom? Bilety na kolejny off-off-broadwayowski spektakl, w którym występowało się we własnym garniturze, bo grało się maklera, który jest albo nie jest zombie, i nie było pieniędzy na kostiumy? (Willem to właśnie musiał zrobić rok wcześniej, a ponieważ nie miał garnituru, musiał pożyczyć od Jude'a. Jude miał o dobry cal dłuższe nogi od niego, toteż na czas trwania spektaklu Willem podwinął mankiety spodni i przykleił je taśmą ochronną).

Łatwo było odgadnąć, kto w Ortolanie jest byłym aktorem, a kto kelnerem z powołania. Ci z powołania byli starsi, bardzo precyzyjni i pedantyczni w przestrzeganiu regulaminu Findlaya, a przy obiadach personelu potrafili ostentacyjnie zakręcić w kieliszku winem, którego próbkę wlał im pomocnik sommeliera, i skomentować tak: „Nieco przypomina Linne Calodo Petite Sirah, które serwowałeś w ubiegłym tygodniu, zgodzisz się, Jose?", albo: „Smak nieco mineralny, prawda? Czy to Nowa Zelandia?". Rozumiało się samo przez się, że tych nie zaprasza się na spektakle (zapraszano tylko kolegów kelnerów-aktorów, a gdy samemu zostało się zaproszonym, wypadało przynajmniej spróbować pójść), a już na pewno nie omawiało się z nimi przesłuchań, agentów i wszelkich innych spraw zawodowych. Aktorstwo było jak wojna i miało swoich weteranów; ci nie chcieli myśleć o wojnie, a już z pewnością nie chcieli o niej gadać z naiwniakami, którzy ciągle jeszcze szarżują na okopy i podniecają się byciem w polu.

Findlay też był kiedyś aktorem, ale w przeciwieństwie do innych byłych aktorów lubił mówić o dawnym życiu, a przynajmniej o pewnej jego wersji. Może „lubił" jest złym słowem, może celniej byłoby powiedzieć, że nie stronił od tego tematu. Opowiadał, że kiedyś prawie, prawie zagrał drugą główną rolę w spektaklu *A Bright Room Called Day*, wystawianym przez Public Theater (później jedna z kelnerek im powiedziała, że wszystkie główne role w tej sztuce są kobiece). Próbował rolę na Broadwayu (jaką, nigdy nie sprecyzował). Findlay był chodzącym *memento mori* kariery aktorskiej, pouczającą gadką w szarym wełnianym garniturze, i dlatego nadal-aktorzy albo go unikali, jakby jego klęską można się było zarazić, albo przyglądali mu się bacznie, jakby przez kontakt z nim mogli się uodpornić.

Ale jak to się stało, że Findlay w pewnym momencie postanowił rzucić aktorstwo? Czy chodziło po prostu o wiek? No bo *był* stary, coś pomiędzy czterdzieści pięć a pięćdziesiąt. Skąd się wie, że pora powiedzieć dość? Czy dzieje się to wtedy, kiedy człowiek ma trzydzieści osiem lat i wciąż nie może znaleźć sobie agenta (co, podejrzewali, przydarzyło się Joelowi)? A może kiedy przekroczy czterdziestkę i wciąż dzieli pokój z kumplem, i więcej zarabia jako kelner na pół gwizdka, niż zarobiłby na pełnym aktorskim etacie (co, jak wiedzieli, spotkało Kevina)? Czy może wtedy, gdy człowiek się roztyje albo wyłysieje lub kiedy spaprzą mu operację plastyczną, która miała ukryć to, że jest gruby i łysy? Kiedy ambicja nie pozwala dostrzec, że przekracza się granicę między odwagą a brawurą? Skąd człowiek wie, kiedy przestać? We wcześniejszych, bardziej rygorystycznych i mniej nęcących dekadach (co w ostatecznym rachunku było pomocne), wszystko było o wiele jaśniejsze: kończyłeś, kiedy stuknęła ci czterdziestka, albo po ślubie, albo kiedy urodziły ci się dzieci, albo po pięciu latach, dziesięciu latach, piętnastu latach. I szukałeś sobie zajęcia z prawdziwego zdarzenia,

a do aktorstwa i marzeń o karierze wracałeś wieczorami, obserwując, jak stopniowo roztapiają się w historii niczym kostka lodu wrzucona do wanny z gorącą wodą.

Ale to były dni pod hasłem samorealizacji, kiedy niehonorowe było poprzestać na czymś, co nie jest pierwszym życiowym wyborem – świadczyłoby to o słabej woli. Nie wiadomo jak i kiedy uległość wobec własnego losu przestała być gestem dystyngowanym, a stała się oznaką tchórzostwa. Bywały chwile, że presja osiągnięcia szczęścia stawała się wręcz opresją – tak jakby szczęście było czymś, co każdy może osiągnąć, i wszelki kompromis w pogoni za szczęściem był osobistą winą człowieka. Czy Willem pracowałby latami w Ortolanie, łapiąc te same pociągi i autobusy na przesłuchania, czytając w kółko teksty, by może w jednym roku zrobić pół kroku do przodu – postęp tak malutki, że trudno go w ogóle uznać za postęp? Czy Willem będzie miał odwagę przestać, czy rozpozna ten moment, czy też obudzi się pewnego dnia, spojrzy w lustro i zobaczy starego faceta, wciąż uparcie nazywającego siebie aktorem, ponieważ boi się przyznać, że może nim nie zostać, że nigdy nim nie zostanie?

Zdaniem JB powodem tego, że Willem nie zrobił jeszcze kariery, był sam Willem. Jeden z ulubionych wykładów JB rozpoczynał się od słów: „Gdybym ja, Willem, miał twój wygląd", kończył się zaś słowami: „I oto tak się, kurwa, dałeś rozpieścić rzeczom, które przychodzą za łatwo, że wydaje ci się, że wszystko się będzie samo dla ciebie działo. Wiesz co, Willem? Jesteś przystojny, ale tutaj każdy jest przystojny, więc musisz się po prostu bardziej starać".

Chociaż według Willema dość ironicznie zabrzmiało to w ustach JB (Rozpieścić? A cała rodzinka JB, która nad nim cmoka z zachwytu, karmi ulubionymi potrawami, podsuwa świeżo uprasowane koszule, otacza chmurą komplementów i serdecznych uczuć? Willem podsłuchał raz rozmowę telefoniczną, w której JB klarował matce, że powinna mu kupić więcej bielizny, którą on odbierze, jak wpadnie w niedzielę na rodzinny obiad, na który, swoją drogą, zażyczył sobie żeberka), to zrozumiał, co JB ma na myśli. Wiedział, że nie jest leniwy, ale brakowało mu tej specyficznej ambicji, cechującej JB i Jude'a, którzy z ponurą, uporczywą determinacją potrafili tkwić w pracy dłużej niż reszta kolegów, determinacją, która nadawała ich oczom to dalekie spojrzenie, jakby już jakąś cząstką siebie zamieszkiwali w wyobrażonej przyszłości o konturach wyrazistych jedynie dla nich. Ambicję JB podsycało pragnienie owej przyszłości i szybkiego do niej dotarcia, Jude z kolei, myślał Willem, był motywowany raczej lękiem, że jeśli nie będzie szedł do przodu, zacznie się osuwać w przeszłość, w życie, które już zostawił za sobą i o którym z nikim nie chciał gadać. Nie tylko JB i Jude posiadali tę cechę: Nowy Jork zaludniali ambicjusze. Ambicja była chyba jedynym czynnikiem łączącym wszystkich.

Ambicja i ateizm. „Ambicja to moja jedyna religia", powiedział kiedyś JB pewnej piwnej nocy i chociaż kwestia wydała się Willemowi nieco zbyt wyuczona, jakby JB ją ćwiczył, żeby osiągnąć

obojętny, nonszalancki ton i móc ją kiedyś wygłosić w realu przed kimś, kto przeprowadza z nim wywiad, to jednocześnie wiedział, że JB jest szczery. Tylko tutaj miało się poczucie przymusu usprawiedliwiania niedostatku fanatyzmu w podejściu do kariery; tylko tu trzeba było przepraszać za to, że wierzy się w cokolwiek poza sobą samym.

To miasto często rodziło w nim poczucie, że przegapia coś esencjonalnego i że nieświadomość tego czegoś skazuje go na dożywocie w Ortolanie. (To samo czuł w college'u, gdzie towarzyszyło mu przekonanie, że jest najtępszym studentem w grupie, przyjętym na studia tylko dzięki akcji afirmatywnej wobec biednych białych mieszkańców prowincji). Był pewien, że inni doskonale to wyczuwają, chociaż zdawało się to przeszkadzać tylko JB.

„Czasami myślę, że nic o tobie nie wiem, Willem" – powiedział mu kiedyś JB tonem sugerującym, że to, czego nie wie o Willemie, nie jest pozytywne. To było pod koniec ubiegłego roku, wkrótce po tym, jak Merritt, były współlokator Willema, dostał jedną z dwóch głównych ról w off-broadwayowskim wznowieniu *True West*. Drugą główną rolę grał aktor, który niedawno był gwiazdą uznanego niezależnego filmu i napawał się krótką chwilą wiarygodności w kręgach elity, jak i obietnicą dalszych sukcesów w mainstreamie. Reżyser (o pracy z którym Willem od dawna marzył) obiecał obsadzić nową twarz w drugiej wiodącej roli. I obsadził, z tym że nową twarzą okazał się Merritt, nie Willem. Na ostatnim etapie rywalizowali o tę rolę tylko we dwóch.

Przyjaciele Willema nie kryli oburzenia.

– Przecież ten Merritt w ogóle nie umie grać! – jęknął JB. – Stoi na scenie i błyszczy, i zdaje mu się, że to wystarczy!

Zaczęli we trzech rozmawiać o ostatniej sztuce, w której widzieli Merritta – off-off-broadwayowskiej adaptacji *Traviaty* w wyłącznie męskiej obsadzie, gdzie akcja osadzona była w latach osiemdziesiątych na Fire Island (Violetta grana przez Merritta nosiła imię Victor i umierała na AIDS, a nie na gruźlicę) – i zgodnie doszli do wniosku, że ledwie się to dało oglądać.

– No ale przyznacie, że jest przystojny – powiedział Willem, podejmując słabą próbę obrony byłego współlokatora.

– Bez przesady – odrzekł Malcolm z gwałtownością, która wszystkich ich zdziwiła.

– Willem, to się stanie – pocieszał go Jude, gdy po kolacji wracali do domu. – Jeżeli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie, to się stanie. Ten reżyser to debil.

Jude nigdy nie winił Willema za jego niepowodzenia – odwrotnie niż JB. Willem nie miał pewności, co było mniej pomocne.

Wdzięczny im był oczywiście, że się złoszczą, lecz sam nie uważał Merritta za tak kiepskiego, jak mówili. Na pewno nie był gorszy od Willema, a właściwie chyba był lepszy. Willem wyznał to później JB, który odpowiedział długim milczeniem pełnym dezaprobaty, zanim podjął kolejny wykład:

– Czasami myślę, że nic o tobie nie wiem, Willem. Czasem wydaje mi się, że ty w ogóle nie chcesz być aktorem.

– To nieprawda. Ale po prostu nie uważam, że każde odrzucenie jest bez znaczenia, i nie myślę, że każdy, kto dostaje rolę zamiast mnie, dostaje ją tylko dlatego, że ma szczęście.

Znowu zapadła cisza.

– Ty jesteś za dobry, Willem – stwierdził głucho JB. – W ten sposób nigdy do niczego nie dojdziesz.

– Dzięki, JB – odrzekł Willem.

Rzadko obrażał się za opinie JB, który często miał rację, ale w tym konkretnym momencie nie miał ochoty wysłuchiwać jego mądrości na temat swoich wad ani mrocznych proroctw, które się ziszczą, o ile Willem gruntownie nie zmieni swojej osobowości. Odłożył słuchawkę i długo leżał bezsennie w łóżku, czując się jak w pułapce i użalając się nad sobą.

W każdym razie zmiana osobowości nie wchodziła w grę. Czyż nie było na nią za późno? Przecież Willem, zanim stał się dobrym mężczyzną, był dobrym chłopcem. Wszyscy to zauważali: nauczyciele, koledzy z klasy, rodzice kolegów. „Willem to bardzo empatyczne dziecko", pisano o nim w kartach semestralnych, na które matka i ojciec ledwie zerkali, zanim bez słowa wrzucili je do kosza. Gdy podrósł, uświadomił sobie, że ludzie patrzą na jego rodziców ze zdziwieniem, a nawet z przykrością. Nauczycielowi w liceum wyrwało się kiedyś, że znając Willema, przypuszczał, że jego rodzice są inni.

– Jak inni? – spytał Willem.

– Bardziej przyjacielscy – odrzekł nauczyciel.

Willem nie myślał o sobie jako o kimś szczególnie dobrym czy nadzwyczajnie pogodnym. Większość rzeczy przychodziła mu łatwo: sport, szkoła, przyjaciele, dziewczyny. Nie był milutki, nie starał się zaprzyjaźnić z całym światem, nie cierpiał chamstwa, małostkowości i złośliwości. Był skromny i pracowity, pilny raczej niż bystry, i dobrze to wiedział. „Znaj swoje miejsce", powtarzał mu często ojciec.

Ojciec znał swoje miejsce. Willem zapamiętał, jak po późnowiosennym przymrozku, który zabił wiele jagniąt w ich okolicy, z jego ojcem robiła wywiad dziennikarka pisząca artykuł o wpływie pogody na lokalne farmy.

– Jako ranczer… – zaczęła reporterka, ale ojciec Willema jej przerwał.

– Nie ranczer – poprawił z tym swoim charakterystycznym akcentem, który sprawiał, że jego słowa brzmiały brutalniej, niż zamierzał. – Pomocnik ranczera.

Oczywiście miał rację: ranczer to termin specyficzny – oznacza właściciela ziemi, i zgodnie z tą definicją ojciec Willema nie był ranczerem. Ale w okolicy była masa ludzi, którzy też nie mieli prawa tytułować się ranczerami, a jednak to robili. Willem nigdy nie słyszał, żeby ojciec ich kiedykolwiek za to krytykował – nie obchodziło go, co inni robią lub czego nie robią – ale nie stosował takiej taryfy ulgowej wobec Willema ani swojej żony, matki Willema.

Być może dlatego Willem zawsze wiedział, kim jest i czym jest, toteż im dalej odsuwał się od rancza, tym mniejszą odczuwał presję na zmienianie się czy wymyślanie siebie od nowa. Był gościem w college'u, gościem w szkole średniej, a teraz był gościem w Nowym Jorku, gościem w życiu pięknych i bogatych. Nigdy nie próbowałby udawać, że urodził się do takiego świata, ponieważ wiedział, że to nieprawda: był synem pomocnika ranczera z zachodniego Wyoming, a to, że stamtąd wyjechał, wcale nie oznaczało, że przeszłość została wymazana, napisana od nowa przez czas, doświadczenia i bliskość pieniądza.

Był czwartym dzieckiem swoich rodziców i jedynym nadal żyjącym. Pierwsza była Britte, która mając dwa latka, umarła na białaczkę, długo przed narodzeniem Willema. To było jeszcze w Szwecji, gdzie jego ojciec, który był Islandczykiem, pracował w gospodarstwie rybnym, i gdzie poznał matkę Willema, która była Dunką. Potem przenieśli się do Ameryki i urodził się chłopczyk, Hemming, z porażeniem mózgowym. Trzy lata później przyszedł na świat drugi chłopczyk, Aksel, który zmarł we śnie bez powodu jako niemowlę.

Hemming miał osiem lat, gdy na świat przyszedł Willem. Nie chodził i nie mówił, ale Willem go kochał i nigdy nie myślał o nim inaczej niż jak o starszym bracie. Hemming umiał się za to uśmiechać – robiąc to, unosił dłoń ku twarzy i rozczapierzał palce w kaczą łapkę, a jego wargi odsłaniały różowe dziąsła. Willem nauczył się raczkować, a potem chodzić i biegać, podczas gdy Hemming latami tkwił w swoim krzesełku, kiedy zaś Willem podrósł i stał się silniejszy, popychał ciężki fotel Hemminga na opornych gumach (był to bowiem fotel do siedzenia w miejscu, a nie do przepychania przez trawy i pyliste drogi) po całym ranczu, gdzie mieszkali w małym drewnianym domku z matką i ojcem. Wyżej stał główny dom, podłużny i niski, z szeroką werandą biegnącą dookoła, poniżej zaś były stajnie, gdzie ich rodzice spędzali całe dnie. Willem był głównym opiekunem Hemminga i jego towarzyszem przez całą swoją szkołę średnią: rankami budził się pierwszy, przyrządzał rodzicom kawę i gotował wodę na owsiankę Hemminga, a wieczorami czekał przy szosie na furgonetkę, która przywoziła Hemminga z ośrodka dziennego pobytu, znajdującego się godzinę jazdy od nich. Willem zawsze uważał, że on i Hemming wyglądają jak bracia – obaj mieli jasne włosy rodziców i szare oczy ojca, i bruzdę podobną do przedłużonego nawiasu po lewej stronie uśmiechu – ale jakoś nikt inny tego nie zauważał. Wszyscy widzieli tylko, że Hemming siedzi na wózku inwalidzkim, że ma rozdziawione

usta, że się ślini i że oczy mu uciekają do nieba, skupiając się na jakiejś chmurce widocznej tylko dla niego.

– Co widzisz, Hemming? – pytał czasem Willem podczas wieczornego spaceru, ale oczywiście Hemming nigdy mu nie odpowiedział.

Rodzice zajmowali się Hemmingiem kompetentnie i skutecznie, ale bez specjalnej czułości. Gdy zdarzało się, że Willem dłużej został w szkole z powodu meczu futbolowego albo zawodów lekkoatletycznych, albo gdy miał dodatkową zmianę w sklepie spożywczym, gdzie dorabiał, matka odbierała Hemminga przy szosie, wkładała go do wanny i wyjmowała z niej, karmiła rosołem z ryżem i zmieniała mu pieluchę przed położeniem go do łóżka. Ale mu nie czytała, nie rozmawiała z nim ani nie zabierała go na spacery tak jak młodszy brat. Willem martwił się, patrząc, jak rodzice obsługują Hemminga, bo chociaż nic nie można było im zarzucić, widać było, że traktują go jak przedmiot swej odpowiedzialności, ale nic więcej. Później Willem kłócił się sam ze sobą, że przecież więcej nie można było rozsądnie od rodziców wymagać, że wszelki naddatek byłby szczęśliwym trafem. Ale jednak. Żałował, że nie kochają Hemminga chociaż troszkę więcej.

Może po jego rodzicach nie należało się spodziewać miłości? Stracili tyle dzieci, że może po prostu nie mogli albo nie chcieli ulec emocjonalnie tym, które im zostały. W końcu i Willem, i Hemming też ich opuszczą, z własnego wyboru lub nie, i ich strata stanie się całkowita. Ale minęły dekady, zanim Willem nauczył się myśleć w ten sposób.

Gdy Willem był na drugim roku studiów, Hemming musiał mieć nagłą operację wyrostka robaczkowego.

– Powiedzieli, że to był ostatni dzwonek – relacjonowała mu przez telefon matka.

Głos miała płaski, trzymała się faktów; nie było w tym głosie ani ulgi, ani niepokoju, ale też nie było – zmusił się do zauważenia tego, chociaż nie chciał, bał się – nie było też rozczarowania. Opiekunka Hemminga (kobieta z sąsiedztwa, która odpłatnie pilnowała go w nocy po wyprowadzce Willema) zauważyła, że łapie się za brzuch i pojękuje, i sama zdiagnozowała prawidłowo twardą grudkę na podbrzuszu. Podczas operacji lekarze znaleźli u Hemminga kilkucentymetrową narośl w jelicie grubym i zrobili biopsję. Prześwietlenie ujawniło także inne narośle – wszystkie zamierzano usunąć.

– Przyjadę do domu – powiedział Willem.

– Nie – sprzeciwiła się matka. – Nic tu nie pomożesz. Powiemy ci, jakby było coś poważnego.

Oboje z ojcem byli właściwie rozbawieni, gdy Willema przyjęto do college'u – żadne z nich nie wiedziało nawet, że składał papiery – ale teraz, skoro już tam był, zawzięli się, że ma koniecznie zrobić dyplom, a o ranczu zapomnieć najszybciej, jak się da.

Jednak w nocy Willem rozmyślał o Hemmingu leżącym samotnie w szpitalnym łóżku, o tym, jak się boi, jak płacze i jak nasłuchuje jego głosu. Kiedy Hemming miał dwadzieścia jeden lat, musieli mu wyciąć przepuklinę – wtedy płakał, dopóki brat nie wziął go za rękę. Teraz Willem wiedział, że musi wracać.

Bilet lotniczy był drogi, znacznie droższy, niż się spodziewał. Sprawdził połączenia autobusowe, ale jazda do domu trwałaby trzy dni, plus trzy z powrotem, a on miał śródsemestralne egzaminy, które musiał zdać, i to dobrze, jeżeli chciał utrzymać stypendium, no i była jeszcze praca, której nie mógł zostawić. W końcu upił się w piątek wieczorem i zwierzył Malcolmowi, który wyciągnął książeczkę czekową i wypisał czek.

– Nie mogę – zaprotestował natychmiast Willem.

– Czemu nie? – spytał Malcolm.

Sprzeczali się tak jeszcze chwilę i wreszcie Willem czek przyjął.

– Oddam ci, wierzysz mi, prawda?

Malcolm wzruszył ramionami.

– Jakkolwiek to powiem, wyjdę na totalnego dupka, ale wierz mi, Willem, to bez różnicy.

Dla Willema było jednak ważne, aby zwrócić Malcolmowi pieniądze, chociaż wiedział, że Malcolm ich nie przyjmie. To Jude wpadł na pomysł, żeby wtykać pieniądze prosto do portfela Malcolma, więc co dwa tygodnie po odebraniu wypłaty w restauracji, w której pracował w weekendy, Willem wsuwał tam dwie lub trzy dwudziestki, gdy Malcolm spał. Nigdy się nie dowiedział, czy Malcolm to zauważył, czy nie – Malcolm tak szybko wydawał pieniądze, często na nich trzech – lecz napawało go satysfakcją i dumą, że tak robi.

Tymczasem jednak chodziło o Hemminga. Willem był zadowolony, że postanowił wrócić do domu (matka tylko westchnęła, kiedy jej oznajmił, że przyjeżdża), i ucieszył się na widok Hemminga, chociaż z niepokojem spostrzegł, jak bardzo brat schudł, jak jęczał i krzyczał, gdy pielęgniarki dotykały miejsc wokół szwów. Willem zaciskał dłonie na poręczach krzesła, żeby ich nie skrzyczeć. Wieczorami jadał z rodzicami milczące posiłki, podczas których wręcz namacalnie czuł, jak rodzice się odsuwają, jakby się odrywali od życia w roli rodziców dwojga dzieci i szykowali na podróż ku nowej tożsamości w innych rejonach.

Trzeciego wieczoru Willem wziął kluczyki do ciężarówki, żeby pojechać do szpitala. U niego, na wschodzie, było już przedwiośnie, ale tutaj ciemność zdawała się lśnić szronem, a rano trawę pokrywała cienka krystaliczna skorupka.

Gdy Willem schodził ze schodków, na werandę wyszedł ojciec.

– Będzie jeszcze spał – powiedział.

– Jednak chciałbym pojechać – oznajmił Willem.

Ojciec spojrzał mu w oczy.

– Willem – powiedział – jemu wszystko jedno, czy tam będziesz, czy nie.

Willem poczuł, że twarz mu płonie.

– Wiem, że on was, kurwa, nic nie obchodzi – warknął na ojca – ale mnie obchodzi.

Pierwszy raz w życiu zaklął pod adresem ojca, więc zesztywniał na moment, zalękniony i z lekka podekscytowany tym, że ojciec może zareagować, że mogą się pokłócić. Ojciec jednak tylko siorbnął kawy, odwrócił się i wszedł do domu, a szklane drzwi zasunęły się za nim z cmoknięciem.

Przez całą resztę wizyty zachowywali się normalnie: jeździli na zmianę do Hemminga, a w domu Willem pomagał matce w rachunkach albo przyglądał się, jak ojciec zmienia podkowy koniom. Na noc wracał do szpitala i odrabiał zadania. Czytał Hemmingowi na głos *Dekameron* (Hemming gapił się w sufit, często mrugając) i mocował się z rachunkiem prawdopodobieństwa, który skończył z nieszczęśliwą pewnością, że wszystko zrobił źle. Trzej przyjaciele przywykli do tego, że Jude robi za nich zadania, rozwiązuje je w błyskawicznym tempie, jakby grał arpeggia. Na pierwszym roku Willem naprawdę usiłował zrozumieć różniczki, więc Jude przesiedział z nim szereg nocy, tłumacząc wiele razy od początku, ale Willem nie mógł pojąć.

– Za głupi jestem na to – powiedział po sesji, która zdawała się wlec godzinami i po której miał ochotę przebiec się kilka mil, tak doskwierały mu zniecierpliwienie i frustracja.

Jude spuścił wzrok.

– Nie jesteś za głupi – powiedział cicho. – To ja nie dość dobrze tłumaczę.

Jude uczęszczał na seminaria z matematyki czystej, na które trzeba było dostać zaproszenie, a jego przyjaciele nie mieli nawet pojęcia, czym się tam zajmuje.

Patrząc wstecz, Willem dziwił się jedynie własnemu zdziwieniu, kiedy matka zadzwoniła trzy miesiące później, żeby go powiadomić, że Hemming jest sztucznie utrzymywany przy życiu. Był koniec maja, Willem był w połowie egzaminów końcowych.

– Nie przyjeżdżaj – powiedziała mu matka niemal rozkazująco. – Nie przyjeżdżaj, Willem.

Z rodzicami rozmawiał po szwedzku i dopiero wiele lat później, gdy jego szwedzki dyrektor zwrócił mu uwagę na to, jak wyprany z uczuć staje się jego głos, gdy przechodzi na szwedzki, Willem uświadomił sobie, że rozmawiając z rodzicami, przybierał specyficzny ton, tępy i pozbawiony emocji, będący echem ich głosów.

Przez kilka następnych dni bardzo się denerwował i egzaminy poszły mu kiepsko: francuski, literatura porównawcza, angielski dramat siedemnastowieczny, sagi islandzkie, znienawidzony rachunek różniczkowy – wszystko zlało się w jedno. Pokłócił się z dziewczyną, która była na ostatnim

roku i przed dyplomem. Dziewczyna płakała, on czuł się winny, ale też niezdolny do naprawienia sytuacji. Myślał o Wyoming, o maszynie wkasłującej życie w płuca Hemminga. Naprawdę nie powinien tam jechać? Musi pojechać. Nie na długo: piętnastego czerwca przeprowadzali się z Jude'em na lato do wynajętego mieszkania poza kampusem – obaj znaleźli pracę w mieście, Jude w dni powszednie był sekretarzem profesora literatury klasycznej, a w weekendy dorabiał w piekarni, gdzie się zatrudniał przez cały rok akademicki, Willem zaś był asystentem nauczyciela na kursie dla dzieci upośledzonych – ale najpierw wszyscy czterej mieli wyjechać do domu rodziców Malcolma w Aquinnah, na Martha's Vineyard, po czym Malcolm i JB wracali samochodem do Nowego Jorku. Wieczorami Willem dzwonił do Hemminga do szpitala, prosił któreś z rodziców albo pielęgniarkę, żeby mu przytrzymali słuchawkę przy uchu, i mówił do brata, chociaż wiedział, że ten go prawdopodobnie nie słyszy. Ale jakże by mógł nie próbować?

A potem, pewnego ranka tydzień później, znów zadzwoniła matka: Hemming umarł. Willem nie był w stanie nic powiedzieć. Nie był w stanie spytać, dlaczego mu nie powiedziała, jak poważna jest sytuacja, bo coś mu w środku podpowiadało, że nie chciała. Nie mógł powiedzieć, że żałuje, iż go tam nie było, bo matka nie wiedziałaby, co odpowiedzieć. Nie mógł jej zapytać, jak się czuje, bo żadna jej odpowiedź by go nie zadowoliła. Chciał nawrzeszczeć na rodziców, pobić ich, wydusić z nich cokolwiek – jakiś żal, utratę panowania nad sobą, jakikolwiek sygnał, że stało się coś ważnego, że wraz ze śmiercią Hemminga utracili jakiś istotny i niezbędny element. Nie obchodziło go, czy oni naprawdę tak czują, czy nie; po prostu chciał, żeby to przyznali, chciał poczuć, że pod tym ich niezmąconym spokojem coś się kryje, że gdzieś w ich głębi płynie cienki strumyczek żywej zimnej wody, w której roi się od delikatnego życia, rybek i traw, i maleńkich białych kwiatków, delikatnych i tak bezbronnych, że boli samo na nie patrzenie.

Nie powiedział wtedy przyjaciołom o Hemmingu. Pojechali do domu Malcolma. Tak pięknego miejsca Willem nigdy nie widział, o mieszkaniu w nim nawet nie wspominając. Późną nocą, kiedy pozostali spali, każdy w swoim łóżku, w swoim pokoju, ze swoją łazienką (taki duży był to dom), Willem wymykał się i godzinami błądził pajęczyną ulic otaczających posesję, pod księżycem tak wielkim i jasnym, że zdawał się zrobiony z jakiegoś zamrożonego płynu. Podczas tych spacerów bardzo się starał nie myśleć o niczym konkretnym. Skupiał się na tym, co widział po drodze, zauważając nocą to, co mu umykało za dnia: miałki pył drogi, który przy każdym kroku wzbijał się w małe pióropusze, albo cienkie nitki brunatnych jak kora drzewna żmij przemykające bezgłośnie pod poszyciem, po którym stąpał. Dochodził do oceanu, a gdy księżyc znikał za postrzępionymi łachami chmur, przez parę chwil nie było nic – tylko woda i niebo gęste i ciche od wilgoci, jakby samo powietrze tutaj było bardziej nasycone, bardziej znaczące.

Może tak to jest być umarłym, myślał Willem, i dochodził do wniosku, że to wcale nie jest takie złe, i czuł się lepiej.

Spodziewał się, że lato pośród dzieci, które mogą mu przypominać o Hemmingu, okaże się koszmarem, a tymczasem było całkiem przyjemne, nawet kojące. Miał w klasie siedmioro uczniów, mniej więcej ośmioletnich, wszystkich głęboko upośledzonych i niesprawnych ruchowo, więc chociaż część dnia formalnie przeznaczono na uczenie ich nazw kształtów i kolorów, to Willem przeważnie się z nimi bawił: czytał im, woził po terenie szkoły, łaskotał piórkami. Podczas pauzy wszystkie klasy otwierały drzwi na główny dziedziniec, który zapełniał się dzieciakami na najróżniejszych urządzeniach na kółkach, tak że czasem teren wyglądał jak okupowany przez rój mechanicznych insektów, popiskujących, powarkujących i kląskających wszystkie naraz. Były dzieci na wózkach inwalidzkich i dzieci na małych, przystosowanych do ich wzrostu mopedach, które turkotały, sunąc po bruku w żółwim tempie, były dzieci przytroczone do gładkich deseczek przypominających skrócone deski surfingowe na kółkach – posuwały się, odpychając się kikutami rąk, było też kilkoro bez żadnej możliwości poruszania się – te siedziały na kolanach opiekunów, którzy dłońmi podpierali ich wiotkie karki. To one najbardziej przypominały Willemowi Hemminga.

Niektóre dzieci na mopedach i jeżdżących deskach potrafiły mówić, więc Willem rzucał do nich, bardzo delikatnie, duże piankowe piłki i urządzał im wyścigi dookoła dziedzińca. Sam zawsze stawał na czele takiego wyścigu i robił przesadnie powolne skoki (jednak nie tak przesadnie, żeby wyglądały zbyt komicznie: chciał, żeby dzieciaki myślały, że naprawdę się stara), ale w pewnym momencie, zwykle w jednej trzeciej trasy, udawał, że się potknął, i spektakularnie upadał na ziemię, a wszystkie dzieciaki przejeżdżały obok niego, zaśmiewając się. „Wstawaj, Willem, wstawaj!", krzyczały, więc w końcu wstawał i skakał dalej, i kończył wyścig na ostatnim miejscu. Zastanawiał się czasem, czy dzieci zazdroszczą mu tej zręczności, dzięki której podnosił się po upadku, a jeśli tak, to czy nie powinien przestać to robić, kiedy jednak zapytał o to superwizora, ten spojrzał na niego uważnie i powiedział, że dzieciaki to rozśmiesza, więc nie powinien z tego rezygnować. Więc Willem upadał codziennie, i codziennie po południu, kiedy czekał z uczniami na ich rodziców, ci, którzy mogli mówić, pytali go, czy jutro znowu upadnie. „Mowy nie ma – odpowiadał konfidencjonalnym półgłosem, a dzieciaki chichotały. – Zgrywacie się? Myślicie, że ze mnie taki łamaga?".

Było to pod wieloma względami dobre lato. Wynajęte mieszkanie znajdowało się w pobliżu MIT i należało do profesora matematyki Jude'a, który to profesor wyjechał gościnnie do Lipska i pobierał od nich tak symboliczną opłatę, że poczuli się w obowiązku zrewanżować się drobnymi naprawami w domu: Jude poukładał książki piętrzące się chwiejnie na każdym wolnym skrawku powierzchni i pomalował część ściany zniszczoną przez wilgoć; Willem zamocował klamki w drzwiach, wymienił

uszczelkę przy umywalce i kostkę zapachową w toalecie. Zaczął chodzić z pomocnicą swojego superwizora, studentką Harvardu, która czasami wpadała do nich wieczorem, i we trójkę gotowali wielki gar spaghetti *alle vongole*, a Jude opowiadał, jak mu minął dzień z profesorem, który postanowił porozumiewać się z nim tylko po łacinie lub w starożytnej grece, i to nawet wydając instrukcje typu: „Kończą mi się spinacze" albo „Pamiętaj nalać mi jutro rano do cappuccino podwójną porcję mleka sojowego". W sierpniu ich koledzy z college'u (oraz z Harvardu, z MIT, z Wellesley i z Tufts) zaczęli się powoli zjeżdżać do miasta i zatrzymywać się u nich na jeden, dwa noclegi, zanim mogli się wprowadzić na stancję lub do akademika. W ostatnim dniu pobytu w mieszkaniu dwaj przyjaciele zaprosili wieczorem pięćdziesiąt osób na dach i pomogli Malcolmowi przyrządzić danie z mięczaków z grilla, układając warstwy kukurydzy, małży i mięczaków pod zwilżonymi bananowymi liśćmi; na drugi dzień rano we czterech pozmiatali z dachu skorupy, ciesząc się kastanietowym dźwiękiem, jaki wydawały wrzucane do worków na śmieci.

Ale też tego lata Willem zrozumiał, że nigdy więcej nie pojedzie do domu, że bez Hemminga nie ma powodu, aby on i rodzice udawali, że potrzebują być razem. Podejrzewał, że matka i ojciec czują podobnie; nigdy nie poruszyli tego tematu, lecz Willem nie odczuwał specjalnej potrzeby zobaczenia ich, a i oni go nie zapraszali. Rozmawiali od czasu do czasu przez telefon, jak zawsze grzecznie, trzymając się faktów i z poczucia obowiązku. Willem wypytywał rodziców o ranczo, oni jego o szkołę. Na ostatnim roku dostał rolę w szkolnym przedstawieniu *Szklanej menażerii* (obsadzono go oczywiście w roli pana składającego wizytę), ale rodzicom nawet o tym nie wspomniał, a gdy powiedział im, żeby sobie nie zawracali głowy przyjeżdżaniem na rozdanie dyplomów, nie zaprotestowali: kończył się akurat sezon źrebienia klaczy, więc nie mogliby przyjechać, nawet gdyby Willem ich nie zniechęcał. Jego i Jude'a zaadoptowały na weekend rodziny Malcolma i JB, mnóstwo innych osób też zapraszało ich na swoje uroczyste lunche, obiady i pikniki.

– Ale przecież to twoi rodzice – dziwił się Malcolm mniej więcej raz na rok. – Nie możesz tak po prostu przestać z nimi gadać.

A jednak mógł i nie gadał: był żywym dowodem na to, że tak można. Dla niego to była relacja jak każda inna – wymagała ciągłego pielęgnowania, oddania, uważności, a jeśli żadna ze stron nie kwapiła się do tego wysiłku, to czemu nie dać jej zwiędnąć? Jedyne, czego mu brakowało – poza Hemmingiem – to Wyoming, z ekstrawagancką płaskością krajobrazu, z drzewami tak zielonymi, że aż niebieskawymi, z cukrowo-jabłkowo-torfowym zapachem konia wytartego przed nocą.

Umarli, kiedy Willem był na studiach magisterskich, oboje w jednym roku: ojciec w styczniu na zawał serca, matka w październiku na udar. Wtedy pojechał do domu. Rodzice mieli już swoje lata, ale zdążył zapomnieć, jacy zawsze byli żywi i niezmordowani, dopóki nie zobaczył, jak śmierć ich

pomniejszyła. Wszystko zapisali jemu, ale gdy pospłacał ich długi – i znów przeżył lekki szok, bo zawsze był przekonany, że pieniądze na opiekę i leczenie Hemminga pochodzą z ubezpieczenia, a tymczasem dowiedział się, że jeszcze cztery lata po śmierci Hemminga rodzice wystawiali astronomiczne czeki na rzecz szpitala – niewiele tego zostało: trochę gotówki, jakieś obligacje, srebrny kubek z ciężkim dnem po dawno zmarłym dziadku ze strony ojca, czarno-biały portret Hemminga i Aksela, którego Willem nigdy wcześniej nie widział. Zatrzymał te rzeczy i jeszcze parę innych. Ranczer, który zatrudniał rodziców, dawno już nie żył, ale jego syn, który był teraz właścicielem rancza, zawsze traktował ich dobrze, zatrudniał dużo dłużej, niż można by od niego oczekiwać; on też opłacił pogrzeby obojga.

Śmierć rodziców przypomniała Willemowi, że jednak ich kochał, że nauczyli go rzeczy, które bardzo sobie ceni, i nigdy nie wymagali od niego czegoś, czego by nie mógł zrobić albo dać. W czasach mniejszej wyrozumiałości (zaledwie kilka lat wcześniej) przypisywał ich tolerancyjność, ich nieugiętą akceptację wszystkiego, co robił lub czego nie robił, obojętności. Jacy rodzice, pytał go Malcolm na wpół z zazdrością, na wpół z litością, milczą, gdy ich jedyne dziecko (potem przeprosił) oświadcza im, że chce zostać aktorem? Jednak teraz, gdy Willem był starszy, potrafił docenić to, że nigdy nie wypomnieli mu długu, który powinien im spłacić w postaci sukcesu, wiernopoddaństwa czy choćby lojalności. Wiedział, że ojciec wpadł w jakieś tarapaty w Sztokholmie – nigdy się nie dowiedział jakie – i to częściowo skłoniło rodziców do przeprowadzki do Stanów. Nigdy nie wymagali, żeby Willem był taki jak oni; sami ledwie chcieli być sobą.

I tak rozpoczął dorosłość: trzy lata obijania się od brzegu do brzegu w zamulonym bajorku obrośniętym drzewami blokującymi światło, za ciemno było, by mógł stwierdzić, czy jeziorko, w którym się pławi, otwiera się na rzekę, czy też zamyka się w swoim własnym małym uniwersum, w którym on miałby spędzić lata, dekady – całe życie – poszukując na oślep drogi wyjścia, która nie istnieje, bo nigdy nie istniała.

Gdyby miał agenta, kogoś, kto by nim pokierował, ten ktoś mógłby wskazać mu drogę ucieczki, drogę do rzeki i do własnego szlaku. Ale nie miał, jeszcze nie (musiał być optymistą, aby myśleć, że to tylko kwestia „jeszcze"), toteż pozostał w towarzystwie innych poszukiwaczy, a wszyscy oni szukali jakiegoś mitycznego dopływu, którym nieliczni opuszczali jeziorko i którym nikt nigdy nie chciał wrócić.

Był gotów czekać. I czekał. Ale ostatnio czuł, że jego cierpliwość przeobraża się w coś rozszczepionego i poszarpanego, że idzie w drobne drzazgi. Mimo to nie był nerwowy i nie miał skłonności do użalania się nad sobą. Bywały wręcz chwile, kiedy wracał z Ortolana lub z próby w teatrze, gdzie płacono mu raz na tydzień nędzne grosze, tak nędzne, że nie stać go było nawet na

prix fixe w restauracji, że wchodził do mieszkania z poczuciem spełnienia. Tylko jemu i Jude'owi Lispenard Street wydawała się osiągnięciem – mimo ogromu pracy, którą w nie włożył, mimo sprzątania Jude'a mieszkanie pozostawało nadal jakieś smutne i ulotne, jakby wstydziło się nazywać mieszkaniem – ale w takich chwilach Willem łapał się na myśli: „To wystarczy. To więcej, niż oczekiwałem". Być w Nowym Jorku, być dorosłym, stawać na podwyższeniu z desek i recytować cudze słowa! – to było życie absurdalne, nieżycie, życie, jakiego nigdy by sobie nie wymarzyli jego rodzice ani brat, a jednak on je musiał dla siebie wyśnić noc w noc.

Lecz to uczucie szybko mijało i Willem zostawał sam – przerzucał strony kulturalne gazety, czytał o innych ludziach, którzy robili rzeczy, o jakich on nie miał nawet śmiałości marzyć, i w takich godzinach świat zdawał mu się bardzo wielki, jezioro bardzo puste, a noc bardzo czarna, i Willem tęsknił za Wyoming, za czekaniem na końcu drogi na Hemminga, tam gdzie jedyna ścieżka powrotna wiodła do domu rodziców z tą lampą na werandzie, która obmywała noc miodem.

Najpierw widziało się życie biurowe: czterdzieści osób w głównym pomieszczeniu, każdy za własnym biurkiem, szklany boks Rauscha w jednym końcu, najbliżej biurka Malcolma, szklany boks Thomassona w drugim końcu. Pomiędzy nimi dwie ściany okien, jedne wychodzące na Piątą Aleję i Madison Square Park, drugie wychodzące na Broadway i jego posępny, szary, upstrzony rozdeptanymi gumami chodnik. To życie istniało oficjalnie od dziesiątej rano do siódmej wieczór, od poniedziałku do piątku. W tym życiu robili, co im kazano: poprawiali makiety, rysowali i przerysowywali, interpretowali ezoteryczne gryzmoły Rauscha i wyraźne, wypisane drukowanymi literami polecenia Thomassona. Nie gadali. Nie gromadzili się. Gdy przychodzili klienci na spotkanie z Rauschem i Thomassonem przy długim szklanym stole stojącym pośrodku głównego pomieszczenia, oni nie podnosili wzroku. Jeżeli klient był sławny, co zdarzało się coraz częściej, pochylali się tak nisko nad biurkami i zachowywali tak cicho, że nawet Rausch zaczynał mówić szeptem, dostosowując – przynajmniej wtedy – swój głos do głośności biura.

Poza tym było drugie życie biurowe, to prawdziwe. Thomasson był coraz rzadziej obecny, więc wyczekiwali wyjścia Rauscha, a czasami przychodziło im czekać długo. Rausch, ze swoim zamiłowaniem do imprez i podlizywania się prasie, ze swoim zdaniem na każdy temat i podróżami, w gruncie rzeczy ciężko pracował, więc chociaż mógł wyjść na jakąś fetę (otwarcie, wykład), to mógł też wrócić, a wówczas trzeba by w pośpiechu zbierać rzeczy, żeby biuro, do którego wróci, przypominało biuro, które opuścił. Lepiej było czekać do wieczora, aż zniknie na dobre, nawet jeżeli oznaczało to czekanie do dziewiątej czy dziesiątej. Oswoili sobie asystentkę Rauscha, dostarczając jej kawę i croissanty, więc wiedzieli, że mogą ufać jej informacjom na temat wyjść i wejść szefa.

Ale gdy Rausch wyszedł definitywnie, biuro zmieniało się momentalnie, jak dynia w karetę. Włączano muzykę (umówili się w piętnaścioro, że wybierają na zmianę), materializowały się dania na wynos, a na wszystkich komputerach cała praca dla Ratstar Architects była wsysana z powrotem przez cyfrowe pliki, układana do snu, niekochana i zapomniana, na całą noc. Fundowali sobie zmarnowaną godzinę na parodiowanie dziwacznego teutońskiego basu Rauscha (niektórzy byli zdania, że Rausch tak naprawdę pochodzi z Paramus i przybrał imię i nazwisko – Joop Rausch to przecież musiało być lipne – oraz ekstrawagancki akcent, żeby zamaskować fakt, że jest nudziarzem z Jersey i pewnie nazywa się Jesse Rosenberg), imitowanie grymasu niezadowolenia Thomassona i jego maszerowania po biurze, kiedy chciał się wykazać przed firmą, pokrzykując nie wiadomo na kogo (przypuszczali, że na nich): „To jest phaca, panofie, to jest phaca!". Nabijali się z najstarszego z szefów, Dominicka Cheunga, który był zdolny, ale gorzkniał stopniowo (dla wszystkich oprócz niego było jasne, że nigdy nie zostanie w firmie partnerem, bez względu na to, jak często mu to obiecywali Rausch z Thomassonem). Szydzili nawet z projektów, nad którymi pracowali: niezrealizowanego neokoptyjskiego kościoła z trawertynu w Kapadocji, z domu bez widocznego szkieletu w Karuizawie, który płakał teraz rdzawymi łzami po swych bezkształtnych szklanych powierzchniach, z muzeum żywności w Sewilli, które miało zdobyć nagrodę, ale nie zdobyło, z muzeum lalek w Santa Caterina, które nigdy nie powinno było zdobyć nagrody, a jednak zdobyło. Wyśmiewali się ze szkół, które kończyli – MIT, Yale, Rhode Island School of Design, Columbii, Harvardu – i z tego, że chociaż wszystkich ich uprzedzano, że przez lata czeka ich nędzny żywot, każdy z nich myślał, że właśnie on będzie wyjątkiem (i w głębi duszy każdy z nich nadal tak uważał). Natrząsali się ze swoich marnych pensyjek, z tego, że mają dwadzieścia siedem, trzydzieści, trzydzieści dwa lata i wciąż mieszkają z rodzicami albo z kumplem, z dziewczyną pracującą w banku, z chłopakiem pracującym w wydawnictwie (smutno było spławić chłopaka pracującego w wydawnictwie, bo zarabiał lepiej od ciebie). Przechwalali się tym, co by robili, gdyby nie utknęli w tej zakichanej branży: byliby kuratorami (prawdopodobnie jedyny zawód, w którym zarobiliby mniej niż teraz), sommelierami (no dobra, to już dwa gorzej płatne zawody), właścicielami galerii (niech będzie trzy), pisarzami (okej, cztery – jak widać, żadne z nich nie miało podstaw do zarabiania więcej, nawet w fantazjach). Spierali się o swoje ulubione i znienawidzone budynki. Dyskutowali o wystawie zdjęć w jednej galerii, o pokazie sztuki wideo w innej. Przekrzykiwali się uwagami o krytykach, restauracjach, filozofiach i materiałach. Współczuli sobie nawzajem z powodu rówieśników, którzy zrobili karierę, i zachwycali się rówieśnikami, którzy rzucili ten zawód w diabły i zaczęli hodować lamy w Mendozie, zostali pracownikami socjalnymi w Ann Arbor, nauczycielami matematyki w Chengdu.

Przez cały dzień bawili się w architektów. Od czasu do czasu jakiś klient błądzący powoli wzrokiem po pokoju zatrzymywał oko na którymś z nich, zazwyczaj na Margaret albo Eduardzie, którzy byli w tym gronie najprzystojniejsi, a Rausch, źle znoszący odwrócenie uwagi od jego osoby, wywoływał wyróżnionego po imieniu, jak przywołuje się dziecko na przyjęciu dorosłych. „A to właśnie jest Margaret", przedstawiał, klient zaś patrzył na Margaret z aprobatą, taką samą, z jaką parę chwil wcześniej wpatrywał się w światłokopie Rauscha (nawiasem mówiąc, wykończone przez Margaret). „Jestem pewien, że pewnego niedalekiego dnia strąci mnie ze stołka". I śmiał się swoim smutnym, powściągliwym śmiechem szczekającego morświna: „Ach! Ha! Ha! Ha!!".

Margaret z uśmiechem mówiła „dzień dobry", a odwróciwszy się od szefa, przewracała oczami. Ale wiedzieli, że myśli sobie dokładnie to, co oni: Pierdol się, Rausch. I: Kiedy? Kiedy cię zastąpię? Kiedy przyjdzie kolej na mnie?

Na razie wszyscy mieli tylko zabawę: po dyskusjach, przekrzykiwaniu się i jedzeniu następowała cisza i biuro wypełniało się niemelodyjnym klikaniem myszek, otwieraniem teczek i wyciąganiem osobistych zadań oraz chrzęszczącym odgłosem ołówków sunących po papierze. Chociaż pracowali wszyscy w jednym czasie, korzystając z tych samych firmowych sprzętów, to nikt nigdy nie poprosił o pokazanie mu cudzej pracy – jakby zbiorowo postanowili udawać, że ona nie istnieje. No więc pracowało się aż do północy, wyrysowując budowle marzeń i naginając parabole do kształtów marzeń, a potem się wychodziło, zawsze z tym samym głupim żarcikiem: „Do zobaczenia za dziesięć godzin". Czy tam dziewięć, czy osiem, jeśli naprawdę miało się szczęście, jeśli naprawdę udało się dużo zrobić.

Ten wieczór należał do takich, gdy Malcolm wychodził sam, i to wcześnie. Nawet kiedy wychodził z kimś innym, nie mógł z nim pojechać tym samym tramwajem, bo wszyscy mieszkali albo w centrum, albo na Brooklynie, a tylko on na przedmieściu. Zaletą wychodzenia w pojedynkę było to, że nikt nie widział, jak Malcolm łapie taksówkę. Nie on jeden w biurze miał bogatych rodziców – rodzice Katharine też byli nadziani, podobnie jak, podejrzewał, rodzice Margaret i Fredericka – ale on jeden mieszkał z bogatymi rodzicami, a oni nie.

Zatrzymał taksówkę.

– Róg Siedemdziesiątej Pierwszej i Lex – poinstruował kierowcę. Jeśli kierowca był czarny, zawsze mówił „Lexington". Jeśli kierowca nie był czarny, pozwalał sobie na większą uczciwość. – Pomiędzy Lex a Park, bliżej Park.

JB uważał, że to co najmniej śmieszne, a w najgorszym razie obraźliwe.

– Wydaje ci się, że uznają cię za większego gangstera, bo pomyślą, że mieszkasz na Lex, a nie Park? – pytał. – Malcolm, jesteś tępym dupkiem.

Kłótnia o taksówki z JB była jedną z wielu, które odbyli na temat czarnej skóry, a konkretnie niedostatecznie czarnej skóry Malcolma. Inny spór o taksówki rozpętał się, kiedy Malcolm zauważył (głupio; zrozumiał swój błąd, jeszcze zanim skończył wypowiadać te słowa), że nigdy nie ma kłopotu ze złapaniem taksówki w Nowym Jorku i że ludzie, którzy się na to skarżą, pewnie przesadzają. Był wtedy na pierwszym roku; po raz pierwszy i ostatni poszli z JB na cotygodniowe zebranie Związku Czarnych Studentów. JB spiorunował go wzrokiem, tak go to oburzyło i rozśmieszyło, ale gdy inny chłopak, jakiś praworządny kutas z Atlanty, napadł na Malcolma, że po pierwsze, jest ledwo ledwo czarny, po drugie, jest oreo, a po trzecie, z powodu białej matki nie jest w stanie w pełni zrozumieć wyzwań, jakie stawia przed człowiekiem bycie naprawdę czarnym, to właśnie JB stanął w obronie Malcolma. JB, który wciąż sobie kpił z jego relatywnie czarnej skóry, nie lubił, gdy robili to inni, a wręcz nie znosił, gdy działo się to w mieszanym towarzystwie, za jakie uważał wszystkich poza Jude'em i Willemem, a konkretnie innych czarnych ludzi.

Wróciwszy do domu rodziców na Siedemdziesiątej Pierwszej (bliżej Park), Malcolm zniósł codzienne rodzicielskie przesłuchanie wykrzykiwane z piętra domu („Malcolm, to ty?". „Tak!". „Jadłeś coś?". „Tak!". „Nie jesteś głodny?". „Nie!"), po czym powlókł się na górę do swojej nory, aby raz jeszcze prześwietlić zasadnicze dylematy swojego życia.

Chociaż nie było w pobliżu JB, który podsłuchałby jego niedawną rozmowę z kierowcą taksówki, poczucie winy i nienawiść do siebie wysunęły problem rasowy Malcolma na początek dziennej listy. Rasa zawsze stanowiła dla niego problem, ale na drugim roku Malcolm wpadł na genialny pomysł, jak go obejść: nie był czarny, był postczarny. (Postmodernizm wszedł w zakres pojęć Malcolma znacznie później, niż to miało miejsce u innych, albowiem Malcolm unikał kursów literackich w akcie biernego buntu przeciwko matce). Niestety nikt nie nabrał się na tę definicję, a już najmniej JB, o którym Malcolm zaczął myśleć nie jako o czarnym, ale jako o preczarnym, tak jakby czerń, niczym nirwana, była stanem idealnym, w który ustawicznie starał się popaść.

W każdym razie JB znalazł jeszcze jeden sposób przebicia Malcolma, bo w tym samym czasie, gdy Malcolm odkrywał tożsamość postmodernistyczną, JB odkrył sztukę performance'u (kurs, na który uczęszczał, „Tożsamość jako Sztuka. Performatywne transformacje a ciało współczesne", był oczkiem w głowie pewnego typu wąsatych lesbijek, które przerażały Malcolma, a z jakiegoś powodu lgnęły do JB). JB tak się wzruszył dziełami Lee Lozano, że jako projekt śródsemestralny postanowił przedstawić hołd dla niej zatytułowany *Postanawiam bojkotować białych ludzi (wg Lee Lozano)*, w ramach którego przestał się odzywać do białych. Na wpół apologetycznie, lecz głównie z dumą wyłożył im swój plan pewnej soboty. Otóż od północy przestaje rozmawiać z Willemem, a konwersacje z Malcolmem redukuje do połowy. Ponieważ Jude reprezentował rasę nieokreśloną, z nim zdecydował się nadal

rozmawiać, lecz wyłącznie zagadkami i koanami zen, na znak szacunku dla nieodgadnioności jego etnicznych korzeni.

Malcolm poznał po szybkim, poważnym i – co odnotował z irytacją – wymownym spojrzeniu, które wymienili między sobą Jude i Willem (zawsze podejrzewał, że tych dwu wiąże ponadprogramowa przyjaźń, z której on jest wykluczony), że ubawiło ich to i chcą rozchmurzyć JB. Malcolm poczuł, że chyba powinien być wdzięczny za czas odpoczynku od JB, a jednak nie był ani wdzięczny, ani rozbawiony: był zły, zarówno na dowcipasy rasowe JB, jak i na ten jego głupi, kuglarski projekt (za który zapewne dostanie ocenę A) będący komentarzem na temat tożsamości Malcolma, która w końcu nie była sprawą JB.

Wspólne mieszkanie z JB podczas trwania jego projektu (no bo kiedy *nie* organizowali ich życia wokół kaprysów i humorów JB?) było w gruncie rzeczy bardzo podobne do mieszkania z JB w warunkach normalnych. Ograniczenie konwersacji z Malcolmem nie zredukowało pytań JB o to, czy może przynieść coś Malcolmowi ze sklepu albo odnowić jego kartę w pralni, skoro Malcolm wyjeżdża, albo czy może pożyczyć Malcolmowego *Don Kichota* na zajęcia z hiszpańskiego, bo swojego zostawił w podziemnej toalecie biblioteki. Nierozmawianie z Willemem nie oznaczało też, że nie było między nimi ożywionej komunikacji pisemnej w postaci mnóstwa karteczek gryzmolonych przez JB („*Ojciec chrzestny* w Rex – idziesz?") i wręczanych Malcolmowi, który był pewien, że nie to miała na myśli Lozano. A jego pożal się boże teksty w stylu Ionesco do Jude'a kończyły się nagle, kiedy JB potrzebował, żeby Jude rozwiązał za niego rachunek różniczkowy, bo wówczas Ionesco zmieniał się w Mussoliniego, zwłaszcza gdy przypomniał sobie o następnym zadaniu, do którego nawet się nie zabrał, bo był zajęty w męskiej toalecie biblioteki, a zajęcia zaczynają się za czterdzieści trzy minuty („Ale to dla ciebie dość czasu, prawda, Judy?").

Naturalnie ponieważ JB był JB, a jego rówieśnicy łatwo padali ofiarą wszelkich grepsów i zgryw, o małym eksperymencie JB napisano w uczelnianej gazecie, a potem w nowym czarnym magazynie literackim „Jest skrucha", i stał się on, na krótki nudny czas, tematem numer jeden w kampusie. Uznanie to ożywiło słabnący już entuzjazm JB wobec projektu – trwał on dopiero osiem dni, a Malcolm już widział, że JB chwilami pęka z chęci pogadania z Willemem – więc zdołał wytrzymać jeszcze dwa dni, aby móc szumnie ogłosić zamknięcie udanego eksperymentu i osiągnięcie zamierzonego celu.

– Jakiego celu? – spytał Malcolm. – Dowiedzenia, że potrafisz być równie denerwujący dla białych, nie odzywając się do nich, jak wtedy, kiedy z nimi gadasz?

– Oj, wal się, Mal – burknął JB, ale leniwie, bo zbytnio triumfował, żeby wdawać się w kłótnie. – Ty tego nigdy nie zrozumiesz.

I poszedł na randkę ze swoim chłopakiem, białym facetem o twarzy modliszki, który wpatrywał się w JB z miną ognistą i pełną uwielbienia, od czego Malcolmowi robiło się z lekka niedobrze.

W owym czasie Malcolm był przekonany, że jego kompleks rasowy to sprawa przejściowa, typowe odczucie, które dopada każdego w college'u, ale ulatnia się, im bardziej człowiek oddala się od studiów. Nigdy nie czuł specjalnej ekscytacji ani dumy z racji bycia czarnym, jeśli, to zupełnie marginalną, wiedział, że powinien żywić określone uczucia wobec pewnych zjawisk z życia (kierowców taksówek na przykład), ale wiedza ta była wyłącznie teoretyczna, niezwiązana z osobistym doświadczeniem. A przecież bycie czarnym stanowiło zasadniczą część jego rodzinnej narracji, powtarzanej tak często, że wytarła się do połysku: o tym, że ojciec był trzecim czarnym dyrektorem w swojej firmie inwestycyjnej, trzecim czarnym akcjonariuszem przeważająco białej podstawówki dla chłopców, do której uczęszczał Malcolm, drugim czarnym doradcą finansowym w dużym banku komercyjnym. (Ojciec Malcolma urodził się za późno, żeby zostać pierwszym czarnym w czymkolwiek, ale w korytarzach, po których się poruszał – na południe od Dziewięćdziesiątej Szóstej i na północ od Pięćdziesiątej Siódmej, na wschód od Piątej i na zachód od Lexington – był nadal rzadkością, niczym myszołów rdzawosterny, który gnieździł się czasem w załomie ścian któregoś z domów naprzeciwko ich kamienicy na Park Avenue). W miarę jak Malcolm dorastał, fakt, że ojciec jest czarny (a i on sam prawdopodobnie też), został zepchnięty na dalszy plan przez inne, bardziej znamienne kwestie, czynniki, które bardziej się liczyły w ich części Nowego Jorku niż rasa ojca, takie jak wysoka pozycja żony ojca na literackiej scenie Manhattanu oraz, co jeszcze istotniejsze, jego zamożność. Nowy Jork Malcolma i jego rodziny podzielony był nie wedle granic rasowych, lecz raczej wedle progów podatkowych, i Malcolm wychowywał się w izolacji od wszystkiego, od czego mogły go uchronić pieniądze, z bigoterią włącznie – tak to w każdym razie wyglądało w retrospekcji. Właściwie dopiero w college'u skonfrontował się prawdziwie z rozlicznymi sposobami, w jakie czarnej skóry doświadczali inni, a jeszcze bardziej go oszołomiło spostrzeżenie, jak dalece rodzinne pieniądze odcięły go od reszty kraju (przy założeniu, że jego kolegów studentów można uznać za grupę reprezentatywną dla reszty kraju, co rzecz jasna nie było prawdą). Nawet dzisiaj, blisko dekadę po poznaniu Jude'a, miał kłopot ze zrozumieniem tego rodzaju biedy, w jakiej Jude się wychował. Niedowierzanie Malcolma, kiedy sobie nareszcie uświadomił, że plecak, z którym Jude przyjechał do college'u, zawiera dosłownie wszystko, co ten chłopak ma na świecie, było tak głębokie, że wspomniał o nim swemu ojcu, a nie miał zwyczaju zwierzać mu się z dowodów własnej naiwności, by nie sprowokować kazań na jej temat. Lecz nawet jego ojciec, który dorastał w biedzie w Queens – jakkolwiek miał dwoje pracujących rodziców i co roku nowe ubranie – przeżył szok, co Malcolm wyczuł, chociaż ojciec usiłował ukryć zdumienie, opowiadając mu o własnych niedostatkach

z dzieciństwa (coś o choince, którą musieli kupić dzień po Bożym Narodzeniu), tak jakby brak przywilejów stanowił konkurs, który koniecznie chciał wygrać, nawet wobec jawnej i niekwestionowanej przewagi innej osoby.

Rasa stawała się jednak cechą coraz mniej definiującą, kiedy było się sześć lat po studiach, a osoby, które nadal uważały ją za trzon swojej tożsamości, odbierane były jako infantylne i z lekka żałosne, jakby czepiały się dziecięcej fascynacji Amnesty International albo tubą – czymś przebrzmiałym i żenującym, co swoją szumną apoteozę osiągnęło za czasów studenckich. W jego wieku jedynymi prawdziwie ważkimi aspektami tożsamości były: sprawność seksualna, osiągnięcia zawodowe i pieniądze. Malcolm plasował się słabo we wszystkich tych trzech kategoriach.

Pieniądze zostawmy na boku. Pewnego dnia odziedziczy ich mnóstwo. Nie wiedział ile i nigdy nie czuł potrzeby o to zapytać, z kolei nikt nigdy nie czuł potrzeby ujawnienia mu tej sumy, i właśnie dlatego Malcolm wiedział, że jest zaprawdę ogromna. Nie rozmiarów fortuny, jakiej mógł się spodziewać Ezra… chociaż może tak. Rodzice Malcolma żyli znacznie skromniej, niż by mogli, a to z powodu awersji matki do obnoszenia się z bogactwem, toteż Malcolm nigdy nie wiedział, czy mieszkają pomiędzy Lexington a Park, bo nie stać ich na mieszkanie między Madison a Piątą, czy też mieszkają między Lexington a Park, ponieważ matka uznała mieszkanie pomiędzy Madison a Piątą za zbyt ostentacyjne. Malcolm sam chciał zarabiać pieniądze, miał taki zamiar. Ale nie był jednym z tych dzieci bogaczy, które torturują się tą kwestią. Usiłował zarobić na siebie, ale to zależało nie tylko od niego.

Za to za seks i spełnienie seksualne musiał wziąć pełną odpowiedzialność. Nie mógł zrzucić winy za brak życia erotycznego na fakt, że wybrał mało dochodową dziedzinę albo że rodzice niedostatecznie go zmotywowali. (A może mógł? Malcolm w dzieciństwie musiał znosić długie sesje baraszkowania rodziców, często na oczach jego i Flory, i teraz zastanawiał się, czy ich manifestacyjna sprawność w tym względzie nie zabiła w nim ducha sportowego). Jego ostatni związek z prawdziwego zdarzenia skończył się trzy lata temu – był to związek z Imogene, która rzuciła go, żeby zostać lesbijką. Do tej pory nie miał pewności, czy Imogene rzeczywiście go pociągała, czy też po prostu z ulgą scedował na inną osobę podejmowanie decyzji, którym się chętnie podporządkowywał. Spotkał niedawno Imogene (też była architektem, lecz pracowała w firmie publicznej, budującej eksperymentalne tanie osiedla, czyli robiła to, o czym Malcolm czuł, że powinien marzyć, chociaż w głębi duszy nie marzył) i dla zgrywu powiedział jej – żartował przecież! – że nie może się oprzeć przekonaniu, że to on doprowadził ją do homoseksualizmu. Imogene się zjeżyła i oświadczyła, że zawsze była lesbijką, a z nim zamieszkała, bo wydał jej się tak popieprzony seksualnie, że uznała za swój obowiązek trochę go poedukować.

Po Imogene nie nastąpił jednak nikt. Och, co z nim jest nie tak? Seks, seksualność – to były rzeczy, które należało uporządkować w college'u, ostatnim miejscu, gdzie niepewność w tych sprawach była nie tylko tolerowana, ale wręcz zalecana. Mając nieco ponad dwadzieścia lat, nieraz próbował zakochać się i odkochać – w przyjaciółkach Flory, koleżankach ze studiów, jednej z klientek matki, debiutującej powieściopisarce, która spłodziła romans z kluczem o seksualnie popieprzonym strażaku – a jednak wciąż nie wiedział, do kogo go ciągnie. Niejednokrotnie myślał, że bycie gejem jest atrakcyjne, głównie z racji towarzyszących temu akcesoriów, przyciągania opinii politycznych i ruchów społecznych oraz swoistej estetyki, ale jednocześnie czuł do tego awersję jako do sprawy, która (podobnie jak rasa) należała do epoki college'u – przejściowa tożsamość, zanim się dojrzeje do sfer bardziej właściwych i praktycznych. Bez wątpienia umykało mu poczucie napiętnowania, zranienia i ustawicznej złości, które łączą się z byciem czarnym, ale był pewien, że zainteresowania predysponują go do bycia gejem.

Już prawie wmówił sobie miłość do Willema, od czasu do czasu także i do Jude'a, w pracy zaś łapał się często na tym, że wpatruje się w Eduarda. Niekiedy zauważał, że Dominick Cheung też gapi się na Eduarda, a wówczas się mitygował, bo ostatnią osobą, na którą miał chętkę, był smętny czterdziestopięcioletni Dominick, szczerzący się lubieżnie do wspólnika firmy, której nigdy nie miał przejąć. Kilka weekendów wcześniej Malcolm wybrał się do Willema i Jude'a pod pretekstem wzięcia pomiarów na regał, który obiecał im zrobić. Stojący przed nim Willem nachylił się, żeby wziąć taśmę mierniczą z kanapy, i nagle jego bliskość stała się dla Malcolma nieznośna, tak że usprawiedliwiając się pospiesznie koniecznością powrotu do pracy, wyszedł raptownie, nie zważając na wołanie Willema.

Rzeczywiście wrócił do biura, ignorując esemesy Willema, i usiadł przed komputerem, by gapić się niewidzącym wzrokiem na wyświetlony plik i po raz enty zastanawiać się, dlaczego podjął pracę w Ratstar. Najgorsze, że odpowiedź była tak oczywista, że wręcz bez sensu było pytać: podjął pracę w Ratstar, żeby zaimponować rodzicom. Na ostatnim roku architektury miał wybór – mógł pracować z dwoma kolegami z kursu, Jasonem Kimem i Sonalem Marsem, którzy zakładali własną firmę za pieniądze dziadków Sonala, albo mógł się zatrudnić w Ratstar.

– Żartujesz chyba – powiedział mu Jason, kiedy Malcolm oznajmił mu swoją decyzję. – Zdajesz sobie sprawę z tego, jak będzie wyglądało twoje życie w takim miejscu?

– To fantastyczna firma – odparł Malcolm z uporem, całkiem jak matka, a Jason przewrócił oczami. – Chciałem powiedzieć, że ich nazwa będzie świetnie wyglądać w CV. – Nie skończył jeszcze mówić, a już wiedział (co gorsza, Jason też), co naprawdę miał na myśli: to nazwa, która zabrzmi świetnie w ustach jego rodziców na przyjęciach koktajlowych. I faktycznie, rodzice wymawiali ją z lubością.

– Dwoje dzieci – podsłuchał kiedyś Malcolm ojca na kolacji wydanej na cześć któregoś z klientów matki. – Córka jest redaktorką w FSG, a syn pracuje w Ratstar Architects.

Kobieta wydała odgłos aprobaty, a Malcolm, który właśnie zamierzał powiedzieć ojcu, że rzuca pracę w Ratstar, poczuł, że coś w nim więdnie. W takich momentach zazdrościł przyjaciołom dokładnie tego, z powodu czego kiedyś się nad nimi litował – tego, że nikt nie ma w związku z nimi żadnych oczekiwań, że mają zwyczajne rodziny (albo wcale ich nie mają), że żeglują przez życie pchani wyłącznie własnymi ambicjami.

A teraz? Teraz Jason i Sonal mieli dwa projekty wydrukowane w „New York" i jeden w „New York Timesie", gdy on wciąż wykonywał pracę podobną do tej na pierwszym roku studiów architektonicznych, harując dla dwóch pretensjonalnych bubków w firmie o pretensjonalnej nazwie, zaczerpniętej z pretensjonalnego wiersza Anne Sexton, i zarabiał niewiele więcej niż nic.

Na studia architektoniczne poszedł z najgorszego, jak się okazało, powodu – bo uwielbiał budynki. Była to pasja godna szacunku, więc gdy był dzieckiem, rodzice nie żałowali mu na zwiedzanie domów i pomników kultury, gdziekolwiek podróżowali. Już we wczesnym dzieciństwie Malcolm rysował wyimaginowane budynki i wznosił wyimaginowane konstrukcje: przynosiły mu pociechę, stanowiąc repozytorium wszystkiego, czego nie był w stanie wyartykułować. Zdawało się, że to, czego nie potrafił rozwiązać w życiu, umiał rozwiązać w projekcie budynku.

I właściwie tego wstydził się najbardziej: nie lichej znajomości seksu, nie zdradzieckiej postawy wobec własnej rasy, nie nieumiejętności odłączenia się od rodziców czy zarobienia własnych pieniędzy i zachowywania się jak byt autonomiczny. Wstydził się tego, że kiedy siedział z kolegami wieczorem i oni zagłębiali się we własne ambicje i wyśnione konstrukcje, kreślili i planowali swoje nieprawdopodobne budowle, on nie robił nic. Utracił zdolność wyobrażania sobie czegokolwiek. Tak więc co wieczór, kiedy inni tworzyli, on kopiował: rysował budynki, które widział podczas podróży, budynki wymarzone i wzniesione przez innych ludzi, budynki, w których mieszkał albo bywał gościem. Ciągle od nowa tworzył coś, co już zostało stworzone, nie starając się nawet tego ulepszać, po prostu małpując. Miał dwadzieścia osiem lat; wyobraźnia go opuściła; był kopistą.

To go przerażało. JB miał swoją serię obrazów. Jude miał swoją pracę. Willem swoją. A jeśli on, Malcolm, już nigdy niczego nie stworzy? Tęsknił za tymi latami, gdy wystarczyło mu po prostu usiąść w swoim pokoju, a ręka swobodnie wędrowała po arkuszu papieru milimetrowego; za latami, które poprzedzały lata decyzji i tożsamości; za latami, gdy wybierali za niego rodzice, a on musiał się skupić jedynie na płynności cienkiej jak włos linii i doskonałej krawędzi linijki.

3

To JB postanowił, że Willem i Jude wydadzą u siebie sylwestrowe przyjęcie. Decyzja zapadła w Boże Narodzenie, które było uroczystością trzyczęściową: na wigilię szli do matki JB w Forvt Greene, na świąteczny obiad do domu Malcolma (formalna uroczystość, na której wymagane były garnitury i krawaty), a drugiego dnia świąt jedli nieformalny lunch u ciotek JB. Rytuału tego przestrzegali od zawsze – cztery lata temu dodali jeszcze Święto Dziękczynienia u przyjaciół Jude'a z Cambridge, Harolda i Julii, ale sylwester nigdy nie należał do schematu. Rok wcześniej, w pierwszego postudenckiego sylwestra rozdzielili się i efekt był mizerny – JB uczestniczył w nieudanym bankiecie u Ezry; Malcolm dał się wrobić w kolację u przyjaciół rodziców w śródmieściu; Willema uziemił Findlay świątecznym dyżurem w Ortolanie, a Jude tkwił w łóżku na Lispenard Street z grypą – więc postanowili, że na następny rok coś zaplanują. Ale jakoś do tego nie doszło i nagle przyszedł grudzień, a oni wciąż nie mieli żadnego pomysłu.

Bez oporów zgodzili się więc tym razem, aby zadecydował za nich JB. Wyliczyli sobie, że są w stanie przyjąć dwadzieścia pięć osób w wygodnych warunkach albo czterdzieści w niewygodnych.

– To niech będzie czterdzieści – postanowił bez wahania JB, czego się spodziewali, lecz po powrocie do siebie sporządzili listę dwudziestu osób, i to wyłącznie przyjaciół swoich i Malcolma, wiedząc doskonale, że JB zaprosi więcej osób, niż mu się należało – przyjaciół i przyjaciół przyjaciół, i nie całkiem przyjaciół, i kolegów, i barmanów, i sprzedawców, aż w mieszkaniu zrobi się tak gęsto, że choćby otworzyli wszystkie okna na nocne powietrze, i tak nie rozpędziliby gorąca i dymu, które niewątpliwie się nagromadzą.

– Tylko nie róbcie nic wielkiego – zapowiedział im jeszcze JB, ale Willem z Malcolmem domyślili się, że jest to przestroga wyłącznie pod adresem Jude'a, który miał skłonność do nadmiernej staranności w przygotowaniach, do tego, żeby przez całą noc piec *gougeres,* kiedy wszyscy zadowoliliby się pizzą, a nawet sprzątał mieszkanie przed przyjęciem, jakby ktokolwiek miał się przejąć lepką od brudu podłogą i zlewem zarośniętym resztkami śniadań z kilku dni.

Noc poprzedzająca sylwestra była ciepła jak na tę porę roku, tak ciepła, że Willem przeszedł spacerem dwie mile dzielące Ortolan od domu, w którym unosiły się gęste, maślane wonie sera i wyrabianego ciasta oraz kopru, i Willem poczuł się tak, jakby w ogóle nie wychodził z pracy. Postał przez chwilę w kuchni, podnosząc w dwóch palcach małe, guzowate kulki ciasta stygnące na rusztach, żeby się nie poprzylepiały, i patrząc na stos plastikowych pojemników z pierniczkami i ciasteczkami

imbirowymi z kukurydzianej mąki, i ogarnął go lekki smutek – taki sam, jaki poczuł, zauważywszy, że Jude jednak posprzątał – wiedział bowiem, że wszystko to zostanie bezmyślnie pożarte, połknięte w całości i popite piwem, oni zaś rozpoczną nowy rok na okruchach tych pięknych ciasteczek, porozgniatanych i powdeptywanych w kafelki. W sypialni Jude już spał, okno było uchylone, a ciężkie powietrze kazało Willemowi pomyśleć o wiośnie, o drzewach napuszonych żółtym kwieciem i o stadzie kosów o skrzydłach jakby pociągniętych lakierem, szybującym bezgłośnie po niebie koloru morza.

Kiedy się zbudził, pogoda znów zdążyła się odmienić, lecz dłuższą chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że trzęsie się z zimna i że odgłosy z jego snu to był wicher oraz że ktoś go budzi potrząsaniem, a imię jego powtarzają nie ptaki, lecz ludzki głos.

– Willem, Willem.

Przekręcił się na plecy i wsparł na łokciach, ale widział Jude'a tylko kawałkami: najpierw zobaczył twarz, potem zauważył, że Jude podtrzymuje przed sobą lewą rękę prawą ręką, którą owinął czymś jak kokonem – aha, ręcznikiem – który był w mroku tak jaskrawo biały, że sam w sobie wydawał się źródłem światła. Willem wpatrzył się w niego jak zaczarowany.

– Willem, przepraszam cię – powiedział Jude, a głos miał tak spokojny, że przez parę sekund Willem był pewien, że to sen, i przestał słuchać, więc Jude musiał powtórzyć: – Zdarzył się wypadek, Willem, przepraszam cię. Musisz mnie zawieźć do Andy'ego.

Nareszcie się obudził.

– Co za wypadek?

– Zaciąłem się. Przypadkiem. – Jude zawiesił głos. – Zawieziesz mnie?

– No jasne – odrzekł, lecz wciąż miał mętlik w głowie, wciąż był senny, więc nic nie rozumiejąc, ubrał się niezdarnie i poszedł do przedpokoju, gdzie Jude na niego czekał, a potem poprowadził go do Kanału, gdzie skręcił do metra, na co Jude pociągnął go do tyłu, mówiąc:

– Wydaje mi się, że trzeba wziąć taksówkę.

W taksówce, kiedy Jude podawał kierowcy adres tym samym zgnębionym, zdławionym głosem, Willem nareszcie uległ świadomości i zobaczył, że przyjaciel wciąż trzyma ręcznik.

– Po co wziąłeś ręcznik? – zapytał.

– Mówiłem ci: zaciąłem się.

– Ale… jakoś poważnie?

Jude wzruszył ramionami, a Willem dopiero teraz zauważył, że jego usta przybrały dziwny kolor nie kolor, chociaż może sprawiały to światła latarń, które policzkowały go, prześlizgując się po twarzy, siniacząc ją na żółto, ochrowo, niezdrowo, larwalnie biało, w miarę jak taksówka zmierzała na północ.

Jude oparł głowę o szybę i zamknął oczy, a Willem w tej samej chwili poczuł początki mdłości, lęku, którego przyczyny nie umiał odgadnąć – wiedział jedynie, że jest w taksówce i że coś się stało, nie wiadomo co, ale coś złego, że nie rozumie czegoś ważnego i zasadniczego, i że ciepława wilgoć sprzed kilku godzin ulotniła się i świat wrócił do lodowatej surowości, do srogiego końcoworocznego okrucieństwa.

Gabinet Andy'ego mieścił się na rogu Siedemdziesiątej Ósmej i Park, w pobliżu domu rodziców Malcolma, i dopiero gdy weszli do środka, w prawdziwe światło, Willem spostrzegł, że ciemny deseń na koszuli Jude'a to krew, że cały ręcznik aż się od niej lepi jak pociągnięty werniksem, a małe pętelki tkaniny frotté leżą płasko ulizane jak mokra sierść.

– Przepraszam – powiedział Jude do Andy'ego, który otworzył drzwi, żeby ich wpuścić.

Kiedy Andy odwinął ręcznik, Willem widział już tylko dławiące się źródło krwi, jakby ręka Jude'a nagle dostała ust i rzygała z nich krwią z taką gorliwością, że tworzyły się małe pieniste banieczki, które pękały i popluwały jak z podniecenia.

– Jezu, kurwa, Chryste, Jude – powiedział Andy i zaraz go zabrał do gabinetu, a Willem usiadł w poczekalni.

O boże, myślał, o boże, lecz jego umysł był jak mechanizm, który się zaciął – nie był zdolny wymyślić niczego poza tymi dwoma słowami. W poczekalni było za jasno, Willem spróbował się rozluźnić, ale nie mógł z powodu tej jednej frazy tętniącej rytmicznie jak bijące serce, rozbrzmiewającej głucho w całym ciele niczym wtórny puls: O boże. O boże. O boże.

Czekał długą godzinę, zanim Andy go zawołał. Andy był osiem lat starszy od niego, a znali się od drugiego roku studiów, kiedy Jude dostał ataku tak długiego, że we trzech postanowili go w końcu zabrać do szpitala przy uniwersytecie, gdzie Andy pracował jako stały lekarz na wezwanie. Był to jedyny doktor, do którego Jude zgodził się pójść ponownie, więc teraz, chociaż Andy był chirurgiem ortopedą, leczył Jude'a ze wszystkich dolegliwości, od kręgosłupa i nóg po grypę i przeziębienia. Wszyscy lubili Andy'ego i mu ufali.

– Możesz go odwieźć do domu – powiedział Andy.

Był zły. Jednym ruchem ściągnął rękawiczki z zaskorupiałą krwią i gwałtownie odsunął stołek. Na podłodze znaczył się długi, jak maźnięty pędzlem, pas czerwieni, jakby ktoś próbował zetrzeć coś, co się rozlało, ale poddał się zdesperowany. Na ścianach też widniały bryzgi krwi, a sweter Andy'ego był od niej sztywny. Jude siedział na stole zabiegowym ze szklaną butelką soku pomarańczowego w ręce; wyglądał żałośnie i nieszczęśliwie. Włosy miał posklejane w kosmyki, a jego koszula sprawiała wrażenie twardej i polakierowanej, jakby była zrobiona nie z materiału, lecz z metalu.

– Jude, pójdź do poczekalni – polecił Andy, a Jude potulnie usłuchał.

Po jego wyjściu Andy zamknął drzwi i spojrzał na Willema.

– Czy według ciebie on zdradzał ostatnio skłonności samobójcze?

– Co? Nie. – Willem poczuł, że sztywnieje. – To właśnie próbował zrobić?

Andy westchnął.

– Twierdzi, że nie. Ale ja nie mam pewności. Nie mam. Nie wiem, nie umiem powiedzieć. – Przeszedł do umywalki i zaczął z furią szorować ręce. – Z drugiej strony, gdyby trafił na ostry dyżur, gdzie go, kurwa, powinniście byli odstawić, to najpewniej by go hospitalizowali. Pewnie dlatego tak nie zrobił. – Andy mówił teraz do siebie. Wypompował na dłonie małe jeziorko mydła i jeszcze raz umył ręce. – Wiedziałeś, że on się tnie, prawda?

Przez chwilę Willem nie był w stanie odpowiedzieć.

– Nie – wykrztusił wreszcie.

Andy odwrócił się i wlepił w niego wzrok, wycierając do sucha każdy palec oddzielnie.

– Nie wydawał się depresyjny? – spytał. – Jada regularnie? Sypia? Sprawia wrażenie niespokojnego, bywa nieswój?

– Mnie się wydawał normalny – powiedział Willem, chociaż po prawdzie nie wiedział. Czy Jude jadał? Czy sypiał? Czy on, Willem, powinien był coś spostrzec? Czy powinien był bardziej zwracać uwagę? – Chciałem powiedzieć, że wydawał mi się taki jak zawsze.

– No dobra – rzekł Andy. Przez chwilę wyglądał, jakby spuszczono z niego powietrze; stali obaj w milczeniu, twarzą w twarz, ale nie patrząc na siebie. – Tym razem wezmę jego słowo za dobrą monetę. Sam go widziałem tydzień temu i zgadzam się, że nie wydawał się zmieniony. Gdyby jednak zaczął zachowywać się choćby trochę dziwnie, podkreślam to, Willem, wezwij mnie natychmiast.

– Obiecuję – powiedział Willem.

Przez te lata widywał Andy'ego kilkakrotnie i za każdym razem wyczuwał w nim frustrację, która często obejmowała wiele osób jednocześnie: Andy'ego, Jude'a, a szczególnie przyjaciół Jude'a, z których żaden, zdołał zawsze zasugerować Andy (nigdy nie mówił tego wprost), nie opiekował się nim dostatecznie. To mu się w Andym podobało, to oburzenie związane z Jude'em, chociaż bał się jego dezaprobaty i uważał ją za nie całkiem sprawiedliwą.

I nagle, jak to się często zdarzało, gdy już skończył ich ochrzaniać, Andy zmieniał ton, stając się niemal czuły.

– Wiem, że to zrobisz – powiedział. – Późno już. Jedźcie do domu. Pamiętaj, żeby dać mu coś do zjedzenia, jak się obudzi. Szczęśliwego nowego roku.

Do domu jechali w milczeniu. Kierowca raz tylko spojrzał przeciągle na Jude'a i powiedział:

– Należy się dwadzieścia dolarów dodatku do taryfy.

– W porządku – odparł Willem.

Niebo było prawie jasne, ale wiedział, że tak czy owak by nie zasnął. W taksówce Jude odwrócił się od Willema i patrzył przez okno, a gdy znaleźli się z powrotem w mieszkaniu, potknął się w progu i wolniutko poszedł do łazienki, gdzie – Willem nie miał wątpliwości – chciał posprzątać.

– Nie rób tego – rzekł. – Kładź się do łóżka.

Jude, przynajmniej raz posłuszny, zmienił kierunek i szurając, poszedł do pokoju, gdzie zasnął prawie natychmiast.

Willem przysiadł na swoim łóżku i obserwował przyjaciela. Ni stąd, ni zowąd opadła go świadomość wszystkich własnych stawów, mięśni i kości, która sprawiła, że poczuł się bardzo, bardzo stary, więc przez kilka minut po prostu siedział i gapił się przed siebie.

– Jude – zawołał i powtórzył wezwanie z większym naciskiem, a kiedy Jude nie odpowiedział, podszedł do jego łóżka, szturchnął go, żeby przekręcił się na plecy, a po chwili wahania podciągnął prawy mankiet koszuli Jude'a. Tkanina nie tyle się zmięła, ile wygięła i połamała w harmonijkę jak karton; chociaż Willem zdołał odsłonić rękę Jude'a zaledwie do łokcia, wystarczyło to, aby ujawnić trzy kolumny schludnych, białych blizn, każda długości około cala i lekko wybrzuszona, które tworzyły drabinkę na skórze. Wsunął palec pod rękaw i wyczuł podobne ślady na ramieniu; cofnął rękę. Lewej nie mógł obejrzeć, bo Andy odciął rękaw, a całą rękę wraz z dłonią owinął białą gazą, Willem wiedział jednak, że i tam znalazłby coś podobnego.

Skłamał Andy'emu, wiedział, że Jude się tnie. Powiedzmy może, że nie wiedział na pewno, ale to kwestia czysto formalna. Wiedział, i to od dawna. Kiedy spędzali lato u Malcolma po śmierci Hemminga, Willem upił się z Malcolmem któregoś popołudnia. Siedzieli i patrzyli z daleka, jak JB z Jude'em, powróciwszy ze spaceru na wydmy, obrzucali się piaskiem. Malcolm wtedy spytał:

– Zauważyłeś, że Jude zawsze nosi długie rękawy?

Willem mruknął coś w odpowiedzi. Oczywiście, że zauważył – trudno było tego nie zauważyć, zwłaszcza w upalne dni – ale nigdy nie dopuścił do siebie pytania, dlaczego tak jest. Zdawało się często, że znaczna część jego przyjaźni z Jude'em polega na niedopuszczaniu do siebie pytań, które powinien zadać, ale nie zadawał, ponieważ bał się odpowiedzi.

Zapadła cisza i patrzyli we dwóch, jak JB, też pijany, wali się na wznak w piasek, a Jude przyskakuje i zaczyna go zasypywać.

– Flora miała koleżankę, która zawsze nosiła długie rękawy – ciągnął Malcolm. – Na imię miała Maryam. Cięła się.

Willem pozwolił ciszy zapaść między nimi, aż wyobraził sobie, że słyszy, jak ta cisza ożywa. U nich w akademiku też była dziewczyna, która się cięła. Studiowała z nimi na pierwszym roku, ale uprzytomnił sobie, że przez cały ubiegły rok jej nie widział.

– Dlaczego? – spytał Malcolma. Jude zdążył już zakopać JB do pasa. JB podśpiewywał coś meandrującego i niemelodyjnego.

– Nie wiem – powiedział Malcolm. – Miała dużo problemów.

Willem czekał, ale Malcolm nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Co się z nią stało?

– Nie wiem. Straciły kontakt, kiedy Flora poszła do college'u; nigdy więcej o niej nie wspomniała.

Znowu zamilkli. Willem wiedział, że gdzieś na ich wspólnej drodze zostało milcząco postanowione, że to on przyjmie na siebie główną odpowiedzialność za Jude'a, a ostatnia odpowiedź Malcolma była sposobem postawienia go wobec trudności domagającej się rozwiązania, chociaż na czym właściwie polegał problem – i jaka mogła być odpowiedź – Willem nie miał pewności i gotów był się założyć, że Malcolm również nie wie.

Przez kilka następnych dni unikał Jude'a, ponieważ wiedział, że jeśli zostanie z nim sam, nie powstrzyma się od rozpoczęcia rozmowy, a nie był pewien, czy tego chce ani jak mieliby rozmawiać. Nie było trudno unikać rozmowy, bo za dnia przebywali wszyscy razem, a nocą każdy zamykał się w swoim pokoju. Lecz pewnego wieczoru Malcolm i JB wyszli po homary, a on i Jude zostali sami w kuchni; kroili pomidory i płukali sałatę. Mieli za sobą długi, słoneczny, senny dzień i Jude był w jednym ze swoich lekkich nastrojów, nieomal beztroskim, więc zadając pytanie, Willem doznał przeczucia melancholii na myśl, że zburzy tę idealną chwilę, chwilę, w której wszystko – podszyte różem niebo nad nimi i to, że nóż tak zręcznie przenikał warzywa na stole – zmówiło się, by współdziałać; a on miał to wywrócić do góry nogami.

– Nie chciałbyś pożyczyć ode mnie którejś koszulki? – zapytał Jude'a.

Jude nie odpowiedział, dopóki nie wydrążył pomidora, a wówczas spojrzał na Willema nieruchomym, beznamiętnym wzrokiem.

– Nie.

– Nie jest ci gorąco?

Jude uśmiechnął się do niego nikle, ostrzegawczo.

– Za chwilę zrobi się zimno.

I była to prawda. Gdy zniknie ostatni mazak słońca, zrobi się chłodno i Willem sam będzie musiał pójść do pokoju po sweter.

– Ale – zaczął i z wyprzedzeniem usłyszał, jak absurdalnie to brzmi, jak cała konfrontacja wymknęła mu się spod kontroli kocim unikiem już w chwili, gdy ją rozpoczął – ubabrzesz koszulę homarem po łokcie.

Na to Jude odpowiedział śmiesznym odgłosem przypominającym skrzek, zbyt głośnym i szczekliwym, żeby mógł być prawdziwym śmiechem, i pochylił się nad deską.

– Wydaje mi się, że sobie poradzę, Willem – powiedział i chociaż głos miał łagodny, dało się zauważyć, jak zaciska dłoń na rękojeści noża, miażdżąc ją niemal, tak że knykcie zżółkły mu, przybierając barwę łoju.

Mieli więc szczęście, obydwaj, że Malcolm z JB wrócili, zanim należałoby podjąć dalszą rozmowę, ale nie dość wcześnie, by Willem nie usłyszał początku pytania Jude'a:

– Dlaczego...

I chociaż Jude nie dokończył (i nie odezwał się do niego ani razu przy kolacji, podczas której utrzymał rękawy koszuli w nienagannej czystości), Willem wiedział, że pytanie nie miało brzmieć: „Dlaczego o to pytasz?", lecz: „Dlaczego właśnie ty mnie o to pytasz?", ponieważ Willem zawsze bardzo uważał, żeby nie okazywać przesadnego zainteresowania wieloszufladkową komodą, w której Jude się schronił.

Gdyby to dotyczyło kogokolwiek innego, mówił sobie Willem, nie zawahałby się. Zażądałby odpowiedzi, wezwałby na pomoc wspólnych przyjaciół, usadziliby go i krzykami, prośbami i pogróżkami przymusili do zeznań. Tylko że w przyjaźni z Jude'em to była część niepisanej umowy: wiedział o tym on, wiedział Andy, wszyscy wiedzieli. Pozwalało się przemykać rzeczom, których instynkt kazał nie lekceważyć, wymijało się kanty podejrzeń. Rozumiało się, że część tej przyjaźni polega na utrzymywaniu dystansu, na przyjmowaniu za dobrą monetę tego, co mówi ten drugi, na odwracaniu się i odchodzeniu, gdy drzwi zostają zamknięte przed nosem, zamiast starać się je sforsować. Odbywali we czterech dyskusje sztabowe o innych, na przykład o Czarnym Henrym Youngu, kiedy uważali, że dziewczyna, z którą chodzi, go okłamuje, i zastanawiali się, jak mu to powiedzieć – ale nigdy o Judzie. On uznałby to za zdradę, a i tak nic by to nie dało.

Przez resztę wieczoru unikali się wzajemnie, ale w drodze do łóżka Willem bezwiednie zatrzymał się pod drzwiami Jude'a z uniesioną ręką gotową do zapukania, zanim cofnął się do siebie. Co by powiedział? Co chciał usłyszeć? Odszedł więc, zachował się po staremu, a gdy następnego dnia Jude nie wspomniał o prawie-rozmowie z poprzedniego wieczoru, on też się o niej nie zająknął i wkrótce dzień przeszedł w noc, a potem następny i następny i odsuwali się coraz bardziej od tamtej bezskutecznej próby skłonienia Jude'a do odpowiedzi na pytanie, którego Willem nie śmiał zadać.

Ale ono wisiało w powietrzu, to pytanie, i w najmniej spodziewanych momentach wdzierało się do świadomości Willema, lokując się uparcie na proscenium myśli, gdzie zastygało nieruchome niczym troll. Cztery lata wcześniej on i JB zajmowali wspólne mieszkanie i uczęszczali na studia dyplomowe, a Jude, który został w Bostonie na wydziale prawa, przyjechał do nich w odwiedziny. Wtedy też była noc. I były zamknięte drzwi łazienki, w które Willem walił pięściami pod wpływem nagłego, niewytłumaczalnego przerażenia. Jude otworzył nieco poirytowany, ale także (a może Willem to sobie zmyślił?) z miną winowajcy, i spytał: „No co, Willem?", a on nie był w stanie udzielić odpowiedzi, tylko wiedział, że coś jest nie w porządku. Wnętrze łazienki ostro pachniało taniną, rdzawometaliczną wonią krwi, więc Willem przejrzał nawet kosz na śmieci i znalazł zwitek bandaża, ale czy był to bandaż JB, który przed obiadem zaciął się nożem, usiłując pokroić marchewkę (Willem podejrzewał, że JB specjalnie udaje niezdarnego w kuchni, żeby wymigać się od kuchennych prac), czy z nocnego samookaleczania się Jude'a? Lecz znowu (znowu!) Willem nie zrobił nic, a przechodząc obok Jude'a skulonego na kanapie w salonie (udawał, że śpi, czy naprawdę spał?), nic nie powiedział, i następnego dnia też nic nie powiedział i dni rozwijały się przed nim czyste jak niezapisany papier, a on każdego dnia nie mówił nic i nic, i nic.

A teraz to. Gdyby coś zrobił (co?) trzy lata temu, czy doszłoby do tego? I czym właściwie było *to*?

Ale tym razem coś powie, bo tym razem miał dowód. Tym razem pozwolić Jude'owi się wywinąć i unikać go oznaczałoby przyjąć odpowiedzialność za to, co mogło się stać.

Gdy to postanowił, poczuł, że ogarnia go zmęczenie, które zmazuje troskę i napięcie, i frustrację nocy. Był ostatni dzień roku i gdy Willem położył się w łóżku i zamknął oczy, ostatnim zapamiętanym uczuciem było zdziwienie, że tak szybko zasypia.

Była prawie druga po południu, gdy Willem wreszcie się obudził, i pierwszą rzeczą, którą sobie przypomniał, było postanowienie powzięte nad ranem. Nie ulega wątpliwości, że wszystko sprzysięgło się, by mu w tym przeszkodzić – łóżko Jude'a było czyste. Jude'a w nim nie było. Łazienka, kiedy do niej wszedł, pachniała żrącym detergentem, a przy stoliku do kart siedział Jude we własnej osobie, wycinając krążki z ciasta ze stoicyzmem, który Willema zarazem wkurzył i sprawił mu ulgę. Wyglądało na to, że jeśli ma się skonfrontować z Jude'em, to odbędzie się to bez pomocy zamętu, bez dowodu katastrofy.

Opadł ciężko na krzesło naprzeciwko Jude'a.

– Co robisz?

Jude nie podniósł wzroku.

– Jeszcze trochę *gougeres* – odpowiedział spokojnie. – Jedna z wczorajszych porcji nie całkiem się udała.

– Wszyscy to będą mieli w dupie, Jude – burknął Willem zgryźliwie i brnął bezradnie: – Równie dobrze moglibyśmy ich poczęstować serowymi paluszkami i wyszłoby na to samo.

Jude wzruszył ramionami, a Willem poczuł, jak jego irytacja przemienia się w gniew. Jude siedział sobie spokojnie po tej koszmarnej – teraz mógł to przyznać – nocy, zachowując się jakby nigdy nic, chociaż jego obandażowana ręka spoczywała bezużytecznie na stole. Willem już miał coś powiedzieć, gdy Jude odstawił szklankę, której używał do wykrawania ciasta, i spojrzał mu w oczy.

– Bardzo cię przepraszam, Willem – powiedział, tak cicho, że ten ledwo dosłyszał. Spostrzegł, że Willem patrzy na jego rękę, i zsunął ją na kolana. – Nigdy nie powinienem był… – Zawiesił głos. – Przepraszam. Nie gniewaj się na mnie.

Złość Willema stopniała.

– Jude – spytał – co ty tam robiłeś?

– Nie to, co myślisz. Przysięgam ci, Willem.

Po latach Willem miał odtworzyć tę rozmowę – jej zarys przynajmniej, jeśli nie dosłowną treść – przed Malcolmem jako dowód swojej nieudolności, swojej porażki. Jak sytuacja mogła była się zmienić, gdyby wypowiedział jedno zdanie? „Jude, czy ty się usiłujesz zabić?", albo: „Jude, musisz mi powiedzieć, co się dzieje", albo: „Jude, dlaczego to sobie robisz?". Każde z tych zdań byłoby do przyjęcia, każde doprowadziłoby do większej rozmowy, rozmowy naprawczej, a przynajmniej prewencyjnej.

A może nie?

Lecz wtedy, w tamtej chwili, nie zrobił tego, tylko wymamrotał:

– Okej.

Siedzieli w milczeniu przez, zdawało się, długi czas, wsłuchując się w szmer telewizora któregoś z sąsiadów, i dopiero o wiele później Willem zadał sobie pytanie, czy Jude zmartwił się, czy poczuł ulgę, że tak ochoczo mu uwierzono.

– Gniewasz się na mnie?

– Nie.

Odchrząknął. Nie, nie gniewał się. A w każdym razie „gniewać się" nie było słowem, które by wybrał, lecz nie potrafił podać tego, które byłoby właściwe.

– Ale oczywiście odwołujemy imprezę.

Jude zrobił wystraszoną minę.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! Żarty sobie ze mnie stroisz?

– Willem – zaczął Jude, przybierając ton, który według Willema był jego tonem kłótliwym – nie możemy odwołać. Ludzie zaczną się schodzić za siedem godzin, nawet mniej. I nie mamy pojęcia, kogo w końcu zaprosił JB. Ci przyjdą i tak, nawet jeśli zawiadomimy wszystkich innych. A poza tym – zrobił nagły wdech, jakby przechodził infekcję płucną i chciał udowodnić, że już mu przeszła – ja się czuję doskonale. Trudniej będzie odwołać imprezę, niż ją urządzić.

Och, jak to się działo i dlaczego tak się działo, że zawsze słuchał Jude'a? Posłuchał jeszcze raz i niebawem wybiła ósma, okna zostały jeszcze raz pootwierane, a kuchnia jeszcze raz buchała gorącem pieczonego ciasta – jakby miniona noc nigdy się nie zdarzyła, jakby tamte godziny były iluzją – i przyszli Malcolm z JB. Willem stał w drzwiach wspólnej sypialni, dopinając koszulę i słuchając, jak Jude opowiada kolegom, że oparzył się, piekąc *gougeres,* i że Andy musiał mu zaaplikować maść.

– Mówiłem ci, żebyś nie robił tych pieprzonych *gougeres* – usłyszał wesoły głos JB. Który uwielbiał wypieki Jude'a.

Willemem owładnęło wówczas przemożne doznanie, że może zamknąć drzwi, położyć się spać, a kiedy się obudzi, będzie Nowy Rok i wszystko zostanie wymazane do nowości, i nie będzie już czuł tego głębokiego, skręcającego dyskomfortu w środku. Myśl o ujrzeniu Malcolma i JB, o interakcji z nimi, uśmiechaniu się i żartowaniu, wydała mu się nagle druzgocąca.

Ale oczywiście ich zobaczył, a gdy JB zażądał wspólnego wyjścia na dach, bo chciał łyknąć świeżego powietrza i zapalić, pozwolił Malcolmowi pożalić się bezskutecznie i dość niepewnie na to, jak zimno jest nawet bez wychodzenia na zewnątrz, zanim z rezygnacją poczłapał na górę za pozostałą trójką po wąskich schodkach prowadzących na kryty papą dach.

Wiedział, że minę ma nadąsaną, więc się oddalił na stronę zaplecza budynku, pozostawiając innym rozmowę. Niebo nad nim było już całkiem ciemne, jak o północy. Gdy podszedł do północnej krawędzi dachu, zobaczył w dole sklep dla plastyków, gdzie na pół etatu pracował JB, odkąd miesiąc wcześniej porzucił czasopismo, a w oddali niegustowną, pozbawioną wdzięku bryłę Empire State Building z wieżą oświetloną wulgarnym niebieskim blaskiem, który kazał Willemowi pomyśleć o stacjach benzynowych i o długiej jeździe powrotnej do domu rodziców ze szpitala od Hemminga, ileż to lat temu.

– Chłopaki – krzyknął do kolegów – zimno jest. – Był bez kurtki; wszyscy byli bez kurtek. – Idziemy. – Ale gdy podszedł do drzwi prowadzących na schody, gałka nie chciała się obrócić. Próbował raz za razem – ani drgnęła. Byli zamknięci na dachu. – Kurwa! – wrzasnął. – Kurwa, kurwa, kurwa!

– Jezusie, Willem – zdumiał się Malcolm, bo Willem bardzo rzadko się złościł. – Jude? Masz klucz?

Ale Jude nie miał klucza.

– Kurwa! – Willem nie umiał się powstrzymać. Wszystko szło tak opacznie. Nie mógł patrzeć na Jude'a. Obwiniał go, co nie było sprawiedliwe. Obwiniał siebie, co było bardziej sprawiedliwe, ale dodatkowo pogarszało mu humor. – Kto ma do nich telefon?

Niestety, głupia sprawa, żaden nie zabrał swojej komórki: wszystkie zostały w mieszkaniu, gdzie byliby i oni, gdyby nie pieprzony JB i pieprzony Malcolm, który był tak ślepo posłuszny wszystkiemu, co powiedział JB, każdemu poronionemu pomysłowi. I pieprzony Jude, na którego Willem był zły za ostatnią noc, za ostatnie dziewięć lat, za to, że się zranił, że nie dawał sobie pomóc, że go wystraszył i wyprowadził z równowagi, że przez niego Willem czuł się bezużyteczny – za wszystko.

Przez chwilę wrzeszczeli, tupali po dachu w nadziei, że ktoś z dołu, jeden z trzech sąsiadów, których dotychczas nie poznali, ich usłyszy. Malcolm proponował, żeby rzucić czymś w okno budynku obok, ale nie mieli czym (nawet portfele pozostawiali na dole, poupychane przytulnie w kieszeniach kurtek), a poza tym wszystkie okna były wygaszone.

– Słuchajcie – powiedział wreszcie Jude, chociaż ostatnią rzeczą, jakiej Willem pragnął, było posłuchać Jude'a. – Mam pomysł. Spuśćcie mnie na schodki przeciwpożarowe, to włamię się przez okno sypialni.

Pomysł był tak głupi, że Willema w pierwszej chwili zatkało: coś takiego mógł wymyślić JB, ale nie Jude.

– Nie – zaprotestował kategorycznie. – To głupota.

– Dlaczego? – sprzeciwił się JB. – Uważam, że to fajny plan.

Schodki przeciwpożarowe były niepewną, źle pomyślaną i w zasadzie bezużyteczną konstrukcją, pordzewiałym żeliwnym szkieletem przyczepionym do fasady budynku pomiędzy piątym a trzecim piętrem, jak wyjątkowej szpetoty dekoracja. Z dachu na podest, szeroki jak pół ich salonu, było około dziewięciu stóp; nawet jeżeli spuściliby tam Jude'a bez szwanku, nie przyprawiając go o atak albo złamanie nogi, musiałby się wychylić przez krawędź podestu, żeby dosięgnąć okna sypialni.

– Absolutnie nie – rzekł Willem do JB, po czym kłócili się przez chwilę, aż Willem z rosnącą trwogą zrozumiał, że to jedyne rozwiązanie. – Ale nie Jude – powiedział w końcu. – Ja to zrobię.

– Ty nie możesz.

– Dlaczego? A w ogóle to nie musimy się włamywać od sypialni: po prostu wejdę przez jedno z okien salonu.

Okna salonu były okratowane, ale jednego pręta brakowało, więc Willem uznał, że powinien się przecisnąć między prętami, ledwo ledwo, ale jednak. Zresztą to był mus.

– Pozamykałem okna, zanim tu wyszliśmy – przyznał się cicho Jude, a Willem się domyślił, że Jude je również pozabezpieczał, bo zabezpieczał wszystko, co się dało: drzwi, okna, szafki. Taki miał odruch. Zabezpieczenie okna w sypialni było popsute, więc Jude wykombinował mechanizm – skomplikowaną blokadę ze śrub i drutu – który, jak twierdził, trzyma znakomicie.

Willema zawsze fascynowała hiperostrożność Jude'a, jego skłonność do dopatrywania się wszędzie niebezpieczeństwa – dawno zauważył zwyczaj Jude'a, który wchodząc do nieznanego sobie miejsca, natychmiast szukał najbliższego wyjścia, po czym ustawiał się blisko niego, co z początku wydawało się śmieszne, ale z czasem jakby mniej – i równie silną skłonność do stosowania środków ostrożności, gdzie tylko się dało. Którejś nocy leżeli późno w łóżkach, gadając, i Jude zwierzył się Willemowi (po cichu, jakby zdradzał cenną tajemnicę), że mechanizm okna w sypialni można otworzyć z zewnątrz, ale tylko on wie, jak go odblokować.

– Po co mi to mówisz? – spytał Willem.

– Ponieważ – powiedział Jude – uważam, że powinniśmy naprawić to okno jak należy.

– Ale skoro jesteś jedynym człowiekiem, który umie je odblokować, to jakie to ma znaczenie?

Nie mieli zaskórniaka na ślusarza, na likwidowanie problemu, który nie był problemem. Nie mogli poprosić o to administratora: po ich wprowadzeniu się Annika przyznała, że formalnie nie wolno jej podnajmować tego mieszkania, ale dopóki lokatorzy nie będą stwarzać problemów, administrator nie powinien się wtrącać. Więc starali się nie stwarzać problemów: sami wykonywali domowe naprawy, gipsowali ściany, wymieniali uszczelki.

– Tak na wszelki wypadek – powiedział Jude. – Po prostu chcę wiedzieć, że jesteśmy bezpieczni.

– Jude – rzekł Willem. – Jesteśmy bezpieczni. Nic złego się nie stanie. Nikt się nie włamie. – A po chwili, ponieważ Jude milczał, westchnął i poddał się. – Jutro wezwę ślusarza – obiecał.

– Dziękuję ci, Willem – odparł Jude.

Ale w końcu nigdy ślusarza nie wezwali.

To było dwa miesiące temu, a teraz stali w zimnie na dachu i to okno było ich jedyną nadzieją.

– Kurwa, kurwa – mruknął Willem gardłowo. Głowa go rozbolała. – Powiedz mi, jak to zrobić, a ja otworzę.

– To za trudne – odparł Jude. Zdążyli zapomnieć, że Malcolm i JB stoją obok, gapiąc się na nich, przy czym JB wyjątkowo nic nie mówił. – Nie dam rady tego wyjaśnić.

– Wiem oczywiście, że uważasz mnie za skończonego durnia, ale jestem w stanie to pojąć, jeśli wysłowisz się normalnym językiem – warknął Willem.

– Willem – rzekł Jude zdumiony i na chwilę zapadła cisza. – Nie o to mi chodziło.

– Wiem – odparł Willem. – Przepraszam cię. Wiem. – Wziął głębszy oddech. – Ale nawet gdybyśmy mieli to zrobić, a nie sądzę, że powinniśmy, to jak cię spuścimy na dół?

Jude podszedł do krawędzi dachu okolonego murkiem do pół łydki i wyjrzał na zewnątrz.

– Usiądę na murku, twarzą do ulicy, dokładnie nad schodkami przeciwpożarowymi – planował. – Ty z JB usiądziecie pod murkiem. Każdy z was złapie mnie za rękę obiema dłońmi i tak mnie opuścicie. Jak już nie sięgniecie dalej, puścicie mnie i zeskoczę.

Willem roześmiał się, takie to było ryzykowne i głupie.

– A jak już to zrobimy, to jak dosięgniesz okna sypialni?

Jude spojrzał na niego.

– Musisz mi zaufać, że potrafię.

JB nie dał Willemowi dojść do słowa.

– To jedyny plan, Willem. Kurewsko tu zimno.

Nie dało się zaprzeczyć; tylko złość rozgrzewała Willema.

– Czy nie zauważyłeś, JB, że on ma całą rękę zabandażowaną?

– Ale czuję się dobrze, Willem – wtrącił się Jude, zanim JB zdążył odpowiedzieć.

Sprzeczali się tak jeszcze przez dziesięć minut, po czym Jude podszedł do krawędzi dachu.

– Jak ty mi nie pomożesz, Willem, to Malcolm to zrobi – powiedział, chociaż i po Malcolmie było widać, że strach go obleciał.

– Nie – rzekł Willem. – Ja to zrobię.

Uklękli z JB i przywarli do murku, a każdy trzymał jedną rękę Jude'a obiema swoimi. Zrobiło się już tak zimno, że Willem ledwo czuł własne palce zakleszczające się wokół dłoni Jude'a. Trzymał go za lewą rękę i wyczuwał jedynie poduszkę gazy. Kiedy ją ścisnął, mignął mu przed oczami obraz Andy'ego i zrobiło mu się niedobrze z poczucia winy.

Jude zsunął się poza krawędź, a Malcolm wydał cichy jęk przechodzący w pisk. Willem i JB wychylili się najdalej, jak mogli, aż zaczęło to grozić wypadnięciem, a gdy Jude krzyknął do nich, żeby puścili, zrobili to i patrzyli, jak przyjaciel ląduje z hukiem na żerdziach podestu schodów przeciwpożarowych daleko pod nimi.

JB zawiwatował, a Willem o mało nie dał mu w mordę.

– Nic mi nie jest! – zawołał w górę Jude i pomachał obandażowaną ręką jak proporcem, po czym przesunął się do krawędzi schodków, gdzie dźwignął się na balustradę, żeby odplątać swój mechanizm. Nogi owinął wokół jednego z prętów balustrady, lecz nie była to pozycja bezpieczna i Willem ujrzał, że Jude lekko się chwieje, chcąc utrzymać równowagę, a jego palce poruszają się wolno, odrętwiałe z zimna.

– Spuśćcie mnie tam – zażądał od Malcolma i JB, ignorując popłoch Malcolma, i po chwili znalazł się za krawędzią dachu, wołając do Jude'a, żeby go uprzedzić i nie zachwiać jego równowagi.

Upadek był gorszy, a podest twardszy, niż się spodziewał, ale szybko wziął się w garść, podszedł do Jude'a i oplótł go w pasie ramionami, zahaczając stopą o pręt balustrady, żeby stać pewniej.

– Trzymam cię – powiedział, więc Jude wychylił się poza balustradę, dalej, niż dałby radę bez pomocy, a Willem trzymał go tak mocno, że czuł przez sweter kręgi Jude'a, jego brzuch zapadający się i wzdymający przy oddychaniu, echo ruchów jego palców w mięśniach, gdy Jude skręcał i rozplątywał gałązki drutu zabezpieczającego okno. Gdy skończył, Willem pierwszy przelazł przez barierkę i wszedł do sypialni, po czym sięgnął oburącz i wciągnął Jude'a za ramiona, ostrożnie omijając bandaż.

Stanęli w środku, dysząc z wysiłku, i popatrzyli na siebie. W pokoju było tak cudownie ciepło, nawet przy zimnych podmuchach z okna, że Willem nareszcie poczuł słabość ulgi. Byli bezpieczni, zostali ocaleni. Jude uśmiechnął się od ucha do ucha, a Willem odpowiedział mu tym samym. Gdyby miał przed sobą JB, uściskałby go z głupiego oszołomienia radością, ale Jude nie był typem dotykowca, więc Willem się powstrzymał. Nagle jednak Jude uniósł rękę, żeby wytrzepać sobie z włosów płatki rdzy, i Willem ujrzał na wewnętrznej stronie jego nadgarstka ciemnobordową plamę na białym bandażu i wtedy, z opóźnieniem, uświadomił sobie, że przyspieszony oddech Jude'a był wynikiem nie tyle wysiłku, ile bólu. Patrzył, jak Jude siada ciężko na swoim łóżku, sięgając w tył biało owiniętą ręką, żeby mieć pewność, że znajdzie podparcie.

Willem ukucnął obok niego. Uniesienie rozwiało się, zastąpione przez coś innego. Czuł się dziwnie bliski płaczu, chociaż nie wiedział z jakiego powodu.

– Jude – zaczął, ale słowa go zawiodły.

– Już lepiej po nich idź – powiedział Jude i chociaż każde słowo wychodziło z jego ust na przydechu, uśmiechnął się do Willema.

– Pieprzyć ich – odparł Willem. – Zostanę tutaj z tobą.

Jude zaśmiał się półgębkiem, chociaż się przy tym skrzywił, i zaczął się ostrożnie opuszczać na łóżko, aż legł na boku, a Willem pomógł mu dźwignąć na materac nogi. Sweter Jude'a też był usiany płatkami rdzy, więc Willem trochę ich wyskubał. Siedział na łóżku obok Jude'a, nie wiedząc, jak zacząć.

– Jude – spróbował znowu.

– Idź – nakazał Jude i zamknął oczy, chociaż nadal się uśmiechał, więc Willem wstał niechętnie, domknął okno i wychodząc, zgasił światło w sypialni.

Ruszył po schodach ratować Malcolma i JB, a z daleka, z dołu, słyszał rozbrzmiewający w całej klatce schodowej sygnał domofonu obwieszczający przybycie pierwszych gości.

II

Postczłowiek

1

Soboty to praca, ale niedziele to spacery. Spacery rozpoczęły się z konieczności pięć lat temu, kiedy sprowadził się do miasta i niewiele o nim wiedział. Co tydzień wybierał inną okolicę i szedł do niej z Lispenard Street, a potem ją obchodził, starannie penetrując cały teren, po czym wracał do domu. Nigdy nie ominął niedzieli, o ile pogoda była do wytrzymania, i nawet teraz, mimo że obszedł wszystkie zakamarki Manhattanu, a także wiele na Brooklynie i w Queens, nadal wychodził co niedziela o dziesiątej rano, a wracał dopiero, gdy dokończył trasę. Te spacery od dawna przestały być dla niego przyjemnością, chociaż nie były nieprzyjemne – po prostu je odbywał. Przez jakiś czas traktował je z nadzieją jak coś więcej niż ćwiczenie, coś regenerującego, jak amatorska sesja fizjoterapii, mimo że Andy się z nim nie zgadzał, a wręcz był tym spacerom przeciwny.

– To dobrze, że ćwiczysz nogi – mówił. – Ale w tym celu powinieneś raczej pływać, a nie łazić po chodnikach.

Pływanie nie było właściwie niemiłe, tylko że nigdzie nie mógł popływać w dostatecznie intymnych warunkach, więc tego nie robił.

Willem od czasu do czasu towarzyszył mu w spacerach, a teraz, jeżeli trasa Jude'a prowadziła koło teatru, Willem tak celował, żeby się mogli spotkać w barze z sokami na końcu ulicy po popołudniowym przedstawieniu. Pili swoje soki, a Willem opowiadał, jak poszedł spektakl, po czym kupował sałatkę, żeby zjeść ją przed wieczornym przedstawieniem, on zaś szedł na południe, w stronę domu.

Wciąż mieszkali na Lispenard Street, chociaż mogliby się wyprowadzić do własnych mieszkań – on na pewno, Willem prawdopodobnie. Lecz żaden nie wspomniał nigdy o wyprowadzce, więc żaden się nie ruszył. Przerobili za to salon, robiąc z lewej jego części drugą sypialnię. Pewnego weekendu całą grupą wznieśli pokraczną ściankę z płyt gipsowo-kartonowych, tak że teraz, gdy wchodziło się do mieszkania, gościa witało szarawe światło padające z dwóch, a nie czterech okien. Willem zajął nową sypialnię, a on został w starej.

Pomijając wizyty za kulisami teatru, miał wrażenie, że ostatnio w ogóle nie widuje Willema, bo choć ten stale opowiadał o swoim lenistwie, zdawało się, że nieustannie pracuje albo usiłuje pracować. Trzy lata wcześniej, w swoje dwudzieste dziewiąte urodziny, zarzekał się, że odejdzie z Ortolana, zanim stuknie mu trzydziestka, a dwa tygodnie przed trzydziestymi urodzinami, kiedy siedzieli we dwóch w świeżo podzielonym salonie, Willem martwił się, czy naprawdę stać go na porzucenie tej

roboty. I właśnie wtedy zadzwonił telefon, na który Willem czekał od lat. Występ w sztuce będący rezultatem tego telefonu okazał się dostatecznym sukcesem i przyniósł Willemowi dość uznania, aby mógł on na dobre odejść z Ortolana trzynaście miesięcy później, zaledwie rok po wyznaczonym sobie terminie. Jude obejrzał spektakl Willema (dramat rodzinny pod tytułem *Teoremat Malamuda* o profesorze literatury w początkach demencji i słabo z nim związanym synu fizyku) pięć razy, w tym dwukrotnie z Malcolmem i JB, a raz z Haroldem i Julią, którzy przyjechali do miasta na weekend, i za każdym razem zapominał, że to jego stary przyjaciel, współlokator, występuje na scenie, a kiedy przychodziło do oklasków, odczuwał dumę i rozrzewnienie, tak jakby samo wyjście na scenę oznaczało wyniesienie Willema w jakiś inny region życia, dla Jude'a niedostępny.

Jego własne zbliżanie się do trzydziestki nie budziło w nim uśpionej paniki ani nadaktywności, ani potrzeby zmiany kształtu dotychczasowego życia na model bardziej właściwy dla trzydziestolatka. Nie dotyczyło to jednak jego przyjaciół, więc ostatnie trzy lata przed trzydziestką Jude spędził na wysłuchiwaniu ich elegii na minione dziesięciolecie, wyliczania, co zrobili, a czego nie zrobili, zestawów samobiczowania się i obietnic. A więc zaszły zmiany. Na przykład druga sypialnia została urządzona po części z powodu niepokoju Willema, że ma dwadzieścia osiem lat i nadal dzieli sypialnię z kolegą. Taki sam niepokój – lęk, że wkroczenie w czwartą dekadę życia przemieni ich w coś innego, coś poza ich kontrolą, jak w bajce, o ile tego nie uprzedzą zdecydowanymi krokami – pchnął Malcolma do pospiesznego powrotu do rodziców, który trwał ledwie rok, i Malcolm wycofał się, bo zaczął się spotykać z kobietą.

Jude, pomimo obaw przyjaciół, wiedział, że z największą rozkoszą przekroczy trzydzieści lat, z tego samego powodu, z którego oni cierpieli: ponieważ był to próg niezaprzeczalnej dorosłości. (Nie mógł się doczekać trzydziestu pięciu, kiedy będzie mógł powiedzieć, że jest już dorosły dwa razy dłużej, niż był dzieckiem). W okresie dorastania trzydziestka była dla niego odległym, niewyobrażalnym wiekiem. Dokładnie pamiętał siebie jako małego chłopca – mieszkał wtedy w klasztorze – pytającego brata Michaela, który lubił mu opowiadać o podróżach odbywanych w innym życiu, kiedy i on będzie mógł podróżować.

– Jak będziesz starszy – odpowiedział brat Michael.

– To kiedy? – naciskał Jude. – Za rok?

Bo wówczas nawet miesiąc zdawał się wiecznością.

– Za wiele lat – odrzekł brat Michael. – Jak będziesz starszy. Jak skończysz trzydzieści lat.

A teraz, raptem za kilka tygodni, miało się to stać.

W te niedziele, kiedy szykował się na swój spacer, stawał czasem na bosaka w kuchni, kiedy wokół wszystko było ciche, a małe, brzydkie mieszkanko wydawało się czymś w rodzaju cudu. Tutaj czas

należał do niego i przestrzeń także, i każde drzwi można było zamknąć, każde okno zabezpieczyć. Stawał przed malutką szafą w przedpokoju – a właściwie wnęką, którą zasłonili kawałkiem grubego płótna – i podziwiał jej zawartość. Na Lispenard Street nie było nocnych wypadów do budki na West Broadway po rolkę papieru toaletowego, nie było kręcenia nosem nad kartonem dawno zepsutego mleka znalezionego w głębi lodówki: tutaj zawsze było zapasowe. Tutaj wszystko wymieniano w odpowiednim czasie. Jude o to dbał. W pierwszym roku mieszkania na Lispenard Street trochę się wstydził swoich zwyczajów, które, jak wiedział, pasują do kogoś starszego, i na dodatek płci żeńskiej, więc chował zapas papierowych ręczników pod swoim łóżkiem, a sklepowe ulotki o okazjach cenowych upychał w teczce, żeby je przejrzeć później, kiedy Willema nie będzie w domu, jakby to była szczególnie egzotyczna forma pornografii. Ale pewnego dnia Willem odkrył jego zapasy, szukając zapodzianej skarpetki, która zawieruszyła się pod łóżkiem.

Jude poczuł się zażenowany.

– Czemu? – zdziwił się Willem. – Przecież to fantastycznie. Dzięki bogu, że dbasz o takie rzeczy.

A jednak Jude poczuł się odsłonięty: doszedł jeszcze jeden dowód do przepełnionej teczki świadczącej o jego pożałowania godnej zniewieściałości, jego wrodzonej i niereformowalnej niezdolności do stania się osobą, jakiej wrażenie usiłował sprawiać.

Mimo to nie umiał się powstrzymać, jak w wielu innych sprawach. Komu mógłby wytłumaczyć, że na niekochanej Lispenard Street, w swoim schronie bombowym pełnym zapasów, znajdował tyle samo zadowolenia i bezpieczeństwa, co w swoich stopniach naukowych i pracy? Albo że w momentach samotności w kuchni było coś zbliżonego do medytacji i były to jedyne chwile, gdy czuł się prawdziwie rozluźniony, a jego umysł przestawał pędzić naprzód, planując z wyprzedzeniem tysiące drobnych odkształceń i zamazań prawdy, faktów, warunkujących każdą jego interakcję ze światem i jego mieszkańcami? Nikomu, wiedział o tym, nawet Willemowi. Ale miał wiele lat, by nauczyć się zachowywać własne myśli dla siebie; w odróżnieniu od swoich przyjaciół nauczył się nie dzielić dowodami własnych dziwactw jako sposobem na wyróżnienie się z tłumu, jakkolwiek sam był szczęśliwy i dumny, że oni dzielą się swoimi z nim.

Dzisiaj miał zamiar przejść się po Upper East Side: w górę West Broadway do Washington Square Park, do Uniwersytetu i przez Union Square, a potem w górę Broadway do Piątej, której będzie się trzymał aż do Osiemdziesiątej Szóstej, aby wrócić przez Madison do Dwudziestej Czwartej, gdzie przejdzie na drugą stronę, na Lexington, zanim podąży dalej na południe i wschód aż do Irving, gdzie spotka się z Willemem pod teatrem. Minęły miesiące, rok prawie, odkąd przeszedł tę trasę, ponieważ była bardzo długa, no i dlatego, że wystarczająco dużo przebywał na Upper East Side, w kamienicy niedaleko domu rodziców Malcolma, gdzie dawał prywatne lekcje dwunastoletniemu Felixowi. Lecz

był już środek marca, przedwiośnie, a Felix z rodziną wyjechał na wakacje do Utah, co oznaczało, że nie ma ryzyka spotkania ich.

Ojciec Felixa był znajomym rodziców Malcolma, i to właśnie ojciec Malcolma załatwił Jude'owi tę pracę.

– Nie płacą ci za dobrze w biurze prokuratora okręgowego, prawda? – zagadnął go pan Irvine. – No to może zapoznałbym cię z Gavinem.

Gavin był przyjacielem pana Irvine'a z czasów studiów, a teraz prezesował jednej z potężniejszych firm w mieście.

– Tato, on nie chce pracować dla jakiejś korporacji – wtrącił Malcolm, ale jego ojciec mówił dalej, jakby Malcolm wcale nie otworzył ust, więc ten zgarbił się z powrotem w fotelu.

Jude współczuł wtedy przyjacielowi, ale też rozzłościł się na niego, bo mówił mu przecież, żeby *dyskretnie* wysondował rodziców, czy nie znają kogoś z dzieckiem potrzebującym korepetycji, a nie *zapytał* ich wprost.

– A tak prawdę mówiąc – ciągnął ojciec Malcolma – uważam, że to fantastyczne, że interesuje cię samodzielność materialna. – (Malcolm jeszcze głębiej zapadł się w fotel). – Ale czy naprawdę tak bardzo potrzebujesz pieniędzy? Nie sądziłem, że rząd federalny płaci aż tak nędznie, no ale sporo czasu minęło, odkąd pracowałem w sektorze publicznym. – Uśmiechnął się szeroko.

Jude odpowiedział uśmiechem.

– Nie – powiedział. – Pensja jest w porządku. – I tak było. Panu Irvine'owi wydałaby się wprawdzie niewystarczająca, Malcolmowi pewnie też, ale dla Jude'a było to więcej forsy, niż kiedykolwiek marzył, wypłacane w dodatku co dwa tygodnie – nieustająca kumulacja cyfr. – Oszczędzam po prostu na zaliczkę na mieszkanie.

Zobaczył zwróconą w swoją stronę twarz Malcolma i zakonotował sobie, żeby koniecznie zdradzić Willemowi kłamstwo, które powiedział ojcu Malcolma, zanim sam Malcolm to uczyni.

– Aa, to inna sprawa – rzekł pan Irvine. Taki cel potrafił zrozumieć. – Tak się składa, że znam odpowiednią osobę.

Tą osobą był Howard Baker, który zatrudnił Jude'a po nieuważnej rozmowie trwającej piętnaście minut, aby podciągnął jego syna z łaciny, matematyki, niemieckiego i gry na fortepianie. Jude zaciekawił się, czemu pan Baker nie wynajmie specjalistów z tych wszystkich dziedzin – stać go było na to – ale nie spytał. Było mu żal Felixa, który był mały i nieatrakcyjny, a do tego miał zwyczaj dłubać palcem wskazującym w wąskim nozdrzu, dopóki sobie tego nie uświadomił i szybko nie cofnął ręki, by wytrzeć ją o nogawkę dżinsów. Po ośmiu miesiącach Jude wciąż nie miał zdania co do zdolności Felixa. Chłopczyk nie był głupi, ale cierpiał na chroniczny brak pasji, tak jakby w wieku dwunastu lat

już pogodził się z faktem, że życie go zawiedzie, a on zawiedzie wszystkich dookoła. W każdą sobotę o pierwszej po południu czekał, punktualnie i z odrobionymi lekcjami, po czym posłusznie odpowiadał na każde pytanie, zawsze kończąc odpowiedź, nawet najprostszą, intonacją pytającą („*Salve, Felix, quid agis?*", „Hmm… *bene?*"), jakby rozpaczliwie zgadywał. Nigdy nie miał żadnych pytań, a gdy Jude go zapytał, czy jest jakiś temat, na który chciałby podyskutować w dowolnym języku, chłopiec wzruszył ramionami i coś wymamrotał, wędrując palcem do nosa. Podczas machania Felixowi na pożegnanie pod koniec popołudnia (chłopiec niemrawo unosił rękę, zanim zanurzył się z powrotem w sieni) Jude'owi zawsze przychodziło do głowy, że mały wcale nie opuszcza domu, nie wychodzi na dwór, nie ma kolegów. Biedny Felix – samo jego imię było drwiną.

W poprzednim miesiącu pan Baker poprosił Jude'a o rozmowę po zakończeniu lekcji, więc Jude pożegnał Felixa i poszedł za pokojówką do gabinetu jego ojca. Bardzo wyraźnie kulał tego dnia i trochę się tego wstydził, czując się tak – co często mu się zdarzało – jakby grał rolę guwernantki w dickensowskim dramacie.

Spodziewał się, że pan Baker będzie zniecierpliwiony, może nawet zły (chociaż Felix zaczął zdecydowanie lepiej sobie radzić w szkole), i gotów był się bronić, jeśli zajdzie potrzeba – pan Baker płacił mu znacznie ponad jego oczekiwania i Jude miał plany związane z zarobionymi u niego pieniędzmi – tymczasem wskazano mu fotel naprzeciwko biurka.

– Co pana zdaniem jest nie w porządku z Felixem? – rzucił władczym tonem Baker.

Jude nie spodziewał się takiego pytania, więc musiał chwilę pomyśleć nad odpowiedzią.

– Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek było z nim nie w porządku, proszę pana – odrzekł ostrożnie. – Myślę po prostu, że nie jest… – omal nie powiedział „szczęśliwy". Lecz czym było szczęście, jak nie ekstrawagancją, stanem niemożliwym do zachowania, po części dlatego, że tak trudno go wysłowić? Nie pamiętał, jak to jest być dzieckiem, pamiętał tylko nieszczęście, lęk albo nieobecność nieszczęścia i lęku, przy czym ten drugi stan był wszystkim, czego potrzebował i pragnął. – Myślę, że jest nieśmiały.

Pan Baker chrząknął; widocznie nie takiej spodziewał się odpowiedzi.

– Ale pan go lubi, tak? – spytał z tak dziwną, bezbronną desperacją, że Jude poczuł głęboki smutek, zarówno w związku z Felixem, jak i z panem Bakerem. Czy tak właśnie wygląda bycie rodzicem? Czy tak wygląda bycie dzieckiem, które ma rodzica? Tyle smutku, tyle rozczarowań, tyle ambicji, które nigdy nie zostaną zrealizowane!

– Oczywiście – powiedział, na co pan Baker westchnął i wręczył mu czek, który na ogół wręczała mu przy wyjściu pokojówka.

Tydzień później Felix nie chciał zagrać zadanego utworu. Był bardziej niespokojny niż zwykle.

– Może zagramy coś innego? – spytał Jude.

Felix wzruszył ramionami. Jude się zastanowił.

– To może chciałbyś, żebym ja ci coś zagrał?

Felix znów wzruszył ramionami. Ale Jude i tak zagrał, ponieważ pianino było piękne i Jude od czasu do czasu, obserwując, jak Felix niemrawo przebiera palcami po cudnych, gładkich klawiszach, odczuwał straszne pragnienie pozostania sam na sam z instrumentem i puszczenia w ruch rąk po jego powierzchni najszybciej, jak się da.

Jude zagrał Haydna, sonatę numer 50 D-dur, jeden ze swych ulubionych utworów, tak błyskotliwy i uroczy, że miał nadzieję rozweselić nią ich obu. Ale kiedy skończył, a obok niego siedział tylko milczący chłopiec, zawstydził się zarówno chełpliwego, emfatycznego optymizmu Haydna, jak i własnego wybuchu samopobłażania.

– Felix – zaczął, ale urwał. Felix czekał. – Co się dzieje?

Ku jego zaskoczeniu Felix się rozpłakał, więc Jude spróbował go pocieszyć.

– Felix – powiedział, niezdarnie otaczając chłopca ramieniem. Udawał, że jest Willemem, który wiedziałby, co należy zrobić i powiedzieć, bez zastanawiania się nad tym. – Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi, naprawdę wszystko będzie dobrze.

Ale Felix płakał jeszcze bardziej.

– Och, Felix – westchnął Jude i jego współczucie, dotychczas odległe i obiektywne, nagle się wyklarowało. – Tak mi przykro.

Nagle dotkliwie odczuł samotność życia Felixa, sobót spędzanych w towarzystwie prawie trzydziestoletniego kaleki prawnika, który przychodzi tu tylko, żeby zarabiać pieniądze, i który wieczorem wyjdzie w miasto z ludźmi, których kocha i którzy nawet jego kochają, podczas gdy Felix zostanie sam, bo jego matka – trzecia żona pana Bakera – przebywa stale gdzieś indziej, a ojciec jest przekonany, że z Felixem jest coś nie w porządku i chłopiec wymaga naprawy. Później, w drodze piechotą do domu (gdy pogoda była ładna, dziękował za podwiezienie samochodem pana Bakera i szedł pieszo), zastanawiał się nad nieprawdopodobną niesprawiedliwością świata: Felix, który z definicji był lepszym dzieckiem niż on w swoim czasie, nie miał przyjaciół, a on, który był niczym, miał.

– Felix, to się w końcu stanie – powiedział.

– Ale kiedy? – chlipnął Felix z taką tęsknotą, że Jude'a przeszył dreszcz.

– Niedługo, niedługo – zapewnił, poklepując go po chudych plecach. – Przyrzekam ci.

Felix kiwał głową, ale później, gdy odprowadzał go do drzwi, z małą twarzyczką, którą płacz jeszcze bardziej upodobnił do gadziej, Jude doznał wyraźnego przeczucia, że Felix wiedział, że on

kłamie. Kto wie, czy Felix kiedykolwiek znajdzie przyjaciół? Jakże często przyjaźń i koleżeństwo sprzeciwiają się logice, jak często omijają tych, którzy na nie zasługują, jak często czepiają się dziwaków, ludzi złych, specyficznych, złamanych. Pomachał wąskim plecom Felixa, który już znikał w głębi domu, i chociaż nigdy by mu się do tego nie przyznał, miał wrażenie, że właśnie dlatego Felix jest taki słabowity: bo już się tego domyślił, dawno temu. Już wiedział.

Znał francuski i niemiecki. Znał system okresowy pierwiastków. Znał – lepiej, niżby chciał – spore fragmenty Biblii niemal na pamięć. Umiał odebrać rodzące się cielę, zmienić przewód w lampie, przepchać odpływ w zlewie, znał najlepszy sposób zbierania włoskich orzechów, wiedział, które grzyby są trujące, a które nie, umiał wiązać snopy, umiał sprawdzać świeżość arbuza, jabłka, kabaczka, melona siatkowatego, naciskając we właściwym miejscu. (Poza tym znał rzeczy, których wolałby nie znać, rzeczy, które – śnił o nich często – sprawiały, że kulił się w sobie z nienawiści i wstydu).

A mimo to często miał wrażenie, że nie zna się na niczym wartościowym ani użytecznym. Języki i matematyka – świetnie. Ale każdy dzień przypominał mu, jak wiele nie wie. Nigdy nie słyszał o serialach, których odcinki stale omawiano. Nigdy nie był w kinie. Nigdy nie wyjechał na wakacje. Nigdy nie był na obozie letnim. Nigdy nie jadł pizzy ani lodów, ani makaronu z serem, a już na pewno nie próbował – w przeciwieństwie do Malcolma i JB – gęsich wątróbek ani szpiku. Nigdy nie miał na własność komputera ani telefonu, rzadko dopuszczano go do internetu. Nigdy, uświadomił sobie, nie miał nic swojego, właściwie nie: jego książki, z których był taki dumny, koszule, które ustawicznie cerował, były niczym, były śmieciami, a dumy z nich powinien wstydzić się bardziej niż nieposiadania niczego w ogóle. Sala szkolna była najbezpieczniejszym miejscem, jedynym, w którym czuł się pewnie: wszędzie indziej czyhała nieustanna lawina cudów, jeden bardziej zagadkowy od drugiego, a każdy przypominający mu o jego bezdennej ignorancji. Złapał się na tym, że tworzy mentalne listy nowych rzeczy, o których usłyszał albo które napotkał. Lecz nigdy nie mógł poprosić nikogo o odpowiedź. Byłoby to dowodem jego skrajnej obcości, która sprowokowałaby dalsze pytania i obnażyła go, nieuchronnie doprowadzając do rozmów, jakich absolutnie nie był gotów prowadzić. Częstokroć czuł się nie tyle cudzoziemcem – bo nawet cudzoziemscy studenci, nawet Odval z wioski pod Ułan Bator, zdawali się rozumieć popularne odniesienia – ile obywatelem całkiem innych czasów. Jego dzieciństwo mogłoby spokojnie należeć do dziewiętnastego wieku, a nie dwudziestego pierwszego, biorąc pod uwagę to, co przegapił, i osobliwość, czystą dekoracyjność tego, co wiedział. Jak to możliwe, że wszyscy jego rówieśnicy, czy to urodzeni w Lagosie, czy w Los Angeles, posiadali mniej więcej to samo doświadczenie, te same wyznaczniki kulturowe? Przecież musiał istnieć ktoś, kto wiedział równie mało jak on? A jeżeli nie, to jak on kiedykolwiek nadrobi braki?

Wieczorami, kiedy całą grupą leżeli rozwaleni w czyimś pokoju (paliła się świeca, palił się skręt), rozmowa często schodziła na dzieciństwo kolegów, z którego ledwo wyrośli, lecz wobec którego już odczuwali przedziwną nostalgię i na którego punkcie mieli niewątpliwą obsesję. Opowiadali, zda się, każdy szczegół o sobie, chociaż Jude nigdy nie był pewien, czy celem tych opowieści jest wzajemne porównywanie podobieństw, czy przechwalanie się różnicami, bo zdawali się czerpać przyjemność i z jednego, i z drugiego. Opowiadali o wyznaczonej godzinie wieczornego powrotu do domu, o buntach i o karach (rodzice kilku kumpli bili ich, lecz oni wspominali te historie ze swoistą dumą, która też wydawała się dziwna), o ulubionych zwierzakach i rodzeństwie, i o tym, w co się ubierali ku zgrozie rodziców, i do jakich grup należeli w szkole średniej, i z kim stracili dziewictwo, gdzie i jak, o samochodach, które porozbijali, i kościach, które sobie połamali, o sportach, które uprawiali, i zespołach muzycznych, które zakładali. Mówili o koszmarnych rodzinnych wakacjach i o barwnych postaciach krewnych, o sąsiadach dziwakach i nauczycielach, uwielbianych albo nienawidzonych. Lubił te dywagacje bardziej, niżby się spodziewał – to byli prawdziwi nastolatkowie, to było ich prawdziwe, zwyczajne życie, jakie zawsze stanowiło dla niego zagadkę. Odprężał się i chłonął informacje, siedząc z nimi późno w noc i słuchając. Jego milczenie było zarówno koniecznością, jak i ochroną, a miało tę dodatkową zaletę, że czyniło go bardziej tajemniczym i interesującym, niż się domyślał. „No a ty, Jude?" – zagadywano go czasem na początku semestru, ale on już wtedy wiedział dość – szybko się uczył – żeby po prostu wzruszyć ramionami i odpowiedzieć z uśmiechem: „To zbyt nudne, żeby opowiadać". Zdumiała go, ale też sprawiła mu ulgę łatwość, z jaką przyjmowali to wyjaśnienie, i był im wdzięczny za ich egocentryzm. W gruncie rzeczy nikt nie chciał słuchać cudzych historii; chcieli tylko opowiadać swoje własne.

A jednak jego milczenie nie pozostało niezauważone przez wszystkich i to właśnie ono stało się inspiracją do nadania mu przydomka. Było to w roku, kiedy Malcolm odkrył postmodernizm, a JB zrobił tyle szumu wokół tego, że Malcolm tak późno wpadł na trop tej ideologii, że Jude nie przyznał się, że też nigdy o niej nie słyszał.

– Nie możesz ot tak *postanowić*, że jesteś postczarny, Malcolm – denerwował się JB. – Poza tym musiałbyś w przeszłości naprawdę być czarny, żeby przejść do ponadczerni.

– Jesteś głupim kutasem, JB – odparł Malcolm.

– Albo – ciągnął JB – musiałbyś być tak autentycznie poza wszelkimi kategoriami, że normalne wyznaczniki tożsamości by cię nie dotyczyły. – JB zwrócił się do Jude'a, który poczuł, że na moment zamiera. – Na przykład jak nasz Judy: nigdy go z nikim nie widujemy, nie wiemy, jakiej jest rasy, nie wiemy o nim nic. Postseksualny, postrasowy, postprzeszły. – Uśmiechnął się do Jude'a, prawdopodobnie, aby pokazać, że przynajmniej w części żartuje. – Postczłowiek. Jude Postczłowiek.

– Postczłowiek – powtórzył Malcolm.

Nigdy nie zawahał się zahaczyć o cudzy dyskomfort i w ten sposób odwrócić uwagę od swojego. I chociaż przydomek się nie przyjął (gdy Willem powrócił do pokoju i go usłyszał, tylko przewrócił oczami w odpowiedzi, co pozwoliło Jude'owi trochę ochłonąć), przypomniał mu, że choćby nie wiadomo jak bardzo przekonywał sam siebie, że pasuje, choćby nie wiadomo jak się wysilał, aby ukryć swoje kolczaste strony, i tak nikogo nie oszuka. Oni wiedzieli, że jest dziwny, a teraz jego głupota rozciągnęła się na przekonywanie samego siebie, że przekonał ich, że taki nie jest. Mimo to nadal uczestniczył w nocnych rozmowach, przesiadywał z kolegami w ich pokojach, bo ciągnęło go do nich, chociaż wiedział, że ryzykuje, biorąc udział w tych spotkaniach.

Czasami w trakcie sesji (tak zaczął je w myślach nazywać, jak intensywne korepetycje, dzięki którym nadrobi może swoje zaległości kulturowe) łapał spojrzenie Willema, który go obserwował z nieodgadnionym wyrazem twarzy, i zastanawiał się, jak dalece Willem go przejrzał. Czasami musiał się powstrzymać, żeby mu czegoś nie powiedzieć. Czasami myślał, że może nie ma racji. Może byłoby miło wyznać komuś, że przez większość czasu nie nadąża za tym, o czym rozmawiają, że nie jest w stanie uczestniczyć we wspólnym zbiorowym języku dziecięcych wpadek i frustracji. Ale zaraz się mitygował, gdyż przyznać się do niewiedzy oznaczałoby konieczność objaśnienia języka, którym *naprawdę* mówił.

Chociaż gdyby miał komuś powiedzieć, to właśnie Willemowi. Podziwiał wszystkich trzech kolegów z pokoju, ale tylko Willem był tym, któremu ufał. W domu dziecka szybko nauczył się, że są trzy typy chłopaków: typ pierwszy potrafi wszcząć bójkę (to JB). Typ drugi nie włączy się do szarpaniny, ale też nie pobiegnie po pomoc (to Malcolm). Typ trzeci pomoże ci się wykaraskać (ten był najrzadszy, i to oczywiście był Willem). Może tak samo było z dziewczynami, ale za mało czasu z nimi spędził, żeby wiedzieć na pewno.

Za to coraz bardziej był pewien, że Willem coś wie. (Co wie? – kłócił się sam ze sobą w przytomniejszych momentach. – Przyznaj się po prostu, że szukasz powodu, żeby mu powiedzieć, a wówczas co on sobie o tobie pomyśli? Bądź inteligentny. Nie mów nic. Miej trochę samokontroli). Oczywiście, że to było nielogiczne. Już przed pójściem do college'u wiedział, że jego dzieciństwo było nietypowe – wystarczyło przeczytać parę książek, żeby dojść do tego wniosku – ale dopiero niedawno zrozumiał, jak bardzo było nietypowe. Sama ta dziwność osłaniała go i izolowała zarazem. Nie mieściło się w głowie, by ktoś mógł odgadnąć kształt i specyficzność tego dzieciństwa, a zatem jeśli ktoś odgaduje, to dlatego, że on sam zostawia podpowiedzi jak krowie placki – wielkie, paskudne, nie do przeoczenia wołanie o uwagę.

A jednak. Podejrzenie go nie opuszczało, nieraz nachodziło go z przykrą intensywnością, jakby nieuchronnie musiał coś powiedzieć i jakby dostawał ponaglenia, których ignorowanie wymagało więcej energii, niż wymagałoby usłuchanie.

Któregoś wieczoru siedzieli tylko we czterech. Było to na początku trzeciego roku studiów. Rzecz tak niezwykła, że wszyscy poczuli się mile rozluźnieni i nieco sentymentalni na myśl o tym, że tworzą zwartą klikę. Bo stanowili klikę i on, ku swemu zdziwieniu, był jej członkiem. Budynek, w którym mieszkali, nosił nazwę Hood Hall, więc w kampusie znani byli jako Boys in the Hood – Chłopcy w Kapturze. Wszyscy mieli innych przyjaciół (najwięcej JB i Willem), ale wiadomo było (a przynajmniej zakładało się, co było równie dobre), że przede wszystkim sobie wzajemnie winni są lojalność. Żaden z nich nigdy nie powiedział tego wprost, ale wszyscy wiedzieli, że to założenie im się podoba, że lubią ten kod przyjaźni, który został im narzucony.

Do jedzenia tego wieczoru była pizza zamówiona przez JB, za którą zapłacił Malcolm. Była trawka, o którą wystarał się JB, na zewnątrz padał deszcz, a potem grad, którego bębnienie o szyby i wiatr trzęsący oknami w łuszczących się framugach stanowiły koronny element ich zadowolenia. Skręt krążył, i chociaż Jude jak zwykle się nie zaciągał – za bardzo się bał tego, co mógłby zrobić albo powiedzieć, gdyby stracił nad sobą kontrolę – czuł, jak dym napełnia mu oczy, cisnąc się pod powieki niczym ciepła, kosmata bestia. Pilnował się, jak zawsze gdy ktoś z pozostałych płacił za kolację, żeby zjeść jak najmniej, i chociaż nadal był głodny (zostały dwie porcje, na które gapił się uporczywie, dopóki się na tym nie przyłapał i rezolutnie nie odwrócił wzroku), to odczuwał też głębokie zadowolenie. Mógłbym teraz zasnąć, pomyślał i wyciągnął się na kanapie, nakrywając się kocem Malcolma. Był przyjemnie zmęczony; ostatnimi czasy stale czuł się zmęczony, bo codzienny wysiłek wydawania się normalnym był tak wielki, że pozostawiał niewiele energii na cokolwiek innego. Czasami miał świadomość, że wydaje się sztywny, zimny, że jest nudny, co może zostać poczytane za większą wadę niż wszystkie inne cechy razem wzięte. W tle, jakby z daleka, słyszał Malcolma i JB kłócących się o zło.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie byłoby tej całej kłótni, gdybyś przeczytał Platona.

– Dobra, ale którego Platona?

– Czytałeś Platona?

– Nie widzę…

– Czytałeś?

– Nie, ale…

– No widzisz? No widzisz, no widzisz?

Malcolm pewnie podskakuje z palcem wymierzonym w JB, a Willem się śmieje. Po trawie Malcolm robił się głupszy i bardziej pedantyczny, a oni uwielbiali wdawać się z nim w głupie i pedantyczne dysputy filozoficzne, których treści Malcolm i tak rano nie pamiętał.

Potem nastąpiło interludium: Willem rozmawiał o czymś z JB – Jude był zbyt senny, żeby nasłuchiwać, resztką przytomności rozróżniał tylko ich głosy – i nagle zabrzmiał okrzyk JB przebijający się przez mgłę:

– Jude!

– Co? – odparł, nie otwierając oczu.

– Chcę ci zadać pytanie.

Natychmiast poczuł, że coś w nim staje na baczność. JB na haju miał nieprzyjemną skłonność do zadawania pytań lub czynienia obserwacji, które druzgotały i wprawiały w zażenowanie. Jude nie podejrzewał w tym złośliwości, lecz trudno było się nie zastanawiać, co się dzieje w podświadomości JB. Czy prawdziwym JB był ten, który zapytał koleżankę z akademika, Tricię Park, jak to jest dorastać jako ta brzydka bliźniaczka (biedna Tricia zerwała się i wybiegła z pokoju), czy też ten, który ujrzawszy jego straszny atak, podczas którego Jude co chwila tracił przytomność (doznanie tak mdlące jak wypadnięcie z kolejki górskiej w połowie stoku), wymknął się tej nocy ze swoim zaćpanym chłopakiem i wrócił tuż przed świtem z pękiem gałęzi kwitnącej magnolii, odpiłowanych nielegalnie z drzew na skwerze?

– Co? – spytał ponownie, tym razem czujnie.

– No wiesz – odrzekł JB, robiąc pauzę i zaciągając się po raz kolejny – znamy się już wszyscy dobrą chwilę…

– Czyżby? – wtrącił się Willem z fałszywym zdumieniem.

– Przymknij się, Willem – ciągnął JB. – Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, czemu nam nigdy nie powiedziałeś, co ci się stało w nogi.

– No nie, JB, nie chcemy… – zaczął Willem, ale Malcolm, który miał zwyczaj w chwilach zamroczenia służalczo brać stronę JB, przerwał mu:

– To naprawdę rani nasze uczucia, Jude. Nie ufasz nam?

– Jezu, Malcolm – jęknął Willem, po czym, małpując świdrujący falset Malcolma, dodał: – To naprawdę rani nasze uczucia. Mówisz jak panienka. To jest prywatna sprawa Jude'a.

I to było w pewien sposób jeszcze gorsze, że Willem, zawsze Willem, go bronił. Przeciwko Malcolmowi i JB! W tym momencie Jude nienawidził ich wszystkich, chociaż oczywiście nie był kimś, kto ma prawo nienawidzić. To byli jego przyjaciele, jego pierwsi przyjaciele, a on rozumiał, że przyjaźń to ciąg wymiany: uczuć, czasu, niekiedy pieniędzy, zawsze informacji. A pieniędzy nie miał.

Nie miał nic, co mógłby im dać, nic do ofiarowania. Nie mógł pożyczyć Willemowi swetra, tak jak Willem pożyczał swój jemu, ani oddać Malcolmowi stu dolarów, które ten mu kiedyś wcisnął, ani nawet pomóc JB w przeprowadzce, tak jak JB pomógł jemu.

– Właściwie – zaczął, świadom napiętej ciszy, nawet od strony Willema. – To nie jest zbyt interesujące. – Trzymał oczy zamknięte, zarówno dlatego, że łatwiej było mu opowiadać, gdy nie musiał na nich patrzeć, jak i dlatego, że po prostu nie sądził, by był w stanie to wytrzymać. – Incydent samochodowy. Miałem piętnaście lat. Na rok przed przyjazdem tutaj.

– Ach tak – rzekł JB.

Nastąpiła pauza; Jude poczuł, jakby z pokoju uleciało powietrze, poczuł, że jego rewelacja wtrąca pozostałych w coś w rodzaju ponurej trzeźwości.

– Przykro mi, bracie. To paskudne.

– Przedtem mogłeś chodzić? – zapytał Malcolm, tak jakby Jude nie mógł chodzić teraz.

Zmartwił się i stropił, że to, co on uważał za chodzenie, dla innych nie było chodzeniem.

– Tak – powiedział, po czym dodał, bo była to prawda, nawet gdyby mieli ją sobie zinterpretować inaczej: – Trenowałem biegi przełajowe.

– O kurczę – powiedział Malcolm.

JB wydał współczujące chrząknięcie.

Tylko Willem nie powiedział nic, ale Jude nie śmiał otworzyć oczu, by zobaczyć jego minę.

W końcu wieść się rozniosła, tak jak się spodziewał. (Może ludzi naprawdę ciekawiło, co jest z jego nogami. Tricia Park podeszła do niego i powiedziała, że zawsze myślała, że on ma porażenie mózgowe. Co miał odpowiedzieć na coś takiego?). Ale przechodząc z ust do ust, wersja zamieniła się na wypadek samochodowy, a potem na prowadzenie auta po pijanemu.

„Najprostsze rozwiązania są zwykle słuszne", mawiał jego wykładowca matematyki, doktor Li, więc może ta sama zasada miała zastosowanie tutaj. Ale Jude wiedział, że nie. Matematyka to co innego. Nic nie jest tak redukcyjne jak ona.

Ale dziwna rzecz: ponieważ jego historia przeobraziła się w wersję o wypadku samochodowym, dostał szansę zmyślenia jej na nowo; wystarczyło tylko ją ogłosić. Lecz nie zdobył się na to. Nigdy nie mógłby nazwać rzeczy wypadkiem, bo nim nie była. Czy to duma, czy głupota nie pozwoliła mu skorzystać z nadarzającej się okazji? Sam nie wiedział.

A potem zauważył coś jeszcze. Miał właśnie atak – straszliwie upokarzający, bo zdarzył się podczas schodzenia z dyżuru w bibliotece, a Willem przyszedł parę minut za wcześnie na swoją zmianę – gdy usłyszał, że bibliotekarka, oczytana kobieta, którą lubił, pyta, dlaczego on miewa te ataki. Przenieśli

go, panna Eakeley i Willem, do pokoiku na zapleczu, gdzie poczuł smród starej kawy przypominający palony cukier, tak ostry i natrętny, że omal nie zwymiotował.

– Incydent samochodowy – usłyszał odpowiedź Willema, jakby z drugiego brzegu wielkiego czarnego jeziora.

Jednak dopiero w nocy dotarło do niego, co właściwie powiedział Willem, jakiego konkretnie użył słowa: incydent, a nie wypadek. Czy zrobił to z rozmysłem, zastanawiał się Jude. Co Willem wie?

Był tak otumaniony, że właściwie mógł go spytać, gdyby Willem był w pobliżu, ale go nie było – był u swojej dziewczyny.

Nikogo nie ma, uprzytomnił sobie. Pokój należy do niego. Poczuł, że to stworzenie, które nosi w sobie (wyobrażał je sobie jako nieduże, złachane i lemurowate, obdarzone szybkim refleksem i zawsze gotowe do sprintu, czarnymi wilgotnymi ślepiami wiecznie badające krajobraz w poszukiwaniu zagrożenia), rozluźnia się i opada na ziemię. W takich właśnie chwilach najbardziej mu się w college'u podobało: był w ciepłym pokoju, następnego dnia będzie miał trzy posiłki i zje, ile zechce, a w przerwach będzie chodził na zajęcia, i nikt nie będzie chciał zrobić mu krzywdy ani zmuszał do czegoś, czego on nie chce. Gdzieś w pobliżu byli jego współlokatorzy – jego przyjaciele – a on przetrwał kolejny dzień, nie zdradzając żadnego ze swoich sekretów, i umieścił kolejny dzień pomiędzy osobą, którą był kiedyś, a osobą, którą jest teraz. Po takim osiągnięciu zawsze należał mu się sen, więc zasnął, szykując się do następnego dnia na świecie.

To Ana, pierwszy i jedyny pracownik opieki społecznej w jego życiu i pierwsza osoba, która go nigdy nie zdradziła, rozmawiała z nim poważnie o college'u – tym college'u, do którego ostatecznie poszedł – i była przekonana, że Jude się dostanie. Nie ona pierwsza coś takiego sugerowała, ale ona najsilniej nalegała.

– A czemu nie – powiedziała. Było to jej ulubione powiedzonko. Siedzieli we dwoje na werandzie u Any, na tyłach jej domu, jedząc chleb bananowy upieczony przez jej dziewczynę. Ana nie przepadała za naturą (za dużo robactwa, za dużo wicia się), ale gdy zaproponował, żeby się przeszli – ostrożnie, bo nie wiedział jeszcze wtedy, gdzie leżą granice tolerancji Any na jego obecność – pacnęła dłońmi w podłokietniki fotela i podniosła się. – A czemu nie. Leslie! – zawołała w stronę kuchni, gdzie Leslie przyrządzała lemoniadę. – Wynieś ją na dwór!

To właśnie jej twarz ujrzał jako pierwszą, kiedy w końcu otworzył oczy w szpitalu. Przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest ani kim jest, ani co się stało, i oto nagle pojawiła się nad nim jej twarz z uważnym spojrzeniem.

– No, no – powiedziała. – Budzi się.

Zawsze była na miejscu, tak mu się zdawało, bez względu na porę, w jakiej się budził. Czasami był to dzień i wtedy, w tych mglistych, na wpół ukształtowanych chwilach przed uzyskaniem pełnej świadomości, słyszał szpitalne odgłosy – mysi pisk butów pielęgniarek, szczęk metalowego wózka, usypiającą intonację ogłoszeń nadawanych przez interkom. Ale czasami była noc, gdy wokół panowała cisza i uprzytomnienie sobie, gdzie jest i dlaczego tu jest, trwało dłużej. W końcu wspomnienie wracało, za każdym razem, ale w przeciwieństwie do innych wspomnień nie stawało się coraz łatwiejsze i coraz bardziej mgliste. A czasami był ni to dzień, ni to noc, coś pośredniego, z dziwnym, pełnym kurzu światłem, które na moment budziło w nim wyobrażenie, że może istnieje coś takiego jak niebo i może on tam mimo wszystko trafił. A potem słyszał głos Any i przypominał sobie, dlaczego tu jest, i pragnął znowu zamknąć oczy.

W takich chwilach rozmawiali o niczym. Ana pytała, czy jest głodny, i bez względu na odpowiedź zawsze miała dla niego kanapkę. Pytała, czy coś go boli, a jeśli bolało, to jak bardzo. To w jej obecności dostał pierwszego ataku, a ból był tak koszmarny, nie do zniesienia – jakby ktoś go szarpał za rdzeń kręgowy i próbował go oderwać, jak żmiję, od wiązek nerwów – że później, kiedy lekarz mu powiedział, że tego rodzaju kontuzja jest „zniewagą" dla ciała, i to taką, z której ciało nigdy nie wyleczy się do końca, zrozumiał, co to słowo znaczy, i pojął, jak stosownie i słusznie zostało dobrane.

– To znaczy, że będzie miał te ataki przez całe życie? – spytała lekarza Ana, a on był jej wdzięczny za oburzenie, zwłaszcza że sam był zbyt zmęczony i przerażony, żeby wykrzesać z siebie własne.

– Chciałbym móc powiedzieć nie – odrzekł chirurg. A potem, zwracając się do niego: – Ale w przyszłości mogą nie być tak silne. Jesteś młody. Kręgosłup ma niezwykłą zdolność regeneracji.

– Jude – powiedziała do niego Ana, gdy przyszedł drugi lekarz, dwa dni po tamtym. Słyszał jej głos, ale jakby z daleka, a potem nagle ze zbyt bliska, wypełniający jego mózg eksplozjami. – Weź mnie za rękę – powtórzyła kilkakrotnie, a jej głos nabrzmiewał i cofał się, ale trzymała go za rękę, a on uczepił się jej tak mocno, że poczuł, jak palec wskazujący ociera się o serdeczny, czuł niemal, jak każda mała kostka jej dłoni przemieszcza się w jego uścisku, co sprawiło, że Ana wydała mu się nagle delikatna i misterna, chociaż nie było w niej nic delikatnego, ani w wyglądzie, ani w zachowaniu. – Licz – nakazała za trzecim razem, gdy to się zdarzyło, więc odliczał raz po raz od jednego do stu, dzieląc ból na znośne porcje. W owych dniach, zanim się przekonał, że lepiej leżeć nieruchomo, rzucał się po łóżku jak ryba po dnie łodzi, wolną ręką sięgając po fał, żeby się go uczepić dla bezpieczeństwa, a szpitalny materac był twardy i nieczuły, więc szukał na nim pozycji, w której cierpienie by zmalało. Starał się być cicho, lecz słyszał, że wydaje zwierzęce odgłosy, tak zwierzęce, że czasami pod powiekami jawił mu się las pełen sów, jeleni i niedźwiedzi, i wyobrażał sobie, że jest jednym z nich i że jęki, które wydaje, są normalne i stanowią część nieustannej ścieżki dźwiękowej lasu.

Gdy ataki mijały, podawała mu trochę wody w szklance ze słomką, żeby nie musiał unosić głowy. Podłoga pod nim chwiała się i wybrzuszała, częstokroć wymiotował. Nigdy nie był na oceanie, lecz wyobrażał sobie, że to właśnie takie uczucie, wyobrażał sobie wznoszenie się wody wprawiające pokrytą linoleum podłogę w nieznośny dygot.

– Grzeczny chłopczyk – chwaliła, kiedy pił. – Wypij jeszcze troszkę. Będzie lepiej – mówiła, a on kiwał głową, bo nie wyobrażał sobie życia, w którym nie byłoby lepiej. Jego dni stały się teraz godzinami: godzinami z bólem i godzinami bez bólu, a nieprzewidywalność tych odmian męczyła go, więc spał i spał, a dni wymykały mu się niezamieszkane.

Później łatwiej mu było mówić ludziom po prostu, że bolą go nogi, chociaż nie była to prawda – bolały go plecy. Czasami był w stanie przewidzieć, co wyzwoli spazmatyczne skurcze, ów ból, który rozciągnie się wzdłuż kręgosłupa do jednej lub drugiej nogi niczym wetknięty w niego płonący drewniany kołek. Jakiś ruch, dźwignięcie czegoś zbyt ciężkiego albo podniesienie tego zbyt wysoko lub najzwyklejsze zmęczenie. Czasami jednak nie umiał przewidzieć. Niekiedy ból poprzedzało odrętwienie lub mrowienie, które było niemal przyjemne, takie lekkie i łaskoczące, ledwie wyczuwalne ukłucia elektryczne przesuwające się tam i z powrotem po kręgosłupie, a wówczas wiedział, że musi się położyć i czekać, aż cykl się dopełni, jak kara, której nie sposób ujść ani jej ominąć. Czasami ból wdzierał się weń bez uprzedzenia i ten był najgorszy. Jude zaczął się bać, że zjawi się w najmniej odpowiednim momencie, więc przed każdym ważnym spotkaniem, każdą ważną rozmową, każdym wystąpieniem w sądzie błagał własne plecy o zachowanie spokoju, o wytrwanie bez ataku parę godzin. Lecz wszystko to było jeszcze przyszłością – wszystkie te lekcje pobierane przez długie godziny ataków rozciągnięte na dni, miesiące i lata.

Z upływem tygodni Ana zaczęła przynosić mu książki i poprosiła, żeby spisał tytuły, które go interesują, to pójdzie do biblioteki i je wypożyczy, ale on był zbyt nieśmiały. Wiedział, że Ana jest pracownicą opieki społecznej i że została do niego przydzielona, ale dopiero po miesiącu z okładem, gdy lekarze zaczęli wspominać o zdjęciu mu gipsu za kilka tygodni, po raz pierwszy spytała go, co się stało.

– Nie pamiętam – odpowiedział. To była jego standardowa odpowiedź na każde pytanie w tym okresie. Kłamstwo oczywiście. W niepożądanych chwilach znów widział pędzące na siebie reflektory samochodu, rozjarzone bliźniacze ślepia bieli, i przypominał sobie, jak zamknął oczy i odrzucił głowę w bok, jakby w ten sposób mógł zapobiec nieuchronnemu.

Ana czekała.

– W porządku, Jude – mówiła. – Wiemy z grubsza, co się stało. Ale chciałabym, żebyś mi kiedyś sam powiedział, żebyśmy mogli o tym pogadać.

Wypytywała go wcześniej – czy pamiętał? Podobno gdy przebudził się tuż po pierwszej operacji, miał chwilę jasności umysłu i odpowiedział na wszystkie jej pytania, nie tylko o to, co się stało tamtej nocy, ale też o minione lata, lecz nie pamiętał tego wcale i dręczył się tym, co właściwie jej powiedział i jaką minę miała Ana, gdy to usłyszała.

Zapytał kiedyś, jak wiele jej powiedział.

– Wystarczająco dużo – odparła – żeby mnie przekonać, że piekło istnieje, a ci ludzie powinni w nim tkwić.

Nie była zła, ale w jej słowach była złość, on zaś zamknął oczy przestraszony, że to, co mu się przydarzyło – jemu! – potrafiło wywołać taką pasję, taki jad.

Nadzorowała jego przenosiny do nowego domu, jego ostatniego domu – do Douglassów. Mieli jeszcze dwoje przybranych dzieci, dwie dziewczynki. Rosie miała osiem lat i cierpiała na zespół Downa, Agnes miała dziewięć lat i cierpiała na rozszczepienie kręgosłupa. Cały dom był labiryntem podjazdów, niepięknych, lecz solidnych i gładkich, a on w przeciwieństwie do Agnes mógł po nich jeździć wózkiem, nie prosząc o pomoc.

Douglassowie byli ewangelikami, luteranami, ale nie kazali mu chodzić do kościoła.

– To dobrzy ludzie – powiedziała Ana. – Nie będą ci dokuczać i będziesz u nich bezpieczny. Stać cię na modlitwę przed posiłkiem w zamian za odrobinę prywatności i gwarantowanego bezpieczeństwa? – Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Kiwnął głową. – A poza tym – ciągnęła – możesz zawsze zadzwonić do mnie, gdybyś miał chęć na grzeszną rozmowę.

W istocie był bardziej pod opieką Any niż Douglassów. Spał u nich w domu, jadał tam, a w okresie, gdy uczył się chodzić o kulach, pan Douglass siadał na krześle pod drzwiami łazienki, gotów wejść, gdyby Jude się poślizgnął i upadł, wchodząc do wanny albo z niej wychodząc (wciąż nie miał dostatecznego wyczucia równowagi, żeby brać prysznic, nawet z chodzikiem). Ale to Ana najczęściej woziła go do doktora i Ana czekała z papierosem w ustach, w dalekim końcu swojego podwórka, kiedy stawiał pierwsze chwiejne kroki bez kul w jej stronę, Ana wreszcie namówiła go, by napisał, co się zdarzyło z doktorem Traylorem, i w ten sposób uchroniła go przed zeznawaniem w sądzie. Twierdził co prawda, że może zeznawać, ale powiedziała mu, że jeszcze nie jest gotów, a oni i bez jego zeznań mają dość dowodów, żeby wsadzić doktora Traylora na lata, on zaś nie mógł zaprzeczyć, że sprawiło mu to ulgę. Ulgę, że nie będzie musiał wypowiedzieć na głos słów, których wypowiedzieć nie potrafił, a przede wszystkim ulgę, że nie będzie musiał oglądać doktora Traylora. Kiedy w końcu wręczył jej swoje zeznanie, spisane najzwyczajniej, jak się dało (pisząc je, wyobrażał sobie, że tak naprawdę pisze o kimś innym, kimś, kogo kiedyś znał, ale już nigdy nie będzie musiał z nim gadać), przeczytała je tylko raz, beznamiętnie, po czym skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała krótko, złożyła kartkę i z powrotem wsunęła do koperty. – Dobrze się spisałeś – dodała, po czym niespodziewanie się rozpłakała i długo nie mogła się uspokoić. Coś do niego mówiła, ale przez szloch nie potrafił jej zrozumieć, i w końcu wyszła.

Zadzwoniła tego samego dnia wieczorem, żeby go przeprosić.

– Przepraszam, Jude – powiedziała. – Zachowałam się nieprofesjonalnie. Po prostu przeczytałam to, co napisałeś, i po prostu… – Zamilkła na chwilę, po czym zaczerpnęła tchu. – To się więcej nie powtórzy.

To także Ana, kiedy lekarze orzekli, że Jude jest za słaby, żeby iść do szkoły, znalazła mu prywatnego nauczyciela, żeby mógł ukończyć średnią szkołę, ona też zaczęła z nim rozmowy o college'u.

– Jesteś naprawdę inteligentny, wiesz o tym? – zagadnęła. – Mógłbyś studiować wszędzie. Rozmawiałam z paroma twoimi nauczycielami w Montanie i oni też tak uważają. Myślałeś kiedyś o tym? Tak? To gdzie chciałbyś studiować? – A gdy jej odpowiedział i czekał, aż zacznie się z niego śmiać, ona tylko kiwnęła głową i powiedziała: – Czemu nie.

– Ale – bąknął – myślisz, że przyjmą kogoś takiego jak ja?

Tym razem też się nie roześmiała.

– To prawda, że nie miałeś zbyt… tradycyjnej… edukacji. – Uśmiechnęła się. – Ale testy rozwiązujesz fantastycznie i chociaż prawdopodobnie tak nie uważasz, to zapewniam cię, że wiesz więcej niż większość, jeśli nie wszyscy w twoim wieku. – Westchnęła. – Może jednak masz za co dziękować bratu Luke'owi. – Obserwowała jego minę. – No, więc czemu nie?

Pomagała mu we wszystkim: napisała jedną z potrzebnych rekomendacji, pozwoliła skorzystać ze swojego komputera do napisania eseju (nie pisał o minionym roku; napisał o Montanie, o tym, jak uczył się szukać grzybów i kiełków gorczycy), a nawet opłaciła za niego wpisowe.

Kiedy go przyjęto – z pełnym stypendium, jak przewidziała Ana – powiedział, że to wszystko jej zasługa.

– Bzdura – odparła. Była już wtedy tak chora, że mogła to tylko wyszeptać. – Sam wszystko zrobiłeś.

Później, rozpamiętując ostatnie miesiące, dostrzegł jak w błysku reflektora oznaki jej choroby i to, że w głupim zaabsorbowaniu sobą przegapiał jedną po drugiej: utratę wagi, pożółkłe białka oczu, zmęczenie, bo wszystko to przypisywał… czemu właściwie?

– Nie powinnaś palić – powiedział zaledwie dwa miesiące wcześniej, czując się już przy niej dość pewnie, by móc wygłaszać takie uwagi; była pierwszą dorosłą osobą, wobec kórej to robił.

– Masz rację – odrzekła i spojrzała na niego z ukosa, zaciągając się głęboko, a jego westchnienie skwitowała szerokim uśmiechem.

Nawet wtedy się nie poddawała.

– Jude, musimy o tym pogadać – powiedziała po raz nie wiadomo który, a gdy on pokręcił głową, umilkła. – No to jutro – dodała po chwili. – Obiecujesz? Jutro o tym pogadamy.

– Nie rozumiem, czemu mamy w ogóle o tym rozmawiać – wymamrotał. Wiedział, że czytała jego świadectwa z Montany, wiedział, że ona wie, kim on jest.

Milczała chwilę.

– Jednego się nauczyłam – rzekła w końcu. – Trzeba o tych rzeczach rozmawiać, póki są świeże. Albo już nigdy się o nich nie pomówi. Zamierzam cię nauczyć, jak o nich mówić, bo będzie ci coraz trudniej, im dłużej będziesz to odkładał, i będzie się to jątrzyło w środku i zawsze będziesz myślał, że to ty ponosisz winę. Oczywiście będziesz się mylił, ale zawsze będziesz tak myślał. – Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, ale następnego dnia, gdy Ana znów poruszyła ten temat, pokręcił głową i odwrócił się od niej, chociaż go wołała. – Jude – rzekła stanowczo. – Zbyt długo pozwalałam ci to odkładać. To moja wina.

– Zrób to dla mnie, Jude – prosiła kiedy indziej.

On jednak nie mógł: nie umiał znaleźć odpowiedniego języka do mówienia o tym, nawet z nią. Poza tym nie chciał jeszcze raz przeżywać tamtych lat. Chciał je zapomnieć, udać, że należały do kogoś innego.

W czerwcu była już tak słaba, że nie mogła siadać. Czternaście miesięcy od ich spotkania to ona leżała w łóżku, a on czuwał przy niej. Leslie pracowała na dzienną zmianę w szpitalu, więc najczęściej zostawali w domu sami.

– Słuchaj – powiedziała. Zasychało jej w gardle od jednego z leków, więc krzywiła się, mówiąc. Jude sięgnął po dzbanek z wodą, ale niecierpliwie machnęła ręką. – Leslie zabierze cię na zakupy przed twoim wyjazdem. Spisałam listę rzeczy, których będziesz potrzebował. – Chciał zaprotestować, ale go powstrzymała. – Nie sprzeciwiaj się, Jude. Nie mam na to siły.

Przełknęła. Czekał.

– Poradzisz sobie świetnie w college'u – powiedziała. Przymknęła oczy. – Inni będą cię wypytywać, gdzie się wychowałeś, myślałeś o tym?

– Tak jakby – odpowiedział. O niczym innym nie myślał.

– Hmh – odchrząknęła. Oczywiście mu nie uwierzyła. – I co im powiesz?

Nagle otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

– Nie wiem – przyznał.

– No właśnie. – Zamilkli oboje. – Jude… – zaczęła, ale urwała. – Znajdziesz własny sposób mówienia o tym, co cię spotkało. Będziesz musiał, jeżeli chcesz się kiedykolwiek do kogoś zbliżyć. Ale twoje życie… bez względu na to, co sobie myślisz, nie masz powodu się go wstydzić, bo nic nie było twoją winą. Zapamiętasz to sobie?

W ten sposób zbliżyli się najbardziej do rozmowy nie tylko o ostatnim roku, ale też o latach, które go poprzedzały.

– Tak – odpowiedział.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Obiecaj mi.

– Obiecuję.

Ale nawet wtedy nie potrafiła mu uwierzyć.

Westchnęła.

– Powinnam była bardziej zmuszać cię do mówienia – powiedziała. Były to jej ostatnie słowa do niego. Dwa tygodnie później, trzeciego lipca, już nie żyła. Pogrzeb odbył się tydzień później. Jude miał już wtedy letnią pracę w miejscowej piekarni, gdzie siedział na zapleczu, lukrując ciastka. W pierwszych dniach po pogrzebie tkwił w pracy do późna w nocy, polewając ciastko po ciastku różowym lukrem i starając się nie myśleć o Anie.

Pod koniec czerwca Douglassowie się przeprowadzili, bo pan Douglass dostał nową pracę w San Jose. Zabrali ze sobą Agnes, a Rosie została przeniesiona do innej rodziny. Jude polubił Douglassów, ale gdy go poprosili, aby pozostał z nimi w kontakcie, wiedział, że tego nie zrobi. Rozpaczliwie pragnął wynieść się z życia, w którym tkwił, z życia, które miał; chciał być kimś, kogo nikt nie zna i kto nie zna nikogo.

Umieszczono go w schronisku interwencyjnym. Tak to się oficjalnie nazywało: schronisko interwencyjne. Argumentował, że jest dość dorosły, by zostawili go w spokoju (wyobrażał sobie, niezbyt rozsądnie, że sypiałby w kanciapie na zapleczu piekarni), zresztą za niespełna dwa miesiące i tak wyjeżdżał, całkowicie wyłączał się z systemu opieki, ale nikt go nie słuchał. Schronisko było jedną wielką sypialnią, zdewastowanym plastrem miodu, gdzie nocowały dzieciaki, których – z racji popełnionych przez nie wykroczeń albo wykroczeń popełnionych wobec nich, albo po prostu z racji wieku – rząd nie miał gdzie umieścić.

Gdy przyszła pora jego wyjazdu, dali mu trochę pieniędzy na przybory szkolne. Uświadomił sobie, że są z niego na swój sposób dumni – może nie figurował długo w systemie, ale szedł na studia, i to do bardzo dobrego college'u. Odtąd zawsze będą go uważali za swój sukces. Leslie zawiozła go do sklepu z odzieżą z demobilu. Wybierając rzeczy, które, jak sobie wyobrażał, przydadzą mu się

w nowym życiu – dwa swetry, trzy koszule z długimi rękawami, spodnie i szary koc, który przypominał skłębione wypełnienie wylewające się z kanapy w hallu schroniska – zastanawiał się, czy wybiera to, co należy, czy są to rzeczy, które mogły figurować na liście Any. Dręczyła go myśl, że na tej liście było coś jeszcze, coś ważnego, co zdaniem Any bardzo mu się przyda, ale co? – tego się już nie dowie. Tęsknił za tą listą po nocach, bardziej, niż tęsknił za samą Aną, widział ją w wyobraźni, śmieszne drukowane litery wplecione w pojedyncze słowo, automatyczny ołówek, którego Ana zawsze używała, notesy o żółtych kartkach, pozostałe jej po latach pracy prawnika, w których teraz notowała. Czasem litery zbijały się w słowa, a on w swoim śnionym życiu przeżywał triumf: no tak – myślał sobie – oczywiście! Właśnie tego mi potrzeba! Oczywiście, że Ana wiedziała! Rankiem jednak nigdy nie pamiętał, co to były za rzeczy. W takich chwilach mówił sobie perwersyjnie, że byłoby lepiej, gdyby jej nigdy nie spotkał, bo dużo gorzej było mieć ją przez tak krótki czas, niż nie mieć jej wcale.

Dali mu bilet autobusowy na północ. Leslie przyszła na dworzec, żeby go pożegnać. Spakował swoje rzeczy do dwuwarstwowego czarnego worka na śmieci i wsadził go do plecaka kupionego w sklepie z demobilem: wszystko, co posiadał, zmieściło się w jednej schludnej paczce. W autobusie gapił się przez okno i nie myślał o niczym. Miał nadzieję, że kręgosłup nie zdradzi go podczas jazdy, i nie zdradził.

Przybył do wspólnego pokoju jako pierwszy, a kiedy zjawił się drugi chłopak – był to Malcolm – z rodzicami i walizkami, z książkami, głośnikami, telewizorem, telefonami i komputerami, a nawet z lodówką i flotyllą cyfrowych gadżetów, poczuł pierwszą falę mdlącego lęku, a potem złość skierowaną przeciwko Anie. Jak mogła wierzyć, że on temu sprosta? Jako kto miał się przedstawić? Dlaczego nigdy mu nie powiedziała, jaki naprawdę jest biedny, jaki brzydki, jaką skrwawioną, ubłoconą szmatą jest w rzeczywistości jego życie? Dlaczego pozwoliła mu uwierzyć, że tu jest jego miejsce?

Z upływem miesięcy to uczucie osłabło, ale nie minęło nigdy; trzymało się go jak cienka warstewka pleśni. Lecz w miarę jak ta świadomość stawała się coraz bardziej do przyjęcia, inna dawała się przyjąć coraz mniej, mianowicie ta, że Ana była pierwszą i ostatnią osobą, której nie musiał się z niczego tłumaczyć. Ona wiedziała, że Jude nosi swoje życie na własnej skórze, że jego biografia wyryta jest w jego ciele i jego kościach. Nigdy go nie spytała, dlaczego nie nosi koszul z krótkimi rękawami, nawet przy najparniejszej pogodzie, albo dlaczego nie lubi, żeby go dotykać, albo też, co najistotniejsze, co stało się z jego plecami i nogami. Ona to wiedziała. Przy niej nie odczuwał wiecznego napięcia, które dławiło go przy wszystkich innych ludziach. Ta czujność była wyczerpująca, lecz w końcu stała się po prostu częścią jego życia, odruchowa jak dobra postawa.

Kiedyś Ana wyciągnęła ręce, chcąc go objąć (zrozumiał to z opóźnieniem), lecz on osłonił głowę ramionami w odruchu obrony, i chociaż potem było mu głupio, to Ana nie obudziła w nim poczucia, że się wygłupił lub przesadnie zareagował.

– Kretynka ze mnie, Jude – powiedziała za to. – Przepraszam cię. Żadnych więcej gwałtownych ruchów, obiecuję.

Ale teraz jej nie było i nikt go nie znał. Jego akta zostały zapieczętowane. Na pierwsze Boże Narodzenie Leslie przysłała mu kartkę zaadresowaną na biuro do spraw studenckich, a on tę kartkę przechowywał całymi dniami, bo to było ostatnie ogniwo łączące go z Aną, aż wreszcie ją wyrzucił. Nie odpisał i Leslie też już więcej nie napisała. Rozpoczął nowe życie. Postanowił go nie zrujnować.

A jednak czasami wracał myślą do ich ostatnich rozmów, odtwarzając je na głos. Zdarzało się to nocą, gdy jego współlokatorzy – w rozmaitych konfiguracjach, zależnie od tego, kto akurat był w pokoju – spali nad nim i obok niego. „Niech to milczenie nie wejdzie ci w nawyk", przestrzegła go na krótko przed śmiercią. I: „Złościć się nie jest niczym złym, Jude; nie musisz ukrywać złości". Zawsze uważał, że Ana myli się co do niego – nie był taki, jak sądziła. „Jesteś przeznaczony do wielkich rzeczy, dzieciaku", powiedziała mu kiedyś, a on chciał jej uwierzyć, ale nie umiał. Co do jednego miała jednak rację: robiło się coraz trudniej i trudniej. Obwiniał za to siebie. I chociaż codziennie przypominał sobie daną Anie obietnicę, to oddalała się ona z każdym dniem, aż w końcu stała się tylko wspomnieniem, tak samo jak Ana, ulubiona postać z książki, którą czytał dawno temu.

– Na świecie są dwa rodzaje ludzi – mawiał sędzia Sullivan. – Ci, którzy mają skłonność wierzyć, i ci, którzy jej nie mają. W moim sądzie ceni się wiarę. Wiarę we wszystkie rzeczy.

Często składał tę deklarację, a potem ze stęknięciem dźwigał się na nogi – był bardzo otyły – i kolebiąc się, wychodził z pokoju. Zdarzało się to zazwyczaj pod koniec dnia – dnia pracy Sullivana przynajmniej – kiedy wychodził z sali sądowej i szedł pogadać z aplikantami. Przysiadał na rogu jednego z trzech biurek i wygłaszał krytyczne wykłady przerywane częstymi pauzami, jakby jego pracownicy nie byli prawnikami, lecz skrybami, którzy powinni notować jego słowa. Lecz nikt nie notował, nawet Kerrigan, który był prawdziwie wierzący i najbardziej konserwatywny z nich trzech.

Po wyjściu sędziego Jude uśmiechał się przez cały pokój do Thomasa, który unosił oczy w wyrazie bezradności i skruchy. Thomas też był konserwatystą, ale „myślącym konserwatystą – jak zwykł przypominać – i sam fakt, że w ogóle muszę robić to rozróżnienie, jest kurewsko dołujący".

On i Thomas podjęli pracę u sędziego w tym samym roku. Gdy wiosną na początku drugiego roku studiów zgłosił się do Jude'a nieformalny „komitet rekrutacyjny" sędziego w osobie wykładowcy od stowarzyszeń biznesowych, który od dawna się z sędzią przyjaźnił, Harold namówił go do złożenia

podania o pracę. Sullivan znany był w środowisku sędziowskim z tego, że zawsze zatrudnia jednego pracownika o poglądach politycznych odmiennych niż jego własne, im bardziej odmiennych, tym lepiej. (Jego ostatni pracownik liberał odszedł do pracy w niezależnej grupie walki o prawa Hawajów optującej za secesją wyspy od Stanów Zjednoczonych, którym to zwrotem w karierze wprawił sędziego w apoplektyczne samozadowolenie).

– Sullivan mnie nienawidzi – powiedział Harold z wyraźnym zadowoleniem. – Zatrudni cię, żeby zrobić mi na złość. – Uśmiechnął się, delektując się tą myślą. – No i dlatego że jesteś najbłyskotliwszym studentem, jakiego miałem.

Komplement sprawił, że Jude spuścił wzrok: pochwały Harolda na ogół docierały do niego przez osoby trzecie, rzadko bywały wygłaszane wprost.

– Nie wiem, czy jestem dla niego wystarczająco liberalny – odrzekł.

Z całą pewnością nie był dostatecznie liberalny dla Harolda; właśnie o to między innymi – o jego opinie, jego sposób odczytania prawa, o jego stosowanie prawa do życia – toczyli spory.

Harold fuknął.

– Zaufaj mi – powiedział. – Jesteś.

Gdy w następnym roku Jude pojechał do Waszyngtonu na rozmowę kwalifikacyjną, Sullivan mówił o prawie – i swojej filozofii politycznej – ze znacznie mniejszym wigorem i drobiazgowością, niż Jude się spodziewał.

– Słyszałem, że pan śpiewa – rzekł za to Sullivan po godzinie rozmowy o przedmiocie studiów Jude'a (sędzia kończył tę samą uczelnię prawniczą), o jego pracy jako redaktora artykułów w przeglądzie prawniczym (sędzia podczas studiów sprawował tę samą funkcję), a także o jego opiniach o ostatnich przypadkach prawnych.

– Owszem – przyznał Jude, zastanawiając się, skąd sędzia to wie.

Poprawiał sobie nastrój śpiewaniem, ale rzadko robił to w obecności innych. Czyżby podśpiewywał w gabinecie Harolda i ktoś go podsłuchał? Czasem też podśpiewywał w bibliotece, sortując książki późno wieczorem, gdy wokół panowały cisza i bezruch jak w kościele – czyżby ktoś podsłuchał go tam?

– Proszę mi coś zaśpiewać – zażądał sędzia.

– Czego chciałby pan sędzia posłuchać? – spytał Jude. Normalnie byłby bardziej zdenerwowany, ale słyszał, że sędzia zleci mu jakiś występ (legenda głosiła, że poprzedniemu aplikantowi kazał żonglować), a Sullivan był znanym miłośnikiem opery.

Sędzia przyłożył gruby palec do grubych ust i namyślał się.

– Hmmm – powiedział. – Proszę zaśpiewać mi coś, co opowie mi o panu.

Pomyślał chwilę i zaśpiewał. Sam był zdziwiony tym, co wybrał – *Ich bin der Welt abhanden gekommen* Mahlera – zarówno dlatego, że nawet specjalnie nie lubił Mahlera, jak i dlatego, że *lied* była trudna do wykonania, powolna, żałobna i subtelna, a więc nieodpowiednia dla tenora. A jednak podobał mu się sam wiersz, który nauczyciel ustawienia głosu w college'u zlekceważył jako „drugorzędny romantyzm". Jude podejrzewał, że to wina marnego przekładu. Standardowe tłumaczenie pierwszego wersu brzmiało: „Jestem stracony dla świata", ale Jude odczytywał go jako: „Stałem się stracony dla świata", w której to wersji widział mniej litowania się nad sobą, mniej melodramatyzmu, a więcej rezygnacji i zakłopotania. „Stałem się stracony dla świata / w którym zmarnowałem tyle czasu". *Lied* opowiadała o życiu artysty, którym Jude zdecydowanie nie był. Ale rozumiał, w sposób niemal pierwotny, pojęcie straty, stracenia siebie dla świata, zniknięcia, przeniesienia w jakieś inne miejsce, miejsce odosobnienia i bezpieczeństwa, oraz bliźniacze pragnienie ucieczki i odkrycia. „Nic to dla mnie nie znaczy / Czy świat uzna mnie za zmarłego / Cóż mógłbym rzec, aby zadać temu kłam / Gdyż zaprawdę, nie jestem już częścią tego świata".

Kiedy skończył, otworzył oczy na aplauz i śmiech sędziego.

– Brawo – rzekł sędzia. – Brawo! Ale coś mi się zdaje, że trafił pan do niewłaściwego zawodu. – Znów się roześmiał. – Gdzie się pan nauczył tak śpiewać?

– U zakonników, panie sędzio – odrzekł Jude.

– Aha, mały katolik? – domyślił się sędzia, rozsiadając się szeroko w fotelu, z zadowoloną miną.

– Zostałem wychowany po katolicku – zaczął.

– Ale już nie jest pan katolikiem? – spytał sędzia, marszcząc brwi.

– Nie – przyznał Jude. Latami pracował nad wyeliminowaniem nuty skruchy w głosie, kiedy to mówił.

Sullivan wydał nieokreślone chrząknięcie.

– No cóż, cokolwiek to panu dało, powinno było przynajmniej w części osłonić pana przed tym, czym przez ostatnie lata napełnia panu głowę Harold Stein – powiedział. Zerknął na życiorys Jude'a. – Jest pan badaczem pomocniczym?

– Tak – powiedział. – Od ponad dwóch lat.

– Dobry umysł na straty – podsumował Sullivan (nie było jasne, czy ma na myśli umysł Jude'a, czy Harolda). – Dziękuję za przybycie, będziemy w kontakcie. I dziękuję za *lied*: ma pan jeden z najpiękniejszych tenorów, jakie słyszałem od lat. Jest pan pewien, że obrał właściwą dziedzinę? – To rzekłszy, uśmiechnął się i Jude po raz ostatni widział Sullivana uśmiechającego się tak szczerze i radośnie.

Wróciwszy do Cambridge, zrelacjonował tę rozmowę Haroldowi („To ty śpiewasz?”, zdziwił się Harold, jakby Jude zwierzył mu się, że umie latać), dodając, że jest pewien, że nie otrzyma stanowiska. W tydzień później Sullivan zadzwonił i zaproponował mu pracę. Zdziwił się, ale Harold nie.

– Przecież ci mówiłem – powiedział.

Nazajutrz Jude przyszedł jak zwykle do gabinetu Harolda, ale ten był już w płaszczu.

– Zawieszamy normalną pracę na dzisiaj – oznajmił. – Jesteś mi potrzebny do załatwienia paru rzeczy. – Było to niezwykłe, ale Harold był niezwykły. – Chcesz poprowadzić?

– Jasne – odrzekł Jude i usiadł po stronie kierowcy.

Nauczył się jeździć tym samochodem zaledwie rok wcześniej, z Haroldem, który siedział obok, znacznie cierpliwszy w aucie niż w sali wykładowej. „Dobrze – mówił. – Odpuść jeszcze trochę sprzęgło. Tak dobrze. Dobrze, Jude, dobrze”.

Harold musiał odebrać kilka koszul, które dał do przeróbki, więc pojechali do małego, drogiego sklepu z modą męską na skraju placu, przy którym Willem przepracował ostatni rok studiów.

– Wejdź ze mną – powiedział Harold. – Będę potrzebował tragarza do pomocy.

– O raju, Harold, to ileś ty kupił tych koszul? – spytał Jude. Harold miał szafę niezmiennie pełną niebieskich koszul, białych koszul, brązowych spodni sztruksowych (na zimę), spodni lnianych (na wiosnę i lato) oraz swetrów w rozmaitych odcieniach zieleni i błękitu.

– Cicho bądź – zgasił go Harold.

W sklepie udał się na poszukiwanie sprzedawcy, a Jude czekał, przesuwając palcami po krawatach wystawionych w gablotkach, pozwijanych i lśniących niczym ciastka. Malcolm podarował mu swoje dwa stare bawełniane garnitury, które Jude kazał dopasować i nosił przez oba semestry letnie, ale na rozmowę z Sullivanem musiał pożyczyć garnitur od kolegi z pokoju, w związku z czym przez cały czas, gdy miał go na sobie, starał się poruszać jak najostrożniej, świadom jego dużego rozmiaru i wyśmienitego gatunku wełny.

Nagle:

– To on – usłyszał głos Harolda, a kiedy się odwrócił, Harold stał z drobnym człowieczkiem uzbrojonym w centymetr krawiecki udrapowany na szyi na podobieństwo boa. – Będzie potrzebował dwóch garniturów: ciemnoszarego i granatowego, i powiedzmy, z tuzina koszul, paru swetrów, kilku krawatów, skarpetek, butów, bo nie ma nic. – Do Jude’a zaś skinął głową i powiedział: – To jest Marco. Wracam za jakieś dwie godzinki.

– Zaczekaj – zawołał Jude. – Harold. Co ty wyprawiasz?

– Jude – odparł tamten – musisz w czymś chodzić. Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale nie możesz pokazać się w biurze Sullivana ubrany w to, co masz.

Jude był zażenowany: swoim strojem, swoją nieodpowiedniością i szczodrością Harolda.

– Wiem – odparł. – Ale nie mogę tego przyjąć, Harold.

Ciągnąłby dalej, ale Harold wszedł pomiędzy niego a Marco i obrócił go twarzą do siebie.

– Jude – powiedział – przyjmij. Zarobiłeś na to. Co więcej, potrzebujesz tego. Nie pozwolę, żebyś mnie upokorzył przed Sullivanem. Poza tym zapłaciłem z góry i nie oddadzą mi pieniędzy. Prawda, Marco? – zawołał do tyłu.

– Prawda – odrzekł natychmiast Marco.

– Och, dajże spokój, Jude – zniecierpliwił się Harold, widząc, że Jude szykuje się, by coś powiedzieć. – Muszę lecieć.

I wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Tak oto Jude znalazł się przed trójdzielnym lustrem, by obserwować odbicie Marca uwijającego się przy jego kostkach, ale gdy krawiec sięgnął w górę, chcąc zmierzyć wewnętrzną długość nogawki, wzdrygnął się odruchowo.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział Marco jak do nerwowego konia i poklepał Jude'a po udzie, też jak konia, a gdy Jude wierzgnął mimowolnie przy mierzeniu drugiej nogi, Marco wycedził przez zęby: – Hej! Mam szpilki w ustach.

– Przepraszam – powiedział Jude i odtąd stał sztywno.

Gdy Marco skończył, Jude spojrzał na siebie w nowym garniturze: były w tym taka anonimowość, takie bezpieczeństwo. Nawet gdyby ktoś przypadkowo otarł się o jego plecy, Jude miał na sobie dość warstw, żeby nie dało się wyczuć krawędzi blizn. Wszystko było zakryte, wszystko było ukryte. Gdy stał spokojnie, mógł być kimkolwiek, kimś bezbarwnym i niewidzialnym.

– Myślę, że może zbierzemy jeszcze cal – powiedział Marco, ściągając dwoma palcami marynarkę w talii. Strzepnął parę nitek z rękawa. – Teraz zostaje panu tylko porządnie się ostrzyc.

Jude zastał Harolda w dziale krawatów, czytającego jakiś magazyn.

– Załatwiłeś swoje sprawy? – spytał, jakby cała wycieczka była jego pomysłem, a Harold tylko uległ jego kaprysowi.

Przy wczesnym obiedzie znowu spróbował podziękować Haroldowi, ale ten każdą próbę z jego strony powstrzymywał z rosnącym zniecierpliwieniem.

– Nikt ci nigdy nie mówił, Jude, że czasem trzeba coś po prostu przyjąć? – zapytał wreszcie.

– Ty sam mi mówiłeś, żeby nigdy niczego nie przyjmować po prostu – przypomniał mu Jude.

– To na uczelni i w sądzie – uściślił Harold. – Nie w życiu. W życiu, widzisz, Jude, czasami miłe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom. Nie musisz się martwić, nie zdarzają się tak często, jak powinny. Ale gdy się zdarzają, dobrym ludziom pozostaje tylko powiedzieć „dziękuję" i iść dalej, i ewentualnie

pomyśleć, że osobie, która zrobiła miłą rzecz, też to sprawiło frajdę, więc ta osoba nie ma chęci wysłuchiwać wszystkich powodów, dla których ktoś, komu sprawiła przyjemność, uważa, że na to nie zasługuje lub że jest tego niegodna.

Więc Jude się zamknął, a po obiedzie Harold odwiózł go do mieszkania na Hereford Street.

– A poza tym – rzucił Harold, gdy dojechali na miejsce – wyglądałeś naprawdę bardzo dobrze. Jesteś strasznie przystojnym szczeniakiem; mam nadzieję, że już ci to ktoś mówił. – I zanim Jude zdążył zaprotestować, dodał: – Akceptacja, pamiętaj.

Więc Jude przełknął to, co chciał powiedzieć.

– Dziękuję ci, Harold. Za wszystko.

– Nie ma za co, Jude. Do zobaczenia w poniedziałek.

Stał na chodniku i patrzył, jak samochód Harolda odjeżdża, a potem wszedł na górę do swojego mieszkania, które znajdowało się na drugim piętrze kamienicy z czerwonobrązowego piaskowca, przylegającej do gmachu bractwa MIT. Właściciel kamienicy, emerytowany profesor socjologii, mieszkał na parterze, a pozostałe trzy piętra wynajmował studentom: na samej górze mieszkali Santosh i Federico, którzy robili doktoraty z inżynierii elektrycznej na MIT, a na drugim piętrze Janusz i Isidore, dwaj kandydaci Harvardu z otwartym przewodem doktorskim – Janusz z biochemii, a Isidore z religii bliskowschodnich. Pod nimi mieszkał Jude z Charliem Ma, który naprawdę nazywał się Chien-Ming Ma, więc wszyscy wołali go CM. CM był stażystą w Tufts Medical Center i pracował według harmonogramu odwrotnego niż Jude. Gdy Jude się budził, drzwi CM były zamknięte i słychać było jego wilgotne, nosowe chrapanie, a gdy Jude wracał do domu o ósmej wieczorem po pracy z Haroldem, CM już nie było. To, co fragmentarycznie poznał u CM, podobało się Jude'owi. CM pochodził z Tajpej, chodził do szkoły z internatem w Connecticut i miał senny, łobuzerski uśmiech, który skłaniał do wzajemnego uśmiechu; poza tym CM był przyjacielem przyjaciela Andy'ego i dzięki temu się poznali. Mimo pozorów wiecznego rozleniwienia CM był w dodatku porządnicki i lubił gotować. Nieraz, gdy Jude wracał do domu, czekał na niego pośrodku stołu talerz smażonych pierożków z karteczką ZJEDZ MNIE, czasami też dostawał esemes z poleceniem przewrócenia kurczaka w marynacie albo z prośbą o kupienie pęczka kolendry w drodze do domu. Zawsze spełniał polecenie, a potem znajdował potrawkę z kurczęcia lub naleśniki z farszem przyprawionym kolendrą. Co parę miesięcy, gdy ich układ zajęć pozwalał, spotykali się całą szóstką w mieszkaniu Santosha i Federica – bo było największe – jedli coś i grali w pokera. Janusz i Isidore martwili się, że ich dziewczyny uważają ich za gejów, bo stale przebywali razem (CM spojrzał na Jude'a wymownie: założył się z nim o dwadzieścia dolarów, że ci dwaj ze sobą sypiają i tylko udają hetero – tak czy owak,

rzecz nie do udowodnienia), a Santosh i Federico skarżyli się na głupotę swoich studentów i na to, jak poziom MIT obniżył się od czasu, gdy sami tam studiowali pięć lat wcześniej.

Mieszkanie Jude'a i CM było najmniejsze ze wszystkich, bo gospodarz zaanektował pół piętra na swoją graciarnię. CM płacił wyższy czynsz, więc miał sypialnię. Jude zajmował część salonu, tę z wykuszowym oknem. Jego łóżkiem był prostokąt pianki, książki trzymał równo ustawione pod parapetem; miał jeszcze lampkę oraz papierowy parawan dla zapewnienia sobie minimum prywatności. Na spółkę z CM kupili duży drewniany stół, który wstawili do wnęki w jadalni, a przy nim dwa składane metalowe krzesła, jedno wyrzucone przez Janusza, a drugie od Federica. Połowa stołu należała do Jude'a, połowa do CM, i obie były zarzucone książkami i papierami, na obu stały laptopy, dzień i noc emitując ćwierkanie i burczenie. Wszyscy dziwili się, jak ponure jest to mieszkanie, lecz on właściwie przestał to dostrzegać – chociaż nie całkowicie.

Jude siedział na podłodze przed trzema kartonowymi pudłami, w których trzymał ubrania, i z opakowań z białej bibułki wyjmował nowe swetry, koszule, skarpety i buty. Układał je sztuka po sztuce na kolanach. Były to najładniejsze rzeczy, jakie dotąd posiadał, i wydało mu się, że szkoda je chować do kartonów przeznaczonych do przechowywania tekturowych teczek. W końcu więc poowijał wszystko z powrotem i ostrożnie popakował do sklepowych toreb.

Szczodrość prezentu Harolda wytrąciła go z równowagi. Po pierwsze, sam prezent: Jude jeszcze nigdy, przenigdy nie otrzymał nic tak wspaniałego. Po drugie, niemożliwość odwdzięczenia się kiedykolwiek Haroldowi. I po trzecie, znaczenie tego gestu: Jude od pewnego czasu wiedział, że Harold darzy go szacunkiem, a nawet lubi jego towarzystwo. Lecz czy było możliwe, by Jude był kimś ważnym dla Harolda, by Harold lubił go bardziej niż po prostu studenta – jak prawdziwego, najprawdziwszego przyjaciela? Jeśli tak, to czemu on się tym tak gryzie?

Upłynęło wiele miesięcy, zanim poczuł się swobodnie w obecności Harolda: nie w sali wykładowej czy jego gabinecie, ale poza uczelnią, poza gabinetem. W życiu, jak by powiedział Harold. Jude wracał do siebie po kolacji u Harolda i czuł nagłą falę ulgi. Wiedział dlaczego, chociaż nie chciał się do tego przyznać przed sobą samym. Doświadczenie go uczyło, że mężczyźni – dorośli mężczyźni, do których siebie jeszcze nie zaliczał – interesowali się nim z jednego powodu, dlatego nauczył się ich bać. Ale Harold nie wyglądał na jednego z takich mężczyzn (chociaż brat Luke też na takiego nie wyglądał). Jude bał się wszystkiego, jak mu się czasem wydawało, i nienawidził się za to. Lęk i nienawiść, lęk i nienawiść: czasami miał wrażenie, że nie posiada innych cech. Lęk przed wszystkimi i nienawiść do siebie.

Słyszał o Haroldzie, zanim go poznał, ponieważ Harold był sławny. Należał do bezlitosnych pytaczy: każda uwaga wypowiedziana przez studenta na zajęciach była momentalnie podchwytywana

i rozpoczynał się nieskończony ciąg „dlaczego”. Harold był schludny i wysoki, a gdy się czymś emocjonował, miał zwyczaj dreptać w kółko, lekko pochylony do przodu.

Ku swemu rozczarowaniu Jude bardzo niewiele pamiętał z pierwszorocznego kursu o zawieraniu umów prowadzonego przez Harolda. Nie pamiętał na przykład szczegółów swojej pracy, która zaciekawiła Harolda i doprowadziła do rozmów poza salą wykładową, a w końcu do propozycji asystentury. Nie pamiętał niczego szczególnie ciekawego, co sam mówiłby na zajęciach. Pamiętał za to Harolda z pierwszego dnia semestru, krążącego bez ustanku i niskim, szybkim głosem wygłaszającego wykład.

– Jesteście w grupie pierwszej L – oznajmił Harold. – I gratuluję wam wszystkim. Jako pierwszą L obowiązuje was dość typowy zestaw kursów: umowy, delikty, własność, procedura cywilna, a w przyszłym roku prawo konstytucyjne i kryminalne. Ale to już wiecie. Czego może nie wiecie, to tego, że ten zestaw kursów odzwierciedla w sposób piękny i prosty strukturę naszego społeczeństwa, mechanizm tego, czego społeczeństwo, nasze konkretne społeczeństwo, potrzebuje do sprawnego funkcjonowania. Aby stworzyć społeczeństwo, potrzeba najpierw ram instytucjonalnych: to prawo konstytucyjne. Potrzeba systemu karania: to prawo karne. Trzeba mieć system zapewniający funkcjonowanie pozostałych systemów: to procedura cywilna. Potrzeba sposobu zarządzania kwestiami posiadania: to prawo własności. Obywatel musi wiedzieć, że ktoś jest finansowo odpowiedzialny za szkody wyrządzone mu przez innych: to prawo o deliktach. No i wreszcie potrzebna jest gwarancja, że ludzie będą dotrzymywali zawartych umów, że będą spełniali swoje obietnice: i to są umowy.

Zrobił pauzę.

– Nie chcę uogólniać, ale założę się, że połowa z was znalazła się tutaj po to, żeby kiedyś zdzierać z ludzi pieniądze, a druga dlatego, że wierzy, iż zmieni świat. Jesteście tutaj, bo marzycie o sporach przed Sądem Najwyższym, bo uważacie, że prawdziwym wyzwaniem dla prawa są białe plamy pomiędzy wersami konstytucji. A ja jestem tutaj po to, żeby wam powiedzieć, że tak nie jest. Najprawdziwszą, najbardziej angażującą emocjonalnie, najbogatszą domeną prawa są umowy. Umowy to nie tylko kartki papieru obiecujące wam pracę albo dom, albo spadek. W najczystszym, najprawdziwszym, najszerszym sensie umowy rządzą każdą dziedziną życia. Gdy decydujemy się żyć w społeczeństwie, wybieramy życie na mocy umów i zobowiązujemy się przestrzegać reguł, jakie umowy nam dyktują. Już sama konstytucja jest umową, jakkolwiek umową negocjowaną, a pytanie, jak dalece jest negocjowana, pada dokładnie w miejscu, gdzie prawo przecina się z polityką. Na mocy tych umów obiecujemy nie zabijać, płacić podatki i nie kraść. Lecz w tym przypadku jesteśmy zarazem

twórcami, jak i wykonawcami umowy: jako obywatele tego kraju przyjęliśmy na siebie, od urodzenia, obowiązek respektowania umowy społecznej i spełniania jej nakazów, co czynimy każdego dnia.

Na tych zajęciach poznacie naturalnie mechanizm umów – jak się je tworzy, jak łamie, jak dalece są obowiązujące i jak można je rozwiązywać – ale będziecie też proszeni o postrzeganie samego prawa jako serii umów. Niektóre z nich są bardziej sprawiedliwe (ten jeden raz pozwolę wam tak powiedzieć) niż inne. Lecz sprawiedliwość to nie jedyny, nawet nie najważniejszy wzgląd, jakim kieruje się prawo: prawo nie zawsze jest fair. Umowy nie zawsze są fair. Ale czasami niesprawiedliwość jest nieunikniona, gdyż okazuje się niezbędna dla prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa. Na tych zajęciach poznacie różnicę między tym, co jest fair, a tym, co jest sprawiedliwe, i co równie ważne: między tym, co jest fair, a tym, co jest konieczne. Dowiecie się o zobowiązaniach, jakie mamy wobec siebie wzajemnie jako członkowie społeczeństwa, i o tym, jak dalece społeczeństwu wolno wymuszać owe zobowiązania. Nauczycie się widzieć własne życie, życie nas wszystkich, jako serię ugód, a to każe wam przemyśleć od nowa nie tylko prawo, ale sam ten kraj i wasze w nim miejsce.

Porwała go mowa Harolda, a także to, co odkrył w następnych tygodniach: oryginalność jego myślenia i jego zwyczaj stawania przed grupą w pozie dyrygenta i rozciągania argumentów studenta w dziwaczne i niewyobrażalne formacje. Któregoś razu dość łagodna dyskusja o prawie do prywatności – zdaniem Harolda najulubieńszym, a zarazem najbardziej mglistym prawie konstytucyjnym, jako że definicje Harolda często ignorowały konwencjonalne granice, przeskakując radośnie w inne dziedziny prawa – doprowadziła ich do sporu o aborcję, która w opinii Jude'a była nie do obrony na gruncie moralnym, lecz bywała koniecznością na gruncie społecznym.

– Aha! – zareagował Harold; był jednym z nielicznych profesorów, którzy sięgali nie tylko po argumenty prawne, ale też moralne. – A niech mi pan powie, St. Francis, co się stanie, gdy pominiemy moralność w prawie zarządzania społeczeństwem? Gdzie jest granica, za którą kraj i jego ludność powinny uznać kontrolę społeczną za stojącą ponad poczuciem moralności? Czy taka granica w ogóle istnieje? Nie jestem o tym przekonany.

On jednak obstawał przy swoim, a grupa zamarła, obserwując przebieg debaty.

Harold był autorem trzech książek, ale dopiero ostatnia, *Amerykański uścisk dłoni. Obietnice i niedostatki Deklaracji Niepodległości,* przyniosła mu sławę. Książka ta, którą Jude przeczytał, jeszcze zanim poznał Harolda, była prawną interpretacją Deklaracji Niepodległości, analizą, które z jej obietnic zostały dotrzymane, a które nie, i stawiała pytanie, czy gdyby pisana była dzisiaj, oparłaby się tendencjom współczesnej jurysprudencji. („Krótka odpowiedź: nie", napisał recenzent „Timesa"). Teraz Harold zbierał materiały do czwartej książki, mającej być czymś w rodzaju drugiej części *Amerykańskiego uścisku dłoni*: o konstytucji, w podobnym ujęciu.

– Ale tylko o Karcie Praw i co seksowniejszych poprawkach – zastrzegł Harold, prowadząc z Jude'em rozmowę kwalifikacyjną.

– Nie wiedziałem, że niektóre są seksowniejsze od innych – odparł Jude.

– Oczywiście, że tak jest – zapewnił go Harold. – Tylko jedenasta, dwunasta, czternasta i szesnasta poprawka są sexy. Reszta to w zasadzie odpady polityki przeszłości.

– Trzynasta to śmieć? – zdziwił się Jude z niemałym zadowoleniem.

– Nie powiedziałem, że śmieć – sprostował Harold. – Po prostu nie jest sexy.

– Myślę, że odpad i śmieć to to samo.

Harold westchnął teatralnie, porwał z biurka słownik, otworzył na właściwej stronie i wczytywał się przez chwilę.

– Okej, no dobrze – powiedział, odrzucając słownik na stertę papierów, która obsunęła się ku krawędzi blatu. – Definicja trzecia. Ale ja miałem na myśli pierwszą: resztki, pozostałości, czyli *relikty* przeszłości politycznej. Zadowolony?

– Tak – odrzekł, starając się nie uśmiechnąć.

Zaczął pracować u Harolda w poniedziałki, środy i piątki, popołudniami i wieczorami, kiedy w programie były najlżejsze kursy. We wtorki i czwartki miał popołudniowe seminaria na MIT, gdzie robił magisterium, a wieczorami pracował w bibliotece, w soboty zaś miał rano dyżur w bibliotece, a po południu zatrudniony był w piekarni Batter (mieszczącej się w pobliżu college'u medycznego), gdzie pracował od pierwszych lat studiów, wykonując specjalne zamówienia: dekorował ciastka i lepił setki cukrowych płatków oraz eksperymentował z różnymi przepisami, z których jeden, ciasto „dziesięć orzechów", stał się przebojem piekarni. Pracował w Batter również w niedziele i któregoś dnia Allison, właścicielka, która powierzała mu bardziej skomplikowane zadania, przyniosła zamówienie na trzy tuziny ciasteczek z dekoracją mającą przypominać różne odmiany bakterii.

– Pomyślałam sobie, że tylko ty jakoś z tego wybrniesz – powiedziała. – Żona klienta jest mikrobiologiem i mąż chce sprawić niespodziankę jej i całemu laboratorium.

– Przeprowadzę rozeznanie – obiecał Jude.

Przyjmując od niej kartkę, zwrócił uwagę na nazwisko klienta: Harold Stein. Dotrzymał słowa, wypytał CM oraz Janusza i upiekł ciasteczka w kształcie powyginanych płatków, kulek gałki muszkatołowej, ogórków, a z różnych kolorów lukru zrobił na wierzchu cytoplazmę, błony komórkowe i rybosomy, za wici zaś posłużyły włókna lukrecji. Wypisał na maszynie specyfikację ciastek i włożył ją do pudełka, po czym je zamknął i obwiązał sznurkiem. Nie znał jeszcze Harolda zbyt dobrze, ale podobała mu się myśl, że zrobi coś dla niego, że wywrze na nim wrażenie, choćby anonimowo. Lubił też zastanawiać się, co ma zostać uczczone jego ciastkami: publikacja? rocznica?

A może to zwyczajne pantoflarstwo? Czy Harold Stein był osobą, która potrafi bez powodu wpaść do laboratorium, gdzie pracuje żona, z paczką ciastek? Podejrzewał, że tak może być.

W następnym tygodniu Harold opowiedział mu o niesamowitych ciastkach, jakie upiekli dla niego w Batter. Jego entuzjazm, który zaledwie parę godzin wcześniej skierowany był na jednolity kodeks handlowy, znalazł nowe ujście w postaci zachwytu nad ciasteczkami. Jude siedział, przygryzając wnętrze policzka, żeby się nie uśmiechnąć, i słuchał, jak Harold opowiada, jaki to geniusz stworzył te cuda i jak całe laboratorium Julii rozdziawiło gęby na widok szczegółowości i podobieństwa wizerunków, i jak sam stał się na krótko bohaterem laboratorium.

– A z nimi niełatwo o sukces, bo uważają, że każdy humanista to półgłówek.

– Brzmi to tak, jakby te ciastka robił jakiś maniak – powiedział Jude. Nie mówił Haroldowi, że pracuje w Batter, i nie zamierzał tego zdradzić.

– W takim razie jest to maniak, którego chętnie bym poznał – stwierdził Harold. – A do tego jeszcze były pyszne.

– Mmm – mruknął Jude, namyślając się, jakie by tu pytanie zadać Haroldowi, żeby przestał rozprawiać o ciastkach.

Harold miał też oczywiście innych badaczy pomocniczych – dwóch z drugiego roku i jednego z trzeciego; Jude ledwo ich znał – ale ich plany zajęć były takie, że nie wchodzili sobie w drogę. Czasami komunikowali się między sobą mejlami, podając miejsce, do którego doprowadzili badanie, żeby następna osoba mogła je kontynuować. Ale gdy był na drugim semestrze pierwszego roku, Harold zlecił mu pracę wyłącznie nad piątą poprawką.

– Ta jest dobra – powiedział. – Niewiarygodnie seksowna.

Dwóm asystentom z drugiego roku przypadła w udziale poprawka dziewiąta, a temu z trzeciego dziesiąta, więc Jude, chociaż wiedział, że to śmieszne, mimo woli poczuł się dumny, jakby otrzymał przywilej niedostępny dla tamtych.

Pierwsze zaproszenie na kolację do Harolda padło spontanicznie, po pewnym zimnym, ciemnym marcowym popołudniu.

– Jesteś pewien? – spytał ostrożnie Jude.

Harold spojrzał na niego, zaciekawiony.

– Oczywiście – odrzekł. – To tylko kolacja. Człowiek musi jeść, tak czy nie?

Harold mieszkał w trzypiętrowym domu w Cambridge, na skraju kampusu.

– Nie wiedziałem, że tu mieszkasz – powiedział Jude, gdy Harold zajechał na podjazd. – To jedna z moich ulubionych ulic. Chodziłem nią codziennie, bo to był skrót na drugą stronę kampusu.

– I ty, i wszyscy inni – odrzekł Harold. – Kiedy kupiłem ten dom tuż przed rozwodem, wszystkie sąsiednie zajmowali doktoranci; wszędzie odpadały okiennice. Smród trawy był tak zawiesisty, że można było się ujarać, przejeżdżając.

Padał śnieg, drobny, ale Jude ucieszył się, że tylko dwa stopnie prowadzą do drzwi, więc nie musiał się bać, że się poślizgnie albo będzie potrzebował pomocy Harolda. Wewnątrz dom pachniał masłem, pieprzem i krochmalem. Makaron, pomyślał Jude. Harold rzucił teczkę na podłogę i oprowadził go pobieżnie – „Salon, za nim gabinet; kuchnia i jadalnia po lewej" – po czym Jude poznał Julię, która była wysoka jak Harold i miała krótkie brązowe włosy. Z miejsca ją polubił.

– Jude! – powiedziała. – Nareszcie! Tak wiele o tobie słyszałam; strasznie się cieszę, że cię w końcu poznam.

Brzmiało to szczerze, pomyślał.

Podczas kolacji rozmawiali. Julia pochodziła z profesorskiej rodziny z Oksfordu i mieszkała w Ameryce od czasu studiów na Stanfordzie; poznali się z Haroldem pięć lat wcześniej przez jej przyjaciółkę. W laboratorium Julii badano nowego wirusa, który okazał się odmianą H5N1; próbowali mapować jego genom.

– Czy jedną z obaw mikrobiologów jest możliwość użycia tych genomów jako broni? – spytał Jude i poczuł raczej, niż zobaczył, że Harold odwraca się ku niemu.

– Właśnie tak – przyznała Julia, po czym wyjaśniła mu kontrowersje wokół pracy swojej i kolegów.

Jude zerknął na Harolda, który go obserwował i uniósł ku niemu brew w wyrazie, którego Jude nie umiał zinterpretować. Potem jednak zmienili temat i Jude stwierdził, że dyskusja stopniowo oddala się od laboratorium Julii, a nieuchronnie zbliża do niego samego; przekonał się, jakim zręcznym prawnikiem potrafi być Harold, kiedy zechce; docenił jego sprawność w odwracaniu kierunku rozmowy i zmienianiu tematu, niemal jakby ich konwersacja miała postać ciekłą, a Harold przepuszczał ją przez ciąg korytek i rynienek, eliminując na jej drodze wszelkie inne opcje, aż dosięgnie nieuchronnego końca.

– No a ty, Jude? – zagadnęła Julia. – Gdzie się wychowałeś?

– Głównie w Dakocie Południowej i Montanie – odrzekł, czując, jak jego wewnętrzne stworzenie podnosi głowę, świadome zagrożenia, ale niezdolne uciec.

– Czyli masz bogatych rodziców? – spytał Harold.

Jude nauczył się przez lata antycypować ten rodzaj przesłuchania i wymigiwać się od niego.

– Nie – odpowiedział – ale oczywiście wielu moich znajomych miało. To piękne okolice; czy spędziliście jakiś czas na zachodzie?

To zazwyczaj wystarczało, lecz nie wystarczyło Haroldowi.

– Ha! – krzyknął. – To najbardziej śliski zwrot, jaki słyszałem od długiego czasu. – Przyjrzał się Jude'owi bacznie, tak bacznie, że ten w końcu spuścił wzrok na talerz. – Rozumiem, że w ten sposób dajesz nam do zrozumienia, że nie zamierzasz zdradzić, czym się zajmują twoi rodzice?

– Och, daj mu spokój – powiedziała Julia, on jednak czuł na sobie wzrok Harolda i z ulgą przyjął zakończenie kolacji.

Po pierwszym wieczorze u Harolda ich relacja stała się głębsza i zarazem trudniejsza. Jude czuł, że obudził ciekawość Harolda, którą wyobraził sobie jako czujnego, bystrookiego teriera, pilnego i nieustępliwego, i wcale nie był pewien, czy to dobrze. Chciał lepiej poznać Harolda, ale przy kolacji przypomniano mu, że ten proces – poznawanie drugiej osoby – jest znacznie większym wyzwaniem, niż to zapamiętał. Zawsze zapominał i zawsze mu to przypominano. Pragnął, jak mu się często zdarzało, żeby cała ta sekwencja – wyznawanie intymnych szczegółów, odkrywanie przeszłości – mogła zostać odsunięta w przeszłość, a on przeniósłby się po prostu do następnego etapu, gdy wzajemna relacja jest czymś miękkim, podatnym i przyjemnym, gdy granice obu stron zostały już zrozumiane i są respektowane.

Innym ludziom zdarzało się podejmować jeszcze kilka prób wypytania go, a potem zostawiali go w spokoju – robili tak jego przyjaciele, koledzy studenci, pozostali profesorowie – ale Harold nie dał się łatwo zrazić. Nawet zwykłe strategie Jude'a (na przykład przekonywanie rozmówców, że on chciałby posłuchać o *ich* życiu, zamiast mówić o własnym, która to taktyka, prócz skuteczności, miała tę zaletę, że była prawdą) nie działały na Harolda. Jude nigdy nie wiedział, kiedy Harold znów przypuści atak, a ilekroć to czynił, Jude był nieprzygotowany, więc czuł, że spina się coraz bardziej, zamiast coraz mniej, im dłużej ze sobą przebywali.

Siedzieli na przykład w gabinecie Harolda, rozmawiając o czymś – powiedzmy, o akcji afirmatywnej Uniwersytetu Wirginii rozpatrywanej przed Sądem Najwyższym – gdy Harold pytał znienacka:

– Jakie są twoje korzenie etniczne, Jude?

– Rozmaite – odpowiadał i zaraz usiłował zmienić temat, choćby przez strącenie na ziemię sterty książek dla odwrócenia uwagi.

Czasami jednak pytania padały bez kontekstu i całkiem przypadkowo i tych nie dało się przewidzieć. Któregoś wieczoru Jude siedział z Haroldem w gabinecie: pracowali do późna i Harold zamówił kolację. Na deser kupił ciastka i brownie; podsunął Jude'owi papierowe torby.

– Nie, dziękuję.

– Naprawdę? – zdziwił się Harold, unosząc brwi. – Mój syn za nimi przepadał. Próbowaliśmy upiec takie w domu, ale zawsze coś poknociliśmy w przepisie. – Przełamał brownie na pół. – A twoi rodzice często piekli dla ciebie ciasteczka, jak byłeś mały?

Harold zadawał takie pytania z rozmyślną nonszalancją, która dla Jude'a była niemal nieznośna.

– Nie – odparł, udając, że przegląda notatki.

Słyszał, jak Harold żuje i bez wątpienia zastanawia się, czy się wycofać, czy kontynuować indagację.

– Często widujesz się z rodzicami? – spytał ni stąd, ni zowąd innego wieczoru.

– Nie żyją – odrzekł Jude, nie odrywając wzroku od tekstu.

– Przykro mi, Jude – rzekł Harold po chwili ciszy, a szczerość jego tonu kazała Jude'owi podnieść oczy. – Moi też. Od stosunkowo niedawna. Tyle że, oczywiście, jestem od ciebie znacznie starszy.

– Przykro mi, Harold – powiedział Jude. I dodał, domyśliwszy się: – Byłeś z nimi blisko.

– To prawda – przyznał Harold. – Bardzo. A ty ze swoimi?

Jude pokręcił głową.

– Nie, w zasadzie nie.

Harold milczał.

– Ale założę się, że byli z ciebie dumni – rzekł po chwili.

Ilekroć Harold zadawał mu osobiste pytania, Jude czuł, jak przechodzi przezeń coś zimnego, jakby go mrożono od wewnątrz, pokrywając jego organy i nerwy osłonką lodu. W tamtej chwili poczuł jednak, że może się złamać, że jeżeli wypowie chociaż słowo, lód popęka, a on sam rozpadnie się w drzazgi. Odczekał więc do momentu, gdy był pewien, że jego głos zabrzmi normalnie, zanim spytał Harolda, czy potrzebuje go jeszcze do wyszukania reszty artykułów, czy też mógłby to zrobić jutro rano. Nie patrzył jednak na Harolda i mówił do notesu.

Harold długo nie odpowiadał.

– Jutro – rzekł w końcu cicho, więc Jude skinął głową i zebrał swoje rzeczy do domu na noc, świadom, że oczy Harolda śledzą jego kuśtykanie do drzwi.

Harold był ciekaw, jak Jude'a wychowywano, czy miał rodzeństwo, kim byli jego przyjaciele i co razem z nimi robił: chciwie pożądał informacji. Jude był w stanie odpowiedzieć przynajmniej na ostatnie pytania – opowiedział Haroldowi o przyjaciołach, o tym, jak się poznali, o ich obecnych adresach: Malcolm studiował na Columbii, JB i Willem na Yale. Lubił odpowiadać na pytania Harolda o przyjaciół, lubił o nich mówić, lubił słyszeć śmiech Harolda, gdy opowiadał mu historie o kolegach. Opowiedział mu o CM, o tym, że Santosh i Federico są w konflikcie ze studentami inżynierii mieszkającymi w sąsiednim gmachu bractwa, i o tym, jak obudził się któregoś ranka i ujrzał flotyllę

ręcznej roboty sterowców, wykonanych z kondomów, a za każdym powiewała karteczka z napisem: SANTOSH JAIN I FEDERICO DE ANGELIS MAJĄ MIKROPENISY.

Ale gdy Harold zadawał inne pytania, Jude czuł się przytłoczony ich wagą, częstotliwością i nieuchronnością. A czasem powietrze tak się rozgrzewało od niezadanych pytań Harolda, że robiło się równie dokuczliwie, jak gdyby Harold je zadał. Ludzie tak dużo chcieli wiedzieć, oczekiwali tak wielu odpowiedzi. Ale on to rozumiał, naprawdę – sam też łaknął odpowiedzi: też chciał wiedzieć wszystko. Był więc wdzięczny swoim przyjaciołom, że stosunkowo mało drążą, że zostawiają go w spokoju, jak pustą, nijaką prerię, pod której żółtą powierzchnią wiją się w czarnej ziemi gąsienice i żuki i zalegają odłamki kości z upływem lat wapniejące w kamień.

– Ty naprawdę jesteś ciekawski – warknął kiedyś na Harolda sfrustrowany, gdy ten spytał go, czy z kimś chodzi, po czym, słysząc własny ton, zaraz przeprosił. Znali się już wtedy prawie rok.

– Ciekawski? – powtórzył Harold, ignorując przeprosiny. – Ja się tobą interesuję. Nie widzę w tym nic dziwnego. O takich rzeczach rozmawiają przyjaciele.

Pomimo dyskomfortu Jude wciąż wracał do Harolda i przyjmował zaproszenia na kolacje, chociaż podczas każdego spotkania zdarzał się moment, w którym pragnął zniknąć bez śladu, albo martwił się, że sprawił zawód.

Któregoś wieczoru przyszedł na kolację do Harolda i został przedstawiony jego najlepszemu przyjacielowi, Laurence'owi, którego Harold poznał na studiach prawniczych, a który teraz był sędzią sądu apelacyjnego w Bostonie, oraz jego żonie, Gillian, która wykładała język angielski w college'u Simmonsa.

– Jude – powiedział Laurence, który miał głos jeszcze niższy niż Harold. – Harold mi mówił, że robisz dodatkowo magisterium na MIT. Z czego?

– Z matematyki czystej.

– A czym się ona różni od zwyczajnej matematyki? – chciała wiedzieć Gillian.

– Zwykłą matematykę, czyli matematykę stosowaną, można by nazwać matematyką praktyczną – odpowiedział. – Służy ona do rozwiązywania zadań, do uzyskiwania rozwiązań w dziedzinie ekonomii, inżynierii, księgowości czy jakiejkolwiek innej. A matematyka czysta nie służy do natychmiastowych, czy też oczywistych, zastosowań praktycznych. Jest wyłącznie ekspresją formy, że się tak wyrażę. Jedyne, czego dowodzi, to niemal nieskończonej elastyczności samej matematyki w ramach przyjętego zestawu założeń, którymi ją definiujemy, oczywiście.

– Masz na myśli geometrie wyobrażone i tego typu zjawiska? – spytał Laurence.

– Te również, oczywiście. Ale nie tylko. Często matematyka czysta stanowi dowód… niemożliwej, a jednak spójnej wewnętrznej logiki samej matematyki. W ramach czystej matematyki mieści się wiele

specjalności: geometria, jak wspomniałeś, ale także algebra, algorytmika, kryptografia, teoria informacji oraz czysta logika, którą właśnie studiuję.

– A czym ona jest? – zaciekawił się Laurence.

Jude chwilę się namyślał.

– Logika matematyczna, czyli czysta logika, jest w istocie rozmową pomiędzy prawdami a fałszami. Mógłbym na przykład powiedzieć: „Wszystkie liczby dodatnie są rzeczywiste. Dwa jest liczbą dodatnią. A zatem dwa musi być liczbą rzeczywistą". Lecz to nie jest właściwie prawda, zgodzimy się? Jest to derywacja, przypuszczenie prawdy. Nie udowodniłem przecież, że dwa jest liczbą rzeczywistą, ale logicznie musi to być prawda. Można zatem zapisać dowód potwierdzający, że logika tych dwóch zdań jest realna i nieskończenie stosowalna. – Przerwał. – Czy mówię z sensem?

– *Video, ergo est* – rzekł nagle Laurence. Widzę, a zatem to jest.

Jude się uśmiechnął.

– I właśnie tym jest matematyka stosowana. Ale matematyka czysta jest czymś więcej. – Znów się namyślił. – *Imaginor, ergo est.*

Laurence odpowiedział mu uśmiechem i pokiwał głową.

– Bardzo dobrze – powiedział.

– Teraz ja mam pytanie – wtrącił się Harold, który dotychczas zachowywał milczenie, słuchając ich dwóch. – Jak i dlaczego wylądowałeś na wydziale prawa?

Wszyscy się roześmieli, Jude też. Często zadawano mu to pytanie (doktor Li z desperacją, jego promotor, doktor Kashen, z zadziwieniem), on zaś zawsze zmieniał odpowiedź, dopasowując ją do słuchacza, gdyż ta prawdziwa – że chce mieć środki do samoobrony, że chce być pewien, że już nikt go nigdy nie dopadnie – wydawała mu się zbyt płytka, samolubna i nieistotna, aby wypowiedzieć ją głośno (poza tym wywołałaby kolejne pytania). Wiedział już poza tym, że prawo stanowi słabą formę obrony: jeśli naprawdę chciał być bezpieczny, musiałby zostać snajperem patrzącym przez celownik albo chemikiem w laboratorium z pipetami i truciznami. A jednak tego wieczoru powiedział:

– Prawo w swej istocie nie różni się tak bardzo od matematyki czystej. Chodzi mi o to, że i ono, w teorii, może dać odpowiedź na każde pytanie, prawda? Prawa są po to, żeby je ugniatać i rozciągać, a jeżeli nie są w stanie dostarczyć rozwiązań wszystkich kwestii, które mienią się obejmować, to nie są tak naprawdę prawami, zgoda? – Zamilkł, rozważając przez chwilę to, co powiedział. – Przypuszczam, że różnica polega na tym, że w prawie jest wiele dróg prowadzących do wielu odpowiedzi, w matematyce natomiast jest wiele dróg prowadzących do jednej odpowiedzi. I na tym, jak przypuszczam, że prawo właściwie nie dotyczy prawdy: dotyczy zarządzania. Matematyka zaś nie musi być wygodna ani praktyczna, ani kierująca – musi być tylko prawdziwa. Ale wydaje mi się, że

są podobne pod jeszcze jednym względem: w matematyce, tak jak w prawie, najważniejsze, czy raczej najłatwiejsze do zapamiętania, jest nie to, czy daną sprawę, bądź też dowód, udało się wygrać lub rozwiązać, lecz samo piękno, sama elegancja, z jaką to się dokonuje.

– Co masz na myśli? – spytał Harold.

– To – rzekł Jude – że w prawie mówimy o pięknym podsumowaniu lub pięknym sądzie, a rozumiemy przez to oczywiście piękno nie tylko logiki, ale też jej wyrazu. Podobnie w matematyce, gdy mówimy o pięknym dowodzie, stwierdzamy prostotę tego dowodu, jego… elementarność i jak przypuszczam, jego nieuchronność.

– A co z czymś takim jak wielkie twierdzenie Fermata? – spytała Julia.

– To doskonały przykład niepięknego dowodu. Ponieważ o ile ważne było, aby go przeprowadzić, o tyle dla wielu osób, w tym dla mojego promotora, stał się on rozczarowaniem. Ten dowód zajmował setki stron i czerpał z tak wielu różnych pól matematyki, i był tak… wymęczony, pokawałkowany w swoim toku, że do dziś wielu ludzi usiłuje go przeprowadzić w sposób bardziej elegancki, chociaż dowód już istnieje. Piękny dowód jest zwięzły jak piękna reguła. Łączy zaledwie garstkę różnych pojęć, jakkolwiek z całego uniwersum matematyki, i w stosunkowo niewielu krokach doprowadza do wielkiej i nowej uogólnionej prawdy w matematyce, czyli takiej, która jest całkowicie możliwa do udowodnienia, niewzruszenie absolutna w skonstruowanym świecie z bardzo nielicznymi niewzruszonymi absolutami. – Przerwał, by nabrać tchu, świadom znienacka, że oto gada i gada, a pozostali milczą, obserwując go. Poczuł, że się rumieni, poczuł starą nienawiść wypełniającą go znów na podobieństwo brudnej wody. – Przepraszam – powiedział. – Przepraszam. Nie chciałem się rozgadać.

– Żartujesz? – zdziwił się Laurence. – Jude, myślę, że to była pierwsza prawdziwie odkrywcza rozmowa, jaką prowadziłem u Haroldów od co najmniej dekady. Dziękuję.

Znów wszyscy się roześmieli, a Harold odchylił się na oparcie krzesła, wyraźnie zadowolony. Jude przyłapał go na tym, że ruchami ust przekazuje Laurence'owi komunikat: „No widzisz?", a Laurence kiwa głową. Zrozumiał, że to o nim, i mimo woli poczuł się mile połechtany, a także onieśmielony. Czyżby Harold rozmawiał o nim wcześniej z przyjacielem? Czy to miał być dla niego test, sprawdzian, o którym Jude nie wiedział, że ma do niego przystąpić? Z ulgą pomyślał, że zdał i że nie przyniósł Haroldowi wstydu; ulgę sprawiła mu też myśl, że chociaż czasem czuł się tu zażenowany, chyba w pełni zasłużył sobie na miejsce w domu Harolda i pewnie będzie tu jeszcze zapraszany.

Z każdym dniem ufał Haroldowi trochę bardziej, aż chwilami zastanawiał się, czy nie popełnia znów tego samego błędu. Lepiej ufać czy lepiej być czujnym? Czy można mówić o prawdziwej przyjaźni, jeśli jakaś część ciebie stale spodziewa się zdrady? Czasami Jude czuł, że nadużywa szczodrości

Harolda, jego pogodnej wiary w niego, czasami zaś, że mądrze wybrał ostrożność, bo gdyby się to źle skończyło, będzie mógł winić tylko siebie. Lecz trudno było nie ufać Haroldowi, bo sam Harold to utrudniał i co ważniejsze, utrudniał to sobie sam Jude. Chciał ufać Haroldowi, chciał się poddać, chciał, żeby to stworzenie w nim zapadło w sen, z którego się już nigdy nie obudzi.

Kiedyś, późno w nocy, na drugim roku studiów prawniczych, zasiedział się u Harolda. Kiedy otworzyli drzwi, schodki, ulica, drzewa wyciszone były śniegiem, a płatki wirowały ku otwartym drzwiom tak energicznie, że obaj się cofnęli.

– Wezwę taksówkę – powiedział Jude, żeby Harold nie musiał go odwozić.

– Nic podobnego – zaprotestował Harold. – Zostaniesz tutaj.

No i Jude został u Harolda i Julii, w wolnym pokoju na piętrze, oddzielonym od ich sypialni szeroką przestrzenią z oknami, gdzie urządzili bibliotekę, i krótkim korytarzykiem.

– Masz tu koszulkę – powiedział Harold, rzucając mu coś szarego i miękkiego – a tu szczoteczkę do zębów. – Położył ją na etażerce. – W łazience są czyste ręczniki. Potrzebujesz czegoś jeszcze? Szklankę wody?

– Nie – odparł. – Dziękuję ci, Harold.

– Drobiazg, Jude. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Przez chwilę leżał obudzony, opatulony puchową kołdrą, z miękkim materacem pod sobą, patrzył, jak okno z wolna bieleje, słuchał wody bulgoczącej w kranach, niezrozumiałego szmeru głosów Harolda i Julii i cichych kroków któregoś z nich, a potem wreszcie zapadła cisza. Przez tych kilka minut wyobrażał sobie, że to są jego rodzice, a on przyjechał w odwiedziny do domu z uczelni, i to jest jego pokój; nazajutrz wstanie i będzie robił to wszystko, co dorosłe dzieci robią z rodzicami.

Latem po drugim roku Harold zaprosił go do ich domku w Truro, na Cape Cod.

– Pokochasz to miejsce – powiedział. – Zaproś swoich przyjaciół. Im też się spodoba.

I tak oto w czwartek poprzedzający Święto Pracy, gdy staże jego i Malcolma dobiegły końca, pojechali wszyscy do Truro z Nowego Jorku, i przez ten długi weekend Harold przerzucił brzemię uwagi na JB, Malcolma i Willema. Jude także ich obserwował, podziwiając, jak sprawnie odpowiadają na wszystkie pytania Harolda, jak szczodrze dzielą się własnym życiem, jak umieją opowiadać dykteryjki o sobie, z których sami się śmieją, rozśmieszając przy okazji Harolda i Julię, jak swobodnie czują się przy Haroldzie, a Harold przy nich. Doświadczał tej szczególnej przyjemności obserwowania osób, które kochał, zakochujących się w innych osobach, które kochał. Domek miał prywatną ścieżkę schodzącą na prywatną plażę wielkości chustki do nosa, więc rankiem całą czwórką zbiegali w dół, żeby popływać – nawet on, w spodniach, podkoszulku i oksfordzkiej koszuli, o które nikt go nie pytał

– a potem leżeli, smażąc się w słońcu; mokre ubrania odklejały mu się od ciała w miarę wysychania. Czasami Harold przychodził na nich popatrzeć albo też popływać. Popołudniami Malcolm i JB jechali za wydmy na rowerach, a on i Willem szli za nimi pieszo, zbierając po drodze łupkowe muszle i smętne pancerze dawno wyżartych krabów pustelników; Willem zwalniał kroku, żeby Jude mógł dotrzymać mu tempa. Wieczorami, przy łagodnej pogodzie, JB z Malcolmem rysowali, a on z Willemem czytał. Czuł się jak po narkotykach – od słońca, jedzenia, soli i zadowolenia; wieczorami zasypiał szybko i wcześnie, a rankami budził się przed innymi, dzięki czemu mógł postać na werandzie i popatrzeć na morze.

Co ze mną będzie? – pytał morza. – Co się ze mną dzieje?

Wakacje się skończyły, rozpoczął się semestr jesienny i wkrótce Jude uświadomił sobie, że w czasie tamtego weekendu któryś z przyjaciół musiał coś powiedzieć Haroldowi, chociaż był pewien, że nie Willem, jedyny, któremu Jude w końcu zdradził coś niecoś ze swojej przeszłości, a i tego było niewiele: trzy fakty, jeden bledszy od drugiego, wszystkie bez znaczenia i wszystkie razem niestanowiące nawet początku opowieści. Pierwsze zdanie dowolnej bajki miało w sobie więcej treści niż to, co Jude powiedział Willemowi. „Dawno, dawno temu chłopczyk i dziewczynka mieszkali ze swoim ojcem drwalem i macochą w głębi zimnego lasu. Drwal kochał swoje dzieci, ale był bardzo biedny, więc pewnego dnia…”. Czyli to, czego dowiedział się Harold, było czystą spekulacją, podpartą obserwacjami, teoriami, domysłami i fikcją. Lecz cokolwiek to było, wystarczyło, by powstrzymać Harolda przed zadawaniem pytań o to, kim Jude był w przeszłości i skąd pochodzi.

W miarę jak mijały miesiące, a potem lata, rozwinęli przyjaźń, w której o pierwszych piętnastu latach jego życia nie mówiło się wcale, jakby nigdy nie istniały, jakby Jude’a wyjęto z fabrycznego opakowania w momencie rozpoczęcia studiów i przekręcono włącznik na jego karku, on zaś zadrżał i wszedł w życie. Wiedział, że te puste lata wypełniły się wyobrażeniami Harolda, że niektóre z tych wyobrażeń były gorsze niż rzeczywistość, a niektóre lepsze. Harold nigdy mu nie powiedział, co sobie wyobrażał na jego temat, a Jude tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć.

Nigdy nie uważał, że ich przyjaźń wynika li tylko z okoliczności, ale liczył się z tym, że Harold i Julia tak ją traktują. Dlatego gdy wyjechał do Waszyngtonu na aplikanturę, przyjął, że o nim zapomną, i usiłował przygotować się na tę stratę. Ale tak się nie stało. Przeciwnie: wysyłali mejle, dzwonili, a gdy jedno lub drugie znalazło się w mieście, jedli razem kolację. Latem Jude wyjeżdżał z przyjaciółmi do Truro, a na Święto Dziękczynienia jechali do Cambridge. A gdy dwa lata później Jude przeniósł się do Nowego Jorku, aby podjąć pracę w biurze prokuratora okręgowego, Harold był wręcz niepokojąco podekscytowany tą zmianą. Zaproponował mu nawet swoje mieszkanie na Upper

West Side, lecz Jude wiedział, że Harold i Julia często z niego korzystają, i nie był pewien, jak szczera jest propozycja, więc odmówił.

Co sobota Harold dzwonił i wypytywał go o pracę, on zaś opowiadał o swoim szefie, Marshallu, zastępcy prokuratora okręgowego, który miał niepokojącą umiejętność recytowania postanowień Sądu Najwyższego z pamięci, zamykał przy tym oczy, żeby wyświetlić sobie w myśli stosowną stronę, i skandował treść rytmicznym głosem robota, nigdy nie pomijając ani nie dodając słowa. Jude zawsze sądził, że ma dobrą pamięć, lecz Marshall go zdumiewał.

W pewien sposób biuro prokuratora okręgowego przypominało mu dom dziecka: przebywali tam głównie mężczyźni i panował szczególny rodzaj nieustannej wrogości, swoistej żmijowatej zjadliwości, która rodzi się w sposób naturalny wszędzie tam, gdzie grupa bardzo ambitnych ludzi o podobnych kwalifikacjach zajmuje niedużą przestrzeń, ze świadomością, że tylko niektórzy z nich będą mieli okazję się wyróżnić. Z tą różnicą, że tutaj byli sobie równi w osiągnięciach, w domu dziecka natomiast w głodzie i w niedostatku. Każdy z dwustu prokuratorów pomocniczych kończył którąś z pięciu czy sześciu uczelni prawniczych i właściwie wszyscy uczestniczyli w swoich szkołach w przeglądach prawniczych i inscenizacjach rozpraw sądowych. Jude należał do czteroosobowego zespołu zajmującego się głównie sprawami wyłudzeń w ubezpieczeniach i każdy z nich czterech miał coś – jakąś szczególną cechę – która dawała im nadzieję na wyniesienie się ponad innych. On miał swój tytuł magistra MIT (którym nikt się nie przejmował, ale przynajmniej była to jakaś osobliwość), a także staż u Sullivana, z którym Marshall był w przyjaznych stosunkach. Citizen, jego najbliższy kolega z biura, miał stopień naukowy z prawa na Cambridge i przez dwa lata przed przeniesieniem się do Nowego Jorku pracował jako adwokat w Londynie. Rhodes, trzeci z ich tria, był po college'u stypendystą Fulbrighta w Argentynie. Czwartym członkiem zespołu był niesamowicie leniwy gość nazwiskiem Scott, który, chodziły słuchy, otrzymał tę posadę tylko dlatego, że jego ojciec grywał w tenisa z prezesem.

Jude zwykle tkwił w pracy, a czasami, gdy zasiedzieli się z Citizenem i Rhodesem do późna, i jedli dania na wynos, przypominało mu się przebywanie ze współlokatorami w Hood. I chociaż lubił towarzystwo Citizena i Rhodesa, choć podobała mu się specyfika i głębia ich inteligencji, to w takich chwilach odczuwał tęsknotę za dawnymi kolegami, którzy myśleli tak odmiennie od niego i jego też uczyli myśleć inaczej. W trakcie jednej z rozmów z Citizenem i Rhodesem na temat logiki przypomniało mu się nagle pytanie, które mu zadał doktor Li na pierwszym roku, podczas wywiadu kwalifikacyjnego na seminarium z matematyki czystej: „Dlaczego pokrywy ścieków są okrągłe?". Było to łatwe pytanie i prosta była na nie odpowiedź, ale gdy wrócił do Hood i powtórzył je kolegom, zapadła cisza. W końcu JB, swoim sennym głosem wędrownego bajarza, zaczął:

– Dawno, bardzo dawno temu, po ziemi chodziły mamuty, a odciski ich łap zostawiały trwałe koliste wgłębienia w ziemi.

I wszyscy się roześmieli. Jude uśmiechnął się na to wspomnienie; żałował nieraz, że nie ma umysłu podobnego do JB, umysłu zdolnego tworzyć historie ku uciesze innych, zamiast własnego, stale szukającego wyjaśnienia, które, jakkolwiek poprawne, pozbawione jest romantyzmu, fantazji, dowcipu.

– Szybko, wyciągać referencje – mówił szeptem Citizen, gdy zdarzało się, że na horyzoncie pojawiał się sam prokurator generalny i wszyscy asystenci zlatywali się ku niemu jak ćmy, jak armada szarych garniturów. Oni dwaj i Rhodes też włączali się w tę ciżbę, ale nawet w takich okolicznościach Jude nie wspomniał nigdy o jedynej referencji, która mogła sprawić, że nie tylko Marshall, ale też prokurator generalny zatrzymają się i spojrzą na niego baczniejszym okiem. Gdy Jude otrzymał tę pracę, Harold poprosił, żeby pozdrowić od niego Adama, prokuratora generalnego, z którym, jak się okazało, znał się od dawna. Jude jednak odpowiedział, że chciałby sam do wszystkiego dojść. To była prawda, ale ważniejszym powodem jego oporu przed posłużeniem się Haroldem jako własną zaletą było to, że Jude nie chciał, aby Harold pożałował znajomości z nim. Dlatego trzymał język za zębami.

Często jednak i tak czuł obecność Harolda. Wspominanie szkoły prawniczej (i czynność dodatkowa: przechwalanie się własnymi osiągnięciami w szkole prawniczej) było w biurze ulubioną rozrywką, a ponieważ wielu kolegów kończyło tę samą uczelnię co Jude, sporo z nich znało Harolda (inni zaś o nim słyszeli), więc słuchał nieraz, jak opowiadają o jego zajęciach, o tym, jak starannie musieli się do nich przygotowywać, i czuł się dumny z Harolda, a także – chociaż wiedział, że to głupie – dumny z siebie, że go zna. W następnym roku miała się ukazać książka Harolda o konstytucji i wszyscy w biurze mieli przeczytać podziękowania i zauważyć wśród wymienionych nazwisko Jude'a, a wówczas jego związek z Haroldem miał wyjść na jaw, przez co wielu miało nabrać podejrzeń, on zaś miał dostrzec popłoch na ich twarzach, kiedy usiłowali sobie przypomnieć, co mówili o Haroldzie w jego obecności. Ale do tego czasu Jude zdąży samodzielnie ustalić swoją pozycję w biurze, znaleźć swoje miejsce u boku Citizena i Rhodesa, nawiązać własną relację z Marshallem.

A jednak, mimo że bardzo tego pragnął, był wciąż ostrożny z nazywaniem Harolda swoim przyjacielem: czasami martwił się, że wymyślił sobie ich wzajemną bliskość, rozdymając ją w wyobraźni za sprawą nadziei, a wówczas (ku własnemu zażenowaniu) ściągał z półki *Piękną obietnicę* i czytał podziękowania, czytał po raz enty słowa Harolda, jakby stanowiły umowę, deklarację, że jego uczucia wobec Harolda są przynajmniej w części odwzajemniane. Lecz zawsze był przygotowany: To się skończy w tym miesiącu – mówił sobie. A pod koniec miesiąca: – W przyszłym

miesiącu. Utrzymywał się w ciągłym stanie gotowości, w nieustannym przewidywaniu rozczarowania, jakkolwiek gorąco pragnął otrzymać dowód, że się myli.

A przyjaźń z Haroldem rozwijała się bez końca niczym długa, wartka rzeka, która porwała go w swój nurt i niosła w dal, do miejsca, którego jeszcze nie widział. Ilekroć Jude pomyślał, że dotarł do granicy ich wzajemnej relacji, Harold lub Julia otwierali z rozmachem drzwi do innego pokoju i zapraszali go do środka. Poznał ojca Julii, emerytowanego pulmonologa, i jej brata, profesora historii sztuki, kiedy przyjechali z Anglii na Święto Dziękczynienia, a gdy Harold i Julia wpadali do Nowego Jorku, zapraszali Jude'a i Willema na kolację do lokali, o których tamci słyszeli, ale na które ich nie było stać. Obejrzeli mieszkanko na Lispenard Street – Julia uprzejmie, Harold ze zgrozą – a gdy kaloryfery z tajemniczej przyczyny przez tydzień nie grzały, zostawili Jude'owi pęk kluczy do swojego mieszkania na przedmieściu, w którym było tak cieplutko, że pierwszą godzinę po przybyciu tam przesiedzieli po prostu na sofie jak dwa manekiny, zbyt zdumieni nagłym powrotem ciepła do ich życia, aby się poruszyć. A kiedy Harold zastał go w trakcie ataku (było to w Święto Dziękczynienia: Jude zgasił płomień, na którym podgrzewał szpinak, i wiedząc, że nie da rady wejść na górę, w rozpaczy podczołgał się do spiżarki, gdzie legł na podłodze i czekał), przemeblował z Julią dom i podczas następnej wizyty Jude zastał gościnną sypialnię na dole za salonem, tam gdzie przedtem mieścił się gabinet Harolda. Biurko, krzesło i książki Harolda zostały przeniesione na piętro.

Ale i po tych zmianach Jude jakąś częścią siebie stale czekał na dzień, w którym naciśnie klamkę u ich drzwi, a ona się nie podda. Nawet go to nie przerażało; coś przerażającego i niepokojącego było natomiast w przebywaniu w przestrzeni, gdzie nic nie jest zabronione, wszystko jest dane i o nic nie proszą go w zamian. Starał się dawać Haroldowi i Julii, ile mógł, ale wiedział, że to niewiele. A tego, czym hojnie obdarowywał go Harold – szczerych odpowiedzi, czułości – odwzajemnić nie umiał.

Któregoś dnia wiosną, po prawie siedmioletniej znajomości, był u nich z okazji urodzin Julii. Kończyła pięćdziesiąt jeden lat, a ponieważ w swoje pięćdziesiąte urodziny była na konferencji w Oslo, postanowiła wielką fetę urządzić teraz. We dwóch z Haroldem sprzątali salon – a raczej Jude sprzątał, a Harold wyciągał na chybił trafił książki z regałów i opowiadał mu historię pozyskania każdej z nich albo ze stron tytułowych odczytywał nazwiska poprzednich właścicieli, na przykład w *Gepardzie* był nagryzmolony dopisek: „Własność Laurence'a V. Raleigha. Nie zabierać. Haroldzie Stein, to do Ciebie!".

Postraszył Harolda, że powie Laurence'owi, a Harold nie pozostał mu dłużny:

– Uważaj, Jude, jeśli ci życie miłe.

– Bo co? – drażnił się z nim.

– Bo… to! – wykrzyknął Harold i skoczył w jego stronę.

Zanim Jude się zorientował, że to zabawa, cofnął się tak gwałtownie, że wpadł na regał i strącił pękaty ceramiczny kubek, który dla Harolda zrobił jego syn, Jacob: kubek spadł na podłogę i rozbił się na trzy części. Harold odstąpił od niego i zapadła okropna cisza, w której Jude omal się nie rozpłakał.

– Haroldzie – rzekł, przykucając i zbierając skorupy – przepraszam cię, przepraszam. Wybacz mi, proszę. – Chciał się rzucić na podłogę: wiedział, że to była ostatnia rzecz, jaką Jacob zrobił dla ojca, zanim zachorował. Nad sobą słyszał tylko oddech przyjaciela. – Haroldzie, proszę cię, wybacz mi – powtórzył, zbierając fragmenty kubka w kolebkę dłoni. – Skleję to, zobaczysz… naprawię.

Nie był w stanie podnieść oczu znad kubka, znad jego lśniącej, jakby maślanej glazury.

Poczuł, że Harold kuca obok niego.

– Jude – powiedział. – Nic się nie stało. To był wypadek. – Mówił bardzo cicho. – Daj mi te kawałki – zażądał, ale łagodnie, bez złości.

Jude usłuchał.

– Mogę sobie pójść – zaproponował.

– Oczywiście, że nie możesz sobie pójść – zaprotestował Harold. – Wszystko w porządku, Jude.

– Przecież to było od Jacoba – usłyszał własny głos.

– Tak – przyznał Harold. – I nadal jest. – Wstał z podłogi. – Popatrz na mnie – polecił i Jude wreszcie to zrobił. – Wszystko jest w porządku. Daj spokój. – I Harold wyciągnął do niego rękę, a on ją ujął i pozwolił dźwignąć się na nogi.

Chciało mu się wyć, że po tym wszystkim, co otrzymał od Harolda, odpłacił mu zniszczeniem cennego przedmiotu zrobionego przez kogoś, kto był najcenniejszy.

Harold poszedł na górę do swojego gabinetu z kubkiem w rękach, a Jude dokończył sprzątać w milczeniu, w szarzejącym świetle cudnego dnia. Gdy Julia wróciła do domu, Jude czekał, aż Harold jej opowie o jego głupocie i niezdarności, lecz nie uczynił tego. Wieczorem przy kolacji zachowywał się jak zwykle, ale kiedy Jude wrócił na Lispenard Street, napisał do niego prawdziwy, właściwy list, z należytymi przeprosinami, i wysłał.

Parę dni później otrzymał odpowiedź, również w formie listu, który zachował do końca życia.

„Drogi Judzie – pisał Harold – dziękuję Ci za piękny (choć niepotrzebny) list. Doceniam wszystko, co napisałeś. Masz słuszność: ten kubek wiele dla mnie znaczy. Ale Ty znaczysz więcej. Więc proszę, przestań się zadręczać.

Gdybym był innym człowiekiem, mógłbym powiedzieć, że ten incydent jest metaforą życia w ogóle: przedmioty się psują i czasami są naprawiane, ale w większości przypadków uświadamiamy

sobie, że bez względu na to, co się zniszczyło, życie układa się na nowo, by zrekompensować nam stratę, niekiedy w sposób cudowny.

Więc może jednak jestem tego rodzaju człowiekiem.

Ściskam Cię – Harold”.

Jeszcze nie tak wiele lat temu – mimo że wiedział, że to niemożliwe, pomimo wszystkiego, co od siedemnastego roku życia słyszał od Andy’ego – żywił cichą, uporczywą nadzieję, że mu się poprawi. W szczególnie złe dni powtarzał sobie słowa chirurga z Filadelfii, „kręgosłup ma cudowną zdolność regeneracji”, niemal jak mantrę. Kilka lat po tym, jak poznał Andy’ego, gdy sam był już na studiach, zdobył się wreszcie na odwagę poddania mu tej myśli i wygłosił przepowiednię, którą hołubił i wyznawał, w nadziei, że Andy pokiwa głową i powie: „Zgadza się. Po prostu trzeba czasu”. Lecz Andy prychnął gniewnie.

– On ci coś takiego powiedział? Nie będzie lepiej, Jude; im będziesz starszy, tym będzie gorzej. – Mówiąc to, patrzył na kostkę jego nogi, usuwając szczypczykami strzępki martwej tkanki z rany, która się Jude’owi przytrafiła, gdy nagle zamarł, Jude, nawet nie widząc twarzy lekarza, odgadł, że tamten się zasmucił. – Przykro mi, Jude – dodał Andy, patrząc mu w oczy, lecz wciąż trzymając jego stopę w dłoni. – Przepraszam, że nie mogę powiedzieć, że jest odwrotnie. – A gdy Jude nie był w stanie odpowiedzieć, westchnął. – Zmartwiłeś się.

Jasne, że się zmartwił.

– Nic mi nie jest – wykrztusił, ale nie mógł spojrzeć Andy’emu w oczy.

– Przykro mi, Jude – powtórzył cicho lekarz. Już wtedy miał dwie strony: szorstką i łagodną, a Jude doświadczał ich obydwu, czasem w trakcie jednej wizyty.

– Ale jedno ci mogę obiecać – ciągnął Andy, wracając do oczyszczania kostki. – Zawsze tu będę, żeby się tobą zająć.

Dotrzymał słowa. Ze wszystkich osób w życiu Jude’a to właśnie Andy najwięcej o nim wiedział. Był jedyną osobą, wobec której Jude stanął nagi w dorosłym życiu, jedyną osobą, która znała wszystkie fizyczne parametry jego ciała. Andy był lekarzem rezydentem, kiedy się poznali, po czym został w Bostonie na doktorat i habilitację, a potem obaj przenieśli się do Nowego Jorku, w odstępie paru miesięcy. Andy był ortopedą, ale leczył Jude’a ze wszystkiego, od bronchitu po problemy z kręgosłupem i nogą.

– No, no – rzekł oschle, gdy Jude siedział któregoś dnia w gabinecie, odkasłując flegmę (było to poprzedniej wiosny, na krótko przed jego dwudziestymi dziewiątymi urodzinami, gdy w ich biurze

zapanowała epidemia bronchitu) – strasznie się cieszę, że specjalizowałem się w ortopedii. Mam tu doskonałą praktykę. Właśnie tak to sobie zawsze wyobrażałem na stażu.

Jude roześmiał się, ale znów dopadł go atak kaszlu, więc Andy oklepał mu plecy.

– Może gdyby mi ktoś polecił internistę z prawdziwego zdarzenia, nie musiałbym latać ze wszystkim do ortopedy – powiedział Jude.

– Hmm. Może to niezły pomysł, zacząć chodzić do internisty. Zaoszczędziłbyś mi kupę czasu i sporo bólu głowy.

Ale on nie chciał chodzić do nikogo innego niż Andy i miał wrażenie – chociaż nigdy tego nie omawiali – że Andy też tego nie chce.

Zważywszy na to, ile Andy o nim wiedział, on wiedział bardzo mało o Andym. Wiedział, że studiowali w tym samym college'u i że Andy jest od niego dziesięć lat starszy, że ojciec Andy'ego pochodzi z Gudźaratu, a matka jest Walijką, i że Andy wychował się w Ohio. Trzy lata wcześniej ożenił się i Jude'a zdziwiło, że został zaproszony na wesele, które było skromne, wyprawione u teściów Andy'ego na Upper West Side. Przyprowadził ze sobą Willema i zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Jane, żona Andy'ego, przy prezentacji zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

– Słynny Jude St. Francis! Tak wiele o tobie słyszałam.

– Naprawdę?

Mózg wypełnił mu się lękiem jak stadem łopoczących nietoperzy.

– Spokojnie, nic z tych rzeczy – odparła z uśmiechem Jane (też była lekarzem, ginekologiem). – Ale on cię uwielbia, Jude; tak się cieszę, że przyszedłeś.

Poznał też rodziców pana młodego, a pod koniec wieczoru Andy objął go za szyję i ucałował mocno, niezdarnie w policzek, co odtąd powtarzał, ilekroć się spotkali. Zawsze miał przy tym niewyraźną minę, ale widać czuł taki przymus, co dla Jude'a było zarazem śmieszne i wzruszające.

Cenił Andy'ego za wiele cech, ale najbardziej za jego stałość. Gdy się poznali, Andy utrudnił Jude'owi niepodtrzymywanie znajomości przez to, że wpadał do Hood i walił w ich drzwi, gdy Jude nie stawił się na dwie kolejne wizyty (nie zapomniał; po prostu postanowił nie iść) i zignorował trzy telefony oraz cztery mejle, aż w końcu Jude pogodził się z tym, że może nie jest źle mieć własnego doktora (zdawało się to nieuchronne), a Andy był osobą, której mógłby zaufać. Przy ich trzecim spotkaniu Andy spisał jego historię choroby, w każdym razie tyle, ile Jude zechciał mu zdradzić, notując fakty bez komentarza i widocznej reakcji.

Dopiero kilka lat później – nieco mniej niż cztery lata temu – Andy napomknął wprost o jego dzieciństwie. Stało się to podczas ich pierwszej wielkiej kłótni. Miewali oczywiście małe sprzeczki i nieporozumienia, a raz czy dwa razy w roku Andy wygłaszał do Jude'a długi wykład (Jude bywał

u niego co sześć tygodni – ostatnio może częściej – i zawsze umiał przewidzieć, która wizyta będzie wizytą wykładu: poznawał to po oziębłości powitania i sposobie badania), w którym rozwodził się nad „niedopuszczalną i przerażającą" niechęcią do dbania o siebie, upartym odmawianiem spotkania z terapeutą i niezrozumiałym oporem przed zażywaniem środków przeciwbólowych, które mogłyby poprawić jakość jego życia.

Kłótnia dotyczyła tego, co Andy uznał za nieudaną próbę samobójczą Jude'a. Miało to miejsce tuż przed Nowym Rokiem. Jude się ciął, no i ciachnął zbyt blisko żyły, czego skutkiem były potworny krwotok i konieczność wezwania na pomoc Willema. Tamtej nocy w gabinecie Andy nie chciał z nim rozmawiać, taki był zły, a szyjąc ranę, warczał do siebie gniewnie przy każdym schludnym szwie, maleńkim jak w misternym hafcie.

Podczas następnej wizyty, jeszcze zanim Andy otworzył usta, Jude wiedział, że lekarz jest wściekły. Właściwie to chciał nie iść na to badanie, ale wiedział, że dopóki się nie zjawi, Andy będzie go nękał telefonami albo gorzej: zadzwoni do Willema; albo jeszcze gorzej – do Harolda.

– Powinienem był cię, kurwa, hospitalizować! – Takie były jego pierwsze słowa. A potem: – Pierdolony idiota ze mnie.

– Zdaje mi się, że przesadzasz – zaczął Jude, ale Andy go zignorował.

– Tak się składa, że wierzę, że nie chciałeś się zabić. Inaczej wsadziłbym cię do szpitala, nim byś się obejrzał – powiedział. – Nie zrobiłem tego tylko dlatego, że statystycznie ktoś, kto tnie się tak często i gęsto jak ty, i to przez tyle lat, jest mniej zagrożony bezpośrednim niebezpieczeństwem popełnienia samobójstwa niż ktoś, kto się samookalecza mniej konsekwentnie. – (Andy uwielbiał statystyki. Jude czasem podejrzewał, że sam je tworzy). – Ale to jest szaleństwo, Jude, a to ostatnie to już gruba przesada. Albo natychmiast zaczniesz chodzić na terapię, albo cię zamknę przymusowo.

– Nie możesz tego zrobić! – oburzył się Jude, też już wściekły, chociaż dobrze wiedział, że Andy może. Sprawdził przepisy o przymusowym leczeniu w stanie Nowy Jork; nie były dla niego korzystne.

– Dobrze wiesz, że mogę – odparł Andy. W tym momencie prawie krzyczał. Ich spotkania odbywały się zawsze po godzinach przyjęć pacjentów, bo nieraz sobie potem gawędzili, jeżeli Andy miał czas i był w dobrym humorze.

– Zaskarżę cię – zagroził Jude bez sensu, a Andy ryknął:

– Proszę bardzo! Czy ty wiesz, jak spieprzyłeś sprawę, Jude? Wiesz, w jakiej postawiłeś mnie sytuacji?

– Nie martw się – odparł Jude sarkastycznie. – Nie mam rodziny. Nikt cię nie oskarży o moją śmierć.

Andy cofnął się o krok, jakby chciał go uderzyć.

– Jak śmiesz – wycedził. – Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

Oczywiście, że wiedział. Ale rzucił:

– Jak chcesz, ja wychodzę.

Ześlizgnął się ze stołu zabiegowego (całe szczęście, że się nie rozbierał; Andy rozpoczął swój wykład, zanim Jude zdążył zdjąć ubranie) i już chciał wyjść, chociaż wychodzenie z pokoju w jego wydaniu było niezbyt dramatyczne, gdy Andy skoczył i stanął w drzwiach.

– Jude – powiedział z właściwą sobie nagłą zmianą nastroju. – Ja przecież wiem, że nie chcesz iść. Ale zaczynasz mnie przerażać. – Nabrał powietrza. – Czy ty w ogóle z kimkolwiek rozmawiałeś o tym, co cię spotkało, kiedy byłeś dzieckiem?

– To nie ma nic do rzeczy – odparł Jude, czując, że przenika go zimno.

Jude nigdy wcześniej nie usłyszał od Andy'ego aluzji na temat tego, co mu kiedyś wyjawił, toteż teraz poczuł się zdradzony.

– A może się założymy? – wypalił Andy i świadomość teatralności tej odzywki (czy ktoś tak jeszcze mówił poza ekranem kinowym?) sprawiła, że Jude uśmiechnął się mimo woli, na co Andy, interpretując jego uśmiech jako drwinę, ponownie zmienił front. – W twoim uporze, Jude, jest jakaś niewiarygodna arogancja – ciągnął. – Twoja uporczywa odmowa słuchania kogokolwiek, kto ma na względzie twoje zdrowie lub dobro, jest albo patologicznym przypadkiem autodestrukcyjności, albo jednym wielkim „pierdol się" skierowanym do nas wszystkich.

To Jude'a dotknęło.

– Manipulacją jest straszenie mnie przymusowym leczeniem, ilekroć się z tobą nie zgadzam, a zwłaszcza w tym przypadku, kiedy ci przecież mówię, że to był głupi wypadek. Andy, ja doceniam twoje starania, naprawdę. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Ale jestem dorosły i nie możesz mi dyktować, co mam robić, a czego nie.

– Wiesz co, Jude? – Andy znów wrzeszczał. – Masz rację. Nie mogę ci dyktować decyzji. Ale nie muszę ich też akceptować. Idź, znajdź sobie innego dupka na lekarza. Ja dłużej nie zamierzam tego ciągnąć.

– Doskonale – warknął Jude i wyszedł.

Nie pamiętał, kiedy był równie zły z powodu, który dotyczył jego. Wiele rzeczy go złościło – powszechna niesprawiedliwość, niekompetencja, reżyserzy, którzy nie dawali Willemowi upragnionej roli – ale rzadko złościł się o to, co przydarzało się jemu. Jego bóle, dawne i obecne, były czymś, o czym starał się nie rozmyślać; nie były to sprawy, w których całymi dniami szukałby znaczenia. Wiedział już przecież, dlaczego się zdarzyły: zdarzyły się, bo on na nie zasłużył.

Ale wiedział również, że jego złość jest bezpodstawna. Bo chociaż niechętnie patrzył na swoje uzależnienie od Andy'ego, to jednocześnie był mu wdzięczny i wiedział, że Andy uznaje jego

zachowanie za nielogiczne. Lecz zadaniem Andy'ego było poprawiać zdrowie pacjentów: Andy patrzył na niego tak, jak on patrzył na zawikłane przepisy o taksówkach, czyli jak na coś, co należy rozwikłać i naprawić – i to, czy *jemu* naprawa wydaje się możliwa, ma znaczenie marginalne. To, co on sam naprawdę starał się poprawić – blizny, które zmieniły jego plecy w straszliwą, nienaturalną topografię, skóra błyszcząca i napięta jak na pieczonej kaczce, czyli powody, dla których oszczędzał pieniądze – nie znalazłoby aprobaty w oczach Andy'ego. „Jude – powiedziałby Andy, słysząc o jego planach – daję ci słowo, że to nie zadziała, stracisz tylko kupę pieniędzy. Nie rób tego". „Kiedy one są ohydne" – wymamrotałby Jude. „Nie są, Jude – zapewniłby go Andy. – Przysięgam ci, że nie są". Tyle że nigdy by tego nie powiedział Andy'emu, więc nie groziła mu taka rozmowa.

Dni mijały, a on nie dzwonił do Andy'ego ani Andy nie dzwonił do niego. Jak za karę nadgarstek ćmił go nocą, gdy próbował zasnąć, bo w pracy się zapominał i czytając, uderzał nim rytmicznie o ściankę biurka, w dawnym niedobrym odruchu, którego nie umiał się wyzbyć. Wtedy spod szwów zaczynała się sączyć krew i musiał je czyścić, nieudolnie, w umywalce męskiej toalety.

– Co ci jest? – spytał go Willem któregoś wieczoru.

– Nic – odparł.

Oczywiście mógł powiedzieć Willemowi, który słuchałby, mrucząc po willemowsku „Hmmm", ale wiedział, że Willem przyznałby rację Andy'emu.

Tydzień po kłótni, kiedy wrócił na Lispenard Street z niedzielnego spaceru po całym zachodnim Chelsea, na stopniach przed frontowymi drzwiami kamienicy zobaczył Andy'ego.

Zdziwił się na jego widok.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odpowiedział Andy. Stali pod drzwiami. – Nie byłem pewien, czy odbierzesz telefon.

– Oczywiście, że bym odebrał.

– Słuchaj – rzekł Andy. – Przepraszam.

– Ja też. Przepraszam cię, Andy.

– Ale ja naprawdę myślę, że powinieneś z kimś pogadać.

– Wiem, że tak myślisz.

I jakimś cudem udało im się na tym poprzestać. Zawarli rodzaj kruchego i niezadowalającego żadnej ze stron zawieszenia broni, a kwestia psychoterapii stała się wielką zdemilitaryzowaną strefą między nimi. Kompromis (chociaż nie było teraz dla niego jasne, w jaki sposób został osiągnięty) polegał na tym, że pod koniec każdej wizyty musiał odsłonić przed Andym ramiona, a Andy oglądał je, szukając nowych cięć. Gdy jakieś znalazł, odnotowywał to na swoim wykresie. Jude nie był pewien, co może wywołać kolejny wybuch Andy'ego, który czasami wściekał się o kilka zaledwie nowych

cięć. „Zmarnowałeś sobie całe ręce, wiesz o tym, co?”. Jude nie odpowiadał i czekał, aż skończy się kazanie. Jakąś częścią siebie rozumiał, że uniemożliwiając Andy’emu wykonywanie pracy – którą bądź co bądź było leczenie go – okazuje brak szacunku i w jakimś stopniu wystawia Andy’ego na pośmiewisko w jego własnej przychodni. Te obliczenia (Jude nieraz miał ochotę spytać go, czy za osiągnięcie jakiejś liczby dostanie nagrodę, ale wiedział, że go tym rozzłości) były dla Andy’ego podstawą do udawania, że panuje and sytuacją, chociaż nie panował: gromadzenie danych stanowiło namiastkę prawdziwego leczenia.

Dwa lata później na jego lewej nodze ni stąd, ni zowąd otworzyła się nowa rana (lewa noga zawsze przysparzała Jude’owi więcej kłopotów), więc cięcia zostały odłożone z uwagi na palący problem nogi. Pierwsza rana pojawiła się w niespełna rok po kontuzji i szybko się zagoiła.

– To nie będzie ostatnia – uprzedził go chirurg z Filadelfii. – Po takiej kontuzji jak twoja wszystko: układ naczyniowy, skóra, jest tak naruszone, że trzeba się spodziewać okresowych nawrotów.

Ta rana była jedenastą i chociaż Jude był na to przygotowany, nadal nie wiedział, co te rany powoduje (ukąszenie owada? Otarcie nogą o kant metalowej szafki? Zawsze coś bardzo małego, a jednak zdolnego rozedrzeć jego skórę jak cienki papier), i nigdy nie przestał czuć do nich obrzydzenia: do wysięku ropy, przykrej rybiej woni, małej szczeliny przypominającej usta płodu, z której sączyła się wstrętna nieokreślona ciecz. Było w tym coś nienaturalnego, jak z filmów o potworach czy mitów, chodzić z otwartą raną, która nie chce się zasklepić. Zaczął odwiedzać Andy’ego w każdy piątek wieczorem, a on oczyszczał ranę, obmywał ją i usuwał martwą tkankę oraz badał powierzchnię dookoła pod kątem nowych uszkodzeń, podczas gdy Jude wstrzymywał oddech, wczepiał się dłońmi w brzeg stołu zabiegowego i usiłował nie krzyczeć.

– Musisz powiedzieć, gdzie boli, Jude – rzekł Andy, kiedy on sapał, pocił się i odliczał w myślach. – To dobrze, jeśli czujesz ból. To znaczy, że nerwy są żywe i spełniają swoją funkcję.

– Boli – wykrztusił z trudem.

– W skali od jednego do dziesięciu?

– Siedem. Osiem.

– Przepraszam – powiedział Andy. – Już kończę, obiecuję ci. Jeszcze pięć minut.

Jude zamknął oczy i policzył do trzystu, rozmyślnie powoli.

Po zabiegu siadał, żeby odpocząć, a Andy zajmował miejsce przy nim i dawał mu coś do picia – lemoniadę, coś słodkiego – po czym Jude czuł, jak pokój z wolna się wyostrza, po troszeczku.

– Pomału – ostrzegał Andy – bo zwymiotujesz.

Jude obserwował Andy'ego przy bandażowaniu rany – Andy najspokojniejszy był zawsze podczas zakładania klamerek, szycia i bandażowania – i czuł się w tych chwilach taki ranliwy i słaby, że przystałby na każdą sugestię lekarza.

– Nie będziesz chyba ciąć się po nogach – mówił Andy, bardziej w formie stwierdzenia niż pytania.

– Nie, nie będę.

– Bo to by już było kompletne wariactwo, nawet jak na ciebie.

– Wiem.

– Twoje ciało jest tak zniszczone, że skończyłoby się zakażeniem.

– Andy, ja to *wiem*.

Kilka razy podejrzewał, że Andy rozmawia o nim za plecami z jego przyjaciółmi, bo zdarzało im się używać jego języka i zwrotów, a jeszcze cztery lata po, jak to nazywał Andy, „incydencie", miał wrażenie, że Willem z rana przetrząsa kosz na śmieci w łazience, toteż ze szczególną starannością pozbywał się swoich zużytych żyletek, zawijał je w papierową chusteczkę, oklejał taśmą i wyrzucał do ulicznych pojemników na śmieci po drodze do pracy. „Twoja załoga", mawiał Andy. „Co ty i twoja załoga porabialiście ostatnimi czasy?" – pytał go przez telefon (gdy był w dobrym humorze), albo: „Mam zamiar powiedzieć tej twojej pieprzonej załodze, żeby miała na ciebie oko" (gdy był w złym).

– Ani się waż, Andy – odpowiadał Jude. – Zresztą to nie ich odpowiedzialność.

– Naturalnie, że ich – ripostował Andy. W tej kwestii, tak jak w innych, nie mogli się zgodzić.

Lecz teraz minęło dwadzieścia miesięcy od pojawienia się najnowszej rany i ona wciąż się nie zagoiła. To znaczy zagoiła się i otwarła ponownie, i znowu zagoiła, aż któregoś piątku Jude obudził się, czując na nodze wilgoć i lepkość – w dolnej części łydki, nad kostką – i już wiedział, że noga jest pęknięta. Jeszcze nie dzwonił do Andy'ego – odkładał to do poniedziałku – bo niezmiernie ważny był dla niego planowany spacer, który, obawiał się, będzie ostatni na dłuższy czas, może na całe miesiące.

Doszedł już do rogu Madison i Siedemdziesiątej Piątej, w pobliże przychodni Andy'ego, i noga bolała go tak strasznie, że przeszedł na Piątą i usiadł na jednej z ławek pod murem okalającym park. Ledwie usiadł, poczuł dobrze znany zawrót głowy i unoszące żołądek mdłości, więc zgiął się wpół i odczekał, aż beton stał się znów betonem; wtedy mógł wstać. Przed chwilą, kiedy tak silnie odczuł zdradę ciała, pomyślał, że cała jego żmudna walka to niezgoda na dalsze powtarzające się zdrady ciała, od którego niczego nie oczekiwał, a jednak musiał utrzymywać je przy życiu. Tyle czasu on i Andy poświęcali na reperowanie tego, co było nie do naprawienia, tego, co powinno było skończyć w zwęglonych kawałkach na wysypisku lata temu. I po co? Dla intelektu, przypuszczał. Tylko że w tym – rzekłby Andy – była jakaś niewiarygodna arogancja, jakby przechowywał zdezelowany samochód przez sentymentalne przywiązanie do jego systemu audio.

Jeżeli przejdę jeszcze parę przecznic, zajrzę do jego przychodni, pomyślał, ale nie zrobił tego. Była niedziela. Andy'emu należał się jakiś odpoczynek od niego, a poza tym to, co Jude teraz czuł, było czymś nowym, czymś, czego jeszcze nie doświadczał.

Odczekał parę minut, po czym dźwignął się na nogi i postał tak pół minuty, zanim znowu opadł na ławkę. W końcu był w stanie podnieść się na dłużej. Nie był jeszcze gotów, ale wyobrażał sobie, jak dochodzi do krawężnika, unosi rękę, wzywając taksówkę, opiera głowę na winylowym obiciu siedzenia. Liczył, ile ma kroków do krawężnika, tak jak później liczył kroki od taksówki do domu, od windy do mieszkania, od drzwi do swojego pokoju. Kiedy się uczył chodzić po raz trzeci – po zdjęciu szyn – to Andy instruował terapeutkę (nie była z tego zadowolona, ale przyjmowała jego sugestie) i to Andy, podobnie jak Ana cztery lata wcześniej, przyglądał się Jude'owi pokonującemu bez pomocy odległość dziesięciu stóp, potem dwudziestu, potem pięćdziesięciu, potem stu. Jego chód – unoszenie lewej nogi zgiętej w kolanie pod kątem prostym, z prawą nogą stanowiącą tylny bok prostokąta – też został opracowany przez Andy'ego, który go w nim ćwiczył godzinami, póki ten go nie opanował. To od Andy'ego Jude usłyszał, że chyba mógłby chodzić bez laski, a gdy wreszcie mu się to udało, dziękował mu serdecznie.

Do poniedziałku nie tak znów wiele godzin, mówił sobie, usiłując ustać, a wtedy Andy zajrzy do niego, jak to zwykle robił, choćby był nie wiadomo jak zajęty. „Kiedy zauważyłeś to pęknięcie?", spyta Andy, dźgając je lekko płatkiem gazy. „W piątek", odpowie Jude. „Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłeś? – w głosie Andy'ego zabrzmi irytacja. – W każdym razie mam nadzieję, że przynajmniej nie wybrałeś się na ten swój głupi spacer". „Nie, oczywiście, że nie" – odpowie Jude, ale Andy mu nie uwierzy. Czasami zastanawiał się, czy Andy nie widzi w nim wyłącznie zbioru wirusów i dysfunkcji. Gdyby je wszystkie usunąć, czym by pozostał? Czy Andy, gdyby nie musiał się nim zajmować, wciąż by się nim interesował? Gdyby pojawił się pewnego dnia magicznie cały, krocząc swobodnie jak Willem, kompletnie nieświadom siebie jak JB, który potrafił rozwalić się w fotelu i nie zwrócić uwagi na to, że koszula podjechała mu powyżej pępka, albo z długimi ramionami Malcolma, o skórze po wewnętrznej stronie gładkiej jak lukier – kim byłby wówczas dla Andy'ego? Kim byłby dla kogokolwiek z nich? Czy lubiliby go mniej? Bardziej? A może odkryłby – często się tego bał – że to, co nazywał ich przyjaźnią, było wyłącznie litością? Jaka część jego osoby jest tożsama z jego ograniczeniami? Kim byłby bez blizn, bez cięć, bez bólu, bez ran, bez złamań, bez infekcji, bez szyn ortopedycznych, bez wysięków?

Ale tego rzecz jasna nigdy się nie dowie. Sześć miesięcy wcześniej udało im się opanować ranę. Andy ją badał, sprawdzał po wielekroć, a potem wymienił listę ostrzeżeń i zaleceń, co robić, gdyby rana się otwarła.

Jude słuchał jednym uchem. Z niewiadomego powodu czuł się tego dnia jakoś lekko, za to Andy był w nastroju kłótliwym, więc oprócz wykładu o nodze Jude musiał znieść jeszcze drugi, o cięciu się (za częstym, zdaniem Andy'ego) i ogólnym wyglądzie (był za chudy, zdaniem Andy'ego).

Jude podziwiał swoją nogę, obracając ją w lewo i w prawo i oglądając miejsce, gdzie rana się ostatecznie zasklepiła, a Andy gadał i gadał.

– Czy ty mnie słuchasz, Jude? – spytał w końcu.

– Dobrze wygląda – ocenił Jude, nie zamiast odpowiedzi, tylko w poszukiwaniu otuchy. – Prawda?

Andy westchnął.

– Wygląda… – Jude urwał, pomilczał chwilę, a potem podniósł oczy i obserwował, jak Andy przymyka powieki, jakby chciał się skupić od nowa, po czym otwiera je ponownie.

– Wygląda dobrze, Jude – powiedział cicho. – Naprawdę.

Wtedy Jude poczuł falę wdzięczności, bo wiedział, że Andy wcale nie uważa, iżby noga wyglądała dobrze, i nigdy nie będzie tak uważał. Dla Andy'ego ciało Jude'a było polem minowym, na którym oni dwaj muszą stale zachowywać maksymalną czujność. Jude wiedział, że w oczach Andy'ego jest autodestrukcyjny, pełen złudzeń i zaprzecza faktom.

Lecz Andy nie rozumiał jednego – Jude był optymistą. Miesiąc po miesiącu, tydzień po tygodniu codziennie rano decydował się otworzyć oczy, przeżyć jeszcze jeden dzień na świecie. Robił to, nawet kiedy czuł się tak podle, że ból przenosił go w inny stan świadomości, gdzie wszystko, nawet przeszłość, którą tak bardzo starał się zapomnieć, blakło w szarą akwarelową breję. Robił to, kiedy wspomnienia wypierały z jego mózgu wszelkie bieżące myśli, kiedy prawdziwego wysiłku, prawdziwej koncentracji wymagało utrzymanie się przy teraźniejszym życiu, powstrzymanie się od amoku desperacji i wstydu. Robił to, nawet kiedy był wyczerpany próbami, kiedy bycie obudzonym i żywym wymagało od niego tyle energii, że musiał poleżeć w łóżku, dopóki nie wymyślił powodów do wstania i podjęcia kolejnej próby, chociaż byłoby znacznie łatwiej pójść do łazienki, odlepić z kryjówki zamykaną na suwak plastikową saszetkę zawierającą waciki i żyletki, i chusteczki nasączone spirytusem, i bandaże i po prostu się poddać. To były najgorsze dni.

Tamtej nocy przed sylwestrem, gdy siedział w łazience, wodząc żyletką po ramieniu, do końca się jeszcze nie obudziwszy, to naprawdę była pomyłka. Normalnie nigdy nie pozwoliłby sobie na taką nieostrożność. Gdy jednak uświadomił sobie, co zrobił, była taka minuta, może dwie, kiedy autentycznie nie wiedział, co począć, kiedy siedział pogodzony z tym, że ten wypadek stanie się jego końcem, bo to pogodzenie zdawało się łatwiejsze niż podjęcie decyzji – decyzji, która musiałaby się rozejść jak kręgi po wodzie na Willema, na Andy'ego, na dni i miesiące konsekwencji.

Ostatecznie sam nie wiedział, co mu kazało złapać ręcznik z wieszaka i owinąć rękę, a potem dźwignąć się z podłogi, żeby zbudzić Willema. Lecz z każdą mijającą minutą oddalał się od tamtej drugiej ewentualności, bo wypadki toczyły się w tempie, którego nie kontrolował, i zatęsknił za owym rokiem tuż po kontuzji, zanim poznał Andy'ego, kiedy zdawało mu się, że wszystko jest do naprawienia, że jego przyszłe ja może być jasne i czyste, ponieważ wiedział tak mało, a miał tak wielką nadzieję i wiarę, że jego nadzieja zostanie kiedyś nagrodzona.

Przed Nowym Rokiem była uczelnia prawnicza, a jeszcze przedtem college, a jeszcze przedtem Filadelfia i długa, powolna podróż przez cały kraj, a przed nią była Montana i dom dziecka dla chłopców, a przed Montaną był Południowy Zachód i pokoje w motelach, i puste wstęgi drogi, i godziny spędzone w samochodzie. A przedtem była Dakota Południowa i klasztor. A przedtem? Jakaś matka i jakiś ojciec, prawdopodobnie. Czy też, bądźmy realistami, kobieta i mężczyzna. A potem zapewne sama kobieta. A potem on.

To brat Peter nauczył go matematyki i stale mu przypominał o tym, jakie Jude miał szczęście, i opowiedział mu, że został znaleziony w śmietniku. „W worku na śmieci ze skorupkami jaj, zwiędłą sałatą i zepsutym spaghetti byłeś ty – powiedział brat Peter. – W tym zaułku za drogerią, no wiesz którą", chociaż on nie wiedział, bo rzadko opuszczał klasztor.

Później brat Michael upierał się, że to wcale nie była prawda. „Nie leżałeś w śmietniku – powiedział mu. – Leżałeś obok śmietnika". Owszem, przyznał brat Michael, w śmietniku był worek na śmieci, a na wierzchu worka leżał on, ale czy to takie ważne? Bardziej prawdopodobne, że wyrzucano tam odpady z drogerii: kartonowe pudełka, bibułkę, plastikowe sznurki i klipsy od opakowań. „Nie wierz we wszystko, co ci mówi brat Peter", radził mu nieraz brat Michael i dodawał: „Nie ulegaj jego skłonności do mitologizowania siebie", ilekroć Jude dopytywał się o szczegóły dotyczące swojego zamieszkania w klasztorze. „Przyszedłeś i jesteś tu teraz, i powinieneś skupić się na przyszłości, a nie na przeszłości".

Stworzyli dla niego przeszłość. Znaleziono go nagiego, powiedział brat Peter (albo tylko w pieluszce, powiedział brat Michael), ale tak czy owak został porzucony, żeby – jak się wyrazili braciszkowie – natura zrobiła swoje, ponieważ był to środek kwietnia i wciąż panowały przymrozki, a noworodek nie przetrwa długo przy takiej pogodzie. Musiał tam jednak leżeć raptem parę minut, bo był jeszcze prawie ciepły, kiedy go znaleźli, i śnieg nie pokrył jeszcze całkiem śladów opon samochodowych ani odcisków butów (adidasów, prawdopodobnie damski rozmiar osiem) prowadzących do śmietnika i z powrotem. Miał szczęście, że go znaleźli (los sprawił, że go znaleźli). Wszystko, co posiadał – imię, nazwisko, datę urodzenia (domniemaną), dach nad głową, samo życie

– zawdzięczał braciszkom. Powinien być wdzięczny (nie oczekiwali jego wdzięczności dla siebie; oczekiwali, że będzie wdzięczny bogu).

Nigdy nie wiedział, na które pytanie mu odpowiedzą, a na które nie. Proste pytania (Czy płakał, kiedy go znaleźli? Czy był przy nim jakiś list? Czy szukali osoby, która go porzuciła?) spotykały się z lekceważeniem, niewiedzą lub brakiem wyjaśnień, za to zdarzały się wyczerpujące odpowiedzi na pytania bardziej skomplikowane.

„Państwo nie umiało znaleźć nikogo, kto by cię wziął". (Znowu brat Peter). „Więc ustaliliśmy, że zatrzymamy cię u nas tymczasowo, a potem mijały miesiące, mijały lata, no i ciągle tu jesteś. Koniec. Teraz dokończ te równania. Guzdrzesz się z nimi przez cały dzień".

Ale dlaczego państwo nie umiało znaleźć nikogo? Teoria pierwsza (brata Petera): po prostu było za dużo niewiadomych – pochodzenie etniczne, rodzice, ewentualne problemy zdrowotne i tak dalej, i tak dalej. Skąd on się wziął? Nikt nie wiedział. Żaden z miejscowych szpitali nie zarejestrował w ostatnim czasie narodzin żywego noworodka odpowiadającego jego opisowi. A to są rzeczy niepokojące dla potencjalnych opiekunów. Teoria druga (brata Michaela): to ubogie miasteczko w ubogim regionie ubogiego stanu. Bez względu na publiczne współczucie – a współczucie było, niech Jude nie zapomina – niełatwo wziąć dodatkowe dziecko do własnego domu, zwłaszcza że dom już pękał w szwach. Teoria trzecia (ojca Gabriela): pisane mu było tutaj zostać. To była wola boża. Klasztor jest jego domem. A teraz pora skończyć z zadawaniem pytań.

Była jeszcze czwarta teoria, wywlekana przez niemal wszystkich braci, gdy źle się zachował: jest zły i był zły od początku. „Musiałeś popełnić coś bardzo złego, że cię tak porzucili", powtarzał brat Peter, zdzieliwszy go tabliczką, gdy beształ go, stojącego na baczność i szlochającego przeprosiny. „Może tak dużo płakałeś, że w końcu nie mogli tego wytrzymać". Na to on szlochał jeszcze głośniej, bojąc się, że brat Peter ma rację.

Przy całym swoim zainteresowaniu historią bracia wpadali w kolektywną irytację, gdy Jude interesował się swoją, tak jakby uparł się przy uprawianiu wyjątkowo nudnego hobby, zamiast szybko z niego wyrosnąć. Wkrótce nauczył się nie zadawać pytań, przynajmniej nie wprost, chociaż czujnie łowił wszelkie strzępy informacji, jakie doń docierały w najmniej spodziewanych momentach, z najmniej prawdopodobnych źródeł. Z bratem Michaelem czytał *Wielkie nadzieje* i udało mu się sprowadzić braciszka na manowce rozwlekłej dywagacji na temat życia sieroty w dziewiętnastowiecznym Londynie, miejscowości równie mu obcej jak Pierre odległe raptem o kilkaset mil. Lekcja zgodnie z przewidywaniem Jude'a ostatecznie przerodziła się w wykład, z którego dowiedział się, że tak jak Pip, on też zostałby oddany krewnemu, gdyby takiego znaleziono. Czyli najwidoczniej nie miał krewnych. Był sam.

Jego zaborczość także była złym nawykiem, który należało wykorzenić. Nie przypominał sobie, kiedy po raz pierwszy zapragnął czegoś na własność, czegoś, co należałoby do niego i do nikogo więcej. „Tutaj nikt niczego nie ma na własność", powiedziano mu, ale czy to rzeczywiście była prawda? Jude wiedział na przykład, że brat Peter ma szylkretowy grzebień koloru świeżo naciętego pnia i tak jak świeżo nacięty pień pełen światła, z którego jest bardzo dumny i którym co rano przyczesuje sobie wąsy. Pewnego dnia grzebień zniknął i brat Peter przerwał lekcję historii z bratem Matthew, żeby porwać Jude'a za ramiona i gniewnie nim potrząsać, krzycząc, że ukradł grzebień i niech go lepiej zwróci, bo inaczej popamięta. (Grzebień znalazł się później u brata Petera – leżał po prostu w wąskiej szczelinie między biurkiem a kaloryferem). Brat Matthew natomiast miał oryginalne, oprawne w płótno wydanie *Bostończyków* z miękkim zielonym grzbietem. Pokazał mu kiedyś tę książkę, trzymając na wysokości jego oczu, żeby mógł przyjrzeć się okładce („Nie dotykaj! Powiedziałem, nie dotykaj!"). Nawet brat Luke, jego ulubiony zakonnik, który rzadko się odzywał i nigdy na Jude'a nie krzyczał, miał ptaka, którego wszyscy uważali za jego własność. Formalnie, powiedział brat David, ptak jest niczyj, ale to brat Luke go znalazł i pielęgnował, i karmił, i to do niego ptak przylatywał, więc jeżeli Luke chce, to może go mieć.

Brat Luke był opiekunem klasztornego ogrodu i cieplarni, a Jude w cieplejszych miesiącach pomagał mu w drobnych pracach. Dowiedział się, podsłuchując innych braciszków, że brat Luke był bogatym człowiekiem, zanim wstąpił do klasztoru. Tylko że potem coś się stało czy też brat Luke coś zrobił (to nie było do końca jasne), że albo stracił większość pieniędzy, albo je rozdał, a teraz był tutaj, tak samo biedny jak inni, chociaż to on zapłacił za cieplarnię i wspomógł klasztor finansowo. Pozostali bracia na ogół unikali Luke'a, więc Jude myślał sobie, że może brat Luke jest zły, chociaż nigdy nie był zły, nie wobec niego.

Na krótko przed tym, jak brat Peter oskarżył go o kradzież grzebienia, Jude rzeczywiście ukradł pierwszą rzecz w swoim życiu: paczuszkę krakersów z kuchni. Przechodził obok któregoś ranka, zmierzając do sali, w której miał lekcje, i w kuchni akurat nikogo nie było, a paczuszka leżała na blacie, w zasięgu ręki, więc impulsywnie capnął ją i czmychnął, wpychając zdobycz pod drapiącą wełnianą tunikę, w której chodził, miniaturową wersję habitu braci. Pobiegł okrężną drogą, żeby ukryć krakersy pod poduszką, i przez to spóźnił się na lekcję z bratem Matthew, który za karę uderzył go witką forsycji, jednak sekret istnienia łupu napełniał Jude'a jakimś ciepłem i radością. Tej nocy, leżąc w łóżku, schrupał jednego krakersa (który mu w zasadzie nie smakował), z wielką ostrożnością dzieląc go zębami na osiem kawałków i trzymając każdy kawałek na języku, aż stał się miękki i kleisty, i dał się przełknąć w całości.

Po tym zdarzeniu kradł coraz więcej. W klasztorze nie było nic, czego by naprawdę chciał, nic, co byłoby warte posiadania, więc po prostu łapał co popadnie, bez żadnego planu i pragnienia: jedzenie, gdziekolwiek je znalazł; czarny zatrzask dostrzeżony na podłodze w celi brata Michaela podczas jednej z pośniadaniowych wypraw; pióro z biurka ojca Gabriela, zwinięte, gdy podczas lekcji ojciec Gabriel odwrócił się tyłem, żeby znaleźć jakąś książkę; grzebień brata Petera (tę jedną kradzież sobie zaplanował, lecz nie przyniosła mu więcej emocji niż inne). Kradł zapałki, ołówki, kartki papieru – bezużyteczne śmieci, ale cudze śmieci – i wpychał je pod bieliznę, po czym uciekał do swojej celi, żeby schować łup pod materacem, który był tak cienki, że w nocy Jude czuł pod plecami każdą sprężynę.

– Przestań tak ganiać, bo będę musiał spuścić ci lanie! – krzyczał za nim brat Michael, gdy Jude pędził do siebie.

– Tak, proszę brata – odpowiadał i zmuszał się do zwolnienia kroku.

Przyłapali go, kiedy zgarnął swój największy łup: srebrną zapalniczkę ojca Gabriela, podwędzoną z jego biurka, gdy ojciec Gabriel musiał przerwać lekcję, aby odebrać telefon. Braciszek nachylił się nad aparatem, on zaś sięgnął i zgarnął zapalniczkę, ważąc jej chłodny ciężar w dłoni aż do końca lekcji. Ledwie znalazł się za drzwiami gabinetu, pospiesznie wepchnął łup pod bieliznę i ruszył do swojej celi, ale za rogiem korytarza wpadł prosto na brata Pavla. Zanim brat Pavel zdążył na niego krzyknąć, Jude cofnął się i zapalniczka wypadła mu na ziemię, i odbiła się od kafli posadzki.

Bywał już bity, oczywiście, bywał łajany, ale teraz, w przeczuciu kary ostatecznej, miał się stawić w gabinecie ojca Gabriela, który zapowiedział, że da mu lekcję na temat kradzieży cudzej własności. Obserwował, nic nie rozumiejąc, lecz tak przerażony, że nie mógł nawet płakać, jak ojciec Gabriel przykłada złożoną chusteczkę do wylotu butelki z oliwą, a następnie wciera oliwę w grzbiet jego lewej dłoni. Po czym bierze swoją zapalniczkę – tę samą, którą Jude ukradł – i unosi jego dłoń nad płomień, aż tłusta plama na skórze się zapala i całą rękę Jude'a spowija upiorny biały blask. Jude wrzasnął i nie mógł przestać wrzeszczeć, a ojciec Gabriel dał mu w twarz za to, że wrzeszczy.

– Przestań wrzeszczeć – wrzasnął. – Teraz masz nauczkę. Na zawsze sobie zapamiętasz, że nie wolno kraść.

Gdy Jude odzyskał przytomność, leżał w swoim łóżku, a dłoń miał obandażowaną. Wszystkie jego rzeczy zniknęły: oczywiście te, które ukradł, ale też te, które znalazł: kamyki, piórka, groty strzał, a także skamielina, którą brat Luke podarował mu na piąte urodziny, pierwszy prezent, jaki Jude w życiu otrzymał.

Odkąd został przyłapany, musiał się co wieczór zgłaszać do gabinetu ojca Gabriela i nago poddawać się kontroli intymnej na okoliczność kontrabandy. Później, gdy zrobiło się jeszcze gorzej, wracał myślą

do tamtej paczuszki krakersów: gdyby ich tylko nie ukradł. Gdyby tylko nie wpakował się w taką kabałę.

Jego ataki złości rozpoczęły się po wieczornych kontrolach ojca Gabriela, do których wkrótce doszły południowe w wykonaniu brata Petera. Jude dostawał histerii, rzucał się na ściany klasztoru, wrzeszcząc najgłośniej jak umiał, i walił wierzchem brzydkiej, pokancerowanej dłoni (która nawet po sześciu miesiącach jeszcze czasem bolała, dając o sobie znać głębokim, uporczywym pulsowaniem) o twarde narożniki drewnianych stołów w refektarzu, walił karkiem, łokciami, policzkami – każdą najbardziej wrażliwą częścią ciała – o blat swojego biurka. Dostawał tych ataków za dnia i w nocy, nie panował nad nimi, czuł, że opływają go niczym mgła, i pozwalał sobie w nich odpocząć, jego ciało i głos działały w sposób, który go zarazem pociągał i odrzucał, bo chociaż później wszystko go bolało, to wiedział, że wystraszył także braci, którzy bali się jego złości, wrzasku i mocy. Bili go czym popadło, na gwoździu w sali lekcyjnej zawiesili na stałe skórzany pas, zdejmowali sandały i okładali go nimi tak, że następnego dnia nie mógł usiąść, nazywali go potworem, życzyli mu śmierci, pomstowali, że trzeba go było zostawić na śmietniku. I za to też był im wdzięczny, za tę pomoc w doprowadzaniu się do wyczerpania, bo sam nie był w stanie ujarzmić tej bestii i potrzebował ich pomocy w odegnaniu jej, żeby cofnęła się do klatki aż do czasu, gdy znów się z niej wyrwie.

Zaczął się moczyć w łóżku, za co jeszcze częściej kazali mu się stawiać u ojca, na jeszcze liczniejsze kontrole, a im więcej kontroli przeprowadzał ojciec Gabriel, tym bardziej Jude się moczył. Ojciec zaczął odwiedzać go w celi nocą, podobnie brat Peter, a później brat Matthew, i robiło się coraz gorzej i gorzej: kazali mu spać w zasikanej koszuli, kazali mu w niej chodzić w ciągu dnia. Wiedział, że strasznie śmierdzi uryną i krwią, krzyczał, awanturował się, wył, przerywał lekcje, strącał książki ze stołów, tak że bracia musieli zacząć go bić, porzucając obowiązki pedagogiczne. Czasami bili go tak mocno, że tracił przytomność, czego zaczął gorąco pożądać: tej czerni, w której czas mijał, a jego nie było, w której robiono mu różne rzeczy, ale on o tym nie wiedział.

Niekiedy miewał powody do wściekłości, chociaż znał je tylko on. Czuł się tak nieskończenie brudny, tak zbrukany, jakby wewnątrz był przegniłą budowlą, jak potępiony kościół, do którego go zawieźli podczas jednej z rzadkich wycieczek poza klasztor: belki z plamami pleśni, krokwie popękane i podziurawione gniazdami termitów, trójkąty białego nieba przezierające nieskromnie przez zniszczony dach. Na lekcjach historii uczył się o pijawkach i o tym, że wiele lat temu wierzono, iż pijawki wysysają z chorego złą krew, głupio i chciwie wchłaniają chorobę w swoje tłuste, robakowate ciała, a potem spędził wolną godzinę – po lekcjach, ale przed obowiązkami – brodząc w strumieniu na skraju klasztornych włości w poszukiwaniu swoich pijawek. A gdy żadnej nie znalazł, gdy

powiedziano mu, że w tym strumieniu nie ma pijawek, rozwrzeszczał się histerycznie, aż stracił głos, ale i wówczas nie mógł przestać wrzeszczeć, chociaż czuł, że gardło wypełnia mu się gorącą krwią.

Kiedyś był w swojej celi, i byli tam też ojciec Gabriel i brat Peter, a on starał się nie krzyczeć, bo nauczył się, że im ciszej się zachowa, tym prędzej się to skończy, gdy nagle zdało mu się, że za framugą otwartych drzwi przemyka jak ćma brat Luke, i poczuł się upokorzony, chociaż nie znał jeszcze słowa upokorzenie. Więc następnego dnia w czasie wolnym poszedł do ogrodu brata Luke'a i pourywał wszystkie kielichy żonkilom, po czym rzucił je pod drzwiami szopy brata Luke'a, a uchylone kielichy celowały w niebo niczym rozwarte dzioby.

Później, gdy znów został sam i zajmował się obowiązkami, pożałował tego, co zrobił, i od tego smutku ramiona zaczęły mu ciążyć, tak że upuścił wiadro z wodą, które dźwigał z jednego końca sali w drugi, to zaś sprawiło, że rzucił się na ziemię, krzycząc z frustracji i skruchy.

Obiadu nie był w stanie jeść. Rozglądał się za bratem Lukiem, próbując odgadnąć, kiedy i jak zostanie ukarany i kiedy każą mu iść go przeprosić. Ale brata Luke'a nie było. W zdenerwowaniu Jude upuścił blaszany dzbanek z mlekiem, zimny biały płyn rozlał się po posadzce, a brat Pavel, który siedział obok niego, wyrwał go z ławki i pchnął na ziemię.

– Sprzątnij to – warknął, ciskając mu ścierkę. – Nie dostaniesz jeść do piątku.

Była środa.

– Teraz idź do swojej celi.

Pobiegł, zanim brat Pavel mógłby zmienić zdanie.

Drzwi do jego celi – przerobionego składziku bez okna o szerokości mieszczącej pryczę, na drugim końcu piętra, nad refektarzem – były zawsze otwarte, chyba że któryś z braci albo ojciec gościł u Jude'a, wówczas na ogół były zamknięte. Ale tym razem, już skręcając zza rogu od schodów, zobaczył, że drzwi są zamknięte, więc zatrzymał się na chwilę w cichym, pustym korytarzu, niepewny, co go czeka: prawdopodobnie któryś z braci. A może jakiś potwór. Po incydencie ze strumieniem śnił czasem na jawie, że cienie gęstniejące po kątach to gigantyczne pijawki kołyszące się pionowo, o lśniącej, ciemnej, tłustej segmentowanej skórze, czekające, żeby go przygnieść swym mokrym, bezgłośnym ciężarem. W końcu zdobył się na odwagę i pobiegł wprost do drzwi, otworzył je gwałtownie i zobaczył swoją pryczę z wełnianym kocem barwy błota, pudełko chusteczek i podręczniki na półce. Po chwili jednak ujrzał w kącie, u wezgłowia pryczy *to* – szklany słoik z bukietem żonkili z kielichami o falistych brzegach.

Usiadł na podłodze blisko słoja, potarł w palcach jedną z aksamitnych główek kwiatów i w tej samej chwili poczuł tak wielki, tak przejmujący smutek, że chciał rozedrzeć się na dwoje, zerwać bliznę z wierzchu dłoni, poszarpać się na kawałki, tak jak postąpił z kwiatami brata Luke'a.

Ale dlaczego zrobił coś takiego bratu Luke'owi? Nie tylko brat Luke był dla niego dobry – brat David, gdy nie musiał wymierzać mu kar, zawsze go chwalił, że jest taki bystry, nawet brat Peter regularnie przynosił mu książki z miejskiej biblioteki, żeby Jude je przeczytał i potem z nim omówił, i słuchał jego opinii, jakby Jude był prawdziwą osobą – ale brat Luke nie tylko nigdy go nie zbił, lecz także starał się dodać mu otuchy, pokazać, że jest jego sojusznikiem. Poprzedniej niedzieli Jude miał wyrecytować modlitwę przed kolacją, ale gdy stanął przy końcu stołu ojca Gabriela, porwał go nagły impuls niegrzeczności: miał ochotę chwycić garść pokrojonych w kostkę ziemniaków z misy na stole i rozrzucić je po całym refektarzu. Już czuł drapanie w gardle od krzyku, który z siebie wyda, słyszał świst pasa chłoszczącego jego plecy, widział ciemność, w którą się zapadnie, i chwiejny biały dzień, gdy się obudzi. Patrzył, jak jego ręka sama się unosi, obserwował, jak jego palce rozwierają się niczym płatki kwiatu i jak zdążają ku misie. Lecz w tej samej chwili podniósł wzrok i zobaczył brata Luke'a, który puścił do niego oko, błyskawicznie i z poważną miną – jakby błysnęła migawka aparatu fotograficznego – tak, że Jude nie był pewien, czy cokolwiek widział. Wtedy brat Luke mrugnął ponownie i z jakiegoś powodu to uspokoiło Jude'a; doszedł do siebie, wyrecytował modlitwę i usiadł; kolacja minęła bez incydentu.

A teraz te kwiaty. Ale zanim zdążył pomyśleć, co one znaczą, drzwi się otwarły i ukazał się w nich brat Peter. Jude wstał, czekając na ten straszny moment, na który nigdy nie umiał się przygotować, w którym wszystko mogło się zdarzyć i wszystko przyjść.

Następnego dnia zaraz po lekcjach ruszył w stronę cieplarni z postanowieniem, że powie coś bratu Luke'owi. Im bardziej jednak się zbliżał, tym bardziej to postanowienie go opuszczało, więc zaczął się ociągać, kopiąc po drodze drobne kamyki albo przyklękając, aby nazbierać gałązek, które zaraz wyrzucał, ciskał je w stronę lasu okalającego ziemie klasztoru. No bo co właściwie chciał powiedzieć? Postanowił wycofać się w kierunku pewnego drzewa na północnym skraju terenu, w którego rozwidlonych korzeniach wydrążył dziurę i zaczął w niej od nowa zbierać rzeczy – tym razem były to wyłącznie rzeczy znalezione w lesie i nienależące do nikogo, bezpieczne: kamienie, gałązka przypominająca kształtem skaczącego psa – i tam spędzał większość wolnego czasu, wygrzebując z dziury znaleziska i biorąc je do rąk, kiedy nagle usłyszał, że ktoś wymawia jego imię; odwrócił się i ujrzał brata Luke'a, który szedł ku niemu z ręką wyciągniętą na powitanie.

– Tak myślałem, że to ty – powiedział brat (z niezbyt wielką bystrością, jak pomyślał dużo później Jude, bo kto inny mógłby to być? On był jedynym dzieckiem w klasztorze).

Chociaż Jude się starał, nie znalazł słów przeprosin pod adresem brata Luke'a, a właściwie w ogóle zapomniał języka w gębie i zamiast coś powiedzieć, rozpłakał się. Nigdy dotąd nie wstydził się, że płacze, ale w tym momencie poczuł wstyd, więc odwrócił się od brata Luke'a i zasłonił oczy

pokancerowaną ręką. Nagle uświadomił sobie, jak strasznie jest głodny, a to był dopiero czwartek po południu i nie miał dostać jeść aż do następnego dnia.

– No… – powiedział brat Luke i Jude poczuł, że brat klęka koło niego, bardzo blisko. – Nie płacz, nie płacz.

Powiedział to tak łagodnie, że Jude jeszcze mocniej się rozszlochał.

Wtedy brat Luke wstał, a gdy znów się odezwał, miał weselszy głos.

– Jude, słuchaj no. Chcę ci coś pokazać. Chodź ze mną. – I ruszył w stronę cieplarni, odwracając się, żeby sprawdzić, czy Jude za nim idzie. – Jude! – zawołał. – No chodź!

I Jude, zaciekawiony wbrew sobie, zaczął za nim iść w stronę tak dobrze sobie znanej cieplarni z nieznaną sobie dotąd gorliwością, jakby tej cieplarni nigdy jeszcze nie widział.

Już jako dorosły człowiek wpadł w obsesję poszukiwania konkretnego momentu, w którym wszystko się popsuło, tak jakby mógł go zamrozić, zakonserwować, podnieść w palcach i zademonstrować na lekcji w klasie: „Oto kiedy to się stało. Oto kiedy się zaczęło". Czy to wtedy, jak ukradłem krakersy? – zastanawiał się. – Czy wtedy, jak zerwałem żonkile brata Luke'a? Czy wtedy, jak dostałem pierwszego ataku? A może, choć to prawie niemożliwe, wtedy gdy zrobiłem to, co zrobiłem, za co ona mnie porzuciła za drogerią? Tylko co ja takiego zrobiłem?

A jednak w gruncie rzeczy zawsze wiedział: to się stało owego popołudnia, kiedy wszedł do cieplarni. Kiedy pozwolił się tam wprowadzić, kiedy porzucił wszystko, by pójść za bratem Lukiem. To był ten moment. I potem nic już nie było w porządku.

Jeszcze pięć schodów i stanął u frontowych drzwi, w które nie może włożyć klucza, bo ręce mu się trzęsą, więc klnie, nieomal go upuszczając. A potem jest już w mieszkaniu i tylko piętnaście kroków dzieli go od łóżka, ale i tak musi przystanąć w połowie, opuścić się powoli na podłogę i przeczołgać przez ostatnie metry na łokciach. Przez chwilę leży jak kłoda, wszystko wokół faluje, aż zbiera dość sił, by naciągnąć na siebie koc. Będzie tak leżał, aż słońce zejdzie z nieba i w mieszkaniu zrobi się ciemno; wtedy nareszcie dźwignie się na rękach na łóżko, gdzie zaśnie bez jedzenia, obmycia twarzy i przebrania się. Zęby szczękają z bólu. Będzie sam, bo Willem po spektaklu pójdzie gdzieś ze swoją dziewczyną i zanim wróci do domu, zrobi się późno.

Gdy Jude się zbudzi, będzie bardzo wcześnie i będzie się czuł lepiej, tylko że rana krwawiła w nocy i ropa przesiąkła przez gazę nałożoną w niedzielę rano, przed wyprawą na spacer, ten jego fatalny spacer, więc spodnie przylepi do skóry wstrętna wydzielina. Wyśle wiadomość do Andy'ego, a potem zostawi drugą w jego centrali i weźmie prysznic, ale najpierw starannie usunie bandaż, do którego przylgną skrawki zgniłego ciała i glutowate skrzepy poczerniałej krwi. Będzie sapał i dyszał, aby

powstrzymać się od krzyku. Przypomni sobie rozmowę, którą miał z Andym ostatnim razem, kiedy coś takiego się stało, kiedy Andy zasugerował, żeby Jude postarał się o wózek i trzymał go w rezerwie, i chociaż wstrętna jest mu myśl, że miałby znów używać wózka, to w tej chwili wiele by za niego dał. Pomyśli, że Andy ma rację, że te jego spacery dowodzą niewybaczalnej pychy, że jego udawanie, że wszystko jest świetnie, że wcale nie jest kaleką, to egoizm, bo jego konsekwencje spadają na innych ludzi, ludzi, którzy byli niewytłumaczalnie, nierozsądnie szczodrzy i dobrzy dla niego przez te wszystkie lata, już prawie przez dziesięciolecia.

Wyjdzie spod prysznica i zanurzy się w wannie, i oprze się policzkiem o glazurę na ścianie, i poczeka, aż zrobi mu się lepiej. Zostanie mu przypomniane, że jest uwięziony w pułapce, w pułapce ciała, którego nienawidzi, z przeszłością, której nienawidzi, i że nigdy nie będzie mógł zmienić ani jednego, ani drugiej. Będzie chciał zapłakać z frustracji, nienawiści i bólu, ale nie płakał, odkąd zdarzyło się to z bratem Lukiem, kiedy obiecał sobie, że już nigdy nie zapłacze. Zostanie mu przypomniane, że jest niczym, wydrążoną łupiną, w której owoc dawno się skurczył, zamienił w mumię i teraz grzechocze bezużytecznie. Doświadczy tego mrowienia, tego dreszczu wstrętu, który dopada go w najszczęśliwszych i najpaskudniejszych chwilach i zadaje mu pytanie, za kogo się uważa, że sprawia kłopot tak wielu osobom, że przyznaje sobie prawo, by żyć dalej, gdy jego własne ciało mówi mu, że należy przestać.

Będzie siedział, czekał i oddychał i z wdzięcznością pomyśli, że jest jeszcze wcześnie, że nie ma szans, żeby Willem go teraz znalazł i musiał znowu ratować. Jakoś (chociaż później nie zdoła przypomnieć sobie jak) wygramoli się z wanny, weźmie aspirynę, pójdzie do pracy. W pracy słowa na kartce będą się zamazywały i tańczyły przed oczami. Kiedy zadzwoni Andy, będzie dopiero siódma rano, on powie Marshallowi, że jest chory, odmówi przyjęcia samochodu, ale pozwoli – to dowodzi, jak źle się czuje – aby Marshall wsadził go do taksówki. Przejedzie tę samą trasę, którą tak idiotycznie przemierzył pieszo zaledwie dzień wcześniej. A kiedy Andy otworzy drzwi, będzie się starał zachować pokerową minę.

– Judy – powie Andy, bo będzie w swoim łagodnym humorze, nieskłonny do kazań, więc on pozwoli Andy'emu przeprowadzić się przez pustą poczekalnię, przez jeszcze nieotwarty gabinet i usadzić się na stole zabiegowym, na którym spędził już godziny, całe dni godzin, pozwoli nawet, żeby Andy go rozebrał, i z przymkniętymi oczami poczeka na drobny rozbłysk bólu, gdy Andy zedrze mu plaster z nogi i odklei od rozjątrzonej skóry przesiąknięty gazik.

Moje życie, pomyśli, moje życie. Więcej pomyśleć nie zdoła i będzie powtarzał te słowa w kółko – trochę kantyczkę, trochę przekleństwo, trochę krzepiący refren – osuwając się w ten inny świat, który

odwiedza, gdy włada nim taki ból, świat, który nigdy nie jest daleko od jego własnego, ale którego potem nigdy nie pamięta: Moje życie.

2

Zapytałeś mnie kiedyś, od kiedy wiedziałem, że on jest dla mnie, a ja odpowiedziałem, że zawsze wiedziałem. Lecz to nie była prawda i dotarło to do mnie, zanim jeszcze skończyłem mówić. Powiedziałem tak, ponieważ to ładnie brzmiało, jak coś, co mógłby powiedzieć bohater książki albo filmu, i ponieważ obaj czuliśmy się tak wrednie i bezradnie, i ponieważ myślałem, że jak to powiem, obaj możemy poczuć się lepiej w tej sytuacji, tej sytuacji, której być może mogliśmy zapobiec – a może nie – ale tego nie zrobiliśmy. To było w szpitalu. Za pierwszym razem, powinienem dodać. Wiem, że pamiętasz – przyleciałeś rano z Colombo, przeskakując miasta, kraje i godziny, tak że wylądowałeś cały dzień wcześniej, niż wyleciałeś.

Ale teraz chcę być dokładny. Chcę być dokładny, bo po pierwsze, nie ma powodu nie być, a po drugie, to mój obowiązek – zawsze próbowałem być dokładny i nadal próbuję.

Nie wiem właściwie, od czego zacząć.

Może od kilku miłych słów, które przy okazji są prawdziwe: polubiłem cię od razu. Gdy się poznaliśmy, miałeś dwadzieścia cztery lata, co znaczy, że ja miałem czterdzieści siedem. (O Jezu). Uważałem, że jesteś niezwykły; później on mówił o twojej dobroci, której doprawdy nie musiał mi tłumaczyć, gdyż sam ją znałem. To było pierwszego lata, gdy całą grupą przyjechaliście do nas na weekend, i to był dla mnie bardzo dziwny weekend, podobnie jak dla niego. Dla mnie, bo w waszej czwórce widziałem, kim mógł zostać Jacob, a dla niego, bo znał mnie tylko jako swojego nauczyciela, a tu nagle zobaczył mnie w szortach i kuchennym fartuchu, jak zdejmowałem małże z grilla, kłócąc się z wami trzema o wszystko. Odkąd jednak przestałem widzieć w waszych twarzach twarz Jacoba, mogłem cieszyć się tym weekendem, w znacznej mierze dlatego, że wy trzej tak bardzo się nim cieszyliście. Nie widziałeś w tej całej sytuacji nic dziwnego: byliście chłopakami, zakładaliście, że ludzie was lubią, a myśleliście tak nie z arogancji, lecz dlatego, że ludzie zawsze was lubili, więc nie mieliście powodu sądzić, że jeśli będziecie się zachowywać uprzejmie i sympatycznie, wasza uprzejmość i sympatia nie zostaną odwzajemnione.

On oczywiście miał masę powodów, żeby tak nie sądzić, chociaż odkryłem to dużo później. Wówczas obserwowałem go przy posiłkach, zauważając, jak podczas szczególnie płomiennych debat opiera się na krześle, jakby fizycznie wychylał się poza ring, i obserwuje was wszystkich, waszą łatwość kwestionowania mojego zdania bez prowokowania mnie, wasze odruchowe sięganie przez stół

po dokładkę kartofli, cukinii czy mięsa, waszą naturalną zdolność do proszenia o to, czego chcecie, i otrzymywania tego.

To, co najżywiej pamiętam z tamtego weekendu, to pewien drobiazg. Szliśmy sobie, ty, on, Julia i ja, tą wąską ścieżką wzdłuż brzóz prowadzącą na miejsce widokowe. (Wtedy to był taki wąski dukt, pamiętasz?). Ja szedłem z nim, a ty z Julią za nami. Rozmawialiście o… już nie pamiętam… o insektach? O polnych kwiatach? Zawsze znaleźliście sobie temat do dyskusji, oboje lubiliście przyrodę, oboje kochaliście zwierzęta, a ja kochałem za to was oboje, chociaż nie rozumiałem tych uczuć. Nagle dotknąłeś jego ramienia, wysunąłeś się przed niego, przykląkłeś i zawiązałeś mu sznurowadło, które się rozwiązało, po czym cofnąłeś się do Julii. Odbyło się to tak gładko, drobny gest, krok do przodu, ugięcie jednego kolana, powrót do jej boku. Dla ciebie to było nic, nawet o tym nie pomyślałeś, nawet nie przerwałeś rozmowy. Obserwowałeś go nieustannie (wszyscyście go obserwowali), opiekowałeś się nim na dziesiątki drobnych sposobów, byłem tego świadkiem przez te trzy dni – a jednak wątpię, czy pamiętasz ten szczególny incydent.

Bo kiedy wiązałeś mu but, on spojrzał na mnie, a wyraz jego twarzy… nie jestem w stanie go opisać inaczej niż tym, że w owej chwili poczułem, że coś we mnie kruszeje i wali się, niczym wieża z mokrego piasku wzniesiona za wysoko; miało to związek z nim i z tobą, i ze mną też. A w jego twarzy – wiedziałem – odbijała się moja twarz. Ta niemożność znalezienia kogoś, kto zrobiłby coś podobnego dla drugiej osoby, tak mimowolnie, z takim wdziękiem! Gdy spojrzałem na niego, zrozumiałem, po raz pierwszy od śmierci Jacoba, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że czyjaś uroda rozdziera serce, że coś potrafi złamać człowiekowi serce. Przedtem zawsze myślałem, że to ckliwy komunał, ale w tamtej chwili dotarło do mnie, że owszem, może to i jest ckliwe, lecz jednocześnie jest prawdziwe.

I wtedy, jak przypuszczam, zrozumiałem.

Nigdy nie myślałem, że zostanę rodzicem. Wcale nie dlatego, że sam miałem złych rodziców. Przeciwnie, moi rodzice byli wspaniali: matka umarła, kiedy byłem bardzo mały, na raka piersi, i przez następne pięć lat byliśmy tylko ja i ojciec. Ojciec był lekarzem, internistą, który marzył, że zestarzeje się wraz ze swoimi pacjentami.

Mieszkaliśmy na West Endzie, na Osiemdziesiątej Drugiej, a gabinet ojca mieścił się w naszej kamienicy na parterze, więc wpadałem do niego po szkole. Wszyscy jego pacjenci mnie znali, a ja byłem dumny, że jestem synem pana doktora, że mogę wszystkim mówić cześć, patrzeć, jak odebrane przez niego oseski stają się dzieciakami, które czują przede mną respekt, bo rodzice im powiedzieli,

że jestem synem doktora Steina, że chodzę do dobrej szkoły, jednej z najlepszych w mieście, i że jeśli się będą pilnie uczyły, też mogą do takiej szkoły trafić.

– Kochany – wołał mnie ojciec, kiedy spostrzegł, że przyszedłem po szkole, i kładł mi rękę na karku, nawet gdy byłem już wyższy od niego, i całował mnie w skroń. – Mój kochany – mówił. – Jak tam było w szkole?

Gdy miałem osiem lat, ożenił się z kierowniczką swojej przychodni, Adele. Nie pamiętam takiego momentu w dzieciństwie, kiedy byłbym nieświadom obecności Adele: to ona zabierała mnie na zakupy po nowe ubrania, gdy ich potrzebowałem, ona spędzała z nami Święto Dziękczynienia, ona pakowała moje urodzinowe prezenty. Nie chodzi o to, że Adele była dla mnie jak matka; chodzi o to, że dla mnie matka to Adele.

Była starsza od mojego ojca i należała do tych kobiet, przy których mężczyźni czują się swobodnie, lecz nigdy nie myślą o poślubieniu ich – inaczej mówiąc, nie była ładna. Ale komu potrzebna uroda u matki? Zapytałem ją kiedyś, czy chciałaby mieć własne dzieci, na co odpowiedziała, że ja jestem jej dzieckiem i nie wyobraża sobie lepszego – co mówi wszystko o moim ojcu i Adele, i o tym, jakie uczucia wobec nich żywiłem, i jak mnie traktowali; dość, że nie kwestionowałem jej pozycji aż do ukończenia trzydziestu lat, gdy kłóciliśmy się z żoną o to, czy powinniśmy mieć drugie dziecko, dziecko, które zastąpiłoby Jacoba.

Adele była jedynaczką i ja byłem jedynakiem, a także mój ojciec był jedynakiem: rodzina jedynaków. Rodzice Adele żyli, ojca już nie, i jeździliśmy do nich na Brooklyn, w okolicę pochłoniętą teraz przez Park Slope, w weekendowe odwiedziny. Mieszkali w Ameryce prawie pięćdziesiąt lat, a nadal ledwo mówili po angielsku: ojciec nieśmiało, matka ekspresyjnie. Byli potężnej postury, tak jak Adele, i tak jak ona wielkiej dobroci. Adele rozmawiała z nimi po rosyjsku, a jej ojciec, którego naturalnie nazywałem dziadkiem, otwierał grubą pięść i pokazywał mi, co tam tai: drewniany wabik naśladujący ptasie głosy albo pasek różowej gumy do żucia. Nawet gdy byłem już studentem prawa, za każdym razem coś mi darowywał, chociaż nie miał już swojego sklepiku, co oznacza, że musiał te drobiazgi gdzieś kupować. Ale gdzie? Zawsze wyobrażałem sobie, że musi istnieć tajemny sklep pełen zabawek, które pokolenia temu wyszły z mody, a który mimo to ma wiernych klientów – starych imigrantów płci obojga, którzy podtrzymują jego istnienie, kupując malowane w pasy blaszane bąki, małe metalowe żołnierzyki i gumowe piłeczki, lepkie od brudu jeszcze przed zdjęciem chroniącego je plastiku.

Zawsze wyznawałem teorię – zrodzoną z niczego – że mężczyźni, którzy są dość dorośli, by być świadkami drugiego małżeństwa własnych ojców (a zatem dość dorośli, by wyciągnąć z tego wnioski), poślubiają kobiety podobne do macochy, a nie do matki. Ale ja nie ożeniłem się z kimś takim jak

Adele. Moja żona, moja pierwsza żona, była zimna i zamknięta w sobie. W przeciwieństwie do innych dziewczyn, które zawsze siebie krytykowały – własną inteligencję, ale także własne pragnienia i złości, i lęki, i charakter – Liesl nigdy tego nie robiła. Na naszej trzeciej randce wychodziliśmy z kawiarni na MacDougal Street, gdy z mrocznej bramy wyłonił się mężczyzna i zwymiotował prosto na Liesl. Zapaskudził jej cały sweter pomarańczowym pawiem; szczególnie zapamiętałem spory glut przylepiony do pierścionka z małym diamentem, który Liesl nosiła na prawej ręce – wyglądało to, jakby na kamieniu wyrósł rakowy guz. Ludzie wokół nas żachnęli się, niektórzy krzyczeli, ale Liesl tylko przymknęła oczy. Inna kobieta narobiłaby pisku i wrzasku (ja sam narobiłbym pisku i wrzasku), a ona, pamiętam, tylko lekko się wzdrygnęła, jakby jej ciało doznało obrzydzenia, ale jednocześnie uchylało się przed nim, a kiedy otworzyła oczy, już nad sobą panowała. Zdjęła sweter, cisnęła go do pobliskiego kosza na śmieci i powiedziała „Chodźmy". Przez cały epizod stałem oniemiały, zszokowany, lecz w tym momencie zapragnąłem jej i poszedłem za nią tam, gdzie mnie zaprowadziła, czyli do jej mieszkania, nory na Sullivan Street. Przez cały czas Liesl trzymała prawą rękę lekko uniesioną, a glut wymiocin wciąż wisiał u jej pierścionka.

Ani mój ojciec, ani Adele specjalnie jej nie lubili, chociaż nigdy mi tego nie powiedzieli: byli uprzejmi i szanowali moje decyzje. Ja w zamian nigdy ich nie pytałem, nie zmuszałem do kłamstwa. Nie sądzę, żeby ich stosunek do Liesl spowodowany był tym, że nie była Żydówką – żadne z moich rodziców nie było religijne. Chodzi raczej o to, że uważali, iż zanadto się jej boję. A może tak to sobie zinterpretowałem w późniejszych latach życia. Może było tak dlatego, że to, co ja brałem za kompetencję, oni postrzegali jako oziębłość czy też chłód. Bóg świadkiem, że nie oni jedni tak myśleli. Zawsze odnosili się do niej grzecznie, a ona, w rozsądnych granicach, odwzajemniała się tym samym, ale wydaje mi się, że woleliby synową, która by z nimi trochę flirtowała, której by mogli opowiadać żenujące historie z mojego dzieciństwa, która umawiałaby się na lunche z Adele i grała w szachy z ojcem. Krótko mówiąc, kogoś takiego jak ty. Ale Liesl taka nie była i nigdy nie miała być, a z chwilą gdy to sobie uświadomili, sami przyjęli postawę nieco wyniosłą, nie po to, by okazać brak zadowolenia, ale jako rodzaj samodyscypliny, przypomnienie samym sobie, że są granice, jej granice, które powinni uszanować. Kiedy byłem z Liesl, czułem się dziwnie odprężony, jakby wobec takiej kompetencji nawet nieszczęście musiało nas omijać.

Poznaliśmy się w Nowym Jorku, gdzie ja studiowałem prawo, a ona medycynę. Po dyplomie dostałem posadę urzędnika w Bostonie, a ona (o rok starsza ode mnie) rozpoczęła staż. Chciała być onkologiem. Podziwiałem to, ponieważ nie ma nic bardziej kojącego niż kobieta, która chce leczyć, którą wyobrażamy sobie pochyloną nad pacjentem w kitlu białym jak obłok. Liesl jednak nie chciała być podziwiana; onkologia interesowała ją dlatego, że była jedną z najtrudniejszych dyscyplin, że

uchodziła za specjalizację dla mózgowców. Liesl i jej koledzy ze stażu onkologicznego pogardzali radiologami (zbyt usługowi), kardiologami (zbyt napuszeni i zadowoleni z siebie), pediatrami (zbyt sentymentalni), a zwłaszcza chirurgami (niewymownie aroganccy) i dermatologami (bez komentarza), chociaż ci często z onkologami współpracowali. Lubili za to anestezjologów (dziwaków, kujonów i pedantów skłonnych do uzależnień), patologów (jeszcze większych mózgowców od siebie) i… na tym właściwie koniec. Czasami całą grupą przychodzili do nas do domu i po kolacji długo dyskutowali o przypadkach i studiach, podczas gdy my, ich partnerzy – prawnicy, historycy, pisarze i pomniejsi naukowcy – siedzieliśmy, jakby nas nie było, dopóki wreszcie nie ewakuowaliśmy się do jadalni, żeby pogadać o najrozmaitszych banalnych, mało ważnych rzeczach wypełniających nasze dni.

Byliśmy dwiema dorosłymi osobami i nasze życie było wystarczająco szczęśliwe. Nie biadoliliśmy, ani ja, ani ona, na to, że nie spędzamy ze sobą dość czasu. Po zakończeniu jej stażu specjalizacyjnego ona wróciła do Nowego Jorku, a ja zostałem w Bostonie. Pracowałem już w firmie i byłem adiunktem na wydziale prawa. Widywaliśmy się w weekendy, raz w Bostonie, raz w Nowym Jorku. W końcu Liesl zakończyła swój program i wróciła do Bostonu. Pobraliśmy się, kupiliśmy dom, nieduży, nie ten, który mam teraz na skraju Cambridge.

Mój ojciec i Adele (a także rodzice Liesl, tajemniczym zrządzeniem losu znacznie bardziej emocjonalni niż córka, która podczas naszych nieczęstych odwiedzin w Santa Barbara, kiedy jej ojciec dowcipkował, a matka stawiała przede mną talerze pokrojonych i posypanych pieprzem ogórków i pomidorów ze swojego ogródka, obserwowała nas z zaciętą miną, jakby zażenowana, a co najmniej zaskoczona ich wylewnością) nigdy nas nie spytali, czy chcemy mieć dzieci: przypuszczam, że kombinowali sobie, że dopóki nie spytają, istnieje szansa, że się rozmnożymy. Lecz ja po prawdzie wcale nie czułem takiej potrzeby; nigdy nie wyobrażałem sobie, że mam dziecko, nie miałem właściwie żadnego stosunku do dzieci, co wydawało mi się dostatecznym powodem, żeby ich nie mieć: żeby mieć dziecko, myślałem, trzeba tego aktywnie chcieć, nawet pożądać. To nie jest coś dla wahających się i pozbawionych pasji. Liesl czuła podobnie, tak przynajmniej sądziliśmy.

Lecz pewnego wieczoru – ja miałem trzydzieści jeden lat, ona trzydzieści dwa: tacy młodzi – gdy wróciłem do domu, Liesl czekała na mnie w kuchni. To było coś niezwykłego, bo pracowała dłużej ode mnie i zwykle nie widywałem jej przed ósmą, dziewiątą wieczorem.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmiła poważnie, a mnie nagle obleciał strach. Spostrzegła to i uśmiechnęła się. Liesl nie była okrutna, przez co nie chcę też powiedzieć, że była pozbawiona dobroci, łagodności, bo jedno i drugie w sobie miała, do jednego i do drugiego była zdolna. – To nic złego, Harold. – Roześmiała się krótko. – Tak sądzę.

Usiadłem. Liesl zaczerpnęła tchu.

– Jestem w ciąży. Nie wiem, jak to się stało. Musiałam pominąć jedną czy dwie pigułki i o tym zapomnieć. To już ósmy tydzień. Potwierdziła to dzisiaj Sally. – (Sally była jej współlokatorką w czasie studiów medycznych, najlepszą przyjaciółką i ginekolożką). Wypowiedziała to bardzo szybko, *staccato*, krótkimi zdaniami. Po czym zamilkła na chwilę. – Jestem na pigułkach, przy których nie ma okresu, więc nie wiedziałam. – A gdy nie odpowiadałem, dodała: – Powiedz coś.

W pierwszej chwili nie mogłem wykrztusić słowa.

– Jak się czujesz? – spytałem w końcu.

Wzruszyła ramionami.

– Świetnie.

– To dobrze – powiedziałem głupio.

– Haroldzie – rzekła, siadając naprzeciwko mnie. – Co chcesz teraz zrobić?

– A co *ty* chcesz zrobić?

Znów wzruszyła ramionami.

– Wiem, co chcę zrobić. Chcę się dowiedzieć, czego ty chcesz.

– Nie chcesz tego dziecka.

Nie zaprzeczyła.

– Chcę usłyszeć, czego ty chcesz.

– A gdybym powiedział, że go chcę?

Była na to gotowa.

– Wówczas poważnie bym się zastanowiła.

Tego się nie spodziewałem.

– A jednak – powiedziałem – powinniśmy zrobić to, czego ty chcesz.

Nie była to tak do końca wielkoduszność, bo przeważało w tym tchórzostwo. Podobnie jak w wielu innych sytuacjach ochoczo scedowałem decyzję na nią.

Westchnęła.

– Nie musimy decydować dzisiaj. Mamy trochę czasu.

Cztery tygodnie, nie musiała mi tego mówić.

W łóżku zacząłem rozmyślać. Nasuwały mi się wszystkie te myśli, które miewa każdy mężczyzna, gdy kobieta mu mówi, że jest w ciąży. Jak by to dziecko wyglądało? Czy bym je polubił? Czy bym je pokochał? A potem druzgocąca świadomość: ojcostwo. Ze wszystkimi obowiązkami, satysfakcjami, nudą i możliwością niepowodzenia.

Nazajutrz rano nie podjęliśmy tematu, dzień później też o tym nie rozmawialiśmy. W piątek, gdy kładliśmy się do łóżka, Liesl powiedziała sennie:

– Jutro musimy to omówić.

– Koniecznie – odparłem.

Ale nie omówiliśmy, i znowu nie, i minął dziewiąty tydzień, a potem dziesiąty, a potem jedenasty i dwunasty i zrobiło się za późno na łatwe czy etyczne rozwiązanie, co – jak sądzę – obojgu nam sprawiło ulgę. Decyzja podjęła się sama, a raczej nasze niezdecydowanie podjęło decyzję za nas, i mieliśmy mieć dziecko. Po raz pierwszy w naszym małżeńskim życiu oboje okazaliśmy takie niezdecydowanie.

Wyobrażaliśmy sobie, że to będzie dziewczynka i że damy jej na imię Adele, po mojej matce, a na drugie Sarah – po Sally. Ale nie urodziła się dziewczynka, więc w zamian pozwoliliśmy Adele (która była tak szczęśliwa, że się rozpłakała, co nie zdarzało jej się często) wybrać pierwsze imię, a Sally drugie: Jacob More. (Skąd More, spytaliśmy Sally, a ona wyjaśniła, że to po Thomasie More).

Nigdy nie należałem do ludzi – wiem, że ty też nie – którzy czują, że miłość do dziecka to najwyższa postać miłości, pełniejsza, donioślejsza i większa niż jakakolwiek inna. Nie czułem tego przed narodzinami Jacoba, nie czułem i potem. Ale to *jest* miłość szczególna, ponieważ jej podstawą nie jest atrakcyjność fizyczna ani przyjemność, ani intelekt, tylko lęk. Człowiek nie wie, czym jest lęk, dopóki nie ma dziecka, i może ten fakt podstępnie wpędza nas w myślenie, że taka miłość jest przemożna, bo sam lęk jest przemożny. Co dzień rano twoją pierwszą myślą jest nie „kocham go", tylko „czy wszystko z nim w porządku?". Świat przez noc zamienia się w tor przeszkód i strachów. Trzymasz dziecko na ręku, czekasz przed przejściem dla pieszych i nagle opada cię myśl, że przecież absurdem jest spodziewać się, że twoje dziecko, jakiekolwiek dziecko, przetrwa to życie. Mnie zdawało się to równie nieprawdopodobne jak przetrwanie późnoletnich motyli – wiesz, tych małych białych – które nieraz widywałem kołyszące się w powietrzu, zawsze o milimetry od rozkwaszenia się o przednią szybę samochodu.

Pozwól, że zdradzę ci jeszcze dwie rzeczy, których się nauczyłem. Pierwsza to taka, że nie ma znaczenia, w jakim twoje dziecko jest wieku ani kiedy i w jaki sposób zostało twoim dzieckiem. Z chwilą gdy decydujesz się pomyśleć o kimś jako swoim dziecku, coś się zmienia i wszystko, co cię przedtem w tym dziecku radowało, wszystko, co przedtem wobec niego czułeś, zostaje poprzedzone tym lękiem. To nie jest lęk biologiczny: to coś pozabiologicznego, mniej w tym determinacji ocalenia własnego kodu genetycznego, a więcej pragnienia, aby dowieść, że jest się odpornym na zamachy i wyzwania wszechświata, że triumfujesz nad niszczącą siłą, która zagraża temu, co twoje.

Druga rzecz jest następująca: kiedy twoje dziecko umiera, czujesz wszystko, co spodziewałeś się czuć, doświadczasz uczuć tak dobrze udokumentowanych przez innych, że nawet nie chcę ich tu wymieniać, powiem tylko, że wszystko, co napisano o żałobie, jest na jedno kopyto, i jest takie nie bez

powodu – ponieważ nie ma odejścia od tego wzorca. Czasem czujesz się bardziej w taki sposób, a mniej w owaki, czasem emocje następują w zmienionym porządku, czasem odczuwa się je wyjątkowo długo, lub wyjątkowo krótko. Ale doznania są zawsze te same.

Jest jednak coś, o czym nikt nie mówi. Jeżeli to jest twoje dziecko, to jakaś część ciebie, znikoma, ale nie do pominięcia, odczuwa też ulgę. Bo wreszcie to, czego się spodziewałeś, przed czym drżałeś, na co przygotowywałeś się od dnia zostania rodzicem – nadeszło.

Aha, mówisz sobie, stało się. Oto jest.

A potem już niczego nie musisz się bać.

Lata temu, po publikacji mojej trzeciej książki, jakiś dziennikarz spytał mnie, czy potrafię z góry ocenić, czy dany student ma dryg do prawa, czy nie. Odpowiedź na to brzmi: niekiedy. Ale często człowiek się myli – student, który zdawał się taki bystry w pierwszej części semestru, z upływem roku traci swój błysk, za to student, za którego z początku nie dałbyś pięciu centów, okazuje się błyskotliwy, myślący, aż chce się go słuchać.

Na ogół to ci najinteligentniejsi studenci najgorzej sobie radzą na pierwszym roku – uczelnia prawnicza, zwłaszcza na początku studiów, to nie jest miejsce, gdzie ceni się kreatywność, myślenie abstrakcyjne i wyobraźnię. Pod tym względem, myślę sobie czasem na podstawie tego, co zasłyszałem i co wiem z własnego doświadczenia – przypomina w pewien sposób uczelnię artystyczną.

Julia miała przyjaciela, niejakiego Dennysa, który jako dziecko był niezwykle uzdolniony plastycznie. Przyjaźnili się od małego i Julia pokazała mi kiedyś jego rysunki z czasów, kiedy miał dziesięć czy dwanaście lat: małe szkice ptaków dziobiących coś na ziemi, własnej twarzy, okrągłej i pustej, ojca, miejscowego weterynarza, głaszczącego sierść wykrzywionego teriera. Ojciec Dennysa nie widział jednak sensu w lekcjach rysunku, więc chłopiec nigdy nie odebrał formalnej edukacji. Ale gdy podrośli i Julia poszła na uniwersytet, Dennys wstąpił na akademię sztuk pięknych, żeby nauczyć się rysować. Przez pierwszy tydzień, opowiadał, pozwalano im rysować, co chcieli, i profesor za każdym razem wybierał szkice Dennysa do powieszenia na ścianie, by o nich rozmawiać. Ale potem zaczęto ich uczyć, *jak* rysować, czyli w gruncie rzeczy przerysowywać. W drugim tygodniu rysowali same elipsy. Elipsy szerokie, elipsy pękate, elipsy chude. W trzecim tygodniu rysowali koła i sfery. Potem był kwiat. Potem wazon. Potem dłoń. Potem głowa. Potem całe ciało. A Dennys z każdym tygodniem tej nauki okazywał się gorszy. Pod koniec semestru już nie wieszano jego prac na ścianach. Teraz, gdy widział psa z długą sierścią zamiatającą ziemię pod brzuszkiem, widział nie psa, lecz kółko na pudełku, a gdy próbował go narysować, martwił się o proporcje, a nie o oddanie psowatości.

Postanowił porozmawiać ze swoim profesorem. „Chcemy cię złamać, Dennys – powiedział profesor. – Tylko prawdziwe talenty przetrwają tę próbę".

„Widocznie nie należałem do prawdziwych talentów", mawiał potem Dennys. Zamiast artystą został adwokatem i zamieszkał w Londynie ze swoim partnerem.

– Biedaku – użalała się nad nim Julia.

– Och, nic się nie stało – wzdychał Dennys, jednak nikogo z nas nie zdołał przekonać.

W ten sam sposób uczelnia prawnicza łamie umysły. Powieściopisarze, poeci i artyści zazwyczaj nie radzą sobie dobrze na studiach prawniczych (chyba że są złymi powieściopisarzami, poetami i artystami), co wcale nie musi znaczyć, że radzą sobie matematycy, logicy i naukowcy. Ci pierwsi ponoszą klęskę, bo mają własną logikę, ci drudzy – bo logika jest wszystkim, co mają.

Ale on był dobrym studentem – świetnym studentem – od samego początku, z tym że jego świetność często kamuflowała się agresywną nieświetnością. Wiedziałem, słuchając jego wypowiedzi na zajęciach, że ma wszystko, czego potrzeba, aby zostać wybitnym prawnikiem: nie przypadkiem nazywa się prawo rzemiosłem, bo jak wiele rzemiosł wymaga szczególnie pojemnej pamięci, którą on dysponował. Prawo wymaga też – znowu jak wiele rzemiosł – zdolności dostrzeżenia problemu, a zaraz potem, prawie natychmiast, całego ciągu problemów, które z tego pierwszego mogą wyniknąć. To tak jak dla budowniczego dom nie jest tylko konstrukcją – jest plątaniną rur zamarzających w zimie, masą gontów puchnących latem od wilgoci, rynnami plującymi na wiosnę kaskadami wody, betonem pękającym przy pierwszych jesiennych przymrozkach – tak i dla prawnika dom jest czymś więcej. Dom jest zaryglowanym sejfem pełnym umów, kwitów zastawnych, przyszłych pozwów, ewentualnych pogwałceń: obrazuje możliwe zamachy na czyjąś własność, na czyjeś dobra, na samą osobę, na jej prywatność.

Oczywiście nie da się tak myśleć przez cały czas, bo by człowiek zwariował. Dlatego dla większości prawników dom w ostatecznym rachunku jest po prostu domem, czymś, co trzeba zapełnić meblami, naprawiać, malować i kiedyś opróżnić. Jest jednak taki okres, w którym student prawa – dobry student prawa – odkrywa, że jego wizja ulega zmianie, i uświadamia sobie, że prawo jest nieuchronne, że żadna interakcja, żaden aspekt życia codziennego nie umknie jego długim, chwytnym palcom. Ulica staje się wtedy szokującą sceną przestępstw, pogwałceń i potencjalnych pozwów cywilnych. Małżeństwo przypomina o rozwodzie. Świat staje się nieznośny.

On to potrafił. Potrafił wziąć sprawę i dostrzec jej koniec, a to jest bardzo trudne, bo trzeba umieć zestawić w głowie wszystkie możliwości, wszystkie prawdopodobne konsekwencje a potem wybrać, którymi się martwić, a które zignorować. Ale on robił coś jeszcze – i nie umiał się od tego powstrzymać – widział moralne implikacje sprawy. A to nie jest pomocne na studiach prawniczych.

Miałem kolegów, którzy nie pozwalali swoim studentom nawet wymawiać słów „dobry" i „zły". „Dobro nie ma tu nic do rzeczy – grzmiał na nas jeden z moich profesorów. – Jakie jest prawo? Co mówi prawo?". (Profesorowie prawa uwielbiają teatralne zachowania; wszyscy je uwielbiamy). Inny, ilekroć padły te słowa, nie mówił nic, tylko podchodził do winowajcy i wręczał mu karteczkę z całego pliku, jaki nosił w kieszeni marynarki, na której było napisane: „Drayman 241". Poprawka Drayman 241 była filozofią wydziału prawa.

Podam ci przykład. Drużyna futbolowa wybiera się na mecz wyjazdowy, lecz nawala jedna z furgonetek. Proszą więc matkę któregoś z zawodników, żeby im pożyczyła swoją furgonetkę. Ona się zgadza, ale mówi, że nie będzie prowadzić, i prosi pomocnika trenera, żeby on poprowadził furgonetkę. Jadą, i nagle straszny wypadek – samochód ześlizguje się z drogi i spada w przepaść; wszyscy pasażerowie giną.

Nie mamy tutaj sprawy kryminalnej. Droga była śliska, kierowca nie był pod wpływem alkoholu. Ale rodzice zawodników, matki i ojcowie zabitych piłkarzy, skarżą właścicielkę furgonetki. Samochód należał do niej, argumentują, i co ważniejsze, to ona wyznaczyła kierowcę. Pomocnik trenera był tylko wykonawcą jej polecenia, a zatem to ona ponosi odpowiedzialność. Pytanie, co teraz. Czy powodowie powinni wygrać sprawę?

Studenci nie lubią tego przykładu. Nie używam go zbyt często – jego ekstremalność sprawia, że jest bardziej efekciarski niż pouczający – ale ilekroć po niego sięgam, zawsze ktoś z sali zawoła: „Przecież to nie fair!". To słowo – fair – jest ogromnie irytujące, a jednak to ważne, aby studenci nigdy nie zapominali tego pojęcia. „Fair" nigdy nie stanowi odpowiedzi, tłumaczę im. Ale zawsze należy je brać pod uwagę.

On jednak nigdy nie mówił, czy coś jest fair. Bycie fair zdawało się go niezbyt interesować, co dla mnie było fascynujące, ponieważ ludzie, zwłaszcza młodzi ludzie, żywo interesują się tym, co jest fair. Bycie fair to pojęcie, którego się uczy grzeczne dzieci: jest zasadą rządzącą w przedszkolu i na letnim obozie, na placu zabaw i na boisku. Jacob, gdy jeszcze mógł chodzić do szkoły, uczyć się, myśleć i mówić, wiedział, na czym polega bycie fair i że jest to ważne i wartościowe. Fair jest dla ludzi szczęśliwych, dla ludzi, którzy mieli to szczęście, że przeżyli życie określone raczej pewnikami niż niepewnością.

Dobro i zło natomiast są dla… cóż, może nie dla nieszczęśliwych, ale dla poranionych, wystraszonych.

A może dopiero dziś tak myślę?

– Ale czy powodowie wygrali sprawę? – zapytałem. Na tamtym roku, jego pierwszym roku studiów, posłużyłem się przykładem drużyny piłkarskiej.

– Tak – odrzekł i wytłumaczył dlaczego. Instynktownie pojął, dlaczego by wygrali. W tym samym momencie jak na zamówienie usłyszałem z głębi sali: „Przecież to nie fair!”, ale zanim zdążyłem rozpocząć wykład, że „fair” nigdy nie jest odpowiedzią et cetera, et cetera, on powiedział cicho: – Ale jest dobre.

Nigdy nie miałem okazji spytać go, co przez to rozumiał. Zajęcia się skończyły, wszyscy się zerwali i niemal pognali do drzwi, jakby w sali wybuchł pożar. Pamiętam, że zakonotowałem sobie, żeby go o to spytać na następnych zajęciach, pod koniec tygodnia, ale zapomniałem. A potem zapominałem raz po raz. Przez te wszystkie lata przypominała mi się od czasu do czasu tamta wymiana zdań i za każdym razem myślałem: muszę go zapytać, co miał wtedy na myśli. Nigdy nie zapytałem. Nie wiem dlaczego.

I tak utrwalił się schemat: on znał prawo, miał wyczucie. Ale z drugiej strony, wtedy gdy chciałem, żeby przestał mówić, on wprowadzał argument moralny, wspominał o etyce. Proszę cię, myślałem w duchu, proszę cię, nie rób tego. Prawo jest proste. Dopuszcza mniej niuansów, niżby się zdawało. Etyka i moralność mają w istocie miejsce w prawie – chociaż nie w prawoznawstwie. Moralność pozwala nam tworzyć prawa, lecz nie pomaga nam ich stosować.

Martwiłem się, że utrudnia sobie życie, że niepotrzebnie komplikuje swój wielki dar (wstyd mi to mówić o własnej profesji) myśleniem. Przestań! – chciałem mu powiedzieć. Ale nigdy nie powiedziałem, bo w końcu uświadomiłem sobie, że lubię słuchać, jak on myśli.

Okazało się oczywiście, że martwiłem się niepotrzebnie, bo nauczył się powściągliwości, nauczył się nie wspominać o dobru i złu. I jak wiemy, ta tendencja nie przeszkodziła mu zostać wielkim prawnikiem. Ale później często było mi smutno, za niego i za siebie. Żałowałem, że zbyt późno namówiłem go do porzucenia uczelni prawniczej, żałowałem, że poradziłem mu iść na odpowiednik Draymana 241. Umiejętności, które mu przekazałem, do niczego mu się w końcu nie przydały. Szkoda, że go nie pchnąłem w kierunku dziedziny, w której jego umysł mógł pozostać tak subtelny, jak był, w której nie musiałby się zaprzęgać do nudnej metody myślenia. Czułem, że wyszkoliłem kogoś, kto kiedyś wiedział, jak narysować psa, i zmieniłem go w kogoś, kto umie świetnie kreślić bryły.

Mam na sumieniu wiele win, jeśli chodzi o niego. Ale czasami, wbrew logice, czuję się bez winy. Zaprosiłem go do swojego pojazdu. I chociaż nie zjechałem z drogi, to wywiozłem go gdzieś, gdzie jest mrocznie, zimno i bezbarwnie, i tam go zostawiłem, gdy tymczasem w miejscu, skąd go zabrałem, krajobraz grał kolorami, na niebie rozbłyskiwały fajerwerki, a on stał z ustami rozdziawionymi z zachwytu.

3

Trzy tygodnie przed wyjazdem na Święto Dziękczynienia do Bostonu dostał paczkę – dużą, płaską, nieporęczną drewnianą skrzynkę z jego nazwiskiem i adresem wypisanymi czarnym flamastrem na wszystkich ściankach – która przyszła do pracy i przez cały dzień stała obok biurka, zanim mógł ją wreszcie otworzyć późnym wieczorem.

Po adresie zwrotnym domyślił się, co paczka zawiera, ale i tak czuł tę odruchową ciekawość, którą odczuwa każdy, rozpakowując cokolwiek, nawet coś niechcianego. W skrzynce znalazł warstwy szarego papieru, a pod nimi warstwy folii bąbelkowej, pod którą, owinięty w arkusze papieru, leżał obraz.

Odwrócił go. „Dla Jude'a z miłością i przeprosinami, JB" – nagryzmolono na odwrocie, tuż nad podpisem „Jean-Baptiste Marion". Do tylnej ścianki ramy przylepiona była taśmą koperta galerii JB, zawierająca certyfikat autentyczności obrazu, z datą, adresowany do niego i podpisany przez pracownika galerii.

Zadzwonił do Willema, który wyszedł już z teatru i prawdopodobnie był w drodze do domu.

– Zgadnij, co dzisiaj dostałem?

Przez ułamek sekundy panowało milczenie, po czym Willem odrzekł:

– Ten obraz.

– Właśnie. – Jude westchnął. – Podejrzewam, że maczałeś w tym palce?

Willem kaszlnął.

– Powiedziałem mu tylko, że w tej kwestii nie ma wyboru, o ile chce jeszcze kiedykolwiek z tobą pogadać. – Willem przerwał, a on usłyszał świst wiatru przemykającego bokiem. – Pomóc ci przetransportować go do domu?

– Dzięki, ale raczej na razie zostawię go tutaj, potem zabiorę. Ubrał obraz z powrotem w warstwy ochronne i złożył w skrzyni, którą wsunął pod biurko.

Był i zarazem nie był zdumiony, że JB jednak przysłał mu obraz (lecz wcale niezdziwiony, że przekonał go do tego Willem). Półtora roku wcześniej, kiedy Willem zaczynał pierwsze występy w *Teoremacie Malamuda*, jakaś galeria z Lower East Side zaproponowała JB wystawę i na wiosnę odbył się jego pierwszy autorski pokaz – *Chłopców*, serii dwudziestu czterech obrazów namalowanych na podstawie wykonanych przezeń zdjęć trzech przyjaciół. Zgodnie ze swoją obietnicą sprzed lat JB pokazywał mu wszystkie zdjęcia, z których chciał malować, on zaś wiele z nich akceptował

(niechętnie co prawda, bo czuł się przy tym niewyraźnie, ale wiedział, jak ważna jest ta seria dla JB), tyle że właśnie tymi JB był zainteresowany mniej niż tymi, które Jude odrzucił – na przykład zdjęciem przedstawiającym go skulonego na łóżku, z otwartymi oczami, z lewą dłonią nienaturalnie rozcapierzoną i palcami zakrzywionymi w szpony. Nie pamiętał nawet, że JB je robił. O to pokłócili się po raz pierwszy. JB przekonywał, potem się dąsał, potem groził, potem krzyczał, aż w końcu, nie mogąc zmienić jego decyzji, spróbował namówić Willema by był jego adwokatem.

– Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań – powiedział JB do Jude'a, zrozumiawszy, że negocjacje Willema nie posuwają się do przodu. – Formalnie rzecz biorąc, nie muszę cię prosić o pozwolenie. Formalnie mógłbym namalować, co mi się, kurwa, spodoba. Robię ci grzeczność.

Mógł zasypać JB argumentami, ale był zanadto zły.

– Obiecałeś mi, JB – powiedział. – To powinno wystarczyć.

Mógł jeszcze dodać „I jesteś mi to winien jako przyjaciel", ale przez lata zrozumiał, że JB wyznaje inną niż on definicję przyjaźni i jej zobowiązań, więc nie ma sensu się o to spierać: można ją było tylko przyjąć albo odrzucić, a on zdecydował się przyjąć, chociaż ostatnimi czasy wysiłek akceptowania JB i jego warunków stawał się nader denerwujący, męczący i żmudny.

Na koniec JB musiał się przyznać do porażki, chociaż w miesiącach poprzedzających wystawę rzucał od czasu do czasu aluzje do, jak się wyrażał, swoich „straconych obrazów", wielkich dzieł, które mógł był stworzyć, gdyby Jude nie był tak pryncypialny, tak nieśmiały, tak egocentryczny, tak (to był ulubiony argument JB) filisterski. Jude zaś później wstydził się własnej łatwowierności, ufności, że jego życzenia będą respektowane.

Wernisaż odbył się w czwartek pod koniec kwietnia, niedługo po jego trzydziestych urodzinach; wieczór był tak niewcześnie chłodny, że pierwsze liście na platanach przemarzły i skruszały, on zaś, skręcając w Norfolk Street, zatrzymał się i podziwiał przez chwilę scenerię, jaką tworzyła galeria: jasne, złociste pudełko światła i migotliwego ciepła na tle zziębniętej, płaskiej czerni nocy. W środku zaraz spotkał Czarnego Henry'ego Younga i ich wspólnego kolegę ze studiów, a potem jeszcze takie mnóstwo znajomych – z college'u, z imprez na Lispenard Street, ciotki JB, rodziców Malcolma i dawnych przyjaciół JB, których nie widział od lat – że dopiero po dłuższym czasie przepchnął się przez tłum, żeby obejrzeć obrazy.

Zawsze wiedział, że JB ma talent. Wszyscy to wiedzieli: można było mieć do niego zastrzeżenia jako do człowieka, lecz w jego pracach było coś, co cię przekonywało, że się pomyliłeś, że wszelkie ułomności charakteru przypisywane JB są w istocie dowodem twojej małostkowości i złości, ponieważ w JB kryje się człowiek o wielkiej empatii, głębi i wrażliwości. Tej nocy Jude nie miał najmniejszych

trudności z dostrzeżeniem intensywności i piękna tego malarstwa i odczuwał jedynie nieskomplikowaną dumę oraz wdzięczność wobec JB za doskonałość jego dzieła, co oczywiste, ale także za zdolność do tworzenia kolorów i obrazów, przy których inne kolory i obrazy wydawały się blade i bez wyrazu – za jego zdolność sprawiania, że człowiek widział świat na nowo. Obrazy uszeregowano w jednym rzędzie ciągnącym się przez wszystkie ściany, a tony barw stworzone przez JB – gęste sinawe błękity i żółcienie o odcieniu whisky – były tak wyraziście oryginalne, jakby JB wynalazł zupełnie nowy język kolorów.

Jude zatrzymał się z podziwem przed *Willemem i dziewczyną*, jednym z obrazów, które już widział (w dodatku go kupił), na którym Willem stał odwrócony bokiem do obiektywu i tylko jego oczy zdawały się patrzeć prosto na widza, chociaż w rzeczywistości patrzyły zapewne na dziewczynę stojącą dokładnie na linii jego wzroku. Ujął go wyraz twarzy Willema, który Jude znał bardzo dobrze. Willem miewał taką minę, gdy zaraz miał się uśmiechnąć; jego usta były jeszcze miękkie i jakby niezdecydowane, ale mięśnie wokół oczu już unosiły ich kąciki. Układ obrazów nie był chronologiczny, więc tuż za obrazem *Willem i dziewczyna* wisiał portret Jude'a sprzed zaledwie kilku miesięcy (obok swoich przechodził pospiesznie), a dalej portret Malcolma i jego siostry we wnętrzu, które Jude po meblach rozpoznał jako dawne, pierwsze mieszkanie Flory w West Village (*Malcolm i Flora, Bethune Street*).

Rozejrzał się za JB i zobaczył, że ten rozmawia z właścicielem galerii, a w tym samym momencie JB wyciągnął szyję, pochwycił jego wzrok i pomachał mu z daleka. „Geniusz", nadał do niego Jude samymi ruchami ust ponad głowami ludzi, a JB uśmiechnął się szeroko i tą samą metodą odpowiedział „Dziękuję".

Ale potem Jude przeszedł do ostatniej, trzeciej ściany i zobaczył je – dwa obrazy, dwa jego portrety, których JB nigdy mu nie pokazał. Na pierwszym był bardzo młody i trzymał papierosa, a na drugim, pewnie sprzed dwóch lat, siedział zgięty na końcu łóżka, opierając czoło o ścianę, ze skrzyżowanymi rękami i nogami i zamkniętymi oczami – taką pozycję przyjmował zawsze, gdy wychodził z ataku i mobilizował wszystkie zasoby fizyczne przed próbą stanięcia na nogach. Nie pamiętał, żeby JB zrobił mu takie zdjęcie, i sądząc po perspektywie – obiektyw musiał wyzierać zza framugi drzwi – domyślił się, że nie może go pamiętać, ponieważ miał nie wiedzieć o istnieniu tego obrazu. Na moment gwar galerii ucichł w jego uszach i Jude mógł jedynie patrzeć uparcie na obrazy: nawet w desperacji, którą odczuwał, miał dość przytomności umysłu, aby zrozumieć, że zareagował nie tyle na same dzieła, ile na wspomnienia i doznania, które one wywołują, że jego poczucie pogwałcenia granic przez to, że inni ludzie oglądają dokumentację tych dwóch żałosnych chwil jego życia, jest reakcją osobistą, właściwą wyłącznie jemu. Dla wszystkich innych były to dwa płótna pozbawione kontekstu, pozbawione

znaczenia, o ile Jude nie zdecyduje się go ujawnić. Ale, och, jak bolało Jude'a, że je widzi, jak gorąco zapragnął nagle znaleźć się sam.

Jakoś przetrwał bankiet, który ciągnął się bez końca i podczas którego intensywnie tęsknił za Willemem. Ten jednak grał tego wieczoru, więc nie mógł przyjść na wernisaż. Dobrze przynajmniej, że nie musiał rozmawiać z JB, zajętym pełnieniem roli gospodarza wieczoru, natomiast ludziom, którzy do niego podchodzili – był wśród nich szef galerii – aby wyrazić zdanie, że te dwa ostatnie obrazy są najlepsze z całej wystawy (tak jakby Jude był za to w jakiś sposób odpowiedzialny), potrafił odpowiedzieć uśmiechem i przyznaniem, że JB ma istotnie nadzwyczajny talent.

Ale później, w domu, gdy doszedł do siebie, nareszcie mógł odkryć przed Willemem, jak bardzo poczuł się zdradzony. A Willem bez wahania wziął jego stronę i tak bardzo się rozzłościł, że Jude poczuł się na chwilę uspokojony, zrozumiał bowiem, że dwulicowość JB zaskoczyła także Willema.

To wywołało drugą kłótnię, która zaczęła się w kawiarni nieopodal ich domu, gdzie JB okazał się rozwścieczająco niezdolny do przeprosin. Zamiast tego gadał i gadał o tym, jakie to wspaniałe obrazy, i zapewniał Jude'a, że kiedyś, gdy się uspokoi, sam je doceni, że w końcu to nie jest jakaś wielka sprawa, że Jude naprawdę powinien zwalczyć w sobie zahamowania, które są wszak nieuzasadnione, i że ta sprawa może mu nawet pomóc w tym procesie, i że wszyscy oprócz niego widzą, jak niewiarygodnie jest przystojny, i że być może – nie: na pewno! – to on się myli co do siebie, i wreszcie, że obrazy są już namalowane, ukończone, więc czego Jude się teraz spodziewa? Byłby szczęśliwszy, gdyby zostały zniszczone? Czy JB powinien je zerwać ze ściany i podpalić? Zostały obejrzane i tego nie da się cofnąć, więc może niech Jude pogodzi się z faktami i przejdzie nad nimi do porządku dziennego.

– Nie proszę cię, żebyś je zniszczył, JB – odpowiedział, tak wściekły, wręcz oślepiony pokrętną logiką JB i jego obraźliwym uporem, że chciało mu się wrzeszczeć. – Żądam od ciebie przeprosin.

Ale JB nie umiał albo nie chciał tego zrobić i Jude w końcu wstał i wyszedł, a JB nie próbował go zatrzymać.

Po tym spotkaniu po prostu przestał się odzywać do JB. Drugie podejście zrobił Willem i podobno (tak mu Willem opowiadał) zaczęli z JB wrzeszczeć na siebie na ulicy, po czym Willem też przestał się odzywać do JB, więc od tego czasu wiadomości o JB mieli tylko od Malcolma. Malcolm jak zwykle się nie mieszał; przyznał przed nimi, że jego zdaniem JB całkowicie się myli, lecz zaraz dodał, że obaj, JB i Jude, zachowują się nierozsądnie.

– Przecież wiesz, że on cię nie przeprosi, Judy – przekonywał. – Mówimy przecież o JB. Niepotrzebnie tracisz czas.

– Naprawdę zachowuję się nierozsądnie? – spytał Jude Willema po rozmowie z Malcolmem.

– Nie – odparł Willem bez wahania. – Sprawa została spieprzona, Jude. On ją spieprzył i on powinien przeprosić.

Obrazy się sprzedały. *Willem i dziewczyna* został mu doręczony do pracy, tak samo jak *Willem i Jude. Lispenard Street II*, który kupił Willem. *Jude. Po chorobie* (kiedy usłyszał ten tytuł, na nowo poczuł upokorzenie i wściekł się tak, że przez moment doświadczył tego, co zwykło się nazywać białą gorączką) został sprzedany kolekcjonerowi, którego zainteresowanie uchodziło za błogosławieństwo i przepowiednię przyszłych sukcesów: kupował on tylko na wystawach debiutanckich, a prawie każdy zakupiony przezeń artysta robił potem wielką karierę. Jedynie główna praca wystawy, *Jude z papierosem*, ostatecznie została w galerii, co było skutkiem szokującego i całkowicie amatorskiego błędu: dyrektor galerii sprzedał obraz ważnemu brytyjskiemu kolekcjonerowi, a właściciel galerii sprzedał go Museum of Modern Art.

– To idealnie – powiedział Willem Malcolmowi, wiedząc, że Malcolm przekaże jego słowa JB. – Niech JB powiadomi galerię, że zatrzymuje obraz, i niech go podaruje Jude'owi.

– Nie może tego zrobić – żachnął się Malcolm tak wstrząśnięty, jakby Willem zaproponował wyrzucenie płótna do śmietnika. – Przecież chodzi o MoMA!

– No i co z tego? – Willem wzruszył ramionami. – Jak jest tak kurewsko dobry, to wejdzie do MoMA z czymś innym. Mówię ci, Malcolm, to jest dla niego naprawdę jedyne wyjście, jeżeli chce, żeby Jude był dalej jego przyjacielem. – Urwał na chwilę. – I ja też.

Więc Malcolm przekazał wiadomość, a perspektywa utraty przyjaźni Willema wystarczyła, żeby JB zaraz do niego zadzwonił i zażądał spotkania, na którym oskarżył Willema, że go zdradził i że zawsze bierze stronę Jude'a, a karierę JB po prostu ma gdzieś, podczas gdy on zawsze popierał karierę Willema.

Wszystko to trwało miesiącami, wiosna zmieniła się w lato, a Jude z Willemem wyjechali do Truro, bez JB (i bez Malcolma, który powiedział, że boi się zostawić JB samego). JB pojechał do Irvinów do Aquinnah na Dzień Pamięci, więc oni pojechali tam na Dzień Niepodległości, po czym odbyli dawno planowaną wycieczkę do Turcji i Chorwacji, sami.

Przyszła jesień i zanim doszło do drugiego spotkania Willema z JB, Willem niespodziewanie dostał swoją pierwszą rolę w filmie, króla w adaptacji *Dziewczyny o srebrnych dłoniach,* więc wyjeżdżał w styczniu na zdjęcia do Sofii, a Jude otrzymał awans w pracy i dostał propozycję od partnera firmy Cromwell, Thurman, Grayson i Ross, jednej z najlepszych korporacji w mieście, i teraz częściej musiał korzystać z wózka, który mu w maju załatwił Andy, a Willem zerwał z dziewczyną, z którą chodził rok, i spotykał się teraz z projektantką kostiumów Philippą, a były kolega z pracy Jude'a, Kerrigan, rozesłał do wszystkich byłych kolegów tasiemcowy mejl, w którym jednocześnie wychodził z ukrycia

i ganił konserwatyzm, a Harold spytał Jude'a, kto w tym roku przyjeżdża na Święto Dziękczynienia i czy Jude mógłby zostać na noc, gdy wszyscy inni, kimkolwiek będą, pójdą do domu, ponieważ on i Julia mają z nim coś do omówienia, a Jude chodził do teatru z Malcolmem i na wystawy z Willemem, i czytał powieści, o które w innych okolicznościach kłóciłby się z JB, bo oni dwaj byli w ich grupie pożeraczami powieści: długa była lista rzeczy, o które kiedyś spieraliby się we czterech, a teraz dyskutowali o nich w duetach i tercetach. Z początku było to dezorientujące po tylu latach działania we czwórkę, lecz w końcu Jude się do tego przyzwyczaił i chociaż brakowało mu JB – jego dowcipnej megalomanii i dostrzegania w świecie tylko tych rzeczy, które go bezpośrednio dotyczyły – nie umiał się zdobyć na przebaczenie, a zarazem nie wyobrażał sobie życia bez JB.

Teraz, przypuszczał, ich kłótnia się zakończyła, bo obraz należał do niego. Willem przyjechał z nim do biura w tamtą sobotę, Jude odwinął obraz z papieru i oparł o ścianę, i we dwóch przyjrzeli mu się w milczeniu, jak rzadkiemu nieruchawemu zwierzęciu w zoo. Ten obraz reprodukował „Times" przy okazji recenzji wernisażu, a później „Artforum" przy okazji reportażu, a jednak dopiero teraz, w bezpiecznym zaciszu biura, Jude mógł go w pełni docenić – gdyby umiał zapomnieć, że to jego portret, mógłby dostrzec jego urodę i zrozumieć, co w tym obrazie tak fascynowało samego JB: to ta dziwna osoba przedstawiona na płótnie, która wyglądała na wystraszoną i czujną, która nie miała wyraźnych cech żeńskich ani męskich, której ubranie wyglądało na pożyczone, która naśladowała gesty i postawy dorosłości, najwyraźniej kompletnie ich nie rozumiejąc. Jude nie czuł już nic do tej osoby, lecz był to z jego strony akt woli, jak odwrócenie się na ulicy od kogoś, kogo widuje się stale, jak konsekwentne, codzienne udawanie, że się tej osoby nie widzi, aż pewnego dnia naprawdę przestaje się ją widzieć – albo przynajmniej takie wpajamy sobie przekonanie.

– Nie wiem, co mam z tym zrobić – przyznał się Willemowi i zrobił to z żalem, ponieważ naprawdę nie chciał tego obrazu, a jednocześnie miał poczucie winy, że Willem brutalnie wyrwał ten portret z życia JB w jego imieniu, a on nigdy więcej na niego nie spojrzy.

– No cóż – rzekł Willem. – Zawsze możesz go sprezentować Haroldowi; jestem pewien, że się zachwyci.

Jude pojął wtedy, że Willem chyba od początku wiedział, że on nie chce tego obrazu, lecz to nie miało dla niego znaczenia, bo nie żałował, że wybrał Jude'a zamiast JB, i nie miał do niego pretensji o konieczność podjęcia tej decyzji.

– Mógłbym – odrzekł powoli, chociaż wiedział, że tego nie zrobi. Harold istotnie byłby zachwycony (zachwycił się już na wystawie) i powiesiłby obraz na honorowym miejscu, więc Jude podczas każdej wizyty u Harolda musiałby na niego patrzeć. – Przepraszam cię, Willem – rzekł wreszcie. –

Przepraszam, że cię tutaj przywlokłem. Chyba zostawię ten obraz tutaj, zanim wymyślę, co z nim zrobić.

– Nie ma sprawy – powiedział Willem.

Zapakowali obraz z powrotem i wsunęli pod biurko.

Po wyjściu Willema Jude włączył swój telefon i napisał esemes: „JB. Wielkie dzięki za obraz i za Twoje przeprosiny; jedno i drugie wiele dla mnie znaczy". Przerwał, zastanawiając się, co napisać dalej. „Stęskniłem się za Tobą i chciałbym wiedzieć, co porabiasz. Zadzwoń w wolnej chwili". Wszystko to była prawda.

I nagle olśniło go, co powinien zrobić z obrazem. Odszukał adres agentki JB i napisał do niej wiadomość, w której dziękował za obraz *Jude z papierosem* oraz informował, że chciałby ten obraz podarować MoMA; na koniec pytał, czy agentka mogłaby mu dopomóc w tej transakcji.

Później wspominał ten epizod jako swoisty punkt podparcia, zawias między relacją, która była jakaś, a stała się inna, w odniesieniu do swojej przyjaźni z JB, ale także z Willemem. Gdy miał dwadzieścia parę lat, bywały okresy, że patrzył na swych przyjaciół, odczuwając tak czyste, głębokie zadowolenie, iż życzył sobie, aby otaczający ich świat przestał istnieć, żeby już żaden z nich nie musiał wykraczać poza tę chwilę, gdzie wszystko trwa w równowadze, a ich przyjaźń jest doskonała. Lecz oczywiście tak się nie mogło stać: sekundę później wszystko się przesuwało i magiczna chwila znikała.

Zabrzmiałoby to melodramatycznie, zbyt ostatecznie, gdyby powiedzieć, że po tym incydencie JB na zawsze zmalał w jego oczach. A jednak naprawdę Jude po raz pierwszy pojął, że ludzie, którym nauczył się ufać, mogą go pewnego dnia zdradzić. Pojął też, jakkolwiek brzmi to rozczarowująco, że to nieuchronne, a życie będzie go pchać dalej naprzód, bo za każdego, kto sprawi mu zawód, ma przynajmniej jedną osobę, która go nigdy nie zawiedzie.

Jego zdaniem (podzielanym przez Julię) Harold miał skłonność do przesadnego komplikowania Święta Dziękczynienia. Co roku, odkąd Jude był zapraszany na to święto do Harolda i Julii, Harold przyrzekał mu – zazwyczaj w początkach listopada, gdy tryskał entuzjazmem wobec tej perspektywy – że w tym roku wytęży umysł, aby podrasować najbardziej kulawą z amerykańskich tradycji. Harold zawsze zaczynał od wielkich ambicji: w ich pierwsze wspólne Święto Dziękczynienia, dziewięć lat wcześniej, kiedy Jude był na drugim roku studiów, Harold oznajmił, że przygotuje kaczkę z pomarańczami, przy czym rolę pomarańczy miały pełnić kumkwaty. Lecz gdy Jude stawił się w domu Harolda z tortem orzechowym upieczonym poprzedniej nocy, w drzwiach powitała go Julia.

– Ani słowa o kaczce – szepnęła, całując go w policzek.

W kuchni rozchełstany Harold wyciągał sporego indyka z piekarnika.

– Ani słowa! – ostrzegł.

– O czym? – spytał Jude.

W tym roku Harold zagadnął go, co by powiedział na pstrąga.

– Pstrąg nadziewany czymś innym – dodał.

– Lubię pstrąga – odpowiedział ostrożnie Jude. – Ale wiesz, Harold, indyka też lubię.

Wariacje tej rozmowy odbywały się co roku: Harold proponował różne zwierzęta i proteiny – duszona chińska kura czarnonóżka, filet mignon, tofu z leśnymi grzybami, sałatka z wędzonej siei na domowym ryżu – zamiast indyka.

– Nikt nie lubi indyka, Jude – mówił Harold niecierpliwie. – Wiem, co knujesz. Nie obrażaj mnie udawaniem, że lubisz indyka, tylko dlatego, że nie wierzysz w moją umiejętność ugotowania czegoś innego. Zjemy pstrąga i koniec. A mógłbyś upiec to ciasto co w zeszłym roku? Myślę, że pasowałoby do wina, które kupiłem. Przyślij mi tylko listę potrzebnych produktów, a wszystko kupię.

Zaskakujące było jego zdaniem to, że Harold na ogół wcale się nie interesował jedzeniem (ani winem). Właściwie to miał fatalny gust i często zapraszał Jude'a do restauracji, w których ceny były niebotyczne, a jedzenie średnie, i pochłaniał tam radośnie przypalone mięso i posklejany makaron. Jude co roku omawiał z Julią (która też nie pasjonowała się kuchnią) tajemniczą fiksację jej męża: Harold miał liczne obsesje, niektóre niewytłumaczalne, lecz ta zdawała się szczególnie zagadkowa, zwłaszcza że trwała tak długo.

Willem był zdania, że świętodziękczynna misja Harolda rozpoczęła się po części jako żart, ale z latami ewoluowała w coś poważniejszego i teraz Harold już naprawdę nie może się powstrzymać, chociaż wie, że nigdy mu się nie uda zrealizować planu.

– Ale wiesz – ciągnął Willem. – Tutaj chodzi w zasadzie o ciebie.

– Co masz na myśli?

– To jest przedstawienie dla ciebie – wyjaśnił Willem. – To jest sposób Harolda na powiedzenie ci, że mu na tobie zależy, i to tak bardzo, że chce zrobić na tobie wrażenie, nie mówiąc wprost, że mu na tobie zależy.

Jude natychmiast utrącił taką możliwość.

– Nie sądzę, Willem.

Ale czasem udawał sam przed sobą, że Willem miał rację; czuł się przy tym głupkowato i sentymentalnie z powodu szczęścia, które odczuwał na tę myśl.

W tym roku tylko Willem wybierał się z nim na Święto Dziękczynienia, ponieważ zanim Jude zdążył pogodzić się z JB, ten postanowił jechać do ciotek z Malcolmem, a gdy spróbował odwołać swój przyjazd, ciotki tak się rozeźliły, że musiał je udobruchać i jednak pojechać.

– Co będziemy jedli w tym roku? – spytał Willem. Jechali pociągiem w środę, w przeddzień Święta Dziękczynienia. – Łosia? Dziczyznę? Żółwia?

– Pstrąga – odparł Jude.

– Pstrąga! No, pstrąg to łatwizna. Kto wie, czy naprawdę w tym roku nie zjemy pstrąga.

– Z tym że on zapowiedział nadziewanego.

– Och! W takim razie cofam swoje słowa.

Przy obiedzie było ich ośmioro: Harold i Julia, Laurence i Gillian, przyjaciel Julii James i jego chłopak Carey, no i Jude z Willemem.

– Super jest ten pstrąg, Haroldzie – powiedział Willem, odkrawając sobie drugą porcję indyka, i wszyscy się roześmieli.

Kiedy właściwie, zastanawiał się Jude, przestałem czuć się taki spięty i nie na miejscu na obiadach Harolda? Z pewnością dopomogli mu przyjaciele. Harold lubił sparringowe rozmowy z tą trójką, lubił prowokować JB do wygłaszania oburzających do granic przyzwoitości rasistowskich stwierdzeń, lubił drażnić się z Willemem na temat jego ustatkowania się, lubił dyskutować tendencje konstrukcyjne i estetyczne z Malcolmem. Jude wiedział, że Harold lubi przekomarzać się z jego przyjaciółmi, co im również sprawiało przyjemność, a przy okazji dawali Jude'owi sposobność do przysłuchiwania się im w naturalnych odsłonach, bez poczucia, że powinien się włączyć do rozmowy: byli stadkiem papug stroszących barwne piórka jeden przed drugim, prezentujących się rówieśnikom bez obawy i kamuflażu.

Kolację zdominowała rozmowa o córce Jamesa, która latem miała wyjść za mąż.

– Jestem starym facetem – jęczał James, a Laurence i Gillian, których córki uczyły się jeszcze w college'u, a święto spędzały w domu koleżanki w Carmel, wydawali współczujące pomruki.

– To mi przypomina – rzekł Harold, popatrując na niego i Willema – że nie spytałem jeszcze, kiedy wy dwaj zamierzacie się ustatkować?

– Chyba chodzi o ciebie – uśmiechnął się Jude do Willema.

– Harold, ja mam trzydzieści dwa lata! – zaprotestował Willem i znów wszyscy się roześmieli, a Harold parsknął:

– Co to miało być, Willem? Usprawiedliwienie? Obrona? Trzydzieści dwa to nie szesnaście!

A Jude, chociaż dobrze się bawił, myślał też z dotkliwym niepokojem, co to za rozmowę chcą przeprowadzić z nim nazajutrz Harold i Julia. Wspomniał o tym Willemowi w drodze do Bostonu i chwilami, gdy pracowali przy czymś razem (nadziewaniu indyka, blanszowaniu kartofli, nakrywaniu do stołu), próbowali odgadnąć, co Harold może mu mieć do powiedzenia. Po kolacji narzucili kurtki i usiedli w ogrodzie za domem, nadal nad tym główkując.

Jude wiedział przynajmniej tyle, że nic im nie dolega – to było jego pierwsze pytanie i Harold go zapewnił, że oboje z Julią czują się wyśmienicie. W takim razie o co mogło chodzić?

– Może uważają, że za bardzo im się naprzykrzam – poddał Willemowi. Może Harold po prostu miał go dość.

– Wykluczone – odparł Willem, tak szybko i stanowczo, że Jude'owi ulżyło. – Może któreś dostało ofertę pracy gdzieś poza Bostonem i przenoszą się?

– Też mi to przyszło do głowy. Ale nie przypuszczam, żeby Harold kiedykolwiek wyjechał z Bostonu. Julia też nie.

Nie było w sumie wielu możliwości, przynajmniej takich, które wymagałyby rozmowy z nim: może sprzedają dom w Truro (tylko czemu mieliby to z nim omawiać, jakkolwiek uwielbiał ten dom). Może Harold i Julia postanowili się rozstać (ale odnosili się do siebie tak jak zawsze). Może sprzedają mieszkanie w Nowym Jorku i chcą wiedzieć, czy on by go nie kupił (mało prawdopodobne: był pewien, że za nic nie sprzedaliby tego mieszkania). Może planują tam remont i chcą, żeby on doglądał prac?

Dalsze domysły były bardziej zawiłe i nieprawdopodobne: może Julia chce zrobić coming out (a może Harold). Może Harold przeżywa powtórne narodziny (a może Julia). Może rzucają pracę i przenoszą się do aśramy w górnym stanie Nowy Jork. Może wybrali ascezę i zamieszkają w dalekiej dolinie Kaszmiru. Może planują operacje plastyczne. Może Harold stał się republikaninem. Może Julia odnalazła boga. Może Harolda mianowali prokuratorem generalnym. Może Julia została zidentyfikowana przez tybetański rząd na uchodźstwie jako kolejna reinkarnacja panczenlamy i przenosi się do Dharamsali. Może Harold kandyduje na prezydenta jako socjalista. Może otwierają na placu restaurację, w której serwować się będzie tylko indyka nadziewanego innymi mięsami. Teraz zaśmiewali się już tak strasznie, zarówno z własnej nerwowej niepewności, jak i z absurdalności swoich domysłów, że zgięli się wpół, przyciskając kołnierze kurtek do ust, żeby stłumić rechot, a łzy szczypiąco przymarzały im do policzków.

W łóżku jednak Jude powrócił do myśli, która wypełzła z ciemnych zakamarków jego umysłu i wkradła się w świadomość niczym wiotka zielona winorośl: może któreś z nich odkryło jakąś prawdę o osobie, którą on kiedyś był. Może zostaną mu przedstawione dowody – opinia lekarska, zdjęcie, klatka filmowa (ten scenariusz był najkoszmarniejszy). Postanowił, że nie będzie zaprzeczał, nie będzie się spierał, nie będzie się bronił. Potwierdzi prawdę, przeprosi, wyjaśni, że nigdy nie chciał ich oszukać, zaproponuje zerwanie kontaktów, a potem odejdzie. Poprosi ich tylko, żeby nie zdradzali jego sekretu, żeby nikomu nie mówili. Ćwiczył zdania: „Bardzo mi przykro, Haroldzie. Bardzo mi

przykro, Julio. Nigdy nie chciałem wprawić was w zażenowanie". Lecz było to oczywiście bezużyteczne usprawiedliwienie. Może i nie chciał, ale co za różnica, skoro to zrobił.

Willem wyjechał nazajutrz rano, bo wieczorem miał spektakl.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko się dowiesz, okej? – powiedział do Jude'a, ten zaś skinął głową. – Wszystko będzie dobrze, Jude. Cokolwiek to ma być, zawsze jakoś sobie poradzimy. Nie martw się, dobra?

– Przecież wiesz, że i tak będę się martwił – odparł, próbując odwzajemnić uśmiech Willema.

– No wiem – przyznał Willem. – Ale się staraj. I zadzwoń.

Przez resztę dnia zajmował się sprzątaniem – zawsze było co sprzątać, jako że Harold i Julia nie należeli do entuzjastów porządku – i zanim usiedli do wczesnej kolacji (potrawki z indyka i sałatki z buraków) był już całkiem roztrzęsiony i tylko udawał, że je, przesuwając kawałki jedzenia dookoła talerza jak strzałkę kompasu, z nadzieją, że Harold i Julia nie zauważą. Po kolacji zaczął znosić talerze do kuchni, ale Harold go powstrzymał.

– Zostaw to, Jude – powiedział. – Może porozmawialibyśmy teraz?

Poczuł motyle paniki w brzuchu.

– Powinienem je przynajmniej opłukać, bo wszystko pozasycha – zaprotestował kulawo, słysząc, jak głupio to brzmi.

– Pieprzyć talerze – odrzekł Harold i chociaż Jude wiedział, że Harold rzeczywiście nie dba o to, co się zeschnie na jego talerzu, to przemknęło mu przez głowę, czy jego nonszalancja nie była aby zbyt nonszalancka, czy nie było to udawanie nonszalancji. Ostatecznie jednak nie miał innego wyjścia, jak zostawić talerze i podreptać za Haroldem do salonu, gdzie Julia nalewała sobie i mężowi kawy, a jemu herbaty.

Usiadł na sofie, Harold na fotelu po lewej, a Julia na wysiedzianej, obitej płótnem otomanie naprzeciwko Jude'a. Zawsze siadali na tych samych miejscach, rozdzieleni niskim stolikiem, i Jude wyraził w duchu życzenie, żeby ten moment się zatrzymał, bo może to ostatni czas, jaki spędza tutaj, może po raz ostatni siedzi w tym ciepłym, ciemnym pokoju, z jego książkami i cierpkim, słodkawym zapachem mętnego soku z jabłek, i z granatowo-szkarłatnym tureckim dywanem, który się pościągał w fałdy pod stolikiem do kawy, i z tą plamą na poduszce sofy, gdzie obicie się przetarło i wyzierała spod niego biała muślinowa podszewka – z wszystkim, co pozwolił sobie pokochać, bo należało do Harolda i Julii, i ponieważ pozwolił sobie myśleć o ich domu jako o swoim.

Przez dłuższą chwilę popijali napoje i żadne nie patrzyło na pozostałych, więc Jude spróbował wmówić sobie, że to zwyczajny wieczór, chociaż gdyby to był zwyczajny wieczór, żadne z nich nie byłoby takie milczące.

– Taak… – zaczął wreszcie Harold, odstawiając filiżankę na stolik i szykując się do przemówienia.

Cokolwiek powie – napomniał siebie Jude – nie zaczynaj się usprawiedliwiać. Cokolwiek powie, ty to przyjmij i podziękuj mu za wszystko.

Znowu zapadła dłuższa cisza.

– Trudno to powiedzieć – podjął Harold, przekładając filiżankę z ręki do ręki, a Jude zmusił się do przeczekania jego następnej pauzy. – Miałem gdzieś przygotowany tekst, prawda? – zapytał Julię, a ta skinęła głową. – Ale denerwuję się bardziej, niż myślałem.

– Wiem – powiedziała. – Ale świetnie ci idzie.

– Ha! – odrzekł Harold. – To miło z twojej strony, że mnie okłamujesz. – I uśmiechnął się do niej, a Jude doznał wrażenia, że w tym pokoju są tylko oni dwoje i że na chwilę zapomnieli o jego obecności. Harold zamilkł ponownie, usiłując powiedzieć to, co zaplanował. – Jude, znam… znamy cię już od prawie dziesięciu lat – przemówił wreszcie, Jude zaś obserwował, jak oczy Harolda wędrują do niego, a potem do punktu gdzieś nad głową Julii. – I przez te wszystkie lata stałeś się nam bardzo drogi, nam obojgu. Jesteś naszym przyjacielem, to oczywiste, ale uważamy cię za kogoś więcej niż przyjaciela, za kogoś ważniejszego. – Spojrzał na Julię, która znowu wsparła go skinieniem głowy. – Mam więc nadzieję, że nie uznasz tego za zbytnią… bezczelność, ale zastanawiamy się, czy pozwoliłbyś nam się adoptować. – Spojrzał na Jude'a i uśmiechnął się. – Byłbyś naszym synem w rozumieniu prawa i prawnym spadkobiercą, a pewnego dnia wszystko to… – zatoczył wolną ręką łuk w powietrzu w parodystycznym geście wyrażenia ogromu – będzie twoje, jeżeli zechcesz.

Jude milczał. Nie mógł wykrztusić słowa, nie mógł zareagować, nie czuł nawet własnej twarzy, nie miał pojęcia, jaką może mieć minę. Wówczas włączyła się Julia:

– Jude – powiedziała – jeżeli nie chcesz, z jakiegokolwiek powodu, my to świetnie zrozumiemy. Wiemy, że prosimy cię o wiele. Jeżeli powiesz nie, nasze uczucia się nie zmienią, prawda, Haroldzie? Zawsze, zawsze będziesz tu mile widziany i mamy nadzieję, że zawsze będziesz częścią naszego życia. Naprawdę, Jude, nie będziemy źli i nie powinieneś mieć skrupułów. – Spojrzała mu w oczy. – Czy chcesz mieć trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić?

Jude poczuł, że drętwota go opuszcza, i nagle, jakby w zamian, ręce zaczęły mu drżeć, więc złapał jedną z poduszek i objął ją ciasno rękami, aby ukryć drżenie. Kilka razy próbował, zanim zdołał się odezwać, a gdy mu się udało, nie był w stanie patrzeć w oczy żadnemu z nich.

– Haroldzie, Julio, czy wy żartujecie? Niczego… niczego nigdy bardziej nie pragnąłem. Przez całe życie. Ale nigdy, przenigdy nie pomyślałem… – Urwał. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż wreszcie był w stanie na nich spojrzeć. – Myślałem, że chcecie mi powiedzieć, że macie dość naszej przyjaźni.

– Och, Jude! – żachnęła się Julia, a Harold miał zdumioną minę.

– Jak mogłeś coś takiego pomyśleć? – zapytał.

On jednak tylko pokręcił głową, niezdolny do odpowiedzi.

Znowu umilkli i nagle wszyscy się uśmiechnęli – Julia do Harolda, Harold do niego, a on do poduszki – niepewni, jak zakończyć ten moment, niepewni, co dalej. Wreszcie Julia klasnęła w dłonie i wstała.

– Szampana! – zarządziła i wyszła z pokoju.

On i Harold także wstali i popatrzyli po sobie.

– Jesteś pewien? – spytał go cicho Harold.

– Jestem tak samo pewien jak ty – odpowiedział Jude równie cicho.

Narzucał się niezbyt odkrywczy żart, że cała ta scena bardzo przypominała oświadczyny, lecz Jude nie miał serca go wygłosić.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że będziesz z nami związany na całe życie – rzekł z uśmiechem Harold, kładąc mu rękę na ramieniu, na co on skinął głową. Miał nadzieję, że Harold nie powie już ani słowa, bo jeśli to zrobi, on niechybnie się rozpłacze albo zwymiotuje, albo zemdleje, albo wrzaśnie, albo zapłonie żywym ogniem. Nagle dotarło do niego, jak skrajnie jest wyczerpany, wypompowany – zarówno tygodniami napięcia, jak i trzydziestoma latami pragnienia, głodu, pożądania i modlitw w duchu, nawet gdy wmawiał sobie, że mu nie zależy – tak że gdy już wznieśli toast i najpierw Julia, a potem Harold go uściskali (uczucie uścisku Harolda było mu tak obce i tak intymne, że omal nie krzyknął), z ulgą przyjął polecenie Harolda, żeby zostawił te cholerne talerze i kładł się do łóżka.

Dotarłszy do swojego pokoju, musiał poleżeć pół godziny na łóżku, zanim zdołał choćby pomyśleć o sięgnięciu po telefon. Potrzebował poczuć solidność łóżka pod plecami, gładkość bawełnianego koca przy policzku, znajome ugięcie materaca, kiedy się na nim mościł. Potrzebował upewnić się, że to jest jego świat, a on nadal w nim jest, i że to, co się stało, naprawdę się stało. Znienacka przypomniała mu się rozmowa z bratem Peterem, podczas której zapytał go, czy sądzi, że ktoś go kiedykolwiek adoptuje, a brat Peter się roześmiał. „Nie", odpowiedział, tak kategorycznie, że Jude nigdy więcej o to nie pytał. I chociaż musiał być wtedy bardzo młody, pamiętał z wielką jasnością, że pogarda brata Petera utwierdziła go w tym postanowieniu.

Był tak dalece zbity z pantałyku, że zadzwonił do Willema, zapomniawszy, że ten jest już na scenie, lecz kiedy Willem oddzwonił w czasie przerwy, Jude leżał w tej samej co uprzednio pozycji na łóżku, w tym samym agonalnym osłupieniu, z telefonem w dłoni.

– Jude – wyszeptał Willem, poznawszy nowinę, a Jude usłyszał, jak nieprawdopodobnie szczęśliwy jest Willem ze względu na niego.

Jedynie Willem (no i Andy, i w jakimś stopniu Harold) znał w zarysie historię jego dorastania: klasztor, dom dziecka, pobyt u Douglassów. Z każdym innym Jude unikał tego tematu tak długo, jak się dało, aż wreszcie mówił, że jego rodzice zmarli, gdy był małym dzieckiem, więc dorastał w rodzinie zastępczej, co na ogół kładło kres pytaniom. Ale Willem znał więcej prawdy. Willem wiedział, że było to jego najbardziej niedosiężne, najgorętsze pragnienie.

– Jude, to niesamowite. Jak się czujesz?

Spróbował się roześmiać.

– Jakbym miał wszystko równo spaprać.

– Nie spaprzesz. – Obaj umilkli. – Nawet nie wiedziałem, że można adoptować kogoś, kto w świetle prawa jest dorosły.

– No, nie jest to powszechne, ale można. O ile obie strony wyrażą zgodę. Robi się tak głównie w związku z dziedziczeniem majątku. – Znów spróbował się roześmiać. (Przestań się głupio śmiać – zbeształ się w duchu). – Nie pamiętam tego zbyt dokładnie z czasów, gdy studiowałem prawo rodzinne, ale wiem, że dostanę nowe świadectwo urodzenia z ich imionami.

– O rany.

– No właśnie.

Usłyszał w tle rozkazujący głos wywołujący Willema.

– Musisz iść – powiedział.

– Cholera – mruknął Willem. – Ale Jude… Gratulacje. Nikt na to bardziej nie zasługuje. – Do tego, kto go wzywał, odkrzyknął, że idzie. – Muszę iść. Masz coś przeciwko temu, żebym napisał do Harolda i Julii?

– Skąd. Ale Willem, nie mów nikomu, okej? Chcę się trochę nacieszyć w samotności.

– Słowa nie pisnę. Do zobaczenia jutro. I Jude… – Ale nie powiedział, może nie mógł powiedzieć, nic więcej.

– Wiem – szepnął Jude. – Wiem, Willem. Ja czuję to samo.

– Kocham cię – powiedział Willem i rozłączył się, zanim Jude zdążył odpowiedzieć.

Jude nigdy nie wiedział, co ma powiedzieć, kiedy Willem tak do niego mówił, a jednak zawsze tęsknił za tymi słowami. To była noc rzeczy niemożliwych, więc starał się nie zasnąć, zachować świadomość i czujność najdłużej jak się da, radować się i powtarzać sobie wszystko, co mu się przydarzyło, robić przegląd marzeń całego życia, które spełniły się w ciągu paru krótkich godzin.

Na drugi dzień w mieszkaniu czekała na niego karteczka od Willema z prośbą, żeby się nie kładł, a kiedy Willem wrócił do domu, okazało się, że przyniósł lody i ciasto marchewkowe, które pożarli do

ostatka, chociaż żaden nie przepadał za słodyczami, a także szampana, którego wypili do dna, chociaż Jude musiał zerwać się wcześnie nazajutrz rano.

Kilka następnych tygodni przemknęło gładko: Harold załatwiał papiery i przysyłał mu formularze do wypełnienia – podanie o adopcję, zaświadczenie o zmianie świadectwa urodzenia, prośbę o informację o ewentualnych notowaniach za przestępstwa – które Jude w porze lunchu zaniósł do banku, żeby je potwierdzić notarialnie. Nie chciał rozgłaszać nowiny w pracy i zdradził ją tylko paru osobom: Marshallowi oraz Citizenowi i Rhodesowi. Powiedział JB i Malcolmowi, którzy z jednej strony zareagowali tak, jak się spodziewał – JB lawiną dowcipów, a Malcolm lawiną drobiazgowych pytań o rozmaite hipotetyczne możliwości, na które Jude nie umiał odpowiedzieć – ale bez wątpienia autentycznie emocjonowali się sprawą Jude'a. Powiedział Czarnemu Henry'emu Youngowi, który na studiach był na dwóch kursach u Harolda i szczerze go podziwiał, a także przyjacielowi JB, Richardowi, z którym się zbliżył rok wcześniej, podczas pewnej szczególnie tasiemcowej i nudnej imprezy u Ezry, kiedy to oni dwaj, jedyni względnie trzeźwi ludzie w pokoju, odbyli rozmowę, która zaczęła się od uwagi o francuskim państwie dobrobytu, a potem wielokrotnie zmieniała temat. Powiedział też Phaedrze, która zaczęła piszczeć, i jeszcze jednemu kumplowi z college'u, Elijahowi, który też zapiszczał z radości.

No i oczywiście Andy'emu, który najpierw tylko się na niego gapił, a potem kiwnął głową, jakby Jude poprosił go o zapasowy bandaż na noc. Po chwili jednak zaczął wydawać dziwaczne, focze dźwięki, na wpół szczeknięcia, na wpół kichnięcia, i Jude uświadomił sobie, że Andy płacze. Widok ten go przeraził i wprawił w lekką histerię, gdyż Jude zupełnie nie wiedział, co robić.

– Wyjdź stąd – zażądał Andy między szlochami. – Poważnie, Jude, wynoś się, kurwa, stąd.

Nazajutrz w pracy Jude otrzymał bukiet róż wielkości krzaka gardenii, z liścikiem nagryzmolonym drukowanymi literami Andy'ego:

JUDE. TAK CHOLERNIE MI WSTYD, ŻE LEDWO TO PISZĘ. PROSZĘ, WYBACZ MI WCZORAJSZE ZACHOWANIE. UCIESZYŁEM SIĘ PRZENIEZMIERNIE I TYLKO JEDNO MAM PYTANIE: DLACZEGO HAROLD TAK DŁUGO Z TYM CZEKAŁ? MAM NADZIEJĘ, ŻE PRZYJMIESZ TO JAKO ZNAK, ŻE MUSISZ *BARDZIEJ O SIEBIE DBAĆ*, ŻEBYŚ KIEDYŚ MIAŁ SIŁY ZMIENIAĆ HAROLDOWI PAMPERSY, GDY BĘDZIE MIAŁ TYSIĄC LAT I KŁOPOTY Z TRZYMANIEM MOCZU, BO PRZECIEŻ WIESZ, ŻE ON NIE UŁATWI CI SPRAWY I NIE UMRZE W STOSOWNYM WIEKU JAK KAŻDY NORMALNY CZŁOWIEK. WIERZ MI, RODZICE TO WRZÓD NA DUPIE (ALE I FRAJDA OCZYWIŚCIE). ŚCISKAM. ANDY

Zgodzili się z Willemem, że jest to jeden z najlepszych listów, jakie czytali.

Ale ekstatyczny miesiąc minął i przyszedł styczeń, Willem wyjechał na zdjęcia do Bułgarii i stare strachy wróciły, na dodatek w towarzystwie nowych strachów. Na piętnastego lutego, oznajmił mu Harold, mieli wyznaczoną rozprawę w sądzie, której po zmianie harmonogramu miał przewodniczyć Laurence. Im bardziej ten dzień się zbliżał, tym ostrzej, nieuchronniej Jude uświadamiał sobie, że może wszystko spaprać, więc z początku podświadomie, a potem celowo zaczął unikać Harolda i Julii, przekonany, że jeśli będzie im się zanadto przypominał, gotowi zmienić zamiar. Kiedy więc przyjechali w drugim tygodniu stycznia, żeby obejrzeć sztukę, w której grał Willem, Jude skłamał, że wyjeżdża w delegację do Waszyngtonu, a w cotygodniowych długich rozmowach telefonicznych starał się mówić jak najmniej i szybko je kończyć. Z każdym dniem nieprawdopodobieństwo sytuacji rosło i nabierało wyrazu w jego wyobraźni; za każdym razem, gdy pochwycił odbicie swojego paskudnego kuśtykania à la zombie, dostawał mdłości. Kto mógłby naprawdę chcieć czegoś *takiego*? Myśl, że nagle mógłby stać się czyjś, wydawała mu się coraz śmieszniejsza. Gdyby Harold zobaczył go jeszcze jeden jedyny raz, sam doszedłby do takiego wniosku. Wiedział, że nie powinien się tym za bardzo przejmować – był w końcu dorosłym człowiekiem; wiedział, że adopcja to raczej kwestia ceremoniału niż akt o znaczeniu socjologicznym, ale pragnął jej z niezłomną siłą obalającą logikę i nie zniósłby, gdyby mu odebrano tę perspektywę, nie teraz, kiedy wszyscy ważni dla niego ludzie tak się cieszyli, nie teraz, gdy był tak blisko.

Bywał blisko już wcześniej. W rok po jego przyjeździe do Montany, gdy miał trzynaście lat, ich dom dziecka uczestniczył w trójstanowych targach adopcyjnych. Listopad był narodowym miesiącem adopcji i pewnego zimnego ranka kazano im się ładnie ubrać, po czym zagnano ich do dwóch autokarów i dwie godziny wieziono do Missouli, gdzie z autokarów przepędzeni zostali do sali konferencyjnej w hotelu. Ich autokary przyjechały ostatnie i sala była już pełna dzieciaków, chłopców po jednej stronie, dziewczynek po drugiej. Pośrodku sali ustawiono długi ciąg stołów, a kiedy Jude podszedł od swojej strony, zobaczył, że na stołach leżą sterty kartonowych teczek z etykietkami: Chłopcy niemowlęta; Chłopcy 2 lata; Chłopcy 4–6; Chłopcy 7–9; Chłopcy 10–12; Chłopcy 13–15; Chłopcy 15+. W teczkach, jak im powiedziano, były kartki z ich zdjęciami, imionami i podstawowymi informacjami: skąd pochodzą, do jakiej grupy etnicznej należą, jak sobie radzą w szkole, jakie sporty uprawiają, jakie mają zdolności i zainteresowania. Ciekaw był, co jego kartka mówi o nim. Jakie zdolności mu wynaleźli, jaką rasę, jakie pochodzenie?

Starsi chłopcy, ci, których imiona i twarze znalazły się w grupie 15+, wiedzieli, że nikt ich nie zaadoptuje, więc gdy opiekunowie nie widzieli, wymknęli się tylnym wyjściem, żeby (wszyscy to wiedzieli) pójść na piwo. Niemowlęta i maluchy musiały być tylko niemowlętami i maluchami: one pierwsze miały zostać wybrane, chociaż nawet o tym nie wiedziały. Ale obserwując sytuację z kąta,

w który się wcisnął, Jude zauważył, że niektórzy chłopcy – ci, którzy z racji wieku bywali już na targach adopcji, ale z tej samej racji nie tracili jeszcze nadziei – mieli pewną strategię. Naburmuszeni zaczęli się uśmiechać, dręczyciele zachowywali się wesoło i pogodnie, a ci, którzy w domu dziecka szczerze się nienawidzili, bawili się w sposób, który zdawał się autentycznie przyjacielski. Spostrzegł, że chłopcy, którzy pyskowali opiekunom i wyzywali się nawzajem na korytarzu, gawędzą uśmiechnięci z potencjalnymi rodzicami, których w sali było pełno. Zobaczył, jak największy łobuz, czternastolatek Shawn, który kiedyś wsadził mu głowę do klozetu, wciskając kościste kolana w jego łopatki, wskazał teczkę ze swoim imieniem mężczyźnie i kobiecie, z którymi wcześniej rozmawiał.

„Shawn! – wołał za nimi. – Shawn Grady!", i coś w jego zdartym, pełnym nadziei głosie, w którym pobrzmiewał wysiłek niezdradzania żadnej nadziei, sprawiło, że Jude'owi po raz pierwszy zrobiło się żal Shawna, a jednocześnie poczuł złość na mężczyznę i kobietę, którzy, był pewien, przeglądali właśnie teczki „Chłopcy 7–9". Lecz te uczucia szybko minęły, bo w owych dniach starał się nie odczuwać nic: ani głodu, ani bólu, ani złości, ani smutku.

Nie znał żadnych sztuczek, nie miał talentów, nie umiał czarować. Kiedy rok wcześniej w listopadzie trafił do domu dziecka, był taki apatyczny, że zostawili go w młodszej klasie, a rok później wcale mu się nie zdawało, że się zmienił. Coraz rzadziej wspominał brata Luke'a, to prawda, ale dni poza klasą zlewały mu się w jeden ciąg; przez większość czasu miał wrażenie, że dryfuje w powietrzu; próbował udawać, że nie zajmuje przestrzeni własnego życia, marzył o niewidzialności, pragnąc tylko pozostać niezauważonym. Zdarzały mu się różne rzeczy, a on nie bronił się tak, jak robiłby to kiedyś. Czasami, gdy wyrządzano mu krzywdę, zastanawiał się tą częścią siebie, która wciąż była przytomna, co by teraz pomyśleli o nim bracia. Nie zostało nic z jego ataków złości, histerii, buntu. Teraz był chłopcem, jakiego zakonnicy zawsze sobie życzyli. Teraz miał nadzieję stać się nieważkim, obecnością tak nikłą, lekką i niematerialną, że nie wypierałby w ogóle powietrza.

Był więc zdziwiony, na równi z opiekunami, kiedy wieczorem dowiedział się, że jest jednym z dzieci wybranych przez pewne małżeństwo – państwa Learych. Czy zauważył dwoje ludzi, którzy na niego patrzyli, a nawet się uśmiechnęli? Może. Ale popołudnie minęło mu jak zwykle w zamgleniu i już podczas drogi powrotnej rozpoczął pracę nad zapomnieniem go.

Miał spędzić u Learych próbny weekend przed Świętem Dziękczynienia – żeby się przekonali, czy się polubią. W czwartek odwiózł go do nich opiekun, pan Boyd, który prowadził warsztat i uczył hydrauliki i którego Jude za dobrze nie znał. Wiedział, że Boyd wie, co z nim robią niektórzy opiekunowie, i chociaż nigdy ich nie powstrzymał, sam w tym nie uczestniczył.

Kiedy Jude wysiadał z samochodu na podjeździe u Learych – przed parterowym ceglanym domem otoczonym ze wszystkich stron pobrużdżonymi ciemnymi polami – Boyd złapał go za rękę i przyciągnął do siebie, wzbudzając w nim panikę.

– Nie spieprz sprawy, St. Francis – syknął. – To twoja szansa, rozumiesz?

– Tak, proszę pana – odpowiedział Jude.

– No to idź – powiedział Boyd i puścił go, a Jude ruszył w stronę pani Leary stojącej w drzwiach.

Pani Leary była gruba, a jej mąż był po prostu duży, o wielkich czerwonych dłoniach, które wyglądały jak broń. Mieli dwie córki, obie po dwudziestce i zamężne, i pomyśleli sobie, że miło będzie mieć w domu chłopca, kogoś, kto mógłby pomagać panu Leary'emu – który naprawiał duży sprzęt rolniczy i uprawiał pole – w pracy na roli. Wybrali jego, bo, jak powiedzieli, wydał im się spokojny i grzeczny, a nie chcieli w domu łobuza; zależało im na kimś, kto nie boi się ciężkiej pracy i doceni, co to znaczy mieć dom. W jego teczce wyczytali, że umie pracować, sprzątać, a także sprawdza się na farmie domu dziecka.

– Masz niezwyczajne imię – powiedziała pani Leary.

Jude nigdy nie myślał, że jego imię jest niezwyczajne, ale zgodził się z nią.

– Tak, proszę pani.

– A co byś powiedział, gdybyśmy cię nazwali inaczej? – spytała pani Leary. – Na przykład Cody? Mnie się zawsze podobało imię Cody. Jest mniej… no, trochę bardziej nasze.

– Podoba mi się Cody – rzekł Jude, chociaż w gruncie rzeczy nie miał w tej sprawie zdania: Jude, Cody… było mu wszystko jedno, jak go wołają.

– No to dobrze – podsumowała pani Leary.

Wieczorem w samotności powtarzał sobie na głos nowe imię i nazwisko: Cody Leary, Cody Leary. Czy to możliwe, że wszedł do tego domu jako jedna osoba i natychmiast, jak w zaczarowanym świecie, przeistoczył się w inną? To takie proste, tak szybko? Nie ma już Jude'a St. Francisa, a razem z nim zniknęli brat Luke i brat Peter, i ojciec Gabriel, i klasztor, i opiekunowie z domu dziecka, i jego wstyd, lęki i brud, a na to miejsce przyszedł Cody Leary, który będzie miał rodziców i własny pokój i będzie mógł wyrosnąć, na kogo zechce.

Reszta weekendu przeszła bez większych wrażeń, tak dalece bez większych wrażeń, że z każdym dniem, z każdą godziną Jude czuł, że budzi się po kawałku, że chmury, którymi się otoczył, rozdzielają się i rozwiewają, czuł, że patrzy w przyszłość, i wyobrażał sobie miejsce, które mógłby w niej zająć. Starał się być jak najgrzeczniejszy i ciężko pracować, co nie było trudne: wstał wcześnie rano, przygotował śniadanie dla Learych (za co pani Leary pochwaliła go tak głośno i kwieciście, że aż się uśmiechnął zaambarasowany, patrząc w podłogę), pozmywał, po czym pomagał panu Leary'emu

czyścić narzędzia i zmienić przewód w lampie, i choć nie wszystko go interesowało – nudne nabożeństwo, w którym uczestniczyli w niedzielę, odmawianie modlitwy pod kontrolą przed snem – to przecież nie było gorzej niż w domu dziecka, bo wiedział, że wszystko, co trzeba, może zrobić, nie wychodząc na marudę i niewdzięcznika. Wyczuwał, że państwo Leary nie należą do ludzi, którzy się zachowują jak rodzice w książkach, jak jego wymarzeni rodzice, ale wiedział, jak może im się przydać, umiał ich zadowolić. Nadal bał się dużych czerwonych rąk pana Leary'ego, więc gdy zostawali sami w stodole, był roztrzęsiony i czujny, ale tutaj przynajmniej tylko pan Leary budził lęk, a nie cała grupa panów Learych jak dawniej albo jak w domu dziecka.

Gdy Boyd przyjechał po niego w niedzielę wieczorem, Jude był zadowolony z siebie, a nawet pewny.

– Jak poszło? – spytał opiekun, a on mógł uczciwie odpowiedzieć:

– Dobrze.

Był pewien po ostatnich słowach pana Leary'ego: „Coś mi mówi, że niebawem będziemy cię widywać znacznie częściej, Cody", że państwo Leary zadzwonią w poniedziałek, a potem raz-dwa, może nawet już w piątek, stanie się Codym Learym i dom dziecka będzie kolejnym miejscem, które zostawi za sobą. Ale poniedziałek minął, a potem wtorek i środa, i przyszedł następny tydzień, a on wciąż nie został wezwany do gabinetu dyrektora, jego list do Learych pozostał bez odpowiedzi i dzień po dniu podjazd do budynku dormitorium świecił pustką. Nikt po niego nie przyjeżdżał.

Wreszcie, dwa tygodnie po wizycie, Jude poszedł do warsztatu Boyda, wiedząc, że opiekun przesiaduje tam do późna w czwartkowe wieczory. Przeczekał całą kolację na zimnie, w śniegu chrzęszczącym pod stopami, aż w końcu zobaczył go zmierzającego ku drzwiom.

– Jezu Chryste – powiedział Boyd, bo omal go nie przewrócił, wychodząc zza rogu. – Czy ty nie powinieneś być w bursie, St. Francis?

– Proszę. Proszę, niech mi pan powie… czy państwo Leary po mnie przyjadą?

Domyślił się odpowiedzi, jeszcze zanim zobaczył jego minę.

– Zmienili zdanie – mruknął Boyd i chociaż nie słynął wśród opiekunów i chłopców z łagodności, tym razem był prawie łagodny. – To koniec, St. Francis. Nic z tego.

Wyciągnął rękę w kierunku Jude'a, ale ten się uchylił, więc Boyd pokręcił głową i ruszył przed siebie.

– Niech pan poczeka! – zawołał za nim Jude i wziąwszy się w garść, pobiegł za nim po śniegu. – Pozwólcie mi spróbować drugi raz. Powiedzcie, co zrobiłem źle, a ja się poprawię. – Czuł, że dopada go dawna histeria, czuł w sobie chłopca, który dostaje ataków szału i potrafi swoimi wrzaskami postawić na nogi cały dom.

Ale Boyd znów pokręcił głową.

– To nie tak działa, St. Francis – powiedział, po czym zatrzymał się i spojrzał na Jude'a. – Słuchaj – powiedział. – Za parę lat stąd wyjdziesz. Wiem, że to się może wydawać długo, ale tak nie jest. Będziesz dorosły i będziesz mógł robić, co chcesz. Musisz tylko wytrzymać tych kilka lat.

A potem odwrócił się i odszedł.

– Jak? – wrzasnął za nim Jude. – Boyd! Powiedz mi jak! – krzyczał, zapominając, że powinien mówić „pan".

W nocy dostał pierwszego amoku od lat i chociaż kara była prawie taka sama jak w klasztorze, to poczucie uwolnienia i odlotu, które dawały mu kiedyś ataki, nie było takie samo: teraz Jude był kimś, kto więcej rozumie, jego krzyki niczego nie mogły zmienić i tylko przywróciły mu świadomość siebie, tak że wszystko, każda krzywda i obelga, stało się dotkliwsze, jaskrawsze, bardziej obleśne i dobitniejsze niż dawniej.

Nigdy, nigdy nie dowiedział się, co zrobił źle u Learych. Nigdy nie dowiedział się, czy było to coś, co od niego zależało, czy nie. A ze wszystkich rzeczy związanych z klasztorem i domem dziecka, które próbował wyrugować z pamięci, najbardziej chciał wygnać ten szczególny wstyd, że pozwolił sobie uwierzyć, że mógłby stać się kimś, kim wiedział, że nie jest.

Teraz, gdy rozprawa miała się odbyć za sześć tygodni, pięć, cztery, oczywiście rozmyślał o tym bez przerwy. Ponieważ Willem wyjechał i nikt nie nadzorował jego rozkładu dnia ani zajęć, Jude nie kładł się aż do świtu. Czyścił, szorował szczoteczką do zębów podłogę pod lodówką, wybielał cienki rowek między brzegiem wanny i kafelkami ściany. Czyścił tak, żeby się nie skaleczyć, ponieważ ciął się wtedy tak intensywnie, że nawet on wiedział, iż są to zachowania szaleńcze i autodestruktywne: sam się siebie bał – zarówno tego, co robi, jak i niezdolności kontrolowania tego, co robi. Wynalazł nową metodę ustawiania ostrza żyletki i wciskania jej w skórę, najgłębiej jak się da, tak że gdy ją wyjmował – wbitą jak siekiera w pień drzewa – na pół sekundy mógł rozsunąć dwa płaty ciała i widzieć tylko biały rowek, jak brzeżek tłustego bekonu, zanim krew zaczęła go napełniać. Robiło mu się słabo, jakby ta krew napełniona była helem; jedzenie miało smak zgnilizny, więc prawie przestał jeść. Przesiadywał w biurze do późna, aż nocna zmiana sprzątaczek zaczynała krążyć po korytarzach, chrobocząc jak myszy, a potem w domu nie mógł zasnąć. Gdy w końcu mu się udawało, budził się z sercem walącym tak szybko, że chciwie łykał hausty powietrza, żeby się uspokoić. Jedynie praca i telefony Willema przymuszały go do normalności, inaczej w ogóle przestałby wychodzić z domu, ciąłby się tylko, aż powycinałby sobie z ramion całe piramidy ciała i spuścił je do kanalizacji. Miał wizję, w której okrawał się z ciała – najpierw ręce, potem nogi, potem klatkę piersiową, szyję i twarz – aż zostawały

gołe kości, szkielet, który poruszał się, wzdychał i sapał, i dreptał przez życie na swoich porowatych, kruchych szczudłach.

Co sześć tygodni chodził do Andy'ego, ale ostatnie wizyty przekładał dwukrotnie, bo bał się, co Andy powie. Wreszcie jednak, niespełna cztery tygodnie przed datą rozprawy, pojechał na przedmieście i usiadł w poczekalni. Po chwili Andy wyjrzał z gabinetu i przeprosił, że ma opóźnienie.

– Nie spiesz się – powiedział Jude.

Andy przyjrzał mu się, mrużąc lekko oczy.

– Już niedługo – rzekł w końcu i zniknął.

Kilka minut później do poczekalni weszła jedna z pielęgniarek, siostra Callie.

– Cześć, Jude – przywitała go. – Doktor prosił, żebym cię zważyła; możesz wejść na wagę?

Nie chciał, ale wiedział, że to nie wina ani decyzja Callie, więc dźwignął się od stolika i wszedł na wagę, nie patrzył na liczbę, którą Callie zanotowała w jego karcie, zanim mu podziękowała i wyszła z poczekalni.

– A więc – rzekł Andy, czytając jego kartę, gdy Jude wszedł do gabinetu. – O czym chcesz porozmawiać najpierw: o drastycznej utracie wagi czy o nadmiernym cięciu?

Nie umiał na to odpowiedzieć.

– Dlaczego sądzisz, że tnę się nadmiernie?

– To zawsze widać – odparł Andy. – Robisz się taki… taki niebieskawy pod oczami. Pewnie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. I włożyłeś sweter na bluzę od piżamy. Jak jest z tobą źle, zawsze tak robisz.

– Aha. – Nie zdawał sobie z tego sprawy.

Milczeli chwilę, po czym Andy dosunął taboret do stołu i zapytał:

– Kiedy ten termin?

– Piętnastego lutego.

– Aha – rzekł Andy. – Niedługo.

– Tak.

– Czym się martwisz?

– Martwię się… – zaczął Jude, ale urwał i spróbował od nowa. – Martwię się, że kiedy Harold odkryje, kim naprawdę jestem, nie zechce… – Zamilkł. – Tylko nie wiem, co jest gorsze: żeby dowiedział się przed, i wtedy do niczego nie dojdzie, czy po, i wtedy zrozumie, że go oszukałem. – Westchnął. Do tej pory nie potrafił tego nazwać, ale zrobiwszy to, pojął, że właśnie tego się boi.

– Jude – powiedział delikatnie Andy – co ty takiego złego w sobie masz, we własnym mniemaniu, co by go miało zniechęcić do adopcji?

– Andy – jęknął błagalnie Jude – nie każ mi tego mówić.

– Kiedy ja naprawdę nie wiem!

– To, co robiłem – odpowiedział. – Te choroby, którymi się od nich zaraziłem – dukał dalej, z nienawiścią do siebie. – To obrzydliwe; jestem obrzydliwy.

– Jude – zaczął ostrożnie Andy, a Jude poczuł, że lekarz przechodzi przez zaminowany trawnik, tak rozważnie i wolno się posuwał. – Byłeś dzieckiem, maleństwem. To *tobie* wyrządzano te rzeczy. Nie masz sobie nic, *nic*, do zarzucenia, nigdy, w żadnym ze światów. – Andy patrzył mu w oczy. – A nawet gdybyś nie był dzieckiem, nawet gdybyś był zwyczajnym świntuchem, gotowym pieprzyć wszystko w polu widzenia i skończył z kolekcją chorób wenerycznych, to i tak nie miałbyś się czego wstydzić. – Westchnął. – Czy jesteś w stanie mi uwierzyć?

Jude pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Ale ja wiem. Byłoby bardzo dobrze, gdybyś pogadał z terapeutą – dodał smutnym głosem.

Jude nie mógł odpowiedzieć, więc Andy po kilku minutach wstał.

– No dobra – powiedział z determinacją w głosie. – Obejrzyjmy to sobie.

Jude zdjął sweter i wyciągnął ręce do przodu.

Po minie Andy'ego poznał, że jest gorzej, niż przewidywał, a kiedy spojrzał w dół, próbując się zobaczyć jak kogoś obcego, dostrzegł w kilku przebłyskach to, co widział Andy: wałki bandaży omotane wokół świeżych cięć, półzagojone rany z lichą siateczką tworzącej się tkanki bliznowatej, jedno cięcie zainfekowane, na którym wyrosła gruda zaschniętej ropy.

– No tak – rzekł Andy po długim milczeniu, skończywszy oględziny prawego ramienia, oczyściwszy zainfekowaną ranę i posmarowawszy pozostałe maścią z antybiotykiem. – A co z drastyczną utratą wagi?

– Nie uważam, że jest drastyczna.

– Jude – powiedział Andy – dwanaście funtów w niecałe osiem tygodni to jest drastyczne, nie mówiąc o tym, że nie miałeś dwunastu funtów do stracenia.

– Po prostu nie jestem głodny.

Andy nic już nie mówił do końca oglądania jego rąk, a potem westchnął, usiadł i zaczął coś gryzmolić w notesie.

– Proszę cię, Jude, żebyś zjadał trzy pełne posiłki dziennie – powiedział – plus jedną rzecz z tej listy. Codziennie. Oprócz normalnych posiłków, zrozumiano? Czy wolisz, żebym wezwał tu twoją załogę i zobowiązał ich do siedzenia i pilnowania cię podczas posiłków, a to nic przyjemnego, wierz

mi. – Wyrwał kartkę z notesu i podał Jude'owi. – I proszę, żebyś wrócił do mnie za tydzień. Żadnych usprawiedliwień.

Jude spojrzał na listę – KANAPKA Z MASŁEM ORZECHOWYM. KANAPKA Z SEREM. KANAPKA Z AWOKADO. 3 JAJKA (Z ŻÓŁTKAMI!!!). MUS Z BANANÓW – i wetknął ją do kieszeni spodni.

– I o jeszcze jedno cię proszę – powiedział Andy. – Kiedy się budzisz w środku nocy i masz ochotę się ciąć, to zadzwoń do mnie. Bez względu na godzinę. Zadzwoń, okej?

Jude kiwnął głową.

– Mówię poważnie, Jude.

– Przepraszam, Andy.

– Wiem – powiedział Andy. – Ale przepraszać nie musisz, w każdym razie nie mnie.

– Harolda? – domyślił się Jude.

– Nie – zaprzeczył Andy. – Harolda też nie. Tylko siebie.

Wrócił do domu i jadł po trochu banana, aż owoc zmienił się w brudną maź w jego dłoni, potem się przebrał i dalej mył okna w salonie, za które wziął się ubiegłego wieczoru. Pucował i pucował, przysunąwszy sofę, tak żeby móc stanąć na jednym z jej bocznych oparć, nie zwracając uwagi na kłucie w plecach, gdy schodził i wchodził, po czym wolno wylewał burą wodę z wiadra do wanny. Wysprzątawszy salon i pokój Willema, był tak obolały, że musiał się poczołgać do łazienki, a pociąwszy się, legł na plecach, z ręką nad głową i owinięty w łazienkową matę. Gdy zadzwonił jego telefon, zerwał się, zdezorientowany, po czym stękając, pokuśtykał do swojego pokoju – gdzie zegar wskazywał trzecią nad ranem – żeby wysłuchać mocno rozdrażnionego (ale czujnego) Andy'ego.

– Zadzwoniłem za późno – domyślił się Andy. Jude nic nie odpowiedział. – Posłuchaj, Jude, jeżeli tego nie zaprzestaniesz, naprawdę odstawię cię na odwyk. I zadzwonię do Harolda, i powiem mu dlaczego. Możesz być pewien. – Zrobił pauzę. – A poza tym – podjął – czy to ciebie nie męczy, Jude? Przecież nie musisz sobie tego robić. Nie potrzebujesz.

Nie wiedział, co to było – może spokojny głos Andy'ego, może kategoryczność jego obietnicy uświadomiła mu, że tym razem Andy mówi serio jak nigdy przedtem; a może zrozumiał, że jest zmęczony, tak straszliwie zmęczony, że chętnie – wreszcie! – przyjmie od kogoś polecenie. W każdym razie przez następny tydzień robił to, co mu Andy kazał. Zjadał posiłki, chociaż jedzenie za sprawą jakiejś dziwnej alchemii przemieniało się w jego ustach w błoto, w odpadki. Nakazywał sobie żuć i połykać, żuć i połykać. Nie były to duże posiłki, ale zawsze posiłki. Andy dzwonił codziennie o północy, a Willem dzwonił codziennie o szóstej rano (Jude nie miał śmiałości spytać, a Willem nigdy nie zdradził, czy Andy się z nim kontaktował). Godziny pomiędzy tymi dwoma telefonami były

najtrudniejsze, ale choć Jude nie przestał całkowicie się ciąć, to ograniczył cięcia do dwóch. Dwa cięcia i koniec. Poczuł jednak, że ciągnie go do wcześniejszych praktyk. Zanim nauczono go ciąć się, był taki okres, kiedy rzucał się na ścianę za drzwiami pokoju w motelu, gdzie mieszkał z bratem Lukiem, raz po raz, aż wyczerpany osuwał się na ziemię. Lewy bok miał wtedy permanentnie sino-fioletowo-brunatny. Teraz już tego nie robił, ale pamiętał tamto uczucie satysfakcji po zderzeniu ciała ze ścianą, tamtą straszną przyjemność rzucania się na coś tak niewzruszonego.

W piątek odwiedził Andy'ego, który go nie pochwalił (Jude nie przybrał na wadze), ale też nie prawił mu kazań (Jude nie stracił na wadze), a następnego dnia poleciał do Bostonu. Nikomu nie mówił, że przyjeżdża, nawet Haroldowi. Julia, jak wiedział, była na konferencji w Kostaryce, za to Harold, jak wiedział, siedział w domu.

Sześć lat wcześniej Julia dała mu klucze, bo przyjeżdżał na Święto Dziękczynienia akurat wtedy, kiedy oni oboje mieli zebrania na swoich wydziałach, więc wszedł do domu i nalał sobie szklankę wody, którą popijał, wyglądając na ogród za domem. Było tuż przed południem, więc Harold nie wrócił jeszcze z tenisa. Jude przeszedł do salonu, żeby tam na niego poczekać. Zasnął jednak, a gdy się zbudził, Harold potrząsał go za ramię, powtarzając natarczywie jego imię.

– Harold – powiedział, siadając prosto. – Przepraszam cię, przepraszam; powinienem był zadzwonić.

– O Jezu! – wysapał Harold; pachniał zimnem i ostrym potem. – Czy ty się źle czujesz, Jude? Co ci jest?

– Nic, nic – odpowiedział, słysząc, jeszcze zanim wyrzekł następne słowa, co to za bezsensowne wyjaśnienie: – Tak sobie tylko pomyślałem, że wpadnę.

– Ach tak – powiedział Harold ciszej. – Miło cię widzieć. – Usiadł w swoim fotelu i spojrzał Jude'owi w oczy. – Trochę się wyobcowałeś w ostatnich tygodniach.

– Wiem. Przepraszam.

Harold wzruszył ramionami.

– Przeprosiny zbyteczne. Cieszę się tylko, że nic ci nie jest.

– No właśnie. Nic mi nie jest.

Harold przekrzywił głowę.

– Nie wyglądasz za dobrze.

Jude się uśmiechnął.

– Miałem grypę. – Spojrzał w sufit, jakby tam wypisana była jego następna kwestia. – Forsycja się kładzie, wiesz?

– Wiem. Zima była wietrzna.

– Pomogę ci ją podeprzeć palikiem, jeśli chcesz.

Harold przyglądał mu się dłuższą chwilę, poruszając nieznacznie ustami, jakby chciał coś powiedzieć, a zarazem nie chciał. Wreszcie rzekł:

– Dobra. Bierzmy się do tego.

Na zewnątrz panował gwałtowny, wprost haniebny ziąb i obydwaj zaczęli pociągać nosami. Jude przytrzymywał palik, a Harold wbijał go młotkiem w zmarzniętą ziemię, która pękała od uderzeń jak gliniany garnek. Gdy udało się go wbić dostatecznie głęboko, Harold podał Jude'owi sznurek, on zaś przywiązał gałęzie krzewu do palika, dość ciasno, żeby mocno się trzymały, ale nie aż tak, żeby je skrępować. Pracował powoli, starannie zaciągając węzły, po czym przyciął kilka gałązek zbyt obwisłych, żeby dały się uratować.

– Haroldzie – powiedział, gdy był w połowie podwiązywania krzaka. – Chciałem z tobą o czymś porozmawiać, ale… nie wiem, jak zacząć.

Głupi – powiedział sobie. – Co za głupi pomysł. Jaki ty byłeś głupi, że wierzyłeś, że to się może stać. Otworzył usta, żeby mówić dalej, ale zaraz je zamknął, po czym otworzył ponownie: był rybą głupio puszczającą bańki i pożałował, że w ogóle przyjeżdżał, że w ogóle się odezwał.

– Jude – rzekł Harold. – Powiedz mi. Cokolwiek to jest. – Zamilkł na chwilę. – Masz wątpliwości?

– Nie. Nie, skąd. – Milczeli przez chwilę. – A ty?

– Nie, oczywiście, że nie.

Dociągnął ostatni węzeł i podniósł się z klęczek, w czym Harold rozmyślnie mu nie dopomógł.

– Nie chcę ci tego mówić – powiedział Jude, patrząc w dół na forsycję, na brzydotę jej nagich gałęzi. – Ale muszę, ponieważ… ponieważ nie chcę cię oszukiwać. Ale Harold… boję się, że pomyślisz, że jestem pewnym typem człowieka, którym nie jestem.

Harold milczał przez chwilę.

– A twoim zdaniem za jaki typ człowieka cię uważam? – spytał w końcu.

– Za kogoś dobrego. Kogoś przyzwoitego.

– No i masz rację – powiedział Harold. – Właśnie tak.

– Ale… ja taki nie jestem – rzekł Jude i poczuł, że oczy go pieką, pomimo zimna. – Robiłem rzeczy, jakich… dobrzy ludzie nie robią – dokończył kulawo. – I myślę po prostu, że powinieneś to o mnie wiedzieć. Że popełniłem straszne rzeczy, których się wstydzę, a i ty, gdybyś o nich wiedział, wstydziłbyś się, że mnie znasz, nie mówiąc już o wiązaniu się ze mną.

– Jude – powiedział wreszcie Harold. – Nie wyobrażam sobie takiej popełnionej przez ciebie rzeczy, która mogłaby zmienić mój stosunek do ciebie. Nie obchodzi mnie, co robiłeś wcześniej. Nie, inaczej: obchodzi mnie, chciałbym usłyszeć, jakie było twoje życie, zanim się poznaliśmy. Ale zawsze miałem

takie uczucie, bardzo silne uczucie, że ty nie chcesz o tym rozmawiać. – Urwał, czekał. – Chcesz porozmawiać o tym teraz? Chcesz mi powiedzieć?

Jude pokręcił głową. Chciał i nie chciał, jedno i drugie.

– Nie mogę – szepnął.

Poczuł w krzyżu pierwsze oznaki dyskomfortu, czarnego nasienia rozsnuwającego cierniste gałęzie. Nie teraz – błagał – nie teraz. Prośba tak niemożliwa do spełnienia jak ta, którą naprawdę miał na myśli: Nie teraz, nigdy.

– Cóż – odparł Harold – wobec braku konkretów nie będę mógł zapewnić cię konkretnie, więc po prostu dam ci czek in blanco, zapewnienie obejmujące wszystko, któremu, mam nadzieję, uwierzysz. Jude, cokolwiek to jest, cokolwiek zrobiłeś, przyrzekam ci bez względu na to, czy mi kiedyś powiesz, czy nie, że nigdy nie pożałuję przyjęcia cię na członka swojej rodziny. – Wziął głęboki oddech i wyciągnął przed siebie prawą dłoń. – Judzie St. Francisie, jako twój przyszły rodzic rozgrzeszam cię niniejszym z… ze wszystkiego, z czego pragniesz rozgrzeszenia.

Czy on tego właśnie pragnął? Rozgrzeszenia? Spojrzał na twarz Harolda, tak znajomą, że nawet gdy zamknął oczy, widział każdą jej bruzdę, i poważną, nieuśmiechniętą, pomimo kwiecistej i patetycznej formy deklaracji. Czy mógł mu uwierzyć? „Najtrudniejsze nie jest zdobycie wiedzy – powiedział kiedyś brat Luke, gdy Jude wyznał, że trudno mu uwierzyć w boga. – Najtrudniejsza jest wiara". Czuł, że znów poniósł klęskę: nie wyspowiadał się jak należy, nie określił z góry, co chce usłyszeć w odpowiedzi. Czy nie byłoby jakoś łatwiej, gdyby Harold przyznał mu rację, powiedział, że tak – być może powinni jeszcze raz przemyśleć adopcję? Byłby wówczas rzecz jasna zdruzgotany, ale to uczucie było mu znane, zrozumiałe. W odmowie Harolda na jego rezygnację z przyszłości, której nie umiał sobie wyobrazić, przyszłości, w której ktoś rzeczywiście mógłby chcieć go na zawsze, była realność, jakiej Jude nigdy wcześniej nie doświadczył, na jaką nie był przygotowany, nie miał wskazówek. Harold miał prowadzić, a on miał iść za nim, aż pewnego dnia zbudzi się i Harolda nie będzie, on zaś pozostanie bezbronny, uwięziony w obcej ziemi, bez przewodnika w drodze do domu.

Harold czekał na jego odpowiedź, ale ból nie dał się dłużej ignorować i Jude wiedział, że musi odpocząć.

– Haroldzie – powiedział. – Przepraszam cię. Ale myślę… myślę, że powinienem się na chwilę położyć.

– Idź – odrzekł Harold, nieurażony. – Idź.

W swoim pokoju Jude kładzie się na kołdrze i zamyka oczy, ale nawet gdy atak mija, wciąż jest zmęczony i mówi sobie, że zdrzemnie się na chwileczkę, a potem wstanie i sprawdzi, co Harold ma

w domu: jeżeli ma brązowy cukier, Jude coś upiecze – w kuchni zauważył misę persymon, więc może upiecze placek persymonowy.

Ale nie budzi się. Nawet gdy Harold przychodzi zajrzeć do niego po godzinie i przykłada wierzch dłoni do jego policzka, a potem okrywa go kocem; nawet gdy Harold przychodzi sprawdzić sytuację tuż przed kolacją. Przesypia dzwonienie telefonu o północy i drugie o wpół do siódmej, przesypia rozmowy Harolda najpierw z Andym, a potem z Willemem. Przesypia ranek, przesypia lunch i budzi się dopiero, kiedy Harold ściska go za ramię i wypowiada jego imię, przypominając, że za kilka godzin Jude ma samolot.

Zanim się budzi, śni o mężczyźnie stojącym w polu. Nie widzi jego rysów, tylko sylwetkę, wysoką i chudą, oraz to, że mężczyzna pomaga starszemu człowiekowi przyczepić traktor do ciężarówki. Wie, że jest w Montanie, poznaje to po pobielałej, ogromnej krzywiźnie nieba i po szczególnym rodzaju zimna, całkowicie pozbawionego wilgoci, odczuwalnego jako czyściejsze niż gdziekolwiek indziej.

Wciąż nie widzi rysów mężczyzny, ale podejrzewa, że wie, kto to jest, rozpoznaje jego długi krok i charakterystyczny sposób splatania rąk na piersi, kiedy słucha tamtego drugiego. „Cody!", woła we śnie, a mężczyzna się odwraca, ale jest zbyt daleko, więc Jude nie może dostrzec, czy pod daszkiem czapeczki baseballowej tamtego kryje się ta sama, jego własna, twarz.

Piętnastego wypada w piątek; Jude bierze na ten dzień wolne. Mówiło się o uroczystej kolacji w czwartek wieczór, ale w końcu staje na wczesnym lunchu w dniu ceremonii (jak ją nazywa JB). Rozprawę mają wyznaczoną na dziesiątą, a potem wszyscy przejdą do domu na poczęstunek.

Harold chciał zamówić catering, ale Jude uparł się, że on wszystko ugotuje, więc spędza ostatni, czwartkowy, wieczór w kuchni. W nocy piecze ciasta – czekoladowo-orzechowe, które lubi Harold, tartę Tatin, którą lubi Julia, i ciasto drożdżowe, które lubią oboje – przebiera dziesięć funtów krabów, miesza mięso z jajkami, cebulą i natką pietruszki, dodaje bułkę tartą i formuje placuszki. Obiera ziemniaki, pobieżnie skrobie marchew, odcina końce brukselek, tak żeby następnego dnia pozostało mu tylko wrzucić wszystko na oliwę i wsunąć do piekarnika. Wytrząsa do miski pudełko fig, które upiecze i poda z lodami skropionymi miodem i octem balsamicznym. Wszystko to są ulubione potrawy Harolda i Julii, więc robi je z przyjemnością, zadowolony, że może im coś dać, jakkolwiek drobny to dar. Przez cały wieczór Harold i Julia zaglądają do kuchni, chociaż Jude im mówi, żeby tego nie robili, zmywają naczynia i garnki, w miarę jak on je brudzi, nalewają mu wody i wina i dopytują się, czy mogą pomóc, chociaż on każe im iść odpoczywać. Wreszcie wędrują do łóżka, a on, chociaż im obiecał, że też się położy, zostaje w jasnej i cichej kuchni, podśpiewując cicho i stale zajmując czymś ręce, żeby odegnać manię.

Ostatnie dni były dla niego bardzo trudne, jedne z najtrudniejszych, jakie pamięta, tak trudne, że którejś nocy zadzwonił nawet do Andy'ego po jego północnej kontroli, a gdy Andy zaproponował mu spotkanie na lunchu o drugiej, zgodził się i poszedł, chcąc koniecznie wyrwać się z mieszkania, które nagle wypełniły nieodparte pokusy: oczywiście żyletki, ale także noże, nożyczki i zapałki, i schody, z których można się rzucić. Wie, że jeżeli teraz pójdzie do siebie do pokoju, nie oprze się impulsowi wejścia do łazienki, gdzie od dawna trzyma woreczek z zawartością identyczną jak na Lispenard Street, przytwierdzony taśmą do rur pod umywalką; ramiona bolą go od pragnienia, lecz postanowił, że się nie podda. Zostało mu jeszcze trochę surowego ciasta, więc chce upiec tartę z orzeszkami sosnowymi i żurawiną, i może jeszcze okrągły placek przybrany cząstkami pomarańczy i miodem: nim oba ciasta się upieką, będzie już prawie świt i niebezpieczeństwo minie – będzie ocalony.

Malcolm i JB zjawią się jutro w sądzie; przylatują porannym samolotem. Nie będzie jednak Willema, chociaż miał być. Zadzwonił tydzień temu, żeby powiedzieć, że zdjęcia do filmu się opóźniają, w związku z czym wróci do domu osiemnastego zamiast czternastego. Jude wie, że nic na to nie można poradzić, ale mimo to żałuje nieobecności Willema prawie do bólu – taki dzień bez niego nie jest wart nazwania go dniem. „Zadzwoń zaraz, jak się skończy – prosił Willem. – Diabli mnie biorą, że nie mogę tam być".

Zaprosił za to Andy'ego podczas jednej z nocnych rozmów, które nawet polubił: omawiali wówczas sprawy codzienne, uspokajające, normalne – nową nominację na sędziego Sądu Najwyższego, ostatnią ustawę o ochronie zdrowia (on ją pochwalał, Andy nie), biografię Rosalind Franklin, którą obaj przeczytali (jemu się podobała, Andy'emu nie), remont w mieszkaniu Andy'ego i Jane. Sprawiało mu przyjemność, bo było nowe, gdy Andy mówił z prawdziwym oburzeniem: „Jude, ty mnie chyba, kurwa, nabierasz!", co przywykł słyszeć w związku ze swoim cięciem się albo amatorskim bandażowaniem ran, tymczasem teraz odnosiło się do jego opinii o filmach, burmistrzu, książkach, a nawet o kolorze farby na ściany. Odkąd przekonał się, że Andy nie prowadzi tych rozmów, by go rugać i wygłaszać swoje kazania, zagłębiał się w nie z przyjemnością, a nawet zdołał dowiedzieć się z nich czegoś więcej o samym Andym. Andy mówił o swoim bracie bliźniaku, Becketcie, też lekarzu, kardiologu, który mieszkał w San Francisco i którego chłopaka Andy nie cierpiał, knuł więc, jak nakłonić Becketta do porzucenia go. Mówił o tym, że rodzice Jane oddają im domek na Shelter Island, o tym, że grał kiedyś w szkolnej drużynie futbolowej, której amerykańskość konsternowała jego rodziców, o tym, jak na pierwszym roku wyjechał do Sieny, gdzie chodził z dziewczyną z Lukki i przytył dwadzieścia funtów. Nie żeby Jude nigdy nie rozmawiał z Andym o jego życiu prywatnym – ten temat wypływał przy okazji każdej wizyty – ale przez telefon rozmawiało mu się swobodniej i mógł

udawać, że Andy jest tylko jego przyjacielem, a nie lekarzem, choć kłam tej iluzji zadawała codzienna regularność telefonów.

– Oczywiście, nie musisz się czuć zobowiązany do przyjścia – dodał pospiesznie, zaprosiwszy Andy'ego na bankiet po rozprawie.

– Przyjdę z rozkoszą – odparł Andy. – Zastanawiałem się, kiedy zostanę zaproszony.

Wówczas Jude'owi zrobiło się głupio.

– Nie chciałem, żebyś czuł się w obowiązku spędzić jeszcze więcej czasu ze swoim świrniętym pacjentem, który i tak dostatecznie utrudnia ci życie – powiedział.

– Jesteś nie tylko moim świrniętym pacjentem, Jude. Jesteś też moim świrniętym przyjacielem. – Przerwał. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

Jude uśmiechnął się do słuchawki.

– Oczywiście, że jestem. To dla mnie zaszczyt być twoim świrniętym przyjacielem.

A więc Andy też miał się zjawić: miał przylecieć po południu, podczas gdy Malcolm i JB mieli u nich nocować, a wracaliby już razem.

Wszedłszy do domu, zdumiał się, a potem wzruszył, widząc, jak starannie Harold i Julia wysprzątali wnętrze i jacy dumni są ze swojej pracy.

– Popatrz! – chwalili się jedno przez drugie, wskazując triumfalnie jakąś powierzchnię – stół, krzesło, podłogę w rogu pokoju – która normalnie byłaby niewidoczna pod stertami książek i czasopism, a teraz jaśniała pustką i czystością.

Wszędzie porozstawiane były kwiaty – zimowe kwiaty: głowy kapusty ozdobnej, gałązki białych śnieguliczek i papierowobiałe cebulki o słodkawym, z lekka gnilnym zapachu – a książki na regałach stały prościutko i nawet dziura w obiciu kanapy została zacerowana.

– A spójrz tutaj – powiedziała Julia, biorąc go pod rękę i demonstrując seledynowy gliniany talerz na stoliku w hallu, który był potłuczony, odkąd Jude znał Steinów, i jego skorupy wiecznie leżały w misie, zarastając kurzem. Teraz został posklejany, umyty i wypolerowany.

– Ojej – mówił Jude na widok każdej nowości, szczerząc się idiotycznie, szczęśliwy, bo oni byli szczęśliwi. Nigdy nie dbał o to, czy mają w domu czysto, czy nie – dla niego mogli mieszkać pośród jońskich kolumn ze starych „New York Timesów", z koloniami spasionych szczurów popiskujących pod nogami, ale wiedział, że oni myślą, że mu na tym zależy, i jego nieustanne nudne sprzątanie uważają za wyrzut pod swoim adresem, chociaż robił, co mógł, aby przekonać ich, że tak nie jest. Teraz sprzątał, żeby się pohamować, oderwać uwagę od robienia innych rzeczy, ale gdy był w college'u, sprzątał za innych, aby wyrazić wdzięczność: umiał to robić i robił od zawsze, a oni dawali mu tak wiele, podczas gdy on im tak mało. JB, który uwielbiał mieszkać w chlewie, nigdy nie

zauważał, że jest posprzątane. Malcolm, wychowany przez pomoc domową, zauważał zawsze i zawsze dziękował. Tylko Willem nie lubił tego zwyczaju. „Przestań, Jude – powiedział któregoś dnia, łapiąc go za rękę, gdy Jude zbierał z podłogi brudne koszule JB. – Nie jesteś naszą służącą". Ale Jude nie mógł się powstrzymać, ani wtedy, ani teraz.

Zanim po raz ostatni przetrze blaty w kuchni, zrobi się prawie wpół do piątej, więc półżywy poczłapie do swojego pokoju, zaesemesuje do Willema, żeby nie dzwonił, i zapadnie w krótki, brutalny sen. Po obudzeniu pościele łóżko, weźmie prysznic, ubierze się i pójdzie do kuchni, gdzie Harold stoi przy blacie, pijąc kawę i czytając gazetę.

– No, no – mówi Harold, przyglądając mu się. – Całkiem przystojnie wyglądasz.

On odruchowo kręci głową, ale prawdą jest, że kupił sobie nowy krawat i ostrzygł się wczoraj, toteż czuje się jeśli nie przystojny, to przynajmniej schludny; wie, że wygląda przyzwoicie, o co zawsze się starał. Harolda rzadko widuje w garniturze, ale on też włożył tym razem garnitur, a uroczysty charakter okazji nagle zawstydza Jude'a.

Harold uśmiecha się do niego.

– Widzę, że nie próżnowałeś przez noc. Spałeś choć trochę?

Jude odpowiada uśmiechem.

– Wystarczająco.

– Julia się szykuje – mówi Harold. – A ja mam coś dla ciebie.

– Dla mnie?

– Tak.

Harold sięga po małe skórzane pudełeczko wielkości piłki baseballowej, które dotąd leżało ukryte za jego kubkiem, i podaje Jude'owi. Jude je otwiera, a wewnątrz leży zegarek Harolda, z okrągłym cyferblatem i klasycznymi cyframi. Pasek został wymieniony na nowy, czarny, z krokodylej skórki.

– Dostałem go od ojca, gdy skończyłem trzydzieści lat – mówi Harold, skoro Jude milczy. – Należał do niego. A ty jeszcze masz trzydzieści, więc przynajmniej nie naruszam obyczaju. – Odbiera mu pudełko, wyjmuje zegarek i odwraca go, żeby Jude mógł zobaczyć inicjały wygrawerowane na kopercie: SS/HS/JSF. – Saul Stein – wyjaśnie Harold. – To mój ojciec. HS to ja. A JSF to ty.

Oddaje mu zegarek.

Jude przesuwa lekko opuszką kciuka po inicjałach.

– Nie mogę tego przyjąć, Haroldzie – mówi wreszcie.

– Jasne, że możesz. On jest twój, Jude. Sobie już kupiłem nowy, a nie można go zwrócić.

Jude czuje, że Harold na niego patrzy.

– Dziękuję – mówi w końcu. – Dziękuję. – Chyba nie stać go na nic więcej.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada Harold i przez pięć sekund żaden z nich się nie odzywa, aż wreszcie Jude przytomnieje, odpina swój stary zegarek i zapina Haroldowy, teraz jego, na przegubie ręki, po czym prezentuje go Haroldowi, który kiwa głową.

– Ładnie – mówi. – Dobrze na tobie wygląda.

Jude chce coś odpowiedzieć (ale co?), gdy słyszy, a zaraz potem widzi JB i Malcolma; obaj też są w garniturach.

– Drzwi były niezamknięte – mówi JB, a Malcolm wzdycha. – Haroldzie! – Obejmuje go. – Gratulacje! To synek!

– Harold na pewno nie znał tego dowcipu – mówi Malcolm, machając do Julii, która wchodzi do kuchni.

Potem zjawia się Andy, a po nim Gillian; z Laurence'em spotkają się w sądzie.

Znowu dzwonek do drzwi.

– Spodziewamy się kogoś jeszcze? – pyta Jude Harolda, który wzrusza ramionami.

– Możesz otworzyć, Jude?

Więc otwiera drzwi, a tam Willem. Jude gapi się na niego przez sekundę, a potem, zanim nakaże sobie zachować spokój, Willem skacze na niego jak wiwera i miażdży go w uścisku, aż Jude przez chwilę boi się, że upadnie.

– Zdziwiłeś się? – pyta go Willem na ucho, a Jude poznaje po jego głosie, że Willem się uśmiecha. Po raz drugi od rana nie jest w stanie wykrztusić słowa.

Trzeci raz zdarzy się to w sądzie. Biorą dwa samochody i w jego aucie (prowadzi Harold, obok niego siedzi Malcolm) Willem wyjaśnia, że naprawdę zmienili mu datę wyjazdu, ale potem cofnęli zmianę, a on nie powiedział o tym Jude'owi, tylko pozostałym, żeby zrobić mu niespodziankę.

– Tak, wielkie dzięki, Willem – mówi Malcolm. – Musiałem pilnować JB jak CIA, żeby się nie wygadał.

Udają się nie do sądu rodzinnego, tylko do sądu apelacyjnego na Pemberton Square. W sali sądowej Laurence'a (Laurence nie do poznania w todze; to jest dzień przebierańców) Jude, Harold i Julia składają sobie przyrzeczenie. Laurence uśmiecha się przez cały czas i wszyscy wszystkim robią zdjęcia w rozmaitych pozach i konfiguracjach. Tylko Jude nie robi zdjęć, za to pojawia się na każdym.

Stoi z Haroldem i Julią; czekają, aż Malcolm ustawi swój gigantyczny, skomplikowany aparat, gdy wtem JB woła Jude'a po imieniu, więc wszyscy troje odwracają się ku niemu, a JB pstryka im zdjęcie.

– Mam! – woła. – Dzięki!

– JB, tylko żeby to nie było do… – zaczyna Jude, ale w tej samej chwili Malcolm oznajmia, że jest gotowy i wszyscy troje odwracają się posłusznie ku niemu.

W południe są już w domu, po chwili zaczynają się schodzić goście – Gillian z Laurence'em i James z Careyem, koledzy Julii i koledzy Harolda, z których kilku nie widział od czasu studiów. Przychodzi stary nauczyciel głosu Jude'a i doktor Li, jego profesor matematyki, i doktor Kashen, promotor jego pracy magisterskiej, i Allison, jego była szefowa z Batter, i przyjaciel ich kolegów z Hood Hall, Lionel, który wykłada fizykę na Wellesley. Ludzie wchodzą i wychodzą przez całe popołudnie, wyskakują na zajęcia, zebrania, rozprawy. Jude początkowo wzbraniał się przed tak wielkim zbiorowiskiem (czy pozyskanie Julii i Harolda na rodziców nie sprowokuje pytań o to, dlaczego w ogóle nie miał rodziców?), ale godziny mijają i nikt żadnych pytań nie zadaje, nikt się nie dziwi, że Jude potrzebuje nowej pary rodziców, więc on ku własnemu zdziwieniu zapomina o swoich obawach. Wie, że opowiadanie innym o adopcji jest formą chwalenia się i że chwalenie się ma swoje konsekwencje, ale nie może się powstrzymać. Tylko ten jeden raz – błaga tego, kto odpowiada w świecie za karanie jego złych zachowań. – Pozwól mi się nacieszyć tym, co mi się przydarzyło, tylko ten jeden raz.

Na takich przyjęciach etykieta nie obowiązuje, więc goście wymyślili swoją własną: rodzice Malcolma przysłali mnóstwo szampana i skrzynkę przedniego toskańskiego wina z winnicy w Montalcino, której są współwłaścicielami. Matka JB przysłała przez niego jutowy worek cebulek narcyzów dla Harolda i Julii i okolicznościową kartkę dla niego. Ciotki JB przysłały orchideę. Prokurator okręgowy przysłał wielką skrzynię owoców z kartką podpisaną również przez Marshalla, Citizena i Rhodesa. Ludzie przynoszą wina i kwiaty. Allison, która przed laty zdradziła Haroldowi, że Jude był twórcą ciasteczek bakterii, przynosi ich cztery tuziny, udekorowanych według jego oryginalnych wzorów, na co Jude się czerwieni, a Julia piszczy z radości. Reszta dnia upływa na słodko: wszystko, co Jude dziś robi, wychodzi idealnie, wszystko, co mówi, brzmi słusznie. Ludzie go obejmują, a on się nie kuli, nie uchyla, daje się dotykać. Mięśnie twarzy bolą go od uśmiechu. Dekady aprobaty i sympatii skupiły się w tym jednym popołudniu i on się tym delektuje, pijany dziwnością tego, co się dzieje. Podsłuchuje, jak Andy spiera się z doktorem Kashenem o projekt wielkiego wysypiska w Gurgaon, patrzy, jak Willem cierpliwie słucha jego starego profesora od wykroczeń, słucha ukradkiem, jak JB tłumaczy doktorowi Li, dlaczego nowojorska scena artystyczna została nieodwracalnie spieprzona, szpieguje Malcolma i Careya, którzy próbują wyciągnąć największy kawałek kraba bez rozwalenia stosu.

Jest wczesny wieczór, już wszyscy sobie poszli, została tylko ich szóstka; siedzą porozwalani w salonie: on, Harold, Julia, Malcolm, JB i Willem. W domu znowu panuje bałagan. Julia wspomina coś o kolacji, ale wszyscy, nawet Jude, tak się obżarli, że nikt (nawet JB) nie chce o tym słyszeć. JB podarował Haroldowi i Julii portret Jude'a, zastrzegając przed wręczeniem go, że „nie jest oparty na

fotografii; to ze szkiców". Portret, namalowany akwarelą i tuszem na arkuszu sztywnego papieru, przedstawia jego twarz i szyję i utrzymany jest w innym stylu niż ten, który Jude kojarzy z JB. Jest oszczędniejszy i bardziej umowny, w poważnej palecie szarości. Na obrazie prawa dłoń Jude'a błądzi u nasady jego szyi, jakby chciał schwycić się i udusić, jego usta są uchylone, a źrenice bardzo duże, jak u kota w mroku. To bez wątpienia on – Jude rozpoznaje nawet ten gest jako swój, chociaż w tej chwili nie przypomina sobie, co ma wyrażać i jakim towarzyszy emocjom. Twarz jest nieco większa niż naturalnych rozmiarów; wszyscy wpatrują się w nią w milczeniu.

– To jest naprawdę dobry obraz – mówi w końcu JB, z wyraźnym zadowoleniem. – Gdybyś go kiedyś sprzedawał, Harold, daj mi znać.

Na to wreszcie wszyscy muszą się roześmiać.

– JB, on jest przepiękny, strasznie ci dziękujemy – mówi Julia, a Harold jej przytakuje.

Jude ma pewną trudność, jak zawsze wobec swoich portretów autorstwa JB, z oddzieleniem artystycznego piękna od niesmaku, jaki odczuwa wobec własnego wizerunku, ale że nie chce wyjść na niewdzięcznika, powtarza pochwały Harolda i Julii.

– Chwileczkę, ja też coś mam – oznajmia Willem, kierując się do sypialni, skąd wraca z drewnianą figurą wysokości jakichś osiemnastu cali, przedstawiającą brodatego mężczyznę w szacie koloru ultramaryny, z językiem ognia niczym kaptur kobry okalającym jego rudawe włosy, z prawą ręką wzniesioną po przekątnej na klatce piersiowej, a lewą opuszczoną wzdłuż boku.

– Co to, kurwa, za gość? – pyta JB.

– Ten gość – odpowiada Willem – to święty Juda, znany także jako Juda Tadeusz. – Stawia figurę na stole, odwraca ją twarzą do Julii i Harolda. – Kupiłem go w malutkim antykwariacie w Bukareszcie. Podobno pochodzi z końca dziewiętnastego wieku, ale bo ja wiem… Najpewniej to po prostu jakiś ludowy rzeźbiarz. Tak czy owak, spodobał mi się. Jest przystojny i postawny, całkiem jak nasz Jude.

– Zgadza się – mówi Harold, biorąc figurkę w ręce. Gładzi fałdy jej szaty, gładzi wieniec ognia. – A dlaczego głowa mu płonie?

– To symbol, że był obecny przy zesłaniu Ducha Świętego i otrzymał jego dary – odzywa się nagle Jude, którego dawna wiedza nie opuściła i klekocze w jakiejś komórce umysłu. – Był jednym z apostołów.

– Skąd ty to wiesz? – dziwi się Malcolm, a Willem, który siedzi obok Jude'a, dotyka jego ramienia.

– Jasne, że wiesz – mówi cicho. – Zawsze zapominam.

A Jude czuje przypływ wdzięczności dla Willema, nie za to, że pamięta, ale że zapomniał.

– Patron spraw beznadziejnych – dodaje Julia, przejmując figurkę od Harolda.

Jude zaś natychmiast przypomina sobie słowa: „Módl się za nami, święty Judo, wspomożycielu i orędowniku pozbawionych nadziei, módl się za nami". Kiedy był dzieckiem, była to jego ostatnia modlitwa wieczorna i dopiero gdy dorósł, zaczął się wstydzić swojego imienia i tego, jak ono przedstawia go światu, i zastanawiać się, czy bracia nadali mu je specjalnie po to, żeby ludzie zeń szydzili: jako drwinę, jako diagnozę, jako przepowiednię. Z drugiej zaś strony bywały chwile, gdy czuł, że tylko imię ma na własność i chociaż mógł, a nawet powinien je zmienić, nigdy tego nie zrobił.

– Dzięki ci, Willem – mówi Julia. – Strasznie mi się podoba.

– Mnie też – wtóruje jej Harold. – Chłopaki, to naprawdę przemiłe z waszej strony.

Jude też przyniósł prezent dla Harolda i Julii, ale z upływem dnia wydaje mu się coraz mniejszy i głupszy. Przed laty Harold wspomniał, że podczas miodowego miesiąca słuchali z Julią w Wiedniu cyklu młodzieńczych pieśni Schuberta. Nie pamiętał jednak, które szczególnie im się spodobały, więc sporządził własną listę, uzupełniając ją o kilka swoich ulubionych pieśni, głównie Bacha i Mozarta, po czym wynajął małą kabinę dźwiękową i nagrał płytę z własnym wykonaniem tych pieśni. Mniej więcej raz w miesiącu Harold go prosi, żeby im pośpiewał, lecz on się za bardzo wstydzi. W tej chwili jednak prezent wydaje mu się chybiony i kiczowaty, a na dodatek haniebnie chełpliwy, więc stresuje się swoją bezczelnością. A jednak nie potrafi go wyrzucić. Tak więc, gdy wszyscy wstają, żeby pożegnać się na dobranoc, Jude się wymyka i wciska płytę wraz z listami, które napisał do nich obojga, pomiędzy dwie książki – zniszczony egzemplarz *Zdrowego rozsądku* i wystrzępione wydanie *Białego szumu* – na niskiej półce, gdzie mogą tkwić nieodkryte przez dziesiątki lat.

Normalnie Willem nocuje z JB w gabinecie na piętrze, gdyż jako jedyny znosi jakoś chrapanie JB, Malcolm natomiast zostaje z Jude'em na dole. Ale tego wieczoru, gdy wszyscy idą do łóżek, Malcolm zgłasza się na ochotnika do pokoju z JB, dzięki czemu Jude i Willem mogą nadrobić trochę straconego czasu.

– Dobranoc, kochankowie – woła do nich z góry JB.

Kiedy szykują się do spania, Willem opowiada Jude'owi garść nowych anegdot z planu: o odtwórczyni głównej roli, która tak się poci, że trzeba jej pudrować twarz co dwa ujęcia, o odtwórcy głównej roli, który gra diabła i nieustannie podlizuje się operatorom, kupując im piwo i zagadując, kto pograłby w nogę, ale kiedy zapomniał swojej roli, dostał ataku histerii, o dziewięcioletnim brytyjskim aktorze grającym rolę syna aktorki, który podszedł do Willema przy bufecie, żeby mu powiedzieć, że naprawdę nie powinien jeść krakersów, bo to puste kalorie, i spytał, czy Willem nie boi się utyć. Willem gada i gada, a on zaśmiewa się, szorując zęby i obmywając twarz.

Ale gdy już zgasili światło i obaj leżą w ciemności, Jude w łóżku, Willem na kanapie (po sprzeczce, w której Jude chciał zmusić Willema do skorzystania z łóżka), Willem zauważa ostrożnie:

– W naszym mieszkaniu jest nieprzyzwoicie czysto.

– Wiem. – Jude się krzywi. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj – mówi Willem. – Ale Jude… czy to naprawdę było takie straszne?

Do Jude'a dociera, że Andy zdradził Willemowi przynajmniej część faktów, więc postanawia odpowiedzieć szczerze.

– Fajnie nie było – przyznaje, ale nie chcąc budzić w Willemie poczucia winy, dodaje: – Ale i nie tak okropnie.

Obydwaj milkną.

– Żałuję, że mnie nie było – mówi Willem.

– Byłeś – zapewnia go Jude. – Ale Willem… tęskniłem za tobą.

Bardzo cicho Willem odpowiada:

– Ja za tobą też.

– Dzięki, że przyjechałeś.

– Jak mógłbym nie przyjechać, Judy – odpowiada Willem z drugiego końca pokoju. – Przyjechałbym, żeby nie wiem co.

Jude milczy, napawając się tą obietnicą i zapisując ją sobie w pamięci, żeby móc ją sobie przypominać w chwilach, gdy będzie szczególnie potrzebna.

– Uważasz, że dobrze wyszło? – pyta.

– Poważnie? – Jude słyszy, że Willem siada na kanapie. – A widziałeś minę Harolda? Wyglądał jak Partia Zielonych po wyborach, w których ich człowiek został prezydentem, i druga poprawka została usunięta, a Red Sox zostali kanonizowani, wszystko w jednym dniu.

Jude się śmieje.

– Naprawdę tak uważasz?

– Ja to wiem. Harold był bardzo, bardzo szczęśliwy, Jude. On cię kocha.

Jude uśmiecha się w ciemności. Chce, żeby Willem mówił mu takie rzeczy wciąż na nowo, w niekończącym się cyklu obietnic i ślubów, ale wie przecież, że takie życzenie to pobłażanie sobie, więc zmienia temat i rozmawiają o błahych rzeczach, o niczym, aż wreszcie najpierw Willem, a potem on usypiają.

W ciągu tygodnia jego radosne oszołomienie złagodniało w coś innego – w zadowolenie i spokój. Od tygodnia przesypia twardo całe noce, śniąc nie o przeszłości, lecz o teraźniejszości: głupiutkie sny o pracy, pogodnie bezsensowne sny o przyjaciołach. Minął pierwszy pełny tydzień od blisko dwudziestu lat, kiedy zaczął się ciąć, że nie budzi się w środku nocy, że nie odczuwa tęsknoty za żyletką. Ośmiela się pomyśleć, że może został uleczony. Może właśnie tego od samego początku

potrzebował i teraz, gdy to się stało, odzyskał zdrowie. Czuje się cudownie, jak ktoś inny: cały, zdrowy i spokojny. Jest czyimś synem i chwilami ta świadomość jest tak obezwładniająca, że Jude wyobraża ją sobie w sposób niemal fizyczny, jakby miał to wypisane złotymi literami na piersi.

Wrócił do mieszkania. Jest z nim Willem. Przywiózł z podróży drugą figurkę świętego Judy, którą postawili w kuchni, z tym że ten święty Juda jest większy i pusty w środku, ceramiczny, z wyciętą szczeliną w tyle głowy, do której wrzucają drobniaki pod koniec każdego dnia; postanawiają, że gdy się zapełni, pójdą sobie zafundować butelkę doskonałego wina i wypiją do dna, a potem zaczną zbierać do skarbonki na nowo.

Jeszcze tego nie wie, ale w nadchodzących latach będzie raz po raz testował Haroldową deklarację oddania, będzie mocował się z jego przyrzeczeniami, żeby sprawdzić ich siłę. Nie będzie nawet tego świadom, ale będzie to robił, bo jakąś częścią siebie nigdy nie uwierzy Haroldowi i Julii. Mógł tego bardzo chcieć, mógł nawet myśleć, że wierzy, a jednak do końca nie uwierzy i zawsze będzie przekonany, że kiedyś się nim zmęczą, że pewnego dnia pożałują, że się z nim związali. I dlatego będzie im rzucał wyzwania, żeby – gdy ich relacja zakończy się nieodwołalnie – mógł obejrzeć się wstecz i powiedzieć sobie z całą pewnością, że sam to sprawił, mało tego: że sprawił to konkretny incydent, i nigdy nie będzie musiał się zastanawiać ani martwić, co zrobił źle i co mógł był zrobić lepiej. Ale to przyszłość. Na razie jego szczęście nie ma wad.

W pierwszą sobotę po powrocie z Bostonu idzie jak zwykle do Felixa, gdzie pan Baker kazał mu się stawić parę minut wcześniej. Rozmawiają krótko, po czym schodzi na dół, gdzie Felix czeka na niego w pokoju muzycznym, bębniąc w klawisze.

– A więc, Felixie – zagaduje w przerwie między lekcjami pianina i łaciny a niemieckiego i matematyki – twój tata mi powiedział, że w przyszłym roku wyjeżdżasz do szkoły.

– Taa – bąka Felix, patrząc pod nogi. – We wrześniu. Tata już tam był.

– Słyszałem. No i jak się z tym czujesz?

Felix wzrusza ramionami.

– Nie wiem – mówi w końcu. – Tata mówi, że podszkoli mnie pan na wiosnę i latem.

– Jasne. Będziesz tak przygotowany, że w tej szkole szczęka im opadnie.

Felix wciąż ma głowę spuszczoną, ale on widzi, że szczyty jego policzków się unoszą, co znaczy, że Felix się uśmiecha, tak troszkę.

Sam nie wie, co go podkusiło, żeby powiedzieć to, co mówi potem: czy to empatia (ma nadzieję), czy chełpliwość, głośna aluzja do nieprawdopodobnej i cudownej odmiany jego własnego losu w ostatnich miesiącach?

– Wiesz co, Felix – mówi. – Ja też nigdy nie miałem przyjaciół, bardzo długo, aż do czasu, gdy miałem więcej lat niż ty. – Wyczuwa bardziej, niż widzi, że Felix sztywnieje, że nadstawia ucha. – A też strasznie chciałem ich mieć – ciągnie bardzo wolno, bo chce mieć pewność, że użyje właściwych słów. – I zawsze się zastanawiałem, czy ich kiedyś znajdę, i jak, i kiedy. – Przeciąga palcem wskazującym po ciemnoorzechowym blacie stołu, wzdłuż grzbietu podręcznika do matematyki, po zimnej szklance z wodą. – A potem poszedłem do college'u i spotkałem ludzi, którzy nie wiedzieć czemu postanowili być moimi przyjaciółmi i nauczyli mnie… właściwie wszystkiego. Stworzyli mnie, i stwarzają, kimś lepszym, niż naprawdę jestem. Teraz nie rozumiesz tego, co ci mówię, ale kiedyś zrozumiesz: cała sztuka z przyjaźnią polega na tym, żeby znaleźć ludzi lepszych od siebie, nie inteligentniejszych, nie bardziej cool, ale lepszych, serdeczniejszych i bardziej wybaczających, a potem szanować ich za to, czego mogą cię nauczyć, i słuchać ich, gdy mówią ci coś o tobie samym, choćby i najgorszego… albo i najlepszego, to się zdarza; i ufać im, co jest najtrudniejsze ze wszystkiego. Ale też i najlepsze.

Obydwaj milczą przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w tykanie metronomu, który jest popsuty i od czasu do czasu odzywa się spontanicznie, nawet po zatrzymaniu.

– Znajdziesz przyjaciół, Felix – mówi jeszcze. – Zobaczysz. Łatwiej ci będzie ich znaleźć niż utrzymać, ale wierz mi, że to gra warta świeczki. O wiele bardziej niż, dajmy na to, łacina.

Felix wreszcie patrzy mu w oczy i uśmiecha się, więc on też odpowiada uśmiechem.

– Okej? – pyta.

– Okej – odpowiada Felix, wciąż się uśmiechając.

– Na co masz teraz ochotę. Niemiecki czy matma?

– Matma – mówi Felix.

– Dobry wybór – chwali go Jude i przyciąga podręcznik Felixa. – Zacznijmy od tego, co robiliśmy na ostatniej lekcji.

Felix odnajduje właściwą stronę i zaczynają.

III

Upiększacze

1

Ich najbliższymi sąsiadkami na drugim roku w Hood były trzy lesbijki, wszystkie z ostatniego roku, które śpiewały w zespole Backfat i z jakiegoś powodu nabrały sympatii do JB (więc siłą rzeczy także do Jude'a, a potem do Willema i na koniec, z pewnymi oporami, do Malcolma). Teraz, piętnaście lat po dyplomie ich czterech, dwie z tych lesbijek związały się w parę i zamieszkały na Brooklynie. Z czterech przyjaciół tylko JB kontaktował się z nimi regularnie. Marta działała w organizacji non profit jako prawniczka robotników, a Francesca była scenografką.

– Elektryzująca wiadomość! – obwieścił JB któregoś październikowego piątku przy kolacji. – Dzwoniły Suki z Bushwick: Edie jest w mieście!

Edie była trzecią z tercetu lesbijek, napakowaną, sentymentalną Amerykanką pochodzenia koreańskiego, która kursowała między San Francisco i Nowym Jorkiem i stale szykowała się do jakiegoś nieprawdopodobnego zawodu: kiedy widzieli ją ostatnio, miała właśnie jechać do Grasse, aby tam szkolić się na profesjonalnego „nosa" – wąchacza perfum, a zaledwie półtora roku wcześniej kończyła kurs gotowania według przepisów kuchni afgańskiej.

– A czemuż to jest elektryzująca wiadomość? – spytał Malcolm, który nigdy nie wybaczył tercetowi żywionej ku niemu niechęci.

– No bo – odrzekł JB, po czym z uśmiechem zawiesił głos – …ona zmienia płeć!

– Na męską? – zapytał Malcolm. – Nie zgrywaj się, JB. Przecież ona nigdy nie zdradzała takich preferencji, odkąd ją znamy.

Były współpracownik Malcolma rok wcześniej zmienił płeć i Malcolm uważał się za eksperta w tej dziedzinie, w związku z czym głosił im kazania o ich nietolerancji i ignorancji, aż wreszcie JB nie wytrzymał i wrzasnął: „Jezu, Malcolm! Ja jestem sto razy bardziej trans, niż Dominic kiedykolwiek będzie!".

– W każdym razie to prawda – ciągnął JB. – I Suki urządzają na jej cześć imprezkę u siebie, i wszystkich nas zapraszają!

Jęknęli chórem.

– JB, ja mam tylko pięć tygodni do wyjazdu do Londynu i od cholery spraw do załatwienia – zaprotestował Willem. – Nie mogę zmarnować nocy na wysłuchiwanie lamentów Edie Kim gdzieś w Bushwick!

– Nie możesz nie pójść! – krzyknął piskliwie JB. – Zapraszają *szczególnie* ciebie! Francesca ma zaprosić jakąś dziewczynę, która cię skądś tam zna i marzy, żeby cię znowu spotkać. Jak nie pójdziesz, one sobie pomyślą, że uważasz się za kogoś lepszego od nich. No i będzie kupa ludzi, których nie widzieliśmy od stu lat…

– Chyba nie bez powodu – wpadł mu w słowo Jude.

– …a poza tym, Willem, ta laska będzie na ciebie czekała bez względu na to, czy spędzisz godzinkę na Brooklynie, czy nie. Przecież to nie jest na końcu świata. To Bushwick. Judy nas zawiezie.

Jude rok wcześniej kupił samochód, nic szczególnego, ale JB uwielbiał nim jeździć.

– Słucham? Nie ma mowy – żachnął się Jude.

– Dlaczego nie?

– Jeżdżę na wózku inwalidzkim, JB, zapomniałeś? A jeśli dobrze pamiętam, w domu Marty i Franceski nie ma windy.

– Mylisz adres – odparł triumfalnie JB. – Widzisz, jak żeśmy się z nimi długo nie widzieli? Przeprowadziły się. W ich nowym domu winda oczywiście jest. Towarowa zresztą. – Rozparł się jak lord, bębniąc pięścią w stół i patrząc na kolegów siedzących w zrezygnowanym milczeniu. – Więc zasuwamy!

Tak więc w najbliższą niedzielę spotkali się w lofcie Jude'a na Greene Street i Jude zawiózł ich do Bushwick, gdzie objechał blok Marty i Franceski w poszukiwaniu miejsca do parkowania.

– Tam z tyłu było jedno wolne – powiedział JB po dziesięciu minutach.

– To był punkt załadunkowy – zgasił go Jude.

– Jakbyś wystawił plakietkę „Inwalida", to moglibyśmy zaparkować, gdzie chcemy – powiedział JB.

– Nie lubię jej używać, wiesz o tym.

– Skoro nie masz zamiaru jej używać, to na co ci samochód?

– Jude, zdaje się, że tam masz miejsce – włączył się Willem, ignorując JB.

– Siedem bloków od ich domu – mruknął JB.

– Zamknij się, JB – rzucił Malcolm.

Gdy tylko weszli na imprezę, każdego z nich odciągnęła gdzieś jakaś inna osoba. Willem patrzył bezradnie, jak Jude'a energicznie holuje Marta: „Ratunku!", nadał Jude ruchami warg, lecz Willem uśmiechnął się i pomachał mu z daleka. Wiedział, jak bardzo Jude nie miał ochoty na to przyjęcie, bo nie chciał wyjaśniać wciąż od nowa, dlaczego jeździ na wózku, a mimo to Willem go błagał:

– Nie każ mi iść samemu.

– Nie będziesz sam. Będziesz z JB i Malcolmem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Czterdzieści pięć minut i się zmywamy. JB i Malcolm trafią z powrotem do miasta, jak zechcą zostać dłużej.

– Piętnaście minut.

– Pół godzinki.

– No dobra.

Willema tymczasem zaanektowała Edie Kim, która wyglądała właściwie tak samo jak w college'u: może trochę bardziej zaokrąglona, ale nic poza tym. Uściskał ją.

– Edie – powiedział. – Moje gratulacje.

– Dzięki, Willem – odparła Edie. Uśmiechnęła się do niego. – Fantastycznie wyglądasz. Naprawdę, naprawdę fantastycznie. – JB zawsze wyznawał teorię, że Edie leci na Willema, lecz on nigdy w to nie wierzył. – Przepadam za *Detektywami z laguny*. Zagrałeś naprawdę fantastycznie.

– Och, dziękuję.

Nienawidził *Detektywów z laguny*. Tak dalece gardził tym filmem, że sam nigdy go nie obejrzał – niedorzeczny scenariusz opowiadał o parze metafizycznych detektywów, którzy penetrują nieświadome umysły ludzi cierpiących na amnezję, a reżyser okazał się takim tyranem, że partnerka Willema grająca główną rolę wycofała się po dwóch tygodniach zdjęć i trzeba było ją zastąpić, i przynajmniej raz dziennie ktoś wybiegał z planu z płaczem.

– Ale powiedz – zaczął, próbując zmienić temat – kiedy…

– Dlaczego Jude jeździ na wózku?

Willem westchnął. Kiedy Jude zaczął regularnie korzystać z wózka dwa miesiące wcześniej, nauczył ich wszystkich, jak mają odpowiadać na to pytanie.

– To nie na stałe – odrzekł Willem. – Po prostu ma zakażenie w nodze i boli go przy chodzeniu na większe odległości.

– Boże, biedaczek – użaliła się Edie. – Marta mówi, że Jude odszedł z prokuratury i dostał świetną pracę w jakiejś korporacji.

JB podejrzewał też zawsze, że Marta leci na Jude'a, co Willem uznał za całkiem prawdopodobne.

– Tak, będzie już dobre parę lat – potwierdził, chcąc jak najprędzej zakończyć temat Jude'a, za którego nie lubił udzielać odpowiedzi; bardzo chętnie by o nim porozmawiał, dobrze wiedział, co mu wolno o nim mówić, a czego nie, ale nienawidził podstępnego, konfidencjonalnego tonu ludzi, którzy wypytywali o niego tak, jakby mieli nadzieję, że uda im się podejść Willema i wyciągnąć od niego rewelacje, jakich sam Jude by nie zdradził. (Jeszcze czego!) – W każdym razie, Edie, domyślam się, jak bardzo jesteś przejęta swoją decyzją. – Urwał. – Przepraszam, nie spytałem, czy nadal chcesz, żeby mówić do ciebie Edie?

– A czemu nie? – Zmarszczyła brwi.

– No… nie wiem, jak bardzo jesteś zaawansowana w procesie…

– W jakim procesie?

– No… w procesie zmiany płci… – Powinien był ugryźć się w język, gdy zobaczył zdumioną minę Edie, ale tego nie zrobił. – JB nam mówił, że zmieniasz płeć.

– No jasne, na Hongkong – odparła Edie, wciąż z marsową miną. – Będę niezależną wegańską konsultantką średniej wielkości firmy medycznej. Zaczekaj… ty naprawdę myślałeś, że ja zmieniam płeć?

– O rany – powiedział i zaatakowały go dwie myśli naraz, oddzielne, lecz równie dobitne: „Zabiję JB" i „Nie mogę się doczekać, aż powiem Jude'owi o tej rozmowie". – Edie, ja cię strasznie przepraszam.

Pamiętał jeszcze z college'u, że Edie jest drażliwa: najmniejszy drobiazg potrafił wytrącić ją z równowagi (kiedyś Willem zobaczył ją zalaną łzami, bo czubek lodów z rożka spadł jej na buty), za to duże rzeczy (śmierć siostry; dramatyczne rozstanie z dziewczyną, które miało miejsce w Quad i które cały akademik Hood śledził z okien) spływały po niej jak woda po gęsi. Willem nie miał pewności, do której kategorii zalicza się jego gafa, a i sama Edie zdawała się niepewna, wykrzywiając na różne sposoby drobne usteczka. W końcu jednak zaczęła się śmiać i zawołała do kogoś w drugim krańcu pokoju:

– Hannah! Hannah! Chodź no tutaj! Musisz to usłyszeć!

Willem odetchnął z ulgą, jeszcze raz przeprosił i pogratulował, po czym czmychnął.

Ruszył przez cały pokój do Jude'a. Po latach – dekadach niemal – podobnych przyjęć wypracowali sobie własny język migowy, pantomimę, w której każdy gest oznaczał to samo – ratuj! – ale w różnym stopniu intensywności. Zazwyczaj udawało im się spotkać wzrokiem poprzez pokój i przekazać desperację, ale na imprezach takich jak ta, gdzie strych oświetlały tylko świece, a gości jeszcze przybyło w trakcie jego krótkiej rozmowy z Edie, potrzebny był często bardziej ekspresyjny język ciała. Złapanie się za kark oznaczało, że ta druga osoba ma natychmiast zadzwonić, manipulowanie przy zegarku znaczyło: „Chodź tu i podmień mnie w rozmowie albo chociaż się przyłącz", a pociąganie za lewe ucho: „Wyciągnij mnie stąd natychmiast". Willem widział od dobrych dziesięciu minut, że Jude szarpie się za ucho, teraz zaś dostrzegł, że do Marty dołączyła nachmurzona kobieta, którą chyba znał (i której nie lubił) z jakiegoś poprzedniego przyjęcia. Obydwie nachylały się inkwizytorsko nad Jude'em, co nadawało im pozy władcze i dzikie w blasku świec, jakby Jude był ich dzieckiem, które właśnie przyłapały na podskubywaniu lukrecjowego brzegu ich domku z piernika, a teraz debatowały, czy lepiej go upiec ze śliwkami, czy udusić z rzepą.

Willem się starał, tłumaczył później Jude'owi, naprawdę się starał, ale był w jednym końcu pokoju, a Jude w przeciwległym, więc ciągle ktoś go zatrzymywał i wciągał w rozmowę z osobami niewidzianymi od lat albo takimi, co jeszcze gorsze, które widział parę tygodni wcześniej. Prąc do przodu, pomachał Malcolmowi i wskazał na Jude'a, lecz Malcolm odpowiedział bezradnym wzruszeniem ramion i ruchami ust spytał: „Co?", na co on przekazał mu gestem: „Nieważne".

Muszę się stąd wydostać, myślał, przepychając się przez tłum, jednak prawdą było, że na ogół nie miał nic przeciwko takim imprezom, właściwie nie. Często nawet dobrze się na nich bawił. Podejrzewał, że tak samo jest z Jude'em, chociaż może w mniejszym stopniu – z całą pewnością Jude nieźle sobie radził w takich sytuacjach, a ludzie zawsze chcieli z nim pogadać, więc chociaż obaj narzekali jeden do drugiego na JB, który ich wyciąga na te nudy, to obaj wiedzieli, że przecież zawsze mogą po prostu odmówić, a jednak rzadko to robili – bo gdzie indziej mieliby okazję używać swoich znaków, tego języka, którego byli jedynymi użytkownikami na świecie?

W ostatnich latach, w miarę jak jego życie odsuwało się od college'u i osoby, którą był w czasach studenckich, znajdował pewną przyjemność w spotykaniu ludzi z tamtych czasów. Nabijał się z JB, że ten nigdy nie wyszedł z Hood, ale w rzeczywistości podobało mu się, że JB podtrzymuje tak wiele swoich i ich wspólnych znajomości z tamtego okresu i że jakimś cudem potrafi dla wielu z nich znaleźć kontekst. Pomimo że JB miał tak wielką kolekcję znajomych z dawnej przeszłości, było coś nachalnie teraźniejszego w jego podejściu do życia, tak że nawet najzatwardzialsi nostalgicy w jego obecności tracili chęć do rozdzierania szat lub do zachwytów nad tym, co minęło, ciesząc się zmianami, które zaszły w stojącej przed nimi osobie. Willem cenił również to, że na ich dawnych znajomych stosunkowo małe wrażenie robi to, kim on się stał (zakładając, że stał się kimkolwiek). Wprawdzie niektórzy zachowywali się przy nim inaczej – zwłaszcza od mniej więcej roku – ale większość poświęciła się własnym zainteresowaniom, nieraz bardzo specjalistycznym (niekiedy marginalnym), i miała własne dokonania, więc nie traktowała osiągnięć Willema jak czegoś szczególnego. Przyjaciółmi JB byli poeci i artyści performerzy, nauczyciele akademiccy, tancerze i filozofowie (jak zauważył Malcolm, JB w college'u lgnął zwłaszcza do tych, którzy przynajmniej rokowali, że zrobią pieniądze), ci zaś żyli z grantów, stypendiów i nagród. Sukces w gronie kumpli JB z Hood Hall nie polegał na zdobyciu kasy (jak dla jego agenta i menedżerów), na graniu ze sławnymi aktorami czy recenzjach (jak dla kolegów ze szkoły) – decydowało o nim wyłącznie to, jak dobrze wykonujesz swój zawód i czy jesteś z niego dumny. (Zdarzało się, że ludzie zagadywali go na imprezach: „Nie widziałem filmu *Czarny Merkury 3081*. Ale czy byłeś dumny, że tam grasz?". Nie, z tego filmu Willem nie był dumny. Grał melancholijnego międzygalaktycznego naukowca, który jest przy okazji wojownikiem dżiu-dżitsu i w pojedynkę zwycięża gargantuicznego potwora z kosmosu.

Ale był zadowolony ze swojej pracy: grał uczciwie i potraktował to poważnie, a to było wszystko, co miał nadzieję robić). Czasami zastanawiał się, czy go nie nabierają, czy to całe kółko JB nie jest samo w sobie spektaklem, w którym współzawodnictwo, troski i ambicje realnego świata – świata napędzanego forsą, chciwością i zawiścią – zostały pominięte na rzecz czystej przyjemności wykonywania pracy. Czasami czuł się tym skrępowany, ale w dobrym znaczeniu tego słowa; postrzegał te imprezy, czas spędzany z hoodowcami, jako doświadczenie oczyszczające i wzmacniające, doświadczenie przywracające mu jego dawne ja, które się emocjonowało szkolnym przedstawieniem *Czego nie widać* i kazało się co wieczór odpytywać kolegom z pokoju.

– Mykwa dla kariery – powiedział z uśmiechem JB, gdy Willem mu to zdradził.

– Wolnorynkowy prysznic – odparował tamten.

– Środek przeczyszczający na ambicje.

– O! To dobre!

Ale niekiedy te imprezy – jak dzisiejsza – miewały skutek odwrotny. Nieraz Willem łapał się na tym, że nie znosi cudzej definicji siebie, jej uproszczenia i niezmienności. W oczach tych ludzi był i na zawsze miał pozostać Willemem Ragnarssonem z Hood Hall, pokój osiem, kiepskim z matmy i dobrym z panienkami – tożsamość prosta i zrozumiała, naszkicowana dwoma pospiesznymi maźnięciami pędzla. Ludzie się nie mylili, niekoniecznie – odczuwał coś depresyjnego w przynależności do przemysłu, w którym uważa się go za intelektualistę tylko dlatego, że nie czytuje pewnych pism i stron internetowych oraz że uczęszczał do tego college'u, do którego uczęszczał – lecz czyniło to jego życie, i tak już małe, jeszcze mniejszym.

Czasami w lekceważeniu jego kariery przez byłych kolegów wyczuwał jakiś upór, kaprys i zawiść: rok wcześniej, kiedy jego pierwszy prawdziwie duży film studyjny wszedł na ekrany, znalazł się na imprezie w Red Hook i rozmawiał z dawnym hoodowcem zawsze pętającym się na podobnych spędach, Arthurem, który w czasie studiów mieszkał w akademiku dla frajerów Dillingham Hall, a teraz wydawał niszowe, lecz szanowane pismo o kartografii cyfrowej.

– A co u ciebie, Willem, co porabiasz ostatnimi czasy? – zapytał w końcu Arthur, po tym, jak przez dziesięć minut rozwodził się nad ostatnim numerem „The Histories", który opublikował trójwymiarową mapę indochińskiego szlaku opiumowego z lat 1839–1842.

Willem doświadczył wówczas chwilowej dezorientacji, jaka mu się od czasu do czasu przytrafiała na tych spotkaniach. To samo pytanie zadawano mu czasem żartem, ironicznie, jako rodzaj gratulacji, więc się uśmiechał i podejmował grę: „Och, nic takiego, dalej kelneruję w Ortolanie, ostatnio serwujemy wyśmienitego czarnego dorsza z tobiko", ale czasami ludzie naprawdę nie wiedzieli. Ci naprawdę niewiedzący zdarzali się ostatnio coraz rzadziej i wywodzili się na ogół z dalekiej prowincji,

gdzie za szczyt wyrafinowania uchodziło czytanie „New York Timesa". Czasem był to jednak ktoś, kto manifestowaniem swojej ignorancji wyrażał dezaprobatę, więcej – pogardę, dla Willema, jego życia i pracy.

Willem nie znał Arthura dostatecznie dobrze, by odgadnąć, do której kategorii się zalicza (chociaż dostatecznie dobrze, żeby go nie lubić, także za to, że napierał na rozmówcę, wciskając go w ścianę), więc odpowiedział po prostu:

– Gram w filmach.

– Coś podobnego – odrzekł bezbarwnym tonem Arthur. – W czymś znanym?

Pytanie – a właściwie nie samo pytanie, lecz ton Arthura, jego nonszalancja i wzgarda – zirytowało Willema na nowo, lecz tego nie okazał.

– To głównie filmy niezależne – odparł powoli. – W ubiegłym roku grałem w *Królestwie kadzidła*, a za miesiąc wyjeżdżam na zdjęcia do *Niepokonanego*, na podstawie tej powieści, znasz? – Arthur miał tępą minę. Willem westchnął: za rolę w *Królestwie kadzidła* otrzymał nagrodę. – A teraz wchodzi na ekrany coś, co kręciliśmy parę lat temu: *Czarny Merkury 3081*.

– Brzmi interesująco – powiedział Arthur ze znudzoną miną. – Ale jakoś nie obiło mi się o uszy. Hm. Będę musiał sprawdzić. No to fajnie masz, Willem.

Nienawidził, gdy pewni ludzie mówili „fajnie masz, Willem", tak jakby jego zawód był jakąś odmianą wyssanej z palca fantazji, fikcji, którą on karmi siebie i innych, a nie czymś, co istnieje. A dziś nienawidził tego w szczególności, ponieważ niecałe pięćdziesiąt metrów dalej, ujęty w ramę okna za głową Arthura, widniał, tak się złożyło, oświetlony punktowcem billboard na dachu wieżowca, a na billboardzie twarz Willema – twarz wykrzywiona, przyznajmy: walczył przecież z wielgachnym liliowym obcym wygenerowanym komputerowo – i półmetrowy napis: CZARNY MERKURY 3081: WKRÓTCE NA EKRANACH. W takich chwilach Willem rozczarowywał się do hoodowców. Wcale nie są lepsi od innych – uświadamiał sobie. – W gruncie rzeczy są zawistni i chcą mi popsuć humor. A ja jestem głupi, bo tracę humor. Następnie irytował się na siebie: Sam tego chciałeś – napominał się. – Co cię obchodzi, co sobie myślą inni? Ale aktorstwo polegało na martwieniu się opinią innych (czasem zdawało mu się, że polega wyłącznie na tym), więc chociaż starał się na tę opinię uodpornić, było jasne, że ponosi fiasko.

– Wiem, że to brzmi tak kurewsko małostkowo – zwierzał się Jude'owi po imprezie. Był zażenowany własnym poirytowaniem. Nikomu innemu by się do tego nie przyznał.

– To wcale nie brzmi małostkowo – zaprzeczył Jude. Wracali samochodem do miasta z Red Hook. – A Arthur to dupek, Willem. Zawsze był dupkiem. Lata studiów nad Herodotem bynajmniej go nie odmieniły.

Willem uśmiechnął się mimo woli.

– Sam nie wiem – powiedział. – Czasami mi się zdaje, że to, co robię, jest takie… bezcelowe.

– Jak możesz tak mówić, Willem? Jesteś znakomitym aktorem, naprawdę. I…

– Tylko mi nie mów, że daję ludziom radość.

– Wcale nie miałem zamiaru tego powiedzieć. Trudno powiedzieć, żeby twoje filmy dawały komukolwiek radość. – (Willem wyspecjalizował się w odgrywaniu postaci mrocznych i skomplikowanych, często dość agresywnych, zwykle moralnie podejrzanych, które wywoływały mieszane uczucia. Harold mówił o nim Ragnarsson Groźny).

– Z wyjątkiem Marsjan.

– Racja. Z wyjątkiem Marsjan. Chociaż i to nie, bo w końcu przecież wszystkich wybijasz, prawda? Ale ja, Willem, uwielbiam twoje filmy, podobnie jak mnóstwo ludzi. To się chyba liczy, co? Ile osób może o sobie powiedzieć, że autentycznie wyrywają ludzi z codzienności? – A ponieważ Willem nie odpowiadał, dodał: – Wiesz, może powinniśmy przestać chodzić na te imprezy; zamieniają się w niezdrowe ćwiczenia z masochizmu i nienawiści do samego siebie dla nas obydwu. – Z uśmiechem zwrócił się do Willema: – Przynajmniej działasz w sztuce. A ja mógłbym równie dobrze pracować dla handlarza bronią. Dorothy Wharton spytała mnie dziś wieczór, jak się czuję, budząc się codziennie ze świadomością, że poprzedniego dnia poświęciłem jeszcze jedną cząstkę swojej duszy.

Nareszcie Willem się roześmiał.

– Zgrywasz się, tak nie spytała.

– Owszem, spytała. Poczułem się, jakbym rozmawiał z Haroldem.

– Tak, gdyby Harold był białą kobietą z dredami.

Jude się uśmiechnął.

– Mówię ci, to było jak rozmowa z Haroldem.

W istocie jednak obaj wiedzieli, dlaczego chodzą na te imprezy: bo stały się jedną z niewielu okazji do bycia razem we czwórkę, a chwilami zdawało się, że jedynymi okazjami do tworzenia ich wspólnych wspomnień podtrzymujących przyjaźń jak wiązki chrustu rzucane na ledwie tlący się poczerniały żar. To był ich sposób na udawanie, że wszystko jest po dawnemu.

Był to także wykręt pozwalający udawać, że wszystko jest w porządku z JB, chociaż wiedzieli we trzech, że tak nie jest. Willem nie umiał właściwie powiedzieć, co jest nie tak z ich kumplem – JB potrafił w razie potrzeby być tak samo nieuchwytny jak Jude w rozmowach pewnego rodzaju – ale wiedział, że JB jest samotny i nieszczęśliwy, i niepewny siebie i że żadne z tych uczuć nie jest mu znajome. Willem wyczuwał, że JB – który tak kochał college, jego struktury i hierarchie, i mikrospołeczności, wśród których potrafił znakomicie lawirować – próbuje na każdym przyjęciu

odtworzyć atmosferę luzackiego, beztroskiego koleżeństwa, w której żyli kiedyś, gdy ich drogi zawodowe były jeszcze dość mgliste, gdy jednoczyły ich aspiracje, a nie dzieliła proza dnia codziennego. Dlatego JB organizował te wyjścia, oni zaś szli za nim, oddając mu przywództwo, drobną przysługę, dzięki której za nich decydował, zawsze.

Willem miałby ochotę spotkać się z JB sam na sam, ale ostatnio JB, o ile nie był z kumplami ze studiów, trzymał się z grupą złożoną przeważnie z satelitów światka artystycznego, których interesowało zażywanie dużych ilości dragów, a potem odbywanie ostrego seksu, co Willemowi po prostu nie pasowało. Coraz rzadziej pomieszkiwał w Nowym Jorku – w sumie raptem osiem miesięcy przez ostatnie trzy lata – a gdy już był w domu, to podlegał presji sprzecznych pokus: spędzenia dłuższego czasu z przyjaciółmi lub kompletnego nicnierobienia.

Teraz jednak dryfował w stronę Jude'a, którego Marta z koleżanką nareszcie uwolniły od swego towarzystwa i który rozmawiał właśnie z ich wspólną koleżanką, Caroliną (na ten widok Willem znów doznał poczucia winy, bo z Caroliną nie gadał od miesięcy i wiedział, że jest na niego zła), gdy na jego drodze stanęła Francesca, chcąca ponownie go przedstawić kobiecie imieniem Rachel, z którą pracował cztery lata wcześniej na planie *Chmury 9*, gdzie Rachel była asystentką scenarzysty. Nawet się ucieszył, widząc ją znowu – podobała mu się wtedy, zawsze uważał, że jest ładna – lecz podczas rozmowy z nią nabrał pewności, że sprawy między nimi nie zajdą dalej niż konwersacja. Zresztą wcale nie przesadzał – naprawdę za pięć tygodni zaczynał zdjęcia, nie była to więc odpowiednia pora na wikłanie się w jakieś nowe i skomplikowane układy, a na jednonocną przygodę nie miał dość energii, wiedział, że takie wyskoki wyczerpują go tak samo jak długie związki.

Gawędził z Rachel od dziesięciu może minut, gdy zabrzęczał jego telefon, więc przeprosił i sprawdził wiadomość od Jude'a: *Wychodzę. Nie chcę przerywać konwersacji z przyszłą panią Ragnarsson. Do zobaczenia w domu.*

– Cholera – mruknął, po czym się zmitygował. – Sorry.

Nagle czar imprezy prysł i Willem desperacko zapragnął wyjść. Uczestnictwo w tych imprezach było rodzajem teatru, który odgrywali we czterech, ale gdy jeden z aktorów opuszczał scenę, sens dalszej gry stawał się wątpliwy. Pożegnał się z Rachel, której mina zmieniła się z zaskoczonej na wrogą, gdy do dziewczyny dotarło, że Willem naprawdę wychodzi, bez niej, a potem powiedział „do widzenia" innym – Marcie, Francesce, JB, Malcolmowi, Edie i Carolinie – z których co najmniej połowa zdawała się na niego obrażona. Trwało to jeszcze z pół godziny, zanim wyłuskał się z mieszkania i znalazł na schodach. Wysłał esemes do Jude'a z nadzieją, że jeszcze go złapie: *Jesteś tu jeszcze? Już wychodzę*, a kiedy nie dostał odpowiedzi: *Jadę pociągiem. Wezmę coś z mieszkania; do zobaczenia wkrótce.*

Dojechał kolejką do Ósmej Alei, po czym cofnął się o kilka przecznic do swojego mieszkania. Późny październik był jego ulubioną porą w mieście i zawsze żal mu było ją przegapić. Mieszkał na rogu Perry i Zachodniej Czwartej, w dwupiętrowym szeregowcu, którego okna były na tym samym poziomie co czubki miłorzębów; zanim się tam wprowadził, miał taką wizję, że w weekendy będzie się wylegiwał w łóżku do późna, oglądając tornado żółtych liści, otrząsanych z gałęzi przez wiatr. Ale nigdy tak nie zrobił.

Nie żywił właściwie żadnych uczuć do tego mieszkania, tyle tylko że było jego i sam je kupił – pierwsza i największa rzecz, jaką dotąd kupił, spłaciwszy resztę studenckiego kredytu. Gdy półtora roku wcześniej zaczął się rozglądać za mieszkaniem, wiedział tylko, że musi mieszkać w domu z windą, żeby Jude mógł go odwiedzać.

– Czy to aby nie jest wzajemne uzależnienie? – spytała go jego ówczesna dziewczyna Philippa, żartem, ale niekoniecznie.

– Tak sądzisz? – odpowiedział. Rozumiał, co ona ma na myśli, ale udawał, że nie rozumie.

– Willem – powiedziała Philippa, śmiechem pokrywając irytację. – Tak jest.

Wzruszył ramionami, nieurażony.

– Nie mogę mieszkać gdzieś, gdzie on nie mógłby mnie odwiedzać.

Philippa westchnęła.

– Wiem.

Willem wiedział, że Philippa nie ma nic przeciwko Jude'owi; lubiła go, a Jude także ją lubił. Kiedyś nawet delikatnie zasugerował, że jego zdaniem Willem powinien spędzać z Philippą więcej czasu, kiedy jest w mieście. Gdy zaczęli ze sobą chodzić – Philippa była kostiumografką, głównie teatralną – jego przyjaźnie bawiły ją, a nawet rozczulały. Postrzegała je, Willem to wiedział, jako dowód jego lojalności, spolegliwości i stałości. Ale z czasem, gdy przybyło im lat, coś się zmieniło i nagle czas, który spędzał z JB i Malcolmem, a zwłaszcza z Jude'em, stał się dowodem jego gruntownej niedojrzałości, niechęci do zrezygnowania z życia w wolnym stanie, z kolegami, na rzecz niepewności innego życia, z nią. Nigdy nie poprosiła, żeby całkiem zrezygnował z przyjaźni – jedną z cech, które Willem najbardziej w niej lubił, było to, że miała swoje koleżanki, i oboje często spędzali wieczory we własnych kółkach, własnych restauracjach, prowadząc własne rozmowy, a potem spotykali się ponownie i dwa oddzielne wieczory kończyły się jednym – ale ostatecznie zażądała od niego czegoś w rodzaju poddania się, deklaracji, że ich związek jest ważniejszy niż inne związki.

Willema nie było stać na coś takiego, ale miał poczucie, że dał Philippie więcej, niż ona chce dostrzec. Przez ostatnie dwa lata, które spędzili razem, nie jeździł do Harolda i Julii na Święto Dziękczynienia ani do Irvine'ów na Boże Narodzenie, za to jechał z nią do jej rodziców w Vermoncie;

zrezygnował z corocznych wakacji z Jude'em; chodził z Philippą na przyjęcia do jej koleżanek, na śluby jej znajomych, kolacje, spektakle, i mieszkał z nią, kiedy był w mieście, przyglądając się, jak Philippa szkicuje kostiumy do *Burzy*; ostrzył jej drogie kredki, gdy ona spała, on zaś, myślami bujając całkiem gdzie indziej, błądził po mieszkaniu, otwierał i zamykał książki albo czasopisma, machinalnie poprawiał pojemniki z makaronem i płatkami na półkach spiżarki. Wszystko to robił z radością i bez pretensji. Ale i to, jak się okazało, było mało, więc zerwali ze sobą po cichu i – jego zdaniem – kulturalnie w zeszłym roku, po blisko czterech latach życia razem.

Pan Irvine na wieść o ich zerwaniu pokręcił głową (było to na pępkowym u Flory).

– Wy, chłopcy, wyrastacie wszyscy na Piotrusiów Panów – powiedział. – Willem, ile ty masz lat? Trzydzieści sześć? Naprawdę nie wiem, co się z wami dzieje. Zarabiacie pieniądze. Coś osiągnęliście. Nie sądzicie, panowie, że pora oderwać się od siebie i pomyśleć poważnie o dorosłości?

Ale jak tu być dorosłym? Czy życie w stadle to naprawdę jedyna opcja? (Pomijając fakt, że jedyna opcja to żadna opcja).

– Tysiące lat ewolucji i rozwoju społecznego, i to ma być nasz jedyny wybór? – spytał Harolda, gdy byli w Truro minionego lata, na co Harold się roześmiał.

– Widzisz, Willem – powiedział. – Ja uważam, że radzisz sobie świetnie. Wiem, że ci prawię kazania o ustatkowaniu się, i zgadzam się z ojcem Malcolma, że życie w stadle jest cudowne, ale tak naprawdę ważne jest tylko jedno: być dobrym człowiekiem, którym ty już jesteś, i cieszyć się życiem. Jesteś młody. Masz przed sobą wiele lat na zastanawianie się, czego chcesz i jak ma wyglądać twoje życie.

– A jeżeli ja chcę żyć właśnie tak?

– No to świetnie – odrzekł Harold. Uśmiechnął się do Willema. – Wy, chłopcy, realizujecie marzenie każdego mężczyzny. Podejrzewam, że z Johnem Irvine'em włącznie.

Ostatnio Willem zastanawiał się, czy wzajemne uzależnienie to taka zła rzecz. Przyjaźnie dawały mu przyjemność i nikomu nie wyrządzały krzywdy, więc kogo to obchodzi, czy to jest uzależnienie, czy nie? A poza tym czy przyjaźń to większe uzależnienie niż związek z kobietą? Dlaczego wydaje się godna podziwu, kiedy ma się dwadzieścia siedem lat, a budzi zgorszenie u trzydziestosiedmiolatka? Dlaczego przyjaźni nie traktuje się na równi ze związkiem? A może jest lepsza? Dwoje ludzi pozostaje razem przez lata, a wiążą ich nie seks, nie atrakcyjność fizyczna, nie pieniądze, nie dzieci, nie własność, lecz wzajemna zgoda na bycie razem, wzajemne zobowiązanie wobec unii, która nie daje się skodyfikować. Przyjaźń oznacza bycie świadkiem dręczących nieszczęść przyjaciela, długich okresów nudy i rzadkich triumfów. To przywilej bycia przy drugiej osobie w jej najtrudniejszych chwilach i świadomość, że samemu też można się przy niej czuć podle.

Bardziej niż kwestia niedojrzałości trapiła go jednak własna zdolność do przyjaźni. Zawsze szczycił się tym, że jest dobrym przyjacielem; przyjaźń zawsze była dla niego ważna. Ale czy rzeczywiście był w niej dobry? Pozostawał przecież na przykład nierozwiązany problem JB, a dobry przyjaciel coś by wykombinował. Dobry przyjaciel na pewno znalazłby lepszy sposób postępowania z Jude'em, zamiast powtarzać sobie jak mantrę, że lepszy sposób postępowania z Jude'em nie istnieje, a jeżeli istnieje, jeżeli ktoś (Andy? Harold? Ktokolwiek?) wymyśliłby plan działania, to on, Willem, z radością by go zrealizował. Ale nawet mówiąc sobie to wszystko, czuł, że mnoży tylko usprawiedliwienia.

Andy też o tym wiedział. Pięć lat wcześniej zadzwonił do niego do Sofii, żeby mu zrobić awanturę. To były pierwsze zdjęcia Willema, późna noc, a on od chwili podniesienia słuchawki słyszał wyrzuty Andy'ego:

– Jak na kogoś, kto się uważa za takiego wielkiego przyjaciela, słabo to, kurwa, okazujesz!

Willem się obruszył, bo wiedział, że Andy ma rację.

– Zaczekaj chwilę – powiedział, siadając w łóżku; wściekłość i lęk odegnały od niego resztki snu.

– On siedzi w domu i tnie się, kurwa, na strzępy, jest już jedną wielką blizną, wygląda jak pierdolony szkielet, a ty gdzie jesteś, Willem? – wściekał się Andy.

– Jestem na zdjęciach.

– Dlaczego go nie sprawdzasz?

– Dzwonię do niego codziennie! – wrzasnął i on.

– Wiedziałeś, że to będzie dla niego trudny czas – ciągnął Andy, przekrzykując Willema. – Wiedziałeś, że adopcja nadszarpnie mu nerwy, więc dlaczego jakoś go nie zabezpieczyłeś, Willem? Dlaczego ci wasi inni tak zwani przyjaciele nic nie robią?

– Dlatego że on nie chce, żeby oni wiedzieli, że on się tnie, właśnie dlatego! A ja *nie* wiedziałem, że to będzie dla niego takie trudne, Andy! On mi nigdy nic nie mówi! Skąd miałem wiedzieć?

– Bo miałeś! Powinieneś! Rusz, kurwa, głową, Willem!

– A ty się, kurwa, na mnie nie drzyj! – wrzasnął Willem. – Wściekasz się, Andy, bo to jest twój pacjent, a ty nie masz pierdolonego pomysłu, jak go wyleczyć, więc zwalasz winę na mnie!

Pożałował tych słów, ledwie je wypowiedział; przez chwilę obaj milczeli, dysząc w słuchawki.

– Andy – zaczął Willem.

– Nie – przerwał mu Andy. – Masz rację, Willem. Przepraszam. Przepraszam.

– Nie. To ja cię przepraszam.

Poczuł się strasznie nieszczęśliwy na myśl o Judzie w obskurnej łazience na Lispenard Street. Zanim wyjechał, przeszukał wszystkie kąty – pod klapą spłuczki sedesowej, za szafką z lekami, nawet pod szufladami w komodzie, które wyciągał jedną po drugiej i oglądał od spodu i z boków – ale nie

znalazł ani jednej żyletki. Andy jednak miał rację – to on ponosił odpowiedzialność. Powinien był lepiej się postarać. A nie postarał się, czyli poniósł klęskę.

– Nie – odezwał się Andy. – Ja cię naprawdę bardzo przepraszam, Willem. Zachowałem się niewybaczalnie. No i masz rację: nie wiem, co robić. – Jego głos zdradzał zmęczenie. – Tylko że on miał… miał takie zasrane życie. I ufa tobie.

– Wiem o tym – wymamrotał Willem. – Wiem, że mi ufa.

Więc wymyślili plan i odkąd Willem wrócił do domu, pilniej strzegł Jude'a, jednak nie dało to żadnych rezultatów. Jude był jakiś odmieniony. Willem nie umiał nazwać tej różnicy, ale prawie nigdy nie udawało mu się odgadnąć, czy Jude jest szczęśliwy, czy nie. A przecież dawniej też Jude nie chodził z nosem na kwintę, nie bywał apatyczny, a potem nagle ożywiony – jego zachowanie, rytm dnia i gestykulacja były w zasadzie takie same jak przedtem. Coś się jednak zmieniło i Willem miał przez krótki czas wrażenie, że Jude, którego znał, został podmieniony na innego Jude'a i że ten drugi Jude, ten odmieniec, jest kimś, kogo można o wszystko zapytać, kto opowiada śmieszne dykteryjki o zwierzętach i znajomych, wspomina strzępy własnego dzieciństwa, a długie rękawy nosi tylko dlatego, że jest zimno, a nie dlatego, że stara się coś ukryć. Willem postanowił wierzyć Jude'owi na słowo, póki tylko się da – nie był w końcu jego lekarzem. Był przyjacielem. Jego zadaniem było traktować Jude'a tak, jak on chciał być traktowany, a nie jak obiekt do szpiegowania.

Dlatego po pewnym czasie osłabił nieco inwigilację, aż w końcu ten drugi Jude zniknął z powrotem w krainie dziwów i czarów, a jego miejsce zajął dawny Jude. Jednak co jakiś czas trapiła Willema myśl, że wie o nim tylko tyle, ile Jude pozwala mu wiedzieć: dzwonił do niego codziennie, kiedy był na zdjęciach, zazwyczaj nieco wcześniej, niż się umówili. Któregoś dnia rok temu zadzwonił jak zwykle, pogadali jak zwykle, Jude nie brzmiał inaczej niż zwykle, zaśmiewali się obaj z jakiejś historyjki Willema, aż tu nagle gdzieś w tle rozległo się wyraźne ogłoszenie przez interkom, jakie słyszy się tylko w szpitalach:

– Wezwanie dla doktora Nesariana. Doktor Nesarian proszony na OR trzy.

– Jude? – spytał Willem.

– Nie martw się, Willem. Nic mi nie jest. Mam tylko drobną infekcję. Andy chyba lekko się wściekł.

– Jaką infekcję? O Jezu, Jude!

– Zakażenie krwi, ale to nic takiego. Słowo honoru, Willem, gdyby było poważne, powiedziałbym ci przecież.

– Nie, Jude, do kurwy nędzy, nie powiedziałbyś! Zakażenie krwi to poważna sprawa.

Jude milczał.

– Powiedziałbym, Willem.

– Harold wie?

– Nie – odparł gwałtownie. – I masz mu nie mówić.

Tego rodzaju wymiany zdań zaskakiwały go i martwiły, więc przez resztę wieczoru usiłował sobie przypomnieć rozmowy z ubiegłego tygodnia, doszukując się w nich oznak, że coś już było nie w porządku, on zaś po prostu głupio to przegapił. W łagodniejszych momentach tych rozważań wyobrażał sobie Jude'a jako magika, który zna jeden tylko trik – ukrywanie, lecz z każdym rokiem się w nim doskonali, tak że teraz wystarczy mu unieść do oczu róg jedwabnej peleryny, a natychmiast staje się niewidzialny, nawet dla tych, którzy najlepiej go znają. Bywały jednak chwile, gdy gorzko nienawidził tego triku i nagromadzonego przez lata wyczerpania dochowywaniem sekretów Jude'a, za co nigdy nie został nagrodzony (najwyżej strzępkami informacji), i brakiem możliwości choćby próby udzielenia mu pomocy, choćby zezwoleniem na otwarte martwienie się o niego. To nie jest fair, myślał w takich chwilach. To nie jest przyjaźń. To coś jest, ale to nie jest przyjaźń. Czuł się podstępnie wciągnięty w grę wspólnictwa, w którą nigdy nie chciał grać. Wszystkie komunikaty Jude'a do świata wskazywały na to, że on nie życzy sobie pomocy, ale Willem nie umiał się z tym pogodzić. Pytanie jednak brzmi, jak można zignorować czyjąś prośbę o zostawienie go w spokoju, choćby nawet za cenę narażenia przyjaźni. Dręczył go wredny mały koan: jak pomóc komuś, kto nie chce pomocy, chociaż zdaje sobie sprawę, że jeśli mu nie pomożesz, to nie jesteś prawdziwym przyjacielem? Porozmawiaj ze mną – chciał czasami krzyczeć do Jude'a. – Powiedz mi. Powiedz mi, co mam zrobić, żeby cię skłonić do rozmowy ze mną.

Raz na imprezie podsłuchał, jak Jude mówi komuś, że powiedział Willemowi wszystko. Poczuł się zarazem połechtany i skonsternowany, bo przecież w istocie nie wiedział nic. Czasem nie chciało mu się wierzyć, że tak strasznie zależy mu na kimś, kto odmawia wyznania mu rzeczy, jakie przyjaciele ze sobą dzielą – jak żył, zanim się poznali, czego się boi, czego pragnie, kto mu się podoba, wszystkie te udręki i smutki dnia codziennego. Nie mogąc porozmawiać z samym Jude'em, często miał ochotę pogadać o nim z Haroldem i dowiedzieć się, ile Harold wie, i czy gdyby oni obaj – i Andy – połączyli całą swoją wiedzę, to doszliby do jakiegoś rodzaju rozwiązania. Ale to były mrzonki: Jude nigdy by mu nie wybaczył i zamiast relacji, która jednak ich łączyła, Willem nie miałby żadnej.

Wróciwszy do swojego mieszkania, przejrzał pobieżnie pocztę – rzadko dostawał coś ciekawego: wszystkie listy dotyczące spraw zawodowych wędrowały do jego adwokata, a wszystkie osobiste szły na adres Jude'a. Znalazł egzemplarz scenariusza, który zapomniał zabrać tydzień wcześniej, gdy zajrzał do mieszkania po siłowni, i wyszedł; nie zdejmował nawet płaszcza.

Odkąd kupił to mieszkanie przed rokiem, spędził w nim w sumie sześć tygodni. W sypialni była rozkładana kanapa, a w salonie stolik kawowy z Lispenard Street, porysowane krzesło z włókna

szklanego, które JB znalazł na ulicy, oraz pudła z książkami. I nic więcej. Teoretycznie Malcolm miał zrobić tam remont, przerobić duszny gabinecik obok kuchni na wnękę jadalną i wykonać szereg innych prac, ale Malcolm, jakby wyczuwając brak zainteresowania Willema, potraktował to zadanie per noga. Willem czasem się na to skarżył, wiedział jednak, że to nie Malcolma wina: przecież on sam nie odpowiadał na jego mejle dotyczące wykończenia, płytek czy wymiarów regałów i ławy, które Willem miał zaaprobować, zanim Malcolm zamówi stolarza. Dopiero niedawno Willem zlecił swojemu adwokatowi, by ten przesłał Malcolmowi ostatnie papiery wymagane do rozpoczęcia przebudowy, a tydzień później mieli wreszcie usiąść razem i podjąć ostateczne decyzje, przy czym Malcolm obiecywał, że gdy Willem wróci do domu w połowie stycznia, mieszkanie będzie jeśli nie całkowicie odmienione, to przynajmniej bardzo udoskonalone.

Tymczasem Willem pomieszkiwał z Jude'em. Do jego mieszkania na Greene Street wprowadził się zaraz po zerwaniu z Philippą. Zasłaniając się remontem swojego mieszkania i obietnicą daną Andy'emu, zajął na czas nieokreślony dodatkową sypialnię Jude'a, tak naprawdę jednak potrzebował jego towarzystwa i stałej obecności. Gdy wyjeżdżał do Anglii, Irlandii, Kalifornii, Francji, Tangeru, Algerii, Indii, na Filipiny czy do Kanady, musiał mieć w oczach obraz tego, co go czeka w Nowym Jorku po powrocie, a obraz ten nigdy nie obejmował Perry Street. Domem była dla niego Greene Street: gdy był daleko i czuł się samotny, myślał o Greene Street i swoim tam pokoju, i o tym jak w weekendy, kiedy Jude wracał z pracy, gadali do późna, a czas spowalniał i rozciągał się, dając coś w rodzaju obietnicy, że noc będzie trwała wiecznie.

No i wreszcie mógł wrócić do domu. Zbiegł prędko po schodach i frontowym wyjściem wypadł na Perry Street. Wieczór zrobił się chłodny, więc szedł szybko, truchtał niemal, jak zwykle ciesząc się przyjemnością samotnego spaceru i poczuciem, że jest sam w mieście tak wielu ludzi. Za tym właśnie tęsknił najbardziej. Na planie filmowym człowiek nigdy nie był sam. Asystent reżysera odprowadzał go do wozu i z powrotem na plan, nawet jeżeli od wozu do planu było głupie pięćdziesiąt metrów. Kiedy Willem oswajał się z planem filmowym, zaskoczyła go początkowo, potem rozbawiła, a w końcu wkurzyła infantylizacja aktorów, którą przemysł filmowy zdawał się promować. Czasem czuł się jak przytroczony do taczek i wożony z miejsca na miejsce: prowadzono go do charakteryzatorni, a potem do magazynu kostiumów. Potem odprowadzano go na plan i z powrotem do jego wozu, żeby dwie godziny później odebrać go z wozu i eskortować na plan.

„Nie pozwól mi do tego przywyknąć" – instruował Jude'a, niemal go błagał. Kwestią tą kończył wszystkie swoje opowieści: o lunchach, przy których obowiązuje segregacja według rang i kast – aktorzy z reżyserem przy jednym stole, operatorzy przy drugim, elektrycy przy trzecim, obsługa planu przy czwartym, kostiumografowie przy piątym – i prowadzi się gadkę szmatkę o siłowniach,

o restauracjach, które chce się wypróbować, o dietach, których się przestrzega, o adidasach, o papierosach (jak strasznie chciałoby się zapalić), o maseczkach kosmetycznych (jak bardzo by się przydały), o ekipie, która nienawidzi aktorów, a jednocześnie jest żenująco czuła na najdrobniejszy dowód zainteresowania z ich strony, o podłości fryzjerów i charakteryzatorek, którzy – o zgrozo – wiedzą niemal wszystko o życiu aktorów, jako że opanowali sztukę kompletnego milczenia i doskonałej niewidzialności w trakcie przypinania tresek i nakładania podkładu, gdy słuchają aktorek wydzierających się na swoich narzeczonych i aktorów szeptem umawiających przez telefon późnonocne schadzki. To właśnie na jednym z planów Willem zdał sobie sprawę z tego, że jest bardziej podglądany, niż to sobie wyobrażał, i z tego, jak łatwo, jak przyjemnie jest uwierzyć, że życie planu – gdzie wszystko podtykają ci pod nos i gdzie słońce można literalnie zmusić, by cię oświetliło – jest prawdziwym życiem.

Kiedyś stał na wyznaczonym miejscu, a operator, który wprowadzał ostatnie poprawki, nagle do niego podszedł i delikatnie ujął w dłonie jego głowę. („Włosy!", warknął ostrzegawczo pierwszy asystent reżysera), po czym przekrzywił ją o cal na lewo, potem na prawo, a potem znów na lewo, jakby ustawiał wazę na kominku. „Nie ruszaj się, Willem", ostrzegł, na co Willem obiecał, że się nie ruszy, i prawie przestał oddychać, chociaż z trudem powstrzymywał chichot. Ni stąd, ni zowąd pomyślał o swoich rodzicach – o których, co go niepokoiło, myślał coraz częściej, im stawał się starszy – i o Hemmingu i przez ułamek sekundy widział ich wszystkich, stojących poza planem na lewo, tak daleko, że nie mógł dojrzeć ich min, które i tak umiał sobie wyobrazić.

Lubił opowiadać o tym wszystkim Jude'owi, bo w tych opowieściach życie na planie stawało się czymś zabawnym i barwnym. Nie tak wyobrażał sobie aktorstwo, ale cóż on mógł wiedzieć o tym zawodzie? Zawsze przychodził przygotowany, zawsze na czas, był dla każdego grzeczny, wykonywał polecenia inspicjenta, a z reżyserem dyskutował, tylko gdy było to konieczne. Tyle filmów miał już za sobą – dwanaście przez pięć lat, z czego osiem w ostatnich dwóch – i tyle absurdów, a jednak najbardziej surrealistyczna wydawała mu się ciągle ostatnia minuta przed włączeniem kamery. Staje na zaznaczonym miejscu, operator oświadcza, że jest gotowy. „Upiększacze!", krzyczy pierwszy asystent reżysera i upiększacze – fryzjerzy, charakteryzatorzy, kostiumografowie – pędzą, by rzucić się na niego jak na padlinę, szarpią go za włosy, obciągają mu koszulę i łaskoczą powieki miękkimi pędzelkami. Trwa to może trzydzieści sekund, lecz w tych trzydziestu sekundach, gdy on stoi ze spuszczonymi rzęsami, żeby drobinki pudru nie wpadały do oczu, a cudze ręce wędrują władczo po jego ciele i głowie, jakby te nie należały do niego, Willem doznaje dziwnego uczucia, że już go nie ma, że istnieje w zawieszeniu, że jego życie jest wyobrażeniem. W ciągu tych sekund przemyka mu przez myśl stado obrazów, zbyt szybko i chaotycznie, żeby mógł każdy z osobna zidentyfikować. Jest

wśród nich scena, którą zaraz będą kręcić, to oczywiste, i scena nakręcona przed chwilą, ale także wszystko, co go aktualnie zajmuje, to co widzi, słyszy i pamięta tuż przed zapadnięciem w sen: Hemming i JB, i Malcolm, i Harold, i Julia. Jude.

– Jesteś szczęśliwy? – zapytał kiedyś Jude'a (musieli być pijani).

– Nie sądzę, żeby szczęście to było coś dla mnie – odpowiedział po namyśle Jude, jakby Willem oferował mu potrawę, której Jude nie może jeść. – Ale dla ciebie tak, Willem.

Szarpany i pociągany przez upiększaczy, uzmysławia sobie nagle, że powinien był zapytać Jude'a, co przez to rozumie: dlaczego dla Willema tak, a dla Jude'a nie? Ale zanim skończą kręcić nową scenę, zapomni o tym pytaniu i o rozmowie, która je zainspirowała. „Koniec!", krzyczy pierwszy asystent reżysera i upiększacze czmychają. „Prędkość", odpowiada dźwiękowiec, co znaczy, że już nagrywa. „Kamera start!", woła operator, potem pada nazwa filmu i numer sceny, a potem klaps.

Wtedy Willem otwiera oczy.

2

Którejś soboty rano, wkrótce po swoich trzydziestych szóstych urodzinach, otwiera oczy i doświadcza tego osobliwego, wspaniałego poczucia, które mu się czasem zdarza: uświadamia sobie, że jego życie jest bezchmurne. Wyobraża sobie Harolda i Julię w Cambridge, jak sennie snują się po kuchni, nalewają kawy do swoich obtłuczonych kubków z brązowym osadem, jak strząsają rosę z folii zabezpieczającej gazety. Wyobraża sobie w powietrzu Willema, który leci w jego stronę z Cape Town. Widzi Malcolma przytulonego do Sophie w łóżku na Brooklynie, a potem, ponieważ jest pełen nadziei, JB chrapiącego bezpiecznie we własnym łóżku na Lower East Side. Tutaj, na Greene Street, kaloryfer wydaje szemrzący dźwięk. Pościel pachnie mydłem i niebem. Nad sobą widzi stalową tubę żyrandola zainstalowanego miesiąc wcześniej przez Malcolma. Pod nim lśniąca czarna podłoga. Mieszkanie – wciąż nieogarnione w swoim ogromie, możliwościach i potencjale – jest ciche, jest jego.

Opuszcza stopy ku podłodze i wygina palce do środka: nic. Przesuwa się plecami po materacu: nic. Podciąga kolana do klatki piersiowej: nic. Nic nie boli, nic nawet nie grozi bólem, jego ciało jest z powrotem jego, może dla niego zrobić wszystko, czego on zechce, bez protestów i sabotażu. Przymyka oczy, nie dlatego, że jest zmęczony, lecz dlatego, że to jest chwila doskonała, a on umie z takich korzystać.

Te chwile nigdy nie trwają długo (czasem wystarczy, że usiądzie, a już zostaje mu przypomniane, jakby ktoś dał mu w twarz, że to ciało jest jego właścicielem, a nie odwrotnie), ale w ostatnich latach, w miarę jak jego zdrowie się pogarszało, z wielkim trudem porzucił myśl, że kiedykolwiek wyzdrowieje, w zamian próbując się skupić i odczuwać wdzięczność za te chwile ulgi, których ciało mu udziela. Nareszcie siada, powoli, potem wstaje, tak samo powoli. I nadal czuje się świetnie. Dobry dzień, myśli sobie i idzie do łazienki, mijając wózek, który jak obrażony potwór przycupnął w kącie sypialni.

Szykuje się, a potem siada z jakimiś papierami z biura i czeka. Na ogół większą część soboty spędza w pracy – przynajmniej to nie zmieniło się od czasu, gdy odbywał swoje spacery: ach, te spacery! Czy to naprawdę on był facetem, który pomykał jak kozica do Upper East Side i z powrotem do domu, całe jedenaście mil? Dzisiaj jednak spotyka się z Malcolmem i zabiera go do krawca, ponieważ Malcolm się żeni i musi sobie sprawić garnitur.

Właściwie nie są do końca pewni, czy Malcolm się żeni, czy nie. Myślą, że tak. Przez ostatnie trzy lata Malcolm i Sophie rozchodzili się i schodzili kilka razy, ale od roku Malcolm zagaduje Willema

na temat ślubów i pyta, czy Willem uważa ślub za oznakę słabości, z JB gada o biżuterii, zastanawiając się, czy gdy kobieta oświadcza, że nie lubi diamentów, to myśli tak naprawdę, czy tylko sprawdza, jak to brzmi; z nim zaś rozmawia o umowach przedmałżeńskich.

Odpowiedział na pytania Malcolma najlepiej, jak umiał, i podał mu nazwisko kolegi z wydziału prawa, specjalisty od prawa małżeńskiego.

– Och – obruszył się na to Malcolm, jakby mu Jude podsunął imię płatnego mordercy. – Nie jestem pewien, czy już tego potrzebuję.

– W porządku – odparł Jude, cofając wizytówkę, której Malcolm obawiał się nawet dotknąć. – Ale w razie czego służę.

I nagle, miesiąc temu, Malcolm poprosił go o pomoc w wyborze garnituru.

– Właściwie nie mam garnituru, czy to nie głupie? Nie uważasz, że powinienem mieć? Nie wydaje ci się, że najwyższy czas, żebym wyglądał, no nie wiem, bardziej dojrzale czy co?

– Uważam, że wyglądasz świetnie, Mal – odpowiedział. – I nie sądzę, żebyś potrzebował pomocy w interesach. Ale jak chcesz kupić garnitur, z chęcią ci pomogę.

– Dzięki. Bo tak sobie pomyślałem, że jednak warto go mieć. No wiesz, na wszelki wypadek. – Zawiesił głos. – Wierzyć mi się nie chce, nawiasem mówiąc, że ty masz swojego krawca.

Jude się uśmiechnął.

– To nie jest mój krawiec. To po prostu ktoś, kto szyje garnitury, z których kilka, tak się składa, należy do mnie.

– O boże – westchnął Malcolm. – Harold naprawdę stworzył potwora.

Jude zaśmiał się uprzejmie. A jednak często czuje, że garnitur jest jedyną rzeczą, która nadaje mu normalny wygląd. Przez te miesiące, kiedy jeździł na wózku, garnitur upewniał jego klientów, że mają do czynienia z osobą kompetentną, a jednocześnie upewniał jego, że należy do świata innych ludzi, że przynajmniej może się ubrać tak jak oni. Nie uważa się za próżnego – raczej za skrupulanta: kiedy był mały, chłopaki z domu dziecka grywali czasami w baseball z chłopakami z lokalnej szkoły, którzy wyśmiewali się z nich i zatykali nosy, gdy oni schodzili z boiska. „Idźcie się umyć! – krzyczeli. – Śmierdziele! Śmierdziele!”. A przecież oni się kąpali: mieli obowiązkowe prysznice co rano: robili w dłoniach pianę z tłustego różowego mydła przed nałożeniem jej na myjki i spłukiwali skórę, a któryś z opiekunów przechadzał się w tę i z powrotem wzdłuż rzędu pryszniców, machając cienkim ręcznikiem do tych, którzy się źle zachowywali, albo krzycząc na tych, którzy się myli z niedostatecznym zapałem. Do dziś Jude lęka się obudzić odrazę tym, że jest potargany, brudny czy zaniedbany. „Zawsze będziesz brzydalem, co jednak nie znaczy, że nie możesz być schludny”, mawiał do niego ojciec Gabriel, i chociaż ojciec Gabriel w wielu rzeczach się mylił, to w tej jednej miał rację.

Przychodzi Malcolm, ściska go na powitanie, jak zawsze, a potem rozgląda się dokoła, wyciągając długą szyję i obracając się powoli w koło, a jego spojrzenie jest jak snop światła latarni morskiej; wydaje przy tym ciche pomruki aprobaty.

Jude odpowiada na pytanie Malcolma, zanim zdążyło paść:

– W przyszłym miesiącu, Mal.

– To samo mówiłeś trzy miesiące temu.

– Wiem. Ale tym razem mówię serio. Teraz mam pieniądze. Albo będę miał, pod koniec miesiąca.

– Przecież to omawialiśmy.

– Wiem. I, Malcolm, to naprawdę wielka hojność z twojej strony. Ale nigdy bym cię nie spłacił.

Mieszka w tym mieszkaniu już ponad cztery lata i od czterech lat nie robił w nim remontu, bo nie ma pieniędzy, a nie ma pieniędzy, bo spłacał mieszkanie. Tymczasem Malcolm zrobił projekt, wytapetował mieszkanie, pomógł mu wybrać sofę, która stoi niczym statek kosmiczny pośrodku salonu, i rozwiązał kilka pomniejszych problemów, w tym kwestię podłogi. „To szaleństwo – powiedział wtedy Jude. – Ty tu wszystko zrobisz, zanim dojdzie do remontu". Ale Malcolm powiedział, że i tak by to zrobił; farba do podłóg była nowym produktem, który chciał przetestować, a dopóki nie będzie gotów do pracy, Greene Street posłuży mu jako laboratorium, gdzie będzie mógł prowadzić drobne eksperymenty, jeżeli Jude nie ma nic przeciwko temu (oczywiście nie miał). Ale poza tym mieszkanie wygląda właściwie tak jak wtedy, kiedy Jude się tu wprowadzał: długi prostokąt na szóstym piętrze budynku w południowym SoHo, z oknami w obu końcach, jednymi na zachód, drugimi na wschód; okna są również w całej południowej ścianie i wychodzą na parking. Jego sypialnia i łazienka znajdują się w krańcu wschodnim, skąd widać przysadzisty budynek na Mercer Street; pokój i łazienka Willema – pomieszczenia, o których Jude myśli, że należą do Willema – są w części zachodniej, wychodzącej na Greene Street. Pośrodku mieszkania znajduje się kuchnia i trzecia łazienka. Między dwiema częściami, jego i Willema, czarna podłoga lśni jak klawisze fortepianu.

Wciąż czuje się nieswojo w tak wielkiej przestrzeni, a jeszcze dziwniejsze wydaje mu się to, że go na nią stać. Ależ tak, musi sobie czasem przypominać, tak jak to robi, stojąc w sklepie spożywczym i zastanawiając się, czy kupić puszkę swoich ulubionych czarnych oliwek, tak słonych, że usta się od nich wykrzywiają, a oczy łzawią. Zaraz po wprowadzeniu się do miasta uważał te oliwki za luksus i kupował je tylko raz na miesiąc, by zjadać po jednej lśniącą od zalewy łyżeczką. Co wieczór jedna, mówi sobie. Teraz myśli: Stać cię. Masz pieniądze. Lecz wciąż trudno mu o tym pamiętać.

Powodem Greene Street i pojemnika oliwek, który prawie zawsze stoi w lodówce, jest jego praca w Rosen, Pritchard i Klein, jednej z największych i najbardziej prestiżowych firm w mieście, gdzie on

jest adwokatem i od roku partnerem spółki. Pięć lat temu Jude, Citizen i Rhodes pracowali nad sprawą o oszustwa w systemie pożyczkowym w dużym banku komercyjnym Thackeray Smith i wkrótce po zamknięciu tej sprawy zgłosił się do niego Lucien Voigt, o którym Jude wiedział, że jest szefem kancelarii w Rosen, Pritchard i Klein, a który w negocjacjach reprezentował Thackeray Smith.

Voigt zaprosił go na drinka. Powiedział, że jest pod wrażeniem pracy Jude'a, w szczególności na sali sądowej. Thackeray Smith również, dodał. W każdym razie słyszał o nim – razem z sędzią Sullivanem pracował dla przeglądu prawniczego – i sprawdził jego dossier. Czy Jude kiedykolwiek rozważał opuszczenie biura prokuratora okręgowego i przejście na ciemną stronę?

Skłamałby, gdyby powiedział, że nie rozważał. Wszyscy wokół niego odchodzili. Wiedział, że Citizen prowadzi rozmowy z międzynarodową firmą w Waszyngtonie, Rhodes natomiast zastanawiał się, czy nie przejść do banku. Do Jude'a też zgłaszały się już dwie firmy, lecz obu odmówił. Uwielbiali biuro prokuratora okręgowego. Ale Citizen i Rhodes byli starsi od niego, Rhodes miał żonę i myślał o dziecku, więc potrzebne im były pieniądze. Forsa, forsa: właściwie o niczym innym nie mówili.

On też myślał o pieniądzach – trudno było nie myśleć. Ilekroć wracał z jakiejś imprezy u znajomych JB czy Malcolma, mieszkanie na Lispenard Street wydawało mu się za każdym razem brzydsze, mniej znośne. Ilekroć zepsuła się winda i musiał wspinać się po schodach, a potem stał oparty plecami o swoje drzwi, zanim zebrał siły, by je otworzyć, marzył o zamieszkaniu w jakimś solidniejszym i wygodniejszym budynku. Ilekroć stawał u szczytu schodów przed przejściem podziemnym, szykując się do zejścia, a potem czepiając się poręczy i dysząc z wysiłku, mozolnie brnął w dół, marzył o taksówce. Były też inne lęki, większe lęki: w swoich najczarniejszych chwilach wyobrażał sobie siebie jako starca z wysuszoną, napiętą na żebrach skórą, wciąż wegetującego na Lispenard Street. Widział siebie, jak na łokciach czołga się do łazienki, bo nie może chodzić. W tym widzeniu był sam – nie było Willema ani JB, ani Malcolma, ani Andy'ego, ani Harolda, ani Julii. Był starym, bardzo starym człowiekiem i nie miał przy sobie nikogo, musiał sobie radzić sam.

– Ile pan ma lat? – spytał go Voigt.

– Trzydzieści jeden.

– Trzydzieści jeden to młodość – ciągnął Voigt. – Ale nie będzie pan młody wiecznie. Naprawdę chce się pan zestarzeć w biurze prokuratora okręgowego? Pan wie, co mówią o asystentach prokuratorów? Że to ludzie, którzy najlepsze lata mają za sobą. – Opowiadał dalej o kompensacji, o przyspieszonej ścieżce awansu na partnera. – Proszę powiedzieć, że się pan zastanowi.

– Zastanowię się – odparł.

I zastanowił się. Nie dyskutował o tym z Citizenem ani Rhodesem – ani z Haroldem, bo wiedział, co powie – ale omówił sprawę z Willemem i wspólnie zestawili korzyści zmiany pracy z oczywistymi

wadami: godziny (chociaż Willem twierdził, że Jude i tak nie wychodzi z pracy), nuda, wysokie prawdopodobieństwo współpracy z dupkami (pomijając Citizena i Rhodesa, teraz też pracował z dupkami, wytknął mu Willem). No i oczywiście fakt, że broniłby teraz tych samych ludzi, których przez sześć ostatnich lat oskarżał: kłamców, cwaniaków i złodziei, utytułowanych i bogatych pozujących na ofiary. Nie był taki jak Harold czy Citizen – był praktyczny, wiedział, że kariera prawnika wymaga poświęcenia albo pieniędzy, albo moralności, a jednak wciąż go to trapiło, to porzucenie tego, co uważał za sprawiedliwe. I dlaczego? Żeby móc się ubezpieczyć i nie stać się tym samotnym, chorym starcem? Wydawało mu się to najgorszym rodzajem egoizmu, najgorszą odmianą folgowania sobie: wyrzec się tego, o czym wiedział, że jest słuszne, tylko z lęku przed niewygodami i nędzą.

W piątek, dwa tygodnie po spotkaniu z Voigtem, przyszedł do domu bardzo późno. Był zmordowany – tego dnia musiał jeździć na wózku, bo rana na prawej nodze wyjątkowo go bolała – i na swoją Lispenard Street wracał z taką ulgą, że pozwolił sobie na słabość marzenia: za parę minut będzie w mieszkaniu, owinie łydkę gorącym mokrym ręcznikiem, ogrzanym w kuchence mikrofalowej, i usiądzie w cieple. Lecz gdy wcisnął guzik windy, usłyszał tylko zgrzyt mechanizmu i słabowity wizg, który wydawała maszyna, gdy była zepsuta.

– Nie! – krzyknął. – Nie! – Jego głos poniósł się echem po hallu, a on walił pięścią w drzwi windy i krzyczał: – Nie, nie, nie!

Podniósł teczkę i cisnął nią o ziemię, przez co rozsypał papiery. Budynek wokół niego był cichy i obojętny.

Wreszcie przestał się wściekać, zawstydzony i zły, zebrał papiery i zamknął teczkę. Sprawdził godzinę – jedenasta. Willem grał w teatrze, w sztuce *Chmura 9,* ale o tej porze powinien być za kulisami. Nie odebrał jednak telefonu. Wtedy Jude zaczął panikować. Malcolm był na wakacjach w Grecji. JB na plenerze. Andy'emu tydzień temu urodziła się córka, Beatrice: nie mógł do niego zadzwonić. To byli wszyscy ludzie, którym pozwalał sobie pomóc, przy których czuł się w miarę swobodnie i czepiał się ich jak leniwiec, którym pozwoliłby wciągnąć się na górę, na swoje piętro.

Ale w tej chwili czuł irracjonalną, desperacką potrzebę dostania się do domu. Wstał więc, wetknął teczkę pod lewe ramię, prawą zaś ręką złożył wózek inwalidzki, który był zbyt kosztowny, żeby zostawiać go w korytarzu. Zaczął pokonywać schody, lewy bok przyciskając do ściany i dzierżąc wózek za jedną ze szprych. Poruszał się powoli – musiał skakać na lewej nodze, starając się nie opierać ciężaru na prawej ani nie urazić jej wózkiem. Parł ku górze, przystając co trzy stopnie. Z dołu na piąte piętro było sto dziesięć stopni; na pięćdziesiątym trząsł się już tak strasznie, że musiał przerwać i posiedzieć pół godziny. Co chwila dzwonił i esemesował do Willema. Za czwartym razem zostawił

w poczcie głosowej wiadomość, której miał nadzieję nie zostawić nigdy w życiu: „Willem, naprawdę potrzebuję pomocy. Proszę, zadzwoń. Proszę". Wyobraził sobie Willema oddzwaniającego bezzwłocznie z wiadomością, że zaraz przyjeżdża, ale czekał i czekał, a Willem nie dzwonił. Wreszcie udało mu się znowu wstać.

Jakimś cudem dostał się do mieszkania. Kiedy obudził się następnego ranka, nie pamiętał niczego więcej z tej nocy. Willem spał na dywaniku przy jego łóżku, Andy zaś w fotelu, który musieli przyciągnąć z salonu. Jude miał spuchnięty język, opadły go mgła i nudności, zorientował się więc, że Andy musiał dać mu zastrzyk przeciwbólowy (nie cierpiał tych zastrzyków: przez wiele dni będą go męczyć dezorientacja i zaparcia).

Gdy zbudził się ponownie, Willema nie było, Andy natomiast czuwał i patrzył na niego.

– Jude, musisz się, kurwa, wynieść z tego mieszkania – powiedział cicho.

– Wiem.

– Jude, co ty sobie myślałeś? – zbeształ go Willem, wróciwszy ze sklepu.

Andy akurat holował Jude'a do łazienki, gdyż ten nie mógł iść sam; z powrotem Andy musiał go nieść – a potem położył go do łóżka, nadal w ubraniu z poprzedniego dnia, i wyszedł. Willem po spektaklu był na przyjęciu i nie słyszał telefonów Jude'a; kiedy wreszcie odsłuchał nagrania z poczty głosowej, popędził do domu, gdzie znalazł Jude'a w konwulsjach na podłodze, więc ściągnął telefonicznie Andy'ego.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do Andy'ego? Dlaczego nie zadzwoniłeś do Richarda? Dlaczego nie zadzwoniłeś do Philippy i nie kazałeś jej mnie odszukać? Dlaczego nie zadzwoniłeś do Citizena, Rhodesa czy Eliego albo do Phaedry, Henry'ego Younga, jednego czy drugiego, albo do…

– Nie wiem – odparł Jude żałośnie. Nie da się wyjaśnić zdrowemu logiki chorego i nie miał energii do podejmowania takich prób.

W następnym tygodniu zadzwonił do Luciena Voigta i omówił z nim warunki pracy. A gdy tylko podpisał umowę, zadzwonił do Harolda, który przez dobre pięć sekund nic nie mówił, a potem wziął głębszy oddech i palnął mu kazanie.

– Nic nie rozumiem, Jude. Ani w ząb. Nigdy nie pomyślałem, że jesteś chciwy na pieniądze. Jesteś? No tak, zapewne jesteś. Robiłeś… robisz… wspaniałą karierę w prokuraturze. Wykonujesz tam pracę, która ma znaczenie. I odrzucasz to wszystko, żeby bronić… kogo? Kryminalistów. Ludzi utytułowanych, tak pewnych, że nie zostaną złapani, że nawet nie przyjdzie im do głowy się niepokoić. Ludzi, którzy uważają, że prawo obowiązuje tych, którzy robią forsę mniejszą niż dziewięć cyfr rocznie. Ludzi, których zdaniem prawo stosuje się tylko wedle rasy lub przedziału podatkowego.

Nie odzywał się, pozwolił mu emocjonować się coraz bardziej, ponieważ wiedział, że Harold ma rację. Nigdy o tym właściwie nie dyskutowali, ale wiedział, że Harold widzi go w służbie publicznej. Przez te wszystkie lata Harold z niesmakiem i smutkiem wypowiadał się o zdolnych byłych studentach, których podziwiał, a którzy porzucili posady w prokuraturze, w ministerstwie sprawiedliwości, w biurze obrońców z urzędu czy też w programach pomocy prawnej, aby przejść do korporacji. „Społeczeństwo nie może funkcjonować jak należy, jeżeli ludzie o doskonałych umysłach prawniczych nie uczynią tego swoją sprawą" – powtarzał często Harold, a Jude się z nim zgadzał. I zgadzał się nadal; właśnie dlatego nie umiał się bronić.

– Nie masz nic na swoją obronę? – spytał wreszcie Harold.

– Przykro mi, Haroldzie – odparł on. Harold milczał. – Jesteś na mnie bardzo zły – wymamrotał.

– Nie jestem zły, Jude. Jestem rozczarowany. Czy ty nie wiesz, jaki jesteś niezwykły? Nie wiesz, ile mógłbyś zmienić, gdybyś został? Mógłbyś być sędzią, gdybyś zechciał, może nawet więcej. Ale już nie będziesz. Teraz będziesz jeszcze jednym adwokatem w korporacji i będziesz walczył przeciwko temu wszystkiemu, czego miałeś szansę bronić. To straszne marnotrawstwo, Jude, straszne marnotrawstwo.

On znowu milczał. Powtarzał sobie w duchu słowa Harolda: straszne marnotrawstwo, straszne marnotrawstwo. Harold westchnął.

– O co ci właściwie chodzi? – spytał. – O pieniądze? To jest cały powód? Dlaczego mi nie powiedziałeś, że potrzebujesz pieniędzy, Jude? Powiedz, czego ci potrzeba, a ja z największą radością ci pomogę.

– Haroldzie. To jest… bardzo miłe z twojej strony. Ale… ja tak nie mogę.

– Bzdura – ofuknął go Harold – ty nie chcesz. Proponuję ci wyjście, które pozwoli ci zatrzymać obecną posadę, nie będziesz musiał brać pracy, którą wkrótce znienawidzisz, bo znienawidzisz ją niechybnie (to nie jest ewentualność, lecz fakt), bez żadnych oczekiwań ani zobowiązań. Zapewniam cię, że byłbym szczęśliwy, płacąc ci za to.

Och Haroldzie, pomyślał.

– Pieniądze, jakich potrzebuję – rzekł zgnębiony – to nie są takie pieniądze, jakie ty masz. Daję ci słowo.

Harold milczał, a gdy się odezwał, ton miał odmieniony.

– Jude, czy ty się wpakowałeś w jakieś kłopoty? Przecież mnie możesz powiedzieć, wiesz o tym. Cokolwiek to jest, pomogę ci.

– Nie – odparł on, ale chciało mu się płakać. – Nie, Haroldzie, poradzę sobie.

Objął prawą dłonią obandażowaną łydkę, którą nękał nieustanny ból.

– Cóż – rzekł Harold. – Chociaż tu ulga. Ale Jude, na co możesz potrzebować tyle pieniędzy, pomijając mieszkanie, w którego kupnie pomożemy ci z Julią? Czy ty mnie słyszysz?

Jude był niekiedy równie sfrustrowany, jak zafascynowany brakiem wyobraźni Harolda: w świecie Harolda ludzie mieli rodziców i byli z nich dumni, oszczędzali pieniądze tylko na mieszkania i wakacje i żądali tego, na co mieli ochotę. Harold wydawał się osobliwie nieświadomy wszechświata, w którym te zjawiska nie są pewnikami, w którym nie wszyscy mają jednakową przeszłość i przyszłość. Ale takie myślenie było czarną niewdzięcznością i rzadko mu się zdarzało – na ogół Jude podziwiał niezłomny optymizm Harolda, jego niezdolność czy też niechęć do cynizmu, do dopatrywania się nieszczęścia lub nędzy w każdej sytuacji. Uwielbiał niewinność Harolda, tym niezwyklejszą, jeśli się weźmie pod uwagę, czego Harold uczył i co utracił. Więc jak Jude mógł mu powiedzieć, że wziął pod uwagę wózek inwalidzki, który co parę lat trzeba będzie wymieniać, a to nie jest w pełni objęte ubezpieczeniem? Jak mógł mu powiedzieć, że Andy, który nie korzystał z ubezpieczenia i nigdy nie brał od niego pieniędzy, któregoś dnia może ich zażądać, a jeśli zażąda, to czy on, Jude, mógłby mu nie zapłacić? Nigdy! Jak mógł mu zdradzić, że gdy w ostatnim czasie otworzyła mu się rana, Andy napomknął o szpitalu, a w perspektywie może amputacji? Jak mógł mu powiedzieć, że gdyby amputowali mu nogę, oznaczałoby to długi pobyt w szpitalu plus fizjoterapia, plus proteza? Jak mógł mu powiedzieć o chirurgii pleców, którą chciał sobie zafundować, laserowym wypalaniu skorupy blizn, tak żeby zniknęły? Jak mógł powiedzieć Haroldowi o swych najgorszych lękach: przed samotnością, przed starością z cewnikiem i chudą nagą piersią? Jak mógł powiedzieć Haroldowi, że marzy nie o małżeństwie i dzieciach, tylko o posiadaniu tylu pieniędzy, żeby w razie potrzeby móc opłacić sobie opiekę, kogoś, kto będzie dla niego dobry i uszanuje jego intymność oraz godność? Istniały rzeczy, których pragnął: pragnął mieszkać w domu, w którym działa winda. Pragnął jeździć taksówkami, kiedy zechce. Pragnął znaleźć prywatne miejsce do pływania, bo ruch w wodzie pomagał mu na plecy, no i dlatego, że nie mógł już odbywać swoich spacerów.

Nic z tego nie mógł jednak powiedzieć Haroldowi. Nie chciał, żeby Harold wiedział, jaki ułomny rupieć wziął sobie na głowę. Więc nie powiedział nic, tylko tyle, że musi już iść i że porozmawiają później.

Jeszcze zanim rozmawiał z Haroldem, przygotował się na to, że nową pracę potraktuje tak, jakby był na nią skazany, tymczasem szybko stwierdził, najpierw z niepokojem, potem ze zdziwieniem, potem z radością, a na koniec wreszcie z lekkim niesmakiem, że ta praca go cieszy. Miewał już doświadczenie z firmami farmaceutycznymi jako prokurator. Spora część jego pierwszych spraw wiązała się z tym przemysłem: współpracował z firmą, która uruchamiała w Azji filię grupy rozwoju polityki antykorupcyjnej, latał więc w tej sprawie do Tokio ze starszym partnerem, było to drobne,

czyste, rozwiązywalne zadanie i jako takie – zupełnie niezwykłe. Inne sprawy bywały bardziej skomplikowane i trwały dłużej, niekiedy nieskończenie długo: on na ogół pracował na bazie ustawy o fałszywych zarzutach nad przygotowaniem obrony innego z klientów firmy, ogromnego konglomeratu farmaceutycznego. Po trzech latach pracy w spółce Rosen, Pritchard i Klein, kiedy towarzystwo nadzoru inwestycyjnego, w którym pracował Rhodes, usłyszało zarzut oszustw ubezpieczeniowych, zgłosili się do niego i pozyskali jego partnerstwo: w przeciwieństwie do swoich kolegów Jude miał doświadczenie sądowe, ale wiedział, że prędzej czy później będzie musiał wprowadzić do firmy klienta, a pierwszego klienta zawsze najtrudniej było znaleźć.

Nigdy nie przyznałby się do tego Haroldowi, ale naprawdę lubił kierować śledztwami podjętymi w wyniku alarmów sygnalistów, lubił zmagać się z granicami ustawy o zagranicznych praktykach korupcyjnych, lubił naciągać prawo jak gumowy pasek, tuż poza granicę naturalnego napięcia, dokładnie do tego punktu, w którym guma odskakuje z powrotem z bolesnym pstryknięciem. Za dnia powtarzał sobie, że to, co robi, jest gimnastyką intelektualną, że jego praca jest wyrazem plastyczności samego prawa. Ale nocami myślał czasem, co powiedziałby Harold, gdyby on szczerze wyznał mu, co robi, i wracały doń jego słowa: „straszne marnotrawstwo, straszne marnotrawstwo". Co ja robię? – myślał w takich chwilach. – Czy to ta praca zrobiła mnie sprzedajnym, czy też zawsze taki byłem i tylko wyobrażałem sobie, że jestem inny?

„To wszystko dzieje się w ramach prawa", dyskutował z Haroldem w swojej głowie. „To, że możesz coś zrobić, nie znaczy, że powinieneś to zrobić" – ripostował Harold w jego głowie.

No i Harold nie do końca się mylił, bo istotnie Jude tęsknił za biurem prokuratora okręgowego. Tęsknił za byciem człowiekiem prawym, otoczonym przez gorliwców z pasją, z misją. Tęsknił za Citizenem, który wrócił do Londynu, za Marshallem, z którym od czasu do czasu wypijał gdzieś drinka, i za Rhodesem, którego widywał częściej, lecz wiecznie spiętego, posiwiałego, a przecież pamiętał go jako błyskotliwego wesołka, który nuci elektrotango, krążąc z wyimaginowaną partnerką po pokoju, kiedy we trzech siedzieli w biurze do późna i zebrało mu się na żarty, żeby oderwać jego i Citizena od komputerów, zmusić ich do śmiechu. Starzeli się, wszyscy. Lubił Rosena i Pritcharda, lubił kolegów, ale z nimi nigdy nie siedział po nocy, spierając się o sprawy i o książki, to nie było biuro takiego rodzaju. Pracownicy w jego wieku mieli nieszczęśliwe dziewczyny lub chłopaków w domu (lub też sami byli nieszczęśliwymi dziewczynami i chłopakami), starsi od niego mieli mężów lub żony. W tych rzadkich chwilach, gdy nie omawiali pracy, paplali o zaręczynach, ciążach i cenach nieruchomości. O prawie się nie dyskutowało, ani dla przyjemności, ani z gorliwości.

Firma zachęcała pracowników do działalności *pro publico bono*, więc Jude zgłosił się na ochotnika do grupy non profit oferującej darmowe usługi prawne artystom. Organizacja wprowadziła tak zwane

godziny studyjne: popołudniami i wieczorami artyści mogli wpadać i konsultować się z prawnikiem; natomiast w środy wieczorem Jude wychodził z pracy wcześniej, o siódmej, i przenosił się na skrzypiące podłogi biur tej grupy w SoHo, na Broome Street, żeby przez trzy godziny pomagać małym wydawcom radykalnych traktatów, którzy chcieli przekształcić się w jednostki non profit, malarzom prowadzącym dysputy o własności intelektualnej, grupom baletowym, fotografikom, pisarzom i filmowcom, przychodzącym z umowami, które były tak niezgodne z prawem (raz pokazano mu umowę spisaną ołówkiem na papierowej serwetce), że stawały się bezwartościowe, lub tak niepotrzebnie zawiłe, że artyści ich nie rozumieli (on sam ledwo je rozumiał), a mimo to je podpisywali.

Harold nie zachwycał się także jego wolontariatem; czuło się, że uważa to za kaprys. „Czy ci artyści to w ogóle dobrzy artyści?", pytał Jude'a. „Chyba nie", odpowiadał Jude. Ale nie do niego należała ocena, czy artysta jest dobry, czy nie – byli inni, i było ich mnóstwo, którzy to robili. Jego rolą było zaoferować praktyczną pomoc, jakiej klienci nie mieli, albowiem większość z nich żyła w świecie głuchym na względy praktyczne. Jude wiedział, że to romantyczne, a jednak podziwiał ich: podziwiał każdego, kto był w stanie żyć przez lata jedynie żarliwą nadzieją, nawet kiedy się starzał i stopniowo popadał w zapomnienie. Sam, równie romantycznie, myślał o swojej działalności w organizacji jako o hołdzie dla przyjaciół, wiodących życie, któremu się dziwił: uważał ich za ludzi wielkiego sukcesu i był z nich niezmiernie dumny. W przeciwieństwie do niego nie mieli jasno wytyczonej drogi, a jednak parli uparcie naprzód. Spędzali życie na robieniu pięknych rzeczy.

Jego przyjaciel Richard był w zarządzie organizacji i w niektóre środy wpadał do biura po drodze do domu – ostatnio przeprowadził się do SoHo – a wówczas siadał i gadał z Jude'em, jeśli ten akurat nie miał klientów, albo przynajmniej machał mu z drugiego końca pokoju, jeśli Jude był zajęty. Któregoś wieczoru po godzinach studyjnych Richard zaprosił go do siebie na drinka, więc poszli spacerem na zachód Broome Street, przecinając Centre, Lafayette, Crosby, Broadway i Mercer, aż skręcili na północ w Greene. Richard mieszkał w wąskim budynku, którego fasada przybrała kolor sadzy, z drzwiami od garażu na wysokość całego parteru. Na prawo od tych drzwi były drugie, metalowe, z okienkiem wielkości twarzy w górnej ich części. Nie było tam hallu, tylko szary, wyłożony płytkami korytarz oświetlony trzema gołymi żarówkami dyndającymi na przewodach. Korytarz skręcał w prawo, prowadząc do przypominającej celę windy przemysłowej wielkości ich salonu i sypialni Willema na Lispenard Street razem wziętych, z klekoczącą kratą drzwi, która zatrzasnęła się z drżeniem w momencie naciśnięcia guzika, ale winda wzniosła się gładko szybem z pustaków. Zatrzymała się na trzecim piętrze, Richard otworzył klatkę i obrócił klucz w masywnych, nieprzystępnych stalowych drzwiach, za którymi mieściło się jego mieszkanie.

– Boże – westchnął Jude, wchodząc do środka, gdy Richard zapalił kilka lamp. Podłogi były z rozbielonego drewna, ściany też białe. Sufit mrugał i jaśniał dziesiątkami żyrandoli – starych szklanych, nowych stalowych – porozwieszanych mniej więcej co metr, na tej samej wysokości, tak że gdy zapuścili się głębiej w przestrzeń mieszkania, Jude poczuł, że głaszczą go po głowie szklane bańki, a Richard, jeszcze od niego wyższy, musiał się schylać, żeby lampy nie podrapały mu czoła. Nie było ścian działowych, ale w głębi stała płytka gablota, wysoka i szeroka jak drzwi wejściowe, a gdy Jude podszedł bliżej, ujrzał, że w środku znajduje się ogromny plaster miodu ukształtowany jak koral wachlarzowy. Za wolno stojącą gablotą leżał nakryty kocem materac, przed nim biały włochaty berberyjski dywanik z połyskującymi w blasku lamp lusterkami, obok zaś stały sofa obita białą wełną i telewizor – osobliwa wyspa domatorstwa pośrodku wielkiej pustki. Jude nigdy jeszcze nie był w tak dużym mieszkaniu.

– Nieprawdziwy – powiedział Richard, widząc, że Jude przypatruje się plastrowi miodu. – Ulepiłem go z wosku.

– Jest niesamowity – ocenił Jude, a Richard skwitował pochwałę skinieniem głowy.

– Chodź – powiedział. – Oprowadzę cię.

Wręczył mu piwo, po czym odryglował drzwi obok lodówki.

– Schody awaryjne – powiedział. – Uwielbiam je. Wyglądają jak zejście do piekła, no nie?

– To prawda – zgodził się Jude, zerkając przez drzwi, za którymi schody niknęły w mroku. Cofnął się nagle, bo zrobiło mu się jakoś nieswojo, i poczuł się głupio z tego powodu, a Richard, który niczego nie zauważył, zamknął i zaryglował je z powrotem.

Zjechali windą na drugie piętro i weszli do pracowni Richarda, gdzie ten pokazał mu, nad czym pracuje.

– Nazywam je niereprezentacjami – powiedział i pozwolił Jude'owi wziąć do ręki gałąź białej brzozy, która okazała się zrobiona z wypalonej gliny, a potem kamień, okrągły, gładki i lekki, wyrzeźbiony z jesionu i wygładzony na tokarce, który sprawiał wrażenie solidności i masywności, a także szkielet ptaka wykonany z setek drobnych kawałków porcelany. Pracownię przecinał wzdłuż szereg przeszklonych gablot, mniejszych niż ta na górze z woskowym plastrem miodu, lecz jednak wielkości wykuszowego okna, z których każda zawierała zębatą, kruszącą się górę niezdrowo żółtawej substancji sprawiającej wrażenie ni to gumy, ni to ciała.

– To są prawdziwe plastry miodu, albo raczej były – wyjaśnił Richard. – Wpuszczam do nich na jakiś czas pszczoły, a potem je uwalniam. Każdy z plastrów dostaje nazwę zależną od tego, jak długo był zajęty, jak długo był domem, sanktuarium.

Przysiedli na obitych skórą taboretach, na których Richard siadywał, pracując, pili piwo i gadali: o pracy Richarda, o jego najbliższej wystawie, o drugiej, która zostanie otwarta za pół roku, i o nowych obrazach JB.

– Nie widziałeś ich, prawda? – zapytał Richard. – Dwa tygodnie temu wpadłem do niego do pracowni i muszę stwierdzić, że są naprawdę piękne, najlepsze, jakie dotąd namalował. – Uśmiechnął się do Jude'a. – Dużo na nich ciebie, wiesz?

– Wiem – odparł, starając się nie skrzywić. – Ale, Richardzie – zmienił temat – jak znalazłeś to miejsce? Jest niewiarygodne.

– Jest moje.

– Naprawdę? Twoje własne? Jestem pod wrażeniem: to wielka dojrzałość.

Richard się roześmiał.

– Nie, cała kamienica jest moja.

Wyjaśnił, że jego dziadkowie prowadzili firmę importową, a gdy ojciec Richarda i jego siostra byli mali, dziadkowie kupili w centrum szesnaście budynków, wszystkie po byłych fabrykach, jako magazyny na towary: sześć w SoHo, sześć w TriBeCa i cztery w Chinatown. Na trzydzieste urodziny każde z ich czworga wnucząt dostawało jeden z tych domów. Gdy kończyli trzydzieści pięć lat – tak jak Richard rok wcześniej – dostawali drugi. Skończywszy czterdziestkę – trzeci. Ostatni dostaną po przekroczeniu pięćdziesiątki.

– Mogłeś sobie wybrać? – spytał Jude, czując specyficzną mieszankę zawrotów głowy i niedowierzania, która go nachodziła, kiedy słuchał tego rodzaju opowieści: zdumiewało go nie tylko to, że takie bogactwo istnieje, ale też to, że ktoś znany mu od tak dawna jest posiadaczem takich dóbr. Było to memento naiwności i braku wyrafinowania, jakie właściwie nadal sobą reprezentował – nigdy nie wyobrażał sobie takich bogactw, nigdy nie wyobrażał sobie, że jego znajomi posiadają takie bogactwa. Nawet po tylu latach spędzonych w jego zawodzie w Nowym Jorku, które nauczyły go, że jest inaczej, wyobrażał sobie bogaczy nie jak Ezrę, Richarda czy Malcolma, lecz jako postacie z kreskówek, z satyrycznych programów: starszych facetów wysiadających z limuzyn o przyciemnionych szybach, z grubymi paluchami i świecącymi łysinami, którzy mieli chude, filigranowe żony i domy z wypolerowanymi na błysk podłogami.

– Nie – uśmiechnął się Richard. – Dziadkowie dawali nam te, które ich zdaniem najlepiej odpowiadały naszym osobowościom. Mój kuzyn malkontent dostał budynek na Franklin Street, w którym swego czasu przechowywano ocet.

Jude się roześmiał.

– A w tym co przechowywano?

– Pokażę ci.

Pojechali windą na czwarte piętro. Richard otworzył drzwi, zapalił światło i ujrzeli przed sobą sterty palet sięgające niemal sufitu, a na tych paletach coś, co wyglądało jak cegły.

– To nie byle jakie cegły – powiedział Richard. – Dekoracyjne płytki z terakoty, importowane z Umbrii.

Zdjął jedną z niepełnej palety i podał Jude'owi, on zaś obrócił ją w dłoniach: była glazurowana soczyście zielonym szkliwem. Jude przesunął palcem po jej wzgórkach.

– Na piątym i szóstym piętrze jest takich pełno – powiedział Richard. – Sprzedają je właśnie hurtownikowi z Chicago; kiedy skończą, nareszcie się tu opróżni. – Uśmiechnął się. – Teraz wiesz, po co tu taka dobra winda.

Wrócili do mieszkania Richarda, przeszli przez wiszący ogród żyrandoli i Richard poczęstował go jeszcze jednym piwem.

– Słuchaj – powiedział. – Muszę pogadać z tobą o czymś ważnym.

– O czym chcesz – odparł Jude, stawiając butelkę na stole i nachylając się ku rozmówcy.

– Kafelki znikną stąd prawdopodobnie do końca roku – mówił Richard. – Piąte i szóste piętro mają rozkład dokładnie taki jak to mieszkanie: ściany w tych samych miejscach, trzy łazienki… Pytanie brzmi, czy chciałbyś któreś z tych mieszkań dla siebie?

– Richard! Jeszcze jak! Ale ile musiałbym ci płacić?

– Nie myślę o wynajmie, Jude – odrzekł Richard. – Myślę o sprzedaży.

Okazało się, że rozmawiał już z ojcem, który był prawnikiem dziadków: przekształcą kamienicę we własność spółdzielczą i Jude miałby wykupić część akcji. Jedynym warunkiem, jaki stawiała rodzina Richarda, było, aby Jude lub jego spadkobiercy dali im prawo pierwokupu mieszkania, jeśli zdecydowaliby się je sprzedać. Rodzina odkupiłaby je za dobrą cenę, Jude zaś będzie spłacał Richardowi miesięczne raty, kumulujące się jako fundusz na kupno mieszkania. Goldfarbowie przeprowadzili już z sukcesem podobną operację – dziewczyna kuzyna malkontenta rok temu kupiła od nich jedno piętro octowego budynku. Mieli dostać jakąś ulgę podatkową, jeżeli każdy z obiektów przekształcą w co najmniej dwumieszkaniowy budynek spółdzielczy, dlatego ojciec Richarda próbował namówić do tego wszystkie wnuki Goldfarbów.

– Dlaczego to robisz? – zapytał cicho Jude, kiedy odzyskał mowę. – Dlaczego ja?

Richard wzruszył ramionami.

– Samotność nie zawsze jest miła – powiedział. – Może nie zamierzam tkwić tutaj bez przerwy, ale miło byłoby wiedzieć, że od czasu do czasu jest w tym domu druga żywa istota. A ty jesteś

najodpowiedzialniejszym z moich przyjaciół, nie żeby była znaczna konkurencja do tego tytułu. Poza tym lubię twoje towarzystwo. No i… – Zawahał się. – Obiecaj, że się nie pogniewasz.

– O boże – jęknął Jude. – Dobra, obiecuję.

– Willem mi mówił o tym, co się stało, no wiesz, wtedy w ubiegłym roku, kiedy próbowałeś wejść po schodach, bo winda się zepsuła. Nie ma się czego wstydzić, Jude. On się po prostu o ciebie martwi. Powiedziałem mu, że tak czy owak chciałem ci to zaproponować, a on był zdania, jest zdania, że w takim miejscu jak to mógłbyś mieszkać bardzo długo, zawsze. Tutaj winda nigdy się nie popsuje. A jeśli nawet, to ja jestem na dole. No wiesz, oczywiście, możesz kupić coś innego, ale mam szczerą nadzieję, że weźmiesz pod uwagę zamieszkanie tutaj.

Jude nie jest zły, ale czuje się odsłonięty: nie tylko przed Richardem, ale też przed Willemem. Przed Willemem kryje się jak może, nie dlatego, że mu nie ufa, ale dlatego, że nie chce, aby Willem postrzegał go jako osobę niepełną, jako kogoś, kto wymaga opieki i pomocy. Chce, żeby Willem, żeby wszyscy myśleli o nim jako o kimś spolegliwym, kimś twardym, kimś, do kogo mogą przyjść ze swoimi problemami, a nie wysłuchiwać w kółko jego problemów. Jest zażenowany myślą o rozmowach na jego temat za jego plecami – rozmowie Willema z Andym, Willema z Haroldem (jest pewien, że tych rozmów odbywa się wiele), a teraz między Willemem a Richardem – i przykro mu, że Willem tak się o niego zamartwia, że musi myśleć o nim, jak musiałby myśleć o Hemmingu, gdyby Hemming żył, jako o kimś, kto wymaga opieki, za kogo trzeba podejmować decyzje. Znów ma wizję siebie jako starego człowieka. Czy możliwe, że to jest także wizja Willema, że dokucza im ten sam lęk, że jego końcówka wydaje się równie nieuchronna Willemowi jak jemu samemu?

Przypomina mu się rozmowa, którą miał kiedyś z Willemem i Philippą. Philippa fantazjowała, że gdy się z Willemem zestarzeją, przejmą dom z sadem po jej rodzicach w południowym Vermoncie.

– Widzę to wyraźnie – mówiła. – Dzieci przeprowadzą się tam razem z nami, bo nie poradzą sobie w świecie, i same będą miały sześcioro dzieci o takich imionach jak Buster, Carrot i Vixen, które będą biegać na golasa i nie będzie się ich posyłać do szkoły, i Willem będzie je musiał utrzymywać po wieki wieków…

– Co będą robiły wasze dzieci? – zapytał Jude, praktyczny nawet w zabawie.

– Oberon będzie tworzył instalacje artystyczne z produktów żywnościowych, a Miranda będzie grała na sitarze o strunach z przędzy – odpowiedziała Philippa, on zaś się uśmiechnął. – Utkną na zawsze w gimnazjum, więc Willem będzie musiał pracować non stop, aż tak się wykończy, że będę go dowoziła na plan na wózku inwalidzkim – urwała, spąsowiała, ale po krótkiej chwili ciągnęła dalej – żeby opłacić wszystkie ich dyplomy i eksperymenty. Ja zrezygnuję z projektowania kostiumów i założę firmę produkującą organiczny sok z jabłek, żeby pospłacać nasze długi i utrzymać dom, który

będzie ogromną ruderą pełną termitów, i będziemy mieli wielki, porysowany drewniany stół na dwanaście osób.

– Trzynaście – wtrącił się nagle Willem.

– Dlaczego trzynaście?

– No bo… Jude też będzie z nami mieszkał.

– Och, czyżby? – zapytał żartobliwie, jednak z zadowoleniem i ulgą, że Willem włączył go w swoją wizję starości.

– Oczywiście. Zajmiesz domek gościnny i co rano Buster będzie ci przynosił wafle gryczane, bo będziesz nas miał tak serdecznie dość, że odmówisz zasiadania z nami przy wspólnym stole, a po śniadaniu będę do ciebie przychodził, chowając się przed Oberonem i Mirandą, którzy będą chcieli, żebym wygłaszał inteligentne i zachęcające komentarze o ich najnowszych osiągnięciach. – Willem wyszczerzył się do niego, a Jude odpowiedział mu uśmiechem, chociaż widział, że Philippa wyraźnie straciła humor i wbiła wzrok w stół.

Nagle podniosła oczy i ich spojrzenia spotkały się na pół sekundy, po czym szybko się odwróciła.

To wkrótce potem, tak mu się zdawało, Philippa zmieniła stosunek do niego. Nie było to oczywiste dla nikogo prócz Jude'a – dla Philippy pewnie też nie. Dawniej, gdy wpadał do ich pokoju, gdzie Philippa rysowała przy stole, zamieniali parę słów w przyjaznej atmosferze, on wypijał szklankę wody i oglądał jej rysunki, tymczasem teraz Philippa ograniczała się do kiwnięcia mu głową i zdania: „Willem wyszedł do sklepu", albo: „Willem niedługo wróci", chociaż on wcale o Willema nie pytał (Philippa zawsze była mile widziana na Lispenard Street, czy Willem był w domu, czy go nie było), więc Jude kręcił się jeszcze chwilę, aż stawało się jasne, że Philippa nie ma chęci na rozmowę, po czym wycofywał się do swojego pokoju i siadał do pracy.

Rozumiał, o co Philippa może mieć do niego pretensje: gdziekolwiek szli, Willem zapraszał i jego, włączał go we wszystkie swoje sprawy, nawet w emeryturę i marzenie Philippy o wspólnej starości. Od tego czasu Jude nie przyjmował zaproszeń Willema, nawet jeżeli dotyczyły one spraw niezwiązanych z życiem Willema i Philippy jako pary – jeżeli szli na przyjęcie do Malcolma, na które on też był zaproszony, wychodzili z domu oddzielnie, a na Święto Dziękczynienia dopilnował, aby Philippa też została zaproszona do Bostonu, chociaż ostatecznie nie przyjechała. Próbował nawet porozmawiać z Willemem o tym, co przeczuwał, uczulić go na jej niechęć, której był pewny.

– Nie lubisz jej? – zapytał zmartwiony Willem.

– Wiesz, że lubię – odpowiedział. – Ale wydaje mi się… uważam, że powinieneś spędzać z nią więcej czasu, Willem, we dwoje. Musi ją denerwować, że ja się stale pętam w pobliżu.

– *Powiedziała* ci coś takiego?

– Nie, Willem, oczywiście, że nie. Ja się tylko domyślam. Na podstawie mojego bogatego doświadczenia z kobietami, no wiesz.

Później, kiedy Willem i Philippa zerwali, czuł się tak winny, jakby to była wyłącznie jego wina. Ale jeszcze wcześniej zastanawiał się, czy do Willema dotarło, że żadna poważna dziewczyna nie tolerowałaby bezustannej obecności w jego życiu przyjaciela; zastanawiał się, czy Willem układa dla niego plan alternatywny, żeby nie zamieszkał w gościnnym domku na posesji Willema i jego żony, żeby nie został smętnym starym kawalerem, przyjacielem Willema, bezużytecznym wspomnieniem dawnego, dziecinnego życia. Będę sam, postanowił. Nie zrujnuje szansy Willema na szczęście: chciał, żeby Willem miał ten sad i dom zżerany przez termity, i wnuki, i żonę, która będzie zazdrosna o jego towarzystwo i uwagę. Chciał, żeby Willem dostał wszystko, na co zasługuje, wszystko, o czym marzy. Chciał, żeby każdy dzień Willema był wolny od zmartwień, zobowiązań i odpowiedzialności – nawet jeżeli tym zmartwieniem, zobowiązaniem i odpowiedzialnością miałby być on.

Tydzień później ojciec Richarda – wysoki, uśmiechnięty, miły mężczyzna, którego Jude poznał na pierwszej wystawie Richarda trzy lata wcześniej – przysłał mu umowę oraz raport o stanie technicznym. Jude przejrzał umowę razem z dawnym kolegą ze studiów, specjalistą od nieruchomości, a raport dał do oceny Malcolmowi. Kiedy zobaczył cenę, zrobiło mu się niedobrze, ale kolega prawnik powiedział, że nie powinien się wahać.

– To niewiarygodny interes, Jude. Nigdy, przenigdy nie znajdziesz lokalu tej wielkości, w tej lokalizacji za taką cenę.

Malcolm po przejrzeniu raportu technicznego stwierdził to samo:

– Kupuj.

No więc kupił. I chociaż wspólnie z Goldfarbami ustalił długi, dziesięcioletni termin spłaty, bez procentu, z planem „od wynajmu do własności", postanowił, że spłaci mieszkanie najprędzej, jak się da. Co dwa tygodnie połowę pensji przeznaczał na mieszkanie, a drugą połowę na oszczędności i utrzymanie. Harolda powiadomił o przeprowadzce podczas ich cotygodniowej rozmowy przez telefon („Dzięki bogu", powiedział Harold, który nigdy nie lubił Lispenard Street), lecz nie powiedział mu, że kupił ten lokal, ponieważ nie chciał, aby Harold poczuł się zobligowany do ofiarowania mu na to pieniędzy. Z Lispenard Street zabrał tylko materac, lampę, stół i krzesło, które ustawił w jednym kącie wielkiego pomieszczenia. Nocami odrywał się czasem od pracy i myślał, że w sumie podjął komiczną decyzję. Jak zapełni kiedykolwiek tak wielką przestrzeń? Jak ma się tutaj poczuć swojsko? Przypominał mu się Boston i Hereford Street: jak tam marzył o swoim pokoju, o drzwiach, które mógłby zamknąć. Nawet kiedy mieszkał w Waszyngtonie, pracując dla Sullivana, nocował w salonie dwupokojowego mieszkania, które dzielił z rzadko widywanym radcą prawnym, i dopiero na

Lispenard Street po raz pierwszy w życiu miał własny pokój, prawdziwy pokój z prawdziwym oknem, wyłącznie dla siebie. Ale rok po przeprowadzce Jude'a na Greene Street Malcolm postawił ściany i mieszkanie stało się nieco bardziej przytulne; minął kolejny rok i wprowadził się do niego Willem, a wówczas zrobiło się jeszcze bardziej swojsko. Z Richardem widywał się rzadziej, niż przewidywał – obaj często wyjeżdżali – ale w niedzielne wieczory schodził czasem do jego pracowni i pomagał mu przy projektach, polerując wiązkę patyczków kawałkiem papieru ściernego albo obcinając pierze z pawich piór. Pracownia Richarda była miejscem, które pokochałby jako dziecko – wszędzie stały pojemniki i misy pełne cudownych rzeczy: patyczków, kamieni, zasuszonych żuków, piór, maleńkich barwnych wypchanych ptaszków i klocków rozmaitych kształtów zrobionych z jakiegoś miękkiego, jasnego drewna – i czasami pragnął, żeby ktoś uwolnił go od pracy i pozwolił po prostu usiąść na podłodze i bawić się, na co jako chłopiec zazwyczaj nie miał czasu.

Pod koniec trzeciego roku spłacił mieszkanie i natychmiast zaczął oszczędzać na remont. Trwało to krócej, niż się spodziewał, także z powodu czegoś, co się wydarzyło z Andym. Jude przyjechał pewnego dnia do gabinetu na przedmieściu na umówioną wizytę, a Andy przywitał go z ponurą, a jednocześnie dziwnie triumfalną miną.

Na pytanie, o co chodzi, bez słowa podał mu artykuł wycięty z jakiegoś pisma. Jude przeczytał: był to naukowy raport o opracowanej ostatnio półeksperymentalnej metodzie laserowej, która wydawała się wielce obiecującym rozwiązaniem przy nieinwazyjnym usuwaniu bliznowców, lecz ostatnio udowodniono, że ma szkodliwe średniotrwałe skutki uboczne: chociaż eliminowała bliznowce, pacjenci dostawali jątrzących się ran jak po oparzeniach, a skóra pod bliznami stawała się zdecydowanie słabsza, bardziej podatna na pękanie, którego skutkiem były pęcherze i infekcje.

– To planujesz, prawda? – spytał Andy, on zaś siedział z kartkami w ręce, niezdolny się odezwać. – Znam cię, Judy, i wiem, że zapisałeś się do tego szarlatana Thompsona. Nie zaprzeczaj: dzwonili po twoją kartę. Nie wysłałem jej. Proszę cię, nie rób tego, Jude. Mówię poważnie. Ostatnią rzeczą, jakiej ci potrzeba, są rany na plecach, jakby mało było tych na nogach. – Ponieważ Jude nadal nic nie mówił, zażądał: – Powiedz coś.

Jude pokręcił głową. Andy miał rację – oszczędzał także na to. Wprawdzie roczne premie i większość oszczędności, jak również to, co zarobił dawniej, ucząc Felixa, poszło na mieszkanie, ale w ostatnich miesiącach, widząc już koniec spłaty mieszkania, zaczął na nowo oszczędzać na operację. Wszystko sobie obmyślił: podda się operacji, a potem zacznie oszczędzać na remont. Oczyma wyobraźni widział swoje plecy gładkie jak podłoga; grube, uparte wężowiska blizn ulotniły się w parę sekund, a wraz z nimi wszelki ślad czasu spędzonego w domu dziecka i w Filadelfii, dokumentacja tych lat starta z jego ciała. Usilnie starał się zapomnieć, starał się codziennie, ale mimo wszelkich

usiłowań blizny przypominały, były dowodem na to, że wszystko, czego istnienie chce zanegować, rzeczywiście miało miejsce.

– Jude – ciągnął Andy, przysiadając obok niego na stole do badań. – Wiem, że jesteś rozczarowany. I obiecuję ci, że gdy tylko pojawi się kuracja, która będzie zarówno skuteczna, jak i bezpieczna, dam ci o tym znać. Wiem, jak bardzo ci to przeszkadza, i stale szukam czegoś dla ciebie. W tej chwili jednak nic takiego nie ma, a sumienie mi nie pozwala dopuścić, abyś sobie zaszkodził. – Andy zamilkł i przez chwilę milczeli obaj. – Zapewne powinienem był częściej cię o to pytać, ale powiedz mi Jude: czy to cię boli? Czy blizny sprawiają ci dyskomfort? Czujesz napięcie skóry?

Jude pokiwał głową.

– Posłuchaj – podjął Andy po krótkiej pauzie. – Są maści, które mogę ci przepisać, bardzo pomocne, tylko potrzebowałbyś kogoś, kto wmasowywałby ci je co wieczór, bo inaczej nie będzie efektów. Pozwoliłbyś na to komukolwiek? Willemowi? Richardowi?

– Nie – odrzekł, zwracając się do artykułu, który miał w dłoniach.

– No cóż – rzekł Andy. – Mimo wszystko wypiszę ci receptę i pokażę, jak to robić. Nie martw się, konsultowałem to z dermatologiem, to nie są żadne moje wymysły, tylko nie wiem, jak skuteczne okaże się to przy samodzielnym wcieraniu. – Zsunął się ze stołu. – Możesz rozchylić szlafrok i odwrócić się tyłem?

Zrobił to i poczuł dłonie Andy'ego na ramionach, a potem ich wędrówkę w dół pleców. Pomyślał, że może Andy powie, jak czasem mówił: „Nie jest tak źle, Jude", albo: „Nie masz się czego wstydzić", lecz tym razem tak nie powiedział, sunął tylko rękami po jego plecach, jakby jego dłonie były leczniczymi laserami, pod którymi skóra staje się zdrowa i niepoznaczona. Wreszcie Andy powiedział, że może się zakryć, co zaraz zrobił, i odwrócić.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Jude – powiedział, i tym razem to on nie był w stanie popatrzeć na Jude'a.

– Przegryzłbyś coś? – zapytał po zakończeniu wizyty, gdy Jude wkładał z powrotem ubranie.

On jednak pokręcił głową.

– Muszę wracać do pracy.

Andy nic nie powiedział, ale przy pożegnaniu zatrzymał go.

– Jude, mnie jest naprawdę bardzo przykro. Nie lubię być tym, kto niszczy twoje nadzieje.

Kiwnął głową – wiedział, że to prawda – ale w tej chwili nie mógł znieść obecności Andy'ego i chciał jak najprędzej wyjść.

Przypomina sobie jednak – postanawia być większym realistą, przestać myśleć, że może się sam uleczyć – że niemożność zrobienia operacji oznacza, iż ma teraz pieniądze dla Malcolma, by ten mógł

na serio rozpocząć remont. Przez te lata, odkąd kupił mieszkanie, Jude obserwował, jak Malcolm nabiera śmiałości i inwencji w swojej pracy, toteż pierwotne projekty, naszkicowane tuż po zakupie mieszkania, były już wielokrotnie zmieniane, rewidowane i poprawiane. Jude dostrzega w nich, rozpoznawalną nawet dla niego, estetyczną pewność idiosynkrazji. Wkrótce przed podjęciem przez Jude'a pracy w Rosen, Pritchard i Klein Malcolm porzucił posadę w Ratstar, aby wraz z dwoma kolegami i Sophie, koleżanką ze studiów, założyć firmę Bellcast. Ich pierwszym zleceniem był remont *pied-à-terre* znajomego rodziców Malcolma. Firma Bellcast zajmowała się głównie lokalami prywatnymi, ale w ubiegłym roku otrzymała pierwsze zlecenie publiczne, na muzeum fotografii w Dosze, toteż Malcolm – podobnie jak Willem i jak Jude – coraz częściej bywał nieobecny w mieście.

– Nigdy nie umniejszaj wagi posiadania bogatych rodziców – mruknął kąśliwie jakiś dupek na imprezie u JB, dowiedziawszy się, że Bellcast startuje w konkursie na pomnik upamiętniający internowanych podczas wojny Amerykanów japońskiego pochodzenia w Los Angeles, a JB rozdarł się na niego, zanim zdążyli to zrobić Jude i Willem, którzy uśmiechnęli się do siebie nad głową JB, dumni z niego, że tak zajadle broni Malcolma.

Obserwował więc, jak z każdą kolejną zmianą projektu mieszkania na Greene Street korytarze się materializują i znikają, kuchnia się powiększa, a potem maleje, regały zaś wędrują z północnej ściany, która nie ma okien, na ścianę południową, która ma okna, i z powrotem. Jeden z projektów wykluczał w ogóle ściany wewnętrzne. „To jest loft, Judy, należy uszanować jego integralność", argumentował Malcolm, ale Jude się uparł: musi mieć sypialnię, musi mieć drzwi, które może zamknąć na klucz. W innym projekcie Malcolm spróbował zasłonić południowe okna, które były dla Jude'a powodem wyboru szóstego piętra, lecz sam Malcolm w końcu uznał pomysł za idiotyczny. Ale Jude lubi obserwować Malcolma przy pracy, wzrusza go to, że przyjaciel spędza tyle czasu – więcej niż on sam – na zastanawianiu się, jak Jude miałby mieszkać. I w końcu ma do tego dojść. Jude zaoszczędził dość, aby Malcolm mógł sobie pozwolić na nawet najśmielsze fantazje dizajnerskie. Teraz ma dość pieniędzy na wszystkie meble, które mu Malcolm sugerował, na każdy dywan, każdą ozdobę.

Od paru dni spiera się z Malcolmem o ostatni projekt. Kiedy poprzednio przeglądali plany, zauważył w łazience swojej sypialni pewien element, którego nie był w stanie zidentyfikować.

– Co to jest? – spytał Malcolma.

– Poręcze – odrzekł pospiesznie Malcolm, jakby szybkie wypowiedzenie tego słowa czyniło je mniej znaczącym. – Judy, wiem, co mi zaraz powiesz, ale…

Ale Jude przyglądał się wydrukom z większą uwagą, wczytywał w drobne notatki Malcolma przy łazience, gdzie dodane zostały poręcze pod prysznicem i dokoła wanny, spostrzegł też, że w kuchni wszystkie blaty zostały obniżone.

– Przecież ja nie jeżdżę na wózku! – stwierdził oburzony.

– Ale Jude… – zaczął Malcolm, lecz urwał. Jude wiedział, co Malcolm chciał powiedzieć: Ale jeździłeś. I znów będziesz jeździł. – To są standardowe elementy z podręcznika wyposażenia wnętrz.

– Mal – rzekł Jude, zasmucony własnym przygnębieniem. – Ja to rozumiem. Ale nie chcę, żeby to mieszkanie zmieniło się w jakiś dom dla inwalidy.

– Nie ma mowy, Jude. To będzie twoje. Nie sądzisz jednak, że prewencyjnie…

– Nie, Malcolm. Usuń to. Mówię poważnie.

– Ale czy nie uważasz, że z czysto praktycznych względów…

– Teraz obchodzą cię względy praktyczne? Ciebie, faceta, który mnie namawiał do zamieszkania na tysiącu metrów kwadratowych bez ścian? – Pohamował się. – Przepraszam cię, Mal.

– W porządku, Jude – odrzekł Malcolm. – Rozumiem. Naprawdę.

A teraz Malcolm stoi przed nim i szczerzy zęby.

– Coś ci pokażę – mówi, wymachując rulonem arkuszy.

– Dzięki, Malcolm, ale może później? – Przecież umówił wizytę u krawca; nie chce się spóźnić.

– Szybciutko – obiecuje Malcolm. – I zostawię to u ciebie. – Siada obok Jude'a i wygładza plik arkuszy, dając mu jeden róg do przytrzymania i objaśniając wprowadzone przez siebie zmiany. – Blaty kuchenne wracają do standardowej wysokości – mówi, pokazując kuchnię. – Żadnych poręczy pod prysznicem, ale zrobiłem ci na wszelki wypadek półeczkę, na której można przysiąść. Przyrzekam, że będzie wyglądała ładnie. Przy sedesie zachowałem poręcze – po prostu się nad tym zastanów, okej? Zainstalujemy je na samym końcu, a gdybyś naprawdę bardzo nie chciał, to zrezygnujemy, ale… ja bym je założył, Judy.

Jude z oporami kiwa głową. Jeszcze tego nie wie, ale po latach będzie wdzięczny Malcolmowi za przygotowanie go na przyszłość, chociaż sam tak się bronił: zauważy, że w jego mieszkaniu przejścia są szersze, że w łazience i w kuchni jest tyle miejsca, by wózek mógł wykonać pełny obrót, że drzwi są szerokie, a tam gdzie to możliwe – rozsuwane zamiast zwyczajnych, że pod umywalką nie ma rur, że najwyższe wieszaki w szafie obniżają się za naciśnięciem guzika, że pod prysznicem jest ławeczka i wreszcie że Malcolm wygrał wojnę o poręcze przy sedesie. Jude dozna czegoś na kształt gorzkiego olśnienia, że jeszcze jedna osoba w jego życiu poza Andym, Willemem i Richardem przewidziała jego przyszłość i zrozumiała, jak dalece jest ona nieuchronna.

Po wizycie u krawca, gdzie mistrz Franklin zdejmuje Malcolmowi miarę na dwa garnitury, granatowy i szary, a potem serdecznie wita Jude'a i dopytuje się, dlaczego go nie widział przez dwa lata – „To pewnie moja wina", mówi z uśmiechem Malcolm – idą na lunch. Miło wziąć wolną sobotę, myśli Jude, kiedy popijają lemoniadę różaną i jedzą zapiekanego kalafiora posypanego *za'atarem*

w izraelskiej knajpce niedaleko pracowni krawieckiej Franklina. Malcolm chciałby już ruszyć z pracami w mieszkaniu, a Jude nie ma nic przeciwko temu.

– To idealny czas – powtarza Malcolm. – Zlecę dostarczenie materiałów do miasta w poniedziałek, zanim wszystko posprawdzają, uporam się z muzeum w Dosz, a potem zaraz biorę się do roboty, a ty możesz się na ten czas przenieść do Willema.

Malcolm zakończył właśnie prace w mieszkaniu Willema, które nadzorował pilniej niż sam właściciel; pod koniec podejmował za Willema decyzje co do kolorów ścian. Zdaniem Jude'a spisał się tam pięknie, nie będzie źle pomieszkać w takim miejscu przez rok.

Jest jeszcze wcześnie, gdy kończą lunch, więc zatrzymują się na chodniku przed knajpką. Przez ostatni tydzień padało, ale dzisiaj niebo jest błękitne, a Jude wciąż czuje się silny, nawet z lekka niespokojny, więc pyta Malcolma, czy nie chciałby się trochę przejść. Widzi, że Malcolm się waha i zerka na niego dyskretnie, szacując go od stóp do głów, jakby próbował ocenić, czy Jude da radę, lecz w końcu z uśmiechem się zgadza i we dwóch kierują się na zachód, a potem na północ, ku Village. Mijają budynek na Mulberry Street, w którym mieszkał JB, zanim przeprowadził się dalej na wschód, i milkną na chwilę, obydwaj, wiedząc – a zarazem nie wiedząc – dlaczego JB nie odpowiada na ich i Willema telefony, esemesy, mejle. We trzech odbyli dziesiątki rozmów na temat JB, rozmawiali z Richardem, z Alim, z Henrymi Youngami, zastanawiając się, co z tym fantem zrobić, ale każda próba dotarcia do JB kończyła się fiaskiem, gdyż ten ich unikał, blokował dostęp do siebie lub ich ignorował. „Musimy po prostu poczekać, aż mu się pogorszy" – stwierdził w pewnym momencie Richard i Jude obawia się, że on ma rację. Chwilami zdaje się, że JB już nie jest „ich", że nie mogą zrobić nic innego, jak tylko czekać na chwilę kryzysu, który tylko oni mogą rozwiązać, i w ten sposób katapultować się na nowo w jego życie.

– Okej, Malcolm, muszę cię wreszcie spytać – mówi Jude, gdy idą Hudson Street, opustoszałą w weekend, po bezdrzewnym, wyludnionym prawie chodniku. – Czy ty się w końcu żenisz z Sophie, czy nie? Wszyscy jesteśmy ciekawi.

– O boże, Jude, sam nie wiem – jąka się Malcolm, ale jego głos zdradza ulgę, jakby się zgodził na ten spacer właśnie po to, żeby usłyszeć to pytanie. – Może i tak.

Wymienia potencjalne minusy (małżeństwo jest strasznie konwencjonalne; zobowiązuje na zawsze; nie kręci go pomysł wesela, ale obawia się, że Sophie tak; jego rodzice będą chcieli się włączyć; przygnębia go idea spędzenia reszty życia z drugim architektem; on i Sophie są współzałożycielami firmy – gdyby coś się między nimi popsuło, co będzie z Bellcast?) i plusy, które także brzmią jak minusy (jeżeli się nie oświadczy, Sophie może go rzucić; rodzice wiercą mu dziurę w brzuchu o ten ślub, więc chciałby im zamknąć usta; naprawdę kocha Sophie i wie, że nie znajdzie lepszej kobiety niż

ona; ma trzydzieści osiem lat i czuje, że powinien coś ze sobą zrobić). Jude, słuchając Malcolma, próbuje się nie uśmiechnąć: zawsze lubił w Malcolmie to, że umie być tak zdecydowany na desce kreślarskiej i w swoich projektach, a w innych sprawach życiowych robi uniki i nie lubi się sobą dzielić. Malcolm nigdy nie należał do tych, którzy udają, że są bardziej cool, bardziej pewni siebie, bardziej elastyczni, niż są w istocie; im bardziej przybywa im lat, tym bardziej Jude docenia i podziwia wzruszającą łatwowierność Malcolma i jego niewzruszone zaufanie do przyjaciół i ich opinii.

– Co ty o tym sądzisz, Jude? – pyta w końcu Malcolm. – Właściwie to od dawna chciałem z tobą o tym pogadać. Może gdzieś usiądziemy? Masz jeszcze czas? Wiem, że Willem jest właśnie w drodze do domu.

Jude myśli, że mógłby być bardziej podobny do Malcolma: mógłby prosić przyjaciół o pomoc, mógłby okazywać przy nich słabość. Tak już zresztą bywało i z nim, ale nie z jego wyboru. Przyjaciele zawsze byli dla niego dobrzy, nigdy nie próbowali go zawstydzić – czy to nie powinno go czegoś nauczyć? Może na przykład zapyta Willema, czy nie mógłby mu masować pleców. Jeśli jego wygląd wzbudzi w Willemie obrzydzenie, to przyjaciel i tak nic nie powie. Bo Andy ma rację, zbyt trudno jest wcierać maść samemu, więc w końcu Jude przestał to robić; maści jednak nie wyrzucił.

Namyśla się, jak mógłby zacząć rozmowę z Willemem, ale stwierdza, że nie umie wyjść poza pierwsze słowo: „Willem…", nawet w wyobraźni. I już wie, że nigdy go o to nie poprosi: „Nie dlatego, że ci nie ufam – mówi do Willema, z którym nigdy tej rozmowy nie odbędzie – tylko dlatego, że nie mogę znieść myśli, że zobaczysz mnie takiego, jaki jestem". Gdy teraz wyobraża sobie siebie jako starego człowieka, jest nadal sam, ale na Greene Street, i w tych marzeniach widzi Willema w domu otoczonym zielenią i drzewami – w Adirondacks, w Berkshires – i Willem jest szczęśliwy, ma wokół siebie ludzi, którzy go kochają, i może parę razy do roku wpada do miasta, żeby odwiedzić go na Greene Street, i spędzają razem popołudnie. On sam w tych marzeniach zawsze siedzi, więc nie jest pewien, czy może jeszcze chodzić, czy nie, ale wie, że zawsze cieszy się bardzo, gdy widzi Willema, a pod koniec każdego spotkania jest w stanie mu powiedzieć, żeby się nie martwił, bo on potrafi zadbać o siebie, daje mu to zapewnienie jak błogosławieństwo, zadowolony, że starczyło mu siły, żeby nie popsuć idylli Willema swoimi potrzebami, swoją samotnością, swoimi zachciankami.

To jednak, przypomina sobie, stanie się za wiele lat, w przyszłości. Na razie jest Malcolm i jego pełna nadziei, niespokojna twarz, wyczekująca odpowiedzi.

– Wróci dopiero wieczorem – odpowiada Malcolmowi. – Mamy całe popołudnie, Mal. Mam tyle czasu, ile chcesz.

3

Ostatnim razem JB próbował – naprawdę próbował – rzucić narkotyki w weekend na Czwartego Lipca. Nikt z jego znajomych nie został w mieście. Malcolm z Sophie wyjechali do jej rodziców do Hamburga. Jude z Haroldem i Julią do Kopenhagi. Willem był na zdjęciach w Kapadocji. Richard gdzieś w Wyoming, w kolonii artystów. Azjatycki Henry Young w Reykjavíku. Został tylko on, i gdyby nie jego upór, też nie byłoby go w mieście. Byłby w Beacon, gdzie Richard miał dom, albo w Quogue, gdzie Ezra miał dom, albo w Woodstock, gdzie Ali miał dom, albo… no właśnie. Nie było wielu innych, którzy by mu obecnie ofiarowali dom, a poza tym z większością nie rozmawiał, bo działali mu na nerwy. Ale nie cierpiał lata w Nowym Jorku. Grubasy nienawidzą lata w Nowym Jorku: wszystko się lepi do wszystkiego, ciało do ciała, ciało do tkaniny. Człowiek nigdy nie czuje się naprawdę suchy. A jednak tkwił tam, otwierał drzwi do pracowni na drugim piętrze białej ceglanej kamienicy przy Kensington, zerkał mimowolnie w głąb korytarza, gdzie mieściła się pracownia Jacksona, i wreszcie wchodził.

JB nie był uzależniony. Owszem, zażywał narkotyki. Owszem, całkiem sporo. Ale uzależniony nie był. Inni byli uzależnieni. Jackson był uzależniony. Tak samo Zane, tak samo Hera. Massimo i Topher – też uzależnieni. Czasem mu się zdawało, że jest jedynym, który się nie osunął poza krawędź.

A przecież wiedział, że dużo ludzi uważa, że się osunął, że właśnie dlatego siedzi w mieście, kiedy powinien być na wsi. Cztery dni bez narkotyków, tylko praca – i nikt już się na ten temat nie zająknie.

Dzisiejszy dzień, piątek, był dniem pierwszym. Klimatyzacja w pracowni wysiadła, więc od razu otworzył okna, a potem, kiedy zapukał lekko do drzwi Jacksona i upewnił się, że go nie ma, również drzwi. Normalnie nigdy nie otwierał drzwi, bo był Jackson, no i z powodu hałasu. Jego pracownia była jednym z czternastu pomieszczeń na drugim piętrze czteropiętrowego budynku. Pomieszczenia miały być wykorzystywane wyłącznie jako pracownie, on jednak podejrzewał, że ze dwadzieścia procent użytkowników najzwyczajniej w nich mieszka, nielegalnie. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy zjawiał się w pracowni przed dziesiątą, widywał w korytarzach facetów w bokserkach, a kiedy wszedł do łazienki w końcu korytarza, ktoś tam mył się do połowy w umywalce albo szorował zęby, więc on kiwał głową do tych ludzi – „Co jest, chłopie?” – a oni odpowiadali mu skinieniem. Efekt ogólny był jednak smutny, mniej wspólnotowy, bardziej instytucjonalny. To go przygnębiało. JB mógł sobie znaleźć pracownię gdzie indziej, w lepszym miejscu, bardziej prywatną, a jednak wynajął tę, bo

(wstydził się do tego przyznać) kamienica przypominała akademik i miał nadzieję, że poczuje się tam, jakby wrócił do college'u. Pomylił się.

Kamienica miała też być „wolna od hałasu", cokolwiek to znaczyło, lecz oprócz artystów plastyków wynajęły w niej pracownie liczne zespoły muzyczne – pseudoheavymetalowe, pseudofolkowe, pseudoakustyczne – co oznaczało, że korytarz wiecznie tętnił hałasem wszystkich instrumentów muzycznych zlanych w jeden przeciągły skowyt gitarowego feedbacku. Zespołów muzycznych nie powinno tam być, więc gdy właściciel domu, pan Chen, przychodził na niezapowiedzianą inspekcję, nawet zza zamkniętych drzwi JB słyszał krzyki rozbrzmiewające w korytarzu: był to alarm nadawany przez jednego z muzyków, podchwytywany przez następnego i kolejnych, aż ostrzeżeniem nasyciło się wszystkie pięć pięter – „Chen!" „Chen!" „ Chen!" – więc zanim pan Chen przekroczył próg domu, wewnątrz panowała wzorowa cisza, cisza tak nienaturalna, że JB miał wrażenie, iż słyszy, jak sąsiad zza ściany uciera tusz na kamieniu, a drugi skrobie spirografem po płótnie. Pan Chen wsiadał do swojego samochodu i odjeżdżał, a po korytarzach niosło się echo: „Poszedł!" „Poszedł!" „Poszedł!" i kakofonia rozbrzmiewała na nowo, niczym chór świergolących cykad.

Kiedy JB upewnił się, że jest sam na całym piętrze (rany, gdzie są wszyscy? Czyżby naprawdę został jedynym człowiekiem na Ziemi?), ściągnął koszulę, a po chwili też spodnie, i zabrał się do sprzątania pracowni, czego nie robił od miesięcy. Kilkakrotnie chodził do śmietników koło windy, zapychał je starymi kartonami po pizzy, pustymi puszkami po piwie, pomazanymi kartkami i pędzlami, których włosie zamieniło się w pęczki słomy, bo nie były czyszczone, a za pędzlami do śmieci wędrowały palety akwarel, które zamieniły się w glinę, ponieważ JB ich nie zwilżał.

Sprzątanie było nudne; szczególnie nudne na trzeźwo. Snuł refleksję, jak to mu się często zdarzało, że nie spotkała go żadna z fajnych rzeczy, jakie podobno spotykają ludzi biorących metadon. Inni znajomi chudli albo non stop odbywali anonimowy seks, albo dopadało ich kompulsywne sprzątanie, albo godzinami urządzali sobie mieszkania i pracownie. A on był dalej gruby. Stracił pociąg seksualny, jego pracownia i mieszkanie wołały o pomstę do nieba. Owszem, pracował nadzwyczaj długo bez przerwy – po dwanaście, czternaście godzin – ale nie mógł tego przypisać metadonowi, bo zawsze był pracowity. Jeśli chodzi o malowanie i rysowanie, zawsze długo utrzymywał uwagę.

Po godzinie zbierania śmieci pracownia wyglądała dokładnie tak jak przedtem, on zaś tęsknił za papierosem, którego nie miał, albo za drinkiem, którego też nie miał, a w ogóle to nie powinien pić, bo było dopiero południe. Przypomniało mu się, że w kieszeni dżinsów ma kulkę gumy do żucia, którą po chwili wygrzebał – lekko wilgotną od ciepła ciała – i wetknął do ust, żuł na leżąco, z zamkniętymi oczami; pod plecami i udami czuł chłód betonowej podłogi i wyobraził sobie, że jest gdzie indziej, nie na Brooklynie w lipcu przy trzydziestostopniowym upale.

Jak się czuję? – zapytał sam siebie.

Okej – odpowiedział sam sobie.

Psychoterapeuta, do którego zaczął chodzić, kazał mu zadawać sobie to pytanie.

To jest jak próba głosu, tłumaczył. Prosty sposób sprawdzenia siebie. Jak się czuję? Czy mam ochotę wziąć? Jeżeli mam ochotę wziąć, to dlaczego mam ochotę wziąć? To jest twój sposób komunikowania się z samym sobą, badania własnych impulsów, zamiast ulegania im.

Co za dureń, pomyślał wtedy JB. I wciąż tak myślał. A jednak, jak to bywa z wieloma durnymi rzeczami, nie był w stanie wymazać tego pytania z pamięci. Teraz w dziwnych, niepożądanych momentach przyłapywał się na zadawaniu sobie pytania, jak się czuje. Czasem odpowiedź brzmiała: „Jakbym chciał zażyć draga", więc zażywał, choćby po to, by udowodnić terapeucie, jaka idiotyczna jest ta jego metoda. No widzisz? – mówił w wyobraźni do Gilesa, do Gilesa, który nie miał nawet stopnia doktora, był zwyczajnym felczerem. – To tyle w kwestii twojej teorii badania siebie. Co jeszcze, Giles? Co teraz?

Chodzenie do Gilesa nie było pomysłem JB. Pół roku wcześniej, w styczniu, jego matka i ciotki podjęły miniinterwencję, która zaczęła się od wspomnień matki o tym, jakim to zdolnym i obiecującym chłopcem był nasz JB, a teraz patrzcie na niego; a potem ciotka Christine, odgrywając złego policjanta – dosłownie – nawrzeszczała na niego, że marnuje życiową okazję, którą mu zapewniła jej siostrzyczka, i że stał się jednym wielkim kłopotem; potem ciotka Silvia, która zawsze była najłagodniejsza z nich trzech, przypomniała mu, że jest wielce utalentowany, zapewniła, że one wszystkie chcą go odzyskać, i spytała, czy nie wziąłby pod uwagę psychoterapii. Nie był wówczas w nastroju na interwencje, nawet takie stonowane i niegroźne jak ta (matka upiekła z tej okazji jego ulubiony sernik, który wszystkie trzy zajadały, dyskutując o wadach JB), ponieważ, po pierwsze, był jeszcze na nie zły. Miesiąc wcześniej umarła jego babka, a matka zadzwoniła do JB z tą wiadomością dopiero dzień później. Tłumaczyła, że to dlatego, że nie mogła się z nim skontaktować, bo nie odbierał telefonu, ale on wiedział, że w dniu śmierci babci był trzeźwy, a telefon miał przez cały dzień włączony, więc nie mógł zrozumieć, dlaczego matka go okłamuje.

– JB, babci serce by pękło, gdyby zobaczyła, co z siebie zrobiłeś – biadoliła matka.

– O boże, mama, odwal się – odparł ze znużeniem, mając po dziurki w nosie jej lamentów i drżączek, na co Christine się zerwała i dała mu w twarz.

Po tym incydencie zgodził się pójść do Gilesa (jakiś znajomy znajomej Silvii) tytułem przeprosin wobec Christine i oczywiście matki. Niestety, Giles naprawdę był idiotą. Podczas ich sesji (opłacanych przez matkę; on nie zamierzał marnować forsy na terapię, szczególnie kiepską) odpowiadał na niezbyt lotne pytania Gilesa (Dlaczego, twoim zdaniem, tak pociągają cię narkotyki, JB? Co, twoim zdaniem,

ci one dają? Dlaczego, twoim zdaniem, zażywasz ich coraz więcej od kilku lat? Dlaczego, twoim zdaniem, dużo rzadziej rozmawiasz z Malcolmem, Jude'em i Willemem?) w sposób, o którym wiedział, że może mu się spodobać. Napomykał o zmarłym ojcu, o wielkiej pustce i poczuciu straty, jakie spowodowała jego nieobecność, o płytkości życia artystycznego, o swoich lękach, że nie dotrzyma danych obietnic, i cały czas obserwował, jak pióro Gilesa pomyka po kartkach notesu, i czuł zarówno pogardę dla głupiego Gilesa, jak i zniesmaczenie swoją niedojrzałością. Robienie balona z własnego terapeuty – nawet jeżeli terapeuta na to zasługuje – było godne dziewiętnastolatka, a nie faceta w wieku lat trzydziestu dziewięciu.

Ale chociaż Giles był idiotą, JB złapał się na tym, że rozmyśla o jego pytaniach, ponieważ sam sobie zadawał podobne. I chociaż terapeuta z każdego pytania robił odrębny problem, to JB wiedział, że są one w istocie nierozdzielne i jedno wynika z drugiego, i że gdyby to było logicznie i gramatycznie możliwe, aby je zadać wszystkie razem w jednym wielkim pytaniu, to byłby to najprawdziwszy wyraz przyczyny jego obecnego stanu.

Z początku, powiedział Gilesowi, nie lubił narkotyków aż tak bardzo jak teraz. Zabrzmiało to jak oczywistość, a nawet banał, lecz JB znał ludzi – przeważnie bogatych, przeważnie białych, przeważnie nudnych, przeważnie niekochanych przez rodziców – którzy zaczynali brać narkotyki, ponieważ sądzili, że dzięki nim staną się bardziej interesujący albo przerażający, albo bardziej zasługujący na uwagę, albo po prostu dla zabicia czasu. Jego przyjaciel Jackson, dla przykładu, do tych właśnie się zaliczał. Ale on nie. Oczywiście, zawsze brał narkotyki – wszyscy brali – ale w college'u, kiedy miał dwadzieścia lat, myślał o dragach jak o słodyczach, które też uwielbiał: produkt spożywczy zabroniony mu jako dziecku, teraz zawsze dostępny. Branie dragów (jak poobiednie przekąski, na przykład muesli tak słodkie, że pozostałe mleko z miseczki można było pić jak sok z trzciny cukrowej) stanowiło przywilej dorosłości, którym JB zamierzał się nacieszyć.

Pytania drugie i trzecie: Kiedy i dlaczego narkotyki stały się dla niego tak ważne? Na nie również znał odpowiedzi. Gdy miał trzydzieści dwa lata, otworzył swoją pierwszą wystawę. Po tej wystawie wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, stał się gwiazdą. Pisano o nim artykuły w prasie artystycznej i w gazetach czytanych przez ludzi nieodróżniających Sue Williams od Sue Coe. Po drugie, jego przyjaźń z Jude'em i Willemem legła w gruzach.

Może „legła w gruzach" to za mocne określenie. Ale zmieniła charakter. JB zrobił coś złego – to przyznawał – i Willem stanął po stronie Jude'a (i czemu się dziwić, że Willem stanął po stronie Jude'a, skoro w istocie, gdy spojrzeć na całą ich przyjaźń, Willem zawsze stawał po stronie Jude'a), i chociaż obaj powiedzieli, że mu wybaczają, coś się przestawiło w ich przyjaźni. Oni dwaj, Jude i Willem, stali się odrębną jednostką, zjednoczoną przeciwko wszystkim, zjednoczoną przeciwko niemu (dlaczego

nigdy wcześniej tego nie zauważył?). *My dwaj stanowimy tłum.* JB jednak zawsze myślał, że to on i Willem stanowią jednostkę.

No ale dobra, tak było. Więc co mu zostało? Nie Malcolm, bo Malcolm zaczął w końcu chodzić z Sophie i stworzyli we dwoje własną jednostkę. Więc kto będzie jego partnerem, kto stworzy jednostkę z nim? Nikt, wydawało się często. Porzucili go.

I z każdym rokiem opuszczali go bardziej. JB zawsze wiedział, że on pierwszy z ich czwórki osiągnie sukces. Nie było to z jego strony zadufanie: po prostu wiedział. Pracował ciężej niż Malcolm, był ambitniejszy niż Willem. (Jude'a w tym wyścigu nie liczył, ponieważ profesja Jude'a podlegała zupełnie innemu systemowi miar, który dla JB niewiele znaczył). Był gotowy zostać tym bogatym albo tym sławnym, albo tym szanowanym, ale wiedział, nawet marząc o bogactwie, sławie i szacunku, że zawsze będzie się przyjaźnił z nimi wszystkimi, że nigdy nie porzuci ich dla innych ludzi, choćby nie wiem jak silna była pokusa. Kochał ich. Byli jego.

Ale nigdy nie wziął pod uwagę tego, że to oni mogą go porzucić, że to oni wyrosną z niego dzięki własnym osiągnięciom. Malcolm miał swój biznes. Jude robił to, co robił, tak doskonale, że gdy poprzedniej wiosny reprezentował JB w głupim sporze z kolekcjonerem, którego JB chciał zaskarżyć, aby odzyskać wczesną pracę, którą ów kolekcjoner obiecał dać mu odkupić, a potem się z obietnicy wycofał, adwokat kolekcjonera uniósł brwi, kiedy JB mu oznajmił, że ma się skontaktować z Jude'em St. Francisem. „St. Francis? – spytał adwokat. – A jak go pan pozyskał?". Opowiedział o tym Czarnemu Henry'emu Youngowi, który wcale się nie zdziwił. „No jasne – powiedział. – Jude jest znany z lodowatej surowości i bezwzględności. On to dla ciebie wygra, JB, nie martw się". JB był zaskoczony: *jego* Jude? Chłopak, który dosłownie nie był w stanie unieść głowy i spojrzeć mu w oczy do końca drugiego roku studiów? Bezwzględny? Po prostu nie umiał sobie tego wyobrazić. „Wiem – rzekł Czarny Henry Young, kiedy JB wyraził niedowierzanie. – Ale on w pracy staje się kimś innym. JB, tylko raz widziałem go w sądzie, ale przysięgam ci, że budził postrach, był wprost niesamowicie nieustępliwy. Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że to jakiś większy dupek". Okazało się, że Czarny Henry Young miał rację – JB odzyskał swój obraz, a w dodatku otrzymał list z przeprosinami od kolekcjonera.

No i oczywiście był jeszcze Willem. Paskudną, małostkową cząstką siebie JB musiał przyznać, że nigdy nie przypuszczał, iż Willem osiągnie taki sukces. Nie żeby mu tego nie życzył – po prostu się nie spodziewał. Willem, z tym jego brakiem ducha współzawodnictwa; Willem ze swą skłonnością do deliberacji; Willem, który w college'u odrzucił główną rolę w sztuce *Miłość i gniew*, bo wolał się zająć chorym bratem. Z jednej strony JB to rozumiał, z drugiej jednak nie rozumiał. Brat Willema nie był wtedy śmiertelnie chory i sama matka mówiła Willemowi, żeby nie przyjeżdżał.

Przyjaciele, którzy kiedyś potrzebowali JB, bo ubarwiał im życie, teraz przestali go potrzebować. Nie lubił myśleć o sobie jako o kimś, kto nie życzy przyjaciołom sukcesu, bo woli ich mieć przywiązanych do siebie, ale może właśnie tak było.

Jednej rzeczy nie wiedział kiedyś o sukcesie – że robi z ludzi nudziarzy. Porażka też robi z ludzi nudziarzy, ale w inny sposób. Ludzie ponoszący porażki dążyli stale do jednego celu – do sukcesu. Ale ludzie odnoszący sukcesy dążyli tylko do zachowania status quo. Było to jak różnica pomiędzy biegiem a biegiem w miejscu, i chociaż bieganie samo w sobie jest nudne, to osoba biegnąca przed siebie przynajmniej się przemieszcza, zmienia otoczenie i widoki. Lecz z drugiej strony wyglądało na to, że Jude i Willem mają coś, czego on, JB, nie ma, coś, co ich chroni przed dławiącą nudą człowieka sukcesu, przed nużącym budzeniem się z myślą, że odniosło się sukces i codziennie trzeba robić dalej to, co ten sukces przyniosło, bo jeśli się człowiek zatrzyma, to nie będzie już człowiekiem sukcesu, lecz człowiekiem porażki. Czasami myślał, że tym, co naprawdę odróżnia jego i Malcolma od Jude'a i Willema, jest nie rasa ani bogactwo, tylko bezgraniczna zdolność Jude'a i Willema do dziwienia się. W porównaniu z nim mieli tak marne, szare dzieciństwo, że jako dorośli zdawali się nieustannie olśnieni. W czerwcu po dyplomie Irvine'owie zafundowali im wszystkim bilety do Paryża, gdzie okazało się, że mają wynajęty apartament – „apartamencik", podkreślił ostrożnie Malcolm – w siódmej dzielnicy. JB był już w Paryżu z matką jako uczeń gimnazjum, a potem z klasą w liceum, i jeszcze raz w czasie wakacji między pierwszym a drugim rokiem studiów, ale dopiero gdy zobaczył miny Jude'a i Willema, dotarło do niego nie tylko piękno tego miasta, ale też jego obietnica czarów. Zazdrościł im tego, tej zdolności do oszołomienia (chociaż wiedział, że w przypadku Jude'a jest to nagroda za długie, bolesne dzieciństwo), tej mocnej wiary, że dorosłość przyniesie im zdumiewające doświadczenia, że ich cudowne lata nie są za nimi. Pamiętał też, jak traktowali z początku uniwersytet, a ich reakcje, jakby byli Helen Keller, która właśnie pojęła, że to zimne, co ścieka jej po rękach, ma swoją nazwę, którą można poznać, budziły w nim zniecierpliwienie i silną zawiść. Jak to jest być dorosłym i wciąż odkrywać przyjemności świata?

Z tego właśnie powodu, czuł to czasem, tak uwielbiał być na haju. Nie dlatego, że ten stan dawał ucieczkę od codziennego życia, jak sądziło wielu ludzi, lecz dlatego, że na haju zwyczajne życie wydawało się mniej zwyczajne. Przez krótki czas – co tydzień krótszy – świat był wspaniały i nieznany.

Kiedy indziej zastanawiał się, czy to świat stracił barwy, czy raczej jego znajomi. Od kiedy byli wszyscy tak podobni? Zbyt często dochodził do wniosku, że ostatni raz spotkał interesujących ludzi w college'u, w szkole podyplomowej. A potem, z wolna, lecz nieuchronnie, ludzie upodabniali się jedni do drugich. Weźmy chociażby dziewczyny z Backfat: w szkole maszerowały topless, tłuściutkie,

apetyczne i zalotne, przez całą Charles Street, aby zaprotestować przeciwko cięciom w budżecie planowania rodziny (nikt nie wiedział, co tu ma do rzeczy strój topless, ale co tam), odgrywały fantastyczne scenki w Hood Hall, podpaliły kukłę antyfeministycznego senatora w Quad. A teraz Francesca i Marta przebąkiwały coś o dzieciach i o przeprowadzce ze strychu w Bushwick do solidnego brązowego domku na Boerum Hill, Edie natomiast wreszcie rozkręcała na serio jakiś biznes, tak że rok temu, gdy JB zaproponował im odegranie scenki ponownego spotkania Backfat, wszystkie go wyśmiały, chociaż wcale nie żartował. Uporczywa nostalgia wpędzała go w depresję, postarzała go, a jednak nie umiał wyzbyć się uczucia, że najwspanialsze lata, lata, gdy wszystko zdawało się nakreślone neonowym pisakiem, są już za nim. Wtedy wszyscy byli o niebo bardziej rozrywkowi. Co im się stało?

Wiek – domyślił się. A wraz z nim cała reszta. Posady. Pieniądze. Dzieci. Rzeczy, które oddalają śmierć, rzeczy, które nadają znaczenie, rzeczy dające komfort, zapewniające kontekst i treść. Marsz naprzód podyktowany biologią i konwencją, którym nie zdoła się oprzeć nawet najbardziej zbuntowany umysł.

Ale to byli jego znajomi, rówieśnicy. Co go naprawdę nurtowało, to pytanie, kiedy jego *przyjaciele* stali się tacy konwencjonalni i dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Malcolm był zawsze konwencjonalny, to fakt, ale JB spodziewał się czegoś więcej po Willemie i Judzie. Wiedział, jak okropnie to brzmi (i dlatego nigdy nie wypowiedział tego głośno), ale często przychodziło mu do głowy, że szczęśliwe dzieciństwo było dla niego przekleństwem. Bo gdyby tak w zamian przydarzyło mu się coś prawdziwie ciekawego? Tymczasem najciekawsze w jego życiu było to, że chodził do głównie białej podstawówki, ale to też nie było specjalnie ciekawe. Dzięki bogu nie był pisarzem – nie miałby o czym pisać. A z drugiej strony był ktoś taki jak Jude, kto nie dorastał tak jak wszyscy i nie wyglądał tak jak wszyscy, a mimo to JB wiedział, że ten ktoś usilnie stara się być dokładnie taki jak wszyscy. Jeśli chodzi o urodę, JB wybrałby oczywiście Willema, lecz z drugiej strony byłby gotów oddać wiele, żeby wyglądać jak Jude, żeby tajemniczo utykać, a właściwie sunąć po ziemi, i mieć twarz oraz ciało Jude'a. Jude natomiast spędzał większość czasu na próbach stania w miejscu ze spuszczonym wzrokiem, jakby w ten sposób mógł sprawić, że nikt go nie zauważy. Było to smutne, ale jakoś zrozumiałe w college'u, kiedy Jude był taki dziecinny i kościsty, że JB odczuwał ból na sam jego widok, ale obecnie, gdy Jude dorósł do własnego wyglądu, JB wściekał się na tę jego cechę, zwłaszcza że nieśmiałość Jude'a często krzyżowała artystyczne plany JB.

– Chcesz przeżyć życie jako zupełnie przeciętny i typowy nudziarz? – zapytał raz Jude'a. Było to po ich drugiej wielkiej kłótni, gdy usiłował namówić Jude'a do pozowania nago, chociaż już wysuwając tę propozycję, wiedział, że nic z tego nie wyjdzie.

– Tak, JB – odparł Jude, posyłając mu spojrzenie, jakie czasem miewał: onieśmielające, nawet lekko przerażające w swojej niezgłębionej pustce. – Właśnie tego chcę.

Czasami JB podejrzewał, że Jude nie pragnie w życiu niczego innego jak pętać się po Cambridge z Haroldem i Julią i bawić się z nimi w dom. W ubiegłym roku na przykład JB został zaproszony na rejs przez jednego z kolekcjonerów, nadzianego i ważnego mecenasa, który miał jacht kursujący między greckimi wyspami i dzieła współczesnego malarstwa, jakich mogłoby mu pozazdrościć każde muzeum – a tymczasem wisiały one w łazience na łodzi.

Malcolm pracował akurat nad swoim projektem w Dosze czy gdzieś tam, ale Willem i Jude byli w mieście, więc JB zadzwonił do Jude'a z pytaniem, czy ma ochotę popłynąć. Cały rejs na koszt kolekcjonera. Przysłałby po nich swój samolot. Pięć dni na jachcie. JB nie widział nawet sensu przeprowadzania tej rozmowy. „Spotkajmy się w Teterboro – powinien był zaesemesować. – Weź krem z filtrem".

Ale nie, spytał, a Jude mu podziękował. A zaraz potem dodał:

– To wypada w Święto Dziękczynienia.

– No i co z tego? – spytał JB.

– JB, wielkie dzięki za zaproszenie – ciągnął Jude, a JB nie wierzył własnym uszom. – Pomysł jest fantastyczny, ale ja muszę jechać do Harolda i Julii.

Jakby mu ktoś dał w twarz. Oczywiście bardzo lubił Harolda i Julię i tak jak pozostali widział, jacy są dla Jude'a dobrzy, dzięki czemu Jude stał się nieco mniej dziki w przyjaźni, no ale dajcie spokój! To był w końcu Boston. Jude zawsze mógł ich odwiedzić. Ale Jude powiedział „nie" i na tym stanęło. A ponieważ Jude powiedział „nie", to i Willem powiedział „nie", no więc w końcu JB wylądował z nimi dwoma i Malcolmem w Bostonie, zżymając się na scenę przy stole – zastępczy rodzice, przyjaciele zastępczych rodziców, kupa średniej jakości żarcia, liberałowie spierający się o politykę demokratów, dużo krzyku o sprawy, w których się wszyscy zgadzali – tak sztampową i klasyczną, że chciało mu się wrzeszczeć, a jednocześnie tak dziwacznie fascynującą dla Jude'a i Willema.

Więc co było pierwsze – zbliżenie z Jacksonem czy uświadomienie sobie, jak nudni stali się jego przyjaciele? Jacksona poznał po wernisażu swojej drugiej wystawy, która odbyła się blisko pięć lat po pierwszej. Wystawa nosiła tytuł *Wszyscy których znałem Wszyscy których kochałem Wszyscy których nienawidziłem Wszyscy których pieprzyłem* i dokładnie tym była: sto pięćdziesiąt obrazów na cienkich deskach o wymiarach pół metra na siedemdziesiąt pięć centymetrów, a na nich twarze wszystkich osób, które JB poznał w swoim życiu. Serię zainspirował portret Jude'a, który JB ofiarował Haroldowi i Julii w dniu adopcji. (Strasznie mu się ten obraz podobał. Powinien był go sobie zatrzymać. Albo wymienić, bo przecież Harold i Julia zadowoliliby się mniej doskonałym portretem, byleby tylko był

na nim Jude. Kiedy JB ostatnio był w Cambridge, zastanawiał się poważnie, czy go nie ukraść, nie zdjąć z haka w przedpokoju i nie wsunąć do torby przed wyjściem). *Wszyscy których znałem* też odniosło sukces, chociaż nie taką serię JB sobie wymarzył; jego wymarzoną serią była ta, nad którą pracował obecnie.

Jackson współpracował z tą samą galerią, ale chociaż JB o nim słyszał, jakoś nigdy go nie spotkał, zdziwił się więc, kiedy zostali sobie przedstawieni na bankiecie po wernisażu, jak bardzo tego gościa polubił, jaki Jackson jest nieoczekiwanie zabawny, bo Jackson nie był typem, ku któremu normalnie skłaniał się JB. Po pierwsze, nie cierpiał jego sztuki, autentycznie jej nie cierpiał. Jackson robił rzeźby ze znalezisk, na ogół infantylne i oczywiste, na przykład nogi lalki Barbie doklejone do denka puszki po tuńczyku. O boże, jęknął w duchu JB, ujrzawszy je po raz pierwszy na stronie internetowej galerii. Więc jego reprezentuje ta sama galeria, co mnie? Nie uważał tego za sztukę. Raczej za prowokację, chociaż tylko licealista, i to z pierwszej klasy, mógłby uznać te obiekty za prowokacyjne. Jackson twierdził, że jego dzieła są w stylu Kienholza, czym JB czuł się osobiście urażony, chociaż wcale za Kienholzem nie przepadał.

Po drugie, Jackson był bogaty. Tak bogaty, że nie przepracował ani jednego dnia w życiu. Tak bogaty, że właściciel galerii JB zgodził się go reprezentować w ramach przysługi dla jego ojca (przynajmniej wszyscy tak twierdzili, a JB miał nadzieję, że to prawda). Tak bogaty, że jego wystawy sprzedawały się w całości, ponieważ krążyła plotka, że matka Jacksona – która rozwiodła się z ojcem Jacksona, producentem jakiegoś zasadniczego elementu maszynerii samolotowej, kiedy Jackson był mały, i poślubiła wynalazcę jakiegoś zasadniczego instrumentu do transplantacji serca – wykupuje wszystkie jego wystawy, potem wystawia pojedyncze prace na aukcjach, śrubując ceny, a następnie wszystko odkupuje i pomnaża w ten sposób rekord jego sprzedaży. W przeciwieństwie do innych znanych mu bogatych ludzi – w tym Malcolma, Richarda i Ezry – Jackson bardzo rzadko udawał, że nie jest bogaty. JB zawsze miał wrażenie, że skromność tamtych jest udawana i irytująca, ale gdy zobaczył, jak Jackson przyklepuje na ladzie studolarowy banknot za dwa batoniki (gdy obaj byli na haju i w świetnych humorach i potwornie zachciało im się jeść o trzeciej nad ranem), mówiąc kasjerowi, że reszty nie trzeba, to go otrzeźwiło. Było coś obscenicznego w tym, jak nonszalancko Jackson podchodził do pieniędzy, coś, co przypominało JB, że chociaż lubi się widzieć inaczej, to jest nudnym, konwencjonalnym synem swojej mamusi.

Po trzecie, Jackson nie był nawet przystojny. JB przypuszczał, że jest hetero – w każdym razie zawsze kręciły się koło niego dziewczyny, które Jackson traktował haniebnie, a one i tak za nim dryfowały, wiotkie jak nitki, o gładkich i pustych twarzach – ale Jackson był najmniej seksowną osobą, jaką JB kiedykolwiek znał. Miał bardzo jasne włosy, prawie białe, pryszczatą skórę, no i zęby, które

kiedyś musiały wyglądać na kosztowne, ale poszarzały, a szczeliny między nimi wypełnił żółtawy osad, na którego widok JB chciało się rzygać.

Jego przyjaciele nie znosili Jacksona, więc gdy stało się jasne, że Jackson i jego kółko (samotne panienki jak Hera, pseudoartyści jak Massimo i rzekome pisarki jak Zane, często koledzy ze szkoły dla odpadów, do której poszedł, zawaliwszy wszystkie inne prywatne szkoły w Nowym Jorku, włączając tę, do której chodził JB) mają pozostać w życiu JB, wszyscy próbowali porozmawiać z nim o Jacksonie.

– Zawsze utyskiwałeś, jakim bufonem jest Ezra – przypominał mu Willem. – No a czym właściwie Jackson różni się od Ezry, poza tym że jest totalnym pieprzonym dupkiem?

To fakt, Jackson był dupkiem, i JB przy nim także stawał się dupkiem. Parę miesięcy wcześniej, gdy po raz czwarty czy piąty próbował zerwać z narkotykami, zadzwonił któregoś dnia do Jude'a. Była piąta po południu, właśnie się obudził i poczuł się tak parszywie, tak niewiarygodnie staro i bezsilnie, po prostu dennie – skóra lepka, zęby porośnięte osadem, oczy suche jak drewno – że po raz pierwszy w życiu zapragnął umrzeć, po prostu nie musieć ciągnąć tego w nieskończoność. Coś się musi zmienić – powiedział sobie. – Muszę się przestać zadawać z Jacksonem. Muszę przestać. Wszystko musi się skończyć. Brakowało mu przyjaciół, tęsknił za ich czystością i niewinnością, za pozycją najbardziej interesującej osoby z ich grona, tęsknił za tym, że przy nich nigdy nie musiał się starać.

Więc zadzwonił do Jude'a (oczywiście Willema nie było w mieście, a Malcolmowi trudno było ufać, że nie stchórzy) i poprosił go, ubłagał go, żeby przyszedł po pracy. Powiedział mu, gdzie jest reszta kryształu (pod luźną deską z prawej strony łóżka) i gdzie zostawił fajkę, i poprosił Jude'a, żeby to wszystko spuścił do kanalizacji, pozbył się doszczętnie.

– JB – powiedział Jude. – Posłuchaj mnie. Przyjdź to tej knajpy na Clinton, okej? Weź szkicownik. Zamów sobie coś do jedzenia. Wyrwę się najszybciej, jak się da, jak tylko skończy się zebranie. Przyślę ci esemes, kiedy będzie po wszystkim, i wtedy możesz wrócić do domu, okej?

– Okej.

Wstał, wziął bardzo długi prysznic, niespecjalnie się szorował, po prostu stał pod strumieniem, a później postąpił według instrukcji Jude'a: wziął szkicownik i ołówki. Poszedł do kawiarni. Zjadł kanapkę z kurczakiem, wypił kawę. I czekał.

A gdy tak czekał, zobaczył Jacksona przypominającego dwunożną mangustę, z tłustymi włosami i ledwo ledwo zarysowanym podbródkiem. Patrzył, jak Jackson mija okno kawiarni, podrygując tym swoim pewnym siebie krokiem bogatego chłopaka, z uśmiechem zadowolenia na twarzy, za który JB miał ochotę mu przylać, i patrzył na niego z dystansem, jakby Jackson był byle brzydalem spotkanym na ulicy, a nie brzydalem, którego spotykał prawie codziennie. A wtedy Jackson, gdy był już prawie

poza zasięgiem wzroku JB, odwrócił się i spojrzał w okno kawiarni, wprost na niego, i uśmiechnął się tym swoim paskudnym uśmiechem, zrobił w tył zwrot i wszedł do knajpy, jak gdyby od początku wiedział, że JB tam jest, jakby zmaterializował się tylko po to, żeby przypomnieć JB, że teraz należy do niego, że mu nie umknie, że JB istnieje tylko po to, by robić to, czego Jackson zechce i kiedy Jackson zechce. I że jego życie już nigdy nie będzie jego własne. Po raz pierwszy JB przestraszył się Jacksona i spanikował. Co się stało? – zapytał sam siebie. Przecież to on, Jean-Baptiste Marion, o n planował, ludzie szli za nim, a nie odwrotnie. Uświadomił sobie, że Jackson go nigdy nie wypuści, i to go przeraziło. Należał do kogoś innego, był czyjąś własnością. Jak stać się niewłasnością? Jak wrócić do tego, czym się było?

– Cześć – powiedział Jackson, niezdziwiony, że go widzi, tak niezdziwiony, jakby sam siłą woli wykreował JB.

Cóż mógł odpowiedzieć?

– Cześć.

Wtedy zabrzęczał jego telefon: to Jude informował, że droga wolna i już wraca.

– Muszę iść – powiedział, wstając, i wyszedł.

A Jackson za nim.

JB dostrzegł, jak mina Jude'a się zmieniła, kiedy zobaczył Jacksona u jego boku.

– JB – rzekł Jude spokojnie. – Miło cię widzieć. Idziemy?

– Dokąd? – spytał głupio JB.

– Do mnie – odparł Jude. – Obiecałeś mi zdjąć to pudło, którego nie mogę dosięgnąć.

On jednak był tak zmieszany, tak otumaniony, że nie zrozumiał.

– Jakie pudło?

– Pudło na szafie, do którego nie sięgam – wyjaśnił Jude, wciąż ignorując Jacksona. – Musisz mi pomóc; trudno mi wejść na drabinę.

Wtedy powinien był się zorientować, bo Jude nigdy nie wspominał o tym, czego nie może zrobić. Oferował mu furtkę, on jednak był za głupi, żeby to spostrzec.

Ale spostrzegł to Jackson.

– Twój przyjaciel chyba chce się mnie pozbyć – powiedział do JB, krzywiąc się. Tak ich zawsze nazywał, chociaż nie znał jeszcze wszystkich: „twoi przyjaciele". „Przyjaciele JB".

Jude popatrzył na niego.

– Masz rację – powiedział, wciąż spokojnym, równym głosem. – Chcę. – A potem odwrócił się do JB. – Idziesz?

Och, jak bardzo tego chciał. Ale w tamtym momencie nie mógł. Nie wiedział czemu, nigdy się nie dowiedział, ale nie mógł. Był bezwolny, tak bezwolny, że nawet nie mógł udawać, że jest inaczej.

– Nie mogę – odszepnął.

– JB – powiedział Jude, biorąc go za ramię i odciągając na krawężnik, na oczach drwiąco uśmiechniętego Jacksona. – Chodź ze mną. Nie musisz tu zostawać. Chodź, JB.

Wtedy on zaczął płakać, niegłośno, nierzęsiście, ale jednak płakać.

– JB – powtórzył Jude ściszonym głosem. – Chodź ze mną. Nie musisz tam wracać.

Lecz on znowu usłyszał własny głos:

– Nie mogę. Chcę iść na górę. Chcę do domu.

– No to pójdę z tobą.

– Nie. Nie, Jude. Chcę być sam. Dziękuję ci. Ale pójdę do domu.

– JB… – zaczął Jude, lecz JB się od niego odwrócił i uciekł, wcisnął klucz do zamka i pognał na górę, wiedząc, że Jude nie zdoła go dogonić, za to Jackson deptał mu po piętach, śmiejąc się złośliwie, a z dołu niosło się wołanie Jude'a:

– JB! JB!

Ale on był już w środku (Jude posprzątał, będąc tutaj: zlew w kuchni był pusty, naczynia starannie ustawione na suszarce) i go nie słyszał. Wyłączył telefon, na który Jude wydzwaniał, i ściszył domofon, którym Jude dzwonił i dzwonił.

Potem Jackson podzielił kokę, którą przyniósł, i wciągnęli, i noc stała się tą samą nocą, którą przeżył już setki razy: te same rytmy, ta sama rozpacz, to samo ohydne uczucie zawieszenia.

– Ładniutki jest ten twój przyjaciel – usłyszał Jacksona jakiś czas później. – Tylko szkoda, że…

Jackson wstał i zaczął małpować chód Jude'a, lecz ta pokraczna groteska wcale nie była udana. Jackson rozluźnił usta jak śliniący się kretyn i bezradnie macał rękami powietrze przed sobą. JB był zbyt naćpany, by zaprotestować, zbyt naćpany, żeby powiedzieć cokolwiek, więc mrugał tylko i przyglądał się, jak Jackson kuśtyka po pokoju; chciał powiedzieć coś na obronę Jude'a, oczy piekły go od łez.

Następnego dnia obudził się na podłodze koło kuchni, twarzą do ziemi. Obszedł Jacksona, który też spał na podłodze, obok regału, i poszedł do swojego pokoju, gdzie zobaczył, że Jude nawet posłał mu łóżko, więc znów zachciało mu się płakać. Ostrożnie podniósł deskę pod prawą stroną łóżka i sięgnął ręką do skrytki: była pusta. Położył się na kołdrze i nakrył głowę jednym rogiem, tak jak to robił w dzieciństwie. Próbując zasnąć, zmusił się do myślenia, dlaczego spiknął się z Jacksonem. Właściwie wiedział dlaczego, po prostu wstydził się do tego przyznać. Zaczął się z nim prowadzać, chcąc udowodnić, że nie jest zależny od przyjaciół, że nie jest więźniem własnego życia, że potrafi i zamierza

podejmować własne decyzje, choćby i złe. Człowiek w jego wieku poznał już wszystkich przyjaciół, których prawdopodobnie będzie miał. Poznawało się przyjaciół przyjaciół. Życie się zacieśniało. Jackson był głupi, płytki i okrutny, nie był typem człowieka, którego JB by cenił, który byłby wart jego czasu. Wiedział to. I właśnie dlatego się z nim trzymał: żeby zniesmaczyć swoich przyjaciół, pokazać im, że nie wiążą go ich oczekiwania. To było głupie, głupie, głupie. To była hucpa. A cierpiał przez to tylko on.

– Przecież nie możesz lubić tego gościa – powiedział kiedyś Willem.

A JB, chociaż wiedział dokładnie, co przyjaciel ma na myśli, udał, że nie wie, zgrywał chojraka.

– Czemu nie, Willem? – spytał. – On jest cholernie zabawny. I chce mu się coś robić. I jest w pobliżu, gdy kogoś potrzebuję. Więc czemu nie? No?

To samo dotyczyło narkotyków. Branie nie było hardcorowe, nie było śmiałe, nie czyniło go bardziej interesującym. Ale było czymś, czego nie powinien robić. W obecnych czasach, jeśli miało się poważne podejście do sztuki, nie brało się dragów. Pobłażliwość, nawet sama idea pobłażliwości, zniknęła, należała do epoki bigbitu, AbExes, Ops i Pops. Obecnie czasami paliło się trawkę. *Ewentualnie*, raz na jakiś czas, gdy było się w nastroju mocno ironicznym, wciągało się kreskę kokainy. Ale na tym koniec. To była era dyscypliny, deprywacji, a nie inspiracji, a przynajmniej inspiracja nie oznaczała narkotyków. Nikt ze znanych i szanowanych – Richard, Ali, Azjatycki Henry Young – nie używał ani dragów, ani cukru, ani kofeiny, ani soli, ani mięsa, ani glutenu, ani nikotyny. Czas artystów ascetów. W bardziej buntowniczych momentach JB próbował udawać, że branie narkotyków jest tak passé, tak przebrzmiałe, że z powrotem stało się cool. Ale sam wiedział, że to nieprawda. Tak jak wiedział, że nie jest prawdą, że dobrze się bawi na sex parties urządzanych czasem w pełnym pogłosu mieszkaniu Jacksona w Williamsburgu, gdzie zmieniające konfigurację grupki miękkoskórych ludzi obściskiwały się na oślep i gdzie po raz pierwszy chłopiec, zbyt smukły, młody i bezwłosy, żeby być w jego typie, powiedział, że chce, żeby JB patrzył, jak on ssie krew z zadanej sobie rany. JB omal się nie roześmiał. Ale powstrzymał śmiech i rzeczywiście przyglądał się, jak chłopak rozcina sobie biceps, a potem przekrzywia głowę, żeby spijać krew (wyglądał jak liżący się kot), i poczuł dławiący ból współczucia.

„Och, JB, chciałbym mieć ładnego białego chłopczyka", jęknął kiedyś jego były i obecny przyjaciel Toby. Na to wspomnienie JB uśmiechnął się blado. On też. Też chciał tylko ładnego białego chłopczyka, a nie tę salamandrowatą kreaturę, tak bladą, że prawie przezroczystą, zlizującą z siebie własną krew w rzekomo najbardziej erotycznym zachowaniu świata.

Na wiele pytań znał odpowiedzi, ale na jedno nie: jak się z tego wykaraskać? Jak się powstrzymać? Oto on, praktycznie uwięziony w swojej pracowni, dosłownie ukradkiem wyglądający na korytarz, żeby się upewnić, że nie nadciąga Jackson. Jak miał mu uciec? Jak miał odzyskać swoje życie?

Następnego wieczoru po tym, jak pozwolił Jude'owi opróżnić swoją kryjówkę, zadzwonił wreszcie do Jude'a i ten zaprosił go do siebie, ale JB odmówił, więc Jude przyszedł do niego. JB siedział i gapił się w ścianę, kiedy przyjaciel gotował mu obiad – risotto z krewetkami. Potem Jude podał mu talerz i oparł się o blat, żeby obserwować, jak on je.

– Mogę prosić o dokładkę? – zapytał jak zwykle po pierwszej porcji, a Jude nałożył mu dokładkę.

JB nie uświadamiał sobie, jak bardzo był głodny; jego ręka drżała, gdy podnosił łyżkę do ust. Pomyślał o sobotnio-niedzielnych obiadach u matki, na które nie chodził, odkąd umarła babcia.

– Nie palniesz mi kazania? – spytał wreszcie, a Jude pokręcił głową.

Zjadłszy, JB usiadł na sofie i oglądał telewizję bez dźwięku, nie widząc właściwie nic, ale odczuwając przyjemność z migotania magmy obrazów, Jude tymczasem pozmywał, a potem usiadł na sofie obok niego i zaczął studiować notatki.

Telewizja nadawała jeden z filmów Willema, ten, w którym Willem grał oszusta w małym irlandzkim miasteczku. Cały jego lewy policzek był poznaczony bliznami. JB zatrzymał się na tym kanale i nie tyle śledził akcję, ile wpatrywał się w twarz Willema o powoli poruszających się ustach.

– Stęskniłem się za nim – powiedział i zaraz sobie uprzytomnił, jak niewdzięcznie to brzmi. Lecz Jude odłożył pióro i spojrzał na ekran.

– Ja też – przyznał i obaj zapatrzyli się na przyjaciela, tak odległego od nich w tej chwili.

– Nie idź – poprosił Jude'a, zasypiając. – Nie zostawiaj mnie.

– Dobrze – obiecał Jude, a JB wiedział, że dotrzyma słowa.

Kiedy się zbudził wcześnie następnego ranka, leżał na sofie, ale okrywała go kołdra, a telewizor był wyłączony. No i był Jude, wciśnięty w drugi koniec kanapy: spał jeszcze. JB zawsze czuł się po trosze urażony skrytością Jude'a, jego unikami i tajemniczością, ale w tej chwili czuł tylko wdzięczność i podziw dla przyjaciela. Usiadł w fotelu obok niego, badając wzrokiem jego twarz, którą tak uwielbiał malować, jego czuprynę w trudnym do określenia kolorze, wspominając, ile mieszania, ilu odcieni wymagało właściwe odtworzenie go na płótnie.

Dam radę – obiecywał bezgłośnie Jude'owi. – Dam radę.

Tylko że najwyraźniej nie dawał. Siedział w pracowni i nie było jeszcze pierwszej, a tak strasznie chciało mu się palić, tak strasznie, że w wyobraźni nie widział nic oprócz fajki ze szkła zmatowiałego od resztek białego popiołu, a był dopiero pierwszy dzień jego próby niebrania narkotyków i już ten dzień – albo on sam – z niego drwił. Otaczały go jedyne rzeczy, na których mu zależało, obrazy

z nowej serii *Sekundy, minuty, godziny, dni*, dla której łaził za Malcolmem, Jude'em i Willemem całymi dniami, fotografując wszystko, co robili, a potem wybierał osiem do dziesięciu ujęć z każdego dnia do namalowania. Postanowił udokumentować typowy dzień pracy każdego z nich, wszystkie z tego samego miesiąca tego samego roku, i na każdym obrazie zapisywał imię sportretowanego, miejsce oraz godzinę wykonania zdjęcia.

Najbardziej zaawansowana była seria z Willemem. JB pojechał do Londynu, gdzie Willem był na zdjęciach do filmu *Spóźnieni,* a fotografie, które wybrał, przedstawiały Willema na planie i poza planem. Miał ulubione ujęcia swoich bohaterów: gdy idzie o Willema, był to obraz *Willem, Londyn, 8 października 9.08*, na którym tamten siedzi w fotelu w charakteryzatorni i patrzy na swoje odbicie w lustrze, gdy tymczasem charakteryzatorka unosi mu brodę palcami lewej ręki, a prawą za pomocą pędzelka pudruje mu twarz. Willem ma spuszczone oczy, ale i tak wiadomo, że patrzy na siebie, dłońmi zaś ściska poręcze fotela, jakby jechał kolejką górską i bał się, że gdy je puści, to wypadnie. Blat dzielący go od lustra usiany jest loczkami drewna ze świeżo zatemperowanych kredek do brwi – wyglądają jak strzępy koronki – i pootwieranymi paletami cieni, z których każdy był odcieniem czerwonego, wszystkie czerwienie, jakie można sobie wyobrazić, i chusteczkami z rozmazaną czerwienią przypominającą krew.

Malcolma JB sfotografował z oddali późną nocą, siedzącego przy kuchennym stole w domu i zajętego budowaniem fantastycznych budynków z papieru ryżowego. Podobał mu się obraz *Malcolm, Brooklyn, 23 października 23.17*, lecz nie tyle z uwagi na kompozycję czy kolor, ile ze względów bardziej osobistych: w college'u zawsze wyśmiewał się z tych miniaturek budowanych przez Malcolma i wystawianych na parapecie, ale tak naprawdę podziwiał je i lubił patrzeć, jak Malcolm je konstruuje. Oddech mu się spowalniał, zachowywał kompletne milczenie, a jego ustawiczna nerwowość, która chwilami zdawała się wręcz namacalna, jak jakiś szczątkowy organ, ogon, znikała bez śladu.

Malował ich nie po kolei, tylko jak wypadło, ale do Jude'a jakoś nie mógł dobrać kolorów i dlatego miał najmniej jego portretów. Przeglądając zdjęcia, zauważył, że dzień każdego z jego przyjaciół jest określony, naznaczony pewną zgodnością tonalną: chodził za Willemem w dniach, kiedy ten kręcił scenę w zainscenizowanym dużym mieszkaniu w Belgravii, gdzie światło było specyficznie złociste, jak pszczeli wosk. Później, gdy wrócili do wynajmowanego przez Willema mieszkanka w Notting Hill, porobił zdjęcia przyjaciela czytającego w fotelu i tam też światło było żółtawe, chociaż mniej o konsystencji syropu, bardziej kruche, niczym skórka późnojesiennego jabłka. Przez kontrast świat Malcolma był niebieskawy: zarówno jego sterylne biuro z białymi marmurowymi blatami na Dwudziestej Drugiej Ulicy, jak i dom w Cobble Hill, który kupili z Sophie po ślubie. A Jude był szary,

ale srebrzyście szary, w odcieniu właściwym odbitkom żelatynowym, który bardzo trudno było oddać akrylami, chociaż JB znacznie rozcieńczał kolory, usiłując uchwycić mieniące się światło. Zanim zaczął malować, musiał najpierw znaleźć sposób na rozświetlenie szarości, która w dodatku miała być czysta, co było dość frustrujące, bo on przecież chciał tylko malować, a nie użerać się z kolorami.

Ale frustrowanie się własnymi obrazami – a nie potrafił nie myśleć o malowaniu jako o koledze i towarzyszu pracy, który na wstępie obiecywał przyjemną atmosferę współdziałania, a potem ni stąd, ni zowąd robił się zbuntowany i oporny jak nieznośny dwulatek – po prostu się zdarzało. Trzeba było malować dalej, aż pewnego dnia wyjdzie tak, jak się chciało.

Lecz podobnie jak obietnica dana samemu sobie – „Nie dasz rady! – piszczał irytujący drwiący diablik w jego głowie. – Nie dasz rady!" – obrazy również z niego drwiły. Do tej serii postanowił namalować również sekwencje swoich dni, a jednak przez ponad trzy lata nie znalazł dnia wartego udokumentowania. Starał się, zrobił sobie setki zdjęć w ciągu kilkudziesięciu dni, ale gdy je przeglądał, wszystkie wyglądały tak samo: JB wprowadzający się w stan odurzenia, bo tak właśnie było, o czym wiedział, był za bardzo na haju, żeby robić zdjęcia. Było w tych fotografiach coś jeszcze, co mu się nie podobało: nie chciał zawrzeć Jacksona w dokumentacji swojego życia, a jednak Jackson stale tam był. Nie podobał mu się jego głupawy uśmieszek na haju, nie lubił patrzeć, jak jego własna twarz z upływem nocy zmienia się z tłustej i pełnej nadziei w tłustą i chciwą. Nie taką wersję siebie chciał malować. Ale coraz częściej myślał sobie, że właśnie taką namalować powinien – przecież to w końcu było jego życie. Tym teraz był. Czasami budził się w ciemności i nie wiedział, gdzie jest ani która to godzina, ani jaki to dzień. Dni… nawet samo pojęcie dnia stało się drwiną. Nie potrafił już dokładnie określić, gdzie dzień się zaczyna, a gdzie kończy. „Pomóż mi – mówił głośno w takich chwilach – Pomóż mi". Ale sam nie wiedział, do kogo adresuje tę prośbę ani czego się spodziewa.

A teraz był zmęczony. Próbował. Była pierwsza trzydzieści w południe, piątek, piątek weekendu z Czwartym Lipca. Ubrał się. Pozamykał okna w pracowni, zamknął na klucz drzwi i zszedł po schodach cichego budynku.

– Chen – zawołał JB, a jego głos zabrzmiał donośnie na klatce schodowej. Udał, że wysyła ostrzeżenie artystom współlokatorom, że komunikuje komuś, kto może potrzebuje jego pomocy: – Chen, Chen, Chen.

Szedł do domu, szedł zapalić.

Obudził go straszliwy hałas, odgłos maszynerii, metalu trącego o metal, więc zaczął krzyczeć w poduszkę, żeby go zagłuszyć, aż uświadomił sobie, że to domofon, a wówczas wolno zwlókł się z łóżka i poczłapał do drzwi.

– Jackson? – spytał, przyciskając guzik domofonu, i sam usłyszał przerażenie w swoim głosie, usłyszał niepewność.

Chwila ciszy.

– Nie, to my – odezwał się głos Malcolma. – Wpuść nas.

JB wpuścił.

I nagle stanęli przed nim wszyscy trzej, Malcolm, Jude i Willem, jakby przyszli obejrzeć jego przedstawienie.

– Willem – powiedział JB. – Przecież ty powinieneś być w Kapadocji.

– Właśnie wczoraj wróciłem.

– Ale miało cię nie być do… – tyle wiedział – …do szóstego lipca. Mówiłeś, że wtedy wracasz.

– Jest siódmy lipca – odparł cicho Willem.

Wtedy JB się rozpłakał, ale był odwodniony i nie miał łez, więc tylko szlochał. Siódmy lipca: tyle dni stracił. Nic nie pamiętał.

– JB – powiedział Jude, podchodząc blisko – wyciągniemy cię z tego. Chodź z nami. Załatwimy ci pomoc.

– Okej – zgodził się, ciągle płacząc. – Okej, okej.

Stał otulony kocem, tak mu było zimno, ale dał się Malcolmowi doprowadzić do sofy, a kiedy Willem przyniósł mu sweter, posłusznie podniósł ręce, tak jak to robił, gdy był dzieckiem i ubierała go matka.

– Gdzie Jackson? – spytał Willema.

– Już ci nie będzie zawracał głowy – odezwał się Jude gdzieś z wysoka. – Nie martw się.

– Willem – powiedział JB – kiedy przestałeś być moim przyjacielem?

– Nigdy nie przestałem być twoim przyjacielem, JB – odparł Willem i usiadł obok niego. – Wiesz, że cię kocham.

JB oparł się i przymknął oczy; słyszał, że Jude z Malcolmem rozmawiają cicho, a potem Malcolm idzie w drugi koniec mieszkania, do sypialni, i deska przy łóżku zostaje podniesiona, a potem opuszczona na miejsce; w końcu rozległ się szum spuszczanej wody w toalecie.

– Jesteśmy gotowi – usłyszał Jude'a, więc wstał, a Willem razem z nim, i przyszedł Malcolm, i objął go przez plecy, i jako grupa ruszyli ku drzwiom, gdzie JB opadł paniczny lęk: jeżeli wyjdzie, na pewno zobaczy Jacksona, Jackson zjawi się nagle jak wtedy w kawiarni.

– Nie mogę wyjść – powiedział, przystając. – Nie chcę iść, nie zmuszajcie mnie.

– JB – zaczął Willem, ale coś w jego głosie, w samej jego obecności, tak go w tej chwili irracjonalnie rozwścieczyło, że strącił ramię Malcolma i odwrócił się twarzą do nich, czując w ciele nagły przypływ energii.

– Nie masz nic do gadania w mojej sprawie, Willem – powiedział. – Nigdy cię nie ma, nigdy mnie nie wspierałeś, nigdy nie dzwonisz, więc nie przychodź tu się ze mnie nabijać… „biedny, głupi, popieprzony JB, to ja, Willem Bohater, przychodzę cię zbawić", tylko dlatego że tak ci się zachciało, okej? Więc daj mi, kurwa, spokój.

– JB, ja wiem, że jesteś zdenerwowany – odparł Willem – ale nikt tu się z ciebie nie nabija, a ja najmniej.

Ale zanim jeszcze zaczął mówić, JB dostrzegł, że Willem zerka pospiesznie i – zdawało się – konspiracyjnie na Jude'a, co z jakiegoś powodu jeszcze bardziej go rozeźliło. Gdzie się podziały tamte dni, kiedy wszyscy nawzajem się rozumieli, kiedy on wyjeżdżał z Willemem na weekend, a po powrocie dzielili się wspomnieniami z Malcolmem i Jude'em, z Jude'em, który nigdy nigdzie nie wyjeżdżał, który nigdy nie dzielił się z nimi swoimi historiami? Jak to się stało, że to właśnie on, JB, został sam? Dlaczego porzucili go na pastwę Jacksona, który go niszczy? Dlaczego nie walczyli o niego bardziej? Dlaczego on sam zrujnował sobie życie? Dlaczego mu na to pozwolili? Chciał ich zmiażdżyć: chciał, żeby poczuli się tak nieludzcy, jak on się czuł.

– A ty – rzekł, zwracając się do Jude'a. – Chcesz wiedzieć, jak ja się, kurwa, mam? Zawsze się dowiadujesz cudzych sekretów, a sam nigdy nie powiedziałeś o sobie jednej pierdolonej rzeczy? Co to ma być, Jude? Uważasz się za członka klubu, a nigdy nie masz nam nic do powiedzenia? No to ci powiem, że to, kurwa, tak nie działa, wszyscy cię, kurwa, mamy dość.

– Wystarczy, JB – zgasił go ostro Willem, łapiąc go za ramię, lecz on nagle poczuł w sobie siłę i wyrwał się z uchwytu, tańcząc na swoich niespodziewanie zwinnych nogach w stronę regału.

Patrzył na Jude'a, który stał w milczeniu, z twarzą nieruchomą i wielkimi oczami, prawie jakby czekał na dalszy ciąg mowy, na to, żeby JB dalej go ranił. Gdy JB pierwszy raz malował oczy Jude'a, poszedł do sklepu zoologicznego, żeby sfotografować zieloną żmiję, bo kolory były takie podobne. Lecz w tym momencie oczy Jude'a były ciemniejsze, prawie jak u żmii łąkowej, i JB głupio pożałował, że nie ma pod ręką farb, bo w tej chwili potrafiłby oddać ten odcień jak należy bez specjalnych przymiarek.

– To tak nie działa – powtórzył, zwracając się do Jude'a.

A potem, zanim pomyślał, odegrał Jacksonowe małpowanie Jude'a, tę wstrętną parodię: otwarte usta wydawały jęk imbecyla, prawą nogę wlókł za sobą jak kamień.

– Jestem Jude – bełkotał. – Jestem Jude St. Francis.

Przez parę sekund jego głos był w pokoju jedynym dźwiękiem, a jego ruchy jedynymi ruchami i w tych sekundach JB chciał przestać, ale nie mógł. I nagle Willem podbiegł do niego i ostatnią rzeczą, jaką JB zobaczył, była jego cofnięta pięść, a ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był trzask kości.

Ocknął się i nie wiedział, gdzie jest. Z trudem oddychał. Uprzytomnił sobie, że ma coś na nosie. Ale kiedy chciał podnieść rękę, żeby pomacać, co to takiego, okazało się, że nie może. Spojrzał w dół i zobaczył, że ma skrępowane nadgarstki, i zrozumiał, że jest w szpitalu. Zamknął oczy i przypomniał sobie: Willem go walnął. Potem sobie przypomniał za co i zacisnął powieki, wyjąc bezgłośnie.

Po chwili znów otworzył oczy. Obrócił głowę w lewo, gdzie brzydka biała zasłonka nie pozwalała zobaczyć drzwi. Potem obrócił głowę w prawo, ku wczesnoporannemu światłu, i zobaczył Jude'a śpiącego w fotelu przy jego łóżku. Fotel był dla Jude'a za ciasny, więc Jude skulił się w potwornie skręconą figurę: kolana podciągnął do klatki piersiowej, oparł na nich policzek, ramionami otoczył łydki.

Wiesz, Jude, nie powinieneś tak spać – powiedział do niego w myślach JB. – Plecy cię będą bolały, jak się obudzisz. Ale nawet gdyby mógł sięgnąć ręką i obudzić Jude'a, nie zrobiłby tego.

O boże, pomyślał. O boże. Co ja zrobiłem?

Przepraszam cię, Jude – powiedział w myślach i tym razem zdołał porządnie zapłakać: łzy ściekały mu na usta, razem ze śluzem, którego nie mógł obetrzeć. Ale był cicho, nie wydawał żadnych dźwięków. Przepraszam cię, Jude. Strasznie cię przepraszam – powtarzał sobie, a potem wyszeptał te słowa cicho, tak cichutko, że usłyszał tylko zamykające się i otwierające usta, nic więcej. Przebacz mi, Jude. Przebacz mi.

Przebacz mi. Przebacz mi.

Przebacz mi.

IV

Aksjomat równości

1

Wieczorem w przeddzień wyjazdu do Bostonu na ślub ich przyjaciela Lionela Jude dostaje wiadomość od doktora Li, że umarł doktor Kashen. „To był zawał, bardzo szybki", pisze doktor Li. Pogrzeb w piątek po południu.

Następnego ranka jedzie prosto na cmentarz, a z cmentarza do domu doktora Kashena, piętrowej drewnianej konstrukcji w Newton, gdzie profesor wydawał kolacje na zakończenie roku akademickiego dla wszystkich swoich studentów. Panował zwyczaj, że o matematyce się na tych przyjęciach nie rozmawia. „Możecie rozmawiać, o czym chcecie – mówił doktor Kashen – byle nie o matematyce". Tylko na przyjęciach u doktora Kashena Jude nie był najmniej otrzaskaną towarzysko osobą w salonie (nie był także, nieprzypadkowo, najmniej błyskotliwy) i profesor od niego właśnie zaczynał konwersację. „Aa, Jude – mawiał. – Czym się ostatnio interesujesz?". Co najmniej dwaj jego koledzy studenci – obaj doktoranci – cierpieli na łagodną formę autyzmu; Jude widział, ile ich kosztuje prowadzenie rozmowy, jak ciężko pracują nad właściwym zachowaniem przy stole, toteż przed tymi kolacjami robił mały przegląd nowości w grach komputerowych (które jeden z nich uwielbiał) i tenisie (za którym przepadał drugi), żeby zadać im pytania, na które zdołają odpowiedzieć. Doktor Kashen chciał, żeby jego studenci znaleźli pracę, więc obok nauczania matematyki uznał za swój obowiązek wdrożenie im ogłady towarzyskiej, nauczenie ich, jak się zachowywać pośród ludzi.

Czasami w kolacjach uczestniczył syn doktora Kashena, Leo, pięć czy sześć lat starszy od Jude'a. On też był autystykiem, lecz w odróżnieniu od Donalda i Mikhaila jego autyzm był widoczny na pierwszy rzut oka i na tyle poważny, że chociaż Leo ukończył szkołę średnią, to nie zdołał zaliczyć więcej niż jednego semestru college'u, w związku z czym udało mu się dostać tylko pracę programisty w spółce telekomunikacyjnej, gdzie przez cały dzień siedział w małym pokoiku, ustawiając ekran za ekranem kodów. Był jedynym dzieckiem doktora Kashena i wciąż mieszkał u niego, tak jak siostra doktora, która wprowadziła się do nich rok temu, po śmierci jego żony.

W domu zmarłego Jude rozmawia z Leo, który jest jak za szklaną ścianą i mamrocze, odwracając od niego głowę, a potem z siostrą doktora Kashena, emerytowaną nauczycielką matematyki w Northeastern.

– Jude – mówi ona. – Wspaniale cię widzieć. Dzięki, że przyszedłeś. – Ściska jego rękę. – Mój brat bardzo często o tobie wspominał.

– Był świetnym nauczycielem – odpowiada Jude. – Bardzo wiele mi dał. Niezmiernie mi przykro.

– Tak. To było takie nagłe. I biedny Leo… – Patrzą oboje na Leo, który gapi się przed siebie. – Nie mam pojęcia, jak on sobie poradzi. – Całuje Jude'a na dobranoc. – Jeszcze raz dziękuję.

Na dworze panuje kąśliwy mróz, przednia szyba jest zalodzona. Jude jedzie powoli do Harolda i Julii, sam sobie otwiera drzwi i woła ich po imieniu.

– No, jest nareszcie! – mówi Harold, wyłaniając się z kuchni i wycierając ręce ścierką do naczyń. Obejmuje Jude'a, co od pewnego czasu zaczął robić, Jude zaś, którego to krępuje, myśli sobie, że jeszcze bardziej krępujące byłoby tłumaczenie Haroldowi, dlaczego wolałby, żeby przestał.

– Strasznie mi przykro z powodu Kashena, Jude. To szokująca wiadomość. Wpadłem na niego na korcie jakieś dwa miesiące temu i wyglądał kwitnąco.

– Tak było – potwierdza Jude, odwijając szalik, a Harold odbiera od niego płaszcz. – Wcale nie był taki stary, siedemdziesiąt cztery.

– Jezu – wzdycha Harold, który właśnie skończył sześćdziesiąt pięć. – Ale jest i dobra wiadomość. Zostaw swoje rzeczy w pokoju i przyjdź do kuchni. Julia utknęła na zebraniu, ale za jakąś godzinkę powinna wrócić.

Jude rzuca torbę w pokoju gościnnym – „pokój Jude'a", mówią o nim Harold i Julia, „twój pokój" – przebiera się z garnituru i idzie do kuchni, gdzie Harold zagląda do garnka na kuchence jak do studni.

– Próbuję ugotować bolognese – wyznaje Harold, nie odwracając się – ale coś się dzieje nie tak i ciągle się rozwarstwia, widzisz?

Jude patrzy.

– Ile dodałeś oliwy?

– Dużo.

– Co znaczy dużo?

– Naprawdę dużo. Pewnie za dużo.

Jude się uśmiecha.

– Ja to zrobię.

– Dzięki bogu! – Harold z ulgą odsuwa się od kuchenki. – Miałem nadzieję, że tak powiesz.

Przy kolacji rozmawiają o ulubionym naukowcu Julii, który jej zdaniem może chcieć się przenieść do innego laboratorium, i o ostatnich plotkach krążących po wydziale prawa, i o antologii esejów *Brown versus Komisja Edukacji*, który Harold redaguje, i o jednej z córek bliźniaczek Laurence'a, która wychodzi za mąż, a potem Harold mówi z szerokim uśmiechem:

– A więc, Jude, wielkie urodziny już blisko.

– Za trzy miesiące – wtrąca Julia, a Jude wydaje głuchy jęk. – Co urządzasz?

– Pewnie nic.

Niczego nie zaplanował i Willemowi także zabronił planować. Dwa lata temu urządził dla Willema wielkie przyjęcie urodzinowe na jego czterdziestkę na Greene Street, więc chociaż wszyscy czterej obiecywali sobie, że każdą czterdziestkę będą świętować poza domem, jakoś nic z tego nie wyszło. W dniu urodzin Willem był jeszcze na zdjęciach w Los Angeles, ale potem wyjechali do Botswany na safari. Tylko we dwóch, bo Malcolm pracował nad projektem w Pekinie, a JB… cóż, Willem nawet nie wspomniał o zaproszeniu JB, więc Jude też nie.

– Coś przecież musisz urządzić – mówi Harold. – Możemy wydać kolację tutaj albo na mieście.

Jude się uśmiecha, ale kręci głową.

– Czterdzieści to czterdzieści – mówi. – Kolejny rok i tyle.

A przecież w dzieciństwie nie przypuszczał, że dożyje czterdziestki. Przez wiele miesięcy po incydencie miewał sny o sobie jako dorosłym. Były to sny bardzo mętne – nigdy nie był pewien, gdzie mieszka ani co robi, chociaż w snach tych zwykle chodził, a czasem biegał – ale zawsze był w nich młody. Wyobraźnia nie pozwalała mu wkroczyć w wiek średni.

By zmienić temat, opowiada im o pogrzebie doktora Kashena, podczas którego mowę wygłosił doktor Li. „Ludzie, którzy nie lubią matematyki, zawsze oskarżają matematyków o próby skomplikowania tej dziedziny – powiedział. – Ale każdy, kto kocha matematykę, wie, że jest dokładnie na odwrót: matematyka nagradza prostotę, którą matematycy cenią ponad wszystko. Dlatego wcale nie dziwi, że ulubiony aksjomat Waltera był zarazem najprostszym w dziedzinie matematyki: był to aksjomat pustego zbioru.

Aksjomat pustego zbioru to aksjomat zera. Mówi on, że musi istnieć pojęcie nicości, że musi istnieć pojęcie zera: wartości zerowej, ilości zerowej. Matematyka zakłada, że pojęcie nicości istnieje, ale czy to zostało udowodnione? Nie. Jednakże istnieć musi.

Jeśli na to spojrzymy od strony filozoficznej – a dzisiejszy dzień sprzyja filozofii – to możemy powiedzieć, że samo życie jest aksjomatem pustego zbioru. Zaczyna się od zera i kończy zerem. Wiemy, że oba te stany istnieją, ale żadnego z tych doświadczeń nie będziemy świadomi: są to stany będące konieczną częścią życia, nawet jeżeli nie mogą być doświadczane jako życie. Zakładamy pojęcie nicości, lecz nie jesteśmy w stanie go udowodnić. A jednak istnieć musi. Zatem ja wolę myśleć, że Walter nie umarł, tylko udowodnił dla siebie aksjomat pustego zbioru, udowodnił pojęcie zera. Wiem, że nic innego nie uczyniłoby go szczęśliwszym. Elegancki umysł domaga się eleganckich rozwiązań, a Walter miał wyjątkowo elegancki umysł. Zatem mówię mu «do widzenia»; życzę mu odpowiedzi na aksjomat, który tak ukochał”.

Wszyscy przez chwilę milczą, kontemplując te słowa.

– Proszę cię, powiedz mi, że to nie jest *twój* ulubiony aksjomat – odzywa się nagle Harold, a Jude parska śmiechem.

– Nie – odpowiada. – Nie jest.

Następnego dnia wysypia się długo, a wieczorem idzie na ślub, gdzie zna prawie wszystkich, ponieważ oboje państwo młodzi mieszkali w Hood. Goście spoza Hood, czyli koledzy Lionela z Wellesley i Sinclaira z Harvardu, gdzie Sinclair wykłada historię Europy, trzymają się razem, jakby dla obrony, a miny mają znudzone i niedowierzające. Ślub jest luzacki i z lekka chaotyczny – Lionel zaraz po przybyciu gości rozdziela im zadania, które większość zaniedbuje: Jude ma pilnować, żeby wszyscy wpisali się do księgi pamiątkowej; Willem ma pomagać gościom w znajdowaniu miejsc – a ludzie kręcą się po sali, powtarzając, że dzięki Lionelowi i Sinclairowi, dzięki temu weselu, nie będą musieli lecieć na dwudzieste spotkanie absolwentów w tym roku. Są wszyscy: Willem z dziewczyną Robin; Malcolm z Sophie; JB z nowym chłopakiem, którego Jude jeszcze nie zna, za to już wie, zanim jeszcze sprawdził wizytówki przy miejscach, że będą siedzieli przy jednym stole.

– Jude! – witają go ludzie, których nie widział od lat. – Jak się masz? Gdzie JB? Rozmawiałam właśnie z Willemem! Przed chwilą widziałem Malcolma! – A potem: – Dalej się trzymacie razem, tak jak kiedyś?

– Jeszcze ze sobą rozmawiamy – odpowiada Jude. – Chłopakom świetnie się wiedzie. – Taką odpowiedź ustalili wspólnie z Willemem. Zastanawia się, co mówi JB, czy prześlizguje się nad prawdą tak jak on i Willem, czy może kłamie wprost, czy też w napadzie swoistej szczerości wali prawdę w oczy: „Nie. Prawie ze sobą nie gadamy. Właściwie to ostatnio rozmawiam tylko z Malcolmem".

Jude nie widział JB od wielu miesięcy. Oczywiście dochodzą go o nim słuchy przez Malcolma, przez Richarda, przez Czarnego Henry'ego Younga. Ale już się nie spotykają, bo chociaż minęły blisko trzy lata, Jude nie jest w stanie mu wybaczyć. Próbował wielokrotnie. Wie, że jest zacięty, podły, niemiłosierny. Ale nie może. Gdy widzi JB, to zawsze w tamtej nieszczęsnej parodii, w której JB potwierdza wszystkie jego lęki na temat własnego wyglądu, wszystkie obawy o to, co inni o nim myślą. Nigdy jednak nie przypuszczał, że tak samo widzą go przyjaciele, a przynajmniej nie sądził, że mu to okażą. Trafność parodii rozdziera mu serce, ale jeszcze bardziej boli fakt, że to właśnie JB ją odegrał. Późną nocą, gdy nie może zasnąć, widzi niekiedy obraz JB wlokącego się w świetle półksiężyca, z rozdziawionymi, śliniącymi się ustami, z dłońmi zakrzywionymi w szpony: Jestem Jude. Jestem Jude St. Francis.

Tamtej nocy, gdy już zawieźli JB do szpitala i zarejestrowali go (JB był w stuporze, kiedy go wieźli, ale potem oprzytomniał i wpadł we wściekłość, był agresywny, darł się bełkotliwie na nich wszystkich, szarpał się z sanitariuszami, wyrywał się, aż wreszcie dali mu zastrzyk uspokajający i sflaczałego

odciągnęli korytarzem), Malcolm pojechał do domu jedną taksówką, a on z Willemem drugą, na Perry Street.

W taksówce Jude nie był w stanie spojrzeć na Willema, a nie mając nic, co odwróciłoby uwagę – żadnych formularzy do wypełnienia, żadnych lekarzy do informowania – poczuł, że robi mu się zimno, chociaż była upalna, duszna noc, i ręce zaczęły mu drżeć, więc Willem ujął jego prawą dłoń w swoją lewą i tak trzymał przez resztę długiej, milczącej jazdy do centrum.

Był przy JB, kiedy ten się obudził. Postanowił tam zostać, aż mu się polepszy; nie mógł wtedy opuścić JB, w końcu spędzili ze sobą tyle czasu. Dyżurowali na zmianę; on po pracy siadywał przy szpitalnym łóżku i czytał. Niekiedy JB się budził, ale przez większość czasu spał. Trwał proces odtruwania, lecz lekarz odkrył przy okazji, że JB ma infekcję nerek, więc zatrzymali go na głównym oddziale, pod kroplówkami. Z twarzy JB pomału schodził obrzęk. Kiedy się budził, błagał Jude'a o wybaczenie, niekiedy dramatycznie i rozdzierająco, czasem zaś – kiedy był przytomniejszy – cicho. Te rozmowy były dla Jude'a najtrudniejsze.

– Jude, ja cię strasznie przepraszam – mówił JB. – Byłem taki upierdolony. Proszę cię, powiedz, że mi wybaczasz. Byłem okropny. Kocham cię, przecież wiesz. Nigdy bym nie chciał sprawić ci przykrości, nigdy.

– Wiem, że byłeś upierdolony, JB – odpowiadał. – Wiem.

– No to powiedz, że mi wybaczasz. Proszę cię, Jude.

Jude milczał.

– Wszystko będzie okej, JB – mówił w końcu, ale „wybaczam ci" nie przechodziło mu przez gardło. Nocami, w samotności, powtarzał wielokrotnie: Wybaczam ci. Wybaczam ci. To takie proste, strofował sam siebie. A JB poczułby się lepiej. Powiedz to – rozkazywał sobie, widząc błagalny wzrok JB, jego oczy o zażółconych, mętnych białkach. Powiedz to. A jednak nie mógł. Wiedział, że pogarsza stan JB, wiedział to, a jednak nie był w stanie powiedzieć „wybaczam ci". Słowa stawały się kamieniami, trzymał je pod językiem. Nie mógł ich uwolnić, po prostu nie mógł.

Później, kiedy JB wydzwaniał do niego noc w noc z odwyku, natrętny i drobiazgowy, Jude wysłuchiwał milcząco jego monologów o tym, jak to JB staje się lepszym człowiekiem, jak sobie uświadamia, że na nikim w życiu nie może polegać, tylko na sobie, i o tym, że on, Jude, musi wiedzieć, że w życiu są inne rzeczy, a nie tylko praca, i że trzeba nauczyć się żyć każdą chwilą każdego dnia i kochać siebie. Jude słuchał, oddychał i nie mówił nic. A potem JB wrócił do domu i musiał się na nowo przystosować; przez kilka miesięcy żaden z przyjaciół nie miał z nim bliższego kontaktu. JB stracił wynajmowane mieszkanie, więc przeniósł się z powrotem do matki i tam odbudowywał swoje życie.

Aż nagle pewnego dnia zadzwonił. Był początek lutego, mniej więcej siedem miesięcy, odkąd go wzięli do szpitala. Chciał się spotkać z Jude'em i pogadać. Jude zaproponował spotkanie w kawiarni Clementine, w pobliżu domu Willema, a przeciskając się między ciasno ustawionymi stolikami, zrozumiał nagle, czemu wybrał to miejsce – bo było za małe i za ciasne, żeby JB mógł go tu parodiować. Uświadomiwszy to sobie, poczuł się głupkiem i tchórzem.

Dawno nie widział JB, który teraz przechylił się nad stolikiem i objął go, lekko, ostrożnie, zanim siadł z powrotem.

– Fantastycznie wyglądasz – powiedział Jude.

– Dzięki – odrzekł JB. – Ty też.

Przez jakieś dwadzieścia minut rozmawiali o życiu JB. JB przystąpił do grupy anonimowych narkomanów, Crystal Meth Anonymous. Zamierzał mieszkać z matką przez najbliższe kilka miesięcy, a potem zdecydować, co dalej. Wrócił do pracy, nad tą samą serią, nad którą pracował, zanim odleciał.

– To wspaniale, JB – powiedział Jude. – Jestem z ciebie dumny.

A potem zapadła cisza i obaj gapili się na ludzi. Parę stolików od nich siedziała dziewczyna z długim złotym łańcuszkiem, który zwijała i rozwijała na palcach. Jude patrzył, jak dziewczyna rozmawia z koleżanką, zwijając i rozwijając łańcuszek, aż w końcu spojrzała na niego – wówczas odwrócił głowę.

– Jude – zaczął JB. – Chciałem ci powiedzieć… całkiem na trzeźwo… że strasznie cię przepraszam. To było skandaliczne. To było… – Pokręcił głową. – To było okrutne. Nie umiem… – Znowu zamilkł i zapadła cisza. – Strasznie mi przykro – powiedział. – Przepraszam.

– Wiem, JB – odparł Jude i opadł go taki smutek, jakiego nie doznał nigdy przedtem. Inni ludzie bywali dla niego okrutni, traktowali go haniebnie, ale to nie byli ludzie, których on kochał, to nie byli ludzie, co do których miał nadzieję, że widzą go jako kogoś integralnego i nieuszkodzonego. JB był pierwszy.

A przecież JB był także jednym z jego pierwszych przyjaciół. Gdy Jude dostał ataku w akademiku, po którym koledzy odwieźli go do szpitala, gdzie poznał Andy'ego, to JB, powiedział mu potem Andy, wniósł go na rękach i JB zażądał, żeby go przyjęto bez kolejki, i narobił takiego rabanu na erce, że go wyrzucili – ale przedtem wezwali lekarza do Jude'a.

Jude widział miłość, jaką darzy go JB, na jego obrazach. Przypominało mu się pewne lato w Truro, gdy obserwując JB w trakcie rysowania, poznał po wyrazie jego twarzy, po nikłym uśmiechu i niespiesznym, delikatnym ruchu ręki wędrującej po papierze, że JB rysuje coś, co jest mu drogie, co uważa za skarb.

– Co rysujesz? – zapytał, a JB odwrócił się do niego i uniósł notes, a Jude zobaczył, że to jest jego portret, jego twarz.

Och, JB – pomyślał. – Och, będę za tobą tęsknił.

– Czy możesz mi wybaczyć, Jude? – spytał JB i popatrzył mu w oczy.

Nie znalazł słów, mógł tylko pokręcić głową.

– Nie mogę, JB – powiedział wreszcie. – Nie mogę. Kiedy na ciebie patrzę, widzę… – Urwał. – Nie mogę – powtórzył. – Przepraszam cię, JB, strasznie mi przykro.

– Och – powiedział JB i z trudem przełknął ślinę.

Siedzieli tak długo, nic nie mówiąc.

– Zawsze będę ci życzył samych cudownych rzeczy – odezwał się w końcu Jude, a JB wolno pokiwał głową, nie patrząc na niego.

– No – mruknął i wstał.

Jude także wstał i wyciągnął rękę do JB, który popatrzył na nią jak na nieznany obiekt, jak na coś, czego jeszcze nigdy nie widział; przyglądał jej się spod zmrużonych powiek. I w końcu ujął dłoń Jude'a, ale zamiast nią potrząsnąć, pochylił głowę, przytknął do niej wargi i tak przytrzymał. A potem zwrócił mu rękę i nieomal wybiegł z kawiarni, potrącając małe stoliki.

– Przepraszam, przepraszam – mamrotał po drodze.

Jude od czasu do czasu widuje JB, głównie na imprezach, zawsze w jakiejś grupie; są wobec siebie grzeczni i serdeczni. Uprawiają small talk, co jest najboleśniejsze. JB już więcej nie próbował obejmować go ani całować; podchodzi do niego z wyciągniętą ręką, Jude ją ujmuje, wymieniają uścisk. Jude posłał JB kwiaty – z możliwie najkrótszym bilecikiem – na wernisaż *Sekund, minut, godzin, dni*, i chociaż wtedy nie przyszedł, wybrał się do galerii w następną sobotę, po drodze do pracy, i spędził tam godzinę, posuwając się wolno od obrazu do obrazu. JB zamierzał włączyć też siebie do tej serii, ale w końcu tego nie zrobił. Byli tylko Jude i Malcolm, i Willem. Obrazy były piękne, lecz oglądając je, Jude nie myślał o życiu przedstawionym, tylko o życiu, które je stworzyło – tak wiele z nich powstało w czasie największej niedoli, największej bezradności JB, a jednak dzieła tchnęły pewnością siebie, były subtelne, ich widok pozwalał wyobrazić sobie empatię, czułość i wdzięk osoby, która je stworzyła.

Malcolm pozostał w przyjaźni z JB, chociaż miał wrażenie, że powinien się z tego wytłumaczyć przed Jude'em.

– Och nie, Malcolm – zaprotestował Jude, gdy ten wyznał mu swój grzech, prosząc o pozwolenie. – Powinieneś się jak najbardziej dalej z nim przyjaźnić.

Jude nie chce, żeby wszyscy opuścili JB, nie chce, żeby Malcolm dowodził swojej lojalności wobec niego, wyrzekając się JB. Chce, żeby JB miał przyjaciela, kogoś, kogo zna od osiemnastego roku życia, od czasów, gdy był najzrywniejszą, najbystrzejszą postacią w szkole, o czym on sam i wszyscy wiedzieli.

Willem jednak nigdy więcej nie odezwał się do JB. Gdy tamten wrócił po odwyku, Willem do niego zadzwonił i oznajmił, że nie mogą już być przyjaciółmi z powodu, który JB zna. I to był koniec. Jude był zaskoczony i zasmucony, ponieważ zawsze uwielbiał patrzeć, jak Willem z JB się zaśmiewają, jak dogryzają jeden drugiemu, i słuchać, jak opowiadają mu swoje życie. Byli nieustraszeni, tacy śmiali; byli jego emisariuszami w mniej zamkniętym, bardziej radosnym świecie. Zawsze umieli czerpać ze wszystkiego przyjemność, a on to w nich podziwiał i odczuwał wdzięczność za to, że chcą się z nim tym dzielić.

– Wiesz, Willem – powiedział kiedyś. – Mam nadzieję, że powodem twojego nierozmawiania z JB nie jest ta historia ze mną.

– Oczywiście, że ta historia z tobą – odparł Willem.

– Kiedy to nie jest powód – zaprotestował on.

– Oczywiście, że jest – odrzekł Willem. – Trudno o lepszy.

Nigdy wcześniej tego nie robił, więc skąd miał wiedzieć, jakim powolnym, smutnym i trudnym procesem jest zakończenie przyjaźni. Richard wie, że ani Jude, ani Willem nie rozmawiają już z JB, ale nie wie dlaczego – a przynajmniej nie wie od Jude'a. Teraz, po latach, Jude nie ma już nawet do JB żalu; po prostu nie może zapomnieć. Odkrywa, że jakaś drobna, ale niedająca się zignorować jego cząstka stale się zastanawia, czy JB tamtego nie powtórzy; odkrywa, że boi się zostać z JB sam na sam.

Dwa lata temu, w pierwszym roku, gdy JB nie przyjechał do Truro, Harold zapytał Jude'a, czy coś między nimi zaszło.

– Nigdy już o nim nie wspominasz – zauważył.

– No tak – zaczął Jude, nie wiedząc, jak kontynuować. – W gruncie rzeczy nie jesteśmy już przyjaciółmi, Haroldzie.

– Przykro mi, Jude – powiedział Harold po chwili milczenia, on zaś kiwnął głową. – Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

– Nie. – Skupił się na obrywaniu czubków od rzodkiewek. – To długa historia.

– I uważasz, że nie da się naprawić?

Jude pokręcił głową.

– Nie sądzę.

Harold westchnął.

– Przykro mi, Jude – powtórzył. – Musisz się podle czuć. – Zamilkł na chwilę. – Zawsze lubiłem widzieć waszą czwórkę razem, wiesz? Mieliście w sobie coś szczególnego.

Jude znów kiwnął głową.

– Wiem – powiedział. – Zgadzam się. Brakuje mi go.

Ciągle tęskni za JB; wydaje mu się, że nigdy nie przestanie. Brakuje mu JB zwłaszcza przy takich okazjach jak ten ślub, kiedy spędziliby noc we czterech, śmiejąc się i gadając o wszystkich, budzący zazdrość i prawie obsceniczni we wspólnej przyjemności, przyjemności czerpanej z siebie nawzajem. Ale teraz JB i Willem witają się skinieniem głowy przez stół, a Malcolm mówi bardzo szybko, żeby pokryć napięcie, i siedzą z nimi przy stole trzy inne osoby, które oni czterej (zawsze będzie o nich myślał jako o czterech, „my czterej") zaczynają intensywnie wypytywać o wszystko, śmiejąc się głośno z ich dowcipów, posługując się nimi jak mimowolnymi ludzkimi tarczami. Jude siedzi obok chłopaka JB – takiego miłego białego chłopczyka, o jakim JB zawsze marzył – który ma dwadzieścia parę lat, właśnie odebrał dyplom z pielęgniarstwa i jest wyraźnie zafascynowany JB.

– Jaki był JB w college'u? – pyta Oliver, a Jude odpowiada:

– Bardzo podobny do dzisiejszego: wesoły, dowcipny, szokujący i ostry. I utalentowany. Zawsze, zawsze był utalentowany.

– Hmm – mówi z namysłem Oliver, spoglądając na JB, który przysłuchuje się Sophie z przesadną uwagą. – Mnie się JB nigdy nie wydaje wesoły.

Wtedy i on spogląda na JB, zastanawiając się, czy diagnoza Olivera jest błędna, czy też JB w istocie stał się kimś innym, kimś, kogo Jude nie rozpoznałby teraz jako osoby, którą znał przez tyle lat.

Pod koniec wieczoru następuje wymiana całusów i uścisków dłoni, a kiedy Oliver – któremu JB najwyraźniej nic nie powiedział – mówi do Jude'a, że powinni się skumplować we trzech, bo on zawsze chciał poznać Jude'a jako jednego z najstarszych przyjaciół JB, ten się uśmiecha i odpowiada niezobowiązująco, po czym macha z daleka do JB i wychodzi na zewnątrz, gdzie już czeka na niego Willem.

– Jak się bawiłeś? – pyta Willem.

– Okej. – Na uśmiech odpowiada uśmiechem. Wydaje mu się, że te spotkania z JB są jeszcze trudniejsze dla Willema niż dla niego. – A ty?

– Okej – mówi Willem.

Jego dziewczyna podjeżdża do krawężnika; zatrzymali się w hotelu. – Zadzwonię do ciebie jutro, dobra?

Po powrocie do Cambridge Jude wchodzi do śpiącego domu i cichutko skrada się do łazienki, gdzie wyciąga swoją torebkę spod luźnej płytki przy sedesie i tnie się aż do chwili, gdy czuje kompletną

pustkę, trzymając przy tym ręce nad wanną i patrząc, jak porcelana zabarwia się szkarłatem. Jak zawsze po spotkaniu z JB zastanawia się, czy podjął słuszną decyzję. Zastanawia się, czy wszyscy oni – Willem, JB, Malcolm – będą leżeli bezsennie w łóżkach dłużej niż zwykle, rozmyślając o sobie nawzajem i o rozmowach, dobrych i złych, które odbyli ze sobą przez ponad dwadzieścia lat przyjaźni.

Ach – myśli Jude – gdybym był lepszym człowiekiem. Gdybym był szczodrzejszym człowiekiem. Gdybym był mniej egocentrycznym człowiekiem. Gdybym był odważniejszym człowiekiem.

Potem wstaje, przytrzymując się wieszaka na ręczniki: za bardzo się pociął i jest mu słabo. Podchodzi do dużego lustra na wewnętrznej stronie drzwi szafy w sypialni. W jego mieszkaniu na Greene Street nie ma dużych luster. „Żadnych luster – zapowiedział Malcolmowi. – Nie lubię ich". Nie chce się konfrontować z własnym obrazem, nie chce oglądać swojego ciała, swojej twarzy gapiącej się na niego.

Ale tu, u Harolda i Julii, jest duże lustro, więc Jude staje przed nim na parę sekund, kontemplując swój obraz, po czym przyjmuje zgarbioną pozę, jaką miał tamtego wieczoru JB. JB miał rację, myśli. Miał rację. I właśnie dlatego nie mogę mu wybaczyć.

Rozdziawia usta. Podryguje w kółeczko. Wlecze za sobą nogę. Jego jęki wypełniają powietrze w cichym, spokojnym domu.

W pierwszą sobotę maja jedzą swoją tak zwaną ostatnią wieczerzę w maleńkiej, bardzo drogiej restauracji sushi niedaleko jego biura na Pięćdziesiątej Szóstej. Restauracja ma tylko sześć miejsc, wszystkie przy szerokim blacie z jedwabistego cyprysowego drewna. Przez trzy przesiedziane tam godziny są jedynymi klientami.

Chociaż obaj zdawali sobie sprawę z tego, ile ta kolacja będzie kosztowała, na widok rachunku szczęki im opadają i obaj zaczynają się śmiać, chociaż Jude nie jest pewien, co ich tak rozśmieszyło: absurdalność wydawania takiej sumy na jeden posiłek, to, że aż tyle wydali, czy raczej to, że ich na to stać.

– Ja stawiam – mówi Willem, ale gdy sięga po portfel, kelner przynosi kartę kredytową Jude'a, którą ten wręczył mu, gdy Willem był w łazience. – A niech cię, Jude – mówi Willem i uśmiecha się szeroko.

– To ostatnia wieczerza, Willem. Możesz postawić mi taco, jak wrócisz.

– Jeżeli wrócę – odpowiada Willem. To ich stary dowcip. – Dzięki, Jude. Nie ty miałeś za to zapłacić.

Jest pierwsza ciepła noc w tym roku, więc Jude mówi, że jeśli Willem rzeczywiście chce mu podziękować za kolację, to niech się z nim przespaceruje.

– Jak daleko? – pyta czujnie Willem. – Nie będziemy chyba szli aż do SoHo, Jude?

– Niedaleko.

– Mam nadzieję. Bo jestem naprawdę zmęczony.

To jest nowa strategia Willema, która bardzo mu się podoba. Zamiast tłumaczyć Jude'owi, że nie powinien czegoś robić, bo to mu szkodzi na nogi albo na kręgosłup, Willem siebie przedstawia jako niezdolnego do wysiłku. Ostatnio stale jest zbyt zmęczony na spacer albo coś go boli, albo jest za gorąco, albo za zimno. Jude wie, że to wszystko nieprawda. W którąś sobotę po południu, gdy odwiedzili kilka galerii, Willem oświadczył, że za nic nie przejdzie z Chelsea do Greene Street („Jestem zbyt zmęczony"), więc wrócili taksówką. Ale następnego dnia na lunchu, który jedli z Robin, ta powiedziała:

– Piękny był wczoraj dzień, prawda? Jak Willem wrócił do domu, pobiegaliśmy… ile? Z osiem mil, nie, Willem? Wzdłuż szosy, tam i z powrotem.

– Naprawdę? – spytał Jude, spoglądając na Willema, który uśmiechnął się do niego potulnie.

– Cóż mogę powiedzieć? – spytał bezradnie. – Niespodziewanie wróciła mi energia.

Ruszają na południe, najpierw skręcają na wschód od Broadwayu, żeby nie musieli przechodzić przez Times Square. Willem ma ufarbowane na ciemno włosy do następnej roli i nosi brodę, więc nikt go nie poznaje, ale i tak żaden z nich nie ma ochoty utknąć w tłumie turystów.

Jude widzi Willema ostatni raz przed prawdopodobnie ponadpółroczną przerwą. We wtorek Willem leci na Cypr, gdzie zaczynają filmować *Iliadę* i *Odyseję*; w obydwu gra Odyseusza. Filmy kręcone będą jeden po drugim i jeden po drugim wejdą na ekrany, z tą samą obsadą i tym samym reżyserem. Zdjęcia zabiorą Willema w podróż przez całą południową Europę i północną Afrykę, po czym przeniosą się do Australii, gdzie kręcone będą niektóre sceny batalistyczne, a ponieważ tempo pracy jest duże, a odległości do przemierzania znaczne, nie wiadomo, czy Willem będzie miał dużo czasu, jeżeli w ogóle, aby wpadać do domu w przerwach między zdjęciami. To najdroższa i najambitniejsza produkcja, w jakiej Willem dotąd uczestniczył, więc jest zdenerwowany.

– To będzie nadzwyczajny film, Willem – zapewnia go Jude.

– Albo nadzwyczajna klapa – odpowiada Willem.

Nie jest ponury, nigdy mu się to nie zdarza, ale Jude widzi, że przyjaciel jest spięty, że bardzo chce dobrze wypaść i martwi się nie wiedzieć czemu, że rozczaruje. Ale martwi się tak przed każdym filmem, a przecież – przypomina mu Jude – jak dotąd wszystkie się udały, i to lepiej niż dobrze. Ale właśnie dlatego, myśli Jude, Willem będzie zawsze miał pracę, i to dobrą pracę, bo bierze swój zawód poważnie, bo czuje się odpowiedzialny.

On natomiast boi się najbliższych sześciu miesięcy, zwłaszcza że Willem był tak bardzo obecny przez ostatnie półtora roku. Najpierw kręcił nieduży film, którego akcja rozgrywała się na Brooklynie,

i trwało to zaledwie parę tygodni. Potem grał w teatrze, w sztuce *Dodo z Malediwów*, o dwóch braciach ornitologach, z których jeden popada pomału w nieokreślone szaleństwo. Przez cały okres grania tej sztuki – którą Jude widział wiele razy, jak każdy spektakl z przyjacielem – on i Willem jedli co czwartek późną kolację. Na trzecim przedstawieniu Jude spostrzegł JB z Oliverem, zaledwie parę rzędów przed sobą po lewej stronie widowni, i przez cały spektakl zerkał nia nich ukradkiem, żeby sprawdzić, czy JB się śmieje lub skupia na tych samych co on kwestiach, przez cały czas mając świadomość, że jest to pierwsza rola Willema, której nie obejrzeli we trzech, jako grupa.

– Słuchaj, Jude – mówi Willem, gdy idą Piątą Aleją, wyludnioną, oświetloną tylko światłem wystaw sklepowych, nad którą w lekkim wietrzyku wirują nieliczne śmieci: plastikowe torebki nadęte powietrzem na podobieństwo meduz i strzępy gazet. – Obiecałem Robin, że o czymś z tobą pogadam.

Jude czeka. Bardzo uważał, żeby z Robin i Willemem nie popełnić tego samego błędu co z Philippą i Willemem. Kiedy Willem proponuje, żeby gdzieś z nimi poszedł, Jude upewnia się, że ustalił to najpierw z Robin (aż wreszcie Willem mówi, żeby przestał o to dopytywać, bo Robin wie, ile Jude dla niego znaczy, i nie ma nic przeciwko temu, a gdyby miała cokolwiek przeciwko temu, to musiałaby przestać mieć), a poza tym Jude próbuje przedstawić się Robin jako człowiek niezależny, który raczej nie wprowadzi się do nich, gdy będzie stary (nie bardzo wie, jak przekazać ten komunikat, więc nie jest pewien, czy już mu się to udało, czy nie). Ale lubi Robin – jest wykładowczynią filologii klasycznej na Columbii i dwa lata temu zatrudniono ją jako konsultantkę przy filmie Willema, i ma cierpkie poczucie humoru, czym jakoś przypomina Jude'owi JB.

– Okej – mówi Willem, nabiera głęboko tchu i prostuje się.

O nie, myśli Jude.

– Pamiętasz przyjaciółkę Robin, Clarę?

– Jasne. Tę, którą poznałem w Clementine.

– Tak! – woła triumfalnie Willem. – Właśnie ją!

– O boże, Willem, miejże trochę wiary we mnie, to było raptem tydzień temu!

– Wiem, wiem. No, w każdym razie chodzi o to, że… ona się tobą interesuje.

Jude'a na chwilę zatyka.

– Jak to?

– Pytała Robin, czy jesteś singlem. – Willem robi pauzę. – Powiedziałem jej, że według mnie nie interesuje cię chodzenie z kimkolwiek, ale obiecałem, że cię spytam. No więc pytam.

Pomysł jest tak niedorzeczny, że Jude dopiero po chwili łapie, o co chodzi Willemowi, a wówczas przystaje i zaczyna się śmiać, zażenowany i niedowierzający.

– Zgrywasz się, Willem – mówi. – To przecież śmieszne.

– Dlaczego śmieszne? – pyta Willem, poważniejąc. – Dlaczego, Jude?

– Willem – mówi Jude, gdy już opanowuje śmiech. – To mi pochlebia. Ale… – Krzywi się i znów parska śmiechem. – To absurd.

– Co jest śmieszne? – chce wiedzieć Willem, a Jude czuje, że ta rozmowa przybiera nowy obrót. – Że komuś się spodobałeś? Nie pierwszy raz, zapewniam cię. Po prostu tego nie dostrzegasz, bo sobie nie pozwalasz.

Jude kręci głową.

– Porozmawiajmy o czymś innym, Willem.

– Nie Nie wymigasz się tak łatwo, Jude. Dlaczego to cię śmieszy? Dlaczego uważasz, że to absurd?

Jude czuje się nagle tak speszony, że nagle przystaje, dokładnie na rogu Piątej i Czterdziestej Piątej, i zaczyna rozglądać się za taksówką. Ale taksówek oczywiście nie ma.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, sięga myślą wstecz do rozmowy, która miała miejsce parę dni po koszmarnej nocy w mieszkaniu JB, kiedy to spytał Willema, czy JB sparodiował go udatnie, przynajmniej częściowo. I czy Willem czuje do niego wstręt? Czy JB nie powiedział im prawdy?

Willem milczał tak długo, że Jude poznał odpowiedź, zanim ją usłyszał.

– Posłuchaj, Jude – rzekł wreszcie powoli. – JB był… JB stracił rozum. Nigdy nie mógłbym mieć ciebie dość. Nie jesteś mi winien swoich sekretów. – Przerwał na chwilę. – Ale owszem, chciałbym bardzo, żebyś bardziej się ze mną dzielił swoją osobą. Nie dla samej informacji, tylko dlatego, że może mógłbym ci pomóc. – Zamilkł i popatrzył na Jude'a.

Od tamtego czasu starał się mówić Willemowi więcej. Lecz jest tyle tematów, których nie poruszał z nikim od czasów Any, to już dwadzieścia pięć lat, że dosłownie brak mu języka, który nadawałby się do tych wyznań. Jego przeszłość, jego lęki, to, co z nim robiono, co on sam robił ze sobą, to są tematy, które można omawiać jedynie w językach mu nieznanych: farsi, urdu, mandaryńskim, portugalskim. Kiedyś spróbował zapisać pewne rzeczy, myśląc, że może to będzie łatwiejsze, ale nie. On sam nie wie, jak objaśnić siebie sobie.

„Znajdziesz własny sposób na mówienie o tym, co cię spotkało – przypomina sobie słowa Any. – Będziesz musiał, jeżeli kiedyś zechcesz się do kogoś zbliżyć".

Jude żałuje, jak to mu się często zdarza, że nie pozwolił jej mówić do siebie, że nie pozwolił, by go nauczyła, jak to się robi. Jego milczenie zaczęło się jako forma samoobrony, ale z czasem przerodziło się w formę samogwałtu, który nim rządzi, zamiast odwrotnie. Teraz już nie umie znaleźć drogi ucieczki, nawet kiedy chce. Wyobraża sobie, że pływa w małej bańce wody, uwięzionej z wszystkich stron przez ogromne bloki lodowca. Wie, że jakieś wyjście istnieje, ale nie ma odpowiedniego sprzętu i bezużytecznie skrobie dłońmi śliski lód. Kiedyś myślał, że nie mówiąc, kim jest, sprawia, że staje się

bardziej znośny, mniej obcy. Ale teraz właśnie to, czego nie mówi, czyni go obcym, obiektem współczucia, a nawet podejrzliwości.

– Jude? – przypomina się Willem. – Dlaczego to absurd?

Jude kręci głową.

– Bo tak.

Znowu rusza naprzód.

Od przecznicy do przecznicy nie mówią nic. Potem Willem pyta:

– Jude, czy ty kiedykolwiek masz chęć być z kimś?

– Nigdy nie myślałem, że z kimś będę.

– Nie o to pytałem.

– Nie wiem, Willem. – Nie jest w stanie spojrzeć mu w oczy. – Przypuszczam, że po prostu coś takiego jest nie dla mnie.

– Co to znaczy?

Jude znowu kręci głową, nie mówiąc nic, ale Willem nalega.

– Bo masz problemy zdrowotne? Dlatego?

Problemy zdrowotne – Jude powtarza w myśli z gorzką ironią. – To ci dopiero eufemizm. Ale nie mówi tego głośno.

– Willem, błagam cię, przestańmy o tym rozmawiać. Mieliśmy taki miły wieczór. To nasz ostatni, bo potem cię nie zobaczę. Czy moglibyśmy zmienić temat? Proszę cię.

Willem milczy aż do następnej przecznicy i Jude już myśli, że to koniec rozmowy, ale właśnie wtedy przyjaciel się odzywa:

– Wiesz, kiedy zacząłem chodzić z Robin, ona mnie zapytała, czy jesteś gejem, czy hetero, a ja musiałem jej powiedzieć, że nie wiem. – Robi pauzę. – Była w szoku. Kilka razy powtórzyła: „To twój najlepszy przyjaciel, odkąd byliście nastolatkami, a ty tego nie wiesz?". Philippa też mnie o ciebie podpytywała. I odpowiedziałem jej tak samo jak Robin: że jesteś skryty, a ja zawsze starałem się szanować twoją prywatność. Ale wydaje mi się, że to akurat mógłbyś mi powiedzieć, Jude. Nie po to, żebym zrobił użytek z tej informacji, ale po to, żebym lepiej rozumiał, kim jesteś. No bo może nie jesteś ani jednym, ani drugim. A może jednym i drugim. Może ta sfera życia po prostu cię nie interesuje. Dla mnie to bez różnicy.

Jude nie może, nie jest w stanie udzielić żadnej odpowiedzi, więc mijają w milczeniu dwie kolejne przecznice: Trzydziestą Ósma i Trzydziestą Siódmą. Jude jest świadom, że powłóczy prawą stopą po chodniku, co mu się zdarza, gdy jest zmęczony lub zestresowany, zbyt zmęczony lub zestresowany,

żeby się starać iść normalnie. Dobrze przynajmniej, że Willem idzie z jego lewej strony, jest mniejsze prawdopodobieństwo, że zauważy.

– Nieraz się martwię, że postanowiłeś sam siebie przekonać, że jesteś nieatrakcyjny i nie można cię kochać, i że pewne doświadczenia są dla ciebie nieosiągalne. Ale to nieprawda, Jude: każdy, kto byłby z tobą, uznałby się za szczęściarza – mówi Willem jedną przecznicę dalej.

Dość tego. Ton Willema, po którym można poznać, że ten szykuje się do dłuższej przemowy, przyprawia Jude'a o napięcie i śmieszne palpitacje serca.

– Willem – mówi Jude, odwracając się do niego. – Myślę, że jednak wezmę taksówkę. Zmęczyłem się, powinienem się położyć.

– Och, daj spokój, Jude – odpowiada Willem z takim zniecierpliwieniem, że Jude aż się wzdryga. – Przepraszam cię. Ale nie wygłupiaj się, Jude. Nie możesz uciekać, kiedy próbuję z tobą porozmawiać o czymś ważnym.

To go otrzeźwia.

– Masz rację – mówi. – Przepraszam. Jestem ci wdzięczny, Willem, naprawdę. Ale to dla mnie za trudny temat.

– Każdy temat jest dla ciebie za trudny – mówi Willem, a Jude znowu się wzdryga. Willem wzdycha. – Przepraszam. Ciągle myślę, że pewnego dnia porozmawiam z tobą naprawdę, ale nigdy do tego nie dochodzi, bo boję się, że wtedy ty się całkiem zamkniesz i przestaniesz ze mną gadać.

Milczą; Jude czuje się słusznie skarcony, bo wie, że Willem ma rację: niewątpliwie tak właśnie by postąpił. Kilka lat temu Willem spróbował porozmawiać z nim o cięciu. Wtedy też spacerowali, aż w pewnym momencie rozmowa stała się dla Jude'a tak nieznośna, że złapał taksówkę i wciągnął się do niej rozpaczliwym ruchem, a Willem został na chodniku, z niedowierzaniem wykrzykując jego imię. Jude przeklął się, zanim jeszcze taksówka ruszyła ostro na południe. Willem był wściekły; on przeprosił; pogodzili się. Ale Willem już nigdy więcej nie zaczął podobnej rozmowy, on tym bardziej nie.

– Ale powiedz mi, Jude, bywasz czasem samotny?

– Nie – odpowiada on po namyśle. Mija ich roześmiana para, a Jude wspomina początek spaceru, kiedy i oni się śmiali. Jak to się stało, że popsuł ten wieczór, ostatni przed rozstaniem na kilka miesięcy? – Nie musisz się o mnie martwić, Willem. Zawsze sobie poradzę. Zawsze będę w stanie o siebie zadbać.

Willem wzdycha, zapada się w siebie i wygląda na tak przegranego, że Jude doznaje poczucia winy. Lecz i ulgi, ponieważ czuje, że Willem już nie wie, jak ciągnąć tę rozmowę, więc wkrótce uda się zmienić temat i wieczór zakończy się przyjemnie, i znów uda się uciec.

– Zawsze tak mówisz.

– Bo to zawsze prawda.

Zapada długa, długa cisza. Stoją przed koreańską knajpką z grillem, w powietrzu gęstym od pary i dymu pieczonego mięsa.

– Mogę jechać? – pyta wreszcie on, a Willem kiwa głową.

Jude podchodzi do krawężnika i unosi rękę; taksówka podjeżdża natychmiast.

Willem otwiera przed nim drzwi, ale zanim Jude wsiada, otacza go ramionami, przytula i trzyma tak długo, że on w końcu robi to samo.

– Będę za tobą tęsknił – mówi Willem do jego karku. – Będziesz na siebie uważał, kiedy mnie nie będzie?

– Tak. Obiecuję. – Cofa się o krok i patrzy na Willema. – A więc, do listopada.

Willem robi minę, która nie jest do końca uśmiechem.

– Do listopada – odpowiada jak echo.

W taksówce Jude stwierdza, że naprawdę jest zmęczony. Opiera czoło o wysmarowaną szybę i przymyka oczy. Zanim dojeżdża do domu, czuje, że ciało ma jak z ołowiu. W mieszkaniu zaczyna zdejmować z siebie rzeczy – buty, sweter, koszulę, podkoszulek, spodnie – zaledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi; rzuca ubrania na podłogę, idąc do łazienki. Ręce mu drżą, kiedy odkleja torebkę spod umywalki, i chociaż nie przypuszczał, że tej nocy będzie się ciąć – dzień ani początek wieczoru wcale na to nie wskazywały – to teraz jest tego zgłodniały. Już dawno skończyła mu się gładka skóra na przedramionach, więc teraz rozcina stare blizny, przepiłowując żyletką zgrubiałą tkankę. Gdy świeże cięcia się zabliźniają, tworzą krostowate bruzdy, tak że Jude jest zdegustowany, skonsternowany i zafascynowany stopniem zniszczenia, jakie na sobie sprawił. Ostatnio zaczął używać kremu, który mu Andy przepisał na plecy i ramiona, i ma wrażenie, że to nieco pomaga: skóra jest jakby mniej napięta, blizny trochę bardziej miękkie i elastyczne.

Kabina prysznicowa, którą mu zainstalował Malcolm, jest ogromna, tak duża, że Jude może teraz ciąć się na siedząco z wyciągniętymi do przodu nogami. Potem starannie zmywa krew, ponieważ podłoga jest rozległą płaszczyzną marmuru, a Malcolm ostrzegał go wielokrotnie, że z marmurem raz zaplamionym nie da się nic zrobić. Leży w łóżku, lekko odurzony, ale nie śpiący; wpatruje się w ciemny, rtęciowy poblask żyrandola w półmrocznym pokoju.

– Jestem samotny – mówi głośno, a cisza mieszkania wchłania te słowa jak tampon krew.

Ta samotność jest jego niedawnym odkryciem i różni się od samotności, jakiej doświadczał dawniej: to nie jest dziecięca samotność nieposiadania rodziców ani samotność leżenia z otwartymi oczami w motelowym pokoju z bratem Lukiem, ostrożnie, byle się nie poruszyć, nie obudzić go, kiedy

księżyc kładzie na kołdrze twarde białe pasy, ani samotność ucieczki z domu dziecka, tej udanej, i nocy spędzonej w rozwidleniu konarów dębu, które się rozwierają jak para nóg, a on kuli się tam, próbując być jak najmniejszy. Wtedy myślał, że jest samotny, ale dzisiaj wie, że to nie była samotność, tylko lęk. Teraz się obwarował: ma własne mieszkanie z potrójnym zamkiem i ma pieniądze. Ma rodziców, ma przyjaciół. Nigdy więcej nie będzie musiał robić czegoś, czego nie chce, za jedzenie, za podwiezienie, za dach nad głową, za ucieczkę.

Nie oszukał Willema: nie jest stworzony do związku i nigdy się za takiego nie uważał. Nigdy nie zazdrościł kolegom ich związków – bo to jakby kot zazdrościł psu szczekania. Zazdrość o to nie przyszła mu nawet do głowy, ponieważ jest to niemożliwe, obce jego gatunkowi. Ale ostatnio ludzie zachowują się tak, jakby on mógł to mieć albo jakby chciał to mieć, i chociaż Jude wie, że robią tak z dobrego serca, to odbiera to jak drwinę: równie dobrze mogliby mu wmawiać, że może być lekkoatletą; byłoby to równie bezduszne i okrutne.

Spodziewa się tego po Malcolmie i Haroldzie. Po Malcolmie, bo on sam jest szczęśliwy i widzi tylko jedną – swoją – drogę do szczęścia, dlatego czasem zagaduje Jude'a, czy zamierza z kimś zamieszkać albo czy chce sobie kogoś znaleźć, i jest wstrząśnięty, kiedy Jude zaprzecza. Po Haroldzie, ponieważ wie, że dla Harolda ulubioną częścią roli rodzica jest wejście w życie Jude'a i zakorzenienie się w nim najlepiej, jak się da. To mu się nawet trochę podobało – wzruszało go, że ktoś interesuje się nim na tyle, żeby wydawać mu polecenia, żeby się rozczarowywać jego decyzjami, żeby mieć wobec niego oczekiwania, żeby czuć za niego odpowiedzialność posiadacza. Dwa lata temu byli z Haroldem w restauracji i Harold wygłosił mu kazanie o tym, że praca w Rosen, Pritchard i Klein uczyniła z niego narzędzie korporacyjnych malwersacji, aż w pewnej chwili obaj zdali sobie sprawę z tego, że obok stoi kelner z notesikiem do zamówień.

– Panowie wybaczą – powiedział kelner. – Może podejdę za chwilę?

– Nie, w porządku – rzekł Harold, otwierając menu. – Po prostu ochrzaniam syna, ale mogę kontynuować, jak już zamówimy.

Kelner uraczył Jude'a współczującym uśmieszkiem, który ten odwzajemnił, przejęty, że został nazwany synem w miejscu publicznym, że w końcu jest członkiem plemienia synów i córek. Później Harold podjął swoje utyskiwania, a on udał, że jest zmartwiony, ale w istocie był szczęśliwy przez cały wieczór, zadowolenie przenikało wszystkie komórki jego ciała i uśmiechał się tak szeroko, że w końcu Harold go spytał, czy nie jest pijany.

Ale teraz i Harold zaczął mu zadawać pytania.

– To fantastyczne miejsce – powiedział przy okazji wizyty w mieście w ubiegłym miesiącu, na urodzinowym przyjęciu, którego Jude kazał Willemowi nie wyprawiać, ale które Willem wyprawił mimo to.

Nazajutrz Harold zaszedł także do jego mieszkania, bo zawsze tak robił, poprzechadzał się po nim z podziwem, powtarzając to, co zawsze mówił: „To fantastyczne miejsce", „Jak tu czysto", „Malcolm spisał się na medal", a ostatnio także:

– Ale wielkie, Jude. Czy ty się tutaj nie czujesz samotny?

– Nie, Haroldzie – odpowiedział on. – Lubię być sam.

Harold chrząknął.

– Willem wydaje się szczęśliwy – powiedział. – Robin to chyba miła dziewczyna.

– Owszem – odparł, robiąc Haroldowi herbatę. – Ja też myślę, że jest szczęśliwy.

– A ty byś tak nie chciał?

Jude westchnął.

– Nie, Haroldzie, niczego mi nie brakuje.

– No a ja i Julia? – zapytał Harold. – Też byśmy chcieli widzieć cię z kimś.

– Wiesz, jak bardzo pragnę uszczęśliwić ciebie i Julię – odparł, usiłując panować nad głosem. – Ale obawiam się, że na tym polu wam nie pomogę. Proszę.

Podał Haroldowi herbatę.

Czasem się zastanawia, czy sama idea samotności jest czymś, co przyszłoby mu do głowy, gdyby go nie uczulono na fakt, że *powinien* czuć się samotny, że w jego życiu jest coś dziwnego i nie do przyjęcia. Zawsze znajdzie się ktoś, kto go spyta, czy nie tęskni za czymś, czego mu nigdy nie przyszło do głowy chcieć albo mieć: Harold i Malcolm oczywiście, ale także Richard, którego dziewczyna India, też artystka, praktycznie już się do niego wprowadziła, no i osoby, które widuje rzadziej, jak Citizen czy Elijah, czy Phaedra, czy nawet Kerrigan, jego dawna koleżanka z biura sędziego Sullivana, która zajrzała do Jude'a kilka miesięcy temu, będąc w mieście ze swoim mężem. Niektórzy wypytują go ze współczuciem, a niektórzy z podejrzliwością: pierwsza grupa lituje się nad nim, przyjmując, że samotność to nie jego wybór, tylko narzucony stan; druga grupa odczuwa wobec niego rodzaj wrogości, ponieważ sądzi, że samotność jest jego wyborem, zuchwałym pogwałceniem podstawowego prawa dorosłości.

Tak czy siak być singlem w wieku lat czterdziestu to nie to samo co być singlem trzydziestolatkiem i z każdym rokiem staje się to mniej zrozumiałe, mniej godne pozazdroszczenia, a bardziej żałosne i niestosowne. Od pięciu lat Jude uczestniczy sam w uroczystych kolacjach partnerów spółki, a rok temu, kiedy został pełnoprawnym partnerem, uczestniczył w dorocznym zjeździe wspólników także

sam. Na tydzień przed zjazdem, w piątek wieczorem, Lucien przyszedł do jego pokoju i usiadł, żeby przejrzeć tygodniowe rachunki, jak to często robił. Rozmawiali o zjeździe, który miał się odbyć w Anguilli i którego obydwaj z Lucienem bali się jak ognia, w przeciwieństwie do reszty partnerów, którzy udawali, że się boją, ale w istocie (co do tego byli z Lucienem zgodni) nie mogli się doczekać.

– Meredith jedzie z tobą? – spytał Jude.

– Tak.

Znowu cisza, w której Lucien gapił się w sufit.

– Nigdy nikogo nie przyprowadzasz na te imprezy, prawda? – spytał w końcu Lucien, jak zwykle ostrożnie.

– Prawda – potwierdził Jude, a potem, ponieważ Lucien milczał, dodał: – Próbujesz mi coś powiedzieć?

– Nie, skąd – odparł Lucien, patrząc na niego. – W tej firmie nie zwracamy uwagi na takie rzeczy, wiesz przecież.

Jude poczuł falę gniewu i zażenowania.

– Tylko że najwyraźniej zwracacie. Jeżeli zarząd coś mówi, Lucien, masz obowiązek mnie o tym poinformować.

– Jude, nikt nic nie mówi. Wiesz przecież, jak cię tu wszyscy szanujemy. Ja tylko myślę, i mówię to za siebie, a nie za firmę, że chciałbym cię widzieć ustatkowanego w jakimś związku.

– Okej, Lucien, dzięki – odrzekł ze znużeniem. – Wezmę to pod uwagę.

Ale przy całej swojej czułości na punkcie bycia normalnym, Jude nie chce związku dla pozorów: chce go, bo uświadomił sobie, że jest samotny. Jest tak samotny, że czasem odczuwa to fizycznie, jak namokły kłąb brudnej bielizny przygniatający mu pierś. Nie może się pozbyć tego uczucia. Ludzie mówią o tym tak lekko, jakby najtrudniejsza ze wszystkiego była sama decyzja, że się chce. Ale on wie lepiej: wie, że wiążąc się z kimś, musiałby się przed tym kimś obnażyć, czego dotąd nie zrobił przed nikim oprócz Andy'ego; musiałby skonfrontować się z własnym ciałem, którego nie widział bez ubrania od co najmniej dekady, bo nawet pod prysznicem na siebie nie patrzy. I oznaczałoby to konieczność uprawiania z kimś seksu, czego nie robił od piętnastego roku życia i co jest mu tak wstrętne, że na samą myśl o tym żołądek mu się napełnia czymś woskowatym i zimnym. Gdy zaczął chodzić do Andy'ego, ten nieraz go pytał, czy jest aktywny seksualnie, aż Jude mu w końcu powiedział, że jeśli to się stanie, to go na pewno poinformuje, a do tego czasu nie chce być o to pytany. Więc Andy nigdy więcej nie spytał, a on nigdy nie musiał udzielić tej informacji. Nie uprawiać seksu – to była jedna z najlepszych rzeczy w byciu dorosłym.

Jakkolwiek panicznie boi się seksu, to jednocześnie chce być dotykany, chce czuć na sobie czyjeś dłonie, chociaż sama myśl o tym także go przeraża. Czasami patrzy na swoje ręce i przepełnia go tak dzika nienawiść do siebie, że ledwo może oddychać. To, że jego ciało jest dziś takie, jakie jest, dokonało się w znacznej mierze poza jego kontrolą, ale ręce to jego własna robota i tylko do siebie może mieć o nie pretensje. Gdy zaczynał się ciąć, ciął po nogach – tylko po łydkach – a zanim się nauczył używać żyletki, przeciągał nią po skórze jak popadło, tak że wyglądał jak podrapany przez kolczaste chaszcze. Nikt nie zauważył, bo nikt nie przygląda się cudzym łydkom. Nawet brat Luke nie zawracał mu o nie głowy. Ale teraz to niemożliwe, żeby ktoś nie zauważył jego rąk albo pleców, albo nóg pożłobionych w tych miejscach, gdzie zniszczona tkanka i mięsień zostały usunięte, albo tych wgłębień grubości kciuka w miejscach, gdzie śruby szyn były kiedyś przytwierdzone do kości, albo jedwabistych spłachetków skóry tam, gdzie poparzył się w trakcie incydentu, albo tych miejsc, gdzie rany się zasklepiły, gdzie powstały kratery ciała okolone permanentnym brązem. Gdy ma na sobie ubranie, jest integralną osobą, ale rozebrany ukazuje się tym, kim naprawdę jest. Lata hańby odcisnęły się na jego skórze, jego ciało krzyczy o jego przeszłości, o jej znieprawieniu i zepsuciu.

Kiedyś w Teksasie miał klienta o groteskowym wyglądzie – tak grubego, że wielki fałd brzucha dyndał mu między nogami, pokrytego na całym ciele egzemą, ze skórą tak suchą, że kiedy się poruszał, upiorne jej strzępki ulatywały w powietrze z jego rąk i pleców. Na widok tego mężczyzny zrobiło mu się niedobrze, ale tak działał na niego widok wszystkich mężczyzn, więc w pewnym sensie ten nie był ani gorszy, ani lepszy od reszty. Kiedy robił mu laskę, brzuch faceta wciskał mu się w kark, a facet krzyczał, przepraszał go. „Przepraszam, przepraszam", powtarzał, wpijając mu w ciemię czubki palców. Miał długie paznokcie, grube jak kości, i przeciągał nimi po głowie Jude'a, ale łagodnie, jak zębami grzebienia. A teraz jest jakoś tak, jakby Jude przez lata stał się tamtym mężczyzną, dlatego wie, że każdy, kto by go zobaczył, poczułby obrzydzenie i mdłości na widok jego deformacji. Jude nie chce, żeby ktoś przez niego rzygał do sedesu, jak sam robił po fakcie, napełniając usta mydłem w płynie i dławiąc się jego smakiem, bo chciał z powrotem być czysty.

Więc nigdy więcej nie będzie musiał robić tego, czego nie chce, za jedzenie, za schronienie: to ostatecznie wie. Ale co chce zrobić, żeby poczuć się mniej samotnym? Czy może zniszczyć wszystko, co zbudował dla swojej intymności i co tak pilnie ochraniał? Ile upokorzenia jest w stanie znieść? Nie wie; boi się odkryć odpowiedź.

Tylko że coraz bardziej boi się też, że nie będzie miał szansy jej odkryć. Co znaczy być człowiekiem, jeżeli nie można mieć *tego*? Lecz przecież, przypomina sobie, samotność to nie jest głód ani ogołocenie, ani choroba: na to się nie umiera. Wykorzenienie samotności to nie jest coś, co mu się

należy. Ma lepsze życie niż większość ludzi, lepsze życie, niż kiedykolwiek się spodziewał. Chcieć do tego wszystkiego jeszcze towarzystwa wydaje się rodzajem pazerności, niechlubnym zawłaszczeniem.

Tygodnie mijają. Willem ma nieregularny harmonogram pracy i dzwoni do niego o dziwnych godzinach: o pierwszej w nocy, o trzeciej po południu. Po głosie sądząc, jest zmęczony, ale uskarżanie się nie leży w jego naturze, więc się nie uskarża. Opowiada o scenerii, o wykopaliskach, w których pozwolono im filmować, o drobnych przygodach na planie. Po wyjeździe Willema Jude coraz bardziej lubi przesiadywać w domu, nic nie robiąc, ale ponieważ wie, że to niezdrowe, postarał się wypełnić swój tydzień zdarzeniami, imprezami i kolacjami. Chodzi na wystawy do muzeów, chodzi do teatru z Czarnym Henrym Youngiem i do galerii z Richardem. Felix, którego uczył dawno temu, prowadzi teraz punkową kapelę Quiet Amerikans, więc Jude zabiera Malcolma na ich koncert. Opowiada Willemowi o tym, co widział i co czytał, o rozmowach z Haroldem i Julią, o ostatnim projekcie Richarda, o swoich klientach w organizacji non profit, o przyjęciu urodzinowym córeczki Andy'ego, o nowej pracy Phaedry, o ludziach, z którymi gadał, i o tym, co mówili.

– Jeszcze pięć i pół miesiąca – mówi Willem pod koniec którejś ich rozmowy.

– Jeszcze pięć i pół – powtarza Jude.

W ten czwartek idzie na kolację do nowego mieszkania Rhodesa, które mieści się w pobliżu domu rodziców Malcolma i które – jak mu się zwierzył Rhodes przy drinku – spędza mu sen z powiek. Rhodes budzi się w nocy i myśli o rachunkach; treść jego życia – czesne, hipoteka, utrzymanie, podatki – została sprowadzona do astronomicznych liczb.

– A i tak rodzice mi pomagają – biadoli Rhodes. – A Alex chce mieć następne dziecko. Mam czterdzieści pięć lat, Jude, i już jestem wrakiem; przyjdzie mi pracować do osiemdziesiątki, jak urodzi się trzecie.

Tego wieczoru jednak – Jude stwierdza to z ulgą – Rhodes wydaje się bardziej wyluzowany, ma zaróżowione kark i policzki.

– Jezu – mówi na powitanie – jak ty to robisz, że jesteś stale taki chudy?

Gdy się poznali w biurze prokuratora okręgowego, Rhodes wyglądał jak gracz w lacrosse, same mięśnie i ścięgna, ale odkąd przeszedł do banku, przytył i gwałtownie się postarzał.

– Mam wrażenie, że słowo, którego ci zabrakło, to „rachityczny" – odpowiada Jude.

Rhodes się śmieje.

– Wcale nie – mówi. – Ale teraz wybieram rachityczny.

Na kolacji jest jedenaście osób, więc Rhodes musi przynieść fotel od biurka ze swego gabinetu i ławkę z garderoby Alex. Jude pamięta z przyjęć u Rhodesa, że jedzenie zawsze jest świetne, że zawsze są kwiaty na stole i że zawsze coś wychodzi nie tak z liczbą i usadzeniem gości. A to Alex

zaprosi nową znajomą i zapomni o tym powiedzieć Rhodesowi, a to Rhodes źle policzy, i w rezultacie to, co w zamierzeniu miało być formalnym, zorganizowanym bankietem, przeradza się w wydarzenie chaotyczne i niezobowiązujące. „Cholera!", klnie zawsze Rhodes, ale tylko jemu to przeszkadza.

Alex siedzi po jego lewej stronie i Jude rozmawia z nią o jej pracy szefowej PR w firmie modowej Rothko, którą właśnie porzuciła, ku konsternacji Rhodesa.

– Tęsknisz już za pracą? – pyta Jude.

– Jeszcze nie – odpowiada Alex. – Wiem, że Rhodes nie jest z tego powodu szczęśliwy – uśmiecha się – ale mu przejdzie. Po prostu czuję, że powinnam zostać w domu, dopóki dzieci są małe.

Jude pyta o wiejski domek, który kupili w Connecticut (następne źródło nocnych koszmarów Rhodesa), a Alex opowiada mu o remoncie, który ciągnie się już trzecie lato; Jude mruczy współczująco.

– Rhodes mówił, że ty też rozglądałeś się za domkiem, gdzieś w hrabstwie Columbia – mówi Alex. – No i co, kupiłeś?

– Jeszcze nie – odpowiada.

Miał do wyboru: domek albo dokończenie z Richardem remontu parteru, doprowadzenie garażu do stanu używalności oraz budowę sali gimnastycznej i basenu – takiego ze sztucznym nurtem, żeby dało się pływać w miejscu – no i ostatecznie wybrał remont. Teraz pływa każdego ranka całkiem sam: nawet Richard nie wchodzi do części gimnastycznej, kiedy on tam jest.

– Z tym domkiem chcieliśmy właściwie poczekać – przyznaje Alex. – Ale nie mieliśmy wyboru, chcieliśmy, żeby dzieci miały podwórko, póki są małe.

Jude kiwa głową, już to słyszał od Rhodesa. Często odnosił wrażenie, że on i Rhodes (a także on i prawie wszyscy jego rówieśnicy w biurze) przeżywają równoległe wersje dorosłości. Światem tamtych rządzą dzieci, mali despoci, których potrzeby – szkoły, obozy letnie, zajęcia pozalekcyjne i korepetycje – dyktują wszelkie decyzje, i tak pozostanie przez najbliższe dziesięć, piętnaście, osiemnaście lat. Posiadanie dzieci wzbogaciło ich dorosłość o natychmiastowe i niezaprzeczalne poczucie celu i kierunku: dzieci determinują długość i miejsce spędzania wakacji, od potrzeb dzieci zależy, czy zostaną jakieś pieniądze, a jeżeli tak, to na co je wydać, dzieci nadają kształt dniom, tygodniom, latom, życiu. Dzieci są swoistym rodzajem kartografii – trzeba kierować się mapą, którą wręczają rodzicom w dniu swoich narodzin.

Lecz on i jego przyjaciele nie mają dzieci, a ich nieobecność sprawia, że świat rozciąga się przed nimi, niemal dławiąc od możliwości. Bez dzieci status człowieka jako dorosłego nigdy nie jest pewny, bo bezdzietny dorosły stwarza dorosłość sam dla siebie i jakkolwiek jest to często stan ekscytujący, to jest to zarazem stan ciągłej niepewności, ciągłej wątpliwości. Przynajmniej dla niektórych ludzi – na

pewno dla Malcolma, który ostatnio przeglądał z Jude'em listę argumentów za i przeciw w kwestii posiadania dzieci sporządzoną razem z Sophie, listę podobną do tej, którą ułożył, gdy się decydował, czy ożenić się z Sophie, cztery lata temu.

– Nie wiem, Mal – rzekł Jude, wysłuchawszy listy Malcolma. – Wygląda na to, że argumentem za jest poczucie powinności posiadania dzieci, a nie prawdziwa chęć.

– Oczywiście, że czuję, że powinienem mieć dzieci – odparł Malcolm. – Nie wydaje ci się, Jude, że my sami żyjemy w zasadzie jak dzieci?

– Nie. – Jude nigdy tak nie sądził: jego życie było tak dalekie od dzieciństwa, jak to tylko możliwe. – To głos twojego taty, Mal. Twoje życie nie byłoby ani trochę mniej wartościowe, ani trochę mniej uprawnione, gdybyś nie miał dzieci.

Malcolm westchnął.

– Może i tak. Może i masz rację. – Uśmiechnął się. – Chodzi o to, że ja właściwie nie chcę mieć dzieci.

Jude odpowiedział mu uśmiechem.

– No cóż. Zawsze można poczekać. Może kiedyś uda się adoptować smutnego trzydziestolatka.

– Może – powtórzył Malcolm. – Słyszę wszak, że zapanowała na to moda w pewnych rejonach kraju.

Alex przeprasza i wychodzi do kuchni pomóc Rhodesowi, który ją woła z narastającym ponagleniem – „Alex. Alex! *Alex*!" – Jude zaś zwraca się ku osobie po swojej prawej stronie. Nie pamięta z innych przyjęć u Rhodesa tego ciemnowłosego mężczyzny z nosem, który sądząc po wyglądzie, musiał być kiedyś złamany. Rozmowa początkowo przybiera zdecydowany kierunek, który nagle zdecydowanie się zmienia.

– Caleb Porter.

– Jude St. Francis.

– Niech zgadnę: katolik.

– Niech zgadnę: niekatolik.

Caleb się śmieje.

– Zgadza się.

Gadają, Caleb mówi, że właśnie przeprowadził się tu z Londynu, gdzie spędził dziesięć lat jako prezes firmy modowej, ponieważ ma objąć posadę nowego doradcy ekonomicznego w Rothko.

– Alex całkiem spontanicznie zaprosiła mnie wczoraj, więc pomyślałem – wzrusza ramionami – czemu nie? Miałem do wyboru dobrą kolację z miłymi ludźmi albo siedzenie w hotelowym pokoju i przeglądanie ofert nieruchomości.

Z kuchni dobiega metaliczny brzęk upuszczonej patelni i przekleństwo Rhodesa. Caleb spogląda na Jude'a, unosząc brwi, ale Jude się uśmiecha.

– Nie przejmuj się. To u nich normalka.

Przez resztę kolacji Rhodes usiłuje wciągnąć gości we wspólną konwersację, ale nic z tego nie wychodzi – stół jest za duży, a on nieroztropnie pousadzał przyjaciół obok siebie – więc Jude dalej gawędzi z Calebem. Caleb ma czterdzieści jeden lat, wychował się w hrabstwie Marin, a w Nowym Jorku zamieszkał dopiero po trzydziestce. Także studiował prawo, chociaż potem nigdy nie korzystał ze zdobytej wiedzy.

– Nigdy? – upewnia się Jude.

Zawsze ze sceptycyzmem przyjmuje takie oświadczenia; jest nieufny wobec ludzi, którzy twierdzą, że studia prawnicze były jedną wielką stratą czasu, trzyletnim błędem. A poza tym ma niezwykły sentyment do studiów prawniczych, które zapewniły mu nie tylko środki do życia, ale także pod wieloma względami sposób życia.

Caleb się zastanawia.

– No, może nie nigdy, ale na pewno nie tak, jak myślisz – odpowiada wreszcie. Ma głęboki, rozważny, powolny głos, jednocześnie kojący i nieco groźny. – Tym, co naprawdę mi się przydało, jest, wyobraź sobie, kodeks postępowania cywilnego. Znasz jakiegoś projektanta mody?

– Nie. Ale mam sporo znajomych artystów.

– No to wiesz, jak oni inaczej myślą. Im lepszy artysta, tym bardziej prawdopodobne, że okaże się kompletną nogą w biznesie. I tak to właśnie jest. Od dwudziestu paru lat pracuję w różnych firmach i muszę powiedzieć, że fascynujące jest obserwowanie pewnych wzorców zachowań – niedotrzymywanie terminów, przekraczanie budżetu, niekompetentne zarządzanie personelem – które się tak powtarzają, że zadajesz sobie pytanie, czy brak pewnych cech nie jest przypadkiem warunkiem wykonywania tego zawodu, czy też może sam zawód zachęca do tego rodzaju luk w myśleniu. Więc osoba na moim stanowisku musi stworzyć system zarządzania w ramach firmy i dopilnować, aby był egzekwowalny, z możliwością karania włącznie. Nie wiem, jak ci to dobrze wyjaśnić: nie możesz powiedzieć projektantom, że takie czy inne działanie to dobry biznes, bo dla nich to nic nie znaczy, przynajmniej dla niektórych, chociaż twierdzą, że rozumieją, więc należy przedstawić te działania jako reguły ich małego wszechświata i przekonać ludzi, że jeśli nie będą przestrzegali tych reguł, ten wszechświat się zawali. Jeżeli zdołasz ich o tym przekonać, będą działali tak, jak chcesz. To kompletne wariactwo.

– Więc dlaczego z nimi pracujesz?

– Dlatego że rzeczywiście myślą inaczej. To jest fascynujące. Niektórzy projektanci są w zasadzie analfabetami: dostajesz od nich wiadomość i widzisz, że ledwo konstruują proste zdania. Ale potem widzisz ich, jak szkicują albo po prostu zestawiają kolory, i to jest… no, nie wiem… cudowne. Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć.

– Nie trzeba, wiem, o czym mówisz – odpowiada Jude, myśląc o Richardzie, o JB, o Malcolmie i o Willemie. – To jest tak, jakby zostać dopuszczonym do sposobu myślenia, którego nie możesz sobie nawet wyobrazić, bo nie znasz języka, nie mówiąc już o wysłowieniu się.

– No właśnie – przytakuje Caleb i uśmiecha się do niego po raz pierwszy.

Kolacja się kończy, wszyscy piją kawę i Caleb wyplątuje nogi spod stołu.

– Będę się zbierał – mówi. – Zdaje mi się, że wciąż żyję w czasie londyńskim. Ale miło było cię poznać.

– Nawzajem – mówi Jude. – Naprawdę bardzo miło. Powodzenia w organizowaniu systemu cywilnego zarządzania w Rothko.

– Dziękuję, przyda się – mówi Caleb i już ma wstać, ale zatrzymuje się i pyta: – Nie miałbyś ochoty zjeść kiedyś razem kolacyjkę?

Przez moment Jude jest sparaliżowany. Ale zaraz karci się w duchu: nie ma się przecież czego bać. Caleb dopiero co przeniósł się do miasta, a Jude dobrze wie, jak trudno znaleźć kogoś do pogadania, jak trudno znaleźć przyjaciół, gdy pod twoją nieobecność wszyscy przyjaciele pozakładali rodziny i stali się dla ciebie obcy. Chodzi o rozmowę, nic więcej.

– Świetny pomysł – mówi, po czym wymieniają wizytówki.

– Nie wstawaj – mówi Caleb, podnosząc się z krzesła. – Będziemy w kontakcie.

Jude patrzy, jak jego nowy znajomy – który jest wyższy, niż mu się zdawało, przynajmniej dwa cale wyższy od niego, o potężnych barach – dudniącym basem żegna się z Alex i Rhodesem, po czym wychodzi, nie odwracając się.

Na drugi dzień dostaje od niego wiadomość i umawiają się na kolację w czwartek. Późnym popołudniem Jude dzwoni do Rhodesa, żeby mu podziękować za przyjęcie, i podpytuje o Caleba.

– Wstyd powiedzieć, ale nie zamieniłem z nim ani słowa – przyznaje Rhodes. – Alex go zaprosiła w ostatniej chwili. To jest właśnie ten problem z naszymi przyjęciami. I po co ona zaprasza kogoś, kto przejmuje firmę, z której ona właśnie odchodzi?

– Więc nic o nim nie wiesz?

– Nic a nic. Alex mówi, że jest szanowany i że Rothko mocno walczył, żeby go ściągnąć z Londynu, ale to wszystko, co wiem. Czemu pytasz? – Jude słyszy nieomal, jak Rhodes się uśmiecha. – Tylko mi nie mów, że rozszerzasz bazę klientów, wykraczając poza błyszczący światek ubezpieczeń i farmacji?

– Kiedy właśnie to robię, Rhodes – odpowiada Jude. – Dzięki raz jeszcze. I przekaż podziękowania Alex.

Przychodzi czwartek i Jude spotyka się z Calebem w izakaya w zachodnim Chelsea. Kiedy już zamówili, Caleb mówi:

– Wiesz, przyglądałem ci się przez całe przyjęcie, starając się odgadnąć, skąd cię znam, i nagle sobie uświadomiłem: z obrazu Jeana-Baptiste'a Mariona! Miał go dyrektor kreatywny w mojej poprzedniej firmie. Prawdę mówiąc, chciał, żeby to firma zapłaciła za ten obraz, ale to oddzielna historia. To naprawdę wierny wizerunek twojej twarzy; jesteś sportretowany na dworze, w tle widać latarnię.

– Zgadza się. – Coś takiego przydarzyło się już Jude'owi parę razy i za każdym razem budziło w nim niepokój. – Wiem, o który obraz ci chodzi; to z trzeciej serii, *Sekundy, minuty, godziny, dni*.

– No właśnie – potwierdza Caleb i uśmiecha się. – Jesteście blisko z Marionem?

– Już nie tak bardzo – odpowiada Jude i jak zawsze wyznanie to jest bolesne. – Ale w college'u mieszkaliśmy razem; znam go od lat.

– To fantastyczna seria – mówi Caleb i omawiają inne prace JB, a także Richarda, którego Caleb też zna, i Azjatyckiego Henry'ego Younga; gadają też o zbyt małej liczbie przyzwoitych japońskich restauracji w Londynie, o siostrze Caleba, która mieszka w Monako ze swoim drugim mężem i sporą gromadką dzieci; i o rodzicach Caleba, którzy już nie żyją, zmarli po długich chorobach, gdy on był po trzydziestce; i o domu w Bridgehampton, który kolega Caleba ze studiów prawniczych wypożyczył mu na lato, bo sam wyjeżdża do Los Angeles. A potem następuje dłuższa rozmowa o Rosen, Pritchard i o bałaganie finansowym, który zostawił w Rothko odchodzący dyrektor ekonomiczny, i Jude jest przekonany, że Calebowi chodzi nie tylko o przyjaźń, ale też, potencjalnie, o reprezentację prawną, i zaczyna się zastanawiać, kto w jego firmie powinien wziąć na siebie odpowiedzialność za przedsiębiorstwo Caleba. Myśli, że powinien to dać Evelyn, która jest jedną z młodszych pracownic i firma omal jej nie straciła rok temu na rzecz, nomen omen, domu mody, gdzie Evelyn miała zostać doradcą. Evelyn nadawałaby się do tego – jest bystra i interesuje się branżą; dobrze by tam pasowała.

Rozmyśla tak, gdy Caleb nagle pyta:

– Jesteś singlem? – A po chwili, ze śmiechem: – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Przepraszam – mówi Jude, zaskoczony, ale uśmiechnięty. – Owszem, jestem. Ale… właśnie niedawno miałem podobną rozmowę z przyjacielem.

– I co ci powiedział ten przyjaciel?

– Powiedział… – zaczyna Jude, ale milknie, zażenowany i skonfundowany nagłą zmianą tematu i tonu rozmowy. – Nic – kończy, na co Caleb się uśmiecha prawie tak, jakby usłyszał dokładną relację z tamtej rozmowy, i nie naciska.

Jude natomiast już myśli, jak opowie ten wieczór Willemowi, zwłaszcza ostatnią wymianę zdań. Wygrałeś, Willem, powie mu, a jeśli Willem spróbuje jeszcze raz poruszyć ten temat, postanawia pozwolić mu na to i obiecuje sobie, że tym razem nie będzie unikał jego pytań.

Płaci i wychodzą na ulicę, gdzie pada deszcz, nie bardzo, ale dostatecznie, żeby nie było wolnych taksówek i ulice lśniły jak lukrecja.

– Jestem samochodem – mówi Caleb. – Mogę cię gdzieś podrzucić?

– Nie będzie to dla ciebie problem?

– Absolutnie.

Jadą w stronę centrum, ale zanim docierają do Greene Street, leje już jak z cebra, tak że przez szybę nie da się rozróżnić kształtów, tylko kolory, plamy czerwieni i żółci ulicznych świateł – oto miasto zredukowane do trąbienia klaksonów i bębnienia deszczu o dach samochodu, tak głośnego, że ledwie się słyszą nawzajem. Zatrzymują się i Jude już ma wysiąść, gdy Caleb każe mu zaczekać: ma parasol i odprowadzi go pod dom. Jude nie zdążył nawet zaprotestować, gdy Caleb wysiada i rozkłada parasol, pod którym kulą się obydwaj. Dopadają hallu i słyszą za sobą huk zatrzaskujących się drzwi: stoją w ciemnym korytarzu.

– A to ci piekielny przedsionek – mówi cierpko Caleb, spoglądając na gołą żarówkę. – Chociaż ma w sobie jakiś szyk schyłku imperium. – Jude parska śmiechem, a Caleb się uśmiecha. – Czy Rosen, Pritchard wie, że mieszkasz w takim miejscu? – pyta, po czym, zanim Jude zdołał odpowiedzieć, nachyla się i całuje go, bardzo mocno, tak że przyciska go plecami do drzwi, zamykając go w klatce ramion.

W tym momencie Jude traci świadomość: świat i on sam wymazują się z istnienia. Już dawno, dawno nikt go nie całował. I przypomina sobie poczucie bezradności, ilekroć się to zdarzało, i radę brata Luke'a, żeby tylko otworzył usta, odprężył się i nic nie robił, więc teraz – z nawyku i niezdolności zrobienia czegokolwiek innego – to właśnie robi i czeka, aż będzie po wszystkim, odliczając sekundy i starając się oddychać przez nos.

Wreszcie Caleb odsuwa się o krok i patrzy na niego, a on po chwili odwzajemnia spojrzenie. Wtedy Caleb robi to ponownie, tym razem przytrzymując twarz Jude'a w dłoniach, i Jude doznaje uczucia, jakie zawsze miał jako dziecko, gdy go całowano, że jego ciało nie jest jego, że każdy gest, który wykonuje, jest z góry ustalony, odruch po odruchu, i że nie może zrobić nic innego, jak tylko poddać się temu, co się zdarzy za chwilę.

Caleb znów odstępuje o krok i patrzy na niego z uniesionymi brwiami, tak jak spoglądał na przyjęciu Rhodesa, czekając, aż on coś powie.

– Myślałem, że szukasz adwokata – odzywa się w końcu Jude. Te słowa są tak idiotyczne, że czuje, iż twarz mu pąsowieje.

Tamten jednak się nie śmieje.

– Nie – mówi. Znów długa cisza, po czym Caleb pyta: – Nie zaprosisz mnie na górę?

– Nie wiem – mówi Jude.

Brakuje mu Willema, chociaż nie jest to problem, w którym Willem mu kiedykolwiek pomógł, nie jest to nawet problem, który Willem w ogóle nazwałby problemem. Jude wie, jakim jest powściągliwym i ostrożnym człowiekiem, i chociaż powściągliwość i ostrożność gwarantują, że nigdy nie będzie najbardziej interesującą, prowokacyjną czy błyskotliwą osobą w towarzystwie, to cechy te dotąd go chroniły, zapewniły mu dorosłość wolną od nieczystości i brudu. Ale czasami zastanawia się, czy nie zaimpregnował się tak szczelnie, że zaniedbał jakąś istotną część swego człowieczeństwa: może *jest* gotów na związek? Może upłynęło dość czasu i teraz będzie inaczej? Może się myli, może Willem ma rację: może to nie jest doświadczenie wzbronione mu na zawsze? Może jest mniej odrażający, niż sądzi? Może rzeczywiście jest do tego zdolny? Może jednak nie zostanie skrzywdzony? Caleb wydaje mu się w tej chwili bytem wyczarowanym jak dżinn z butelki, płodem jego najgorszych lęków i największych nadziei, wrzuconym w jego życie jako test. Po jednej stronie jest wszystko to, co Jude zna, wzorce jego istnienia tak regularne i banalne jak jednostajny plusk wody kapiącej z nieszczelnego kranu, w których jest sam, lecz bezpieczny, osłonięty przed wszystkim, co go może zranić. Po drugiej zaś stronie są fale, tumult, burze, ekscytacja: wszystko, nad czym nie może zapanować, wszystko potencjalnie straszliwe i ekstatyczne, wszystko, co przez całe swoje dorosłe życie starał się omijać, wszystko, czego brak pozbawia jego życie barw. Stworzenie wewnątrz niego waha się, wspina na tylne łapy i porusza przednimi, jakby chciało wymacać odpowiedź.

Nie rób tego, nie oszukuj się, choćbyś nie wiem co sobie powtarzał, wiesz, czym jesteś, mówi jeden głos.

Skorzystaj z okazji, mówi drugi głos. *Jesteś samotny. Musisz spróbować.* To jest głos, który Jude zawsze ignoruje. *To się może więcej nie zdarzyć*, dodaje głos, hamując tym Jude'a.

To się źle skończy, mówi pierwszy głos, a potem oba głosy milkną, czekając, co on zrobi.

Jude nie wie, co robić, nie wie, co się wydarzy. Musi się dowiedzieć. Wszystko, czego się nauczył, każe mu uciekać; wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, każe mu zostać. Bądź odważny – mówi sobie. – Bądź odważny chociaż raz.

Więc patrzy na Caleba.

– Chodźmy – mówi, i chociaż jest przerażony, podejmuje długi marsz wąskim korytarzem w stronę windy, jakby się nie bał, i wraz z szuraniem swojej prawej nogi po betonie słyszy kroki Caleba

i kanonadę deszczu odbijającego się od schodów przeciwpożarowych, i dudnienie swojego niespokojnego serca.

Rok temu zaczął pracować nad obroną olbrzymiej firmy farmaceutycznej Malgrave and Baskett, której zarząd został oskarżony przez grupę akcjonariuszy o malwersacje, niekompetencję i zaniedbanie obowiązków powierniczych.

– He, he – rzucił sarkastycznie Lucien. – Ciekawe, dlaczego tak sądzą?

Jude westchnął.

– Wiem dlaczego.

Firma Malgrave and Baskett była katastrofą, o czym wszyscy wiedzieli. Przez kilka lat, zanim przyszła do Rosena, Pritcharda i Kleina, firma musiała się zmagać z dwoma procesami wywołanymi przez sygnalistów (zarzut pierwszy dotyczył przestarzałej infrastruktury jednej z placówek, drugi wytwarzania zanieczyszczonych produktów w innej placówce), otrzymała wezwanie do sądu w związku z dochodzeniem w sprawie misternej afery z siecią domów opieki i stanęła pod zarzutem nielegalnej sprzedaży osobom chorym na alzheimera jednego ze swoich bestsellerowych leków, zatwierdzonego tylko dla schizofreników.

Tak więc Jude spędził jedenaście miesięcy na przesłuchiwaniu pięćdziesięciu obecnych i byłych dyrektorów i wyższych urzędników Malgrave and Baskett oraz sporządzaniu raportu w odpowiedzi na zarzuty. Miał w swym zespole piętnastu prawników; któregoś wieczoru podsłuchał, jak mówią o wiadomej firmie „Malpractice and Bastard".

– Nie daj boże, żeby was miał usłyszeć klient – zbeształ ich Jude.

Było już późno, druga nad ranem; wiedział, że są zmęczeni. Gdyby był Lucienem, wydarłby się na nich, ale sam też był zmęczony. W poprzednim tygodniu jedna z jego współpracownic w tej sprawie, młoda kobieta, wstała od biurka o trzeciej w nocy, rozejrzała się i upadła na podłogę. Jude wezwał karetkę i wszystkich pozostałych posłał do domu, z zastrzeżeniem, że mają wrócić na dziewiątą rano; sam został jeszcze godzinę, po czym też poszedł do domu.

– Posłałeś ich do domu, a sam zostałeś? – zdumiał się Lucien następnego dnia. – Wymiękasz, St. Francis. Dzięki bogu, że nie zachowujesz się tak na rozprawach, bo do niczego byśmy nie doszli. Gdyby tak nasi rywale wiedzieli, z jakim słabym przeciwnikiem mają do czynienia.

– Czy to ma znaczyć, że firma nie pośle nawet kwiatów biednej Emmie Gersh?

– Och, kwiaty już posłaliśmy – odrzekł Lucien, wstając i wychodząc z gabinetu. – „Emmo! Zdrowiej i wracaj szybko. Bo pożałujesz. Uściski od rodzinki Rosen, Pritchard".

Jude uwielbiał rozprawy, uwielbiał argumentować i przemawiać w sądzie – nigdy nie ma się tego dość – ale jego celem w przypadku Malgrave and Baskett było spowodować odrzucenie pozwu przez sędziego, zanim podejmie się żmudne, nudne, trwające lata dochodzenie. Napisał wniosek o odrzucenie i w pierwszych dniach września sąd okręgowy odrzucił pozew.

– Jestem z ciebie dumny – mówi Lucien tamtego wieczoru. – Malpractice and Bastard nie mają pojęcia, jakimi są szczęściarzami; ten pozew był solidny jak rzadko.

– Cóż, zdaje się, że jest dużo rzeczy, których Malpractice and Bastard nie wiedzą – odpowiada Jude.

– To prawda. Ale zdaje mi się, że można być kompletnym kretynem, dopóki ma się dość rozumu, żeby wynająć właściwego adwokata. – Lucien wstaje. – Wyjeżdżasz gdzieś na weekend?

– Nie.

– No to zrób coś odprężającego. Wyjdź z domu. Zjedz coś na mieście. Nie wyglądasz za dobrze.

– Dobranoc, Lucien!

– Okej, okej. Dobranoc. I gratulacje, naprawdę. To była duża sprawa.

Zostaje w biurze jeszcze przez dwie godziny, porządkuje i sortuje papiery, usiłując ogarnąć wieczny bałagan. Nie odczuwa ulgi ani radości zwycięstwa po rozwiązaniu sprawy, tylko zmęczenie, ale proste, dobrze zasłużone zmęczenie, jakby odwalił kawał fizycznej pracy. Jedenaście miesięcy przesłuchań, badań, dalszych przesłuchań, sprawdzania faktów, pisania, przepisywania – a potem, w jednej chwili, już po wszystkim, opustoszałe miejsce zajmie następna sprawa.

Wreszcie wraca do domu, gdzie zmęczenie tak daje mu się we znaki, że po drodze do sypialni musi przysiąść na sofie, po czym budzi się po godzinie, zdezorientowany, nieświeży. Zmęczenie można po części przypisać Malpractice and Bastard, gorączkowym przygotowaniom do sprawy, ale za drugą jego część winę ponosi niejasna sytuacja z Calebem, o którym Jude nie powiedział Willemowi. Szczęściem w ten weekend Caleb jest w Bridgehampton i Jude się cieszy z darowanej samotności.

Nadal nie wie, co właściwie czuje do Caleba, chociaż minęły trzy miesiące. Nie jest nawet pewien, czy Caleb go lubi. A raczej wie, że Caleb lubi z nim rozmawiać, jednak są chwile, że przygląda mu się – Jude nieraz go na tym przyłapał – z miną graniczącą z obrzydzeniem.

– Jesteś naprawdę przystojny – powiedział mu kiedyś Caleb z zakłopotaniem, ujmując w palce jego podbródek i odwracając twarz Jude'a ku sobie. – Ale… – I chociaż nie skończył, Jude wyczuł, co Caleb chciał powiedzieć: Ale coś tu nie gra. Ale mimo to mnie odpychasz. Ale nie rozumiem, dlaczego cię nie lubię, właściwie nie.

Jude wie na przykład, że Caleb nie znosi jego sposobu chodzenia. Po kilku tygodniach od pierwszego spotkania Caleb siedział na kanapie, a Jude poszedł po butelkę wina; kiedy z nią wracał,

spostrzegł, że Caleb przygląda mu się z taką intensywnością, że się zdenerwował. Nalał wina, wypili, po czym Caleb rzekł:

– Wiesz, jak się poznaliśmy, ty siedziałeś i dlatego nie wiedziałem, że kulejesz.

– To prawda – przyznał Jude, przypominając sobie, że to nie jest coś, za co musi przepraszać: nie złapał Caleba podstępem; nie miał zamiaru go oszukać. Odetchnął głębiej i spróbował nadać głosowi ton niefrasobliwości i lekkiego zaciekawienia. – Nie chciałbyś się ze mną spotykać, gdybyś wiedział?

– Nie wiem – odrzekł Caleb po chwili milczenia. – Nie wiem.

Jude w tamtym momencie chciał zniknąć, zamknąć oczy i zapaść się w czas, w ten czas, kiedy jeszcze nie znał Caleba. Odrzuciłby zaproszenie Rhodesa, żyłby dalej swoim małym życiem, nigdy nie poznałby różnicy.

Więc Caleb nienawidzi jego chodu, ale jeszcze bardziej nienawidzi wózka inwalidzkiego. Kiedy pierwszy raz przyszedł do Jude'a za dnia, Jude oprowadził go po mieszkaniu. Był dumny ze swojego domu, każdego dnia chwalił los za to, że tutaj mieszka, i myślał o tym z niedowierzaniem. Malcolm zachował tak zwany apartament Willema tam, gdzie był wcześniej, w zachodniej części, ale powiększył go, dodając gabinet blisko wejścia do windy. Potem była długa otwarta przestrzeń z fortepianem i częścią dzienną z oknami wychodzącymi na południe i stół zaprojektowany przez Malcolma po stronie północnej, tej bez okien, a za stołem regał zasłaniający całą ścianę aż do kuchni obwieszonej pracami przyjaciół i przyjaciół przyjaciół oraz innymi obrazami, które Jude przez lata kupował. Cała wschodnia część mieszkania była jego. Z sypialni przechodziło się przez garderobę do łazienki z oknami na wschód i na południe. Chociaż Jude trzymał zwykle żaluzje opuszczone, można było otworzyć je wszystkie równocześnie i mieszkanie zamieniało się w prostopadłościan czystego światła, z hipnotyzująco cienką zasłoną mgiełki między sobą a światem. Jude często czuje, że to mieszkanie jest fałszerstwem: sugeruje, że mieszkająca tu osoba jest kimś otwartym, żywotnym, szczodrze udzielającym odpowiedzi, a on rzecz jasna nie jest tą osobą. Lispenard Street z mrocznymi wnękami, ciemnymi przesmykami i ścianami przemalowywanymi tak wiele razy, że pod palcami wyczuwało się wałeczki i bąble w miejscach, gdzie ćmy i robactwo zostały pogrzebane pod warstwami farby, znacznie lepiej odzwierciedlała jego osobowość.

Na odwiedziny Caleba wypełnił pomieszczenie światłem i widział, że Caleb jest pod wrażeniem. Przeszli się po wnętrzu powoli, Caleb oglądał obrazy i wypytywał o ich ceny, gdzie zostały kupione, kto je namalował; rozpoznawał te sławniejsze.

A potem doszli do sypialni i Jude właśnie pokazywał mu obraz w głębi pokoju przedstawiający Willema w fotelu do charakteryzacji, kupiony na wystawie *Sekundy, minuty, godziny, dni,* kiedy Caleb zapytał:

– A czyj to wózek?

Jude spojrzał tam, gdzie patrzył Caleb.

– Mój – odpowiedział po chwili.

– Ale po co ci on? – spytał go Caleb ze skonfundowaną miną. – Przecież chodzisz.

Jude nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Czasem go potrzebuję – odparł wreszcie. – Rzadko. Mało go używam.

– To dobrze – powiedział Caleb. – Staraj się jak najmniej.

Jude był wstrząśnięty. Czy to miał być wyraz troski, czy pogróżka? Zanim jednak zdołał ustalić, co powinien czuć lub co powinien odpowiedzieć, Caleb odwrócił się i już szedł do garderoby, a Jude za nim, by kontynuować oprowadzanie.

Miesiąc potem spotkał się z Calebem któregoś wieczoru pod swoim biurem, na skraju Meatpacking District. Caleb też pracował do późna, bo był początek lipca i firma Rothko miała za osiem tygodni przedstawić kolekcję wiosenną. Tego dnia Jude przyjechał do pracy samochodem, ale noc była bezdeszczowa, więc wysiadł z auta i usiadł w wózku pod latarnią, by poczekać na przyjście Caleba, który jeszcze z kimś rozmawiał. Wiedział, że Caleb go zauważył – uniósł dłoń w jego stronę, na co Caleb odpowiedział ledwo dostrzegalnym skinieniem: żaden z nich nie celował w działaniach ostentacyjnych – więc obserwował go, aż ten skończył rozmowę, a jego znajomy ruszył w kierunku wschodnim.

– Cześć – powitał Caleba, gdy ten nadszedł.

– Dlaczego jesteś na wózku? – zapytał tamten ostrym tonem.

Na moment Jude'owi zabrakło słów.

– Dzisiaj musiałem z niego skorzystać – wykrztusił wreszcie, zacinając się.

Caleb westchnął i potarł oczy.

– Myślałem, że go nie używasz.

– Bo nie używam – odrzekł Jude, tak zawstydzony, że zaczął się pocić. – Właściwie nie. Tylko w razie absolutnej konieczności.

Caleb kiwnął głową, ale nie przestał ściskać palcami grzbietu nosa. Nie patrzył na Jude'a.

– Słuchaj – powiedział w końcu. – Myślę, że jednak nie powinniśmy iść na kolację. Ty najwyraźniej niezbyt dobrze się czujesz, a ja jestem zmęczony. Muszę odespać.

– Ach tak – rzekł Jude, zgnębiony. – W porządku. Rozumiem.

– Okej, dobra – powiedział Caleb. – Później do ciebie zadzwonię.

Jude patrzył, jak Caleb oddala się swoim długim krokiem, aż zniknął za rogiem, a potem wsiadł do samochodu, pojechał do domu i pociął się tak, że nie mógł utrzymać żyletki przez nadmiar krwi.

Następnym dniem był piątek. Caleb się nie odezwał. No to koniec, pomyślał Jude. Było, minęło. No i dobrze: Caleb nie lubił, gdy Jude jeździł na wózku. On też nie lubił jeździć na wózku. Nie mógł mieć pretensji o to, że Caleb nie akceptuje tego, czego on sam nie akceptował.

Ale w sobotę rano Caleb zadzwonił, kiedy Jude wracał właśnie tylnymi schodami z basenu.

– Przepraszam cię za ten czwartek – powiedział. – Wiem, że ta moja… awersja do twojego wózka musi ci się wydawać bezduszna i niedorzeczna.

Jude usiadł na jednym z krzeseł przy stole w jadalni.

– Wcale nie wydaje mi się niedorzeczna – powiedział.

– Mówiłem ci, że moi rodzice chorowali przez większą część mojego dorosłego życia – ciągnął Caleb. – Ojciec miał stwardnienie rozsiane, a matka… nikt nie wiedział, co jej jest. Zachorowała, kiedy byłem w college'u, i nigdy jej się nie polepszyło. Skarżyła się na bóle twarzy, głowy, żyła w ciągłym dyskomforcie. I chociaż nie wątpię, że był realny, to niepokoiło mnie, że matka jakby nie chce wyzdrowieć. Poddała się po prostu, tak jak ojciec. Całe mieszkanie było pełne oznak ich poddania się chorobie: najpierw laski, potem chodziki, potem wózki inwalidzkie, potem wózki z napędem, fiolki pigułek, okłady i nieustanny zapach maści przeciwbólowych, żeli i bóg wie czego jeszcze. – Zamilkł. – Chcę się z tobą widywać – podjął po chwili. – Ale… ale nie znoszę bliskości tych akcesoriów słabości, choroby. Po prostu nie znoszę. Nienawidzę. To mnie żenuje. To mnie wpędza… nie w depresję, lecz w furię, jakbym musiał z tym walczyć. – Znowu zamilkł. – Po prostu nie wiedziałem, że taki jesteś, kiedy cię poznałem – powiedział w końcu. – Myślałem, że jakoś to przełknę. Ale chyba nie potrafię. Czy możesz to zrozumieć?

Jude przełknął ślinę; chciało mu się płakać, ale rozumiał Caleba; czuł się dokładnie tak jak on.

– Mogę – odpowiedział.

A jednak wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu spotykali się dalej. Jude wciąż jest zdumiony tempem i gruntownością, z jaką Caleb wślizgnął się w jego życie. To było jak z bajki: kobieta mieszkająca na skraju ciemnego lasu słyszy pukanie i otwiera drzwi swojej chaty. I chociaż trwa to ledwie chwilę, i chociaż nie widzi nikogo, to w tych sekundach dziesiątki demonów i strzyg wślizgują się obok niej do domu i już nigdy, przenigdy się ich nie pozbędzie. Jude czasem tak właśnie to odczuwał. Czy tak samo bywa z innymi ludźmi? Nie wie, ale zbyt się boi, żeby zapytać. Łapie się na tym, że odtwarza stare, podsłuchane rozmowy obcych ludzi o ich związkach, starając się ocenić normalność swojego związku w porównaniu z tamtymi, szukając wskazówek.

No i jest seks, który okazał się gorszy, niż to sobie wyobrażał: zapomniał, jakie to bolesne, jakie poniżające, jakie obmierzłe, jak bardzo tego nie lubi. Nienawidzi tych pozycji, pozycji, jakich wymaga seks, bo każda z nich jest poniżająca, bo wszystkie czynią go bezradnym i słabym; nienawidzi

związanych z nim smaków i zapachów. A nade wszystko nienawidzi dźwięków, które towarzyszą seksowi: cmoktania zderzających się ciał, jęków i postękiwań rannego zwierzęcia, słów do niego wypowiadanych, które w zamierzeniu mają podniecać, ale dla niego są obraźliwe. Uświadamia sobie, że jakaś jego część miała nadzieję, że w dorosłym życiu będzie lepiej, jakby sam czynnik wieku mógł przetworzyć to doświadczenie w coś wspaniałego i przyjemnego. W college'u i później, kiedy miał lat dwadzieścia parę, trzydzieści parę, słuchał ludzi opowiadających o tym z niezwykłą przyjemnością, niezwykłym zachwytem, a sam myślał: *Tym* się tak podniecacie? *Naprawdę*? Moje wrażenia są zgoła inne. Ale niemożliwe, aby to on miał rację, a wszyscy inni – miriady ludzi – się mylili. Więc najwyraźniej jest w seksie coś, czego on nie rozumie. Najwyraźniej coś robi źle.

Tej pierwszej nocy, gdy poszli do niego na górę, Jude wiedział, czego Caleb się spodziewa.

– Musimy działać powoli – uprzedził go Jude. – Dużo czasu minęło.

Caleb spojrzał na niego w ciemności; Jude nie zapalił światła.

– Jak dużo? – spytał.

– Dużo. – Nic więcej nie zdołał wykrztusić.

I z początku Caleb był cierpliwy, ale potem już nie. Aż przyszła noc, podczas której Caleb spróbował zedrzeć z niego ubranie, a Jude mu się wyrwał.

– Nie mogę – powiedział. – Caleb… ja nie mogę. Nie chcę, żebyś zobaczył, jak wyglądam.

Powiedzenie tego kosztowało go całą energię. Tak się bał, że zrobiło mu się zimno.

– Dlaczego? – spytał Caleb.

– Mam blizny. Na plecach i nogach, i na rękach też. Okropne; nie chcę, żebyś je zobaczył.

Nie miał pojęcia, jak zareaguje Caleb. Czy powie: Na pewno nie są takie straszne? I wtedy Jude będzie musiał mimo wszystko zdjąć ubranie? Czy też powie: Zobaczmy, i kiedy on zdejmie ubranie, Caleb wstanie i sobie pójdzie? Widział, że Caleb się waha.

– Nie spodobają ci się – dodał. – Są obrzydliwe.

I to jakby przesądziło sprawę dla Caleba.

– No dobra – powiedział. – Nie muszę przecież oglądać całego twojego ciała, no nie? Tylko istotne części.

I tamtej nocy Jude leżał na wpół ubrany, czekając, aż to się skończy, bardziej upokorzony, niż gdyby Caleb zażądał, żeby mimo wszystko się rozebrał.

Pomijając jednak te rozczarowania, nie jest mu z Calebem tak źle. Lubi jego powolny, rozważny sposób mówienia, plotki o projektantach, z którymi pracuje, jego rozumienie koloru i to, że docenia sztukę. Podoba mu się to, że przy Calebie może mówić o swojej pracy – o Malpractice and Bastard – i Caleb nie tylko zrozumie, jakie wyzwania stawiają przed nim sprawy, ale nawet uzna to za ciekawe.

Podoba mu się uwaga, z jaką Caleb słucha jego opowieści, i pytania świadczące o tej uwadze. Podoba mu się, że Caleb podziwia pracę Willema, Richarda i Malcolma, i pozwala mu mówić o nich, ile Jude chce. Podoba mu się, że Caleb na pożegnanie ujmuje w obie dłonie jego twarz i trzyma ją tak przez chwilę jak w akcie niemego błogosławieństwa. Podoba mu się sylwetka Caleba i jego siła fizyczna; lubi patrzeć, jak Caleb się rusza, bo widać, że podobnie jak Willem dobrze się czuje w swoim ciele. Podoba mu się to, że czasem przez sen Caleb przerzuca ramię przez jego pierś gestem posiadacza. Lubi się budzić z Calebem obok siebie. Lubi to, że Caleb jest trochę dziwny, ma w sobie coś lekko niebezpiecznego: jest inny od ludzi, jakich Jude wyszukiwał w całym swoim dorosłym życiu, ludzi, którzy go nigdy nie skrzywdzą, ludzi, których określają dobre uczynki. Kiedy jest z Calebem, czuje się zarazem mniej i bardziej ludzki.

Za pierwszym razem, gdy Caleb go uderzył, był i zarazem nie był zdziwiony. Pod koniec lipca poszedł do Caleba o północy, po pracy. Tego dnia używał wózka – coś mu się ostatnio porobiło ze stopami; nie wiedział, co to jest, ale ledwie je czuł i miał wrażenie, że się przewróci, jeśli spróbuje iść – jednak dotarłszy do Caleba, zostawił wózek w samochodzie i bardzo powoli doszedł do frontowych drzwi, unosząc stopy nienaturalnie wysoko, żeby się nie potknąć.

Od chwili wejścia do mieszkania wiedział, że nie powinien był przychodzić – Caleb miał podły humor, w powietrzu było gorąco i duszno od jego złości. Caleb przeprowadził się w końcu do bloku we Flower District, ale jeszcze nie do końca się rozpakował, był drażliwy i spięty, zęby mu dzwoniły, gdy zaciskał szczękę. Ale Jude przyniósł jedzenie i powoli szedł do kuchni, żeby je odstawić, zagadując wesoło do Caleba, aby odwrócić jego uwagę od swojego kuśtykania, i starając się desperacko poprawić nastrój.

– Dlaczego tak chodzisz? – przerwał mu Caleb.

Jude nie chciał się przyznać, że dolega mu coś nowego; nie mógł się zmusić do przyznania tego kolejny raz.

– A chodzę jakoś dziwnie? – spytał.

– Owszem, wyglądasz jak potwór Frankensteina.

– Przykro mi – powiedział. *Wyjdź*, szepnął mu wewnętrzny głos. *Wyjdź w tej chwili*. – Nie zdawałem sobie sprawy.

– No to przestań. To wygląda komicznie.

– Dobrze – zgodził się potulnie i nałożył do miski parę łyżek curry dla Caleba. – Proszę – powiedział, ale gdy szedł w stronę Caleba, starając się stąpać normalnie, potknął się prawą stopą o lewą i upuścił miskę, a zielone curry rozbryznęło się po dywanie.

Później przypomni mu się, że Caleb nic nie powiedział, tylko okręcił się i walnął go wierzchem dłoni, a on padł na plecy, uderzając głową o pokrytą dywanem podłogę.

– Wynoś się stąd, Jude – usłyszał głos Caleba, nawet nie podniesiony, zanim wrócił mu wzrok. – Wynoś się, nie mogę na ciebie teraz patrzeć.

Więc Jude się wyniósł, dźwignął się na nogi i komicznym krokiem potwora wykuśtykał z mieszkania, zostawiając Calebowi sprzątnięcie bałaganu, którego narobił.

Następnego dnia jego twarz zaczęła zmieniać kolor, wokół lewego oka pojawiły się przecudne odcienie fioletu, oranżu, butelkowej zieleni. Pod koniec tygodnia, gdy Jude pojechał na wizytę do Andy'ego, jego policzek miał barwę mchu, a oko było tak spuchnięte, że prawie się nie otwierało, zwłaszcza górna powieka, nabrzmiała, napięta i połyskliwie czerwona.

– Jezu Chryste, Jude – powiedział Andy na jego widok. – Co ci się, kurwa, stało?

– Tenis na wózku – odrzekł on i nawet się uśmiechnął, szerokim uśmiechem wyćwiczonym w lustrze poprzedniego wieczoru, aż policzek zadrżał mu z bólu.

Przeprowadził solidne rozeznanie: dowiedział się, gdzie są rozgrywane mecze tenisa na wózkach i ile osób jest w klubie. Ułożył sobie historyjkę, którą wyrecytował do siebie, a potem do ludzi w biurze, aż zaczęła brzmieć naturalnie, nawet komicznie: forhend przeciwnika, który grał w barwach college'u, on nie odwrócił się dość szybko i piłka z głośnym pacnięciem trafiła go w twarz.

Opowiedział to wszystko Andy'emu, a Andy słuchał i kręcił głową.

– No, no – powiedział. – Cieszy mnie, że próbujesz czegoś nowego. Tylko, Jude, czy to na pewno dobry pomysł?

– Sam mi ciągle powtarzasz, żebym nie forsował nóg.

– Wiem, wiem – odparł Andy. – Ale masz basen; czy to nie wystarczy? W każdym razie powinieneś był natychmiast do mnie przyjść.

– To tylko siniak, Andy.

– Wyjątkowo paskudny siniak, Jude. Istna masakra.

– Nieważne – powiedział Jude, starając się zrobić nonszalancką minę. – Muszę z tobą pogadać o moich stopach.

– Słucham.

– Mam takie dziwne uczucie: jakby były zatopione w betonowych trumnach. Nie wyczuwam ich pozycji, nie jestem w stanie ich kontrolować. Podnoszę jedną nogę, a kiedy ją opuszczam, czuję w łydce, że ją postawiłem, ale samej stopy nie czuję.

– Aj, Jude, to oznaka uszkodzenia nerwu. – Andy westchnął. – Dobra wiadomość, pomijając fakt, że dotychczas ci to nie dokuczało, jest taka, że nie jest to stan trwały. Zła wiadomość jest taka, że nie

jestem w stanie ci powiedzieć, kiedy minie ani kiedy może dopaść cię znowu. A druga zła wiadomość jest taka, że jedyne, co możemy zrobić, to podać środki przeciwbólowe, których, jak wiem, nie zechcesz zażywać. – Zamilkł na chwilę. – Jude, wiem, że nieprzyjemnie się po nich czujesz, ale na rynku są teraz lepsze środki niż wtedy, kiedy miałeś dwadzieścia lat, czy nawet trzydzieści. Nie chcesz spróbować? Pozwól przynajmniej dać sobie coś na tę twarz; przecież musi cię strasznie boleć.

– Nie jest tak źle – skłamał. Ale w końcu przyjął receptę.

– I nie przemęczaj stóp – poradził Andy po oględzinach jego twarzy. – I trzymaj się z dala od kortu, na miłość boską. – A kiedy Jude już wychodził, dodał: – I nie myśl sobie, że nie wrócimy do sprawy twojego cięcia się!

Ciął się bardziej, odkąd poznał Caleba.

Wróciwszy na Greene Street, zaparkował na krótkim podjeździe przed garażami budynku i wkładał właśnie klucz do głównego zamka, kiedy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, a po chwili zobaczył Caleba wysiadającego z samochodu. Był tego dnia na wózku, więc spróbował dostać się do środka jak najszybciej. Ale Caleb był szybszy i przytrzymał drzwi, zanim się domknęły; w ten sposób znów znaleźli się obaj w korytarzu.

– Niepotrzebnie przyszedłeś – powiedział Jude do Caleba, na którego nie był w stanie spojrzeć.

– Jude, słuchaj. Strasznie przepraszam. Naprawdę. Ja tylko… miałem koszmarny tydzień w pracy, to wszystko jedno wielkie gówno… przyszedłbym wcześniej, ale porobiło się tak, że nie mogłem nawet wyjść z roboty… no i wyładowałem się na tobie. Naprawdę bardzo cię przepraszam. – Ukucnął przy wózku. – Jude. Popatrz na mnie. – Jude westchnął. – Najmocniej przepraszam. – Ujął twarz Jude'a w dłonie i odwrócił ku sobie. – Twoja nieszczęsna twarz – powiedział cicho.

Jude nadal nie rozumie, dlaczego wpuścił go do domu tamtej nocy. Jeżeli ma być ze sobą szczery, to czuje, że było w tym coś nieuchronnego, że nawet odniósł niejaką ulgę po ciosie Caleba: od dawna czekał na jakiś rodzaj kary za swoją arogancję, za to myślenie, że może robić to samo co wszyscy – no i kara przyszła. *Masz za swoje*, powiedział głos w jego głowie. *Masz za udawanie kogoś, kim nie jesteś, za myślenie, że jesteś równie dobry jak inni ludzie.* Jude pamięta, jak JB bał się Jacksona, jak on sam rozumiał jego lęk, jak dobrze pojmował, że można stać się więźniem drugiego człowieka i że to, co zdaje się takie łatwe – odejście – okazuje się takie trudne. Wobec Caleba odczuwa to, co kiedyś wobec brata Luke'a: że jest to ktoś, komu zaufał, jakkolwiek nieporadnie, ktoś, w kim pokłada wielkie nadzieje, ktoś, kto ma go zbawić. I w obu przypadkach, gdy stało się jasne, że wybrańcy go nie zbawią, gdy jego nadzieje sczezły, stwierdził, że nie jest w stanie oderwać się od tych osób, nie umiał odejść. W jego relacji z Calebem jest jakaś symetria, która ma sens: są zniszczonym i niszczycielem, osuwającą się kupą śmiecia i szakalem węszącym w tym śmietniku. Istnieją tylko dla siebie nawzajem

– on nie zna nikogo z życia Caleba i nie przedstawił go osobom w swoim życiu. Obydwaj wiedzą, że to, co robią, jest haniebne. Są ze sobą związani wzajemnym niesmakiem i dyskomfortem: Caleb toleruje jego ciało, a on toleruje odrazę Caleba.

Zawsze wiedział, że jeśli zechce być z kimś, będzie musiał pójść na wymianę. I wie, że nikogo lepszego od Caleba nie znajdzie. Caleb przynajmniej nie jest wynaturzony, nie jest sadystą. Wszystko, co mu wyrządza teraz, mieści się w tym, co wyrządzano mu w przeszłości – przypomina sobie Jude raz po raz.

W któryś weekend pod koniec września jedzie do domu przyjaciela Caleba w Bridgehampton, który Caleb zajmuje do końca października. Pokaz Rothko był udany i Caleb jest bardziej wyluzowany, nawet czuły. Uderzył go jeszcze tylko raz, w splot słoneczny, aż Jude runął na podłogę, ale zaraz potem przeprosił. Poza tym nic wielkiego się nie dzieje: Caleb w środy i czwartki nocuje na Greene Street, a w piątki wyjeżdża na plażę. Jude idzie do pracy później i siedzi do nocy. Po sukcesie z Malpractice and Bastard myślał, że dadzą mu trochę odetchnąć, choćby krótko, ale nic z tego, zaraz trafił się nowy klient – firma inwestycyjna, w której prowadzono dochodzenie z podejrzeniem o malwersacje, i Jude ma wyrzuty sumienia, że nie poszedł w sobotę do pracy.

Pomijając poczucie winy, sobota jest przepiękna, więc prawie cały dzień spędzają na dworze, obaj pracując. Wieczorem Caleb smaży steki. Podśpiewuje przy tym, a Jude przerywa pracę, aby go posłuchać, i wie, że obydwaj są szczęśliwi, że przynajmniej w tej chwili wszelka ich wzajemna ambiwalencja to pył, coś nietrwałego i nieważkiego. Po kolacji kładą się wcześnie i Caleb nie zmusza go do seksu; Jude śpi głęboko, lepiej niż od wielu tygodni.

Lecz rano, jeszcze zanim całkiem się rozbudził, czuje, że ból w stopach wrócił. Dwa tygodnie temu znikł niespodziewanie i całkowicie, ale teraz pojawił się znowu, a gdy Jude wstaje, stwierdza, że nawet się nasilił – ma wrażenie, że nogi mu się kończą na kostkach; jego stopy są zarazem martwe i dotkliwie bolesne. Kiedy idzie, musi cały czas na nie patrzeć, bo potrzebuje wizualnego potwierdzenia, że podnosi stopę, i wizualnego potwierdzenia, że ją opuszcza.

Robi dziesięć kroków, a każdy kolejny to większy wysiłek – tak trudno się ruszać, wymaga to tyle energii umysłu, że aż robi mu się niedobrze, więc znów przysiada na skraju łóżka. Nie pozwól się w tym stanie zobaczyć Calebowi, ostrzega sam siebie, zanim sobie przypomni, że Caleb poszedł pobiegać, jak co rano. Jude jest w domu sam.

A zatem ma trochę czasu. Na łokciach czołga się do łazienki i wchodzi pod prysznic. Myśli o zapasowym wózku w samochodzie. Przecież Caleb nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli Jude z niego skorzysta, zwłaszcza gdyby zdołał mu się zaprezentować jako w zasadzie zdrowy, z małym tylko niedomaganiem, które przejdzie następnego dnia. Zamierzał nazajutrz wcześnie rano jechać do

miasta, ale mógł wyjechać jeszcze wcześniej, gdyby trzeba było, chociaż wolałby nie – wczorajszy dzień był taki miły. Może i dzisiejszy będzie podobny.

Jest ubrany i czeka na sofie w salonie, udając, że czyta pismo, gdy wraca Caleb. Nie rozpoznaje jeszcze jego humoru, ale po bieganiu Caleb jest zwykle łagodny, nawet pobłażliwy.

– Pokroiłem kawałek wczorajszego steku – mówi Jude. – Usmażyć ci jajka?

– Nie, sam mogę to zrobić – odpowiada Caleb.

– Jak się biegało?

– Dobrze. Świetnie.

– Caleb – mówi Jude, starając się utrzymać lekki ton – słuchaj… mam drobny problem ze stopami; to jakiś skutek uboczny uszkodzenia nerwu, który przychodzi i mija, ale utrudnia mi chodzenie. Czy masz coś przeciwko temu, żebym wyjął wózek z samochodu?

Caleb przez dłuższą chwilę nie odpowiada, dopija tylko wodę z butelki.

– Ale *możesz* z tym chodzić, tak?

Jude zmusza się do spojrzenia na Caleba.

– No… w zasadzie tak. Ale…

– Jude – mówi Caleb. – Wiem, że twój lekarz prawdopodobnie by się ze mną nie zgodził, ale muszę ci powiedzieć, że widzę drobną… słabość, nazwijmy ją, w tym, że zawsze wybierasz najłatwiejsze rozwiązanie. Uważam, że pewne rzeczy powinieneś znosić, rozumiesz? O to mi zawsze chodziło, gdy mówiłem o rodzicach: zawsze się poddawali każdemu bólowi, każdemu skurczowi. No więc myślę, że powinieneś być twardy. Uważam, że póki *możesz* chodzić, powinieneś. Nie pieść się po prostu, jeśli możesz wziąć się w garść.

– Aha – odpowiada Jude. – Jasne. Rozumiem.

Czuje się głęboko zawstydzony, jakby poprosił o coś wstrętnego i niedozwolonego.

– Idę wziąć prysznic – oznajmia Caleb po chwili milczenia i wychodzi.

Przez resztę dnia Jude stara się poruszać jak najmniej, a Caleb, jakby nie chcąc mieć powodu do złości na niego, niczego mu nie każe robić. Sam szykuje lunch, który obaj zjadają na sofie, pracując na komputerach. Kuchnia i salon stanowią wspólną rozświetloną słońcem przestrzeń, z weneckimi oknami wychodzącymi na trawnik z widokiem na plażę, więc kiedy Caleb stoi odwrócony w kuchni, szykując kolację, on korzysta z okazji, żeby przeczołgać się jak robak do łazienki w hallu. Chce jeszcze iść do sypialni po dodatkową aspirynę, którą ma w torbie, ale to za daleko, więc czeka w drzwiach, na kolanach, aż Caleb znów odwróci się do kuchenki, po czym czołga się z powrotem do sofy, na której spędził cały dzień.

– Kolacja – oznajmia Caleb, a on nabiera powietrza i zmusza się do stanięcia na stopach, które są ciężkie i niezdarne jak bryły betonu i patrząc na nie, zaczyna się posuwać w kierunku stołu. Ma wrażenie, że dotarcie do krzesła zajmuje mu minuty, godziny. W pewnym momencie spogląda na Caleba, któremu chodzi szczęka, a w oczach czai się nienawiść.

– Szybciej – mówi Caleb.

Jedzą w milczeniu. Jude ledwo jest w stanie to znieść. Skrobanie noża o talerz: nieznośne. Chrzęst przesadnie głośno miażdżonej zębami Caleba zielonej fasolki: nieznośny. Jedzenie w ustach, które zmienia się w bezimienną mięsistą bestię: nieznośne.

– Caleb – odzywa się, bardzo cicho, ale ten nie odpowiada, tylko odsuwa krzesło, wstaje i przechodzi do zlewu.

– Podaj swój talerz – mówi i patrzy, jak Jude wstaje od stołu, powoli, i rusza w żmudną drogę do zlewu, śledząc wzrokiem każde opuszczenie stopy, zanim uniesie drugą.

Potem będzie się zastanawiał, czy nie wymusił tego, co się stało, czy rzeczywiście nie mógł zrobić dwudziestu kroków bez upadku, gdyby się tylko bardziej skoncentrował. Ale dzieje się inaczej. Unosi prawą stopę pół sekundy przed całkowitym postawieniem lewej i przewraca się, a talerz upada przed nim, okruchy porcelany rozpryskują się po podłodze. A wtedy, bardzo szybko, jakby tylko na to czekał, Caleb podrywa go za włosy i wali pięścią w twarz, tak silnie, że Jude podlatuje w powietrze, a kiedy spada, zawadza o stół i uderza podstawą czaszki o kant blatu. Jego upadek przewraca butelkę wina, płyn, gulgocząc, ścieka na podłogę, a Caleb wydaje dziki ryk, chwyta butelkę za szyjkę i wali go nią po karku.

– Caleb – mówi Jude, nie mogąc złapać tchu – proszę, proszę.

Nigdy nie należał do tych, co żebrzą o litość, nawet jako dziecko, ale teraz stał się kimś takim. Kiedy był dzieckiem, życie niewiele dla niego znaczyło; chce, żeby tak było i teraz.

– Proszę – mówi. – Caleb, proszę, wybacz mi… przepraszam. Przepraszam.

Ale wie, że Caleb nie jest już istotą ludzką. Jest wilkiem, jest kojotem. Jest wcielonym w mięśnie gniewem. Jude jest dla Caleba niczym, jest ofiarą, ścierwem do wyrzucenia. Zostaje zawleczony na krawędź kanapy, wie, co teraz będzie. Mimo to dalej prosi.

– Proszę cię, Caleb. Proszę, nie. Caleb, proszę.

Gdy odzyskuje świadomość, leży na podłodze za sofą, a w domu panuje cisza.

– Halo? – nawołuje, a głos mu się załamuje nieznośnie. Cisza. Nie musi nawet nic słyszeć, bo jakimś sposobem zgaduje, że jest sam.

Siada. Podciąga majtki i spodnie, przebiera palcami, zaciska i rozprostowuje dłonie, podciąga kolana do klatki piersiowej i prostuje, robi parę płytkich skłonów, kręci głową w prawo i w lewo. Na

karku czuje jakąś lepkość, lecz gdy ją bada na dłoni, okazuje się, że to nie krew, tylko wino. Wszystko boli, ale nic nie jest złamane.

Czołga się do sypialni. Pospiesznie obmywa się w łazience, zbiera swoje rzeczy i upycha w torbie. Kuśtyka do drzwi. Przez moment boi się, że jego samochód zniknął i będzie tu uwięziony, ale samochód stoi obok auta Caleba i czeka na niego. Jude sprawdza godzinę: jest północ.

Przemierza trawnik na czworakach, z torbą uwieszoną na jednym ramieniu. Te kilkadziesiąt metrów od drzwi do samochodu zamieniło się w mile. Chce się zatrzymać, jest bardzo zmęczony, ale wie, że nie może.

W samochodzie nie patrzy na swoje odbicie w lusterku; uruchamia silnik i odjeżdża. Ale mniej więcej pół godziny później, kiedy już wie, że odjechał wystarczająco daleko i jest bezpieczny, zaczyna się trząść, i to tak strasznie, że samochód tańczy po szosie, więc Jude zjeżdża na pobocze, żeby odczekać, z czołem opartym o kierownicę.

Czeka tak dziesięć minut, dwadzieścia. A potem odwraca się, chociaż każdy ruch to dodatkowa kara, i wygrzebuje z torby telefon. Wybiera numer Willema i czeka.

– Jude! – mówi Willem, wyraźnie zdziwiony. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Hej, Willem – mówi on i ma nadzieję, że jego głos brzmi normalnie. – Widocznie czytam w twoich myślach.

Rozmawiają parę minut, po czym Willem pyta:

– Nic ci nie jest?

– Jasne, że nic.

– Brzmisz jakoś dziwnie.

Willem – chce powiedzieć. – Willem, dlaczego ciebie tu nie ma? Zamiast tego mówi:

– Przepraszam. Głowa mnie boli.

Rozmawiają jeszcze chwilę i gdy mają się żegnać, Willem znów pyta:

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nic a nic.

– Okej – mówi Willem. – Okej. – I dodaje: – Jeszcze pięć tygodni.

– Jeszcze pięć.

Tak strasznie tęskni za Willemem, że ledwo może oddychać.

Kiedy się rozłączają, czeka jeszcze dziesięć minut, aż wreszcie przestanie się trząść, po czym uruchamia samochód i pokonuje resztę drogi do domu.

Następnego dnia zmusza się do spojrzenia w swoje odbicie w łazienkowym lustrze i omal nie wybucha płaczem ze wstydu, szoku i upokorzenia. Jest tak zmieniony, tak zdumiewająco wstrętny –

nawet jak na siebie – że to wprost niepojęte. Doprowadza się do jakiego takiego ładu; wkłada swój ulubiony garnitur. Caleb kopnął go pod żebra, więc każdy ruch, każdy oddech, jest bolesny. Przed wyjściem z domu zapisuje się do dentysty, bo czuje, że jeden z górnych zębów mu się rusza po uderzeniu, a także umawia wizytę u Andy'ego na wieczór.

Jedzie do pracy.

– Coś nietęgo wyglądasz, St. Francis – mówi na porannym posiedzeniu zarządu jeden ze starszych wspólników, którego Jude bardzo lubi. Wszyscy się śmieją.

Jude zmusza się do uśmiechu.

– Niestety masz rację – mówi. – I na pewno będziecie wszyscy zawiedzeni, kiedy oznajmię, że koniec z moją karierą jako potencjalnego championa tenisowego paraolimpiady.

– Ja w każdym razie się nie martwię – odzywa się Lucien, chociaż wszyscy przy stole pomrukują z udawanego zawodu. – W sądzie jest mnóstwo agresji. Uważam, że od dzisiaj to powinien być dla ciebie jedyny sport walki.

Wieczorem podczas wizyty Andy klnie na niego na czym świat stoi.

– Co ci mówiłem o tenisie, Jude?

– Wiem. Już nigdy więcej, Andy, obiecuję.

– A to co? – pyta Andy, dotykając palcem jego karku.

Jude wzdycha teatralnie.

– Odwróciłem się i miałem zajście z paskudnym bekhendem.

Czeka, żeby Andy coś powiedział, ale on się nie odzywa, tylko wciera w jego kark jakąś maść i bandażuje mu szyję.

Następnego dnia Andy dzwoni do niego do biura.

– Muszę porozmawiać z tobą osobiście – oświadcza. – To ważne. Gdzie możesz się ze mną spotkać?

Jude, zaalarmowany, pyta:

– Wszystko w porządku? Tobie nic nie jest, Andy?

– Czuję się świetnie. Ale muszę się z tobą zobaczyć.

Jude robi sobie wcześniej przerwę obiadową i spotykają się w pobliżu jego biura, w barze, którego klientelę stanowią japońscy bankierzy pracujący w wieżowcu obok Rosena, Pritcharda. Andy już tam jest, gdy Jude przychodzi, i łagodnie dotyka dłonią jego nieobitego policzka.

– Zamówiłem ci piwo – mówi.

Piją w milczeniu, aż w końcu Andy mówi:

– Jude, chciałem zobaczyć twoją minę, kiedy cię o to zapytam. Powiedz mi… czy ty się sam okaleczasz?

– Co takiego? – pyta zdumiony.

– Te twoje tenisowe wypadki – mówi Andy – są w rzeczywistości czymś innym? Rzucasz się ze schodów, ciskasz na ściany, robisz coś takiego? – Andy nabiera tchu. – Wiem, że tak postępowałeś, kiedy byłeś mały. Teraz robisz to z powrotem?

– Nie, Andy. Nie. Nie robię sobie tego sam. Przysięgam ci. Przysięgam na… na Harolda i Julię. Przysięgam na Willema.

– Okej – mówi Andy i wypuszcza powietrze. – Słucham tego z ulgą. Ulgą jest wiedzieć, że jesteś po prostu uparciuchem, który nie przestrzega zaleceń doktora; zresztą to dla mnie nic nowego. No a w tenisa grasz jak noga.

Andy zamawia jeszcze po piwie i przez chwilę milczą.

– Czy ty wiesz, Jude – odzywa się wreszcie Andy, powoli cedząc słowa – że ja przez te wszystkie lata stale główkuję, co z tobą zrobić? Nie, nic nie mów, daj mi dokończyć. Leżę w nocy i zadaję sobie pytanie, czy podejmuję w związku z tobą właściwe decyzje: już tyle razy chciałem cię posłać na przymusowe leczenie, tyle razy chciałem zadzwonić do Harolda i Willema z propozycją współdziałania przy umieszczeniu ciebie w szpitalu. Rozmawiam z kumplami ze studiów, psychologami i opowiadam im o tobie, o tym pacjencie, z którym jestem blisko związany, i wypytuję ich, co by na moim miejscu zrobili. Wysłuchałem wszystkich rad. Wysłuchałem rady mojego własnego psychologa. Ale nikt nie umie mi powiedzieć z pewnością, jaka jest właściwa odpowiedź. Zadręczam się tym. Ale zawsze czułem – widząc, że pod wieloma względami tak świetnie funkcjonujesz i że osiągnąłeś tę osobliwą, lecz niezaprzeczalną równowagę – że, jak by to powiedzieć, nie należy tego psuć. Rozumiesz? Więc pozwoliłem ci się dalej ciąć, rok po roku, ale ile razy cię widzę, tyle razy zadaję sobie pytanie, czy słusznie robię, pozwalając ci na to, i czy nie powinienem bardziej naciskać na jakąś pomoc, dzięki której mógłbyś przestać to sobie robić.

– Przepraszam, Andy – szepcze on.

– Nie, Jude – mówi Andy. – To nie jest twoja wina. Jesteś pacjentem. To ja powinienem dojść do tego, co jest dla ciebie najlepsze, ale czuję… no, nie wiem, czy do tego doszedłem. Więc kiedy zobaczyłem te siniaki, moja pierwsza myśl była taka, że pomyliłem się w swoich decyzjach. Rozumiesz? – Andy patrzy na niego, on zaś po raz kolejny zdumiewa się tym, że jego lekarz pospiesznie ociera ręką oczy. – Przez tyle lat – kończy Andy po pauzie, i znowu obaj milkną.

– Andy – mówi, sam bliski płaczu. – Daję ci słowo, że nic więcej sobie nie robię. Tylko się tnę.

– Tylko się tniesz! – powtarza Andy, kwitując to dziwacznym, skrzekliwym śmiechem. – No cóż, zważywszy na kontekst, pewnie powinienem być za to wdzięczny. Tylko się tniesz. Widzisz, jakie to pochrzanione, że twoje wyzwanie „Tylko się tnę” sprawia mi ulgę?

– Widzę.

Wtorek zamienia się w środę, potem w czwartek; z jego twarzą jest gorzej, potem lepiej, potem znów gorzej. Martwił się, że Caleb może zadzwonić albo, co gorsza, zmaterializować się w jego mieszkaniu, ale dni mijają, a Caleba ani śladu: może został w Bridgehampton. Może wpadł pod samochód. Jude stwierdza, że o dziwo nie czuje nic – ani lęku, ani nienawiści, po prostu nic. Najgorsze już się stało i teraz jest wolny. Zaznał związku i to było straszne, ale już nigdy więcej nie musi próbować, bo udowodnił swoją niezdolność do takiej formy życia. Czas spędzony z Calebem potwierdził wszystkie jego domysły na temat tego, co myślą o nim, o jego ciele, inni ludzie; jego następnym zadaniem jest zaakceptować tę prawdę i uczynić to bez żalu. Wie, że w przyszłości pewnie nieraz poczuje się samotny, ale teraz ma dla tej samotności odpowiedź, teraz wie już na pewno, że samotność jest lepsza niż lęk, wstyd, obrzydzenie, wstręt, zawrót głowy, podniecenie, pragnienie, nienawiść – to, co było z Calebem.

W piątek spotyka się z Haroldem, który przyjechał do miasta na konferencję na Uniwersytecie Columbia. Napisał do niego, uprzedzając go o swojej kontuzji, to jednak nie powstrzymuje Harolda przed reagowaniem pełnym okrzyków i przesadnej troski i nieustannym powtarzaniem pytania, czy Jude na pewno dobrze się czuje.

Spotkali się w jednej z ulubionych restauracji Harolda, gdzie podają wołowinę od krów osobiście wyhodowanych i ponazywanych przez szefa kuchni na farmie w głębi stanu i warzywa uprawiane na dachu budynku. Gadają i jedzą przystawki – Jude uważa, żeby gryźć tylko prawą stroną szczęki, chroniąc w ten sposób nowy ząb – gdy nagle czuje, że ktoś staje obok ich stolika, a kiedy podnosi wzrok, widzi, że to Caleb, i chociaż przekonał sam siebie, że nic nie czuje, teraz ogarnia go panika.

Nigdy nie widział Caleba pijanego, póki byli razem, lecz teraz dostrzega, że Caleb jest wstawiony i w niebezpiecznym humorze.

– Twoja sekretarka mi powiedziała, gdzie jesteś – mówi Caleb. – A to zapewne pan Harold – dodaje, wyciągając rękę do Harolda, który nią potrząsa z niepokojem w oczach.

– Jude? – pyta Harold, lecz on nie może mówić.

– Caleb Porter – przedstawia się Caleb, po czym wślizguje się do półkolistego boksu i przyciska do boku Jude'a. – Mam romans z pana synem.

Harold patrzy na Caleba, potem na Jude'a, i po raz pierwszy, odkąd Jude go zna, jest oniemiały.

– Pan pozwoli, że go o coś zapytam – mówi Caleb do Harolda, nachylając się, jakby miał zakomunikować poufną wiadomość, Jude zaś wpatruje się w Caleba, w jego lisią urodę i ciemne, połyskliwe oczy. – Tylko szczerze. Nigdy pan nie pomyślał, że wolałby mieć normalnego syna, a nie kalekę?

Przez moment nikt nic nie mówi, a Jude czuje coś jakby prąd skwierczący w powietrzu.

– Kto ty, kurwa, jesteś? – syczy Harold i Jude widzi, jak jego twarz się zmienia: rysy tak prędko i gwałtownie ściągają się w wyraz szoku, potem odrazy, wreszcie gniewu, że Harold przez moment wygląda wprost nieludzko, jak duch w przebraniu Harolda. A potem jego mina zmienia się znowu i Jude widzi, że coś w twarzy Harolda tężeje, jak gdyby mięśnie twardniały w kości. – Ty mu to zrobiłeś – mówi do Caleba, bardzo powoli. Po czym z niesmakiem zwraca się do Jude'a: – To nie był tenis, Jude, prawda? Ten człowiek ci to zrobił.

– Harold, przestań – zaczyna Jude, ale Caleb szarpie go za nadgarstek i ściska go tak mocno, że mało nie złamie.

– Jesteś kaleką, kłamcą i beznadziejną dupą. I masz rację: jesteś obrzydliwy. Nie mogłem na ciebie patrzeć, nigdy.

– Wynoś się, kurwa – cedzi Harold.

Wszyscy trzej mówią szeptem, ale ich rozmowa wydaje się tak głośna, a reszta sali tak cicha, że Jude jest pewien, iż wszyscy ich słyszą.

– Harold, nie – błaga. – Proszę cię, przestań.

Ale Harold go nie słucha.

– Wzywam policję – mówi, a Caleb wyślizguje się z boksu i wstaje. Harold też wstaje. – Wynoś się stąd natychmiast – powtarza i teraz naprawdę wszyscy oglądają się w ich stronę, a Jude jest tak śmiertelnie zawstydzony, że robi mu się niedobrze.

– Haroldzie – prosi.

Chwiejna postawa Caleba wskazuje, że ten jest naprawdę zdrowo pijany, ale gdy trąca Harolda w ramię, a Harold przymierza się, żeby mu oddać, Jude nagle odzyskuje głos i wykrzykuje imię Harolda, na co ten odwraca się do niego i opuszcza rękę. Caleb uśmiecha się sardonicznie, odwraca i wychodzi, przepychając się między kelnerami, którzy w milczeniu zebrali się wokół nich.

Harold stoi jeszcze przez chwilę, wpatrując się w drzwi, a potem rusza za Calebem, ale Jude znów go woła po imieniu, więc wraca.

– Jude… – zaczyna, ale ten kręci głową.

Jest tak zły, tak wściekły, że gniew przeważa w nim nad upokorzeniem. Wokół nich ludzie podejmują przerwane rozmowy. Jude przywołuje kelnera i wręcza mu kartę kredytową, którą otrzymuje z powrotem w ciągu, wydaje się, paru sekund. Nie ma dziś wózka, za co jest gorzko wdzięczny losowi, i gdy wychodzi z restauracji, czuje, że jeszcze nigdy nie był tak zwinny, nigdy nie poruszał się tak szybko i zdecydowanie.

Na dworze leje. Jego samochód stoi przecznicę dalej, więc Jude, szurając nogami, idzie w jego stronę z milczącym Haroldem u boku. Jest tak rozwścieczony, że wolałby nie podwozić Harolda, ale znajdują się po stronie wschodniej, w pobliżu Avenue A, gdzie Harold w deszczu na pewno nie złapie taksówki.

– Jude – odzywa się Harold, gdy już wsiedli do samochodu, lecz on mu przerywa, nie odwracając wzroku od drogi za przednią szybą.

– Błagałem cię, żebyś nic nie mówił, Harold. Ale mówiłeś. Dlaczego? Uważasz moje życie za dowcip? Uważasz, że moje problemy są tylko pretekstem dla ciebie do odgrywania wielkiego pana? – Sam nie bardzo wie, o co mu chodzi, co właściwie usiłuje powiedzieć.

– Nie, Jude, oczywiście, że nie – odpowiada Harold łagodnym głosem. – Przepraszam cię… nerwy mnie poniosły.

To z jakiegoś powodu otrzeźwia Jude'a i kilka przecznic przejeżdżają w milczeniu, słuchając szumu wycieraczek.

– Naprawdę się z nim spotykałeś? – pyta Harold.

Jude odpowiada jednym krótkim skinieniem głowy.

– Ale już nie? – pyta Harold.

Jude kręci głową.

– To dobrze – mruczy Harold. A potem, bardzo cicho, pyta: – Czy on cię bił?

Jude musi odczekać i opanować się, zanim jest w stanie odpowiedzieć:

– Tylko parę razy.

– Och, Jude – mówi Harold głosem, jakiego Jude jeszcze u niego nie słyszał.

Jadą Piętnastą, mijając Szóstą Aleję, gdy Harold znów się odzywa:

– Pozwól jednak, że o coś cię zapytam. Jude… dlaczego spotykałeś się z kimś, kto cię tak traktował?

Jude nie odpowiada do następnej przecznicy, usiłuje znaleźć taki sposób wyartykułowania swoich powodów, który byłby dla Harolda zrozumiały.

– Byłem samotny – odpowiada wreszcie.

– Jude… – zaczyna Harold, ale urywa. – Rozumiem. Ale dlaczego on?

– Jeśli wygląda się tak jak ja – wyjaśnia Jude i słyszy, jak okropnie, jak żałośnie to brzmi – trzeba brać, co popadnie.

Znowu przez chwilę milczą, aż nagle Harold mówi:

– Zatrzymaj się.

– Co? Nie mogę. Ludzie za mną jadą.

– Zatrzymaj się, do cholery, Jude – powtarza Harold, a gdy ten nie słucha, łapie za kierownicę i ściąga ostro w prawo, wprowadzając auto w zatoczkę koło hydrantu przeciwpożarowego.

Samochód jadący z tyłu mija ich z przeciągłym, ostrzegawczym rykiem klaksonu.

– Jezu, Harold! – krzyczy Jude. – Co robisz, do cholery? O mało nie spowodowałeś wypadku!

– Posłuchaj mnie, Jude – mówi powoli Harold, wyciągając ku niemu rękę, on jednak cofa się do okna, unikając dotknięcia. – Jesteś najpiękniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem, naprawdę.

– Haroldzie, przestań. Przestań. Proszę cię.

– Popatrz na mnie, Jude – mówi Harold, ale Jude nie może. – To prawda. Serce mi pęka, że sam tego nie widzisz.

– Haroldzie – jęczy prawie – proszę cię, proszę. Jeżeli ci na mnie zależy, to przestań.

– Jude. – Harold znów wyciąga rękę, ale on się wzdryga i osłania twarz dłońmi. Kątem oka dostrzega, że Harold opuszcza rękę, powoli.

Wreszcie Jude kładzie dłonie na kierownicy, ale trzęsą się tak, że nie może przekręcić kluczyka, więc wciska je pod uda i czeka.

– O boże – słyszy własny głos. – O boże.

– Jude.

– Daj mi spokój, Harold. – Teraz na dodatek szczękają mu zęby, utrudniając mówienie. – Proszę.

Przez parę minut siedzą tak w milczeniu. On skupia się na dźwiękach deszczu, na światłach ulicznych zmieniających się na czerwone, zielone, żółte, i na liczeniu oddechów. Wreszcie drżenie ustaje, więc uruchamia samochód i kieruje się na północ, do mieszkania Harolda.

– Zanocuj dzisiaj u mnie – mówi Harold, odwracając się do niego, ale Jude kręci głową, wpatrując się przed siebie. – No to przynajmniej wejdź na górę, napij się herbaty i poczekaj, aż poczujesz się lepiej. – Lecz on znowu kręci głową. – Jude – mówi Harold – bardzo cię przepraszam… za wszystko, za całą tę historię. – Jude kiwa głową, ale nie mówi nic. – Zadzwonisz do mnie, jakbyś czegoś potrzebował?

Jude znów kiwa głową, a Harold podnosi rękę, powoli, jakby Jude był dzikim zwierzątkiem, i głaszcze go po głowie, dwa razy, po czym wysiada i cicho zamyka za sobą drzwi.

Jude jedzie do domu autostradą West Side. Jest obolały i całkowicie wypompowany, ale wreszcie dopełniła się suma jego upokorzeń. Myśli, że został dostatecznie ukarany, nawet jak na siebie. Przyjedzie do domu i potnie się, a potem zacznie zapominać: ten wieczór szczególnie, ale także ostatnie cztery miesiące.

Na Greene Street parkuje w garażu i wjeżdża windą, mijając ciche piętra, uczepiony siatki kabiny: jest tak zmęczony, że bez tego osunąłby się na podłogę. Richard wyjechał na całą jesień do Rzymu, więc kamienica jest jak grobowiec.

Wchodzi do mrocznego mieszkania i po omacku szuka ręką kontaktu, gdy coś uderza go silnie w obrzękłą stronę twarzy. Mimo ciemności Jude widzi, jak jego nowy ząb wystrzeliwuje w powietrze.

To Caleb, oczywiście; słyszy i czuje jego oddech, jeszcze zanim Caleb przyciska główny włącznik i mieszkanie zalewa oślepiające światło, jaśniejsze niż dzienne. Jude podnosi wzrok i widzi Caleba nad sobą, spoglądającego nań z góry. Nawet po pijanemu Caleb jest opanowany, a teraz gniew częściowo go otrzeźwił, więc jego spojrzenie jest nieruchome i zogniskowane. Jude czuje, że Caleb chwyta go za włosy, czuje, że uderza go w prawą stronę twarzy, tę dobrą, czuje, że jego głowa odskakuje w tył.

Caleb wciąż jeszcze nic nie powiedział, a teraz wlecze go do sofy; jedyne dźwięki to równy oddech Caleba i jego głośne przełykanie. Caleb wciska mu twarz w poduszki i jedną ręką przytrzymując głowę, drugą zaczyna zdzierać zeń ubranie. Wtedy on zaczyna panikować i szarpać się, ale Caleb wciska ramię w jego kark, co go paraliżuje: nie jest w stanie się ruszyć, czuje, że stopniowo jest obnażany – plecy, ramiona, tylna strona nóg – a gdy już wszystko zostało z niego zdarte, Caleb podrywa go z powrotem na nogi i odpycha od siebie, a on upada, lądując na plecach.

– Wstawaj – rozkazuje Caleb. – No, już.

Jude wstaje; coś mu leci z nosa, krew czy śluz, co utrudnia oddychanie. Staje prosto; nigdy w życiu nie czuł się bardziej nagi, obnażony. Kiedy był dzieckiem i robiono z nim te różne rzeczy, umiał wyzwolić się z ciała i przenieść gdzie indziej. Umiał udawać, że jest przedmiotem nieożywionym – kijem do przesuwania zasłon, wentylatorem pod sufitem – bezosobowym, obojętnym świadkiem sceny rozgrywającej się poniżej. Obserwował sam siebie i nie czuł nic: ani żalu, ani złości, nic. Ale teraz, chociaż się stara, nie może się od siebie uwolnić. Jest w tym mieszkaniu, stoi przed mężczyzną, który nim gardzi, i wie, że to jest dopiero początek długiej nocy, więc nie ma wyjścia, jak tylko przeczekać i wytrwać. Nie będzie w stanie kontrolować tej nocy, nie będzie w stanie jej zatrzymać.

– Mój boże – mówi Caleb, po tym jak ogląda go sobie przez kilka długich minut. – Mój boże, ty naprawdę jesteś pokraką. Naprawdę.

Z jakiegoś powodu to właśnie ta wypowiedź zbliża ich z powrotem do siebie i Jude, wbrew sobie, po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat płacze.

– Proszę – mówi. – Proszę cię, Caleb, przepraszam.

Lecz Caleb już chwycił go za kark i pogania, na wpół wlokąc, do wejściowych drzwi. Pakuje go do windy i zjeżdżają na dół, a potem wyciąga z windy i prowadzi korytarzem do hallu. Jude'a ogarnia

histeria, błaga Caleba, pyta go raz po raz, co robi, co zamierza z nim zrobić. Gdy stają w głównych drzwiach, Caleb go unosi i przez moment twarz Jude'a wpasowana jest w małe brudne okienko wychodzące na Greene Street, a potem Caleb otwiera drzwi i wypycha go, nagiego, na ulicę.

– Nie! – wrzeszczy Jude, połową ciała wewnątrz, połową na zewnątrz. – Caleb! Proszę cię!

Jest rozdarty pomiędzy szaleńczą nadzieją a desperackim lękiem, że ktoś nadejdzie ulicą. Ale za bardzo pada; nikt nie nadejdzie. Deszcz bębni dzikim rytmem po jego twarzy.

– Błagaj mnie – mówi Caleb, podnosząc głos ponad szum deszczu, i Jude to robi, błaga. – Błagaj mnie, żebym został – żąda Caleb. – Przepraszaj mnie.

I Jude to robi, raz po raz, i jego usta napełniają się krwią i łzami.

Wreszcie zostaje wciągnięty z powrotem do środka i powleczony do windy, gdzie Caleb mówi do niego, a on przeprasza i przeprasza, powtarzając słowa Caleba według instrukcji: „Jestem odrażający. Jestem obrzydliwy. Jestem bezwartościowy. Przepraszam. Przepraszam".

W mieszkaniu Caleb puszcza jego kark, a Jude upada i Caleb kopie go w brzuch, tak mocno, że Jude wymiotuje, a potem kopie go w plecy i Jude jedzie po przepięknej podłodze Malcolma, prosto w swoje wymiociny. Moje piękne mieszkanie, myśli, gdzie zawsze byłem bezpieczny. To go spotyka w jego własnym pięknym mieszkaniu, w otoczeniu jego pięknych przedmiotów, przedmiotów ofiarowanych mu w dowód przyjaźni, przedmiotów, które kupił za własne zarobione pieniądze. Jego piękne mieszkanie, z drzwiami, które zamykają się na klucz, gdzie miał być chroniony przed popsutymi windami i hańbą wciągania się po schodach na rękach, gdzie miał się zawsze czuć integralnym człowiekiem.

Potem znów zostaje uniesiony, jest gdzieś przesuwany, ale nie wie gdzie, bo jedno oko, spuchnięte, już się nie otwiera, a drugie widzi wszystko jak przez mgłę. Wizja włącza się i wyłącza.

W pewnym momencie uświadamia sobie, że Caleb ciągnie go do drzwi na schody awaryjne. Jest to jedyny element starego strychu, który Malcolm zachował w pierwotnym kształcie: i dlatego że musiał, i dlatego że podobała mu się zgrzebna funkcjonalność tych schodów, ich harda brzydota. Caleb przekręca zasuwę i Jude znajduje się na szczycie ciemnych, stromych schodów. „Zejście do piekła", przypominają mu się słowa Richarda. Jest lepki od rzygowin, czuje też inne płyny – nie ma pojęcia, co to może być – ściekające po różnych częściach jego ciała: twarzy, karku, udach.

Skomle cicho z bólu i strachu, czepiając się framugi, gdy nagle czuje raczej, niż widzi, że Caleb cofa się i bierze rozbieg, a potem jego stopa kopie go w plecy i Jude leci w czerń klatki schodowej.

Niespodziewanie myśli o doktorze Kashenie. Nie tyle o doktorze Kashenie, ile o pytaniu, które ten mu zadał, gdy Jude ubiegał się o asystenturę: „Jaki jest twój ulubiony aksjomat?". (CM nazwał to kiedyś przynętą na kujonów).

– Aksjomat równości – odpowiedział on, a doktor Kashen z aprobatą pokiwał głową.

– Ten jest dobry.

Aksjomat równości głosi, że *x* zawsze równa się *x*: zakłada, że jeśli mamy obiekt zwany *x*, obiekt ten musi być zawsze równy sobie, że ma w sobie swoistą unikatowość, że cechuje go coś tak nieredukowalnego, że trzeba przyjąć jego absolutną i niezmienną równość sobie po wsze czasy; jego istota nie może zostać odmieniona. Ale nie sposób tego udowodnić. Zawsze, absolutnie, nigdy: oto są słowa, które na równi z liczbami tworzą świat matematyki. Nie wszyscy lubili aksjomat równości – doktor Li nazwał go kiedyś kokieteryjnym i pretensjonalnym tańcem wachlarza – ale on zawsze cenił nieuchwytność i piękno tego równania nieustannie nękane próbami udowodnienia go. Był to ten rodzaj aksjomatu, od którego można dostać kręćka, który człowieka pochłania bez reszty, który łatwo może się stać treścią życia.

Ale teraz Jude wie już na pewno, jak słuszny jest aksjomat równości, gdyż on sam – jego własne życie – go udowodnił. Osoba Ja będzie zawsze osobą Ja. Kontekst może się zmienić: Jude może być w mieszkaniu, może mieć pracę, którą lubi i za którą mu dobrze płacą, może mieć rodziców i przyjaciół, których kocha. Może być szanowany, a w sądzie może nawet budzić lęk. Ale w swej istocie jest zawsze tą samą osobą, osobą, która budzi wstręt, osobą skazaną na nienawiść. I w tej mikrosekundzie, w której znajduje się zawieszony w powietrzu, pomiędzy ekstazą bycia w górze a spodziewanym lądowaniem, które, jak wie, będzie twarde, Jude rozumie, że x będzie się zawsze równać *x*, bez względu na to, co on zrobi, ile lat upłynie od klasztoru, od brata Luke'a, bez względu na to, ile zarobi czy jak bardzo będzie się starał zapomnieć. To ostatnia jego myśl, zanim rąbnie ramieniem o beton i na ułamek sekundy świat w błogosławiony sposób usunie się spod niego: $x = x$, myśli. $x = x$, $x = x$.

2

Kiedy Jacob był malutki, może miał sześć miesięcy albo coś koło tego, Liesl zachorowała na zapalenie płuc. Jak większość niechorujących wcześniej ludzi była okropną pacjentką: marudną i kapryśną, a przede wszystkim zdumioną nieznaną sytuacją, w której się znalazła. „Ja nigdy nie choruję", powtarzała, jak gdyby zaszła jakaś pomyłka, jak gdyby to, co ją spotkało, przeznaczone było dla kogoś innego.

Ponieważ Jacob był dzieckiem chorowitym (nie jakoś dramatycznie, ale w swym krótkim życiu przeszedł dwa przeziębienia, i zanim poznałem jego uśmiech, wiedziałem, jak brzmi jego kaszel: wyjątkowo dojrzałe charchanie), doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli Liesl spędzi kilka dni u Sally, gdzie wypocznie i wydobrzeje, a ja zostanę w domu z Jacobem.

W zasadzie uważałem się za kompetentnego opiekuna własnego syna, ale w ciągu weekendu chyba ze dwadzieścia razy dzwoniłem do ojca, żeby go spytać o rozmaite drobne tajemnice, które co chwila wychodziły na jaw, albo uzyskać potwierdzenie czegoś, co wiedziałem, tylko w gorączce i zamieszaniu zapomniałem: dziecko wydaje dziwne odgłosy przypominające czkawkę, ale zbyt nieregularne na czkawkę – co to jest? Stolec jest trochę płynny – czego to oznaka? Mały lubi spać na brzuszku, ale Liesl kazała kłaść go na pleckach, chociaż ja zawsze słyszałem, że dziecko może leżeć na brzuszku – czy to prawda? Oczywiście, mogłem to sprawdzić w podręcznikach, ale potrzebowałem rozstrzygających odpowiedzi, i to z ust ojca, który znał nie tylko właściwe odpowiedzi, ale też sposób komunikowania ich. Jego głos mnie uspokajał. „Nie przejmuj się – mówił na zakończenie każdej rozmowy. – Dobrze sobie radzisz. Wiesz, jak to robić". Sprawiał, że w to wierzyłem.

Gdy Jacob zachorował, zacząłem rzadziej dzwonić do ojca: nie mogłem się zmusić do rozmowy z nim. Pytania, które teraz chciałem mu postawić – Jak ja to przeżyję? Co zrobię potem? Jak mogę patrzeć na umieranie własnego dziecka? – należały do takich, których nie zadawałem nawet samemu sobie i które, wiedziałem, doprowadziłyby ojca do płaczu.

Jacob skończył cztery latka, gdy zauważyliśmy, że coś jest nie w porządku. Codziennie rano Liesl odprowadzała go do przedszkola, a ja, wracając po południu z wykładów, odbierałem go. Jacob miał poważną minę, więc ludziom się zdawało, że jest dzieckiem bardziej ponurym, niż był w istocie. W domu biegał po schodach z dołu na górę i z powrotem, a ja za nim, a gdy leżałem na kanapie z książką, gramolił się na mnie. Liesl także się przy nim ożywiała: czasami we dwoje ganiali się z piskiem po całym domu i to był mój ulubiony hałas, mój ulubiony harmider.

W październiku Jacob zaczął się łatwo męczyć. Kiedyś przyszedłem po niego do przedszkola i zastałem wszystkich jego kolegów w ferworze zabawy, krzyków i skoków, więc rozejrzałem się za swoim synem, a on leżał w kącie skulony na swojej macie i spał. Siedziała przy nim jedna z przedszkolanek, która dała mi znak, żebym podszedł. „Mam wrażenie, że on coś złapał – powiedziała. – Od kilku dni jest trochę niespokojny, a dzisiaj po obiedzie był taki zmęczony, że pozwoliłyśmy mu pospać".

Uwielbialiśmy to przedszkole: w innych zmuszano dzieci do prób czytania, odbywały się regularne lekcje, a w naszym przedszkolu, preferowanym przez wykładowców akademickich, panował system odpowiedni, moim zdaniem, dla czterolatka: zajęcia ograniczały się do słuchania lektury bajek, prac ręcznych i wycieczek na pola i do zoo.

Musiałem zanieść go do samochodu, ale gdy dotarliśmy do domu, obudził się i był w formie: zjadł podwieczorek, który mu przygotowałem, i posłuchał, jak mu czytam bajkę, a potem zbudowaliśmy razem dekorację stołu. Sally kupiła mu na urodziny piękne drewniane klocki w kształcie geod; można je było ustawiać w najróżniejsze, bardzo wysokie formy. Codziennie budowaliśmy nową konstrukcję na środku stołu, a kiedy Liesl wracała do domu, Jacob objaśniał jej, co to jest – dinozaur czy wieża kosmiczna – i Liesl robiła temu zdjęcie.

Wieczorem powiedziałem jej, co mówiła przedszkolanka, więc następnego dnia Liesl zabrała Jacoba do lekarza, który stwierdził, że z dzieckiem jest wszystko w porządku, że nie zauważa niczego niepokojącego. Mimo to obserwowaliśmy go przez kilka następnych dni. Czy ma więcej energii, czy mniej? Czy sypia dłużej niż zwykle, jada mniej niż zwykle? Sami nie wiedzieliśmy. Ale baliśmy się, bo nie ma nic bardziej przerażającego niż apatyczne dziecko. Samo to słowo zdaje mi się teraz eufemizmem strasznego losu.

A potem, nagle, wszystko zaczęło przyspieszać. Pojechaliśmy do moich rodziców na Święto Dziękczynienia i jedliśmy właśnie obiad, gdy Jacob dostał ataku. W jednej chwili był przytomny, a w następnej zesztywniał, jego ciałko stało się jak deska, zsunął się pod stół, przewracał oczami i wydawał dziwne, cmoktające, gardłowe dźwięki. Trwało to dziesięć sekund, nie więcej, ale było straszne, tak straszne, że do dziś słyszę to wstrętne cmoktanie, wciąż widzę przerażający bezruch jego główki, jego nóżki przebierające w powietrzu.

Ojciec zadzwonił do swojego przyjaciela lekarza w szpitalu New York Presbyterian i pognaliśmy tam natychmiast. Jacoba przyjęto na oddział, a my we czwórkę przesiedzieliśmy przy nim całą noc – mój ojciec i Adele położyli się na podłodze, na płaszczach, a Liesl i ja zajęliśmy miejsca po dwóch stronach łóżka, niezdolni spojrzeć sobie w oczy.

Gdy stan Jacoba był już stabilny, zabraliśmy go do domu i Liesl zadzwoniła do jego pediatry, którejś ze swoich koleżanek ze studiów medycznych, po skierowania do najlepszego neurologa, najlepszego genetyka, najlepszego immunologa – nie wiedzieliśmy, co Jacobowi dolega, ale cokolwiek to było, Liesl chciała wiedzieć, że mały ma najlepszą opiekę. No i zaczęły się miesiące chodzenia od lekarza do lekarza, pobierania krwi, skanowania mózgu, badania odruchów, dna oka, słuchu. Cały ten proces był tak inwazyjny, tak frustrujący (dopóki nie spotkałem tych wszystkich doktorów, nie wiedziałem, że istnieje tyle sposobów powiedzenia „nie wiem"), że czasami zastanawiałem się, jak niemożliwe musi to być dla rodziców, którzy nie mają takich znajomości jak my, którzy nie mają naukowego oczytania i wiedzy Liesl. Jednak to oczytanie nie pomagało patrzeć, jak Jacob płacze, kiedy mu wbijają igły, tyle razy, że żyła w lewej rączce zaczęła wiotczeć, i wszystkie nasze znajomości nie zapobiegły postępującej chorobie, coraz częstszym atakom, z drgawkami i pianą z ust, podczas których Jacob wydawał z siebie dziwne, prymitywne warczenie, o wiele za niskie jak na czterolatka, miotał główką z boku na bok i zaciskał piąstki.

Zanim dostaliśmy diagnozę – niezmiernie rzadka choroba neurodegeneracyjna o nazwie zespół Nishihary, tak rzadka, że nie uwzględniano jej nawet w testach genetycznych – Jacob prawie oślepł. To był luty. A w czerwcu, gdy skończył pięć lat, już prawie nie mówił. W sierpniu uznaliśmy, że nie słyszy.

Ataki stawały się coraz częstsze. Próbowaliśmy jednego leku po drugim, stosowaliśmy kombinacje leków. Liesl miała koleżankę neurolożkę, która powiedziała nam o leku niezatwierdzonym w Stanach Zjednoczonych, ale dostępnym w Kanadzie. W piątek tego samego tygodnia Liesl i Sally poleciały do Montrealu i z powrotem w ciągu dwunastu godzin. Przez krótki czas lek działał, chociaż powodował straszną wysypkę, tak że kiedy dotykaliśmy Jacoba, otwierał buzię i krzyczał bezgłośnie, i łezki płynęły mu z oczu. „Przepraszam cię, kochany – przemawiałem do niego błagalnie, chociaż wiedziałem, że mnie nie słyszy. – Przepraszam, przepraszam".

Nie bardzo mogłem się skupić na pracy. Wykładałem w tamtym roku na pół etatu; był to mój drugi rok na uniwersytecie, trzeci semestr. Szedłem przez kampus i dobiegały mnie rozmowy – ktoś rozstał się z chłopakiem, ktoś skręcił nogę w kostce – i ogarniała mnie wściekłość. Wy głupi, małostkowi, samolubni, egocentryczni ludzie, chciałem im powiedzieć. Wy wstrętni ludzie, nienawidzę was. Wasze problemy nie są żadnymi problemami. Mój syn umiera. Chwilami ta nienawiść była tak głęboka, że dostawałem torsji. Laurence też wtedy wykładał na uniwersytecie, brał za mnie zastępstwo, kiedy musiałem zawieźć Jacoba do szpitala. W domu mieliśmy pielęgniarkę z ubezpieczalni, ale na wszystkie wizyty woziliśmy go sami, żeby mieć orientację, jak szybko od nas odchodzi. We wrześniu

lekarz prowadzący po zbadaniu go spojrzał na nas i powiedział: „Już niedługo”. Był bardzo miły i to właśnie było najgorsze.

Laurence przychodził w każdą środę i sobotę wieczorem, Gillian we wtorki i czwartki, Sally w poniedziałki i niedziele, jeden z przyjaciół Liesl, Nathan, w piątki. Gdy byli u nas, gotowali i sprzątali, a my z Liesl siedzieliśmy przy Jacobie i mówiliśmy do niego. W ostatnim roku przestał rosnąć, a jego rączki i nóżki zwiotczały z powodu zaniku mięśni: były miękkie, jakby bezkostne, więc biorąc go na ręce, trzeba było uważać, żeby trzymać nóżki blisko siebie, bo inaczej dyndały swobodnie i Jacob wyglądał jak martwy. W początkach września przestał otwierać oczy, chociaż czasami spod powiek wyciekały płyny – łzy albo grudkowata, żółta ropa. Tylko buzia została mu pyzata, a to za sprawą steroidów w olbrzymich dawkach. To jeden, to drugi lek powodował wystąpienie egzemy na policzkach, nienaturalnie czerwonych i szorstkich jak papier ścierny wyprysków, zawsze gorących w dotyku.

Mój ojciec i Adele sprowadzili się do nas w połowie września. Nie mogłem spojrzeć ojcu w oczy. Wiedziałem, że on wie, jak to jest patrzeć na umierające dziecko: wiedziałem, jak go boli, że to moje dziecko. Czułem się tak, jakbym poniósł klęskę: czułem, że jestem karany za to, że nie chciałem Jacoba bardziej, gdy został nam dany. Czułem, że gdybym miał mniej wahań co do posiadania dzieci, *to* by się nigdy nie zdarzyło: czułem, że to jest przypomnienie tej głupoty i bezmyślności, które okazałem, nie rozumiejąc, jak wielki otrzymałem dar; dar, którego tak wielu ludzi pragnie z całego serca, a który ja chciałem odesłać. Wstydziłem się – nigdy nie będę takim ojcem, jakim był mój ojciec. Bolało mnie, że on patrzy na moją porażkę.

Zanim Jacob się urodził, spytałem kiedyś ojca, czy ma dla mnie jakąś życiową dewizę. Żartowałem, lecz on to wziął na poważnie, tak jak przyjmował wszystkie moje pytania.

– Hmmm – powiedział. – Cóż, najtrudniejszą rzeczą w byciu rodzicem jest umiejętność zmiany perspektywy. Im lepszy w tym jesteś, tym lepiej na tym wyjdziesz.

Wówczas właściwie zignorowałem jego złotą myśl, ale w miarę jak Jacob pogrążał się w chorobie, myślałem o niej coraz częściej, uznając, że jest słuszna. Wszyscy mówimy, że chcielibyśmy, aby nasze dzieci były szczęśliwe, tylko szczęśliwe, i zdrowe, ale w istocie nie tego chcemy. Chcemy, żeby były takie jak my albo lepsze. My, istoty ludzkie, wykazujemy w tej sprawie żenujący brak wyobraźni. Nie jesteśmy przygotowani na to, że nasze dzieci będą od nas gorsze. No ale żądać tego, to chyba zbyt wiele. Pewnie to jakaś blokada ewolucyjna – gdybyśmy wszyscy umieli sobie wyobrazić ze szczegółami wszystko, co może pójść niepomyślnie, na pewno nie decydowalibyśmy się na dzieci. Nigdy na przykład nie *mówiliśmy*, że chcemy, aby Jacob poszedł do college’u; po prostu zakładaliśmy, że pójdzie, a potem zrobi studia magisterskie, ponieważ my oboje je zrobiliśmy. Ale pierwszej nocy

spędzonej w szpitalu, po jego pierwszym ataku, Liesl, która zawsze była domową planistką, która miała genialną zdolność widzenia pięć, dziesięć kroków naprzód, powiedziała: „Cokolwiek to jest, on może żyć długo i szczęśliwie, mówię ci. Są świetne szkoły, do których możemy go posłać. Są placówki, gdzie nauczą go samodzielności". Obruszyłem się wtedy na nią, oskarżyłem ją, że tak szybko, tak łatwo spisuje Jacoba na straty. Później się tego wstydziłem. Później podziwiałem Liesl: podziwiałem, jak błyskawicznie, jak płynnie przystosowuje się do tego, że dziecko, które ma, nie jest dzieckiem, które sobie wyobrażała. Podziwiałem, że na długo przede mną wiedziała, że sensem posiadania dziecka nie jest to, czego ono dokona w twoim imieniu, lecz przyjemność, jaką ci sprawia, w dowolnej formie, nawet takiej, która wcale nie wygląda na przyjemność – a jeszcze ważniejsza jest przyjemność, jaką ty będziesz miał przywilej mu sprawić. Przez resztę życia Jacoba byłem zawsze o krok za Liesl: wyobrażałem sobie, że Jacob wyzdrowieje, że będzie z powrotem taki jak dawniej, podczas gdy ona myślała tylko o jego życiu w bieżących realiach. Może będzie mógł pójść do szkoły specjalnej. Okej, w ogóle nie będzie mógł pójść do szkoły, ale może zapiszemy go do grupy zabawowej. Okej, nie będzie mógł być w grupie zabawowej, ale może będzie długo żył. Okej, nie będzie miał długiego życia, ale może będzie mógł żyć krótko i szczęśliwie. Okej, nie będzie miał krótkiego szczęśliwego życia, ale może przeżyje krótkie życie z godnością – to mu możemy zapewnić, a ona o niczym więcej dla niego nie marzy.

Miałem trzydzieści dwa lata, kiedy Jacob się urodził, trzydzieści sześć, gdy go zdiagnozowano, trzydzieści siedem, kiedy umarł. Dziesiątego listopada, niespełna rok od pierwszego ataku. Odbyło się nabożeństwo na uniwersytecie i pomimo otępienia widziałem wszystkich – naszych rodziców, przyjaciół i kolegów, kolegów Jacoba, już pierwszoklasistów, z rodzicami – którzy przyszli na ceremonię i płakali.

Moi rodzice wrócili do Nowego Jorku. Liesl i ja w końcu wróciliśmy do pracy. Przez wiele miesięcy prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Nie byliśmy w stanie się dotykać. Winę za to ponosiło wyczerpanie, ale też wstyd – wstydziliśmy się obustronnej porażki, niesprawiedliwego, lecz wciąż obecnego poczucia, że to drugie mogło się bardziej postarać, że to drugie nie stanęło na wysokości zadania. Rok po śmierci Jacoba odbyliśmy pierwszą rozmowę o tym, czy powinniśmy mieć drugie dziecko, i chociaż rozmowa zaczęła się grzecznie, zakończyła się fatalnie – wzajemnymi oskarżeniami, jak to ja nigdy nie chciałem Jacoba, jak to ona nigdy go nie chciała, jak to ja beznadziejnie się spisałem, jak ona zawaliła sprawę. Przerwaliśmy, przeprosiliśmy się nawzajem. Spróbowaliśmy jeszcze raz. Ale każda dyskusja kończyła się tak samo. To nie były rozmowy, z których można się otrząsnąć, więc ostatecznie się rozstaliśmy.

Zdumiewa mnie, jak dalece przestaliśmy się komunikować. Rozwód przeszedł bardzo gładko, bardzo prosto – może za gładko, za prosto. Zastanawiałem się po nim, co właściwie zbliżyło nas do siebie przed Jacobem – gdybyśmy go nie mieli, jak i po co bylibyśmy razem? Dopiero później zdołałem sobie przypomnieć, za co kochałem Liesl, co w niej widziałem i podziwiałem, lecz w czasie rozwodu byliśmy jak dwie osoby obarczone wspólną misją, trudną i wyczerpującą, a skoro misja dobiegła końca, przyszedł czas się rozstać i powrócić do swoich normalnych zajęć.

Przez wiele lat nie rozmawialiśmy ze sobą – nie z powodu wrogości; z jakiegoś innego powodu. Liesl przeniosła się do Portland. Wkrótce po tym, jak poznałem Julię, wpadłem przypadkiem na Sally – która też się przeprowadziła, do Los Angeles – bawiącą w mieście u rodziców. Sally mi powiedziała, że Liesl powtórnie wyszła za mąż. Poprosiłem Sally, żeby przekazała jej moje najlepsze życzenia, ona zaś obiecała, że to zrobi.

Czasem sprawdzałem Liesl w internecie: wykładała na akademii medycznej Uniwersytetu Oregońskiego. Miałem kiedyś studenta, który wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażaliśmy sobie Jacoba, gdy dorośnie – byłem wówczas o krok od zadzwonienia do Liesl. Ale nie zadzwoniłem.

I nagle pewnego dnia ona zadzwoniła do mnie. Minęło szesnaście lat. Przyjechała z powodu jakiejś konferencji, spytała, czy mam ochotę zjeść razem lunch. Było dziwnie obco, a zarazem bardzo znajomo usłyszeć znowu jej głos, ten głos, z którym kiedyś odbyłem tysiące rozmów o sprawach ważnych i błahych. Ten głos, który śpiewał Jacobowi utulonemu w jej ramionach, ten głos, który powiedział: „Ta jest jak dotąd najpiękniejsza!”, gdy Liesl robiła zdjęcie wieży z klocków, którą zbudowaliśmy tego dnia.

Spotkaliśmy się; wyglądała tak, jak ją zapamiętałem. Uściskaliśmy się na powitanie i usiedliśmy. Chwilę gadaliśmy o pracy, o Sally i jej nowej partnerce, o Laurensie i Gillian. Liesl opowiedziała mi o swoim nowym mężu, epidemiologu, a ja jej o Julii. Liesl urodziła drugie dziecko, dziewczynkę, mając czterdzieści trzy lata. Pokazała mi jej zdjęcie. Mała była piękna i wyglądała dokładnie tak jak Liesl. Powiedziałem jej to, a ona się uśmiechnęła.

– A ty? – spytała. – Masz następne?

Powiedziałem, że tak. Właśnie adoptowałem jednego ze swoich byłych studentów. Spostrzegłem, że ją to zdziwiło, ale uśmiechnęła się i pogratulowała mi, po czym wypytała o niego i jak do tego doszło, a ja jej opowiedziałem.

– To wspaniale, Haroldzie – powiedziała, gdy skończyłem opowieść. A po chwili dodała: – Bardzo go kochasz.

– To prawda.

Chętnie bym ci powiedział, że to był między nami początek przyjaźni drugiego stopnia, że pozostaliśmy w kontakcie i dotąd co roku rozmawialiśmy o Jacobie i jaki mógłby być. Lecz tak się nie stało, chociaż bez żadnych dramatów. Na tym spotkaniu opowiedziałem Liesl o tamtym studencie, który mnie wytrącił z równowagi, a ona powiedziała, że świetnie mnie rozumie, bo też miewała studentów – albo po prostu mijała na ulicy młodych mężczyzn – których miała wrażenie, że skądś zna, a potem uświadamiała sobie, że każdy z nich mógł być naszym synem, żywym i zdrowym, oddalonym od nas, już nie naszym, ale wędrującym swobodnie po świecie, nieświadomym, że szukamy go od tylu lat.

Uściskałem ją na pożegnanie; życzyłem jej wszystkiego najlepszego. Powiedziałem, że myślę o niej. Ona mi powiedziała to samo. Żadne z nas nie zaproponowało, żebyśmy pozostali w kontakcie; przypuszczam, że oboje mieliśmy do siebie nawzajem za dużo szacunku, żeby to zrobić.

Lecz przez te lata w dziwnych momentach dostawałem wiadomości od Liesl. Na przykład mejl stwierdzający krótko: „Następne widzenie", i już wiedziałem, o co jej chodzi, ponieważ sam też wysyłałem do niej takie mejle: „Harvard Square, ok. 25 lat, 180 wzrostu, chudy, śmierdzący potem". Kiedy jej córka ukończyła college, Liesl przysłała mi zaproszenie, a potem drugie, na ślub córki, i trzecie, gdy urodziła jej się wnuczka.

Kocham Julię. Ona też była naukowcem, ale jakże różnym od Liesl. Była wesoła, podczas gdy Liesl była opanowana; ekspresyjna, podczas gdy Liesl była zamknięta; niewinna w swoich radościach i entuzjazmie. Ale mimo że bardzo ją kocham, przez wiele lat jakąś częścią siebie czułem, że coś znacznie głębszego i przemożnego wiąże mnie z Liesl. Razem powołaliśmy kogoś do życia i razem patrzyliśmy, jak ten ktoś umiera. Czasami czułem, że wiąże nas coś fizycznego, długi sznur rozpięty między Bostonem a Portland: kiedy Liesl pociągała za swój koniec, ja czułem to na moim. Gdziekolwiek szła, gdziekolwiek szedłem ja, ten lśniący sznur rozciągał się i szarpał, lecz nigdy się nie zerwał, w każdej chwili przypominając nam, czego już nigdy nie będziemy mieli.

Kiedy podjęliśmy z Julią decyzję o adoptowaniu go, mniej więcej pół roku przed tym, jak zapytaliśmy go o zdanie, wyznałem to Laurence'owi. Wiedziałem, że Laurence bardzo go lubi i szanuje, i uważa, że jest mi potrzebny, a zarazem wiedziałem, że – jak to Laurence – będzie ostrożny.

Taki też był. Rozmawialiśmy długo.

– Wiesz, jak bardzo go lubię – powiedział Laurence – ale, z ręką na sercu, Haroldzie, co ty właściwie wiesz o tym młodym człowieku?

– Niewiele – przyznałem.

Wiedziałem jednak, że najgorszy scenariusz Laurence'a nie jest możliwy: on nie był złodziejem, nie zamordowałby mnie i Julii nocą w łóżku. Laurence także to wiedział.

Oczywiście wiedziałem też, chociaż nie dokładnie i bez konkretnych dowodów, że przydarzyło mu się kiedyś coś bardzo złego. Za pierwszym razem, gdy przyjechaliście wszyscy do Truro, zszedłem kiedyś późną nocą do kuchni i zastałem JB siedzącego przy stole: rysował. Zawsze uważałem, że JB staje się kimś innym, gdy jest sam, gdy jest pewien, że przed nikim nie musi występować, więc usiadłem i przyglądałem się jego rysowaniu – szkicował portrety was wszystkich – i zapytałem, co studiował, a on mi opowiedział o artystach, których prace podziwia: trzech czwartych z nich nie znałem.

Kiedy już miałem wracać na górę, JB zawołał mnie po imieniu, więc zawróciłem.

– Słuchaj – powiedział. Wydawał się zażenowany. – Nie chcę być niegrzeczny i tak dalej, ale powinieneś przestać zadawać mu tyle pytań.

Usiadłem z powrotem.

– Dlaczego?

JB był speszony, ale zdeterminowany.

– On nie ma rodziców – powiedział. – Nie znam okoliczności, ale on nawet z nami o tym nie rozmawia. W każdym razie nie ze mną. – Urwał na chwilę. – Wydaje mi się, że spotkało go coś strasznego, kiedy był dzieckiem.

– Co strasznego masz na myśli?

Pokręcił głową.

– Nie jesteśmy właściwie pewni, ale sądzimy, że to musiało być bardzo dotkliwe nadużycie fizyczne. Zauważyłeś, że on się nigdy nie rozbiera i nigdy nie pozwala się dotykać? Przypuszczam, że ktoś musiał go bić albo… – Zamilkł. On sam był kochany, był chroniony; nie miał odwagi dociekać, czym mogło być to albo.

Ja także nie. Ale oczywiście wszystko zauważyłem i nie zadawałem mu pytań po to, żeby go żenować, lecz nawet gdy już zauważyłem, że go żenuję, nie potrafiłem przestać.

– Haroldzie – mówiła nieraz Julia po jego wyjściu wieczorem – ty go peszysz.

– Wiem, wiem – odpowiadałem.

Wiedziałem, że za tym jego milczeniem nie kryje się nic dobrego, że jest to historia, której wolałbym nie usłyszeć, a jednocześnie chciałem ją usłyszeć.

Jakiś miesiąc przed rozprawą adopcyjną zjawił się u nas w domu w któryś weekend, całkiem niespodziewanie. Wróciłem właśnie z tenisa, a on leżał na kanapie; spał. Przyszedł ze mną porozmawiać, przyszedł spróbować coś mi wyznać. Lecz ostatecznie nie zdobył się na to.

Tej samej nocy zadzwonił do mnie Andy, w panice: szukał go. Gdy spytałem, czemu właściwie dzwoni do niego o północy, pospiesznie zmienił temat.

– On przechodzi trudny okres – powiedział.

– Z powodu adopcji? – spytałem.

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł oficjalnym tonem; jak ci wiadomo, dyskrecji w sprawach pacjenta przestrzegał Andy nieregularnie, ale gdy już to robił, to z wielkim oddaniem. A potem ty do mnie zadzwoniłeś i też owijałeś w bawełnę.

Następnego dnia zapytałem Laurence'a, czy mógłby sprawdzić, czy Jude był notowany w młodym wieku. Wiedziałem, że jest mało prawdopodobne, aby coś znalazł, a nawet gdyby znalazł, rejestr byłby utajniony.

Byłem szczery wobec Laurence'a, kiedy podczas weekendu mówiłem mu, że cokolwiek Jude kiedyś zrobił, nie ma to dla mnie znaczenia. Znałem go. Znaczenie miało tylko to, jaką osobą się stał. Powiedziałem Jude'owi, że nie obchodzi mnie, kim był kiedyś. To oczywiście była naiwność: adoptowałem osobę, którą był w momencie adopcji, lecz zarazem i tamtą, którą był kiedyś, a tamtej nie znałem. Później żałowałem, że nie powiedziałem mu jasno, że kimkolwiek była tamta druga osoba, ją też chcę. Zastanawiałem się nieustannie, co znaczyłoby to dla niego, gdybym go znalazł dwadzieścia lat wcześniej, kiedy był dzieckiem. A jeśli nie dwadzieścia, to dziesięć, pięć. Kim byłby wówczas i kim byłbym ja?

Kwerenda Laurence'a nie wykazała niczego. Przyniosło mi to ulgę, ale też rozczarowanie. Adopcja się dokonała: to był cudowny dzień, jeden z najlepszych. Nigdy go nie żałowałem. Ale bycie rodzicem Jude'a nie było łatwe. On trzymał się przeróżnych reguł, które sobie ustalił przez dekady życia, reguł opartych na czyichś naukach – do czego nie ma prawa, czym nie może się cieszyć, na co nie może mieć nadziei ani ochoty, czego nie wolno mu kochać – i rozgryzienie tych reguł zajęło mi parę dobrych lat, a jeszcze dłużej trwało obmyślanie, jak go przekonać o ich fałszywości. Okazało się to bardzo trudne, ponieważ dzięki tym regułom on przetrwał, te reguły pozwalały mu w jakiś sposób zrozumieć świat. Był przerażająco zdyscyplinowany – we wszystkim – a dyscyplina, podobnie jak czujność, to cecha, do której porzucenia prawie nie sposób człowieka namówić.

Równie żmudny był mój (i twój) wysiłkek zmierzający do przekonania go, by porzucił pewne wyobrażenia o sobie: o swoim wyglądzie, o tym, co mu się należy, o własnej wartości i o tym, kim jest. Nigdy jak dotąd nie spotkałem kogoś, kto byłby w równym stopniu rozdwojony: tak skrajnie pewny w niektórych dziedzinach i tak skrajnie niepewny w innych. Pamiętam, jak go kiedyś obserwowałem w sądzie z uczuciem nabożnego podziwu i zmrożenia. Bronił którejś z tych firm farmaceutycznych, dzięki którym zasłynął w federalnym procesie wywołanym przez społecznych

sygnalistów. Była to duża sprawa, ważna sprawa – figuruje teraz w dziesiątkach podręczników – lecz on zachował najdalej idący spokój; rzadko widuje się tak spokojnego adwokata. Na podium dla świadków stała rzeczona sygnalistka, kobieta w średnim wieku, tak zawzięta, tak nieprzejednana, tak cięta, że cała sala obserwowała jego. Ani razu nie podniósł głosu, ani razu nie posłużył się sarkazmem, ale widziałem, że delektuje się całą sytuacją, że przyłapywanie świadka na niekonsekwencjach – które były drobne, tak drobne, że inny prawnik by je przeoczył – sprawia mu rozkosz i radość. Był człowiekiem łagodnym (chociaż nie dla siebie), łagodnym w obejściu, o łagodnym głosie, a jednak w sądzie łagodność go opuszczała, pozostawiało coś brutalnego i zimnego. To było jakieś siedem miesięcy po incydencie z Calebem, pięć miesięcy przed następnym incydentem, a ja, przysłuchując się, jak on recytuje z pamięci słowa świadka bez spoglądania do notesu, który miał przed sobą, patrząc na jego spokojną, urodziwą, pewną siebie twarz, widziałem go w samochodzie tamtej strasznej nocy, kiedy odwrócił się ode mnie, osłaniając głowę rękami, bo wyciągnąłem dłoń, chcąc dotknąć jego policzka; potraktował mnie jak jeszcze jedną osobę, która chce go skrzywdzić. Cała jego egzystencja była rozdwojona: był on w pracy i on poza pracą; był on obecny i on dawny; był on w sądzie i on w samochodzie, tak samotny sam ze sobą, że aż się przeraziłem.

Tamtej nocy w centrum miasta chodziłem w kółko, zastanawiając się, czego się o nim dowiedziałem, co zobaczyłem, z jakim trudem powstrzymywałem się, żeby nie zawyć, kiedy mi mówił to wszystko. Gorsze niż Caleb, gorsze niż to, co Caleb mówił, było usłyszeć na własne uszy to, jak bardzo Jude myli się co do siebie. Chyba zawsze wiedziałem, że on to tak odczuwa, ale usłyszeć, jak mówi to tak otwarcie, było straszniej, niż sobie wyobrażałem. Nigdy nie zapomnę jego słów: „kiedy wygląda się tak jak ja, trzeba brać, co popadnie". Nigdy nie zapomnę desperacji, złości i bezradności, jakie poczułem, kiedy to mówił. Nigdy nie zapomnę jego twarzy, gdy spostrzegł Caleba, gdy Caleb obok niego usiadł, a ja jeszcze nie rozumiałem, co się dzieje. Jak możesz nazwać się rodzicem, jeżeli twoje dziecko tak się postrzega? To było coś, wobec czego nigdy nie zdołam zmienić perspektywy. Przypuszczam, że ponieważ nie byłem nigdy rodzicem dorosłego człowieka, nie miałem pojęcia, co to znaczy. Nie doskwierała mi ta rola: czułem się tylko głupi i bezużyteczny z tego powodu, że nie zrozumiałem wszystkiego wcześniej. Sam przecież byłem dorosłym dzieckiem rodzica i do swojego ojca zwracałem się nieustannie.

Zadzwoniłem do Julii, która była w Santa Fe na konferencji na temat nowych chorób, i opowiedziałem jej, co się stało, a ona tylko przeciągle, smutno westchnęła.

– Haroldzie… – zaczęła i zamilkła.

Rozmawialiśmy już o tym, jakie mogło być jego życie, zanim nas spotkał, i chociaż myliliśmy się oboje, to jej domysły okazały się trafniejsze od moich, chociaż wtedy uznałem je za śmieszne, niedorzeczne.

– Wiem – powiedziałem.

– Musisz do niego zadzwonić.

Ale już dzwoniłem. Dzwoniłem i dzwoniłem, nikt nie odbierał.

W nocy leżałem bezsennie, na zmianę zamartwiając się i snując fantazje typowe dla mężczyzn: broń, rany, zemsta. Miałem sny na jawie, w których dzwoniłem do kuzyna Gillian, który był detektywem w Nowym Jorku, i doprowadzałem do aresztowania Caleba Portera. Miałem sny, w których telefonowałem do ciebie, a ty do Andy'ego, w których zaczajałem się pod mieszkaniem Caleba i zabijałem go.

Nazajutrz rano wyszedłem z domu wcześnie, przed ósmą, nakupiłem bajgli i soku pomarańczowego i poszedłem na Greene Street. Dzień był szary i wilgotny. Trzy razy nacisnąłem guzik domofonu, za każdym razem przytrzymując go przez parę sekund, a potem cofnąłem się na krawężnik i patrzyłem na szóste piętro.

Już miałem znowu nacisnąć klawisz domofonu, kiedy odezwał się jego głos:

– Halo?

– To ja – powiedziałem. – Mogę wejść na górę?

Nie było odpowiedzi.

– Chcę cię przeprosić. Muszę cię zobaczyć. Przyniosłem bajgle.

Znowu cisza.

– Halo? – zapytałem.

– Haroldzie – rzekł on i usłyszałem, że jego głos brzmi jakoś dziwnie. Był stłumiony, jakby wyrosły mu dodatkowe zęby i przeszkadzały mówić. – Jeżeli wpuszczę cię na górę, to obiecujesz, że nie zezłościsz się i nie będziesz krzyczał?

Teraz dla odmiany ja milczałem. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć.

– Tak – obiecałem w końcu i po sekundzie czy dwóch drzwi kliknęły na znak, że są otwarte.

Wysiadłem z windy i przez minutę nie widziałem nic, tylko śliczne mieszkanie ze ścianami światła. Lecz wtedy usłyszałem swoje imię, spojrzałem w dół i zobaczyłem go.

Omal nie upuściłem cholernych bajgli. Poczułem, że kończyny mi kamienieją. Siedział na podłodze i podpierał się prawą ręką, a gdy ukląkłem obok, odwrócił głowę i lewą ręką zasłonił twarz, jak tarczą.

– On zabrał zapasowe klucze – powiedział, a twarz miał tak spuchniętą, że ledwo poruszał ustami. – Kiedy przyszedłem wczoraj w nocy, on tu był.

Wtedy odwrócił się do mnie: jego twarz wyglądała jak zwierzę obdarte ze skóry, wybebeszone i zostawione w upale, który stopił wnętrzności w mięsny pudding; z oczu widać było jedynie długie rzęsy, smugi czerni nad policzkami, które miały koszmarny siny kolor, kolor rozkładu, pleśni. Zdawało mi się, że płacze, ale nie płakał.

– Przepraszam cię, Haroldzie, bardzo przepraszam.

Pilnowałem się, żeby nie zacząć krzyczeć – nie na niego, tylko dla wyrażenia czegoś, czego wysłowić nie byłem w stanie – i w końcu się odezwałem.

– Pomogę ci. Zaraz wezwiemy policję, a potem…

– Nie – odpowiedział. – Tylko nie policję.

– Musimy – powiedziałem. – Jude. Musisz.

– Nie. Nie złożę skargi. Nie mogę… – Nabrał oddechu. – Nie zniosę tego upokorzenia. Nie mogę.

– W porządku – powiedziałem, odkładając rozmowę o policji na później. – Ale jeżeli on wróci?

Pokręcił głową, nieznacznie.

– Nie wróci – powiedział swoim nowym, mamroczącym głosem.

Zaczynało mi się kręcić w głowie od wysiłku powstrzymywania impulsu, który nakazywał mi wybiec, odnaleźć Caleba i zabić go, od wysiłku zaakceptowania, że ktoś mu coś takiego zrobił, od wysiłku oglądania go pobitego i bezradnego – jego, tak pełnego godności i zawsze uważającego, by być opanowanym i schludnym.

– Gdzie twój wózek? – spytałem.

Wydał odgłos podobny do beczenia i powiedział coś, ale tak cicho, że musiałem go poprosić o powtórzenie, chociaż widziałem, jaki ból sprawia mu wysławianie się.

– Na dole schodów – odpowiedział wreszcie i tym razem byłem już pewien, że płacze, chociaż nie mógł otworzyć oczu, by wypuścić łzy. Zaczął się trząść.

Wtedy już i ja się trząsłem. Zostawiłem go siedzącego na podłodze i poszedłem po wózek, który ktoś z taką furią zrzucił ze schodów, że odbił się od ściany i wylądował na podeście czwartego piętra. Wracając do Jude'a, zauważyłem, że podłoga koło stołu w jadalni lepi się od czegoś, i zobaczyłem wielką, jasną, rozbryźniętą kałużę wymiocin zastygłą w galaretę.

– Obejmij mnie za szyję – poleciłem mu i usłuchał, ale gdy go podnosiłem, krzyknął.

Przeprosiłem i jakoś posadziłem go na wózku. Wtedy zauważyłem, że plecy jego bluzy – miał na sobie szarą termiczną bluzę, w której lubił spać – są całe zakrwawione, krew była i stara, i świeża; zakrwawione były też tyły nogawek spodni.

Zostawiłem go i zadzwoniłem do Andy'ego, powiedziałem mu, że sytuacja jest nagła. Miałem szczęście – Andy nie wyjechał z miasta na weekend i obiecał przyjąć nas w gabinecie za dwadzieścia minut.

Zawiozłem go tam. Pomogłem mu wysiąść z samochodu – z wyraźną niechęcią posługiwał się lewą ręką, a kiedy go postawiłem, uniósł prawą nogę, żeby nie dotknęła ziemi, gdy zaś sadzałem go na wózku, wydawał dziwne, ptasie kwilenie. Kiedy Andy otworzył drzwi i go zobaczył, myślałem, że zwymiotuje.

– Jude – powiedział, gdy odzyskał głos, i kucnął obok niego, lecz on nie odpowiadał.

Kiedy umieściliśmy go w pokoju badań, wyszliśmy przed recepcję porozmawiać. Powiedziałem Andy'emu o Calebie. Powiedziałem mu, czego się domyślam. Powiedziałem, co według mnie dolega Jude'owi: że chyba złamał lewą rękę, że coś jest nie w porządku z jego prawą nogą i że krwawi, i w których miejscach, że cała podłoga była zakrwawiona. Powiedziałem, że Jude odmawia zawiadomienia policji.

– Okej – rzekł Andy. Widziałem, że jest w szoku. Co chwila przełykał ślinę. – Okej, okej. – Zatrzymał się i potarł oczy. – Poczekasz tutaj chwilę?

Wyszedł z gabinetu czterdzieści minut później.

– Zabieram go do szpitala, trzeba zrobić kilka prześwietleń – powiedział. – Prawie na pewno ma złamane lewy nadgarstek i kilka żeber. A jeżeli okaże się, że i noga… – Urwał. – Jeżeli tak, to będziemy mieli prawdziwy problem. – Zdawał się nie pamiętać, że jestem w poczekalni. Nagle się zreflektował. – Ty jedź do domu. Zadzwonię do ciebie, jak będziemy kończyć.

– Zostanę tutaj – powiedziałem.

– Nie, Haroldzie – skarcił mnie ostro, po czym dodał łagodniej: – Musisz zadzwonić do jego biura; nie ma mowy, żeby w tym tygodniu wrócił do pracy. – Zastanowił się. – On prosił… prosił, żebyś powiedział, że miał wypadek samochodowy.

Gdy wychodziłem, Andy rzekł cicho:

– Mnie mówił, że gra w tenisa.

– Wiem – powiedziałem. Czułem się podle za nas obu, że byliśmy tacy głupi. – Mnie też tak mówił.

Wróciłem na Greene Street z jego kluczami. Długo, przez kilka minut, stałem w drzwiach i patrzyłem w przestrzeń mieszkania. Chmury częściowo się rozstąpiły, ale nie trzeba było dużo słońca – nawet ze spuszczonymi żaluzjami – żeby napełnić tę przestrzeń światłem. Zawsze postrzegałem to mieszkanie jako pełne nadziei, z jego wysokimi sufitami, czystością, otwartością, obietnicą przejrzystości.

To było jego mieszkanie, więc znajdowało się w nim mnóstwo środków czyszczących. Zabrałem się do sprzątania. Przetarłem mopem podłogi; lepkie plamy to była krew. Trudno było ją dostrzec na ciemnej podłodze, ale zapach był nieomylny: gęsty, dziki zapach, który nos rozpoznaje natychmiast. Jude najwyraźniej próbował sprzątnąć łazienkę, ale i tu smugi krwi znaczyły marmurową posadzkę, pozasychane w rdzawe róże zachodzącego słońca; trudno je było usunąć, ale zrobiłem, co mogłem. Zajrzałem do koszy na śmieci – zapewne w poszukiwaniu dowodów – ale nic nie znalazłem: wszystkie kosze zostały opróżnione i wymyte. Jego ubrania z ubiegłej nocy leżały porozrzucane przy sofie w salonie. Koszula była tak porwana, jakby poszarpana pazurami, że od razu ją wyrzuciłem; garnitur zabrałem do pralni chemicznej. Poza tym w mieszkaniu panował wzorowy porządek. Z duszą na ramieniu zajrzałem do sypialni, spodziewając się znaleźć potłuczone lampy, porozrzucane ubrania, ale pokój był tak nieskazitelny, jakby nikt w nim nie mieszkał, jakby to był wzorcowy dom reklamujący życie godne pozazdroszczenia. Osoba w nim mieszkająca wydawałaby przyjęcia, byłaby beztroska i pewna siebie, nocą, przy otwartych żaluzjach, tańczyłaby z przyjaciółmi, a ludzie przechodzący Greene Street w drodze do Mercer spoglądaliby w górę na to pudełko światła unoszące się na niebie i wyobrażaliby sobie jego mieszkańców, którzy są ponad nieszczęście, lęk czy jakiekolwiek troski.

Zamejlowałem do Luciena, którego raz widziałem i który, jak się okazało, był znajomym znajomego Laurence'a, i oznajmiłem, że zdarzył się poważny wypadek i Jude jest w szpitalu. Poszedłem do sklepu i kupiłem dla niego rzeczy łatwe do jedzenia: zupy, puddingi, soki. Sprawdziłem adres Caleba Portera i powtórzyłem go sobie kilkakrotnie – Zachodnia Dwudziesta Dziewiąta numer pięćdziesiąt, mieszkania siedem J – aż wrył mi się w pamięć. Wezwałem ślusarza i kazałem wymienić wszystkie zamki: w drzwiach na dole, w windzie, w drzwiach do mieszkania. Pootwierałem okna, żeby wilgotne powietrze wywabiło zapach krwi i środków dezynfekujących. Sekretarce wydziału prawa zostawiłem wiadomość, że w rodzinie zdarzył się poważny wypadek i nie będę mógł wykładać w tym tygodniu. Zostawiłem też wiadomości kilku kolegom, prosząc ich o zastępstwo. Pomyślałem, żeby zadzwonić do dawnego przyjaciela ze szkoły, który pracował w biurze prokuratora okręgowego. Wyjaśniłbym mu, co się stało, bez podawania nazwiska Jude'a, i zapytałbym, jak można doprowadzić do aresztowania Caleba Portera.

– Ale mówisz, że ofiara nie chce złożyć skargi? – zapytałby Avi.

– No nie – musiałbym przyznać.

– Nie można jej przekonać?

– Nie sądzę – musiałbym odpowiedzieć.

– No cóż, Haroldzie – rzekłby Avi zdziwiony i poirytowany. – Nie wiem doprawdy, co ci mam powiedzieć. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę zrobić nic w sytuacji, gdy ofiara nie chce zeznawać.

Wtedy pomyślałbym, co rzadko mi się zdarzało, jaką miałką rzeczą jest prawo, jak bardzo zależną od przyczynków, i jak niewiele system prawny daje pociechy, jak niewiele pożytku tym, którzy najbardziej potrzebują jego opieki.

Potem poszedłem do łazienki, pomacałem pod zlewem i znalazłem jego torebkę z żyletkami i wacikami. Wrzuciłem ją do pieca centralnego ogrzewania. Nienawidziłem tej torebki. Nienawidziłem swojej pewności, że ją znajdę.

Siedem lat wcześniej, na początku maja Jude przyjechał do domu w Truro. Były to spontaniczne odwiedziny: siedziałem tam akurat, próbując pisać, a bilety były tanie. Powiedziałem mu, żeby przyjeżdżał, i ku mojemu zdziwieniu – już wtedy niechętnie opuszczał biuro Rosena, Pritcharda – rzeczywiście przyjechał. Był tego dnia wesoły, ja też. Zostawiłem go w kuchni przy siekaniu czerwonej kapusty, a sam zaprowadziłem do łazienki na górze hydraulika, który miał zainstalować nowy sedes, a gdy już stamtąd wychodziłem, poprosiłem, żeby przy okazji spojrzał na umywalkę w łazience na dole, tę przy pokoju Jude'a, ponieważ przeciekała.

Majster to zrobił, coś przykręcił, coś wymienił, a wychodząc z łazienki, wręczył mi jakiś przedmiot.

– To było przylepione pod umywalką – powiedział.

– Co to jest? – spytałem, biorąc od niego pakiecik.

Wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem. Ale przylepione było solidnie, taśmą izolacyjną.

Rozwinął paczuszkę, a ja stałem jak głupi i gapiłem się na torebkę, po czym kiwnął mi głową i poszedł. Usłyszałem, jak mówi „do widzenia" Jude'owi, zanim wyszedł, pogwizdując.

Spojrzałem na torebkę. Był to typowy, litrowej objętości przezroczysty woreczek, a wewnątrz znajdowało się dziesięć żyletek, oddzielnie zapakowane płatki kosmetyczne nasączone alkoholem, tampony z gazy poskładane w sprężyste kwadraciki i bandaże. Stałem z torebką w ręku i wiedziałem, do czego ona służy, chociaż nigdy nie widziałem dowodów i nigdy nie zetknąłem się z czymś podobnym. Ale wiedziałem.

Poszedłem do kuchni, gdzie zastałem go myjącego miskę po łososiu. Wciąż był wesoły. Nawet nucił coś sobie, bardzo cicho, co robił tylko wtedy, kiedy był bardzo zadowolony, tak jak kot mruczy do siebie, gdy leży na słońcu.

– Trzeba było mi powiedzieć, że potrzebujesz kogoś do zamontowania sedesu – powiedział, nie podnosząc oczu. – Mogłem to zrobić i zaoszczędzić ci wydatku.

Znał się na wszystkim: na hydraulice, na elektryce, na stolarce, na ogrodnictwie. Pojechaliśmy kiedyś do Laurence'a specjalnie po to, żeby Jude objaśnił mu, jak bezpiecznie wykopać z ziemi młodą jabłonkę rosnącą w rogu podwórza za domem i przesadzić ją w bardziej nasłonecznione miejsce.

Przez chwilę stałem i patrzyłem na niego. Kłębiło się we mnie mnóstwo emocji, z których połączenia nic nie wynikało, tylko jakaś drętwota, brak uczuć wywołany nadmiarem uczuć. W końcu zawołałem go po imieniu i wtedy na mnie spojrzał.

– Co to jest? – zapytałem, podstawiając mu pod nos torebkę.

Zesztywniał z jedną ręką zawieszoną nad miską i pamiętam, jak małe kropelki wody zbierały się i ściekały z opuszków jego palców, jakby skaleczył się nożem i krwawił wodą. Otworzył usta i zamknął je.

– Przepraszam, Haroldzie – powiedział bardzo cicho. Opuścił rękę i powoli wytarł ją w ścierkę.

To mnie rozzłościło.

– Nie potrzebuję twoich przeprosin, Jude – powiedziałem. – Pytam cię, co to jest. I nie odpowiadaj mi: „torebka z żyletkami". Co to jest? Dlaczego przylepiłeś to do spodu umywalki?

Patrzył na mnie długo tym swoim spojrzeniem – jestem pewien, że je znasz – które zdradza, że on się cofa, że jakaś brama w nim się zatrzaskuje, a mosty zwodzone unoszone są nad fosę.

– Przecież wiesz, po co mi to – rzekł wreszcie, nadal bardzo cicho.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

– Jest mi potrzebne.

– Powiedz mi, co z tym robisz – naciskałem, patrząc na niego.

Spuścił wzrok na miskę ziemniaków.

– Czasami muszę się pociąć – powiedział w końcu. – Przykro mi, Haroldzie.

A ja nagle wpadłem w panikę, która odebrała mi zdrowy rozsądek.

– Co to ma, kurwa, znaczyć? – spytałem, może nawet krzyknąłem.

On w tym momencie już się cofał, tak jakby myślał, że się na niego rzucę, i chciał zachować bezpieczną odległość.

– Nie wiem – powiedział. – Przykro mi, Haroldzie.

– „Czasami" to znaczy jak często? – spytałem.

Widziałem, że on już też panikuje.

– Nie wiem – bąknął. – To zależy.

– Jak często?

– Nie wiem – odpowiedział rozpaczliwie. – Nie wiem. Kilka razy na tydzień.

– Kilka razy na tydzień! – ryknąłem i zamilkłem. Nagle poczułem, że muszę stamtąd uciekać. Złapałem kurtkę z krzesła i wcisnąłem torebkę w jedną z jej wewnętrznych kieszeni. – Radzę ci tutaj być, kiedy wrócę! – zapowiedziałem i wyszedłem. (Bo on był uciekinierem: ile razy myślał, że ja lub Julia jesteśmy z niego niezadowoleni, próbował jak najprędzej zejść nam z oczu, jakby był nieprzyjemnym przedmiotem, który trzeba usunąć).

Zszedłem na dół, na plażę, i pobrnąłem przez wydmy, czując ten rodzaj gniewu, który towarzyszy poczuciu skrajnej nieadekwatności do sytuacji oraz podejrzeniu, że nie ma się słuszności. Po raz pierwszy uprzytomniłem sobie wtedy, że tak jak on jest dla nas dwiema osobami, tak i my jesteśmy podwójni dla niego: widzieliśmy w nim tylko to, co chcieliśmy widzieć, i pozwalaliśmy sobie nie widzieć niczego innego. Byliśmy tak źle wyposażeni. Ludzie w większości są łatwi: ich nieszczęścia to nasze nieszczęścia, ich smutki są dla nas zrozumiałe, ich wybuchy nienawiści do samych siebie są krótkie i dają się łagodzić. Ale z nim było inaczej. Nie wiedzieliśmy, jak mu pomóc, bo brakowało nam wyobraźni niezbędnej do zdiagnozowania jego problemów. Ale to tylko usprawiedliwianie się.

Zanim wróciłem do domu, zrobiło się prawie ciemno; przez okno kuchni widziałem jego sylwetkę przesuwającą się wewnątrz. Usiadłem na krześle na werandzie i zatęskniłem za obecnością Julii, która była wtedy w Anglii u ojca.

Tylne drzwi się otworzyły.

– Kolacja – powiedział cicho, a ja wstałem, żeby wejść do środka.

Przygotował jedno z dań, które bardzo lubię – gotowanego okonia morskiego z ziemniakami pieczonymi na mój ulubiony sposób i wielką miskę sałatki z marchewki i kapusty, która, jak się domyśliłem, doprawiona jest moim ulubionym sosem musztardowym i tymiankiem. Ale nie miałem apetytu. Nałożył porcję mnie, potem sobie i usiadł.

– Wygląda pysznie – powiedziałem. – Dziękuję, że to wszystko przygotowałeś.

Skinął głową. Obaj gapiliśmy się w swoje talerze, na to wspaniałe danie, którego żaden z nas nie był w stanie przełknąć.

– Jude – powiedziałem. – Muszę cię przeprosić. Bardzo przepraszam, nie powinienem był tak napaść na ciebie.

– Nie ma za co – powiedział. – Rozumiem.

– Nie. Zachowałem się źle. To dlatego że strasznie się zmartwiłem.

Na powrót spuścił wzrok.

– A wiesz, dlaczego się zmartwiłem? – zapytałem.

– Bo… bo przyniosłem to do twojego domu.

– Nie. Nie dlatego, Jude. Ten dom to nie jest tylko mój dom i Julii, to jest także twój dom. Chcę, żebyś czuł, że możesz tutaj przynieść wszystko, na co masz ochotę. Ale martwię się tym, że robisz sobie takie straszne rzeczy.

Nie podnosił wzroku.

– Czy twoi przyjaciele o tym wiedzą? Czy Andy wie?

Kiwnął nieznacznie głową.

– Willem wie – rzekł cicho. – I Andy.

– I co na to mówi Andy? – spytałem, myśląc sobie: A niech cię licho, Andy.

– Mówi… mówi, że powinienem pójść na psychoterapię.

– I byłeś?

Pokręcił głową, a ja poczułem, że znów wzbiera we mnie złość.

– Dlaczego nie? – spytałem, ale milczał. – Czy taka sama torebka jest w Cambridge?

Po chwili ciszy spojrzał mi w oczy i znów skinął głową.

– Jude – powiedziałem – dlaczego ty to sobie robisz?

Milczał długo. Ja też. Słuchałem morza. Nareszcie się odezwał:

– Z kilku powodów.

– Na przykład?

– Czasami czuję się tak źle, tak bardzo się wstydzę, że muszę poczuć to fizycznie – zaczął i spojrzał na mnie, zanim znowu spuścił wzrok. – A czasami jest tak, że czuję za dużo i chciałbym nie czuć nic… To pomaga opanować uczucia. No a nieraz to robię, bo czuję się szczęśliwy i muszę sobie przypomnieć, że nie powinienem.

– Dlaczego? – wykrztusiłem.

Ale on tylko pokręcił głową i nie odpowiedział, więc i ja zamilkłem.

Zaczerpnął tchu.

– Posłuchaj – odezwał się nagle z determinacją, patrząc mi prosto w oczy – jeżeli chcesz rozwiązać adopcję, ja to zrozumiem.

Tak mnie tym zdumiał, że się rozzłościłem – coś takiego nawet mi nie przeszło przez myśl. Już miałem coś odburknąć, kiedy spojrzałem na niego i zobaczyłem, jak bardzo próbuje być dzielny i jak strasznie się boi: on naprawdę pomyślał, że chciałbym coś takiego zrobić. Naprawdę by zrozumiał, gdybym odpowiedział „tak”. Spodziewał się tego. Później uświadomiłem sobie, że przez lata, które nastąpiły bezpośrednio po adopcji, on stale zastanawiał się, na ile to jest trwałe, stale wymyślał, za jakie przewinienie w końcu się go wyrzeknę.

– Nigdy w życiu – powiedziałem tak stanowczo, jak tylko umiałem.

Tamtej nocy spróbowałem z nim porozmawiać. Wstydził się tego, co robi, widziałem to, ale naprawdę nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak mi zależy, żeby tego nie robił, dlaczego to aż tak martwi mnie i ciebie, i Andy'ego.

– Na to się nie umiera – powtarzał, jakby na tym polegał problem. – Potrafię to kontrolować.

Odmówił spotkania z terapeutą, choć nie umiał mi wyjaśnić dlaczego. Widziałem, że nienawidzi się ciąć, ale też nie potrafi sobie wyobrazić życia bez tego.

– Potrzebuję tego – powtarzał. – Potrzebuję tego. To wszystko naprawia.

– Ale przecież – tłumaczyłem mu – musiał być taki czas w twoim życiu, kiedy tego nie robiłeś, prawda?

Pokręcił głową.

– Potrzebuję tego – powtórzył. – To mi pomaga, Haroldzie, musisz uwierzyć mi na słowo.

– *Dlaczego* potrzebujesz? – spytałem.

Znowu pokręcił głową.

– To mi pomaga kontrolować własne życie – odrzekł wreszcie.

Nie miałem już nic więcej do powiedzenia.

– Zatrzymam to – powiedziałem, unosząc torebkę, a on skrzywił się i kiwnął głową. – Jude.

Spojrzał na mnie.

– Jeżeli to wyrzucę, zrobisz sobie drugą?

Zamilkł, patrząc w talerz, aż wreszcie powiedział:

– Tak.

Oczywiście i tak wyrzuciłem torebkę, wcisnąłem ją na samo dno worka ze śmieciami, który wyniosłem do pojemnika na końcu drogi. W milczeniu posprzątaliśmy kuchnię – obaj byliśmy wykończeni i żaden z nas nic nie zjadł – a potem on poszedł do łóżka i ja też. W tamtych dniach próbowałem jeszcze szanować jego przestrzeń intymną; inaczej złapałbym go za kołnierz i podniósł do góry.

Jednak leżąc bezsennie w łóżku, myślałem o nim, o jego długich palcach tęskniących za płatkiem żyletki, więc zszedłem na dół do kuchni. Wyciągnąłem misę do ucierania ciasta z szuflady pod piecykiem i zacząłem ją napełniać wszystkimi ostrymi przedmiotami, jakie potrafiłem znaleźć: wrzucałem noże i nożyczki, korkociągi i szpikulce do homarów. Potem poszedłem do salonu, gdzie usiadłem w swoim fotelu, tym z widokiem na morze, ściskając misę w objęciach.

Obudziło mnie skrzypienie. Drewniana podłoga w kuchni była głośna. Usiadłem po ciemku, starając się być cicho, i nasłuchiwałem jego kroków – wyraźnego stąpnięcia lewej stopy, po którym następowało szurnięcie – a potem usłyszałem otwieranie szuflady i po paru sekundach jej zamykanie.

Po niej druga szuflada i następna, aż otworzył i zamknął wszystkie, w każdej szafce. Nie zapalił światła – wystarczył mu księżyc – więc wyobraziłem sobie, jak stoi w świeżo stępionym świecie kuchni i dociera do niego, że to ja wszystko zabrałem: wziąłem nawet widelce. Siedziałem, wstrzymując oddech, nasłuchując ciszy dochodzącej z kuchni. Przez moment było tak, jakbyśmy ze sobą rozmawiali, bez słów i bez widzenia się. Aż wreszcie usłyszałem, jak się odwraca i wycofuje do swojego pokoju.

Kiedy następnego wieczoru wróciłem do domu w Cambridge, poszedłem do jego łazienki i znalazłem tam taką samą torebkę jak w Truro. Ją także wyrzuciłem. I nigdy więcej nie znalazłem takich torebek w Cambridge ani w Truro. Musiał znaleźć inną kryjówkę, której nie odkryłem, bo przecież nie mógł przewozić żyletek samolotem. Ilekroć jednak odwiedzałem go na Greene Street, znajdowałem okazję, żeby wślizgnąć się do łazienki. Tutaj trzymał torebkę w starej kryjówce; za każdym razem ją kradłem, chowałem do kieszeni, a po wyjściu wyrzucałem. Musiał oczywiście o tym wiedzieć, ale nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Za każdym razem torebka była zastępowana nową. Dopóki się nie zorientował, że przed tobą też musi ją ukrywać, nie zdarzyło się ani razu, żebym jej nie znalazł. Nie przestałem jednak sprawdzać: ile razy byłem u niego w mieszkaniu albo później w wiejskim domku, albo w mieszkaniu w Londynie, szedłem do łazienki i szukałem torebki. Potem przestałem je znajdować. Łazienki projektowane przez Malcolma były takie przejrzyste, takie proste, a jednak nawet w nich zdołał wykombinować jakąś kryjówkę, której nie udało mi się wytropić.

Przez wszystkie te lata nieraz próbowałem z nim o tym rozmawiać. W dzień po znalezieniu pierwszej torebki zadzwoniłem do Andy'ego i zmieszałem go z błotem, on zaś, nietypowo dla siebie, nie protestował.

– Wiem – powiedział. – Wiem. – A potem dodał: – Haroldzie, ja nie pytam złośliwie ani retorycznie. Chcę, żebyś mi powiedział: co ja mam zrobić?

Oczywiście nie potrafiłem na to odpowiedzieć.

Ty z nim zaszedłeś najdalej. Ale wiem, że czułeś się winny. Ja też czułem się winny. Bo zrobiłem coś gorszego niż akceptacja – ja to tolerowałem. Postanowiłem zapomnieć, że on to robi, ponieważ za trudno było znaleźć rozwiązanie i ponieważ chciałem nacieszyć się nim jako osobą, którą on życzy sobie być przez nas widziany, chociaż przecież znałem prawdę. Wmawiałem sobie, że pozwalam mu zachować godność, celowo zapominając, że przez tysiące nocy tę godność poświęcał. Beształem go i usiłowałem z nim negocjować, chociaż wiedziałem, że te metody nie działają, lecz wiedząc to, nie spróbowałem czegoś innego, czegoś bardziej radykalnego, czegoś, co mogłoby go ode mnie odsunąć. Wiedziałem, że jestem tchórzem, ponieważ nigdy nie powiedziałem Julii o tej torebce. Nigdy nie

powiedziałem jej, czego się dowiedziałem tamtej nocy w Truro. W końcu sama do tego doszła i rozzłościła się jak rzadko.

– Jak mogłeś pozwolić, żeby to się dalej działo? – spytała mnie. – Jak mogłeś przystawać na to tak długo?

Nie powiedziała, że uważa mnie za bezpośrednio odpowiedzialnego, ale wiedziałem, że tak właśnie jest, bo czy mogła uważać inaczej? Podzielałem jej zdanie.

A teraz byłem w jego mieszkaniu, gdzie kilka godzin wcześniej, gdy ja leżałem bezsennie w łóżku, został pobity. Usiadłem na sofie z telefonem w ręce, czekając, aż Andy zadzwoni i powie, że mogę odebrać Jude'a, że on jest gotowy przejść pod moją opiekę. Podniosłem żaluzję w oknie naprzeciwko kanapy, usiadłem z powrotem i zapatrzyłem się w stalowe niebo, aż chmury zaczęły zlewać mi się w oczach, aż przestałem widzieć cokolwiek poza szarą mgłą, a dzień wolno osuwał się w noc.

Andy zadzwonił o szóstej wieczorem, dziewięć godzin po tym, jak zawiozłem do niego Jude'a, i kiedy przyjechałem, spotkał mnie w drzwiach.

– Śpi w pokoju badań – powiedział. A potem: – Złamany nadgarstek, złamane cztery żebra, dzięki bogu żadna kość nie jest złamana w nogach. Nie dostał wstrząsu mózgu, bogu dzięki. Zwichnięty bark, który nastawiłem. Obrażenia zewnętrzne na plecach i torsie; najwyraźniej był kopany. Ale nie ma wylewów wewnętrznych. Twarz wygląda gorzej, niż naprawdę ucierpiała. Oczy i nos w porządku, żadnych złamań, a zasinienie obłożyłem lodem, co i ty musisz robić regularnie. Rany szarpane na nogach. To mnie martwi. Wypisałem receptę na antybiotyki; podamy mu profilaktycznie małe dawki, lecz gdyby skarżył się na uczucie gorąca albo zimna, musisz mnie natychmiast powiadomić, bo ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to infekcja. Plecy w pręgi…

– Jak to w pręgi? – spytałem.

– Wychłostane – uściślił ze zniecierpliwieniem. – Był chłostany, prawdopodobnie pasem, ale nic mi nie chciał powiedzieć. Obandażowałem je, ale masz tu maść antybiotykową: rany trzeba regularnie czyścić i zmieniać opatrunek od jutra. On będzie protestować, ale trudno, jest fatalnie. Wszystkie instrukcje zapisałem ci tutaj.

Wręczył mi plastikową torebkę; zajrzałem do niej: fiolki tabletek, rolki bandaża, tubki maści.

– To – powiedział Andy, wyciągając jedną z fiolek – jest środek przeciwbólowy, on go nienawidzi. Ale będzie go potrzebował; zmuś go do brania jednej tabletki co dwanaście godzin: jedna rano, jedna wieczorem. Będzie po nich oszołomiony, więc nie wypuszczaj go samego z domu i nie pozwól mu niczego dźwigać. Ten lek powoduje też mdłości, ale musisz go nakłonić do jedzenia: coś prostego, rosół z ryżem na przykład. Postaraj się namówić go do poruszania się na wózku; zresztą nie będzie

miał wielkiej ochoty chodzić po domu. Zadzwoniłem do jego dentysty i umówiłem wizytę na poniedziałek o dziewiątej rano, bo stracił kilka zębów. Najważniejsze, żeby spał, ile tylko może; zajrzę jutro po południu i będę wpadał co wieczór przez cały tydzień. Nie pozwól mu iść do pracy… chociaż nie sądzę, żeby chciał.

Zamilkł równie nagle, jak się rozgadał, i chwilę staliśmy w ciszy.

– Nie mogę, kurwa, w to uwierzyć – rzekł wreszcie Andy. – Ten pierdolony dupek. Chcę znaleźć drania i zabić go.

– Wiem. Ja też.

Andy pokręcił głową.

– Nie pozwolił mi złożyć skargi – powiedział. – Błagałem go o to.

– Wiem. Ja też.

Na jego widok przeżyłem nowy szok. Pokręcił głową, kiedy chciałem mu pomóc przesiąść się na wózek, więc staliśmy z Andym, patrząc, jak opuszcza się na siedzenie, wciąż w tych samych ubraniach poplamionych krwią pozasychaną teraz w rdzawe kontynenty.

– Dziękuję ci, Andy – powiedział, bardzo cicho. – Przepraszam.

A Andy położył mu dłoń na głowie i nie odrzekł nic.

Zanim dojechaliśmy na Greene Street, było już ciemno. Jego wózek był, jak wiesz, z tych lekkich, eleganckich, tak zaawansowanych w kwestii samowystarczalności użytkownika, że nie miał uchwytów, ponieważ zakładano, że osoba na nim jeżdżąca nigdy nie pozwoli sobie na hańbę bycia popychaną przez kogoś innego. Trzeba było trzymać za górę oparcia, które było bardzo niskie, i w ten sposób manewrować wózkiem. Zatrzymałem się w wejściu, by zapalić światło, i obaj zamrugaliśmy gwałtownie.

– Posprzątałeś – powiedział.

– No tak – przyznałem. – Niestety nie tak dobrze, jak ty byś to zrobił.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Zamilkliśmy.

– Może pomogę ci się przebrać, a potem coś zjesz?

Pokręcił głową.

– Nie, dziękuję ci. Nie jestem głodny. I sam sobie mogę zrobić.

Teraz był stonowany, pod kontrolą: człowiek, którego widziałem wcześniej, zniknął, zamknięty znowu w klatce swego labiryntu, w jakiejś rzadko otwieranej piwnicy. Jude zawsze był uprzejmy, ale gdy próbował się bronić lub potwierdzić swoje kompetencje, stawał się jeszcze grzeczniejszy:

uprzejmy i lekko zdystansowany, niczym podróżnik pośród członków groźnego plemienia, który stara się nie zagłębić zbytnio w ich sprawy.

Westchnąłem w duchu i zawiozłem go do pokoju; powiedziałem, że jestem tutaj, gdyby mnie potrzebował, on zaś pokiwał głową. Usiadłem na podłodze pod zamkniętymi drzwiami i czekałem: usłyszałem odkręcanie i zakręcanie kranu, potem jego kroki, potem długą ciszę, a w końcu westchnienie materaca, na którym usiadł.

Kiedy wszedłem, leżał pod kołdrą, więc przysiadłem obok niego na skraju łóżka.

– Na pewno nie chcesz nic zjeść? – zapytałem.

– Na pewno – odpowiedział po zastanowieniu i spojrzał na mnie. Już mógł otwierać oczy; na tle białej pościeli jego twarz przybrała kolory ziemi: wężowa zieleń oczu, złotobrązowe pasma włosów i cera, już nie tak sina jak rano, matowo zbrązowiała. – Haroldzie, tak mi przykro – powiedział. – Przepraszam, że krzyczałem na ciebie w nocy, i przepraszam, że masz ze mną tyle kłopotu. Przepraszam, że…

– Jude – przerwałem mu – nie musisz mnie przepraszać. To ja przepraszam. Chciałbym ci jakoś pomóc.

Przymknął oczy, potem je otworzył i odwrócił się ode mnie.

– Strasznie mi wstyd – powiedział cicho.

Wtedy pogłaskałem go po włosach i pozwolił na to.

– Nie wstydź się – powiedziałem. – Nie zrobiłeś nic złego.

Chciało mi się płakać, ale pomyślałem, że on się rozpłacze, a jeśli tak, to ja spróbuję się powstrzymać.

– Wiesz o tym, prawda? – spytałem. – Wiesz, że to nie twoja wina, że na to nie zasłużyłeś?

Nie odrzekł nic, więc ponawiałem pytanie, aż wreszcie lekko skinął głową.

– Wiesz, że ten facet to pierdolony dupek, prawda? – pytałem dalej, a on odwrócił twarz. – Wiesz, że nie ty ponosisz winę? Wiesz, że to w żaden sposób nie określa ani ciebie, ani twojej wartości?

– Haroldzie. Proszę.

Zamilkłem więc, chociaż doprawdy powinienem był mówić dalej.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał.

– Czy mogę ci zadać pytanie? – rzekłem wreszcie, a on po sekundzie czy dwóch skinął głową. Sam nie wiedziałem, co chcę powiedzieć, dopóki nie zacząłem mówić, a słysząc siebie, nie wiedziałem, skąd słowa pochodzą. Może z czegoś, co zawsze wiedziałem i o co nigdy nie chciałem pytać, ponieważ bałem się jego odpowiedzi: spodziewałem się, jaka będzie, i nie chciałem jej usłyszeć. – Czy byłeś molestowany seksualnie jako dziecko?

Poczułem raczej pod dłonią, niż zobaczyłem, że sztywnieje; zadrżał. Nadal na mnie nie patrzył, a teraz przekręcił się na lewy bok, przenosząc zabandażowaną rękę na poduszkę obok.

– Jezu, Harold – powiedział wreszcie.

Cofnąłem rękę.

– Ile miałeś lat, jak to się stało? – zapytałem.

Nastąpiła pauza, po czym wcisnął twarz w poduszkę.

– Haroldzie, jestem bardzo zmęczony. Muszę się przespać.

Położyłem dłoń na jego ramieniu, które drgnęło gwałtownie, lecz nie cofnąłem ręki. Pod palcami czułem, jak jego mięśnie się napinają, czułem dygot przebiegający jego ciało.

– Okej – powiedziałem. – Nie masz się czego wstydzić. To nie twoja wina, Jude, rozumiesz mnie?

Lecz on udawał, że śpi, chociaż wciąż czułem wibracje jego czujnego, spanikowanego ciała. Posiedziałem przy nim jeszcze chwilę, obserwując, jak sztywno leży. W końcu wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Zostałem u niego do końca tygodnia. Zadzwoniłeś tamtej nocy, więc odebrałem jego telefon i okłamałem cię, bredząc coś o jakimś wypadku, ale gdy usłyszałem twój zmartwiony głos, gorąco pragnąłem powiedzieć ci prawdę. Następnego dnia zadzwoniłeś ponownie; podsłuchiwałem pod drzwiami, kiedy cię okłamywał.

– Wypadek samochodowy. Nie. Nie, nic poważnego. Słucham? W weekend byłem w domu Richarda. Zasnąłem za kierownicą i wpadłem na drzewo. Nie wiem; byłem zmęczony – przedtem dużo pracowałem. Nie, zastępczym. Bo mój jest w warsztacie. Nic wielkiego. Nie, nic mi nie będzie. Nie, znasz Harolda, jak zwykle przesadza. Daję słowo. Przysięgam. Nie, jest w Rzymie do końca tego tygodnia. Willem: daję ci słowo. Jest w porządku! Okej. Wiem. Okej. Obiecuję; tak, będę. Ja ciebie też. Hej, hej.

Przez większość czasu był potulny, posłuszny. Jadł zupy, zażywał leki, po których leżał jak kłoda. Każdego ranka siedział w gabinecie i pracował, ale już o jedenastej spał na kanapie. Przesypiał lunch i całe popołudnie; budziłem go dopiero na kolację. Ty dzwoniłeś do niego co wieczór. Julia też dzwoniła: zawsze starałem się podsłuchiwać, ale niewiele słyszałem z ich rozmów, tyle tylko, że on mówił mało, co oznaczało, że Julia mówi dużo. Malcolm odwiedził go kilka razy, wpadli też obaj Henry Youngowie, Elijah i Rhodes. JB przysłał rysunek z irysem; nigdy przedtem nie widziałem, żeby rysował kwiaty. Jude walczył ze mną, tak jak przewidział Andy, o zmianę opatrunków na nogach i plecach, których za żadne skarby nie pozwalał mi zobaczyć, chociaż błagałem go i krzyczałem. Pozwalał na to tylko Andy'emu i usłyszałem, jak Andy do niego mówi:

– W takim razie będziesz musiał co drugi dzień przyjeżdżać do mnie na zmianę opatrunku. Mówię poważnie.

– Doskonale – odburknął.

Odwiedził go też Lucien, ale Jude akurat wtedy spał w gabinecie.

– Nie budź go – powiedział Lucien, a potem zajrzał tam i jęknął: – Jezu.

Pogadaliśmy trochę; Lucien opowiadał mi, jak podziwiany jest Jude w pracy, a tego rodzice zawsze chętnie słuchają o swoim dziecku, czy to dziecko ma cztery lata i wyróżnia się lepieniem z plasteliny w przedszkolu, czy ma lat czterdzieści i w eleganckiej firmie zajmuje się ochroną korporacyjnych przestępców.

– Powiedziałbym, że musisz być z niego dumny, ale zdaje mi się, że za dobrze znam twoje przekonania, żeby to powiedzieć.

Uśmiechnął się szeroko. Lubił Jude'a, to było widać, ja zaś złapałem się na tym, że jestem trochę zazdrosny, i zmierziła mnie własna zazdrość.

– Nie – powiedziałem. – Rzeczywiście jestem z niego dumny.

Zrobiło mi się głupio, że przez tyle lat krytykowałem Jude'a za Rosena, Pritcharda i Kleina, jedyne miejsce, w którym czuł się bezpieczny, jedyne miejsce, w którym czuł się prawdziwie nieważki, jedyne miejsce, gdzie opuszczały go jego lęki i niepewność.

W poniedziałek, kiedy go zostawiałem samego, wyglądał już lepiej: policzki miały kolor musztardy, ale obrzęk ustąpił i znowu było widać zarys kości twarzy. Odnosiłem też wrażenie, że trochę lżej mu się oddycha, że mówienie jest mniej bolesne, a głos mniej zdyszany, bardziej podobny do normalnego. Andy pozwolił mu zredukować do połowy poranną dawkę leków przeciwbólowych, więc Jude był przytomniejszy, choć niekoniecznie żywszy. Rozegraliśmy partię szachów, którą wygrał.

– Będę w czwartek wieczorem – obiecałem mu przy kolacji. Wykłady miałem w tym semestrze tylko we wtorki, środy i czwartki.

– To niepotrzebne – odparł. – Dzięki ci, Haroldzie, ale słowo ci daję, że sobie poradzę.

– Kupiłem już bilet – powiedziałem. – A poza tym, Jude, nie musisz stale mówić „nie", wiesz? Pamiętasz? Akceptacja?

Więcej się nie odezwał.

Cóż jeszcze mogę ci powiedzieć? Do pracy wrócił w środę, mimo sugestii Andy'ego, że powinien do końca tygodnia zostać w domu. Andy nie zrealizował swojej pogróżki i co wieczór przychodził zmienić opatrunek i obejrzeć nogi. Wróciła Julia i odtąd co weekend przez cały październik albo ona, albo ja jeździliśmy do Nowego Jorku, żeby pobyć z Jude'em. Przez resztę tygodnia był z nim Malcolm.

Widziałem, że Jude nie jest z tego zadowolony, ale postanowiliśmy nie przejmować się jego humorami, przynajmniej nie w tej sprawie.

Zdrowiał. W nogi nie wdało się zakażenie. Ani w plecy. Miał szczęście według Andy'ego. Odzyskał wagę, którą stracił. Zanim wróciłeś do domu w początkach listopada, był prawie wyleczony. Przed Świętem Dziękczynienia, które tym razem spędzaliśmy w nowojorskim mieszkaniu, żeby Jude nie musiał podróżować, zdjęli mu gips i znów mógł chodzić. Podczas kolacji obserwowałem go bacznie, jak rozmawiał z Laurence'em i przekomarzał się z jedną z jego córek, lecz później, w nocy, nie mogłem przestać myśleć o wyrazie jego twarzy, gdy Caleb chwycił go za nadgarstek – wyrazie bólu, wstydu i lęku. Myślałem o dniu, w którym się dowiedziałem, że używa wózka: było to wkrótce po tym, jak znalazłem wiadomą torebkę w Truro. Przyjechałem do miasta na konferencję i on wjechał do restauracji na wózku. Byłem w szoku.

– Dlaczego mi o tym nie mówiłeś? – spytałem, on zaś udał zdziwienie, jakby był pewien, że mówił. – Nie. Nie mówiłeś.

I w końcu przyznał się, że nie chciał, żebym oglądał go w tym stanie, jako kogoś słabego i bezradnego.

– Nigdy bym o tobie w ten sposób nie pomyślał – zapewniłem go, lecz chociaż tak mi się zdawało, to jednak zmienił się mój sposób myślenia o nim: odtąd pamiętałem, że to, co o nim wiem, to tylko drobny ułamek tego, kim on jest.

Mogło się zdawać, że tamten tydzień był złym snem, którego świadkami byliśmy tylko ja i Andy. W następnych miesiącach ktoś czasem dowcipkował na ten temat: marny kierowca, wimbledońskie ambicje, a Jude się śmiał, kwitując rzecz jakimś samokrytycznym komentarzem. W takich chwilach nigdy nie patrzył mi w oczy; byłem żywym przypomnieniem tego, co się naprawdę stało, przypomnieniem tego, co postrzegał jako swoje poniżenie.

Później jednak zobaczyłem, jak bardzo ten incydent go nadwątlił, jak go odmienił. Jude stał się kimś innym lub może raczej tym, kim był w przeszłości. W miesiącach przed Calebem widziałem go we wspomnieniach zdrowszym, niż był w istocie, bo pozwalał się uściskać na powitanie, nie wzdrygał się, kiedy go dotykałem, obejmując przelotnie, gdy mijałem go w kuchni, a on dalej kroił marchewkę w tym samym rytmie. Osiągnięcie tego stanu trwało dwadzieścia lat. Lecz po Calebie zauważyłem u niego regres. Gdy w Święto Dziękczynienia chciałem go uściskać, uchylił się pospiesznie – tylko troszeczkę, ale to wystarczyło, żeby moje ramiona objęły powietrze. Nastąpiła między nami sekunda wymiany spojrzeń i zrozumiałem, że tego, na co mogłem sobie pozwolić parę miesięcy temu, już mi nie wolno – wiedziałem, że będę musiał zacząć od początku. Zrozumiałem, że Jude uznał rację Caleba, że jest obrzydliwy i w jakiś sposób zasłużył na to, co go spotkało. I to było najgorsze, najbardziej

niesprawiedliwe. Postanowił uwierzyć Calebowi, uwierzyć jemu, a nie nam, ponieważ Caleb potwierdził to, co on zawsze myślał o sobie, bo tak go nauczono, a zawsze łatwiej uwierzyć w to, co już się myśli, niż spróbować zmienić zdanie.

Później, kiedy zrobiło się źle, zastanawiałem się, co powinienem był powiedzieć, co zrobić. Czasem zdawało mi się, że nie było nic takiego. Może istniało coś, co mogło mu pomóc, ale słowa żadnego z nas nie były w stanie go o tym przekonać. Nadal nachodziły mnie te fantazje: broń, pościg, Zachodnia Dwudziesta Dziewiąta Ulica numer pięćdziesiąt, mieszkania siedem J. Ale tym razem nie strzelalibyśmy. Wzięlibyśmy obaj Caleba Portera pod pachy, sprowadzili go do samochodu, zawieźli na Greene Street, zawlekli na górę. Podyktowalibyśmy mu, co dokładnie ma powiedzieć, i ostrzegalibyśmy, że będziemy stać pod drzwiami, czekając w windzie z odbezpieczonym pistoletem wycelowanym w jego plecy. I przez drzwi usłyszelibyśmy, jak Caleb Porter mówi: „To wszystko była nieprawda. Pomyliłem się gruntownie. To, co zrobiłem, a jeszcze bardziej to, co powiedziałem, przeznaczone było dla kogoś innego. Uwierz mi, tak jak mi uwierzyłeś przedtem: jesteś piękny i doskonały, wszystko, co mówiłem, było nieprawdą. Pomyliłem się. To była pomyłka, nikt nigdy nie mógł się pomylić bardziej niż ja”.

3

Codziennie o czwartej, po ostatniej lekcji, a przed popołudniowymi obowiązkami, miał wolną godzinę, a w środy nawet dwie. Kiedyś poświęcał ten czas na czytanie albo odkrywanie terenu, ale ostatnio, odkąd brat Luke mu pozwolił, spędzał wolną godzinę w cieplarni. Jeżeli brat Luke tam był, Jude pomagał mu podlewać rośliny, ucząc się ich nazw – *Miltonia spectabilis, Alocasia amazonica, Asystasia gangetica* – żeby je potem powtórzyć bratu i zasłużyć na pochwałę.

– Wydaje mi się, że *Heliconia vellerigera* urosła – mówił na przykład, głaszcząc jej mechate przykwiatki, a wówczas brat Luke spoglądał na niego i z podziwem kręcił głową.

– Niewiarygodne – mówił. – Jaką ty masz wspaniałą pamięć.

On zaś uśmiechał się do siebie, dumny, że zrobił wrażenie na bracie.

Jeżeli brata Luke'a w cieplarni nie było, Jude bawił się swoimi skarbami. Brat pokazał mu, że kiedy odsunie się na bok stertę plastikowych doniczek na sadzonki w najdalszym kącie pomieszczenia, znajdzie się niewielką kratę, a gdy się ją zdejmie, ujawni się zagłębienie, w sam raz na mały plastikowy worek na śmieci zawierający wszystkie jego ruchomości. Jude wykopał więc swoje patyczki i kamienie spod drzewa i przeniósł do cieplarni, gdzie było ciepło i wilgotno, więc mógł oglądać swoje skarby bez utraty czucia w rękach. Przez kilka miesięcy brat Luke wzbogacił jego kolekcję: podarował mu kawałek szkła morskiego, mówiąc, że ma kolor jego oczu, i blaszany gwizdek, który miał w środku kulkę i dzwonił jak dzwoneczek, kiedy się nim potrząsało, i małą szmacianą lalkę – mężczyznę w szkarłatnym wełnianym surduciku z paskiem ozdobionym maleńkimi turkusowymi koralikami, którą, powiedział brat Luke, zrobił Indianin Nawaho i która należała do brata Luke'a, gdy był chłopcem. Przed dwoma miesiącami Jude otworzył swój worek skarbów i odkrył, że brat Luke dorzucił do niego trzcinę cukrową, i chociaż był to luty, Jude'a zalało ciepło radości: zawsze chciał skosztować trzciny cukrowej. Połamał ją na odcinki i żuł każdy kawałek w nieskończoność, a słodycz oblewała mu zęby.

Brat Luke powiedział mu kiedyś, żeby następnego dnia przyszedł do cieplarni zaraz po lekcjach, bo ma dla niego niespodziankę. Przez cały dzień Jude wiercił się na lekcjach i nie uważał, i chociaż dwaj bracia go uderzyli – brat Michael w twarz, a brat Peter w pupę – ledwo to zauważył. Dopiero groźba brata Davida, że jeśli się nie skupi, dostanie za karę dodatkowe prace zamiast wolnych godzin, sprawiła, że się skoncentrował i jakoś wytrzymał do końca lekcji.

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, niewidoczny z okien klasztoru, puścił się biegiem. Była wiosna i nie można było nie być szczęśliwym: kochał drzewka wiśniowe z ich pianą różowych kwiatuszków i tulipany w lśniących, nieprawdopodobnych kolorach, i młodą trawę, miękką i gładką pod stopami. Czasami, gdy był sam, wyciągał laleczkę Nawaho i korzeń, który kształtem przypominał człowieka, siadał na trawie i bawił się nimi. Wymyślił dla obydwu głosy, mówił jednak szeptem, bo brat Michael powiedział, że chłopcy nie bawią się lalkami i że Jude już jest w ogóle za duży na zabawę.

Ciekaw był, czy brat Luke widzi go biegnącego. Którejś środy brat powiedział:

– Widziałem dzisiaj, jak tu biegłeś. – A gdy on już otwierał usta, żeby przeprosić, brat Luke dodał: – No, no, co za wspaniały biegacz z ciebie! Jesteś strasznie szybki! – Na to on już całkiem oniemiał, aż brat Luke ze śmiechem kazał mu zamknąć buzię.

Gdy wszedł do cieplarni, nikogo tam nie było.

– Halo? – zawołał. – Bracie Luke'u?

– Tutaj! – usłyszał i odwrócił się w stronę małego pomieszczenia dobudowanego do cieplarni, gdzie brat Luke trzymał zapas nawozu, butelki jonizowanej wody, sekatory i nożyce ogrodnicze na wiszącej półce, a na ziemi worki z kompostem. Jude lubił ten pokoik, lubił jego leśny, mchowy zapach, więc chętnie zbliżył się do drzwi i zapukał.

Wszedłszy do środka, poczuł się zdezorientowany. W pokoiku było ciemno i cicho, świecił tylko mały płomyk na ziemi, nad którym pochylał się brat Luke.

– Podejdź bliżej – powiedział brat i zaśmiał się. – Jude, wszystko jest w porządku.

Więc podszedł bliżej, a brat Luke podniósł coś i powiedział:

– Niespodzianka!

I Jude zobaczył, że to jest muffin, muffin z wetkniętą w środek zapaloną zapałką.

– Co to? – spytał.

– No jak to: twoje urodziny! – odrzekł brat Luke. – A to twój tort urodzinowy. No, dalej, pomyśl sobie życzenie i zdmuchnij świeczkę.

– To dla mnie? – spytał, patrząc na przygasający płomyk.

– Tak, dla ciebie – odrzekł brat Luke. – No, pospiesz się. Pomyśl życzenie.

Jude nigdy jeszcze nie miał tortu urodzinowego, ale czytał o takich i wiedział, co należy zrobić. Zamknął oczy, pomyślał życzenie, a potem otworzył oczy i zdmuchnął zapałkę. W pokoiku zrobiło się zupełnie ciemno.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział brat Luke i zapalił światło. Podał mu ciastko, a gdy Jude chciał się nim podzielić, pokręcił głową.

– Jest cały twój.

Jude jadł muffina, który miał w środku małe jagódki, i pomyślał, że to najlepsza rzecz, jakiej kiedykolwiek skosztował, taka słodziutka i ciasteczkowa. Brat Luke przyglądał mu się z uśmiechem.

– I mam dla ciebie jeszcze coś – powiedział, sięgając za siebie, po czym wręczył mu paczkę: duże płaskie pudełko opakowane w gazetę i przewiązane sznurkiem. – No, dalej, otwórz ją – ponaglił, więc Jude usłuchał i odwinął ostrożnie gazetę, żeby się nadała do ponownego użycia.

Pudełko było zwykłe, kartonowe, a zawierało zestaw okrągłych drewnianych klocków. Każdy kawałek był nacięty na obu końcach i brat Luke pokazał Jude'owi, jak można je łączyć, budując skrzynki, i jak można ułożyć w poprzek gałązki, by otrzymać coś w rodzaju daszka. Wiele lat później, kiedy był w college'u, Jude zobaczył podobne klocki na wystawie sklepu z zabawkami i uprzytomnił sobie, że w jego prezencie brakowało niektórych elementów: czerwonego trójkąta do zbudowania dachu i płaskiej zielonej deszczułki do ułożenia pod domkiem. Ale w tamtym momencie wprost oniemiał z radości i dopiero po chwili przypomniał sobie o dobrych manierach, więc zaczął dziękować.

– Nie ma za co – odparł brat Luke. – W końcu nie co dzień człowiek kończy osiem lat, prawda?

– Nie – przyznał on, uśmiechając się dziko do swojego prezentu, a potem przez resztę wolnego czasu budował z klocków domki i skrzynki, a brat Luke mu się przyglądał, co jakiś czas zakładając mu włosy za ucho.

Każdą wolną minutę spędzał z bratem Lukiem w cieplarni. Przy nim był inną osobą. Dla pozostałych braci był ciężarem, zbiorem kłopotów i wad; codziennie dowiadywał się od nich, co z nim jest nie tak: zanadto marzycielski, zanadto uczuciowy, zanadto energiczny, zanadto kapryśny, zanadto ciekawy, zanadto niecierpliwy, zanadto chudy, zanadto wesoły. Powinien być bardziej wdzięczny, bardziej opanowany, bardziej uniżony, bardziej zdyscyplinowany, bardziej usłużny, cierpliwszy, zręczniejszy i pełen wdzięku. Ale dla brata Luka'a był mądry, był bystry, był inteligentny, był pojętny. Brat Luke nigdy mu nie mówił, że zadaje za dużo pytań ani że są takie rzeczy, o których dowie się, jak dorośnie. Kiedy brat Luke połaskotał go pierwszy raz, Jude żachnął się, a potem zaczął się śmiać w sposób niekontrolowany, brat Luke zaś śmiał się razem z nim i tarzali się tak we dwóch na ziemi pod orchideami.

„Masz taki śliczny śmiech", mówił brat Luke, albo: „Jaki masz piękny uśmiech", albo: „Jaki ty jesteś wesoły", aż cieplarnia stała się zaczarowanym miejscem, gdzie Jude zamieniał się w chłopca, którego widział w nim brat Luke, kogoś wesołego i bystrego, kogoś, z kim ludzie lubią przebywać, kogoś lepszego i innego od tego, kim był.

Gdy inni bracia dawali mu w kość, wyobrażał sobie, że jest w cieplarni i bawi się swoimi skarbami albo rozmawia z bratem Lukiem, i powtarzał sobie w duchu słowa, które ten do niego wypowiadał.

Czasem bywało tak źle, że nie był w stanie zejść na kolację, lecz następnego dnia znajdował w swojej celi coś, co zostawił dla niego brat Luke: kwiatek albo czerwony liść, albo wyjątkowo pękaty żołądź; zaczął zbierać te pamiątki i chować pod kratką.

Inni bracia zauważyli, że spędza z bratem Lukiem cały wolny czas, i Jude czuł, że tego nie aprobują.

– Uważaj z bratem Lukiem – ostrzegł go nie kto inny jak brat Pavel, ten sam brat Pavel, który go bił i krzyczał na niego. – On nie jest taki, jak ci się zdaje.

Ale Jude zignorował ostrzeżenie. Żaden z braci nie był taki, jak mu się zdawało.

Któregoś dnia przyszedł do cieplarni późno. Miał za sobą wyjątkowo ciężki tydzień, był bardzo mocno bity, chodzenie sprawiało ból. Poprzedniego wieczoru odwiedzili go w celi ojciec Gabriel i brat Matthew, więc bolał go każdy mięsień. Był piątek; brat Michael niespodziewanie zwolnił go wcześniej z lekcji, więc Jude pomyślał, że może się pobawić klockami. Tak jak zawsze po sesjach przemocy, pragnął zostać sam – usiąść w cieple oranżerii ze swoimi zabawkami i udawać, że jest gdzieś daleko.

W cieplarni nie było nikogo, kiedy przyszedł, więc uniósł kratę i wyjął swoją indiańską laleczkę oraz pudło klocków, ale bawiąc się nimi, stwierdził ze zdziwieniem, że płacze. Starał się płakać jak najmniej – bo zawsze potem czuł się gorzej, bo bracia tego nie znosili i karali go za płacz – ale nie umiał się powstrzymać. Nauczył się przynajmniej płakać cicho i tak właśnie teraz płakał, ale minusem cichego płaczu było to, że bolał, a poza tym nie pozwalał się skupić, tak że w końcu Jude musiał odłożyć zabawki. Został tam aż do pierwszego dzwonka, po czym schował swoje skarby i zbiegł ze wzgórza do kuchni, gdzie miał obierać marchew i kartofle oraz siekać seler na wieczorny posiłek.

Po pewnym czasie, z powodów, których Jude nigdy nie ustalił, nawet gdy był już dorosły, zrobiło się bardzo źle. Bicie się nasiliło, sesje były coraz gwałtowniejsze, reprymendy coraz przykrzejsze. Nie miał pojęcia, co złego robił, bo przecież był taki jak zawsze. Lecz wyglądało to tak, jakby zbiorowa cierpliwość braci wobec niego się wyczerpała. Nawet bracia David i Peter, którzy zawsze wypożyczali mu książki, zdawali się mniej skłonni do rozmowy.

– Idź już, Jude – powiedział brat David, kiedy Jude przyszedł do niego porozmawiać o mitach greckich, które brat mu pożyczył. – Nie chcę na ciebie patrzeć.

Jude był coraz bardziej przekonany, że zamierzają się go pozbyć, i to go przerażało, ponieważ klasztor był jedynym domem, jaki kiedykolwiek miał. Jak przeżyje, jak sobie poradzi w świecie na zewnątrz, który, wiedział to od braci, jest pełen niebezpieczeństw i pokus? Będzie pracował, tyle wiedział. Umiał pracować w ogrodzie, umiał gotować, umiał sprzątać, więc może dostanie gdzieś pracę. Może ktoś inny go przygarnie. Gdyby tak się stało, obiecywał sobie, że będzie lepszy. Nie popełni żadnego z tych błędów, które popełnił wobec braci.

– Wiesz, ile kosztuje twoje utrzymanie? – spytał go kiedyś brat Michael. – Chyba nigdy nie myśleliśmy, że będziemy cię trzymać tak długo. – Jude nie wiedział, co odpowiedzieć, więc siedział milcząco w ławce. – Powinieneś przeprosić – podpowiedział brat Michael.

– Przepraszam – wyszeptał.

Teraz był tak zmęczony, że nie miał nawet siły iść do cieplarni. Teraz po lekcjach schodził do piwnicy, w której według brata Pavla grasowały szczury, ale według brata Matthew nie, i wspinał się na któryś z metalowych regałów do leżakowania wina, gdzie trzymano skrzynki oliwy, worki z makaronem i mąką, i tam odpoczywał, czekając, aż zabrzmi dzwonek i będzie musiał wracać na górę. Przy kolacji unikał brata Luke'a, a kiedy ten się do niego uśmiechał, odwracał głowę. Teraz wiedział już na pewno, że nie jest chłopcem, za jakiego go uważa brat Luke – wesoły? dowcipny? – i wstydził się siebie i tego, że oszukał brata Luke'a.

Unikał go przez ponad tydzień, ale któregoś dnia zszedł do swojej kryjówki w piwnicy i brat Luke tam był: czekał na niego. Jude chciał się gdzieś schować, ale nie było gdzie, więc zaczął płakać, odwracając twarz do ściany i przepraszając jednocześnie.

– Jude, wszystko jest dobrze. – Brat Luke stanął obok niego, poklepując go po plecach. – Już dobrze, już dobrze. – Usiadł na schodkach piwnicy. – Chodź tutaj, siądź koło mnie – powiedział, ale on pokręcił głową. Wstydził się. – No to usiądź, gdzie chcesz – powiedział brat, więc Jude usiadł na podłodze i oparł się o ścianę.

Wtedy brat Luke wstał i zaczął przeglądać zawartość jednej ze skrzynek na wysokiej półce, aż coś z niej wyjął i podał mu w wyciągniętej ręce: była to szklana butelka soku z jabłek.

– Nie mogę – odpowiedział natychmiast Jude.

Nie wolno mu było chodzić do piwnicy; dostawał się tam przez małe boczne okienko, a potem złaził na dół po ażurowych regałach. Stróżem zapasów był brat Pavel i gdyby okazało się, że czegoś brakuje, winę zrzucono by na Jude'a. On zawsze był winien.

– Nie martw się, Jude – powiedział brat Luke. – Podmienię ją. No, bierz.

Wreszcie, po długich namowach, wziął. Sok był słodki jak ulepek i Jude był w rozterce, czy pić go powoli, bo wtedy na dłużej starczy, czy jednym haustem, zanim brat Luke zmieni zdanie i odbierze mu butelkę.

Gdy wypił, siedzieli chwilę w ciszy, po czym brat Luke odezwał się cicho:

– Jude, to, co oni ci robią, jest złe. Nie powinni ci tego robić; nie powinni zadawać ci bólu. – Słysząc to, Jude był znów bliski płaczu. – Ja bym cię nigdy nie skrzywdził, Jude, wiesz o tym, prawda?

Wreszcie był w stanie spojrzeć na brata Luke'a, na jego pociągłą, dobrą, stroskaną twarz z krótką szpakowatą bródką i okularami, za którymi oczy zdawały się jeszcze większe, i skinął głową.

– Wiem, bracie Luke'u – powiedział.

Brat milczał przez dłuższy czas, nim odezwał się znowu.

– A wiesz, Jude, że zanim przyszedłem tu do klasztoru, miałem syna? Bardzo mi go przypominasz. Bardzo go kochałem. Ale umarł i wtedy przyszedłem tutaj.

Jude nie wiedział, co powiedzieć, ale wyglądało na to, że nie musi nic mówić, bo brat Luke ciągnął swój monolog:

– Patrzę na ciebie nieraz i myślę, że nie zasługujesz na to, co cię spotyka. Zasługujesz na to, żeby być z kimś innym, kimś… – Przerwał, ponieważ Jude ponownie się rozpłakał. – Jude – powiedział zdziwiony brat Luke.

– Niech brat im nie pozwoli mnie odesłać. Będę lepszy, obiecuję, obiecuję. Niech brat im nie pozwoli mnie odesłać.

– Jude. – Brat Luke usiadł obok i przyciągnął go do siebie. – Nikt nie ma zamiaru cię nigdzie odsyłać, przysięgam ci, nikt cię stąd nie odeśle. – Jude wreszcie zdołał się uspokoić i siedzieli tak we dwóch przez dłuższy czas. – Chciałem tylko powiedzieć, że zasługujesz na to, żeby być z kimś, kto cię kocha. Na przykład ze mną. Gdybyś był ze mną, nigdy bym cię nie skrzywdził. Byłoby nam cudownie.

– A co byśmy robili? – spytał wreszcie Jude.

– Na przykład – zaczął wolno brat Luke – moglibyśmy wyjechać na biwak. Byłeś kiedyś na biwaku?

Oczywiście, że nie był, więc brat Luke wszystko mu opowiedział: o namiocie, o ognisku, o zapachu i trzaskach płonącej sośniny, o korzeniach prawoślazu opiekanych na długich patykach, o pohukiwaniach sów.

Następnego dnia Jude wrócił do oranżerii i przez następne tygodnie i miesiące brat Luke opowiadał mu o wszystkim, co mogliby robić, gdyby zostali sami: wybraliby się na plażę i do miasta, i na kiermasz. Jude jadłby pizzę i hamburgery, i kukurydzę w kolbie, i lody. Nauczyłby się grać w baseball i łowić ryby, a mieszkaliby w małej drewnianej chacie, tylko we dwóch, jak ojciec i syn, i przez całe ranki czytaliby książki, a przez całe popołudnia bawili się. Założyliby ogród, w którym hodowaliby wszystkie warzywa, i kwiaty też, a pewnego dnia może zbudowaliby cieplarnię. Wszystko robiliby razem, wszędzie by razem chodzili i byliby jak dwaj najlepsi przyjaciele, albo jeszcze lepiej.

Odurzały go opowieści brata Luke'a, rozmyślał o nich, gdy było mu źle: o ogrodzie, w którym będą hodowali dynie i cukinie, o strumyku, który będzie płynął za domem i w którym będą łowić okonie, o samym domku – dużej wersji tych, które budował z klocków – gdzie brat Luke obiecywał mu prawdziwe łóżko i gdzie nawet w najzimniejsze noce będzie ciepło, i gdzie co tydzień będą piec muffinki.

Któregoś popołudnia – był początek stycznia i tak zimno, że pomimo grzejników musieli wszystkie rośliny w cieplarni poowijać wojłokiem – pracowali w milczeniu. Jude zawsze umiał zgadnąć, kiedy brat Luke ma ochotę rozmawiać o ich domku, a kiedy nie, i wiedział, że dzisiaj jest jeden z cichych dni, kiedy brat zdaje się przebywać gdzieś indziej. Brat Luke nigdy nie był niemiły, gdy wpadał w taki nastrój, tylko milczący, jednak takim rodzajem milczenia, który Jude wiedział, że należy omijać. Tęsknił jednak za opowieścią brata Luke'a, potrzebował jej. Miał za sobą taki okropny dzień, dzień, w którym chciał umrzeć, dlatego pragnął, żeby brat opowiedział mu o ich chacie i o rzeczach, które tam będą robić, gdy zostaną sami. W ich chacie nie będzie ani brata Matthew, ani ojca Gabriela, ani brata Petera. Nikt na niego nie będzie krzyczał ani go bił. To będzie tak, jakby cały czas żyć w cieplarni, zaczarowany świat bez końca.

Napomniał się właśnie, żeby nic nie mówić, gdy odezwał się brat Luke:

– Jude – powiedział. – Jest mi dzisiaj bardzo smutno.

– Dlaczego, bracie Luke'u?

– Cóż – powiedział brat Luke i zrobił pauzę. – Ty wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy, prawda? Ostatnio jednak mam wrażenie, że tobie nie zależy na mnie.

Były to straszne słowa, więc przez chwilę Jude nie mógł wydobyć głosu.

– To nieprawda! – powiedział wreszcie.

Ale brat Luke pokręcił głową.

– Opowiadam ci o naszym domku w lesie – ciągnął – ale nie czuję, że ty naprawdę chcesz tam wyjechać. Dla ciebie to tylko opowiastki, jak bajki.

Teraz Jude pokręcił głową.

– Nie, bracie Luke'u. One są dla mnie prawdziwe.

Chciał powiedzieć, jak bardzo są prawdziwe, jak ich potrzebuje, jak bardzo mu pomagają. Brat Luke miał smutną minę, ale w końcu Jude zdołał go przekonać, że i on pragnie takiego życia, że chce mieszkać z nim i nikim innym, że zrobi wszystko, żeby mieć ten dom. No i wreszcie, wreszcie brat Luke się uśmiechnął, ukucnął przy nim i uściskał go, przesuwając rękami w górę i w dół po jego plecach.

– Dziękuję ci, Jude, dziękuję ci – powiedział, a on, szczęśliwy, że tak uszczęśliwił brata Luke'a, też mu podziękował.

A potem brat Luke popatrzył na niego z powagą. Powiedział, że ostatnio dużo o tym myślał i doszedł do wniosku, że już przyszedł czas, żeby zbudowali tę swoją chatę; czas, żeby obaj wyjechali z klasztoru. Ale on, brat Luke, nie zrobi wszystkiego sam, więc czy Jude z nim wyjedzie? Czy daje

słowo? Czy chce być z bratem Lukiem tak, jak brat Luke chce być z nim, tylko we dwóch we własnym małym, doskonałym świecie? Oczywiście, że chciał – oczywiście, że chciał.

No więc plan był następujący. Wyjadą za dwa miesiące, przed Wielkanocą; Jude dziewiąte urodziny będzie obchodził już w ich domku. Brat Luke zajmie się wszystkim, rolą Jude'a jest tylko być przez ten czas grzecznym chłopcem, uczyć się pilnie i nie stwarzać problemów. No i, najważniejsze, nikomu nic nie mówić. Gdyby ktoś się dowiedział, co planują, mówił brat Luke, wydaliliby Jude'a z klasztoru na pastwę losu, a brat Luke nie mógłby mu pomóc. Obiecał, że nie piśnie ani słowa.

Następne dwa miesiące były jednocześnie straszne i cudowne. Straszne, bo wlokły się niemiłosiernie. Cudowne, bo miał sekret, z którym żyło mu się lepiej, który obiecywał, że życie w klasztorze się skończy. Codziennie budził się pełen zapału, bo wiedział, że jest o jeden dzień bliżej życia z bratem Lukiem. Ile razy któryś z braci był z nim, Jude przypominał sobie, że wkrótce ucieknie od nich wszystkich, i jakoś lepiej to znosił. Ile razy został zbity albo skrzyczany, tyle razy wyobrażał sobie siebie w leśnym domku, i to mu dawało męstwo wytrwania – słowa „męstwo" nauczył go brat Luke.

Błagał brata, żeby mu pozwolił pomóc w przygotowaniach, więc brat Luke polecił mu zebrać próbki kwiatów i liści wszystkich roślin rosnących na terenie klasztoru. Popołudniami chodził więc Jude po całym terenie z Biblią i wkładał liście i płatki pomiędzy jej stronice. Mniej czasu spędzał teraz w cieplarni, ale ilekroć spotkał brata Luke'a, ten mrugał do niego poważnie, a wówczas Jude uśmiechał się do siebie, rozgrzany cudownym sekretem.

Przyszła wreszcie upragniona noc. Jude był zdenerwowany. Wczesnym wieczorem, tuż po kolacji, był u niego brat Matthew, ale w końcu sobie poszedł. Nagle zjawił się brat Luke, z palcem na ustach, on zaś skinął głową. Wpakowali książki i bieliznę Jude'a do papierowej torby, po czym na palcach przeszli korytarzem, zeszli po schodach, opuścili ciemny gmach i zagłębili się w noc.

– Jeszcze tylko kawałek do samochodu – szepnął brat Luke, lecz Jude raptownie się zatrzymał. – Co się stało?

– Mój worek. Mój worek z cieplarni.

Brat Luke uśmiechnął się dobrotliwie, kładąc mu rękę na głowie.

– Już go włożyłem do samochodu – powiedział, a Jude uśmiechnął się do niego z wdzięcznością.

Było zimno, lecz prawie tego nie zauważył. Szli i szli długim żwirowanym podjazdem klasztoru, minęli drewnianą bramę i zaczęli się wspinać na wzgórze do głównej drogi, a potem wędrowali tą drogą. Noc była taka cicha, że aż dzwoniło w uszach. Gdy tak szli, brat Luke pokazywał mu konstelacje, on zaś podawał ich nazwy, żadnej nie pomylił, więc brat mruczał z zadowolenia i głaskał go po głowie.

– Jaki mądry z ciebie chłopiec – powiedział. – Cieszę się, że na ciebie trafiłem, Jude.

Dotarli do szosy, którą Jude widział tylko parę razy w życiu, gdy jechał do lekarza albo do dentysty – ale teraz była pusta i jedynie małe zwierzęta, piżmowce i oposy, pierzchały spod ich nóg. Potem wsiedli do samochodu, długiego bordowego kombi upstrzonego rdzą, z tylnym siedzeniem zapchanym pudłami i czarnymi workami na śmieci oraz kilkoma ulubionymi roślinami brata Luke'a w ciemnozielonych plastikowych pojemnikach; była tam między innymi *Cattleya schilleriana* o brzydkich, plamiastych liściach i *Hylocereus undatus* z sennie spuszczoną główką.

Dziwnie było widzieć brata Luke'a za kierownicą, dziwniej nawet, niż samemu być w samochodzie. Ale jeszcze dziwniejsze było uczucie, którego doznawał, że gra jest warta świeczki, że oto wszystkie jego nieszczęścia się kończą, że zmierza ku życiu, które będzie tak dobre, a może nawet lepsze, jak życie opisywane w książkach.

– Gotowy? – spytał szeptem brat Luke i uśmiechnął się szeroko.

– Gotowy – odszepnął on.

I brat Luke przekręcił kluczyk w stacyjce.

Istniały dwa sposoby zapominania. Przez wiele lat wyobrażał sobie (dość banalnie) ciemny loch i pod koniec dnia zbierał wszystkie zdania i słowa, o których nie chciał już myśleć, otwierał ciężkie stalowe drzwi, tylko na ułamek sekundy, żeby je tam wepchnąć, po czym szybko i szczelnie zamykał. Lecz ta metoda nie była skuteczna, bo wspomnienia i tak się wymykały. Ważne było, uświadomił sobie, żeby je likwidować, a nie gromadzić w ciemnicy.

Wymyślił więc kilka rozwiązań. Na małe wspomnienia – drobne przykrości i zniewagi – stosował metodę przeżywania ich na nowo, raz po raz, aż się zneutralizowały, aż stały się prawie nieznaczące, jakby się przydarzyły komuś innemu, od kogo on je tylko zasłyszał. Na większe wspomnienia sposób był inny: należało zatrzymać zdarzenie w pamięci niczym odcinek taśmy filmowej, po czym eliminować je, klatka po klatce. Żadna z tych metod nie była łatwa: nie wolno było przerwać wymazywania i badać tego, na co się patrzyło; nie można było przelatywać poszczególnych części w nadziei, że nie wplączesz się w szczegóły tego, co się stało, ponieważ oczywiście było to nieuniknione. Należało pracować nad tym co noc, aż do całkowitego wyeliminowania.

Wspomnienia i tak nigdy nie znikały doszczętnie, ale przynajmniej stawały się odleglejsze, nie prześladowały cię, domagając się uwagi, nie wyskakiwały przed ciebie, gdy je ignorowałeś, nie pochłaniały tyle czasu i wysiłku, że nie dało się myśleć o niczym innym. W okresach zawieszenia – tuż przed zaśnięciem albo w minutach lądowania po całonocnym locie, gdy nie było się jeszcze dostatecznie obudzonym, by siąść do pracy, lecz i niedostatecznie zmęczonym, by zasnąć na nowo –

mobilizowały się i wtedy najlepiej było wyobrazić sobie biały ekran, wielki, lekko podświetlony, nieruchomy, i przytrzymać go w wyobraźni niczym tarczę.

W tygodniach po pobiciu pracował nad zapominaniem Caleba. Zanim się położył, szedł do drzwi wejściowych i choć czuł się przy tym jak głupek, próbował wcisnąć w zamki stare klucze, żeby się upewnić, że nie pasują, że rzeczywiście jest bezpieczny. Ustawiał i przestawiał system alarmowy, który kazał zainstalować, system tak czuły, że nawet cienie uruchamiały serię pisków. A potem leżał bezsennie w ciemnym pokoju, z otwartymi oczami, koncentrując się na zapominaniu. Ale było to bardzo trudne – ogrom bolesnych wspomnień z ostatnich miesięcy go przytłaczał. Słyszał głos Caleba, który go lżył; widział minę Caleba, gdy ten patrzył na jego nagie ciało; czuł wstrętną pustą duszność swojego upadku ze schodów, więc kulił się w sobie w ciasny węzeł, zatykał dłońmi uszy i zaciskał oczy. Wreszcie wstawał, przechodził do gabinetu w drugim końcu mieszkania i siadał do pracy. Czekała go poważna sprawa, za którą był wdzięczny losowi, bo za dnia bywał tak zajęty, że nie mógł myśleć o niczym innym. Przez pewien czas prawie w ogóle nie bywał w domu, wpadał na dwie godziny drzemki i godzinę prysznicu, przebierał się i wracał – aż któregoś wieczoru dostał ataku w pracy. Poważnego. Nocny portier znalazł go na podłodze, wezwał ochronę, która zadzwoniła do prezesa firmy, Petersona Tremaina, ten zaś z kolei zadzwonił do Luciena, jedynej osoby, którą Jude poinstruował, co należy robić w takich wypadkach. Lucien zadzwonił do Andy'ego, a potem obaj z prezesem przyjechali do biura i poczekali na Andy'ego. Jude ich widział, widział ich stopy, i chociaż dyszał i wił się po ziemi, usiłował zmobilizować energię do ubłagania ich, żeby sobie poszli, do zapewnienia, że nic mu nie jest, że tylko potrzebuje zostać sam. Ale nie poszli, Lucien delikatnie otarł jego usta z wymiocin, a potem usiadł na podłodze przy jego głowie i trzymał go za rękę, on zaś był tak zażenowany, że omal nie zapłakał. Później wmawiał im wielokrotnie, że to nic takiego, że to mu się zdarza notorycznie, oni jednak kazali mu odpoczywać do końca tygodnia, a w następny poniedziałek Lucien oznajmił mu, że odtąd ma wychodzić z pracy o przyzwoitej godzinie: o północy w dni powszednie, o dziewiątej wieczór w weekendy.

– Lucien – rzekł Jude z niesmakiem – to śmieszne. Nie jestem dzieckiem.

– Wierz mi, Jude – odparł na to Lucien – tłumaczyłem reszcie zarządu, że moim zdaniem powinni jeździć na tobie jak na arabie w Preakness, ale oni z jakiegoś dziwnego powodu martwią się o twoje zdrowie. No i o sprawę. Z jakiegoś powodu uważają, że jak się rozchorujesz, nie wygramy tej sprawy.

Jude kłócił się i kłócił z Lucienem, ale nic to nie dało: o północy w jego biurze rozlegało się pstryknięcie i wszystkie światła gasły, więc w końcu z rezygnacją zaczął wychodzić do domu, kiedy mu kazano.

Od czasu incydentu z Calebem trudno mu było rozmawiać z Haroldem; sam jego widok był rodzajem tortury. Wizyty Harolda i Julii – coraz częstsze – stały się dla niego prawdziwym wyzwaniem. Był niepocieszony, że Harold widział go w takim stanie: kiedy o tym myślał, o Haroldzie patrzącym na jego zakrwawione spodnie, o Haroldzie wypytującym go o dzieciństwo (Jak bardzo to było oczywiste? Czy ludzie naprawdę, rozmawiając z nim, odgadywali, co mu się zdarzyło w dzieciństwie, tyle lat temu? A jeżeli tak, to czy mógłby to lepiej ukrywać?), odczuwał tak silne mdłości, że musiał przerwać to, co akurat robił, i odczekać, aż miną. Czuł wyraźnie, że Harold próbuje go traktować tak jak przedtem, ale coś się zmieniło. Już nie nękał go o Rosena, Pritcharda, już go nie pytał, jak to jest bronić korporacyjnych malwersacji. No i przede wszystkim nigdy więcej nie zająknął się o możliwości ułożenia sobie przez niego życia z kimś drugim. Teraz pytania Harolda dotyczyły tylko jego aktualnego samopoczucia. Jak się ma? Jak się czuje? Jak tam jego nogi? Czy się nie przemęcza? Czy często korzysta z wózka? Czy potrzebuje w czymkolwiek pomocy? Odpowiadał niezmiennie: dobrze, dobrze, dobrze; nie, nie, nie.

No i był jeszcze Andy, który ni stąd, ni zowąd odnowił swój zwyczaj nocnych telefonów. Teraz dzwonił codziennie o pierwszej w nocy, a podczas wizyt, których częstotliwość zwiększył do jednej tygodniowo, był jak nie on: cichy i uprzejmy, co Jude'a niepokoiło. Oglądał jego nogi, liczył cięcia, zadawał te pytania co zawsze, sprawdzał odruchy. A Jude po każdym powrocie do domu, gdy opróżniał kieszenie z drobniaków, znajdował karteczkę od Andy'ego z namiarami doktora, psychologa Sama Loehmanna, i informacją: PIERWSZA WIZYTA NA MÓJ KOSZT. Za każdym razem znajdował taką karteczkę, zawsze z innym dopiskiem: ZRÓB TO DLA MNIE, JUDE, albo: TYLKO RAZ. NIE WIĘCEJ. Karteczki były jak denerwujące ciasteczka z wróżbą i Jude zawsze je wyrzucał. Gest Andy'ego wzruszał go, lecz jednocześnie irytował swoją bezcelowością: podobnego uczucia doznawał, kiedy musiał umieścić nową torebkę pod umywalką po wizycie Harolda. Sięgał do kąta w garderobie, gdzie przechowywał pudło zawierające setki nasączonych spirytusem wacików i bandaży, stosy gazików i dziesiątki opakowań żyletek, robił nową torebkę i przylepiał ją na właściwym miejscu. Zawsze inni ludzie decydowali o tym, jak ma być używane jego ciało, więc chociaż wiedział, że Harold i Andy próbują mu pomóc, dziecinna, uparta część jego osoby protestowała – sam będzie decydował. W tak małym stopniu rządził własnym ciałem – czy i tego mu żałowali?

Wmawiał sobie, że czuje się dobrze, że wyzdrowiał, że odzyskał równowagę ducha, ale w rzeczywistości wiedział, że coś jest źle, że został odmieniony, że się osuwa. Willem wrócił do domu, ale chociaż nie był świadkiem tamtych zdarzeń, chociaż nie wiedział nawet o Calebie ani o jego

upokorzeniu (Jude zadbał o to, zapowiedział Haroldowi, Julii i Andy'emu, że więcej się do nich nie odezwie, jeżeli pisną komukolwiek choć słowo), to Jude i tak wstydził się mu pokazywać.

– Jude, tak mi przykro – powiedział Willem po powrocie na widok jego gipsu. – Na pewno dobrze się czujesz?

Gips to było nic, gips był najmniej wstydliwym elementem całości; przez chwilę Jude'a kusiło, by powiedzieć Willemowi prawdę, załamać się przed nim jak nigdy dotąd i rozpłakać, wyznać wszystko i poprosić, aby Willem go uleczył, aby mu powiedział, że kocha go, mimo że Jude jest, kim jest. Ale nie zrobił tego oczywiście. Wcześniej napisał do niego długi mejl pełen wyrafinowanych kłamstw o wypadku, ale pierwszej nocy po powrocie Willema gadali tak długo o wszystkim poza tym właśnie mejlem, że w końcu Willem zasnął; obaj zasnęli na sofie w salonie.

Jednak pchał swoje życie naprzód. Wstawał, chodził do pracy. Tęsknił za towarzystwem, bo przy innych nie myślał o Calebie, i zarazem lękał się ludzi, bo Caleb mu przypomniał, jak nieludzki ma wygląd, jaki jest ułomny i obrzydliwy, więc żenowało go bycie wśród innych ludzi, normalnych ludzi. Myślał o swoich dniach jak o schodach, na które trzeba wejść, gdy nogi bolą i drętwieją: pokona jeden stopień, potem następny i jeszcze jeden, aż w końcu wszystko będzie lepiej. Ostatecznie nauczy się włączać te miesiące w swoje życie, akceptować je i żyć dalej. Przecież zawsze tak było.

Wygrał sprawę, nad którą pracował. To było wielkie zwycięstwo, powtarzał mu Lucien, i on też o tym wiedział, ale odczuwał przede wszystkim panikę: co teraz będzie robił? Miał nowego klienta, bank, ale w tym przypadku praca polegała na długim, żmudnym gromadzeniu faktów; nie była to gorączkowa robota, zajmująca dwadzieścia cztery godziny na dobę. A więc będzie siedział sam w domu, rozmyślając – z braku innych problemów – o incydencie z Calebem. Sam Tremain pogratulował mu, więc wiedział, że powinien się cieszyć, ale kiedy poprosił prezesa o więcej pracy, ten się roześmiał:

– Wykluczone, St. Francis – powiedział. – Wyjeżdżasz na wakacje. To polecenie służbowe.

Nie wyjechał na wakacje. Obiecał to najpierw Lucienowi, a później Tremainowi, ale w tej chwili nie mógł. No i było tak, jak się obawiał: siedział w domu, szykował sobie kolację albo był w kinie z Willemem i nagle jawiła mu się scena z miesięcy przeżytych z Calebem. A potem scena z domu dziecka i scena z roku z bratem Lukiem, a potem scena z miesięcy z doktorem Traylorem, a potem scena z pierwszego incydentu: biały blask reflektorów, jego głowa odskakująca w bok. Jego umysł wypełniały obrazy, zjawy żądne jego uwagi, szarpiące go długimi, drapieżnymi szponami. Caleb coś w nim uruchomił i teraz Jude nie był już w stanie zwabić bestii z powrotem do lochu – nagle uprzytomnił sobie, ile czasu poświęcał na kontrolowanie pamięci, ile to wymagało od niego skupienia, jak kruche było jego panowanie nad wspomnieniami przez cały ten czas.

– Dobrze się czujesz? – spytał go Willem któregoś wieczoru. Wyszli z teatru, gdzie Jude ledwo zauważył przedstawienie, i poszli na kolację, podczas której słuchał Willema jednym uchem, z nadzieją, że udziela prawidłowych odpowiedzi, grzebiąc widelcem w talerzu i usiłując zachowywać się normalnie.

– Tak – odpowiedział.

Było z nim coraz gorzej – wiedział to, ale nie wiedział, jak zmienić sytuację. Od incydentu minęło osiem miesięcy, a z każdym dniem rozmyślał o nim nie mniej, lecz więcej. Miewał uczucie, że jego miesiące z Calebem to stado hien, które ścigają go co dzień, a on co dzień marnuje całą energię na uciekanie przed nimi, starając się uniknąć pożarcia przez ich kłapiące, oblepione pianą paszcze. Metody pomocne w przeszłości – koncentracja, cięcie – już nie pomagały. Ciął się coraz bardziej, ale wspomnienia nie znikały. Pływał codziennie rano, pływał także co wieczór, pokonując mile, aż zostawało mu energii tylko na prysznic i wczołganie się do łóżka. Gdy pływał, śpiewał, odmieniał łacińskie czasowniki, recytował dowody matematyczne, cytował orzeczenia, które studiował na wydziale prawa. Wmawiał sobie, że jego umysł należy do niego. On będzie kontrolował; nie będzie kontrolowany.

– Mam pomysł – powiedział Willem pod koniec innej kolacji, którą Jude w zasadzie przesiedział w milczeniu. Odpowiadał o sekundę lub dwie za późno na wszystkie wypowiedzi Willema, więc po pewnym czasie obaj zamilkli. – Powinniśmy wyjechać razem na wakacje. Powinniśmy zrobić ten wypad do Maroka, który planowaliśmy dwa lata temu. Co ty na to, Jude? Będzie już jesień, będzie pięknie.

Był koniec czerwca, dziewięć miesięcy po incydencie. Willem na początku sierpnia wyjeżdżał na zdjęcia do Sri Lanki, skąd miał wrócić dopiero na początku października.

Willem mówił, a Jude myślał o tym, jak Caleb nazwał go pokraką, i dopiero milczenie Willema przypomniało mu, że powinien odpowiedzieć.

– Jasne, Willem – powiedział. – Świetna myśl.

Restauracja znajdowała się w pobliżu Flatiron, więc po zapłaceniu rachunku pospacerowali chwilę w milczeniu, gdy nagle Jude zobaczył nadchodzącego Caleba i w odruchu paniki złapał Willema i wciągnął za drzwi najbliższego budynku, zdumiewając ich obu swą siłą i refleksem.

– Jude – rzekł zaniepokojony Willem. – Co ty wyrabiasz?

– Nic nie mów – szepnął Jude. – Stój spokojnie i nie odwracaj się.

Willem posłuchał i stał wraz z przyjacielem zwrócony twarzą do drzwi.

Jude odliczał sekundy i dopiero, gdy był pewien, że Caleb musiał przejść, wyjrzał ostrożnie na ulicę i przekonał się, że to wcale nie był Caleb, tylko jakiś inny wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, ale nie

Caleb, więc odetchnął z ulgą, czując się pokonany i głupi. Dopiero teraz zauważył, że ciągle ściska w garści przód koszuli Willema, więc ją puścił.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam cię bardzo.

– Ale co się stało, Jude? – spytał Willem, usiłując spojrzeć mu w oczy. – Co to było?

– Nic – odpowiedział. – Po prostu zdawało mi się, że widzę kogoś, kogo nie chciałem spotkać.

– Kogo?

– Nikogo. Pewnego adwokata w sprawie, nad którą pracuję. To kutas, nienawidzę z nim pracować.

Willem przyjrzał mu się bacznie.

– Nie – powiedział. – To nie był adwokat. To był ktoś inny, ktoś, kogo ty się boisz. – Nastąpiła pauza. Willem spojrzał na koniec ulicy, a potem znów na Jude'a. – Przeraziłeś się – powiedział z niedowierzaniem. – Kto to był?

Jude pokręcił głową, próbując wymyślić jakieś kłamstwo. Stale karmił Willema kłamstwami, większymi i mniejszymi. Cała ich relacja była kłamstwem – Willem uważał go za kogoś innego, kogoś, kim on w istocie nie był. Tylko Caleb znał prawdę. Tylko Caleb wiedział, jaki on jest.

– Powiedziałem ci przecież – odezwał się wreszcie. – To był ten adwokat.

– Nieprawda.

– Ależ tak.

Minęły ich dwie kobiety, a kiedy przechodziły, usłyszał, jak jedna do drugiej szepcze z podnieceniem: „To był Willem Ragnarsson!". Przymknął oczy.

– Słuchaj – powiedział cicho Willem. – Co się z tobą dzieje?

– Nic – odrzekł. – Jestem zmęczony. Muszę iść do domu.

– W porządku. – Willem zatrzymał taksówkę, pomógł mu wsiąść, a następnie wsiadł sam. – Greene, róg Broome – polecił kierowcy.

W taksówce zaczęły mu się trząść ręce. To się zdarzało coraz częściej i nie umiał nad tym zapanować. Zaczęło się, kiedy był dzieckiem, ale wtedy nachodziło go tylko w skrajnych okolicznościach – kiedy starał się nie rozpłakać albo kiedy doznawał straszliwego bólu, a wiedział, że nie wolno mu nawet pisnąć. Teraz zdarzało się w dziwnych momentach: pomagało jedynie cięcie się, tylko że czasami drżenie było tak silne, że tracił panowanie nad żyletką. Skrzyżował ręce na piersi, mając nadzieję, że Willem nie zauważy.

Przy głównych drzwiach spróbował pozbyć się Willema, lecz ten ani myślał odejść.

– Chcę zostać sam – powiedział szczerze Jude.

– Rozumiem – odrzekł Willem. – Posiedzimy sami razem.

Postali chwilę, mierząc się spojrzeniami, aż wreszcie Jude odwrócił się do drzwi, lecz nie mógł trafić kluczem w zamek, bo drżenie rąk było za silne, więc Willem wziął od niego klucze i otworzył drzwi.

– Co się z tobą dzieje, do cholery? – spytał, ledwie znaleźli się w mieszkaniu.

– Nic – odpowiedział. – Nic.

Teraz już i zęby mu szczękały, co nigdy nie towarzyszyło drżeniu rąk, kiedy był mały, za to teraz prawie za każdym razem.

Willem podszedł do niego, lecz on odwrócił twarz.

– Coś tu się wydarzyło pod moją nieobecność – powiedział Willem ostrożnie. – Nie wiem co, ale coś tu się stało. Coś złego. Odkąd wróciłem z *Odysei*, zachowujesz się dziwnie. Nie wiem dlaczego. – Urwał i oparł dłonie na ramionach Jude'a. – Powiedz mi, Jude. Powiedz mi, co to jest. Powiedz mi, a razem wymyślimy jakieś lekarstwo.

– Nie – szepnął on. – Nie mogę, Willem, nie mogę. – Zapadła długa cisza. – Chcę się położyć – powiedział, więc Willem go puścił i Jude poszedł do łazienki.

Gdy stamtąd wyszedł, Willem miał na sobie jeden z jego T-shirtów i kołdrę z gościnnego pokoju na sofie w pokoju Jude'a, pod portretem przedstawiającym Willema w charakteryzatorni.

– Co robisz? – spytał Jude.

– Będę tu dzisiaj nocował – oznajmił Willem.

Jude westchnął, ale Willem zaczął mówić, zanim on zdążył coś powiedzieć.

– Masz trzy rzeczy do wyboru, Jude. Pierwsza: zadzwonię do Andy'ego i powiem mu, że moim zdaniem coś jest z tobą niedobrze, a potem zawiozę cię do niego na badanie. Druga: zadzwonię do Harolda, który spanikuje i zadzwoni do Andy'ego. Trzecia: pozwolisz mi tu zostać i pilnować cię, ponieważ nie chcesz ze mną rozmawiać, nie chcesz mi, kurwa, nic powiedzieć i nie chcesz zrozumieć, że przyjaciołom jesteś winien chociaż szansę podjęcia próby ratowania cię – przynajmniej mnie jesteś to winien. – Głos mu się załamał. – No więc, co wybierasz?

Och, Willem – pomyślał. – Gdybyś wiedział, jak strasznie chcę ci powiedzieć. Powiedział jednak tylko:

– Przykro mi, Willem.

– W porządku, przykro ci. Idź do łóżka. Zapasowe szczoteczki do zębów trzymasz tam gdzie zawsze?

– Tak – odpowiedział Jude.

Następnego wieczoru wrócił z pracy późno i zastał Willema leżącego z książką na sofie w jego pokoju.

– Jak ci minął dzień? – zapytał Willem, nie odkładając książki.

– Dobrze.

Czekał na jakieś wyjaśnienie, ale się nie doczekał, więc poszedł do łazienki. Mijając garderobę, spostrzegł torbę Willema: była rozpięta i pełna ubrań wyraźnie świadczących o tym, że Willem zamierza u niego zostać przez dłuższy czas.

Czuł się żałośnie, przyznając przed sobą samym, że obecność Willema – nie tylko w mieszkaniu, ale też w pokoju – pomaga mu. Rozmawiali niewiele, ale już to, że Willem był, uspokajało go i zmieniało kierunek jego myśli. Mniej myślał o Calebie; mniej myślał o wszystkim. Było tak, jakby konieczność udawania kogoś normalnego przed Willemem rzeczywiście czyniła go bardziej normalnym. Przebywanie w pobliżu kogoś, kto na pewno go nie skrzywdzi, było kojące, więc Jude zyskał spokój umysłu i wreszcie mógł spać. Był wdzięczny Willemowi, a jednocześnie zniesmaczony sobą, że jest taki uzależniony i słaby. Czy nie było końca jego potrzebom? Ile już osób pomogło mu przez te wszystkie lata i właściwie dlaczego? Dlaczego na to pozwalał? Lepszy przyjaciel kazałby Willemowi wracać do domu, zapewniłby go, że sam sobie poradzi. Lecz on tego nie robił. Pozwalał, żeby Willem tych parę wolnych tygodni w Nowym Jorku przesypiał u niego na kanapie, jak pies.

Nie musiał się przynajmniej martwić, że sprawia przykrość Robin, ponieważ Willem i Robin zerwali ze sobą pod koniec kręcenia *Odysei*, gdy Robin odkryła, że Willem zdradza ją z jedną z kostiumografek.

– Właściwie to nigdy jej nie lubiłem – powiedział mu Willem podczas jednej z rozmów telefonicznych. – Trzymałem się jej z najgorszego możliwego powodu: z nudów.

Jude zastanowił się nad tym.

– Nie – powiedział. – Najgorszy możliwy powód to okrucieństwo. Twój powód był po prostu najgłupszy.

Nastąpiła pauza, a potem Willem parsknął śmiechem.

– Dzięki, Jude – powiedział. – Dzięki, że polepszyłeś i pogorszyłeś jednocześnie moje samopoczucie.

Willem został u niego aż do dnia wyjazdu do Colombo. Grał najstarszego syna podupadłej holenderskiej rodziny na Sri Lance w początkach lat czterdziestych, więc zapuścił sumiaste wąsy, podkręcone na końcach; gdy uściskał Jude'a, wąsami połaskotał go w ucho. Jude przez moment chciał błagać Willema, żeby nie wyjeżdżał. Nie jedź, chciał mu powiedzieć. Zostań tutaj ze mną. Boję się zostać sam. Gdyby to powiedział, Willem by został, a przynajmniej próbowałby zostać. Ale Jude nigdy by tego nie wyartykułował. Wiedział, że Willem nie ma wpływu na terminy zdjęć i że miałby z tego powodu wyrzuty sumienia. Więc tylko mocniej uściskał go na pożegnanie, co mu się rzadko zdarzało

– niechętnie okazywał uczucia w sposób fizyczny – i poczuł, że Willem się zdziwił, ale też wzmocnił uścisk i stali tak przez jakiś czas, objęci. Jude'owi przypomniało się, że nie ma na sobie dostatecznie wielu warstw ubrania, że Willem poczuje jego blizny na plecach przez koszulę, ale w tym momencie ważniejsze było być blisko niego. Jude miał poczucie, że to się dzieje ostatni raz, że nigdy więcej Willema nie zobaczy. Przeżywał ten lęk za każdym razem, gdy przyjaciel wyjeżdżał, ale tym razem lęk był silniejszy, mniej teoretyczny; cała scena wyglądała jak rozstanie na zawsze.

Po wyjeździe Willema przez parę dni było całkiem nieźle. Ale potem znów się pogorszyło. Hieny wróciły, jeszcze liczniejsze i bardziej zgłodniałe, bardziej nieustępliwe w swojej pogoni. A potem wróciło też wszystko inne; długie lata wspomnień, które – zdawało mu się – już kontrolował i pozbawił kłów, napierały na niego znowu, skowycząc i skacząc przed jego oczami, nie do zignorowania przez hałas, który czyniły, niezmordowane w domaganiu się uwagi. Budził się, łapczywie chłonąc powietrze; budził się z imionami ludzi, których poprzysiągł sobie wygnać na zawsze z pamięci i z języka. Odtwarzał w myślach noc z Calebem, wciąż od nowa, obsesyjnie, w zwolnionym tempie, tak że sekundy, kiedy stał nagi na Greene Street, rozciągały się w godziny, tak że spadanie ze schodów trwało dni, tak że akty gwałtu, których dopuszczał się na nim Caleb pod prysznicem i w windzie, trwały tygodnie. Miał wizje, w których wbijał sobie szpikulec do lodu przez ucho w mózg, żeby powstrzymać te wspomnienia. Miał sny o waleniu głową w mur, aż czaszka pęka i szara masa wypada z niej z mokrym, krwistym mlaśnięciem. Miał fantazje o tym, że oblewa się benzyną i podpala, a jego mózg płonie. Kupił zestaw żyletek X-acto i trzy naraz zacisnął w dłoni, patrząc, jak krew cieknie mu z ręki do umywalki, i krzycząc w głos w pustym mieszkaniu.

Poprosił Luciena o dodatkową pracę i dostał ją, ale to nie wystarczyło. Chciał wziąć więcej godzin w organizacji ochrony prawnej artystów, ale nie mieli wolnych dyżurów. Zgłosił się jako wolontariusz do biura pomocy imigrantom, gdzie kiedyś działał *pro bono* Rhodes, ale usłyszał, że szukają kogoś z arabskim i chińskim, więc nie chcieliby marnować jego czasu. Ciął się coraz bardziej; zaczął już rozcinać same blizny, usuwając wałeczki ciała, każdy z górną obwódką srebrnawej tkanki bliznowatej, ale to też nie pomagało, nie dostatecznie. Nocami modlił się do boga, w którego nie wierzył i do którego nie modlił się od lat: Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi, błagał. Zatracał się; to musiało się skończyć. Czuł, że nie da rady tak funkcjonować.

Był sierpień; miasto opustoszało. Malcolm był w Szwecji na wakacjach z Sophie, Richard był na Capri, Rhodes był w Maine, Andy był na wyspie Shelter („Pamiętaj – powiedział przed wyjazdem, jak zawsze przed długimi wakacjami – że jestem tylko dwie godziny stąd i wrócę najbliższym promem, gdybyś mnie potrzebował"). Nie mógł znieść towarzystwa Harolda, bo przypominało mu poniżenie; dzwonił do niego i mówił, że ma za dużo pracy i nie może sobie pozwolić na wyjazd do Truro.

W zamian pod wpływem impulsu kupił bilet do Paryża i spędził tam samotnie długi weekend z okazji Święta Pracy, włócząc się po ulicach. Nie skontaktował się tam z nikim znajomym – ani z Citizenem, który pracował we francuskim banku, ani z Isidore'em, swoim sąsiadem z góry z Hereford Street, który wykładał w Paryżu, ani z Phaedrą, która kierowała tam filią nowojorskiej galerii sztuki – zresztą i tak na pewno nie siedzieli w mieście.

Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Całą energię pochłaniało utrzymanie bestii w ryzach. Nieraz miał wizje, że im się poddaje, one zaś opadają go ze swoimi pazurami, dziobami i szponami i dziobią, skubią, szarpią jego ciało, aż nie zostaje nic – i on im na to pozwala.

Po powrocie z Paryża miał sen, w którym biegł po spękanej rudawej równinie. Za nim sunęła czarna chmura i chociaż był szybki, to chmura była szybsza. Kiedy się przybliżyła, usłyszał brzęczenie i zrozumiał, że to chmara insektów, straszliwych, oślizgłych i hałaśliwych, z pincetowatymi wypustkami poniżej oczu. Wiedział, że jeśli się zatrzyma, to umrze, lecz nawet we śnie czuł, że nie na długo starczy mu sił; wreszcie nie mógł już biec i tylko kuśtykał – rzeczywistość wkradała się w sen. I wtedy usłyszał głos, nieznany, lecz spokojny i autorytatywny, który do niego przemawiał. *Stój* – mówił głos – *Możesz z tym skończyć. Nie musisz tego znosić.* Jak wielką ulgą było usłyszeć te słowa. Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do chmury oddalonej o parę sekund, parę metrów od niego; był wyczerpany i czekał, aż wszystko się skończy.

Obudził się przerażony, bo wiedział, co znaczą te słowa, które go zarazem przerażały i pocieszały. Odtąd, gdy brnął przez dni, słyszał w głowie ten głos i przypominał sobie, że rzeczywiście może skończyć. Istotnie nie musiał tego ciągnąć.

Oczywiście już wcześniej myślał o tym, żeby się zabić – kiedy był w domu dziecka i w Filadelfii, i po śmierci Any. Ale coś go za każdym razem powstrzymało, choć nie pamiętał już, co to było. Teraz, uciekając przed hienami, spierał się sam ze sobą. Po co to ciągnie? Przecież jest taki zmęczony, tak bardzo chciałby przestać. Świadomość, że nie musi tego ciągnąć, była w jakiś sposób pocieszeniem, przypominała mu, że ma wybór, przypominała, że nawet jeśli jego podświadomość nie jest posłuszna świadomości, to jeszcze nie znaczy, że on się nie kontroluje.

W ramach eksperymentu zaczął się zastanawiać, co należałoby zrobić przed odejściem. W styczniu, po najbardziej jak dotąd dochodowym roku w firmie, uaktualnił testament, więc to było w porządku. Trzeba będzie napisać list do Willema, list do Harolda, list do Julii; trzeba będzie też napisać parę słów do Luciena, do Richarda, do Malcolma. Do Andy'ego. Do JB, że mu wybacza. Potem może odejść. Rozmyślał o tym codziennie i ułatwiało mu to życie. Dawało siłę.

Aż nagle stało się czymś więcej niż eksperymentem. Już nie pamiętał, jak się zdecydował, lecz powziąwszy decyzję, poczuł się lżejszy, bardziej wolny, mniej udręczony. Hieny wciąż go ścigały, ale

teraz widział daleko przed sobą dom z otwartymi drzwiami i wiedział, że z chwilą, gdy tam dobiegnie, będzie bezpieczny, a wszystko, co go prześladowało, zniknie. Hienom się to oczywiście nie podobało – one także widziały te drzwi, wiedziały, że on im ujdzie – więc z każdym dniem pościg się nasilał, a armia ścigających go rzeczy rosła w siłę, stawała się coraz bardziej hałaśliwa i nieugięta. Jego mózg rzygał wspomnieniami, zalewały wszystko inne – myślał o ludziach, doznaniach i zdarzeniach, których nie przypominał sobie latami. Na jego języku, jak za sprawą alchemii, pojawiały się smaki, czuł zapachy, których nie czuł od dziesiątków lat. Jego organizm był skompromitowany: lada chwila miał utonąć we wspomnieniach; trzeba było coś zrobić. Starał się – przez całe życie się starał. Starał się być kimś innym, starał się być kimś lepszym, starał się zachowywać czystość. Ale bez skutku. Kiedy się zdecydował, zachwyciła go nadzieja na to, że może sobie oszczędzić lat cierpień, po prostu kładąc temu kres – mógł zostać swoim zbawcą. Żadne prawo nie nakazywało mu żyć dalej: jego życie wciąż należało do niego i mógł z nim uczynić, co zechce. Jak to możliwe, że nie uświadomił sobie tego przez te wszystkie lata? Teraz wybór był oczywisty; pozostawało tylko pytanie, dlaczego czekał z nim tak długo.

Porozmawiał z Haroldem; po uldze w jego głosie poznał, że musi teraz brzmieć bardziej normalnie. Porozmawiał z Willemem.

– Lepiej brzmisz – powiedział Willem i w jego głosie też słychać było ulgę.

– Bo lepiej się czuję – odpowiedział.

Po rozmowach z nimi poczuł ssanie żalu, ale już był zdecydowany. Przecież i tak nic im po nim; był tylko ekstrawagancką kolekcją problemów, niczym więcej. Jeśli się nie powstrzyma, wykończy ich swoimi potrzebami. Będzie od nich brał i brał, aż przeżuje ostatnie kawałki ich ciała; choćby znajdowali rozwiązanie każdej trudności, które on mnoży, zawsze wymyśli następny sposób, żeby ich zniszczyć. Przez krótki czas będą go opłakiwać, bo to dobrzy ludzie, najlepsi, i z tego powodu było mu przykro, ale w końcu zobaczą, że lepiej im się żyje bez niego. Zobaczą, ile czasu im ukradł, zrozumieją, że był złodziejem, że wysysał z nich całą energię i uwagę, że ich wykrwawiał. Miał nadzieję, że mu to wybaczą, miał nadzieję, że zrozumieją, że to, co zrobił, było jego przeprosinami. Uwalniał ich – kochał ich najbardziej na świecie, a co można zrobić dla osób, które się kocha? Zwrócić im wolność.

Nastał ten dzień: poniedziałek pod koniec września. Ostatniej nocy uświadomił sobie, że minął prawie rok od pobicia, choć przecież tak tego nie planował. Wieczorem wyszedł z pracy wcześnie. Weekend spędził na organizowaniu wszystkiego: napisał karteczkę do Luciena, podsumowującą stan spraw, nad którymi aktualnie pracował. Zostawił wiadomość dla zarządcy pracowni Richarda, że sedes w łazience przy głównej sypialni nadal przecieka, i prośbę, aby wezwał hydraulika na następny dzień

o dziewiątej rano – zarówno Richard, jak i Willem mieli klucze do jego mieszkania – ponieważ on wyjeżdża służbowo.

Zdjął marynarkę, krawat i buty i poszedł do łazienki. Usiadł w kabinie prysznicowej z podwiniętymi rękawami koszuli. Miał ze sobą szklankę szkockiej, którą sączył powoli, żeby osiągnąć równowagę, oraz nożyk do rozcinania kartonów, uznał bowiem, że łatwiej go będzie utrzymać niż żyletkę. Wiedział, co należy zrobić: trzy proste linie pionowe, najgłębsze i najdłuższe jak się da, wzdłuż żył na obu ramionach. A potem się położy i poczeka.

Zwlekał chwilę, trochę popłakując, ponieważ był zmęczony i wystraszony i ponieważ był gotów rozstać się ze światem, był gotów odejść. Wreszcie otarł oczy i zaczął. Od lewej ręki. Zrobił pierwsze nacięcie, które było boleśniejsze, niż się spodziewał, więc krzyknął głośno. Potem drugie. Wychylił następny łyk szkockiej. Krew była lepka, raczej galaretowata niż płynna, i lśniąca, migotliwie oleiście czarna. Już przesiąkły nią spodnie, już uchwyt słabł. Ciął trzeci raz.

Gdy skończył z obydwiema rękami, osunął się plecami na ścianę prysznica. Głupio zapragnął poduszki. Było mu ciepło od whisky i od własnej krwi, która go obmywała, zbierając się w kałużę pod nogami – jego wnętrze spotykało jego zewnętrze, wewnętrzność obmywała zewnętrzność. Zamknął oczy. Gdzieś za nim wyły hieny, rozwścieczone. Przed nim stał dom z otwartymi drzwiami. Jeszcze nie był blisko, ale jednak bliżej niż kiedykolwiek: wystarczająco blisko, by dostrzec, że w środku stoi łóżko, na którym odpocznie, na którym się położy i zaśnie po długim biegu, łóżko, na którym po raz pierwszy w życiu będzie bezpieczny.

Gdy wjechali do stanu Nebraska, brat Luke zatrzymał samochód na skraju pola pszenicy i dał mu znak, żeby wysiadł. Było jeszcze ciemno, ale usłyszał, że ptaki się poruszają, że gadają po swojemu do słońca, którego jeszcze nie widać. Wziął brata Luke'a za rękę i przemknęli się chyłkiem pod wielkie drzewo, gdzie brat Luke mu wyjaśnił, że pozostali bracia będą ich szukać, więc muszą zmienić wygląd. Ściągnął znienawidzoną tunikę i włożył ubranie, które mu podał brat Luke: bluzę z kapturem i dżinsy. Najpierw jednak stanął bez ruchu, a brat Luke obciął mu włosy elektryczną maszynką. Bracia rzadko go strzygli, więc włosy nosił długie, prawie za ucho. Brat Luke pochrząkiwał smutno, obcinając je.

– Twoje piękne włosy – powiedział i starannie zawinął obcięte włosy w tunikę, którą następnie wcisnął do worka na śmieci. – Teraz wyglądasz jak każdy inny chłopiec, Jude. Ale później, jak już będziemy bezpieczni, zapuścisz je znowu, dobrze?

On skinął głową, chociaż podobało mu się wyglądać jak każdy inny chłopiec. A potem brat Luke przebrał się sam. Jude odwrócił się, chcąc mu zapewnić względną prywatność.

– Możesz patrzeć, Jude – rzekł ze śmiechem brat Luke, on jednak pokręcił głową.

Kiedy się odwrócił, brat był nie do poznania w kraciastej koszuli i dżinsach. Uśmiechnął się do Jude'a, zanim zgolił sobie brodę, siejąc dokoła srebrną szczecinę niczym opiłki metalu. Były też czapki baseballowe dla nich obu, z tym że czapka brata Luke'a miała wszytą żółtawą perukę, która całkowicie zakrywała łysiejącą głowę. Mieli też okulary: jego były w czarnej oprawce ze szkłami nieoptycznymi, za to okulary brata Luke'a były duże, kwadratowe i miały grube szkła optyczne, takie jak te, które brat nosił w klasztorze, a które teraz schował do torby. Jude będzie mógł zdjąć okulary, kiedy już będą bezpieczni.

Zmierzali do Teksasu, gdzie mieli wybudować swoją chatę. Jazda trwałaby krócej, gdyby nie to, że w pewnym momencie brat Luke zjechał na pobocze szosy i oświadczył, że musi się chwilkę zdrzemnąć, po czym obaj pospali kilka godzin. Brat Luke wziął na drogę kanapki z masłem orzechowym, więc w Oklahomie zatrzymali się znowu, na przydrożnym parkingu, żeby spokojnie zjeść.

Teksas z jego wyobraźni, kraina sosen tak wysokich i wonnych, że izolowały od wszelkiego dźwięku, od wszelkiego życia, przeistoczył się w równinę toczących się kul suchych roślin i darni, toteż kiedy brat Luke oznajmił, że są już w Teksasie, Jude wyjrzał przez okno, mocno rozczarowany.

– Gdzie są lasy? – zapytał.

Brat Luke się roześmiał.

– Cierpliwości, Jude.

Po czym wyjaśnił, że muszą się na parę dni zatrzymać w motelu, żeby zyskać pewność, że inni bracia ich nie śledzą, i żeby on, brat Luke, mógł się rozejrzeć za najlepszym miejscem do postawienia chaty. Motel nazywał się Złota Rączka, a w ich pokoju były dwa łóżka – prawdziwe łóżka – i brat Luke pozwolił mu wybrać, na którym woli spać. Wybrał to blisko łazienki, a brat Luke zajął łóżko pod oknem, z widokiem na samochód.

– Może weźmiesz teraz prysznic, a ja skoczę do sklepu i kupię coś dla nas do jedzenia? – powiedział brat Luke, na co on się nagle przestraszył. – Co się dzieje, Jude?

– Ale brat wróci? – spytał, nienawidząc nuty przerażenia w swoim głosie.

– Oczywiście, że wrócę, Jude – zapewnił go brat i uściskał. – Oczywiście, że tak.

Wrócił z bochenkiem krojonego chleba, słoikiem masła orzechowego, kiścią bananów, kartonem mleka, torebką migdałów, paroma cebulami i paprykami oraz piersią kurczaka. Wieczorem podpalił mały grill, przyniesiony z parkingu, i upiekli sobie na nim cebulę, paprykę i kurczaka, a Jude dostał do tego szklankę mleka.

Brat Luke ustalił ich dzienną rutynę. Budzili się wcześnie, przed wschodem słońca, i brat parzył sobie w przywiezionej maszynce kawę do termosu, a potem jechali do miasta, na bieżnię przy liceum,

gdzie brat Luke pozwalał Jude'owi biegać przez godzinę, sam zaś siedział na trybunach, popijał swoją kawę i obserwował go. Potem wracali do pokoju w motelu, gdzie brat Luke udzielał mu lekcji. Przed przyjściem do klasztoru brat Luke był wykładowcą matematyki, ale wolał pracować z dziećmi, więc potem uczył w szóstej klasie. Znał też inne przedmioty: historię, literaturę, muzykę, języki. Wiedział o tyle więcej od innych braci, że Jude'a zaciekawiło, dlaczego nigdy nie uczył go w klasztorze. Zjadali lunch – znowu kanapki z masłem orzechowym – a potem znowu były lekcje, do trzeciej po południu, kiedy Jude'owi wolno było wyjść i pobiegać po parku albo pójść na spacer z bratem Lukiem wzdłuż szosy. Motel stał frontem do autostrady międzystanowej, więc mieli stały podkład muzyczny w postaci szumu przejeżdżających samochodów.

– Zupełnie jakby mieszkać nad morzem – mawiał brat Luke.

Po tych zajęciach brat Luke przygotowywał sobie trzeci termos kawy i jechał szukać miejsca pod ich chatę, Jude zaś zostawał w pokoju. Brat Luke zawsze zamykał go na klucz dla bezpieczeństwa.

– Nikomu nie otwieraj, jasne? Absolutnie nikomu. Ja mam klucz, więc sam sobie otworzę. I nie rozsuwaj zasłon; nie chcę, żeby ktoś cię tu zobaczył samego. Są na świecie niebezpieczni ludzie; nie chcę, żeby ktoś zrobił ci krzywdę.

Z tego samego powodu nie wolno mu było korzystać z komputera brata Luke'a, który zresztą ten i tak ze sobą zabierał, gdy wychodził z pokoju.

– Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi – mawiał. – Chcę, żebyś był bezpieczny, Jude. Obiecaj mi.

Jude obiecywał.

Kładł się na swoim łóżku i czytał. Telewizji nie było mu wolno oglądać: brat Luke zaraz by to wyczuł, wchodząc do pokoju, po prostu sprawdziłby, czy odbiornik jest ciepły, a Jude nie chciał sprawić mu przykrości i nie chciał wpakować się w kłopoty. Brat Luke przywiózł keyboard, na którym Jude ćwiczył; brat Luke nigdy nie był dla niego niemiły, ale lekcje traktował poważnie. Kiedy niebo ciemniało, Jude przysiadał na skraju łóżka brata Luke'a, robił szparkę w zasłonach i wyglądał na parking, wypatrując samochodu. Zawsze trochę się bał, że brat Luke w końcu po niego nie wróci, że się nim zmęczył, że zostawi go samego. Tak wielu rzeczy nie wiedział o świecie, a świat był miejscem strasznym. Próbował przypominać sobie, że przecież umie robić różne rzeczy, że zna się na pracy, że może zatrudniliby go do sprzątania w tym motelu, lecz mimo to zawsze siedział w napięciu, dopóki nie zobaczył, że jedzie w jego stronę znajome kombi – wówczas doznawał ulgi i obiecywał sobie, że jutro będzie grzeczniejszy, że nigdy nie da bratu Luke'owi powodu do opuszczenia go.

Pewnego wieczoru brat Luke wrócił do pokoju zmęczony. Parę dni wcześniej przyjechał podekscytowany: znalazł idealny kawałek ziemi. Opisał polankę otoczoną cedrami i sosnami, obok mały strumyczek pełen ryb, a powietrze tak chłodne i ciche, że człowiek słyszał każdą spadającą

szyszkę. Pokazał mu nawet zdjęcie, same zieloności i cienie, i objaśnił, gdzie stanęłaby chata i jak Jude mógłby pomóc przy jej budowie, i gdzie zrobią stryszek do spania – sekretną fortecę – tylko dla niego.

– Co się stało, bracie Luke'u? – spytał Jude, bo brat Luke milczał tak długo, że on nie mógł tego znieść.

– Och, Jude. Zawiodłem cię. – I brat opowiedział mu, jak usilnie starał się kupić tę działkę, ale po prostu nie miał dość pieniędzy. – Przepraszam cię, Jude, przepraszam – powiedział i ku zdumieniu Jude'a rozpłakał się.

Jude nigdy nie widział płaczącej osoby dorosłej.

– A nie mógłby brat znowu uczyć? – zapytał, chcąc go pocieszyć. – Ja brata lubię. Gdybym był w szkole, to chciałbym, żeby brat mnie uczył.

Brat Luke uśmiechnął się z wysiłkiem, zmierzwił mu włosy i powiedział, że to nie zależy od lubienia, że musiałby uzyskać stanową licencję, a to jest długi i skomplikowany proces.

Jude myślał i myślał. Aż wreszcie sobie przypomniał:

– Bracie Luke'u, przecież ja mogę pomóc, mogę iść do pracy. Zarobiłbym pieniądze.

– Nie, Jude – rzekł brat Luke. – Nigdy bym na to nie pozwolił.

– Kiedy ja chcę – zapewnił go Jude. Przypomniało mu się, jak brat Michael mu wymawiał, ile to on kosztuje klasztor, i ogarnęło go poczucie winy i strach, jedno nieodłączne od drugiego. Brat Luke tak wiele dla niego zrobił, a on się niczym nie odwdzięczył. Nie tylko chciał, ale po prostu musiał pomóc w zdobyciu pieniędzy.

W końcu udało mu się przekonać brata Luke'a, który go uściskał.

– Naprawdę złoty chłopak z ciebie – powiedział. – Jeden na milion.

A on się uśmiechnął do swetra brata Luke'a.

Następnego dnia mieli lekcje, jak zwykle, a potem brat Luke znowu wyjechał, tym razem, jak powiedział, żeby poszukać dobrej pracy: takiej, którą Jude umie wykonywać i która przyniosłaby im pieniądze na zakup działki i wybudowanie domku. Tym razem brat Luke wrócił uśmiechnięty, wręcz podekscytowany, a ekscytacja ta udzieliła się i Jude'owi.

– Jude – rzekł brat Luke. – Poznałem kogoś, kto chce dać ci pracę, mógłbyś zacząć od zaraz.

Jude odpowiedział uśmiechem.

– Co będę robił? – spytał.

W klasztorze nauczyli go zamiatać, odkurzać i zmywać mopem podłogi. Umiał tak nawoskować parkiet, że nawet brat Matthew był pod wrażeniem. Umiał polerować srebra, mosiądz i drewno. Umiał czyścić fugi między płytkami i szorować sedesy. Umiał usuwać liście z rynsztoka oraz oczyścić

i nastawić na nowo pułapkę na myszy. Umiał myć okna i robić pranie ręcznie. Umiał prasować, przyszywać guziki i zszywać szwem tak drobnym i równiutkim, jakby to zrobiła maszyna.

Umiał gotować. Co prawda przyrządzał tylko dziesięć czy dwanaście pełnych potraw, ale umiał obierać ziemniaki, marchew, brukiew. Umiał posiekać całą górę cebuli i przy tym nie płakać. Umiał wyfiletować rybę, a także oskubać i wypatroszyć kurę. Umiał zagnieść ciasto i upiec chleb. Umiał ubić tak sztywną pianę z białek, że była czymś lepszym niż ciało stałe: powietrzem, któremu nadano formę.

A do tego znał się na ogrodnictwie. Wiedział, które rośliny lubią słońce, a które nie. Umiał orzec, czy roślina jest przesuszona, czy ma za dużo wody. Wiedział, kiedy należy przesadzić drzewko lub krzew do większej donicy i kiedy jest ono na tyle silne, że można je przenieść do ziemi. Wiedział, które rośliny należy chronić przed mrozem, i jak to robić. Umiał przycinać i rozmnażać roślinę z przyciętych pędów. Umiał mieszać nawóz, dodając skorupki jaj jako dodatkowy zastrzyk protein, i umiał miażdżyć mszyce, nie uszkadzając liścia. Wszystko to umiał robić, ale miał nadzieję, że wezmą go do ogrodnictwa, ponieważ chciał pracować na powietrzu, a w czasie swoich porannych biegów poczuł, że idzie już lato, i gdy jechali na bieżnię, widział łąki pełne rozkwitłych dzikich kwiatów – marzył, by znaleźć się wśród nich.

Brat Luke uklęknął obok niego.

– Masz robić to, co robiłeś z ojcem Gabrielem i kilkoma braćmi – powiedział, a do niego z opóźnieniem dotarło, o co chodzi, i cofnął się w stronę łóżka, a w środku poczuł supeł lęku. – Ale, Jude, teraz będzie inaczej – ciągnął brat Luke, zanim on zdążył się odezwać. – I bardzo szybko się skończy, obiecuję ci. Jesteś w tym taki dobry. A ja będę czekał w łazience i przypilnuję, żeby nic nie poszło nie tak, zgoda? – Zmierzwił mu włosy. – No, chodź tu – powiedział i przytulił go. – To dzięki tobie i temu, co zrobisz, będziemy mieli nasz domek, wiesz?

Brat Luke mówił i mówił, aż w końcu Jude kiwnął głową.

Mężczyzna wszedł (po latach ta twarz była jedną z nielicznych, które zapamiętał; czasem widział jakiegoś mężczyznę na ulicy i pytał siebie: Skąd ja go znam? Występowałem z nim w sądzie? Był doradcą przeciwnej strony w ubiegłorocznej sprawie? I nagle sobie przypominał: wygląda jak tamten pierwszy, pierwszy klient), a brat Luke wycofał się do łazienki, która była tuż za łóżkiem Jude'a, potem Jude i mężczyzna odbyli seks i mężczyzna poszedł.

Wieczorem Jude był milczący, a brat Luke traktował go łagodnie i czule. Przyniósł mu nawet ciasteczko – piernik – więc Jude spróbował się uśmiechnąć i spróbował zjeść ciastko, ale to się nie udało, więc kiedy brat Luke nie patrzył, zawinął piernik w papier i wyrzucił. Następnego dnia nie chciał rano jechać na bieżnię, ale brat Luke powiedział, że po gimnastyce lepiej się poczuje, więc

pojechali, i Jude spróbował biegać, ale bardzo go bolało, więc w końcu usiadł i czekał, aż brat Luke powie, że mogą wracać.

Odtąd mieli nową rutynę: nadal rankami i popołudniami odbywali lekcje, ale teraz w niektóre wieczory brat Luke przyprowadzał mężczyzn, jego klientów. Czasami jednego, czasami kilku. Mężczyźni przynosili własne ręczniki i własne prześcieradła, które rozścielali na łóżku, zanim zaczęli, i ściągali z łóżka po zakończeniu.

Jude bardzo się starał nie płakać w nocy, ale gdy płakał, brat Luke przychodził, siadał przy nim, masował mu plecy i pocieszał go.

– Ile jeszcze, zanim zarobimy na domek? – pytał Jude, ale brat Luke tylko kręcił głową ze smutkiem.

– Na razie mamy mało – odpowiadał. – Ale tak świetnie się spisujesz, Jude. Jesteś w tym bardzo dobry. Nie ma się czego wstydzić.

Lecz on wiedział, że jest się czego wstydzić. Nikt mu nigdy tego nie mówił, ale i tak wiedział. Wiedział, że to, co robi, jest złe.

I nagle po paru miesiącach i wielu motelach w całym Teksasie (przenosili się mniej więcej co dziesięć dni i na każdym przystanku brat Luke zabierał Jude'a do lasu, który był prawdziwie piękny, i na polankę, gdzie postawią swój domek) wszystko znowu się zmieniło. Jude leżał którejś nocy w łóżku (w tym tygodniu nie miał żadnych klientów. „Małe wakacje – oznajmił z uśmiechem brat Luke. – Każdy potrzebuje przerwy, zwłaszcza ktoś, kto pracuje tak ciężko jak ty"), gdy brat Luke spytał niespodziewanie:

– Jude, czy ty mnie kochasz?

Zawahał się. Cztery miesiące wcześniej natychmiast odpowiedziałby „tak", z dumą i bez namysłu. Ale teraz… czy kochał brata Luke'a? Często się nad tym zastanawiał. Chciał go kochać. Brat Luke nigdy go nie skrzywdził, nie uderzył, nie zwymyślał. Opiekował się nim. Zawsze czuwał tuż za ścianą, żeby Jude'a nie spotkało nic złego. Tydzień wcześniej klient chciał go zmusić, żeby zrobił coś, o czym brat Luke mu mówił, że nie musi robić, jeżeli nie chce, więc się wyrywał i próbował krzyczeć, tylko że miał poduszkę na twarzy i wiedział, że krzyki są zduszone. Panikował, prawie szlochał, gdy nagle poduszka została uniesiona z jego twarzy, a ciężar mężczyzny z jego ciała i brat Luke kazał mężczyźnie wynosić się z pokoju takim tonem, jakiego Jude jeszcze nigdy u niego nie słyszał. Przestraszył się, a zarazem był pod wrażeniem.

Coś mu jednak mówiło, że nie powinien kochać brata Luke'a, że brat Luke zrobił mu coś, co było złe. Ale przecież nie zrobił. Przecież Jude sam się do tego zgłosił, bo chciał mieć domek w lesie, chciał mieć swój własny stryszek. Dlatego odpowiedział twierdząco.

Przez chwilę był szczęśliwy, widząc uśmiech na twarzy brata Luke'a, jakby mu ofiarował wymarzony domek.

– Och, Jude, to największy prezent, jaki mogłem otrzymać. Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham? Kocham cię bardziej niż siebie samego. Myślę o tobie jak o własnym synu.

Więc Jude też się uśmiechnął, bo czasami i on myślał o bracie Luke'u jak o swoim ojcu. „Twój tata mówił, że masz dziewięć lat, ale wyglądasz na starszego", powiedział podejrzliwie jeden z klientów, zanim zaczęli, na co on odpowiedział tak, jak go nauczył brat Luke: „Jestem wysoki jak na swój wiek", jednocześnie zadowolony i dziwnie niezadowolony, że klient uznał brata Luke'a za jego ojca.

Wtedy brat Luke wytłumaczył mu, że jeżeli dwie osoby kochają się tak bardzo jak oni, to sypiają razem w jednym łóżku, i to nago. Jude nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć, ale zanim zdążył się zastanowić, brat Luke wpakował się do jego łóżka, zrzucił ubranie i zaczął go całować. Jude nigdy przedtem się nie całował – brat Luke zabraniał tego klientom – i wcale mu się to nie podobało, nie podobała mu się wilgoć i siła pocałunków.

– Rozluźnij się – powiedział brat Luke. – Po prostu się rozluźnij, Jude.

Więc Jude spróbował z całych sił się rozluźnić.

Za pierwszym razem, gdy brat Luke uprawiał z nim seks, powiedział mu, że będzie inaczej niż z klientami. „Ponieważ się kochamy" – powiedział, a Jude mu uwierzył, więc gdy potem było tak samo jak zawsze – boleśnie, trudno, niewygodnie, haniebnie – uznał, że coś robi źle, zwłaszcza że brat Luke był potem taki szczęśliwy.

– Nie było ci przyjemnie? – spytał brat Luke. – Nie było inaczej?

A on się zgodził, zbyt zawstydzony, żeby przyznać, że wcale nie było inaczej, że było tak samo okropnie jak z klientem tydzień wcześniej.

Brat Luke zwykle nie uprawiał z nim seksu, jeżeli Jude miał wieczorem klientów, ale zawsze spali w jednym łóżku i zawsze się całowali. Teraz jedno łóżko przeznaczone było dla klientów, a drugie było ich. Zaczął nienawidzić smaku ust brata Luke'a, stęchlizny starej kawy, jego języka, który jak śliskie, pozbawione skóry zwierzę próbował się w niego wedrzeć. Późną nocą, gdy brat Luke spał obok niego, przyciskając go do ściany swoim ciężarem, Jude nieraz płakał cichutko, modląc się, żeby go stąd zabrano, gdziekolwiek, gdzie bądź. Już nie myślał o domku w lesie – teraz marzył o klasztorze i zadawał sobie pytanie, jak mógł być taki głupi, żeby stamtąd odejść. W sumie w klasztorze było lepiej. Kiedy rano wychodzili z motelu i mijali ludzi, brat Luke kazał Jude'owi spuszczać oczy, ponieważ jego oczy były niezwykłe, więc gdyby bracia ich szukali, te oczy by ich zdradziły. Ale on czasem miał ochotę podnieść wzrok, jakby samym kolorem i kształtem oczu był w stanie nadać telegraficzną wiadomość do braci na odległość wielu mil i kilku stanów: Tu jestem. Pomóżcie mi.

Weźcie mnie z powrotem. Nic już nie należało do niego: ani oczy, ani usta, ani nawet imię, którym brat Luke zwracał się do niego tylko prywatnie. Przy ludziach nazywał się Joey. „A to jest Joey", mówił brat Luke, a wtedy on wstawał z łóżka i czekał ze spuszczoną głową, aż klient go sobie obejrzy.

Cenił sobie lekcje, bo były to jedyne godziny, podczas których brat Luke go nie dotykał i stawał się tym, którego Jude kiedyś znał: osobą, której ufał i za którą szedł. Ale potem, po lekcjach, każdy wieczór kończył się tym samym co poprzedni.

Jude stawał się coraz bardziej milczący. „Gdzie się podział mój uśmiechnięty chłopczyk?", pytał brat Luke, a on usiłował odpowiedzieć mu uśmiechem. „Tym się trzeba cieszyć", mawiał czasem brat Luke, na co on kiwał głową, a wówczas brat Luke się uśmiechał i masował mu plecy. „Lubisz to, prawda? – pytał, puszczając oko, a Jude kiwał głową i milczał. – Widzę przecież – mówił brat Luke, wciąż uśmiechnięty, dumny z niego. – Jesteś do tego stworzony, Jude". Niektórzy klienci mówili mu to samo – „Urodziłeś się do tego" – a on, chociaż tego nienawidził, wiedział, że mają rację. Urodził się do tego. Został urodzony i porzucony, i znaleziony, i był używany, tak jak chciano go używać.

W późniejszych latach usiłował przypomnieć sobie, kiedy zrozumiał, że wymarzony domek nigdy nie powstanie, że wymarzone życie nigdy nie będzie jego życiem. Kiedy zaczynał, notował sobie kolejnych klientów, myśląc, że gdy osiągnie określoną liczbę – czterdziestu? pięćdziesięciu? – to wystarczy, brat Luke na pewno pozwoli mu przestać. Ale liczba klientów rosła i rosła, aż pewnego dnia Jude spojrzał na nią, uświadomił sobie, jaka jest wielka, i rozpłakał się, przerażony i zbrzydzony tym, co robi. Odtąd w ogóle przestał liczyć. Więc czy to było wtedy, gdy osiągnął tę liczbę? Czy może kiedy opuszczali Teksas i brat Luke obiecywał mu, że w stanie Waszyngton lasy są jeszcze piękniejsze, i pojechali na zachód, przez Nowy Meksyk i Arizonę, a potem na północ, zatrzymując się na parę tygodni w małych miasteczkach, pomieszkując w małych motelach, identycznych jak tamten pierwszy, a gdziekolwiek się zjawili, zawsze byli tam mężczyźni, a w noce, kiedy nie było mężczyzn, był brat Luke, który zdawał się go pragnąć tak, jak on nigdy nie pragnął niczego? Czy może wtedy, kiedy uświadomił sobie, że wolnych tygodni nie cierpi bardziej niż tych normalnych, bo powrót do rutyny był potem o wiele straszniejszy, niż gdyby w ogóle nie miał wakacji? Czy też wtedy, gdy zaczął dostrzegać niekonsekwencje w opowieściach brata Luke'a: czasem jego ukochany syn zamieniał się w bratanka, który wcale nie umarł, tylko gdzieś wyjechał i brat Luke nigdy więcej go nie zobaczył; czasem przestawał uczyć, bo poczuł powołanie do klasztoru, a czasem dlatego, że miał dość użerania się z dyrektorem, który oczywiście nie dbał o dzieci tak jak brat Luke; w niektórych historiach brat Luke wychował się w Teksasie, a w innych spędził dzieciństwo w Carmel albo Laramie, albo Eugene? Czy może to było tego dnia, kiedy przejeżdżali z Utah do Idaho po drodze do stanu Waszyngton?

Rzadko zapuszczali się do miast – ich Ameryka była ogołocona z drzew i kwiatów, ich Ameryka była długimi pasmami szosy, a jedyną zieloną rzecz stanowiła samotna katleja brata Luke'a, która jakoś przeżyła i wypuszczała liście, chociaż nie kwitła – ale tym razem to zrobili, ponieważ brat Luke miał w jednym z miast znajomego lekarza i chciał, żeby ten zbadał Jude'a, który pomimo wszelkich nakazanych przez Luke'a środków zapobiegawczych złapał jakąś chorobę od klienta. Jude nie znał nazwy tego miasta, lecz zaskoczyły go oznaki normalności, życie dookoła, więc gapił się przez okienko w milczeniu, chłonąc sceny, które zawsze sobie wyobrażał, a rzadko widywał: stojące na ulicy kobiety z dziecinnymi wózkami rozmawiające i śmiejące się do siebie, zdyszany człowiek uprawiający jogging, rodziny z psami, świat składający się nie tylko z mężczyzn, ale także z dzieci i kobiet. Normalnie w czasie jazdy samochodem zamykał oczy – przesypiał teraz cały czas, czekając na koniec dnia – ale tym razem czuł się niezwykle pobudzony, jak gdyby świat próbował mu coś powiedzieć, a on miał tylko słuchać komunikatu.

Brat Luke usiłował patrzeć na mapę i prowadzić auto jednocześnie, ale w końcu zaparkował przy krawężniku, schylił się nad mapą i mruczał. Zatrzymał się na wysokości boiska baseballowego, więc Jude patrzył, jak sportowy teren się zapełnia. Najpierw wchodziły głównie kobiety, a potem wbiegli rozkrzyczani chłopcy. Chłopcy byli w jednakowych strojach, białych w czerwone paski, ale mimo to każdy wyglądał inaczej – mieli różne włosy, różne oczy, różną cerę. Jedni chudzi, jak on, inni grubi. Nigdy jeszcze nie widział tylu chłopców w swoim wieku, więc nie mógł się na nich napatrzeć. I w końcu zauważył, że chociaż się różnią, to właściwie są wszyscy tacy sami: uśmiechnięci, roześmiani, podekscytowani byciem na dworze, w suchym, gorącym powietrzu, pod jasnym słońcem, podczas gdy ich matki wyjmowały z plastikowych pojemników puszki napojów gazowanych, butelki wody i soki.

– Aha! Jesteśmy z powrotem na dobrym tropie! – usłyszał głos brata Luke'a i szelest składanej mapy. Ale zanim silnik znów zawarczał, Jude poczuł, że brat Luke podąża za jego wzrokiem, i przez chwilę obaj w milczeniu wpatrywali się w chłopców, aż wreszcie brat Luke zmierzwił mu włosy.

– Kocham cię, Jude – powiedział, a on po chwili odpowiedział tak jak zawsze:

– Ja brata też.

I pojechali.

Był taki sam jak ci chłopcy, a zarazem był inny. Nigdy nie będzie jednym z nich. Nigdy nie będzie kimś, kto biegnie przez boisko, podczas gdy jego matka woła za nim, żeby przyszedł coś zjeść przed meczem, bo inaczej opadnie z sił. Nigdy nie będzie miał swojego łóżka w leśnej chacie. Nigdy nie będzie z powrotem czysty. Chłopcy grali na boisku, a on jechał z bratem Lukiem do doktora, lekarza, który, jak już wiedział z poprzednich wizyt u innych lekarzy, będzie w jakiś sposób zły, nie będzie

dobrym człowiekiem. Był równie daleko od tych chłopców jak od klasztoru. Był tak daleki od siebie, od tego, kim miał nadzieję zostać, że czuł się tak, jakby wcale nie był chłopcem, tylko zupełnie innym rodzajem stworzenia. To było teraz jego życie i nic z nim nie mógł zrobić.

Przed gabinetem doktora brat Luke nachylił się i przytulił go.

– Zabawimy się dzisiaj wieczorem, tylko ty i ja – powiedział, a Jude pokiwał głową, bo nic innego nie mógł zrobić. – Chodźmy – powiedział brat Luke, uwalniając go z objęć, więc Jude wysiadł z samochodu i poszedł za nim przez parking w stronę brązowych drzwi, które już się otwierały, by wpuścić ich do środka.

Pierwsze wspomnienie: sala szpitalna. Wiedział, że to sala szpitalna, jeszcze zanim otworzył oczy, bo poznał znane sobie zapach i charakter tej ciszy – ciszy, która właściwie nie była cicha. Obok niego: Willem śpiący na krześle. Poczuł zamęt – dlaczego Willem tu jest? Przecież miał gdzieś wyjechać. Przypomniał sobie: na Sri Lankę. A jednak nie był na Sri Lance. Był tutaj. Jakie to dziwne, pomyślał. Ciekawe, dlaczego on tu jest? To było pierwsze wspomnienie.

Drugie wspomnienie: ta sama sala szpitalna. Odwrócił się i zobaczył Andy'ego siedzącego na skraju łóżka. Andy, nieogolony i wyglądający strasznie, uśmiechał się do niego dziwnie, bez przekonania. Poczuł, że ściska go za rękę – nie zdawał sobie sprawy, że ma rękę, dopóki Andy jej nie uścisnął – więc chciał odpowiedzieć uściskiem, ale nie dał rady. Andy spojrzał na kogoś w górę.

– Uszkodzenie nerwu? – usłyszał jego pytanie.

– Niewykluczone – odpowiedziała ta druga osoba, której nie widział. – Ale jeżeli mamy szczęście, to bardziej prawdopodobne…

I zamknął oczy, i zapadł z powrotem w sen. To było drugie wspomnienie.

Wspomnienie trzecie, czwarte, piąte i szóste to właściwie nie były wspomnienia: twarze ludzi, ich ręce, ich głosy, zaglądanie mu w twarz, trzymanie go za rękę, mówienie do niego. Harold i Julia, i Richard, i Lucien. To samo ze wspomnieniami siódmym i ósmym: Malcolm i JB.

Dziewiątym wspomnieniem był znowu Willem siedzący obok niego, mówiący mu, że strasznie mu przykro, ale musi już jechać. Tylko na trochę, a potem wróci. Willem płakał, a on nie wiedział dlaczego – wszyscy płakali; płakali i przepraszali go, co było zagadkowe, ponieważ nikt z nich nie wyrządził mu krzywdy, tyle przynajmniej wiedział na pewno. Chciał powiedzieć Willemowi, żeby nie płakał, bo on czuje się dobrze, ale opuchnięty język w ustach okazał się bezużyteczną sztabą, której nie sposób było uruchomić. Willem już trzymał go za rękę, ale on nie miał siły podnieść drugiej ręki, żeby ją położyć na ramieniu Willema i pocieszyć go, więc w końcu dał sobie spokój.

W dziesiątym wspomnieniu był nadal w szpitalu, ale w innej sali, wciąż niesamowicie zmęczony. Bolało go ramię. W dłoniach trzymał dwie piankowe piłeczki, które miał ściskać przez pięć sekund z pięciosekundowymi przerwami. Nie pamiętał, kto mu to polecił ani kto dał mu piłeczki, ale ściskał je rytmicznie, mimo że za każdym ściśnięciem ramię bolało go coraz bardziej, piekącym, żywym bólem, więc przerywał po trzech lub czterech powtórzeniach, zmęczony.

Aż pewnej nocy się obudził, wypłynął na powierzchnię poprzez warstwy snów, których nie pamiętał, i uprzytomnił sobie, gdzie jest i dlaczego. Wtedy od razu z powrotem zasnął, ale następnego dnia obrócił głowę i zobaczył jakiegoś mężczyznę siedzącego na krześle przy jego łóżku: nie wiedział, kto to jest, ale gdzieś już tego mężczyznę widział. Przychodził i siadał, i patrzył na niego uważnie, a czasami coś do niego mówił, lecz on nigdy nie mógł skoncentrować się na sensie tych słów i w końcu zamykał oczy.

– Jestem w zakładzie dla umysłowo chorych – powiedział teraz do tego mężczyzny, a własny głos wydał mu się nie taki jak trzeba: piskliwy i zdarty.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Jest pan na oddziale psychiatrycznym w szpitalu, owszem – powiedział. – Czy pan mnie pamięta?

– Nie – odparł – ale już pana widziałem.

– Doktor Solomon. Jestem psychiatrą w tym szpitalu. – Zapadła cisza. – Czy pan wie, dlaczego się tutaj znalazł?

Przymknął oczy i kiwnął głową.

– Gdzie jest Willem? – zapytał. – Gdzie jest Harold?

– Willem musiał wracać na Sri Lankę na zdjęcia – odrzekł lekarz. – Wróci… – Jude usłyszał szelest przerzucanych kartek – …dziewiątego października. A więc za dziesięć dni. Harold przyjdzie do pana w południe; zawsze przychodzi o tej porze, pamięta pan?

Jude pokręcił głową.

– Czy może mi pan powiedzieć, Jude, dlaczego się pan tutaj znalazł?

– Bo… – zaczął, przełykając. – Z powodu tego, co zrobiłem pod prysznicem.

Znowu zapadła cisza.

– Zgadza się – potwierdził cicho doktor. – Czy może mi pan powiedzieć dlaczego…

Ale on już nie słyszał, bo znowu zasnął.

Kiedy się obudził, mężczyzny nie było, za to był Harold.

– Haroldzie – zaczął Jude swoim dziwnym nowym głosem, a Harold, który siedział z łokciami opartymi na udach i twarzą ukrytą w dłoniach, poderwał się gwałtownie, jak na krzyk.

– Jude – powiedział i usiadł przy nim na łóżku. Wyjął piłeczkę z jego prawej ręki i zastąpił ją swoją dłonią.

Jude pomyślał, że Harold wygląda okropnie.

– Przepraszam cię – powiedział, a Harold się rozpłakał. – Nie płacz, proszę cię, nie płacz.

Harold wstał i wyszedł do łazienki, skąd słychać było, jak siąka.

Tej nocy, gdy już został sam, też sobie popłakał: nie z powodu tego, co zrobił, tylko dlatego, że się nie udało, że jednak przeżył.

W głowie rozjaśniało mu się z każdym dniem. Z każdym dniem pozostawał coraz dłużej na jawie. Przez większość czasu nie czuł nic. Ludzie przychodzili go odwiedzić i płakali, a on patrzył na nich i zauważał tylko dziwny wygląd ich twarzy i to, że wszyscy wyglądają podobnie, kiedy płaczą: nosy im pęcznieją, a rzadko używane mięśnie twarzy wykrzywiają usta w nienaturalnych kierunkach, w nienaturalne kształty.

Nie myślał o niczym, jego umysł był czysty jak niezapisana kartka. Dowiadywał się fragmentami o tym, co się stało: jak zarządca pracowni Richarda uznał, że hydraulik ma przyjść o dziewiątej wieczorem tego samego dnia, a nie o dziewiątej rano nazajutrz (Jude nawet w stanie zamroczenia nie mógł uwierzyć, żeby ktokolwiek spodziewał się hydraulika o dziewiątej wieczór), jak Richard go znalazł i wezwał pogotowie, i pojechał z nim do szpitala, jak Richard zadzwonił do Andy'ego, Harolda i Willema, jak Willem przyleciał z Colombo, żeby być przy nim. Było mu szczerze przykro, że to akurat Richard musiał go znaleźć – ta część planu od początku go niepokoiła, chociaż teraz przypomniało mu się, że pomyślał o odporności Richarda na widok krwi (Richard kiedyś robił z niej rzeźby, więc najmniej z wszystkich przyjaciół zagrożony był traumą) – więc przeprosił Richarda, który pogłaskał go po wierzchu dłoni i powiedział, że nic się nie stało, wszystko jest okej.

Doktor Solomon przychodził codziennie i usiłował z nim rozmawiać, ale on nie miał wiele do powiedzenia. Inni na ogół z nim nie rozmawiali. Przychodzili, siadali i zajmowali się własną pracą albo mówili do niego bez wyraźnego oczekiwania odpowiedzi, co doceniał. Lucien przychodził często, zazwyczaj z jakimś upominkiem, raz z dużą kartką, na której podpisali się wszyscy koledzy z biura („Na pewno zaraz poczujesz się lepiej – powiedział kąśliwie. – W każdym razie masz"), a Malcolm zrobił dla niego jeden ze swoich fantastycznych domów, z oknami z papieru welinowego; Jude postawił go na szafce przy łóżku. Willem dzwonił codziennie rano i wieczorem. Harold czytał mu *Hobbita*, którego Jude nie znał, a jeśli Harold nie mógł przyjść, przychodziła Julia i podejmowała lekturę: to były jego ulubione wizyty. Andy zjawiał się co wieczór, po godzinach odwiedzin, i jadł z nim kolację; martwił się, że Jude za mało je, więc przynosił mu porcję tego, co akurat miał dla siebie. Przyniósł pojemnik rosołu wołowego z kaszą, ale Jude miał jeszcze za słabe ręce, żeby utrzymać łyżkę,

więc Andy musiał go karmić, powoli, łyżka za łyżką. Kiedyś Jude czułby się tym zażenowany, ale teraz było mu wszystko jedno: otwierał usta i przyjmował jedzenie, które było bez smaku, po czym je żuł i przełykał.

– Chcę wrócić do domu – powiedział Andy'emu któregoś wieczoru, przyglądając mu się, jak je kanapkę z tuńczykiem.

Andy przełknął spokojnie kęs i spojrzał na niego.

– O? Naprawdę?

– Tak. – Nie zdołał wymyślić lepszej odpowiedzi. – Chcę stąd wyjść.

Spodziewał się, że Andy powie coś sarkastycznego, ale Andy tylko powoli pokiwał głową.

– Okej – powiedział. – Okej. Pogadam z Solomonem. – Skrzywił się. – Jedz kanapkę.

Następnego dnia doktor Solomon zagadnął:

– Słyszę, że chce pan wracać do domu?

– Mam wrażenie, że jestem tu bardzo długo.

Doktor Solomon zamilkł.

– Bo rzeczywiście jest pan tu długo – powiedział po chwili. – Jednak z uwagi na pana historię samookaleczeń i poważną próbę samobójczą pański lekarz, Andy, a także rodzice uznali, że to dla pana dobra.

Zastanowił się nad tym.

– Czyli gdyby moja próba była mniej poważna, wyszedłbym do domu wcześniej?

Wydawało się to zbyt logiczne jak na skuteczną strategię.

Doktor się uśmiechnął.

– Prawdopodobnie tak – powiedział. – Ja jednak nie jestem całkiem przeciwny wypisaniu pana do domu, Jude, chociaż uważam, że powinniśmy tam zrobić pewne zabezpieczenia. Martwi mnie jednak, że odmawia pan rozmowy o przyczynach swojej próby samobójczej. Doktor Contractor… przepraszam, Andy mówi mi, że był pan zawsze niechętny psychoterapii, mógłbym wiedzieć, dlaczego?

Jude nic nie powiedział i Solomon też przez chwilę milczał.

– Wiem od pańskiego ojca, że rok temu był pan w toksycznym związku i że miało to długofalowe reperkusje.

Kiedy lekarz to powiedział, Jude poczuł, że robi mu się zimno. Jednak zmusił się do milczenia, zamknął oczy i wreszcie usłyszał, że doktor Solomon wstaje do wyjścia.

– Wrócę do pana jutro, Jude.

W końcu, kiedy stało się jasne, że nie zamierza z nikim rozmawiać oraz że nie jest w stanie, który umożliwiałby podjęcie następnej próby, wypisali go, jednak z zastrzeżeniem – został oddany pod opiekę Julii i Harolda. Kategorycznie podkreślono, że ma pozostać na obniżonych dawkach leków, które przyjmował w szpitalu. Kategorycznie podkreślono, że ma dwa razy w tygodniu chodzić na psychoterapię. Raz na tydzień miał się zgłaszać do Andy'ego. Miał wziąć urlop z pracy, co już zostało załatwione. Zgodził się na wszystko. Podpisał – niepewnie trzymając pióro – dokument wypisu ze szpitala, obok podpisów Andy'ego, doktora Solomona i Harolda.

Harold i Julia zabrali go do Truro, gdzie czekał na niego Willem. Co noc wysypiał się jak król, a za dnia schodził z Willemem ze wzgórza, do oceanu. Był wczesny październik, a więc za zimno na kąpiel, lecz siadali na piasku i wpatrywali się w linię horyzontu; czasami Willem coś mu opowiadał, a czasem nie. Jude śnił na jawie, że morze zmieniło się w solidny blok lodu z falami zamarzniętymi w połowie wzniesienia i że Willem jest na drugim brzegu i przyzywa go, więc zdążał do niego powoli po szerokiej połaci, a ręce i twarz drętwiały mu z zimna.

Kolacje jadali wcześnie, ponieważ on wcześnie się kładł. Posiłki były proste, lekkostrawne, a jeśli z mięsem, to ktoś zawsze mu je pokroił, żeby Jude nie musiał posługiwać się nożem. Harold do każdej kolacji nalewał mu szklankę mleka, jak dziecku, a on je wypijał. Nie wolno mu było wstać od stołu, dopóki nie zjadł przynajmniej połowy tego, co miał na talerzu, i nie mógł sam sobie nakładać. Był zbyt zmęczony, żeby z tym walczyć; starał się, jak mógł.

Stale było mu zimno; nieraz budził się wśród nocy, drżąc pomimo kilku koców, którymi był nakryty, i leżał, obserwując Willema, który dzielił z nim pokój, śpiącego na kanapie naprzeciwko; patrzył na chmury przepływające na tle sierpa księżyca widocznego pomiędzy framugą a żaluzją; wreszcie zasypiał.

Czasami myślał o tym, co zrobił, i ogarniał go ten sam smutek co w szpitalu: żal, że się nie udało, że nadal żyje. A czasem myślał o tym i ogarniał go strach: teraz już naprawdę wszyscy będą go traktowali inaczej. Teraz już rzeczywiście był świrusem, większym świrusem niż przedtem. Teraz musi na nowo podejmować próby przekonania ludzi, że jest normalny. Myślał o biurze, jedynym miejscu, w którym dawniej nikogo nie obchodziło, kim był. Teraz powstanie tam inna, konkurencyjna narracja na jego temat. Teraz nie będzie już tylko najmłodszym partnerem w historii spółki (jak go nieraz przedstawiał Tremain); teraz będzie partnerem, który próbował się zabić. Podejrzewał, że są na niego wściekli. Myślał o swojej pracy w firmie i o tym, kto ją przejął. Może już nawet nie potrzebowali, żeby wracał. Kto będzie chciał z nim teraz pracować? Kto mu na nowo zaufa?

Nie tylko w Rosen, Pritchard będą widzieć go inaczej, ale wszędzie. Cała ta niezależność, na którą pracował przez lata, starając się udowodnić wszystkim, że na nią zasługuje, rozwiała się jak dym. Teraz

nie wolno mu było nawet pokroić sobie jedzenia. Dzień wcześniej Willem musiał mu pomóc zasznurować buty.

– To się poprawi, Judy – pocieszał go. – To się poprawi. Doktor mówi, że trzeba tylko czasu.

Rano Harold lub Willem musieli go golić, ponieważ miał jeszcze zbyt niesprawne ręce; patrzył na swoją nieznajomą twarz w lustrze, gdy przeciągali maszynką po jego policzkach i podbródku. Nauczył się golić w Filadelfii, kiedy mieszkał u Douglassów, ale Willem udzielił mu powtórnych lekcji w tym zakresie, gdy byli na pierwszym roku, przerażony, jak się potem przyznał, jego niepewnymi, chaotycznymi ruchami, jakby ścinał trawę kosą.

– Dobry w rachunku różniczkowym, kiepski w goleniu – powiedział wtedy Willem i uśmiechnął się do niego, żeby go nie zawstydzić.

Po jakimś czasie zaczął sobie mówić: Możesz spróbować drugi raz, i sama ta myśl dawała mu siłę, chociaż, jak na ironię, był jakoś mniej skłonny spróbować ponownie. Czuł się wyczerpany. Ponowna próba oznaczałaby przygotowania. Oznaczałaby konieczność znalezienia ostrego przedmiotu i samotności, a nigdy nie był sam. Oczywiście wiedział, że istnieją inne metody, ale pozostał uparcie zafiksowany na tej jednej, chociaż nie zadziałała.

Przeważnie jednak nie czuł nic. Harold i Julia, i Willem pytali go, co chce na śniadanie, ale za dużo było do wyboru – naleśniki? Gofry? Muesli? Jajka? Jeśli jajka, to jakie? Na miękko? Na twardo? Jajecznica? Sadzone? W szklance? Kogel-mogel? – więc tylko kręcił głową, aż wreszcie przestali się dopytywać. Przestali go pytać o zdanie w jakiejkolwiek sprawie, co sprawiło mu ulgę. Po lunchu (też śmiesznie wczesnym) ucinał sobie drzemkę na sofie w salonie przed kominkiem: zasypiał przy odgłosach ich szeptów, szumie wody towarzyszącym zmywaniu naczyń. Popołudniami Harold czytał mu książki; czasem Willem i Julia też siadali posłuchać.

Po jakichś dziesięciu dniach wrócili z Willemem na Greene Street. Bał się tego powrotu, ale gdy wszedł do łazienki, marmur podłogi był czysty i bez plam.

– Malcolm – powiedział Willem, zanim Jude zdążył zapytać. – Skończył w ubiegłym tygodniu. Wszystko nowe.

Willem pomógł mu się położyć do łóżka, po czym podał mu dużą kopertę podpisaną jego imieniem. Jude otworzył ją, gdy Willem wyszedł. W środku były jego listy do wszystkich, nieotwarte, i zapieczętowana kopia jego testamentu, a także liścik od Richarda: „Uznałem, że powinny do Ciebie wrócić. Ściskam. R". Drżącymi rękami wsunął je z powrotem do koperty; na drugi dzień schował je w swoim sejfie.

Nazajutrz obudził się wcześnie, przeszedł na palcach obok Willema śpiącego na sofie w drugim końcu sypialni i przespacerował się po mieszkaniu. Ktoś postawił we wszystkich pokojach kwiaty,

gałązki z liśćmi klonu i kabaczki w misach. Pachniało pięknie, jabłkami i cedrem. Wszedł do swojego gabinetu, gdzie ktoś położył mu na biurku pocztę, a na stercie książek stał mały papierowy domek Malcolma. Zobaczył nieotwarte koperty od JB, od Azjatyckiego Henry'ego Younga, od Indii, od Alego i domyślił się, że zrobili dla niego rysunki. Minął stół w jadalni, przesuwając palcami po grzbietach książek ustawionych równo na regałach, zajrzał do kuchni, otworzył lodówkę i zobaczył, że pełna jest jego ulubionych rzeczy. Richard ostatnio zajmował się ceramiką, więc pośrodku stołu jadalnego widniał sporych rozmiarów amorficzny przedmiot o szorstkiej, przyjemnej w dotyku glazurze, malowany w białe żyłki. Obok niego stała figurka świętego Judy, którą Willem zabrał ze sobą, kiedy przenosił się na Perry Street, ale teraz wróciła do Jude'a.

Dni prześlizgiwały się obok niego, a on im na to pozwalał. Rankami pływał, potem jadł z Willemem śniadanie. Przychodziła rehabilitantka, która kazała mu ćwiczyć zgniatanie gumowych piłeczek, krótkich linek, łamanie wykałaczek, piór. Czasem miał podnieść kilka przedmiotów jedną ręką i utrzymać je między palcami, co było trudne. Ręce mu się trzęsły bardziej niż zwykle i odczuwał ostre kłucie w palcach, ale rehabilitantka powiedziała, żeby się tym nie martwił, że to znak, iż mięśnie się naprawiają i nerwy podejmują pracę. Zjadał lunch, kładł się na drzemkę. Kiedy drzemał, Richard przychodził go pilnować, a Willem biegł załatwiać swoje sprawy lub schodził na dół do siłowni i – Jude miał taką nadzieję – robił tam coś ciekawego i przyjemnego, coś bez związku z nim i jego problemami. Popołudniami przyjmował odwiedziny: przychodzili ci sami i nowi. Siedzieli zwykle godzinkę, po czym Willem dawał im do zrozumienia, że czas się zbierać. Przyszedł Malcolm z JB i we czwórkę odbyli nienaturalnie grzeczną rozmowę o rzeczach, jakie robili w college'u, ale Jude był zadowolony, że widzi JB, i pomyślał, że chętnie spotka się z nim ponownie, gdy będzie miał jaśniej w głowie, bo chciał go przeprosić i powiedzieć, że mu wybacza. Wychodząc, JB powiedział mu cicho:

– Wszystko się poprawi, Judy. Wierz mi, wiem, co mówię. – Po czym dodał: – Przynajmniej nikomu przy okazji nie zrobiłeś krzywdy.

Jude poczuł ukłucie winy, bo wiedział, że zrobił.

Pod koniec dnia przychodził Andy i badał go; odwijał bandaże i czyścił okolice szwów. Jude jeszcze nie widział swoich szwów – nie mógł się zdobyć na to, by na nie spojrzeć. Kiedy Andy je czyścił, odwracał wzrok albo zamykał oczy. Po wyjściu Andy'ego jedli kolację, a po kolacji, gdy butiki i nieliczne pozostałe galerie pozamykały się na noc i dzielnica pustoszała, wychodzili na spacer. Przemierzali równy kwadrat wokół SoHo – na wschód do Lafayette, na północ do Houston, na zachód do Szóstej, na południe do Grand, na wschód do Greene – i wracali do domu. To były krótkie spacery, ale Jude czuł się po nich wykończony, raz nawet upadł po drodze do sypialni, po prostu nogi odmówiły

mu posłuszeństwa. Julia i Harold przyjeżdżali pociągiem w czwartki, żeby z nim spędzić cały piątek, sobotę i kawałek niedzieli.

Willem pytał go co rano:

– Chcesz porozmawiać dzisiaj z doktorem Loehmannem?

I każdego ranka Jude odpowiadał:

– Jeszcze nie, Willem. Niedługo, obiecuję.

Pod koniec października poczuł się silniejszy, mniej roztrzęsiony. Miał coraz dłuższe okresy aktywności. Potrafił leżeć na plecach z książką, która nie drżała tak bardzo, żeby musiał się przekręcać na brzuch i opierać ją o poduszkę. Potrafił sam posmarować sobie masłem chleb i znowu mógł nosić koszule, ponieważ był w stanie przełożyć guzik przez dziurkę.

– Co czytasz? – spytał Willema któregoś popołudnia, siadając obok niego na sofie w salonie.

– Sztukę, w której może zagram – odrzekł Willem i odłożył kartki skryptu.

Jude spojrzał w nieokreślony punkt nad głową Willema.

– Znowu wyjeżdżasz? – Było to potwornie samolubne pytanie, ale nie umiał się powstrzymać.

– Nie – odparł Willem po chwili ciszy. – Myślę, że pokręcę się jakąś chwilę po Nowym Jorku, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Jude uśmiechnął się do poduszek kanapy.

– Mnie to pasuje – powiedział, a podniósłszy wzrok, stwierdził, że Willem też się uśmiecha.

– Miło widzieć z powrotem twój uśmiech – rzekł Willem i powrócił do lektury.

W listopadzie Jude przypomniał sobie, że w żaden sposób nie uczcił czterdziestych pierwszych urodzin Willema pod koniec sierpnia, i wspomniał o tym głośno.

– No cóż, formalnie jesteś usprawiedliwiony, bo mnie nie było – odparł Willem. – Ale jasne, zgadzam się, żebyś to nadrobił. Zastanówmy się jak. – Namyślał się chwilę. – Jesteś gotów do wyjścia na świat? Chcesz zjeść gdzieś kolację? Wczesną kolację?

– Jasne.

Więc w następnym tygodniu poszli do małej japońskiej restauracyjki w East Village, w której podawano prasowane sushi. Bywali tam od lat.

Jude sam zamówił sobie jedzenie, chociaż się denerwował, że może dokonał niewłaściwego wyboru, lecz Willem cierpliwie czekał, aż on się namyśli, a gdy już zdecydował, kiwnął aprobująco głową.

– Dobry wybór – powiedział.

Jedząc, rozmawiali o przyjaciołach, o sztuce, w której Willem zdecydował się zagrać, i o powieści, którą on czytał; o wszystkim, tylko nie o nim.

– Uważam, że powinniśmy pojechać do Maroka – powiedział Jude, gdy wracali wolno do domu.

Willem spojrzał na niego i rzekł:

– Zajmę się tym.

Po czym ujął go za ramię i ściągnął z trasy nadjeżdżającego pędem rowerzysty.

– Chciałbym ci kupić coś na urodziny – odezwał się Jude, kilka przecznic dalej.

Tak naprawdę chciał dać coś Willemowi, żeby mu podziękować i wyrazić prezentem to, czego nie umiał wyrazić słowami: wieloletnią wdzięczność i miłość. Po wcześniejszej rozmowie na temat sztuki teatralnej przypomniało mu się, że Willem rok wcześniej zobowiązał się uczestniczyć w projekcie powiązanym ze zdjęciami filmowymi w Rosji na początku stycznia. Ale kiedy o tym napomknął, Willem wzruszył ramionami.

– Ach, to – powiedział. – Nie wypaliło. I dobrze. Właściwie nie chciało mi się tego robić.

Jude jednak odniósł się do tego podejrzliwie, a gdy później sprawdził w internecie, znalazł doniesienia, że Willem wycofał się z tego filmu z powodów osobistych i zamiast niego obsadzono innego aktora. Patrzył w ekran komputera i druk zamazywał mu się przed oczami, ale gdy zagadnął o to Willema, ten znowu wzruszył ramionami.

– Tak się mówi, kiedy aktor i reżyser nie nadają na tej samej fali, a żaden nie chce stracić twarzy – wyjaśnił.

On jednak wiedział, że Willem nie mówi prawdy.

– Nie musisz mi niczego kupować – powiedział Willem, tak jak Jude się spodziewał (jak zawsze).

– Wiem, że nie muszę, ale chcę – odparł Jude, po czym dodał, jak zawsze: – Lepszy przyjaciel wiedziałby, co ci kupić, i nie musiałby prosić o podpowiedź.

– Lepszy przyjaciel tak – zgodził się Willem, jak zawsze, i uśmiechnął się, bo cała rozmowa przypominała ich dawne, normalne.

Minęło jeszcze kilka dni. Willem przeniósł się z powrotem do swojej części mieszkania. Lucien zadzwonił kilka razy do Jude'a, żeby go spytać o to czy owo w sprawach służbowych, i za każdym razem przepraszał, ale on był zadowolony z tych telefonów, szczęśliwy, że Lucien zaczyna teraz rozmowę od narzekania na klienta lub kolegę, a nie od pytania, jak on się czuje. Poza Tremainem, Lucienem i może jeszcze dwiema osobami nikt w firmie nie znał prawdziwej przyczyny jego nieobecności: wszystkim, podobnie jak klientom, powiedziano, że Jude przechodzi rekonwalescencję po nagłej operacji kręgosłupa. Jude wiedział, że gdy tylko wróci do Rosena, Pritcharda, Lucien obłoży go normalną pracą: nie będzie mowy o taryfie ulgowej na początek ani zastanawiania się, czy on udźwignie stres, za co był Lucienowi wdzięczny. Przestał przyjmować leki, kiedy zauważył, że go otępiają, a gdy pozbył się ich resztek z organizmu, był zdumiony jasnością swojego umysłu – nawet

wzrok mu się poprawił, jakby ktoś zmył z szyby brud i zacieki: wreszcie mógł cieszyć się widokiem zielonego trawnika i grusz o złocistych owocach.

Ale jednocześnie uświadomił sobie, że leki go osłaniały; bez nich wróciły hieny, mniej liczne i bardziej leniwe, lecz wciąż okrążające go, wciąż go ścigające, mniej zajadłe w swoim pościgu, ale wciąż obecne, jego niechciane, wierne towarzyszki. Powróciły również inne wspomnienia, stare, ale też nowe, i uprzytomnił sobie ze znacznie większą ostrością, jak wielki kłopot wszystkim sprawił, jak wiele żąda od ludzi, jak bierze coś, czego nigdy, przenigdy, nie będzie w stanie spłacić. Pojawił się też głos, który szeptał do niego w niespodziewanych chwilach: *Możesz spróbować jeszcze raz, możesz spróbować jeszcze raz*. Starał się go ignorować, ponieważ w ten sam niezłomny sposób, w jaki przedtem postanowił się zabić, teraz zdecydował, że będzie pracował nad swoją poprawą, więc nie życzył sobie przypomnień, że może spróbować jeszcze raz, że życie, jakże często haniebne i absurdalne, nie jest jego jedyną opcją.

Nadeszło Święto Dziękczynienia, które po raz drugi obchodzili w mieszkaniu Harolda i Julii na West End Avenue i znowu w małej grupie: Laurence i Gillian (ich córki powyjeżdżały do teściów), on, Willem, Richard z Indią, Malcolm z Sophie. Podczas posiłku czuł, że wszyscy starają się nie zwracać na niego nadmiernej uwagi, a kiedy Willem wspomniał o ich planowanej na środek grudnia wycieczce do Maroka, Harold wydał się tak obojętny, tak niezaciekawiony, że Jude nabrał pewności, iż już to omówił z Willemem (i zapewne z Andym) i udzielił swojego pozwolenia.

– Kiedy wracasz do Rosena, Pritcharda? – spytał Laurence, jakby Jude był dotąd na wakacjach.

– Trzeciego stycznia.

– Tak prędko? – zdziwiła się Gillian.

Uśmiechnął się do niej.

– Nie dość prędko – powiedział. I mówił szczerze: był gotów znów spróbować normalności, podjąć następną próbę bycia żywym.

Wyszli z Willemem wcześnie i tego wieczoru pociął się po raz drugi od wyjścia ze szpitala. Bo tutaj też pomagały leki: stępiały potrzebę cięcia się, uczucia jasności, nagłego uderzenia bólu. Za pierwszym razem zaszokowało go, jakie to jest bolesne, aż zadał sobie pytanie, dlaczego tak długo to sobie robił – co sobie myślał? Ale po chwili poczuł, że wszystko w nim zwalnia, odpręża się, wspomnienia stają się przyćmione, i przypomniało mu się, jak to bardzo pomaga, przypomniało mu się, dlaczego to robi. Blizny po próbie samobójczej były trzema kreskami wzdłuż ramion, od nasady dłoni po wnętrze łokcia, i nie zagoiły się ładnie: wyglądały, jakby ktoś powtykał pod skórę ołówki. Połyskiwały dziwnie, perłowo, prawie jak po oparzeniu, a gdy zaciskał pięść, widział, jak się zwężają.

Tej nocy przebudził się z krzykiem, co zdarzało mu się w okresie ponownego przystosowywania się do życia, do egzystencji ze snami; na lekach nie miewał snów, właściwie żadnych, a jeśli już, to tak dziwaczne, bezsensowne i zawiłe, że szybko je zapominał. Ale w tym śnie znalazł się w jednym z motelowych pokoi i była tam grupa mężczyzn, którzy szarpali go, on zaś z desperacją próbował ich od siebie odpędzić. Lecz mężczyzn było coraz więcej i wiedział, że przegra, wiedział, że zostanie zniszczony.

Jeden z tych mężczyzn wzywał go po imieniu, a potem dotknął jego policzka, co z jakiegoś powodu przeraziło go jeszcze bardziej, więc odepchnął rękę tamtego, a wtedy mężczyzna oblał go wodą i Jude się obudził. Ujrzał nad sobą pobladłego Willema ze szklanką w dłoni.

– Przepraszam cię, przepraszam – powiedział Willem – ale nie mogłem cię z tego wyciągnąć, Jude, przepraszam. Zaraz przyniosę ci ręcznik.

Po chwili wrócił z ręcznikiem i pełną szklanką wody, ale Jude trząsł się za bardzo, żeby ją utrzymać. W kółko tylko przepraszał Willema, który kręcił głową i kazał mu się nie przejmować, bo nic się nie stało, bo to był tylko sen. Willem podał mu nową koszulę i odwrócił się, kiedy Jude się w nią przebierał, a potem zabrał tę mokrą do łazienki.

– Kto to jest brat Luke? – spytał po chwili, gdy siedzieli w milczeniu, czekając, aż oddech Jude'a się wyrówna. A ponieważ Jude nie odpowiedział, dodał: – Krzyczałeś: „Ratunku, bracie Luke'u, ratunku".

Jude dalej milczał.

– Kto to jest, Jude? Ktoś z klasztoru?

– Nie mogę, Willem – wykrztusił on i zatęsknił za Aną.

Spytaj mnie jeszcze raz – mówił do niej w duchu – to ci powiem. Naucz mnie, jak to zrobić. Tym razem usłucham. Tym razem będę mówił.

Na weekend wyjechali do wiejskiego domku Richarda i odbyli długi spacer przez las osłaniający działkę od tyłu. Potem udało mu się po raz pierwszy od wyjścia ze szpitala zjeść do końca obiad, który sam ugotował. Przyrządził ulubione danie Willema, kotlety z jagnięciny, i chociaż potrzebował jego pomocy przy pokrojeniu mięsa – sam nie był jeszcze dość sprawny – to wszystko inne zrobił sam. Tej nocy znów obudził się z krzykiem i znów ujrzał nad sobą Willema (tym razem bez szklanki z wodą), i znów Willem spytał o brata Luke'a i czemu Jude błagał go o pomoc, i on znów nie był w stanie odpowiedzieć.

Następnego dnia był zmęczony, bolały go ręce, bolało całe ciało, a podczas spaceru mówił bardzo niewiele; Willem też za często się nie odzywał. Po południu przejrzeli swój plan na Maroko: zaczną od Fezu, potem przejadą przez pustynię, gdzie zatrzymają się w Warzazacie, a skończą w Marrakeszu.

W drodze powrotnej zatrzymają się na parę dni w Paryżu, żeby odwiedzić Citizena i kolegę Willema, a do domu powrócą tuż przed Nowym Rokiem.

Gdy jedli kolację, Willem powiedział:

– Wiesz co, wymyśliłem, co możesz dać mi na urodziny.

– No? – odrzekł Jude, zadowolony, że może skupić się na prezencie dla Willema, zamiast go znowu prosić o pomoc, cały czas myśląc o czasie, który mu kradnie. – Mów.

– No… – zaczął Willem – to jest coś raczej dużego.

– Co zechcesz. Mówię poważnie.

Willem posłał mu spojrzenie, którego Jude nie był w stanie zinterpretować.

– Naprawdę – zapewnił go. – Wszystko, co zechcesz.

Willem odłożył kanapkę z jagnięciną i nabrał głęboko powietrza.

– Okej – powiedział. – Na urodziny życzę sobie, żebyś mi powiedział, kto to jest brat Luke. I nie tylko kto to jest, ale na czym polegała wasza… relacja i dlaczego wołasz go po nocy. – Spojrzał na Jude'a. – Chcę, żebyś był szczery i opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Tego właśnie chcę.

Zapadła długa cisza. Jude uzmysłowił sobie, że nadal ma w ustach kęs jedzenia, więc jakoś go przełknął i odłożył resztę kanapki.

– Willem – powiedział wreszcie, ponieważ wiedział, że Willem mówi serio i nie da się go łatwo odwieść od tego pomysłu, przekonać, żeby zażyczył sobie czegoś innego. – Część mnie chce ci powiedzieć. Ale jeżeli to zrobię… – Urwał. – Ale jeżeli to zrobię, to obawiam się, że nabierzesz do mnie obrzydzenia. Zaczekaj – dodał, bo Willem chciał coś powiedzieć. Spojrzał mu w oczy. – Obiecuję, że ci powiem. Obiecuję. Ale… ale musisz mi dać trochę czasu. Nigdy jeszcze o tym nie mówiłem i muszę się zastanowić, jak wypowiedzieć pewne słowa.

– Okej – odrzekł Willem po namyśle. – To może… – Zrobił krótką pauzę. – To może zaczęlibyśmy wspólnie nad tym pracować? Zadam ci łatwiejsze pytanie, ty mi na nie odpowiedz i przekonasz się, że rozmawianie o tym nie jest takie straszne? A jeśli okaże się straszne, o tym też porozmawiamy.

Jude nabrał powietrza i wypuścił. To jest Willem – przypomniał sam sobie. On nigdy cię nie skrzywdzi, przenigdy. Już czas. Już czas.

– Okej – powiedział w końcu. – Okej. Pytaj.

Zobaczył, że Willem opiera się na krześle i wbija w niego wzrok, starając się wybrać jedno z setek pytań, które jeden przyjaciel powinien móc zadać drugiemu, ale nigdy nie mógł. Łzy napłynęły Jude'owi do oczu na myśl, jak sam wynaturzył tę ich przyjaźń, jak długo Willem pozostaje z nim, rok po roku, mimo że on ucieka, mimo że prosi go o pomoc w problemach, których źródeł nie chce ujawnić. W nowym życiu, obiecał sobie, będzie mniej wymagający wobec przyjaciół, będzie dla nich

bardziej hojny. Będzie im dawał wszystko, czego zechcą. Jeżeli Willem zechce informacji, otrzyma ją, i Jude sam wymyśli, jak mu ją podać. Będzie raniony raz po raz – wszystkim się to zdarza – ale skoro zamierza spróbować, skoro zamierza żyć, musi być twardszy, musi się przygotować, musi zaakceptować to jako część samego życia.

– Okej, mam jedno – powiedział Willem, siadając prościej i szykując się do zadania pytania. – Skąd masz tę bliznę na wierzchu dłoni?

Jude zamrugał ze zdziwienia. Nie wiedział oczywiście, jakie będzie pytanie Willema, ale teraz, gdy padło, odczuł ulgę. O bliźnie myślał rzadko, a kiedy teraz na nią spojrzał, na jej taftowy połysk, kiedy przesunął po niej czubkami palców, przypomniał sobie, do ilu problemów doprowadziła go ta blizna, a potem do brata Luke'a, do domu dziecka, do Filadelfii, do tego wszystkiego.

Lecz czy jest w życiu coś, co nie łączy się z jakąś większą, smutniejszą historią? Willem pytał tylko o tę jedną sprawę, nie ma więc potrzeby wywlekać wszystkiego, co się za nią kryje, wielkiego, paskudnego wężowiska trudności.

Namyślał się nad początkiem, zanim otworzył usta. Wreszcie poczuł, że jest gotowy.

– Zawsze byłem zachłannym dzieckiem – rozpoczął, a po drugiej stronie stołu Willem podparł się na łokciach; po raz pierwszy od czasu trwania ich przyjaźni to on był słuchaczem, to jemu opowiadano historię.

Miał dziesięć lat, jedenaście. Odrosły mu włosy, teraz były nawet dłuższe niż w klasztorze. Urósł, więc brat Luke zabrał go do sklepu z odzieżą na wagę.

– Zwolnij! – śmiał się brat Luke, przyciskając czubek jego głowy, jakby go chciał wtłoczyć z powrotem w niższy wzrost. – Rośniesz za szybko jak na mój gust!

Przesypiał teraz cały wolny czas. Na lekcjach był przytomny, ale gdy przychodziło późne popołudnie, czuł, że ogarnia go senność, i zaczynał ziewać, a oczy same mu się zamykały. Z początku brat Luke i z tego żartował – „Mój śpioszek", mówił, „Mój marzyciel" – ale którejś nocy usiadł przy nim po wyjściu klienta. Przez miesiące, przez lata Jude mocował się z klientami, bardziej z odruchu niż z przekonania, że zdoła ich powstrzymać, ale ostatnio po prostu leżał nieruchomo, czekając, aż to, co się dzieje, przestanie się dziać.

– Wiem, że jesteś zmęczony – powiedział brat Luke. – To normalne: rośniesz. Rośnięcie to męcząca praca. I wiem, że ciężko pracujesz. Ale Jude, kiedy jesteś z klientami, musisz okazać trochę życia; oni płacą za bycie z tobą, musisz im pokazać, że to lubisz.

Ponieważ Jude nic nie odpowiedział, brat Luke dodał:

– Oczywiście wiem, że to nie jest dla ciebie miłe, nie tak jak ze mną, ale musisz okazać przynajmniej trochę energii, dobrze? – Nachylił się i założył mu kosmyk za ucho. – Dobrze?

Kiwnął głową.

Mniej więcej wtedy zaczął się rzucać na ściany. W motelu, w którym mieszkali – to było w stanie Waszyngton – było górne piętro, gdzie kiedyś poszedł, żeby napełnić kubełek lodem. Dzień był mokry, było ślisko i kiedy wracał, potknął się i spadł ze schodów, obijając się o stopnie. Brat Luke usłyszał hałas i wybiegł. Jude nic sobie nie złamał, ale był podrapany i krwawił, więc brat Luke odwołał wieczornych klientów. Tej nocy obchodził się z nim ostrożnie, przyniósł mu herbaty, on jednak czuł się żywszy niż kiedykolwiek w ostatnich tygodniach. Upadek, świeżość bólu okazały się ożywcze. To był porządny ból, czysty ból, ból bez wstydu i obrzydzenia, a takiego poczucia Jude nie doznał od lat. W następnym tygodniu Jude znowu wybrał się po lód, ale tym razem w drodze powrotnej do pokoju zatrzymał się w małym trójkątnym zaułku pod schodami i zanim uprzytomnił sobie, co właściwie zamierza, już rzucał się na ceglaną ścianę, a robiąc to, wyobrażał sobie, że otrząsa z siebie wszystkie drobiny brudu, wszelki ślad płynów, wszelką pamięć minionych kilku lat. Resetował się; przywracał się do postaci czystej; karał się za to, co robił. Po tym eksperymencie poczuł się lepiej i był pełen energii, jakby przebiegł strasznie długi wyścig; na koniec zwymiotował i wtedy gotów był wrócić do pokoju.

Po jakimś czasie brat Luke zorientował się, co Jude robi, i odbyli kolejną rozmowę.

– Rozumiem, że się frustrujesz – mówił brat Luke – ale Jude, to, co robisz, nie jest dla ciebie dobre. Martwię się o ciebie. A klienci nie lubią cię oglądać całego w siniakach.

Zamilkli. Miesiąc wcześniej Jude po bardzo złym wieczorze – odwiedziła go grupa mężczyzn i po ich wyjściu płakał, szlochał, wył, bliski ataku histerii jak nigdy od lat, a brat Luke siedział obok i masował mu obolały brzuch, trzymając poduszkę na jego twarzy, aby stłumić odgłosy – zaczął błagać brata Luke'a, żeby pozwolił mu przestać. A brat Luke się rozpłakał i powiedział, że sam niczego więcej nie pragnie, że chciałby, żeby byli tylko we dwóch, ale już dawno wydał wszystkie pieniądze na utrzymanie Jude'a.

– Nie żałuję ich ani trochę, Jude – powiedział – ale jesteśmy bez grosza. Ty jesteś wszystkim, co mam. Przepraszam cię. Ale teraz naprawdę oszczędzam; w końcu będziesz mógł przestać, obiecuję ci.

– Kiedy? – załkał on.

– Niedługo. Wkrótce. Za rok. Obiecuję.

Więc Jude kiwnął głową, chociaż już dawno się przekonał, że obietnice brata Luke'a są bez znaczenia. Ale wtedy brat Luke powiedział, że nauczy go pewnej tajemnej metody, czegoś, co mu

pomoże pozbyć się frustracji. Następnego dnia nauczył go się ciąć i podarował mu gotową torebkę z żyletkami, chusteczkami nasączonymi spirytusem, wacikami i bandażami.

– Musisz poeksperymentować, żeby się przekonać, gdzie działa najlepiej – powiedział brat Luke, a potem mu pokazał, jak należy oczyścić i zabandażować ranę po zakończeniu cięcia. – Jest twoja. – Wręczył mu torebkę. – Jak ci się skończą zapasy, powiedz, to przyniosę ci nowe.

Z początku brakowało mu teatralności, siły i wagi upadków oraz zderzeń ze ścianą, ale wkrótce nauczył się doceniać sekretność i kontrolę, jaką sprawował nad cięciem. Brat Luke miał rację: cięcie się było lepsze. Kiedy się ciął, czuł, jakby wypuszczał z siebie truciznę, brud i wezbraną w środku złość. Czuł, jakby ożyło jego dawne marzenie o pijawkach, bo efekt był ten sam, na coś takiego zawsze czekał. Żałował, że nie jest zrobiony z metalu, z plastiku – z czegoś, co można spłukać szlauchem i wyszorować do czysta. Miał wizję siebie napompowanego wodą z detergentem i ługiem, która następnie zostaje zeń wylana i pozostawia higieniczną czystość. Odtąd po wyjściu ostatniego klienta zajmował miejsce brata Luke'a w łazience i siedział tam, póki brat nie zawołał, że pora do łóżka. Jego ciało należało do niego i mógł z nim zrobić, co zechciał.

Był całkowicie zależny od brata Luke'a: od niego miał jedzenie, ochronę, a teraz żyletki. Kiedy potrzebował wizyty u lekarza, bo był chory – łapał infekcje od klientów, chociaż brat Luke starał się go zabezpieczyć, a czasami nie oczyścił dokładnie ran po cięciach i one też się infekowały – brat Luke go zawoził i kupował potrzebne antybiotyki. Przyzwyczaił się do ciała brata Luke'a, do jego ust, do rąk; nie lubił ich, ale nie wzdrygał się już, gdy brat Luke go całował, i posłusznie odwzajemniał jego uścisk. Wiedział, że nie ma nikogo na świecie, kto by go traktował tak dobrze jak brat Luke: nawet kiedy zrobił coś złego, brat nigdy na niego nie krzyczał, i chociaż minęło tyle lat, nigdy go nie uderzył. Kiedyś myślał sobie, że może trafi się klient lepszy od brata Luke'a, który zechce go ze sobą zabrać, ale teraz już wiedział, że to się nie zdarzy. Któregoś razu zaczął się rozbierać, zanim klient był gotowy, i mężczyzna uderzył go w twarz, warcząc: „Jezu, nie spiesz się tak, ty mała dziwko. Ile razy to już robiłeś, co?". Wtedy brat Luke, jak zwykle kiedy klient uderzył Jude'a, wyszedł z łazienki i skrzyczał mężczyznę, i kazał mu obiecać, że będzie się zachowywał przyzwoicie, jeżeli chce zostać. Klienci go wyzywali: był dla nich dupą, męską dziwką, brudasem, parszywcem, nimfomanem (to słowo musiał sprawdzić w słowniku), niewolnikiem, śmieciem, pomiotem, śmierdzielem, gównem, niczym. Brat Luke nigdy tak na niego nie mówił. Dla brata Luke'a on był doskonały, był inteligentny, był dobry w tym, co robi, i w tym, co robił, nie było nic złego.

Brat Luke nadal opowiadał o ich wspólnym mieszkaniu, z tym że teraz była mowa o domku nad morzem, gdzieś w środkowej Kalifornii; opisywał kamieniste plaże, głośne ptactwo, wodę w kolorze sztormu. Żyliby sobie razem, we dwóch, jak małżeństwo. Nie byli już ojcem i synem; teraz byli sobie

równi. Kiedy Jude skończy szesnaście lat, wezmą ślub. Na miesiąc miodowy wyjadą do Francji i do Niemiec, i do Włoch i do Hiszpanii, gdzie brat Luke mieszkał przez dwa lata: raz jako student, a drugi raz przez rok po dyplomie w college'u. Kupią dla Jude'a pianino, żeby mógł grać i śpiewać.

– Nikt inny by cię nie chciał, gdyby usłyszał, ilu miałeś klientów – mówił brat Luke. – To głupie. Ja cię zawsze będę chciał, choćbyś był z dziesięcioma tysiącami klientów.

Brat Luke obiecywał mu, że po szesnastych urodzinach Jude przejdzie na emeryturę, a on, słysząc to, płakał cicho, bo pamiętał, jak liczył dni do dwunastych urodzin, po których brat Luke obiecywał mu koniec.

Czasami brat Luke przepraszał go za to, co musi robić: gdy klient był brutalny, gdy Jude'a bolało, kiedy krwawił albo został posiniaczony. Ale czasem brat Luke reagował tak, jakby się dobrze bawił: „No, to było dobre – powiedział po wyjściu jednego z klientów. – Widziałem, że ten ci się podobał, dobrze mówię? Nie zaprzeczaj, Jude! Słyszałem, że jest ci miło. No i dobrze. Dobrze jest cieszyć się swoją pracą".

Skończył dwanaście lat. Byli w Oregonie i zmierzali do Kalifornii, tak mówił brat Luke. Jude znowu urósł. Brat Luke przewidywał, że osiągnie metr osiemdziesiąt, metr osiemdziesiąt pięć. Nadal był niższy od brata Luke'a, ale niedużo. Zmieniał mu się głos. Nie był już dzieckiem, więc coraz trudniej było pozyskiwać klientów. Teraz miał mniej klientów indywidualnych, a więcej grup. Nie cierpiał grup, ale brat Luke go zapewniał, że inaczej się nie da. Wyglądał poważnie na swój wiek: klienci myśleli, że ma trzynaście, czternaście lat, a w jego wieku, mówił brat Luke, każdy rok się liczy.

Była jesień; dwudziesty września. Przyjechali do Montany, bo brat Luke zapragnął oglądać tam nocne niebo z gwiazdami jasnymi jak lampy elektryczne. Dzień nie zapowiadał niczego nadzwyczajnego. Dwa dni wcześniej Jude miał dużą grupę klientów i zniósł to tak źle, że brat Luke nie tylko odwołał wszystkich klientów na ten dzień, ale też pozwolił mu dwie noce przespać samotnie; miał całe łóżko dla siebie. Jednak tego wieczoru życie wróciło do normy. Brat Luke położył się razem z nim i zaczął go całować. I nagle, gdy byli w trakcie aktu seksualnego, rozległo się walenie w ich drzwi, tak głośne, natarczywe i gwałtowne, że Jude o mało nie ugryzł brata Luke'a w język.

– Policja! – usłyszał. – Otwierać! Otwierać natychmiast!

Brat Luke zatkał mu dłonią usta.

– Ani słowa – syknął.

– Policja! – krzyknął ten sam głos. – Edgarze Wilmocie! Mamy nakaz aresztowania! Otwieraj natychmiast!

Jude poczuł się zdezorientowany. Kim był Edgar Wilmot? Którymś z klientów? Już chciał powiedzieć, że policja się pomyliła, ale gdy ujrzał minę brata Luke'a, zrozumiał, że to jego poszukują.

Brat Luke wysunął się spod niego i dał mu znak, by pozostał w łóżku.

– Nie ruszaj się – szepnął. – Zaraz wracam.

A potem wbiegł do łazienki i Jude usłyszał kliknięcie zamka.

– Nie – wyszeptał dziko. – Niech mnie brat nie zostawia, nie chcę zostać sam.

Ale brat Luke już go zostawił.

A potem wszystko potoczyło się bardzo powoli i bardzo szybko zarazem. Jude się nie ruszył, zanadto był wystraszony, ale po chwili zatrzeszczało łamane drewno i pokój wypełnili mężczyźni z wysoko uniesionymi latarkami, co uniemożliwiało zobaczenie ich twarzy. Jeden z nich podszedł do Jude'a i coś do niego powiedział – Jude nie usłyszał z powodu hałasu i własnej paniki – a potem podciągnął na nim spodnie i pomógł mu wstać.

– Teraz jesteś bezpieczny – powiedział ktoś.

Jude usłyszał przekleństwo któregoś z mężczyzn i krzyk z łazienki:

– Wezwijcie karetkę!

Jude wyrwał się temu, który go trzymał, znurkował pod ramieniem innego i w trzech susach dopadł łazienki, gdzie zobaczył brata Luke'a wiszącego na przewodzie elektrycznym z haka pośrodku sufitu: usta miał otwarte, oczy zamknięte, a twarz tak szarą jak broda. Wtedy Jude zaczął krzyczeć; krzyczał i krzyczał, a oni wyciągnęli go z łazienki, ale wtedy też nie przestał wykrzykiwać imienia brata Luke'a.

Niewiele pamięta z tego, co było potem. Bez końca go przesłuchiwano, zawieźli go do szpitala, gdzie lekarz zbadał go i zapytał, ile razy był gwałcony, ale on nie był w stanie odpowiedzieć, *czy* był gwałcony. Przecież się na to zgadzał, na wszystko; to była jego decyzja, sam ją podjął.

– Ile razy odbyłeś seks? – spytał go więc doktor, na co on odpowiedział:

– Z bratem Lukiem czy z innymi?

A doktor spytał:

– Z jakimi innymi?

Gdy skończył opowiadać, lekarz odwrócił się, ukrył twarz w rękach, a potem znów spojrzał na Jude'a i zdawało się, że chciał coś powiedzieć, ale nie wydobył głosu. Wtedy Jude upewnił się, że to, co robił, było złe, i zalał go taki wstyd, poczuł się taki brudny, że chciał umrzeć.

Zabrali go do domu dziecka. Przywieźli mu jego rzeczy: książki, lalkę Nawaho, kamienie, patyczki i żołędzie, i Biblię z zasuszonymi kwiatkami, którą wziął jeszcze z klasztoru, a także ubrania, z których inni chłopcy się wyśmiewali. W domu dziecka wszyscy opiekunowie wiedzieli, kim on jest, wiedzieli, co robił, wiedzieli, że jest przegrany, nie był zatem zdziwiony, gdy niektórzy opiekunowie zaczęli robić z nim to, co inni ludzie robili z nim od lat. Niektórzy chłopcy też skądś wiedzieli.

Przezywali go tymi samymi epitetami, którymi go częstowali klienci. Odrzucili go. Kiedy się zbliżał do jakiejś grupy, zrywali się i uciekali.

Nie przywieźli mu torebki z żyletkami, więc nauczył się improwizować: wyciągnął ze śmieci pokrywkę od puszki, wysterylizował ją nad płomieniem gazowym w kuchni, kiedy miał tam dyżur, i posługiwał się tą pokrywką, którą trzymał pod materacem. Co tydzień wykradał nową.

O bracie Luke'u myślał codziennie. W szkole przeskoczył cztery klasy; pozwolili mu uczestniczyć w lekcjach matematyki, fortepianu, literatury angielskiej, francuskiego i niemieckiego w stanowym college'u. Nauczyciele pytali, kto go tego wszystkiego nauczył, a on odpowiadał, że ojciec. „Dobrze się spisał – podsumowała nauczycielka od angielskiego. – Musiał być świetnym nauczycielem", ale ponieważ Jude nie był w stanie odpowiedzieć, nauczycielka przeszła do następnego ucznia. Nocą, gdy odwiedzali go opiekunowie, udawał przed sobą, że brat Luke stoi tuż za ścianą, gotów skoczyć jak lew, gdyby działo mu się coś złego. Wyobrażał sobie, że to, co przydarzało mu się teraz, było w oczach brata Luke'a do zniesienia.

Gdy nauczył się ufać Anie, opowiedział jej parę rzeczy o bracie Luke'u. Ale wszystkiego powiedzieć nie chciał. Wszystkiego nie powiedział nikomu. Był głupi, że uciekł z bratem Lukiem, teraz to wiedział. Brat Luke go oszukał, robił z nim straszne rzeczy. Ale mimo wszystko, wbrew wszystkiemu, Jude chciał wierzyć, że brat Luke naprawdę go kochał, że ta część ich życia była prawdziwa – nie perwersyjna, nie wydumana, tylko prawdziwa. Czuł, że nie zniesie, jeśli Ana mu powie o bracie Luke'u to, co mówiła o innych: „On był potworem, Jude. Mówią, że cię kochają, ale mówią to tylko po to, żeby tobą manipulować, rozumiesz? Tak właśnie zachowują się pedofile; tak żerują na dzieciach". Nawet jako dorosły nie wiedział, co tak naprawdę myśli o bracie Luke'u. Owszem, był zły. Ale czy gorszy niż inni bracia? Czy Jude naprawdę podjął złą decyzję? Czy naprawdę byłoby lepiej, gdyby został w klasztorze? Czy tam zostałby mniej, czy bardziej okaleczony? Ślad brata Luke'a znajdował we wszystkim, co robił, i we wszystkim, czym był: w miłości do książek, muzyki, matematyki, ogrodnictwa, języków – to wszystko był brat Luke. Cięcie się, nienawiść, wstyd, lęki, choroby, niezdolność do normalnego życia seksualnego, do bycia normalnym człowiekiem – to także był brat Luke. Brat Luke nauczył go znajdować w życiu przyjemność i zarazem pozbawił go wszelkiej przyjemności.

Jude uważał, żeby nigdy nie wypowiadać głośno jego imienia, ale czasami powtarzał je w myśli i bez względu na to, ile miał lat i ile lat upłynęło, jawiła mu się przed oczami twarz brata Luke'a, uśmiechnięta, obecna w każdej chwili. Myślał o nim, kiedy się w sobie zakochiwali, kiedy był uwodzony i kiedy był jeszcze zbyt naiwnym, zbyt samotnym i spragnionym uczucia dzieckiem, żeby się na tym poznać. Biegł do cieplarni, otwierał drzwi, a ciepło i woń kwiatów owijały go niczym

peleryna. Wtedy po raz ostatni był tak po prostu szczęśliwy, po raz ostatni doświadczał tak nieskomplikowanej radości.

– No, jest mój śliczny chłopczyk! – wykrzykiwał brat Luke. – Och, Jude! Jak ja się cieszę, że cię widzę.

V

Szczęśliwe lata

1

Był taki dzień, mniej więcej miesiąc po jego trzydziestych ósmych urodzinach, kiedy Willem uzmysłowił sobie, że jest sławny. Z początku poruszyło go to mniej, niż się spodziewał, jako że w pewnym sensie zawsze uważał siebie za sławnego – siebie i JB. Zdarzało mu się być w centrum z Jude'em albo z kimś innym i gdy ktoś podchodził, aby się przywitać z jego towarzyszem, ten go przedstawiał:

– Aaron, to jest Willem, znasz go?

Aaron zaś odpowiadał:

– Oczywiście. Willem Ragnarsson. Wszyscy znają Willema.

Popularność ta nie wynikała jednak z jego ról, tylko na przykład z tego, że siostra byłego współlokatora Aarona miała brata, którego kolega był dramatopisarzem, albo z tego, że Aaron, który był artystą, uczestniczył kiedyś w grupowej wystawie z JB i Azjatyckim Henrym Youngiem i poznał Willema na wernisażu. Nowy Jork, przy całej swojej dorosłości, był po prostu przedłużeniem college'u, gdzie wszyscy znali Willema i JB, oraz całej infrastruktury, która zdawała się żywcem przeniesiona z Bostonu w obręb kilku ulic na dolnym Manhattanie i obrzeży Brooklynu. Oni czterej rozmawiali z tymi samymi ludźmi (jeśli nie dosłownie z tymi samymi ludźmi, to przynajmniej z tym samym typem ludzi) co w college'u, a w środowisku artystów, aktorów i muzyków Willema wszyscy znali od zawsze.

Z nich czterech tylko Jude i w jakimś stopniu Malcolm doświadczyli życia w innym świecie, świecie prawdziwym, świecie zaludnionym ludźmi wykonującymi prace niezbędne do życia: ustalającymi prawa, uczącymi, leczącymi, rozwiązującymi problemy, obracającymi pieniędzmi, sprzedającymi i kupującymi rzeczy (większą niespodzianką, myślał zawsze, było nie to, że on znał Aarona, ale że Jude go znał). Tuż przed ukończeniem trzydziestu siedmiu lat Willem przyjął małą rolę w skromnym filmie *Sykomorowy dwór*, w którym grał małomiasteczkowego adwokata z Południa, który ostatecznie przestaje być anonimowy. Przyjął tę rolę, żeby móc pracować z aktorem, którego podziwiał (w filmie ten aktor grał jego ojca, mrukliwego zrzędę, który nie aprobuje syna i zatruwa się własnym rozczarowaniem). Przygotowując się do tej roli, Willem wypytywał Jude'a, co dokładnie robi prawnik przez cały dzień, a kiedy słuchał odpowiedzi, zrobiło mu się Jude'a trochę żal, gdyż uważał go za geniusza, geniusza niepojętego, tymczasem ów geniusz wiódł życie zawodowe tak druzgocąco nudne, że intelektualnie można by je przyrównać do życia sprzątaczki: czyszczenie, sortowanie, pranie

i odkurzanie, tylko po to, żeby się przenieść do następnego domu i zacząć wszystko od nowa. Oczywiście nie powiedział tego głośno. Którejś niedzieli wpadł do Jude'a do Rosena, Pritcharda i przejrzał jego teczki i papiery, powałęsał się też po biurze, kiedy Jude pisał.

– No i co sądzisz? – zapytał Jude, opierając się na krześle i szczerząc do niego, on zaś odpowiedział uśmiechem i odparł:

– Dosyć imponujące.

Bo naprawdę było to na swój sposób ciekawe.

Jude się roześmiał.

– Wiem, co sobie myślisz, Willem – powiedział. – Nie przejmuj się. Harold też tak uważa. Takie marnotrawstwo – zacytował głosem Harolda. – Takie marnotrawstwo, Jude.

– Nie to sobie pomyślałem – zaprotestował Willem, chociaż w istocie tak właśnie myślał.

Jude zawsze ubolewał nad swoim brakiem wyobraźni i niezłomnym zmysłem praktycznym, ale Willem nie tak go postrzegał. Rzeczywiście zakrawało to na marnotrawstwo: nie praca Jude'a w korporacji, tylko to, że w ogóle jest prawnikiem, kiedy w istocie – myślał Willem – taki umysł powinien się zajmować czymś innym. Nie wiedział czym, ale na pewno nie prawem. Zdawał sobie sprawę z tego, że to śmieszne, ale nigdy nie wierzył, że studia prawnicze uczynią Jude'a prawnikiem; zawsze sobie wyobrażał, że Jude je kiedyś rzuci i zajmie się czymś innym, na przykład zostanie profesorem matematyki albo nauczycielem śpiewu, albo (chociaż już wówczas wyczuwał ironię tego pomysłu) psychologiem, ponieważ tak znakomicie umiał słuchać i pocieszać przyjaciół. Nie miał pojęcia, dlaczego wciąż utrzymuje taką o nim opinię, nawet kiedy stało się jasne, że Jude kocha swój zawód i jest w nim doskonały.

Sykomorowy dwór okazał się niespodziewanym przebojem i Willem zyskał najlepsze jak dotąd recenzje oraz nominacje do nagród, a wejście tego filmu na ekrany równocześnie z drugim, nakręconym dwa lata wcześniej, którego premiera się opóźniła, stworzyło sytuację, którą nawet sam Willem musiał uznać za przełomową dla swojej kariery. Zawsze wybierał role rozważnie (uważał, że jeżeli wyróżnia się czymkolwiek, to właśnie tym: gustem w doborze ról), ale aż do tego roku nigdy nie czuł się tak pewnie, żeby móc rozprawiać o filmach, w których zagra po pięćdziesiątce lub po sześćdziesiątce. Jude stale mu powtarzał, że jest przesadnie niepewny co do swojej kariery, że jest o wiele lepszy, niż sądzi, ale on nigdy się tak nie czuł. Wiedział, że koledzy i krytycy go szanują, ale jakąś częścią siebie zawsze się obawiał, że to się skończy nagle i bez ostrzeżenia. Był człowiekiem praktycznym, przynajmniej w odniesieniu do kariery, więc po każdej zafiksowanej roli oznajmiał swoim przyjaciołom, że następnej już nie dostanie, że ta na pewno będzie ostatnia, a robił to częściowo dla odczarowania własnych obaw – gdyby przyjął możliwość korzystnego dla siebie rozwoju

wypadków, jego prawdopodobieństwo znacznie by się obniżyło – a częściowo dla wyrażenia ich, ponieważ były autentyczne.

Dopiero później, gdy zostawali sami z Jude'em, zwierzał się ze swojego niepokoju.

– A jeżeli już nigdy nie dostanę pracy? – pytał.

– To się nie zdarzy.

– Ale gdyby?

– No cóż – odpowiadał z powagą Jude. – W wysoce nieprawdopodobnym wypadku, gdybyś miał nigdy więcej nie zagrać, znajdziesz sobie jakieś inne zajęcie. A na czas wymyślania, co to ma być, przeniesiesz się do mnie.

Willem wiedział oczywiście, że będzie znowu pracował: musiał w to wierzyć. Jak każdy aktor. Aktorstwo było swego rodzaju oszustwem – jeśli przestawałeś wierzyć w swój sukces, inni też przestawali. Lecz mimo to Willem lubił, gdy Jude go w tym upewniał; lubił też myśleć, że ma dokąd pójść, gdyby się naprawdę skończyło. Co pewien czas, kiedy ogarniał go szczególny, nietypowy dla niego nastrój litowania się nad sobą, zastanawiał się, co mógłby robić, gdyby nie mógł grać. Wymyślił, że mógłby pracować z niepełnosprawnymi dziećmi. W tym byłby dobry, lubiłby tę pracę. Wyobrażał sobie, jak wraca do domu ze szkoły podstawowej, dajmy na to, na Lower East Side, kierując się na zachód od SoHo, ku Greene Street. Swojego mieszkania już by oczywiście nie miał; sprzedałby je, żeby opłacić magisterskie studia pedagogiczne (w tych marzeniach wszystkie zarobione miliony ulatniały się jak kamfora), więc mieszkałby u Jude'a, jak gdyby nie było ostatnich dwudziestu lat.

Ale po *Sykomorowym dworze* te łzawe fantazje stały się rzadsze i drugą połowę trzydziestego siódmego roku życia spędził Willem w nastroju większej niż dotychczas pewności siebie. Coś się zmieniło, coś okrzepło, jego nazwisko zostało gdzieś wyryte w kamieniu. Zawsze będzie miał pracę; jeżeli chce, może nawet wziąć urlop.

Był wrzesień, wracał ze zdjęć, czekało go europejskie tournée promocyjne. Miał jeden dzień w mieście, tylko jeden, a Jude obiecał, że zabierze go tam, gdzie Willem zechce. Zobaczą się, zjedzą razem lunch, a potem on wsiądzie do samochodu i pojedzie na lotnisko, żeby złapać lot do Londynu. Tak dawno nie był w Nowym Jorku. Właściwie miał ochotę pójść do jakiejś taniej, przytulnej knajpki w centrum, na przykład do tej wietnamskiej, do której chodzili na kluski, gdy mieli po dwadzieścia parę lat, ale zamiast niej wybrał francuską restaurację słynną z owoców morza, zlokalizowaną w śródmieściu, żeby Jude nie musiał daleko jechać.

W restauracji roiło się od biznesmenów, ludzi zaznaczających swoją pozycję krojem garniturów i markami zegarków: trzeba było być samemu bogatym i wpływowym, żeby zrozumieć treść tych niemych komunikatów. Kelnerka zaprowadziła Willema do stolika, przy którym już czekał Jude,

i Willem uściskał go na powitanie, chociaż wiedział, że Jude tego nie lubi. Ostatnio postanowił to robić i już. Stali, obejmując się, otoczeni przez mężczyzn w szarych garniturach, aż wreszcie Willem uwolnił Jude'a z objęć i usiedli.

– Czy narobiłem ci dość wstydu? – spytał Willem, a Jude się uśmiechnął i pokręcił głową.

Tyle mieli do omówienia w tym krótkim czasie, że Jude spisał na odwrocie paragonu listę, na widok której Willem się roześmiał, a jednak później się jej trzymali. Między tematem piątym (ślub Malcolma: co powiedzieć w toastach?) a tematem szóstym (postęp robót w mieszkaniu na Greene Street, gdzie trwała wymiana rur) Willem wyszedł do toalety, a kiedy wracał do stolika, doznał nieprzyjemnego uczucia, że jest obserwowany. Przyzwyczaił się już oczywiście do oględzin i ocen, lecz w tym skupieniu uwagi na jego osobie była jakaś inna jakość, intensywność i cisza, więc po raz pierwszy od dawna poczuł się nieswojo, świadom, że ma na sobie dżinsy, a nie garnitur, co do tego lokalu zdecydowanie nie pasowało. Zorientował się, że tylko on nie jest tu w garniturze.

– Zdaje się, że jestem nieodpowiednio ubrany – szepnął do Jude'a, siadając z powrotem. – Wszyscy się na mnie gapią.

– Nie gapią się na ciebie z powodu stroju – odparł Jude. – Gapią się, bo jesteś sławny.

Willem pokręcił głową.

– Może dla ciebie i jeszcze kilkudziesięciu osób.

– Nie, Willem. Jesteś sławny. – Jude uśmiechnął się do niego. – Jak myślisz, dlaczego nie kazali ci włożyć marynarki? Tu nie wpuszcza się nikogo, kto nie nosi korporacyjnych ciuchów. I jak myślisz, dlaczego przynoszą nam te wszystkie przekąski? Nie z mojego powodu, zapewniam cię. – Teraz już się roześmiał. – Dlaczego w ogóle wybrałeś ten lokal? Myślałem, że zaproponujesz coś w mieście.

Willem jęknął głucho.

– Słyszałem, że dają tu dobre *crudo*. A w ogóle to o co ci chodzi? Czy tu obowiązuje *dress code*?

Jude znowu się uśmiechnął i już miał odpowiedzieć, gdy jeden z garniturowców podszedł do ich stolika i wyraźnie zaambarasowany przeprosił, że przeszkadza.

– Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo podobał mi się *Sykomorowy dwór* – powiedział. – Jestem pana wielkim fanem.

Willem podziękował, a mężczyzna, człowiek po pięćdziesiątce, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale spostrzegł Jude'a. Zamrugał, rozpoznawszy go, po czym gapił się na niego przez dłuższą chwilę, wyraźnie próbując go zaklasyfikować i przypomnieć sobie wszystko, co o nim wie. Otworzył usta, zamknął, jeszcze raz przeprosił i odszedł. Jude przez ten cały czas pogodnie się do niego uśmiechał.

– No, no – powiedział, gdy mężczyzna oddalił się pospiesznie. – To był szef komisji adwokackiej jednej z największych firm w mieście. Twój wielbiciel, jak się okazuje. – Uśmiechnął się szeroko do Willema. – Czy teraz dotarło do ciebie, że jesteś sławny?

– Jeżeli oznaką sławy jest bycie rozpoznawanym przez dwudziestoparoletnie absolwentki szkoły dramatycznej i podstarzałych prawników, to owszem – odpowiedział i obaj nie mogli opanować dziecinnego chichotu.

– Och ty! – Jude spojrzał na Willema z czułością. – Mógłbyś się znaleźć na wszystkich okładkach gazet, a i tak nie przyszłoby ci do głowy, że jesteś sławny.

Lecz Willem nie przebywał w realnym świecie, gdy wychodziły gazety z jego zdjęciami na okładkach; przebywał na planie. A na planie wszyscy zachowują się tak, jakby byli sławni.

– To co innego – powiedział do Jude'a. – Nie umiem tego wytłumaczyć.

Jednak później, jadąc samochodem na lotnisko, uświadomił sobie, na czym polega różnica. Tak, przywykł do tego, że na niego patrzą. Ale wiedział, że patrzą tylko pewnego rodzaju ludzie w pewnego rodzaju okolicznościach: osoby, które chciały się z nim przespać, osoby, które chciały z nim pogadać, mając na względzie swoją karierę, osoby, u których fakt, że on jest rozpoznawalny, budził niepohamowaną potrzebę pokazania się w jego orbicie. Nie przywykł natomiast do tego, że przyglądają mu się ludzie, którzy mają inne sprawy na głowie, większe i ważniejsze niż jakiś aktor z Nowego Jorku. W Nowym Jorku aktorzy byli wszędzie. Jedyną sytuacją, w której patrzyli na niego ludzie władzy, były premiery, kiedy przedstawiano go szefowi studia, a on podawał mu rękę i zamieniał z nim parę słów, jednocześnie dyskretnie taksując go wzrokiem, kalkulując, czy Willem się sprawdził, ile za niego zapłacili i ile będzie musiał zarobić film, żeby przyjrzeli mu się uważniej.

W miarę jak zdarzało się to coraz częściej (gdy wchodził do pokoju, do restauracji, do budynku i wyczuwał przez sekundę zbiorowe wstrzymanie oddechu), zaczął sobie uświadamiać z perwersyjną przyjemnością, że swoją „widzialność" może włączać i wyłączać. Jeżeli wchodził do restauracji z oczekiwaniem, że zostanie rozpoznany, to był rozpoznawany, lecz jeśli wchodził z postanowieniem, że nikt go nie rozpozna, rzadko bywał rozpoznany. Nigdy nie odgadł, co poza jego własną wolą uruchamiało ten mechanizm. Ale to działało; dzięki temu sześć lat po tamtym lunchu był w stanie spacerować w biały dzień po SoHo, gdy już wprowadził się do Jude'a.

Mieszkał na Greene Street od powrotu Jude'a ze szpitala po próbie samobójczej i w miarę upływu miesięcy stwierdzał, że przenosi do swojego dawnego pokoju coraz więcej swoich rzeczy – najpierw ubrania, potem laptop, potem kartony książek i ulubiony wełniany koc, którym chętnie się owijał, krzątając się rano w kuchni i parząc sobie kawę. Tak dalece żył na walizkach, że niewiele posiadał i niewiele potrzebował. Rok później mieszkał tam nadal. Któregoś ranka obudził się, zrobił sobie kawę

(kawiarkę też musiał przywieźć, bo Jude takowej nie miał) i meandrował sennie po mieszkaniu, zauważając po raz pierwszy, że jego książki jakimś sposobem wylądowały na regałach Jude'a, a jego obrazy wiszą na ścianach Jude'a. Kiedy to się stało? Nie pamiętał, ale miał poczucie, że tak powinno być – że powinien być z powrotem tutaj.

Nawet pan Irvine był tego zdania. Willem spotkał się z nim poprzedniej wiosny, z okazji urodzin Malcolma, i pan Irvine powiedział:

– Słyszałem, że wprowadziłeś się z powrotem do Jude'a.

Potwierdził, szykując się na wykład o wiecznej adolescencji; bądź co bądź miał czterdzieści cztery lata, a Jude prawie czterdzieści dwa. Usłyszał jednak:

– Dobry z ciebie przyjaciel, Willem. Cieszę się, że tak dbacie o siebie, chłopcy.

Pan Irvine był głęboko wstrząśnięty próbą samobójczą Jude'a; oczywiście, wszyscy byli wstrząśnięci, ale pan Irvine zawsze lubił Jude'a najbardziej, o czym oni wiedzieli.

– Dziękuję panu – powiedział zdziwiony Willem. – Ja też się cieszę.

W pierwszych niełatwych tygodniach po powrocie Jude'a ze szpitala Willem nabrał zwyczaju wchodzenia do jego pokoju o rozmaitych porach, po prostu, żeby się upewnić, że Jude tam jest i żyje. Wtedy jeszcze Jude mnóstwo spał, więc Willem przysiadał czasem na skraju jego łóżka, wpatrywał się w niego i czuł jakieś koszmarne zadziwienie, że Jude jeszcze z nimi jest. Myślał sobie, że gdyby Richard znalazł go dwadzieścia minut później, Jude byłby martwy.

Mniej więcej miesiąc po wypisaniu Jude'a ze szpitala Willem był w drogerii i zobaczył wiszący na haczyku nożyk do rozcinania kartonów, który wydał mu się instrumentem średniowiecznym i okrutnym, i omal się na ten widok nie rozpłakał. Andy powiedział mu, że lekarz pogotowia stwierdził, że jeszcze nigdy w swojej karierze nie widział, żeby ktoś pociął się tak głęboko i z takim zdecydowaniem. Willem zawsze wiedział, że Jude ma problemy, a jednak zdjęła go groza, gdy uświadomił sobie, jak mało go zna i z jak wielką determinacją Jude usiłował odebrać sobie życie.

Miał wrażenie, że przez ostatni rok poznał Jude'a lepiej niż przez poprzednie dwadzieścia sześć lat, a każda nowa rzecz, której się dowiadywał, była straszna. Opowieści przyjaciela były z gatunku tych, na które Willem nie miał odpowiedzi, bo takie odpowiedzi nie istniały. Opowieść o bliźnie na wierzchu dłoni – od której się zaczęło – była tak przerażająca, że Willem potem całą noc nie mógł spać i całkiem serio myślał, żeby zadzwonić do Harolda i podzielić się z nim tą grozą, żeby ktoś jeszcze ją poznał i zaniemówił.

Następnego dnia nie umiał się powstrzymać od popatrywania na rękę Jude'a, aż ten w końcu ściągnął na nią rękaw.

– Peszysz mnie – powiedział.

– Przepraszam – rzekł Willem.

Jude westchnął.

– Willem, przestanę ci cokolwiek opowiadać, jeżeli będziesz reagował w ten sposób – odezwał się po chwili. – Już jest w porządku, naprawdę. To było dawno. Nigdy o tym nie myślę. – Zrobił pauzę. – Nie chcę, żebyś patrzył na mnie inaczej dlatego, że ci mówię te rzeczy.

Willem wziął głęboki oddech.

– Tak – powiedział. – Masz rację. Masz rację.

Od tamtego czasu, kiedy słuchał historii Jude'a, bardzo się pilnował, żeby nic nie mówić, tylko wydawać małe, nieosądzające mruknięcia, tak jakby wszyscy jego przyjaciele byli chłostani do nieprzytomności pasem namoczonym w occie albo zmuszani do zjadania własnych wymiocin z podłogi, jakby to były naturalne rytuały dzieciństwa. Jednak pomimo wszystkich tych historii w dalszym ciągu nie wiedział nic: nadal nie wiedział, kim był brat Luke. Nadal znał tylko oderwane opowieści o klasztorze i o domu dziecka. Nadal nie wiedział, w jaki sposób Jude dostał się do Filadelfii ani co mu się tam przydarzyło. I nadal nic nie wiedział o incydencie. Jude zaczynał od historii najłatwiejszych i Willem domyślał się, że tamte opowieści, jeżeli w ogóle kiedykolwiek je usłyszy, będą skrajnie przerażające. Prawie nie chciał ich poznać.

Zwierzenia stanowiły część kompromisu, jaki zawarli, gdy Jude oświadczył bez ogródek, że nie wybiera się do doktora Loehmanna. Andy zaglądał do nich w prawie każdy piątkowy wieczór i kiedyś przyszedł tuż po powrocie Jude'a z pracy. W czasie gdy Andy badał Jude'a w sypialni, Willem przygotował dla wszystkich drinki, które potem sączyli usadowieni na sofie, w przyćmionym świetle, z widokiem na niebo podziobane śniegiem.

– Sam Loehmann mówi, że do niego nie dzwoniłeś – powiedział Andy. – Jude, to są kpiny. Musisz do niego zadzwonić. Umawialiśmy się.

– Andy, już ci mówiłem, że tam nie pójdę – odparł Jude.

Willem ucieszył się wtedy, że Jude'owi wrócił upór, chociaż się z nim nie zgadzał. Dwa miesiące wcześniej, kiedy byli w Maroku, podniósł oczy znad talerza przy obiedzie i zobaczył, że Jude gapi się w stojące przed nim naczynia z *mezze*, najwyraźniej niezdolny czegokolwiek sobie nałożyć.

– Jude? – zagadnął, a ten spojrzał na niego z przerażoną miną.

– Nie wiem, od czego zacząć – wyznał cicho, więc Willem ponakładał mu na talerz po łyżce wszystkiego i poradził zacząć od duszonego bakłażana na samej górze, a potem jeść resztę zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– *Coś* musisz zrobić – powiedział Andy. Willem widział, że Andy stara się zachować spokój, ale ma z tym kłopoty, i to również uznał za pomyślny znak: znak powrotu do normalności. – Willem też

jest tego zdania, prawda, Willem? Nie możesz tak żyć, Jude! Przeżyłeś w życiu wielką traumę! Musisz zacząć o tym z kimś rozmawiać!

– Dobrze – powiedział Jude, wyraźnie zmęczony. – Opowiem Willemowi.

– Willem nie jest profesjonalnym psychoterapeutą! – rozzłościł się Andy. – Jest aktorem!

Na te słowa Jude spojrzał na Willema i obaj zaczęli się śmiać, i to tak bardzo, że musieli odstawić drinki, więc Andy wstał i oświadczył, że obaj są niedojrzali, że nie wie, po co zawraca sobie nimi głowę, po czym wyszedł, chociaż Jude wołał za nim:

– Andy! Przepraszamy! Nie wychodź!

Ale śmiał się tak bardzo, że prawie nie mógł mówić. Pierwszy raz od miesięcy – pierwszy raz od czasów przed próbą samobójczą – Willem słyszał śmiech Jude'a.

Później, gdy się opanowali, Jude powiedział:

– Myślę, że mógłbym, no wiesz, Willem… zacząć ci trochę opowiadać. Ale czy nie masz nic przeciwko temu? Czy to cię nie obciąży?

Na co on odparł, że oczywiście nie i że bardzo chce wiedzieć. Zawsze chciał wiedzieć, ale tego nie powiedział, bo miał świadomość, że zabrzmiałoby to jak krytyka.

Choć Willem przekonywał się, że Jude wraca do siebie, to jednak nie mógł nie zauważyć, że się zmienił. Niektóre z tych zmian były według Willema pozytywne: na przykład mówienie, inne jednak go martwiły: chociaż ręce Jude'a nabrały siły, to trzęsły się od czasu do czasu i Willem wiedział, że przyjaciela to krępuje. No i jeszcze bardziej niż dawniej Jude unikał dotyku, zwłaszcza, jak zauważył Willem, ze strony Harolda. Miesiąc wcześniej, gdy Harold ich odwiedził, Jude wręcz wymknął mu się zwinnym ruchem z zasięgu ramion, żeby Harold go nie uściskał. Willemowi zrobiło się przykro, gdy ujrzał minę Harolda, więc podszedł i uściskał go sam.

– Wiesz, że on tego nie kontroluje – szepnął mu przy okazji, a Harold cmoknął go w policzek.

– Fajny gość z ciebie, Willem – powiedział.

Teraz był październik, trzynaście miesięcy po próbie samobójczej. Wieczory Willem spędzał w teatrze, a dwa miesiące po zakończeniu sezonu, w grudniu, miał rozpocząć zdjęcia do pierwszego filmu od powrotu ze Sri Lanki – adaptacji *Wujaszka Wani*, którą był bardzo przejęty. Zdjęcia miały się odbywać w dolinie rzeki Hudson, więc będzie mógł wracać wieczorami do domu.

Lokalizacja nie była przypadkowa.

– Trzymaj mnie w Nowym Jorku – poinstruował Willem swojego menedżera i agenta po wycofaniu się z projektu rosyjskiego minionej jesieni.

– Na jak długo? – spytał Kit, jego agent.

– Nie wiem – odrzekł. – Przynajmniej na rok.

– Willem – powiedział Kit po chwili milczenia. – Wiem, jak bardzo jesteście zżyci z Jude'em, ale czy nie sądzisz, że powinieneś skorzystać ze swojej obecnej pozycji? Mógłbyś teraz robić, co zechcesz. – Nawiązywał do *Iliady* i *Odysei*, które odniosły gigantyczny sukces, dowodząc, jak lubił podkreślać Kit, że Willem może teraz robić, co tylko zechce. – Z tego, co wiem o Judzie, powiedziałby ci to samo. – A gdy Willem się nie odezwał, dodał: – Przecież to nie twoja żona, dziecko czy kto tam jeszcze. To twój przyjaciel.

– Chciałeś powiedzieć „tylko twój przyjaciel" – rzekł cierpko Willem.

Kit to był Kit; rozumował jak agent i Willem ufał jego rozumowaniu; działał z nim razem od początku kariery i starał się mu nie sprzeciwiać. A Kit jak dotąd zawsze dobrze go prowadził. „Żadnej lipy", mawiał, chełpiąc się karierą Willema, kiedy przeglądał wykaz jego ról. Obaj wiedzieli, że Kit jest znacznie ambitniejszy od niego, jeśli chodzi o role – zawsze tak było. A jednak to Kit wsadził go do pierwszego samolotu ze Sri Lanki po telefonie Richarda, to Kit wymusił na producentach siedmiodniową przerwę, żeby Willem mógł polecieć do Nowego Jorku i wrócić.

– Nie chcę cię obrażać, Willem – rzekł ostrożnie Kit. – Wiem, że go kochasz. Ale daj spokój. Gdyby to była miłość twojego życia, zrozumiałbym. Tylko że to, co robisz, wydaje mi się przesadą. Żeby tak ograniczać własną karierę!

On jednak zastanawiał się nieraz, czy byłby w stanie pokochać kogokolwiek tak bardzo, jak kochał Jude'a. Chodziło oczywiście o samego Jude'a, ale także o komfort bycia z kimś, kto cię zna od tak dawna, z kimś, na kim możesz polegać, że zawsze przyjmie cię takim, jakim jesteś danego dnia. Praca Willema, samo jego życie, było serią kostiumów i szarad. Wszystko w nim i jego otoczeniu nieustannie się zmieniało: fryzury, figura, miejsca, w których spał. Często czuł się tak, jakby był ciekłą substancją stale przelewaną z jednej kolorowej butelki do innej kolorowej butelki, z każdorazową stratą w tym ciągłym procesie przelewania. Ale przyjaźń z Jude'em pozwalała mu znaleźć w sobie coś prawdziwego i solidnego, pozwalała uwierzyć, że pomimo życia w nieustannie zmienianych przebraniach ma w sobie coś elementarnego, coś, co Jude w nim dostrzega, nawet kiedy on sam tego nie widzi, jakby fakt, że Jude jest jego świadkiem, nadawał mu realny byt.

Miał na studiach profesora, który powiedział, że najlepsi aktorzy to najwięksi nudziarze. Silne poczucie siebie nie jest pożądane, gdyż aktor musi pozwolić zniknąć swemu ja; musi się dać zastąpić postaci. „Jeżeli chcesz być osobowością, zostań piosenkarzem" – mówił ten profesor.

Willem od razu pojął mądrość tego stwierdzenia i nadal ją cenił, ale przecież *ja* było tym, czego wszyscy pragną, ponieważ im więcej się gra, tym dalej dryfuje się od własnego obrazu siebie i tym trudniej odnaleźć drogę z powrotem. Czy to dziwne, że tak wielu jego kolegów było już wrakami? Robili pieniądze, budowali swoje życie, swoje tożsamości na wcielaniu się w innych – więc czy to

dziwne, że potrzebują jednych dekoracji po drugich, jednej sceny po drugiej, żeby nadać kształt swojemu życiu? Bez tego kimże byli? Dlatego czepiali się religii, panienek, rozmaitych celów, żeby mieć cokolwiek, co mogą nazwać swoim. Nie sypiali, nie ustawali, samotność ich przerażała, bo kazała zadać sobie pytanie, kim się jest. („Jeżeli aktor mówi, a nie ma nikogo, kto by go słuchał, to czy on nadal jest aktorem?", spytał go kiedyś jego kolega Roman. Sam się czasami nad tym zastanawiał).

Ale dla Jude'a nie był aktorem – był przyjacielem i ta tożsamość zastępowała wszystkie inne. Była to rola, którą zamieszkiwał od tak dawna, że stała się jego tożsamością. Dla Jude'a on tak samo nie był przede wszystkim aktorem, jak Jude dla niego nie był przede wszystkim prawnikiem. Kiedy wzajemnie się opisywali, nie stawiali zawodu na pierwszym, drugim ani trzecim miejscu. Jude pamiętał go z czasów, zanim Willem rozpoczął życie polegające na udawaniu innych ludzi, pamiętał go jako kogoś, kto ma brata, kogoś, kto ma rodziców, kogoś, komu wszystko i wszyscy wydają się imponujący i pociągający. Willem znał aktorów, którzy nie chcieli, żeby ktoś pamiętał ich takimi, jakimi kiedyś byli, gdy pragnęli zostać kimś innym, lecz sam się do nich nie zaliczał. On chciał, żeby mu ktoś przypominał, kim kiedyś był; chciał być blisko kogoś, dla kogo jego kariera nigdy nie będzie najbardziej interesującą jego cechą.

No i jeszcze kochał to, co otrzymał wraz z Jude'em: Harolda i Julię. Adopcja Jude'a sprawiła, że po raz pierwszy czegoś mu pozazdrościł. Zawsze podziwiał cechy, które posiadał Jude: inteligencję, głębię, elastyczność umysłu, ale nigdy mu nie zazdrościł. Lecz obserwując go z Haroldem i Julią, patrząc na niego tak, jak patrzyli oni, nawet gdy on nie patrzył na nich, odczuł pewien rodzaj pustki: nie miał rodziców, i choć na ogół wcale o tym nie myślał, to jednak poczuł, że jakkolwiek dalecy byli mu rodzice, stanowili jakąś kotwicę dla jego życia. Bez rodziny był skrawkiem papieru bujającym w powietrzu i targanym porywami wiatru. To zjednoczyło go z Jude'em.

Oczywiście wiedział, że ta zazdrość jest śmieszna i niestosowna: wychował się przy rodzicach, a Jude nie. Wiedział też, że Harold i Julia jego również darzą uczuciem, podobnie jak on ich. Oboje oglądali wszystkie jego filmy i każde z osobna przysyłało mu potem długą i wyczerpującą recenzję, w której chwalili zawsze jego grę i inteligentnie komentowali grę innych aktorów i reżyserię. (Jedynym filmem, którego nie widzieli, a w każdym razie którego nigdy nie skomentowali, był *Książę cynamonu*, film, który Willem kręcił wtedy, gdy Jude próbował się zabić. On sam też nigdy go nie obejrzał). Harold i Julia czytali wszystko, co o nim pisano – on unikał recenzji i tych artykułów – i kupowali każde czasopismo, które go sportretowało. W dniu urodzin dzwonili do niego z życzeniami i pytali, jak zamierza obchodzić swoje święto, a Harold mu przypominał, jaki jest stary. Na Boże Narodzenie zawsze mu coś przysyłali – książkę z jakimś zabawnym bibelotem albo sprytną zabawkę, którą nosił w kieszeni i uruchamiał, rozmawiając przez telefon albo siedząc na krześle

w charakteryzatorni. W Święto Dziękczynienia siadywali z Haroldem w salonie i oglądali mecz, podczas gdy Julia dotrzymywała towarzystwa Jude'owi w kuchni.

– Czipsy nam się kończą – zauważał Harold.

– Wiem – odpowiadał Willem.

– Może byś skoczył po więcej? – pytał Harold.

– Ty jesteś gospodarzem – przypominał mu Willem.

– A ty jesteś gościem.

– No właśnie.

– Zawołaj Jude'a i powiedz mu, żeby nam przyniósł.

– Ty go zawołaj!

– Nie, ty go zawołaj.

– Dobra – odpowiadał Willem. – Jude! Harold chce jeszcze czipsów!

– Co za konfabulator z ciebie, Willem – sarkał Harold, gdy Jude przychodził napełnić miskę. – Jude, to był od początku do końca pomysł Willema.

Wiedział jednak, że Harold i Julia kochają go przede wszystkim za to, że on kocha Jude'a, wiedział, że mu ufają jako opiekunowi Jude'a, bo właśnie tym dla nich był – opiekunem Jude'a. I nie miał nic przeciwko temu. Był z tego dumny.

Ostatnio jednak jego uczucie do Jude'a się zmieniło i Willem nie wiedział, co z tym zrobić. W któryś piątkowy wieczór siedzieli na kanapie późnym wieczorem – on właśnie wrócił z teatru, a Jude z biura – i gadali, gadali o wszystkim i o niczym, gdy nagle on omal się nie nachylił i nie pocałował Jude'a. Powstrzymał się i moment minął. Od tego czasu jednak taki impuls nachodził go kilkakrotnie: dwa razy, trzy razy, cztery razy.

Zaczynało go to niepokoić. Nie dlatego że Jude był mężczyzną, bo Willem uprawiał już seks z mężczyznami, jak wszyscy, których znał, a w college'u zrobili to raz z JB, z nudów i ciekawości (ku obustronnej uldze było to doświadczenie wysoce niesatysfakcjonujące: „To doprawdy ciekawe, jak ktoś tak przystojny może się okazać tak zniechęcający" – zapamiętał dokładnie słowa JB). Nie żeby nie czuł zawsze swoistego cichego pociągu do Jude'a, mniej więcej tak jak do wszystkich przyjaciół. Niepokoił się, bo wiedział, że jeśli czegoś spróbuje, to musi być tego absolutnie pewny, ponieważ wyczuwał, i to z wielką siłą, że Jude, który niczego nie traktował lekko, na pewno nie traktuje lekko seksu.

Życie erotyczne Jude'a i jego seksualność były przedmiotem nieustającej fascynacji dla wszystkich, którzy go znali, a już z pewnością dla dziewczyn Willema. Od czasu do czasu temat ten wypływał między trzema przyjaciółmi – Willemem, Malcolmem i JB – kiedy Jude'a nie było w pobliżu. Czy on

w ogóle uprawia seks? Czy kiedykolwiek uprawiał? Wszyscy zauważyli, że na przyjęciach Jude przyciąga spojrzenia, że niektórzy z nim flirtują, a jednak Jude niezmiennie pozostaje na to obojętny.

„Tamta dziewczyna miała na ciebie chętkę" – Willem nieraz mówił coś w tym stylu do Jude'a, gdy wracali do domu z jakiejś imprezy. „Która?", dziwił się Jude.

Gadali o tym we trzech, bo Jude niedwuznacznie dał im do zrozumienia, że nie ma zamiaru rozmawiać na ten temat. Ilekroć ta kwestia wypływała, Jude patrzył na nich znacząco i zaczynał mówić o czymś innym ze stanowczością, której nie dało się źle zinterpretować.

– Czy on spędził kiedykolwiek noc poza domem? – spytał JB (gdy Willem mieszkał z Jude'em na Lispenard Street).

– Chłopaki – odpowiedział Willem (czuł się nieswojo w tej rozmowie) – wydaje mi się, że nie powinniśmy o tym gadać.

– Willem, nie bądź takim cykorem! – skarcił go JB. – Nie zdradzasz niczyjego zaufania. Po prostu nam powiedz: tak czy nie. No więc spędził kiedyś noc poza domem?

– Nie – odpowiedział Willem z westchnieniem.

Zapadło milczenie.

– Może on jest aseksualny – rzucił po chwili Malcolm.

– On nie, tylko ty, Mal.

– Odpierdol się, JB.

– Myślisz, że jest prawiczkiem? – indagował JB.

– Nie – odpowiedział Willem. Nie wiedział, skąd to wie, ale był pewien, że nie.

– Marnuje się chłopak – podsumował JB, a Willem z Malcolmem wymienili spojrzenia, wiedząc, co się święci. – Ta uroda się marnuje. Ja powinienem dostać jego wygląd. Przynajmniej bym się nieźle zabawił.

Po jakimś czasie nauczyli się to akceptować jako część osobowości Jude'a: dodali ten temat do listy rzeczy, o których się nie dyskutuje. Mijały lata, a Jude z nikim nie chodził, nigdy go z nikim nie widziano.

– A może on prowadzi jakieś gorące podwójne życie? – zasugerował kiedyś Richard, na co Willem wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Może.

A jednak, choć nie miał na to żadnych dowodów, był pewien, że tak nie jest. W ten sam bezdowodowy sposób zakładał, że Jude jest prawdopodobnie gejem (chociaż może nie?) i prawdopodobnie nigdy nie był w żadnym związku (tu Willem wolałby się mylić). I jakkolwiek Jude zarzekał się, że nie jest samotny, Willem wcale nie był pewny, czy jakąś małą, ciemną cząstką siebie

Jude nie chciałby być z kimś. Przypomniał mu się ślub Lionela z Sinclairem, na którym Malcolm był z Sophie, on z Robin, JB – z którym wtedy nie rozmawiali – z Oliverem, a Jude sam. I chociaż nie wyglądało na to, żeby Jude się tym martwił, Willem spoglądał na niego przez stół i było mu go żal. Nie chciał, żeby Jude zestarzał się samotnie; chciał, żeby był z kimś, kto by się nim opiekował i czuł do niego pociąg. JB miał rację: Jude się marnował.

Czy stąd się brał ten jego obecny pociąg? Z obawy i sympatii, które się przerodziły w coś przyjemniejszego? Czy on, Willem, wmawia sobie, że odczuwa pociąg do Jude'a, ponieważ nie może patrzeć na to, że Jude jest sam? Miał wątpliwości i nie wiedział, co o tym sądzić.

Dawniej przedyskutowałby to z JB, ale teraz nie mógł, chociaż znów byli przyjaciółmi, a w każdym razie pracowali nad odbudowaniem przyjaźni. Po powrocie z Maroka Jude zadzwonił do JB i poszedł z nim na kolację, a miesiąc później na kolację z JB wybrał się Willem. To dziwne, ale znacznie trudniej przyszło mu wybaczyć JB, niż to przyszło Jude'owi, toteż ich pierwsze spotkanie okazało się klapą (JB przesadnie ożywiony, on skrycie wściekły), dopóki nie wyszli z restauracji i nie zaczęli na siebie wrzeszczeć. Stali na wyludnionej Pell Street – padał lekki śnieżek i nikogo innego tam nie było – oskarżając się wzajemnie o pogardę i okrucieństwo, irracjonalność i egotyzm, zadufanie i narcyzm, martyrologię i bezideowość.

– Myślisz, że jest ktoś, kto nienawidzi siebie tak bardzo jak ja? – wrzeszczał JB. (Jego czwarta wystawa, dokumentująca okres dragów i Jacksona, nosiła tytuł *Narcystyczny przewodnik po samonienawiści* i JB nawiązał do niej kilkakrotnie przy obiedzie na dowód, że ukarał sam siebie surowo i publicznie i jest zreformowany).

– Owszem, JB, tak myślę! – odwrzasnął mu Willem. – Myślę, że Jude nienawidzi siebie znacznie bardziej, niż ty kiedykolwiek byłbyś w stanie, i powiem ci, że myślę, że dobrze o tym wiedziałeś i celowo sprawiłeś, żeby znienawidził się jeszcze bardziej!

– Myślisz, że ja tego nie wiem? – ryknął JB. – Myślisz, że, kurwa, nie znienawidziłem się za to?!

– Nie sądzę, żebyś nienawidził się dostatecznie za coś takiego, nie! – odpalił Willem. – Dlaczego to zrobiłeś, JB? Dlaczego to zrobiłeś właśnie jemu?

Na to ku jego zdumieniu JB osunął się na krawężnik, pokonany.

– Dlaczego mnie nigdy nie kochałeś tak, jak kochasz jego? – spytał.

– Och, JB – powiedział Willem z westchnieniem i przysiadł obok niego na zimnym chodniku. – Ty mnie nigdy nie potrzebowałeś tak jak on.

Wiedział, że to niejedyny powód, ale jednak jakieś wyjaśnienie. Nikt inny w jego życiu go nie potrzebował. Różne osoby go pragnęły – dla seksu, do swoich projektów, dla przyjaźni nawet – ale tylko Jude go potrzebował. Tylko Jude'owi był niezbędny.

– Wiesz, Willem – odezwał się JB po chwili milczenia – może on ciebie wcale nie potrzebuje tak bardzo, jak myślisz.

Zastanowił się nad tym.

– Nie – rzekł wreszcie. – Sądzę, że potrzebuje.

Teraz westchnął JB.

– Wiesz, chyba masz rację.

Po tej awanturze wszystko się, o dziwo, poprawiło. Ale mimo że Willem zaczynał znowu, ostrożnie, cieszyć się towarzystwem JB, to raczej nie był gotów omawiać z nim tego szczególnego tematu. Nie miał ochoty wysłuchiwać żarcików JB o tym, jak to przeleciał już wszystko z dwoma chromosomami X, więc teraz przerzuca się na igreki, albo o odrzucaniu standardów heteroseksualnych, czy też – to byłoby najgorsze – o tym, że pociąg, który Willem czuje do Jude'a, jest w istocie źle umiejscowionym poczuciem winy z powodu próby samobójczej albo formą protekcjonalizmu, albo po prostu źle zinterpretowaną nudą.

Nie robił więc nic i nie mówił nic. W następnych miesiącach umawiał się bez przekonania na randki z dziewczynami i badał swoje uczucia w tym procesie. To szaleństwo, mówił sobie. To nie jest dobry pomysł. I jedno, i drugie było prawdą. O wiele prościej by było, gdyby nie doświadczał tych uczuć. No i co z tego, że tak czujesz? – sprzeczał się sam ze sobą. Każdy doświadcza uczuć, których nie wciela w czyn, wiedząc, że strasznie skomplikowałoby to życie. Miał całe stronice dialogu z samym sobą, którego kwestie – należące do niego i JB, lecz wypowiadane tylko przez niego – wypisywał na papierze.

Ale uczucie nie ustępowało. Na Święto Dziękczynienia pojechali do Cambridge, pierwszy raz od dwóch lat. Nocował z Jude'em w jego pokoju, bo pokój na górze zajął brat Julii, który przyjechał z Oksfordu. W nocy Willem leżał bezsennie na sofie, patrząc, jak Jude śpi. Jak łatwo byłoby, myślał sobie, po prostu wślizgnąć się do łóżka obok niego i zasnąć. Wyczuwał w tym niemal element przeznaczenia i absurdalny wydał mu się nie sam pomysł, lecz własny opór.

Do Cambridge pojechali samochodem. W drodze powrotnej prowadził Jude, żeby on mógł się przespać.

– Willem – powiedział Jude – chciałbym cię o coś zapytać. – Spojrzał na niego. – Dobrze się czujesz? Nic cię nie dręczy?

– Jasne. Czuję się świetnie.

– Ostatnio byłeś jakiś taki… zamyślony – powiedział Jude.

Willem milczał.

– Wiesz, to, że ze mną zamieszkałeś, było wspaniałym darem. Nie chodzi zresztą o samo mieszkanie, ale o… wszystko. Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobił. Ale wiem, że dla ciebie to musi być wyczerpujące. I chcę, żebyś wiedział: jeżeli chcesz wrócić do siebie, to ja sobie poradzę. Obiecuję. Nie zrobię sobie krzywdy. – Mówiąc, patrzył na drogę przed sobą, ale teraz odwrócił się do Willema. – Nie wiem, za co mam tyle szczęścia – dokończył.

Willem przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy ty *chcesz*, żebym wrócił do siebie? – spytał.

Jude chwilę milczał.

– Oczywiście, że nie – rzekł bardzo cicho. – Ale chcę, żebyś był szczęśliwy, a ostatnio nie wydajesz mi się specjalnie szczęśliwy.

Willem westchnął.

– Przepraszam. Jestem roztargniony, masz rację. Ale to na pewno nie dlatego, że z tobą mieszkam. Uwielbiam z tobą mieszkać. – Usiłował wymyślić to właściwe, to doskonałe słowo do dodania, ale na próżno. – Przepraszam – powtórzył.

– Nie przepraszaj. Ale jeżeli chcesz o czymś porozmawiać, kiedykolwiek, to zawsze możesz.

– Wiem. Dzięki.

Resztę drogi do domu przejechali w milczeniu.

Przyszedł grudzień. Sztuka zeszła z afisza. Wyjechali na wakacje do Indii, we czwórkę – ich pierwsza wspólna wycieczka od lat. W lutym rozpoczęły się zdjęcia do *Wujaszka Wani*. Projekt należał do jego ulubionych, jakie rzadko się trafiały – z wszystkimi osobami pracował już wcześniej, lubili się i szanowali nawzajem, reżyser był kudłaty, łagodny i delikatny, a adaptacja, której dokonał podziwiany przez Jude'a pisarz, okazała się piękna i prosta, z kwestiami, które przyjemnie było wypowiadać.

Kiedy Willem był młody, grał w sztuce *Dom na Thistle Lane*. Była to opowieść o rodzinie, która z powodu trudności finansowych szykowała się do przeprowadzki z St. Louis i do opuszczenia domu, który od pokoleń należał do rodziny ojca. Zamiast na scenie, wystawili tę sztukę na piętrze rozwalającej się kamienicy w Harlemie, gdzie publiczność mogła spacerować po pokojach poza obszarem oddzielonym sznurem i oglądać aktorów i scenę z różnych perspektyw. Willem grał najstarszego, najbardziej pokiereszowanego psychicznie syna i większość pierwszego aktu spędzał milcząco w jadalni, zawijając naczynia w płachty starych gazet. Do roli syna, który nie wyobraża sobie opuszczenia domu swojego dzieciństwa, opracował pewne szczególne zachowanie: gdy jego rodzice kłócili się w salonie, syn odkładał talerze, wciskał się w najdalszy kąt jadalni przy kuchni i zdzierał pasami tapetę ze ściany. Chociaż pierwszy akt rozgrywał się przeważnie w salonie, zawsze kilku

widzów zostawało w pokoju syna, by obserwować go, jak zdziera tapetę – granatową, prawie czarną, z deseniem w bladoróżowe różyczki – zwija ją w palcach i rzuca na podłogę, tak że każdego wieczoru jeden kąt pokoju zaśmiecony był małymi tapetowymi zwitkami, jakby Willem był myszą niewprawnie budującą gniazdo. Sztuka była wyczerpująca, lecz Willem ją uwielbiał: podobała mu się bliskość widzów, niecodzienność sceny i skromna, szczegółowa fizyczność roli.

Obecna produkcja budziła w nim podobne emocje. Dwór z epoki pozłacanego wieku nad Hudsonem był wielki, lecz podupadły – podobny do tego, który jego eks dziewczyna Philippa wyobrażała sobie jako ich dom na starość – ale reżyser wykorzystał z niego tylko trzy pomieszczenia: jadalnię, salon i przeszkloną werandę. Zamiast publiczności mieli ekipę filmową, która przemieszczała się wraz z nimi po pokojach. Lecz jakkolwiek Willem delektował się nową pracą, zdawał sobie też sprawę z tego, że *Wujaszek Wania* nie pomaga mu w jego problemach prywatnych. Na planie był doktorem Astrowem, ale po powrocie na Greene Street stawał się Sonią, a rola Soni – chociaż Willem zawsze kochał tę sztukę i współczuł nieszczęsnej Soni – nie mieściła się w jego wyobrażeniu o grze, w jakichkolwiek okolicznościach. Kiedy powiedział przyjaciołom o tym filmie, JB stwierdził: „Czyli obsada jest ślepa genderowo", na co on spytał: „Co masz na myśli?", a JB odpowiedział: „No bo ty oczywiście jesteś Heleną, no nie?", i wszyscy się uśmiali, a najbardziej sam Willem. To właśnie kochał w JB – zawsze inteligentniejszy, niż sam sądzi. „On jest o wiele za stary, żeby grać Helenę" – dorzucił Jude, z wielką czułością w głosie, i znowu wszyscy zaczęli się śmiać.

Wujaszek Wania kręcił się bardzo sprawnie; zdjęcia trwały zaledwie trzydzieści sześć dni i zakończyły się w przedostatnim tygodniu marca. Pewnego dnia wkrótce po zakończeniu zdjęć Willem spotkał się ze swoją starą przyjaciółką i dawną dziewczyną, Cressy, żeby zjeść razem lunch w TriBeCa, a kiedy wracał na Greene Street w lekkim, suchym śniegu, przypomniał sobie, jak kocha to miasto u schyłku zimy, kiedy pogoda jest zawieszona między dwiema porami roku, kiedy Jude co weekend gotuje i kiedy można godzinami spacerować po ulicach, nie spotykając nikogo poza kilkoma właścicielami psów wyprowadzającymi swoich pupilów na spacer.

Szedł na północ Church Street i właśnie przeciął Reade, kiedy zerknął do kafejki po prawej stronie i przy stoliku w kącie zobaczył Andy'ego, który coś czytał.

– Willem! – zawołał Andy na jego widok. – Co ty tu robisz?

– Właśnie zjadłem lunch z przyjaciółką i wracam spacerkiem do domu. Ale co ty tu robisz? W sercu miasta?

– Och, wy dwaj i te wasze spacerki! – Andy pokręcił głową. – George jest na kinderbalu parę przecznic stąd i czekam, aż go będę mógł zabrać do domu.

– Ile lat ma teraz George?

– Dziewięć.

– O rany, już?

– No właśnie.

– Nie tęsknisz za towarzystwem? A może wolisz posiedzieć sam?

– Nie – odparł Andy. Wetknął do książki serwetkę jako zakładkę. – Siadaj. Proszę.

Więc Willem się dosiadł.

Przez chwilę rozmawiali, oczywiście o Judzie, który wyjechał służbowo do Bombaju, i o *Wujaszku Wani* („Pamiętam tylko, że Astrow to niewiarygodny aparat", powiedział Andy), i o następnym filmie Willema, do którego pod koniec kwietnia miały się zacząć zdjęcia na Brooklynie, a potem o żonie Andy'ego, Jane, która rozszerzała praktykę, i o dzieciach: George'u, u którego właśnie stwierdzono astmę, i Beatrice, która chciała wyjechać w przyszłym roku do szkoły z internatem.

A potem, zanim Willem zdążył się powstrzymać – nie żeby czuł szczególnie silną potrzebę – już opowiadał Andy'emu o swoich uczuciach wobec Jude'a i o tym, że sam nie jest pewien, co one znaczą i co ma z nimi zrobić. Mówił i mówił, a Andy słuchał, zachowując neutralny wyraz twarzy. W kawiarni nie było nikogo oprócz nich, a na zewnątrz śnieg padał coraz gęściej i Willem, mimo swoich obaw, poczuł głęboki spokój i radość, że zwierza się komuś i że ten ktoś zna jego i Jude'a od wielu lat.

– Wiem, że to dziwnie brzmi – ciągnął. – Zastanawiam się, co to może być, Andy, naprawdę się głowię. A jednocześnie coś mi mówi, że może zawsze miało tak być, no bo patrz: od kilkudziesięciu lat randkuję i randkuję i może powodem, dla którego nic z tego nie wychodzi, jest to, że nigdy nie mogło nic wyjść, bo od dawna powinienem być z nim. Ale może ja to sobie tylko wmawiam? Albo może to zwykła ciekawość? Chociaż nie sądzę; myślę, że znam się dostatecznie dobrze. – Westchnął. – Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Andy przez chwilę milczał.

– Po pierwsze – powiedział – nie uważam, że to jest dziwne, Willem. Uważam, że to z wielu względów ma sens. Wy dwaj zawsze mieliście w sobie coś odrębnego, coś niezwykłego. Więc… zawsze się zastanawiałem, pomimo twoich dziewczyn. Samolubnie myślę, że to byłoby wspaniale: dla ciebie, ale zwłaszcza dla niego. Uważam, że gdybyś chciał wejść w związek z nim, byłby to największy i najbardziej ożywczy dar, jaki on mógłby otrzymać. Ale jeżeli to zrobisz, Willem, musisz wiedzieć, że to jest zobowiązanie, i musisz zacząć od niego, bo masz rację: nie będziesz mógł po prostu się zabawić, a potem wykręcić. I myślę, że powinieneś sobie uświadomić, że to będzie trudne, bardzo trudne. Będziesz go musiał nauczyć zaufania do siebie od samego początku, i tego, żeby cię ujrzał

w innym świetle. Nie zdradzę chyba niczego, kiedy ci powiem, że dla niego bycie z tobą w sytuacji intymnej będzie niezmiernie trudne, więc musisz mu okazać dużo cierpliwości.

Umilkli obaj.

– Więc jeśli się zdecyduję, to muszę to zrobić z myślą, że to na zawsze – powiedział wreszcie Willem, a Andy patrzył na niego przez parę sekund, po czym się uśmiechnął.

– No cóż – rzekł – bywają gorsze dożywocia.

– To prawda – przyznał Willem.

Wrócił na Greene Street.

Przyszedł kwiecień i Jude przyleciał z Bombaju. Wyprawili jego urodziny („Czterdzieści trzy – westchnął Harold. – Ja ledwo pamiętam czterdzieści trzy"), a Willem rozpoczął zdjęcia do nowego filmu. Jego stara przyjaciółka z czasów studiów też brała udział w tej produkcji – on grał skorumpowanego detektywa, a ona jego żonę – i przespali się ze sobą parę razy. Wszystko szło tak jak zawsze. Willem pracował, a z planu wracał na Greene Street. Myślał o tym, co mu powiedział Andy.

Pewnej soboty obudził się bardzo wcześnie, gdy niebo ledwo się rozjaśniało. Był koniec maja, pogoda nieprzewidywalna: jedne dni jak w marcu, inne jak w czerwcu. Trzydzieści metrów od niego leżał Jude. I nagle cała nieśmiałość, zmieszanie i wahania wydały się Willemowi głupio śmieszne. Był w domu, a domem był Jude. Kochał go; bycie z nim było jego przeznaczeniem i nigdy by go nie skrzywdził – ufał sobie pod tym względem. Więc czego tu się bać?

Przypomniała mu się rozmowa z Robin, kiedy przygotowywał się do kręcenia *Odysei* i czytał na nowo ją i *Iliadę* – utwory, na które nie spojrzał od pierwszego roku college'u. Było to na początku ich znajomości, kiedy wciąż starali się zrobić na sobie wrażenie, kiedy poddanie się ocenie tej drugiej osoby przyprawiało o zawrót głowy.

– Jak brzmią najbardziej przeceniane wersy tego poematu? – spytał Robin, a ona przewróciła oczami i wyrecytowała:

– „Jeszcze nie doszliśmy do końca naszych prób. Jeszcze jedno zadanie spoczywa przed nami – bezbrzeżne, pełne niebezpieczeństw, wielkie, długotrwałe, a ja muszę stawić mu czoła od początku do końca". – Wydała odgłos torsji. – Taki banał. Który z jakiegoś powodu przybiera sobie jako hasło każda przegrywająca drużyna piłkarska w tym kraju – dodała, śmiejąc się. Spojrzała na Willema chytrze. – Ty grałeś w futbol. Założę się, że to jest też twój ulubiony cytat.

– Absolutnie nie – odpowiedział z udanym oburzeniem. Była to część ich gry, która nie zawsze była grą: on był tępym aktorem, głupim Jasiem, a ona mądrą panną, która z nim chodzi i uczy go wszystkiego, czego on nie wie.

– No to powiedz mi, jaki jest twój ulubiony – rzuciła mu wyzwanie, a kiedy je podjął, spojrzała na niego z uwagą. – Hmmm – powiedziała. – Interesujące.

Teraz wstał z łóżka, owinął się kocem, ziewnął. Wieczorem porozmawia z Jude'em. Nie wiedział, dokąd zmierza, ale wiedział, że będzie bezpieczny; zadba, żeby obydwaj byli bezpieczni. Poszedł do kuchni zrobić sobie kawę, a parząc ją, szeptał wersy, które przypominały mu się, ilekroć wracał do domu, na Greene Street, po długim wyjeździe:

– „Powiedz, bo nie wierzę, żem już w skałach Itaki!"[2].

Mieszkanie napełniało się światłem.

Co rano wstaje i przepływa dwie mile, potem wraca do domu, siada przy stole, je śniadanie i czyta gazety. Przyjaciele śmieją się z jego zwyczajów – z tego, że starannie przygotowuje posiłek, zamiast kupić coś gotowego po drodze do pracy, i z tego, że nadal zamawia dostawę gazet do domu, w formie papierowej – ale ten poranny rytuał zawsze go uspokajał: nawet w domu dziecka była to jedyna pora, gdy opiekunowie zachowywali się łagodnie, a inni chłopcy byli zbyt zaspani, żeby mu dokuczać. Siadał sobie w kącie jadalni, czytał i jadł śniadanie; jedyne minuty spokoju.

Czyta szybko, najpierw przegląda „Wall Street Journal", potem „Financial Times", zanim zagłębi się w „New York Timesa", który czyta od deski do deski, gdy nagle spostrzega nagłówek w dziale nekrologów: „Caleb Porter, lat 52, dyrektor branży odzieżowej". Kęs jajecznicy ze szpinakiem zamienia mu się w ustach w trociny i klajster, przełyka więc z trudem, starając się opanować mdłości, czując, jak ożywa w nim każda końcówka nerwowa. Musi przeczytać tekst trzy razy, zanim przyswoi sobie fakty: rak trzustki. „Bardzo szybko", powiedział jego kolega i długoletni przyjaciel. Pod jego kierownictwem pączkująca marka odzieżowa Rothko dokonała agresywnej ekspansji na rynki azjatyckie i środkowowschodnie oraz otworzyła butik w Nowym Jorku. Zmarł w swoim domu na Manhattanie. Zostawił siostrę Michaelę Porter de Soto w Monte Carlo, sześcioro siostrzeńców oraz partnera życiowego, Nicholasa Lane'a, również dyrektora branży odzieżowej.

Przez chwilę siedzi sztywno, wpatrzony w kolumnę tekstu, dopóki słowa nie złożą się z powrotem w szarą abstrakcję przed jego oczami, a potem kuśtyka najszybciej, jak może, do łazienki koło kuchni, gdzie wymiotuje wszystkim, co właśnie zjadł, zachłystując się nad sedesem, aż wreszcie wypluwa tylko długie pasma śliny. Opuszcza klapę, siada i z twarzą ukrytą w dłoniach czeka, aż poczuje się lepiej. Desperacko marzy o swoich żyletkach, ale zawsze uważał, żeby się nie ciąć za dnia, po części dlatego, że to mu się wydaje niewłaściwe, a po części z powodu pewnych limitów, jakkolwiek sztucznych, które sobie narzucił, bo inaczej ciąłby się przez cały dzień. Ostatnio próbował nawet nie

ciąć się w ogóle. Ale dziś w nocy zrobi wyjątek, postanawia. Jest siódma rano. Za jakieś piętnaście godzin będzie z powrotem w domu. Trzeba tylko jakoś przeżyć dzień.

Odstawia talerz do zmywarki i cicho przechodzi przez sypialnię do łazienki, gdzie bierze prysznic, goli się, a potem ubiera w garderobie, po sprawdzeniu, czy drzwi do sypialni są dobrze zamknięte. Niedawno dodał do porannej rutyny nowy punkt: teraz, gdyby robił wszystko tak, jak przez ostatni miesiąc, otworzyłby drzwi, podszedłby do łóżka, przycupnął na jego brzegu i położył rękę na ramieniu Willema, a on otwarłby oczy i uśmiechnąłby się do niego.

– Wychodzę – powiedziałby, też z uśmiechem, a Willem pokręciłby głową i rzucił:

– Nie idź.

Na co on:

– Muszę.

A Willem:

– Pięć minut.

On:

– Pięć.

A potem Willem uniósłby brzeg koca i Jude wsunąłby się pod niego, Willem przytuliłby się do jego pleców, on zamknąłby oczy, czekając, aż Willem oplecie go ramionami, i pragnąłby, żeby tak było zawsze. A potem, dziesięć czy piętnaście minut później, wstałby z ociąganiem i pocałował Willema blisko ust, ale nie w same usta – z tym po czterech miesiącach nadal ma problem – i wyszedłby do pracy.

Tego ranka jednak pomija ten punkt. W zamian za to zatrzymuje się przy stole w jadalni, żeby napisać do Willema karteczkę z wyjaśnieniem, że musiał wyjść wcześniej i nie chciał go budzić, a potem, idąc już do drzwi, cofa się, łapie „Timesa" za stołu i zabiera ze sobą. Wie, że to irracjonalne, ale nie chce, żeby Willem zobaczył nazwisko Caleba i jego zdjęcie, nie chce, żeby Willem dostrzegł jakikolwiek ślad, że był ktoś taki jak Caleb. Willem wciąż nie wie, co Caleb zrobił Jude'owi, a Jude nie chce, żeby się dowiedział. Nie chce, żeby Willem był świadom istnienia Caleba – a raczej jego byłego istnienia, bo Caleb już nie istnieje. Gazeta, którą Jude trzyma pod pachą, jest tak gorąca, że zdaje się żywa, z imieniem Caleba niczym czarny trujący węzeł ukryty między słowami.

Postanawia pojechać do pracy samochodem, żeby posiedzieć w nim chwilę samotnie, ale zanim wyjeżdża z garażu, bierze gazetę i czyta tekst jeszcze raz, potem składa pismo i chowa je do teczki. I nagle zaczyna płakać, szlocha spazmatycznie, z przydechem, który dobywa się gdzieś od przepony. Jude opiera czoło na kierownicy, usiłując się opanować, i wreszcie jest w stanie przyznać się sam przed sobą, jak głęboką ulgę sprawiła mu śmierć Caleba, jak strasznie bał się przez ostatnie trzy lata i jak

bardzo jest nadal upokorzony i zawstydzony. Wyciąga gazetę, czując nienawiść do siebie, jeszcze raz czyta nekrolog i zatrzymuje się przy słowach „i partnera życiowego, Nicholasa Lane'a, również dyrektora branży odzieżowej". Zadaje sobie pytanie, czy Caleb zrobił Nicholasowi Lane'owi to co jemu, czy też Nicholas nie zasłużył na takie potraktowanie. Na pewno nie. Ma nadzieję, że Nicholas nie doświadczył tego co on, ale ma też pewność, że tak nie było, i ta świadomość sprawia, że Jude płacze jeszcze gwałtowniej. Tak argumentował Harold, namawiając Jude'a do złożenia doniesienia o napaści: że Caleb jest niebezpieczny i wnosząc na niego skargę, Jude ochroniłby przed nim inne osoby. On jednak wiedział, że to nieprawda – Caleb nie zrobiłby nikomu innemu tego, co zrobił jemu. Nie bił i nie nienawidził go dlatego, że bił i nienawidził innych ludzi; bił i nienawidził go za to, kim był Jude, a nie za to, kim był Caleb.

W końcu odzyskuje panowanie nad sobą, ociera oczy i wydmuchuje nos. Płacz: jedna z pozostałości po relacji z Calebem. Przez długie lata Jude panował nad płaczem, a teraz – od tamtej nocy – wydaje mu się, że ciągle płacze albo jest bliski płaczu, albo siłą się przed nim powstrzymuje. Jest tak, jakby cały postęp, który dokonał się przez kilka dekad, został wymazany, jakby Jude był z powrotem chłopcem pod opieką brata Luke'a, płaczliwym, bezbronnym i łatwym do zranienia.

Chce uruchomić samochód, ale ręce zaczynają mu się trząść. Wie, że nic nie może z tym zrobić, że musi czekać, więc składa dłonie na kolanach i oddycha głęboko, regularnie, co czasami pomaga. Kiedy kilka minut później dzwoni komórka, drżenie jest nieco łagodniejsze, więc Jude ma nadzieję, że jego głos brzmi normalnie. Odbiera telefon.

– Cześć, Harold – mówi.

– Jude – odzywa się Harold jakimś zdławionym głosem. – Czytałeś dzisiejszego „Timesa"?

Drżenie natychmiast się nasila.

– Tak.

– Rak trzustki to okropna śmierć – mówi Harold. W jego głosie brzmi ponura satysfakcja. – Dobrze. Cieszę się. – Następuje pauza. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Doskonale.

– Połączenie się rwie – mówi Harold, ale Jude wie, że to nie połączenie. To drżenie jego rąk tak się wzmogło, że nie jest w stanie utrzymać telefonu.

– Przepraszam – mówi. – Jestem w garażu. Słuchaj, Haroldzie, muszę już jechać do pracy. Dzięki za telefon.

– Okej – wzdycha Harold. – Zadzwonisz do mnie, jak zechcesz porozmawiać, tak?

– Tak – odpowiada Jude. – Dzięki.

Dzień jest pełen zajęć, za co jest wdzięczny losowi; stara się nie dać sobie czasu na myślenie o czymkolwiek poza pracą. Około południa dostaje esemes od Andy'ego: „Pewnie już wiesz, że ten dupek nie żyje. Rak trzustki = straszne cierpienie. Z Tobą okej?". Odpisuje, zapewniając, że czuje się świetnie, a przy lunchu raz jeszcze czyta nekrolog, po czym wpycha całą gazetę do niszczarki i wraca do swojego komputera.

Po południu dostaje esemes od Willema z wiadomością, że reżyser, z którym miał się spotkać w sprawie nowego projektu, przełożył kolację na późniejszą godzinę, więc Willem raczej nie wróci do domu przed jedenastą. Przeczytawszy to, Jude czuje ulgę. O dziewiątej oznajmia współpracownikom, że wychodzi wcześniej, po czym jedzie do domu i idzie prosto do łazienki, zrzuca po drodze marynarkę, podwija rękawy koszuli i odpina zegarek; niemal odurza go pragnienie, zanim zrobi pierwsze cięcie. Minęły prawie dwa miesiące, odkąd wykonuje tylko dwa cięcia za jednym posiedzeniem, ale teraz porzuca dyscyplinę i tnie się bez pamięci, aż wreszcie zaczyna wolniej oddychać i czuje, jak wypełnia go dawna kojąca pustka. Po wszystkim sprząta łazienkę i myje twarz. Idzie do kuchni, gdzie odgrzewa sobie zupę ugotowaną w weekend i zjada pierwszy prawdziwy posiłek tego dnia, a potem myje zęby i pada na łóżko. Jest osłabiony od cięcia, ale wie, że wystarczy parę minut odpoczynku i wszystko wróci do normy. Wie, że musi normalnie wyglądać, kiedy Willem wróci do domu, żeby go przypadkiem nie zmartwić, żeby w żaden sposób nie zakłócić delirycznego snu, który trwa od osiemnastu tygodni.

Gdy Willem mu powiedział o swoich uczuciach, Jude poczuł takie zakłopotanie i niedowierzanie, że tylko fakt, iż mówi to właśnie Willem, przekonał go, że to nie jakiś makabryczny żart. Jego wiara w Willema była silniejsza niż absurdalność tego, co Willem sugerował.

Ale tylko nieznacznie.

– Co powiedziałeś? – zapytał po raz dziesiąty.

– Powiedziałem, że mnie do ciebie ciągnie – odpowiedział cierpliwie Willem. A potem, ponieważ Jude milczał, dodał: – Judy, mnie to się wcale nie wydaje dziwne. Ty nigdy czegoś takiego do mnie nie poczułeś, nigdy przez te wszystkie lata?

– Nie – odparł on bez wahania, a Willem się roześmiał.

Ale Jude nie żartował. Nigdy, przenigdy nie byłby tak bezczelny, żeby wyobrażać sobie siebie z Willemem. Poza tym nie był osobą, którą sobie dla Willema wymarzył, bo wymarzył sobie kogoś pięknego (i płci żeńskiej), a w dodatku inteligentnego, kobietę, która będzie świadoma tego, jak wielkie spotkało ją szczęście, i sprawi, że Willem też poczuje się szczęściarzem. Wiedział, że są to wyobrażenia sentymentalne i naiwne – tak jak wiele jego marzeń o związkach dorosłych ludzi – lecz to wcale nie znaczyło, że nie mogą się ziścić. On jednak na pewno nie był osobą, z którą Willem

powinien się związać; dla Willema bycie z nim zamiast z ową wymarzoną kobietą oznaczałoby niewiarygodny upadek.

Następnego dnia przedstawił Willemowi listę dwudziestu powodów, dla których ten nie powinien chcieć być z nim. Biorąc ją do ręki, Willem był lekko rozbawiony, lecz kiedy zaczął czytać, wyraz jego twarzy się zmienił, więc Jude wycofał się do swego gabinetu, żeby na to nie patrzeć.

Po chwili Willem do niego zapukał.

– Mogę wejść? – spytał, a Jude odpowiedział twierdząco.

– Przyglądam się punktowi numer dwa – rzekł z powagą Willem. – Informuję cię o tym z przykrością, ale ciała mamy takie same. – Jude spojrzał na niego. – Ty jesteś o cal wyższy, ale pozwól sobie przypomnieć, że możemy się wymieniać ubraniami.

Jude westchnął.

– Willem – zaczął. – Przecież wiesz, o co mi chodziło.

– Jude, ja rozumiem, że to jest dla ciebie dziwne i nieoczekiwane. Jeżeli naprawdę tego nie chcesz, wycofam się i zostawię cię samego, ale obiecuję, że nic się między nami nie zmieni. – Urwał na chwilę. – Jeżeli próbujesz mnie przekonać, żebym nie był z tobą, bo jesteś wystraszony i speszony, to… także i to rozumiem. Ale nie uważam tego za wystarczający powód, żeby nie spróbować. Będziemy postępować tak wolno, jak zechcesz, obiecuję ci.

Jude milczał.

– Czy mogę się nad tym zastanowić? – spytał po chwili, a Willem skinął głową.

– Oczywiście – powiedział i zostawił go samego, zasuwając za sobą drzwi.

Jude długo siedział w gabinecie, namyślając się. Po Calebie poprzysiągł sobie, że nigdy więcej sobie tego nie zrobi. Wiedział, że Willem za nic w świecie go nie skrzywdzi, a jednak jego wyobraźnia miała swoje granice – nie potrafił zobrazować relacji, która nie zakończyłaby się pobiciem, skopaniem, zrzuceniem ze schodów, zmuszaniem do robienia rzeczy, których obiecywał sobie nigdy więcej nie robić. Czy nie jest możliwe, pytał sam siebie, że pchnie nawet kogoś tak dobrego jak Willem do tej nieuchronności? Czy nie jest możliwe, że wydobędzie nienawiść nawet z Willema? Czy naprawdę jest aż tak złakniony towarzystwa, że zignoruje lekcję, którą mu dała historia – jego historia?

Wtedy jednak odezwał się w nim inny głos, przeciwny. *Jesteś szalony, jeśli odrzucisz tę okazję. To jest jedyna osoba, której zawsze ufałeś. Willem to nie Caleb; on by tego nigdy nie zrobił, przenigdy.*

Koniec końców Jude poszedł do kuchni, gdzie Willem szykował kolację.

– Okej – powiedział. – Spróbujmy.

Willem popatrzył na niego i uśmiechnął się.

– Podejdź tutaj – powiedział, a Jude usłuchał i Willem go pocałował.

Jude bał się, panikował, znowu pomyślał o bracie Luke'u, otworzył więc oczy, żeby się upewnić, że to przecież Willem, a nie ktoś, kogo trzeba się bać. Już poddawał się urokowi chwili, gdy mignęła mu przed oczami twarz Caleba, więc wysunął się z objęć Willema, dławiąc się, trąc usta wierzchem dłoni.

– Przepraszam – powiedział, odsuwając się półobrotem. – Przepraszam. Nie jestem w tym zbyt dobry, Willem.

– O co ci chodzi? – spytał Willem, odwracając go z powrotem do siebie. – Jesteś w tym świetny – a on rozpłynął się z ulgi, że Willem się nie pogniewał.

Od tamtej chwili Jude nieustannie zestawia to, co wie o Willemie, z tym, czego się spodziewa po osobie, która czuje do niego fizyczny pociąg. Jest tak, jakby się trochę spodziewał, że znany mu Willem zostanie zastąpiony innym; jakby miał zaistnieć inny Willem do innego rodzaju relacji. Przez pierwszych kilka tygodni Jude drżał ze strachu, że czymś Willema urazi albo go zawiedzie, że go rozzłości. Czekał wiele dni, zbierając się na odwagę, żeby powiedzieć Willemowi, że nie może znieść posmaku kawy w jego ustach (choć nie wyjaśnił dlaczego: brat Luke, jego paskudny, muskularny język, szorstkość drobinek kawy, które zawsze oblepiały jego dziąsła. To była jedna z rzeczy, które doceniał w Calebie – że nie pił kawy). Przepraszał za to wielokrotnie, aż Willem kazał mu przestać.

– Jude, wszystko w porządku – powiedział. – Powinienem był sam o tym pomyśleć. Po prostu przestanę ją pić.

– Kiedy uwielbiasz kawę – zaprotestował Jude.

Willem się uśmiechnął.

– Owszem, lubię – powiedział – ale jej nie *potrzebuję*. – Uśmiechnął się ponownie. – Mój dentysta będzie uszczęśliwiony.

W tym pierwszym miesiącu rozmawiał z Willemem także o seksie. Prowadzili te rozmowy nocą, w łóżku, kiedy łatwiej było mówić trudne rzeczy. Noc zawsze kojarzyła mu się z cięciem, ale teraz nabierała innych znaczeń – teraz miał te rozmowy z Willemem w ciemnym pokoju, kiedy się mniej peszył, dotykając go, i kiedy widział rysy Willema, a jednocześnie był w stanie udawać, że Willem nie widzi jego.

– Chciałbyś kiedyś uprawiać seks? – spytał Willema którejś nocy i jeszcze zanim skończył mówić, usłyszał, jak głupio brzmi to pytanie.

Ale Willem go nie wyśmiał.

– Tak – odparł – chciałbym.

Jude pokiwał głową. Willem czekał.

– Mnie to zajmie trochę czasu – powiedział w końcu Jude.

– Okej – odrzekł Willem. – Poczekam.

– Ale jeśli to potrwa miesiące?

– No to potrwa.

Jude się zastanowił.

– A jeżeli potrwa dłużej? – spytał cicho.

Willem wyciągnął rękę i dotknął jego policzka.

– No to potrwa – powtórzył.

Milczeli przez dłuższy czas.

– Co zrobisz w tym czasie? – spytał on, a Willem się roześmiał.

– Mam *pewną* samokontrolę, Jude – odparł, uśmiechając się do niego. – Wiem, że to zabrzmi dla ciebie szokująco, ale naprawdę potrafię długo obejść się bez seksu.

– Nie miałem na myśli… – zaczął on ze skruchą, ale Willem przygarnął go i głośno ucałował w policzek.

– Żartuję – powiedział. – Wszystko jest okej, Jude. Masz tyle czasu, ile potrzebujesz.

Więc dotychczas nie uprawiali seksu i czasem Jude potrafi nawet przekonać sam siebie, że może nigdy nie będą tego robić. Tymczasem jednak zaczął lubić, a nawet łaknąć fizyczności Willema, jego czułości, która przychodziła mu tak łatwo i spontanicznie, że i Jude stawał się swobodniejszy i bardziej spontaniczny. Willem sypia po lewej stronie łóżka, a on po prawej. Pierwszej nocy, którą przespali razem, on obrócił się, jak miał w zwyczaju, na prawy bok, a Willem przylgnął do niego od tyłu, wsuwając prawe ramię pod jego szyję i obejmując lekko, lewym zaś opasał jego brzuch i wcisnął nogi między jego nogi. Jude'a to zdumiało, ale kiedy pokonał wstępny dyskomfort, odkrył, że to lubi, bo czuje się trochę tak jak zawinięte w pieluszkę niemowlę.

Ale którejś czerwcowej nocy Willem tego nie zrobił, więc Jude zaczął się zamartwiać, że w jakiś sposób zawinił. Następnego poranka – wczesne poranki były ich drugą porą na delikatne i trudne rozmowy, jakich nie prowadzi się w świetle dnia – spytał Willema, czy się na niego gniewa, a Willem ze zdziwioną miną odpowiedział, że nie, oczywiście, że nie.

– Bo myślałem sobie… – dukał Jude – bo wczoraj w nocy nie…

Ale nie był w stanie dokończyć zdania; za bardzo się wstydził.

Wtedy jednak zobaczył, że twarz Willema się rozjaśnia. Willem przeturlał się do niego i oplótł go ramionami.

– O to chodziło? – spytał, a Jude kiwnął głową. – To dlatego że tej nocy było strasznie gorąco – wyjaśnił Willem.

Jude czekał, że teraz przyjaciel go wyśmieje, lecz to nie nastąpiło.

– To jedyny powód, Judy.

Od tamtego czasu Willem przytula się do niego tak samo co noc, nawet w lipcu, kiedy mimo klimatyzacji powietrze jest ciężkie i obaj budzą się zlani potem. Jude uświadamia sobie, że tego właśnie pragnął przez cały czas. O to właśnie mu chodziło, kiedy miał nadzieję, że kiedyś ktoś go dotknie. Caleb czasami przytulał go na krótką chwilę i Jude zawsze musiał walczyć z impulsem poproszenia go, żeby to zrobił jeszcze raz, trochę dłużej. A teraz wszystko ma: cały kontakt fizyczny istniejący między zdrowymi ludźmi, którzy się kochają i uprawiają seks, bez przerażającego seksu.

Nie umie inicjować kontaktów z Willemem ani o nie prosić, ale czeka na nie za każdym razem, kiedy Willem łapie go za rękę, mijając w salonie, i przyciąga do siebie, żeby go pocałować, albo zachodzi go od tyłu stojącego przy kuchni i oplata ramionami w tej samej pozycji – klatka piersiowa, brzuch – co w nocy. Jude zawsze zachwycał się fizycznością JB i Willema, zarówno w ich wzajemnych kontaktach, jak i z innymi. Miał świadomość, że oni wiedzą, iż z nim nie należy tego robić, i jakkolwiek był im wdzięczny za delikatność, to zarazem odczuwał pewien żal. Nieraz marzył, że go nie usłuchają, że zawłaszczą go z tą samą pewnością siebie, jaką okazywali wobec wszystkich innych. Lecz oni nigdy sobie na to nie pozwolili.

Musiały minąć trzy miesiące, zanim wreszcie rozebrał się przed Willemem. Przedtem co noc przychodził do łóżka w T-shircie z długimi rękawami i w spodniach od dresu, Willem natomiast kładł się spać w bieliźnie.

– Czy to ci nie przeszkadza? – spytał Willem, a on pokręcił głową, chociaż trochę mu przeszkadzało: było krępujące, choć nie do końca niepożądane. Przez cały miesiąc obiecywał sobie: rozbiorę się przed Willemem i będę miał to za sobą. Właśnie dzisiejszej nocy, bo kiedyś trzeba. Tylko dotąd sięgała jego wyobraźnia – nie umiał sobie wyobrazić, jaka może być reakcja Willema ani co zrobi następnego dnia. A potem nastawała noc, leżeli w łóżku, a jego obietnica pozostawała obietnicą.

Którejś nocy Willem sięgnął rękami pod jego koszulkę i dotknął pleców, on zaś szarpnął się tak gwałtownie, że zleciał z łóżka.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam.

Wdrapał się z powrotem na łóżko i ułożył na samym brzegu materaca.

Nic nie mówili, żaden z nich. Jude leżał na plecach i wpatrywał się w żyrandol.

– Wiesz, Jude – powiedział wreszcie Willem – ja cię widziałem bez koszuli.

Jude spojrzał na niego, on zaś wziął głębszy oddech.

– W szpitalu – wyjaśnił. – Zmieniali ci opatrunki i myli cię.

Jude'a zapiekły oczy i szybko spojrzał z powrotem w sufit.

– Jak dużo widziałeś?

– Nie wszystko – zapewnił go Willem. – Ale wiem, że masz blizny na plecach. A twoje ręce widziałem już wcześniej. – Willem czekał, a gdy Jude milczał, westchnął. – Jude, przysięgam ci, że to nie jest tak, jak ty myślisz.

– Boję się, że nabierzesz do mnie obrzydzenia – wykrztusił wreszcie Jude. Wróciły do niego jak na skrzydłach słowa Caleba: „Ty naprawdę jesteś pokraką; naprawdę". – To chyba niemożliwe, żebym zupełnie nigdy nie zdejmował ubrań, prawda? – zapytał, próbując się roześmiać, obrócić to w żart.

– No, nie – odrzekł Willem. – Bo ja uważam… chociaż z początku tak tego nie odczujesz… że to będzie dla ciebie dobre, Judy.

I oto następnej nocy zrobił to. Gdy tylko Willem położył się do łóżka, on rozebrał się szybko, pod przykryciem, a potem odrzucił koc i przekręcił się na bok, zwracając plecy do Willema. Cały czas trzymał oczy zamknięte, ale gdy poczuł, że Willem kładzie dłoń na jego plecach, dokładnie pomiędzy łopatkami, rozpłakał się okropnie, z goryczą i złością, tak jak nie płakał od lat, kuląc się ze wstydu. Ciągle stała mu przed oczami tamta noc z Calebem, ostatni raz, gdy był tak obnażony, ostatni raz, gdy płakał tak strasznie, i wiedział, że Willem tylko częściowo zrozumie powód jego rozżalenia, bo nie ma pojęcia, że wstyd tej chwili – wstyd bycia nagim, zdanym na łaskę drugiej osoby – jest niemal tak samo wielki jak wstyd z powodu wyznania, które złożył. Słyszał, bardziej z samego tonu niż ze słów, że Willem jest dla niego czuły, że sam jest zatrwożony, ale próbuje mu poprawić nastrój, on jednak był tak przybity, że nie mógł zrozumieć tego, co Willem mówi. Pragnął uciec z łóżka do łazienki i pociąć się, ale Willem go złapał i przytrzymał tak mocno, że Jude nie mógł się ruszyć, a potem jakoś się uspokoił.

Kiedy się zbudził następnego dnia rano – późno; była niedziela – Willem wpatrywał się w niego. Twarz miał zmęczoną.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Pamięć nocy wróciła.

– Willem, bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co się stało.

Nagle uświadomił sobie, że nadal jest bez ubrania, więc schował ręce pod koc, który podciągnął aż pod brodę.

– Nie, Jude. To ja przepraszam. Nie wiedziałem, że to będzie dla ciebie takie straszne przeżycie. – Wyciągnął rękę i pogłaskał go po włosach. Pomilczeli chwilę. – Pierwszy raz widziałem, jak płaczesz, wiesz?

– No – odparł Jude i przełknął ślinę. – Z jakiegoś powodu nie jest to tak skuteczna metoda uwodzenia, jak sądziłem. – I uśmiechnął się nieznacznie, a Willem odpowiedział mu uśmiechem.

Ranek przeleżeli w łóżku, rozmawiając. Willem wypytywał go o niektóre blizny, a on odpowiadał. Opowiedział, skąd ma te na plecach: o dniu, w którym go złapali, gdy uciekł z domu dziecka, o chłoście, która nastąpiła, o infekcji, która wywiązała się w rezultacie chłosty, tak że z jego pleców całymi dniami sączyła się ropa, o pęcherzach, które powstały wokół drzazg kija od szczotki, o tym, z czym został, gdy już było po wszystkim. Willem go spytał, kiedy ostatnio stał przed kimś nagi, a on skłamał, że – nie licząc Andy'ego – było to, gdy miał piętnaście lat. A potem Willem powiedział mu mnóstwo niewiarygodnych rzeczy na temat jego ciała, których on nie chciał słuchać, bo wiedział, że to wszystko nieprawda.

– Willem, jeśli chcesz się wycofać, zrozumiem – przekonywał.

To był jego pomysł, żeby nie mówić nikomu, że ich przyjaźń zmieniła charakter. Chodziło mu nie tylko o to, żeby, jak powiedział Willemowi, zachować prywatność i przystosować się nawzajem do siebie, lecz także o to, żeby dać Willemowi czas na przemyślenie sprawy oraz okazję do zmiany zdania bez potrzeby troszczenia się o czyjąkolwiek opinię. Oczywiście nie mógł nie usłyszeć w tej decyzji echa swojej relacji z Calebem – tamto też działo się w sekrecie – i musiał przypominać sobie, że ten związek jest inny. Będzie inny, o ile on nie uczyni go takim samym.

– Jude, oczywiście, że nie chcę – zapewnił go Willem. – Oczywiście, że nie.

Willem przesuwał palcem po jego brwi, co z jakiegoś powodu było mile pocieszające: czułe bez śladu erotyzmu.

– Czuję, że będę dla ciebie serią przykrych niespodzianek – powiedział wreszcie Jude, ale Willem pokręcił głową.

– Niespodzianek, być może – powiedział. – Ale nie przykrych.

I teraz co noc Jude stara się zdejmować ubranie. Czasami mu się udaje, czasami nie. Czasami umie pozwolić Willemowi na dotykanie jego ramion i rąk, a czasami nie. Lecz nie udało mu się jak dotąd stanąć nago przed Willemem za dnia, ani nawet w świetle, ani też zrobić żadnej z rzeczy, które zna z filmów i podsłuchiwania innych ludzi, takich, które zakochane pary robią przed sobą: nie jest w stanie ubierać się w obecności Willema ani brać z nim prysznica, co musiał robić z bratem Lukiem i czego nienawidził.

Jego wstydliwość nie jest na szczęście zaraźliwa, więc Jude z fascynacją obserwuje, jak często i jak zwyczajnie Willem chodzi nago. Rano ściąga z Willema koc i studiuje jego uśpione ciało z kliniczną drobiazgowością, dostrzegając, jakie jest doskonałe, i przypomina sobie z dziwnym zawrotem głowy, że to on je ogląda, że to ciało zostało mu dane.

Czasami nieprawdopodobieństwo tego, co się stało, spada na niego jak grom z jasnego nieba, aż Jude staje jak wryty. Jego pierwszy związek (czy można go nazwać związkiem?): brat Luke. Drugi:

Caleb Porter. I teraz trzeci: Willem Ragnarsson, najdroższy przyjaciel, najlepszy człowiek, jakiego zna, człowiek, który mógłby mieć przy sobie właściwie każdego, mężczyznę czy kobietę, a jednak z jakiejś wariackiej mieszanki powodów – wypaczona ciekawość? szaleństwo? litość? głupota? – wybrał jego. Którejś nocy śni mu się, że Willem i Harold siedzą przy stole, schylając głowy nad jakąś kartką, Harold dodaje liczby na kalkulatorze, a Jude wie, chociaż mu nikt nie powiedział, że Harold płaci Willemowi za to, że jest z nim. We śnie czuje upokorzenie pomieszane z wdzięcznością: że Harold jest tak hojny i że Willem się na to zgadza. Kiedy się budzi, już ma opowiedzieć ten sen Willemowi, kiedy logika bierze górę i musi sobie przypomnieć, że Willem na pewno nie potrzebuje pieniędzy, bo ma ich dosyć, i niezależnie od tego, jak zagadkowe i niepoznawalne są powody, dla których Willem jest z nim, dla których go wybrał, na pewno nie zrobił tego pod przymusem.

Tej nocy czyta w łóżku, czekając, aż Willem wróci do domu, ale zasypia. Budzi go dotyk ręki Willema na policzku.

– Jesteś w domu – mówi Jude i uśmiecha się, a Willem odpowiada mu uśmiechem.

Leżą po ciemku, rozmawiając o kolacji Willema z reżyserem i o zdjęciach, które zaczną się pod koniec stycznia w Teksasie. Film pod tytułem *Duety* oparty jest na powieści, która podoba się Jude'owi i opowiada o nieujawnionej lesbijce i nieujawnionym geju, nauczycielach muzyki w małomiasteczkowym liceum, przez dwadzieścia pięć lat ich małżeństwa, od lat sześćdziesiątych do osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

– Będę potrzebował twojej pomocy – mówi Willem. – Muszę koniecznie przypomnieć sobie grę na fortepianie. I każą mi śpiewać w tej roli. Znaleźli konsultanta, ale poćwiczysz ze mną?

– Jasne. Nic się nie martw: masz piękny głos, Willem.

– Słaby.

– Słodki.

Willem się śmieje i ściska go za rękę.

– Powiedz to Kitowi – mówi. – On już świruje. – Wzdycha. – Jak ci minął dzień?

– Dobrze – odpowiada Jude.

Zaczynają się całować, co on wciąż musi robić z otwartymi oczami, żeby pamiętać, że całuje Willema, a nie brata Luke'a, i dobrze mu idzie, dopóki nie przypomni sobie tamtej pierwszej nocy, gdy wrócił do mieszkania z Calebem i Caleb przycisnął go do ściany, i wszystkiego, co było potem, a wtedy odsuwa się gwałtownie od Willema i odwraca twarz.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam.

Nie rozebrał się dzisiaj, a teraz obciąga rękawy na dłonie. Willem leży obok niego i czeka, a on w tej ciszy słyszy własny głos:

– Ktoś, kogo znałem, umarł wczoraj.

– Och, Jude – szepcze Willem. – Bardzo mi przykro. Kto to był?

Jude długo milczy, próbuje wypowiedzieć trudne słowa.

– Ktoś, z kim byłem w związku – odpowiada wreszcie, a język kołowacieje mu w ustach. Czuje, że uwaga Willema nasila się, czuje, że Willem się do niego przysuwa.

– Nie wiedziałem, że byłeś w związku – mówi cicho. Odchrząkuje nerwowo. – Kiedy?

– Wtedy, kiedy ty kręciłeś *Odyseję* – odpowiada równie cicho i znów czuje, jak atmosfera ulega zmianie. „Coś się zdarzyło, kiedy mnie nie było – przypominają mu się słowa Willema. – Coś złego". Wie, że Willem wspomina tę samą rozmowę.

– Opowiedz mi – mówi Willem po długiej pauzie. – Kim był ten szczęściarz? Jude już ledwo oddycha, ale brnie dalej.

– To był mężczyzna – zaczyna i chociaż nie patrzy na Willema (skupił wzrok na żyrandolu), czuje, że on kiwa głową, jakby na zachętę, jakby go namawiał do kontynuowania. Lecz on nie może; Willem będzie mu musiał podpowiedzieć. I podpowiada.

– Opowiedz mi o nim. Jak długo ze sobą chodziliście?

– Cztery miesiące.

– A dlaczego się skończyło?

Jude zastanawia się nad odpowiedzią.

– On mnie nie bardzo lubił – mówi w końcu.

Czuje złość Willema, zanim jeszcze ją usłyszał.

– W takim razie to kretyn – cedzi Willem.

– O nie – odpowiada Jude. – Bardzo inteligentny facet.

Otwiera usta, żeby jeszcze coś powiedzieć – sam nie wie co – ale nie jest w stanie mówić, więc zamyka usta i leżą obaj w milczeniu.

Wreszcie Willem znowu podpowiada:

– Więc co się stało?

Jude czeka, a Willem razem z nim. Jude słyszy ich miarowe oddechy i jest tak, jakby wciągali w płuca całe powietrze z pokoju, z mieszkania, ze świata, a potem wypuszczali je, tylko oni dwaj, zupełnie sami. Liczy wspólne oddechy: pięć, dziesięć, piętnaście. Kiedy nalicza dwadzieścia, mówi:

– Jeżeli ci powiem, Willem, obiecasz, że się nie zdenerwujesz?

I znów czuje poruszenie Willema.

– Obiecuję – mówi Willem niskim głosem.

Jude bierze głęboki oddech.

– Pamiętasz mój wypadek samochodowy?

– Tak. – Głos Willema jest niepewny, zdławiony. Oddech przyspiesza. – Pamiętam.

– To nie był wypadek – mówi Jude i natychmiast zaczynają mu drżeć ręce, więc wciska je pod kołdrę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Willem, ale Jude milczy, aż w końcu czuje, bardziej niż widzi, że Willem zrozumiał jego słowa. I nagle Willem przeskakuje na jego część łóżka, patrzy mu w oczy i sięga pod koc po jego ręce.

– Jude – pyta – czy ktoś ci to zrobił? Czy ktoś… – nie jest w stanie wymówić tych słów – …czy ktoś cię pobił?

Jude kiwa głową, wdzięczny losowi, że nie płacze, chociaż czuje się tak, jakby miał eksplodować: wyobraża sobie strzępy ciała odpryskujące jak szrapnele od jego szkieletu, bryzgające na ściany, dyndające z żyrandola, plamiące krwią pościel.

– O boże! – Willem puszcza jego ręce i wyskakuje z łóżka.

– Willem! – woła za nim Jude, po czym wstaje i idzie za nim do łazienki, gdzie Willem stoi pochylony nad umywalką, dysząc ciężko. Jude chce dotknąć jego ramienia, ale Willem strząsa jego rękę.

Jude wraca do pokoju i czeka, siedząc na skraju łóżka, a kiedy Willem wreszcie przychodzi, widzi, że Jude płakał.

Przez kilka długich minut siedzą obok siebie zetknięci ramionami i nie mówią nic.

– Był nekrolog? – pyta w końcu Willem, a Jude kiwa głową.

– Pokaż mi.

Więc idą do komputera w gabinecie i Jude staje z tyłu, obserwując, jak Willem czyta nekrolog. Widzi, że czyta dwukrotnie, trzykrotnie. Potem prostuje się i przytula Jude'a mocno, bardzo mocno, a Jude tuli się do niego.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – szepcze mu Willem do ucha.

– To by niczego nie zmieniło – odpowiada on, a Willem odsuwa się o krok i patrzy na niego, trzymając go za ramiona.

Jude widzi, że Willem stara się nad sobą panować, że zaciska szerokie usta, że jego szczęki nerwowo pracują.

– Chcę, żebyś mi opowiedział wszystko.

Bierze Jude'a za rękę i prowadzi do sofy w swoim gabinecie.

– Idę do kuchni zrobić sobie drinka i zaraz wracam – mówi. Patrzy na Jude'a. – Tobie też zrobię.

Jude jest w stanie tylko kiwnąć głową.

Czekając, myśli o Calebie. Caleb nie odezwał się do niego po tamtej nocy, ale co parę miesięcy on sprawdzał go w internecie. Każdy to mógł obejrzeć: Caleb uśmiechający się na przyjęciach, na ceremoniach otwarcia, na pokazach. Artykuł o pierwszym butiku firmy Rothko, w którym Caleb opowiada, jakie wyzwania stają przed młodą marką próbującą się wybić na zatłoczonym rynku. Artykuł jakiegoś czasopisma o odnowieniu Flower District z wypowiedzią Caleba na temat mieszkania w dzielnicy, która pomimo swoich butików i hoteli wciąż ma w sobie jakąś surowość. Teraz Jude zastanawia się, czy Caleb też go czasem sprawdzał. Czy pokazał jego zdjęcie Nicholasowi? Czy powiedział: „Kiedyś z nim chodziłem; był groteskowy”? Czy demonstrował Nicholasowi – którego Jude wyobraża sobie jako schludnego, pewnego siebie blondyna – jak Jude chodził? Czy zaśmiewali się z tego, jak beznadziejny był w łóżku? Czy Caleb powiedział: „Brzydziłem się go”? Czy może nie powiedział nic? Czy Caleb go zapomniał, a przynajmniej postanowił więcej o nim nie myśleć? Czy Jude był w życiu Caleba pomyłką, krótkim brudnym epizodem, aberracją, którą pakuje się w plastik i wciska w najdalszy zakamarek pamięci razem z połamanymi zabawkami z dzieciństwa i dawnymi wpadkami towarzyskimi? Żałuje, że i on nie może tak zapomnieć, że i on nie może sobie postanowić, że nie będzie więcej myślał o Calebie. Ciągle głowi się, dlaczego i jak pozwolił, żeby tamte cztery miesiące – miesiące coraz od niego odleglejsze – tak silnie na niego podziałały, tak zmieniły jego życie. Lecz mógłby równie dobrze zapytać – co często robi – dlaczego pozwolił, aby piętnaście pierwszych lat życia tak dyktowało styl następnym dwudziestu ośmiu latom. Był ponad miarę szczęśliwy: przeżywa dorosłość, o jakiej ludzie marzą, więc dlaczego upiera się przeglądać i przeżywać na nowo zdarzenia, które miały miejsce tak dawno temu? Dlaczego nie może się po prostu cieszyć teraźniejszością? Dlaczego musi tak honorować swoją przeszłość? Dlaczego przeszłość staje się coraz bardziej zamiast coraz mniej wyrazista, im bardziej się od niej oddala?

Willem wraca z dwiema szklankami whisky z lodem. Włożył koszulę. Przez chwilę siedzą na sofie, sącząc drinki, i Jude czuje, jak jego żyły wypełnia ciepło.

– Opowiem ci – mówi do Willema, a ten kiwa głową.

Ale zanim zaczyna mówić, nachyla się i całuje Willema. Po raz pierwszy w życiu sam zainicjował pocałunek i ma nadzieję, że razem z pocałunkiem przekazuje Willemowi to wszystko, czego nie umie powiedzieć, nawet po ciemku, nawet w porannej szarości: wszystko, czego się wstydzi, wszystko, za co jest wdzięczny. Tym razem oczy ma zamknięte, wyobrażając sobie, że wkrótce on też będzie mógł pójść tam, dokąd idą całujący się ludzie, ludzie, którzy uprawiają seks. Tego lądu jeszcze nie odwiedził, chce go zobaczyć, ma nadzieję, że ten świat nie jest mu wzbroniony na zawsze.

Kiedy Kit był w mieście, spotykali się na lunch albo kolację bądź też w nowojorskim biurze agencji, ale gdy pojawił się na początku grudnia, Willem zaprosił go na Greene Street.

– Przygotuję lunch – obiecał Kitowi.

– Dlaczego? – spytał Kit, z miejsca czujny. Chociaż w jakiś sposób byli sobie bliscy, to przecież nie byli przyjaciółmi i Willem nigdy wcześniej nie zapraszał go na Greene Street.

– Muszę z tobą o czymś pogadać – odparł Willem i usłyszał powolny, głęboki oddech Kita.

– Okej.

Kit wiedział, że nie ma sensu pytać, co to za sprawa, i czy aby nie przykra; po prostu przyjął takie założenie. W jego wszechświecie zdanie „Muszę z tobą o czymś pogadać" nie zapowiadało dobrych wiadomości. Willem oczywiście wszystko to wiedział i chociaż mógł z łatwością rozwiać obawy Kita, to jakiś chochlik w nim postanowił tego nie robić.

– Świetnie! – rzucił dziarsko. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Z drugiej jednak strony, pomyślał po odłożeniu słuchawki, może jego opór przed rozwianiem obaw Kita nie był zwyczajną dziecinadą. On sam uważał, że to, co ma Kitowi do powiedzenia – że on i Jude są razem – nie jest złą wiadomością, ale nie wiadomo, czy Kit oceni to tak samo.

Postanowili powiedzieć paru osobom o swoim związku. Najpierw powiadomili Harolda i Julię, którzy przyjęli to bardzo ciepło, chociaż Jude był z jakiegoś powodu strasznie zdenerwowany. Miało to miejsce przed paroma tygodniami, w Święto Dziękczynienia, a Harold i Julia tak się ucieszyli, że oboje go uściskali; Harold nawet wzruszył się do łez, a Julia siadła na kanapie i obserwowała ich trójkę z dyskretnym uśmiechem.

Potem powiedzieli Richardowi, który wcale nie zdziwił się tak, jak przewidywali.

– Uważam, że to fantastyczny pomysł – rzekł stanowczo, tak jakby mu oznajmili, że inwestują w nieruchomość. Uściskał ich obydwu. – Dobra robota – powiedział. – Dobra robota, Willem – a on wiedział, co Richard chce mu przez to zakomunikować: to samo, co on komunikował Richardowi lata temu, mówiąc mu, że Jude potrzebuje bezpiecznego mieszkania, podczas gdy w istocie prosił Richarda, żeby zajął się Jude'em wtedy, gdy on nie może.

Potem powiedzieli Malcolmowi i JB, każdemu osobno. Najpierw Malcolmowi, po którym spodziewali się, że będzie albo zszokowany, albo pełen optymizmu, i sprawdziło się to drugie.

– Strasznie się cieszę, chłopaki – powiedział, uśmiechając się do nich promiennie. – To super. Niezmiernie podoba mi się wizja was dwóch razem.

Malcolm chciał wiedzieć, jak do tego doszło i jak długo to trwa, i żartem dopytywał, co takiego nagle w sobie znaleźli, czego nie odkryli wcześniej. (Popatrzyli po sobie – gdyby tak Malcolm znał

prawdę! – i nie powiedzieli nic, na co tamten się uśmiechnął, jakby otrzymał dowód istnienia bogatych złóż pikantnych sekretów, do których kiedyś się dobierze). A potem westchnął.

– Smutno mi tylko z jednego powodu – powiedział, więc oczywiście spytali, jaki to powód. – Twoje mieszkanie, Willem. Jest takie piękne. Musi bardzo cierpieć w samotności.

Jakimś cudem zdołali się nie roześmiać i Willem zapewnił Malcolma, że wynajął mieszkanie koledze, aktorowi z Hiszpanii, który kręcił film na Manhattanie i postanowił zostać w Nowym Jorku jeszcze rok.

Z JB nie poszło im tak łatwo, czego się zresztą spodziewali: wiedzieli, że JB poczuje się zdradzony, opuszczony, że obudzi się w nim instynkt posiadacza i że wszystkie te uczucia zostaną spotęgowane przez fakt, że ostatnio rozstał się z Oliverem po przeszło czterech wspólnych latach. Zaprosili go na kolację do lokalu, gdzie mniejsze było ryzyko (chociaż Jude twierdził, że nie ma gwarancji), że JB zrobi scenę, a do przekazania wiadomości wytypowany został Jude, z którym JB obchodził się ostrożniej. JB odłożył widelec i złapał się za głowę.

– Niedobrze mi – powiedział, więc odczekali, aż podniesie wzrok i powie coś więcej. – Ale cieszę się ze względu na was, chłopaki. – Wtedy odetchnęli. JB podziobał widelcem swoją *burratę*. – To znaczy, jestem wściekły, że nie powiedzieliście mi wcześniej, ale się cieszę. – Na stół wjechały przystawki i JB wbił nóż w labraksa. – To znaczy, szczerze mówiąc, jestem naprawdę wściekły. Ale. Się. Cieszę.

Było oczywiste, że JB – który z furią pochłaniał suflet z gujawy – jest niesamowicie poruszony, więc Jude i Willem kopali się pod stołem, po części, by pohamować wybuch śmiechu, po części w strachu, że JB może naprawdę urządzić awanturę w restauracji.

Po kolacji postali jeszcze przed lokalem, Willem i JB zapalili, omawiali zbliżającą się wystawę JB, już piątą, i jego studentów z Yale, gdzie JB od paru lat wykładał. Chwilowe zawieszenie broni popsuła jakaś dziewczyna, która podeszła do Willema („Mogę sobie zrobić z panem zdjęcie?"), na co JB wydał odgłos, który był czymś pomiędzy chrząknięciem a głuchym jękiem. Później, już z powrotem na Greene Street, Willem i Jude pośmiali się zdrowo: z osłupienia JB, z jego wysilonej grzeczności, która najwyraźniej wiele go kosztowała, z jego ustawicznego zaabsorbowania sobą.

– Biedny JB – powiedział Jude. – Myślałem, że eksploduje. – Westchnął. – Ale ja go rozumiem. Zawsze się w tobie kochał.

– Nie w ten sposób – rzekł Willem.

Jude popatrzył na niego.

– No i kto teraz nie potrafi zobaczyć samego siebie we właściwym świetle, co? – spytał, ponieważ właśnie coś takiego zawsze mówił mu Willem, twierdząc, że spojrzenie Jude'a na samego siebie jest specyficzne do granic urojenia.

Willem westchnął.

– Powinienem do niego zadzwonić – powiedział.

– Daj mu już dzisiaj spokój – poradził Jude. – Sam do ciebie zadzwoni, jak będzie gotowy.

I tak się stało. W niedzielę JB przyszedł do nich na Greene Street. Jude wpuścił go, a potem przeprosił, wymawiając się pracą, po czym zamknął się w gabinecie, żeby Willem i JB mogli zostać sami. Przez następne dwie godziny Willem siedział i słuchał chaotycznych wynurzeń JB, którego liczne oskarżenia i pytania punktował refren: „Ale ja naprawdę się cieszę ze względu na ciebie". JB był zły: Malcolmowi i Richardowi (Richardowi!) powiedzieli wcześniej niż jemu. JB był smutny: Willem mógł mu powiedzieć prawdę; zawsze wolał Jude'a, tak? Dlaczego tego po prostu nie przyznał? Ale czy zawsze tak było? Czy jego lata romansów z kobietami to tylko kolosalne kłamstwo, którym Willem chciał zamydlić im oczy? JB był zazdrosny: czuł pociąg do Jude'a, owszem, i wiedział, że to nielogiczne i może troche samolubne, ale skłamałby, gdyby nie powiedział Willemowi, iż jest rozczarowany, że Willem wybrał Jude'a, a nie jego.

– JB – powtarzał co jakiś czas Willem – to było całkowicie naturalne. Nie powiedziałem ci, bo potrzebowałem czasu, żeby ułożyć to sobie w głowie. A co do pociągu do ciebie, cóż mogę powiedzieć? Nie czuję go. Ty też nie czujesz pociągu do mnie! Zrobiliśmy to raz, pamiętasz? Mówiłeś, że się kolosalnie rozczarowałeś, prawda?

JB w ogóle go nie słuchał.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego najpierw powiedzieliście Malcolmowi i Richardowi – rzekł nadąsany, a Willem nie miał na to odpowiedzi. – W każdym razie naprawdę się cieszę przez wzgląd na was dwóch. Naprawdę.

Willem westchnął.

– Dzięki, JB – powiedział. – To wiele dla mnie znaczy.

I znowu obaj zamilkli.

Z gabinetu wyszedł Jude.

– JB – powiedział, zdziwiony, że JB jeszcze siedzi. – Chcesz zostać na kolację?

– A co będzie?

– Dorsz. I upiekę ziemniaki, tak jak lubisz.

– No dobra – odrzekł chmurnie JB, a Willem uśmiechnął się do Jude'a ponad jego głową.

Willem poszedł do kuchni, gdzie krzątał się Jude, by przyrządzić sałatkę, a JB usiadł przy stole w jadalni i zaczął przeglądać powieść, którą Jude tam zostawił.

– Czytałem to – zawołał. – Chcesz wiedzieć, jak się kończy?

– Nie, JB – odparł Jude. – Jestem dopiero w połowie.

– Ten minister na końcu umiera.

– JB!

Potem humor JB nieco się poprawił. Ostatnie żale wygłaszał już bez przekonania, jak gdyby z poczucia obowiązku, a nie z autentycznych emocji.

– Założę się, że za dziesięć lat przerzucicie się na lesbijstwo. Przepowiadam wam koty – rzucił. A potem: – Obserwować was w kuchni to jakby patrzeć na nieco bardziej dwuznaczną rasowo wersję tego obrazu Johna Currina. Wiecie, o którym mówię? Sprawdźcie sobie.

– Ogłosicie to czy będziecie siedzieć cicho? – spytał JB przy kolacji.

– Nie wydam oświadczenia prasowego, jeśli o to ci chodzi – odparł Willem – ale też nie zamierzam tego ukrywać.

– Uważam, że to błąd – włączył się pospiesznie Jude.

Willem ani myślał mu odpowiadać: toczyli ten spór od miesiąca.

Po kolacji Willem z JB rozsiedli się na kanapie, popijając herbatę, a Jude wkładał naczynia do zmywarki. JB wydawał się już prawie spacyfikowany; Jude przypomniał sobie, że JB zawsze można było ułagodzić kolacją, jeszcze na Lispenard Street: siadał do stołu zły i kąśliwy, a wstawał udobruchany i miły.

– A jak tam seks? – zagadnął Willema JB.

– Nadzwyczajnie – odparł ten bez namysłu.

JB zrobił ponurą minę.

– Cholera – mruknął.

To oczywiście było kłamstwo. Willem nie miał pojęcia, czy seks z Jude'em jest nadzwyczajny, ponieważ nie uprawiali seksu. W ubiegły piątek był u nich Andy i powiedzieli mu o swoim związku, a Andy wstał i uściskał ich obu z wielką powagą, jakby był ojcem Jude'a i właśnie usłyszał od nich, że się zaręczyli. Willem odprowadził go do drzwi, a kiedy czekali na windę, Andy zapytał cicho:

– Jak idzie?

Willem nie od razu odpowiedział.

– Okej – rzekł wreszcie, Andy zaś, jakby odgadłszy wszystko, co nie zostało powiedziane, ścisnął go za ramię.

– Wiem, że nie jest ci łatwo, Willem – powiedział. – Ale musisz robić coś dobrego, bo nigdy nie widziałem go bardziej wyluzowanego i szczęśliwszego, nigdy. – Wyglądał tak, jakby miał ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale co mógł powiedzieć? Przecież nie: „Zadzwoń do mnie, jak będziesz chciał o nim pogadać" ani: „Daj mi znać, gdybym mógł ci w czymś pomóc", więc pozdrowił tylko Willema gestem ręki, gdy winda znikała mu z oczu.

Teraz, gdy JB poszedł, Willemowi przypomniała się dawna rozmowa z Andym w kawiarni i to, że chociaż Andy ostrzegał, jak będzie trudno, on mu nie całkiem wierzył. Był z tego zadowolony, bo gdyby uwierzył Andy'emu, to by go onieśmieliło i może bałby się za bardzo, by spróbować.

Wrócił i popatrzył na Jude'a, który spał. Tej nocy zdjął ubranie; leżał na plecach, z jednym ramieniem zgiętym pod głową, a Willem, jak to często robił, przesunął palcami po wewnętrznej stronie jego ręki poznaczonej rozpaczliwymi bliznami, po terenie wzgórz i dolin osmalonych ogniem. Czasami, kiedy był pewien, że Jude śpi głęboko, zapalał lampkę po jego stronie łóżka i studiował to ciało z bliska, ponieważ Jude nie pozwalał mu się oglądać za dnia. Odkrywał go i przesuwał dłońmi po jego ramionach, nogach, plecach, czując skórę to szorstką, to gładką, dziwiąc się permutacjom, jakie potrafi przybrać ciało, i jego zdolnościom regeneracyjnym, nawet po próbie zniszczenia. Swego czasu kręcił film na Wielkiej Wyspie Hawajów i w dniu wolnym od zdjęć wybrali się całą ekipą na pola lawy, gdzie obserwowali, jak teren zmienia się, przechodzi od skał porowatych i suchych jak zmurszała kość w połyskliwy krajobraz, który tworzyły fantazyjne zakrętasy czarnego lukru. Skóra Jude'a była równie zróżnicowana, równie zadziwiająca, a w niektórych miejscach tak mało przypominała znaną Willemowi ludzką skórę, jakby pochodziła z jakiegoś futurystycznego świata – prototyp ludzkiego ciała za dziesięć tysięcy lat.

– Odrzuca cię – powiedział cicho Jude, gdy po raz drugi się przed nim rozebrał, ale Willem zaprzeczył.

I zrobił to szczerze. Jude z taką skrytością strzegł zawsze swojego ciała, że gdy Willem je zobaczył, doznał swego rodzaju rozczarowania, ponieważ było takie normalne, tak nieskończenie mniej dramatyczne, niż sobie wyobrażał. Blizny Jude'a oglądał z przykrością nie dlatego, że były odrażające, ale dlatego, że wszystkie były świadectwami doznanych przez Jude'a krzywd. Najbardziej go bolał widok rąk przyjaciela. Nocami, gdy Jude spał, Willem obracał jego ręce w swoich, licząc nacięcia, próbując wyobrazić sobie siebie samego w stanie, w którym z własnej woli zadałby sobie ból, w którym chciałby zniszczyć swoje istnienie. Niektóre cięcia były świeże (Willem zawsze wiedział, kiedy Jude się tnie, bo w te noce sypiał w koszuli, więc musiał podwijać rękawy śpiącemu, macać bandaże) i zastanawiał się, kiedy Jude je zrobił, i dlaczego on nic nie zauważył. Kiedy wprowadził się na Greene Street po próbie samobójczej, Harold powiedział mu, gdzie Jude trzyma torebki z żyletkami,

i on również, podobnie jak Harold, zaczął je wyrzucać. Ale potem torebki znikły i Willem nie umiał znaleźć nowej kryjówki Jude'a.

Czasami jednak odczuwał nie ciekawość, tylko nabożny lęk: Jude był okaleczony znacznie bardziej, niż Willem był w stanie pojąć. Jak mogłem o tym nie wiedzieć? – pytał sam siebie. – Jak mogłem tego nie widzieć?

No i była też kwestia seksu. Andy ostrzegał go w tej sprawie, ale lęk i wstręt Jude'a wobec seksu niepokoiły go i chwilami przerażały. Którejś nocy pod koniec listopada, gdy byli już razem od sześciu miesięcy, Willem wsunął ręce pod bieliznę Jude, ten zaś wydał dziwny, zdławiony odgłos, jak zwierzę złapane w paszczę innego zwierzęcia, i odskoczył tak gwałtownie, że rozbił sobie głowę o zagłówek łóżka.

– Przepraszam – powiedzieli jednocześnie. – Przepraszam.

I był to moment, w którym po raz pierwszy Willem poczuł pewien lęk. Dotąd uważał, że Jude jest głęboko wstydliwy, ale w końcu wyzbędzie się tej cechy i poczuje się dość swobodnie, by uprawiać seks. W tamtym momencie uświadomił sobie jednak, że to, co brał za opór przed seksem, było w istocie panicznym lękiem, że Jude być może nigdy nie osiągnie swobody i że jeśli ostatecznie dojdzie między nimi do stosunku, to tylko dlatego, że Jude poczuje się do tego zobligowany albo że on, Willem, postanowi go zmusić. Żadna z tych możliwości go nie pociągała. Zawsze oddawano mu się dobrowolnie, nigdy też nie musiał czekać, przekonywać kogoś, że nie jest niebezpieczny, że nie skrzywdzi. Co ja mam robić? – zadawał sobie pytanie. Nie był tak mądry, żeby sobie na nie odpowiedzieć, a nie miał się kogo poradzić. Problem polegał też na tym, że z każdym tygodniem jego pożądanie rosło i coraz trudniej było je ignorować, wzmagała się jego determinacja. Dawno już nie pragnął tak bardzo uprawiać z kimś seksu, a fakt, że jest to ktoś, kogo kocha, czynił czekanie nieznośnym i absurdalnym.

Tej nocy Jude spał, a on go obserwował. Może popełniłem błąd, pomyślał.

Na głos powiedział:

– Nie wiedziałem, że to się okaże takie skomplikowane.

Jude sapnął, nieświadom zdrady Willema.

Ale potem przyszedł ranek, który przypomniał Willemowi, dlaczego trwa w tym związku, i oddalił naiwność i arogancję. Było wcześnie, ale już się obudził i patrzył przez uchylone drzwi garderoby, jak Jude się ubiera. To była nowość i Willem wiedział, jakie to trudne dla Jude'a. Widział, jak bardzo Jude się stara; rozumiał, że to, co dla niego i wszystkich, których znał, stanowi banalną oczywistość – ubieranie się przy kimś, rozbieranie się przy kimś – od Jude'a wymaga nieustannych ćwiczeń. Widział jego determinację i dzielność. Przypomniało mu to, że i on musi się dalej starać. Obydwaj byli

niepewni, obydwaj się starali najlepiej, jak mogli, obydwaj mieli chwile zwątpienia, postępu i regresu. Ale mieli starać się dalej, ponieważ ufali sobie nawzajem i ponieważ ten drugi był jedyną osobą, dla której warto podejmować taki wysiłek, pokonywać trudności, niepewność i zahamowania.

Gdy znów otworzył oczy, Jude siedział na skraju łóżka i uśmiechał się, a Willema przepełniło uczucie dla urody Jude'a, dla jego bliskości, dla łatwości, z jaką przychodziło go kochać.

– Nie idź – powiedział.

– Muszę – odparł Jude.

– Pięć minut.

– Pięć – potwierdził Jude i wślizgnął się pod koc, a Willem oplótł go ramionami, uważając, żeby nie pognieść garnituru, i przymknął oczy. To też uwielbiał: wiedzieć, że w tych chwilach uszczęśliwia Jude'a, wiedzieć, że Jude pragnie czułości, a on jest właśnie tą osobą, której wolno czułość okazywać. Czy to była arogancja? Czy to była pycha? Czy to było samozadowolenie? Nie sądził; zresztą nie dbał o to. W nocy powiedział Jude'owi, że według niego powinni powiedzieć Haroldowi i Julii w tym tygodniu, kiedy pojadą do nich na Święto Dziękczynienia.

– Jesteś pewien, Willem? – zapytał Jude ze stroskaną miną, a on wiedział, że w rzeczywistości jest to pytanie o samą ich relację; Jude zawsze trzymał drzwi uchylone, wciąż dawał do zrozumienia, że pozwoli mu odejść. – Chciałbym, żebyś się nad tym dobrze zastanowił, zwłaszcza zanim powiemy im.

Nie musiał tego mówić, bo Willem wiedział, czym grozi powiedzenie Haroldowi i Julii, w razie gdyby on później zmienił zdanie. Wybaczyliby mu, ale już nigdy nie byłoby tak samo. Bo oni zawsze wybraliby Jude'a. Wiedział o tym i tak powinno być.

– Jestem absolutnie pewien – powiedział.

Więc zawiadomili Harolda i Julię.

Myślał o tamtej rozmowie, nalewając wody do szklanki dla Kita i niosąc do stołu talerz z kanapkami.

– Co to jest? – spytał Kit, patrząc podejrzliwie na kanapki.

– Opiekany chleb wiejski z serem vermont i figami – objaśnił. – I sałatka z eskarioli z gruszką i *jamon*.

Kit westchnął.

– Wiesz, że próbuję nie jeść chleba – powiedział, chociaż Willem nie miał o tym pojęcia. Kit wgryzł się w kanapkę. – Dobre – powiedział niechętnie. – Okej – ciągnął, odkładając kanapkę. – Powiedz, o co chodzi.

Więc Willem mu powiedział, dodając, że nie zamierzał ogłaszać tego związku, ale też nie zamierzał go ukrywać. Kit jęknął.

– Kurwa mać – powiedział. – Kurwa mać. Tak myślałem. Nie wiem dlaczego, ale tak myślałem. Kurwa mać, Willem. – Oparł czoło o blat. – Daj mi chwilę – wymamrotał w stół. – Mówiłeś Emilowi?

– Tak.

Emil był menedżerem Willema. Kit z Emilem pracowali najlepiej zjednoczeni przeciwko Willemowi. Gdy się zgadzali, lubili się. Gdy się nie zgadzali, przeciwnie.

– I co on na to?

– Powiedział: „Boże, Willem, tak się strasznie cieszę, że wreszcie związałeś się z kimś, kogo naprawdę kochasz i z kim się dobrze czujesz, naprawdę nie mógłbym być szczęśliwszy jako twój przyjaciel, który od dawna ci sprzyja".

W rzeczywistości Emil powiedział: „Chryste, Willem. Jesteś pewien? Rozmawiałeś już z Kitem? Co on na to?".

Kit podniósł głowę i spiorunował Willema wzrokiem (nie miał zbyt wielkiego poczucia humoru).

– Willem, cieszę się ze względu na ciebie – powiedział. – Zależy mi na tobie. Ale czy pomyślałeś, co teraz będzie z twoją karierą? Czy pomyślałeś, jak będziesz obsadzany? Ty nie masz pojęcia, co to znaczy być aktorem gejem w tym biznesie.

– Właściwie nie uważam się za geja – zaczął Willem, ale Kit przewrócił oczami.

– Nie bądź naiwny, Willem. Jak raz dotknąłeś kutasa, jesteś gejem.

– Powiedziane jak zwykle z subtelnością i wdziękiem.

– Daj spokój, Willem, w tych sprawach nie można sobie pozwolić na galanterię.

– Nie pozwalam sobie, Kit. Ale przecież nie jestem gwiazdą.

– Bez przerwy to powtarzasz! Ale nią jesteś, czy ci się to podoba, czy nie. Zachowujesz się, jakby twoja kariera miała się dalej potoczyć po tej samej trajektorii, a pamiętasz, co się stało z Carlem?

Carl był klientem kolegi Kita, jedną z największych gwiazd kina poprzedniej dekady. Potem został zmuszony do ujawnienia swojej orientacji seksualnej i jego kariera zwiędła. Jak na ironię, to właśnie nagły zanik popularności Carla wyniósł w górę Willema; co najmniej dwie role, które otrzymał, kiedyś dostałyby się Carlowi.

– Posłuchaj: masz znacznie większy talent niż Carl, jesteś też bardziej elastyczny. A i klimat społeczny jest inny niż za czasów Carla, przynajmniej u nas w kraju. Ale nie oddałbym ci przysługi, gdybym cię nie przygotował na pewne ochłodzenie. Jak dotąd chroniłeś prywatność. Nie mogłoby tak zostać?

Willem nie odpowiedział, tylko sięgnął po następną kanapkę, a Kit mu się przyglądał.

– Co myśli Jude?

– Jude myśli, że skończę w trupie Kandera i Ebba występującej na statkach wycieczkowych na Alaskę – przyznał szczerze.

Kit prychnął.

– A ty powinieneś myśleć gdzieś pomiędzy myśleniem swoim a Jude'a – powiedział. – Po tym wszystkim, co stworzyliśmy razem… – dodał grobowym głosem.

Willem też westchnął. Kiedy Jude poznał Kita, jakieś piętnaście lat temu, odwrócił się potem do Willema i rzekł z uśmiechem:

– To jest twój Andy.

Lata dowiodły, że miał rację. Okazało się, że Kit i Andy nie tylko, o zgrozo, się znają – studiowali w jednej grupie, a na pierwszym roku mieszkali w tym samym akademiku – ale obaj lubią się przedstawiać jako stwórcy Willema i Jude'a, w pewnym sensie. Byli ich obrońcami i strażnikami, ale też próbowali przy każdej okazji decydować o kształcie i formie ich życia.

– Myślałem, że okażesz trochę więcej wsparcia, Kit – powiedział smutno.

– Dlaczego? Bo jestem gejem? Być agentem gejem to nie to samo co być gejem aktorem twojego formatu, Willem – odburknął gniewnie Kit. – No, ale przynajmniej jedna osoba się z tego ucieszy. Noel – reżyser *Duetów* – będzie, kurwa, uszczęśliwiony. To będzie superreklama dla jego skromnego projektu. Mam nadzieję, że lubisz robić filmy gejowskie, Willem, bo możesz w nich utknąć po kres swoich dni.

– Nie wydaje mi się, żeby *Duety* były filmem gejowskim – zaoponował Willem, a potem, zanim Kit zdążył przewrócić oczami i palnąć mu kazanie, dodał: – Jeżeli rzeczywiście tak skończę, to świetnie. – I powtórzył słowa wypowiedziane swego czasu do Jude'a: – Zawsze będę miał pracę, nie martw się.

(– A co będzie, jak przestaną cię obsadzać w filmach? – spytał wtedy Jude.

– To będę grał w teatrze. Albo pracował w Europie. Zawsze chciałem robić coś w Szwecji. Jude, zapewniam cię: zawsze będę miał pracę.

Jude milczał. Leżeli w łóżku; było późno.

– Willem, ja nie mam nic przeciwko temu, nic a nic, żebyś utrzymał to w tajemnicy – powiedział wreszcie.

– Ale ja nie chcę – odparł Willem. Bo nie chciał. Nie miał na to dość energii, zmysłu planowania, wytrwałości.

Znał parę aktorów – starszych i występujących w znacznie bardziej komercyjnych produkcjach – którzy będąc gejami, ożenili się z kobietami, i widział, jak płytkie, sfabrykowane było ich życie. Nie chciał dla siebie takiego życia; nie chciał schodzić z planu, czując się w dalszym ciągu postacią z filmu. Kiedy był w domu, chciał czuć naprawdę, że jest w domu.

– Ja się tylko boję, że mnie odtrącisz – wyznał Jude, ściszając głos.

– Nigdy cię nie odtrącę – obiecał Willem).

Teraz jeszcze przez godzinę Kit wygłaszał proroctwa, a potem nagle, kiedy stało się jasne, że Willem nie zmieni zdania, nieoczekiwanie zmienił je Kit.

– Będzie dobrze, Willem – rzekł z determinacją, jakby to Willem przez cały czas się zamartwiał. – Jeżeli komuś ma się to udać, to tylko tobie. Zrobimy tak, żeby wszystko funkcjonowało. Będzie dobrze. – Kit przyjrzał mu się, przekrzywiając głowę. – Chcecie się pobrać?

– Jezu, Kit! – żachnął się Willem. – Przed chwilą chciałeś nas rozwodzić.

– Nieprawda, Willem. Wcale nie. Chciałem cię tylko namówić do trzymania języka za zębami, nic poza tym. – Znów westchnął, lecz tym razem z rezygnacją. – Mam nadzieję, że Jude docenia twoje poświęcenie.

– To nie jest poświęcenie – zaprotestował, a Kit przyszpilił go wzrokiem.

– Teraz nie – powiedział. – Ale kiedyś może być.

Tego wieczoru Jude wrócił do domu wcześniej.

– Jak poszło? – spytał Willema, przyglądając mu się bacznie.

– Dobrze – odparł powściągliwie Willem. – Poszło dobrze.

– Willem… – zaczął Jude, ale on mu przerwał.

– Jude, to już załatwione. Będzie dobrze, przysięgam ci.

Biuro Kita zdołało wyciszyć sprawę na dwa tygodnie i zanim w prasie ukazał się pierwszy artykuł, Willem z Jude'em byli już w samolocie do Hongkongu, gdzie chcieli odwiedzić Charliego Ma, dawnego współlokatora Jude'a z Hereford Street, potem zaś wybierali się do Wietnamu, Kambodży i Laosu. Willem starał się nie sprawdzać esemesów na wakacjach, ale Kit odebrał telefon z redakcji „New York", więc już wiedział, że będzie reportaż. Opublikowano go, kiedy byli w Hanoi. Kit przesłał mu tekst bez komentarza, a on przebiegł go wzrokiem, gdy Jude był w łazience. „Ragnarsson bawi na wakacjach i chwilowo jest nieosiągalny, lecz jego przedstawiciel potwierdził, że aktor pozostaje w związku z Jude'em St. Francisem, wysoce cenionym, wybitnym adwokatem z wpływowej firmy Rosen, Pritchard i Klein, swoim bliskim przyjacielem od czasów wspólnego mieszkania na pierwszym roku college'u" – czytał Willem. I dalej: „Ragnarsson jest za dobrym aktorem, by dobrowolnie deklarować swój udział w związku gejowskim". Potem następował ustęp w tonie nekrologu, z wyszczególnieniem jego ról oraz cytatami z wypowiedzi rozmaitych agentów i publicystów, którzy gratulowali aktorowi odwagi, jednocześnie wróżąc mu zmierzch kariery; były też sympatyczne wypowiedzi znajomych aktorów i reżyserów z zapewnieniami, że jego deklaracja niczego nie zmienia, oraz zamykająca wypowiedź dyrektora studia, którego nazwiska nie podano, że siłą Ragnarssona nigdy

nie były role romantyczne, więc prawdopodobnie aktor się obroni. Na końcu artykułu był link do zdjęcia przedstawiającego jego i Jude'a podczas wrześniowego wernisażu prac Richarda w galerii Whitney.

Gdy Jude wyszedł z łazienki, Willem podał mu telefon i obserwował go przy lekturze artykułu.

– Och, Willem – westchnął Jude, a potem czytał dalej i nagle zbladł. – Tu pada moje nazwisko!

I po raz pierwszy Willemowi przyszła do głowy myśl, że Jude mógł chcieć utrzymać wszystko w sekrecie nie tylko przez wzgląd na jego prywatność, ale też swoją.

– Nie sądzisz, że powinienem spytać Jude'a, zanim potwierdzę publicznie jego tożsamość? – spytał Kit, gdy ustalali, co ma w jego imieniu powiedzieć reporterowi.

– Nie, to zbyteczne – zapewnił go Willem. – On nie będzie miał nic przeciwko temu.

Kit chwilę milczał.

– Może mieć, Willem.

Lecz Willem naprawdę nie brał tego pod uwagę. Teraz jednak zastanowił się, czy nie dopuścił się nadużycia. Myślałeś, że jak ciebie to nie obchodzi, to jego też nie? – pytał sam siebie.

– Przykro mi, Willem – powiedział Jude, a on wiedział, że sam powinien pocieszać Jude'a, który zapewne czuje się winny, i przeprosić go, ale w tym momencie nie był w nastroju.

– Idę pobiegać – oświadczył i chociaż nie patrzył na Jude'a, to wiedział, że ten kiwa głową.

Było tak wcześnie, że miasto pozostawało ciche i jeszcze chłodne, powietrze miało barwę brudnej bieli i tylko kilka aut jechało ulicą. Hotel znajdował się w pobliżu opery francuskiej, którą Willem obiegł wokoło, a potem zawrócił w stronę hotelu i dzielnicy noszącej ślady epoki kolonialnej, wymijając handlarzy przycupniętych obok szerokich, płaskich bambusowych koszy, w których piętrzyły się małe, zieloniutkie limonki, sterty świeżych ziół o zapachu cytryny, róże oraz papryczki. Gdy uliczki stały się wąskie, zwolnił i krokiem spacerowym skręcił w alejkę wypełnioną zaimprowizowanymi restauracyjkami, w których kobiety stały nad naczyniami z gorącą zupą lub oliwą i było tylko cztery, pięć plastikowych stołków dla klientów jedzących pospiesznie przed szybkim wycofaniem się z alejki, gdzie wsiadali na rowery i pedałowali w dal. Willem zatrzymał się na końcu uliczki, by przepuścić rowerzystę z przytroczonym do siodełka koszem najeżonym włóczniami bagietek, których gorąca, mleczna woń napełniła jego nozdrza, a potem zapuścił się w inną alejkę, pełną handlarzy kucających nad koszami z wiązkami ziół lub czarnymi kopcami owoców mangostanu albo nad tacami srebrnoróżowych ryb, tak świeżych, że słyszał, jak łykają powietrze, i widział ich oczy rozpaczliwie cofnięte w oczodoły. Nad jego głową wisiały niczym latarnie ciągi klatek, a w każdej świergotał ptaszek. Willem miał przy sobie trochę gotówki, więc kupił dla Jude'a bukiecik ziół, które

wyglądały na rozmaryn, ale pachniały przyjemnie mydłem, więc chociaż nie wiedział, co to za roślina, pomyślał, że Jude ją rozpozna.

Wracając powoli do hotelu, rozważał, jak strasznie jest naiwny: w kwestii kariery, w kwestii Jude'a. Dlaczego zawsze sądzi, że wie, co robi? Dlaczego myśli, że może robić, co chce, i wszystko ułoży się zgodnie z jego wyobrażeniami? Czy to brak kreatywności, czy arogancja, czy (jak zakładał) zwyczajna głupota? Ludzie, ludzie, którym ufał i których szanował, stale go ostrzegali – Kit, jeśli idzie o karierę; Andy, jeśli idzie o Jude'a; Jude, jeśli idzie o siebie – a jednak on zawsze ich lekceważył. Po raz pierwszy zastanowił się, czy Kit nie miał racji, czy Jude nie miał racji, czy już nigdy nie dostanie pracy, a przynajmniej takiej, jaką lubi. Czy miałby wówczas pretensje do Jude'a? Chyba nie; miał nadzieję, że nie. Ale nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał to sprawdzić, nie na serio.

Lecz gorsze od tych obaw było straszne pytanie, które rzadko sobie zadawał: a jeśli rzeczy, do których nakłania Jude'a, wcale nie są dla niego dobre? Dzień wcześniej po raz pierwszy wykąpali się razem pod prysznicem i Jude był potem taki milczący, tak zagłębiony w swoim świecie fugi i tak puste miał oczy, że Willem się przeraził. Jude nie chciał tej kąpieli, lecz Willem go zmusił i pod prysznicem Jude stał sztywny i ponury, a po rysunku jego ust Willem domyślił się, że Jude ledwo to znosi, że tylko czeka, aż się skończy. A jednak Willem nie pozwolił mu wyjść spod prysznica, zatrzymał go. Zachował się (niechcący, ale czy to ważne?) jak Caleb – zmusił Jude'a do zrobienia czegoś, czego ten nie chciał, i Jude to zrobił, ponieważ on mu kazał. „Będę dla ciebie dobry", obiecywał, a przypomniawszy to sobie – choć przecież święcie wierzył w swoją obietnicę – poczuł, że robi mu się niedobrze. Nikt nigdy nie ufał mu w sposób tak niekwestionowany jak Jude. Ale on nie miał pojęcia, co robi.

„Willem nie jest terapeutą – przypomniały mu się słowa Andy'ego. – Jest aktorem". I chociaż wtedy obaj z Jude'em się z tego śmiali, to teraz nie był już pewien, czy Andy się mylił. Bo kim on jest, żeby miał kierować życiem psychicznym Jude'a? „Nie ufaj mi tak strasznie", chciał mu powiedzieć. Ale jak mógł powiedzieć coś takiego? Czy nie tego pragnął od Jude'a, od ich związku? Stać się sobie nawzajem tak niezbędnymi, żeby jeden nie umiał sobie wyobrazić życia bez drugiego? I teraz to miał, a wymagania z tym związane przerażały go. Wziął na siebie odpowiedzialność, nie zdając sobie sprawy, ile złego może zrobić. Czy w ogóle się do tego nadawał? Myślał o przerażeniu Jude'a seksem i wiedział, że pod tym lękiem czai się inny, zawsze obecny, o który Willem nigdy Jude'a nie spytał. Więc co miał robić? Żałował, że nie ma nikogo, kto mógłby mu jednoznacznie powiedzieć, czy robi dobrze, czy też nie. Żałował, że nie ma nikogo, kto by go poprowadził w tym związku, tak jak Kit prowadził go w karierze zawodowej, mówiąc, kiedy powinien ryzykować, a kiedy się wycofać, kiedy grać Willema Herosa, a kiedy Ragnarssona Groźnego.

Och, co ja robię? – powtarzał jak mantrę w rytm miarowego klapania swoich stóp o asfalt, kiedy biegł, mijając mężczyzn, kobiety i dzieci szykujących się do kolejnego dnia, mijając budynki wąskie jak szafy, mijając sklepiki sprzedające sztywne jak cegła poduszki wypchane plecioną w warkocze słomą, mijając chłopczyka tulącego w objęciach jaszczurkę o władczym spojrzeniu. Och, co ja robię, och, co ja robię?

Zanim godzinę później wrócił do hotelu, niebo zmieniło kolor z białego na wspaniały bladoseledynowy błękit. Biuro podróży zarezerwowało im apartament z dwoma łóżkami, jak zwykle (zapomniał zlecić swojej asystentce, żeby to zmieniła), i Jude leżał teraz na tym, w którym spali ostatniej nocy, ubrany, czytając, a kiedy Willem wszedł, wstał, podszedł i uściskał go.

– Jestem cały spocony – wymamrotał Willem, ale Jude go nie puścił.

– Nie szkodzi. – Odstąpił o krok i przyjrzał się Willemowi, trzymając go za ramiona. – Wszystko będzie dobrze – powiedział tym samym stanowczym tonem, jakim Willem zwracał się nieraz przez telefon do swoich interesantów. – Jest dobrze, naprawdę. Zawsze będę się tobą opiekował, wiesz o tym, prawda?

Willem się uśmiechnął.

– Wiem – powiedział i poczuł ulgę, nie z racji samego zapewnienia Jude'a, lecz z racji jego pewności siebie, kompetencji, niezwykłej pewności, że i on ma coś do zaoferowania.

Przypomniało to Willemowi, że ich relacja to nie misja ratunkowa, tylko przedłużenie przyjaźni, w której on ratował Jude'a, ale równie często Jude ratował jego. On pomagał Jude'owi, gdy ten miał atak bólu, albo bronił go przed ludźmi zadającymi zbyt wiele pytań, Jude zaś wysłuchiwał jego zmartwień w związku z pracą albo lamentów z powodu niedostania roli, albo (ku jego upokorzeniu) przez trzy miesiące płacił za niego czesne w college'u, bo Willemowi nie wypaliła praca i nie miał dość pieniędzy. A jednak przez ostatnie siedem miesięcy on wmawiał sobie, że musi Jude'a naprawić, usprawnić go, podczas gdy Jude nie wymagał usprawniania. Jude zawsze brał go takiego, jakim jest, więc on musi spróbować postępować tak samo.

– Zamówiłem śniadanie – powiedział Jude. – Myślę, że przyda ci się chwila prywatności. Chcesz wziąć prysznic?

– Dzięki, ale chyba po jedzeniu. – Nabrał powietrza. Czuł, jak spływa z niego napięcie; wracał do siebie. – Ale pośpiewasz ze mną?

Od dwóch miesięcy codziennie rano śpiewali razem w ramach przygotowań do *Duetów*. W filmie bohater grany przez Willema i jego ekranowa żona przewodzili bożonarodzeniowemu kolędowaniu i mieli śpiewać własnymi głosami. Reżyser przesłał Willemowi listę pieśni, nad którymi powinien popracować, i Jude z nim ćwiczył. Jude prowadził linię melodyczną, a Willem dawał drugi głos.

– Jasne – odrzekł Jude. – To, co zwykle?

Od tygodnia pracowali nad *Adeste Fideles*, którą Willem miał zaśpiewać a cappella, i od tygodnia fałszował zawsze w tym samym punkcie, przy „Venite adoremus", zaraz w pierwszej zwrotce. Krzywił się za każdym razem, słysząc swój błąd, a Jude kręcił głową i śpiewał dalej, więc Willem towarzyszył mu aż do końca.

– Za dużo o tym myślisz – powtarzał Jude. – Fałszujesz, bo za mocno się koncentrujesz na tym, żeby zaśpiewać czysto. Po prostu nie myśl o tym, Willem, a zaśpiewasz dobrze.

Tego ranka Willem miał pewność, że zaśpiewa czysto. Podał Jude'owi bukiecik ziół, który wciąż trzymał w garści, a Jude podziękował, pocierając w dwóch palcach drobne liliowe kwiatuszki, żeby uwolnić ich zapach.

– Zdaje mi się, że to odmiana pachnotki – powiedział, podstawiając Willemowi palce do powąchania.

– Ładne.

Uśmiechnęli się do siebie.

Potem Jude zaczął śpiewać, on się włączył i przeszedł przez trudny moment bez fałszowania. Tuż po ostatniej nucie pieśni Jude natychmiast zaczął następny utwór z listy, *For Unto Us a Child Is Born*, a potem *Good King Wenceslas*, i od początku to samo, a Willem mu wtórował. Jego głos nie był tak pełny jak głos Jude'a, ale słyszał, że jest całkiem niezły, może nawet trochę lepszy niż niezły; słyszał, że brzmi lepiej z głosem Jude'a, więc przymknął oczy i pozwolił sobie ponapawać się śpiewem.

Śpiewali jeszcze, gdy u drzwi brzęknął dzwonek zapowiadający ich śniadanie, ponieważ jednak Willem stał, Jude położył dłoń na jego nadgarstku i pozostali na miejscach, Jude na siedząco, Willem na stojąco, póki nie dośpiewali ostatnich słów pieśni. Dopiero po jej zakończeniu poszli otworzyć drzwi. W pokoju pachniało rośliną przyniesioną przez Willema, zieloną i świeżą, w jakiś sposób znajomą, jak coś, o czym nie wiedział, że to lubi, dopóki niespodziewanie nie pojawiło się w jego życiu.

2

Za pierwszym razem, gdy Willem go zostawił – dwa lata temu, dwa stycznie temu – wszystko poszło źle. W ciągu dwóch tygodni po wyjeździe Willema do Teksasu na zdjęcia do *Duetów* Jude przeżył trzy ataki bólu kręgosłupa (w tym jeden w biurze i jeden w domu, dwugodzinny). Wrócił ból w stopach. Na prawej łydce otworzyła się rana (nie wiedział, skąd się wzięła). Ale to jeszcze nic.

– Mówisz o tym jakoś dziwnie wesolutko – powiedział Andy, gdy Jude był zmuszony zjawić się u niego drugi raz w ciągu tygodnia. – Nabieram podejrzeń.

– A tam – odparł Jude, chociaż ledwo mógł mówić z powodu silnego bólu. – To się zdarza, no nie?

Tej nocy jednak, leżąc w łóżku, podziękował swojemu ciału, że tak długo trzymało się w szachu, że tak się kontrolowało. Przez trzy miesiące, które w cichości ducha uważał za swój i Willema okres zalotów, ani razu nie skorzystał z wózka. Ataki miał rzadkie, krótkie i nigdy nie zdarzały się w obecności Willema. Rozumiał, że to niemądre – Willem wiedział przecież o jego dolegliwościach, widział go w najgorszym stanie – ale był wdzięczny losowi, że w okresie, gdy obaj z Willemem zaczynali patrzeć na siebie inaczej, przydarzyła mu się odmiana i mógł udawać osobę sprawną fizycznie. Kiedy więc wrócił do normalnego stanu, nie powiedział Willemowi o tym, co się z nim działo (ten temat bezgranicznie go nudził i nie wyobrażał sobie, by innych nie nudził tak samo), i zanim Willem wrócił w marcu do domu, on czuł się w zasadzie lepiej, znów chodził, a rana była mniej więcej pod kontrolą.

Od tamtego razu Willem wyjeżdżał na dłużej jeszcze czterokrotnie – dwa razy na zdjęcia, dwa razy na objazdy promocyjne – i za każdym razem, czasem już w dniu wyjazdu Willema, ciało Jude'a załamywało się. Lecz on cenił to wyczucie czasu, uprzejmość własnego organizmu. Było tak, jakby jego ciało wcześniej niż umysł zdecydowało, że powinien być w tym związku, i pomagało mu w tym, usuwając jak najwięcej przeszkód i nie stwarzając żenujących sytuacji.

Teraz jest połowa września i Willem znowu szykuje się do wyjazdu. Ich rytuałem – od ostatniej wieczerzy całe życie temu – stało się, że w sobotę przed wyjazdem Willema idą do jakiejś wystrzałowej knajpy na kolację, a resztę nocy przegadują. W niedzielę śpią do późna, a po południu omawiają sprawy praktyczne: rzeczy do załatwienia pod nieobecność Willema, nadzwyczajne problemy do rozwiązania, decyzje do podjęcia. Odkąd ich wzajemna relacja zmieniła się z tego, czym była, na to, czym jest teraz, ich rozmowy stały się bardziej intymne i bardziej przyziemne, a ostatni tydzień przed wyjazdem Willema jest zawsze doskonałym, skondensowanym odbiciem tej prawdy:

sobota to dzień na obawy, tajemnice, wyznania i wspomnienia, niedziela to dzień na logistykę i na planowanie, które popycha ich wspólne życie do przodu.

Jude lubi oba rodzaje rozmów z Willemem, lecz te przyziemne ceni sobie bardziej, niż kiedyś mógłby sądzić. Zawsze czuł się związany z Willemem wielkimi rzeczami – miłością, zaufaniem – ale lubi też być z nim związany rzeczami drobnymi: rachunkami, podatkami i kontrolami dentystycznymi. Zawsze mu się przypomina wizyta przed laty u Harolda i Julii, kiedy tak strasznie się przeziębił, że większą część weekendu spędził na kanapie w salonie, zawinięty w koc, co chwila zapadając w sen. Wtedy w sobotę oglądali razem jakiś film i w pewnym momencie Harold z Julią zaczęli rozmawiać o odnowieniu kuchni w Truro. Jude na wpół drzemał, słuchając ich cichej rozmowy, która była tak nudna, że nie nadążał za detalami, ale też napełniała go poczuciem wielkiego spokoju: wydała mu się idealnym wyrazem dojrzałego związku, w którym z drugą osobą omawia się mechanizmy wspólnej egzystencji.

– Więc zawiadomiłem tego gościa od drzew, że zadzwonisz do niego w przyszłym tygodniu, dobrze? – pyta Willem. Są w sypialni, kończą pakowanie Willema.

– Dobrze. Napisałem sobie karteczkę, żeby zadzwonić do niego jutro.

– I powiedziałem Malcolmowi, że w przyszły weekend pojedziesz z nim na działkę, pamiętasz.

– Pamiętam. Mam to w kalendarzu.

Willem, rozmawiając, wrzucał do torby sterty ubrań, ale teraz przerywa i patrzy na niego.

– Czuję się naprawdę podle, że cię zostawiam z tyloma sprawami – mówi.

– Daj spokój. To żaden problem, daję ci słowo.

Większością planowania w ich życiu zajmują się asystentka Willema albo sekretarki Jude'a, ale szczegółami zarządzania domkiem na wsi zajmują się sami. Nigdy się co do tego nie umawiali, ale Jude czuje, że to ważne dla nich obydwu, żeby uczestniczyć w tworzeniu i być świadkami powstawania tego miejsca, które budują razem, pierwszego miejsca, które stworzą razem od czasów Lispenard Street.

Willem wzdycha.

– Przecież jesteś taki zajęty – mówi.

– Nie przejmuj się. Naprawdę, Willem, poradzę sobie.

Mimo to Willem ma stroskaną minę.

Tej nocy leżą bezsennie. Odkąd Jude zna Willema, zawsze doznaje tego samego uczucia na dzień przed jego wyjazdem: rozmawiając z nim, już przeczuwa, jak bardzo będzie za nim tęsknił. Teraz, gdy są naprawdę fizycznie razem, to uczucie, o dziwo, jeszcze się wzmogło. Teraz Jude tak przyzwyczaił się do obecności Willema, że jego nieobecność odczuwa głębiej i boleśniej.

– Wiesz, o czym jeszcze mamy porozmawiać – mówi Willem, a kiedy on się nie odzywa, Willem podciąga jego lewy rękaw i luźno unosi w dłoni jego nadgarstek. – Chcę, żebyś mi obiecał.

– Obiecuję – mówi on. – Dotrzymam.

Willem uwalnia jego rękę, przekręca się na plecy i milkną.

– Obaj jesteśmy zmęczeni. – Willem ziewa.

I to jest prawda – w ciągu niespełna dwóch lat Willem przeklasyfikował się na geja, Lucien wycofał się z firmy i Jude objął fotel kierownika wydziału adwokackiego; Willem i Jude zaczęli budować letni dom, osiemdziesiąt minut jazdy na północ od miasta. Kiedy są razem w weekendy (gdy Willem jest w domu, Jude też stara się tam być, więc w dni robocze przychodzi do biura jeszcze wcześniej, żeby nie musieć siedzieć długo w sobotę), spędzają nieraz wczesne wieczory, po prostu wylegując się razem na kanapie w salonie: w milczeniu obserwują, jak światło opuszcza pokój. Czasem wychodzą, ale znacznie rzadziej niż dawniej.

– Przejście na lesbijstwo trwało znacznie krócej, niż się spodziewałem – zauważył któregoś wieczoru JB, gdy zaprosili go do siebie na kolację z jego nowym chłopakiem, Fredrikiem. Byli jeszcze Malcolm z Sophie, Richard z Indią i Andy z Jane.

– Daj im spokój, JB – skarcił go łagodnie Richard, a wszyscy się roześmieli, lecz Jude nie miał wrażenia, że Willemowi było przykro, jemu zresztą też nie było. Bo co go obchodzi wszystko poza Willemem?

Czeka chwilę, czy Willem powie coś jeszcze. Zastanawia się, czy konieczne będzie zbliżenie seksualne. Wciąż nie umie odgadnąć, kiedy Willem tego chce, a kiedy nie, kiedy przytulenie okaże się czymś inwazyjnym i niepożądanym, ale zawsze jest na to gotowy. Z wielką przykrością przyznaje się przed sobą i nigdy nie powiedziałby tego głośno, że jedną z niewielu rzeczy, na które czeka w związku z wyjazdami Willema, jest to, że przez parę tygodni lub miesięcy nie będzie seksu, że nareszcie będzie mógł się odprężyć.

Uprawiają seks już od półtora roku (Jude uświadamia sobie, że musi przestać liczyć, tak jakby pożycie seksualne było wyrokiem więzienia), a Willem czekał na niego prawie dziesięć miesięcy. Podczas tych dziesięciu miesięcy Jude miał poczucie, że gdzieś jest zegar odliczający minuty, ale chociaż nie wiedział, ile czasu mu zostało, był pewien, że jakkolwiek Willem jest cierpliwy, nie pozostanie cierpliwy na zawsze. Parę miesięcy wcześniej, kiedy podsłuchał, jak Willem okłamuje JB o ich niesamowitym życiu seksualnym, poprzysiągł sobie, że jeszcze tej samej nocy powie Willemowi, że jest gotowy. Ale za bardzo się bał i pozwolił, żeby odpowiedni moment minął. Niewiele ponad miesiąc później, gdy byli na wakacjach w południowej Azji, znowu obiecał sobie, że spróbuje, i znowu nic z tego nie wyszło.

A potem przyszedł styczeń i Willem wyjechał do Teksasu na zdjęcia do *Duetów*, on zaś został sam na całe tygodnie, w trakcie których się przygotowywał, a w nocy po powrocie Willema (wciąż się zdumiewał, że Willem w ogóle do niego wraca; był tak zaskoczony i tak ekstatycznie szczęśliwy, że miał ochotę wystawić głowę przez okno i krzyczeć na całą ulicę, dając upust poczuciu nieprawdopodobieństwa wszystkiego, co się dzieje) oświadczył Willemowi, że jest gotowy.

Willem popatrzył na niego uważnie.

– Jesteś pewien? – spytał.

Oczywiście nie był. Ale wiedział, że jeśli chce być z Willemem, to kiedyś w końcu musi to zrobić.

– Tak.

– Naprawdę chcesz? – upewnił się Willem, wciąż na niego patrząc.

Jude zastanawiał się, o co chodzi. Czy to wyzwanie, czy prawdziwe pytanie? Pomyślał, że lepiej być po bezpiecznej stronie, więc odpowiedział:

– Tak. Oczywiście, że chcę.

I po uśmiechu Willema poznał, że wybrał właściwą odpowiedź.

Ale najpierw musiał mu powiedzieć o swoich chorobach.

„Jeżeli w przyszłości będziesz uprawiał seks, to pamiętaj, żeby z góry o tym informować – powiedział mu przed laty jeden z lekarzy w Filadelfii. – Nie chcesz chyba być odpowiedzialny za przekazanie tego komuś innemu".

Lekarz był surowy, a on nigdy nie zapomniał wstydu, jaki wówczas poczuł, ani lęku, że może podzielić swój brud z kimś innym. Dlatego napisał sobie mowę i recytował ją w kółko, aż się nauczył na pamięć, ale mimo to wyznanie okazało się o wiele trudniejsze, niż się spodziewał. W dodatku mówił tak cicho, że kilkakrotnie musiał powtarzać fragmenty, co jeszcze pogarszało sprawę. Przemowę tę wygłosił jak dotąd tylko raz, do Caleba, który milczał, a potem powiedział swoim niskim głosem: „Jude St. Francis. A więc jednak dziwka". On zaś zmusił się do uśmiechu i potwierdzenia. „College", wykrztusił, a Caleb uśmiechnął się do niego półgębkiem.

Willem też milczał, obserwując go, po czym zapytał:

– Kiedy się tego nabawiłeś, Jude? – Po chwili zaś dodał: – Bardzo mi przykro.

Leżeli obok siebie, Willem po swojej stronie łóżka, twarzą do niego, a on na wznak.

– Spędzałem rok na urlopie dziekańskim w Waszyngtonie – powiedział wreszcie, co oczywiście nie było prawdą. Powiedzenie prawdy wymagałoby dłuższej rozmowy, na którą on nie był gotowy, jeszcze nie.

– Jude, niezmiernie mi przykro – powiedział Willem, wyciągając do niego rękę. – Opowiesz mi o tym?

– Nie – odparł z uporem. – Myślę, że powinniśmy to zrobić. Teraz.

Bo już się przygotował. Kolejny dzień czekania niczego by nie zmienił, a on straciłby odwagę.

Więc to zrobili. Jude miał nadzieję, nawet się spodziewał, że z Willemem będzie inaczej, że nareszcie polubi tę czynność, ale od samego początku poczuł nawrót złych emocji. Próbował skupić uwagę na tym, że jednak jest wyraźnie lepiej: że Willem jest delikatniejszy niż Caleb, że się nie niecierpliwi, że przecież to jest Willem, człowiek, którego on kocha. Lecz gdy już było po wszystkim, przyszły ten sam wstyd, te same mdłości, to samo pragnienie zrobienia sobie krzywdy, wydarcia sobie wnętrzności i ciśnięcia nimi o ścianę z krwawym plaskiem.

– Było okej? – spytał cicho Willem, a on odwrócił się i spojrzał w twarz Willema, którą tak kochał.

– Tak – odpowiedział.

Może będzie lepiej następnym razem, pomyślał. A potem, następnym razem, kiedy było tak samo, pomyślał, że może będzie lepiej za trzecim razem. Za każdym razem miał nadzieję, że będzie inaczej. Za każdym razem mówił sobie, że tak będzie. Smutek, którego doznał, uświadomiwszy sobie, że nawet Willem nie może go uratować, że nie da się go zbawić, że to doświadczenie zostało mu na zawsze zohydzone, był jednym z największych smutków w jego życiu.

W końcu narzucił sobie pewne reguły. Po pierwsze nigdy nie odmawiać Willemowi. Jeżeli Willem tego chciał, musiał to dostać; nigdy nie zostanie odrzucony. Willem tak wiele poświęcił, żeby być z nim, i ofiarował mu taki spokój, że Jude był zdeterminowany, aby mu się odwdzięczyć, jak tylko będzie mógł. Po drugie spróbuje – tak jak mu kiedyś radził brat Luke – okazać więcej życia, więcej entuzjazmu. Pod koniec romansu z Calebem wrócił do obyczajów dawnego życia: Caleb odwracał go plecami do siebie, ściągał mu spodnie, a on się kładł i czekał. Teraz, z Willemem, starał się pamiętać polecenia brata Luke'a, którym zawsze był posłuszny – Teraz się odwróć. Teraz wydaj jakiś dźwięk. Teraz mi powiedz, że ci dobrze – i stosować je jak najczęściej w miarę możności, żeby sprawić wrażenie aktywnego partnera. Miał nadzieję, że jego umiejętności zamaskują brak entuzjazmu, i kiedy Willem spał, Jude przypominał sobie lekcje brata Luke'a, te lekcje, które przez całe dorosłe życie starał się zapomnieć. Wiedział, że zaskoczył Willema swoją wprawą: on, który zawsze milczał, kiedy inni przechwalali się swoimi dokonaniami w łóżku albo snuli pełne nadziei plany, on, który tolerował rozmowy przyjaciół na te tematy, ale nigdy się w nie nie angażował, okazał się ekspertem. Reguła trzecia nakazywała mu inicjować seks raz na każde trzy inicjatywy Willema, żeby nie było za dużej dysproporcji. Reguła czwarta: zrobi wszystko, co Willem mu każe. To jest Willem – tłumaczył sobie bardzo często. – To jest ktoś, kto cię nigdy nie skrzywdzi intencjonalnie. O cokolwiek cię prosi, to się mieści w granicach rozsądku.

Ale potem widział przed sobą twarz brata Luke'a. *Jemu też ufałeś* – drwił z niego głos. – *O nim też myślałeś, że cię chroni.*

Jak śmiesz – polemizował z tym głosem. – Jak śmiesz porównywać Willema z bratem Lukiem!

A czym się różnią? – odburkiwał głos. – *Obydwaj chcą od ciebie tego samego. Koniec końców jesteś dla nich tą samą rzeczą.*

Z czasem jego przerażenie zmalało, ale strach pozostał. Zawsze wiedział, że Willem lubi seks, ale zdziwiło go i przygnębiło, że Willem tak bardzo lubi seks z nim. Rozumiał, że to niesprawiedliwe, ale stwierdził, że z tego powodu mniej szanuje Willema, a siebie jeszcze bardziej nienawidzi za te uczucia.

Próbował skupić uwagę na pozytywnych różnicach w porównaniu z Calebem. Chociaż nadal bolało, to bolało mniej niż z kimkolwiek innym, a to z pewnością był plus. Nadal było nieprzyjemne, chociaż też mniej. I nadal budziło dojmujący wstyd, chociaż z Willemem Jude był w stanie pocieszyć się świadomością, że daje przynajmniej odrobinę przyjemności osobie, na której mu najbardziej zależy, i ta myśl pomagała mu się za każdym razem pozbierać.

Powiedział Willemowi, że zdolność do erekcji stracił w wyniku wypadku samochodowego, lecz to nie była prawda. Według Andy'ego (to było lata temu) nie istniała u niego fizyczna przyczyna braku erekcji. A jednak ich nie miał, i to od lat, od czasów college'u. Zresztą nawet wtedy były rzadkie i niekontrolowane. Willem spytał, czy nic na to nie można poradzić – zastrzyk, pigułka – ale on odpowiedział, że ma alergię na jeden ze składników tych leków, a zresztą to nie ma dla niego znaczenia.

Caleb nie przejmował się zbytnio tą jego niemożnością, ale Willem tak.

– Czy nie ma nic, co moglibyśmy zrobić, żeby ci pomóc? – pytał w kółko. – Rozmawiałeś z Andym? Spróbujemy czegoś innego?

Wreszcie Jude burknął, żeby Willem przestał go pytać, bo czuje się wtedy jak jakieś dziwadło.

– Przepraszam cię, Jude, nie chciałem – odpowiedział Willem po chwili ciszy. – Ja tylko chciałbym, żebyś miał z tego przyjemność.

– Mam – odpowiedział. Nienawidził kłamać Willemowi, ale jaka była alternatywa? Alternatywa oznaczała utratę Willema, oznaczała samotność na zawsze.

Czasami, często, przeklinał siebie i swoje ograniczenia, ale zdarzało się, że był wobec siebie łagodniejszy: rozumiał, jak bardzo jego umysł ochrania ciało, jak zamknął pociąg seksualny, aby go strzec, jak zmumifikował te jego części, które sprawiały mu ból. Zazwyczaj jednak wiedział, że robi źle. Wiedział, że jego niechęć fizyczna do Willema jest złem. Wiedział, że jego zniecierpliwienie upodobaniem Willema do gry wstępnej – do tych długich, żenujących chwil odchrząkiwania, które poprzedzały każde działanie, do tych drobnych gestów intymności, które, jak wiedział, były ze strony

Willema eksperymentowaniem z głębią jego własnej zdolności do podniecenia – jest złem. Lecz w jego doświadczeniu seks był czymś, czego należy się pozbyć jak najszybciej, z wprawą i obcesowością graniczącą z brutalnością, więc kiedy czuł, że Willem próbuje przedłużyć akt, proponował inny kierunek z determinacją, którą, jak się zorientował poniewczasie, Willem musiał mylnie brać za żarliwość. A potem brzmiała mu w głowie triumfalna konstatacja brata Luke'a: „Słyszałem, że ci się podobało", i kulił się wewnętrznie. Miał wtedy zawsze ochotę powiedzieć: Nieprawda! Nawet teraz: Nieprawda. Ale nie śmiał. Byli w związku. Ludzie będący w związku uprawiają seks. Jeżeli chce zatrzymać przy sobie Willema, to musi wypełniać ten punkt umowy, a jego niechęć do tego obowiązku niczego nie zmienia.

Mimo to nie poddawał się. Obiecał sobie, że popracuje nad swoją poprawą, choćby dla Willema, jeżeli nie dla siebie. Kupił – ukradkiem, z rumieńcami na twarzy, gdy składał zamówienie – trzy samouczki seksu i przeczytał je w trakcie wyjazdów Willema na tournée promocyjne, a kiedy Willem wrócił, próbował zastosować to, czego się nauczył, jednak rezultat był taki jak zawsze. Kupował czasopisma dla kobiet z artykułami typu „chcesz być lepsza w łóżku?" i studiował je starannie. Zamówił nawet książkę o tym, jak ofiary molestowania seksualnego – termin, którego nienawidził i nie stosował do siebie – radzą sobie z seksem, którą przeczytał jednym tchem w jedną noc, zamknąwszy drzwi gabinetu, żeby Willem go nie przyłapał. Lecz mniej więcej po roku postanowił zmienić swój cel. Sam być może nigdy nie polubi seksu, ale to nie znaczy, że nie może uczynić go przyjemniejszym dla Willema z wdzięczności i – bardziej samolubnie – jako sposób na zatrzymanie go przy sobie. Zwalczając wstyd, skoncentrował się więc na Willemie.

Teraz, gdy z powrotem uprawiał seks, uzmysłowił sobie, jak bardzo był nim przez wszystkie te lata otoczony i jak całkowicie przegnał wszelką myśl o seksie ze swojego życia na jawie. Przez kilkadziesiąt lat unikał rozmów o seksie, teraz jednak łowił je uchem, gdzie tylko mógł: podsłuchiwał kolegów w pracy, kobiety w restauracjach, mężczyzn mijających go na ulicy. Wszyscy rozmawiali o seksie, o tym, kiedy go uprawiali, o tym, że chcieliby go uprawiać więcej (wyglądało na to, że nikt nie chce go uprawiać mniej). Czuł się tak, jakby wrócił do college'u, a jego rówieśnicy znów stali się bezwiednymi nauczycielami; był w każdej chwili czujny na informacje, na lekcje o tym, jak się zachować. Oglądał programy talk-show w telewizji z parami, które przestały uprawiać seks; gośćmi tych programów byli mężowie i żony, którzy nie uprawiali seksu od miesięcy, niektórzy od lat. Wsłuchiwał się uważnie, lecz żaden z tych programów nie udzielił mu informacji, której poszukiwał: jak długo ci ludzie w związkach uprawiali seks? Jak długo jeszcze będzie musiał czekać, aż to się zdarzy Willemowi i jemu? Przyglądał się tym parom. Czy były szczęśliwe? (Najwyraźniej nie: pokazywały się w telewizji, opowiadając obcym o swoim życiu seksualnym i prosząc o pomoc).

A przecież wydawały się szczęśliwe, przynajmniej jakąś wersją szczęścia. Ta kobieta i ten mężczyzna, którzy nie uprawiali seksu od trzech lat, nadal okazywali sobie czułość dotknięciem w ramię, bez wątpienia przepełnieni wzajemnym uczuciem, najwyraźniej pozostający w związku z powodów ważniejszych niż seks. W samolotach oglądał komedie romantyczne, farsy o małżeństwach nieuprawiających seksu. Wszystkie filmy o ludziach młodych mówiły o potrzebie seksu; wszystkie filmy o ludziach starych mówiły o potrzebie seksu. Oglądał te filmy z poczuciem klęski. Kiedy człowiek przestaje chcieć uprawiać seks? Czasami docierała do niego ironia sytuacji: Willem, pod każdym względem partner idealny, który wciąż pragnął seksu, i on, pod każdym względem partner nieidealny, który nie pragnął go wcale. On, kaleka, który nie chciał, i Willem, który jakoś i tak chciał. A jednak Willem był jego własną wersją szczęścia; był wersją szczęścia, na którą Jude nigdy nie liczył.

Zapewnił Willema, że jeżeli ma jeszcze ochotę na seks z kobietami, to on nie widzi przeszkód, ale Willem odpowiedział:

– Nie mam. Mam ochotę na seks z tobą.

Ktoś inny wzruszyłby się taką odpowiedzią i Jude był wzruszony, ale też zrozpaczony. Kiedy to się skończy? A potem nieuchronnie pytanie: A jeżeli nigdy? Jeżeli nigdy nie będzie mógł przestać? Przypominały mu się lata w motelowych pokojach, chociaż nawet wtedy miał jakąś datę graniczną (fałszywą wprawdzie), na którą mógł czekać – szesnaście lat. Kiedy skończy szesnaście lat, będzie mógł przestać. Teraz miał czterdzieści pięć, a czuł się z powrotem jak jedenastolatek, bo stale czekał na dzień, w którym ktoś – kiedyś brat Luke, a teraz (niesprawiedliwość, niesprawiedliwość) Willem – powie mu: „Koniec. Spełniłeś swój obowiązek. Wystarczy". Pragnął, żeby ktoś mu powiedział, że pomimo tych uczuć jest nadal istotą ludzką, że można być takim jak on i nie ma w tym nic złego. Może istniał na świecie ktoś, kto czuł się podobnie jak on? Może ta nienawiść do aktu seksualnego nie była ułomnością domagającą się korekty, lecz zwyczajnie kwestią upodobań? Pewnej nocy leżeli w łóżku – obaj zmęczeni po dniu w pracy – i Willem zaczął mówić o dawnej przyjaciółce Molly, z którą zjadł lunch. Spotkał się z nią raz czy dwa w ciągu tych lat. Według Willema przeżywała trudny okres; wreszcie, po kilkudziesięciu latach, wyznała matce, że ojciec, który zmarł rok wcześniej, molestował ją seksualnie.

– To straszne – powiedział Jude odruchowo. – Biedna Molly.

– Tak – odparł Willem i na chwilę zapadła cisza. – Powiedziałem jej, że nie ma powodu się wstydzić, że nie zrobiła nic złego.

Jude poczuł, że robi mu się gorąco.

– Miałeś rację – rzekł w końcu i ziewnął demonstracyjnie. – Dobranoc, Willemie.

Przez minutę czy dwie leżeli w milczeniu.

– Jude – odezwał się łagodnie Willem. – Czy ty mi kiedyś o tym opowiesz?

Co mogę powiedzieć, myślał, leżąc nieruchomo. Dlaczego Willem akurat teraz o to pyta? Uważał, że tak świetnie mu wychodzi udawanie normalnego, ale może wcale nie było tak świetnie. Będzie się musiał bardziej starać. Nigdy nie opowiedział Willemowi, co się zdarzyło z bratem Lukiem, ale oprócz tego, że nie był w stanie o tym mówić, w jakiś sposób wiedział, że nie potrzebuje: w ciągu minionych dwóch lat Willem próbował podejść do tego tematu z różnych stron – przez historyjki o przyjaciołach i znajomych, jednych wymienianych z imienia, innych nie (Jude musiał zakładać, że część tych osób to fikcyjne postaci, bo przecież nikt nie mógł mieć takiej kolekcji molestowanych seksualnie znajomych), przez historie o pedofilii wyczytane w prasie, przez dyskusje o naturze wstydu, częstokroć niezasłużonego. Po każdej takiej przemowie Willem milkł i czekał, jakby mentalnie wyciągał do Jude'a rękę, zapraszając go do tańca. Lecz on nigdy nie przyjął tej ręki. Za każdym razem zachowywał milczenie albo zmieniał temat, albo po prostu udawał, że nie usłyszał. Nie wiedział, jak Willem doszedł do tej prawdy o nim; nie chciał wiedzieć. Najwyraźniej osoba, za jaką starał się uchodzić, nie była tą samą osobą, którą widzieli Harold i Willem.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – odezwał się wreszcie.

Willem przesunął się na łóżku.

– Bo… – zaczął, ale urwał. – Bo – podjął – powinienem był skłonić cię do mówienia już dawno temu. – Znów urwał. – Z całą pewnością zanim zaczęliśmy uprawiać seks.

Jude przymknął oczy.

– Czy nie spisuję się dość dobrze? – zapytał cicho i pożałował tego pytania, ledwie je zadał. Tak mógł zapytać brata Luke'a, a Willem nie był bratem Lukiem.

Po milczeniu Willema poznał, że i jego zaskoczyło to pytanie.

– Nie – odrzekł. – To znaczy tak. Ale Jude… ja wiem, że ciebie coś spotkało. Chciałbym, żebyś mi opowiedział. Chciałbym, żebyś mi pozwolił sobie pomóc.

– To już minęło, Willem – odrzekł po dłuższej chwili. – To było dawno temu. Nie potrzebuję pomocy.

Znowu zapadła cisza.

– Czy to brat Luke był tą osobą, która cię skrzywdziła? – zapytał Willem, a ponieważ Jude nie odpowiadał, a sekundy płynęły, zadał następne pytanie: – Czy ty lubisz seks, Jude?

Gdyby się odezwał, rozpłakałby się, więc się nie odezwał. Słowo „nie", tak krótkie, tak łatwe do wymówienia, gwałtowne wypuszczenie powietrza; wystarczyło otworzyć usta i to słowo wyszłoby z nich samo i… I co? Willem by go zostawił i wszystko zabrał ze sobą. Mogę to wytrzymać, myślał,

gdy uprawiali seks, mogę to wytrzymać. Mógł to wytrzymać w zamian za wszystkie ranki i przebudzenia z Willemem u boku, w zamian za każdą oznakę uczucia, którą Willem go obdarzał, w zamian za komfort jego towarzystwa. Kiedy Willem oglądał telewizję w salonie, a on przechodził obok, Willem wyciągał rękę, a on ją ujmował i tak pozostawali przez chwilę: Willem wpatrzony w ekran, na siedząco, on zaś na stojąco, ze złączonymi rękami, aż wreszcie puszczał dłoń Willema i szedł dalej. Potrzebował jego obecności; każdego dnia, odkąd Willem się do niego wprowadził, doświadczał tego samego uczucia spokoju, które miał, kiedy Willem nocował u niego przed wyjazdem na zdjęcia do *Księcia cynamonu*. Willem był jego balastem, więc trzymał się go kurczowo, chociaż przez cały czas był świadom, jakie to samolubne z jego strony. Wiedział, że gdyby prawdziwie kochał Willema, odszedłby od niego. Pozwoliłby mu – zmusiłby go, jeśli trzeba – żeby poszukał sobie kogoś lepszego do kochania, kogoś, kto będzie lubił uprawiać z nim seks, kogoś, kto autentycznie by go pragnął, kogoś z mniejszą ilością problemów, kogoś o większym uroku. Willem był dla niego dobry, a on był dla Willema zły.

– A ty lubisz uprawiać ze mną seks? – spytał, gdy wreszcie mógł się odezwać.

– Tak – odpowiedział natychmiast Willem. – Uwielbiam. Ale czy *ty* lubisz?

Jude przełknął, odliczył do trzech.

– Tak – odrzekł cicho, wściekły na siebie, a zarazem z uczuciem ulgi. Zyskał na czasie, czasie obecności Willema, ale także przedłużył czas seksu. A gdybym powiedział „nie”?

I tak żyli dalej. Ale rekompensatą za seks jest cięcie się, które Jude stosuje coraz częściej: aby ulżyć sobie we wstydzie i ukarać się za niezadowolenie. Długo zachowywał dyscyplinę: raz na tydzień i tylko dwa cięcia, nie więcej, ale przez ostatnie pół roku łamał tę regułę raz po raz, a teraz tnie się tak samo jak wtedy, kiedy był z Calebem, tak samo jak w miesiącach poprzedzających adopcję.

Jego wzmożone cięcie się było przedmiotem ich pierwszej prawdziwie strasznej kłótni, nie tylko odkąd są parą, ale w ciągu całej dwudziestodziewięcioletniej przyjaźni. Czasami cięcie się nie należy do ich związku. A czasami jest samym związkiem, pojawia się we wszystkich rozmowach, spierają się o nie, nawet gdy nie rozmawiają. Jude nigdy nie wie, kiedy Willem nie powie nic na jego T-shirt z długim rękawem w łóżku, a kiedy zacznie go indagować. Tyle już razy tłumaczył Willemowi, że tego potrzebuje, że to mu pomaga, że nie jest w stanie przestać, ale Willem nie potrafi albo nie chce zrozumieć.

– Czy ty nie możesz pojąć, dlaczego to mnie tak strasznie martwi? – pyta go Willem.

– Nie, Willem. Ja wiem, co robię. Musisz mi ufać.

– Ufam ci, Jude. Ale tu nie chodzi o zaufanie. Chodzi o to, że robisz sobie krzywdę.

I na tym konwersacja się kończy.

Inna rozmowa doprowadza do tego, że Willem zadaje takie pytanie:

– Jak byś się poczuł, Jude, gdybym ja coś takiego sobie robił?

Na co on:

– To nie to samo, Willem.

Na co Willem:

– Dlaczego?

Na co on:

– Bo, Willem… ty to jesteś ty. Nie zasługujesz na to.

Na co Willem:

– A ty tak?

I on już nie ma odpowiedzi, a przynajmniej nie jest w stanie udzielić odpowiedzi, którą Willem zechciałby przyjąć.

Jakiś miesiąc przed tamtą kłótnią pokłócili się inaczej. Willem zauważył, że Jude tnie się coraz bardziej, ale nie wiedział dlaczego, wiedział tylko, że tak jest. Którejś nocy Jude, gdy miał już pewność, że Willem zasnął, zaczął się skradać do łazienki, gdy nagle Willem chwycił go mocno za nadgarstek, aż Jude'owi z przestrachu wyrwał się cichy okrzyk.

– Jezu, Willem. Przestraszyłeś mnie.

– Dokąd idziesz? – zapytał Willem z napięciem w głosie.

Jude spróbował wyszarpnąć rękę, ale uścisk Willema był zbyt mocny.

– Muszę iść do łazienki – powiedział. – Puść, Willem, poważnie.

Wpatrywali się w siebie po ciemku, aż w końcu Willem uwolnił go i sam też wstał z łóżka.

– No to chodźmy – powiedział. – Będę cię obserwował.

Kłócili się szeptem, sycząc jeden na drugiego, obydwaj wściekli, obydwaj czując się zdradzeni. Jude oskarżał Willema, że traktuje go jak dziecko, Willem oskarżał Jude'a, że ma przed nim sekrety; mało brakowało, a zaczęliby na siebie wrzeszczeć. Skończyło się na tym, że Jude wyrwał się Willemowi i spróbował uciec do gabinetu, żeby tam zamknąć się na klucz i pociąć nożyczkami, ale w panice potknął się, upadł i rozciął sobie wargę, więc Willem przyniósł natychmiast torebkę lodu i tak siedzieli na podłodze w salonie, w połowie drogi między sypialnią a gabinetem i objąwszy się serdecznie, przepraszali się nawzajem.

– Nie mogę pozwolić, żebyś to sobie robił – powiedział Willem następnego dnia.

– Nie mogę tego nie robić – odparł on po długiej ciszy.

Lepiej, żebyś mnie nie widział bez tego – chciał powiedzieć Willemowi, a także: – Nie wiem, jak bym przebrnął przez życie bez tego. Ale nie powiedział. Nigdy nie umiał wytłumaczyć Willemowi

w sposób zrozumiały, co dla niego znaczy cięcie się: że jest to forma kary, ale też oczyszczenia, że pozwala mu się uwolnić od wszystkich trucizn i zabrudzeń, że powstrzymuje go przed odczuwaniem irracjonalnej złości na innych, na wszystkich, że powstrzymuje go od krzyku, od agresji, że pozwala mu odczuwać swoje ciało jako własne, a nie cudze. Z całą pewnością nie mógłby uprawiać bez tego seksu. Nieraz się zastanawiał, kim stałby się, gdyby brat Luke nie podsunął mu tego rozwiązania. Zapewne kimś, kto krzywdzi innych ludzi, kimś, kto chce, żeby wszyscy poczuli się równie strasznie jak on – kimś jeszcze gorszym niż osoba, którą był.

Willem milczał jeszcze dłużej od niego.

– Spróbuj – powiedział. – Zrób to dla mnie, Judy. Spróbuj.

Więc spróbował. Przez kilka następnych tygodni, ilekroć zbudził się w nocy albo odbył seks z Willemem, czekał, aż Willem zaśnie, po czym wychodził do łazienki i kładł się sztywno na podłodze, zaciskał pieści i liczył oddechy, czując, jak poci mu się kark, jak pierzchną mu usta. Wyobrażał sobie kąt pod schodami w jakimś motelu, gdzie rzuca się na ścianę, i nieomal fizycznie czuł ból i satysfakcję. Zarazem chciał, żeby Willem wiedział, jak ofiarnie próbuje, i był wdzięczny, że Willem tego nie wie.

Ale czasami to nie wystarczało i w takie noce wymykał się na parter, gdzie pływał jak maniak, próbując zmęczyć się do cna. Rano Willem żądał, żeby Jude pokazał mu ręce, o co też zaciekle walczyli, lecz ostatecznie łatwiej było je pokazać niż ukrywać.

– Zadowolony? – warczał przez zęby, wyszarpując ramię z rąk Willema, opuszczając rękaw i zapinając mankiet, niezdolny na niego spojrzeć.

– Jude – mówił Willem po chwili – poleż koło mnie, zanim wyjdziesz.

Lecz on kręcił głową i wychodził, a potem przez cały dzień tego żałował, a kiedy przez następne dni Willem już go o to nie prosił, nienawidził się jeszcze bardziej. Ich nowy poranny rytuał polegał na tym, że Willem sprawdzał mu ręce, a on, siedząc koło niego na łóżku i czekając, aż skończy się poszukiwanie dowodów cięć, z każdym dniem czuł narastającą frustrację i upokorzenie.

Pewnej nocy, miesiąc po tym, jak obiecał Willemowi starać się bardziej, zrozumiał, że pakuje się w kłopoty, ale już dłużej nie zdoła się powstrzymywać. Miał za sobą dzień wyjątkowo bogaty we wspomnienia, dzień, w którym kurtyna oddzielająca jego przeszłość od teraźniejszości stała się osobliwie przeświturająca. Przez cały wieczór, jakby na granicy pola widzenia, oglądał dryfujące fragmenty scen, a przy kolacji musiał wręcz walczyć o to, by usiedzieć przy stole i nie zapuścić się w ten przerażający, znajomy świat cieni własnych wspomnień. Tej nocy po raz pierwszy omal nie powiedział Willemowi, że nie ma ochoty na seks, lecz ostatecznie jakoś się przed tym powstrzymał i seks odbyli.

Potem był wyczerpany. Gdy uprawiali seks, zawsze walczył o utrzymanie się w teraźniejszości, o to, żeby nie odpłynąć w przeszłość. Kiedy był dzieckiem i przekonał się, że może opuścić własne ciało, klienci skarżyli się bratu Luke'owi: „On ma martwe oczy". To się im nie podobało. Caleb mówił mu to samo. „Obudź się – powiedział kiedyś, klepiąc go po policzku. – Gdzie jesteś?". Dlatego starał się być zaangażowany, chociaż zaangażowanie czyniło doświadczenie dotkliwszym. Tej nocy leżał i przyglądał się, jak Willem śpi na brzuchu, z rękami wetkniętymi pod poduszkę, z twarzą, która we śnie miała wyraz surowszy, niż kiedy nie spał. Jude odczekał, licząc do trzystu, a potem jeszcze raz do trzystu, i tak dalej, aż upłynęła godzina. Zaświecił lampkę po swojej stronie łóżka i spróbował czytać, ale przed oczami miał tylko żyletkę i czuł jedynie to, że jego ręce pulsują pożądaniem, jakby miał nie żyły, a obwody elektryczne strzelające wyładowaniami.

– Willem – szepnął, a gdy ten nie odpowiedział, położył dłoń na jego karku.

Willem się nie poruszył, więc Jude wyszedł nareszcie z łóżka i jak najciszej przekradł się do garderoby, gdzie odnalazł torebkę, którą ostatnio chował w wewnętrznej kieszeni jednej z zimowych kurtek, a potem wymknął się z pokoju i poszedł przez całe mieszkanie do łazienki w drugim końcu. Zamknął za sobą drzwi. Tutaj też była duża kabina prysznicowa; usiadł w niej, ściągnął koszulę i oparł plecy o zimny kamień. Przedramiona miał już tak zgrubiałe od tkanki bliznowej, że z daleka wyglądały jak unurzane w gipsie, i ledwo dawało się rozeznać, gdzie znajdowały się podłużne cięcia z próby samobójczej, bo potem ciął się pomiędzy nimi i wokół nich, warstwami, kamuflując tamte blizny. Ostatnio koncentrował się raczej na okolicy powyżej łokcia (nie na bicepsach, które też były zryte bliznami, lecz na tricepsach, które dawały nieco mniejszą satysfakcję; lubił widzieć świeże cięcia bez wykręcania szyi), lecz teraz zaczął robić długie, staranne cięcia wzdłuż lewego tricepsa, odliczając sekundy potrzebne do zrobienia każdego cięcia – jeden, dwa, trzy – według oddechów.

Ciął w dół, trzy razy na prawym ramieniu i cztery razy na lewym, a kiedy robił czwarte cięcie i dłonie ogarniał już miły, trzepotliwy bezwład, podniósł wzrok i w progu zobaczył Willema, który go obserwował. Ciął się od kilkudziesięciu lat, ale nigdy nikt nie był świadkiem tego aktu, więc przerwał natychmiast, bo to pogwałcenie intymności wywołało w nim taki szok, jakby ktoś dał mu w twarz.

Willem nic nie powiedział, ale gdy zaczął się do niego zbliżać, Jude skulił się, przywierając do ściany kabiny, upodlony i przerażony, w oczekiwaniu tego, co się stanie. Patrzył, jak Willem kuca i delikatnie wyjmuje mu żyletkę z ręki, po czym na moment zastygli w tej pozycji, obaj wpatrzeni w żyletkę. Wreszcie Willem wstał i bez żadnego wstępu ani ostrzeżenia ciachnął się żyletką przez pierś.

Jude nagle ożył.

– Nie! – krzyknął i spróbował wstać, lecz nie miał siły i opadł z powrotem na podłogę. – Willem, nie!

– Kurwa! – wrzasnął Willem z bólu. – Kurwa mać!

Ale i tak ciął się drugi raz, tuż pod pierwszą raną.

– Przestań, Willem! – zawołał Jude, nieomal z płaczem. – Willem, przestań! Robisz sobie krzywdę!

– Ach tak? – spytał Willem i widać było po lśnieniu jego oczu, że sam jest bliski płaczu. – Widzisz teraz, jak to jest, Jude? – I zrobił trzecie cięcie, znowu klnąc.

– Willem – jęknął Jude, rzucając mu się do stóp, ale Willem się usunął. – Proszę cię, przestań. Proszę, Willem.

Błagał i błagał, ale Willem przestał dopiero po szóstym cięciu, oparłszy się ciężko o przeciwległą ścianę.

– O kurwa – jęknął, zginając się wpół i obejmując ramionami. – O kurwa, jak to boli.

Jude podskoczył do niego ze swoją torebką, chcąc zdezynfekować rany, ale Willem znowu się usunął.

– Daj mi spokój, Jude.

– Ale musisz to obandażować!

– Obandażuj sobie własne cholerne łapy – odparł Willem, wciąż na niego nie patrząc. – To nie będzie żaden nasz wspólny pojebany rytuał, bandażowanie sobie nawzajem własnoręcznie zadanych ran.

Jude się cofnął.

– Nie miałem tego na myśli – powiedział, ale Willem nie odezwał się, więc Jude zdezynfekował własne cięcia, a potem szurnął torebkę po podłodze do Willema, który w końcu zrobił to samo, krzywiąc się boleśnie.

Siedzieli tam w milczeniu długi, długi czas, Willem wciąż zgięty wpół, on wpatrzony w Willema.

– Przepraszam – szepnął.

– Jezu, Jude! – odezwał się Willem po dłuższej chwili. – To naprawdę boli. – Nareszcie na niego spojrzał. – Jak ty to wytrzymujesz?

Jude wzruszył ramionami.

– Można się przyzwyczaić – powiedział, a Willem pokręcił głową.

– Och, Jude – westchnął boleśnie i Jude zobaczył, że Willem bezgłośnie płacze. – Czy ty w ogóle jesteś ze mną szczęśliwy?

Jude poczuł, że coś w nim się łamie i odpada.

– Willem… – zaczął, po czym spróbował na nowo: – Uczyniłeś mnie szczęśliwszym, niż byłem kiedykolwiek w swoim życiu.

Willem wydał odgłos, który Jude z opóźnieniem rozpoznał jako śmiech.

– No to dlaczego tak bardzo się tniesz? Dlaczego to się pogarsza?

– Nie wiem – odpowiedział cicho. Przełknął. – Chyba się boję, że ode mnie odejdziesz.

To nie była cała historia – całej historii nie mógł wypowiedzieć – ale przynajmniej część.

– Dlaczego miałbym odejść? – spytał Willem, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął: – Więc to ma być dla mnie test? Próbujesz sprawdzić, jak daleko możesz się ze mną posunąć i czy z tobą zostanę? – Podniósł oczy, ocierając je. – O to chodzi?

Jude pokręcił głową.

– Może – powiedział do marmurowej podłogi. – To znaczy, nie świadomie. Ale… może tak. Sam nie wiem.

Willem westchnął.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, żeby cię przekonać, że nie zamierzam cię opuścić, że nie potrzebujesz poddawać mnie testom.

Znowu zamilkli, a potem Willem wziął głębszy oddech.

– Jude – powiedział – nie sądzisz, że dobrze by było, żebyś na trochę wrócił do szpitala? Tylko po to, żeby… no nie wiem, trochę się uporządkować?

– Nie – wykrztusił on przez ściśnięte paniką gardło. – Willem, nie… nie zmusisz mnie, prawda?

Willem popatrzył na niego.

– Nie. Nie, nie zmuszę cię. – Zrobił pauzę. – Ale żałuję, że nie mogę.

Noc jakoś dobiegła końca i jakoś zaczął się dzień. Jude był tak zmęczony, że kręciło mu się w głowie, ale poszedł do pracy. Ich kłótnia nie skończyła się niczym konkretnym – nie wymuszono żadnych obietnic, nie postawiono żadnego ultimatum – ale przez następnych kilka dni Willem nie odzywał się do Jude'a. A właściwie odzywał się, ale mówił o niczym. „Dobrego dnia", życzył mu rano przed wyjściem do pracy. „Jak minął dzień?", pytał, gdy Jude wracał wieczorem do domu. „Dobrze", odpowiadał on. Wiedział, że Willem zastanawia się, co ma zrobić i jak powinien się czuć w tej sytuacji, więc usiłował w miarę możności mu się nie narzucać. Nocą leżeli w łóżku, gdzie zazwyczaj rozmawiali, i obaj milczeli, a cisza była jak trzecie stworzenie w łóżku pomiędzy nimi, stworzenie wielkie, kosmate i złe, kiedy je ruszyć.

Czwartej nocy Jude nie mógł już tego znieść, więc przeleżawszy tak z godzinę w kompletnym milczeniu, przeturlał się przez owo stworzenie i oplótł Willema ramionami.

– Willem – wyszeptał. – Kocham cię. Wybacz mi.

Willem nic nie powiedział, ale Jude brnął dalej.

– Ja się staram. Naprawdę się staram. To było potknięcie, będę się starał bardziej.

Willem wciąż nic nie mówił, więc Jude przytulił go mocniej.

– Proszę cię, Willem. Wiem, że to cię martwi. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Proszę, nie gniewaj się na mnie.

Poczuł jego westchnienie.

– Ja się na ciebie nie gniewam, Jude – powiedział Willem. – I wiem, że się starasz. Chciałbym tylko, żebyś nie musiał się starać, żeby to nie było coś, z czym musisz tak strasznie walczyć.

Teraz Jude zamilkł.

– Ja też – przyznał po chwili.

Od tej nocy próbuje różnych metod: pływania oczywiście, ale także pieczenia ciast późną nocą. Dba o to, żeby w kuchni zawsze były mąka, cukier, jajka i drożdże, a czekając, aż to, co siedzi w piekarniku, skończy się piec, siada przy stole w jadalni i pracuje. Zanim chleb, ciasto czy ciasteczka (które Jude przez asystentkę Willema wysyła do Harolda i Julii) są gotowe, robi się prawie dzień, a wówczas on wślizguje się do łóżka na godzinę czy dwie snu, zanim zerwie go budzik. Przez resztę dnia oczy go szczypią ze zmęczenia. Wie, że Willem nie lubi tego nocnego pieczenia, ale wie też, że woli to niż rozwiązanie alternatywne i dlatego nic nie mówi. Sprzątanie przestało być wyjściem, bo od przeprowadzki na Greene Street Jude ma gosposię, panią Zhou, która przychodzi cztery razy w tygodniu i jest tak przygnębiająco sumienna, tak dokładna, że Jude'a kusi czasem, żeby specjalnie brudzić rzeczy, dając jej pretekst do czyszczenia. Wie jednak, że to niemądre, więc tego nie robi.

– Spróbujmy inaczej – proponuje Willem któregoś wieczoru. – Kiedy się zbudzisz i najdzie cię ochota ciąć się, obudź i mnie, zgoda? Obojętne o której. – Patrzy na niego. – Spróbujmy, okej? Zrób to dla mnie.

Więc Jude go słucha, głównie dlatego, że jest ciekaw, co będzie. Którejś nocy, bardzo późno, pociera ramię Willema i przeprasza, kiedy ten otwiera oczy. Ale Willem kręci głową, po czym kładzie się na nim i przyciska go tak mocno, że Jude ledwo może oddychać.

– Ty też mnie ściśnij – radzi mu. – Udajmy, że spadamy i trzymamy się siebie ze strachu.

Jude ściska Willema tak mocno, że czuje, jak ożywają w nim wszystkie mięśnie, od pleców po końce palców, tak mocno, że czuje bicie serca Willema na swoim sercu, czuje jego żebra na swoich, czuje, jak jego brzuch wzdyma się i wiotczeje przy oddychaniu.

– Mocniej – mówi Willem i Jude jest posłuszny, aż ręce mu się męczą, a potem drętwieją, aż całe ciało słabnie ze zmęczenia, aż czuje, że rzeczywiście spada: najpierw przez materac, potem przez stelaż łóżka, w końcu zaś przez podłogę i – w zwolnionym tempie – przez wszystkie stropy wszystkich pięter

budynku, które się pod nim uginają i wsysają go jak galareta. Spada przez piąte piętro, gdzie rodzina Richarda przechowuje stosy marokańskich płytek, przez czwarte piętro, które stoi puste, przez mieszkanie Richarda i Indii, przez pracownię Richarda, aż na parter i do basenu, a potem przez basen, coraz głębiej, przez podziemne tunele, przez skałę i muł, przez podziemne jeziora i oceany ropy, przez warstwy skamielin i łupków, aż unosi się na powierzchni ognia w jądrze Ziemi. Kiedy budzi się rano, Willem już na nim nie leży – leży obok, ale wciąż są spleceni ramionami. Jude czuje się lekko odurzony, ale też pełen ulgi, bo nie tylko się nie pociął, ale spał głęboko, a są to dwie rzeczy, które mu się nie zdarzyły od miesięcy. Tego ranka czuje się świeży i czysty, jakby mu dano jeszcze jedną okazję, by przeżył swoje życie we właściwy sposób.

Lecz przecież nie może budzić Willema za każdym razem, gdy najdzie go taka potrzeba, ogranicza się więc do jednego razu na dziesięć dni. Przez pozostałe sześć lub siedem złych nocy brnie po swojemu: pływając, piekąc, gotując. Potrzebuje pracy fizycznej, aby pokonać złe pragnienie – Richard dał mu klucz do swojej pracowni, gdzie Jude czasami schodzi w piżamie, bo Richard zostawił mu tam robotę, która jest zarazem cudownie bezmyślnie powtarzalna i bardzo tajemnicza. W jednym tygodniu jest to sortowanie ptasich kręgów według wielkości, w drugim rozdzielanie sterty lśniących i lekko tłustawych skórek fretek według kolorów. Te zadania przypominają Jude'owi, jak przed laty we czterech rozplątywali włosy dla JB, więc chciałby o nich powiedzieć Willemowi, ale oczywiście nie może. Kazał Richardowi obiecać, że on też nie piśnie słowa Willemowi, ale wie, że Richardowi ta sytuacja nie bardzo odpowiada. Zauważył, że nigdy nie dostaje pracy, w której przydatne są żyletki, nożyczki i noże, co doprawdy daje do myślenia, zważywszy, ilu ostrzy wymaga praca Richarda.

Aż którejś nocy zagląda do starej puszki po kawie, którą Richard zostawił na biurku, i znajduje tam zestaw ostrzy: małych skośnych, dużych klinowatych i zwykłych prostokątnych, które Jude przedkłada nad inne. Ostrożnie zanurza rękę w puszce, nabiera luźną garść ostrzy i obserwuje, jak wysypują się z dłoni. Jedno z tych prostokątnych chowa do kieszeni spodni, ale wychodząc z pracowni – jest tak zmęczony, że podłoga kołysze mu się pod stopami – odkłada je delikatnie do puszki. W tych godzinach, obudzony, myszkuje po budynku; czasami czuje się jak demon, który przebrał się za człowieka i tylko nocami może bezpiecznie zrzucić kostium noszony za dnia, folgując swej prawdziwej naturze.

A potem jest czwartek, dzień prawie jak w lecie, ostatni dzień Willema w mieście. Jude wcześnie wychodzi do pracy, ale wraca w porze lunchu, żeby pożegnać się z Willemem.

– Będę za tobą tęsknił – mówi mu, jak zawsze.

– Ja będę tęsknił jeszcze bardziej – odpowiada Willem, też jak zawsze, po czym, jak zawsze, dodaje: – Będziesz na siebie uważał?

– Tak – mówi Jude, nie zwalniając uścisku. – Obiecuję.

Czuje, jak Willem wzdycha.

– Pamiętaj, że możesz zawsze do mnie zadzwonić, bez względu na porę – mówi Willem, a on kiwa głową.

– Idź już. Dam sobie radę.

A Willem znowu wzdycha i wychodzi.

Jude nie cierpi, kiedy Willem wyjeżdża, ale jest równocześnie podekscytowany: z pobudek samolubnych, a także dlatego że świadomość, iż Willem tyle pracuje, przynosi mu ulgę i radość. Po ich styczniowym powrocie z Wietnamu, tuż przed wyjazdem na zdjęcia do *Duetów*, Willem chodził na przemian spięty i przesadnie wyluzowany i chociaż starał się nie wspominać o swojej niepewności, to Jude wiedział, jak bardzo Willem się martwi. Jego pierwszy film po ogłoszeniu ich związku jest, bez względu na jego protesty, filmem gejowskim. Jude widział przygnębienie Willema, kiedy reżyser thrillera science fiction, w którym Willem chciał grać, nie oddzwonił tak szybko, jak ten się spodziewał (chociaż w końcu zadzwonił i wszystko ułożyło się pomyślnie). Jude zauważył, że Willem martwi się nieustannym ciągiem artykułów w prasie, prośbami o wywiady, spekulacjami w telewizji, wzmiankami w plotkarskich czasopismach i wstępniakami o jego coming oucie, które ich powitały po powrocie do Stanów i których, jak ich poinformował Kit, nie sposób kontrolować ani powstrzymać – trzeba czekać, aż ludzie znudzą się tematem, a to może potrwać miesiące. (Willem na ogół nie czytywał tekstów o sobie, ale natykali się na nie bez przerwy: gdy włączali telewizor, gdy przeglądali internet, gdy otwierali gazetę. Wszędzie znajdowali wzmianki o Willemie i jego obecnym wcieleniu). Gdy rozmawiali przez telefon – Willem w Teksasie, on na Greene Street – Jude czuł, że Willem stara się nie mówić o swoim zdenerwowaniu, i wiedział, że robi to dlatego, żeby nie budzić w nim poczucia winy.

– Powiedz mi, Willem – poprosił Jude w końcu. – Obiecuję, że nie będę się obwiniał. Przysięgam.

Powtarzał to codziennie przez tydzień i Willem mu wreszcie powiedział, on zaś, chociaż poczuł się winny (ciął się po każdej z tych rozmów), nie poprosił Willema o zapewnienie o stałości uczuć, nie pogłębił jego przykrego stanu, tylko słuchał i starał się przemawiać jak najbardziej kojąco. Dobrze – chwalił sam siebie po zakończeniu rozmowy, kiedy udało mu się utrzymać język za zębami i nie zdradził własnych obaw. – Dobra robota. A potem zatapiał żyletkę w którejś ze swoich blizn, podważając rogiem skórę, aż dosięgnął miękkiego ciała pod spodem.

Uważa to za dobry znak, że film, który Willem kręci teraz w Londynie, jest, jak by określił Kit, filmem gejowskim. „Normalnie bym ci to odradzał – powiedział Kit Willemowi. – Ale scenariusz jest za dobry, żeby go przepuścić”.

Film nosi tytuł *Zatrute jabłko* i opowiada o ostatnich kilku latach życia Alana Turinga, po aresztowaniu go za nieobyczajność i po chemicznej kastracji. Jude oczywiście miał do Turinga stosunek bałwochwalczy – jak wszyscy matematycy – więc scenariusz wzruszył go niemal do łez.

– Musisz to zrobić, Willem – powiedział.

– Nie wiem – odrzekł z uśmiechem Willem. – Jeszcze jeden gejowski film?

– *Duety* odniosły duży sukces – przypomniał mu Jude i to była prawda: popularność filmu przeszła wszelkie oczekiwania. Argumentacja była jednak niepotrzebna, bo Willem już się zdecydował robić ten film, a Jude był z niego dumny i po dziecinnemu przejęty, że go ogląda na ekranie, zresztą jak przy okazji wszystkich filmów z Willemem.

W sobotę po wyjeździe Willema Malcolm przychodzi po niego do domu i we dwóch jadą na północ, pod Garrison, gdzie Willem i Jude budują dom. Willem kupił ten teren – siedemdziesiąt akrów z jeziorem i lasem – trzy lata temu i przez trzy lata nic się tam nie działo. Malcolm zrobił projekt, a Willem go zatwierdził, lecz nigdy nie dał Malcolmowi hasła do rozpoczęcia prac. I oto pewnego ranka około półtora roku temu Jude zastał Willema przy jadalnym stole nad rysunkami Malcolma.

Willem wyciągnął do niego rękę, nie podnosząc oczu znad papierów, a on ją ujął i pozwolił przyciągnąć się bliżej.

– Myślę, że powinniśmy to zrobić – powiedział Willem.

Więc spotkali się z Malcolmem, i Malcolm zrobił nowy projekt. Pierwotnie dom miał dwie kondygnacje i przypominał modernistyczną solniczkę, nowy zaś był jednopoziomowy i prawie cały ze szkła. Jude zaoferował się sfinansować budowę, ale Willem odmówił. Kłócili się o to ustawicznie: Willem argumentował, że nie partycypuje w utrzymaniu domu na Greene Street, Jude zaś argumentował, że to go nie obchodzi.

– Jude – rzekł w końcu Willem. – Nigdy nie kłóciliśmy się o pieniądze. Nie zaczynajmy teraz.

I Jude wiedział, że Willem ma rację: ich przyjaźń nigdy nie była mierzona pieniędzmi. Nie rozmawiali o pieniądzach, kiedy ich nie mieli (Jude zawsze uważał swoje zarobki za należące także do Willema), a teraz, gdy je mieli, nic się w jego sposobie myślenia nie zmieniło.

Osiem miesięcy temu, gdy Malcolm robił wykop pod fundamenty, przyjechali z Willemem na działkę, żeby po niej połazić. Jude czuł się tego dnia wyjątkowo dobrze, pozwolił nawet Willemowi trzymać się za rękę, kiedy schodzili z łagodnego wzgórza, na którym miał stanąć dom, a potem skręcili w lewo, ku lasowi, który trzymał w objęciach jezioro. Las był gęstszy, niż go sobie wyobrażali, a ziemia tak grubo usiana sosnowymi igłami, że stopy im się zapadały, jak gdyby mieli pod sobą powierzchnię z gumy napompowaną powietrzem. Dla Jude'a był to trudny teren, więc na serio trzymał się ręki Willema, ale gdy Willem go spytał, czy chce zrobić przystanek, pokręcił głową. Jakieś

dwadzieścia minut później, gdy byli niemal w połowie drogi wokół jeziora, wyszli na polankę, która wyglądała jak z bajki. Sklepienie nad nimi tworzyły zielone szczyty sosen, a ziemię pod nimi ta sama miękka sierść opadła z drzew. Zatrzymali się i rozejrzeli, nie mówiąc nic. Po dłuższej chwili odezwał się Willem:

– Powinniśmy go wybudować tutaj.

Jude się uśmiechnął, ale w środku go skręcało; miał uczucie, że ktoś wyciąga mu cały system nerwowy przez pępek, ponieważ przypomniał sobie ten inny las, w którym kiedyś miał zamieszkać, i zrozumiał, że oto jego marzenie się spełnia: domek w lesie nad wodą i ktoś, kto go kocha. Wzdrygnął się – drżenie przeszyło całe jego ciało, aż Willem spojrzał na niego i zapytał:

– Zimno ci?

– Nie – odpowiedział – ale chodźmy dalej.

I poszli.

Od tamtego czasu Jude unika lasów, ale uwielbia przyjeżdżać na teren budowy i jest zachwycony, że może znów pracować z Malcolmem. Albo on, albo Willem jeżdżą tam co drugi weekend, chociaż Jude wie, że Malcolm woli, kiedy to on przyjeżdża, ponieważ Willema właściwie nie obchodzą szczegóły projektu. Willem ufa Malcolmowi, ale Malcolm nie pragnie zaufania – chce móc pokazać komuś srebrzysty pręgowany marmur, który znalazł w małym kamieniołomie pod Izmirem, chce się pospierać, ile tego marmuru to będzie za dużo, chce dać komuś powąchać cyprysowe drewno z Gifu, z którego zamierza zrobić wannę, chce, żeby ktoś obejrzał narzędzia – młotki, klucze francuskie, obcęgi – które zatopił jak trylobity w porowatych betonowych podłogach. Oprócz domu i garażu jest jeszcze odkryty basen i drugi, kryty, w stodole. Dom będzie gotowy za nieco ponad trzy miesiące, basen i stodoła na przyszłą wiosnę.

Jude spaceruje po domu z Malcolmem, przeciągając dłońmi po powierzchniach i słuchając, jak Malcolm instruuje wykonawcę w kwestii wymaganych poprawek. Jest jak zawsze pod wrażeniem, kiedy ogląda Malcolma w pracy. Nigdy nie nuży go obserwowanie przyjaciół przy pracy, ale transformacja Malcolma jest najgruntowniejsza i przez to najciekawsza, ciekawsza nawet niż w przypadku Willema. W takich chwilach Jude przypomina sobie, jak starannie, precyzyjnie i z jaką powagą budował Malcolm swoje fantastyczne modele, gdy byli na studiach. Na drugim roku JB (zarzekał się, że przypadkiem) podpalił jeden z tych domków, gdy był na haju, a Malcolm tak się rozzłościł i rozżalił, że prawie płakał. Jude pognał za Malcolmem, który wybiegł z gmachu Hood, i usiadł z nim na stopniach biblioteki, a było zimno.

– Myślisz, że to głupie – powiedział Malcolm, gdy się uspokoił. – Ale mnie na nich zależy.

– Wiem – odrzekł Jude. Zawsze strasznie mu się podobały modele Malcolma; do dziś zachował sobie pierwszy, który dostał od niego wiele lat temu, na siedemnaste urodziny. – To nie jest głupie.

Wiedział, co papierowe domy znaczyły dla Malcolma: były symbolem sprawowania kontroli, przypomnieniem, że mimo wszelkich życiowych niepewności istnieje jedna rzecz, z którą radzi on sobie doskonale i która zawsze zdoła wyrazić to, czego on nie jest w stanie wyrazić słowami.

„Jakie *Malcolm* ma powody do zmartwień?", pytał JB, kiedy ich przyjaciel się czymś trapił, ale Jude wiedział: Malcolm się martwił, ponieważ żyć znaczy martwić się. Życie jest przerażające, nieprzewidywalne. Nawet pieniądze nie uodpornią na to Malcolma całkowicie. Życie i jemu się przydarzy i będzie mu musiał odpowiedzieć, tak jak reszta z nich. Wszyscy czterej – Malcolm ze swoimi domami, Willem ze swoimi dziewczynami, JB ze swoimi farbami, on ze swoimi żyletkami – poszukiwali pewności, czegoś, co należy tylko do nich, czegoś, co ich odgrodzi od straszliwego ogromu, niemożliwości świata, od jego bezlitosnych minut, godzin i dni. Ostatnio Malcolm projektuje coraz mniej domów mieszkalnych; prawdę mówiąc, nie widują go tak często jak dawniej. Firma Bellcast ma teraz biura w Londynie i Hongkongu i chociaż Malcolm zajmuje się głównie rynkiem amerykańskim – obecnie planuje nowe skrzydło dla muzeum w ich dawnym college'u – to spotykają się coraz rzadziej. Ale ich dom nadzoruje osobiście, ani razu nie przegapił ani nie przełożył spotkania. Gdy opuszczają teren budowy, Jude kładzie rękę na ramieniu Malcolma.

– Mal – mówi – nie wiem, jak ci dziękować.

A Malcolm się uśmiecha.

– To jest mój ulubiony projekt, Jude. Dla moich ulubionych ludzi.

Po powrocie do miasta Jude podrzuca Malcolma na Cobble Hill, sam zaś przejeżdża przez most i kieruje się na północ, do biura. To ostatnia z przyjemności, jakie znajduje pod nieobecność Willema: może siedzieć w pracy do późna. Bez Luciena praca jest i mniej, i bardziej przyjemna. Mniej, bo chociaż Jude nadal widuje Luciena, który przeszedł na emeryturę i jak twierdzi, udaje, że lubi grać w golfa w Connecticut, to brakuje mu codziennych z nim rozmów, w których Lucien oburzał go i prowokował; a bardziej, bo Jude odkrył, że podoba mu się prezesowanie wydziałowi, że podoba mu się zasiadanie w komisji kompensacyjnej i podejmowanie decyzji o corocznym podziale zysków firmy.

„Kto by pomyślał, że masz w sobie taką żądzę władzy, Jude", zażartował Lucien, gdy Jude mu to powiedział, on jednak zaprotestował przeciwko takiej diagnozie. To nie to, wyjaśnił. Po prostu czerpał satysfakcję z oglądania rocznych dochodów, widząc, jak jego – i innych pracowników – godziny i dni spędzone w biurze przekładają się na konkretne liczby, liczby na pieniądze, a pieniądze na treść życia jego kolegów: ich domy, opłaty za studia, wakacje i samochody. (Tego ostatniego nie powiedział na

głos, bo Lucien wziąłby go za romantyka i palnął zgryźliwy, ironiczny wykład o skłonnościach do sentymentalizmu).

Firma Rosen, Pritchard zawsze była dla niego ważna, ale po Calebie stała się wprost nieodzowna. Oceniano go w niej tylko na podstawie jego pracy – tam nie miał przeszłości, nie był ułomny. Jego życie pracą rozpoczęło się, kiedy poszedł na studia prawnicze i zaczął odnosić sukcesy; kończyło się codziennymi osiągnięciami, rocznymi bilansami przepracowanych godzin, każdym nowym klientem, którego przyciągnął. W firmie Rosen, Pritchard nie było miejsca na brata Luke'a, na Caleba, na doktora Traylora, na klasztor ani na dom dziecka; wszystko to stawało się w pracy nieistotne, zmieniało się w zewnętrzne detale, nie miało nic wspólnego z osobą, na którą Jude się wykreował. W pracy nie był kimś, kto się kuli w łazience i tnie, lecz ciągiem liczb: jedna liczba oznaczała, ile pieniędzy zarobił dla firmy, druga – ile przepracował godzin, trzecia – ile osób ma pod swoim nadzorem, czwarta – jakimi kwotami je wynagradza. Nigdy nie umiał wytłumaczyć tego swoim przyjaciołom, którzy dziwili się i współczuli mu, że tyle pracuje. Nie umiał ich przekonać, że to właśnie w biurze, otoczony pracą i osobami, które przyjaciołom wydawały się śmiertelnie nudne, czuł się najbardziej ludzki, pełen godności i odporny na zranienia.

Willem przyjeżdża do domu dwukrotnie podczas zdjęć, za każdym razem na długi weekend, ale pierwszy z tych weekendów przechorowuje na grypę żołądkową, a podczas następnego Jude ma zapalenie oskrzeli. Za każdym razem – podobnie jak za każdym razem, gdy Willem wchodzi do pokoju, wołając go po imieniu – Jude musi sobie przypominać, że to jest jego życie i że w jego życiu Willem wraca do niego, do domu. W takich chwilach czuje, że jego niechęć do seksu jest żałosna, że wyolbrzymia ohydę tego aktu, a nawet jeśli nie wyolbrzymia, to musi się po prostu bardziej starać, a mniej użalać nad sobą. Bądź twardy – karci się, całując Willema na pożegnanie, gdy weekend się kończy. – Ani się waż to zniszczyć. Ani się waż uskarżać na to, na co w ogóle nie zasługujesz.

Lecz oto pewnej nocy, niecały miesiąc przed spodziewanym powrotem Willema do domu, budzi się i ma wrażenie, że znajduje się w przyczepie gigantycznego tira, że zamiast łóżka ma pod sobą brudną niebieską kołdrę złożoną na pół i czuje boleśnie każdą kostkę, gdy ciężarówka pędzi z hurgotem po autostradzie. Och, nie – myśli – och, nie! I zrywa się, i biegnie do fortepianu, i gra wszystkie znane na pamięć partity Bacha, nie po kolei, za głośno i za szybko. Przypomina mu się bajka, którą mu opowiedział brat Luke w trakcie jednej z lekcji gry na fortepianie, o staruszce w małym domku, która grała na lutni coraz szybciej, żeby czyhające pod drzwiami chochliki zatańczyły się na śmierć. Brat Luke opowiedział mu tę bajkę, żeby zilustrować konkretną rzecz – to, że Jude nie pilnuje tempa – ale jemu zawsze się podobał ten bajkowy obraz i do dziś czasami, kiedy czuje skradające się wspomnienie,

tylko jedno, łatwe do opanowania i do oddalenia, śpiewa lub gra, dopóki ono nie zniknie, bo muzyka stanowi tarczę pomiędzy nim a tym wspomnieniem.

Był na pierwszym roku prawa, gdy życie zaczęło mu się wydawać ciągiem wspomnień. Wykonywał jakąś codzienną czynność – gotował obiad, katalogował książki w bibliotece, lukrował ciasto czy sprawdzał artykuł dla Harolda – i nagle jawiła mu się jakaś scena, niemy spektakl przeznaczony wyłącznie dla niego. W owych latach jego wspomnienia miały postać żywych obrazów, a nie narracji, i poszczególne scenki ukazywały mu się regularnie przez wiele dni: diorama z leżącym na nim bratem Lukiem lub którymś z opiekunów z domu dziecka, który go łapał przechodzącego, albo z klientem opróżniającym kieszenie spodni z drobniaków i wrzucającym je do naczynka na nocnej szafce, które brat Luke tam postawił właśnie w tym celu. Zdarzały się też wspomnienia krótsze i jeszcze bardziej dwuznaczne: niebieska skarpetka klienta w końskie łby, której ten nie zdjął nawet do łóżka, pierwszy posiłek w Filadelfii, który mu postawił doktor Traylor (burger, papierowa torebka frytek), wełniana brzoskwinioworóżowa poduszka w jego pokoju u doktora Traylora, na którą nie umiał patrzeć bez myślenia o rozdartym ciele. Gdy te wspomnienia się pojawiały, Jude czuł się zdezorientowany i za każdym razem trwało chwilę, zanim sobie przypomniał, że to nie tylko sceny z jego życia, ale samo życie. Wtedy jeszcze pozwalał im przeszkadzać sobie, więc zdarzało mu się ocknąć z dłonią ściskającą plastikową szprycę z lukrem nad stojącym przed nim ciastem albo z książką zdjętą z regału. Wtedy to właśnie zaczął rozumieć, jak wielką część własnego życia nauczył się po prostu wymazywać z pamięci, jak usuwał wspomnienia już parę dni po zdarzeniu, i uświadamiać sobie, że jakoś, gdzieś, kiedyś utracił tę zdolność. Wiedział, że jest to cena cieszenia się życiem, że jeśli chce pozostać uważny wobec rzeczy, które mu teraz sprawiają przyjemność, to musi się również pogodzić z ich kosztami. Bo jakkolwiek zabójcze były te wspomnienia, życie wracające do niego w kawałkach, to wiedział, że je zniesie, jeżeli dzięki temu będzie miał przyjaciół i zdolność cieszenia się towarzystwem innych.

Myślał o tym jako o lekkim rozszczepieniu światów, w wyniku którego coś, co zostało pogrzebane, wyłania się z przeoranej ziemi i staje przed jego oczami, czekając, aż zostanie rozpoznane i uznane przezeń za własne. Już samo pojawianie się tych wspomnień było bezczelne: Oto jesteśmy – mówiły mu. – Czy naprawdę myślałeś, że pozwolimy ci się porzucić? Czy naprawdę myślałeś, że do ciebie nie wrócimy? W końcu był zmuszony uświadomić sobie, jak bardzo cenzurował własną pamięć – cenzurował i kreował, przekształcając ją w łatwiejszą do zaakceptowania – obejmującą nawet ostatnie lata. Obejrzany na pierwszym roku film o dwóch detektywach, którzy przychodzą zawiadomić studenta, że człowiek, który go skrzywdził, zmarł w więzieniu, wcale nie był filmem – to było jego życie, on był tym studentem, on stał tam w Quad przed budynkiem Hood, a ci dwaj detektywi byli ludźmi, którzy go znaleźli i aresztowali doktora Traylora tamtej nocy na polu, a jego zabrali do

szpitala, którzy dopilnowali, żeby doktor Traylor trafił do więzienia, po czym odszukali Jude'a, żeby mu osobiście powiedzieć, że już nie musi się bać. „Niebrzydko tu", powiedział jeden z detektywów, rozglądając się po pięknym kampusie, po ceglanych starych budynkach, do których można było wejść i poczuć się całkowicie bezpiecznie. „Jesteśmy z ciebie dumni, Jude". Ale on zmodyfikował to wspomnienie, usuwając z niego swoje imię, podobnie jak usunął panikę, którą, teraz to pamiętał, odczuł żywo pomimo ich rewelacji, jak usunął ten przestrach, że ktoś go spyta, kim byli ci ludzie, z którymi rozmawiał, jak usunął mdlące poczucie krzywdy, że jego przeszłe życie tak fizycznie ingeruje w jego teraźniejszość.

W końcu nauczył się postępować z tymi wspomnieniami. Powstrzymać ich nie mógł – z chwilą gdy się zaczęły, nie miały końca – ale nauczył się lepiej przewidywać ich najścia. Wypracował sobie umiejętność ich diagnozowania: kiedy czuł, że coś go nawiedzi, musiał z góry obmyślić, czego to coś oczekuje – czy chce konfrontacji, czy ugłaskania, czy też po prostu uwagi. Gdy już zdecydował, jakiej udzielić mu gościny, zastanawiał się, jak się go pozbyć, żeby wycofało się z powrotem do tego innego świata.

Drobne wspomnienia był w stanie opanować, ale gdy dni mijają i zaczyna czekać na Willema, uprzytamnia sobie, że niektóre wspomnienia są jak długie węgorze, śliskie i niedające się uchwycić; czuje ich mięsiste, potężne chlaśnięcia o swoje wnętrzności, serce, płuca. Takie najtrudniej było złapać na lasso i zawlec do zagrody. Zdaje mu się, że z każdym dniem to wspomnienie w nim rośnie, aż w końcu czuje się wypełniony nie krwią, mięśniami, wodą i kośćmi, lecz samym tylko wspomnieniem rozdymającym się jak balon aż po opuszki jego palców. Po Calebie uświadomił sobie, że są wspomnienia, których nigdy nie opanuje, i jedynym ratunkiem jest przeczekać, aż się zmęczą, aż odpłyną z powrotem w mrok podświadomości, zostawiając go w spokoju.

Czeka więc, pozwala się rozpanoszyć temu wspomnieniu (wspomnieniu blisko dwóch tygodni spędzonych w ciężarówkach, gdy próbował się dostać z Montany do Bostonu), jak gdyby jego umysł i jego ciało były motelem, a to wspomnienie jedynym tego motelu gościem. Wyzwanie, jakie przed nim stoi w tym okresie, to obietnica dana Willemowi, że nie będzie się ciął, więc układa rygorystyczny i absorbujący program na godziny między północą a czwartą nad ranem, bo te są najniebezpieczniejsze. W sobotę przygotowuje listę zajęć na wszystkie noce następnych kilku tygodni, przeplatając pływanie z gotowaniem, grą na fortepianie, pieczeniem, pracą u Richarda, sortowaniem swoich oraz Willema starych ubrań, co miał zamiar zlecić pani Zhou, ale może doskonale zrobić sam, i usuwaniem rupieci, które się nazbierały w szufladzie koło kuchenki: skręcanych zabezpieczeń od opakowań, pozlepianych gumek recepturek, agrafek i pudełek po zapałkach. Przygotowuje porcje kurczaka i mielonej jagnięciny na klopsiki – to na powrót Willema – i zamraża je, piecze mnóstwo

bochenków chleba, które Richard zabierze do kuchni dla bezdomnych, obaj należą do jej zarządu, pomagają administrować jej finansami. Po zakończeniu tych prac siada przy stole i czyta powieści, swoje dawne ulubione, w których słowa, wątki i postacie działają nań kojąco, bo nigdy się nie zmieniają. Żałuje, że nie ma jakiegoś zwierzęcia – głupiego, wdzięcznego psa, który by ział z wywieszonym językiem i uśmiechał się, lub oziębłej kotki, która śledziłaby go prokuratorskim spojrzeniem przez szparki bursztynowych oczu – jakiegokolwiek drugiego stworzenia, które oddycha i do którego można mówić, stworzenia, którego ciche, miękkie stąpanie po mieszkaniu przywracałoby go do przytomności. Pracuje po całych nocach, a tuż przed zaśnięciem tnie się – raz po lewym ramieniu, raz po prawym – i gdy się budzi, jest dumny z siebie, że przetrwał noc bez szwanku.

Ale na dwa tygodnie przed spodziewanym powrotem Willema, właśnie kiedy wspomnienie blaknie, wyprowadzając się z niego do następnej wizyty, wracają hieny. Choć może „wracają" to niedobre słowo, bo odkąd Caleb je wpuścił, nigdy się nie wyniosły. Teraz jednak nie ścigają go, bo wiedzą, że nie muszą: jego życie jest rozległą sawanną, a one go otaczają. Leżą rozwalone leniwie w żółtej trawie, zwieszają się z niskich konarów baobabu wyrastających z pnia niby czułki i wpatrują się w niego uważnymi żółtymi ślepiami. Są zawsze, a odkąd Jude z Willemem zaczęli uprawiać seks, namnożyło się ich jeszcze więcej. W złe dni albo takie, kiedy Jude szczególnie się tego boi, mnożą się dalej. W takie dni Jude czuje drgania ich wąsów, gdy przemieszcza się wolno po ich terytorium, czuje ich nonszalancką drwinę; wie, że jest ich zdobyczą, i one też to wiedzą.

Chociaż pragnie wakacji od seksu, które mu zapewnia praca Willema, to rozumie, że nie powinien, gdyż powrót do seksu jest zawsze trudny. Tak było już w dzieciństwie – jedyną rzeczą gorszą niż rytm seksu było przyzwyczajanie się na nowo do rytmu seksu.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu i cię zobaczę – mówi Willem w następnej rozmowie i chociaż w jego tonie nie ma cienia lubieżności, chociaż nie wspomniał ani słowem o seksie, to Jude wie z doświadczenia, że Willem będzie tego chciał od razu pierwszej nocy po powrocie i że przez pierwszy tydzień będzie chciał tego częściej niż zwykle, tym bardziej że obaj chorowali w czasie jego dwóch krótkich pobytów w domu, więc nic się między nimi wtedy nie wydarzyło.

– Ja też – mówi.

– Jak tam z cięciem? – pyta Willem niefrasobliwym tonem, jakby się dowiadywał o nowo posadzone klony Julii albo o pogodę. Zawsze zadaje to pytanie na koniec rozmowy, jak gdyby to był mało ważny temat, który Willem porusza tylko przez grzeczność.

– Dobrze – odpowiada Jude, jak zawsze. – W tym tygodniu tylko dwa razy – dodaje i to jest prawda.

– Świetnie, Judy – chwali go Willem. – Bogu dzięki. Wiem, jak ci ciężko. Ale jestem z ciebie dumny.

W jego głosie słychać wówczas tak wielką ulgę, jakby w rzeczywistości spodziewał się – i pewnie tak było – całkiem innej odpowiedzi: „Niedobrze, Willem. Wczoraj w nocy pociąłem się tak, że ręka mi odpadła. Nie chcę, żebyś się zdziwił, jak mnie zobaczysz". Jude odczuwa wówczas zarówno prawdziwą dumę z tego, że Willem tak mu ufa i że on mówi Willemowi prawdę, jak i irytujący, głęboki smutek, że Willem w ogóle musi o coś takiego pytać i że z takiego powodu jest dumny. Inni ludzie są dumni z talentów, urody albo atletycznej budowy swoich chłopaków, a Willem jest dumny, że jego chłopakowi udało się przeżyć jeszcze jedną noc bez cięcia się żyletką.

Aż wreszcie przychodzi taki wieczór, kiedy Jude wie, że wszystkie jego wysiłki są na nic, że musi się pociąć, i to solidnie. Hieny zaczynają cicho wyć, skowytać, jakby z ich wnętrz odzywały się jakieś inne stworzenia, i Jude już wie, że ułaskawi je tylko jego ból. Zastanawia się, co robić: Willem wraca do domu za tydzień. Jeżeli Jude teraz się potnie, rany nie zagoją się wystarczająco i Willem będzie zły. Ale jeśli nie zrobi nic, to… sam nie wie. Musi, musi. Za długo czekał, uświadamia sobie, myślał, że jakoś to przetrwa, nie był realistą.

Wstaje z łóżka i przez puste mieszkanie idzie do kuchni. Nocny harmonogram – ciasteczka dla Harolda, przegląd swetrów Willema, pracownia Richarda – lśni bielą kartki na blacie, zignorowany, ale nawołujący, błagający o spełnienie, chociaż oferuje zbawienie równie wiotkie jak papier, na którym został spisany. Przez moment Jude stoi, niezdolny się poruszyć, a potem powoli, niechętnie, podchodzi do drzwi na klatkę schodową, odryglowuje je i po chwilowym wahaniu otwiera gwałtownie na oścież.

Nie otwierał tych drzwi od tamtej nocy z Calebem, a teraz nachyla się w czeluść za nimi, spoglądając w czerń w dole, zaciskając dłoń na framudze tak jak tamtej nocy i zastanawiając się, czy jest do tego zdolny. Wie, że to spacyfikowałoby hieny, ale jest w tym coś tak poniżającego, tak skrajnego, tak chorego, że gdyby to zrobił, przekroczyłby jakąś granicę, stałby się kimś, kto naprawdę wymaga hospitalizacji. Wreszcie, wreszcie, odrywa się od framugi, ręce mu drżą, zatrzaskuje drzwi, wciska zasuwę z powrotem na miejsce i odchodzi, tupiąc głośno.

Następnego dnia w pracy zjeżdża windą na dół z jednym z partnerów firmy, Sanjayem, i klientem, żeby klient mógł zapalić. Mają kilku klientów, którzy palą, więc gdy dwaj mężczyźni udają się na dół, Jude im towarzyszy i omawiają dalej sprawę na chodniku. Lucien miał teorię, że palacze najlepiej się czują, kiedy palą, i dlatego łatwiej nimi w takich momentach manipulować, i chociaż Jude się śmiał, gdy Lucien to mówił, podejrzewa, że prawdopodobnie miał rację.

Tego dnia Jude porusza się na wózku, bo bolą go nogi, chociaż nie znosi, kiedy klienci widzą jego niesprawność.

– Wierz mi, Jude – powiedział mu Lucien, gdy on przed laty zdradził mu swoje zmartwienie – że klienci uważają cię za tego samego zajebistego dupka bez względu na to, czy stoisz, czy siedzisz, więc, na litość boską, siedź w tym swoim wózku.

Na dworze jest zimno i sucho, co sprawia, że nogi bolą go jakby mniej, ale kiedy tak rozmawiają we trzech, Jude łapie się na tym, że z fascynacją obserwuje pomarańczowy ognik na końcu papierosa klienta: ten ognik mruga do niego, przygasa i rozjaśnia się z każdym wdechem klienta. I Jude już wie, co robić, ale natychmiast po tym objawieniu czuje tępy cios w podbrzusze, bo wie, że zdradzi zaufanie Willema; nie tylko zdradzi, ale jeszcze go okłamie.

Jest piątek, więc jedzie do Andy'ego, a po drodze obmyśla swój plan, podekscytowany i odprężony, bo ma już rozwiązanie. Trudno powiedzieć, kiedy Andy zaczął z nim rozmawiać o jego nogach jak o kłopotliwych, nieobliczalnych krewnych, których nie można się pozbyć i o których ciągle trzeba się troszczyć. „Stare dranie", tak o nich mówi Andy. Za pierwszym razem, kiedy tak powiedział, Jude się roześmiał, rozbawiony trafnością tego przezwiska, zawartym w niej śladem irytacji, która stale grozi przesłonięciem podskórnej opornej sympatii.

– Jak tam stare dranie? – pyta teraz Andy, a on się uśmiecha i odpowiada:

– Lenią się i doją ze mnie wszystkie zasoby, jak zwykle.

Lecz myśli ma zajęte swoim planem, więc kiedy Andy pyta:

– A jak się ostatnimi czasy sprawuje twoja lepsza połowa?

On reaguje gniewnie:

– Co masz na myśli?

Andy patrzy na niego z zaciekawieniem.

– Nic – odpowiada. – Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się ma Willem.

Willem, myśli Jude. Samo to imię wypowiedziane na głos napawa go lękiem.

– Ma się świetnie – odpowiada cicho.

Pod koniec wizyty Andy jak zawsze ogląda jego ręce i podobnie jak podczas ostatnich paru wizyt chrząka z aprobatą.

– Naprawdę uciąłeś złe nawyki – mówi. – To nie miała być gra słów.

– Znasz mnie przecież: zawsze próbuję sam siebie przeskoczyć – odpowiada Jude, siląc się na dowcipny ton, ale Andy patrzy mu w oczy.

– Wiem – mówi cicho. – Wiem, jak ci musi być trudno, Jude. Ale cię cieszę, naprawdę się cieszę.

Przy kolacji Andy skarży się na nowego chłopaka swojego brata; nie znosi go.

– Andy – mówi Jude – nie możesz nie znosić wszystkich chłopaków Becketta.

– Wiem, wiem – przyznaje Andy. – Ale mówię ci, to waga piórkowa. Becketta stać na dużo więcej. Mówiłem ci, że on wymawia Proust „Prołst", prawda?

– Nawet kilka razy – mówi Jude, uśmiechając się do siebie. Poznał tego mieszanego z błotem chłopaka Becketta, miłego, jowialnego, ambitnego architekta krajobrazu, na proszonej kolacji u Andy'ego trzy miesiące temu. – Mnie on się wydał sympatyczny, Andy. I kocha Becketta. Zresztą czy naprawdę zamierzasz spędzać z nim godziny, dyskutując o Prouście?

Andy wzdycha.

– Mówisz całkiem jak Jane – odpowiada burkliwie.

– Cóż, może powinieneś więcej słuchać Jane. – Jude śmieje się, nawet nie z powodu miny Andy'ego, ale dlatego że czuje lekkość, jakiej nie zaznał od tygodni. – Są gorsze zbrodnie niż nieumiejętność konwersowania na temat *W stronę Swanna,* wiesz?

Jadąc do domu, rozmyśla o swoim planie, lecz nagle uświadamia sobie, że będzie musiał z nim poczekać, ponieważ zamierza mówić, że oparzył się podczas gotowania, i gdyby coś poszło źle, musiałby pójść do Andy'ego, a wówczas Andy by go zapytał, czemu gotował tego samego wieczoru, którego jedli razem kolację. A zatem jutro – myśli sobie – zrobię to jutro. Dzięki temu będzie mógł napisać mejl do Willema, napomykając, że ma zamiar usmażyć plantany, za którymi tak przepada JB: spontaniczna decyzja, która nieoczekiwanie fatalnie się skończy.

Wiesz, że w ten sposób planują ludzie umysłowo chorzy? – pyta go surowy, pogardliwy głos wewnętrzny. *Masz świadomość, że tak planowałaby tylko osoba chora?*

Przestań – broni się. – Przestań. Sam fakt, że wiem, że to jest chore, dowodzi, że nie jestem chory. Na to głos zanosi się śmiechem – rechocze z jego tłumaczenia, z logiki sześciolatka, z urazu do słowa „chory", z lęku Jude'a, że to słowo mogłoby do niego przylgnąć. Lecz nawet głos ze swoją ostentacyjną pogardą nie jest w stanie go powstrzymać.

Następnego wieczoru przebiera się w koszulkę z krótkim rękawem należącą do Willema i idzie do kuchni. Umieszcza na blacie to, co mu będzie potrzebne: oliwę z oliwek, długą zapałkę i papierowy ręcznik. Wkłada rękę do zlewu, jak kurę do oskubania, i wybiera miejsce parę cali nad nadgarstkiem. Następnie bierze ręcznik, który nasączył oliwą, i wciera tłuszcz w skórę, robiąc kółko wielkości moreli. Przez parę sekund wpatruje się w błyszczącą tłustą plamę, a potem bierze głębszy oddech, zapala zapałkę i przytyka płomień do skóry, czekając, aż oliwa się zajmie.

Ból jest… Jaki jest ból? Od czasu incydentu nie było ani jednego dnia, w którym nie odczuwałby jakiegoś bólu. Czasami ból jest łagodny albo występuje z przerwami. Ale zawsze jest.

„Musisz uważać – powtarza mu Andy. – Jesteś już tak obolały, że zatraciłeś zdolność rozeznania, kiedy ból jest oznaką czegoś gorszego. Więc nawet jeżeli go oceniasz tylko na pięć czy na sześć w skali

dziesięciostopniowej, to jeżeli rana wygląda *tak* – rozmawiali o jednej z ran na jego nogach, wokół której pojawił się otok czarniawej szarości, kolor zgnilizny – to wiedz, że dla większości ludzi oznaczałoby to dziewięć lub dziesięć, a wtedy musisz, *musisz* zgłosić się do mnie. Okej?".

Ale takiego bólu jak ten nie czuł od kilkudziesięciu lat, więc wrzeszczy i wrzeszczy. Głosy, twarze, strzępy wspomnień, dawne znajomości kłębią się w jego głowie: zapach dymiącej oliwy naprowadza go na wspomnienie pieczonych *funghi*, które jedli z Willemem w Perugii, co z kolei naprowadza go na obraz Tintoretta, który oglądał z Malcolmem we Frick Collection, gdy mieli po dwadzieścia parę lat, co naprowadza go na wspomnienie chłopaka z domu dziecka, na którego wszyscy wołali Frick, nie wiadomo dlaczego, bo ten chłopak miał na imię Jed, co naprowadza go na noce w stodole, co naprowadza go na belę siana leżącą na pustej, zamglonej łące pod Sonomą, przy której brat Luke odbył z nim kiedyś seks, co z kolei naprowadza go na to i na tamto, i na tamto, i na tamto, i na tamto. Czuje swąd palonego mięsa i wybija się z transu; dzikim wzrokiem spogląda na kuchenkę, jakby coś na niej zostawił, jakiś skwierczący stek, który właśnie przywiera do patelni, ale nic tam nie ma i wtedy uświadamia sobie, że czuje własne ciało, smażącą się w zlewie własną rękę, więc wreszcie odkręca kran i woda rozchlapująca się po oparzelinie i buchający z niej oleisty dym znów prowokują go do krzyku. A potem sięga na oślep, prawą ręką, bo lewa leży bezużytecznie w zlewie, jak efekt amputacji w metalowej nerce, i łapie pojemnik z solą z szafki nad kuchenką, i szlocha, wcierając garść ostrych kryształków w oparzelinę, co zmienia ból w coś bielszego niż biel, i jest tak, jakby patrzył otwartymi oczami w słońce i został oślepiony.

Kiedy się budzi, leży na podłodze, dotyka głową szafki pod zlewem. Kończyny mu drżą, ma gorączkę, lecz jest mu zimno, więc przyciska się do szafki jak do czegoś miękkiego, jakby to miało go pochłonąć. Pod zamkniętymi powiekami widzi hieny, oblizujące krwawe pyski, jakby go już pożarły. Zadowolone? – pyta. – Jesteście zadowolone? Nie mogą mu oczywiście odpowiedzieć, ale wyglądają na oszołomione i syte; ich czujność osłabła, a wielkie oczy zamykają się z zadowolenia.

Ma gorączkę. Godzinę zabiera mu dobrnięcie z kuchni do łóżka; stopy ma tak obolałe, że musi się ciągnąć na rękach. Nie tyle śpi, ile zapada w nieświadomość i wyłania się z niej; ból obmywa go jak fala przypływu, chwilami ustępując i pozwalając mu się obudzić, chwilami pochłaniając go poszarzałą, brudną falą. Późną nocą budzi się na tyle, żeby obejrzeć rękę, gdzie widnieje duże zwęglone kółko, czarne i złowieszcze, niczym krąg na ziemi, w którym odbył się jakiś przerażający rytuał: może spalenie czarownicy. Ofiara ze zwierzęcia. Przywoływanie duchów. Nie wygląda to wcale jak skóra (bo tak naprawdę już nią nie jest), tylko jak coś, co nigdy nie było skórą: jak drewno, jak papier, jak asfalt, wszystko zwęglone w popiół.

W poniedziałek już wie, że będzie miał zakażenie. W przerwie na lunch zmienia bandaż założony noc wcześniej, a kiedy go usuwa, zdziera wraz z nim płat skóry, więc wciska sobie w usta chusteczkę, żeby nie krzyczeć. Coś mu odpada z tej ręki… skrzepy o konsystencji krwi, ale w kolorze węgla. Jude siedzi na podłodze w łazience, kołysząc się w tył i w przód, jego żołądek wydala resztki potraw i kwasy, jego ręka wydala własną chorobę, własne wydaliny.

Następnego dnia ból jest dotkliwszy, więc Jude wychodzi z pracy wcześniej, żeby pójść do Andy'ego.

– Boże! – woła Andy na widok rany, a potem milczy, niepokojąc tym Jude'a, bo nigdy mu się to nie zdarzało.

– Możesz coś z tym zrobić? – pyta Jude szeptem.

Dotychczas nigdy nie sądził, że jest zdolny zadać sobie ranę, z którą nic nie da się zrobić. Nagle wyobraża sobie, że Andy oznajmia mu, że straci rękę, a jego następna myśl to: Co powiem Willemowi?

Lecz Andy mówi:

– Tak. Zrobię, co mogę, a potem musisz iść do szpitala. Połóż się.

Jude kładzie się i pozwala Andy'emu obmyć ranę, zdezynfekować ją i opatrzyć, pozwala mu przepraszać, kiedy sam krzyczy.

Spędza tam godzinę, a kiedy wreszcie jest w stanie usiąść – Andy zrobił mu zastrzyk znieczulający uszkodzoną powierzchnię – żaden przez jakiś czas nic nie mówi.

– Powiesz mi, w jaki sposób doznałeś oparzenia trzeciego stopnia w formie tak idealnego koła? – pyta wreszcie Andy, on zaś ignoruje lodowaty sarkazm tego pytania i recytuje przygotowaną zawczasu bajeczkę: plantany, tłuszcz, ogień.

Znowu zapada cisza, ale jakaś inna; Jude nie potrafi jej określić, ale mu się nie podoba. W końcu Andy odzywa się bardzo cicho:

– Kłamiesz, Jude.

– O co ci chodzi? – pyta przez zaschnięte gardło, chociaż przed chwilą pił sok pomarańczowy.

– Kłamiesz – powtarza Andy, wciąż tym samym cichym głosem, na co on zsuwa się ze stołu zabiegowego, butelka soku wyślizguje mu się z dłoni i rozbija o podłogę, on zaś kieruje się do drzwi.

– Przestań – mówi Andy. Jest zimny i wściekły. – W tej chwili gadaj, kurwa, co zrobiłeś?

– Powiedziałem ci. Powiedziałem.

– Nie – mówi Andy. – Powiedz mi, co zrobiłeś, Jude. Wymów te słowa. Wypowiedz je. Chcę usłyszeć, jak je wypowiadasz.

– Powiedziałem ci! – krzyczy Jude i czuje się strasznie, mózg mu rozsadza czaszkę, w stopach ma dymiące żelazne sztaby, w ramieniu wypalony został wrzący kocioł. – Wypuść mnie, Andy. Wypuść mnie.

– Nie! – Andy też już krzyczy. – Jude, ty… ty… – Zatrzymuje się, Jude też, i obaj pragną usłyszeć, jak Andy zakończy zdanie. – Ty jesteś chory, Jude – mówi Andy cichym, spanikowanym głosem. – Jesteś obłąkany. To jest zachowanie szaleńca. Za takie zachowanie mógłbyś zostać zamknięty na długie lata. Jesteś chory, chory i szalony, potrzebujesz pomocy.

– Nie waż się nazywać mnie wariatem! – drze się Jude. – Nie waż się! Nie jestem wariatem, nie jestem!

Andy to ignoruje.

– Willem wraca w piątek, tak? – pyta, chociaż zna odpowiedź. – Masz tydzień od dzisiaj na powiedzenie mu prawdy, Jude. Tydzień. Potem powiem mu sam.

– Nie możesz tego zrobić legalnie, Andy! – Wszystko wokół Jude'a wiruje. – Zaskarżę cię i wybulisz tyle, że…

– Lepiej sprawdź swoją ostatnią sprawę, *adwokacie* – syczy Andy. – Rodriguez versus Mehta. Dwa lata temu. Jeżeli pacjent, który był leczony bez swojej zgody, dopuszcza się następnego poważnego samookaleczenia, lekarz pacjenta ma prawo, więcej: obowiązek, poinformować partnera pacjenta lub jego rodzinę bez względu na to, czy pacjent wyraził na to zgodę, czy nie.

Jude milczy, skręcając się z bólu, lęku i szoku po tym, co usłyszał od Andy'ego. Stoją w pokoju zabiegowym, w tym pokoju, który odwiedził już tyle, tyle razy, ale czuje, że kolana się pod nim uginają, ogarnia go poczucie nieszczęścia, tak silne, że mija mu gniew.

– Andy – mówi i słyszy błaganie w swoim głosie – proszę cię, nie mów mu. Proszę, nie. Jeżeli mu powiesz, on mnie zostawi.

Jest przekonany, że tak się stanie. Nie wie, dlaczego Willem go zostawi – czy z powodu tego, co zrobił, czy z powodu kłamstwa – ale wie, że tak będzie. Willem go zostawi, chociaż on zrobił to, co zrobił, żeby móc dalej uprawiać seks, bo jeśli przestanie uprawiać seks, Willem też go zostawi.

– Tym razem nie, Jude – mówi Andy. Już nie krzyczy, ale głos ma ponury i zdeterminowany. – Tym razem nie będę cię krył. Masz tydzień.

– Przecież to nie jego sprawa – odpowiada zdesperowany. – Tylko moja.

– O to właśnie chodzi, Jude – mówi Andy. – To jest jego sprawa. Dlatego on tkwi w tym cholernym związku, nie zrozumiałeś tego jeszcze? Nie rozumiesz, że zwyczajnie nie możesz sobie robić, co chcesz? Nie rozumiesz, że kiedy kaleczysz siebie, kaleczysz również jego?

– Nie – odpowiada Jude, kręcąc głową i czepiając się prawą ręką stołu zabiegowego, żeby nie upaść. – Nie. Ja to sobie robię, żeby nie ranić jego. Robię to, żeby go oszczędzić.

– Nie. Wszystko zepsujesz, Jude, jeżeli dalej będziesz okłamywał osobę, która cię kocha, która naprawdę cię kocha, która zawsze chciała cię widzieć tylko takim, jaki jesteś. I tylko do siebie będziesz mógł mieć pretensje. To *będzie* twoja wina. A będzie twoja nie dlatego, że jesteś, kim jesteś, że cię molestowano, że masz choroby, które masz, że myślisz tak albo inaczej o własnym wyglądzie, tylko dlatego, że tak się zachowujesz, bo nie ufasz Willemowi na tyle, żeby z nim rozmawiać uczciwie, żeby go obdarować tą samą szczodrością i ufnością, którą on zawsze, *zawsze* obdarowywał ciebie. Ja wiem, że tobie się zdaje, że go oszczędzasz, ale tak nie jest. Jesteś samolubny. Jesteś samolubny, uparty i dumny i zepsujesz najlepszą rzecz, jaka ci się zdarzyła. Nie rozumiesz tego?

Jude jest oniemiały po raz drugi tego wieczoru i kiedy zaczyna się osuwać ze zmęczenia, Andy wyciąga rękę i łapie go w pasie, i na tym rozmowa się kończy.

Następne trzy noce Jude spędza w szpitalu, na polecenie Andy'ego. Za dnia chodzi do pracy, a wieczorami wraca i Andy go przyjmuje. Dyndają nad nim dwa plastikowe worki, po jednym na każdą rękę. W jednym, Jude wie, jest tylko glukoza. Drugi zawiera coś innego, coś, co uśmierza ból i sprawia, że sen jest atramentowy i nieruchomy, niczym granatowe niebo na japońskiej rycinie przedstawiającej zimę: wszystko pokryte śniegiem, a pod niebem milczący podróżny w słomianym kapeluszu.

Jest piątek. Powrót do domu. Willem ma przyjechać około dziesiątej wieczór, a chociaż pani Zhou już posprzątała, Jude chce mieć pewność, że nie pozostały żadne dowody, że pozacierał wszelkie ślady, chociaż bez kontekstu te ślady – sól, zapałki, oliwa, papierowe ręczniki – nie są żadnymi dowodami: są symbolami ich wspólnego życia, rzeczami, po które obaj codziennie sięgają.

Nadal jeszcze nie zdecydował, co zrobi. Ma czas do niedzieli – wyżebrał u Andy'ego dodatkowe dziewięć dni, przekonał go, że z powodu świąt, ponieważ w środę jadą do Bostonu na Święto Dziękczynienia, potrzebuje więcej czasu – żeby albo powiedzieć Willemowi, albo (choć się do tego nie przyznaje) nakłonić Andy'ego do zmiany zdania. Oba scenariusze wydają mu się tak samo nierealne. Ale i tak spróbuje. Ponieważ ostatnie noce całe przesypiał, miał bardzo mało czasu na przemyślenie, jak uporać się z sytuacją. Czuje, że stał się sam dla siebie spektaklem; zamieszkuje go wiele istot – ta fretkowata, hieny, głosy – które czekają, co postanowi, żeby go osądzić, wydrwić i powiedzieć, że się myli.

Siada na kanapie w salonie i czeka, a kiedy otwiera oczy, Willem siedzi obok niego, uśmiecha się, wymawia jego imię, więc Jude obejmuje go ramionami, uważając, żeby nie urazić lewego, i przez tę chwilę wszystko zdaje się możliwe, a zarazem nieopisanie trudne.

Jak mogłem żyć bez tego? – pyta Jude sam siebie. A potem: – Co mam zrobić?

Dziewięć dni, nęka go wewnętrzny głos. *Dziewięć dni*. Lecz on go ignoruje.

– Wróciłeś, wróciłeś – powtarza schowany w Willemowych ramionach. – Jesteś w domu, jesteś w domu. – Uwalnia głęboki wydech; ma nadzieję, że Willem nie słyszy jego drżenia. – Willem – mówi raz po raz, wypełniając usta tym imieniem. – Willem, Willem. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłem.

W podróżach najlepsze są powroty. Kto to powiedział? Nie on, chociaż mógłby to być on, myśli, chodząc po mieszkaniu. Jest południe, wtorek, a jutro jadą do Bostonu.

Jeżeli kochasz dom – a nawet jeśli nie – to nic nie bywa tak przytulne, tak swojskie, tak rozkoszne jak ten pierwszy tydzień po powrocie. W tym tygodniu nawet rzeczy, które normalnie by cię zirytowały – alarm jakiegoś samochodu wyjący o trzeciej nad ranem, gołębie, które gruchają i tupią na parapecie za twoim łóżkiem, kiedy próbujesz dłużej pospać – stają się przypomnieniem twojej trwałości i tego, jak życie, twoje życie, zawsze łaskawie pozwoli ci wejść w siebie z powrotem, choćbyś wyjechał nie wiadomo jak daleko, nie wiadomo jak dawno.

W tym tygodniu rzeczy, które lubisz po prostu za to, że istnieją, wydają się godne zachwytu: sprzedawca kandyzowanych kasztanów na Crosby Street, który zawsze odwzajemnia twoje machnięcie ręką, kiedy przebiegasz obok, kanapka z dodatkową marynowaną rzodkiewką z wózka w połowie ulicy, z której wspomnieniem obudziłeś się kiedyś głodny w Londynie, samo mieszkanie z tym słońcem wędrującym z upływem dnia z jednego końca do drugiego, z twoimi rzeczami, jedzeniem, łóżkiem, prysznicem i zapachami.

No i jest osoba, do której wracasz – jej twarz, ciało, głos, zapach i dotyk, jej cierpliwe czekanie, aż skończysz mówić, choćby nie wiem jak długie, żeby coś powiedzieć, jej uśmiech przesuwający się po twarzy tak wolno, że przypomina ci wschód księżyca, jej niekłamane stęsknienie i radość, że wróciłeś. No i jeżeli jesteś prawdziwym szczęściarzem, są rzeczy, które ta osoba zrobiła dla ciebie, kiedy cię nie było: w spiżarce, w lodówce, w zamrażarce czekają twoje ulubione potrawy, jest whisky, którą lubisz. Jest sweter, który byłeś pewien, że zgubiłeś rok temu w teatrze, czysty i złożony na półce. Jest koszula, której dyndały guziki, teraz starannie przyszyte. Jest twoja poczta ułożona w stosik na skraju jego biurka, jest umowa na kampanię reklamową austriackiego piwa, którą masz robić w Niemczech, z jego notatkami na marginesie, które powinieneś omówić ze swoim prawnikiem. I choć nikt nie zająknie się o tych rzeczach, poznasz, że zostały zrobione z autentyczną przyjemnością, i zrozumiesz, że częściowy powód – w części niewielkiej, ale jednak – tego, że uwielbiasz być w tym mieszkaniu i w tym związku, mieści się w tym, że ta druga osoba stale stwarza dla ciebie dom, a kiedy jej to powiesz, nie obrazi się, tylko będzie jej miło, a ty się ucieszysz, ponieważ powiedziałeś to z wdzięcznością. W podobnych chwilach – w ciągu tygodnia po powrocie do domu – będziesz się

zastanawiał, dlaczego wyjeżdżasz tak często, i zadasz sobie pytanie, czy po spełnieniu obietnic przyszłego roku nie powinieneś na jakiś czas zostać tutaj, gdzie jest twoje miejsce.

Ale będziesz też wiedział – tak jak i on wie – że to ciągłe wyjeżdżanie jest w jakiejś mierze odreagowywaniem. Po upublicznieniu swojego związku z Jude'em, gdy wraz z Kitem i Emilem Willem czekał, co się wydarzy, przeżył tę samą niepewność, która go nawiedzała w młodości: Co będzie, jeśli już nigdy nie dostanie pracy? Co, jeśli to jest koniec? I chociaż wszystko, teraz to widzi, potoczyło się prawie bez przeszkód, jemu zabrało rok, zanim się upewnił, że okoliczności się nie zmieniły, że jest wciąż tym, kim był, że jedni reżyserzy obsadzają go chętnie, a inni nie („Dupy", skwitował Kit, za co on był mu wdzięczny; „Kto by nie chciał z tobą pracować?"), że w każdym razie jest wciąż tym samym aktorem, ani lepszym, ani gorszym.

Ale choć wolno mu było zostać tym samym aktorem, nie wolno mu było zostać tą samą osobą, toteż w pierwszych miesiącach po tym, jak ogłoszono go gejem – czego nie zdementował; nie miał rzecznika prasowego, który by wydawał tego typu oświadczenia – zyskał silniejszą tożsamość niż w długim okresie poprzednim. Przez większość dorosłego życia okoliczności wymagały od niego pozbywania się osobowości: przestał być bratem; przestał być synem. Lecz dzięki jednej rewelacji stał się oto mężczyzną gejem, aktorem gejem, sławnym aktorem gejem, sławnym nieuczestniczącym aktorem gejem; wreszcie sławnym wiarołomnym aktorem gejem. Jakiś rok temu był na kolacji z Maxem, reżyserem, którego znał od lat, i ten próbował go namówić do wygłoszenia mowy na rzecz organizacji walczącej o prawa gejów, przy której to okazji miałby przedstawić się jako gej. Willem zawsze popierał tę organizację, ale powiedział Maxowi, że chociaż z przyjemnością wręczy nagrodę lub zasponsoruje stolik – jak co roku przez ostatnie dziesięć lat – to na coming out się nie da namówić, ponieważ nie wierzy, aby to cokolwiek dało; on nie jest gejem.

– Willem – powiedział Max – jesteś w związku, poważnym związku, z mężczyzną. To przecież czysta definicja bycia gejem.

– Nie jestem w związku z mężczyzną – skorygował on, słysząc, jak to absurdalnie brzmi. – Jestem w związku z Jude'em.

– O mój boże – mruknął Max.

Willem westchnął. Max był szesnaście lat starszy od niego; wszedł w dorosłość, kiedy polityka tożsamości była samą tożsamością człowieka, więc Willem go rozumiał, podobnie jak rozumiał innych ludzi, którzy go nagabywali, żeby się ujawnił, a kiedy odmawiał, oskarżali go o nienawiść do samego siebie, tchórzostwo, hipokryzję i wyparcie. Rozumiał, że stał się reprezentantem czegoś, czego nigdy nie reprezentował, rozumiał, że w zasadzie nie ma znaczenia, czy ta reprezentacja mu się podoba. Ale mimo wszystko nie mógł się na to zdobyć.

Jude powiedział mu, że oni z Calebem przed nikim się nie zdradzili, i chociaż skrytość Jude'a wynikała ze wstydu (Caleba zaś, miał nadzieję Willem, przynajmniej z minimalnego poczucia winy), to i on czuł, że relacja z Jude'em istnieje wyłącznie dla nich dwóch. Zdawała się czymś świętym, wywalczonym i niepowtarzalnym. Oczywiście to było śmieszne, ale tak to czuł. Być aktorem z jego pozycją oznaczało stanowić w dużym stopniu własność publiczną, przedmiot sporów i krytyk, do których prawo miał każdy, kto chciał skomentować jego wygląd albo grę. Ale jego związek był czymś innym: w nim Willem odgrywał rolę dla jednej osoby, ta osoba była jego jedyną publicznością i nikt inny tego spektaklu nie oglądał, choćby ludziom zdawało się, że jest inaczej.

Ich związek zdawał mu się święty także z tego powodu, że właśnie ostatnio – w ciągu może pół roku – poczuł, że opanował jego rytm. Osoba, którą myślał, że zna, okazała się pod pewnymi względami nie tą, którą ma przed sobą, i długo trwało, zanim się zorientował, ile jeszcze jej twarzy ma zobaczyć. Było tak, jakby figura, którą uznał za pentagram, była w istocie skomplikowanym fraktalem, znacznie trudniejszym do zmierzenia. Pomimo to nigdy nie rozważał odejścia: został, bezwarunkowo, z miłości, z lojalności, z ciekawości. Ale nie było łatwo. Prawdę mówiąc, chwilami było potwornie trudno i w jakiś sposób tak pozostało. Gdy obiecywał sobie, że nie będzie się starał zreformować Jude'a, zapomniał, że rozgryźć kogoś to znaczy *chcieć* go zreformować. Zdiagnozować problem i nie spróbować go naprawić zdawało mu się nie tylko zaniedbaniem, lecz też niemoralnością.

Sprawą numer jeden był seks: ich życie erotyczne i stosunek Jude'a do niego. Pod koniec dziesięciomiesięcznego okresu, który przeżyli razem (najdłuższy celibat, jaki Willem przeżył od piętnastego roku życia, i było to trochę jak wyzwanie, jak niejedzenie chleba albo makaronu, bo twój chłopak lub dziewczyna ich nie je), oczekiwał, że Jude będzie gotowy, i zaczął się na serio martwić, w jakim kierunku to wszystko zmierza, i czy może Jude jest całkowicie niezdolny do seksu. Jakoś wiedział, od zawsze, że Jude był molestowany, że spotkało go coś strasznego (może więcej niż jedna taka rzecz), ale ku swemu zawstydzeniu nie znajdował słów, żeby z nim o tym porozmawiać. Wmawiał sobie, że nawet gdyby znalazł takie słowa, to Jude nie zechce o tym mówić, póki sam nie będzie gotowy, lecz tak naprawdę chodziło o to, że Willem był za wielkim tchórzem i że tchórzostwo było w istocie jedynym powodem jego niedziałania. Ale potem wrócił do domu z Teksasu i jednak uprawiali seks, więc poczuł ulgę, również z tego powodu, że było mu bardzo dobrze, że nie było w tym nic wysilonego ani nienaturalnego, a kiedy okazało się, że Jude jest o wiele sprawniejszy seksualnie, niż on się spodziewał, pozwolił sobie na ulgę po raz trzeci. Nie mógł jednak dojść do tego, skąd u Jude'a takie bogate doświadczenie. Czyżby Richard miał rację, że Jude przez cały ten czas prowadził podwójne życie? Wyglądało to na zbyt łatwe wyjaśnienie. A jednak alternatywa – że te umiejętności Jude zyskał, zanim się spotkali, co oznaczałoby lekcje pobierane w dzieciństwie – była zbyt

przerażająca. I tak, ku swemu wielkiemu poczuciu winy, nie mówił nic. Wolał wierzyć w teorię, która mniej komplikowała mu życie.

Lecz pewnej nocy przyśniło mu się, że on i Jude właśnie odbyli seks (co rzeczywiście miało miejsce) i że Jude leży obok niego i płacze, bezskutecznie starając się to robić cicho, i Willem wiedział w tym śnie, dlaczego Jude płacze – bo nienawidzi tej czynności, nienawidzi tego, do czego zmusza go Willem. Następnej nocy zapytał go wprost: „Czy ty to lubisz?" i czekał, nie wiedząc, jaka będzie odpowiedź, aż Jude odpowiedział „tak", na co on znowu doznał ulgi: że fikcja może trwać dalej, że nie będzie musiał odbyć rozmowy, której nie umiał zacząć, nie mówiąc o prowadzeniu jej. Stanął mu przed oczami obraz małej łódeczki, dingi, miotanej szaleńczo falami, ale potem uspokajającej się i płynącej równo naprzód, mimo że wody pod nią są czarne, pełne potworów i skołtunionych wodorostów, które z każdą większą falą grożą wciągnięciem małej łódeczki pod powierzchnię oceanu, gdzie przepadłaby z oczu na zawsze.

Jednak co jakiś czas, zbyt rzadko, by prześledzić prawidłowość, zdarzały się chwile, w których widział twarz Jude'a, wchodząc w niego lub potem, czuł jego milczenie, tak czarne i zupełne, że niemal namacalne, i wiedział, że Jude go okłamał, bo on zadał mu pytanie, na które istniała tylko jedna akceptowalna odpowiedź, i Jude mu tę odpowiedź dał, jednak bez przekonania. Wtedy kłócił się z samym sobą, próbował usprawiedliwić swoje postępowanie i jednocześnie się za nie ganił. Bo gdy był wobec siebie uczciwy, wiedział, że tu jest problem.

Nie umiał jednak do końca określić, na czym ten problem polega, bo Jude zawsze zdawał się mieć ochotę na seks wtedy, kiedy i on miał. (Lecz czy już samo to nie było podejrzane?) Willem nigdy dotąd nie spotkał kogoś, kto miałby taką awersję do gry wstępnej, kto odmawiał nawet rozmowy o seksie, kto nigdy nie wymówił tego słowa. „To krępujące, Willem – mówił Jude, ilekroć on poruszał ten temat. – Po prostu zróbmy to". Często czuł, jakby czas ich zbliżeń był odmierzony, w związku z czym jego zadaniem jest sprawić się jak najszybciej i najgruntowniej i więcej o tym nie gadać. Mniej się przejmował brakiem erekcji Jude'a niż dziwnym poczuciem, którego nieraz doznawał – zbyt nieokreślonym i sprzecznym wewnętrznie, żeby je choćby nazwać – że z każdym kolejnym stosunkiem on zbliża się do Jude'a, a Jude się od niego oddala. Jude mówił właściwe rzeczy, wydawał wszystkie właściwe dźwięki, był czuły i chętny, a jednak Willem wiedział, że coś, *coś*, jest nie tak. Konsternowało go to: ludzie zawsze lubili uprawiać z nim seks, więc co się tutaj działo? Perwersyjnie odczuwał z tego powodu jeszcze większe pożądanie, choćby po to, by znaleźć jakieś odpowiedzi, których jednocześnie się lękał.

I tak samo jak wiedział, że mają problem z seksem, wiedział też – wiedział, nie wiedząc, bo nikt mu tego nie mówił – że cięcie się Jude'a ma związek z seksem. Ilekroć to sobie uświadamiał, przechodził

go dreszcz, tak jak w przypadku starych, wyświechtanych samousprawiedliwień (Willemie Ragnarssonie, na co ty się porywasz? Jesteś za głupi, żeby to rozpracować) zaniechania dalszej eksploracji, wymówek od zanurzenia ręki aż po pachę w rojące się od żmij i stonóg bagno Jude'owej przeszłości, żeby tam znaleźć tę wielostronicową księgę owiniętą w zżółkły plastik, która by mu pomogła zrozumieć tego, kogo ponoć tak dogłębnie rozumiał. I wtedy myślał, jak to żaden z nich – ani on, ani Malcolm, ani JB, ani Richard, ani nawet Harold – nie był dość odważny, aby spróbować. Znajdowali inne powody, by nie ubrudzić sobie rąk. Andy był jedyną osobą, która mogła powiedzieć o sobie coś innego.

Jak łatwo mu było udawać, ignorować to, co wiedział, ponieważ przez większość czasu udawanie było proste: ponieważ byli przyjaciółmi, ponieważ lubili ze sobą być, ponieważ uwielbiał Jude'a, ponieważ mieli wspólne życie, ponieważ go do niego ciągnęło, ponieważ go pragnął. Ale istniał Jude znany mu za dnia, a nawet o zmierzchu i o świcie, i tamten Jude, który opętywał jego przyjaciela na parę nocnych godzin, i ten Jude, który (jak bał się czasem Willem) był tym prawdziwym: nawiedzony Jude, sam w ich mieszkaniu, Jude, który na jego oczach tnie się powoli żyletką po przedramieniu, Jude o oczach rozszerzonych cierpieniem, Jude, którego on nigdy nie dosięgnie, choćby bez końca mnożył zapewnienia, choćby nie wiem ile zerwał nici. A przecież czasem miał wrażenie, że to właśnie ten Jude kieruje ich związkiem i kiedy jest obecny, nikt, nawet Willem, nie potrafi go odczarować. Mimo to był uparty: wyruguje go intensywnością, siłą i determinacją swojej miłości. Wiedział, że to dziecinne, ale każdy akt uporu jest dziecinny. W tym przypadku upór był jego jedyną bronią. Cierpliwość. Upór. Miłość. Musiał wierzyć, że one wystarczą. Musiał wierzyć, że się okażą silniejsze niż jakikolwiek zwyczaj Jude'a, choćby najdłużej i najpilniej pielęgnowany.

Czasami dostawał raporty o postępach Jude'a od Andy'ego i Harolda, którzy mu dziękowali przy każdym spotkaniu. Nie uważał tego za konieczne, lecz było pokrzepiające, ponieważ znaczyło, że zmiany, które on dostrzega w Judzie – wzmożona otwartość, pewne zmniejszenie fizycznej samoświadomości – nie są tylko jego wyobrażeniami. Lecz czuł się też dotkliwie sam, sam ze swoimi nowymi podejrzeniami wobec Jude'a i głębią jego trudności, sam ze świadomością, że nie umie czy też nie chce się do tych trudności odnieść. Kilka razy był bardzo bliski zwrócenia się do Andy'ego i zapytania go, co ma robić, zapytania, czy podejmuje słuszne decyzje. Lecz nie zrobił tego.

W zamian za to pozwolił, by jego wrodzony optymizm przesłonił obawy, żeby zamienił ich relację w coś z gruntu radosnego i słonecznego. Często doznawał poczucia – znanego mu już z Lispenard Street – że bawią się w dom, że on sam przeżywa jakąś chłopięcą fantazję o ucieczce od świata i jego zasad z najlepszym przyjacielem i mieszkaniu w jakimś nieodpowiednim, ale doskonale wygodnym miejscu (wagonie kolejowym, domku na drzewie), które w zamierzeniu nie miało być domem, ale

stało się nim dzięki wspólnemu przekonaniu obu mieszkańców. Pan Irvine nie do końca się mylił, myślał Willem w tych dniach, kiedy życie przypominało jedno długie piżamowe przyjęcie, które celebrują od blisko trzydziestu lat i które daje ekscytujące uczucie, że wymknęli się światu z czymś wielkim, czymś, co powinni byli już dawno temu porzucić. Szło się na imprezę i kiedy ktoś powiedział coś głupiego, patrzyło się na przyjaciela przez stół, a on odpowiadał spojrzeniem z kamienną miną, z leciutkim tylko uniesieniem jednej brwi, a wówczas trzeba się było szybko napić wody, żeby nie parsknąć śmiechem z ustami pełnymi jedzenia, a potem, po powrocie do mieszkania – waszego śmiesznie pięknego mieszkania, które obydwaj doceniacie w stopniu wprost zawstydzającym, z powodów, których nigdy nie musieliście sobie nawzajem tłumaczyć – odtwarzacie tamtą koszmarną kolację, zaśmiewając się tak, że zaczynacie zrównywać szczęście z bólem. Albo gadacie przez całe noce o swoich problemach z kimś mądrzejszym i wrażliwszym od siebie, albo rozmawiacie o lęku i dyskomforcie, jaki odczuwacie obaj, jeszcze po latach, w związku z posiadaniem pieniędzy, groteskowych pieniędzy komiksowych zbójców, albo jedziecie do domu jego rodziców i jeden z was wrzuca do samochodowego odtwarzacza jakąś odjechaną playlistę, której obaj wtórujecie głośnym śpiewem, bo jesteście ekstrawagancko niemądrzy jako dorośli, którzy nie byli tacy jako dzieci. W miarę jak się starzejecie, uświadamiacie sobie, że w istocie jest bardzo niewiele osób, z którymi chętnie przebywacie przez więcej niż parę dni z rzędu, a oto jesteście z kimś, z kim pragniecie być blisko przez lata, nawet gdy ten ktoś postępuje niejednoznacznie i deprymująco. A zatem – szczęśliwi. Tak, był szczęśliwy. Nie musiał o tym myśleć, właściwie nie. Był prostym człowiekiem, wiedział o tym, najprostszym z ludzi, a związał się z najbardziej skomplikowanym z ludzi.

– Wszystko, czego mi potrzeba – powiedział Jude'owi pewnej nocy, usiłując wyjaśnić zadowolenie, które bulgotało w nim jak woda w jasnoniebieskim czajniku – to praca, którą lubię, miejsce do życia i ktoś, kto mnie kocha. Widzisz? To proste.

Jude roześmiał się smutno.

– Willem – powiedział – ja potrzebuję tego samego.

– Przecież to masz – rzekł Willem, cicho, i Jude też ucichł.

– No tak – powiedział w końcu. – Masz rację.

Ale sądząc po głosie, nie był o tym przekonany.

W tę wtorkową noc leżą obok siebie, trochę gadają, a trochę nie, pogrążeni w meandrującej niby-rozmowie, którą prowadzą, kiedy obaj nie chcą zasnąć, chociaż są śpiący, gdy nagle Jude wymawia jego imię z powagą, która każe mu otworzyć oczy.

– O co chodzi? – pyta Willem, a Jude ma twarz tak nieruchomą, tak trzeźwą, że Willema ogarnia lęk. – Jude? Powiedz mi.

– Willem, wiesz, że staram się nie ciąć – mówi Jude, a Willem kiwa głową i czeka. – I będę się starał dalej – ciągnie Jude. – Ale czasami… czasami mogę nie zdołać się opanować.

– Wiem – odpowiada Willem. – Wiem, że się starasz. Wiem, jakie to dla ciebie trudne.

Jude odwraca się wtedy od niego, a Willem turla się na jego stronę łóżka i oplata go ramionami.

– Chcę tylko, żebyś zrozumiał, jeśli popełnię błąd – mówi Jude zduszonym głosem.

– Oczywiście, że zrozumiem. Jude… oczywiście, że zrozumiem.

Zapada długa cisza; Willem czeka, czy Jude powie coś jeszcze. Jude jest chudy, ma długie mięśnie maratończyka, ale w ciągu ostatniego półrocza jeszcze bardziej schudł, jest prawie tak chudy jak w momencie wyjścia ze szpitala. Willem przytula go trochę mocniej.

– Schudłeś jeszcze bardziej – mówi.

– Praca – odpowiada Jude i znów obaj milkną.

– Chyba powinieneś więcej jeść. – Willem sam musiał przytyć, żeby zagrać Turinga, i chociaż parę kilogramów już stracił, przy Judzie czuje się masywny, jak nadmuchany. – Andy pomyśli sobie, że o ciebie nie dbam, i mnie opieprzy – mówi, a Jude wydaje odgłos podobny do śmiechu.

Następnego ranka, w przeddzień Święta Dziękczynienia, wstają weseli – obydwaj lubią prowadzić samochód – i ładują do bagażnika torbę z rzeczami oraz pudła ciastek, ciast i chlebów, których Jude napiekł dla Harolda i Julii. Wyjeżdżają wcześnie; samochód sunie na wschód, podskakując na brukowanych ulicach SoHo, a potem mknie szosą FDR. Śpiewają do wtóru ścieżce dźwiękowej *Duetów*. Pod Worcester zatrzymują się na stacji benzynowej i Jude idzie kupić dla nich miętówki i wodę. Willem czeka w aucie, przeglądając gazetę, a kiedy dzwoni telefon Jude'a, sięga po niego, sprawdza, kto dzwoni, i odbiera.

– Powiedziałeś już Willemowi? – słyszy głos Andy'ego, zanim zdążył powiedzieć „halo". – Masz jeszcze trzy dni od dzisiaj, Jude, a jak nie, to powiem mu sam. Poważnie.

– Andy? – odzywa się Willem i zapada nagła cisza.

– Willem… O kurwa.

W tle Willem słyszy uradowany głosik małego dziecka: „Wujek Andy powiedział brzydkie słowo!", a potem Andy znowu klnie i słychać domykanie zasuwanych drzwi.

– Dlaczego odbierasz jego telefon? Gdzie jest Jude?

– Jedziemy do Harolda i Julii – mówi Willem. – Poszedł po wodę. – Na drugim końcu linii panuje milczenie. – Powiedz mi, o co chodzi, Andy.

– Willem – odzywa się w końcu Andy. – Nie mogę. Obiecałem mu, że będzie mógł to zrobić sam.

– Nic mi nie mówił. – Willem czuje, jak wypełniają go warstwy emocji: warstwa strachu na warstwie irytacji na warstwie strachu na warstwie ciekawości na warstwie strachu. – Andy, lepiej mi powiedz. – Czuje narastającą panikę. – To coś złego? – I zaczyna błagać: – Andy, nie rób mi tego!

Słyszy, jak Andy oddycha powoli.

– Willem – mówi cicho. – Zapytaj go, skąd naprawdę ma tę oparzelinę na ręce. Muszę kończyć.

– Andy! – wrzeszczy Willem. – *Andy*!

Ale Andy się rozłącza.

Willem odwraca głowę, patrzy przez okno i widzi nadchodzącego Jude'a. Oparzelina? Co z tą oparzeliną? Jude się oparzył, smażąc plantany dla JB. „Pieprzony JB – powiedział Willem na widok bandaża owijającego rękę Jude'a. – Zawsze wszystko musi spieprzyć". Jude się wtedy roześmiał. „Ale poważnie: nic ci nie jest, Judy?". Jude odpowiedział, że nic. Był u Andy'ego, który mu to zapsikał jakąś skóropodobną substancją. Pokłócili się wtedy o to, że Jude nie przyznał się od razu, jak poważne było oparzenie – sądząc z jego mejla, Willem wyobraził sobie coś drobnego, co nie wymaga zastosowania sztucznej skóry – a drugi raz posprzeczali się dziś rano, bo Jude upierał się prowadzić, chociaż ręka ewidentnie go bolała. Więc co z tym oparzeniem? Nagle Willem uprzytamnia sobie, że istnieje tylko jedno wyjaśnienie słów Andy'ego, i musi szybko spuścić głowę, bo jest tak oszołomiony, jakby go ktoś uderzył.

– Przepraszam – mówi Jude, wsiadając do auta. – Była tasiemcowa kolejka. – Wytrząsa miętówki z torebki, odwraca się i patrzy na Willema. – Hej? – pyta. – Co ci jest? Wyglądasz okropnie.

– Dzwonił Andy – odpowiada Willem i obserwuje twarz Jude'a, która kamienieje i powleka się strachem. – Jude – mówi, słysząc własny głos jakby z daleka, z głębokiego parowu – skąd masz tę oparzelinę na ręce?

Lecz Jude nie odpowiada, tylko wpatruje się w niego. To nie dzieje się naprawdę – mówi sobie Willem.

Lecz niestety dzieje się.

– Jude – powtarza Willem – skąd masz oparzelinę na ręce?

Jude wciąż tylko na niego patrzy i zaciska usta, więc Willem pyta trzeci raz i czwarty. Aż w końcu wrzeszczy:

– Jude! – zdumiony własną furią.

Jude chowa głowę w ramionach.

– Jude! Odpowiedz mi! Powiedz mi natychmiast!

Wtedy Jude mówi coś, ale tak cicho, że Willem go nie słyszy.

– Głośniej! – wrzeszczy. – Nie słyszę cię!

– Oparzyłem się – mówi w końcu Jude, bardzo cicho.

– Jak? – pyta Willem dziko i znów odpowiedź Jude'a jest tak cicha, że ledwo do niego dociera, wyróżnia z niej jednak poszczególne słowa: olej – zapałka – ogień.

– Dlaczego?! – krzyczy z desperacją. – *Dlaczego* to zrobiłeś, Jude?

Jest taki zły – na siebie, na niego – że po raz pierwszy, odkąd go zna, ma chęć go uderzyć, wyobraża sobie, jak rozkwasza mu pięścią nos, policzek. Chce zobaczyć jego zmiażdżoną twarz i chce być tym, który to zrobił.

– Chciałem się nie pociąć – odpowiada Jude słabym głosem, czym jeszcze bardziej rozwścieczа Willema.

– Więc to moja wina? – pyta. – Robisz to, żeby mnie ukarać?

– Nie – odpowiada błagalnie Jude. – Nie, Willem, nie… ja tylko…

Lecz Willem mu przerywa.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, kto to jest brat Luke? – słyszy własne pytanie.

Widzi, że zaskoczył tym Jude'a.

– Co?

– Obiecałeś, że mi powiesz. Pamiętasz? To był mój prezent urodzinowy. – Ostatnie słowa brzmią bardziej sarkastycznie, niż zamierzał. – Powiedz mi. Powiedz mi teraz.

– Nie mogę, Willem. Proszę, proszę.

Widzi, że Jude jest w udręce, ale naciska dalej.

– Miałeś cztery lata na zastanowienie się, jak to zrobić – przypomina, a kiedy Jude chce wsadzić kluczyk do stacyjki, wyrywa mu go. – Uważam, że to wystarczająco długi czas łaski. Powiedz mi natychmiast. – A widząc znowu brak reakcji, ryczy: – No, powiedz mi!!!

– Jeden z braci w klasztorze – odpowiada szeptem Jude.

– No i? – krzyczy Willem.

Jaki ja jestem głupi – myśli, krzycząc. – Jaki ja jestem strasznie głupi. Jaki łatwowierny. A potem, nagle: On się mnie boi. Wrzeszczę na kogoś, kogo kocham, i on się mnie boi. Przypomina mu się, jak lata temu darł się na Andy'ego: „Wściekasz się, bo go nie umiesz wyleczyć, więc wyżywasz się na mnie!". O boże – myśli. – O boże. Dlaczego ja to robię?

– I uciekłem z nim – mówi Jude, a jego głos jest teraz tak cichy, że Willem musi się nachylić, żeby go usłyszeć.

– No i? – naciska, ale widzi, że Jude zaraz się rozpłacze, więc przerywa przesłuchanie i opiera się w fotelu, wycieńczony i zdegustowany sobą, a także przerażony. Co będzie, jeśli następnym pytaniem otworzy wreszcie tamę i wszystko, co zawsze chciał wiedzieć o Judzie, wszystko, z czym nigdy nie

chciał się skonfrontować, nareszcie się wyleje? Siedzą długo, a samochód wypełnia się ich rwanymi oddechami. Willem czuje, że końcówki palców mu drętwieją. – Jedźmy – mówi wreszcie.

– Dokąd? – pyta Jude, a Willem na niego patrzy.

– Do Bostonu mamy już tylko godzinę – mówi. – Czekają na nas.

Jude kiwa głową, ociera twarz chusteczką, bierze od Willema kluczyki i powoli wyprowadza auto ze stacji benzynowej.

Gdy jadą autostradą, Willem doznaje wizji tego, co znaczy podpalić się. Myśli o ogniskach, które budował jako skaut, o gałęziach ustawianych wokół kłębu gazet, o migotliwym płomieniu, który sprawiał, że wszystko dokoła pływało w oczach, o strasznym pięknie ognia. A potem myśli o Judzie robiącym to samo własnej skórze, wyobraża sobie pomarańczowy jęzor wgryzający się w jego ciało i robi mu się niedobrze.

– Zjedź na bok – dyszy do Jude'a, który z piskiem opon zjeżdża z drogi. Willem wychyla się przez okno i długo wymiotuje, aż nie ma już czym.

– Willem – słyszy głos Jude'a, a dźwięk tego głosu rozwścieczа go i rozbraja zarazem.

Przez resztę drogi milczą, ale kiedy Jude skręca na podjazd domu Harolda i Julii, patrzą na siebie przez krótką chwilę i Willem czuje, jakby patrzył na kogoś, kogo nigdy jeszcze nie widział. Ma przed sobą przystojnego mężczyznę o długich kończynach i pięknej twarzy, takiej twarzy, od której nie można oderwać wzroku, i myśli, że gdyby spotkał tego mężczyznę na przyjęciu albo w restauracji, zagadałby do niego, zyskując w ten sposób pretekst do patrzenia na tę piękną twarz, i nigdy by nie pomyślał, że ten mężczyzna tnie się tak, że skóra na jego rękach ma już fakturę tkanki chrzęstnej, a nie skóry, albo że miał kiedyś romans z kimś, kto go pobił prawie na śmierć, albo że którejś nocy natarł sobie skórę oliwą, żeby ciało dotknięte płomieniem paliło się jaśniej i mocniej, i że ten pomysł pożyczył od kogoś, kto mu kiedyś coś takiego zrobił lata temu, kiedy był dzieckiem, za karę, choć nie zrobił nic strasznego: wziął tylko coś błyszczącego i nieodparcie pociągającego z biurka nienawistnego opiekuna.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, kiedy słyszą powitalne wołanie Harolda i Julii, więc obydwaj mrugają oczami, odwracają się od siebie i wysiadają z samochodu, układając usta w uśmiechy. Całując Julię, Willem słyszy, jak Harold pyta Jude'a:

– Nic ci nie jest? Na pewno? Wyglądasz jakoś dziwnie.

A Jude mamrocze, że nie, nic mu nie jest.

Willem idzie do sypialni z ich torbą, a Jude zmierza prosto do kuchni. Willem wyciąga ich szczoteczki i golarki, które zanosi do łazienki, po czym kładzie się na łóżku.

Przesypia całe popołudnie; jest tak przytłoczony, że nie stać go na nic innego.

Na kolacji ma być tylko ich czworo. Willem spogląda w lustro i szybko ćwiczy śmiech, zanim przyłączy się do towarzystwa. Przy stole Jude jest bardzo milczący, ale Willem stara się rozmawiać i słuchać, jakby wszystko było normalnie, chociaż to trudne z głową pełną świeżo zdobytej wiedzy.

Pomimo gniewu i rozpaczy zauważa, że Jude prawie nic nie ma na talerzu, ale gdy Harold mówi: „Jude, musisz jeść więcej, zrobiłeś się o wiele za chudy. Prawda, Willem?" i patrzy na niego jak na sojusznika, którym on zwyczajowo w takich chwilach bywał, wzrusza ramionami i mówi: „Jude jest dorosły", głosem dziwnym nawet dla siebie samego. „Wie, co jest dla niego najlepsze". Kątem oka widzi, jak Harold i Julia wymieniają spojrzenia, a Jude spogląda w talerz. „Najadłem się przy gotowaniu", mówi Jude, ale wszyscy wiedzą, że to nieprawda, bo Jude nigdy nie podjada podczas gotowania i innym też nie pozwala. JB nazywa go „Przekąska NKWD". Widzi, że Jude bezwiednie nakrywa dłonią to miejsce, gdzie pod swetrem ma oparzelinę, lecz spostrzegłszy, że Willem na niego patrzy, opuszcza rękę i znów wbija wzrok w talerz.

Jakoś przetrwali kolację, a potem z Julią przy zmywaniu Willem stara się podtrzymywać lekką rozmowę. Przechodzą do salonu, gdzie Harold czeka na Willema, żeby z nim obejrzeć ubiegłotygodniowy mecz, który specjalnie nagrał. Willem przystaje w progu: normalnie przysiadłby się do Jude'a w wielkim, nadmiernie wypchanym fotelu, wciśniętym obok tak zwanego fotela Harolda, ale dzisiaj wieczorem nie może siedzieć koło Jude'a – ledwo może na niego patrzeć. A przecież jeśli nie usiądzie, to Harold i Julia nabiorą pewności, że zaszło między nimi coś bardzo złego. Gdy tak się waha, Jude wstaje i jakby wyczuwał jego dylemat, oświadcza, że jest zmęczony i idzie do łóżka.

– Jesteś pewien? – pyta Harold. – Wieczór dopiero się zaczyna.

Ale Jude powtarza, że jest zmęczony, całuje Julię na dobranoc, macha zdawkowo w kierunku Harolda i Willema, a Willem widzi, jak małżonkowie ponownie wymieniają spojrzenia.

Julia w końcu także wychodzi – nigdy nie rozumiała uroku amerykańskiego futbolu – a po jej wyjściu Harold zatrzymuje mecz i spogląda na Willema.

– Między wami wszystko okej? – pyta, a Willem kiwa głową.

Później, kiedy i on wstaje, by iść do łóżka, Harold łapie go za rękę i mówi:

– Wiesz, Willem, my kochamy nie tylko Jude'a.

Na co Willem znów kiwa głową i oczy mu się szklą; mówi „dobranoc" i wychodzi.

W ich sypialni jest cicho. Willem przez chwilę stoi, wpatrując się w sylwetkę Jude'a pod kocem. Wie, że Jude nie śpi – leży zbyt sztywno, żeby miał spać – tylko udaje, więc wreszcie rozbiera się i wiesza ubranie na oparciu krzesła przy toaletce. Gdy wślizguje się do łóżka, czuje, że Jude wciąż nie śpi, i leżą tak obaj, długo, po przeciwnych stronach łóżka, obaj przestraszeni tym, co Willem mógłby powiedzieć.

Jednak zasypia, a kiedy się budzi, w pokoju jest jeszcze ciszej i tym razem jest to prawdziwa cisza. Z przyzwyczajenia przetacza się bliżej Jude'a, ale po otwarciu oczu widzi, że Jude'a tam nie ma. Co więcej, jego strona łóżka jest zimna.

Siada. Wstaje. Słyszy jakiś cichy odgłos, za cichy nawet, żeby go nazwać odgłosem, a potem się odwraca i widzi drzwi łazienki, zamknięte. Ale jest ciemno. Podchodzi, wściekłym ruchem przekręca gałkę, otwiera drzwi z rozmachem, a ręcznik wciśnięty w szparę pod nimi dla zaciemnienia wlecze się po podłodze jak tren. I oto, wsparty o krawędź wanny, jest Jude, tak jak Willem przypuszczał, kompletnie ubrany, z oczami ogromnymi ze strachu.

– Gdzie to jest? – warczy Willem, chociaż chciałby jęczeć, chciałby płakać: nad swoją porażką, nad tą straszną, groteskową sztuką odtwarzaną noc po nocy, dla której on jest tylko przypadkową publicznością, bo nawet kiedy nie ma publiczności, sztuka jest wystawiana przed pustą widownią, bo jej jedyny aktor jest tak oddany swej roli, że nic nie może go powstrzymać przed ćwiczeniem warsztatu.

– Nic nie robię – mówi Jude, ale Willem wie, że on kłamie.

– Gdzie to jest, Jude? – pyta. Kuca przed nim, łapie go za ręce: nic. Ale wie, że Jude się ciął, poznaje to po jego wielkich oczach, po poszarzałych ustach, po drżeniu rąk.

– Nie robię tego, Willem, nie robię – mówi Jude. Porozumiewają się szeptem, żeby nie zbudzić Julii i Harolda, którzy śpią piętro wyżej.

Nagle Willem, zanim zdążył pomyśleć, szarpie Jude'a, próbuje zedrzeć z niego ubranie, a Jude się broni, ale nie może użyć lewej ręki i w ogóle nie jest najsilniejszy; wrzeszczą na siebie bezgłośnie. Willem przygniata Jude'a, wciska mu kolana pod obojczyki, tak jak nauczył go kiedyś trener na planie, bo ta metoda zarazem paraliżuje i boli, po czym zdziera z Jude'a ubranie, a ten protestuje panicznie, grożąc i błagając na przemian. Do Willema dociera mgliście, że każdy, kto by ich teraz zobaczył, pomyślałby, że to gwałt, ale on nie gwałci Jude'a – on szuka żyletki. I nagle ją słyszy, brzęk metalu o płytkę, więc palcami chwyta żyletkę za krawędź i odrzuca za siebie, a potem dalej rozbiera Jude'a, zdzierając zeń ubranie z brutalną skutecznością, która go zdumiewa. Dopiero ściągnąwszy bieliznę, spostrzega cięcia: sześć równoległych poziomych kresek wysoko na lewym udzie, i puszcza Jude'a i odsuwa się od niego jak od zarażonego.

– Ty… jesteś… obłąkany – mówi bez intonacji i powoli, kiedy pierwszy szok nieco zelżał. – Jesteś obłąkany, Jude. Ciąć się po nogach, akurat po nogach. Wiesz, co się może stać: wiesz, że możesz dostać zakażenia. Co ty sobie myślisz, do cholery? – Dyszy z wysiłku, nieszczęśliwy. – Jesteś chory – mówi i znów zauważa, jakby Jude był kimś obcym, jaki jest chudy, i zastanawia się, czemu nie zauważył tego wcześniej. – Jesteś chory. Musisz iść do szpitala. Musisz…

– Przestań mnie *naprawiać*, Willem – odszczekuje się gniewnie Jude. – Kim ja dla ciebie jestem? Dlaczego w ogóle ze mną jesteś? Nie jestem twoją zafajdaną akcją charytatywną. Doskonale sobie radziłem bez ciebie.

– Ach tak? Przepraszam, że nie dorastam do roli chłopaka idealnego. Wiem, że wolisz związki oparte na sadyzmie, prawda? Może gdybym cię parę razy skopał ze schodów, dorósłbym do twoich standardów?

Widzi, że Jude się przed nim cofa, przyciskając z całej siły plecy do wanny, widzi, że coś w jego oczach spłaszcza się i zamyka.

– Ja nie jestem Hemming, Willem – syczy Jude. – Nie mam zamiaru być kaleką, którego ocalisz w zamian za tego, którego nie ocaliłeś.

Willem kołysze się na piętach, wstaje, a wstając, zgarnia z posadzki żyletkę i ciska ją z całej siły w twarz Jude'a, Jude odruchowo zasłania się rękami i żyletka odbija się od jego dłoni.

– Proszę bardzo – dyszy Willem. – Potnij się, kurwa, na strzępy, gówno mnie to obchodzi. Kochasz się ciąć bardziej, niż kochasz mnie.

Wychodząc, żałuje, że nie może trzasnąć za sobą drzwiami, więc tylko ciosem pięści gasi światło.

Po powrocie do sypialni łapie swoją poduszkę i jeden z koców i rzuca się na sofę. Wyjechałby natychmiast, gdyby mógł, powstrzymuje go jednak obecność Harolda i Julii, więc nie wyjeżdża. Chowa twarz w poduszkę i wrzeszczy, autentycznie wrzeszczy, waląc pięściami i kopiąc nogami poduszki kanapy, jak dziecko w ataku histerii, a jego wściekłość miesza się z żalem, tak totalnym, że zapiera mu dech. Myśli wiele rzeczy naraz, ale nie jest w stanie ich wyartykułować ani rozróżnić, a przez głowę przemykają mu jedna po drugiej trzy fantazje: wsiądzie do samochodu, ucieknie i nigdy więcej nie odezwie się do Jude'a; wróci do łazienki, przytuli Jude'a i go udobrucha, a Jude pozwoli mu się uleczyć; zadzwoni zaraz do Andy'ego, już w tej chwili, i zaraz z rana odda Jude'a do szpitala. Ale nie robi żadnej z tych rzeczy, tylko bezużytecznie grzmoci pięściami i kopie, jakby płynął w miejscu.

Wreszcie przestaje i leży nieruchomo, a potem, po bardzo długim, ma wrażenie, czasie, słyszy, że Jude skrada się do pokoju, tak cicho i powoli, jak skatowane zwierzę, może pies, jakieś niekochane stworzenie, które żyje tylko po to, żeby znosić zniewagi; a potem skrzypnięcie łóżka sygnalizuje, że Jude się położył.

Długa, paskudna noc wlecze się dalej i Willem zasypia, zapada w płytką, niespokojną drzemkę; gdy się budzi, jeszcze nie dnieje. Mimo to wciąga ubranie i buty do biegania i wychodzi na dwór, wypluty ze zmęczenia; stara się nie myśleć o niczym. Biegnie, a łzy, czy to z zimna, czy z innego powodu, co chwila przesłaniają mu oczy, więc je ociera ze złością i biegnie dalej, coraz szybciej, wdychając wiatr

wielkimi haustami, jak za karę, i czując ból w płucach. Po powrocie idzie do ich pokoju, gdzie Jude nadal leży na boku, skulony tak, że Willem przez sekundę wyobraża sobie ze zgrozą, że on nie żyje, i już ma wymówić jego imię, gdy Jude porusza się nieznacznie przez sen, więc Willem idzie do łazienki, bierze prysznic, pakuje strój treningowy do torby, ubiera się w dzienne ciuchy, zamyka za sobą cicho drzwi sypialni i idzie do kuchni. W kuchni jest Harold, który jak zwykle proponuje mu filiżankę kawy, a on, jak zwykle odkąd jest z Jude'em, odmownie kręci głową, chociaż w tej chwili zapach kawy – jej drzewne, korowe ciepło – budzi w nim niemal nieposkromione pragnienie. Harold nie wie, dlaczego Willem przestał pić kawę, wie tylko, że tak teraz jest, i jak sam mówi, nie ustaje w wysiłkach sprowadzenia Willema z powrotem na złą drogę, ale Willem, który normalnie by z nim pożartował, tego ranka nie dowcipkuje. Nie może nawet patrzeć Haroldowi w oczy, tak mu wstyd. A do tego ma żal: o Haroldowe niewypowiedziane, lecz niezmienne oczekiwanie, że on zawsze będzie wiedział, co zrobić z Jude'em, o rozczarowanie, o wzgardę, którą Harold na pewno by do niego poczuł, gdyby się dowiedział, co Willem robił i mówił tej nocy.

– Nie wyglądasz za dobrze – zauważa Harold.

– Wiem. Przykro mi, Haroldzie, ale w nocy Kit przysłał mi wiadomość, że nasz reżyser, z którym miałem nadzieję spotkać się w tygodniu, dzisiaj wieczorem wyjeżdża. Muszę wracać do miasta.

– Och nie, Willemie, naprawdę? – zaczyna Harold, ale w tym momencie wchodzi Jude, więc Harold zwraca się do niego: – Willem mi mówi, że musicie zaraz wracać do miasta.

– Ty możesz zostać – mówi Willem do Jude'a, nie odrywając oczu od grzanki, którą smaruje masłem. – Samochód też. Ale ja muszę wracać.

– Nie – odpowiada Jude po chwili milczenia. – Ja też muszę wracać.

– Co to ma być za Święto Dziękczynienia? Zjedliście i uciekacie? A co ja zrobię z tym całym indykiem? – zżyma się Harold, ale jego teatralne oburzenie jest nieszczere i Willem czuje, że Harold popatruje na nich obu, starając się dociec, co zaszło, co się popsuło.

Willem czeka, aż Jude się wyszykuje, gawędząc z Julią i ignorując niezadane pytania Harolda. Idzie pierwszy do samochodu, żeby było jasne, że to on prowadzi, a kiedy się żegnają, Harold patrzy mu w oczy i otwiera usta, po czym zaraz je zamyka i przytula go mocno.

– Szczęśliwej drogi – mówi.

W samochodzie Willema ponoszą nerwy; stale przyspiesza i musi sam sobie przypominać, że należy zwolnić. Nie ma jeszcze ósmej rano, a że to Święto Dziękczynienia, autostrada jest pusta. Obok niego siedzi Jude z twarzą odwróconą i przytkniętą do okna. Willem od rana jeszcze na niego nie spojrzał, nie wie, jaką Jude ma minę, nie widzi ciemnych kręgów pod oczami, które, jak mu powiedział w szpitalu Andy, są jawnym sygnałem, że Jude tnie się za bardzo. Złość to wzbiera w nim, to opada

z mili na milę. Chwilami widzi wyraźnie, że Jude go okłamuje – uświadamia sobie, że on stale kłamie – i wściekłość go zalewa jak wrząca oliwa, chwilami zaś myśli o tym, co powiedział, jak się zachował, o całej tej sytuacji, w której ukochana osoba robi sobie te straszne rzeczy, i ogarnia go taka skrucha, że musi się wczepić w kierownicę, żeby zachować uważność. Czy on ma rację? – myśli. – Czy ja rzeczywiście widzę w nim Hemminga? A potem: Nie. To jego złudzenie, bo on nie może zrozumieć, dlaczego ktoś chce z nim być. To nie jest prawda. Jednak takie wyjaśnienie go nie pociesza, a nawet pogłębia jego rozpacz.

Tuż za New Haven zatrzymuje samochód. Normalnie przejazd przez New Haven jest dla niego okazją do opowiadania ulubionych anegdot z czasów, gdy dzielił z JB pokój w szkole: jak kazano mu pomóc JB i Azjatyckiemu Henry'emu Youngowi w instalowaniu partyzanckiej wystawy tusz zwierzęcych przed kolegium medycznym. Jak JB obciął sobie dredy i zostawił je w zlewie, i dopiero dwa tygodnie później Willem je stamtąd sprzątnął. Jak przez bite czterdzieści minut tańczyli z JB do muzyki techno, żeby Greig, przyjaciel JB i artysta wideo, mógł ich sfilmować. „Opowiedz mi, jak JB nawpuszczał Richardowi kijanek do wanny" – prosił często Jude, już z góry szczerząc się w uśmiechu. „Opowiedz mi o swojej randce z lesbijką". „Opowiedz mi, jak JB stłumił orgię feministyczną". Dzisiaj jednak żaden z nich nic nie mówi i przejeżdżają przez New Haven w milczeniu.

Willem wysiada z samochodu, żeby zatankować i skorzystać z toalety.

– Więcej się nie zatrzymam – ostrzega Jude'a, który nie zamierza wysiąść, lecz ten tylko kręci głową, więc Willem zatrzaskuje drzwi w nagłym nawrocie złości.

Przed południem są już na Greene Street, w milczeniu wysiadają z samochodu, w milczeniu wchodzą do windy, w milczeniu wkraczają do mieszkania. Willem niesie ich torbę do sypialni; zza pleców słyszy, jak Jude siada do fortepianu i zaczyna coś grać – Schumanna, rozpoznaje, *Fantazję C-dur*. Dość żywy utwór jak na kogoś, kto jest taki słaby i bezradny – myśli Willem kwaśno i postanawia jak najprędzej wyjść z mieszkania.

Nawet nie zdejmuje kurtki, tylko zagląda do salonu z kluczami w garści.

– Wychodzę – mówi, ale Jude nie przestaje grać. – Słyszałeś?! – krzyczy. – Wychodzę!

Wtedy Jude podnosi oczy, przerywa grę.

– Kiedy wrócisz? – pyta cicho, a Willem czuje, że jego postanowienie słabnie.

Zaraz jednak przypomina sobie, jaki jest zły.

– Nie wiem – odpowiada. – Nie czekaj na mnie.

Wciska guzik windy. Chwila ciszy, a potem Jude znów zaczyna grać.

A potem Willem jest na dworze, wszystkie sklepy pozamykane, w SoHo cisza i spokój. Dochodzi do autostrady West Side i idzie wzdłuż niej milcząco, w ciemnych okularach, w szaliku, który kupił

w Dżajpur (szary dla Jude'a, granatowy dla siebie) i który jest z tak delikatnego kaszmiru, że zaczepia się nawet o najkrótszy zarost, a teraz jest omotany wokół jego zarośniętej szyi. Idzie i idzie; później nie będzie nawet pamiętał, o czym myślał, czy w ogóle myślał o czymkolwiek. Gdy dopada go głód, skręca na wschód i kupuje porcję pizzy, którą zjada na ulicy, prawie nie czując smaku, po czym wraca na autostradę. To jest mój świat – myśli sobie, stojąc nad rzeką i spoglądając przez nią w stronę New Jersey. – To jest mój mały świat, a ja nie wiem, co mam w nim robić. Czuje się zamknięty w pułapce, ale jak może czuć się w pułapce, kiedy nie radzi sobie nawet z tym małym miejscem, które zajmuje? Jak może mieć nadzieję na coś więcej, gdy nie jest w stanie pojąć, co sam zrobił?

Zmierzch przychodzi nagle i trwa krótko, wiatr się wzmaga, a Willem wciąż idzie. Pragnie ciepła, jedzenia, wnętrza pełnego roześmianych ludzi. Ale nie zdobywa się na to, by wejść do restauracji, nie samemu, nie w Święto Dziękczynienia, nie w swoim obecnym nastroju. Zostałby rozpoznany, a nie ma energii na gadki o niczym, na uprzejmości, na wdzięczenie się, którego takie zdawkowe spotkania wymagają. Przyjaciele zawsze się naśmiewali z jego pretensji do niewidzialności, z jego przekonania, że w jakiś sposób jest w stanie sterować tym, czy ludzie go widzą i rozpoznają, ale on naprawdę w to wierzył, nawet gdy były dowody, że się myli. Teraz widzi tę wiarę jako jeszcze jeden przykład samooszukiwania się, które uprawia, tego ciągłego udawania, że świat przystosuje się do jego wizji: że Jude wyzdrowieje, bo on tak chce. Że rozumie Jude'a, bo chce myśleć, że go rozumie. Że może przejść przez SoHo i nikt nie będzie wiedział, kim on jest. A przecież jest więźniem. Więźniem swojej pracy, swojego związku, a przede wszystkim swojej naiwności.

W końcu kupuje kanapkę i łapie taksówkę na południe, na Perry Street, do swojego mieszkania, które jest już prawie nie jego: za parę tygodni w ogóle przestanie do niego należeć, ponieważ sprzedał je Miguelowi, koledze z Hiszpanii, który sporo czasu spędza w Stanach. Dziś wieczorem jednak jeszcze jest jego, więc Willem wchodzi, ostrożnie, jakby mieszkanie mogło się zdegenerować, jakby mogło zacząć rodzić potwory od jego ostatniej bytności. Jest wcześnie, ale on i tak się rozbiera, zdejmuje ciuchy Miguela z jego leżanki, bierze koc Miguela z jego łóżka i kładzie się na leżance. Uwalniają się bezradność i chaos całego dnia – jeden dzień, a ile się wydarzyło! – i płacze.

Płacze, gdy nagle dzwoni telefon, więc zrywa się, myśląc, że to może Jude, ale nie: to Andy.

– Andy! – szlocha. – Wszystko spieprzyłem, spieprzyłem równo. Zrobiłem coś okropnego.

– Willem – mówi łagodnie Andy. – Na pewno nie jest tak źle, jak myślisz. Na pewno jesteś dla siebie zbyt surowy.

Więc opowiada Andy'emu, zacinając się, co zaszło, a kiedy kończy, Andy nic nie mówi.

– Och, Willem – wzdycha po chwili, ale nie ze złością, tylko ze smutkiem. – Okej. Jednak jest tak źle, jak myślisz.

To go z jakiegoś powodu rozśmiesza, ale też wyrywa z jego piersi jęk.

– Co ja mam robić? – pyta, a Andy znowu wzdycha.

– Jeżeli chcesz z nim zostać, to wracaj do domu i porozmawiaj z nim – mówi powoli. – A jeżeli nie chcesz z nim zostać… na twoim miejscu wróciłbym do domu i porozmawiał z nim tak czy owak. – Chwilę milczy. – Willem, naprawdę bardzo mi przykro.

– Wiem – odpowiada on. A potem, kiedy tamten chce się rozłączyć, zatrzymuje go. – Andy, powiedz mi, ale szczerze: Czy on jest umysłowo chory?

Zapada bardzo długa cisza, a potem Andy mówi:

– Nie sądzę, Willem. Albo raczej: nie sądzę, żeby było z nim coś źle w sensie chemicznym. Przypuszczam, że jego szaleństwo to czyjaś robota. – Milknie. – Nakłoń go, żeby z tobą porozmawiał, Willem. Jeżeli on z tobą porozmawia, to myślę, że ty… myślę, że zrozumiesz, dlaczego jest taki, jaki jest.

I nagle Willem czuje, że musi się natychmiast dostać do domu, więc ubiera się i biegnie do drzwi, woła taksówkę, wsiada, wysiada, wchodzi do windy, otwiera drzwi i wpada do mieszkania, w którym panuje cisza, deprymująca cisza. Po drodze zwidziało mu się przez moment coś jakby przeczucie, że Jude nie żyje, że się zabił, więc biegnie przez mieszkanie, wykrzykując jego imię.

„Willem?", słyszy, więc przebiega przez sypialnię, gdzie ich łóżko jest nadal nieposłane, i widzi Jude'a w kącie garderoby, skulonego na podłodze, twarzą do ziemi. Ale nie zastanawia się, dlaczego Jude tu jest, tylko opada na podłogę koło niego. Nie wie, czy mu wolno dotknąć Jude'a, ale robi to i tak, oplata go ramionami.

– Przepraszam – szepcze w tył jego głowy. – Strasznie przepraszam, strasznie przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć… wpadłbym w rozpacz, gdybyś zrobił sobie krzywdę. Jestem w rozpaczy. – Głośno wypuszcza powietrze. – I nigdy, przenigdy nie powinienem był atakować cię fizycznie, Jude. Strasznie przepraszam.

– Ja też przepraszam – szepcze Jude. – Przepraszam, że to powiedziałem. Przepraszam, że cię okłamałem, Willem.

Milczą przez długi czas.

– Pamiętasz, jak mi kiedyś powiedziałeś, że jesteś dla mnie serią przykrych niespodzianek? – pyta Willem, a Jude ledwo dostrzegalnie kiwa głową. – No więc nie jesteś. Nie jesteś. Ale być z tobą to jakby poruszać się w fantastycznym krajobrazie – ciągnie powoli Willem. – Wydaje ci się, że go znasz, że to jest las, a tu nagle zachodzi zmiana i to jest łąka albo dżungla, albo góra lodowa. I wszystkie są piękne, ale też obce, a ty nie masz mapy i nie rozumiesz, jak się przeniosłeś z jednego miejsca w inne, i to tak nagle, i nie wiesz, kiedy zdarzy się następna zmiana, i nie masz żadnego ekwipunku. Więc po

prostu brniesz dalej, starając się przystosować na bieżąco, ale w istocie sam nie wiesz, co robisz, i często popełniasz błędy, poważne błędy. Tak to czasami czuję.

Milczą.

– Tak zasadniczo – mówi w końcu Jude – to chodzi ci o to, że jestem Zelandią.

Willem dopiero po sekundzie orientuje się, że to żart. I zaczyna się śmiać, bez opamiętania, z ulgi i żalu, i odwraca Jude'a twarzą do siebie, i całuje go.

– Tak – mówi – tak, jesteś Nową Zelandią.

Potem znowu milkną i poważnieją, ale przynajmniej patrzą na siebie.

– Zamierzasz odejść? – pyta Jude, tak cicho, że Willem ledwo go słyszy.

Otwiera usta, zamyka je. Dziwne, ale w tym wszystkim, co sobie powiedział i czego sobie nie powiedział przez ostatnie dzień i noc, nie było myśli o odejściu. Więc rozważa ją teraz.

– Nie – mówi. A po chwili: – Nie wiem.

I patrzy, jak Jude zamyka oczy, a potem je otwiera i kiwa głową.

– Jude – mówi, a słowa same dobywają mu się z ust, i kiedy mówi, czuje, że postępuje słusznie. – Ja naprawdę myślę, że potrzebujesz pomocy… pomocy, której sam nie umiem ci udzielić. – Nabiera tchu. – Chcę, żebyś albo dobrowolnie zgłosił się na leczenie, albo zaczął dwa razy w tygodniu odwiedzać doktora Loehmanna.

Obserwuje Jude'a przez dłuższą chwilę; nie wie, co on myśli.

– A jeżeli nie zrobię ani jednego, ani drugiego? – pyta Jude. – Wtedy odejdziesz?

Willem kręci głową.

– Jude, ja cię kocham – mówi. – Ale nie mogę… nie mogę przystać na takie zachowanie. Nie będę mógł tu dalej tkwić i patrzeć, jak to sobie robisz, i podejrzewać, że interpretujesz moją obecność jako rodzaj milczącej aprobaty. Więc… tak. Przypuszczam, że tak.

Znów milkną; Jude przekręca się i kładzie na plecach.

– A jeżeli ci opowiem, co mnie spotkało – zaczyna, zacinając się – jeżeli powiem ci wszystko, o czym jestem w stanie mówić… jeżeli ci opowiem, Willem, to czy nadal będę musiał pójść?

Willem patrzy na niego i znów kręci głową.

– Och, Jude – mówi. – Tak. Będziesz musiał. Ale mam nadzieję, że opowiesz mi pomimo to, mam szczerą nadzieję. Cokolwiek to jest… cokolwiek to jest.

Znowu leżą w milczeniu, ale tym razem ich milczenie przechodzi w sen: przytulają się i śpią, śpią, aż do Willema dociera głos Jude'a mówiący do niego i wtedy się budzi, i słucha jego opowieści. Opowieść zajmie godziny, bo Jude chwilami nie będzie w stanie jej ciągnąć, ale wtedy Willem poczeka i będzie trzymał go tak mocno, że Jude nie da rady oddychać. Dwa razy będzie chciał mu się wyrwać,

ale Willem przyciśnie go do ziemi i przytrzyma tak długo, aż Jude się uspokoi. Ponieważ są w garderobie, nie będą wiedzieli, która jest godzina, tyle tylko, że dzień nastał i minął, bo będą oglądać płaskie kobierce słońca rozwijające się z sypialni albo z łazienki przez otwarte drzwi garderoby. Willem będzie słuchał historii niewyobrażalnych, haniebnych; trzy razy przeprosi i wyjdzie do łazienki, gdzie będzie studiować w lustrze swoją twarz, przypominając sobie, że musi tylko zebrać odwagę do słuchania, choćby nie wiem jak chciał zatkać uszy i zakryć usta Jude'owi, żeby położyć kres tym historiom. Będzie wpatrywał się w tył jego głowy, ponieważ Jude nie da rady patrzeć mu w oczy, i będzie mu się zdawało, że osoba, którą miał wrażenie, że zna, rozpada się w gruzy, wzbijając wokół siebie tumany kurzu, a nieopodal ekipa robotników próbuje ją odtworzyć z innego tworzywa, w innym kształcie, jako inną osobę niż ta, która tam stała latami. Historie będą się ciągnąć i ciągnąć, i będzie w nich nędza: krew, kości, brud, choroby i nieszczęście. Kiedy Jude skończy opowiadać o bracie Luke'u, Willem zapyta go jeszcze raz, czy w ogóle lubi uprawiać seks, chociaż odrobinę, chociaż czasami, i będzie czekał wiele długich minut, aż Jude odpowie, że nie, że seksu nienawidzi, że zawsze nienawidził, a Willem pokiwa głową, zdruzgotany, ale też z ulgą, że poznał prawdziwą odpowiedź. A potem spyta Jude'a, nie wiedząc nawet, gdzie się w nim kryło to pytanie, czy ma pociąg do mężczyzn, a Jude po chwili milczenia odpowie, że nie jest tego pewien, że zawsze uprawiał seks z mężczyznami, więc zakładał, że zawsze będzie. „Interesuje cię seks z kobietami?", zapyta Willem i będzie patrzył, jak po kolejnej długiej chwili milczenia Jude kręci głową. „Nie. Za późno dla mnie, Willem", na co Willem mu powie, że wcale nie, że są metody, które mogą mu pomóc, ale Jude znów pokręci głową. „Nie – powie. – Nie, Willem, ja już miałem dość. Wystarczy", a Willem uświadomi sobie, jakby dostał w twarz, że to prawda, i przestanie nalegać. Prześpią się znowu i tym razem Willem będzie miał straszne sny. Przyśni mu się, że jest jednym z tych mężczyzn w motelowym pokoju, uświadomi sobie, że zachowywał się jak każdy z nich; obudzi się z koszmaru i tym razem Jude będzie musiał uspokajać jego. Wreszcie podniosą się z podłogi – będzie sobota po południu, a leżeli w garderobie od czwartku wieczór – wezmą prysznic i zjedzą coś, coś ciepłego na pocieszenie, a potem prosto z kuchni przejdą do gabinetu, gdzie Willem będzie świadkiem, jak Jude zostawia wiadomość dla doktora Loehmanna, którego wizytówkę Willem przez te wszystkie lata nosił w portfelu i teraz wyciąga ruchem magika w ciągu paru sekund, a z gabinetu pójdą do łóżka i będą w nim leżeć, patrząc na siebie, i obaj będą się bali zapytać. Willem: kiedy Jude skończy opowiadać swoją historię, a Jude: kiedy Willem odejdzie, bo że odejdzie, to się wydaje nieuchronne, to tylko kwestia logistyki.

Patrzą tak i patrzą, aż twarz Jude'a zaczyna zatracać znaczenie w oczach Willema, staje się zbiorem kolorów, płaszczyzn, kształtów, które zestawiono w taki sposób, żeby innym ludziom dawały przyjemność, a właścicielowi nie dawały nic. Willem jeszcze nie wie, co zrobi. W głowie mu się kręci

od tego, co usłyszał, od ogromu własnych fałszywych wyobrażeń, od wysiłku rozciągania zdolności rozumienia poza to, co wyobrażalne, od świadomości, że wszystkie jego starannie podtrzymywane budowle runęły bez szansy na odbudowę.

Ale na razie leżą w łóżku, w swoim pokoju, w swoim mieszkaniu, i Willem sięga po dłoń Jude'a i przytrzymuje ją łagodnie w swojej.

– Opowiedziałeś mi, jak dojechaliście do Montany – słyszy własny głos. – Więc teraz mi opowiedz, co było dalej.

O tamtym czasie, o swojej ucieczce do Filadelfii, myślał rzadko, ponieważ w tym okresie był tak odklejony od siebie, że życie, które prowadził, zdawało mu się senne i nie całkiem realne. Zdarzało się w ciągu tych tygodni, że otwierał oczy i autentycznie nie był w stanie stwierdzić, czy to, co się przed chwilą zdarzyło, zdarzyło się naprawdę, czy też to sobie wyobraził. Był to użyteczny stan, ten jego permanentny somnambulizm, ponieważ go ochraniał, lecz z czasem ta zdolność, podobnie jak zdolność zapominania, opuściła go i nigdy jej nie odzyskał.

Po raz pierwszy zauważył to zawieszenie poczucia rzeczywistości w domu dziecka. W nocy budził go czasem któryś z opiekunów i sprowadzał na dół do gabinetu, gdzie dyżurował, po czym Jude robił to, co opiekun mu kazał. Po skończeniu był eskortowany z powrotem i zamykany na klucz w pokoju – klitce z pryczą, którą dzielił z chłopcem umysłowo upośledzonym, powolnym, grubym i skłonnym do wybuchów gniewu, którego opiekunowie też nieraz zabierali do siebie nocą. Było ich kilku – chłopców, z których korzystali opiekunowie – ale on oprócz swojego współlokatora nie znał pozostałych, wiedział tylko, że istnieją. Nie odzywał się prawie podczas tych sesji, a klęcząc, kucając albo leżąc, myślał o okrągłej tarczy zegara z wędrującą beznamiętnie długą wskazówką i liczył jej okrążenia, aż do końca *tego*. Nigdy nie prosił, nie błagał. Nigdy się nie targował, nie obiecywał, nie płakał. Nie miał na to dość energii. I nie miał przekonania – już nie.

Kilka tygodni po weekendzie u Learych próbował uciec. W poniedziałki, wtorki, środy i piątki miał lekcje w dwuletnim college'u. Po lekcjach któryś z opiekunów czekał na niego na parkingu, żeby go zabrać z powrotem do domu dziecka. Jude panicznie bał się końca lekcji, panicznie bał się jazdy do domu, bo nigdy nie wiedział, który opiekun będzie na niego czekał, a gdy dochodził do parkingu i widział z daleka, kto to jest, czasami zwalniał, lecz działo się tak, jakby był magnesem, tworem kontrolowanym przez jony, a nie własną wolę, i nieuchronnie przyciągało go do auta.

Pewnego popołudnia – było to w marcu, na krótko przed jego czternastymi urodzinami – skręcił za róg budynku i zobaczył na parkingu opiekuna, który nazywał się Rodger i był najokrutniejszy, najbardziej wymagający i najzłośliwszy ze wszystkich. Zatrzymał się. Po raz pierwszy od długiego

czasu poczuł w sobie jakiś opór i zamiast zbliżyć się do Rodgera, cofnął się chyłkiem za róg, a gdy już był pewien, że znajduje się poza zasięgiem wzroku tamtego, puścił się biegiem.

Nie był na to przygotowany, nie miał planu, ale jakaś ukryta, wojownicza część jego osoby musiała widać czynić obserwacje, kiedy reszta umysłu tkwiła w gęstym jak wata letargu, bo stwierdził, że biegnie w stronę laboratorium naukowego, które właśnie było w remoncie, i daje nura za niebieską plastikową kurtynę osłaniającą jedną ścianę budynku, a następnie wciska się w osiemnastocalową szczelinę oddzielającą zagrzybiony mur od nowej betonowej skorupy, którą budowano wokół elewacji. Miejsca było akurat tyle, żeby się zmieścił, więc wcisnął się najgłębiej, jak mógł, ostrożnie przybierając pozycję horyzontalną i pilnując, żeby nie widać było nóg.

Leżąc tam, próbował zdecydować, co dalej. Rodger będzie na niego czekał, a kiedy się zorientuje, że on nie przyjdzie, zaczną go szukać. Gdyby wytrzymał w tej szczelinie do nocy, gdyby odczekał, aż wszystko się uspokoi, wówczas mógłby uciec. Do tego miejsca starczało mu wyobraźni, chociaż był dość rozsądny, żeby wiedzieć, że szanse ma mizerne: nie miał jedzenia ani pieniędzy i chociaż była dopiero piąta po południu, dotkliwe zimno już dawało się we znaki. Czuł, jak plecy, nogi i dłonie, które przytykał do betonu, drętwieją mu z zimna, jak nerwy przemieniają się w tysiące kolących igiełek. Lecz jednocześnie po raz pierwszy od lat czuł upajającą dumę z podjęcia decyzji, niezależnie od tego, jak była kiepska, chybiona czy nieprawdopodobna. Nagle kolące igiełki odczuł nie jako karę, lecz jako coś podniosłego, jakby eksplodowały w nim setki miniaturowych fajerwerków, jakby jego ciało przypomniało mu, kim jest i co nadal posiada – siebie.

Wytrzymał dwie godziny, zanim znalazł go pies strażników. Wywleczono go za nogi, a on poobcierał sobie dłonie o betonowe bloki, których czepiał się do ostatniej chwili. Był tak zziębnięty, że idąc, potykał się, i nie mógł otworzyć drzwi samochodu zgrabiałymi palcami, a ledwie wsiadł, Rodger odwrócił się i walnął go w twarz, puszczając mu krew z nosa, gęstą, gorącą i pokrzepiającą, o dziwnie odżywczym smaku przypominającym zupę, jakby jego ciało było cudownym, samoleczącym się tworem zdecydowanym się ocalić.

Wieczorem zaprowadzili go do stodoły, dokąd czasem zabierali go w nocy, i zbili tak dotkliwie, że już na samym początku chłosty pokrył się sińcami. W nocy trafił do szpitala, a po paru tygodniach znalazł się tam ponownie, gdy w rany wdała się infekcja. Przez te tygodnie dawali mu spokój i chociaż poinformowali personel szpitalny, że Jude jest przestępcą, że ma nie po kolei w głowie, że stwarza problemy i kłamie, to pielęgniarki były dla niego dobre: zwłaszcza jedna, starsza kobieta, która siadała przy nim i podawała mu szklankę soku jabłkowego ze słomką, żeby mógł sączyć płyn bez podnoszenia głowy (musiał leżeć na boku, żeby mogli dezynfekować mu plecy i osuszać rany).

– Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś – powiedziała mu którejś nocy po zmianie bandaży. – Nikt na coś takiego nie zasługuje. Słyszysz, młody człowieku?

Więc pomóż mi – chciał powiedzieć. – Proszę, pomóż mi. Ale nie powiedział. Za bardzo się wstydził.

Usiadła przy nim i położyła mu rękę na czole.

– Spróbuj być grzeczny, dobrze? – powiedziała, ale głos miała łagodny. – Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Pomóż mi – błagał bezgłośnie, gdy wychodziła z sali. – Proszę. Proszę. Ale nie mógł wykrztusić słowa. Nigdy więcej jej nie zobaczył.

Później, już jako dorosły, zastanawiał się czasem, czy nie wymyślił sobie tej pielęgniarki, czy nie wykreował jej z rozpaczy, tego uosobienia dobroci, które było prawie tak dobre jak prawdziwa osoba. Spierał się sam ze sobą – gdyby ona istniała, naprawdę istniała, to czy nie powiedziałaby komuś o nim? Nie przysłaliby kogoś, żeby mu pomógł? Ale jego wspomnienia z tego okresu były zamazane i mało wiarygodne, a z latami uświadomił sobie, że zawsze próbował przerobić swoje życie, swoje dzieciństwo w coś łatwiejszego do zaakceptowania, coś normalniejszego. Wyrywał się ze snu o opiekunach i usiłował się pocieszyć: Było ich tylko dwóch, tych, którzy cię wykorzystywali. Najwyżej trzech. Reszta tego nie robiła. Nie wszyscy byli dla ciebie okrutni. A potem całymi dniami próbował sobie przypomnieć, ilu ich było naprawdę: dwóch? Czy trzech? Przez lata nie mógł pojąć, dlaczego to wydawało mu się takie ważne, dlaczego tak wiele dla niego znaczyło, dlaczego stale sprzeczał się z własnymi wspomnieniami i tyle czasu poświęcał na roztrząsanie szczegółów tego, co się stało. Aż w końcu zrozumiał – zdawało mu się, że jeśli zdoła przekonać samego siebie, że było mniej strasznie, niż pamięta, to potrafi przekonać się również o tym, że jest mniej zepsuty, bardziej podobny do zdrowych ludzi, niż obawiał się, że jest.

W końcu szpital odesłał go z powrotem do domu dziecka, a kiedy Jude po raz pierwszy zobaczył swoje plecy, wzdrygnął się z obrzydzenia i tak szybko odsunął od lustra w łazience, że poślizgnął się i upadł na mokrą posadzkę. W tych pierwszych tygodniach po chłoście, kiedy tkanka bliznowa jeszcze się tworzyła, na plecach wyrósł mu wzdęty purchel. W porze lunchu Jude siadał sam z boku, a starsi chłopcy rzucali w niego kulkami z mokrych serwetek, które odbijały się od jego pleców jak od tarczy, i wiwatowali, gdy udało im się trafić. Do tamtego czasu nigdy się nie zastanawiał nad swoim wyglądem. Wiedział, że jest brzydki. Wiedział, że jest zepsuty. Wiedział, że jest chory. Ale teraz się zastanawiał. Miał wrażenie, że jest w tym jakaś nieuchronność, w tym jego życiu, że z każdym rokiem będzie gorzej – będzie się stawał coraz obrzydliwszy, coraz bardziej zdeprawowany. Z każdym rokiem

zmniejszało się jego prawo do człowieczeństwa, z każdym rokiem stawał się coraz mniej osobą. Ale już mu nie zależało, nie mógł sobie na to pozwolić.

A jednak trudno było żyć, nie dbając o to, więc złapał się na tym, że nie może zapomnieć obietnicy brata Luke'a, że gdy będzie miał szesnaście lat, jego dawne życie się skończy i zacznie się nowe. Wiedział, dobrze wiedział, że brat Luke kłamał, ale nie mógł przestać o tym myśleć. Szesnaście, powtarzał sobie w nocy. Szesnaście. Kiedy będę miał szesnaście lat, to się skończy.

Zapytał kiedyś brata Luke'a, jakie będzie to ich życie, gdy już skończy szesnaście lat. „Pójdziesz do college'u", odpowiedział bez wahania brat Luke, a jego przeszył dreszcz radości. Zapytał, do którego, a brat Luke wymienił nazwę szkoły, do której sam chodził (chociaż gdy Jude wreszcie trafił do tego college'u, sprawdził w dokumentach i żadnego brata Luke'a – Edgara Wilmota – tam nie było, więc odetchnął z ulgą, że przynajmniej tutaj nie ma z nim nic wspólnego, chociaż to brat Luke obudził w nim marzenia o studiach w tym miejscu). „Ja też przeniosę się do Bostonu – mówił brat Luke. – I pobierzemy się, żebyśmy mogli zamieszkać razem poza kampusem".

Czasami o tym rozmawiali: o kursach, które wybierze na studiach, o tym, co brat Luke robił w latach studenckich, o miejscach, do których będą podróżować po dyplomie Jude'a.

„Może pewnego dnia będziemy mieli syna", powiedział kiedyś brat Luke, a on zesztywniał, bo wiedział, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień, co brat Luke robiłby temu ich hipotetycznemu synowi, i postanowił, że to się nigdy nie stanie, że nigdy nie pozwoli temu wymyślonemu dziecku, dziecku, które nie istniało, zaistnieć, że nigdy nie dopuści innego dziecka w pobliże brata Luke'a. Postanowił, że obroni tego ich syna, i przez krótką, straszną chwilę zażyczył sobie nawet nigdy nie skończyć szesnastu lat, bo wiedział, że gdy osiągnie ten wiek, brat Luke zapragnie kogoś innego, a on nie może na to pozwolić.

Ale brat Luke już nie żył. Wymyślone dziecko było bezpieczne. On mógł bezpiecznie skończyć szesnaście lat. Mógł skończyć szesnaście lat i być bezpieczny.

Mijały miesiące. Plecy mu się wygoiły. Teraz po lekcjach czekał na niego strażnik, który go prowadził na parking i czekał z nim na opiekuna. Któregoś dnia pod koniec semestru jesiennego zagadnął go po lekcji nauczyciel matematyki. Czy Jude myślał już o college'u? Bo on, nauczyciel, mógłby mu pomóc; mógłby mu pomóc się tam dostać – Jude poszedłby na jakąś świetną uczelnię, najlepszą. Och, jak bardzo chciał tam pójść, jak bardzo chciał się wyrwać z domu dziecka, jak bardzo chciał iść do college'u. W tamtych dniach był rozdarty pomiędzy rezygnacją, że jego życie będzie już zawsze takie, jakie jest, a nadzieją, maleńką, głupią i upartą, że mogłoby być inne. Równowaga między rezygnacją a nadzieją zmieniała się z dnia na dzień, z godziny na godzinę, niekiedy z minuty na minutę. Nieustannie próbował zdecydować, jaki ma być – czy ma myśleć o pogodzeniu się, czy

o ucieczce. Wtedy spojrzał na nauczyciela, ale gdy już miał odpowiedzieć: „Tak, tak, proszę mi pomóc!”, coś go przed tym powstrzymało. Ten nauczyciel zawsze był dla niego dobry, lecz czy jakiś aspekt tej dobroci nie przypominał brata Luke’a? A jeśli propozycja pomocy wiąże się z kosztami? Spierał się sam ze sobą, a nauczyciel czekał na odpowiedź. Jeszcze jeden raz ci nie zaszkodzi, podpowiadała mu strona desperacka, ta, która chciała uciec, ta, która odliczała codziennie dni do szesnastych urodzin, lecz druga jego strona szydziła: Jeszcze jeden raz. To następny klient. Nie pora unosić się dumą.

W końcu jednak zignorował ten głos – był zmęczony, był obolały, był wycieńczony rozczarowaniem – i pokręcił głową.

– College to nie dla mnie – odezwał się głosem cienkim od wysiłku kłamstwa. – Dziękuję panu. Ale nie skorzystam z pomocy.

– Uważam, że popełniasz duży błąd, Jude – powiedział nauczyciel po chwili milczenia. – Obiecaj mi, że się jeszcze zastanowisz, dobrze? – Wyciągnął rękę, by dotknąć jego ramienia, a on odskoczył; nauczyciel spojrzał na niego dziwnie, a on odwrócił się i uciekł z sali na korytarz, który zlewał mu się w oczach w beżowe płaszczyzny.

Tej nocy wzięto go do stodoły. Stodoła nie była już używana do celów gospodarskich, ale mieściła szkolne warsztaty i szkolny dział napraw samochodowych. W boksach składowano na wpół rozebrane gaźniki, karoserie na wpół zreperowanych ciężarówek i na wpół oszlifowane bujane fotele, które dom dziecka sprzedawał dla zarobku. On stał w boksie z bujanymi fotelami, a jeden z opiekunów posuwał go ruchem piły, i wówczas on wyszedł z siebie i wzleciał ponad boksy, ku krokwiom stodoły, gdzie się zatrzymał, patrząc na scenę w dole, na maszynerię i meble przypominające rzeźby z obcej planety, na zaśmiecone sianem klepisko, które przypominało o niezatartym do końca dawnym życiu stodoły, i na dwóch ludzi, tworzących dziwne ośmionogie stworzenie, z których jeden milczał jak głaz, a drugi stękał, sapał, ruszał tyłkiem i był żywy. A potem Jude wyfrunął okrągłym okienkiem wyciętym wysoko w ścianie i leciał nad domem dziecka, nad polami, które latem były tak piękne, zielone, i żółte od gorczycy, a i teraz, w grudniu, nadal były po swojemu piękne migotliwą połacią księżycowej bieli, ze świeżym, niedeptanym jeszcze śniegiem. Frunął nad tym wszystkim, przelatywał nad krajobrazami, o których czytał, lecz nigdy ich nie widział, nad górami, które były tak czyste, że sam poczuł się czysty, podziwiając je, nad jeziorami wielkimi jak oceany, wreszcie nad Bostonem, gdzie spiralą zniżył się ponad domy zdobiące nabrzeże rzeki, nad olbrzymi pierścień budowli przetykanych kwadratami zieleni, i wiedział, że tam pójdzie i tam go przerobią, tam jego życie zacznie się od nowa, tam będzie mógł udawać, że wszystko, co było przedtem, było cudzym życiem albo serią pomyłek, o których nie warto mówić, nie warto ich badać.

Kiedy wrócił do siebie, opiekun leżał na nim i spał. Na imię miał Colin i często chodził pijany, tak jak i dzisiaj, ziejąc gorącym piwnym oddechem. Jude był goły; Colin miał na sobie sweter, ale nic poza tym. Przez chwilę Jude leżał pod ciężarem opiekuna, też oddychając i czekając, aż ten się zbudzi, żeby móc wrócić do swojego pokoju i się pociąć.

I nagle, bezmyślnie, niczym marionetka, wyłuskał się spod Colina, cicho i szybko, ubrał się w pośpiechu, a potem, znowu bezwiednie, ściągnął pikowaną kurtkę Colina z haczyka wewnątrz boksu i narzucił ją na siebie. Colin był znacznie od niego potężniejszy, grubszy i bardziej muskularny, ale on prawie dorównywał mu wzrostem, a kurtka okazała się lżejsza, niż wyglądała. A potem porwał z ziemi dżinsy Colina, wyciągnął z nich portfel, z portfela zaś pieniądze – nie liczył ile, ale po cienkim pliku poznał, że niedużo – które wcisnął do swojej kieszeni. A potem już biegł. Zawsze był dobrym biegaczem, szybkim, cichym i pewnym – obserwując go na bieżni, brat Luke wielokrotnie powtarzał, że musi mieś w sobie krew Mohikanina – a teraz wybiegł ze stodoły przez wrota otwarte na rozmigotaną, wyciszoną śniegiem noc, rozejrzał się na boki i nie widząc nikogo, puścił się w stronę pola za internatem domu dziecka.

Od internatu do szosy było pół mili, a on, chociaż normalnie czułby się obolały po tym, co się stało w stodole, tej nocy nie czuł bólu, tylko uniesienie, coś jakby nadmiar powietrza, które stworzono specjalnie na tę noc, na tę przygodę. Na skraju posesji padł na ziemię i przeturlał się ostrożnie pod drutem kolczastym, owinąwszy dłonie rękawami kurtki Colina i tak przytrzymawszy kłęby drutu nad sobą, żeby o nie nie zahaczyć. Z chwilą, gdy poczuł się bezpiecznie wolny, jego uniesienie się wzmogło, więc biegł i biegł w kierunku, który znał jako wschód, w stronę Bostonu, jak najdalej od domu dziecka, od Zachodu, od wszystkiego. Wiedział, że kiedyś będzie musiał zboczyć z tej drogi, która była wąska i błotnista, ku autostradzie, na której będzie bardziej odsłonięty, ale też bardziej anonimowy, więc puścił się pędem ku wzgórzu, za którym rósł gęsty czarny las oddzielający drogę od szosy międzystanowej.

Jako dorosły, jako dorosły kaleka, a potem jako dorosły kaleka, który jest prawdziwym kaleką, kimś, kto nie może już nawet chodzić, kimś, dla kogo bieganie to magiczna sztuczka równie niemożliwa jak latanie, sięgał myślą do tamtej nocy z nabożnym lękiem: jaki był zwinny, jaki szybki, jaki niezmordowany, jakie miał szczęście. Zastanawiał się, ile czasu mógł biec tamtej nocy – co najmniej dwie godziny, może trzy – chociaż wówczas w ogóle o tym nie myślał, tylko o tym, by jak najszybciej oddalić się od domu dziecka. Słońce zaczęło się pokazywać, gdy wbiegł do lasu, źródła lęku wielu młodszych chłopców, tak gęstego i pozbawionego światła, że sam się przestraszył, chociaż natura rzadko przyprawiała go o lęk, lecz mimo to zapuścił się w las jak najgłębiej, po części dlatego, że i tak musiał go przebyć, aby dotrzeć do autostrady, a po części dlatego, żeby nie dać się znaleźć.

Wreszcie wybrał sobie duże drzewo, jedno z największych, jakby sam jego rozmiar obiecywał pociechę, straż i ochronę, i umościwszy się między jego korzeniami, zasnął.

Kiedy się zbudził, było z powrotem ciemno, chociaż nie miał pewności, czy to późne popołudnie, późny wieczór czy może wczesne rano. Znowu zaczął kluczyć między drzewami, nucąc sobie dla kurażu, a także na konto przyszłego życia – pokaże im, że się nie boi – i zanim las wypluł go po drugiej stronie, wciąż było ciemno, więc zrozumiał, że zapadła noc, czyli przespał cały dzień, a świadomość tego dodała mu sił i energii. Sen jest ważniejszy niż jedzenie – powiedział sobie, ponieważ był bardzo głodny, a potem wydał komendę swoim nogom: ruszajcie. I nogi poniosły go znowu pod górę, do autostrady.

W lesie uświadomił sobie, że istnieje dla niego tylko jeden sposób dostania się do Bostonu, więc stanął na poboczu, a gdy pierwszy tir zatrzymał się, by go zabrać, od razu wiedział, co będzie musiał zrobić, kiedy przystaną. I zrobił to. Robił to wiele razy; niektórzy kierowcy dawali mu pieniądze na jedzenie, inni nie. Wszyscy mieli gniazdka, które sobie urządzili w przyczepie tira, więc tam się kładli, a czasami po wszystkim podwozili go jeszcze kawałek. On spał, a świat pod nim poruszał się w nieustannym trzęsieniu ziemi. Na stacjach benzynowych kupował sobie coś do jedzenia i czekał; w końcu zawsze ktoś go wybrał, więc wsiadał do następnej ciężarówki. „Dokąd?", pytali go. „Do Bostonu – odpowiadał. – Mam tam wujka".

Czasami tak bardzo wstydził się tego, co robi, że chciało mu się wymiotować. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł sobie powiedzieć, że był przymuszany, bo seks z kierowcami uprawiał z własnego wyboru, pozwalał im na wszystko, sam okazywał entuzjazm i sprawność. A czasami miał do tego stosunek beznamiętny: robił, co musiał. Nie miał innego wyjścia. To był jego talent, jego jedyny wielki talent, a korzystał z niego, żeby dotrzeć w lepsze miejsce. Używał siebie do ratowania siebie.

Czasem mężczyźni chcieli go na dłużej i wynajmowali pokój w motelu, a on wyobrażał sobie, że w łazience czuwa brat Luke. Nieraz z nim rozmawiali – mam syna w twoim wieku, mam córkę w twoim wieku – a on leżał i słuchał. Nieraz oglądali telewizję, aż stali się zdolni do następnego razu. Niektórzy byli okrutni: straszyli, że go zabiją albo tak okaleczą, że nie będzie w stanie uciec, a on w takich momentach drżał z lęku i desperacko przyzywał brata Luke'a, klasztor, pielęgniarkę, która była dla niego taka dobra. To byli klienci, dawał im, czego chcieli.

Po latach, gdy mógł z większym obiektywizmem spojrzeć na tamte tygodnie, zdumiewało go, że był taki głupi, że miał tak ciasne horyzonty. Dlaczego po prostu nie uciekł? Dlaczego za zarobione pieniądze nie kupił biletu na autobus? Usilnie starał się przypomnieć sobie, ile zarobił, i chociaż nie mogło być tego dużo, z pewnością wystarczyłoby na bilet autobusowy dokądkolwiek, nawet do Bostonu. Ale jemu to zwyczajnie nie przyszło do głowy. Było tak, jakby całe jego zasoby sprytu

pochłonęła ucieczka z domu dziecka, a gdy już tego dopiął, pozwolił po prostu, żeby życie dyktowali mu inni, szedł za jednym mężczyzną po drugim, tak jak go nauczono. I ze wszystkich zmian, które w nim zaszły w dorosłym życiu, ta właśnie, ta idea, że może tworzyć przynajmniej część własnej przyszłości, okazała się lekcją najtrudniejszą do opanowania, a zarazem najcenniejszą.

Raz trafił mu się mężczyzna, który tak strasznie śmierdział, pocił się i był tak olbrzymi, że on nieomal się wycofał, ale chociaż seks okazał się koszmarem, mężczyzna obszedł się z nim potem troskliwie, kupił mu kanapkę i napój gazowany, zadawał prawdziwe pytania i słuchał uważnie jego zmyślonych odpowiedzi. Jude został z nim przez dwie noce, a kiedy jechali, mężczyzna słuchał muzyki bluegrassowej i podśpiewywał z wykonawcami: miał piękny głos, niski i czysty, i nauczył go słów, tak że nieoczekiwanie Jude też zaczął śpiewać, a droga pod nimi była gładka. „Boże mój, masz ty ładny głos, Joey", powiedział ten mężczyzna, a on – co za słaby, żałosny szczeniak! – pozwolił sobie rozgrzać się tym komplementem, łyknął ów podziw jak szczur łyknąłby kawałek spleśniałego chleba. Drugiego dnia mężczyzna spytał go, czy by z nim nie został. Byli w Ohio i kierowca niestety nie jechał dalej na wschód, jechał teraz na południe, ale byłby uszczęśliwiony, gdyby on z nim został, i na pewno by o niego dbał. Jude odrzucił tę propozycję, a mężczyzna kiwnął głową, jakby się tego spodziewał, i dał mu zwitek banknotów i pocałował go; pierwszy, który tak zrobił. „Powodzenia, Joey", powiedział, a on później, po odjeździe tamtego, przeliczył pieniądze i przekonał się, że było to więcej, niż zarobił przez pierwsze dziesięć dni. Później, gdy następny kierowca okazał się brutalem, agresywnym i nieokrzesanym, Jude pożałował, że jednak nie pojechał z tamtym. Nagle Boston wydał mu się mniej ważny niż czułość, niż ktoś, kto by go bronił i był dla niego dobry. Ubolewał nad swoimi złymi wyborami, nad tym, że nie docenia ludzi, którzy go traktują przyzwoicie, i znowu pomyślał o bracie Luke'u, który go nigdy nie uderzył ani nie skrzyczał, nigdy mu nie nawymyślał.

Gdzieś po drodze zachorował, ale nie wiedział, czy złapał to w podróży tirami, czy jeszcze w domu dziecka. Kazał mężczyznom zakładać kondomy, ale niektórzy protestowali i nie robili tego, a chociaż on im się wyrywał i krzyczał, nic nie mógł poradzić. Wiedział z doświadczenia, że bez lekarza się nie obejdzie. Cuchnął; bolało go tak strasznie, że ledwo mógł chodzić. Na przedmieściach Filadelfii postanowił zrobić sobie przerwę – musiał. Wydarł niedużą dziurkę w rękawie kurtki Colina, zwinął pieniądze w tutkę, wepchnął je tam i zapiął agrafką znalezioną w którymś motelu. Wygramolił się z ostatniego tira, chociaż wtedy jeszcze nie wiedział, że to ostatni; wtedy myślał o nim „jeszcze jeden". Jeszcze jeden i dojadę do Bostonu. Był wściekły, że musi zrobić przerwę teraz, gdy jest już tak blisko, ale wiedział, że potrzebuje pomocy, za długo czekał.

Kierowca zatrzymał się na stacji benzynowej pod Filadelfią – nie chciał wjeżdżać do miasta. Na stacji Jude dowlókł się do łazienki, bo chciał się trochę umyć. Choroba sprawiała, że stale czuł się

zmęczony; miał gorączkę. Ostatnie, co zapamiętał z tego dnia – był chyba koniec stycznia, zimno jeszcze, z wilgotnym, kąsającym wiatrem, który nim szarpał – to małe drzewo rosnące na skraju placu przy stacji benzynowej, ogołocone, niekochane i samotne, pod którym usiadł, opierając plecy osłonięte zaświnioną już kurtką Colina o gruzłowaty, cienki pień. Zamknął oczy, bo miał nadzieję, że jeśli się prześpi, nabierze przynajmniej trochę sił.

Kiedy się ocknął, leżał na tylnym siedzeniu samochodu, samochód jechał i grała muzyka Schuberta, więc pozwolił sobie na małe odprężenie, bo było to coś, co znał, coś rozpoznawalnego w tej obcości, w obcym aucie prowadzonym przez obcego człowieka, człowieka, któremu Jude z powodu osłabienia nie mógł się przyjrzeć, przez obcy pejzaż w nieznanym kierunku. Kiedy ocknął się ponownie, był w pokoju, w salonie, więc rozejrzał się dookoła: leżał na kanapie, przed kanapą stał stolik do kawy, dwa fotele, był też kominek, wszystko w odcieniach brązu. Wstał; ciągle kręciło mu się w głowie, ale mniej, i nagle zauważył, że w drzwiach stoi mężczyzna i przygląda mu się, mężczyzna nieco niższy od niego, szczupły, ale ze sterczącym brzuchem i szerokimi biodrami. Miał okulary z plastikowym łącznikiem pomiędzy szkłami bez oprawek i tonsurę okoloną przystrzyżonymi bardzo krótko włosami miękkimi jak futro z norek.

– Chodź do kuchni i zjedz coś – powiedział mężczyzna cichym bezbarwnym głosem, więc on usłuchał i powoli poszedł za gospodarzem.

Weszli do kuchni, która, poza posadzką i ścianami, też była brązowa: brązowy stół, brązowe szafki, brązowe krzesła. Usiadł na krześle przy końcu stołu, a mężczyzna postawił przed nim talerz, na którym były hamburger i porcja frytek; podał mu też szklankę mleka.

– Normalnie nie kupuję w fast foodach – powiedział nieznajomy i spojrzał na niego.

Jude nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Dziękuję – rzekł, a tamten skinął głową.

– Jedz – powiedział, więc jadł, a mężczyzna siedział u szczytu stołu i obserwował go. Kiedy indziej to by go zażenowało, ale tym razem był zbyt głodny, żeby się przejmować.

Kiedy skończył jeść, oparł się i ponownie podziękował, na co gospodarz znowu skinął głową i zapadła cisza.

– Jesteś męską prostytutką – powiedział w końcu mężczyzna, a on się zaczerwienił i spojrzał na blat stołu, na wypolerowane brązowe drewno.

Nieznajomy wydał cichy odgłos, lekkie fuknięcie.

– Od jak dawna się prostytuujesz? – zapytał, lecz on nie umiał odpowiedzieć, więc milczał. – Słucham? – ponaglił mężczyzna. – Dwa lata? Pięć lat? Dziesięć lat? Całe życie? – Był zniecierpliwiony albo prawie zniecierpliwiony, ale głos miał miły i nie krzyczał.

– Pięć lat – odparł on, a mężczyzna wydał ten sam nosowy odgłos.

– Jesteś chory wenerycznie – powiedział. – Poznaję po zapachu.

On skulił się, schylił głowę i nią pokiwał.

Mężczyzna westchnął.

– No cóż – powiedział – masz szczęście, ponieważ jestem lekarzem i mam w domu pewne antybiotyki. – Podniósł się i poczłapał do jednej z szafek, po czym wrócił z pomarańczowym plastikowym słoiczkiem, z którego wytrząsnął pigułkę. – Zażyj to – polecił, a on usłuchał. – Dopij mleko – powiedział gospodarz i wyszedł z kuchni, więc Jude czekał, aż wróci. – No? – ponaglił tamten. – Chodź za mną.

Usłuchał, chociaż nogi miał jak z waty, i poszedł za mężczyzną do drzwi naprzeciwko salonu, które ten otworzył kluczem i przytrzymał otwarte. Jude się zawahał, a mężczyzna cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– Wchodź – powiedział. – To jest sypialnia.

Jude przymknął oczy i za chwilę znów je otworzył. Zaczął przygotowywać się na coś okropnego – ci cisi zawsze byli okrutni.

Kiedy stanęli w drzwiach, zobaczył, że prowadzą do przyziemia. Miał zejść po kilku drewnianych stopniach przypominających drabinę, więc zawahał się ponownie, był czujny, ale wtedy mężczyzna znów wydał ten swój owadzi odgłos i pchnął go, nie mocno, w okolicy krzyża. Jude, potykając się, wylądował na dole.

Spodziewał się ponurego lochu, oślizłego, ociekającego wilgocią, ale to naprawdę była sypialnia, z materacem, pościelą i kocem, z okrągłym niebieskim dywanikiem i jedną ścianą zastawioną regałami z tego samego surowego drewna co schodki, pełnymi książek. Pomieszczenie było rażąco oświetlone tym agresywnym, bezlitosnym światłem, które Jude pamiętał ze szpitali i posterunków policyjnych, i było w nim jedno malutkie okienko, mniej więcej wielkości słownika, wysoko w ścianie na wprost wejścia.

– Zostawiłem ci na wierzchu parę ubrań – powiedział mężczyzna, a on zobaczył, że na materacu leżą złożona koszula i spodnie dresowe oraz ręcznik i szczoteczka do zębów. – Łazienka jest tam. – Gospodarz wskazał drzwi w prawym rogu pokoju.

Po czym zaczął się zbierać do wyjścia.

– Niech pan poczeka! – krzyknął Jude, więc mężczyzna zatrzymał się na schodkach i popatrzył na niego, on zaś zaczął pod tym spojrzeniem rozpinać koszulę. W twarzy mężczyzny zaszła jakaś zmiana, zaczął z powrotem wchodzić po schodach, przy czym mówił:

– Jesteś chory. Musisz najpierw wydobrzeć.

A potem zniknął, zatrzaskując za sobą drzwi.

Spał tej nocy zarówno z braku innych zajęć, jak i ze zmęczenia. Obudziwszy się rano, poczuł zapach jedzenia, więc postękując, dźwignął się na nogi i wszedł pomału po schodkach. Na ostatnim stopniu znalazł plastikową tacę, a na niej talerz sadzonych jajek i dwa paski bekonu, rogalik, szklankę mleka, banana i białą pigułkę. Poruszał się zbyt niepewnie, żeby znieść tacę na dół, więc usiadł na niewykończonym drewnianym stopniu, zjadł śniadanie i połknął pigułkę. Odpocząwszy, wstał z zamiarem otwarcia drzwi i odniesienia tacy do kuchni, ale gałka nie chciała się przekręcić, bo drzwi były zamknięte na klucz. W dole drzwi był wycięty nieduży kwadrat, przejście dla kota, pomyślał, chociaż nigdzie nie widział kota, więc uniósł gumową kurtynkę, wytknął głowę i zawołał:

– Halo? – Uprzytomnił sobie, że nie zna nazwiska mężczyzny, co go nie zdziwiło, bo nigdy nie znał ich nazwisk. – Proszę pana? Halo?

Lecz odpowiedzi nie było, a po rodzaju ciszy panującej w domu poznał, że jest sam.

Powinien był spanikować, powinien był poczuć lęk, ale tak się nie stało, bo przytłaczało go zmęczenie, więc zostawiwszy tacę na szczycie schodów, zszedł mozolnie na dół, położył się do łóżka i znowu zasnął.

Podrzemywał przez cały dzień, a kiedy się zbudził, mężczyzna stał nad nim i patrzył. Jude usiadł gwałtownie.

– Kolacja – powiedział mężczyzna, więc Jude poszedł za nim na górę, wciąż w pożyczonym ubraniu, które było za szerokie w talii, z za krótkimi rękawami i nogawkami, bo kiedy się rozejrzał za własnym ubraniem, nie znalazł go. Moje pieniądze, pomyślał, ale był zbyt otumaniony, by pomyśleć coś więcej.

Ponownie usiadł w brązowej kuchni, a mężczyzna przyniósł mu pigułkę i talerz z brązowym klopsem oraz porcją tłuczonych ziemniaków i brokułów. Drugi talerz przyniósł sobie i zaczęli jeść w milczeniu. Milczenie go nie peszyło – zazwyczaj był za nie wdzięczny – lecz milczenie tego człowieka było rodzajem zamknięcia się w sobie. Podobnie potrafi milczeć kot, obserwując coś z wielkim natężeniem, choć ty nie wiesz, co on widzi, dopóki nagle nie skoczy i nie przygniecie czegoś łapą.

– Jakim pan jest doktorem? – zapytał niepewnie, a mężczyzna spojrzał na niego.

– Psychiatrą – odpowiedział. – Wiesz, kto to jest?

– Tak.

Mężczyzna znowu wydał ten swój odgłos.

– Lubisz się prostytuować? – spytał, a on nieoczekiwanie poczuł łzy w oczach, ale zamrugał i łzy znikły.

– Nie.

– Więc czemu to robisz? Mów – zażądał mężczyzna, gdy Jude pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł, a tamten fuknął. – Bo umiem – dodał wreszcie.

– Jesteś w tym dobry?

Jude znów poczuł pieczenie w oczach, więc milczał przez dłuższą chwilę.

– Tak – odpowiedział i było to najgorsze jego wyznanie, najtrudniejsze słowo do wymówienia.

Gdy zjedli, doktor znów eskortował go do drzwi i tak samo lekko pchnął na dół.

– Chwileczkę – powstrzymał go Jude, gdy doktor już miał zamknąć drzwi. – Nazywam się Joey. – A gdy mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko patrzył na niego, dodał: – A pan?

Tamten nie przestawał na niego patrzeć, ale teraz, jak mu się wydało, patrzył prawie z uśmiechem, a przynajmniej z czymś w rodzaju wstępu do uśmiechu. Ale się nie uśmiechnął.

– Doktor Traylor – powiedział, po czym szybko domknął drzwi, jakby ta informacja była ptakiem, który może ulecieć, jeżeli nie zostanie zatrzaśnięty w pułapce razem z chłopcem.

Następnego dnia czuł się mniej obolały, mniej rozgorączkowany. Jednak gdy wstał, uzmysłowił sobie, że nadal jest słaby, bo zachwiał się, ale zamachał rękami i ostatecznie nie upadł. Podszedł do regałów i przyjrzał się książkom, które były tanimi wydaniami w miękkiej oprawie, spęczniałymi od ciepła i wilgoci, słodkawo zalatującymi pleśnią. Znalazł egzemplarz *Emmy*; czytał tę powieść w szkole, zanim uciekł, więc odszukał miejsce, gdzie przerwał lekturę, po czym wolno wrócił z książką na schody i czytał, jedząc śniadanie, po którym zażył pigułkę. Tym razem do posiłku dodano jeszcze kanapkę zawiniętą w papierowy ręcznik z napisem „Lunch". Zjadłszy, zszedł ze schodów z książką i kanapką i położył się na łóżku, a wtedy przypomniało mu się, jak bardzo tęsknił za czytaniem, jak wdzięczny jest losowi za tę okazję do pozostawienia dawnego życia za sobą.

Znowu usnął; znowu się obudził. Gdy nastał wieczór, był już bardzo zmęczony i ból powrócił, choć odrobinę słabszy, tak że gdy doktor Traylor otworzył mu drzwi, Jude bardzo długo wspinał się po schodach. Przy kolacji nie odezwał się ani razu, podobnie zresztą jak doktor Traylor, ale gdy zaproponował, że pomoże w zmywaniu lub gotowaniu, doktor spojrzał na niego i powiedział:

– Jesteś chory.

– Czuję się lepiej. Mógłbym panu pomóc w kuchni.

– Nie o to chodzi. Jesteś chory – powtórzył doktor Traylor. – Jesteś zakażony. Nie mogę pozwolić, żeby osoba zakażona dotykała mojego jedzenia.

Na co on spuścił wzrok, upokorzony. Zapadła cisza.

– Gdzie są twoi rodzice? – spytał po chwili doktor Traylor, a on znowu pokręcił głową. – Mów! – Tym razem doktor był zniecierpliwiony, chociaż nie podniósł głosu.

– Nie wiem – wyjąkał on. – Nigdy ich nie miałem.

– Jak zostałeś prostytutką? Zacząłeś sam czy ktoś ci pomógł?

Przełknął ślinę, czując, że jedzenie w żołądku zamienia mu się w glinę.

– Ktoś mi pomógł – wyszeptał.

Znowu chwila ciszy.

– Nie lubisz, kiedy cię nazywam prostytutką – powiedział mężczyzna, a on tym razem zdołał unieść głowę i spojrzeć na niego.

– Nie lubię.

– Rozumiem – rzekł mężczyzna. – Ale tym właśnie jesteś, prawda? Chociaż mógłbym cię nazwać inaczej, jeśli wolisz, na przykład kurwą.

On znów milczał.

– Tak lepiej?

– Nie.

– A zatem – podsumował mężczyzna – zostaniemy przy prostytutce, tak? – I popatrzył na niego, a on w końcu skinął głową.

Nocą w sypialni szukał czegoś, czym mógłby się pociąć, ale nie znalazł nic ostrego, zupełnie nic; nawet książki miały miękkie, spuchnięte brzegi. Więc wbił z całej siły paznokcie w łydkę, zgiął się wpół i krzywiąc się z wysiłku i niewygody, po chwili zdołał przebić skórę, po czym rozdrapał ranę paznokciem. Udało mu się zrobić tylko trzy skaleczenia na prawej nodze, bo potem był już zbyt zmęczony i znowu zasnął.

Trzeciego ranka poczuł się zdecydowanie lepiej: był silniejszy, bardziej przytomny. Zjadł śniadanie, poczytał książkę, a potem odsunął tacę, wytknął głowę przez zasłonięty klapką otwór i próbował przepchnąć ramiona. Próbował pod różnymi kątami, ale na nic: otwór był za mały, więc w końcu Jude musiał się poddać.

Kiedy odpoczął, znowu wytknął głowę przez otwór. Po lewej stronie miał widok na salon, a po prawej na kuchnię. Po schludności pomieszczeń poznał, że doktor Traylor mieszka sam. Gdy wyciągnął szyję, mógł zobaczyć po lewej stronie schody prowadzące na piętro, a tuż za schodami drzwi wejściowe, ale nie mógł dojrzeć, ile jest na nich zamków. Jednak główną cechą tego domu była cisza: nie tykał żaden zegar, nie było słychać samochodów ani ludzi z zewnątrz. Sądząc po tej ciszy, dom mógł równie dobrze unosić się w przestrzeni kosmicznej. Jedyny odgłos wydawała lodówka mrucząca z przerwami. Cisza w tych przerwach była absolutna.

Dom nie miał żadnych cech charakterystycznych, a jednak fascynował Jude'a, bo był to dopiero trzeci dom, w którym się znalazł. Drugim był dom Learych, a pierwszym dom klienta, bardzo ważnego

klienta – jak mu powiedział brat Luke – pod Salt Lake City, który zapłacił ekstra, bo nie chciał przychodzić do pokoju w motelu. Był to ogromny dom, cały z piaskowca i szkła, a brat Luke przyjechał tam razem z nim i zaszył się w łazience – łazience wielkości ich pokoju motelowego – przylegającej do sypialni, w której on z klientem uprawiał seks. Później, jako dorosły, fetyszyzował domy, zwłaszcza swój dom, chociaż nawet zanim miał Greene Street czy Dom Latarnię, czy mieszkanie w Londynie, kupował co parę miesięcy pismo o domach, o ludziach, którzy przez całe życie upiększają piękne miejsca, i odwracał kartki powoli, studiując w skupieniu każde zdjęcie. Przyjaciele śmiali się z niego, ale nie dbał o to: marzył o dniu, w którym będzie miał własne miejsce z absolutnie własnymi rzeczami.

Wieczorem doktor Traylor znowu go wypuścił i znowu była kuchnia i posiłek, i oni dwaj jedzący w milczeniu.

– Czuję się teraz lepiej – ośmielił się powiedzieć Jude, a kiedy doktor Traylor nie odpowiedział, dodał: – Gdyby chciał pan coś zrobić.

Był realistą i wiedział, że nie zostanie stąd wypuszczony bez jakiejś zapłaty. Miał jeszcze tyle nadziei, żeby myśleć, że w ogóle zostanie wypuszczony.

Ale doktor Traylor pokręcił głową.

– Możesz czuć się lepiej, ale nadal jesteś chory – powiedział. – Kuracja antybiotykowa trwa dziesięć dni. – Usunął z ust ość tak cieniutką, że aż przezroczystą, i położył na skraju talerza. – Nie powiesz mi chyba, że to pierwsza choroba weneryczna, jaką przeszedłeś.

Jude zaczerwienił się pod jego wzrokiem.

Tej nocy zastanawiał się, co robić. Czuł się prawie dość silny, by uciec. Przy okazji najbliższej kolacji pójdzie za doktorem Traylorem, a kiedy ten się odwróci, dopadnie drzwi, wybiegnie na ulicę i poszuka pomocy. Plan ten nasuwał kilka problemów – Jude wciąż nie miał swojego ubrania, nie miał butów – ale wiedział, że z tym domem jest coś nie tak, że z doktorem Traylorem jest coś nie tak, że musi się stąd wyrwać.

Następnego dnia starał się oszczędzać siły. Był zbyt podekscytowany, żeby czytać, ledwo powstrzymywał się przed chodzeniem z kąta w kąt. Zachowaną kanapkę wepchnął do kieszeni spodni od dresu, żeby mieć co jeść, gdyby przyszło mu się długo ukrywać. Do drugiej kieszeni wepchnął plastikowy worek, którym wyłożony był kosz na śmieci w łazience – uznał, że po rozdarciu go na pół będzie mógł sobie zrobić buty, kiedy już znajdzie się poza zasięgiem doktora Traylora. A potem czekał.

Ale tego wieczoru w ogóle nie został wypuszczony z pokoju. Ze swojego posterunku przy klapce w drzwiach widział, jak zapala się światło w salonie, czuł zapach przygotowywanego jedzenia.

– Doktorze Traylorze? – zawołał. – Halo?

Nie doczekał się odpowiedzi, tylko mięso skwierczało na patelni, a telewizja nadawała wieczorne wiadomości.

– Doktorze Traylorze! Proszę, proszę!

Nic się jednak nie zdarzyło, a on po długim wołaniu poczuł się wykończony, więc zszedł ze schodów.

W nocy przyśniło mu się, że na piętrze tego domu jest kilka innych sypialni, wszystkie z niskimi łóżkami i okrągłymi dywanikami, a w każdym łóżku leży chłopiec: niektórzy chłopcy byli starsi, bo przebywali w tym domu od dawna, inni młodsi. Żaden nie wiedział o istnieniu pozostałych, żaden nie słyszał innych. Jude uświadomił sobie, że nie zna rozmiarów tego domu, więc w jego śnie stał się on drapaczem chmur z setkami pokoi, cel, a w każdej jakiś chłopiec czekający, aż doktor Traylor go wypuści. Obudził się zdyszany i wbiegł na schody, ale kiedy pchnął klapkę, nie poruszyła się. Uniósł ją wówczas do siebie i zobaczył, że otwór zamknięto kawałkiem szarego plastiku, który, chociaż Jude naciskał go bardzo mocno, ani drgnął.

Nie wiedział, co robić. Chciał czuwać przez resztę nocy, ale zasnął, a kiedy się obudził, zobaczył tacę ze śniadaniem i lunchem oraz dwiema pigułkami: jedną na rano, jedną na wieczór. Ujął pigułki w palce i zaczął się zastanawiać: jeżeli ich nie zażyje, nie wyzdrowieje, a doktor Traylor nie dotknie go, póki nie będzie zdrowy. Ale jeżeli ich nie zażyje, to nie wyzdrowieje, a wiedział z doświadczenia, jak okropnie będzie się czuł, jaki będzie niewyobrażalnie wprost brudny, jakby go całego, po wierzchu i w środku, zbryzgano ekskrementami. Wtedy zaczął się kołysać. Co robić? – pytał. – Co robić? Pomyślał o grubym kierowcy tira, tym, który był dla niego dobry. Pomóż mi – błagał go – pomóż.

Bracie Luke'u – prosił – pomóż mi, pomóż.

Znowu ta myśl: Podjąłem niewłaściwą decyzję. Porzuciłem miejsce, gdzie miałem przynajmniej powietrze i szkołę i gdzie wiedziałem, co mnie czeka. A teraz nie mam żadnej z tych rzeczy.

Jesteś okropnie głupi – powiedział mu wewnętrzny głos. – *Jesteś okropnie głupi*.

Trwało to jeszcze sześć dni: jedzenie pojawiało się, kiedy spał. Pigułki zażywał; nie mógł ich nie brać.

Dziesiątego dnia drzwi się otworzyły i stanął w nich doktor Traylor. Jude był tak przestraszony, tak zaskoczony, że nie zdążył się przygotować. Chciał wstać, ale doktor Traylor zamknął drzwi i schodził już w jego stronę. Na jednym ramieniu niósł żelazny pogrzebacz, luźno, jak niesie się kij baseballowy, a w miarę jak się zbliżał, przerażenie Jude'a rosło. Co to ma znaczyć? Co doktor Traylor będzie mu tym robił?

– Zdejmij ubranie – polecił doktor Traylor, tym samym bezbarwnym głosem co zawsze, więc on usłuchał, a mężczyzna zamaszystym ruchem zdjął pogrzebacz z ramienia, na co Jude skulił się odruchowo, zasłaniając głowę. Usłyszał ten charakterystyczny cichy, mokry odgłos. Doktor Traylor rozpiął pasek spodni i stanął na wprost niego. – Ściągaj – powiedział, więc on usłuchał, ale zanim zdążył to zrobić, doktor Traylor dziabnął go w szyję pogrzebaczem. – Spróbujesz czegoś – powiedział – gryźć czy cokolwiek, to będę cię tym bił po głowie, aż zostaniesz warzywem, zrozumiałeś?

Kiwnął głową, zbyt przerażony, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Mów! – wrzasnął doktor Traylor, a on się wzdrygnął.

– Tak – wykrztusił. – Tak, zrozumiałem.

Bał się doktora Traylora, oczywiście; bał się ich wszystkich. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy walczyć z klientem, zaczynać z nim. Mężczyźni byli silni, a on nie. On był, jak doktor Traylor kazał mu przyznać, dobrą prostytutką.

Każdy następny dzień był taki sam, i chociaż seks okazał się nie gorszy niż z innymi, to Jude był przekonany, że to dopiero preludium, że w końcu zrobi się bardzo źle, bardzo dziwnie. Brat Luke mu opowiadał – widział na wideo – o tym, co ludzie robią sobie nawzajem, jakich używają przedmiotów, rekwizytów i broni. Kilka razy zdarzyło mu się tego doświadczyć. Ale wiedział, że w sumie miał szczęście: został oszczędzony. Teraz lęk przed tym, co może go czekać, był w pewnym sensie gorszy niż lęk przed samym seksem. Nocami wyobrażał sobie rzeczy, o których nie miał pojęcia, i zaczynał się dławić paniką, a jego ubranie – teraz inne, ale nadal nie jego własne – robiło się lepkie od potu.

Po jednej z sesji zapytał doktora Traylora, czy może odejść.

– Proszę – mówił – proszę.

Ale doktor Traylor powiedział, że gościł go przez dziesięć dni i teraz on musi zapłacić za tę gościnę.

– A potem będę mógł odejść? – zapytał, ale doktor już zmierzał do drzwi.

Szóstego dnia spłacania długu wymyślił plan. Była taka sekunda czy dwie – nie więcej – kiedy doktor Traylor brał pogrzebacz pod lewą pachę, a prawą ręką rozpinał pasek u spodni. Gdyby dobrze wymierzył czas, mógłby uderzyć doktora książką w twarz i spróbować uciec. Musiałby być bardzo szybki, musiałby być bardzo zwinny.

Obrzucił wzrokiem książki na półkach i jeszcze raz pożałował, że żadna z nich nie ma twardej oprawy, same miękkie papierowe okładki. Wiedział, że mały tom będzie bardziej skuteczny, bardziej poręczny, więc po namyśle wybrał *Dublińczyków*. Książka była dość cienka, by ją dobrze uchwycić, dość elastyczna, żeby rozpłaszczyć się na twarzy. Wetknął ją pod materac, lecz zaraz uprzytomnił sobie, że nie musi się nawet z nią kryć, może ją po prostu położyć obok siebie. Tak też zrobił i czekał.

A potem zjawili się doktor Traylor i pogrzebacz, i kiedy doktor zaczął rozpinać spodnie, Jude przyskoczył i z całej siły rąbnął go książką w twarz, i usłyszał, i poczuł, że doktor krzyczy, a pogrzebacz z brzękiem upada na posadzkę, i ręka doktora schwyciła go za nogę w kostce, ale ją odkopnął, wbiegł po schodach, pchnął drzwi i uciekł. Na frontowych drzwiach zobaczył mnóstwo zamków, więc prawie szlochając, niezdarnymi palcami zaczął szarpać zasuwy, a potem był już na dworze i biegł, biegł szybciej niż kiedykolwiek. *Uda ci się, uda ci się* – wołał głos w jego głowie, przynajmniej raz krzepiący, a potem, bardziej nagląco: *Szybciej, szybciej, szybciej*. Odkąd zaczął zdrowieć, posiłki od doktora Traylora były coraz skromniejsze, więc czuł się słaby, stale zmęczony, ale teraz był doskonale przytomny i biegł, wzywając pomocy. Biegnąc tak i krzycząc, widział jednak, że nikt go nie usłyszy: w zasięgu wzroku nie stał ani jeden dom, nie było też drzew, których się spodziewał, tylko płaska, goła ziemia, na której nie ma się gdzie schować. Nagle poczuł, że jest bardzo zimno, że jakieś drobiny wpijają mu się w podeszwy stóp – ale biegł dalej.

Wtem usłyszał za sobą inną parę stóp klapiących o nawierzchnię oraz znajome pobrzękiwanie i wiedział, że to doktor Traylor. Nawet nie krzyczał, nawet nie groził, ale kiedy Jude odwrócił głowę, aby ocenić odległość od doktora – a był on bardzo blisko, zaledwie parę metrów za nim – potknął się i upadł, uderzył policzkiem o asfalt.

Gdy upadł, cała energia go opuściła, jak stado ptaków, które podrywa się z hałasem i odlatuje, i zobaczył, że to pobrzękiwanie to rozpięty pasek u spodni doktora Traylora, wysuwany właśnie ze szlufek, a następnie użyty do bicia go, więc skulił się w sobie, odbierając cios za ciosem. Przez cały ten czas doktor Traylor nie odezwał się ani słowem, słychać było tylko jego oddech, sapanie z wysiłku okładania go coraz mocniej pasem, po plecach, po nogach, po szyi.

Z powrotem w domu bicie miało ciąg dalszy i przez następne dni i następne tygodnie Jude był dalej bity. Nie regularnie – nigdy nie wiedział, kiedy to się zdarzy – ale wystarczająco często, żeby przy głodowej diecie odczuwał ciągłe zawroty głowy i słabość. Czuł, że już nigdy nie da rady uciec. Tak jak się obawiał, seks też się pogorszył. Był zmuszany do rzeczy, o których nigdy potem nie był w stanie mówić, nikomu, nawet sobie, i ponownie, chociaż nie zawsze było to przerażające, żył w nieustannym oczadzeniu lękiem. Wiedział, że umrze w domu doktora Traylora. Którejś nocy przyśnił się sobie jako mężczyzna, dorosły mężczyzna, ale nadal siedział w piwnicy i czekał na doktora Traylora, i wiedział w tym śnie, że coś mu się stało, że stracił rozum, że był jak jego towarzysz z pokoju w domu dziecka, więc po obudzeniu modlił się o szybką śmierć. Kiedy usnął w dzień, przyśnił mu się brat Luke, a gdy się zbudził z tego snu, uświadomił sobie, jak bardzo brat Luke zawsze go chronił, jak dobrze go traktował, jaki był dla niego miły. Wtedy pokuśtykał na schody i rzucił się z samej góry, a potem zwlókł się z ziemi i zrobił to jeszcze raz.

Aż pewnego dnia (Trzy miesiące później? Cztery? Kiedyś Ana powie mu, że doktor Traylor twierdził, że znalazł go na stacji benzynowej dwanaście tygodni wcześniej) doktor powiedział:

– Zmęczyłem się tobą. Jesteś brudny, brzydzisz mnie i chcę, żebyś sobie poszedł.

Nie mógł w to uwierzyć. Lecz przypomniał sobie, że wypada coś powiedzieć.

– Okej – powiedział – okej. Pójdę sobie.

– Nie – zaprzeczył doktor Traylor. – Odejdziesz tak, jak ja chcę.

Przez kilka dni nic się nie wydarzyło, więc przyjął założenie, że i to było kłamstwem, i pogratulował sobie, że nie za bardzo się ucieszył i że w końcu jest w stanie rozpoznać kłamstwo. Doktor Traylor zaczął podawać mu posiłki na aktualnej gazecie i któregoś dnia, spojrzawszy na datę, zobaczył, że to jego urodziny.

– Mam piętnaście lat – oznajmił pustemu pokojowi, a słysząc własne słowa – pełne tylko jemu znanej nadziei, fantazji i niemożliwości – dostał torsji. Ale nie płakał: umiejętność niepłakania była jego jedynym osiągnięciem, jedyną rzeczą, z której mógł być dumny.

Którejś nocy doktor Traylor zszedł na dół.

– Wstawaj – powiedział i kiedy Jude zbyt niezdarnie wspinał się po schodach, upadając na kolana i potykając się co krok, dziabnął go w plecy. Pogrzebacz dźgał go przez całą drogę do frontowych drzwi, które były uchylone, nieznacznie, a potem na zewnątrz, w noc. Wciąż było zimno i mokro, ale on pomimo lęku poczuł, że pogoda się zmienia, że chociaż czas zatrzymał się dla niego, to nie zatrzymał się dla reszty świata, w którym pory roku maszerowały naprzód, nie troszcząc się o nic; poczuł w powietrzu zapach młodej zieleni. Obok siebie zobaczył nagi krzew z czarną gałęzią, na której czubku wyrastały pączki bladego bzu; patrzył na nie chciwie, chcąc utrwalić ten kadr w pamięci, zanim pogrzebacz popędzi go dalej.

Doktor Traylor otworzył bagażnik samochodu i znowu dźgnął Jude'a pogrzebaczem, a on usłyszał, że sam wydaje dźwięki podobne do szlochu, mimo że nie płakał. Wgramolił się do środka, chociaż był taki słaby, że doktor musiał mu pomóc, chwytając go palcami przez rękaw koszuli, żeby nie musieć go dotknąć.

Pojechali. Bagażnik był czysty i duży, a on turlał się w nim, czując, że skręcają, wjeżdżają na wzniesienia, zjeżdżają, a potem jadą długimi odcinkami płaskiej, równej drogi. Nagle samochód skręcił ostro w lewo i zaczął podskakiwać na nierównej nawierzchni, po czym się zatrzymał.

Przez jakiś czas, trzy minuty – liczył – nic się nie zdarzyło; nasłuchiwał i nasłuchiwał, ale nie usłyszał nic, jedynie własny oddech, własne serce.

Bagażnik się otworzył i doktor Traylor pomógł mu wysiąść, łapiąc jego ramię przez koszulę, i pchnął go pogrzebaczem ku masce wozu.

– Stój tutaj – polecił, więc on stał, trzęsąc się i patrząc, jak doktor wsiada z powrotem do samochodu, opuszcza szybę i wychyla się do niego.

– Biegnij – polecił, a gdy on stał jak wryty, dodał: – Zdaje się, że bardzo lubisz biegać? Więc biegnij.

I doktor Traylor zapuścił silnik, a on się wreszcie przebudził i pobiegł.

Byli na polu, na dużym, pustym kwadracie ziemi, który za parę tygodni się zazieleni, ale na razie nie było tam nic, tylko pozamarzane kałuże pękały mu pod stopami jak ceramika, a białe kamyki błyszczały jak gwiazdy. Pole pośrodku tworzyło płytką nieckę, a po jego prawej stronie biegła szosa. Jude nie widział, czy to duża szosa, tylko tyle, że jest, ale nic nią nie jechało. Po jego lewej stronie pole ogrodzone było drutem, ale nie mógł dojrzeć, co znajduje się dalej.

Biegł, a samochód jechał tuż za nim. Z początku nawet przyjemnie było biec, być na dworze, z dala od tamtego domu. Nawet lód jak szkło pod jego stopami, wiatr smagający go po twarzy, klapanie zderzaka od czasu do czasu uderzającego go z tyłu w nogi, to wszystko było lepsze niż ten dom, ten pokój ze ścianami z pustaków i oknem tak malutkim, że trudno nazwać je oknem.

Biegł. Doktor Traylor jechał za nim i chwilami przyspieszał, wtedy on biegł szybciej. Ale nie mógł już biegać tak jak kiedyś, więc upadł, raz i drugi. Za każdym jego upadkiem samochód się zatrzymywał, a doktor Traylor wołał – nawet bez złości, nie za głośno – „Wstawaj. Wstawaj i biegnij. Wstawaj i biegnij albo wracamy do domu", więc on zmuszał się do wstania i biegu.

Biegł. Nie wiedział, że biegnie po raz ostatni w życiu, a znacznie później zastanawiał się, czy gdyby to wiedział, dałby radę biec szybciej. Lecz oczywiście było to pytanie niemożliwe, niepytanie, aksjomat bez rozwiązania. Upadał raz po raz, a za dwunastym razem poruszył ustami, chcąc coś powiedzieć, lecz nie wydobył głosu. „Wstawaj – usłyszał. – Wstawaj. Następny upadek będzie twoim ostatnim", więc podniósł się i ruszył.

Teraz już nie biegł – szedł i potykał się, odczołgiwał się sprzed samochodu, a samochód uderzał w niego coraz mocniej. Niech to się skończy, myślał, niech to się skończy. Przypomniała mu się – kto mu to opowiadał? któryś z braci, ale który? – bajka o biednym chłopczyku, chłopczyku, jak mu powiedziano, o wiele mniej szczęśliwym niż on, który to chłopczyk bardzo długo był grzeczny (pod tym względem też się różnił od niego), a potem którejś nocy pomodlił się do boga, żeby go zabrał. Jestem gotowy, mówił chłopczyk z bajki, jestem gotowy, a wtedy anioł, straszliwy, złotoskrzydły, o oczach płonących ogniem, zstąpił, owinął go skrzydłami i chłopczyk zamienił się w garstkę popiołu i już go nie było, został uwolniony z tego świata.

Jestem gotowy – powiedział w duchu – jestem gotowy. I czekał na anioła straszliwej piękności, czekał na ocalenie.

Wreszcie upadł i nie mógł się podnieść.

– Wstawaj! – dobiegł go wrzask doktora Traylora. – Wstawaj!

Ale nie mógł. Samochód się cofnął, a po chwili Jude usłyszał nasilający się warkot silnika i poczuł zbliżające się reflektory, dwa snopy ognia jak oczy anioła, więc obrócił głowę na bok i czekał, a samochód runął na niego i było po wszystkim.

I był koniec.

A potem stał się dorosły. Kiedy leżał w szpitalu i Ana siedziała przy jego łóżku, złożył sobie pewne obietnice. Ocenił błędy, które popełnił. Nigdy nie wiedział, komu ufać – szedł za każdym, kto mu okazał odrobinę dobroci. Postanowił, że teraz to się zmieni. Już nie będzie tak łatwo ufał ludziom. Już nie będzie uprawiał seksu. Już nie będzie oczekiwał zbawienia.

„Już nigdy nie będzie tak źle – mówiła mu Ana w szpitalu. – Już nigdy nie będzie tak źle". Chociaż wiedział, że Anie chodzi o ból, to lubił myśleć, że chodzi jej o życie w ogóle, że teraz z każdym rokiem będzie lepiej. I brat Luke też miał rację, bo rzeczywiście życie Jude'a się zmieniło, gdy skończył szesnaście lat. W rok po doktorze Traylorze studiował w wymarzonym college'u i z każdym dniem, odkąd nie uprawiał seksu, stawał się coraz czyściejszy. Jego życie robiło się z roku na rok coraz bardziej nieprawdopodobne. Każdy rok przymnażał mu szczęścia, on zaś zdumiewał się wciąż na nowo okazywaną mu dobrocią i ludźmi, którzy go otaczali, tak różnymi od tamtych, których znał, zupełnie jakby byli innym gatunkiem. Bo jak można uznać za jeden gatunek stworzeń doktora Traylora i Willema? Albo ojca Gabriela i Andy'ego? Albo brata Luke'a i Harolda? Czy to, co istniało w pierwszej grupie, istniało też w drugiej, a jeśli tak, to dlaczego druga grupa wybrała inaczej? W jaki sposób ci ludzie wybrali sobie, kim mają zostać? Wszystko nie tylko się naprawiło: wszystko się odwróciło i to w stopniu wręcz niewiarygodnym. Z niczego do wprawiającej w zakłopotanie obfitości. Przypominał sobie w takich chwilach maksymę Harolda, że życie wynagradza swoje straty, i uświadamiał sobie trafność tej maksymy, chociaż czasami wydawało mu się, że życie nie tylko wynagrodziło swoje straty, ale uczyniło to z wielkopańskim rozmachem, jakby błagało go, żeby mu wybaczył, jakby go obsypywało kosztownościami, rozpieszczało wszystkim, co piękne, cudowne i wymarzone, żeby go tylko nie odrzucał, żeby pozwolił mu prowadzić się naprzód. I tak z upływem lat zaczął coraz częściej łamać daną sobie obietnicę. Jednak szedł za ludźmi, którzy byli dla niego dobrzy. Jednak znowu ufał ludziom. Jednak znowu uprawiał seks. Jednak miał nadzieję na zbawienie. I wszystko to słusznie: nie za każdym razem oczywiście, ale przeważnie. Ignorował to, czego go nauczyła przeszłość, i był za to nagradzany częściej, niż mu się należało. Nie żałował niczego, nawet seksu, bo uprawiał go z nadzieją i żeby kogoś uszczęśliwić. Kogoś, kto dał mu wszystko.

Którejś nocy wkrótce po tym, jak zostali parą, byli z Willemem na imprezie u Richarda, głośnym, luzackim spotkaniu ludzi, których kochali i których lubili – byli JB i Malcolm, i Czarny Henry Young,

i Azjatycki Henry Young, i Phaedra, i Ali, i wszyscy ich partnerzy i partnerki, mężowie i żony. On był w kuchni i pomagał Richardowi przygotować deser, gdy nagle wszedł JB – lekko pijany – i objął go za szyję i ucałował w policzek.

– No, Judy – powiedział – w końcu trafiło ci się wszystko, no nie? Kariera, forsa, mieszkanie, facet. Skąd ty masz takie szczęście?

JB uśmiechnął się do niego szeroko, a on mu odpowiedział tym samym. Cieszył się, że w pobliżu nie ma Willema, który mógłby usłyszeć ten komentarz, bo Willem na pewno wkurzyłby się na to, co uznałby za zawiść JB, który uważał, że każdy ma i miał życie łatwiejsze niż on, a Jude jest błogosławiony przez los bardziej niż ktokolwiek inny.

Lecz on tego tak nie postrzegał. Wiedział, że to po części ironia JB, sposób gratulowania mu szczęścia, które, obaj wiedzieli, jest nadmierne, ale też w pełni doceniane. I jeśli miał być szczery, zawiść JB mu pochlebiała, bo dla JB nie był kaleką, któremu los kosmicznie wynagrodził parszywy start, ale równym partnerem JB, kimś, w kim JB widział tylko rzeczy godne zazdrości, a nigdy godnych litości. A poza tym JB miał rację: skąd on miał takie szczęście? Jakim cudem doczekał się wszystkiego, co ma? Nigdy nie miał się tego dowiedzieć i zawsze go to dziwiło.

– Nie wiem, JB – powiedział, podając mu z uśmiechem pierwszą porcję ciasta, i w tej samej chwili usłyszał z jadalni głos Willema, który jakimś swoim powiedzeniem wywołał zbiorową salwę śmiechu, odgłos czystej radości. – Ale powiem ci: zawsze miałem szczęście.

3

Kobieta ma na imię Claudine i jest przyjaciółką przyjaciółki znajomej, projektantką biżuterii, co stanowi pewne odstępstwo od jego nawyków, gdyż zazwyczaj sypia z osobami z branży, które są bardziej przyzwyczajone i mają bardziej liberalne podejście do układów tymczasowych.

Ma trzydzieści trzy lata, długie ciemne włosy rozjaśniające się na końcach i bardzo małe dłonie, jak u dziecka, na których nosi własnoręcznie zrobione pierścionki z ciemnego złota i połyskliwych kamieni. Przed seksem zdejmuje je na samym końcu, tak jakby to pierścionki, a nie bielizna skrywały najintymniejsze partie jej ciała.

Sypiają ze sobą – nie chodząc ze sobą, bo on nie chodzi z nikim – od prawie dwóch miesięcy, co znów jest odstępstwem od jego zasad, więc powinno się niedługo skończyć. Na samym początku powiedział jej, że chodzi mu wyłącznie o seks, bo kocha kogoś innego, i że nigdy nie będzie mógł spędzić z nią nocy, na co odpowiedziała, że jej to pasuje, bo też kocha się w kimś innym. On jednak nie widział żadnych dowodów obecności innego mężczyzny w jej mieszkaniu, a kiedykolwiek do niej esemesuje, zawsze jest wolna. To kolejny sygnał ostrzegawczy: trzeba to zakończyć.

Teraz całuje ją w czoło i siada.

– Muszę iść – mówi.

– Nie – protestuje ona. – Zostań. Jeszcze chwileczkę.

– Nie mogę.

– Pięć minut.

– Pięć – zgadza się i kładzie z powrotem. Po pięciu minutach całuje ją w policzek. – Naprawdę muszę iść – mówi, a ona wydaje odgłos protestu i rezygnacji i obraca się na bok.

On idzie do jej łazienki, bierze prysznic, płucze usta, wraca do pokoju i całuje ją jeszcze raz.

– Przyślę ci esemes – obiecuje, zdegustowany tym, że tak łatwo ogranicza się do słownika złożonego właściwie z samych komunałów. – Dzięki za zaproszenie.

W domu przechodzi cicho przez zaciemnione pokoje; w sypialni rozbiera się i ze stęknięciem kładzie do łóżka, przekręca na bok i oplata ramionami Jude'a, który się budzi i zwraca do niego.

– Willem – mówi. – Już jesteś.

A Willem całuje go, żeby pokryć poczucie winy i smutek, jaki odczuwa za każdym razem, gdy słyszy ulgę i radość w głosie Jude'a.

– Oczywiście – mówi.

Zawsze wraca do domu; nigdy nie zdarzyło mu się nie wrócić.

– Przepraszam, że tak późno.

Noc jest gorąca, wilgotna i nieruchoma, a jednak on przytula się do Jude'a, tak jakby chciał się ogrzać, splatając się z nim nogami. Jutro, obiecuje sobie, zerwie z Claudine.

Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Jude wie, że on sypia z innymi osobami. Zgodził się na to. Stało się to po tym okropnym Święcie Dziękczynienia, gdy po latach stosowania zasłony dymnej Jude otworzył się przed nim całkowicie i strzępy chmur, które go zawsze częściowo przesłaniały, rozwiały się w jednej chwili. Przez wiele dni Willem nie wiedział, co ma robić (popędził tylko sam na terapię; zadzwonił do swojego psychoanalityka w dzień po tym, jak Jude umówił się na pierwszą wizytę z doktorem Loehmannem), bo ile razy spojrzał na Jude'a, wracały do niego okruchy jego opowieści i przypatrywał mu się ukradkiem, zastanawiając się, jak on zdołał wydostać się z tego wszystkiego na swoją obecną pozycję, jak został osobą, którą jest, gdy wszystko w jego życiu sprzysięgło się przeciwko temu. Nabożny lęk, jaki wówczas wobec niego odczuwał, rozpacz i zgroza, kojarzyły mu się raczej z bogami, a nie istotami ludzkimi, przynajmniej nie z żadną istotą ludzką, którą znał.

– Wiem, jak się czujesz, Willem – powiedział mu Andy podczas jednej z ich sekretnych rozmów – ale on nie potrzebuje, żebyś go podziwiał; on chce, żebyś go widział takim, jaki jest. Chce, żebyś go zapewnił, że jego życie, choć takie niepojęte, jest jednak życiem. – Przerwał na chwilę. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem.

W pierwszych zamazanych dniach po opowieści Jude'a Willem czuł, że Jude jest cichy w jego obecności, jakby starał się nie zwracać na siebie uwagi, jakby nie chciał przypominać Willemowi o tym, co ten teraz wie. Pewnego wieczoru, jakiś tydzień później, jedli w milczeniu kolację u siebie w mieszkaniu, gdy Jude odezwał się cicho:

– Już nawet nie możesz na mnie patrzeć.

Wówczas on podniósł wzrok i ujrzał bladą, przerażoną twarz, więc przysunął krzesło blisko krzesła Jude'a i siedział, wpatrując się w niego.

– Przepraszam – wymamrotał. – Boję się, że powiem coś głupiego.

– Willem – zaczął Jude i zamilkł. – Uważam, że wyrosłem na całkiem normalnego człowieka, zważywszy wszystkie okoliczności, prawda?

A Willem usłyszał napięcie i nadzieję w jego głosie.

– Nie – powiedział, a Jude się wzdrygnął. – Uważam, że wyrosłeś na nadzwyczajnego człowieka, bez względu na okoliczności.

I Jude się nareszcie uśmiechnął.

Tej nocy rozmawiali o tym, jak mają postąpić.

– Obawiam się, że jesteś na mnie skazany – zaczął Willem, a gdy zobaczył, jaką to ulgę sprawiło Jude'owi, przeklął się w duchu za to, że wcześniej nie oświadczył jasno, iż zostaje. Potem zebrał się na odwagę i porozmawiali o sprawach ciała: jak daleko on może się posunąć, czego Jude sobie nie życzy.

– Możemy robić wszystko, co chcesz, Willem – powiedział Jude.

– Ale ty tego nie lubisz – odparł on.

– Ale jestem ci to winien.

– Nie. Nie powinieneś czuć, że jesteś mi cokolwiek winien, bo nie jesteś. – Urwał. – Jeżeli ciebie to nie podnieca, to mnie też nie – dodał, chociaż ku własnemu zawstydzeniu nadal chciał uprawiać seks z Jude'em. Obiecał sobie jednak, że nie będzie, już nigdy, chyba że Jude sam by zechciał, nie oznaczało to jednak, że w jednej chwili przestanie tego pragnąć.

– Przecież ty poświęciłeś tak wiele, żeby ze mną być – powiedział Jude po chwili ciszy.

– Na przykład co? – zaciekawił się.

– Normalność. Akceptację społeczną. Łatwe życie. Nawet kawę. Nie mogę do tej listy dodać seksu.

Gadali i gadali, aż wreszcie udało mu się przekonać Jude'a do zdefiniowania, co naprawdę lubi. (Nie było tego wiele).

– Ale co ty z tym zrobisz? – zapytał Jude.

– Och, poradzę sobie – odparł, sam jeszcze nie wiedząc jak.

– Wiesz, Willem – powiedział Jude – powinieneś oczywiście spać, z kim ci się podoba. Ja tylko… wiem, że to samolubne, ale nie chcę nic o tym słyszeć.

– To nie jest samolubne – odparł, wyciągając do Jude'a rękę w poprzek łóżka. – A ja nigdy bym tego nie zrobił, przenigdy.

Było to osiem miesięcy temu i w ciągu tych ośmiu miesięcy wszystko zmieniło się na lepsze: nie w takim sensie, w jakim Willem pragnął tego uprzednio, kiedy wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku, i ignorował niewygodne dowody oraz podejrzenia, że jednak nie jest, ale nawet lepiej. Widział, że Jude jest bardziej zrelaksowany: mniej spięty fizycznie, bardziej otwarty w okazywaniu uczuć, a wszystko to dlatego, że Willem zwolnił go od „obowiązków". Ciął się o wiele rzadziej. Teraz już Willem nie potrzebował Harolda ani Andy'ego, żeby mieć pewność, że z Jude'em jest lepiej – teraz sam wiedział, że to prawda. Jedyną trudnością było to, że nadal pożądał Jude'a i chwilami musiał się hamować, żeby nie posunąć się za daleko, bo był już blisko granicy tego, co Jude tolerował. W takich chwilach czuł złość, nie na Jude'a ani nawet nie na siebie – nigdy nie czuł się winny z powodu

pożądania, więc i teraz nie miał z tego powodu poczucia winy – ale na życie, które nauczyło Jude'a bać się tego, co on sam zawsze kojarzył z przyjemnością.

Ostrożnie dobierał sobie partnerów do łóżka: byli to ludzie (właściwie prawie zawsze kobiety), którzy, o czym wiedział z doświadczenia, interesowali się nim erotycznie i gotowi byli zachować dyskrecję. Kobiety często czuły się zdezorientowane, o co nie mógł mieć do nich pretensji. „Ale czy ty nie jesteś w związku z mężczyzną?", pytały, on zaś odpowiadał, że tak, ale jest to związek otwarty. „Czyli że tak naprawdę nie jesteś gejem?", upewniały się, na co mówił: „Nie, w zasadzie nie". Młodsze akceptowały to z łatwością: same miały dawniej (lub obecnie) chłopaków, którzy sypiali z mężczyznami, one zaś sypiały z kobietami. „Aha", mówiły, i na tym się przeważnie kończyło, bo nawet jeśli miały inne wątpliwości, inne pytania, nie zgłaszały ich. Tym młodszym kobietom – aktorkom, charakteryzatorkom, kostiumografkom – też nie zależało na związku z nim; często nie zależało im na żadnym związku. Czasami kobiety wypytywały go o Jude'a – jak się poznali, jaki on jest – a on im odpowiadał i robiło mu się smutno; tęsknił do niego.

Był jednak czujny, żeby to jego życie nie ingerowało w życie domowe. Raz w plotkarskim piśmie pojawiła się, bez nazwiska, notatka ewidentnie o nim – przesłał mu ją Kit – i po wahaniu, czy napomknąć o niej Jude'owi, czy nie, postanowił jednak nie mówić. Jude nigdy nie natknie się na tę historię, a nie ma powodu, żeby z tym, o czym Jude wiedział teoretycznie, musiał się konfrontować w rzeczywistości.

Za to JB przeczytał notatkę (Willem przypuszczał, że inni widzieli ją również, ale jedynie JB o niej wspomniał) i zagadnął Willema, czy to prawda.

– Nie wiedziałem, że macie związek otwarty, chłopaki – powiedział, bardziej w tonie zaciekawienia niż oskarżenia.

– O tak – odparł swobodnie on. – Od samego początku.

Martwiło go oczywiście, że jego życie seksualne i życie domowe muszą stanowić dwa odrębne światy, ale był już dostatecznie dojrzały, żeby wiedzieć, że w każdej relacji jest element niespełnienia i rozczarowania i coś, czego trzeba szukać poza nią. Na przykład jego przyjaciel Roman był mężem kobiety, która, jakkolwiek piękna i lojalna, słynęła z braku inteligencji. Nie rozumiała filmów, w których Roman grał, a kiedy się z nią rozmawiało, człowiek łapał się na tym, że świadomie upraszcza konwersację, ponieważ dama nader często wyglądała na zagubioną, gdy rozmowa zbaczała na tematy polityki, finansów, literatury, sztuki, kulinariów, architektury czy też środowiska. Willem wiedział, że Roman jest świadom tej ułomności Lisy i całej ich relacji. „No cóż – powiedział kiedyś Willemowi, bez żadnej zachęty z jego strony – jeżeli mam ochotę na dobrą rozmowę, to mogę zawsze pogadać z przyjaciółmi, nie?". Roman ożenił się jako jeden z pierwszych jego przyjaciół, a w Willemie

jego wybór budził wówczas fascynację i niedowierzanie. Teraz jednak już wiedział, że zawsze coś się poświęca. Pytanie co. Wiedział, że dla niektórych osób – dla JB i zapewne dla Romana – jego poświęcenie byłoby nie do pomyślenia. Dla niego samego kiedyś również.

W tych dniach często myślał o sztuce, w której grał na studiach, autorstwa mało lotnej kujonki z sekcji dramatopisarstwa, która potem odniosła wielki sukces w kinie szpiegowskim, ale na studiach próbowała pisać dramaty w stylu Pintera, o nieszczęśliwych małżeństwach. Jej sztuka *Gdyby to był film* opowiadała o nieszczęśliwym małżeństwie profesora muzyki klasycznej i librecistki, mieszkającym w Nowym Jorku. Ponieważ oboje byli po czterdziestce (w owym czasie był to szary ląd, nieprawdopodobnie daleki i niewyobrażalnie ponury), cechowały ich kompletny brak poczucia humoru oraz nostalgia za własną młodością, kiedy życie wydawało się pełne obietnic i nadziei, kiedy byli romantyczni, kiedy samo życie było romansem. On grał w tej sztuce męża i chociaż teraz już wiedział, że była to nieznośna ramota (zawierająca kwestie w rodzaju: „To nie *Toska*, mój drogi! To jest życie!"), nigdy nie zapomniał końcowego monologu, który wygłaszał w drugim akcie, po tym jak żona oznajmia mu, że odchodzi, bo nie czuje się spełniona w małżeństwie i jest przekonana, że czeka ją coś lepszego:

SETH: Ale czy nie rozumiesz, Amy? Jesteś w błędzie. Związki nigdy nie dostarczają nam wszystkiego. Dostarczają niektórych rzeczy. Masz pełną listę rzeczy, których oczekujesz od drugiej osoby – zgrania seksualnego, powiedzmy, albo dobrej rozmowy, albo wsparcia finansowego, albo odpowiedniego poziomu intelektualnego, albo miłego usposobienia, albo lojalności – i wolno ci wybrać trzy z tych rzeczy. Trzy i koniec. Może cztery, jeżeli masz szczęście. Tylko w kinie znajduje się partnera, który oferuje pełny zestaw. W realnym świecie musisz się zdecydować, z którymi trzema wartościami chcesz spędzić resztę życia, a potem poszukać tych wartości w drugiej osobie. Na tym polega życie. Nie widzisz, że to pułapka? Jeżeli będziesz się upierała znaleźć wszystko, skończysz z niczym.

AMY: [z płaczem] No a co ty wybrałeś?

SETH: Nie wiem. [pauza] Nie wiem.

Wtedy nie wierzył tym słowom, bo był to czas, kiedy wszystko zdawało się możliwe: miał dwadzieścia trzy lata, ludzie wokół niego byli młodzi, atrakcyjni, inteligentni i błyskotliwi. Wszyscy myśleli, że zostaną przyjaciółmi na dziesiątki lat, na zawsze. Ale u większości ludzi to się rzecz jasna nie sprawdziło. Z biegiem lat człowiek uświadamiał sobie, że wartości, które ceni w osobach, z którymi sypia lub romansuje, to niekoniecznie te same wartości, z którymi chciałoby się żyć czy też być, czy też brnąć przez swoje dni. Jeżeli człowiek był bystry i miał szczęście, dowiadywał się tego i przyjmował to do wiadomości. Decydował, co jest dla niego najważniejsze, i szukał tego, ucząc się

być realistą. Każdy z nich wybrał inaczej: Roman wybrał piękno, słodycz, uległość; Malcolm chyba lojalność i kompetencję (Sophie była onieśmielająco skuteczna), a także zgodność gustów. A on? On wybrał przyjaźń. Rozmowę. Dobroć. Inteligencję. Będąc po trzydziestce, przyglądał się relacjom innych ludzi i zadawał pytanie, które zawsze wtedy (i nadal) było motorem niezliczonych konwersacji towarzyskich: Co się między nimi dzieje? Teraz jednak, mając prawie czterdzieści osiem lat, widział w związkach między ludźmi odbicie ich najżywszych, a zarazem najtrudniejszych do wyrażenia pragnień; nadzieje i niepewności przybierały kształt fizyczny, kształt innej osoby. Teraz patrzył na pary – w restauracjach, na ulicy, na przyjęciach – i zastanawiał się: Dlaczego jesteście razem? Co uznaliście dla siebie za zasadnicze? Czego brakuje w was samych, co miałoby uzupełnić to drugie? Teraz za udany związek uważał taki, w którym obie osoby rozpoznały, co najlepszego ma do zaoferowania to drugie, i postanowiły to także uznać za wartość.

I nie było chyba zbiegiem okoliczności, że po raz pierwszy zwątpił w terapię – w jej obietnice, jej założenia. Nigdy wcześniej nie kwestionował tezy, że terapia jest w najgorszym razie działaniem nieszkodliwym; kiedy był młodszy, poczytywał ją nawet za formę luksusu: przez pięćdziesiąt minut człowiek ma prawo mówić o własnym życiu, niemal bez przerywania, co jest dowodem, że stał się kimś, kto zasługuje na takie długie rozważania i takiego wyrozumiałego słuchacza. Teraz jednak uświadomił sobie, że jest zniecierpliwiony złowieszczą pedanterią terapii, którą nagle zauważył, przekonaniem, że życie jest w jakiś sposób naprawialne, że istnieje coś takiego jak norma społeczna i że pacjent jest prowadzony ku podporządkowaniu się jej.

– Zdajesz się stawiać opór, Willem – powiedział Idriss, jego wieloletni psychoterapeuta, a on zamilkł.

Terapia i terapeuci obiecywali rygorystyczny brak osądu (ale czy to nie była niemożliwość, by ktoś, kto cię słucha, jednocześnie cię nie oceniał?), a jednak za każdym pytaniem krył się mentalny kuksaniec, który łagodnie, lecz nieuchronnie popychał ku rozpoznaniu jakiejś wady, ku rozwiązaniu problemu, o którego istnieniu się nie wiedziało. Przez te wszystkie lata Willem miał przyjaciół, którzy byli przekonani, że mieli szczęśliwe dzieciństwo i kochających rodziców, dopóki psychoterapia nie uzmysłowiła im, że wcale tak nie było. Nie chciał, żeby i jemu to się zdarzyło; nie chciał usłyszeć, że jego zadowolenie opiera się na złudzeniu.

– A co dla ciebie znaczy fakt, że Jude nie chce uprawiać seksu? – zapytał Idriss.

– Nie wiem – odparł. Ale wiedział i w końcu powiedział: – Chciałbym, żeby chciał, dla siebie samego. Jest mi smutno, że traci jedno z największych doświadczeń życiowych. Ale uważam, że zdobył sobie prawo niechcenia.

Siedzący naprzeciwko Idriss milczał. Prawdę mówiąc, Willem wcale nie chciał, żeby Idriss spróbował zdiagnozować, co jest nie tak w ich związku. Nie chciał się dowiedzieć, jak go naprawić. Nie chciał zmuszać Jude'a ani siebie do robienia tego, czego żaden z nich nie chciał robić, tylko dlatego, że tak się powinno. W jego odczuciu ich związek był specyficzny, ale się sprawdzał. Nie chciał, żeby go przekonano, że jest inaczej. Nieraz się zastanawiał, czy nie jest to przejaw braku kreatywności – ze strony jego i Jude'a – iż obaj myślą, że ich relacja powinna w ogóle zawierać seks. Kiedyś jednak seks wydawał się jedynym sposobem na wyrażenie głębszego poziomu uczuć. Słowo „przyjaciel" jest tak ogólnikowe, tak niezadowalające – no bo jak mógłby tym samym terminem opisać, kim są dla niego Jude i India albo Henry Youngowie? Wybrali więc inną, bardziej znaną formę związku, która nie zadziałała. Ale teraz zaczynali tworzyć własny typ relacji, bez umocowania w historii, nieuwieczniony w poezji czy pieśni, lecz prawdziwszy i mniej ograniczający.

Nie wspomniał jednak Jude'owi o swoim narastającym sceptycyzmie wobec terapii, bo w pewnym sensie nadal wierzył w terapię dla osób naprawdę chorych, a Jude – wreszcie powiedział to sobie szczerze – był naprawdę chory. Wiedział, że Jude nienawidzi chodzić do psychoterapeuty; po kilku pierwszych sesjach wracał do domu tak milczący, tak wycofany, że Willem musiał przypomnieć sam sobie, iż zmusza Jude'a do chodzenia na terapię dla jego własnego dobra. W końcu jednak nie mógł już tego wytrzymać.

– Jak było u doktora Loehmanna? – zagadnął którejś nocy, jakiś miesiąc po rozpoczęciu przez Jude'a terapii.

– Willem – odparł Jude z westchnieniem – jak długo chcesz, żebym na to chodził?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

Jude przyjrzał mu się.

– Czyli myślałeś, że będę chodził do końca życia – powiedział.

– No… – (Prawdę mówiąc, tak właśnie myślał). – To naprawdę takie straszne? – Zawiesił głos. – Czy chodzi o Loehmanna? Poszukamy kogoś innego?

– Nie, nie chodzi o Loehmanna. Chodzi o sam proces.

Teraz westchnął Willem.

– Posłuchaj – rzekł. – Wiem, że to jest dla ciebie trudne. Wiem o tym. Ale… daj sobie rok, Jude, okej? Rok. I staraj się. A potem zobaczymy.

Jude obiecał.

Wiosną Willem wyjechał na zdjęcia i rozmawiali którejś nocy przez telefon, gdy Jude powiedział:

– Willem, w kwestii pełnej jasności, muszę ci coś powiedzieć.

– Okej – odrzekł on i mocniej uchwycił słuchawkę.

Był w Londynie, kręcili film *Henry i Edith*. On grał Henry'ego Jamesa – o dwanaście lat za wcześnie i o trzydzieści kilogramów za chudo, co mu wytknął Kit, ale kto by tam liczył? – w początkach przyjaźni z Edith Wharton. Była to swoista opowieść drogi, zdjęcia odbywały się głównie we Francji i południowej Anglii, a on właśnie nagrywał końcowe sceny.

– Nie jestem z tego dumny – mówił Jude – ale opuściłem cztery ostatnie spotkania z doktorem Loehmannem. To znaczy… chodziłem, ale tak jakbym nie chodził.

– Nie rozumiem.

– No, jadę tam – tłumaczył Jude – i siedzę pod jego domem w samochodzie, i czytam przez czas trwania sesji, a kiedy sesja się kończy, wracam do biura.

Willem milczał i Jude też, a potem obaj zaczęli się śmiać.

– Co czytasz? – spytał Willem, kiedy już mógł mówić.

– *O narcyzmie* – przyznał się Jude i znowu obaj zaczęli się śmiać, tak okropnie, że Willem aż musiał usiąść.

– Jude – zaczął w końcu, ale ten mu przerwał:

– Ja wiem, Willem, ja wiem. Wrócę tam. To było głupie. Po prostu nie mogłem się przemóc tych parę razy, sam nie wiem dlaczego.

Willem odłożył słuchawkę, ale nie przestał się uśmiechać, a gdy usłyszał w głowie głos Idrissa: „Willem, a co sądzisz o fakcie, że Jude nie chodzi na terapię, chociaż obiecał, że będzie?", pomachał sobie dłonią przed twarzą, jakby odpędzał te słowa. Rozumiał już, że kłamstwa Jude'a i jego samooszukiwanie się były formą samoobrony, ćwiczoną od dzieciństwa, nawykiem, który pomagał mu widzieć świat jako bardziej znośny. Ale teraz Jude starał się kłamać mniej i próbował zaakceptować to, że istnieją pewne rzeczy, które nigdy nie podporządkują się jego idei porządnego świata, choćby nie wiem jak bardzo miał nadzieję lub udawał, że tak jest. Więc w sumie Willem wiedział, że terapia przyniesie Jude'owi ograniczoną korzyść. Wiedział, że Jude będzie się dalej ciął. Wiedział, że on, Willem, nigdy go nie uleczy. Osoba, którą kochał, była chora i zawsze będzie chora, a jego odpowiedzialność polega nie na tym, aby tę osobę uzdrowić, lecz aby ją uczynić mniej chorą. Nigdy nie umiał wytłumaczyć Idrissowi tej zmiany perspektywy; czasami sam ledwo ją rozumiał.

Tego wieczoru była u niego kobieta, zastępczyni szefowej produkcji; leżeli w łóżku i on odpowiadał na te same co zawsze pytania. Mówił, jak poznał Jude'a, i wyjaśniał, kim on jest, a przynajmniej podawał wersję stworzoną na użytek takich właśnie pytań.

– To śliczne mieszkanie – powiedziała Isabel, a on popatrzył na nią podejrzliwie; JB na widok tego mieszkania stwierdził, że wygląda, jakby je zgwałcił Wielki Bazar, a Isabel, jak utrzymywał kierownik zdjęć, miała doskonały gust. – Naprawdę – dodała, widząc jego minę. – Jest śliczne.

– Dzięki – powiedział.

Był właścicielem tego mieszkania – razem z Jude'em. Kupili je zaledwie dwa miesiące wcześniej, kiedy stało się jasne, że obaj będą coraz więcej pracować w Londynie. Zadanie znalezienia czegoś spadło na Willema, więc wybrał ciche, nudne Marylebone – nie dla surowej urody czy wygody tej dzielnicy, tylko ze względu na dużą liczbę lekarzy. „Ach – powiedział Jude, czytając listę lokatorów budynku, gdy czekali na agenta nieruchomości, który miał im pokazać mieszkanie wytypowane przez Willema. – Popatrz, co się znajduje piętro niżej: klinika chirurgii ortopedycznej. – Spojrzał na niego, unosząc brew. – Ciekawy zbieg okoliczności, nie sądzisz?". Willem się uśmiechnął. „Prawda?", spytał. Lecz pod tymi żartami kryło się coś, o czym nigdy nie byli w stanie rozmawiać, nie tylko teraz, w związku, ale w ogóle odkąd się przyjaźnili – że kiedyś, nie wiadomo kiedy, ale na pewno, stan zdrowia Jude'a się pogorszy. Jak to może wyglądać, Willem nie wiedział, ale w ramach nowo odkrytej szczerości próbował przygotować się, przygotować ich obu na przyszłość, której nie sposób przewidzieć, na przyszłość, w której Jude może już nie móc chodzić, może już nie móc stanąć na nogach. Ostatecznie mieszkanie na czwartym piętrze przy Harley Street okazało się jedynym wyjściem, bo ze wszystkich mieszkań, które oglądali, najbardziej przypominało Greene Street: pomieszczenia na jednym poziomie, szerokie drzwi i korytarze, duże kwadratowe pokoje i łazienki mogące pomieścić wózek inwalidzki (gabinet ortopedyczny piętro niżej stał się argumentem rozstrzygającym). Kupili je. Sprowadził tam wszystkie dywany, lampy i koce, które gromadził przez całe dorosłe życie, a które na Greene Street leżały w pudłach w piwnicy. Ustalił też, że zanim wróci po zakończeniu zdjęć do Nowego Jorku, jeden z dawnych asystentów Malcolma, który przeniósł się do Londynu, by pracować w tamtejszej filii firmy Bellcast, rozpocznie w mieszkaniu remont.

Ach, myślał, spoglądając na plany mieszkania przy Harley Street, jak trudno, jak smutno jest czasem mierzyć się z rzeczywistością. Przypomniano mu to na ostatnim spotkaniu z architektem. Kiedy zapytał Vikrama, dlaczego nie zachowają starych okien w drewnianych ramach w kuchni, które wychodziły na ceglane patio i dachy Weymouth Mews.

– Nie powinniśmy ich zachować? – spytał. – Są takie piękne.

– Są piękne – przyznał Vikram – ale bardzo trudno się otwierają z pozycji siedzącej; wymagają solidnego oparcia na nogach.

Wówczas Willem uświadomił sobie, że Vikram bardzo poważnie potraktował jego instrukcje podane w ich rozmowie wstępnej: przyjąć założenie, że jedna z osób tu mieszkających może mieć ograniczoną zdolność ruchową.

– Ach tak – powiedział i szybko zamrugał kilka razy. – W porządku. Dzięki. Dzięki.

– Oczywiście – rzekł Vikram. – Obiecuję ci, Willem, że obaj poczujecie się tu jak w domu.

Vikram miał cichy, łagodny głos; Willem nie był pewien, czy smutek, który poczuł w tamtej chwili, wywołała życzliwość słów Vikrama, czy życzliwość tonu, jakimi je powiedział.

Przypomina to sobie teraz, w Nowym Jorku. Jest koniec lipca; przekonał Jude'a do wzięcia wolnego dnia i pojechali do swojego domu za miastem. Od kilku tygodni Jude był zmęczony i wyjątkowo słaby, ale nagle wszystko z niego opadło. To właśnie w takie dni – żywo błękitne niebo, powietrze gorące i suche, łąki porośnięte kępami krwawnika i koniczyny, kamienie dokoła basenu chłodne pod stopami, Jude śpiewający w kuchni, gdzie przygotowuje lemoniadę dla Julii i Harolda, którzy do nich przyjechali – Willem łapał się na tym, że wraca do dawnego nawyku udawania. W takie dni ulegał swoistemu czarowi, stanowi, w którym jego życie wydawało mu się nie do poprawienia, a zarazem doskonale naprawialne – oczywiście, że Jude'owi się nie pogorszy. Oczywiście, że da się go wyleczyć. Oczywiście, że to Willem będzie tym, który go wyleczy. Oczywiście, że to możliwe, oczywiście, że to prawdopodobne. Takie dni zdawały się nie mieć nocy; nie było cięcia, nie było smutku, nie było nic przykrego.

Marzysz o cudzie, Willem – powiedziałby Idriss, gdyby wiedział, co on sobie myśli. Rozumiał to. No ale, myślał dalej, weźmy jego życie (i życie Jude'a) – czy to nie był cud? Miał przecież zostać w Wyoming, miał pracować jako pomocnik na farmie. Jude powinien był skończyć… gdzie? W więzieniu albo w szpitalu, albo w kostnicy, albo jeszcze gorzej. Ale tak się nie stało. Czy to nie cud, że ktoś, kto wcale nie jest wyjątkowy, może zarabiać miliony na udawaniu innych osób i że ten ktoś lata z miasta do miasta, spędza dni na spełnianiu swoich zachcianek, pracuje w sztucznym otoczeniu, w którym traktowany jest jak potentat z jakiegoś skorumpowanego kraiku? Czy to nie cud zostać adoptowanym w trzydziestym roku życia, znaleźć ludzi, którzy kochają cię tak bardzo, że chcą cię nazwać swoim synem? Czy to nie cud przeżyć traumę niemożliwą do przeżycia? Czy nie jest cudem sama przyjaźń – znalezienie drugiej osoby, która samotny świat czyni mniej samotnym? Czy ten dom, to piękno, ten komfort, to życie nie jest cudem? W takim razie czy można go winić za nadzieję na jeszcze jeden cud, za nadzieję, że pomimo zdrowego rozsądku, pomimo biologii i czasu, i historii oni okażą się wyjątkiem? Że to, co zdarza się innym ludziom z przypadłościami Jude'a, Jude'owi się nie zdarzy, że po wszystkim, co Jude przezwyciężył, przezwycięży jeszcze tę jedną rzecz?

Siedzi nad basenem, rozmawiając z Haroldem i Julią, gdy nagle czuje tę dziwną pustkę w żołądku, jakiej doświadcza czasem, kiedy są z Jude'em w jednym domu: tęsknotę za nim, palące pragnienie zobaczenia go. I chociaż nigdy by mu tego nie powiedział, w tym sensie Jude przypomina mu Hemminga, w sensie tej świadomości, która czasem go dotyka lekko jak muśnięcie skrzydła, że ludzie, których kocha, są jakby bardziej tymczasowi niż inni, że ich wypożyczył i kiedyś życie upomni się o ich zwrot. „Nie odchodź – prosił Hemminga przez telefon, kiedy Hemming umierał. – Nie opuszczaj

mnie, Hemming". Mówił tak, chociaż pielęgniarki, które przytykały Hemmingowi słuchawkę do ucha, kazały mu mówić coś wręcz przeciwnego: że może odejść, że Willem go uwalnia. Ale on nie mógł się na to zdobyć.

Podobnie jak nie mógł się na to zdobyć, gdy Jude leżał w szpitalu, tak odurzony lekami, że oczy biegały mu z obłędną szybkością, która przerażała Willema bardziej niż cokolwiek innego. „Pozwól mi odejść, Willem – błagał wtedy Jude. – Pozwól mi odejść". „Nie mogę, Jude – odpowiadał z płaczem. – Nie mogę".

Teraz potrząsa głową, by odegnać to wspomnienie.

– Sprawdzę, co z nim – rzuca do Harolda i Julii, lecz w tej samej chwili słyszy, że szklane drzwi się rozsuwają i wszyscy troje odwracają głowy ku wzniesieniu, na którym stoi Jude z tacą drinków, i wszyscy troje zrywają się, żeby mu pomóc. Jest jednak taki moment, zanim zaczną iść pod górę, a Jude zacznie schodzić do nich, gdy wszyscy zamierają na swoich pozycjach, i Willem ma skojarzenie z planem filmowym, gdzie każdą scenę można powtórzyć, każdy błąd skorygować, każdy smutek nakręcić na nowo. W tym momencie oni są na jednym skraju kadru, a Jude na drugim, ale uśmiechają się do siebie, a świat jest jak wypełniony samą słodyczą.

Ostatni raz chodził samodzielnie – naprawdę chodził, a nie przesuwał się przy ścianie z pokoju do pokoju, nie szurał po korytarzach Rosena, Pritcharda, nie kuśtykał centymetr po centymetrze przez hall do garażu, żeby opaść na fotel samochodu ze stęknięciem ulgi – podczas wakacji bożonarodzeniowych. Miał czterdzieści sześć lat. Byli w Bhutanie. Dobry wybór, jak zrozumiał później, na jego ostatni etap chodzenia (chociaż wówczas oczywiście tego nie wiedział), ponieważ tam wszyscy chodzą pieszo. Ludzie, których tam spotykali, włącznie ze starym znajomym z college'u, Karmą, który obecnie był ministrem leśnictwa, określali odległości nie w kategoriach kilometrów, lecz w kategoriach godzin. „O tak – mówił Karma. – Kiedy mój ojciec dorastał, szedł przez wiele godzin, żeby odwiedzić swoją ciotkę w weekend. A potem przez wiele godzin wracał do domu". Jude i Willem dziwili się, ale z czasem przyznali ojcu Karmy rację, bo krajobraz był przepiękny: falujące ciągi zadrzewionych paraboli, niebo w górze o barwie czystego błękitu. Czas marszu musiał się tu wydawać krótszy niż gdziekolwiek indziej.

Jude nie czuł się najlepiej na tej wycieczce, ale przynajmniej był mobilny. W miesiącach poprzedzających wyjazd odczuwał słabość, ale nie w jakiś konkretny sposób, który by sugerował poważniejszy problem. Po prostu szybciej tracił energię i był ogólnie obolały tym tępym, ustawicznym bólem, który mu towarzyszył przy zasypianiu i witał go w chwili obudzenia. Różnica, jak tłumaczył Andy'emu, była taka jak pomiędzy miesiącem przelotnych burz a miesiącem nieustannego deszczu:

padało nie za bardzo, ale ciągle, powodując ponury, irytujący dyskomfort. W październiku musiał już korzystać z wózka codziennie, co mu się nigdy przedtem nie zdarzało. W listopadzie, chociaż dał radę uczestniczyć w kolacji na Święto Dziękczynienia u Harolda, cierpiał zbyt silny ból, by usiąść przy stole, i spędził wieczór w sypialni, leżąc w miarę możności bez ruchu, na wpół świadomy obecności Harolda, Willema i Julii, którzy zaglądali, by sprawdzić, jak się czuje, na wpół świadomy własnych przeprosin, że zepsuł im święto, na wpół świadomy ściszonych rozmów tamtych trojga z Laurence'em i Gillian, Jamesem i Careyem, które dobiegały z pokoju jadalnego. Po tym wyjeździe Willem chciał odwołać wycieczkę, lecz Jude nalegał i cieszył się, że nalega, bo czuł, że piękno tamtejszego krajobrazu ma działanie lecznicze, tak samo jak czystość i cisza gór, jak widok Willema w otoczeniu potoków i drzew, gdzie zawsze zdawał się czuć najswobodniej.

To były dobre wakacje, ale pod koniec Jude był już gotowy do powrotu. Jednym z powodów, dla których przekonał Willema do tego wyjazdu, było to, że jego przyjaciel Elijah, kierujący teraz fundacją, którą Jude reprezentował, wyjeżdżał w tym samym czasie z rodziną na wakacje do Nepalu, więc mogli wylecieć z Nowego Jorku i wrócić jego prywatnym samolotem. Martwił się, że Elijah będzie w nastroju gadatliwym, ale nie był, więc Jude przespał z uczuciem wdzięczności prawie cały lot powrotny, czując palący ból w nogach i w plecach.

Następnego dnia po powrocie na Greene Street nie był w stanie podnieść się z łóżka. Był w takim stresie, że odczuwał własne ciało jako jeden długi obnażony nerw, wystrzępiony na końcach. Zdawało mu się, że gdyby go dotknęła kropla wody, jego jestestwo zaskwierczałoby i zasyczało w odpowiedzi. Rzadko zdarzało mu się być aż tak zmęczonym, tak obolałym, żeby nie móc nawet usiąść, więc widział, że Willem – którego tym razem szczególnie starał się nie martwić – wpada w panikę, i musiał go błagać, żeby nie dzwonił do Andy'ego.

– No dobrze – zgodził się niechętnie Willem – ale jeśli do jutra nie poczujesz się lepiej, dzwonię do niego.

Jude skinął głową, a Willem westchnął.

– Cholera, Jude. Wiedziałem, że nie powinniśmy wyjeżdżać.

Ale następnego dnia poczuł się lepiej, na tyle dobrze, że wstał z łóżka. Chodzić jednak nie mógł i przez cały dzień nogi, stopy i plecy bolały go tak, jakby ktoś przeciągał przez nie żelazne bolce, ale zmuszał się do uśmiechu, rozmowy i przemieszczania się po domu, chociaż gdy Willem wychodził z pokoju albo tylko się odwracał, Jude czuł natychmiast, jak twarz mu opada ze zmęczenia.

Tak samo było później, więc obaj się do tego przyzwyczaili. Korzystał teraz z wózka codziennie, ale starał się chodzić, ile mógł, choćby do łazienki, i starannie oszczędzał energię. Kiedy gotował, upewniał się, że ma wszystko, co potrzebne, na blacie przed sobą, żeby nie musieć chodzić w tę

i z powrotem do lodówki. Odrzucał zaproszenia na kolacje, przyjęcia, otwarcia, kwesty, wymawiając się nadmiarem pracy, chociaż w rzeczywistości wracał do domu, przejeżdżał wolno wózkiem przez całe mieszkanie, nagle ogromne jak za karę, zatrzymując się, gdy musiał odpocząć, a potem drzemał w łóżku, żeby starczyło mu sił na rozmowę z Willemem, gdy ten wróci.

Pod koniec stycznia wybrał się wreszcie do Andy'ego, który go wysłuchał i starannie zbadał.

– W zasadzie nic złego się nie dzieje – orzekł Andy. – Po prostu się starzejesz.

– Aha – rzucił Jude i obaj zamilkli, bo co tu było do powiedzenia? – No to – odezwał się po chwili – może w końcu tak osłabnę, że zdołam przekonać Willema, że nie mam siły chodzić do Loehmanna. – Ponieważ pewnej jesiennej nocy głupio, pijacko, nawet romantycznie obiecał Willemowi, że będzie chodził do Loehmanna jeszcze dziewięć miesięcy.

Andy westchnął, ale też się uśmiechnął.

– Straszny z ciebie łobuz – powiedział.

Teraz jednak wspomina tamtą zimę z rozczuleniem, bo pod każdym istotnym względem był to wspaniały czas. W grudniu Willem został nominowany do ważnej nagrody za rolę w *Zatrutym jabłku*, a w styczniu nagrodę otrzymał. Potem przyszła druga nominacja, do jeszcze większej i bardziej prestiżowej nagrody, którą znów otrzymał. Jude był wtedy służbowo w Londynie, ale nastawił sobie budzik na drugą w nocy, żeby obejrzeć ceremonię wręczenia nagród online. Gdy wyczytano nazwisko Willema, wzniósł głośny okrzyk, a potem patrzył, jak rozpromieniony Willem całuje Julię – którą przywiózł jako swoją dziewczynę – i wbiega na scenę, wysłuchał jego podziękowań filmowcom, studiu, Emilowi i Kitowi, Alanowi Turingowi, Romanowi i Cressy, Richardowi, Malcolmowi i JB, a także „moim teściom, Julii Altman i Haroldowi Steinowi, za to, że stale dają mi poczucie, że też jestem ich synem, no i na koniec najważniejsze: mojemu przyjacielowi i miłości mojego życia, Jude'owi St. Francisowi, za wszystko". Z trudem powstrzymał się wtedy od płaczu, a kiedy pół godziny później zadzwonił do Willema, znowu był bliski łez.

– Jestem z ciebie taki dumny, Willem – powiedział. – Wiedziałem, że zwyciężysz, wiedziałem.

– Zawsze tak myślisz – zaśmiał się Willem, więc i on się roześmiał, ponieważ Willem miał rację: zawsze tak myślał.

Zawsze myślał, że Willem zasługuje na nagrody, do których był nominowany. Gdy zdarzało mu się nie wygrać, Jude był autentycznie zdumiony: pomijając politykę i preferencje, jak sędziowie i głosujący mogli nie docenić ewidentnie wybitnej roli, wybitnego aktora, wybitnej osobowości?

Podczas spotkań następnego ranka – gdy znowu musiał powstrzymywać się od płaczu, więc tylko się uśmiechał nieustannie jak pijany – koledzy gratulowali mu i co chwila pytali, czemu nie pojechał na ceremonię, na co on kręcił głową. „To nie dla mnie", mówił i to była prawda. Ze wszystkich

ceremonii wręczenia nagród, premier, bankietów, na które Willem chodził w związku z pracą, on był obecny tylko na dwóch czy trzech. W minionym roku, kiedy Willem udzielał wywiadu rzeki poważnemu pismu literackiemu, Jude znikał z mieszkania, kiedy wiedział, że ma się tam zjawić dziennikarz. Wiedział, że Willem się o to nie gniewa, że przypisuje te nieobecności jego zamiłowaniu do prywatności. I to była prawda, tyle że niejedyna.

Raz, krótko przed tym, jak zostali parą, w „Timesie" pojawiło się ich wspólne zdjęcie, przy okazji roli Willema w pierwszym odcinku kinowej trylogii szpiegowskiej. Zdjęcie zrobiono na wernisażu piątej, długo odkładanej wystawy JB *Żabek i Ropuch*, która zawierała wyłącznie obrazy przedstawiające ich dwóch, ale rozmyte i znacznie bardziej abstrakcyjne niż wcześniejsze prace JB. (Jude i Willem nie bardzo wiedzieli, co mają myśleć o tytule wystawy, chociaż JB się zarzekał, że wyraża sympatię. „Arnold Lobel – zaskrzeczał, gdy go o to zapytali. – Halloo?!". Jednak ani Jude, ani Willem nie czytali dziecięcych książek Lobela i musieli je sobie dopiero kupić, żeby złapać sens aluzji). Co ciekawe, to właśnie ta wystawa, bardziej niż artykuł w piśmie „New York" o nowym życiu Willema, urealniła ich związek w oczach kolegów i rówieśników, mimo że większość obrazów powstała na podstawie zdjęć zrobionych, zanim zostali parą.

Ta sama wystawa, jak później przyznał JB, stała się dla niego odskocznią do kariery: wiedzieli, że pomimo sprzedania wielu obrazów, pozytywnych recenzji, stypendiów i tytułów JB nie może przeboleć, że Richard miał już retrospektywną wystawę w muzeum (podobnie jak Azjatycki Henry Young), a on nie. Ale po *Żabku i Ropuchu* coś się ruszyło także dla JB, tak jak dla Willema ruszyło się po *Sykomorowym dworze*, tak jak dla Malcolma ruszyło się dzięki muzeum Doha, a nawet tak – gdyby Jude lubił się chwalić – jak dla niego ruszyło się po sprawie Malgrave and Baskett. Dopiero kiedy zstępował z firmamentu przyjaciół, uświadamiał sobie, że ten awans, ten awans, na który każdy z nich miał nadzieję i każdy go uzyskał, był jeszcze rzadszy i cenniejszy, niż im się zdawało. Z nich wszystkich jedynie JB był przekonany, że awans mu się *należy* i że na pewno nastąpi. Ani Jude, ani Malcolm, ani Willem nie mieli takiej pewności, więc gdy to ich spotkało, byli oszołomieni. Ale chociaż JB musiał długo czekać na tę życiową zmianę, to gdy wreszcie nastąpiła, zachował spokój, jakby stracił kły. Po raz pierwszy odkąd go znali, złagodniał, a kąśliwy dowcip, którym iskrzył bez opamiętania, został rozmagnesowany i uciszony. Jude cieszył się sukcesem JB, cieszył się z jego upragnionej sławy, sławy, która jego zdaniem należała się JB już po *Sekundach, minutach, godzinach, dniach*.

– Powstaje pytanie, który z nas jest żabą, a który ropuchą – powiedział Willem, gdy pierwszy raz obejrzeli obrazy, jeszcze w pracowni JB, i przeczytali sobie na głos do poduszki dobroduszne książeczki, przy których zaśmiewali się do rozpuku.

Jude się uśmiechnął; leżeli w łóżku.

– Oczywiście to ja jestem ropuchą – powiedział.

– Nie – zaprzeczył Willem. – Moim zdaniem jesteś żabą: twoje oczy mają żabi kolor.

Willem powiedział to z taką powagą, że Jude musiał się uśmiechnąć.

– To ma być twój dowód? W takim razie powiedz mi, co ty masz wspólnego z ropuchą?

– Wydaje mi się, że mam kurtkę podobną do ropuchy – odparł i znowu zaczęli się śmiać.

Ale Jude wiedział, że to on jest ropuchą, i upewniło go w tym zdjęcie ich obu w „Timesie". Nie martwiło go to ze względu na niego samego – starał się coraz mniej zważać na własne obawy – ale martwił się przez wzgląd na Willema, bo wiedział, jak bardzo niedobraną i śmieszną tworzą parę. Żenowało go to ze względu na Willema i myślał, że szkodzi mu samą swoją obecnością. Dlatego starał się nie towarzyszyć mu w sytuacjach publicznych. Zawsze wierzył, że Willem jest w stanie go uzdrowić, ale ostatnio zaczął się martwić. Skoro Willem może go uzdrowić, to czy on może zarazić Willema chorobą? I podobnie: skoro Willem może uczynić go kimś mniej przykrym do oglądania, to czy on nie może zeszpecić Willema? Wiedział, że to nielogiczne, ale nie umiał tak nie myśleć i czasami, gdy szykowali się do wyjścia, zerkał na siebie w łazienkowym lustrze, na swoją głupią, zadowoloną minę, absurdalną i groteskową jak mina małpy przebranej w drogie ciuchy, i miał ochotę rozbić lustro pięścią.

Ale był też inny powód, dla którego niepokoiło go pokazywanie się z Willemem – publiczne ujawnianie się. Od pierwszych dni college'u obawiał się, że ktoś z jego przeszłości – jakiś klient, jakiś chłopak z domu dziecka – spróbuje się z nim skontaktować, spróbuje wyłudzić coś w zamian za milczenie. „Nikt tego nie zrobi, Jude – zapewniała go Ana. – Przyrzekam ci. Oznaczałoby to przyznanie się, w jaki sposób cię poznali". Mimo to on ciągle się bał, zwłaszcza że na przestrzeni lat pojawiło się parę duchów z przeszłości. Pierwszy zjawił się wkrótce po rozpoczęciu przez Jude'a pracy u Rosena, Pritcharda, w postaci pocztówki od kogoś, kto twierdził, że go zna z domu dziecka, kogoś o pospolitym imieniu i nazwisku Rob Wilson; nie pamiętał takiego. Przez tydzień panikował, prawie nie sypiał, a jego wyobraźnia podsuwała mu przerażające scenariusze, które wydawały się nieuchronne. Co będzie, jeżeli Rob Wilson skontaktuje się z Haroldem i z jego kolegami z firmy i powie im, kim jest Jude, powie, jakie rzeczy robił? Zmusił się jednak do niereagowania, zabronił sobie zrobić to, na co miał ochotę, czyli napisać histeryczny list, którym dowiódłby wyłącznie tego, że istnieje, i tego, że jego przeszłość jest prawdziwa. I nigdy więcej nie dostał wiadomości od Roba Wilsona.

Jednak po pojawieniu się w prasie kilku jego zdjęć z Willemem dostał dwa listy i mejl, wszystkie na adres służbowy. Jeden z listów oraz mejl były od mężczyzn, którzy twierdzili, że byli z nim w domu dziecka, on jednak nie pamiętał ich nazwisk i nie odpowiedział na listy, a oni więcej się z nim nie

skontaktowali. Ale drugi list zawierał zdjęcie, czarno-białe, przedstawiające nagiego chłopca na łóżku. Odbitka była tak marnej jakości, że Jude nie mógł poznać, czy to on, czy nie. Po tym liście zrobił to, co mu radzono przed wielu laty, kiedy był dzieckiem w szpitalu w Filadelfii: gdyby któryś z klientów dowiedział się, kim on jest i gdzie go szukać, i spróbował nawiązać z nim kontakt, Jude miał włożyć list do koperty i wysłać do FBI. Tak też zrobił. FBI wiedziało teraz, gdzie go znaleźć, i co cztery czy pięć lat pojawiał się u niego w pracy agent, który pokazywał mu zdjęcia i pytał, czy Jude pamięta tego lub owego mężczyznę, bo jeszcze dziś, po kilkudziesięciu latach, odnajdywano znajomych i wspólników doktora Traylora i brata Luke'a. Rzadko go uprzedzano o tych wizytach, a on z czasem nauczył się, co należy robić w następnych dniach, żeby te odwiedziny zneutralizować – otaczać się ludźmi, zdarzeniami, hałasem i zgiełkiem, dowodami życia, które obecnie zamieszkiwał.

W tym okresie, kiedy otrzymał list i pozbył się go, odczuwał palący wstyd i dotkliwą samotność (to było, zanim opowiedział Willemowi o swoim dzieciństwie, a Andy'emu nigdy nie zdradził wystarczająco dużo, aby ten mógł właściwie ocenić horror jego dzieciństwa), a potem zmusił się wreszcie do wynajęcia usług agencji śledczej (ale nie tej, z której korzystał Rosen, Pritchard) i zlecił jej zebranie wszelkich informacji o sobie. Śledztwo trwało miesiąc i nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów: nie ujawniło w każdym razie nic, co by go łączyło z jego dawnym ja. Dopiero wtedy pozwolił sobie odetchnąć z ulgą i nareszcie uwierzyć, że Ana miała rację – jego przeszłość została wymazana tak kompletnie, jakby nigdy nie istniała. Ludzie, którzy najwięcej o niej wiedzieli, którzy byli jej świadkami i sprawcami – brat Luke, doktor Traylor, nawet Ana – nie żyli, a umarli nie rozmawiają z nikim. Jesteś bezpieczny, przypominał sam sobie. To jednak nie oznaczało, że przestał być czujny, nie oznaczało, że życzył sobie oglądać swoje zdjęcia w czasopismach i gazetach.

Akceptował oczywiście fakt, że tak wygląda życie z Willemem, ale czasami marzył, żeby było inne, żeby i on mógł publicznie demonstrować bliskość z Willemem, tak jak Willem z nim. W wolnych chwilach odtwarzał w kółko klip z Willemem wygłaszającym mowę dziękczynną, i doznawał takiego samego zawrotu głowy jak wtedy, gdy Harold po raz pierwszy nazwał go synem wobec innej osoby. To się naprawdę stało – pomyślał wtedy. – To nie jest coś, co sobie zmyśliłem. Teraz przeżywał to samo delirium: naprawdę *był* Willema. Willem sam to powiedział.

W marcu, pod koniec sezonu nagród, Jude i Richard wydali przyjęcie na cześć Willema na Greene Street. Z piątego piętra usunięto właśnie spory zapas drzwi i ław z tekowego drewna i tam właśnie Richard obwiesił sufit sznurami świateł, a wszystkie ściany poobstawiał szklanymi słojami, w których tkwiły świece. Kierownik pracowni Richarda wniósł na górę dwa największe stoły do pracy, a Jude zamówił kelnerów z firmy cateringowej i barmana. Zaprosili wszystkich: wspólnych przyjaciół i przyjaciół samego Willema. Z Bostonu przyjechali Harold z Julią, James z Careyem, Laurence

z Gillian i Lionel z Sinclairem, z Los Angeles przyleciał Kit, z Yountville Carolina, z Paryża Phaedra i Citizen, z Londynu znajomi Willema, Cressy i Susannah, z Madrytu Miguel. Jude zmusił się do wstania z wózka i spędził całe przyjęcie na nogach. Ludzie, których znał tylko z opowieści Willema – reżyserzy, aktorzy i dramatopisarze – podchodzili do niego i mówili, że słyszeli o nim od lat i że bardzo im miło go wreszcie poznać, bo dotąd podejrzewali, że Willem go wymyślił, a on słysząc to, śmiał się, chociaż czuł lekki smutek, bo myślał, że powinien był już dawno zignorować swoje lęki i bardziej włączyć się w życie Willema.

Tak wielu gości nie widziało się nawzajem od lat, że impreza okazała się wyjątkowo gwarna; przypominała przyjęcia, na jakich bywali za młodu. Ludzie nawoływali się, przekrzykując muzykę, puszczaną przez jednego z asystentów Richarda, didżeja amatora, który po kilku godzinach padł z wycieńczenia i oparty o północną ścianę już tylko obserwował tańce. Pośrodku tego ludzkiego młyna Jude zauważył Willema tańczącego z Julią i uśmiechnął się na ten widok, a wtedy spostrzegł, że po drugiej stronie pokoju stoi Harold, który też im się przygląda, i też z uśmiechem. Harold zobaczył go w tej samej chwili i uniósł w jego stronę kieliszek, a on odpowiedział tym samym, a potem patrzył, jak Harold przepycha się przez tłum w jego stronę.

– Fajna impreza! – krzyknął mu prosto do ucha.

– To głównie zasługa Richarda – odkrzyknął on i chciał powiedzieć coś więcej, ale muzyka ryknęła, więc popatrzyli na siebie z Haroldem, wzruszając ramionami.

Przez chwilę stali tak, obydwaj uśmiechnięci, obserwując szalejących tancerzy. Jude był zmęczony, wszystko go bolało, ale nie przejmował się tym: zmęczenie było słodkie i ciepłe, a ból był czymś znanym i spodziewanym, więc Jude uświadomił sobie, że jest zdolny do radości, że życie jest jak miód. Potem muzyka zmieniła charakter, stała się senna i powolna i Harold krzyknął, że idzie wyrwać Julię z łap Willema.

– Idź – rzekł on, ale zanim Harold go zostawił, coś kazało mu wyciągnąć ręce i go uściskać, i był to pierwszy raz, gdy dobrowolnie dotknął Harolda od czasu incydentu z Calebem. Zauważył, że Harold jest w pierwszej chwili zaskoczony, a potem uszczęśliwiony, i ogarnęło go poczucie winy, więc odsunął się najszybciej, jak mógł, wypychając go na parkiet.

W jednym kącie urządzone było gniazdo jutowych worków wypchanych bawełną, które Richard umieścił tam z myślą o zmęczonych imprezowiczach, i Jude tam właśnie zmierzał, gdy nagle wyrósł przed nim Willem i chwycił go za rękę.

– Chodź, zatańcz ze mną – powiedział.

– Willem – upomniał go z uśmiechem Jude – wiesz, że nie umiem tańczyć.

Wtedy Willem obrzucił go spojrzeniem i powtórzył:

– Chodź.

Więc Jude poszedł za nim na wschodni koniec loftu, gdzie Willem wciągnął go do łazienki i zamknął za nimi drzwi, po czym odstawił swój kieliszek na krawędź umywalki. Muzykę słychać było i tutaj – piosenkę, która była popularna w czasach ich college'u, żenującą, ale też jakoś wzruszającą przez swoją ckliwość, słodycz i szczerość – lecz przytłumioną, jakby dobiegała z odległej doliny.

– Obejmij mnie – poinstruował go Willem, a on to zrobił. – Przesuń prawą stopę w tył, kiedy ja przesunę lewą do przodu. – To też zrobił.

Przez chwilę poruszali się wolno i niezdarnie, patrząc na siebie w milczeniu.

– No widzisz? – powiedział cicho Willem. – Tańczysz.

– Nie jestem w tym dobry – wymamrotał on, zakłopotany.

– Jesteś w tym świetny – zaprzeczył Willem, a on, chociaż stopy bolały go tak, że zaczynał pocić się z wysiłku powstrzymywania jęku, posłusznie przesuwał się dalej, jednak tak minimalnie, że pod koniec piosenki kołysali się tylko, nie odrywając stóp od posadzki, a Willem trzymał go, żeby nie upadł.

Gdy wyszli z łazienki, powitał ich gromki okrzyk najbliżej stojących grupek, więc Jude się zarumienił (ostatni, naprawdę ostatni raz uprawiał seks z Willemem prawie szesnaście miesięcy wcześniej), ale Willem uśmiechnął się od ucha do ucha i uniósł rękę jak mistrz bokserski, który właśnie wygrał walkę.

A potem przyszedł kwiecień i jego czterdzieste siódme urodziny, a potem maj i na obu łydkach wystąpiły mu rany, gdy Willem był w Stambule, gdzie kręcił drugą część trylogii szpiegowskiej. Powiadomił Willema o tych ranach – starał się informować go o wszystkim na bieżąco, nawet o rzeczach, które uważał za nieważne – i Willem się zmartwił.

On jednak się nie przejmował. Ile już ran miał przez te wszystkie lata? Dziesiątki. Zmieniała się tylko ilość czasu poświęcanego na ich leczenie. Teraz Jude chodził do Andy'ego dwa razy w tygodniu – we wtorki w porze lunchu i w piątki wieczorem – na usuwanie martwej tkanki i na terapię próżniową, którą aplikowała pielęgniarka. Andy dotąd zawsze był zdania, że skóra Jude'a jest zbyt delikatna na ten rodzaj terapii (na ranie umieszczało się sterylną piankę, nad którą przesuwała się ssawka wciągająca martwą i obumierającą tkankę w tę piankę jak w gąbkę), jednak w ostatnich latach Jude dobrze ją znosił, a okazała się skuteczniejsza niż samo mechaniczne oczyszczanie rany.

W miarę jak przybywało mu lat, te rany – częstotliwość ich występowania, głębokość, rozległość i dokuczliwość – powiększały się coraz bardziej. Dawno, ponad dwadzieścia lat temu, minęły dni, kiedy mógł przejść większą odległość z ranami na nogach. (Wspomnienie spaceru – jakkolwiek bolesnego – z Chinatown na Upper East Side, który odbył z raną na nodze, było teraz tak obce

i odległe, jakby wcale nie należało do niego, tylko do kogoś innego). Kiedy Jude był młodszy, gojenie się rany trwało kilka tygodni. Teraz trwało miesiące. Ze wszystkich rzeczy, które mu doskwierały, tą przejmował się najmniej, a jednak nie mógł przywyknąć do pojawiania się ran. I jak nie bał się krwi, tak widok ropy i gnicia, dowodów desperackiego wysiłku jego ciała zmierzającego do uzdrowienia się przez zabicie części siebie, wytrącał go z równowagi nawet po tylu latach.

Nie wykurował się, zanim Willem wrócił do domu na dobre. Miał teraz cztery rany na łydkach – jeszcze nigdy nie zrobiło mu się tyle naraz – i chociaż codziennie starał się trochę chodzić, czasami trudno było mu nawet stanąć, ale czujnie dozował wysiłek i zawsze oceniał, czy próbuje chodzić, bo zdaje mu się, że jest w stanie, czy też próbuje chodzić, żeby udowodnić sobie, że jeszcze jest do tego zdolny. Czuł, że stracił na wadze, czuł, że osłabł – nie mógł już pływać każdego ranka – ale upewnił się co do tego, gdy zobaczył minę Willema.

– Judy – powiedział cicho Willem i ukląkł przy nim na kanapie. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Ale przecież nie było nic do powiedzenia: on po prostu taki był. I pomijając nogi, plecy, stopy, czuł się dobrze. Czuł się – chociaż z wahaniem mówił to nawet sobie, bo brzmiało tak buńczucznie – zdrowy psychicznie. Znowu ciął się tylko raz na tydzień. Złapał się na tym, że pogwizduje, gdy ściąga wieczorem spodnie, żeby sprawdzić okolice bandaży i upewnić się, że nic się tam nie sączy. Ludzie przyzwyczajają się do najróżniejszych niespodzianek ze strony ciała i on nie był wyjątkiem. Jeżeli twoje ciało ma się dobrze, oczekujesz, że będzie ci służyło świetnie, niezawodnie. Jeżeli twoje ciało ma się źle, masz inne oczekiwania. W każdym razie starał się z tym pogodzić.

Wkrótce po swoim powrocie w końcu lipca Willem pozwolił mu zakończyć przeważnie milczącą znajomość z doktorem Loehmannem, ale tylko dlatego, że Jude naprawdę nie miał na nią czasu. Cztery godziny w tygodniu spędzał teraz u lekarzy – dwie u Andy'ego, dwie u Loehmanna – a potrzebował dwóch z tych czterech godzin na to, by dwa razy w tygodniu pojechać do szpitala, gdzie zdejmował spodnie, przerzucał krawat na plecy i był wsuwany do komory hiperbarycznej, szklanej trumny, w której leżał i pracował, mając nadzieję, że pompowany do komory tlen pod ciśnieniem przyspieszy gojenie ran. Miał poczucie winy z powodu miesięcy spędzonych u doktora Loehmanna, podczas których nie ujawnił prawie nic, tracąc czas, własny i doktora, na dziecinną ochronę swojej prywatności i starając się nic nie mówić. Ale jednym z tematów, na które rozmawiali, były jego nogi – nie powód ich degradacji, tylko zorganizowanie sposobu dbania o nie – a na ostatnim spotkaniu doktor Loehmann zapytał wprost, co będzie, jeżeli mu się nie polepszy.

– Zapewne amputacja – powiedział Jude, siląc się na nonszalancję, chociaż do nonszalancji było mu daleko, a niepewności nie było tu żadnej.

Wiedział, że równie pewne jak to, że umrze, jest to, że umrze bez nóg. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie stanie się to za szybko. Proszę – przemawiał czasem do swoich nóg, leżąc w szklanej komorze. – Proszę. Dajcie mi jeszcze parę lat. Dajcie mi jeszcze dekadę. Dajcie mi dożyć pięćdziesiątki, sześćdziesiątki. Będę się o was troszczył, obiecuję.

Nim przeszło lato, nowy rzut choroby i zabiegi stały się dla niego tak zwyczajne, że nie pomyślał nawet, jak mogą działać na Willema. W początkach sierpnia zastanawiali się, co urządzić (coś? nic?) na czterdzieste dziewiąte urodziny Willema; Willem chciał je obejść skromnie.

– No to urządzimy ci coś dużego za rok, na pięćdziesiątkę – zaproponował Jude. – Jeżeli dożyję, oczywiście.

Dopiero zdawszy sobie sprawę z milczenia Willema, spojrzał znad kuchenki i zobaczył jego minę: to uświadomiło mu błąd.

– Willem, przepraszam. – Zakręcił gaz i powoli, z trudem, podszedł do niego. – Przepraszam.

– Nie wolno ci tak żartować, Jude – powiedział Willem i objął go.

– Wiem. Wybacz mi. To było głupie. Oczywiście, że dożyję przyszłego roku.

– I wielu następnych lat.

– I wielu następnych lat.

Teraz jest wrzesień, on leży na stole zabiegowym u Andy'ego, jego rany są odsłonięte i nadal otwarte jak owoce granatu. Nocami leży z nimi w łóżku obok Willema. Często uświadamia sobie nieprawdopodobieństwo ich związku i często ma poczucie winy z powodu swojej niechęci do spełniania jednego z podstawowych obowiązków małżeńskich. Co pewien czas myśli sobie, że znowu spróbuje, ale gdy tylko chce to oznajmić Willemowi, coś powstrzymuje go i następna okazja mija. Jednak poczucie winy, chociaż wielkie, nie jest w stanie przeważyć ulgi i wdzięczności, że zatrzymał przy sobie Willema pomimo swojej niezdolności. To przecież cud, więc stara się na wszystkie możliwe sposoby okazywać mu wdzięczność.

Którejś nocy budzi się tak zlany potem, że prześcieradło pod nim jest jak przeciągnięte przez kałużę. Otumaniony wstaje, nim orientuje się, że nie może stać, i upada. Willem się budzi, biegnie po termometr i potem stoi nad nim, gdy on trzyma termometr pod językiem.

– Trzydzieści osiem i dziewięć – mówi po odczytaniu skali i kładzie rękę na jego czole. – Ale jesteś zimny jak lód. – Przygląda mu się z zatroskaniem. – Dzwonię do Andy'ego.

– Nie dzwoń – prosi Jude, bo pomimo gorączki, pomimo dreszczy, pomimo potu czuje się normalnie, nie czuje się chory. – Muszę tylko wziąć aspirynę.

Więc Willem idzie po aspirynę, daje mu suchą koszulę, prześciela łóżko i zasypiają ponownie; Willem otula go swoim ciałem.

Następnej nocy Jude znowu budzi się z gorączką i dreszczami, znowu spocony.

– Jakiś wirus krąży po biurze – mówi tym razem. – Czterdziestoośmiogodzinny. Musiałem go złapać.

Znowu zażywa aspirynę, która znowu pomaga; znowu zasypia.

Następnym dniem jest piątek, więc idzie do Andy'ego na oczyszczenie ran, ale o gorączce nie wspomina, ponieważ w dzień jej nie ma. Ten wieczór Willem spędza poza domem, na kolacji z Romanem, a Jude wcześnie kładzie się do łóżka, połyka przedtem parę aspiryn. Śpi tak głęboko, że nie słyszy powrotu Willema, a rano budzi się tak mokry, jakby wyszedł spod prysznica; kończyny ma odrętwiałe i drżące. Willem cicho pochrapuje obok niego, a Jude siada powoli, przeczesując palcami mokre włosy.

W sobotę czuje się dużo lepiej. Idzie do pracy. Willem jest umówiony na lunch z jakimś reżyserem. Przed wyjściem z biura wieczorem Jude pisze esemes do Willema, żeby zapytał Richarda i Indię, czy nie mają ochoty spotkać się na sushi na Upper East Side, w małej restauracyjce, do której chadza czasem z Andym po wizycie. Mają z Willemem dwa ulubione lokale sushi w pobliżu Greene Street, ale w obydwu są schody, więc nie byli tam od miesięcy – schody są dla niego za trudne. W trakcie kolacji ma apetyt i chociaż w połowie posiłku dopada go zmęczenie, dobrze się bawi i jest wdzięczny za ten mały, ciepły lokalik z żółtymi lampami i drewnianą podstawką, na której leżą języczki sashimi z makreli – przysmak Willema. W pewnym momencie opiera się o Willema ze zmęczenia i w przypływie czułości, ale nawet tego nie zauważa, dopóki Willem nie porusza ramieniem, by go objąć.

W nocy budzi się zdezorientowany i widzi, że na łóżku przy nim siedzi Harold, wpatrując się w niego intensywnie.

– Haroldzie – mówi – co tu robisz?

Harold nie odpowiada, tylko rzuca się na niego, a on uprzytamnia sobie z obrzydzeniem, że Harold próbuje zedrzeć z niego ubranie. Nie. Tylko nie Harold. To niemożliwe. I oto spełnia się jeden z jego najskrytszych, najpaskudniejszych lęków. Lecz zaraz budzi się w nim dawny instynkt: Harold jest kolejnym klientem, on go odepchnie. Krzyczy, wije się, macha ramionami i o ile może, nogami, usiłując onieśmielić, zawstydzić tego milczącego, zawziętego Harolda. Woła na pomoc brata Luke'a.

I nagle Harold znika, a jego miejsce zajmuje Willem, który przybliża twarz do jego twarzy i mówi coś, czego on nie rozumie. Lecz zza głowy Willema znowu ukazuje się Harold z tą obcą, ponurą miną, więc Jude na nowo podejmuje walkę. Nad głową słyszy słowa, słyszy, że Willem z kimś rozmawia, czuje, choć sam jest przerażony, strach Willema.

– Willem! – krzyczy. – On chce mi zrobić krzywdę; nie pozwól mu, Willem! Ratuj mnie. Ratuj mnie. Ratuj mnie… proszę.

Potem nic – upływ czarnego czasu – a kiedy znów się budzi, jest w szpitalu.

– Willem! – woła na cały pokój i ten natychmiast zjawia się przy nim, siada na skraju łóżka i bierze go za rękę, z której wyrasta jakaś wężowata rurka. Z drugiej ręki tak samo.

– Ostrożnie – mówi mu Willem. – To kroplówki.

Przez chwilę milczą, Willem głaszcze go po czole.

– On mnie atakował – wyznaje w końcu Jude, jąkając się. – Nigdy nie przypuszczałem, że Harold mi to zrobi, nigdy.

Widzi, że Willem sztywnieje.

– Nie, Jude – mówi. – Harolda tam nie było. Miałeś majaki w gorączce; to były tylko majaki.

Słysząc to, Jude doznaje ulgi i przerażenia. Ulgi, że to nieprawda, przerażenia, że zdawało się tak realne, tak namacalne. Jest przerażony tym, co to mówi o nim, o jego umyśle i jego lękach; jak mógł wyobrazić sobie coś takiego o Haroldzie? Jak okrutny musi być jego umysł, żeby nakłaniać go do zwrócenia się przeciwko komuś, komu tak strasznie chciał zawsze ufać, przeciwko komuś, kto zawsze okazywał mu tylko dobroć? Czuje łzy w oczach, ale musi spytać Willema:

– On by mi tego nie zrobił, prawda, Willem?

– Nie – mówi Willem, a głos ma zdławiony. – Nigdy, Jude. Harold nigdy, przenigdy by ci tego nie zrobił, za nic na świecie.

Kiedy się znowu budzi, uświadamia sobie, że nie wie, jaki jest dzień, a dowiedziawszy się od Willema, że to poniedziałek, wpada w panikę.

– Praca – mówi – muszę iść do pracy.

– Nie ma mowy – odpowiada Willem stanowczo. – Dzwoniłem do nich, Jude. Nigdzie nie pójdziesz, dopóki Andy nie orzeknie, co się z tobą dzieje.

Harold i Julia zjawiają się nieco później, a on zmusza się do odwzajemnienia uścisku Harolda, chociaż nie jest w stanie spojrzeć mu w oczy. Ponad jego ramieniem widzi Willema, który uspokajająco kiwa głową.

Są wszyscy razem, kiedy wchodzi Andy.

– Zapalenie szpiku – informuje cicho. – Infekcja kości.

Andy wyjaśnia, co go teraz czeka. Jude będzie musiał poleżeć w szpitalu co najmniej tydzień („Tydzień!”, woła on, ale cała czwórka zakrzykuje jego dalsze protesty), a może dwa tygodnie, dopóki lekarze nie opanują gorączki. Antybiotyki podawane będą dożylnie, ale pozostałe dziesięć, jedenaście tygodni kuracji będzie miało charakter ambulatoryjny. Codziennie przyjdzie do niego pielęgniarka,

aby podłączyć kroplówkę: zabieg będzie trwał godzinę i nie wolno mu opuścić ani jednego. Kiedy Jude znów zaczyna protestować, Andy go powstrzymuje.

– Jude – mówi. – To poważna sprawa. Mówię serio. Gówno mnie obchodzi Rosen, Pritchard. Jak chcesz zachować nogi, to rób, co ci każę, rozumiesz?

Pozostali milczą.

– Tak – odpowiada w końcu.

Pielęgniarka przychodzi go przygotować, żeby Andy mógł podłączyć centralny cewnik dożylny, który zostanie wprowadzony do żyły podobojczykowej, tuż pod prawym obojczykiem.

– Do tej żyły jest trudny dostęp, ponieważ jest głęboko – tłumaczy pielęgniarka, obciągając wycięcie koszuli i dezynfekując kwadrat skóry. – Ale ma pan szczęście, że leczy pana doktor Contractor. On świetnie operuje igłami; nigdy nie chybia.

Jude się nie martwi, ale wie, że Willem tak, więc bierze go za rękę, gdy Andy przekłuwa jego skórę zimną igłą, a następnie wprowadza do żyły odcinek rurki.

– Nie patrz – mówi Jude do Willema. – Jest okej.

Więc Willem wpatruje się w jego twarz, która ani drgnie. Andy kończy, przykleja cienką rurkę cewnika plastrem do jego piersi.

Jude śpi. Myślał, że da radę pracować w szpitalu, ale jest bardziej wycieńczony, niż przypuszczał, bardziej otumaniony, tak że po rozmowach przez telefon z prezesami poszczególnych komisji i z paroma kolegami nie ma już siły na nic.

Harold i Julia żegnają się – mają zajęcia ze studentami i dyżury – ale zapewniają go, że poza Richardem i paroma osobami z jego pracy nie powiedzieli nikomu, że jest w szpitalu; nie poleży tu długo, a Willem zdecydował, że sen jest mu znacznie bardziej potrzebny niż odwiedziny. Jude nadal gorączkuje, ale już mniej; majaki się nie powtórzyły. To dziwne, zważywszy, co się dzieje, ale czuje jeśli nie optymizm, to przynajmniej spokój. Otaczają go osoby konkretne i tak poważne, że ma ochotę jakoś im się przeciwstawić, zaprzeczyć powadze sytuacji, w której się znajduje, co mu wciąż powtarzają.

Nie pamięta, kiedy zaczęli nazywać szpital hotelem Contractor na cześć Andy'ego, ale zdaje mu się, że od zawsze go tak nazywają. „Uważaj", mówił do niego Willem, jeszcze na Lispenard Street, gdy Jude ciął tasakiem, z zapałem godnym zastępcy szefa kuchni w Ortolanie, kawałek mięsa z kością podwędzony przez Willema, gdy schodził ze zmiany. „To jest cholernie ostry tasak, jak utniesz sobie palec, będziemy musieli jechać do hotelu Contractor". A kiedyś, gdy Jude leżał w szpitalu z powodu infekcji skórnej, wysłał Willemowi (który wyjechał gdzieś na zdjęcia) esemes z wiadomością: „W hotelu Contractor. Nic wielkiego, ale nie chcę, żebyś się dowiedział od M albo JB". Teraz jednak,

kiedy próbuje żartować z hotelu Contractor, skarżąc się na jakość hotelowych posiłków i napojów oraz marny gatunek pościeli, Willem nie podchwytuje dowcipu.

– To nie jest śmieszne, Jude – strofuje go w piątek wieczorem, gdy czekają na Harolda i Julię, którzy mają przynieść kolację. – Wolałbym, żebyś przestał się wygłupiać.

Jude milknie i patrzą sobie w oczy.

– Tak strasznie się bałem – mówi cicho Willem. – Byłeś taki chory, że nie wiedziałem, co się stanie, i bałem się.

– Willem – odpowiada on łagodnie – ja to wiem. Jestem ci bardzo wdzięczny. – I zanim Willem zdąży mu powiedzieć, że wdzięczność jest zbyteczna, dodaje pospiesznie, bo koniecznie chce go przekonać, że bierze sytuację poważnie: – Będę słuchał Andy'ego, obiecuję. Zapewniam cię, że traktuję sprawę poważnie. I zapewniam, że nic mnie nie boli. Czuję się dobrze, wszystko będzie dobrze.

Po dziesięciu dniach Andy jest zadowolony: gorączka została wyeliminowana. Jude zostaje wypisany i odesłany do domu na dwudniowe zwolnienie; do pracy wraca w piątek. Zawsze opierał się przed wynajęciem kierowcy – lubi prowadzić sam; lubi tę niezależność i odosobnienie – ale teraz asystentka Willema wynajęła kierowcę, drobnego, poważnego człowieczka, pana Ahmeda, więc Jude w drodze do pracy i z powrotem śpi w samochodzie. Pan Ahmed przywozi też jego pielęgniarkę, Patrizię, która rzadko się odzywa, lecz jest bardzo delikatna i przychodzi do niego do biura codziennie o pierwszej. Gabinet Jude'a jest ze szkła, z widokiem na całe piętro, więc Jude spuszcza żaluzje, zdejmuje marynarkę, krawat i koszulę i kładzie się na kanapie w podkoszulku, przykrywając się kocem, a Patrizia dezynfekuje cewnik i sprawdza skórę dookoła pod kątem ewentualnej infekcji – czy nie ma obrzęku albo zaczerwienienia – po czym włącza kroplówkę, czeka, aż lekarstwo spłynie do rurki, i wsuwa cewnik w żyłę. W trakcie czekania on pracuje, a ona czyta pismo dla pielęgniarek albo dzierga na drutach. Wkrótce i to staje się normalne: co piątek Jude odwiedza Andy'ego, który usuwa zmartwiałą tkankę z ran, potem go bada, a po wizycie wysyła go do szpitala na prześwietlenie, żeby śledzić infekcję i mieć pewność, że się nie rozszerza.

Nie mogą wyjeżdżać w weekendy, bo Jude musi mieć zabiegi, ale na początku października, po czterech tygodniach antybiotykoterapii, Andy oznajmia, że rozmawiał z Willemem i jeśli Jude nie ma nic przeciwko temu, to przyjedzie do nich z Jane do Garrison na najbliższy weekend i sam zaaplikuje Jude'owi kroplówkę.

Cudownie i niezwykle jest być poza miastem, z powrotem w ich domu, gdzie wszyscy czworo cieszą się swoim towarzystwem. Jude czuje się na tyle dobrze, że oprowadza Andy'ego skróconą trasą po posesji, którą ten odwiedzał dotąd tylko wiosną i latem, podczas gdy jesienią jest ona całkiem inna:

surowa, melancholijna, śliczna, a dach stodoły obsypany opadłymi liśćmi miłorzębu wygląda jak kryty złotem.

Przy kolacji w sobotę Andy pyta Jude'a:

– Wiesz, że znamy się od trzydziestu lat, prawda?

– Wiem – odpowiada z uśmiechem Jude.

Nawet kupił coś dla Andy'ego z okazji tej rocznicy – wycieczkę safari w dowolnym terminie dla całej jego rodziny – ale jeszcze mu o tym nie powiedział.

– Trzydzieści lat nieposłuszeństwa – jęczy teatralnie Andy i wszyscy się śmieją. – Trzy dekady udzielania bezcennych porad zdrowotnych, płynących z lat doświadczenia i z nauki na najlepszych uczelniach, po to tylko, żeby je ignorował jakiś korporacyjny prawnik, który wbił sobie do głowy, że jego znajomość ludzkiej biologii przewyższa moją.

Kiedy już się pośmiali, Jane mówi:

– Ale wiesz, Andy, że gdyby nie Jude, nigdy bym za ciebie nie wyszła. – I zwracając się do Jude'a, dodaje: – Na akademii medycznej zawsze uważałam Andy'ego za rodzaj egotycznego worka do irygacji; taki był arogancki, taki niedojrzały, jakby miał pograniczne zaburzenie osobowości…

– Co takiego?! – Andy udaje oburzenie.

– …że byłam pewna, że zostanie jednym z tych typowych lekarzy, którzy nie zawsze mają rację, ale zawsze mają pewność. Ale potem usłyszałam, jak mówi o tobie, Jude, o tym, jak cię kocha i szanuje, i pomyślałam sobie, że chyba jest w nim coś więcej. I miałam rację.

– To prawda – mówi Jude, kiedy znów się zdrowo pośmiali. – Miałaś rację.

I wszyscy patrzą na Andy'ego, który z zażenowania nalewa sobie następny kieliszek wina.

Tydzień później Willem zaczyna próby do nowego filmu. Przed miesiącem, gdy Jude zachorował, wycofał się z tego projektu, który następnie zawieszono, w oczekiwaniu na niego, no i wreszcie wszystko się tak ustabilizowało, że mógł do niego wrócić. Jude nie rozumie, dlaczego Willem się w ogóle wycofywał (film to remake *Desperatów* i większość zdjęć kręcona jest po drugiej stronie rzeki, w Brooklyn Heights), i z ulgą przyjmuje jego powrót do pracy. Nareszcie Willem przestanie się nad nim trząść, robić zmartwioną minę i dopytywać się, czy Jude jest pewien, że ma dość siły na najprostsze, podstawowe czynności (wyjście do sklepu, przygotowanie posiłku, siedzenie do późna w biurze), na które ma chęć.

Na początku listopada Jude znowu trafia do szpitala z gorączką, ale tym razem trzymają go tam tylko dwie noce. Patrizia co tydzień pobiera mu krew, a Andy go uprzedził, że musi być cierpliwy: infekcje kości leczą się długo, a pełne wyzdrowienie przyjdzie pewnie dopiero po dwunastotygodniowym cyklu. Poza tym jednak wszystko idzie normalnie. Chodzi do pracy. Chodzi

na zabiegi w komorze hiperbarycznej. Chodzi na próżniowe oczyszczanie ran. Chodzi na chirurgiczne usuwanie martwej tkanki. Jednym ze skutków ubocznych antybiotyków jest biegunka, drugim mdłości. Jude traci na wadze w tempie, które nawet jemu wydaje się niepokojące: musi oddać do zwężenia osiem koszul i dwa garnitury. Andy przepisuje mu wysokokaloryczne napoje dla niedożywionych dzieci, które Jude pija pięć razy dziennie, a potem stara się spłukać wodą oblepiający język kredowy smak. Jude wie, że poza czasem spędzanym w pracy jest jak nigdy posłuszny zaleceniom Andy'ego, jego przestrogom i radom. Nadal próbuje nie myśleć, jak się może zakończyć ten epizod, próbuje się nie martwić, ale w ponurych, cichych chwilach odtwarza sobie w głowie to, co Andy powiedział po jednym z ostatnich badań: „Serce: idealne. Płuca: idealne. Wzrok, słuch, cholesterol, prostata, poziom cukru we krwi, ciśnienie, lipidy, praca nerek, praca wątroby, praca tarczycy: wszystko idealne. Twoje ciało jest świetnie wyposażone do ciężkiej pracy dla ciebie, Jude. Pamiętaj, żeby mu nie przeszkadzać". Wie, że to nie jest pełny obraz jego osoby – krążenie na przykład: niedoskonałe, odruchy: niedoskonałe, wszystko na południe od podbrzusza: kompromitujące, a jednak stara się czerpać pociechę z zapewnień Andy'ego, przypominać sobie, że mogło być gorzej, że w zasadzie jest nadal osobą zdrową, nadal osobą, która ma szczęście.

Późny listopad. Willem kończy *Desperatów*. Święto Dziękczynienia u Harolda i Julii na przedmieściu. Chociaż oboje odwiedzali go w mieście co drugi weekend, Jude czuje, jak bardzo starają się nie powiedzieć nic o jego wyglądzie, nie wytykać mu, jak mało je na kolację. Weekend Święta Dziękczynienia wyznacza jednocześnie ostatni tydzień jego kuracji antybiotykowej, którą po kolejnym badaniu krwi i prześwietleniu Andy pozwala mu zakończyć. Jude żegna się z Patrizią, ma nadzieję, że po raz ostatni, i daje jej upominek w podziękowaniu za opiekę.

Chociaż rany na nogach się skurczyły, to jednak nie tak znacznie, jak miał nadzieję Andy, z którego polecenia Jude i Willem zostają na Boże Narodzenie w Garrison. Obiecują Andy'emu, że spędzą święta spokojnie; zresztą i tak wszyscy wyjadą z miasta, więc będą tylko oni dwaj oraz Harold i Julia.

– Masz dwa zadania: spać i jeść – mówi Andy, który jedzie na święta do Becketta, do San Francisco. – W pierwszy piątek stycznia chcę zobaczyć, że ważysz pięć funtów więcej.

– Pięć funtów to strasznie dużo – mówi Jude.

– Pięć – powtarza Andy. – A potem, w dalszej perspektywie, jeszcze piętnaście.

W dzień Bożego Narodzenia, dokładnie rok od dnia, gdy wędrowali z Willemem grzbietem niskich falistych gór w Punak'a i mijali królewski domek myśliwski, prostą drewnianą konstrukcję, która wyglądała, jakby schronili się w niej pielgrzymi z *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera, a nie rodzina królewska, Jude mówi Haroldowi, że chce iść na spacer. Julia i Willem wybrali się na konną jazdę do pobliskiej stadniny ich znajomego, a on czuje się silny, jak już dawno się nie czuł.

– No, nie wiem, Jude – waha się Harold.

– Daj spokój, Haroldzie. Tylko do pierwszej ławki. – Malcolm umieścił trzy ławki wzdłuż ścieżki, którą wykarczował w lesie; pierwsza ławka stoi mniej więcej w jednej trzeciej drogi wokół jeziora, druga w połowie, a trzecia w dwóch trzecich. – Pójdziemy powoli i wezmę laskę.

Minęły lata, odkąd musiał używać laski – był wtedy nastolatkiem – ale teraz potrzebuje jej przy pokonywaniu każdego odcinka powyżej pięćdziesięciu metrów. W końcu Harold się zgadza, więc Jude szybko łapie szalik i kurtkę, zanim Harold się rozmyśli.

Gdy wychodzą na dwór, jego euforia narasta. Uwielbia ten dom: jego wygląd, jego ciszę, a przede wszystkim to, że należy do niego i Willema; najdalej jak można od Lispenard Street, a przecież tak samo ich wspólny jak tamto mieszkanie: coś, co razem stworzyli i razem mają. Dom, który stoi frontem do części lasu, jest zespołem szklanych kostek, a przed nim ciągnie się długi podjazd przecinający las, tak że chwilami jest fragmentarycznie widoczny, a chwilami całkiem znika. Nocą, gdy dom jest oświetlony, jarzy się jak latarnia i tak go właśnie nazwał Malcolm w swojej monografii: Dom Latarnia. Tylne okna wychodzą na rozległy trawnik, który dochodzi do jeziora. Na skraju trawnika wykopany został basen, wyłożony płytkami łupku, tak że woda jest w nim zimna i czysta nawet w najbardziej upalne dni, w stodole zaś jest basen kryty i salon. Każdą ze ścian stodoły można podnieść i odłączyć od budynku, otwierając całe jego wnętrze na piwonie drzewiaste i krzaki bzu, które kwitną wczesną wiosną, albo kiście glicynii, które zwieszają się z dachu w początkach lata. Na prawo od domu rozciąga się łąka, czerwieniejąca od maków w lipcu; na lewo jest druga łąka, którą obsiali z Willemem tysiącami nasion polnych kwiatów: koniczyny, stokrotek, naparstnicy i marchwi. W pewien weekend, wkrótce przed wprowadzeniem się tam, spędzili dwa dni na łażeniu po lesie przed i za domem, by sadzić konwalie przy omszałych wypukłościach pod dębami i wiązami i miętę wszędzie wokół. Wiedzieli, że Malcolm nie popiera ich form kształtowania krajobrazu – uważał je za sentymentalne i tandetne – ale choć podejrzewali, że ma rację, nie przejmowali się tym. Wiosną i latem, gdy powietrze pachniało, myśleli często o Lispenard Street z jej agresywną brzydotą i o tym, że wówczas nie starczyłoby im nawet wyobraźni do wymyślenia takiego miejsca, gdzie piękno jest tak nieskomplikowane, tak niezaprzeczalne, że chwilami zakrawa na iluzję.

Jude i Harold wyruszają w stronę lasu, gdzie prymitywny chodnik ułatwia Jude'owi chodzenie – w początkach budowy było dużo gorzej. Mimo to musi się bardzo koncentrować, bo ścieżkę oczyszcza się tylko raz w sezonie, a w pozostałych miesiącach zarastają ją samosiejki i pędy paproci, zaścielają gałązki i wszystko, co spada z drzew.

Nie pokonali jeszcze połowy drogi do pierwszej ławki, kiedy Jude orientuje się, że popełnił błąd. Nogi zaczęły go boleć, już kiedy zeszli z trawnika, a teraz pulsują także stopy, sprawiając, że każdy

krok staje się katorgą. Ale nic nie mówi, tylko chwyta mocniej laskę, usiłując przemieścić źródło dyskomfortu, i prze dalej, zaciskając zęby i zwierając szczęki. Gdy dochodzą do ławki, która jest po prostu blokiem szarego piaskowca, kręci mu się w głowie, więc siedzą tam długo, rozmawiając i patrząc na jezioro, srebrnawe w chłodnym powietrzu.

– Zimno – mówi w końcu Harold i ma rację; Jude czuje przez spodnie chłód kamienia. – Powinniśmy wracać do domu.

– Okej. – Przełyka, wstaje i natychmiast czuje gorący słup bólu strzelający od nóg; krzywi się boleśnie, ale Harold tego nie zauważa. – Muszę… – zaczyna. – Muszę… – Ale nie może skończyć.

– Jude – mówi Harold i widać, że jest zaniepokojony. Bierze jego lewą rękę, zarzuca ją sobie na barki i przytrzymuje dłoń. – Oprzyj się na mnie całym ciężarem – prosi, obejmując Jude'a w pasie, a Jude kiwa głową. – Gotowy?

Jude znów kiwa głową.

Udaje mu się przejść dwadzieścia kroków – bardzo powolnych kroków, stopy plączą mu się w poszyciu – a potem koniec.

– Nie mogę, Harold – mówi, chociaż z trudem wydobywa słowa.

Ból jest straszny, niepodobny do tego, który zna od dawna. To ból z czasów szpitala w Filadelfii; czuje go w nogach, w plecach, w stopach, i puszcza Harolda, i upada na ziemię.

– O boże, Jude – szepcze Harold, pochylając się nad nim i pomagając mu usiąść pod drzewem, a on myśli, jaki jest głupi i samolubny.

Harold ma siedemdziesiąt dwa lata. Nie powinno się prosić siedemdziesięciodwulatka, nawet imponująco zdrowego siedemdziesięciodwulatka, o pomoc fizyczną. Nie może otworzyć oczu, bo świat wiruje, ale słyszy, że Harold wyciąga telefon i próbuje dodzwonić się do Willema, ale las jest tak gęsty, że połączenie szwankuje; Harold klnie.

– Jude – słyszy jego głos, ale bardzo niewyraźnie. – Muszę wrócić do domu po wózek. Bardzo cię przepraszam. Za chwilę wrócę.

On kiwa głową, ledwo ledwo, i czuje, że Harold zapina mu guziki kurtki, wsuwa mu ręce do kieszeni, owija czymś jego nogi – tym czymś, uświadamia sobie, jest kurtka Harolda.

– Zaraz wracam – obiecuje Harold. – Zaraz wracam.

Słyszy, że Harold oddala się biegiem, trzaskają gałązki i szeleszczą liście pod jego stopami.

Odwraca głowę w bok i ziemia pod nim się przechyla, niebezpiecznie się przechyla, więc wymiotuje, wyrzucając z siebie wszystko, co zjadł tego dnia, czuje, jak wymiociny spływają mu po ustach i po policzku. Czuje się po tym nieco lepiej i znów opiera głowę o pień drzewa. Przypomina mu się tamten las, przez który uciekał z domu dziecka: miał wtedy nadzieję, że drzewa go obronią,

i teraz też ma taką nadzieję. Wyjmuje rękę z kieszeni, maca za laską i z całej siły zaciska na niej dłoń. Pod powiekami drobinki światła wybuchają w rój konfetti, a potem rozpływają się w oleistych smugach. Skupia się na odgłosie swojego oddechu i na nogach, które wyobraża sobie jako dwie grube kłody drewna, w które powkręcano dziesiątki długich stalowych śrub grubości kciuka. Wyobraża sobie wykręcanie tych śrub: każda wyłazi z niego po chwili i ląduje z brzękiem na betonowej podłodze. Jude znowu wymiotuje. Jest mu zimno. Czuje, że łapie go skurcz.

I nagle słyszy, że ktoś do niego biegnie, i czuje zapach Willema – słodką woń drzewa sandałowego – zanim usłyszy jego głos. Willem podnosi go z ziemi, a wtedy jemu znów wszystko się kołysze i myśli, że zaraz zwymiotuje, ale nie wymiotuje, więc zarzuca prawą rękę na szyję Willema, wciska zarzyganą twarz w jego ramię i pozwala się nieść. Słyszy, jak Willem sapie – on waży mniej niż Willem, ale są tego samego wzrostu, więc Jude wie, jaki musi być nieporęczny. Jego laska, którą nadal zaciska w garści, obija się o biodro Willema; jego łydki uderzają o brzuch Willema – i z uczuciem wdzięczności daje się posadzić na wózku. Nad sobą słyszy głosy Willema i Harolda. Pochyla się, opierając czoło o kolana, i zostaje wywieziony z lasu, a potem pod górkę do domu, a w domu zaraz kładą go do łóżka. Ktoś zdejmuje mu buty, on krzyczy, ktoś go przeprasza, ktoś wyciera mu twarz, ktoś układa jego dłonie na termoforze, ktoś owija jego nogi pledami. Nad sobą słyszy gniewny głos Willema – „Dlaczego, kurwa, się na to zgodziłeś? Przecież wiesz, że on, kurwa, nie jest w stanie!" – i przepraszające, żałosne odpowiedzi Harolda: „Wiem, Willem. Bardzo przepraszam. To było kretyństwo. Ale on tak bardzo chciał iść". Jude próbuje się odezwać, chce bronić Harolda, chce powiedzieć Willemowi, że to była jego wina, że to on zmusił Harolda do pójścia na spacer, ale nie może.

– Otwórz usta – mówi Willem i Jude czuje na języku pigułkę gorzką jak metal. Czuje, że przysuwają mu do ust szklankę wody. – Połknij – nakazuje Willem i on posłusznie połyka, a po krótkiej chwili świat przestaje istnieć.

Kiedy się budzi, odwraca głowę i widzi w łóżku Willema, który na niego patrzy.

– Bardzo przepraszam – szepcze, ale Willem nic nie mówi. On sięga ręką i mierzwi Willemowi włosy. – To nie była wina Harolda. Ja go do tego zmusiłem.

Willem prycha gniewnie.

– Oczywiście – mówi. – Ale on i tak nie powinien był się zgodzić.

Milczą przez dłuższy czas; on myśli o tym, co musi powiedzieć, o czym wie od dawna, ale nigdy tego nie wyartykułował.

– Wiem, że to ci zabrzmi nielogicznie – mówi do Willema, który patrzy mu w oczy – ale chociaż to już tyle lat, ja nie umiem myśleć o sobie jako o kalece. To znaczy… wiem, że jestem kaleką. Wiem,

że nim jestem. Jestem kaleką dwa razy dłużej, niż nim nie byłem. Ty nie znasz mnie innego niż jako kogoś, kto… kto potrzebuje pomocy. Ale ja pamiętam siebie z czasów, gdy mogłem chodzić, gdzie chciałem, gdy mogłem biegać. Myślę, że każdy człowiek, którego dotyka kalectwo, czuje, że został z czegoś okradziony. Ale ja chyba zawsze czułem, że gdybym się przyznał do kalectwa, uległbym doktorowi Traylorowi, pozwoliłbym, żeby nadał kształt mojemu życiu. Więc udaję, że nie jestem kaleką, udaję, że jestem tym, kim byłem, zanim go spotkałem. I wiem, że to nie jest logiczne ani praktyczne. Ale przede wszystkim przepraszam, bo wiem… bo wiem, że to jest samolubne. Wiem, że moje udawanie ma konsekwencje dla ciebie. Dlatego… przestanę. – Bierze oddech, zamyka i otwiera oczy. – Jestem kaleką – mówi. – Jestem niepełnosprawny.

I choć to głupie – w końcu ma czterdzieści siedem lat i miał trzydzieści dwa lata, żeby się do tego przed sobą przyznać – czuje się bliski płaczu.

– Och, Jude – mówi Willem i przyciąga go do siebie. – Wiem, że jest ci przykro. Wiem, że jest ci trudno. Rozumiem, dlaczego nigdy nie chciałeś tego przyznać, naprawdę rozumiem. Ale ja się tylko o ciebie martwię; czasami myślę, że bardziej dbam o to, żebyś był żywy, niż ty sam.

On wzdryga się, słysząc te słowa.

– Nie, Willem – protestuje. – To znaczy… może kiedyś. Ale nie teraz.

– Więc mi to udowodnij – mówi Willem po chwili ciszy.

– Dobrze.

Styczeń; luty. Jest zapracowany jak jeszcze nigdy. Willem ma próby do sztuki. Marzec: otwierają się dwie nowe rany, obie na prawej nodze. Teraz już ból jest druzgocący; teraz już Jude prawie nie wstaje z wózka, tylko pod prysznic, do łazienki i przy ubieraniu. Minął już rok, więcej niż rok, odkąd nie zaznał ulgi w bólu w stopach. A jednak każdego ranka po obudzeniu się spuszcza je na podłogę i przez sekundę ma nadzieję. Może dzisiaj poczuje się lepiej. Może dzisiaj ból zelżeje. Ale nadzieja nigdy się nie spełnia. Mimo to Jude jej nie porzuca. Kwiecień: jego urodziny. Sztuka Willema otwiera sezon. Maj: wracają nocne poty, gorączka, dreszcze, drgawki, delirium. Jude wraca do hotelu Contractor. Znowu cewnik, tym razem wszczepiony pod lewy obojczyk. Ale tym razem jest zmiana: tym razem to inna bakteria; tym razem będzie musiał przyjmować kroplówkę co osiem godzin, a nie co dwadzieścia cztery. Wraca Patrizia, teraz dwa razy dziennie – o szóstej rano na Greene Street, o drugiej po południu do Rosena, Pritcharda – a o dziesiątej wieczór na Greene Street przychodzi pielęgniarka nocna, Yasmin. Po raz pierwszy, odkąd się przyjaźnią, Jude ogląda tylko jeden spektakl sztuki Willema. Jego dni są tak posegmentowane, tak sterowane terapią, że po prostu nie daje rady pójść drugi raz. Po raz pierwszy od rozpoczęcia tego cyklu rok temu Jude czuje, że spada na łeb na szyję w rozpacz: czuje, że się poddaje. Musi sobie przypominać, że obiecał udowodnić Willemowi, że

chce pozostać przy życiu, chociaż tak naprawdę chciałby przestać. Nie dlatego, że ma depresję, tylko dlatego, że jest zmęczony. Pod koniec którejś wizyty Andy patrzy na niego z dziwną miną i mówi, że może Jude sobie tego nie uświadamia, ale minął miesiąc, odkąd ostatni raz się pociął. Zastanawia się nad tym. Andy ma rację. Był zanadto zmęczony, zanadto wyczerpany, żeby myśleć o cięciu się.

– Cóż – mówi Andy. – Jestem zadowolony. Przykro mi tylko, że przestałeś się ciąć z takiego powodu, Jude.

– Mnie też.

Milczą obaj, obaj – obawia się Jude – czują nostalgię za tamtymi dniami, kiedy jego największym problemem było cięcie się.

Już jest czerwiec, już lipiec. Rany na nogach – te stare, które ma od ponad roku, i te nowe, które ma od marca – nie zagoiły się. Nieco się tylko zmniejszyły. I wtedy, tuż po weekendzie Czwartego Lipca, tuż po zakończeniu sezonu przez Willema, Andy pyta, czy może przyjść z nimi porozmawiać. A ponieważ Jude wie, co Andy zamierza oznajmić, kłamie, że Willem jest zajęty, że Willem nie ma czasu, jakby przez odkładanie tej rozmowy mógł odłożyć także swoją przyszłość. Jednak wczesnym wieczorem którejś soboty wraca do domu z pracy i zastaje ich obu w mieszkaniu: czekają na niego.

Oznajmienie jest takie, jak się spodziewał. Andy doradza – usilnie doradza – amputację. Andy jest miły, bardzo miły, ale po tym, jak wyćwiczona jest jego mowa, jak jest formalna, Jude poznaje, że Andy się denerwuje.

– Zawsze wiedzieliśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie – mówi Andy – ale to wcale nie ułatwia nam sprawy. Jude, ty jeden wiesz, ile bólu, ile niedogodności jesteś w stanie znieść. Ja ci tego nie mogę powiedzieć. Mogę ci tylko powiedzieć, że wytrzymałeś dłużej, niż wytrzymałaby większość ludzi. Mogę ci tylko powiedzieć, że byłeś nadzwyczajnie dzielny (nie rób takiej miny: to prawda; jesteś dzielny), i mogę ci powiedzieć, że nie wyobrażam sobie twojego cierpienia. Ale pomijając te względy, nawet jeżeli masz dość hartu ducha, żeby ciągnąć to dalej, istnieją pewne fakty, które należy wziąć pod uwagę. Rany się nie goją. To, że miałeś w ciągu niespełna roku dwie infekcje kości, jest dla mnie wysoce niepokojące. Martwię się, że dostaniesz alergii na któryś z antybiotyków, a wówczas znajdziemy się w kropce. Ale nawet jeśli obejdzie się bez uczulenia, to nie tolerujesz leków tak dobrze, jak się spodziewałem: za dużo tracisz na wadze, o wiele za dużo, i za każdym razem widzę cię coraz słabszym. Tkanka twoich ud wydaje się na tyle zdrowa, że jestem prawie pewien, że zachowamy obydwa kolana. I przyrzekam ci, Jude, że po amputacji natychmiast poczujesz pozytywną zmianę. Nigdy nie miałeś ran na udach i nic nie wskazuje na to, by należało się ich obawiać. Dostępne obecnie protezy są nieskończenie doskonalsze niż te sprzed choćby dziesięciu lat, więc mówię ci szczerze, twój chód zapewne się poprawi, stanie się bardziej naturalny, niż jest teraz, gdy chodzisz na własnych

nogach. Operacja jest bardzo prosta i przeprowadzę ją sam. Leczenie pooperacyjne trwa krótko: niecały tydzień w szpitalu i natychmiast dostaniesz tymczasowe protezy.

Andy przestaje mówić, opiera dłonie na kolanach i patrzy na nich. Przez długą chwilę żaden się nie odzywa, a potem Willem zaczyna zadawać pytania, inteligentne pytania, takie, jakie należy w tej sytuacji zadawać: jak długo trwa rekonwalescencja poszpitalna? Na czym polega fizjoterapia? Jakie ryzyko wiąże się z operacją? On na wpół słucha odpowiedzi, które już mniej więcej zna, gdyż zrobił staranne rozeznanie pod kątem tych właśnie pytań, tego właśnie scenariusza siedemnaście lat temu, kiedy Andy po raz pierwszy zasugerował amputację.

W końcu jednak im przerywa.

– A co będzie, jeżeli nie wyrażę zgody? – pyta i widzi cień strachu na obu twarzach.

– Jeżeli nie wyrazisz zgody, będziemy kontynuować to, co robiliśmy dotychczas, z nadzieją, że to w końcu zadziała – odpowiada Andy. – Ale, Jude, zawsze lepiej jest poddać się amputacji, kiedy można samemu podjąć o niej decyzję, niż być do tego zmuszonym. – Robi pauzę. – Jeżeli wda się zakażenie krwi, jeżeli dostaniesz sepsy, wówczas będziemy musieli amputować i nie będę ci mógł zagwarantować, że zachowasz kolana. Nie będę mógł zagwarantować, że nie stracisz innej części ciała – palca, dłoni – jeżeli infekcja przeniesie się poza łydki.

– Przecież nawet teraz nie gwarantujesz, że zachowam kolana – mówi Jude potulnie. – Nie możesz zagwarantować, że nie dostanę sepsy w przyszłości.

– Nie – przyznaje Andy. – Ale tak jak już mówiłem, jestem zdania, że masz bardzo duże szanse na zachowanie kolan. Sądzę też, że jeśli usuniemy te partie ciała, które są tak silnie zainfekowane, zapobiegnie to chorobie w przyszłości.

Znowu wszyscy milkną.

– To wygląda na wybór, który nie jest wyborem – mamrocze Jude.

Andy wzdycha.

– Jak już mówiłem, Jude, to jest wybór. Twój wybór. Nie musisz go dokonać jutro ani nawet w tym tygodniu. Ale chciałbym, żebyś się nad nim poważnie zastanowił.

Andy wychodzi, on i Willem zostają sami.

– Czy musimy w tej chwili o tym rozmawiać? – pyta Jude, kiedy już może spojrzeć na Willema. Willem kręci głową.

Na zewnątrz niebo staje się różowe; zachód słońca będzie długi i piękny. Ale on nie chce piękna. Chce mu się nagle popływać, bo nie pływał od pierwszej infekcji kości. Nie robił nic. Nigdzie nie bywał. Swoich londyńskich klientów musiał przekazać koledze, bo kroplówka zatrzymała go w Nowym Jorku. Mięśnie mu zanikły, zostało miękkie ciało i kości; porusza się jak starzec.

– Idę do łóżka – oznajmia, a Willem przypomina cicho:

– Yasmin przychodzi za parę godzin.

Chce mu się płakać.

– No tak – mówi w podłogę. – W takim razie tylko się zdrzemnę. Obudzę się przed wizytą Yasmin.

Tej nocy, po wyjściu Yasmin, tnie się po raz pierwszy od długiego czasu; patrzy, jak krew ścieka na marmur i po marmurze kieruje się do odpływu. Wie, że jego chęć zachowania nóg jest z gruntu irracjonalna, bo te nogi przysparzają mu samych problemów i kosztowały nie wiedzieć ile godzin leczenia, ile pieniędzy, ile bólu. Ale jednak – to są jego nogi. To są jego nogi. Są nim. Jak może dobrowolnie uciąć sobie część siebie? Wie, że przez lata poucinał sobie sporo ciała: skóry, blizn. Ale z tym jest jakoś inaczej. Gdyby poświęcił nogi, przyznałby zwycięstwo doktorowi Traylorowi, poddałby mu się, poddałby się tamtej nocy na polu z samochodem.

Jest też inaczej w tym sensie, że kiedy straci nogi, nie będzie już mógł udawać. Nie będzie już mógł udawać, że kiedyś znowu będzie chodzić, że kiedyś wyzdrowieje. Nie będzie już mógł udawać, że nie jest kaleką. Znów stanie się dziwolągiem. Będzie kimś, kogo na zawsze określa się przez to, czego mu brakuje.

Poza tym jest zmęczony. Nie chce od nowa uczyć się chodzić. Nie chce odzyskiwać wagi, którą wie, że będzie tracił, wagi, o którą walczył od pierwszej infekcji kości, wagi, którą znów stracił przy drugiej infekcji. Nie chce wracać do szpitala, nie chce się budzić zdezorientowany i oczadziały, nie chce, żeby go nawiedzały nocne lęki, nie chce tłumaczyć kolegom, że znowu jest chory, nie chce długich miesięcy osłabienia, walki o utrzymanie równowagi. Nie chce, żeby Willem oglądał go bez nóg, nie chce stawiać przed Willemem kolejnego wyzwania, kolejnej groteskowości do przezwyciężenia. Chce być normalny, zawsze chciał być tylko normalny, a jednak z każdym rokiem oddala się coraz bardziej od normalności. Wie, że błędem jest myślenie o umyśle i ciele jako dwóch odrębnych, rywalizujących istnieniach, ale nic nie może poradzić na to, że tak właśnie myśli. Nie chce, żeby jego ciało wygrało jeszcze jedną bitwę, żeby za niego decydowało, żeby wpędzało go w skrajną bezradność. Nie chce być uzależniony od Willema, musieć go prosić o położenie do łóżka i podniesienie z łóżka, bo jego ręce będą bezużyteczne i jak z gumy, nie chce pomocy Willema w korzystaniu z łazienki, gdzie Willem oglądałby to, co zostało z jego nóg zaokrąglonych w kikuty. Zawsze zakładał, że przyjdzie jakieś ostrzeżenie przed tym momentem, że ciało postawi go w stan pogotowia, zanim rozchoruje się poważnie. Wie, owszem, że ostatnie półtora roku było właśnie tym ostrzeżeniem – przewlekłym, nieustannym, niemożliwym do zlekceważenia ostrzeżeniem – ale on w swojej arogancji i głupiej nadziei wolał nie widzieć, co to naprawdę jest. Wolał wierzyć, że

ponieważ zawsze dotąd zdrowiał, wyzdrowieje i tym razem, jeszcze jeden raz. Udzielił sobie przywileju zakładania, że jego szanse są nieograniczone.

Trzy noce później znowu budzi się z gorączką, znowu idzie do szpitala i znowu zostaje wypisany. Tym razem gorączkę wywołała infekcja w okolicy cewnika, który zostaje usunięty. Nowy cewnik wszczepiają mu w wewnętrzną żyłę szyjną i na szyi powstaje wybrzuszenie, którego nie zasłania nawet kołnierzyk koszuli.

Pierwszej nocy po powrocie ze szpitala mocuje się ze snami, otwiera oczy i widzi, że Willema nie ma w łóżku, więc przenosi ciało na wózek i wyjeżdża z pokoju.

Zauważa Willema, zanim Willem dostrzega jego: siedzi przy jadalnym stole, pod lampą, plecami do regałów, zapatrzony w przestrzeń pokoju. Przed nim stoi szklanka wody, jest podparty łokciem i opiera podbródek na dłoni. Jude patrzy na Willema i widzi, jaki jest zmęczony, jaki stary, jak pobielały jego jasne włosy. Zna Willema od tak dawna, patrzył w jego twarz tak wiele razy, że nie potrafi zobaczyć go na nowo: twarz Willema jest mu znana lepiej niż własna. Zna jej każdy wyraz. Wie, co znaczy każdy uśmiech. Kiedy ogląda go w wywiadach telewizyjnych, zawsze umie poznać, czy Willem uśmiecha się, bo jest naprawdę rozbawiony, czy tylko przez grzeczność. Wie, na których zębach Willem ma koronki i które zęby Kit kazał mu wyprostować, kiedy stało się jasne, że Willem będzie gwiazdą, że nie będzie grał tylko na scenie i w kinie niezależnym, że czeka go inna kariera, inny styl życia. Teraz jednak patrzy na Willema, na jego piękną, lecz zmęczoną twarz, zmęczoną tym rodzajem zmęczenia, o którym Jude zawsze myślał, że tylko on je odczuwa, i uświadamia sobie, że Willem też to czuje, że jego życie, życie Willema z nim, stało się kieratem, ciągiem chorób, wizyt w szpitalu i lęków, i już wie, co zrobi, co musi zrobić.

– Willem – mówi i patrzy, jak Willem wybija się z transu, żeby spojrzeć na niego.

– Jude! Co się stało? Źle się czujesz? Dlaczego wstałeś z łóżka?

– Zrobię to – oświadcza on i przychodzi mu do głowy, że są teraz jak dwaj aktorzy na scenie przemawiający do siebie z dużej odległości, więc podjeżdża bliżej do Willema. – Zrobię to – powtarza, a Willem kiwa głową; potem stykają się czołami i zaczynają płakać. – Przepraszam – mówi on, a Willem kręci głową, trąc swoim czołem o jego czoło.

– Ja przepraszam – odpowiada. – Przepraszam cię, Jude. Tak mi przykro.

– Wiem – mówi on. Bo wie.

Następnego dnia dzwoni do Andy'ego, który przyjmuje decyzję z ulgą, ale w sposób stonowany, jakby z szacunku do niego. Potem wszystko idzie błyskawicznie. Ustalają datę: pierwsza, którą Andy proponuje, to urodziny Willema, i chociaż zgodzili się już dawno, że uczczą jego pięćdziesiątkę, kiedy

Jude poczuje się lepiej, on nie chce mieć operacji właśnie tego dnia. Więc będzie ją miał pod koniec sierpnia, na tydzień przed Świętem Pracy, na które zawsze wyjeżdżali do Truro.

Na następnym posiedzeniu zarządu Jude wygłasza krótkie oświadczenie, że jest to operacja dobrowolna, że będzie nieobecny w biurze tylko przez tydzień, najwyżej dziesięć dni, że to nic wielkiego, że wszystko będzie dobrze. Potem oznajmia to swojemu wydziałowi; normalnie by tego nie zrobił, mówi, ale nie chce, żeby klienci się niepokoili, nie chce, żeby myśleli, że to coś poważniejszego, niż jest w istocie, nie chce być przedmiotem plotek i pokątnych szeptów (chociaż wie, że ich nie uniknie). Tak rzadko ujawnia cokolwiek o sobie w pracy, że gdy to robi, widzi, że ludzie prostują się na swoich miejscach i słuchają uważnie, widzi nieomal, jak podnoszą im się uszy. Poznał żony, mężów, dziewczyny i chłopaków ich wszystkich, ale oni nie poznali Willema. Nigdy nie zapraszał Willema na spotkania firmowe, na przyjęcia świąteczne, na doroczny piknik. „Nie spodobaliby ci się – przekonuje go, chociaż wie, że nie o to chodzi: Willem potrafi się dobrze bawić wszędzie. – Wierz mi". Na co Willem wzrusza ramionami. „Bardzo chętnie bym poszedł", mówi za każdym razem, ale on się nie zgadza. Zawsze wmawiał sobie, że chroni Willema przed nudą, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że odmowa zaproszenia może zaboleć Willema, który chciałby stanowić część jego życia poza Greene Street i kręgiem ich przyjaciół. Uświadamiając to sobie teraz, czerwieni się.

– Jakieś pytania? – Nie spodziewa się niczego takiego, tymczasem widzi, że jeden z młodszych pracowników, sztywny, ale przerażająco skuteczny młodzieniec nazwiskiem Gabe Freston podnosi rękę. – Freston?

– Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro, Jude – mówi Freston, a wszyscy wokół niego pomrukują na znak solidarności.

Jude pragnie wprowadzić lekką atmosferę, więc ma chęć zażartować – „Pierwszy raz słyszę u ciebie taką szczerość, Freston, odkąd w ubiegłym roku podałem ci wysokość premii" – jednak nie robi tego, bierze tylko głęboki oddech.

– Dziękuję ci, Gabe – mówi. – Dziękuję wam wszystkim. A teraz do roboty.

Rozchodzą się na swoje miejsca.

Operacja będzie w poniedziałek, więc w piątek Jude siedzi w pracy do późna, w sobotę już tam nie idzie. Po południu pakuje torbę do szpitala, a wieczorem wybierają się z Willemem na kolację do tej knajpki sushi, gdzie świętowali ostatnią wieczerzę. Sesje z Patrizią i Yasmin odbyły się w czwartek, a w sobotę rano dzwoni Andy, żeby mu powiedzieć, że dostał jego zdjęcia rentgenowskie i choć infekcja ani drgnęła, to także się nie rozprzestrzeniła.

– Po poniedziałku to już oczywiście nie będzie problem – mówi, a on przełyka z trudem, tak samo jak parę dni wcześniej, kiedy Andy powiedział: „Po następnym poniedziałku ta stopa już cię nie będzie

bolała". W tym momencie Jude przypomina sobie, że to nie problem zostanie wyeliminowany – wyeliminowane zostanie *źródło* problemu. To nie to samo, on jednak przypuszcza, że powinien być wdzięczny za to wyeliminowanie, niezależnie od metody.

Ostatni posiłek je w niedzielę o siódmej wieczorem; operacja wyznaczona jest na ósmą rano następnego dnia i do tego czasu nie wolno mu już jeść, brać leków ani pić.

Godzinę później zjeżdżają z Willemem windą na parter i idą na jego ostatni spacer na własnych nogach. Jude zmusił Willema, żeby mu obiecał ten spacer, ale jeszcze zanim wyruszyli – przejdą Greene Street na południe jedną przecznicę do Grand, potem skręcą na zachód i pokonają znowu jedną przecznicę do Wooster, potem Wooster cztery przecznice do Houston i z powrotem na wschód do Greene Street, którą kierując się na południe, dojdą do domu – nie jest pewien, czy dojdzie. Niebo nad nimi ma kolor siniaka i Jude'owi nagle przypomina się ta noc, gdy Caleb wypchnął go nagiego na ulicę.

Unosi lewą nogę i zaczyna. Idą cichą ulicą, a przy Grand, w którą skręcają w prawo, Jude bierze Willema za rękę, czego nigdy nie robił w miejscu publicznym, i ściska ją mocno. Znów skręcają w prawo i zaczynają posuwać się Wooster Street.

Tak strasznie chciał dokończyć tę rundkę, ale niemożność zrobienia tego (przy Spring, dwa bloki na południe od Houston, Willem zerka na niego i bez pytania zawraca na wschód, do Greene Street) perwersyjnie upewnia go, że podjął słuszną decyzję. Stanął oko w oko z nieuchronnym i podjął jedyną decyzję, jaką mógł podjąć, nie tylko dla Willema, ale też dla siebie. Spacer był niemal nie do zniesienia i gdy wracają do mieszkania, Jude ze zdumieniem odkrywa, że twarz ma mokrą od łez.

Następnego dnia rano Harold i Julia spotykają się z nimi w szpitalu, poszarzali i przerażeni. Jude widzi, że ze względu na niego próbują zachować spokój. Przytula i całuje ich oboje, zapewniając, że wszystko będzie dobrze, że nie ma się czym martwić. Wywożą go na przygotowanie do operacji. Od czasu incydentu z samochodem włosy na nogach zawsze rosły mu nierówno, wokół blizn i pomiędzy nimi, ale teraz zostaje gładko wygolony poniżej i powyżej rzepek kolanowych. Wchodzi Andy, ujmuje jego twarz w obie dłonie i całuje go w czoło. Potem bez słowa wyciąga marker i kreśli serię kresek przypominających sygnały Morse'a, w łukach parę cali pod oboma kolanami, po czym mówi Jude'owi, że za chwilę wróci, a tymczasem przyśle do niego Willema.

Willem wchodzi i siada na skraju jego łóżka; trzymają się za ręce w milczeniu. Jude już ma coś powiedzieć, jakiś głupi żarcik, gdy Willem zaczyna płakać, nawet nie tyle płakać, ile łkać, zginając się wpół i jęcząc. Jude nigdy jeszcze nie słyszał takiego szlochania.

– Willem – mówi z rozpaczą. – Willem, nie płacz, wszystko będzie dobrze. Czuję się dobrze. Nie płacz, Willem, nie płacz. – Siada na łóżku i obejmuje go. – Och, Willem – wzdycha, sam bliski łez. – Willem, wszystko będzie okej. Obiecuję ci.

Ale nie może go ukoić, Willem płacze i płacze.

Jude czuje, że Willem usiłuje coś powiedzieć, więc gładzi go po plecach, prosi, żeby powtórzył.

– Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie.

– Przyrzekam, że cię nie zostawię. Przyrzekam, Willem, to prosta operacja. Wiesz, że muszę przeżyć, żeby Andy mógł mi dalej głosić kazania.

W tej samej chwili wchodzi Andy.

– Gotowi, harcerze? – pyta i dopiero wtedy zauważa stan Willema. – O boże. – Podchodzi i przyłącza się do objęć. – Willem, obiecuję ci, że zajmę się nim, jakby był mój własny, zgoda? Przecież wiesz, że nie pozwolę, żeby mu się coś stało.

– Wiem – chlipie Willem. – Wiem, wiem.

Wreszcie udaje im się go uspokoić.

– Przepraszam – mówi Willem i ociera oczy, ale Jude kręci głową i ciągnie go za rękę, aż przyciąga jego twarz do swojej. Całuje go na do widzenia.

– Nie przepraszaj – szepcze.

Przed salą operacyjną Andy pochyla się nad nim i całuje go ponownie, tym razem w policzek.

– Potem już nie będę mógł cię dotknąć – mówi. – Będę sterylny. – Obaj się nagle uśmiechają, a Andy kręci głową. – Nie jesteś trochę za stary na ten typ szczeniackiego humoru?

– A ty? – odgryza się Jude. – Masz prawie sześćdziesiąt lat.

– Nigdy nie będę za stary.

Potem są w sali operacyjnej i Jude wpatruje się w rozjarzony dysk lampy nad sobą.

– Hej, Jude – mówi głos spoza kadru.

To anestezjolog, Ignatius Mba, który jest przyjacielem Andy'ego. Poznali się kiedyś u Andy'ego i Jane na przyjęciu.

– Hej, Ignatius – odpowiada Jude.

– Policz w tył od dziesięciu – mówi Ignatius, więc Jude zaczyna, ale po siedmiu już nie może dalej liczyć; ostatnie, co czuje, to łaskotanie w wielkim palcu prawej stopy.

Trzy miesiące później. Znowu jest Święto Dziękczynienia; obchodzą je na Greene Street. Willem i Richard wszystko ugotowali i urządzili, kiedy on spał. Rekonwalescencja przebiega trudniej i z większymi komplikacjami, niż się spodziewano; już dwa razy złapał infekcję. Przez pewien czas był karmiony przez sondę. Ale Andy miał rację – zachował oba kolana. W szpitalu, gdy się budził,

mówił Haroldowi i Julii albo Willemowi, że czuje się jak słoń, który siedzi na piętach i kołysze się na zadzie w tył i w przód, aż jego kości zmienią się w pył drobniejszy od popiołu. A oni nigdy mu nie mówili, że to sobie wyobraził, mówili mu tylko, że pielęgniarka z tego właśnie powodu dodała środek przeciwbólowy do kroplówki i że niedługo będzie lepiej. Teraz już coraz rzadziej miewa bóle fantomowe, które jednak całkiem nie znikły. I w dalszym ciągu jest zmęczony, osłabiony, więc Richard postawił dla niego u szczytu stołu pluszowy bordowy fotel na kółkach – na którym India czasem pozuje – żeby mógł w każdej chwili oprzeć głowę o uszy zagłówka.

Na kolacji są Richard i India, Harold i Julia, Malcolm i Sophie, JB z matką i Andy z Jane (ich dzieci pojechały do brata Andy'ego do San Francisco). Jude zaczyna wygłaszać toast, dziękując wszystkim za wszystko, co od nich otrzymał, ale zanim dojdzie do osoby, której najbardziej chce podziękować, do Willema, siedzącego po jego prawej stronie, stwierdza, że nie jest w stanie mówić dalej, więc podnosi oczy znad kartki i widzi, że wszyscy przyjaciele za chwilę się rozpłaczą, w związku z czym przerywa na tym mowę.

Kolacja mu smakuje, bawi go nawet to, że każdy podrzuca mu coś na talerz, chociaż nie zjadł jeszcze pierwszej porcji, ale jest taki śpiący, że w końcu mości się w fotelu i przymyka oczy, z uśmiechem słuchając znajomej rozmowy, znajomych głosów przy stole.

W końcu Willem zauważa, że Jude zasypia, a Jude słyszy, że Willem wstaje.

– Okej, czas na wielkie wyjście diwy. – Willem obraca fotel, po czym pcha go w stronę sypialni, Jude zaś resztką sił wyziera zza oparcia i uśmiecha się do przyjaciół, którzy się śmieją i śpiewają mu „do widzenia".

– Zostańcie jeszcze – woła z połowy drogi. – Zostańcie, proszę, i porozmawiajcie jak należy z Willemem. – Więc wszyscy postanawiają zostać, w końcu nie ma jeszcze nawet siódmej, mają przed sobą wiele godzin. – Kocham was! – woła do nich, oni zaś odpowiadają mu chórem, w którym jednak potrafi odróżnić każdy głos.

W drzwiach sypialni Willem bierze go na ręce – Jude tak dużo stracił na wadze i bez protez jest o tyle mniej bocianowaty, że nawet Julia potrafi go podnieść – i niesie do łóżka, pomaga mu się rozebrać, pomaga zdjąć tymczasowe protezy, opatula go kołdrą. Nalewa mu szklankę wody, podaje pigułki: antybiotyk i garść witamin. Jude połyka je wszystkie pod okiem Willema, a potem Willem przysiada na chwilę na łóżku, nie dotykając go, po prostu będąc blisko.

– Obiecaj mi, że pójdziesz do nich i będziesz się bawił do późna – mówi on, a Willem wzrusza ramionami.

– Może zostanę tutaj z tobą – odpowiada. – Zdaje się, że świetnie sobie radzą beze mnie.

I rzeczywiście: z jadalni dobiega wybuch śmiechu, więc Jude i Willem patrzą na siebie i uśmiechają się.

– Nie – nalega Jude. – Obiecaj mi.

I w końcu Willem obiecuje.

– Dziękuję ci, Willem – mówi on bez powodu, a oczy mu się zamykają. – To był dobry dzień.

– Prawda? – Słyszy głos Willema, który mówi coś więcej, ale Jude nie wie co, bo już śpi.

Tej nocy budzą go sny. Te sny to jeden ze skutków ubocznych antybiotyku, który zażywa, i tym razem są gorsze niż kiedykolwiek. Noc po nocy Jude śni. W snach znajduje się w pokojach motelowych, w domu doktora Traylora. Śni mu się, że ma piętnaście lat, że minionych trzydziestu trzech lat nie było. Śnią mu się poszczególni klienci, poszczególne zdarzenia, rzeczy, o których nie wiedział nawet, że je pamięta. Śni mu się, że zamienił się w brata Luke'a. Śni mu się raz po raz, że Harold jest doktorem Traylorem, a kiedy się budzi, jest mu wstyd, że przypisał Haroldowi coś takiego, choćby podświadomie, a jednocześnie drży z lęku, że ten sen może jednak być prawdą, więc musi sobie przypomnieć zapewnienie Willema: Nigdy, przenigdy, Jude. On by nigdy ci tego nie zrobił, za nic w świecie.

Niekiedy sny są tak wyraziste, tak realistyczne, że długie minuty, czasem godzinę, zabiera mu uwolnienie się od nich i przekonanie samego siebie, że życie na jawie to prawdziwe życie, jego prawdziwe życie. Czasami budzi się tak daleki od siebie, że nawet nie pamięta, kim jest.

– Gdzie jestem? – pyta desperacko. – Kim ja jestem? Kim ja jestem?

A wówczas słyszy, tak blisko ucha, jakby ten głos pochodził z jego własnej głowy, szeptaną inkantację Willema:

– Jesteś Jude St. Francis. Jesteś moim najstarszym, najlepszym przyjacielem. Jesteś synem Harolda Steina i Julii Altman. Jesteś przyjacielem Malcolma Irvine'a, Jeana-Baptiste'a Mariona, Richarda Goldfarba, Andy'ego Contractora, Luciena Voigta, Citizena van Straatena, Rhodesa Arrowsmitha, Elijaha Kozmy, Phaedry de los Santos, Henrych Youngów. Jesteś nowojorczykiem. Mieszkasz w SoHo. Jesteś wolontariuszem organizacji artystycznej; jesteś wolontariuszem kuchni dla bezdomnych. Jesteś pływakiem. Jesteś piekarzem. Jesteś kucharzem. Jesteś czytelnikiem. Masz piękny głos, chociaż już nie śpiewasz. Jesteś doskonałym pianistą. Jesteś kolekcjonerem sztuki. Piszesz do mnie piękne esemesy, kiedy wyjeżdżam. Jesteś cierpliwy. Jesteś hojny. Jesteś najlepszym słuchaczem, jakiego znam. Jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam, pod każdym względem. Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką znam, pod każdym względem. Jesteś prawnikiem. Jesteś prezesem kancelarii adwokackiej w firmie Rosen, Pritchard i Klein. Kochasz swoją pracę, nie oszczędzasz się

w niej. Jesteś matematykiem. Jesteś logikiem. Wielokrotnie próbowałeś nauczyć tego i mnie. Byłeś traktowany haniebnie. Przeżyłeś. Zawsze byłeś sobą.

Willem mówi tak i mówi, zaklinając go z powrotem w siebie, a jemu potem, za dnia – a nieraz wiele dni później – przypominają się urywki tego, co Willem mówił, i hołubi je troskliwie, zarówno ze względu na to, co zostało powiedziane, jak i ze względu na to, co powiedziane nie zostało, co nie stało się jego definicją.

Nocą jednak jest zbyt przerażony, zbyt zagubiony, aby się tym pocieszyć. Jego panika jest zbyt realna, zbyt wyczerpująca.

– A kim ty jesteś? – pyta, patrząc na człowieka, który go obejmuje, opisując kogoś, kogo on nie zna, kogoś, kto zdaje się mieć tak wiele, kogoś, komu tylu rzeczy można zazdrościć, kogoś, kto wydaje się osobą godną miłości. – Kim ty jesteś?

Ten człowiek zna odpowiedź i na to pytanie.

– Jestem Willem Ragnarsson – mówi. – I nigdy nie dam ci odejść.

– Wychodzę – mówi Willem, ale się nie rusza. Ważka lśniąca jak skarabeusz buczy ponad nimi. – Wychodzę – powtarza, ale dalej się nie rusza, i dopiero za trzecim razem, gdy to powie, uda mu się wreszcie podnieść z leżaka. Pijany upalnym powietrzem, wsuwa stopy w tenisówki.

– Limonki – mówi Jude, spoglądając na niego z dołu i osłaniając oczy przed słońcem.

– No tak – mówi on i nachyla się, zdejmuje Jude'owi okulary przeciwsłoneczne, całuje go w powieki i zakłada okulary na miejsce.

Lato, jak zawsze powtarzał JB, to pora Jude'a: jego skóra ciemnieje, włosy rozjaśniają się, przybierając prawie ten sam odcień co skóra i sprawiając, że oczy stają się nienaturalnie zielone, i Willem musi się hamować, żeby go zbyt często nie dotykać.

– Wracam za chwilę.

Ziewając, wspina się pod górkę do domu, wstawia swoją szklankę herbaty z częściowo roztopionym lodem do zlewu i po chrzęszczących kamykach schodzi podjazdem do samochodu. To jeden z tych letnich dni, kiedy powietrze jest tak gorące, tak suche, tak nieruchome, a słońce w górze tak białe, że człowiek nie tyle widzi swoje otoczenie, ile je słyszy, czuje i smakuje: podobne do kosiarki buczenie pszczół i szerszeni, subtelnie pieprzowy zapach słoneczników, dziwnie mineralny smak, który upał zostawia na języku, jakby ssało się kamyk. Upał jest rozkładający, ale nie dokuczliwy, tyle tylko że czyni ich sennymi i bezbronnymi: odrętwienie staje się nie tylko dopuszczalne, ale wręcz konieczne. Kiedy jest tak gorąco, wylegują się godzinami nad basenem, nie jedzą, piją tylko całe dzbanki mrożonej miętowej herbaty na śniadanie, litry lemoniady na lunch, butelki Aligoté na kolację,

i wszystkie okna oraz drzwi domu zostawiają otwarte, z włączonymi wentylatorami sufitowymi, żeby w nocy, kiedy wreszcie wszystko pozamykają, zatrzymać w potrzasku zapachy łąk i lasu.

Jest sobota przed Świętem Pracy, więc normalnie byliby w Truro, ale w tym roku wynajęli na całe lato dom dla Harolda i Julii pod Aix-en-Provence, a sami spędzają wakacje w Garrison. Harold i Julia przyjadą jutro – może z Laurence'em i Gillian, a może sami – za to dzisiaj Willem odbierze ze stacji Malcolma z Sophie i JB z Fredrikiem, z którym JB raz jest, raz nie jest w związku. Przez kilka miesięcy rzadko się widywali z przyjaciółmi. JB był przez pół roku na stypendium we Włoszech, a Malcolm z Sophie byli tak zajęci budową muzeum ceramiki w Szanghaju, że ostatnio widzieli się z nimi w kwietniu w Paryżu – Willem miał tam zdjęcia, a Jude dojechał z Londynu, gdzie akurat pracował; zjawił się także JB z Rzymu, a Malcolm i Sophie zatrzymali się tam na parę dni w drodze powrotnej do Nowego Jorku.

Prawie każdego lata Willem myśli: To jest najlepsze lato. Ale tym razem wie, że to lato jest naprawdę najlepsze. Nie tylko lato zresztą, także wiosna, zima, jesień. W miarę jak się starzeje, coraz częściej myśli o życiu jako ciągu retrospektyw, oceniając każdą mijającą porę roku jak rocznik wina, dzieląc przeżyte lata na epoki historyczne: Lata ambicji. Lata niepewności. Lata sławy. Lata rozczarowań. Lata nadziei.

Jude uśmiechnął się, kiedy Willem mu to powiedział.

– A w jakiej epoce żyjemy obecnie? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem – odparł Willem, też z uśmiechem. – Jeszcze nie wymyśliłem dla niej nazwy.

Obaj jednak są zgodni co do tego, że ostatecznie wyszli z lat niedoli. Dwa lata temu spędzali ten weekend – weekend Święta Pracy – w szpitalu na Upper East Side, z mdlącą nienawiścią gapiąc się przez okno na sanitariuszy, pielęgniarki i lekarzy w jadeitowozielonych uniformach, którzy gromadzili się przed budynkiem, aby jeść, palić i gadać przez telefon, jakby nic złego się nie działo, jakby nad nimi nie leżeli ludzie w różnych stadiach umierania, z Jude'em włącznie, który po śpiączce farmakologicznej, trawiony gorączką, otworzył w końcu oczy dzień po operacji.

– Będzie dobrze, Willem – bełkotał do niego Harold, który z reguły zamartwiał się jeszcze bardziej niż Willem. – On wydobrzeje. Andy tak powiedział.

Harold gadał tak i gadał, powtarzając wszystko, co usłyszał od Andy'ego, aż wreszcie Willem zgasił go brutalnie:

– Jezu, Harold, dajże spokój. Wierzysz we wszystko, co ci powie Andy? Czy on ci wygląda na kogoś, kto zdrowieje? Wygląda ci na kogoś, kto wydobrzeje? – I nagle widzi zmianę wyrazu twarzy Harolda, odczytuje z niej błagalną, żarliwą desperację: to jest twarz starca, który ma nadzieję. Tknięty wyrzutami sumienia, Willem obejmuje Harolda.

– Przepraszam cię, Haroldzie, przepraszam. Wybacz mi. Dupek ze mnie.

– Nieprawda, Willem. Ale nie wolno ci mówić, że on nie wyzdrowieje. Nie wolno ci tego mówić.

– Wiem. Oczywiście, że wyzdrowieje – zapewnia Willem głosem Harolda, stając się jego echem. – Oczywiście, że tak.

Ale w głębi duszy czuje owadzie chrobotanie lęku – oczywiście nie ma żadnego „oczywiście". Nigdy nie było. „Oczywiście" zniknęło osiemnaście miesięcy temu. „Oczywiście" opuściło ich życie na zawsze.

Od kiedy pamięta, był optymistą, a jednak w tamtych miesiącach optymizm go opuścił. Willem odwołał wszystkie projekty na resztę roku, ale gdy jesień ciągnęła się niemiłosiernie, pożałował tego; marzył o czymś, co pochłonęłoby jego uwagę. Pod koniec września Jude wyszedł ze szpitala, ale był taki chudy, taki kruchy, że Willem bał się go dotknąć, bał się nawet patrzeć na niego, bał się widoku jego sterczących kości policzkowych, które rzucały cień na usta, bał się widoku jego pulsu bijącego w zapadlinie u nasady szyi, jakby siedziało tam coś żywego, co próbuje wyrwać się na zewnątrz. Czuł, że Jude usiłuje go pocieszać, próbuje żartować, i to go jeszcze bardziej przerażało. Przy rzadkich okazjach, gdy wychodził z mieszkania – „Musisz, Willem, bo inaczej zwariujesz", mówił mu wprost Richard – kusiło go, żeby wyłączyć telefon, bo ilekroć telefon zaćwierkał i Willem widział, że to Richard (albo Malcolm, Harold, Julia, JB, Andy, Henry Youngowie, Rhodes, Elijah, India, Sophie, Lucien czy ktokolwiek, kto akurat siedział z Jude'em przez tę godzinkę, gdy on jak błędny wałęsał się po ulicach albo pracował na dole, albo, parę razy, usiłował uleżeć spokojnie pod masażem, albo wysiedzieć do końca lunchu z Romanem czy Miguelem), natychmiast mówił sobie: „Umarł!", i odczekiwał sekundę, drugą sekundę, zanim odebrał, żeby usłyszeć zwyczajny raport o stanie chorego: że zjadł posiłek. Że nie zjadł. Że śpi. Że chyba ma mdłości. Aż w końcu musiał im powiedzieć: „Nie dzwońcie do mnie, chyba że jest coś poważnego. Nie obchodzi mnie, że macie pytania i zadzwonić jest szybciej; macie pisać esemesy. Kiedy do mnie dzwonicie, myślę o najgorszym". Po raz pierwszy w życiu zrozumiał dogłębnie, co to znaczy, gdy ludzie mówią, że mieli serce w gardle, bo sam czuł nie tylko serce, ale wszystkie organy tłoczące się do gardła i próbujące wyleźć przez usta.

Ludzie zawsze mówili o procesie zdrowienia jako przewidywalnym i postępującym, niczym zdecydowana przekątna sięgająca od lewego dolnego rogu wykresu do prawego górnego. Ale leczenie Hemminga – które wcale nie zakończyło się wyleczeniem – wcale takie nie było, podobnie jak leczenie Jude'a. U nich ten proces był ciągiem wzniesień i rozpadlin, a w połowie października, po powrocie Jude'a do pracy (wciąż był przeraźliwie chudy i przeraźliwie słaby), zdarzyła się noc, kiedy obudził się z gorączką tak wysoką, że zaczął mieć drgawki, i Willem miał pewność, że to już teraz, że to koniec. Wówczas uświadomił sobie, że pomimo lęku nigdy się właściwie na to nie przygotował, że

nigdy nie pomyślał, co to właściwie znaczy, i chociaż z natury nie lubił się targować, to teraz targował się z kimś lub czymś, w co nawet nie wierzył. Obiecywał większą cierpliwość, większą wdzięczność, mniej przekleństw, mniej próżności, mniej seksu, mniej pobłażania sobie, mniej skarg, mniej egotyzmu, mniej lęku. Kiedy Jude przeżył, ulga Willema była tak totalna, tak druzgocąca, że sam zapadł na zdrowiu, więc Andy przepisał mu środek uspokajający i wysłał na weekend do Garrison w towarzystwie JB, przejmując do spółki z Richardem opiekę nad Jude'em. Willem zawsze uważał, że w przeciwieństwie do Jude'a potrafi przyjmować oferowaną sobie pomoc, ale umiejętność ta opuściła go w kluczowym momencie i był zadowolony i wdzięczny, gdy przyjaciele zadali sobie trud przypomnienia mu, że ją ma.

Do Święta Dziękczynienia sytuacja stała się jeśli nie dobra, to przynajmniej już nie zła, co dla nich oznaczało to samo. Ale dopiero z perspektywy czasu zdołali rozpoznać ten moment jako punkt zwrotny, jako okres, w którym zaczęły się pierwsze dni, a potem tygodnie, a potem już cały miesiąc bez pogorszenia, w którym odnowili zwyczaj codziennego chodzenia, nie z lękiem, ale z wizją celu, w którym mogli nareszcie ostrożnie rozmawiać o przyszłości i martwić się nie tym, jak przeżyć jeden dzień, lecz jak stawić czoła dniom, których jeszcze nie potrafili sobie wyobrazić. Dopiero wtedy mogli zacząć rozważać, co należy zrobić: dopiero wtedy, gdy Andy wytyczył poważne harmonogramy – harmonogramy na miesiąc, dwa miesiące, pół roku – określające, ile Jude powinien przybrać na wadze, kiedy otrzyma stałe protezy i kiedy ma zacząć stawiać pierwsze kroki, i kiedy Andy chce go widzieć chodzącego. Na nowo włączyli się w nurt życia, na nowo zaczęli przestrzegać kalendarza. W lutym Willem zaczął znów czytać scenariusze. W kwietniu, na swoje czterdzieste dziewiąte urodziny, Jude znowu chodził – powoli, niezbyt ładnie, ale chodził – i znowu wyglądał jak normalny człowiek. Na urodziny Willema w sierpniu, blisko rok po operacji, chód Jude'a stał się, jak przewidział Andy, zdecydowanie lepszy – płynniejszy, bardziej pewny – niż jego chód przed amputacją i Jude znów wyglądał lepiej niż normalny człowiek: wyglądał z powrotem jak Jude.

– Nie urządziliśmy jeszcze twojej wystrzałowej imprezy na pięćdziesiątkę – przypomniał Willemowi, kiedy siedzieli przy kolacji w dniu jego pięćdziesiątych pierwszych urodzin, przy urodzinowej kolacji przygotowanej przez Jude'a, który stał wiele godzin przy kuchni, nie okazując najmniejszego zmęczenia.

Willem się uśmiechnął.

– Niczego więcej nie pragnę – powiedział najzupełniej szczerze.

Głupio mu było porównywać własne doświadczenia minionych dołujących, brutalnych dwóch lat z doświadczeniem Jude'a, a jednak czuł się przez te dwa lata odmieniony. Było tak, jakby z jego rozpaczy wyrosło poczucie niezwyciężoności; czuł, że wszystko, co było w nim zbędne i miękkie,

zostało wypalone i pozostał nagi stalowy rdzeń, niezniszczalny, a przecież elastyczny, zdolny wytrzymać wszystko.

Urodziny Willema spędzili w Garrison, tylko we dwóch, a wieczorem po kolacji zeszli nad jezioro i Willem zdjął ubranie i wskoczył z pomostu do wody, która pachniała i wyglądała jak wielka kałuża herbaty.

– Chodź – namawiał Jude'a, a gdy ten się wahał, dodał: – Jako jubilat rozkazuję.

Więc Jude powoli się rozebrał, odpiął protezy i spuścił się z pomostu na rękach, a Willem go złapał. W miarę jak Jude fizycznie zdrowiał, rosła w nim świadomość własnego ciała i Willem zorientował się po jego chwilowych zamilknięciach, po tym, jak starannie Jude zasłaniał się podczas zdejmowania lub zakładania nóg, jak dalece walczy ze swoim obecnym wyglądem. Gdy był słabszy, pozwalał pomagać sobie przy rozbieraniu, ale teraz, gdy nabrał sił, Willem bardzo rzadko i tylko przez przypadek widywał go nieubranego. Postanowił jednak postrzegać wstydliwość Jude'a jako swoistą oznakę zdrowia, gdyż był to przynajmniej dowód siły fizycznej, znak, że Jude może samodzielnie wejść pod prysznic i wyjść spod niego czy położyć się do łóżka i wstać. Musiał się uczyć na nowo, bo jeszcze niedawno nie był w stanie robić tego o własnych siłach.

Teraz unosili się w wodzie, podpływając i przywierając do siebie w milczeniu, a kiedy Willem wyszedł na pomost, Jude poszedł jego śladem, dźwignąwszy się na ramionach, i siedzieli tam chwilę w gorącym letnim powietrzu, obydwaj nadzy, obydwaj wpatrzeni w zwężające się kikuty Jude'owych nóg. Willem po raz pierwszy od miesięcy widział Jude'a nagiego, więc nie bardzo wiedział, co powiedzieć. W końcu po prostu objął go i przyciągnął do siebie, i to (pomyślał) było właśnie to, co należało powiedzieć.

Od czasu do czasu jednak się bał. We wrześniu, na kilka tygodni przed jego pierwszym od ponad roku wyjazdem na zdjęcia, Jude znowu obudził się z gorączką i tym razem nie prosił Willema, żeby nie dzwonił do Andy'ego, ani też Willem nie pytał go o pozwolenie. Pojechali natychmiast do przychodni, Andy zalecił prześwietlenie, badanie krwi, wszystko, a potem czekali, każdy na innym łóżku w innym gabinecie, dopóki radiolog ich nie wezwał i nie oznajmił, że nie ma żadnego śladu infekcji kości, a i z laboratorium zadzwonili, że wszystko jest w normie.

– *Rhinopharyngitis* – orzekł z uśmiechem Andy. – Zwyczajne przeziębienie.

A jednak położył rękę na potylicy Jude'a i wszyscy odetchnęli z ulgą. Jak szybko, jak przygnębiająco szybko budził się ich odruch lęku, jakby lęk był w nich uśpionym wirusem, którego się nigdy nie pozbędą. Radość, swoboda – tych rzeczy musieli uczyć się na nowo, na nowo musieli na nie zasłużyć, ale lęku nigdy nie musieli się uczyć, mieszkał w nich trzech jak wspólna choroba, jak połyskliwa nić wpleciona w ich DNA.

Willem wyjechał więc do Hiszpanii, do Galicii, na zdjęcia. Odkąd znał Jude'a, ten chciał kiedyś przejść Camino de Santiago, średniowieczny szlak pielgrzymów, kończący się właśnie w Galicii.

– Wyruszymy z przełęczy Aspe w Pirenejach – entuzjazmował się Jude (jeszcze wtedy żaden z nich nie był we Francji) – i pójdziemy na zachód. Zajmie to kilka tygodni! Będziemy nocować w schroniskach dla pielgrzymów, czytałem o nich, i żywić się czarnym chlebem z kminkiem, jogurtem i ogórkami.

– No, nie wiem – odpowiedział Willem, chociaż wtedy jeszcze mniej myślał o ograniczeniach Jude'a (był za młody, obaj byli za młodzi, by szczerze wierzyć, że Jude ma jakieś ograniczenia), a bardziej o sobie. – To brzmi raczej męcząco, Judy.

– Poniosę cię – oferował się natychmiast Jude, a Willem odpowiadał uśmiechem. – Albo wynajmiemy osiołka i on cię poniesie. Chociaż tak naprawdę, Willem, chodzi o to, żeby przejść tę drogę, a nie przejechać.

Im byli starsi, im bardziej oczywiste stawało się, że marzenie Jude'a pozostanie na zawsze marzeniem, tym bardziej ich fantazje o Camino zyskiwały na atrakcyjności.

– Teraz uważaj – mówił Jude. – Czworo nieznanych sobie ludzi: chińska taoistyczna mniszka oswajająca się ze swoją seksualnością, niedawno wypuszczony z więzienia Brytyjczyk, który pisze poezje, były handlarz broni z Kazachstanu w żałobie po śmierci żony i przystojny, wrażliwy amerykański eksstudent z problemami (to ty, Willem), spotyka się na Camino de Santiago i nawiązują przyjaźń na całe życie. Będziesz to kręcił w czasie rzeczywistym, więc zdjęcia potrwają tylko tyle ile droga. I będziesz musiał przez cały czas wędrować.

W tym miejscu Willem śmiał się już do rozpuku.

– A jak to się kończy?

– Taoistyczna mniszka zakochuje się w eksoficerze armii izraelskiej, którego spotyka po drodze, i razem wracają do Tel Awiwu, aby otworzyć tam lesbijski bar pod nazwą Radclyffe's. Ekswięzień i ekshandlarz bronią zostają razem. A twoja postać spotka szwedzką dziewicę, która w sekrecie jest dziwką, i otworzycie ekskluzywny pensjonat w Pirenejach, gdzie cała grupa będzie zbierała się co roku na przyjacielskie spotkanie.

– Jaki tytuł nosi ten film? – spytał Willem, szczerząc się od ucha do ucha.

Jude namyślał się chwilę.

– *Santiago Blues* – odpowiedział, a Willem znów się roześmiał.

Odtąd mówili o *Santiago Blues*, którego obsada rozrosła się, wchłonęła też i Jude'a, kiedy był starszy, ale miejsce akcji nie zmieniło się nigdy.

– Jak tam scenariusz? – pytał Jude, ilekroć Willem dostawał nową propozycję, on zaś wzdychał:

– Okej. Nie tak dobry jak *Santiago Blues*, ale okej.

I nagle, niedługo po owym zwrotnym Święcie Dziękczynienia, Kit, któremu Willem zdradził kiedyś ich zainteresowanie Camino de Santiago, przysłał mu scenariusz z dopiskiem „Santiago Blues"! I chociaż nie był to dokładnie *Santiago Blues* – dzięki bogu ich był dużo lepszy, zgodzili się z Jude'em – to akcja faktycznie rozgrywała się na Camino, faktycznie miała być kręcona po części w czasie rzeczywistym i faktycznie rozpoczynała się w Pirenejach, w Saint-Jean-Pied-de-Port, a kończyła w Santiago de Compostela. Film *Gwiazdy nad świętym Jakubem* opowiadał o dwóch mężczyznach, obu imieniem Paul, których miał grać ten sam aktor. Pierwszy był francuskim mnichem z szesnastego wieku przemierzającym trasę z Wittenbergi w przededniu reformacji, drugi zaś współczesnym pastorem z małego amerykańskiego miasteczka, który przechodzi kryzys wiary. Pomijając kilka postaci drugoplanowych, przewijających się przez życie dwóch Paulów, jedyną rolą była rola Willema.

Dał Jude'owi scenariusz do przeczytania, a Jude po skończeniu lektury westchnął:

– Genialne. Strasznie bym chciał pojechać tam z tobą, Willem.

– Ja też bym tego chciał – odparł on cicho.

Żałował, że Jude nie ma dla siebie prostszych marzeń, marzeń możliwych do zrealizowania, marzeń, które mógłby spełnić, które Willem mógłby mu pomóc spełnić. Ale marzenia Jude'a zawsze dotyczyły ruchu: wędrówek na niesamowite odległości albo pokonywania arcytrudnych terenów. I chociaż Jude mógł teraz chodzić i chociaż cierpiał mniej, to przecież obaj wiedzieli, że nigdy nie zazna życia bez bólu. Niemożliwe miało pozostać niemożliwym.

Jadł kolację z hiszpańskim reżyserem, Emanuelem, młodym, ale już bardzo cenionym, który pomimo złożoności i melancholijności scenariusza okazał się żywiołowy i pogodny, i wciąż powtarzał, jak bardzo jest zdumiony, że Willem zagra w jego filmie, że jego marzeniem było pracować z nim. Willem w rewanżu opowiedział mu o *Santiago Bluesie* (Emanuel się śmiał, gdy Willem streszczał akcję. „Niekiepskie!", powiedział, a Willem poprawił go ze śmiechem: „Kiedy to ma być kiepskie!"). Opowiedział mu o tym, jak bardzo Jude chciał zawsze przemierzyć ten szlak i jak bardzo on sam czuje się upokorzony, że teraz zrobi to za niego.

– Hej – zażartował Emanuel. – Podejrzewam, że to jest ten mężczyzna, dla którego zrujnowałeś sobie karierę, mam rację?

– Tak – powiedział Willem pogodnie. – To on.

Dni zdjęciowe do *Gwiazd nad świętym Jakubem* były bardzo długie i tak jak Jude mu obiecał, sporo się wędrowało (a za nimi wlokła się karawana wozów filmowych zamiast osłów). Zasięg telefonii komórkowej był w wielu miejscach słaby, więc Willem pisał do Jude'a esemesy, co zresztą wydawało się stosowniejsze, bardziej w pielgrzymim stylu, a rano posyłał mu zdjęcia swoich śniadań (czarny

chleb z kminkiem, jogurt, ogórki) i odcinka drogi, który tego dnia ma do przejścia. Znaczna część szlaku prowadziła przez gwarne miasta, więc niekiedy kierowano ich obejściem przez tereny wiejskie. Codziennie Willem zbierał po parę białych kamyków z pobocza i wkładał je do słoika, żeby wziąć je do domu, a wieczorami siedział w hotelowym pokoju ze stopami owiniętymi w gorące ręczniki.

Zdjęcia zakończyli na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem i Willem poleciał do Londynu w sprawach służbowych, a potem do Madrytu, gdzie był umówiony z Jude'em. Wynajęli tam samochód i ruszyli na południe, przez Andaluzję. Zatrzymali się w miasteczku na szczycie wysokiego klifu nad morzem, aby spotkać się z Azjatyckim Henrym Youngiem, któremu przyglądali się, gdy pokonywał wzniesienie, a on na ich widok zaczął machać obiema rękami i ostatnie sto metrów pokonał sprintem.

– Dzięki bogu, że daliście mi pretekst do wyrwania się z tego pieprzonego domu – powiedział Henry Young, dotarłszy do nich.

Od miesiąca mieszkał w rezydencji artystów u stóp wzgórza, w dolinie porośniętej drzewami pomarańczy, ale – co nie było dla niego typowe – nie cierpiał pozostałych sześciu osób z kolonii, więc zajadając plastry pomarańczy pływające w likierze i posypane cynamonem, mielonymi goździkami i migdałami, zaśmiewali się z opowieści Henry'ego o jego kolegach artystach. Później, pożegnawszy się z nim do przyszłego miesiąca w Nowym Jorku, przeszli przez średniowieczne miasteczko, którego budowle wyglądały jak białe kostki soli; na ulicach wylegiwały się pręgowane kocury machające końcami ogonów, a ludzie z ręcznymi wózkami starannie je omijali.

Następnego wieczoru, pod Grenadą, Jude powiedział Willemowi, że ma dla niego niespodziankę. Wsiedli do samochodu, który czekał na nich przed restauracją, Jude z brązową kopertą, z którą nie rozstawał się przez całą kolację.

– Dokąd jedziemy? – spytał Willem. – Co jest w tej kopercie?

– Zobaczysz.

Śmigali w górę i w dół, aż w końcu samochód zatrzymał się przed łukiem bramy Alhambry, gdzie Jude wręczył strażnikowi jakiś list, strażnik go przestudiował i skinął głową, i samochód przejechał przez bramę, by zatrzymać się na cichym dziedzińcu. Wysiedli.

– Twoje – powiedział nieśmiało Jude, ruchem głowy wskazując zabudowania i ogrody poniżej. – Przynajmniej na najbliższe trzy godziny. – A że Willem nie był w stanie odpowiedzieć, dodał ściszonym głosem: – Pamiętasz?

Willem ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Oczywiście – odpowiedział równie cicho. Tak właśnie miała się zakończyć ich wymarzona wyprawa na Camino: jazdą pociągiem na południe i zwiedzaniem Alhambry.

Chociaż minęły lata i Willem wiedział, że do wyprawy nigdy nie dojdzie, nie wybrał się sam do Alhambry (mimo że mógł wziąć dzień wolny po zdjęciach i tu przyjechać), ponieważ czekał na Jude'a, żeby zrobić to razem z nim.

– Jeden z moich klientów – powiedział Jude, zanim Willem zdążył zapytać. – Bronisz kogoś i okazuje się, że jego ojciec chrzestny jest hiszpańskim ministrem kultury i w zamian za szczodry datek na utrzymanie Alhambry udziela ci przywileju zwiedzenia jej indywidualnie. – Uśmiechnął się szeroko do Willema. – Obiecałem dać ci coś ekstra na pięćdziesiąte urodziny… chociaż z półtorarocznym opóźnieniem. – Położył rękę na jego ramieniu. – Willem, nie płacz.

– Nie zamierzam. Potrafię robić w życiu jeszcze parę rzeczy oprócz płakania, wiesz? – odparł Willem, chociaż wcale nie był pewien, czy to prawda.

Otworzył kopertę, którą mu wręczył Jude, i znalazł pakiet przewiązany wstążką, a zdarłszy z niego papier, odsłonił ręcznie robioną książeczkę podzieloną na rozdziały – Alcazaba, Dziedziniec Lwów, Generalife – każdy zaś rozdział stanowiły odręczne notatki Malcolma, który swego czasu pisał pracę magisterską o Alhambrze i odwiedzał ją rok w rok, odkąd skończył dziewięć lat. Pomiędzy rozdziałami znajdowały się misterne rysunki detali – krzaka jaśminu obsypanego drobnymi białymi kwiatkami, kamiennej fasady obłożonej płytkami w odcieniu kobaltu – które wraz z dedykacjami dla niego podpisali znajomi: Richard, JB, India, Azjatycki Henry Young, Ali. Teraz już Willem się rozpłakał; uśmiechał się i płakał, aż Jude powiedział mu, że pora ruszać na zwiedzanie, bo przecież nie mogą strwonić całego czasu w bramie, po czym porwał go w ramiona i ucałował, nie przejmując się tym, że za ich plecami stoją milczący strażnicy w czarnych uniformach.

– Dziękuję ci – powiedział Willem. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Ruszyli przez cichy wieczór, a drogę oświetlała im falującym snopem światła latarka Jude'a. Wchodzili do pałaców, gdzie marmur był tak stary, że cała budowla zdawała się wyrzeźbiona w miękkim białym maśle, do paradnych sal o sklepieniach tak wysokich, że ptaki fruwały bezgłośnie w górze, i o oknach tak symetrycznych i doskonale rozmieszczonych, że całe pomieszczenia oświetlał blask księżyca. Zatrzymywali się, aby zajrzeć do notatek Malcolma, aby zbadać jakiś detal, który by przeoczyli, gdyby nie zostali nań wyczuleni, aby uprzytomnić sobie, że oto stoją w sali, w której przed tysiącem lat lub więcej sułtan dyktował swoją korespondencję. Studiowali ilustracje w książeczce, porównując obrazki z tym, co mieli przed oczami. Na sąsiedniej stronie każdego z rysunków autorstwa ich przyjaciół widniała notatka z informacją, kiedy ta osoba pierwszy raz zwiedziła Alhambrę i dlaczego wybrała do narysowania właśnie ten detal. Towarzyszyło im uczucie znane jeszcze z młodości, że wszyscy ich znajomi widzieli wielki kawał świata, a oni nic, i chociaż wiedzieli, że teraz to już nieprawda, nadal myśleli o życiu swoich przyjaciół z nabożnym lękiem, podziwiając ich

dokonania i doświadczenie, ich umiejętność korzystania z życia i talent do jego utrwalania. W ogrodach Generalife weszli do altany wyciętej w labiryncie cyprysowych żywopłotów i Willem zaczął całować Jude'a, mocniej, niż sobie na to pozwalał od długiego czasu, mimo że dobiegał ich cichy odgłos kroków strażnika na kamiennej ścieżce.

Po powrocie do hotelu całowali się dalej i Willem złapał się na myśli, że w filmowej wersji tego wieczoru nastąpiłby teraz seks, i już był bliski powiedzenia tego, gdy opamiętał się i odsunął od Jude'a. Ale było już tak, jakby to powiedział, bo przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem Jude szepnął:

– Willem, możemy, jeżeli chcesz.

– A ty chcesz? – spytał po dłuższym czasie Willem.

– Jasne – odrzekł Jude, ale Willem po jego spuszczonych oczach i lekkim zająknięciu się poznał, że Jude kłamie.

Przez sekundę miał chęć udać przekonanego. Ale nie mógł tego zrobić. Powiedział więc „nie" i sturlał się z Jude'a.

– Uważam, że dość było emocji jak na jeden wieczór.

Zasypiając, usłyszał oddech ulgi Jude'a i jego szept:

– Przepraszam, Willem.

Chciał mu powiedzieć, że rozumie, ale znajdował się już bardziej po stronie nieświadomości niż świadomości i nie zdołał wymówić ani słowa.

Był to zresztą jedyny smutek tej wycieczki i każdy z nich odczuwał ten smutek inaczej: dla Jude'a brał się on z poczucia klęski, z przekonania – którego Willem nigdy nie zdołał zeń wykorzenić – że nie spełnia swojego obowiązku. Willem zaś smucił się ze względu na Jude'a. Niekiedy pozwalał sobie pofantazjować, jak wyglądałoby życie Jude'a, gdyby seks stanowił dla niego samodzielne odkrycie, a nie przymus, ale nie były to krzepiące myśli i za bardzo go dołowały. Dlatego starał się w nie nie zagłębiać, lecz one wracały uporczywie, przenikały ich przyjaźń, ich życie niczym żyłka turkusu wijąca się przez kamień.

Poza tym jednak przeżywali normalność, rutynę, w której obaj byli lepsi niż w seksie czy ekscytacji. Była radosna świadomość, że Jude – powoli, lecz pewnie – przespacerował tego wieczoru prawie trzy bite godziny. Było ich życie w Nowym Jorku, znane czynności, które podjęli teraz na nowo, ponieważ Jude miał na nie wreszcie dość siły. Potrafił bez zasypiania przesiedzieć cały spektakl teatralny lub operowy albo kolację, potrafił wejść po schodach do mieszkania Malcolma na Cobble Hill, potrafił zejść pochyłym chodnikiem do domu JB na Vinegar Hill. Willema cieszył sygnał budzika Jude'a o piątej trzydzieści, odgłosy wybierania się na poranne pływanie, ulga, kiedy zaglądał do

pudełka na kuchennym blacie i widział, że jest pełne środków medycznych – zapasowych rurek do kroplówki, sterylnych gazików i niewykorzystanych wysokokalorycznych napojów proteinowych, dopiero niedawno za zgodą Andy'ego odstawionych przez Jude'a – które Jude zamierzał zwrócić Andy'emu, aby ten oddał je do szpitala. Nieraz przypominał sobie, jak dwa lata wcześniej wracał do domu z teatru i zastawał Jude'a śpiącego w łóżku. Jude był tak kruchy, że Willemowi zdawało się czasem, że cewnik pod jego koszulą to żyła, że Jude systematycznie i nieodwracalnie chudnie, że zostają z niego tylko nerwy, naczynia krwionośne i kości. Przypominał sobie tamte obrazy i doznawał dezorientacji: czy to naprawdę byli oni, tamci dwaj ludzie? Gdzie się teraz podziali? Czy wrócą? Czy też może oni są teraz całkiem innymi osobami? A potem wyobrażał sobie, że tamci ludzie nie tyle odeszli, ile zagnieździli się w nich głęboko i tylko czekać, aż wyskoczą z powrotem na powierzchnię, by się upomnieć o ich ciała i umysły; były to teraz istnienia w remisji, ale na zawsze w nich obecne.

Choroba była u nich niedawnym gościem, więc wciąż pamiętali, że muszą być wdzięczni za każdy dzień bez większych zdarzeń, choć nauczyli się takich właśnie dni oczekiwać. Gdy Willem pierwszy raz od miesięcy zobaczył Jude'a na wózku inwalidzkim, gdy Jude wstał z kanapy w trakcie wspólnego oglądania filmu, bo złapał go atak i chciał z tym być sam, poczuł zaniepokojenie i musiał przypomnieć sobie, że Jude jest także tym: że jest kimś, kogo zdradza własne ciało, i zawsze tym kimś pozostanie. Tego przecież operacja nie zmieniła – zmieniła tylko reakcje Willema. A kiedy zauważył, że Jude z powrotem się tnie – nieczęsto, ale regularnie – znów musiał sobie przypomnieć, że właśnie taki Jude jest i że tego też operacja nie zmieniła.

A jednak któregoś ranka powiedział Jude'owi:

– Może powinniśmy nazwać tę epokę „szczęśliwe lata"?

Był luty, padał śnieg, a oni leżeli w łóżku, w którym wylegiwali się teraz do późna w niedzielne ranki.

– No, nie wiem – odpowiedział Jude i Willem, chociaż widział tylko mały fragment jego twarzy, poznał, że Jude się uśmiecha. – Czy to nie jest trochę kuszenie losu? Przyjmiemy tę nazwę i zaraz mi odpadną obie ręce. A poza tym ta nazwa jest już zarezerwowana.

To prawda – taki tytuł nosił film, w związku z którym Willem miał wyjechać już za tydzień: sześć tygodni prób, plus jedenaście tygodni zdjęć. Ale nie był to tytuł oryginalny, bo oryginalny brzmiał *Tancerz i scena* i dopiero niedawno Kit powiadomił Willema, że producenci zmienili go na *Szczęśliwe lata*.

Nie podobał mu się ten nowy tytuł.

– Jest strasznie cyniczny – powiedział do Jude'a, poskarżywszy się najpierw Kitowi i reżyserowi. – Ma w sobie jakąś brutalność i gryzącą ironię.

Rozmowa miała miejsce kilka nocy temu; leżeli obaj na sofie po jego codziennym morderczym treningu baletowym i Jude masował mu stopy. Willem miał zagrać Rudolfa Nuriejewa w ostatnich latach życia, od czasu gdy został dyrektorem baletu Opery Paryskiej w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, poprzez diagnozę HIV, aż do momentu, gdy pierwszy raz spostrzega on u siebie objawy AIDS, na rok przed śmiercią.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział Jude, gdy Willem skończył wreszcie swoją perorę. – Ale może dla niego to naprawdę były szczęśliwe lata. Był wolny, miał swoją ukochaną pracę, uczył młodych tancerzy, cały zespół postawił na głowie. Opracowywał wtedy swoje najlepsze choreografie. On i ten duński tancerz…

– Erik Bruhn.

– Właśnie. On i Bruhn byli jeszcze razem, przynajmniej jeszcze krótki czas. Doświadczał rzeczy, o których prawdopodobnie mu się nawet nie śniło, kiedy był młodszy, a wciąż był wystarczająco młody, żeby się cieszyć pieniędzmi, sławą i wolnością artystyczną. Miłością. Przyjaźnią. – Uścisnął mocno kciukami podeszwę stopy Willema, aż ten się skrzywił. – Mnie to wygląda na szczęśliwe życie.

Obaj przez chwilę milczeli.

– Przecież był chory – powiedział w końcu Willem.

– Wtedy nie – przypomniał mu Jude. – Wirus się jeszcze nie uaktywnił.

– Może i nie – przyznał Willem. – Ale faktem jest, że był umierający.

Jude uśmiechnął się do niego.

– Och, umierający – rzekł lekceważąco. – Wszyscy umieramy. On po prostu wiedział, że śmierć przyjdzie do niego wcześniej, niż planował, ale to wcale nie znaczy, że nie przeżywał szczęśliwych lat, że to nie było szczęśliwe życie.

Wtedy Willem spojrzał na Jude'a i poczuł to samo, co odczuwał czasami, kiedy myślał poważnie o nim i jego życiu. Smutek, można by rzec, ale nie smutek pełen litości, lecz większy smutek, taki, który obejmował wszystkich nieszczęsnych, borykających się z życiem ludzi, miliardy ludzi, których nie znał, przeżywających swoje życie; smutek, który mieszał się z zachwytem i nabożnym lękiem wobec trudu, z jakim ludzie wszędzie na świecie próbują żyć, nawet kiedy ich dni są niezmiernie trudne, nawet gdy okoliczności są podłe. Życie jest takie smutne, myślał w tych chwilach. Jest takie smutne, a jednak wszyscy musimy je przeżywać. Wszyscy się go czepiamy, wszyscy szukamy czegoś, co da nam pociechę.

Ale oczywiście tego nie powiedział, po prostu siadł, ujął twarz Jude'a w swoje ręce i pocałował go, po czym opadł z powrotem na poduszki.

– Skąd ty jesteś taki mądry? – zapytał Jude'a, a ten uśmiechnął się szeroko.

– Za mocno? – spytał w odpowiedzi, wciąż ugniatając stopę Willema.

– Nie dość mocno.

Teraz odwrócił Jude'a w łóżku twarzą do siebie.

– Uważam, że powinniśmy się trzymać nazwy „szczęśliwe lata" – powiedział. – Musimy zaryzykować, że odpadną ci ręce.

Jude parsknął śmiechem.

W następnym tygodniu Willem wyjechał do Paryża. Były to jedne z najtrudniejszych zdjęć w jego życiu: miał dublera, prawdziwego tancerza, w bardziej wymagających scenach, ale sam również tańczył, więc zdarzały mu się dni – dni, w które podnosił w powietrze prawdziwe baleriny, dziwiąc się ich nabitej, żylastej muskulaturze – kiedy był tak zmęczony, że wieczorem starczało mu energii tylko na wejście do wanny i wygramolenie się z niej. Od kilku lat ciągnęło go podświadomie coraz bardziej do ról fizycznych i za każdym razem zdumiewał się i nabierał uznania dla heroizmu własnego ciała w przyjmowaniu wyzwań. Zyskał nową świadomość ciała i teraz, kiedy w wyskoku prężył ręce do tyłu, czuł, jak ożywa dla niego każdy mięsień, aby pozwolić mu wykonać to, co chciał, jak nic w nim nigdy się nie łamie, jak ciało na wszystko mu zezwala. Wiedział, że nie tylko on to odczuwa, tę wdzięczność, bo kiedy jeździli do Cambridge, grał tam codziennie z Haroldem w tenisa i podczas gry miał świadomość, chociaż nigdy nie rozmawiali o swojej wdzięczności własnym ciałom, jak wiele akt rzucania się przez cały kort, żeby odbić piłkę, oznacza dla nich obu.

Jude odwiedził go w Paryżu pod koniec kwietnia i chociaż Willem obiecał mu, że nie urządzi nic specjalnego na jego pięćdziesiąte urodziny, to jednak zamówił uroczysty obiad, na który w dodatku przyjechali JB, Malcolm z Sophie, Richard, Elijah, Rhodes, Andy, Czarny Henry Young oraz Harold z Julią; byli także Phaedra i Citizen, którzy pomogli Willemowi wszystko zaplanować. Następnego dnia Jude przyszedł obejrzeć Willema na planie, co dotąd zrobił tylko parę razy. Tego ranka kręcili scenę, w której Nuriejew koryguje układ nóg młodego tancerza, a kiedy jego instrukcje nie przynoszą efektu, demonstruje wreszcie sam, jak to należy robić, jednak w scenie wcześniejszej, której jeszcze nie nakręcili, usłyszał właśnie, że jest nosicielem HIV, więc kiedy w skoku składa nogi w scyzoryk, upada i cała sala prób wokół niego cichnie. Scena kończy się ujęciem jego twarzy, której Willem musiał nadać wyraz świadczący o tym, że Nuriejew nagle uświadamia sobie, jak umrze, i już w sekundę później postanawia to uświadomienie zignorować.

Kręcili wiele powtórek tej sceny i po każdej z nich Willem musiał na chwilę odejść na bok, by wyrównać oddech, natychmiast też obskakiwały go fryzjerki i charakteryzatorki, osuszając z potu jego twarz i szyję, a gdy znów był gotowy, wracał na oznaczone miejsce. Zanim reżyser oświadczył, że może być, Willem dyszał ciężko, ale sam też był zadowolony.

– Przepraszam – powiedział, podchodząc nareszcie do Jude'a. – Udręki filmowania.

– Nie, Willem – zaoponował Jude. – To było niesamowite. Byłeś taki piękny. – Zawahał się na moment. – Trudno mi było uwierzyć, że to jesteś ty.

Willem ujął dłoń Jude'a i zamknął w swojej – wiedział, że jest to maksimum ostentacji, jakie Jude jest w stanie znieść w miejscu publicznym, nigdy jednak nie miał pewności, jak Jude zareaguje na taką manifestację fizyczności. Ubiegłej wiosny, podczas jednego z zerwań z Fredrikiem, JB romansował z szefem znanego zespołu tańca nowoczesnego i wszyscy wybrali się na jego spektakl. Podczas solówki Josiaha Willem zerknął na Jude'a i zobaczył, że siedzi on lekko wychylony, opierając podbródek na dłoni i obserwując scenę z takim napięciem, że kiedy Willem położył mu rękę na plecach, Jude aż podskoczył. „Przepraszam", szepnął Willem. Później, w łóżku, Jude był wyjątkowo milczący i Willem zastanawiał się, co sobie myślał. Czy był przybity? Rozżalony? Smutny? Uznał jednak, że nie wypada nakłaniać Jude'a do wypowiedzenia głośno czegoś, czego może sam dla siebie nie umiał nazwać, więc się nie odezwał.

Zanim wrócił do Nowego Jorku, była połowa czerwca. Kiedy leżeli w łóżku, Jude przyjrzał mu się uważnie i powiedział:

– Masz teraz ciało tancerza.

Następnego dnia Willem obejrzał się w lustrze i stwierdził, że Jude ma rację. Pod koniec tego samego tygodnia jedli kolację na dachu, który wspólnie z Richardem i Indią nareszcie odremontowali i na którym Richard z Jude'em posiali trawę i posadzili drzewka owocowe, i Willem zademonstrował im nieco swoich nowych umiejętności. Czuł, jak jego zawstydzenie zmienia się w euforię, gdy tańczył po wyłożonej deskami powierzchni, słysząc zza pleców aplauz przyjaciół, pod krwawiącym w zmierzchające się niebo słońcem.

– Jeszcze jeden ukryty talent – zawyrokował potem Richard, uśmiechając się do niego.

– Ja to wiem – odezwał się Jude, także z uśmiechem. – Willem jest pełen niespodzianek, nawet po tylu latach.

Willem wiedział już jednak, że oni wszyscy są pełni niespodzianek. Kiedy byli młodzi, mieli sobie do zaoferowania tylko sekrety: wyznania stanowiły walutę, wynurzenia były formą intymności. Zatajanie szczegółów własnego życia przed przyjaciółmi uchodziło najpierw za tajemniczość, a później za rodzaj wyniosłości, która wyklucza prawdziwą przyjaźń. „Ty mi czegoś nie mówisz, Willem", zarzucał mu nieraz JB. Albo: „Masz przede mną tajemnice? Nie ufasz mi? Myślałem, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi". „Jesteśmy, JB – odpowiadał Willem. – I niczego przed tobą nie zatajam". To prawda: nie miał nic do zatajenia. Z nich wszystkich tylko Jude miał sekrety, prawdziwe sekrety, i chociaż Willema w przeszłości frustrowała niechęć Jude'a do ujawniania owych sekretów,

to nigdy nie czuł, że z tego powodu nie są sobie bliscy, nigdy nie zmniejszyło to jego zdolności kochania Jude'a. Była to dla niego trudna lekcja, ta świadomość, że nigdy prawdziwie Jude'a nie posiądzie, że będzie kochał kogoś, kto pozostanie dla niego niepoznawalny i niedostępny w sensie fundamentalnym.

A jednak wciąż odkrywał Jude'a, nawet trzydzieści cztery lata po pierwszym spotkaniu, i wciąż był zafascynowany tym, co znajdował. W czerwcu tego roku Jude po raz pierwszy zaprosił go do Rosena, Pritcharda na dorocznego grilla.

– Nie musisz przychodzić, Willem – dodał natychmiast po zaproszeniu. – To będzie naprawdę straszna nuda.

– Wątpię – odparł Willem. – I przyjdę.

Piknik odbywał się na terenie dużej starej posiadłości nad rzeką Hudson, a stojący tam dom był schludniejszym kuzynem domu, w którym Willem miał zdjęcia do *Wujaszka Wani*. Zaproszona została cała firma – partnerzy, współpracownicy, personel i ich rodziny. Kiedy szli przez porośnięty koniczyną trawnik za domem w stronę zgromadzonych, Willem poczuł się nagle niezwyczajnie zawstydzony w przekonaniu, że jest tu intruzem, a kiedy Jude'a chwilę potem oderwał od niego prezes firmy, który powiedział, że ma pilną sprawę do omówienia, Willem musiał się powstrzymać, żeby nie uczepić się Jude'a, który odwrócił się, posłał mu przepraszający uśmiech i uniósł rękę – pięć minut.

Dlatego z wdzięcznością powitał pojawienie się Sanjaya, jednego z nielicznych kolegów Jude'a, których znał. Sanjay przed rokiem został, obok Jude'a, drugim prezesem wydziału, dzięki czemu Jude mógł się skoncentrować na pozyskiwaniu nowych klientów, podczas gdy Sanjay zajmował się sprawami administracyjnymi i kierowniczymi. Willem i Sanjay pozostali na szczycie wzgórza, patrząc na tłum ludzi w dole. Sanjay pokazywał Willemowi poszczególnych pracowników i młodszych partnerów, których obydwaj z Jude'em nie znosili. (Niektórzy z tych nielubianych prawników odwracali się i zauważali, że Sanjay patrzy w ich stronę, on zaś machał do nich wesoło, mamrocząc do Willema uszczypliwości o ich braku kompetencji i wyobraźni). Willem zauważył, że goście zaczynają zerkać w jego stronę, a potem szybko odwracają wzrok; jedna z kobiet, która wchodziła na wzgórze, nieelegancko zawróciła w przeciwną stronę, spostrzegłszy, że na szczycie stoi Willem.

– Widzę, że jestem tu wielkim hitem – zażartował, a Sanjay uśmiechnął się do niego.

– Oni nie są onieśmieleni tobą, Willemie – powiedział. – Ich onieśmiela Jude. – Uśmiechnął się szeroko. – Okej, ty też.

W końcu zwrócono mu Jude'a i chwilę stali, rozmawiając z prezesem („Jestem twoim wielkim fanem") i Sanjayem, zanim zeszli na dół, gdzie Jude przedstawił Willema kilku osobom, o których opowiadał mu przez lata pracy w firmie. Jedna z praktykantek adwokackich poprosiła, żeby jej zrobić

zdjęcie z Willemem, a kiedy Jude je zrobił, inni też zaczęli prosić. Potem Jude'a znów odciągnięto na bok, a Willem został na łasce jednego z partnerów wydziału podatkowego, który zaczął mu opisywać jego własne sceny kaskaderskie z drugiego z serii filmów szpiegowskich. W pewnym momencie monologu Isaaca Willem spojrzał na drugą stronę trawnika i pochwycił wzrok Jude'a, który ruchami ust nadał „przepraszam", więc pokręcił głową i uśmiechnął się, a potem pociągnął się za lewe ucho – ich stary sygnał – i chociaż się tego nie spodziewał, kiedy znów spojrzał w tamtym kierunku, zobaczył, że Jude zmierza w jego stronę.

– Daruj, Isaac – rzekł Jude kategorycznie – muszę ci zabrać Willema na chwilę. – I odciągnął go. – Bardzo cię przepraszam, Willem – szepnął, gdy się odsuwali. – Ogłada towarzyska tym razem wyjątkowo szwankuje. Nie czujesz się jak panda w zoo? Z drugiej strony uprzedzałem cię, że będzie okropnie. Możemy wyjść za dziesięć minut, obiecuję.

– Nie, jest okej – odparł Willem. – Dobrze się bawię. – Zawsze fascynowało go obserwowanie Jude'a w tym jego drugim życiu, pośród ludzi, którzy go mieli dla siebie przez więcej godzin dziennie niż on. Wcześniej widział, jak Jude podchodzi do grupy współpracowników, którzy głośno rozmawiają przez komórki. Na widok Jude'a trącili się łokciami i zamilkli grzecznie, po czym przywitali go z tak szczerą i wylewną serdecznością, że Willem poczuł się wręcz zakłopotany, i dopiero gdy Jude ich minął, pochylili się znów nad telefonami, tym razem jednak mówili ciszej.

Zanim zabrano mu Jude'a po raz trzeci, poczuł się już wystarczająco pewnie, żeby przedstawić się grupce osób, która orbitowała wokół niego luźnym kręgiem, uśmiechając się w jego stronę. Poznał wysoką Azjatkę, Clarissę, o której, jak pamiętał, Jude mówił z uznaniem. „Słyszałem o pani mnóstwo dobrych rzeczy", powiedział, a twarz Clarissy rozpromieniła się w pełnym ulgi uśmiechu.

– Jude mówił *o mnie*? – upewniła się.

Poznał współpracownika, nazwiska nie zapamiętał, który powiedział mu, że *Czarny Merkury 3081* był pierwszym filmem kategorii R, jaki oglądał, przez co Willem poczuł się okropnie stary. Inny pracownik z wydziału Jude'a pochwalił się, że miał dwa kursy z Haroldem w szkole prawniczej i chciał wiedzieć, jaki Harold jest naprawdę. Poznał dzieci sekretarki Jude'a, poznał syna Sanjaya i dziesiątki innych osób, z których tylko kilka znał z nazwisk.

Dzień był upalny, bezwietrzny, prześwietlony słońcem i chociaż Willem przez całe popołudnie coś pił – limonatę, wodę, prosecco, mrożoną herbatę – bankiet był tak absorbujący, że kiedy dwie godziny później wychodzili z Jude'em, okazało się, że żaden z nich nie miał okazji czegokolwiek zjeść, więc przystanęli przy wiejskim straganie i kupili kukurydzę, którą zamierzali upiec na grillu z cukinią i pomidorami z ogrodu na swoim dachu.

– Sporo się o tobie dzisiaj dowiedziałem – powiedział Willem, gdy jedli kolację pod granatowym niebem. – Dowiedziałem się, że większość tych ludzi drży przed tobą i myśli, że jeśli mi się podliżą, wstawię się za nimi. Dowiedziałem się, że jestem jeszcze starszy, niż przypuszczałem. Dowiedziałem się, że masz rację: rzeczywiście pracujesz z bandą nudziarzy.

Jude cały czas się uśmiechał, a teraz się roześmiał.

– No widzisz? Mówiłem ci, Willem.

– Ale bawiłem się wyśmienicie. Naprawdę! Na następny też chcę iść. Tylko że wtedy zaprosimy również JB i wysadzimy w powietrze zbiorowy mózg Rosena, Pritcharda.

Jude znowu się roześmiał.

To było prawie dwa miesiące temu, od tamtego czasu Willem spędzał czas głównie w Domu Latarni. Jako prezentu na swoje pięćdziesiąte drugie urodziny zażyczył sobie, żeby Jude wziął wolne wszystkie soboty lata, i Jude tak zrobił, więc co piątek przyjeżdża do Latarni i co poniedziałek rano jedzie z powrotem do miasta. Ponieważ w tygodniu to Jude ma samochód, Willem wynajął kombi – trochę dla żartu, chociaż naprawdę lubi nim jeździć – w alarmującym kolorze, który Jude określił mianem „kurewska czerwień". W zwykłe dni tygodnia Willem czyta, pływa, gotuje i śpi; czeka go bardzo pracowita jesień, ale wie, że po nabraniu sił i odpoczęciu na wsi będzie na nią gotowy.

W sklepie napełnia papierową torbę limonkami, drugą cytrynami, kupuje zapas wody selcerskiej i jedzie na stację, gdzie opiera głowę o zagłówek, przymyka oczy i czeka, aż Malcolm woła go po imieniu.

– JB nie przyjechał – mówi Malcolm z nutą złości w głosie, gdy Willem całuje jego i Sophie na powitanie. – Rozstał się z Fredrikiem… chyba… dziś rano. Chociaż może się nie rozstali, bo obiecali, że przyjadą jutro. Nie mogę się połapać, jak to z nimi jest.

Willem jęknął.

– Zadzwonię do niego z domu. Hej, Soph. Jedliście lunch? Możemy zaraz coś ugotować.

Nie jedli, więc Willem dzwoni do Jude'a, żeby wstawił wodę na makaron, ale okazuje się, że on już to zrobił.

– Kupiłem limonki – informuje go Willem. – A JB przyjeżdża dopiero jutro; jakieś problemy z Fredrikiem, których Mal nie jest w stanie rozgryźć. Chcesz zadzwonić do niego i dowiedzieć się, co się dzieje?

Ładuje torby przyjaciół na tylne siedzenie i Malcolm wsiada, popatrując na karoserię.

– Ciekawy kolor – mówi.

– Dziękuję – odpowiada Willem. – Nazywa się „kurewska czerwień".

– Naprawdę?

Niezmienna łatwowierność Malcolma wywołuje uśmiech Willema.

– Tak – odpowiada. – Gotowi?

W czasie jazdy rozmawiają o tym, jak dawno się nie widzieli, jak Sophie i Malcolm cieszą się z powrotu do domu, jak koszmarne są lekcje jazdy Malcolma, jak idealna jest pogoda, jak słodko pachnie sianem. Najlepsze lato, myśli znowu Willem.

Jazda ze stacji do domu trwa pół godziny, nieco krócej, jeśli Willem się spieszy, ale teraz się nie spieszy, bo przyjemnie jest jechać. A gdy przecina ostatnie duże skrzyżowanie, nie zauważa ciężarówki, która jedzie prosto na niego na czerwonym świetle; siła zderzenia zgniata fotel pasażera, na którym siedzi Sophie, a Willem leci już w powietrzu, katapultowany.

– Nie! – krzyczy albo tak mu się wydaje, i nagle, przez ułamek chwili, miga mu twarz Jude'a: sama twarz o nieokreślonym wyrazie, oderwana od ciała i zawieszona pod czarnym niebem. Jego uszy i głowę napełnia ryk zgniatanego metalu, eksplodującej benzyny, własnego bezużytecznego krzyku.

Lecz jego ostatnie myśli są nie o Judzie, tylko o Hemmingu. Widzi dom swojego dzieciństwa; pośrodku trawnika, tuż przed pochyłością prowadzącą do stajni siedzi Hemming na wózku i spogląda na niego spokojnym, uporczywym wzrokiem, jakiego nie miał nigdy za życia.

Willem jest na końcu podjazdu, tam gdzie bita droga styka się z asfaltem, i na widok Hemminga ogarnia go tęsknota.

– Hemming! – woła, a potem bezsensownie dodaje: – Poczekaj na mnie!

I zaczyna biec do swojego brata; po chwili biegnie tak szybko, że nawet nie czuje uderzeń swoich stóp o ziemię.

VI

Drogi Towarzyszu

1

Jednym z pierwszych filmów, w których Willem grał główną rolę, było *Życie po śmierci*. Film był wersją historii Orfeusza i Eurydyki opowiedzianą z różnych punktów widzenia i realizowaną przez dwóch wysoko cenionych reżyserów. Willem grał O., młodego muzyka ze Sztokholmu, którego dziewczyna właśnie umarła, jego zaś nachodzi złudzenie, że kiedy gra pewne melodie, ona pojawia się obok niego. Rolę E., zmarłej dziewczyny O., grała włoska aktorka, Fausta.

Dowcip filmu polegał na tym, że podczas gdy O. zapłakiwał się w żałobie po swojej ukochanej na ziemi, E. fantastycznie się bawiła w piekle, gdzie wreszcie mogła przestać być grzeczną dziewczynką; nie musiała już wysłuchiwać jęków klientów, którym próbowała pomagać jako obrońca z urzędu i którzy jej nigdy nie dziękowali; nie musiała zważać na niekończącą się paplaninę swoich egocentrycznych przyjaciół; nie musiała pocieszać swojego miłego, ale wiecznie ponurego chłopaka. Przebywała za to w podziemnym świecie, gdzie jedzenia było w bród i drzewa zawsze uginały się od owoców, gdzie mogła bez konsekwencji wygłaszać złośliwe komentarze o innych ludziach, gdzie wpadła w oko samemu Hadesowi, granemu przez rosłego, muskularnego Włocha, Rafaela.

Życie po śmierci podzieliło krytyków. Jedni się nim zachwycili: podkreślali, jak wiele mówi o fundamentalnych różnicach dwóch kultur (wątek O. realizował sławny reżyser szwedzki noszący się na szaro i granatowo; wątek E. – reżyser włoski, znany z estetycznego ekscentryzmu), oferując zarazem przebłyski łagodnej autoparodii; chwalili zmiany tonu opowieści, rozczulali się nad niespodziewaną pociechą, jaką film daje żywym.

Druga grupa krytyków zmieszała film z błotem, uznawszy, że jest wulgarny zarówno pod względem brzmienia, jak i palety barw; ostro krytykowali ton dwuznacznej satyry; zjechali wątek muzyczny, w którym E. występuje w piekle, podczas gdy jej biedny O. brzdąka na ziemi swoje chłodne, liche utworki.

Przez lata jednak *Życie po śmierci* doczekało się ponownych analiz, przemyśleń i przewartościowań, aby w czasie, gdy Willem miał lat czterdzieści parę, zyskać oficjalny status filmu kochanego, najlepszego z dzieł tych reżyserów, symbolu reżyserskiej współpracy, której efekt był obrazoburczy, odważny, a zarazem zabawny, na jaki dzisiejszych reżyserów już nie stać. Willem występował w tylu różnych filmach i sztukach, że Jude'a zawsze interesowało, co ludzie uważają za swoje ulubione role, swoje odkrycia przekazywał zaś Willemowi. Otóż młodsi partnerzy i współpracownicy Rosena, Pritcharda płci męskiej preferowali na przykład filmy szpiegowskie.

Paniom podobały się *Duety*. Tymczasowe pracownice biura – z których wiele było aktorkami – uwielbiały *Zatrute jabłko*. JB lubił *Niezwyciężonego*. Richardowi podobały się *Gwiazdy nad świętym Jakubem*. Harold i Julia upodobali sobie *Detektywów z laguny* i *Wujaszka Wanię*. A studenci filmówki – którzy najmniej się wstydzili podchodzić do Willema w restauracjach albo na ulicy – niezmiennie lubili *Życie po śmierci*. „To jedno z najlepszych dzieł Donizettiego" – twierdzili buńczucznie. Albo: „To musiało być niesamowite przeżycie, być reżyserowanym przez Bergessona". Willem był zawsze uprzejmy. „Zgadzam się – mówił, ku radości studenta filmówki. – Tak było. Niesamowicie".

W tym roku przypada dwudziestolecie premiery *Życia po śmierci*. Któregoś lutowego dnia Jude wychodzi z domu i widzi, że zdjęciem trzydziestotrzyletniej twarzy Willema wytapetowano ściany budynków, wiaty przystanków autobusowych, a nawet rusztowania, wzdłuż których ciągną się identycznymi seriami, jak z Andy'ego Warhola. Jest sobota i chociaż Jude zamierzał iść na spacer, to jednak odwraca się i cofa na górę do mieszkania, gdzie kładzie się z powrotem do łóżka, zamyka oczy i zasypia. W poniedziałek pan Ahmed wiezie go Szóstą Aleją, gdy Jude widzi pierwszy plakat, naklejony na witrynie pustego sklepu; zamyka oczy i trzyma je zamknięte do czasu, aż czuje, że samochód staje i pan Ahmed informuje, że są pod biurem.

W tym samym tygodniu dostaje zaproszenie z MoMA; wygląda na to, że *Życie po śmierci* będzie pierwszym filmem prezentowanym w ramach tygodniowego czerwcowego festiwalu filmów Simona Bergessona, po projekcji zaś odbędzie się dyskusja panelowa, na której obecni będą obaj reżyserzy oraz Fausta, w związku z czym muzeum wyraża nadzieję, że tym razem Jude zechce przybyć i uświetnić panel dyskusyjny swoim udziałem, opowiadając o doświadczeniach Willema z okresu kręcenia filmu. Zastanawia się, czy rzeczywiście zapraszali go już wcześniej? Przypuszcza, że tak musiało być. Ale nie pamięta. Pamięta bardzo niewiele z ostatnich sześciu miesięcy. Sprawdza daty festiwalu: od trzeciego do jedenastego czerwca. Zaplanuje na ten czas jakiś wyjazd z miasta; musi. Willem nakręcił jeszcze dwa inne filmy z Bergessonem – byli w przyjacielskich stosunkach. Nie chce oglądać kolejnych plakatów z twarzą Willema, nie chce znów widzieć w gazecie jego nazwiska. Nie chce spotkać się z Bergessonem.

Tej nocy przed położeniem się do łóżka podchodzi do Willemowej strony garderoby, której jeszcze nie opróżnił. Są tu koszule Willema na wieszakach, jego swetry na półkach, jego buty ustawione równo pod spodem. Zdejmuje z wieszaka koszulę, której szukał, wełnianą, kraciastą, w kolorze burgunda, przetykaną żółtą nitką; Willem wiosną nosił tę koszulę po domu. Wkłada ją przez głowę, ale zamiast wsunąć ręce w rękawy, związuje mankiety przed sobą, co sprawia, że koszula wygląda jak kaftan bezpieczeństwa, ale on udaje – musi się tylko dostatecznie skupić – że to ramiona Willema, które go

obejmują. Wchodzi do łóżka. Ten rytuał z koszulą peszy go i zawstydza, ale Jude odprawia go tylko, kiedy jest mu to absolutnie konieczne. Właśnie dzisiaj jest taki dzień.

Leży, ale nie śpi. Co parę chwil zbliża nos do kołnierzyka koszuli, żeby powąchać to, co zostało z Willema, chociaż z każdym włożeniem koszuli zapach słabnie. Jest to czwarta koszula Willema, którą nosi do łóżka, bardzo pieczołowicie zachowując jej zapach. Pierwsze trzy wkładał miesiącami niemal co noc, przez co już nie pachną Willemem; pachną nim. Czasem próbuje się pocieszać myślą, że jest to zapach, który ofiarował mu Willem, ale nie na wiele się to zdaje.

Jeszcze zanim zostali parą, Willem zawsze przywoził mu coś z miejsc, gdzie pracował, a kiedy wrócił z *Odysei*, były to dwa flakony wody kolońskiej, przygotowanej w atelier słynnego perfumiarza we Florencji.

– Wiem, że to może ci się wydać trochę dziwne – powiedział Willem. – Ale ktoś – Jude wtedy uśmiechnął się do siebie, pewien, że Willem ma na myśli jakąś dziewczynę – powiedział mi o tym i uznałem, że to interesujące.

Następnie opowiedział Jude'owi, jak musiał go opisać osobie określanej jako nos – jakie lubi kolory, jakie smaki, które części świata – i jak perfumiarz skomponował ten zapach specjalnie dla niego.

Jude powąchał: zapach był zielony, lekko pieprzowy, z surowym, bolesnym wykończeniem.

– Vetiver – przedstawił go Willem. – Spróbuj.

I Jude spróbował, dotykając flakonem wierzchu dłoni, bo jeszcze wtedy nie pokazywał Willemowi swoich nadgarstków.

Willem go powąchał i orzekł:

– Mnie się podoba, ładnie na tobie pachnie – i nagle obaj poczuli się skrępowani.

Willem też kazał sobie zrobić osobisty zapach. Na bazie drzewa sandałowego, które Jude wkrótce zaczął z nim kojarzyć. Ilekroć czuł drzewo sandałowe – zwłaszcza gdy był służbowo w Indiach, w Japonii, w Tajlandii – zawsze myślał o Willemie i czuł się mniej samotny. Od lat zamawiali u florenckiego perfumiarza te same zapachy, a dwa miesiące temu jedną z pierwszych rzeczy, które Jude zrobił, gdy już wróciła mu względna przytomność umysłu, było zamówienie dużej ilości Willemowej wody. Z jaką ulgą, z jakim drżeniem otwierał paczkę i rozcinał pudełko. Już czuł, że Willem mu się wymyka; już wiedział, że musi się starać go zatrzymać. Lecz chociaż spryskał – ostrożnie, nie chciał użyć zbyt dużo – tym zapachem koszulę Willema, to nie było to samo. Przecież nie tylko woda kolońska nadawała ubraniom Willema zapach Willema: to sam Willem, jego willemowość. Tamtej nocy Jude położył się do łóżka w koszuli tak mocno spryskanej drzewem sandałowym, że jej zapach zabił wszystkie inne wonie, niszcząc do końca to, co zostało z Willema.

Płakał wówczas, po raz pierwszy od dawna, a następnego dnia poskładał tę koszulę i włożył do pudełka, które wsunął w najdalszy róg garderoby, żeby nie zabiła zapachu innych ubrań Willema.

Woda kolońska i rytuał z koszulą to dwa składniki rusztowania, jakkolwiek rozchwianego i kruchego, które nauczył się wznosić, żeby jakoś ciągnąć dalej, żeby dalej żyć. Często jednak czuje, że to nie życie, tylko wegetacja, bycie przesuwanym przez dni raczej niż samodzielne ich pokonywanie. Nie karze się jednak za to zbytnio: już samo wegetowanie jest wystarczająco trudne.

Znalezienie tego, co działa, zajęło mu miesiące. Przez pewien czas karmił się co noc filmami Willema, oglądając je, dopóki nie zasnął na sofie; przewijał do tych scen, w których Willem mówił. Ale dialog, sam fakt, że Willem gra, zdawał się go oddalać zamiast przybliżać, więc w końcu Jude doszedł do wniosku, że lepiej zatrzymywać film na konkretnym obrazie: pochwycona w pułapkę twarz Willema wpatrywała się w niego, a on patrzył na nią i patrzył, aż zaczynały go piec oczy. Po miesiącu tych praktyk uświadomił sobie, że musi dawkować filmy oszczędniej, żeby nie utraciły swojej mocy. Zaczął więc od początku, od pierwszego filmu Willema – *Dziewczyny o srebrnych dłoniach* – który oglądał obsesyjnie, co noc, zatrzymując niektóre klatki. W weekendy oglądał go całymi godzinami, od chwili, gdy niebo zmieniało noc w dzień, aż do chwili, gdy czerniało z powrotem. Po jakimś czasie zrozumiał, że niebezpiecznie jest oglądać te filmy chronologicznie, bo z każdym kolejnym przybliża się do śmierci Willema. Więc teraz wybierał film na miesiąc losowo i ta metoda okazała się bezpieczniejsza.

Ale największą, najskuteczniejszą fikcją, jakiej się czepia, jest po prostu udawanie, że Willem wyjechał na zdjęcia. Zdjęcia trwają bardzo długo, ale kiedyś się skończą, więc on kiedyś wróci. Trudno było osiągnąć to złudzenie, bo nie zdarzyły się jeszcze zdjęcia, podczas których codziennie z Willemem nie rozmawiał albo nie mejlował, albo nie wymieniał esemesów. Cieszy się, że zachował tyle mejli Willema, i przez jakiś czas czytał sobie te wiadomości nocą i był w stanie udawać, że właśnie je otrzymał. Nie pozwalał sobie delektować się nimi w nadmiarze i czytał tylko jedną na noc. Wiedział jednak, że to go nie zadowoli na zawsze, że musi wydzielać je sobie bardziej rygorystycznie. Teraz odczytuje jeden, tylko jeden mejl tygodniowo. Wolno mu czytać ponownie wiadomości z poprzedniego tygodnia, ale nigdy tych jeszcze nieczytanych. To kolejna reguła.

Nie rozwiązała ona jednak ogólnego problemu milczenia Willema: jakie okoliczności, zastanawiał się Jude, pływając rano albo stojąc w nocy nad kuchnią i czekając, aż czajnik zagwiżdże, powstrzymałyby Willema od komunikowania się z nim podczas zdjęć? W końcu udało mu się wymyślić scenariusz. Willem kręci film o załodze rosyjskich kosmonautów podczas zimnej wojny i jest to film fantasy. Naprawdę znajdują się w kosmosie, ponieważ film jest finansowany przez szalonego rosyjskiego przemysłowca miliardera. Tak więc Willem krąży dzień i noc wiele mil ponad

nim, tęskniąc za domem i nie mogąc się z nim skontaktować. Jude'a żenował ten zmyślony film, lecz zdawał się na tyle przekonujący, że potrafił wmówić sobie wiarę w niego na dość długo, czasami na kilka dni z rzędu. (Czuł wówczas wdzięczność za to, że dzięki specyfice zawodu Willema jego zajęcia wydawały się czasami niewiarygodne. Nieprawdopodobieństwo przemysłu filmowego pomagało teraz Jude'owi wierzyć, a bardzo tego potrzebował).

Jaki jest tytuł tego filmu? – wyobrażał sobie to pytanie Willema, wyobrażał sobie jego uśmiech.

Drogi Towarzyszu – odpowiadał, ponieważ tak się nieraz zwracali do siebie w mejlach: „Drogi Towarzyszu"; „Drogi Judzie Haroldowiczu"; „Drogi Willemie Ragnarowiczu", a zaczęło się to wtedy, kiedy Willem kręcił pierwszy odcinek trylogii szpiegowskiej rozgrywającej się w Moskwie w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. W wyobraźni Jude'a praca nad filmem *Drogi Towarzyszu* miała trwać rok, chociaż wiedział, że będzie musiał wprowadzić poprawkę: już był marzec, a w jego fantazji Willem miał wrócić do domu w listopadzie, kiedy to, Jude wiedział, nie będzie jeszcze gotów zakończyć tej kreacji. Wiedział, że będzie musiał sobie wyobrazić dokrętki, opóźnienia. Wiedział, że będzie musiał wymyślić drugą część filmu, by mieć powód do utrzymania Willema z dala od domu jeszcze dłużej.

Aby wzmóc wiarygodność swojej fantazji, co wieczór pisał mejl do Willema, w którym relacjonował mu zdarzenia minionego dnia, tak jak by robił, gdyby Willem żył. Każdy mejl kończył się tak samo: „Mam nadzieję, że zdjęcia idą dobrze. Bardzo za Tobą tęsknię. Jude".

W listopadzie ubiegłego roku otrząsnął się nareszcie z otępienia i właśnie wtedy zaczął odczuwać ostateczność nieobecności Willema. To właśnie wtedy zrozumiał, że jest zagrożony. Pamięta bardzo mało z tamtych miesięcy; jeszcze mniej z tamtego dnia. Pamięta, że kończył mieszać sałatę do pasty, drobił listki bazylii nad misą, zerkał na zegarek, zastanawiając się, gdzie oni są. Ale nie niepokoił się: Willem lubił jeździć do domu bocznymi drogami, a Malcolm lubił robić zdjęcia, więc mogli się gdzieś zatrzymać, stracić rachubę czasu.

Zadzwonił do JB, wysłuchał jego zażaleń na Fredrika; pokroił melona na deser. Gdy wszystko skończył, było już naprawdę późno, więc zadzwonił do Willema, który nie odpowiadał. Zirytowało go to: gdzie oni się podziewają?

Robiło się coraz później. Jude chodził niespokojnie z kąta w kąt. Zadzwonił na numer Malcolma, na numer Sophie: nic. Znów zadzwonił do Willema. Zadzwonił do JB: czy oni do niego dzwonili? Odzywali się? Ale JB zaprzeczył.

– Nie martw się, Judy – dodał. – Na pewno skoczyli na lody czy coś. Albo wszyscy razem dali dyla.

– Ha – odpowiedział Jude, ale już czuł, że coś jest źle. – Okej. Zadzwonię do ciebie później, JB.

Ledwo się rozłączył z JB, zabrzęczał dzwonek u drzwi, więc zamarł przerażony, bo nikt nigdy nie przychodził do nich niezapowiedzianie. Bramę trudno było znaleźć; trzeba było się naprawdę naszukać, a potem jeszcze wdrapać na wzgórze od głównej drogi długim, długim podejściem. O boże, pomyślał Jude. Och, nie. Nie! Ale dzwonek się powtórzył, więc ruszył do drzwi, a gdy je otworzył, zauważył nie tyle miny policjantów, ile to, że zdejmowali czapki z głów, i już wiedział.

Potem stracił kontakt ze sobą. Przytomność odzyskiwał tylko momentami, a twarze, które wówczas widział – Harolda, JB, Richarda, Andy'ego, Julii – były tymi samymi twarzami, które pamiętał z czasu, gdy próbował się zabić: ci sami ludzie, te same łzy. Płakali wtedy i płakali teraz, więc chwilami tracił rozeznanie: myślał, że cała ostatnia dekada – lata z Willemem, utrata nóg – była jednak może tylko snem, a on jest nadal na oddziale psychiatrycznym. Pamięta, że dowiadywał się w tamtych dniach różnych rzeczy, lecz nie pamięta jak, ponieważ nie pamięta żadnych rozmów. A przecież musiał rozmawiać. Dowiedział się, że zidentyfikował ciało Willema, ale nie pozwolili mu zobaczyć jego twarzy – Willem został wyrzucony z samochodu i uderzył głową o wiąz rosnący dziesięć metrów od szosy; jego twarz została zmiażdżona, wszystkie kości połamane. Zidentyfikował go więc po znamieniu na lewej łydce i pieprzyku na prawym ramieniu. Dowiedział się, że ciało Sophie zostało zmiażdżone – ktoś użył słowa „unicestwione" – Malcolm zaś żył w stanie śmierci mózgowej jeszcze przez cztery dni, po których jego rodzice zgodzili się na donację organów. Dowiedział się, że wszyscy jechali w pasach bezpieczeństwa, że wynajęty samochód – ten pierdolony wynajęty samochód – miał wadliwe poduszki powietrzne i że kierowca ciężarówki należącej do firmy piwowarskiej był pijany jak bela i przejechał na czerwonym świetle.

Przez większość czasu Jude był jak odurzony. Jak odurzony poszedł na pogrzeb Sophie, którego w ogóle nie zapamiętał, ani jednego szczegółu. Jak odurzony poszedł na pogrzeb Malcolma. Z tego pogrzebu zapamiętał, że pan Irvine złapał go i potrząsnął nim, a potem przytulił go tak mocno, że omal nie udusił, szlochając na jego ramieniu, aż ktoś – zapewne Harold – powiedział coś i Jude został wyswobodzony.

Wiedział, że było jakieś skromne nabożeństwo za Willema, wiedział, że Willem został skremowany. Ale nic z tego nie pamięta. Nie wie, kto to zorganizował. Nie wie nawet, czy sam był obecny, a boi się zapytać. Pamięta, że Harold w pewnym momencie powiedział mu, że nie musi wygłaszać mowy pożegnalnej, że pomnik dla Willema może załatwić później, kiedy będzie gotowy. Pamięta, że kiwał głową, pamięta, że myślał: Przecież nigdy nie będę gotowy.

W pewnym momencie wrócił do pracy: chyba w końcu września. Wtedy już wiedział, co się stało. Oj, wiedział. Ale próbował tego nie wiedzieć i wówczas było to jeszcze łatwe. Nie czytał gazet, nie oglądał wiadomości. Dwa tygodnie po śmierci Willema szli z Haroldem ulicą i mijali kiosk z gazetami,

w którym Jude dostrzegł jakiś magazyn ze zdjęciem Willema na okładce i dwiema datami: uświadomił sobie, że pierwsza to data jego narodzin, a druga – śmierci. Stanął i wpatrywał się w tę okładkę, dopóki Harold nie wziął go za ramię.

– Chodź, Jude – powiedział łagodnie. – Nie patrz na to. Chodź ze mną.

A on posłusznie poszedł.

Zanim wrócił do biura, poinstruował Sanjaya:

– Nie życzę sobie żadnych kondolencji. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek o tym wspominał. Nie życzę sobie, żeby wymawiano jego imię, kiedykolwiek.

– Okej, Jude – powiedział cicho Sanjay; miał przerażoną minę. – Rozumiem.

Wszyscy go usłuchali. Nikt nie wyraził żalu. Nikt nie wymówił imienia Willema. Nikt nigdy nie wymówił imienia Willema. On sam nie może go wymawiać. Czasami, na ulicy, słyszy podobne imię – „William!": jakaś matka woła syna – i wtedy odwraca się chciwie w kierunku tego głosu.

W owych pierwszych miesiącach było szereg spraw praktycznych, które go zajmowały, które budziły w nim złość, a ta z kolei nadawała kształt jego dniom. Zaskarżył producenta samochodu, producenta pasów bezpieczeństwa, producenta poduszek powietrznych, firmę wynajmu samochodów. Zaskarżył kierowcę ciężarówki i firmę, dla której ten pracował. Kierowca, jak się dowiedział od jego adwokata, miał chronicznie chore dziecko: proces sądowy, twierdził adwokat, zrujnuje jego rodzinę. Ale to go nie obchodziło. Kiedyś by się przejął, teraz nie. Czuł się brutalny i bezlitosny. Niech zginie, myślał sobie. Niech będzie zrujnowany. Niech poczuje to, co ja czuję. Niech straci wszystko, co jest mu drogie. Chciał z nich wszystkich wycisnąć ostatnie dolary, z wszystkich tych firm i ludzi w nich pracujących. Chciał ich pozbawić nadziei. Chciał, żeby poczuli się zagubieni we własnym życiu.

Od każdej z pozwanych firm żądał odszkodowania wysokości wszystkiego, co Willem by zarobił, gdyby dane mu było dożyć normalnej długości życia; była to suma kolosalna, zdumiewająca, Jude nie mógł patrzeć na nią bez uczucia rozpaczy: nie z racji samej jej wysokości, lecz z racji lat, które reprezentowała.

Jego adwokat, agresywny chłystek od przestępstw nazwiskiem Todd, z którym Jude robił aplikację, obiecał, że pozwani pójdą na ugodę i sowicie wybulą.

Sowicie, nie sowicie; było mu wszystko jedno. Chciał tylko, żeby tamci cierpieli.

– Zniszcz ich – polecił Toddowi głosem chrapliwym od nienawiści, aż Todd wzdrygnął się z zaskoczenia.

– Zrobię to, Jude – obiecał. – Nie martw się.

Oczywiście nie potrzebował tych pieniędzy. Miał dość własnych. Poza sumami, które ofiarował asystentce Willema i jego chrzestnemu synowi, oraz sumami, które polecił przekazać instytucjom

charytatywnym (tym, które corocznie wspierał Willem, plus jednej dodatkowo: fundacji pomocy molestowanym dzieciom), Willem pozostawił mu wszystko, co miał: był to jakby negatyw jego własnego testamentu. Wcześniej w tym samym roku ufundowali z Willemem dwa stypendia w swoim dawnym college'u, z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin Harolda i Julii: stypendium imienia Harolda na wydziale prawa i stypendium imienia Julii na wydziale medycznym. Ufundowali je wspólnie i Willem zostawił wystarczającą sumę w funduszu powierniczym, żeby starczyła na zawsze. Jude wydatkował resztę spuścizny po Willemie: popodpisywał czeki na rzecz instytucji charytatywnych, fundacji, muzeów i innych organizacji, które Willem wskazał jako beneficjentów. Porozdawał przyjaciołom Willema – Haroldowi i Julii, Richardowi, JB, Romanowi, Cressy, Susannah, Miguelowi, Kitowi, Emilowi, Andy'emu, ale nie Malcolmowi, już nie – pozostawione przezeń przedmioty (książki, zdjęcia, programy filmów i spektakli teatralnych, dzieła sztuki). W testamencie Willema nie było niespodzianek, chociaż chwilami Jude chciał, żeby były – jakże byłby mu wdzięczny za zatajone dziecko, które mógłby teraz poznać, i miałoby ono uśmiech Willema; z jakim lękiem, ale też ekscytacją powitałby utajniony list z długo wstrzymywaną spowiedzią. Jakże byłby wdzięczny za pretekst do znienawidzenia Willema, do odrzucenia go; za tajemnicę do rozwiązania, która zaabsorbowałaby go na lata. Nic takiego nie znalazł. Życie zamknięte. Willem był tak samo przejrzysty w śmierci, jak w życiu.

Zdawało się Jude'owi, że radzi sobie całkiem dobrze, a przynajmniej nieźle. Któregoś dnia zadzwonił do niego Harold z pytaniem, co chciałby robić w Święto Dziękczynienia. Jude przez moment nie zrozumiał, o czym Harold mówi, co znaczą te słowa: Święto Dziękczynienia.

– Nie wiem – odpowiedział.

– To już w przyszłym tygodniu – powiedział Harold, tym nowym, cichym głosem, którym się teraz wszyscy przy nim posługiwali. – Chcesz przyjechać do nas czy może wolisz, żebyśmy my do ciebie przyjechali, albo wyjedziemy gdzieś razem?

– Chyba nie dam rady – odparł. – Mam za dużo pracy, Haroldzie.

Harold jednak nalegał.

– Gdziekolwiek, Jude. Z kimkolwiek chcesz. Albo bez nikogo. Ale my bardzo chcemy cię zobaczyć.

– Nie ubawicie się ze mną – powiedział wreszcie.

– Nie ubawimy się bez ciebie – odparł Harold. – To żadna zabawa. Proszę cię, Jude. Gdziekolwiek.

Więc pojechali do Londynu. Zatrzymali się w ich mieszkaniu. Jude z ulgą wyrwał się z kraju, w którym telewizja pokazywałaby migawki z życia rodzinnego, a jego koledzy plotkowaliby radośnie o dzieciach, żonach, mężach i teściach. W Londynie to był dzień jak każdy inny. Spacerowali we troje. Harold gotował ambitne, okropne dania, które Jude zjadał. Spał i spał. Potem wrócili do domu.

A w pewną grudniową niedzielę obudził się i już wiedział: Willema nie ma. Odszedł od niego na zawsze. Nigdy nie wróci. Jude nigdy więcej go nie zobaczy. Nigdy więcej nie usłyszy głosu Willema, nigdy więcej nie powącha jego zapachu, nigdy więcej nie poczuje jego ramion wokół siebie. Nigdy więcej nie będzie mógł się pozbyć któregoś ze swych wspomnień, szlochając przy tym ze wstydu, nigdy więcej nie zerwie się w panice ze snu, oślepiony strachem, i nie poczuje na policzku ręki Willema, nie usłyszy nad sobą głosu Willema: „Jesteś bezpieczny, Jude, jesteś bezpieczny. Już minęło; minęło; minęło". I wtedy się rozpłakał, prawdziwie rozpłakał, po raz pierwszy od wypadku. Płakał nad Willemem, nad strachem, który Willem musiał czuć, nad jego cierpieniem, nad jego biednym krótkim życiem. Ale przede wszystkim płakał nad sobą. Jak będzie żył bez Willema? Całe jego życie – życie po bracie Luke'u, życie po doktorze Traylorze, życie po klasztorze i po motelach, po domu dziecka i po tirach, które było tylko częścią liczącego się życia – miało w sobie Willema. Nie było dnia, odkąd Jude miał szesnaście lat i poznał Willema w ich wspólnym pokoju w Hood Hall, żeby się w jakiś sposób nie komunikował z Willemem. Nawet gdy się kłócili, rozmawiali ze sobą.

– Jude – powiedział Harold – to się poprawi. Przysięgam ci. Przysięgam. Teraz na to nie wygląda, ale się poprawi.

Wszyscy mu to mówili: Richard i JB, i Andy, i ludzie, którzy przysyłali mu kartki. Kit. Emil. Wszyscy mu powtarzali, że będzie lepiej. A on wiedział swoje i chociaż głośno tego nie mówił, tak naprawdę myślał: Nie będzie. Harold miał Jacoba przez pięć lat. On miał Willema przez trzydzieści cztery. Nie ma porównania. Willem był pierwszą osobą, która go pokochała, pierwszą osobą, która widziała w nim nie obiekt do wykorzystania albo litości, tylko coś całkiem innego – przyjaciela. Willem był drugą osobą, która zawsze była dla niego dobra. Gdyby nie miał Willema, nie miałby teraz nikogo, bo nigdy nie potrafiłby zaufać Haroldowi, gdyby wcześniej nie zaufał Willemowi. Nie umiał sobie wyobrazić życia bez Willema, bo to Willem definiował, czym jest i może być jego życie.

Następnego dnia Jude zrobił coś, czego nigdy nie robił: zadzwonił do Sanjaya i powiedział, że nie przyjdzie do pracy przez najbliższe dwa dni. A potem położył się do łóżka i płakał, krzyczał w poduszki, aż całkowicie stracił głos.

Ale dzięki tym dwóm dniom znalazł nowe rozwiązanie. Teraz siedzi w pracy do późna, dopóki nie zobaczy z okna wschodzącego słońca. Robi tak we wszystkie dni robocze, a także w soboty. Za to w niedzielę śpi jak najdłużej, a gdy się budzi, zażywa pigułkę, która nie tylko pozwala mu zasnąć na nowo, ale kompletnie niweczy wszelkie przebłyski świadomości. Śpi, dopóki pigułka działa, potem bierze prysznic, wraca do łóżka i zażywa inną pigułkę, która daje płytki, szklisty sen, i tak przesypia do poniedziałku rano. Nie je nic przez dwadzieścia cztery godziny, a nieraz dłużej, więc jest roztrzęsiony i ma pustkę w głowie. Pływa, jedzie do pracy. Jeśli ma szczęście, w niedzielę śni mu się

Willem, przynajmniej chwilami. Kupił sobie podłużną, nabitą poduszkę, długą na metr osiemdziesiąt, przeznaczoną dla kobiet w ciąży albo osób mających problemy z kręgosłupem, i drapuje na niej koszulę Willema. Przytula ją przez sen, chociaż w rzeczywistości to Willem przytulał jego. Nienawidzi się za to, ale nie może przestać.

Jest mgliście świadom tego, że przyjaciele go obserwują, że się o niego martwią. W pewnym momencie okazało się, że dlatego tak mało pamięta z dni po wypadku, że leżał w szpitalu na obserwacji jako potencjalny samobójca. Teraz brnie przez swoje dni i dziwi się, dlaczego właściwie się nie zabija. Teraz przecież jest odpowiedni czas. Nikt nie miałby do niego pretensji. A jednak tego nie robi.

Przynajmniej nikt mu nie mówi, że powinien żyć dalej. Nie chce żyć dalej, nie chce przeżywać nowych rzeczy: chce pozostać dokładnie w tym stanie, na zawsze. Przynajmniej nikt mu nie mówi, że neguje fakty. Negacja go trzyma. Jude boi się dnia, kiedy jego złudzenia przestaną go przekonywać. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat nie tnie się w ogóle. Kiedy się nie tnie, chodzi odrętwiały, a tego właśnie potrzebuje: drętwoty; chce, żeby świat się do niego nie zbliżał. Osiągnął wreszcie to, o czym marzył dla niego Willem; kosztowało to tylko odebranie mu Willema.

W styczniu przyśniło mu się, że są z Willemem poza miastem, szykują kolację i rozmawiają: to, co robili setki razy. Ale we śnie słyszał swój własny głos, a nie słyszał głosu Willema – widział, że jego usta się poruszają, ale nie słyszał, co Willem mówi. Obudziwszy się, rzucił się na wózek inwalidzki i czym prędzej przejechał do gabinetu, gdzie przejrzał wszystkie stare mejle, szukał i szukał, aż znalazł kilka wiadomości głosowych od Willema, które zapomniał wykasować. Wiadomości były zwięzłe i ubogie w treść, ale odegrał je kilka razy z rzędu, płacząc, skulony z bólu, bo banalność tych wiadomości – „Hej, Judy. Idę na targ kupić co trzeba. Ale może chcesz coś jeszcze? Daj znać" – jest sama w sobie skarbem, bo dowodzi ich życia razem.

– Willem – powiedział głośno, ponieważ czasem, kiedy było mu bardzo źle, rozmawiał z nim. – Wróć do mnie. Wróć.

Nie cierpi na poczucie winy ocalałego, lecz raczej na poczucie winy zdezorientowanego, bo zawsze, zawsze wiedział, że umrze wcześniej niż Willem. Wszyscy to wiedzieli. Willem, Andy, Harold, JB, Malcolm, Julia, Richard: oni wszyscy go przeżyją. Jedynym pytaniem było, jak Jude umrze – czy z własnej ręki, czy z powodu zakażenia. Nikt jednak nigdy nie myślał, że to Willem, właśnie on, umrze wcześniej od niego. Nie było na tę ewentualność żadnych planów, żadnego zabezpieczenia. Gdyby Jude wiedział, że istnieje taka możliwość, gdyby to było mniej absurdalne, zaopatrzyłby się zawczasu. Nagrywałby głos Willema mówiącego do niego i zachował te nagrania. Robiłby więcej zdjęć. Spróbowałby wydestylować chemię ciała Willema. Zabrałby go tuż po obudzeniu do tego perfumiarza we Florencji. „Proszę – powiedziałby. – Ten właśnie. Ten zapach. Proszę mi go zabutelkować". Jane

powiedziała mu kiedyś, że jako dziewczynka panicznie bała się, że jej ojciec umrze, więc porobiła w sekrecie kopie cyfrowe głosu ojca (który też był lekarzem) i zapisała je na dysku. A gdy jej ojciec w końcu zmarł, cztery lata temu, odnalazła te nagrania i usiadła w swoim pokoju, by je odtwarzać, słuchać, jak jej ojciec dyktuje zalecenia swoim spokojnym, cierpliwym głosem. Jakże zazdrościł tego Jane; jak żałował, że nie zrobił tego samego.

Ale miał przynajmniej filmy Willema, miał jego mejle i listy z tych wszystkich lat, bo wszystko to zachował. Miał przynajmniej ubrania Willema, bo zachował wszystkie. Miał przynajmniej portrety Willema malowane przez JB. Miał przynajmniej zdjęcia Willema: setki zdjęć, chociaż zbierał tylko niektóre. Postanowił sobie dawkować: po dziesięć zdjęć, raz w tygodniu, i wpatrywał się w nie godzinami. Od jego decyzji zależało, czy obejrzy jedno dziennie, czy wszystkie razem za jednym zamachem. Bał się panicznie, że jego komputer może się zepsuć i że straciłby te zdjęcia, więc porobił mnóstwo kopii i zdeponował je w różnych miejscach: w sejfie na Greene Street, w sejfie w Domu Latarni, w biurku u Rosena, Pritcharda, w skrytce bankowej.

Nigdy nie uważał Willema za skrupulatnego rejestratora własnego życia – sam też nim nie jest – ale w którąś wczesnomarcową niedzielę skraca swój narkotykowy sen i jedzie do Garrison. Był tam zaledwie dwa razy od owego wrześniowego dnia, ale ogrodnicy przychodzą regularnie, cebulki zaczynają coś wypuszczać wzdłuż podjazdu, a gdy Jude wchodzi do domu, widzi wazon z gałązkami śliwy na kuchennym blacie i staje jak wryty, wpatrując się w nie ze zdziwieniem: Czyżby wysłał ogrodnikowi wiadomość, że przyjeżdża? Widocznie tak. Jednak przez moment wyobraża sobie, że na początku każdego tygodnia ktoś wchodzi do domu i ustawia w wazonie świeże kwiaty, a pod koniec każdego tygodnia, kolejnego tygodnia, w którym nikt nie przyjechał ich obejrzeć, wyrzuca je.

Idzie do gabinetu, gdzie wstawili dodatkowe szafki, żeby Willem mógł trzymać w nich swoje papiery. Siada na podłodze, zrzuca kurtkę z ramion, potem bierze głęboki wdech i otwiera pierwszą szufladę. Są w niej teczki, każda opisana tytułem sztuki lub filmu, a w każdej znajduje się ostateczna wersja scenariusza z notatkami Willema. Niekiedy trafiają się wezwania z dni, kiedy aktor szczególnie przez Willema podziwiany miał być z nim na planie. Jude pamięta, jak Willem emocjonował się podczas kręcenia *Sykomorowego dworu*, jak przysłał mu zdjęcie wezwania z tego dnia, z jego nazwiskiem wydrukowanym zaraz pod Clarkiem Butterfieldem. „Możesz w to uwierzyć", zamejlował. „Jak najbardziej mogę w to uwierzyć", odpisał Jude.

Przegląda te dokumenty, wyciągając niektóre na chybił trafił i starannie badając ich treść. Następne trzy szuflady zawierają to samo: filmy, sztuki, inne projekty.

W piątej szufladzie jest teczka z napisem „Wyoming", w której znajdują się głównie zdjęcia, w większości Jude'owi nieznane: zdjęcia Hemminga, zdjęcia Willema z Hemmingiem, zdjęcia ich

rodziców, zdjęcia rodzeństwa, którego Willem nie poznał: Britte i Aksela. Jest też oddzielna koperta z kilkunastoma zdjęciami Willema: fotografie szkolne, Willem w mundurku skauta, Willem w stroju futbolisty. Jude wpatruje się w te zdjęcia, dłonie zacisnął w pięści; wreszcie odkłada je do koperty.

W teczce z Wyoming jest jeszcze parę innych rzeczy: wypracowanie o książce *Czarnoksiężnik z krainy Oz* z trzeciej klasy, wykaligrafowane starannym pismem Willema, które budzi uśmiech Jude'a, ręcznie robiona kartka urodzinowa dla Hemminga, która skłania go do płaczu. Nekrolog matki, nekrolog ojca. Kopia ich testamentu. Kilka listów Willema do rodziców, od rodziców do niego, wszystko po szwedzku – te Jude odkłada na bok, żeby dać do tłumaczenia.

Wie, że Willem nigdy nie prowadził dziennika, a jednak gdy przegląda teczkę „Boston", z jakiegoś powodu myśli, że może coś znaleźć. Są tam jednak tylko następne zdjęcia, wszystkie mu znane: Willem promiennie przystojny; Malcolm, który wygląda podejrzanie i trochę dziko ze skołtunionym nieudanym afro, które próbował pielęgnować przez cały college; JB, który właściwie nie zmienił się do dziś, wesoły, pucołowaty; on sam, wystraszony, spsiały i potwornie chudy, w swoich okropnych za luźnych ubraniach, z okropnymi za długimi włosami, w łupkach, które więżą jego nogi w czarnych uściskach. Zatrzymuje się nad zdjęciem przedstawiającym ich dwóch na kanapie w pokoju w Hood: Willem nachyla się do niego i coś mówi, a on się śmieje, zasłaniając usta dłonią, co nauczył się robić po tym, jak opiekun w domu dziecka powiedział mu, że ma paskudny uśmiech. Wyglądają jak przedstawiciele dwóch różnych gatunków, więc Jude musi szybko schować zdjęcie z powrotem, by powstrzymać odruch przedarcia go na pół.

Ciężko mu już oddychać, ale nie ustaje. W teczce „Boston" i w teczce „New Haven" znajdują się recenzje ze sztuk, w których występował Willem, zamieszczone w studenckich gazetkach, jest artykuł o inspirowanym twórczością Lee Lozano performansie JB. Jest wzruszające znalezisko: jedyny egzamin z rachunku różniczkowego, z którego Willem dostał B; Jude uczył go miesiącami do tego egzaminu.

Potem sięga do szuflady, którą wypełniają nie teczki, tylko duży harmonijkowy segregator, taki, jakich używają w firmie. Wydobywa go i widzi, że opisany jest tylko jednym słowem – jego imieniem. Otwiera go powoli.

W środku jest wszystko: wszystkie listy, które napisał do Willema, wszystkie ważniejsze mejle, wydrukowane. Są kartki urodzinowe, które dawał Willemowi. Są jego zdjęcia, z których części nawet nie widział. Jest numer „Artforum" z obrazem *Jude z papierosem* na okładce. Jest kartka od Harolda napisana niedługo po adopcji, z podziękowaniem za przybycie i za prezent. Jest artykuł o tym, że Jude zdobył nagrodę wydziału prawa, którego na pewno on Willemowi nie posłał, a zatem musiał to zrobić

ktoś inny. Okazuje się, że Jude wcale nie potrzebował rejestrować swojego życia – Willem przez cały czas dokumentował je za niego.

Ale dlaczego Willemowi tak na nim zależało? Dlaczego chciał spędzać przy nim tyle czasu? Tego Jude nigdy nie potrafił zrozumieć i teraz już nie zrozumie.

„Czasami zdaje mi się, że troszczę się bardziej o twoje życie niż o własne", powiedział mu kiedyś Willem. Jude wzdycha przeciągle, z drżeniem.

Ten szczegółowy raport z jego życia nie ma końca, a gdy Jude zagląda do szóstej szuflady, znajduje tam drugi segregator, taki sam jak pierwszy, z podpisem „Jude II", za nim zaś „Jude III" i „Jude IV". Dłużej nie jest w stanie tego oglądać. Starannie odkłada segregatory na miejsca, zasuwa szuflady, zamyka szafki na klucz. Listy Willema i jego rodziców wkłada do koperty, którą umieszcza w drugiej kopercie, dla zabezpieczenia. Wyjmuje z wazonu gałęzie śliwy, owija ich mokre końce plastikową torebką, wodę z wazonu wylewa do zlewu, zamyka Dom Latarnię i jedzie na Greene Street z gałęziami śliwy na siedzeniu obok. Zanim wjedzie do siebie na górę, zachodzi do pracowni Richarda, nalewa wody do jednej z puszek po kawie i wkłada do niej gałęzie, po czym stawia ten prowizoryczny wazon na stole do pracy, żeby Richard znalazł gałęzie śliwy zaraz z rana.

Potem jest koniec marca; Jude siedzi w biurze. Piątkowa noc, a raczej sobotni ranek. Odwraca się od komputera i patrzy przez okno. Ma otwarty widok na Hudson, ponad rzeką widzi bielejące niebo. Przez długą chwilę stoi tak i patrzy na brudną, szarą wodę, na kołujące stada ptaków. Wraca do pracy. Czuje, że przez te ostatnie miesiące zmienił się, że ludzie się go boją. Nigdy nie był biurowym wesołkiem, ale teraz nazwałby się mrukiem. Czuje, że stał się bardziej bezwzględny. Czuje, że stał się zimniejszy. Kiedyś jadał z Sanjayem lunche, plotkowali o kolegach, a teraz nie jest w stanie rozmawiać z nikim. Napędza firmie klientów. Wykonuje swoją pracę, nawet więcej, niż trzeba – wie jednak, że nikt nie czuje się dobrze w jego towarzystwie. Potrzebuje Rosena, Pritcharda, bo bez pracy byłby zgubiony, ale już nie czerpie z niej przyjemności. No i dobrze, wmawia sobie. Praca nie jest dla przyjemności, przynajmniej dla większości ludzi. Tyle że dla niego kiedyś była…

Dwa lata temu, gdy kurował się po operacji i był tak osłabiony, że Willem musiał go wyjmować z łóżka i w nim układać, rozmawiali któregoś ranka. Na dworze musiało być zimno, bo pamięta uczucie ciepła i bezpieczeństwa; pamięta, jak mówił:

– Chciałbym tak leżeć zawsze.

– No to leż – powiedział Willem.

(Była to jedna z ich typowych rozmów: jego budzik dzwonił, więc wstawał. „Nie wstawaj", mówił zawsze Willem. „Po co w ogóle musisz wstawać? Gdzie ci się ciągle spieszy?").

– Nie mogę – odpowiedział z uśmiechem.

– Słuchaj – powiedział Willem. – A może byś tak rzucił pracę?

Jude się roześmiał.

– Nie mogę rzucić pracy.

– Dlaczego nie? Pomijając całkowity brak stymulacji intelektualnej i perspektywę wyłącznie mojego towarzystwa, podaj mi jeden dobry powód.

Jude znowu się uśmiechnął.

– W takim razie nie ma dobrego powodu. Bo chciałbym chyba przebywać wyłącznie w twoim towarzystwie. Tylko co ja bym robił całymi dniami jako utrzymanek?

– Gotował – odrzekł Willem. – Czytał. Grał na fortepianie. Działał w wolontariacie. Podróżował ze mną. Słuchał, jak się uskarżam na aktorów, których nie znoszę. Chodził do kosmetyczki. Śpiewał dla mnie. Karmił mnie komplementami.

Jude śmiał się, a Willem razem z nim. Teraz jednak myśli: Dlaczego właściwie nie rzuciłem pracy? Dlaczego pozwalałem Willemowi wyjeżdżać na długie miesiące, lata, kiedy mogłem podróżować z nim? Dlaczego więcej czasu spędzałem w firmie niż z Willemem? Wybór jednak już został dokonany: został mu tylko Rosen, Pritchard.

A potem myśli: Dlaczego nie dałem Willemowi tego, co powinienem był mu dawać? Dlaczego go zmuszałem, żeby chodził gdzie indziej po seks? Dlaczego nie umiałem być odważniejszy? Dlaczego nie mogłem spełnić swojego obowiązku? Dlaczego on w ogóle ze mną został?

Przyjeżdża na Greene Street, żeby wziąć prysznic i przespać się parę godzin; po południu wróci do biura. W drodze do domu odwraca wzrok, kiedy mija plakaty *Życia po śmierci*. Przegląda esemesy: od Andy'ego, od Richarda, od Harolda, od Czarnego Henry'ego Younga.

Ostatnia wiadomość jest od JB, który do niego dzwoni albo pisze przynajmniej dwa razy na tydzień. Jude nie wie dlaczego, ale nie może znieść widoku JB. W gruncie rzeczy nienawidzi go, nienawidzi go nienawiścią czystszą niż kogokolwiek od dawna. Zdaje sobie sprawę z irracjonalności tego uczucia. Jest w pełni świadom, że JB nie ponosi żadnej winy. Ta nienawiść nie ma sensu. JB przecież nie jechał z nimi wtedy samochodem, w żaden sposób, nawet w świetle najbardziej wypaczonej logiki, nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności. A jednak kiedy pierwszy raz odzyskawszy przytomność, Jude zobaczył JB, usłyszał wyraźny, spokojny głos w swojej głowie: *To powinieneś był być ty, JB.* Nie powiedział tego głośno, ale coś musiał zdradzić twarzą, bo JB, który właśnie podchodził, żeby go uściskać, cofnął się. Od tamtego czasu widział JB tylko dwa razy, za każdym razem w towarzystwie Richarda i za każdym razem musiał się powstrzymywać przed powiedzeniem czegoś złośliwego, niewybaczalnego. Mimo to JB do niego dzwoni i zawsze zostawia nagraną wiadomość, a ta wiadomość zawsze brzmi tak: „Hej, Judy, to ja. Tylko cię sprawdzam. Dużo o tobie myślę. Chciałbym

cię zobaczyć. Okej. Kocham cię. Cześć". A on zawsze odpisuje tak: „Cześć, JB, dzięki za wiadomość. Pogadamy wkrótce. Ściskam, J". Wbrew temu, co pisze, nie ma zamiaru rozmawiać z JB, może już nigdy. Coś jest bardzo nie tak z tym światem, myśli, z tym światem, w którym z nich czterech – jego, JB, Willema i Malcolma – dwaj najlepsi, najmilsi i najtroskliwsi umarli, a dwa gorsze egzemplarze przeżyły. JB jest przynajmniej utalentowany; zasługuje na życie. Ale dla siebie Jude nie znajduje powodu.

– Jesteśmy jedynymi ocalałymi, Jude – powiedział kiedyś JB. – Przynajmniej mamy siebie nawzajem.

A on pomyślał, w jednym z tych zdań, które przychodziły mu nagle do głowy, ale którym nie pozwalał wybrzmieć: Zamieniłbym cię na niego. Zamieniłby każdego z nich na Willema. JB – natychmiast. Richarda i Andy'ego – biednych Richarda i Andy'ego, którzy tyle dla niego zrobili! – natychmiast. Nawet Julię. Harolda. Zamieniłby każdego z nich, wszystkich razem, żeby odzyskać Willema. Myśli o Hadesie, z tą jego połyskliwą włoską muskulaturą, umizgującym się do E. w podziemnym świecie. Mam dla ciebie propozycję – mówi do Hadesa. – Pięć dusz za jedną. Chyba nie odmówisz?

Którejś kwietniowej niedzieli śpi jeszcze, gdy dociera do niego głośne i natarczywe walenie do drzwi, więc budzi się, otumaniony, i przewraca na bok, trzymając poduszkę nad głową i nie otwierając oczu, aż wreszcie walenie ustaje. Gdy czuje, że ktoś łagodnie dotyka jego ramienia, krzyczy i rzuca się, ale widzi Richarda, który przycupnął na skraju łóżka.

– Przepraszam, Jude – mówi Richard. – Spałeś cały dzień?

Jude przełyka ślinę i dźwiga się do pozycji półsiedzącej. W niedziele nie podnosi żaluzji i nie rozsuwa zasłon, więc nie umie powiedzieć, czy jest noc, czy dzień.

– Tak – odpowiada. – Jestem zmęczony.

– Przepraszam cię za to wtargnięcie – tłumaczy się Richard po chwili milczenia. – Ale nie odpowiadałeś na telefon, a chciałbym, żebyś zszedł na dół i zjadł ze mną kolację.

– Och, Richard, naprawdę nie wiem… – mówi Jude, próbując wymyślić jakąś wymówkę.

Richard ma rację: Jude wyłącza telefon, wszystkie telefony, na swoje przesypianie niedzieli, żeby nikt nie przerywał mu snu, w którym próbuje odnaleźć Willema.

– Nie oczekuję rozrywki, Jude – uśmiecha się Richard. – No, chodź. Musisz coś jeść. Będziemy tylko we dwóch; India wyjechała na wieś do przyjaciółki.

Milczą obaj przez jakiś czas. Jude rozgląda się po pokoju, patrzy na rozbebeszone łóżko. W sypialni jest duszno od oparów drzewa sandałowego i ciepła kaloryferów.

– No, Jude – mówi cicho Richard. – Chodź, zjedz ze mną kolację.

– Okej – mówi wreszcie. – Okej.

– Okej – powtarza Richard, wstając. – Czekam na ciebie na dole za pół godziny.

Jude bierze prysznic i schodzi na dół z butelką tempranillo, które, jak pamięta, Richard lubi. W jego apartamencie zostaje wypędzony z kuchni, więc siada przy długim stole, który dominuje w całej przestrzeni – mieszczą się przy nim dwadzieścia cztery osoby – i głaszcze Richardowego kota, Mustache'a, który wskoczył mu na kolana. Pamięta, jak pierwszy raz oglądał to mieszkanie z niezliczonymi żyrandolami i wielkimi rzeźbami z pszczelego wosku. Przez lata bardziej się ono udomowiło, lecz nadal widać tu rękę Richarda i jego paletę kościanych bieli i woskowych żółci, chociaż teraz na ścianach wiszą obrazy Indii, jaskrawe, agresywne abstrakcje aktów kobiecych, a na podłodze leżą dywany. Minęły miesiące, odkąd Jude był w tym mieszkaniu, które przedtem odwiedzał raz na tydzień. Nadal widuje się z Richardem, oczywiście, ale tylko przelotnie; przeważnie stara się go unikać i kiedy Richard dzwoni, żeby wpadł na kolację albo po prostu zajrzał, zawsze odpowiada, że jest zbyt zajęty lub zbyt zmęczony.

– Nie pamiętałem, jaki jest twój stosunek do mojego słynnego dania z woka, więc kupiłem przegrzebki – mówi Richard, stawiając przed nim talerz.

– Lubię twoje słynne danie z woka – odpowiada Jude, chociaż nie pamięta, co to jest i czy naprawdę to lubi. – Dziękuję, Richardzie.

Richard nalewa im wina, a potem wznosi kieliszek.

– Serdeczne życzenia urodzinowe – mówi z powagą, a Jude uświadamia sobie, że Richard ma rację: dzisiaj są jego urodziny.

Harold wydzwaniał do niego i mejlował przez cały tydzień z częstotliwością niezwykłą nawet jak na niego, Jude jednak, z wyjątkiem zwięzłych odpowiedzi, wcale z nim nie rozmawiał. Wie, że Harold będzie się o niego martwił. Wyjątkowo dużo esemesów przysłał też Andy i inne osoby, no i wreszcie Jude wie dlaczego, i zaczyna płakać: z powodu dobroci ich wszystkich, którą tak marnie odwzajemnia, z powodu swojej samotności, z racji widomego dowodu, że życie pomimo jego wysiłków zatrzymania go poszło naprzód. Ma pięćdziesiąt jeden lat, a Willem nie żyje od ośmiu miesięcy.

Richard nic nie mówi, siedzi tylko obok niego na ławie i obejmuje go.

– Wiem, że to nie pomoże – mówi w końcu – ale ja też cię kocham, Jude.

Jude kręci głową, niezdolny przemówić. W ostatnich latach z osoby, która wstydzi się płakać, zmienił się w kogoś, kto stale płacze w samotności, potem w kogoś, kto płacze przy Willemie, aż wreszcie teraz, w finalnym akcie utraty godności, w kogoś, kto płacze przy każdym, w dowolnym czasie, z byle powodu.

Opiera się o pierś Richarda i szlocha w jego koszulę. Richard to kolejna osoba, której niezłomna przyjaźń i współczucie dla niego zawsze go zadziwiały. Wie, że część uczuć Richarda wobec niego spleciona jest z uczuciami wobec Willema, i rozumie to. Richard obiecał Willemowi, a swoje zobowiązania traktuje poważnie. Ale jest coś w solidności Richarda, w jego absolutnej niezawodności, co – w połączeniu z jego wzrostem i posturą – każe o nim myśleć jako o jakimś masywnym drzewiebóstwie, o dębie, który zyskał ludzką postać, o czymś solidnym, prastarym i niezniszczalnym. Ich relacja nie opiera się na gadaniu, ale to właśnie Richard stał się przyjacielem jego dorosłości, a nawet więcej niż przyjacielem, jakby rodzicem, chociaż jest tylko o cztery lata starszy. A więc bratem, kimś, czyja solidność i poczucie przyzwoitości są stałe.

Wreszcie Jude'owi udaje się przestać płakać; przeprasza i idzie się ogarnąć do łazienki. Potem jedzą powoli, popijają wino, rozmawiają o pracy Richarda. Pod koniec kolacji Richard wraca z kuchni z niezgrabnym torcikiem, w który wetknął sześć świeczek.

– Pięć plus jedna – wyjaśnia Jude'owi, a on zmusza się do uśmiechu.

Zdmuchuje świeczki; Richard kroi tort i nakłada im obu. Ciasto jest kruche i pełne fig, to bardziej twarde ciastko niż tort; obaj zjadają swoje porcje w milczeniu.

Jude wstaje, żeby pomóc pozmywać, ale gdy Richard odsyła go na górę, czuje ulgę, bo jest zmęczony. Tak dużego wydarzenia towarzyskiego nie zaliczył od Święta Dziękczynienia. W drzwiach Richard coś mu wręcza, paczkę zawiniętą w brązowy papier, po czym go przytula.

– On by nie chciał, żebyś był nieszczęśliwy, Jude – mówi, a Jude kiwa głową, przesuwając policzkiem po policzku Richarda. – Nie chciałby cię widzieć w tym stanie.

– Wiem.

– I zrób coś dla mnie – dodaje Richard, nie wypuszczając go z objęć. – Zadzwoń do JB, okej? Wiem, że ci trudno, ale on też kochał Willema. Nie tak jak ty, wiem, ale jednak. I Malcolma. Brakuje mu Malcolma.

– Wiem – powtarza Jude i znów łzy kręcą mu się w oczach. – Wiem.

– Przyjdź znowu w przyszłą niedzielę – zaprasza Richard i całuje go. – Albo któregoś innego dnia. Tęsknię za twoim widokiem.

– Dobrze – mówi on. – Richardzie… dziękuję ci.

– Sto lat, Jude.

Jedzie windą na górę. Zrobiło się późno. Po powrocie do siebie idzie do gabinetu i siada na sofie. Stoi tam pudło, które parę tygodni temu przysłała mu kurierem Flora. W środku znajdują się pamiątki, które Malcolm przeznaczył dla niego i dla Willema – te drugie też należą teraz do niego. Jedyne,

w czym pomogła śmierć Willema, to stępienie szoku i grozy wywołanych śmiercią Malcolma, a mimo to Jude nie był jak dotąd w stanie otworzyć tego pudła.

Teraz jednak to robi. Ale najpierw rozpakowuje prezent od Richarda i widzi, że to małe popiersie wyrzeźbione w drewnie i osadzone na masywnym sześcianie czarnego żelaza. Przedstawia Willema i Jude wzdryga się jak smagnięty biczem. Richard zawsze powtarzał, że jest beznadziejny w rzeźbie figuratywnej, ale Jude wiedział, że to nieprawda, i ta praca najlepiej tego dowodzi. Przesuwa palcami po niewidzących oczach Willema, po jego czuprynie, a następnie podnosi rzeźbę do nosa i czuje woń drzewa sandałowego. Na spodzie podstawy wyryty jest napis: „Dla J. na 51. urodziny. Z miłością. R".

Zaczyna płakać. Przestaje. Kładzie popiersie na poduszce obok siebie i otwiera pudło. Z początku widzi tylko kłęby gazet, więc zanurza rękę głęboko, aż wyczuwa coś twardego i wyciąga to na wierzch: model Domu Latarni o ścianach z drewna bukszpanowego; ten model stał kiedyś w biurze firmy Bellcast, obok modeli wszystkich projektów domów, które ta firma zrealizowała. Model ma podstawę wielkości około pół metra kwadratowego i Jude stawia go sobie na kolanach, zanim uniesie do twarzy, by zajrzeć przez pleksiglasowe okienka, podnieść dach i spacerować palcami po pokojach.

Ociera oczy i ponownie sięga ręką w głąb pudła. Następnym znaleziskiem jest gruba koperta zawierająca ich zdjęcia, zarówno wszystkich czterech, jak i tylko jego i Willema: z college'u, z Nowego Jorku, z Truro, z Cambridge, z Garrison, z Indii, z Francji, z Islandii, z Etiopii – z miejsc, w których mieszkali, z wycieczek, które robili.

Pudło nie jest bardzo duże, a jednak kryje jeszcze inne rzeczy: dwie delikatne unikatowe księgi rycin japońskich domów, autorstwa francuskiego ilustratora; mały abstrakcyjny obraz młodego brytyjskiego artysty, który Jude zawsze podziwiał; większy obraz przedstawiający twarz mężczyzny, pędzla znanego amerykańskiego malarza, który zawsze podobał się Willemowi; dwa najstarsze szkicowniki Malcolma, zarysowane jego fantastycznymi strukturami. Wreszcie Jude wyciąga z pudła ostatnią rzecz, coś owiniętego w wiele warstw gazet, więc wydobywa to powoli.

Trzyma w dłoniach Lispenard Street – ich mieszkanko o dziwnych proporcjach, z prowizoryczną drugą sypialnią, z wąskimi korytarzami i miniaturową kuchnią. Poznaje, że to wczesna praca Malcolma, bo okna wykonane są z przejrzystego papieru, a nie z papieru welinowego czy pleksi, a ściany zrobione są z kartonu, a nie z drewna. W tym mieszkanku Malcolm umieścił mebelki wycięte i poskładane ze sztywnego papieru: jego wyboisty podwójny materac, kanapę z połamanymi sprężynami znalezioną na ulicy, skrzypiący fotel na kółkach, podarowany im przez ciotkę JB. Brakuje tylko papierowego Jude'a i papierowego Willema.

Odstawia Lispenard Street na podłogę. Długo siedzi nieruchomo, z przymkniętymi oczami, wędrując myślą wstecz: nie idealizuje tamtych lat, teraz już nie, ale w tamtych czasach, kiedy nie wiedział, na co może mieć nadzieję, nie wiedział, że życie może być lepsze niż na Lispenard Street.

– A gdybyśmy się stamtąd nigdy nie wyprowadzili? – pytał go od czasu do czasu Willem. – Gdybym ja nie zrobił kariery? Gdybyś ty został w biurze prokuratora okręgowego? Gdybym ja wciąż pracował w Ortolanie? Jakie byłoby teraz nasze życie?

– Jak daleko chcesz się posunąć w teoretyzowaniu, Willem? – pytał on z uśmiechem. – Czy bylibyśmy razem?

– Oczywiście, że bylibyśmy razem. To by się nie zmieniło.

– W takim razie – mówił Jude – pierwszą rzeczą, którą byśmy zrobili, byłoby zlikwidowanie tej ściany i powiększenie salonu. A drugą rzeczą byłby zakup porządnego łóżka.

Willem się śmiał.

– I zaskarżylibyśmy gospodarza, żeby raz na zawsze naprawił windę.

– Racja, to byłby następny krok.

Siedzi; czeka, aż oddech mu się wyrówna. Potem włącza telefon, sprawdza nieodebrane połączenia: Andy, JB, Richard, Harold i Julia, Czarny Henry Young, Rhodes, Citizen, znowu Andy, znowu Richard, Lucien, Azjatycki Henry Young, Phaedra, Elijah, znowu Harold, znowu Julia, Harold, Richard, JB, JB, JB.

Dzwoni do JB. Jest późno, ale JB późno chodzi spać.

– Cześć – mówi, kiedy ten odbiera telefon, i słyszy zdumienie w jego głosie. – To ja. Czy to jest odpowiednia pora, żeby pogadać?

2

Teraz co najmniej w jedną sobotę na miesiąc bierze pół dnia wolnego i jedzie na Upper East Side. Kiedy opuszcza Greene Street, okoliczne butiki i sklepy jeszcze się nie pootwierały, a kiedy wraca, są już pozamykane. W takie dni potrafi wyobrazić sobie SoHo znane Haroldowi z dzieciństwa: miejsce zabite deskami i wyludnione, miejsce bez życia. Jego pierwszym przystankiem jest budynek na rogu Park i Siedemdziesiątej Ósmej, gdzie wjeżdża windą na szóste piętro. Służąca wpuszcza go do apartamentu i prowadzi do gabinetu w głębi mieszkania, który jest słoneczny i duży; tam czeka na niego Lucien – niekoniecznie na niego, ale czeka.

Zawsze podają mu późne śniadanie: a to cienkie plastry wędzonego łososia i maleńkie naleśniki z razowej mąki, a to ciasto z białym cytrynowym lukrem. Nigdy nie może się zmusić do jedzenia, chociaż niekiedy, gdy czuje się całkiem bezradny, przyjmuje od służącej porcję ciasta i przez całą wizytę trzyma talerzyk na kolanach. Chociaż nic nie je, wypija jedną po drugiej filiżanki herbaty, zaparzonej zawsze dokładnie tak, jak lubi. Lucien także nic nie je – jadł wcześniej – ani nie pije.

Podchodzi teraz do Luciena i bierze go za rękę.

– Cześć, Lucien – mówi.

Był w Londynie, gdy zadzwoniła do niego żona Luciena, Meredith. Trwał akurat tydzień retrospektywy Bergessona w MoMA i Jude załatwił sobie służbowy wyjazd z miasta. Lucien przeżył rozległy udar, powiedziała Meredith, będzie żył, ale lekarze jeszcze nie wiedzą, jak znaczne są zniszczenia mózgu.

Lucien przeleżał dwa tygodnie w szpitalu, a kiedy go wypisali, było już jasne, że zmiany są poważne. I chociaż minęło pięć miesięcy, zmiany się utrzymują: lewa część twarzy zdaje się spływać z czaszki, Lucien stracił władzę w lewej ręce i nodze. Może mówić, i to zdumiewająco dobrze, ale całkowicie stracił pamięć ostatnich dwudziestu lat. Na początku czerwca upadł, uderzył się w głowę i był w śpiączce; teraz jest zbyt niestabilny, aby chodzić, więc Meredith przeniosła ich z Connecticut do apartamentu w mieście, gdzie są bliżej szpitala i córek.

Wydaje mu się, że Lucien lubi jego wizyty, a przynajmniej nie ma nic przeciwko nim, ale nie jest tego pewny. Z całą pewnością Lucien nie wie, kim jest Jude: jest kimś, kto zjawia się w jego życiu, a potem znika. Za każdym razem musi się przedstawiać.

– Kto ty jesteś? – pyta Lucien.

– Jude.

– Przypomnij mi, proszę – mówi Lucien uprzejmie, jakby spotkali się na przyjęciu koktajlowym – skąd ja cię znam?

– Byłeś moim mentorem.

– Aha – mówi Lucien. A potem zapada cisza.

W pierwszych tygodniach Jude próbował przypomnieć Lucienowi swoje życie: opowiadał o Rosenie, Pritchardzie, o wspólnych znajomych, o sprawach, o które się spierali. Uświadomił sobie jednak, że mina, którą omyłkowo – w swojej głupiej nadziei – brał za wyraz namysłu, była w istocie wyrazem lęku. Teraz więc nie opowiada już o przeszłości, w każdym razie nie o ich wspólnej przeszłości. Pozwala Lucienowi kierować rozmową i chociaż nie rozumie jego odniesień, uśmiecha się i udaje, że rozumie.

– Kto ty jesteś? – pyta Lucien.

– Jude.

– Przypomnij mi, proszę, skąd cię znam?

– Byłeś moim mentorem.

– Aha, w Groton!

– Tak – odpowiada Jude, starając się uśmiechnąć. – W Groton.

Czasami jednak Lucien przygląda mu się bacznie.

– Mentorem? – powtarza. – Jestem za młody, żeby być twoim mentorem!

A czasami nie pyta o nic, tylko rozpoczyna rozmowę w środku tematu, więc Jude musi odczekać, aż uzbiera dość przesłanek, by odgadnąć, jaką rolę przypisał mu Lucien – czy dawnego chłopaka jednej ze swoich córek, czy kolegi ze studiów, czy przyjaciela z klubu – zanim odważy się coś odpowiedzieć.

W trakcie tych godzin dowiaduje się o wcześniejszym życiu Luciena więcej, niż ten ujawnił kiedykolwiek w czasie ich całej znajomości. Lucien nie jest już Lucienem, przynajmniej nie Lucienem, którego znał Jude. Ten Lucien jest niepewny i pozbawiony jakichkolwiek cech, jest gładki i obły jak jajko. Nawet jego głos, ów gardłowy zaśpiew, w którym Lucien wygłaszał swoje sentencje, zawsze w trybie oznajmującym, pauza, którą pomiędzy nimi robił, bo przywykł słyszeć śmiech słuchaczy, szczególny sposób budowania akapitów, które rozpoczynał i kończył żartem, a właściwie nie żartem, tylko elegancko zakamuflowaną obelgą, są teraz inne. Nawet gdy pracowali razem, Jude wiedział, że Lucien z biura to nie Lucien z klubu, ale tego drugiego Luciena nigdy nie widział. I teraz wreszcie go widzi, bo tylko ta osoba została. Ten Lucien rozmawia o pogodzie, o golfie, o żeglowaniu, o podatkach, z tym że prawo podatkowe, o którym mówi, pochodzi sprzed dwudziestu lat. Nigdy nie pyta go o to, co dotyczy Jude'a: kim jest, co robi, dlaczego czasem jeździ na wózku inwalidzkim. Lucien mówi, a on uśmiecha się i kiwa głową, opasując dłońmi filiżankę wystygłej herbaty. Jeśli

Lucienowi drżą ręce, bierze je w swoje, co jemu zawsze pomagało przy drżeniu rąk: Willem tak robił, oddychali razem i Jude'a to zawsze uspokajało. Kiedy Lucien się ślini, Jude ociera mu brodę skrajem serwetki. W przeciwieństwie do niego jednak Lucien nie wydaje się zażenowany swoim drżeniem i ślinieniem się i Jude przyjmuje to z ulgą. Nie wstydzi się w imieniu Luciena; krępuje go tylko własna niemożność zrobienia dla niego więcej.

– On uwielbia, jak przychodzisz, Jude – mówi za każdym razem Meredith, lecz on nie sądzi, żeby to była prawda. Czasami myśli, że przychodzi tam nie dla Luciena, tylko dla Meredith, i uświadamia sobie, że tak to właśnie jest, że tak musi być: nie odwiedza się zagubionych, odwiedza się ludzi, którzy szukają zagubionych. Lucien nie jest tego wszystkiego świadomy, a Jude pamięta, że sam był świadomy, kiedy chorował, zarówno za pierwszym razem, jak za drugim, a Willem się nim opiekował. Jak bardzo wdzięczny był wówczas, gdy obudziwszy się, znajdował przy sobie kogoś innego niż Willem. „Roman z nim jest" – mówił Richard lub Malcolm. Albo: „Poszedł na lunch z JB", i Jude się odprężał. W pierwszych tygodniach po amputacji, kiedy nie chciało mu się żyć, jego jedynymi chwilami szczęścia były te, w których wyobrażał sobie Willema pocieszonego. Siedzi więc z Meredith po wizycie u Luciena i rozmawiają, chociaż ona też nie pyta o jego życie, co mu zresztą odpowiada. Jest samotna; on także jest samotny. Meredith i Lucien mają dwie córki, z których jedna mieszka w Nowym Jorku, ale stale trafia na odwyk, druga zaś mieszka w Filadelfii z mężem i trójką dzieci. Też jest prawniczką.

Poznał te córki, które są o jakieś dziesięć lat młodsze od niego, chociaż Lucien jest w wieku Harolda. Kiedy odwiedził Luciena w szpitalu, starsza z nich, ta z Nowego Jorku, popatrzyła na niego z taką nienawiścią, że omal się nie cofnął, po czym powiedziała do siostry: „Och, spójrz tylko, kto przyszedł. Pupilek tatusia. Co za niespodzianka". A młodsza syknęła na nią: „Nie błaznuj, Portia. – Do niego zaś powiedziała: – Jude, dzięki, że przyszedłeś. Bardzo mi przykro z powodu Willema".

– Dzięki, że przyszedłeś, Jude – mówi teraz Meredith, całując go na do widzenia. – Zobaczę cię niedługo?

Zawsze go o to pyta, tak jakby mógł jej kiedyś odmówić.

– Tak. Zamejluję do ciebie.

– Dobrze – odpowiada Meredith i macha mu, gdy on idzie korytarzem do windy.

Jude zawsze ma wrażenie, że nikt inny ich nie odwiedza, a przecież to chyba niemożliwe. Niech tak nie będzie, błaga w duchu. Meredith i Lucien mieli zawsze mnóstwo przyjaciół. Wydawali przyjęcia. Nie było czymś niezwykłym widzieć Luciena wychodzącego z pracy w smokingu. Przewracał oczami i machał Jude'owi na pożegnanie. „Bankiet dobroczynny", mówił tytułem wyjaśnienia. „Przyjęcie". „Ślub". „Proszona kolacja".

Zawsze jest wycieńczony po tych odwiedzinach, ale idzie piechotą, siedem przecznic na południe i ćwierć kwartału na wschód, do Irvine'ów. Przez wiele miesięcy unikał Irvine'ów, aż miesiąc temu, w pierwszą rocznicę, zaprosili jego, Richarda i JB na kolację u siebie w domu, uznał więc, że musi pójść.

Był to weekend po Święcie Pracy. Poprzednie cztery tygodnie – cztery tygodnie, podczas których wypadł dzień, kiedy Willem ukończyłby pięćdziesiąt trzy lata, dzień jego śmierci – należały do najgorszych, jakich Jude doświadczył w życiu. Wiedział, że będą złe; starał się coś na tę okoliczność zaplanować. Firma chciała wysłać kogoś do Pekinu i chociaż wiedział, że powinien zostać w Nowym Jorku – pracował nad sprawą, która potrzebowała go bardziej niż interes w Pekinie – zgłosił się i pojechał. Z początku miał nadzieję, że będzie bezpieczny: mętna drętwota jet lagu była chwilami nie do odróżnienia od mętnej drętwoty jego żałoby, a były i inne fizyczne niedogodności – wśród nich gorąco, samo w sobie mętne i wilgotne – dzięki którym miał nadzieję się oderwać od problemu. Lecz pewnego wieczoru pod koniec pobytu, kiedy odwożono go do hotelu po długim dniu spotkań, wyjrzał przez okno i zobaczył, że nad ulicą jaśnieje ogromny billboard z twarzą Willema. Była to reklama piwa, do której Willem fotografował się dwa lata wcześniej, reklama prezentowana tylko w Azji. Z górnej krawędzi billboardu zwisali na linach ludzie, którzy zamalowywali ogłoszenie, i Jude uświadomił sobie, że unicestwiają twarz Willema. Nagle zabrakło mu powietrza, omal nie poprosił kierowcy o zatrzymanie się, ale i tak byłoby to niemożliwe – znajdowali się na pętli drogi pozbawionej zjazdów i zatoczek, więc siedział bardzo sztywno, z bijącym mocno sercem, licząc oddechy, które dzieliły go od hotelu, gdzie będzie mógł podziękować szoferowi, wysiąść z auta, przejść przez hall, wjechać windą, przejść korytarzem i wejść do swojego pokoju, gdzie zanim zdoła pomyśleć, rzuci się na zimną marmurową ścianę prysznica, z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami, i będzie się rzucał raz po raz, aż poczuje się tak obolały, jakby przetrącił sobie wszystkie kręgi.

Tej nocy pociął się bardzo, bez opamiętania, a gdy już trząsł się za mocno, żeby ciąć dalej, odczekał, umył podłogę, wypił trochę soku, żeby nabrać sił, i zaczął od nowa. Po trzech rundach cięcia wczołgał się w sam róg kabiny prysznicowej i zapłakał, założywszy ręce na głowę, zlepiając sobie włosy krwią, i spał tam tej nocy, przykryty ręcznikiem zamiast kocem. Robił tak czasem, kiedy był dzieckiem i czuł się, jakby eksplodował, jakby odrywał się od siebie niczym ginąca gwiazda, i czuł potrzebę wciśnięcia się w najciaśniejszą przestrzeń, jaką da się znaleźć, aby utrzymać więź pomiędzy kośćmi. Wyłuskiwał się wtedy ostrożnie spod brata Luke'a i kulił na brudnym motelowym chodniku pod łóżkiem, chodniku kłującym łupinami orzeszków i upuszczonymi pinezkami, oślizgłym od zużytych kondomów i dziwnych mokrych plam, albo w wannie, albo w szafce, skulony jak się tylko dało. „Moja ty biedna

stonko", mówił brat Luke, gdy znajdował go w tym stanie. „Dlaczego ty to robisz, Jude?". Brat Luke był miły i martwił się o niego, ale on nigdy nie był w stanie się wytłumaczyć.

Jakoś przeżył pekińską delegację; jakoś przeżył rok. W noc rocznicy śmierci Willema śniły mu się implodujące szklane wazony, ciało Willema wystrzelone w powietrze, jego twarz rozgniatająca się o drzewo. Obudził się z tak dojmującą tęsknotą za Willemem, że zdawało mu się, iż ślepnie. Dzień po powrocie do domu zobaczył pierwszy z plakatów *Szczęśliwych lat*, które wróciły do swojego oryginalnego tytułu: *Tancerz i scena*. Na niektórych plakatach była twarz Willema, z długimi włosami à la Nuriejew i nisko obciągniętym trykotem odsłaniającym długą, mocną szyję. Na innych widniała po prostu gigantyczna stopa – stopa Willema, którą znał – w baletce, *en pointe,* sfotografowana z tak bliska, że widać było żyły i włoski, drobne naprężone mięśnie i napięte ścięgna. „Premiera w Święto Dziękczynienia", informowały plakaty. O boże, pomyślał i cofnął się do domu, o boże. Chciał, żeby te przypomnienia się skończyły, i bał się dnia, w którym się skończą. W ostatnich tygodniach miał poczucie, że Willem oddala się od niego, chociaż jego żałoba wcale nie słabła.

Tydzień później pojechali do Irvine'ów. Postanowili, bez umawiania się, że pojadą razem, więc spotkali się w mieszkaniu Richarda, on dał mu kluczyki do samochodu i Richard prowadził. Wszyscy milczeli, nawet JB, a Jude był bardzo zdenerwowany. Zdawało mu się, że Irvine'owie się na niego gniewają; miał wrażenie, że zasłużył na ich gniew.

Na kolację były ulubione potrawy Malcolma, a kiedy jedli, Jude czuł, że ojciec Malcolma patrzy na niego, i przyszło mu do głowy, czy pan Irvine myśli sobie to, co on zawsze myślał: Dlaczego Malcolm? Dlaczego nie on?

Pan Irvine zaproponował, żeby stanęli wokół stołu i powspominali wspólnie Malcolma, ale Jude siedział, słuchając innych – pana Irvine'a, który opowiedział o wizycie w Panteonie, gdy Malcolm miał sześć lat, kiedy to po wyjściu z muzeum zorientowali się, że Malcolma z nimi nie ma, i pognali z powrotem go szukać, i znaleźli go na ziemi, gapiącego się z fascynacją na rozetę; Flory, która opowiedziała o tym, jak w drugiej klasie Malcolm przywłaszczył sobie jej domek dla lalek ze strychu, usunął z niego wszystkie lalki i napełnił wnętrze przedmiotami, dziesiątkami krzeseł, stołów i kanap, a nawet mebli nieokreślonych, które ulepił z gliny; JB, który opowiedział, jak w pewne Święto Dziękczynienia wrócili do Hood dzień wcześniej niż inni i włamali się do akademika, żeby mieć go dla siebie, i jak Malcolm rozpalił ogień w kominku, żeby mogli sobie upiec kiełbaski na kolację – a kiedy przyszła kolej Jude'a, opowiedział o tym, jak jeszcze na Lispenard Street Malcolm wybudował dla nich zestaw regałów, które podzieliły klitkę salonu na tak wąskie kiszki, że gdy siedziało się na sofie i wyciągnęło nogi, dosięgało się nimi regałów. Ale zależało mu na tych regałach, a Willem się zgodził. Więc Malcolm przyszedł z najtańszym drewnem, odpadami z tartaku, i we dwóch

z Willemem wytaszczyli to drewno na dach, gdzie zbili regały, żeby sąsiedzi nie skarżyli się na hałasy, a potem znieśli je na dół i zamontowali. Ale w trakcie montowania Malcolm zorientował się, że źle wymierzył i regały są o trzy cale za szerokie, wskutek czego jeden koniec konstrukcji wystawał na korytarz. Jude'owi to nie przeszkadzało, Willemowi też nie, ale Malcolm uparł się poprawić. „Daj spokój, Mal – perswadowali mu. – Jest super, jest świetnie". „Nie jest super – odparł markotnie Mal. – Nie jest świetnie". W końcu zdołali go przekonać i Malcolm wyszedł. Jude i Willem pomalowali regały na ostry cynober i zapełnili je książkami. Ale w następną niedzielę, o wczesnej godzinie, Malcolm pojawił się z kategoryczną miną. „To mi nie daje spokoju", powiedział. Postawił torbę na podłodze, wyjął z niej piłę i zaczął nadpiłowywać konstrukcję, a oni dwaj wrzeszczeli na niego, dopóki się nie zorientowali, że zamierza przerobić regał bez względu na to, czy mu będą pomagać, czy nie. Tak więc regał wrócił na dach, potem został zniesiony z powrotem, potem jeszcze raz to samo i wreszcie było idealnie.

– Stale pamiętam o tym incydencie – ciągnął Jude, a reszta słuchała – bo mówi on bardzo wiele o powadze, z jaką Malcolm traktował swoją pracę, i o jego perfekcji oraz szacunku dla materiału, czy była nim sklejka, czy marmur. Ale myślę też, że mówi to sporo o jego szacunku dla przestrzeni, który okazał nawet w koszmarnym, nieremontowalnym, przygnębiającym mieszkaniu w Chinatown: nawet tamta przestrzeń zasługiwała na szacunek. I mówi to bardzo dużo o jego szacunku dla przyjaciół, o tym, jak bardzo chciał, żebyśmy wszyscy mieszkali w miejscach, które dla nas zaprojektował: tak pięknych i żywych, jak jego wymarzone domy były piękne i żywe dla niego.

Umilkł. Chciał jeszcze powiedzieć coś, co raczej nie miało szans przejść mu przez gardło: kiedy Willem utyskiwał na konieczność taszczenia regału na miejsce, a Malcolm był w łazience i wyciągał pędzle i farbę spod zlewu, Jude podsłuchał, jak Malcolm szepcze do Willema: „Gdybym zostawił to tak, jak było, on mógłby się o to potknąć i upaść, Willem. Chciałbyś tego?". „Nie – odrzekł Willem po krótkiej pauzie, z wyraźnym zawstydzeniem. – Nie, oczywiście, że nie. Masz rację, Mal".

Malcolm, uświadomił sobie Jude, był pierwszym z nich, który wiedział, że Jude jest kaleką; wiedział o tym wcześniej niż on sam. Zawsze był tego świadom, ale nigdy nie budził tej świadomości w Judzie. Malcolm starał się tylko ułatwiać mu życie, a on miał kiedyś o to do niego pretensje.

Kiedy się żegnali, pan Irvine położył mu rękę na ramieniu.

– Jude, mógłbyś zostać jeszcze chwilę? – spytał. – Monroe odwiezie cię do domu.

Musiał się zgodzić, więc zrobił to, powiedziawszy Richardowi, że może odprowadzić samochód na Greene Street. Przez chwilę siedzieli w salonie, tylko on i pan Irvine – matka Malcolma została w jadalni z Florą, jej mężem i dziećmi – rozmawiając o jego zdrowiu, o zdrowiu pana Irvine'a, o Haroldzie i jego pracy, i nagle pan Irvine się rozpłakał. Jude wówczas wstał i przysiadł się do niego.

Z wahaniem położył dłoń na jego plecach, czując się niezdarny i zawstydzony, jakby dziesiątki lat uciekały mu spod nóg.

Pan Irvine zawsze ich wszystkich bardzo onieśmielał, nawet kiedy byli już dorośli. Jego wysoki wzrost, dumna postawa, twarde rysy – wyglądał jak postać z fotografii Edwarda Curtisa, dlatego nazywali go „Wódz". „Co Wódz na to powie, Mal?", spytał JB, kiedy Malcolm zdecydował się rzucić Ratstar i wszyscy usiłowali go od tego odwieść. Albo (znowu JB): „Mal, możesz zapytać Wodza, czy pozwoli mi skorzystać z mieszkania, kiedy będę przejazdem w Paryżu w przyszłym miesiącu?".

Teraz pan Irvine nie był już Wodzem, mimo że nadal cechowała go wyprostowana postawa i żelazna logika: miał osiemdziesiąt dziewięć lat i jego ciemne oczy przybrały ten odcień nieokreślonej szarości, jaki miewają tylko oczy bardzo młodych albo bardzo starych: kolor morza, z którego człowiek pochodzi, kolor morza, do którego człowiek wraca.

– Kochałem go – powiedział pan Irvine. – Wiesz o tym, Jude, prawda? Wiesz, że go kochałem.

– Wiem – odparł.

Zawsze przecież mówił Malcolmowi: „Oczywiście, że tata cię kocha, Mal. Oczywiście, że tak. Rodzice kochają swoje dzieci". Ale raz, gdy Malcolm był bardzo zdenerwowany (Jude już nie pamiętał, z jakiego powodu), warknął na niego: „Jakbyś coś o tym wiedział, Jude", po czym zapadła cisza, a potem Malcolm, przerażony tym, co zrobił, zaczął go przepraszać. „Przepraszam, Jude – powtarzał. – Strasznie cię przepraszam". A Jude nie miał na to nic do powiedzenia, bo Malcolm miał rację: nic nie wiedział na ten temat. To, co wiedział, wiedział z książek, a książki kłamały, upiększały świat. Była to najgorsza rzecz, jaką Malcolm kiedykolwiek do niego powiedział, i chociaż Jude nigdy do tego nie wracał, to Malcolm wrócił sam, raz, wkrótce po jego adopcji.

– Nigdy nie zapomnę tego, co ci powiedziałem.

– Zapomnij, Mal – powiedział Jude, który wiedział dokładnie, o co Malcolmowi chodzi. – Byłeś zdenerwowany. To było dawno.

– Ale to było złe – upierał się Malcolm. – Postąpiłem źle. Pod każdym względem.

Gdy teraz Jude siedział z panem Irvine'em, pomyślał sobie: chciałbym, żeby ta chwila należała do Malcolma. Ta chwila powinna była zdarzyć się Malcolmowi.

Więc odwiedza Irvine'ów po każdych odwiedzinach u Luciena i wizyty te mają ze sobą coś wspólnego. Obie są jak dryfowanie w przeszłość, podczas obu starzy mężczyźni opowiadają mu wspomnienia całkiem dla niego nowe, osadzone w nieznanych mu kontekstach. Ale chociaż te odwiedziny go przygnębiają, czuje, że musi je odbywać: odwiedza przecież ludzi, którzy zawsze służyli mu swoim czasem i rozmową, gdy tego potrzebował, a nie wiedział, jak poprosić. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat i był nowy w mieście, mieszkał u rodziców Malcolma i pan Irvine rozmawiał

z nim o rynku, o prawie i udzielał mu rad. Nie tyle na temat sposobu myślenia, ile na temat sposobu bycia: jak istnieć jako oryginał w świecie, który oryginałów nie toleruje. „Ludzie będą mówić o tobie różne rzeczy z racji tego, jak chodzisz – powiedział mu kiedyś pan Irvine, a on spuścił wzrok. – Nie, nie spuszczaj oczu, Jude. Nie masz się czego wstydzić. Jesteś inteligentnym mężczyzną i takim pozostaniesz, i zostaniesz nagrodzony za swoją inteligencję. Ale jeśli będziesz się zachowywał tak, jakby to nie było twoje miejsce, jeśli przybierzesz postawę przepraszającą, wówczas ludzie zaczną cię tak właśnie traktować. – Westchnął głęboko. – Wierz mi". Bądź twardy jak się tylko da, mówił pan Irvine. Nie zabiegaj o sympatię. Nigdy nie staraj się uczynić siebie lżej strawnym po to, żeby ułatwić życie kolegom. Harold go uczył, jak ma myśleć jako adwokat, ale pan Irvine go uczył, jak ma się zachowywać jak adwokat. Lucien zaś dostrzegał te zdolności u Jude'a i obie je docenił.

Tego popołudnia wizyta u Irvine'ów trwa krótko, bo starszy pan jest zmęczony. Wychodząc, Jude spotyka Florę – Fantastyczną Florę, z której Malcolm był taki dumny i tak jej zazdrościł – i rozmawiają parę chwil. Jest początek października, ale wciąż ciepło, poranki przypominają lato, lecz popołudniami robi się ciemno i wietrznie. Idąc ulicą Park do swojego samochodu, Jude wspomina, jak dwadzieścia lat temu (więcej!) spędzał tutaj soboty. Potem wracał na piechotę do domu i po drodze wpadał czasami do słynnej drogiej piekarni na Madison Avenue, gdzie kupował bochenek chleba orzechowego – jeden bochenek kosztował tyle, ile Jude gotów był wtedy wydać na obiad – który we dwóch z Willemem zjadali z masłem i solą. Piekarnia wciąż tam jest, więc Jude skręca z Park, żeby kupić chleb, który, o dziwo, nie zmienił ceny, przynajmniej z tego, co Jude pamięta, podczas gdy wszystko inne tak strasznie podrożało. Zanim zaczął odwiedzać w soboty Luciena i Irvine'ów, nie znał tej dzielnicy za dnia – do Andy'ego chodzi wieczorami – więc teraz zwalnia kroku, przyglądając się ładnym dzieciom biegającym po szerokich, czystych chodnikach, ich ładnym mamom idącym za nimi spacerem, lipom nad głową, których liście przybierają odcień bladawej, niespiesznej żółci. Mija Siedemdziesiątą Piątą Ulicę, gdzie kiedyś dawał korepetycje Felixowi, Felixowi, który dziś ma, nie do wiary, trzydzieści trzy lata i już nie śpiewa w punkowej kapeli, bo został, co jest jeszcze bardziej niewiarygodne, zarządcą fundacji, tak jak kiedyś jego ojciec.

W domu Jude kroi chleb, kroi na plasterki kawałek sera, stawia talerz na stole i gapi się w niego. Dokłada prawdziwych starań, żeby jeść porządne posiłki, żeby przyjąć na nowo zwyczaje i praktyki żywych. Tylko że jedzenie przychodzi mu z trudem. Nie ma apetytu, wszystko smakuje jak glina albo purée ziemniaczane z proszku, które dawali w domu dziecka. Ale próbuje. Łatwiej mu jeść przy kimś i dlatego co piątek umawia się na kolację z Andym, a co sobota z JB. I zaczął regularnie bywać w niedziele wieczorem u Richarda – we dwóch gotują któreś z Richardowych wegetariańskich dań, a potem India dosiada się do nich przy stole.

Odnowił także zwyczaj czytania gazety, więc teraz odsuwa chleb z serem i otwiera gazetę na dziale kulturalnym, ostrożnie, jakby miała go ugryźć. Dwie niedziele temu poczuł się pewny siebie i gdy zamaszyście odwrócił pierwszą stronę, natknął się na artykuł o filmie, który Willem miał zacząć kręcić we wrześniu minionego roku. W artykule była mowa o nowej obsadzie filmu, o z góry pochlebnych opiniach krytyków, o aktorze grającym za Willema główną postać. Jude złożył gazetę, poszedł do łóżka i leżał z poduszką na głowie, dopóki nie był w stanie wstać na nowo. Wie, że przez najbliższe dwa lata będzie się natykał na artykuły, plakaty i reklamy filmów, w których miał zagrać Willem w ciągu ostatniego roku. Ale dzisiaj w gazecie jest tylko całostronicowa reklama *Tancerza i sceny,* więc wpatruje się w niemal naturalnej wielkości twarz Willema: patrzy długo, ocieniając dłonią oczy, a potem opuszcza rękę. Gdyby to był film, myśli, ta twarz by do niego przemówiła. Gdyby to był film, podniósłby teraz oczy i Willem stałby przed nim.

Czasami Jude myśli: Radzę sobie lepiej. Radzę sobie coraz lepiej. Czasami budzi się silny i pełen wigoru. Dzisiaj będzie ten dzień, myśli. Dzisiaj będzie pierwszy dzień prawdziwej poprawy. Dzisiaj będzie dzień, w którym będę mniej tęsknił za Willemem. A potem coś się wydarza, coś tak banalnego jak wejście do garderoby i widok samotnego wieszaka wyczekującego na koszule Willema, koszule, których on już nigdy nie włoży, i ambicja Jude'a, jego nadzieja, topnieją w oczach i znowu ogarnia go rozpacz. Czasami myśli: Stać mnie na to. Ale coraz częściej już wie, że go nie stać. Obiecał sobie, że codziennie znajdzie nowy powód do dalszego życia. Niektóre z tych powodów są drobne: istnieją zapachy, które lubi, istnieją symfonie, które lubi, istnieją obrazy, które lubi, budynki, które mu się podobają, opery i książki, które lubi, miejsca, które chciałby zobaczyć, ponownie albo pierwszy raz. Niektóre z tych powodów mają charakter zobowiązań: bo powinien. Bo może. Bo Willem by sobie tego życzył. Ale są też racje dużego kalibru: z powodu Richarda. Z powodu JB. Z powodu Julii. I przede wszystkim z powodu Harolda.

Niespełna rok po tym, jak próbował się zabić, wybrali się z Haroldem na spacer. Było Święto Pracy, byli w Truro. Pamięta, że miał trudności z chodzeniem w tamten weekend; pamięta, jak ostrożnie stąpał po wydmach; pamięta, jak czuł, że Harold stara się go nie dotykać, nie pomagać mu.

Wreszcie usiedli, by odpocząć, patrzyli na ocean i rozmawiali: o sprawie, nad którą Jude pracował, o Laurensie, który właśnie odchodził na emeryturę, o nowej książce Harolda. Nagle Harold powiedział:

– Jude, musisz mi obiecać, że więcej tego nie zrobisz.

Ton Harolda – surowy, a Harold rzadko bywał surowy – kazał Jude'owi na niego spojrzeć.

– Haroldzie…

– Staram się o nic cię nie prosić – ciągnął Harold – ponieważ nie chcę, żebyś myślał, że jesteś mi cokolwiek winien: bo nie jesteś. – Odwrócił się i spojrzał mu w oczy, a minę miał surową. – Ale o to cię proszę. Proszę cię. Musisz mi to obiecać.

Jude się zawahał.

– Obiecuję – powiedział w końcu, a Harold kiwnął głową.

– Dziękuję ci.

Nigdy nie wracali do tamtej rozmowy, ale Jude, wiedząc, że to nie do końca logiczne, nie chciał złamać obietnicy danej Haroldowi. Nieraz zdawało mu się, że ta obietnica – ten ustny cyrograf – jest jedynym czynnikiem powstrzymującym go przed ponowną próbą, chociaż wiedział, że gdyby miał to znów zrobić, to już nie byłaby próba: tym razem zrobiłby to naprawdę. Wiedział jak, wiedział, że to zadziała. Od śmierci Willema myślał o tym niemal codziennie. Wiedział, jak należy rozegrać to w czasie, wiedział, jak chce zostać znaleziony. Dwa miesiące temu, w bardzo złym tygodniu, przepisał nawet swój testament, żeby brzmiał jak dokument osoby, która umarła z długiem przeprosin. Jego legat stanowiły prośby o wybaczenie. I chociaż nie zamierza postąpić w myśl tego testamentu – co sobie stale przypomina – to jednak go nie zmienił.

Ma nadzieję na zakażenie, coś szybkiego i śmiertelnego, coś, co go zabije i pozostawi bez winy. Ale infekcje się nie zdarzają. Od czasu amputacji nie miał ran. Nadal cierpi bóle, ale nie gorsze – słabsze nawet – niż przedtem. Jest wyleczony, a przynajmniej tak wyleczony, jak można go było wyleczyć.

Nie ma właściwie powodu do odwiedzania Andy'ego raz w tygodniu, a jednak to robi, ponieważ wie, że Andy martwi się, że on się zabije. On sam martwi się, że się zabije. Dlatego co piątek jedzie na przedmieścia. Zawsze jedzą razem kolację i tylko w drugi piątek miesiąca kolację poprzedza badanie lekarskie. Wszystko odbywa się tak jak zwykle: tylko jego brakujące stopy i brakujące łydki są dowodem, że coś się zmieniło. Innymi słowy wrócił do bycia osobą, którą był przed kilkudziesięciu laty. Z powrotem się krępuje. Panicznie boi się dotyku. Trzy lata przed śmiercią Willema zdobył się wreszcie na to, by mu pozwolić wmasowywać krem w blizny na swoich plecach, więc przez jakiś czas Jude czuł się inaczej: jak wąż, który porósł nową skórą. Ale teraz nie ma kto mu pomagać, więc blizny z powrotem stwardniały i wybrzuszyły się, oplatając jego plecy siecią elastycznych blokad.

Teraz już wie – ludzie się nie zmieniają. On nie może się zmienić. Willem uważał, że się zmienił własną wytrzymałością. Ale Jude – i inni – zawsze wiedzieli, że Willem miał te cechy już wcześniej. Tamte miesiące mogły wyklarować obraz Willema w jego własnych oczach, ale cechy, które w sobie wówczas odkrył, nie zdziwiły nikogo oprócz jego samego. W podobny sposób strata Willema była klarująca dla Jude'a. Przez lata spędzone z Willemem Jude mógł wmawiać sobie, że stał się kimś

innym, kimś szczęśliwszym, swobodniejszym i odważniejszym. Ale teraz Willem nie żyje, a on jest z powrotem tym, kim był dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat temu.

A więc kolejny piątek. Jedzie do Andy'ego. Waga: Andy wzdycha. Pytania: jego odpowiedzi, seria „tak" i „nie". Tak, czuje się dobrze. Nie, nie boli go bardziej niż zwykle. Nie, ani śladu ran. Tak, atak co dziesięć dni, co dwa tygodnie. Tak, sypia. Tak, widuje się z ludźmi. Tak, odżywia się. Tak, trzy posiłki dziennie. Tak, codziennie. Nie, nie wie dlaczego w takim razie traci na wadze. Nie, nie chce pomyśleć o odnowieniu spotkań z doktorem Loehmannem. Oględziny jego rąk: Andy je obraca, wypatrując nowych cięć, ale nie znajduje ani jednego. W tydzień po jego powrocie z Pekinu, w tydzień po tym, jak Jude stracił nad sobą kontrolę, Andy przeraził się stanem jego rąk; on sam się stropił, pamiętając, jaki ogarnął go szał. Andy jednak po prostu zdezynfekował cięcia, a kiedy skończył, uniósł obie jego ręce w swoich dłoniach.

– Rok – powiedział.

– Rok – powtórzył Jude jak echo. I obaj zamilkli.

Po badaniu idą do małej włoskiej knajpki za rogiem, którą obaj lubią. Andy go zawsze obserwuje przy tych kolacjach i jeżeli jest zdania, że Jude nie zamówił dość jedzenia, sam zamawia dla niego dodatkowe danie i pilnuje, aż wszystko zje. Ale tym razem Jude widzi, że Andy jest dziwnie spięty: gdy czekają na dania, pije – szybko – i rozprawia o futbolu, choć wie, że to Jude'a nie interesuje i nigdy na ten temat nie rozmawiają. Andy czasami dyskutował o sporcie z Willemem, a Jude przysłuchiwał się, jak się kłócą o tę czy inną drużynę, gdy usadowieni przy kuchennym stole zajadali orzeszki pistacjowe, a on przygotowywał deser.

– Przepraszam – mówi wreszcie Andy. – Ględzę.

Na stole pojawiają się przystawki; jedzą w milczeniu. Wreszcie Andy bierze głębszy oddech.

– Jude – mówi – rzucam praktykę.

Jude kroił właśnie bakłażana, ale odkłada nóż i widelec.

– Nie tak zaraz – dodaje szybko Andy. – Nie w ciągu najbliższych trzech lat. Ale w tym roku biorę wspólnika, żeby zmiana przeszła jak najbardziej gładko: dla personelu, ale zwłaszcza dla pacjentów. Mój wspólnik będzie przejmował z każdym rokiem coraz więcej pacjentów. – Przerywa na chwilę. – Myślę, że go polubisz. Wiem, że tak. Pozostanę twoim lekarzem, dopóki nie odejdę, i dam ci wiele wskazówek na zapas. Chciałbym jednak, żebyś go poznał, przekonał się, czy jest między wami właściwa chemia. – Andy lekko się uśmiecha, ale Jude'a na to nie stać. – Jeżeli się okaże, że nie, z jakiegokolwiek powodu, to będziemy mieli masę czasu, żeby ci poszukać kogoś innego. Znam kilka osób, które potrafiłyby się tobą zająć. I nie odejdę, dopóki cię jakoś nie urządzimy.

Jude nadal nie jest w stanie nic powiedzieć, nie może nawet unieść głowy i spojrzeć na Andy'ego.

– Jude – mówi Andy prosząco – chciałbym zostać na zawsze, dla ciebie. Jesteś jedyną osobą, dla której chciałbym zostać. Ale jestem zmęczony. Mam prawie sześćdziesiąt dwa lata, a zawsze sobie obiecywałem, że przejdę na emeryturę, zanim skończę sześćdziesiąt pięć. Ja…

Ale Jude mu przerywa.

– Andy, oczywiście, że powinieneś odejść na emeryturę, kiedy chcesz. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Cieszę się z twojej decyzji. Naprawdę. – Przerywa na chwilę. – Bardzo się od ciebie uzależniłem – wyznaje w końcu.

– Jude… Jude, ja zawsze będę twoim przyjacielem. Zawsze będę ci pomagał, medycznie czy w jakikolwiek sposób. Ale ty potrzebujesz kogoś, kto będzie się starzał równo z tobą. Ten gość, którego biorę na wspólnika, ma czterdzieści sześć lat; może cię leczyć do końca życia, jeśli tylko zechcesz.

– Pod warunkiem że umrę w ciągu najbliższych dziewiętnastu lat – wyrywa mu się.

Znowu zapada cisza.

– Przepraszam cię, Andy – mówi Jude przestraszony własną podłością i małostkowością. Przecież zawsze wiedział, że Andy przejdzie kiedyś na emeryturę. Ale dopiero teraz uświadamia sobie, iż był pewien, że tego nie dożyje. – Przepraszam – powtarza. – Nie słuchaj tego, co mówię.

– Jude – mówi cicho Andy. – Ja zawsze przy tobie będę, tak czy inaczej. Obiecałem ci to dawno i dzisiaj obiecuję ponownie. – Pauza. – Słuchaj, Jude. Wiem, że to nie będzie łatwe. Wiem, że nikt inny nie zdoła powtórzyć naszej historii. Nie jestem zarozumiały; po prostu myślę, że nikt inny nie zrozumie cię całkowicie, tak jak należy. Ale spróbujemy się zbliżyć do tego ideału. Bo kto mógłby ciebie nie pokochać? – Andy znowu się uśmiecha, ale i teraz Jude nie jest w stanie odpowiedzieć tym samym. – Tak czy owak chcę, żebyś przyszedł poznać tego nowego gościa. Na imię ma Linus. To dobry lekarz i co równie ważne, dobry człowiek. Nie zdradzę mu żadnych szczegółów o tobie: chciałbym tylko, żebyś go poznał, okej?

Więc we wtorek Jude jedzie do gabinetu Andy'ego, a tam jest ktoś jeszcze – niski, przystojny mężczyzna, z uśmiechem, który przypomina mu uśmiech Willema. Andy przedstawia ich sobie, wymieniają uścisk rąk.

– Tak dużo o tobie słyszałem, Jude – mówi Linus. – Miło cię wreszcie poznać.

– Nawzajem – mówi on. – Gratuluję.

Andy ich zostawia, żeby mogli porozmawiać. Zrazu idzie im to dość kulawo, żartują, że to spotkanie przypomina randkę w ciemno. Linus wie tylko o jego amputacji, którą omawiają pokrótce, i o poprzedzającym ją zapaleniu kości.

– Ta kuracja potrafi zabić – przyznaje Linus, ale nie wyraża współczucia z powodu jego nóg, za co Jude jest mu wdzięczny. Linus był tą osobą ze stażu grupowego, o której Andy wspominał już dawniej; wydaje się, że szczerze podziwia Andy'ego i ekscytuje się możliwością pracy z nim.

Linus jest w porządku. Po pytaniach, które zadaje, i po szacunku, z jakim je zadaje, Jude orientuje się, że to naprawdę dobry lekarz i zapewne dobry człowiek. Ale wie też, że nigdy się przed nim nie rozbierze. Nie wyobraża sobie, żeby miał z kimkolwiek innym prowadzić dyskusje, jakie prowadzi z Andym. Nie wyobraża sobie, żeby komuś innemu dać dostęp do swojego ciała, swoich lęków. Wzdryga się na samą myśl o tym, że ktoś znów miałby oglądać jego ciało: sam od amputacji popatrzył na siebie tylko raz. Obserwuje twarz Linusa, jego niepokojąco willemowaty uśmiech, i chociaż jest od niego tylko pięć lat starszy, czuje się nagle prastary, jak coś połamanego i zeschłego, coś, na co każdy chciałby jak najszybciej narzucić płachtę. „Zabierzcie to stąd – powiedziałby. – To śmieć".

Myśli o rozmowach, które będzie musiał przeprowadzić, wyjaśnieniach, których będzie musiał udzielić: o plecach, rękach, nogach, chorobach. Ma serdecznie dość swoich lęków, swoich niepokojów, ale chociaż ma ich dość, nie umie przestać ich hołubić. Wyobraża sobie, jak Linus przegląda jego kartę pacjenta i widzi lata, dekady notatek Andy'ego o nim: spisy jego cięć, ran, leków, które zażywał, wybuchów infekcji. Notatki o jego próbie samobójczej, o prośbach Andy'ego, żeby się spotkał z doktorem Loehmannem. Wie, że Andy wszystko to rejestrował; wie, jaki jest sumienny.

„Komuś musisz powiedzieć", tłumaczyła mu Ana, a gdy dorósł, postanowił interpretować to zdanie dosłownie: komuś jednemu. Kiedyś, myślał, kiedyś znajdę sposób na powiedzenie komuś jednemu, jednej osobie. A potem powiedział, komuś jednemu, komu ufał, ale ta osoba umarła, a on już nie miał siły opowiadać swojej historii od początku. Ale czy nie jest tak, że każdy opowiada własne życie – naprawdę opowiada własne życie – tylko jednej osobie? Jak często można odeń oczekiwać, że będzie się powtarzał, kiedy on z każdym opowiadaniem zdziera ubranie z własnej skóry i ciało z własnych kości, aż staje się bezbronny jak mała różowa myszka? W tym momencie już wie, że nigdy nie pójdzie do innego lekarza. Będzie chodził do Andy'ego, jak długo się da, jak długo Andy mu pozwoli. A potem… nie wie; potem coś wykombinuje. Na razie jego prywatność, jego życie nadal należą do niego. Na razie nikt inny nie musi wiedzieć. Jego myśli są tak zajęte Willemem – próbami odtworzenia Willema, zatrzymania w głowie jego twarzy, jego głosu, jego obecności – że przeszłość oddaliła się od niego jak jeszcze nigdy: znalazł się pośrodku jeziora i próbuje utrzymać się na powierzchni; nie może myśleć o powrocie na brzeg i konieczności życia wspomnieniami po raz wtóry.

Nie ma ochoty na kolację z Andym tego wieczoru, ale żegnają się z Linusem i idą. Dochodzą w milczeniu do restauracji sushi, w milczeniu siadają, potem zamawiają i w milczeniu czekają.

– No i jak? – pyta wreszcie Andy.

– Trochę podobny do Willema.

– Naprawdę? – pyta Andy, a on wzrusza ramionami.

– Trochę – powtarza. – Z uśmiechu.

– Aha. Chyba tak. Teraz to widzę. – Znowu milczenie. – Ale jak go oceniasz? Wiem, że to czasem trudno powiedzieć po jednym spotkaniu, ale czy on ci wygląda na kogoś, z kim się dogadasz?

– Nie sądzę, Andy – odpowiada po chwili i czuje rozczarowanie Andy'ego.

– Naprawdę, Jude? Co ci się w nim nie spodobało?

On jednak nie odpowiada, więc w końcu Andy wzdycha.

– Przykro mi. Miałem nadzieję, że poczujesz się przy nim dość swobodnie, żeby chociaż wziąć rzecz pod uwagę. Pomyślisz mimo wszystko? Może dasz mu szansę? A tymczasem mamy tego drugiego, Stephana Wu, którego chyba powinieneś poznać. Nie jest ortopedą, ale to może nawet lepiej; to najlepszy internista, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Albo jest jeszcze ten, który się nazywa…

– O Jezu, Andy, przestań! – mówi Jude i słyszy złość w swoim głosie, złość, której nie był w sobie świadom. – Przestań. – Widzi zbolałą minę Andy'ego. – Tak ci pilno się mnie pozbyć? Nie możesz dać mi spokoju? Nie możesz dać mi chwili na zastanowienie? – Wie, jaki jest samolubny, nierozsądny, egotyczny, i jest z tego powodu nieszczęśliwy, ale nie umie się pohamować: wstaje, wali pięścią w stół. – Zostaw mnie – mówi. – Jeżeli nie zamierzasz ze mną być, to mnie zostaw.

– Jude – zaczyna Andy, ale on już odchodzi od stolika.

W tym samym momencie pojawia się kelnerka z ich zamówieniami i Jude słyszy, że Andy klnie, i widzi, że sięga po portfel. Wychodzi z restauracji. Pan Ahmed nie pracuje w piątki, bo Jude jeździ do Andy'ego sam, ale teraz, zamiast wrócić do samochodu, który stoi zaparkowany pod przychodnią, łapie taksówkę, szybko wsiada i odjeżdża, zanim Andy zdąży go dogonić.

Wieczorem wyłącza telefony, odurza się lekami, wczołguje do łóżka. Budzi się następnego dnia, pisze esemesy do JB i Richarda, że nie czuje się dobrze i musi odwołać kolacje z nimi, a potem znów się odurza, aż nastaje poniedziałek. Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek. Ignoruje wszystkie telefony Andy'ego, jego esemesy i mejle, wszystkie jego wiadomości, ale chociaż nie jest już zły, tylko zawstydzony, nie umie się zdobyć na jeszcze jedne przeprosiny, nie może znieść własnej podłości, własnej słabości. „Jestem przerażony, Andy – chciałby powiedzieć. – Co ja bez ciebie zrobię?".

Andy uwielbia słodycze, więc w czwartek po południu Jude prosi jedną z sekretarek, by zamówiła bezsensownie wielką ilość czekoladek z ulubionej cukierni Andy'ego.

– Z jakimś bilecikiem? – pyta sekretarka, ale on kręci głową.

– Nie – mówi – tylko moje imię.

Sekretarka kiwa głową i już ma wyjść, kiedy Jude woła ją z powrotem, łapie z biurka kartkę i bazgrze do Andy'ego: *Jestem głęboko zażenowany. Proszę, wybacz mi. Jude* – i wręcza jej.

Jednak następnego wieczoru nie jedzie do Andy'ego. Wraca do domu szykować kolację dla Harolda, który zjawił się w mieście na jedną ze swoich niezapowiedzianych wizyt. Ubiegłej wiosny Harold skończył pracę na uczelni, co do Jude'a dotarło dopiero we wrześniu. Jude i Willem od dawna planowali, że urządzą Haroldowi przyjęcie, gdy wreszcie przejdzie na emeryturę, tak jak to zrobili dla Julii z tej samej okazji. Więc w końcu sobie przypomniał, ale wciąż nie robił nic.

Jest zmęczony. Nie ma ochoty widzieć Harolda. Ale i tak przygotowuje kolację, której, wie to z góry, sam nie zje, i serwuje ją Haroldowi, po czym siada przy stole.

– Nie jesteś głodny? – pyta Harold, a on kręci głową.

– Jadłem dzisiaj lunch o piątej – kłamie. – Zjem później.

Patrzy na jedzącego Harolda i widzi, że jest stary, że skóra na jego dłoniach stała się miękka i jedwabista jak u niemowlęcia. Jeszcze wyraźniej uświadamia sobie, że sam jest o rok starszy, o dwa lata starszy, a teraz o sześć lat starszy, niż był Harold, kiedy się poznali. A jednak mimo upływu lat Harold pozostał dla niego wiecznym czterdziestopięciolatkiem; jedyne, co się zmieniło, to przekonanie, że czterdzieści pięć to podeszły wiek. Jude z zakłopotaniem przyznaje sam przed sobą, że istnieje taka możliwość, a nawet jest bardzo prawdopodobne, że przeżyje Harolda. Już żyje dłużej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał; czy to możliwe, że będzie żył jeszcze dłużej?

Przypomina mu się rozmowa z Haroldem, gdy skończył trzydzieści pięć lat.

– Jestem w średnim wieku – powiedział, a Harold się roześmiał.

– Jesteś młody – powiedział. – Jesteś bardzo młody, Jude. Byłbyś w średnim wieku, tylko gdybyś planował, że umrzesz, mając lat siedemdziesiąt. A nie radzę ci. Nie mam ochoty uczestniczyć w twoim pogrzebie.

– Miałbyś wtedy dziewięćdziesiąt pięć lat – obliczył Jude. – Naprawdę masz zamiar jeszcze żyć w tym wieku?

– Żyć i weselić się, i być obsługiwanym przez zastęp dorodnych młodych pielęgniarek, i na pewno nie znajdować upodobania w rozwlekłych nabożeństwach żałobnych.

Jude wreszcie się uśmiechnął.

– A kto opłaca ten zastęp dorodnych młodych pielęgniarek?

– Ty oczywiście – odpowiedział Harold. – Ty i twoi nadziani klienci z firm farmaceutycznych.

Ale teraz Jude się martwi, że może jednak do tego nie dojdzie. Nie opuszczaj mnie, Haroldzie, myśli, ale jest to prośba pusta, pozbawiona ducha, której spełnienia Jude się nie spodziewa; prośba wynikająca bardziej z odruchu niż z autentycznej nadziei. Nie opuszczaj mnie.

– Nic nie mówisz – zauważa teraz Harold, więc Jude przywołuje się do przytomności.

– Przepraszam cię, Haroldzie. Trochę się zamyśliłem.

– Widzę. Mówiłem, że myślimy z Julią, żeby spędzać więcej czasu tu, w mieście; myślimy o przeprowadzeniu się w tę okolicę.

Jude mruga gwałtownie.

– Chcecie się przeprowadzić?

– Zachowalibyśmy dom w Cambridge – odpowiada Harold – ale tak. Rozważam możliwość prowadzenia seminarium na Columbii w przyszłym semestrze jesiennym; chcielibyśmy spędzać tu więcej czasu. – Patrzy na Jude'a. – Pomyśleliśmy, że miło nam będzie także być bliżej ciebie.

Jude nie wie, co o tym myśleć.

– Ale co z waszym życiem tam? – pyta. Rewelacja Harolda wytrąciła go z równowagi; Harold i Julia uwielbiają Cambridge, nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogą chcieć stamtąd wyjechać. – Co z Laurence'em i Gillian?

– Laurence i Gillian bez przerwy przyjeżdżają do miasta, tak jak wszyscy. – Harold znów przygląda mu się bacznie. – Nie wydajesz się tym uszczęśliwiony, Jude.

– Przepraszam – odpowiada on, spuszczając wzrok. – Mam tylko nadzieję, że nie przenosicie się tutaj ze względu… ze względu na mnie. Ale jeżeli tak, to nie powinniście, Haroldzie. Radzę sobie. Radzę sobie świetnie.

– Czyżby, Jude? – pyta Harold, bardzo cicho, a on nagle wstaje i wychodzi do łazienki koło kuchni, gdzie siada na sedesie i ukrywa twarz w dłoniach. Słyszy, że Harold czeka po drugiej stronie drzwi, ale nie mówi nic. Harold też się nie odzywa. Wreszcie, parę minut później, gdy już się opanował, otwiera drzwi i obaj z Haroldem patrzą sobie w oczy.

– Mam pięćdziesiąt jeden lat – mówi Jude.

– I co z tego? – pyta Harold.

– To z tego, że umiem o siebie zadbać. To z tego, że nie potrzebuję nikogo do pomocy.

Harold wzdycha.

– Jude, nie ma terminu ważności na potrzebę pomocy czy potrzebę bliskości innych ludzi. To nie jest tak, że osiągamy pewien wiek i ona ustaje. – Znowu milczą przez chwilę. – Jesteś taki chudy – podejmuje Harold, a kiedy on nie odpowiada, dodaje: – Co na to Andy?

– Nie jestem w stanie dłużej tak rozmawiać – mówi w końcu Jude chrapliwym głosem. – Nie mogę, Haroldzie. I ty też nie możesz. Mam wrażenie, że na każdym kroku sprawiam wam zawód, i bardzo was za to przepraszam, przepraszam za wszystko. Ale ja się naprawdę staram. Robię, co mogę. Przepraszam, jeżeli to nie wystarcza. – Harold próbuje coś wtrącić, ale on nie pozwala. – Taki jestem.

Taki jestem, Haroldzie. Bardzo mi przykro, że stanowię dla was taki problem. Bardzo mi przykro, że psuję ci emeryturę. Bardzo mi przykro, że nie jestem szczęśliwszy. Bardzo mi przykro, że nie zapomniałem Willema. Bardzo mi przykro, że mam pracę, której nie szanujesz. Bardzo mi przykro, że jestem takim nikim. – Sam już nie wie, co mówi, sam już nie wie, co czuje, chce się pociąć, chce zniknąć, chce się położyć i nigdy więcej nie wstać, chce się rzucić w przepaść. Nienawidzi siebie; lituje się nad sobą; nienawidzi siebie za to, że lituje się nad sobą. – Myślę, że powinieneś już iść – mówi. – Myślę, że powinieneś wyjść.

– Jude – zaczyna Harold.

– Proszę cię, idź już. Proszę. Jestem zmęczony. Chcę zostać sam. Proszę cię, zostaw mnie samego.

I odwraca się od niego, stoi i czeka, aż słyszy, że Harold się oddala.

Po wyjściu Harolda Jude wjeżdża windą na dach. Jest tu kamienny murek sięgający piersi, który okala dach, i Jude opiera się o niego, łykając chłodne powietrze; dłonie przyciska płasko do zwieńczenia murku, aby opanować ich drżenie. Myśli o Willemie, o tym, jak nieraz stali tu razem w nocy, nie mówiąc nic, tylko zaglądając w dół do cudzych mieszkań. Z południowego krańca dachu widać czubek ich starego domu na Lispenard Street, więc czasami udawali, że widzą nie tylko sam budynek, ale też siebie wewnątrz, ich dawne tożsamości odgrywające teatr codziennego życia.

– Musi być jakaś fałda w kontinuum czasoprzestrzeni – mówił Willem głosem narratora kina akcji. – Bo przecież stoisz tutaj obok mnie, a jednocześnie… widzę cię, jak się pętasz po tej parszywej klitce. Mój boże, St. Francis, czy ty rozumiesz, co tu się dzieje?!

Jude się wtedy śmiał, ale wspominając to teraz, nie może się śmiać. Obecnie jego jedyną przyjemnością są myśli o Willemie, a przecież te same myśli są zarazem źródłem największego smutku. Żałuje, że nie może zapomnieć tak kompletnie, jak zapomniał Lucien, że Willem kiedykolwiek istniał, że istniało jego życie z Willemem.

Stojąc tak na dachu, zastanawia się nad tym, co zrobił. Zachował się irracjonalnie. Zezłościł się na kogoś, kto po raz kolejny zaoferował mu pomoc, na kogoś, komu jest wdzięczny, komu jest dłużny, kogo kocha. Dlaczego ja się tak zachowuję? Nie znajduje odpowiedzi.

Daj mi się poprawić – prosi w duchu. – Daj mi się poprawić albo daj mi z tym skończyć. Czuje się jak w zimnym betonowym pomieszczeniu, które ma kilka wyjść, ale on zamyka te drzwi, jedne po drugich, izolując się w tej komorze, odcinając sobie drogi ucieczki. Ale dlaczego to robi? Dlaczego zamyka się w pułapce miejsca, którego nienawidzi i którego się boi, skoro istnieją inne miejsca, w które mógłby się udać? To, myśli sobie, jest kara za poleganie na innych: oni go opuszczą, jeden po drugim, i znowu zostanie sam, i będzie jeszcze gorzej, bo będzie pamiętał, że kiedyś było mu lepiej. Znów ma poczucie, że jego życie się cofa, że staje się coraz mniejsze i mniejsze, cementowa komora

wokół niego kurczy się, aż zostaje mu tylko tyle miejsca, że musi kucnąć, bo gdyby się położył, strop obniżyłby się i zostałby zmiażdżony.

Przed położeniem się spać pisze do Harolda list z przeprosinami za swoje zachowanie. Pracuje przez całą sobotę; śpi przez całą niedzielę. I zaczyna się nowy tydzień. We wtorek dostaje wiadomość od Todda. Pierwsze procesy zostały zamknięte, sumy odszkodowań są astronomiczne, ale nawet Todd ma dość wyczucia, żeby go nie namawiać do świętowania. Jego wiadomości, telefoniczne lub mejlowe, są zwięzłe i konkretne: nazwa firmy, która jest gotowa do ugody, proponowana suma, krótkie „gratuluję".

W środę Jude miał zajrzeć do organizacji artystów, gdzie nadal wykonuje pracę *pro bono*, lecz zamiast tego umawia się z JB w centrum, w galerii Whitney, gdzie instalują retrospektywną wystawę JB. Ta wystawa to kolejna pamiątka z pełnej duchów przeszłości; planowana była przez blisko dwa lata. Kiedy JB im o niej powiedział, we trzech urządzili sobie małe przyjęcie na Greene Street.

– No, no, JB, wiesz chyba, co to znaczy? – zapytał Willem, wskazując dwa obrazy, *Willem i dziewczyna* oraz *Willem i Jude. Lispenard Street II*, z pierwszej wystawy JB, wiszące obok siebie w ich salonie. – Po zamknięciu wystawy wszystkie te obrazy trafią prosto do Christie's.

I wszyscy się roześmiali, a najgłośniej JB, dumny, uszczęśliwiony i odprężony.

Te dwie prace, jak również kupiony przez Jude'a obraz *Willem, Londyn, 8 października 9.08* z wystawy *Sekundy, minuty, godziny, dni* oraz kupiony przez Willema obraz *Jude, Nowy Jork, 14 października, 7:02*, a także należące do nich płótna z wystaw *Wszyscy których znałem*, *Narcystyczny przewodnik po samonienawiści* i *Żabek i Ropuch*, plus wszystkie rysunki, malunki i szkice JB, które Jude i Willem dostali w prezencie i zachowali, niektóre jeszcze z czasów college'u, znajdą się na wystawie w Whitney, obok dzieł wcześniej niewystawianych.

Równocześnie odbędzie się wernisaż nowych obrazów w galerii JB. Jude trzy tygodnie wcześniej odwiedził pracownię JB na Greenpoincie, żeby je obejrzeć. Seria nosi tytuł *Złote gody* i jest zapisem życia rodziców JB z czasów przed jego narodzeniem i w wyobrażonej przyszłości, bo rodzice JB żyją do późnej starości. Matka JB nadal żyje, podobnie jak jego ciotki, ale na obrazach jest także ojciec JB, który w rzeczywistości zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat. Ta seria obejmuje tylko szesnaście obrazów, często mniejszych niż poprzednie prace JB. Kiedy Jude chodził po pracowni, oglądając te sceny domowej fantazji – sześćdziesięcioletni ojciec JB wykrawa gniazdo nasienne z jabłka, podczas gdy jego matka robi kanapkę; siedemdziesięcioletni ojciec JB siedzi na sofie i czyta gazetę, a w tle widać nogi matki JB schodzącej po schodach – nie mógł nie myśleć o tym, jakie jest i jakie mogłoby być jego życie. Właśnie tych scen z życia z Willemem brakowało mu najbardziej, tych łatwych do

zapomnienia momentów pomiędzy, w których niby nic się nie dzieje, ale których nieobecność jest nie do wypełnienia.

Między portretami wisiały martwe natury, przedstawienia przedmiotów świadczących o wspólnym życiu rodziców JB: dwie poduszki na łóżku, obie lekko wgniecione, tak jakby ktoś przeciągnął łyżką po powierzchni bitej śmietany; dwie filiżanki do kawy, z których jedna ma brzeg lekko umazany szminką; ramka ze zdjęciem nastoletniego JB z ojcem (jedyne pojawienie się JB na tych obrazach). Widok tych prac kazał Jude'owi jeszcze raz zadziwić się głębią zrozumienia JB dla życia razem, dla jego życia, dla tego, jak wszystko w jego mieszkaniu – spodnie od dresu Willema wciąż przerzucone przez krawędź kosza na bieliznę, szczoteczka do zębów Willema wciąż czekająca w szklance na umywalce, zegarek Willema ze szkiełkiem pękniętym po wypadku, który wciąż leży nietknięty na jego nocnej szafce – stało się totemiczne, stało się ciągiem runów, które on jeden potrafi odczytać. Stolik po stronie łóżka Willema w Domu Latarni zamienił się w rodzaj niezamierzonego sanktuarium: stoi na nim kubek, z którego Willem ostatnio pił, leżą okulary w czarnej oprawie, które ostatnio zaczął nosić, leży książka, którą właśnie czytał, rozłożona, okładką do góry, tak jak Willem ją zostawił.

– Och, JB – westchnął Jude i chociaż chciał powiedzieć coś więcej, nie był w stanie. Ale JB i tak mu podziękował. Mniej teraz rozmawiali, ale Jude nie wiedział, czy to dlatego, że JB zmienił się sam, czy dlatego, że zmienił się pod jego wpływem.

Puka teraz do drzwi muzeum i zostaje wpuszczony przez jednego z asystentów z pracowni JB, który na niego czekał i który go informuje, że JB dogląda montażu na najwyższym piętrze, ale najlepiej będzie, jeśli Jude zacznie zwiedzanie od szóstego, podążając na górę, gdzie się spotkają. Tak też Jude robi.

Galerie na tym piętrze poświęcone są wczesnym pracom JB, w tym juweniliom. W ramkach tworzących kwadrat umieszczono dziecięce rysunki JB; jest tam między innymi test z matematyki, na którym JB narysował ołówkiem urocze portrety, zapewne kolegów z klasy: ośmio- i dziewięciolatki pochylone nad ławkami zajadają batony, karmią ptaki. Żadnego z zadań testu nie rozwiązał, więc na górze strony widnieje wściekle czerwone „F", z dopiskiem: „Szanowna Pani Marion – widzi Pani, na czym polega problem. Proszę przyjść do mnie na rozmowę. Z uszanowaniem, Jamie Greenberg. PS Pani syn ma nieprzeciętny talent". Jude patrzy na to z uśmiechem; od dawna już się nie uśmiechał. W lucytowym sześcianie na postumencie pośrodku sali znajduje się kilka obiektów z *The Kwotidien*, między innymi pokryta włosami szczotka, której JB nigdy mu nie zwrócił, więc Jude uśmiecha się znowu, bo pomyślał o weekendach poświęconych na zbieranie włosów w salonach fryzjerskich.

W pozostałej części piętra rozmieszczono obrazy z cyklu *Chłopcy*, więc Jude powoli przemierza sale, oglądając portrety Malcolma, swoje, Willema. Oto oni dwaj w sypialni na Lispenard Street:

siedzą na swoich bliźniaczych łóżkach, wpatrzeni prosto w obiektyw JB, Willem z nieznacznym uśmiechem. Oto znowu oni, przy karcianym stoliku, Jude pracujący nad raportem, Willem czytający książkę. Tu znów na przyjęciu. Tu na innym przyjęciu. Tu Jude z Phaedrą, tu Willem z Richardem. Tu Malcolm z siostrą, Malcolm z rodzicami. A oto *Jude z papierosem* i *Jude. Po chorobie*. Całą ścianę zajmują szkice tuszem tych obrazów, szkice przedstawiające ich. Tu znów fotografie, które stały się inspiracją do obrazów. Jest zdjęcie Jude'a, na podstawie którego namalowany został *Jude z papierosem*: oto on – jego mina, zgarbienie ramion – obcy sobie, a zarazem natychmiast dla siebie rozpoznawalny. Klatka schodowa obwieszona jest rysunkami i małymi obrazami, studiami i eksperymentami, które JB robił pomiędzy większymi dziełami. Jude widzi swój portret namalowany dla Harolda i Julii z okazji adopcji, widzi rysunki przedstawiające go w Truro, w Cambridge, także podobizny Harolda i Julii. Oto cała ich czwórka, oto ciotki, matka i babka JB, oto Wódz z panią Irvine, oto Flora, oto Richard i Ali, i obaj Henry Youngowie, i Phaedra.

Następne piętro: *Wszyscy których znałem Wszyscy których kochałem Wszyscy których nienawidziłem Wszyscy których pieprzyłem* oraz *Sekundy, minuty, godziny, dni*. Za nim i wokół niego krzątają się instalatorzy, dokonując drobnych korekt dłońmi w białych rękawiczkach; odstępują w tył i patrzą na ściany, by ocenić efekt. Jude ponownie wychodzi na klatkę schodową. Ponownie podnosi wzrok i widzi swoje podobizny: sama twarz, postać stojąca, postać na wózku inwalidzkim, on z Willemem, on sam. Te obrazy JB malował w okresie, gdy z sobą nie rozmawiali, gdy Jude i Willem go opuścili. Są też rysunki przedstawiające innych ludzi, ale tematem większości prac jest on. On i Jackson. I znowu Jackson i on, szachownica z dwóch postaci. Jego wizerunki są zwiewne, delikatne, wykonane ołówkiem, tuszem lub akwarelą. Jeden jest bardzo mały, na arkuszu wielkości pocztówki, a gdy Jude przygląda mu się z bliska, widzi, że coś jest na nim napisane, a potem starte gumką: „Drogi Judzie", odcyfrowuje, „proszę", lecz po tym słowie nie ma już nic więcej. Odwraca się, ma przyspieszony oddech i widzi akwarelę z bukietem kamelii, którą JB przysłał mu do szpitala po próbie samobójczej.

Kolejne piętro: *Narcystyczny przewodnik po samonienawiści*. Pod względem komercyjnym była to najmniej udana wystawa JB i Jude rozumie dlaczego: widok tych prac z wyrażoną w nich złością i nienawiścią do samego siebie budzi zarówno nabożny lęk, jak i nieznośne wręcz skrępowanie. Obrazy noszą tytuły *Czarnuch, Bufon, Kuglarz, Popychadło*. Na każdym z nich JB z błyszczącą czarną skórą i wyłupiastymi oczami o pożółkłych białkach tańczy albo wyje, albo rechocze, odsłaniając wstrętne, przerośnięte rybioróżowe dziąsła, a w tle Jackson i jego przyjaciele wyłaniają się z półmroku brązów i szarości jak z obrazów Goi, piejąc nad nim z zachwytu, klaszcząc, wytykając palcami i śmiejąc się. Ostatni obraz z tej serii nosi tytuł *Nawet małpy mają bluesa* i przedstawia JB

w czerwonym fezie na czubku głowy i przyciasnym czerwonym kubraku z epoletami, bez spodni, skaczącego na jednej nodze w pustym magazynie. Jude zatrzymuje się dłużej na tym piętrze, kontemplując obrazy. Mruga; ściska go w gardle. Wreszcie powoli kieruje się na ostatni bieg schodów.

Wychodzi na najwyższe piętro, jest tam trochę ludzi, więc staje z boku i przygląda się, jak JB rozmawia z kuratorami i pracownikami galerii, śmiejąc się i gestykulując. Ściany tego piętra obwieszone są w większości pracami z cyklu *Żabek i Ropuch*. Jude wędruje od jednego do drugiego, nie tyle widząc obrazy, co przypominając sobie doświadczenie oglądania ich po raz pierwszy, w pracowni JB, kiedy jeszcze byli dla siebie nowi z Willemem, kiedy on miał wrażenie, że rosną mu nowe organy – drugie serce, drugi mózg – aby pomieścić nadmiar uczuć, cud jego życia.

Wpatruje się właśnie w jeden z obrazów, kiedy JB go wreszcie dostrzega i podchodzi, on zaś ściska go mocno i gratuluje.

– JB – mówi. – Jestem z ciebie strasznie dumny.

– Dzięki, Judy – odpowiada z uśmiechem JB. – Sam jestem z siebie dumny, do cholery. – I nagle przestaje się uśmiechać. – Chciałbym, żeby tu byli.

Jude kręci głową.

– Ja też – udaje mu się wykrztusić.

Przez chwilę milczą.

– Chodź tutaj – mówi wreszcie JB i ciągnie go za rękę w daleki koniec sali, mijając pracownika galerii, który do niego macha, mijając ostatnią skrzynię rozpakowywanych rysunków, pod ścianę, gdzie ktoś ostrożnie zdejmuje z obrazu bąbelkową folię ochronną. JB ustawia siebie i Jude'a przed obrazem, a gdy plastik opada, Jude widzi, że to portret Willema.

Obraz nie jest duży – zaledwie metr dwadzieścia na metr – i namalowany został w planie poziomym. Jest to zdecydowanie najbardziej fotorealistyczny malunek, jaki JB wykonał od lat. Kolorystyka bogata i gęsta, pociągnięcia pędzlem, które nadały włosom Willema pierzastą lekkość. Willem na obrazie wygląda jak Willem na krótko przed śmiercią. Jude ma wrażenie, że to Willem z czasu realizacji *Tancerza i sceny* lub tuż po niej, do którego to filmu zapuścił i przyciemnił włosy. Dochodzi jednak do wniosku, że to musi być po *Tancerzu*, ponieważ sweter, który ma na sobie Willem, w ciemnozielonym odcieniu liści magnolii, został kupiony w Paryżu, kiedy Jude pojechał go tam odwiedzić.

Odstępuje nieco w tył, nie odrywając oczu od obrazu. Willem stoi przodem do widza, ale twarz ma zwróconą w prawo, prawie profilem, i pochyla ją z uśmiechem ku czemuś lub komuś. A ponieważ Jude zna jego uśmiechy, wie, że Willem przyłapany został w chwili spoglądania na coś, co kocha; wie, że Willem w tym momencie był szczęśliwy. Na obrazie dominują twarz i szyja Willema, a chociaż tło

jest raczej zasugerowane niż wyraźnie pokazane, można poznać, że Willem stoi przy ich stole. Jude poznaje to po światłocieniach, które JB namalował na twarzy Willema. Ma poczucie, że jeśli wypowie jego imię, twarz z obrazu odwróci się do niego i odpowie, jeśli wyciągnie rękę i pogładzi obraz, poczuje pod palcami włosy Willema i firanki jego rzęs.

Nie robi tego oczywiście, a tylko patrzy w końcu na JB i widzi jego smutny uśmiech.

– Opis jest już zamontowany – mówi JB, więc Jude podchodzi wolno do ściany za obrazem i widzi tytuł: *Willem słuchający Jude'a opowiadającego historię, Greene Street*, i czuje, że traci oddech; ma wrażenie, że jego serce jest zrobione z czegoś oślizłego i zimnego, jak mielone mięso, i ściskane jest w pięści, tak że drobiny padają z plaśnięciem na ziemię u jego stóp.

Kręci mu się w głowie.

– Muszę usiąść – mówi wreszcie, więc JB prowadzi go za róg na drugą stronę ściany, na której zawiśnie obraz, gdzie znajduje się mały zaułek. Jude przysiada na jednej z pozostawionych tutaj skrzyń i zwiesza głowę, opierając dłonie na udach.

– Przepraszam – mówi z trudem. – Przepraszam, JB.

– To dla ciebie – odpowiada cicho JB. – Po wystawie, Jude. On jest twój.

– Dzięki, JB.

Zmusza się do wstania i czuje, że wszystko w nim się podnosi. Muszę coś zjeść, myśli. Kiedy ostatnio jadł? Chyba rano, ale wczoraj. Wyciąga rękę ku skrzyni, żeby się podeprzeć, powstrzymać kołysanie, które czuje w głowie i plecach; coraz częściej zdarza mu się takie uczucie odpływania, stan bliski ekstazy. *Zabierz mnie gdzieś*, słyszy swój wewnętrzny głos, ale nie wie, do kogo on się zwraca ani gdzie chciałby iść. *Zabierz mnie, zabierz mnie.* Tak myśli, opasując się rękami, kiedy JB nagle łapie go za ramiona i całuje w usta.

Jude się wyrywa.

– Co robisz, do cholery? – pyta i zatacza się do przodu, mocno ocierając usta wierzchem dłoni.

– Jude, przepraszam cię, nic złego nie miałem na myśli – mówi JB. – Wyglądałeś tak… tak smutno.

– I dlatego to robisz? – parska na JB, który dał krok w jego stronę. – Nie waż się mnie dotknąć! – W tle słyszy pogawędkę instalatorów, pracownika galerii, kuratorów. Robi jeszcze krok w stronę ściany. Zaraz zemdleję, myśli, ale nie mdleje.

– Jude – mówi JB, a potem, z inną miną: – Jude?

Ale on się od niego odsuwa.

– Odejdź ode mnie – mówi. – Nie dotykaj mnie. Zostaw mnie.

– Jude – mówi JB ściszonym głosem, drepcząc za nim – nie wyglądasz za dobrze. Daj sobie pomóc. – On jednak idzie dalej, próbując się oddalić od JB. – Przepraszam cię, Jude – ciągnie tamten. – Przepraszam.

Jude ma świadomość, że grupa ludzi przesuwa się w drugi koniec sali, nie zauważając nawet, że on wychodzi, a JB za nim: jak gdyby nie istnieli.

Jeszcze dwadzieścia kroków do windy, szacuje, jeszcze osiemnaście; szesnaście; piętnaście; czternaście. Podłoga pod nim staje się wirującym, rozchwianym bąkiem. Dziesięć; dziewięć; osiem.

– Jude – JB nie przestaje gadać – daj sobie pomóc. Dlaczego nic do mnie nie mówisz?

Jude staje przy windzie, gwałtownie wciska dłonią guzik, opiera się o ścianę i modli się, żeby zdołał ustać.

– Odejdź ode mnie – syczy do JB. – Zostaw mnie.

Winda podjeżdża, drzwi się otwierają. Jude robi krok w ich stronę. Jego chód się zmienił: nadal prowadzi lewą nogą, jak zawsze, i wciąż podnosi ją nienaturalnie wysoko – to się nie zmieniło, przesądziła o tym kontuzja. Ale nie pociąga już prawą nogą, a ponieważ protezy stóp są doskonałe – znacznie doskonalsze, niż były jego własne stopy – jest w stanie poczuć ugięcie podbicia odrywającego się od podłogi i skomplikowane, piękne dopasowywanie go do podłoża, gdy z powrotem stawia stopę na ziemi.

Jednak gdy jest zmęczony, gdy jest w rozpaczy, nieświadomie powraca do dawnego chodu, ze stopami lądującymi płasko jak sztaby na podłodze, z prawą nogą pozostającą w tyle. Wchodząc do windy, zapomina, że jego nogi ze stali i włókna szklanego są przeznaczone do subtelniejszego użytkowania, więc potyka się i upada.

– Jude! – słyszy krzyk JB, a ponieważ jest bardzo osłabiony, na moment wszystko robi się ciemne i puste, a kiedy odzyskuje wzrok, widzi, że gromadka ludzi, która usłyszała krzyk JB, zmierza w ich stronę. Widzi także twarz JB nad sobą, ale jest zbyt zmęczony, by zinterpretować jego minę. *Willem słuchający Jude'a opowiadającego historię*, myśli, i pojawia mu się w oczach ten obraz: twarz Willema, uśmiech Willema. Ale Willem nie patrzy na niego, patrzy gdzieś indziej. A jeśli, myśli Jude, ten Willem z obrazu w istocie szuka *jego*? Czuje nagłą potrzebę ustawienia się po prawej stronie obrazu; chciałby usiąść na krześle na linii wzroku Willema i nigdy nie zostawiać tego obrazu samego. Tam jest Willem, uwięziony na zawsze w jednostronnej rozmowie. Tu jest on, w życiu, także uwięziony. Myśli o Willemie, jak jest samotny w swym obrazie, gdzie noc po nocy w pustym muzeum czeka i czeka, aż on mu opowie historię.

Wybacz mi, Willem – mówi w głowie. – Wybacz mi, ale teraz muszę cię opuścić. Wybacz mi, ale muszę iść.

– Jude – odzywa się głos JB. Drzwi windy już się zamykają, ale JB wyciąga do niego rękę.

Jude ją ignoruje, dźwiga się na nogi, opiera się o ściany w rogu kabiny. Ludzie są już bardzo blisko. Wszyscy poruszają się o wiele szybciej od niego.

– Nie zbliżaj się do mnie – mówi do JB. – Zostaw mnie. Proszę cię, zostaw mnie.

– Jude – powtarza JB. – Przepraszam.

I zaczyna mówić coś jeszcze, ale wtedy drzwi windy się domykają i Jude nareszcie zostaje sam.

3

Nie zaczął tego świadomie, ale nie stara się tego zatrzymać, nawet gdy zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Jest połowa listopada – wychodzi z basenu po porannym pływaniu i gdy podciąga się na metalowych poręczach, które Richard zainstalował wokół całego basenu, żeby Jude'owi było wygodniej zsiadać z wózka i wsiadać na wózek, świat nagle znika.

Kiedy Jude odzyskuje świadomość, jest raptem dziesięć minut później. Była szósta czterdzieści pięć, gdy dźwigał się do góry, a teraz jest szósta pięćdziesiąt pięć i leży na czarnej gumowej podłodze, wyciągając ręce do wózka, a jego tors zostawia na podłożu mokrą plamę. Stęka, dźwiga się do pozycji siedzącej i czeka, aż pomieszczenie przestanie się kołysać, a potem próbuje, tym razem skutecznie, wciągnąć się na wózek.

Drugi raz zdarza się to parę dni później. Wrócił właśnie z biura, jest późno. Ostatnio odnosi coraz silniejsze wrażenie, że Rosen, Pritchard dostarcza mu energii i że gdy opuszcza biuro, opuszczają go siły. Z chwilą gdy pan Ahmed zatrzaskuje tylne drzwi samochodu, Jude zapada w sen i budzi się dopiero, gdy zostaje dowieziony na Greene Street. Ale gdy tego wieczoru wkracza do ciemnego, cichego mieszkania, ogarnia go poczucie nieumiejscowienia, tak ogłupiające, że przystaje na moment, mrugając zdezorientowany, zanim dowlecze się do kanapy w salonie i położy. Chce tylko odpocząć, tylko parę minut, tylko do chwili, gdy będzie w stanie znów stanąć na nogi, ale kiedy otwiera oczy, jest następny dzień i salon szarzeje od światła.

Trzeci raz przydarza mu się to w poniedziałek rano. Budzi się przed budzikiem i chociaż leży, czuje, że wszystko wokół niego faluje, jakby znalazł się w butelce na wpół wypełnionej wodą, rzucony na ocean chmur. W ostatnich tygodniach nie musiał odurzać się lekami w niedziele. Kiedy wraca do domu po sobotniej kolacji z JB, zaraz kładzie się do łóżka i budzi się dopiero następnego dnia, gdy przychodzi do niego Richard. Jeżeli Richard nie przychodzi – tak jak w tę niedzielę, bo wyjechał z Indią do jej rodziców do Nowego Meksyku – Jude przesypia cały dzień i całą noc. O niczym nie śni i nic go nie budzi.

Oczywiście wie, co się dzieje – za mało jada. I to od miesięcy. Są dni, że coś tam bierze do ust – kawałek owocu, kawałek chleba – ale są dni, że nie je nic. Nie postanowił sobie, że przestanie jeść, po prostu nie jest tym już zainteresowany, nie może jeść. Nie odczuwa głodu, więc nie je.

Ale w ten poniedziałek czuje głód. Wstaje, zjeżdża na dół. Pływa, ale marnie, powoli. A potem wraca na górę i robi sobie śniadanie. Siedzi i je, gapiąc się na mieszkanie; gazety leżą złożone obok na

stole. Otwiera usta, wkłada do nich to, co ma na widelcu, żuje, połyka. Robi to mechanicznie, ale nagle uderza go groteskowość tego procesu: wkładania czegoś do ust, obracania tego językiem, przełykania otoczonej śliną pecyny – więc przestaje. Mimo to obiecuje sobie: Będę jadł, nawet gdy mi się nie chce, bo jeszcze jestem żywy i powinienem to robić. Ale wciąż o tym zapomina.

A potem, dwa dni później, coś się wydarza. Wrócił do domu tak wycieńczony, że ma poczucie, iż się roztapia i wyparowuje w powietrze; czuje się niesubstancjalny, zrobiony nie z krwi i kości, tylko z dymu i mgły, kiedy nagle widzi przed sobą Willema. Otwiera usta, żeby się do niego odezwać, lecz mruga i Willem znika, a on się chwieje z wyciągniętymi ramionami.

– Willem – mówi głośno w przestrzeń pustego mieszkania. – Willem.

Zamyka oczy, jakby mógł go w ten sposób wyczarować, ale Willem już się nie pojawia.

Za to następnego dnia tak. Jude znowu jest w domu. Znowu jest noc. Znowu nic nie jadł przez cały dzień. Leży w łóżku i gapi się w ciemność pokoju. I nagle zjawia się Willem, migotliwy jak hologram, jego kontur jest rozmyty światłem, i chociaż Willem na niego nie patrzy – patrzy gdzieś indziej, w stronę drzwi, i to tak intensywnie, że Jude pragnie podążyć za jego spojrzeniem, zobaczyć to, co on widzi, ale wie, że nie wolno mu mrugnąć, nie wolno mu się odwrócić, bo Willem go opuści – wystarcza mu, że go widzi, że czuje, iż on jakoś istnieje, że jego zniknięcie może jednak nie jest stanem permanentnym. W końcu jednak musi mrugnąć i Willem znika.

Lecz on nie martwi się zbytnio, bo już wie: jeśli nie będzie jeść, jeśli wytrzyma do punktu tuż przed omdleniem, zacznie mieć halucynacje, a przedmiotem tych halucynacji może być Willem. Tej nocy zasypia zadowolony – po raz pierwszy od prawie piętnastu miesięcy odczuwa zadowolenie, bo teraz już wie, jak przywołać Willema, wie, że mechanizm przywoływania Willema jest pod jego kontrolą.

Odwołuje spotkanie z Andym, żeby móc zostać w domu i poeksperymentować. To już trzeci piątek, w który nie idzie do Andy'ego. Od tamtego wieczoru w restauracji odnoszą się do siebie grzecznie, Andy nie wspomina o Linusie ani o żadnym innym lekarzu, ale obiecał, że wróci do tego tematu za pół roku.

– Nie chodzi mi o to, żeby się ciebie pozbyć, Jude – powiedział. – I przepraszam cię, bardzo cię przepraszam, jeżeli tak to zabrzmiało. Ja się po prostu martwię. Chcę mieć pewność, że znajdziemy kogoś, kto ci się spodoba, kogoś, przy kim poczujesz się swobodnie.

– Ja to wiem, Andy – odpowiedział. – I doceniam, naprawdę. Zachowałem się głupio i odegrałem się na tobie.

Ale zdaje sobie sprawę, że musi być ostrożny: posmakował złości i wie, że musi ją kontrolować. Czuje, że ona chce mu się wyrwać z ust rojem jadowitych czarnych much. Gdzie się chował ten gniew? – zastanawia się. – Jak sprawić, żeby zniknął? Ostatnio śni o agresji, o strasznych rzeczach

spotykających osoby, których nienawidzi, i te, które kocha. We śnie widzi brata Luke'a wpychanego do worka pełnego piszczących, wygłodniałych szczurów; widzi głowę JB roztrzaskiwaną o mur, jego mózg rozbryzgujący się w szarą breję. W snach jest zawsze na miejscu zdarzeń, obserwuje je beznamiętnie, a obejrzawszy unicestwienie swoich wrogów, odchodzi. Budzi się z krwawiącym nosem, jak wtedy, gdy był dzieckiem i pohamowywał napady szału, i z drżącymi rękami, i twarzą wykrzywioną w złym uśmiechu.

W ten piątek Willem go nie odwiedza, ale następnego wieczoru, gdy Jude wychodzi z biura, żeby spotkać się z JB na kolacji, odwraca głowę i obok siebie w samochodzie widzi Willema. Tym razem zdaje mu się, że Willem ma nieco solidniejsze kontury, jest nieco bardziej fizyczny, więc Jude wpatruje się w niego intensywnie, aż w końcu musi mrugnąć i Willem roztapia się w powietrzu.

Po tych epizodach jest wycieńczony, a świat dookoła matowieje, jakby wszelka jego potęga i energia zostały zużyte na stworzenie Willema. Poleca panu Ahmedowi odwieźć się do domu zamiast do restauracji i jadąc na południe, pisze esemes do JB z wiadomością, że marnie się czuje i nie da rady. Robi to coraz częściej – odwołuje spotkania z ludźmi, i to niewybaczalnie późno, na parę minut przed umówioną godziną w galerii, na parę sekund przed podniesieniem kurtyny. Richard, JB, Andy, Harold i Julia to ostatnie osoby, które jeszcze się z nim kontaktują, regularnie, tydzień po tygodniu. Już nie pamięta, kiedy ostatnio miał wiadomość od Citizena, Rhodesa, Henrych Youngów, Elijaha czy Phaedry – musiały minąć co najmniej tygodnie. I chociaż wie, że powinien się tym przejmować, nie przejmuje się. Jego nadzieja, jego energia nie stanowią już odnawialnych zasobów; ma ograniczone rezerwy i chce je spożytkować na próby odnalezienia Willema, nawet jeśli jest to poszukiwanie tego, co nieosiągalne, nawet jeśli jest skazane na porażkę.

Jedzie więc do domu, gdzie czeka i czeka, żeby Willem się pojawił. On jednak nie przychodzi, więc w końcu Jude zasypia.

Następnego dnia czeka w łóżku, próbując pozostać w zawieszeniu między snem a jawą, bo wydaje mu się, że w tym stanie najprędzej zwabi Willema.

W poniedziałek budzi się i jest mu głupio. To się musi skończyć – mówi sobie. – Musisz wrócić do żywych. Zachowujesz się jak człowiek niespełna rozumu. Wizje? Wiesz, jak to brzmi?

Myśli o klasztorze, gdzie brat Pavel lubił mu opowiadać o jedenastowiecznej zakonnicy, Hildegardzie. Hildegarda miewała wizje: zamykała oczy i pojawiały się świetliste przedmioty; jej dni były skąpane w świetle. Ale brata Pavla mniej interesowała sama Hildegarda, a bardziej jej matka duchowa, Jutta, która porzuciła świat materialny dla ascetycznego życia w ciasnej celi, umarła dla ziemskich trosk; była żywa, ale nieżywa. „To samo stanie się z tobą, jak nie będziesz posłuszny", straszył go brat Pavel, a on się bał. Na terenie klasztoru stała nieduża szopa na narzędzia, ciemna

i zimna, zagracona groźnie wyglądającymi przedmiotami z żelaza – każdy zakończony szpikulcem, grotem, ostrzem – więc kiedy brat Pavel opowiedział mu o Jutcie, Jude wyobraził sobie, że wepchną go siłą do tej szopy i będą karmili tylko tyle, żeby przeżył, a on będzie żył i żył, zapomniany nieomal, ale nie całkiem, nieomal martwy, ale nie do końca. Jutta miała do towarzystwa Hildegardę; on nie miałby nikogo. Jakże był przerażony, jakże był pewien, że pewnego dnia to się stanie.

Teraz, leżąc w łóżku, słyszy mruczaną do siebie starą pieśń. „Stałem się stracony dla świata – śpiewa cicho – w którym zmarnowałem tak wiele czasu".

Jednak chociaż wie, że postępuje głupio, nie może się zmusić do jedzenia. Sama czynność go odrzuca. Życzy sobie być ponad łaknienie, ponad potrzebę. Ma wizję swojego życia jako plasterka mydła zmydlonego i wygładzonego w znikomy, tępo zakończony grot strzały i rozpadającego się z każdym dniem.

Jest jeszcze coś, do czego sam przed sobą nie lubi się przyznawać, a jednak ma świadomość, że o tym myśli. Nie może złamać obietnicy danej Haroldowi – nie złamie jej. Lecz jeżeli przestanie jeść, jeżeli przestanie się starać, koniec i tak będzie ten sam.

Zazwyczaj wie, jaki jest melodramatyczny, narcystyczny, nierealistyczny, i co najmniej raz dziennie gani się za to. Stwierdza, że jest coraz mniej zdolny przywołać specyficzne cechy Willema bez uciekania się do rekwizytów: nie pamięta, jak brzmiał głos Willema, bez odsłuchania którejś z zachowanych wiadomości głosowych, nie pamięta zapachu Willema bez powąchania którejś z jego koszul. Obawia się więc, że odbywa żałobę nie tyle po Willemie, ile po własnym życiu – po jego miałkości, jego bezwartościowości.

Nigdy nie troszczył się o spadek po sobie, tak przynajmniej mu się zdawało. I całe szczęście, że się o to nie troszczy, bo nic po sobie nie zostawi: ani budynków, ani obrazów, ani filmów. Ani książek. Ani papierów. Ani ludzi: żony, dzieci, rodziców pewnie też nie, a jeśli dalej będzie się zachowywał tak jak teraz, to nawet przyjaciół. Nawet żadnego prawa. Niczego nie stworzył. Niczego nie zrobił, oprócz pieniędzy: pieniędzy, które zarobił, pieniędzy, które dostał w ramach rekompensaty za zabranie mu Willema. Jego mieszkanie wróci do Richarda. Reszta własności zostanie rozdana albo sprzedana, a zyski przekazane będą instytucjom dobroczynnym. Dzieła sztuki powędrują do muzeów, książki do bibliotek, meble do tego, kto je zechce. Będzie tak, jakby on nigdy nie istniał. Ma poczucie, dosyć dołujące, że najwięcej wart był w tamtych pokojach motelowych, gdzie przynajmniej dla kogoś był jedyny i ważny, chociaż to, co miał do ofiarowania, wydzierano mu, bo nie dawał tego dobrowolnie. Ale tam był przynajmniej rzeczywisty dla drugiej osoby – był tym, kogo klienci w nim widzieli. Tam najmniej oszukiwał.

Nigdy nie mógł do końca uwierzyć w Willemową ocenę jego osoby jako kogoś dzielnego, pełnego inwencji i godnego podziwu. Willem mówił mu takie rzeczy, a on się wstydził, jakby go okłamywał. No bo kto był tą osobą, którą opisywał Willem? Nawet spowiedź Jude'a nie zmieniła go w oczach Willema – więcej: Willem zdawał się po niej szanować go bardziej, a nie mniej, czego on nigdy nie zrozumiał, ale z czego pozwolił sobie czerpać pociechę. I choć był nieprzekonany, krzepiąca była świadomość, że ktoś dostrzega w nim człowieka wartościowego, że ktoś widzi jego życie jako pełne znaczenia.

Na wiosnę przed śmiercią Willema zaprosili parę osób na kolację – byli tylko oni dwaj, Richard, Azjatycki Henry Young, JB i Malcolm w jednym ze zdarzających mu się od czasu do czasu porywów żalu z racji ich wspólnej z Sophie decyzji o nieposiadaniu dzieci. Chociaż wszyscy mu przypominali, że przecież nigdy nie chcieli mieć dzieci, zapytał:

– Pomyślcie tylko, jaki jest sens życia bez dzieci? Nigdy was to nie martwi? Czy ktokolwiek z was ma pewność, że nasze życie ma sens?

– Wybacz, Mal – powiedział Richard, nalewając mu resztkę wina z butelki, podczas gdy Willem już odkorkowywał następną – ale ja czuję się tym dotknięty. Chcesz powiedzieć, że nasze życie nie ma sensu, bo nie mamy dzieci?

– Nie – odparł Malcolm. Ale potem zamyślił się. – No, może.

– Ja wiem, że *moje* życie ma sens – powiedział nagle Willem, a Richard uśmiechnął się do niego.

– Oczywiście, że *twoje* życie ma sens – włączył się JB. – Robisz rzeczy, które ludzie chcą oglądać, w przeciwieństwie do mnie, Malcolma, Richarda i obecnego tu Henry'ego.

– Ludzie chcą oglądać nasze rzeczy – zaoponował z urazą Azjatycki Henry Young.

– Miałem na myśli ludzi spoza Nowego Jorku, Londynu i Tokio.

– A, ich. A kto się przejmuje *tamtymi* ludźmi?

– Nie – powiedział Willem, kiedy już się wyśmiali. – Ja wiem, że moje życie ma sens, ponieważ… – urwał wyraźnie zawstydzony i przez moment milczał, zanim podjął wątek – …ponieważ jestem dobrym przyjacielem. Kocham moich przyjaciół, troszczę się o nich i mam wrażenie, że ich uszczęśliwiam.

W pokoju zrobiło się cicho, a oni z Willemem patrzyli na siebie przez chwilę nad stołem. Reszta osób i mieszkanie gdzieś odpłynęły: byli dwojgiem ludzi na dwóch krzesłach, a wokół nich była nicość.

– Za Willema – powiedział wreszcie Jude, wznosząc kieliszek, a reszta poszła za jego przykładem.

– Za Willema! – powtórzyli jak echo, a Willem uśmiechnął się do niego.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy już poszli, a oni leżeli w łóżku, powiedział Willemowi, że ma rację.

– Cieszę się, że uważasz, że twoje życie ma sens – powiedział. – Cieszę się, że nie muszę cię o tym przekonywać. Cieszę się, że wiesz, jaki jesteś wspaniały.

– Ale twoje życie ma tyle samo sensu co moje – odparł Willem. – Ty też jesteś wspaniały. Nie wiesz o tym, Jude?

On wtedy coś odmruknął, coś, co Willem mógł zinterpretować jako zgodę, ale gdy Willem zasnął, leżał dalej bezsennie. Zawsze uważał, że to trywialny problem, przywilej właściwie, zastanawiać się, czy życie ma sens, czy nie. Nie sądził, aby jego życie miało. Ale nie martwiło go to specjalnie.

Lecz chociaż nie emocjonował się pytaniem, czy jego życie jest wartościowe, to zawsze zastanawiał się, dlaczego on i tak wielu innych ludzi żyje dalej. Czasami trudno mu było przekonać samego siebie, że warto żyć, a przecież tak wielu ludzi, miliony, miliardy ludzi, żyło w nędzy dla niego niewyobrażalnej, z niedostatkami i chorobami obscenicznymi wręcz w swoim nasileniu. A jednak żyli dalej. Czyżby więc potrzeba dalszego życia była nie wyborem człowieka, tylko cechą ewolucyjną gatunku? Czy w samym umyśle było coś takiego, konstelacja neuronów zgrubiałych niczym ścięgno, która nie pozwalała ludziom zrobić tego, co jakże często podszeptuje logika? A jednak ten instynkt nie był niezłomny – on sam go raz przezwyciężył. Ale co się z nim stało później? Czy osłabł, czy się wzmocnił? Czy jego życie było nadal jego wyborem?

Od czasu tamtego pobytu w szpitalu wiedział, że nie można przekonać człowieka, aby żył dla samego siebie. Często za to myślał, że skuteczniejszą terapią byłoby wzmacnianie w ludziach potrzeby życia dla innych. Dla niego był to zawsze najbardziej motywujący argument. To fakt, że był coś winien Haroldowi. Był coś winien Willemowi. Więc jeśli ci dwaj chcieli, żeby żył, będzie żył. Dawniej, gdy wlókł się poprzez jeden dzień za drugim, jego motywacje były dla niego samego niejasne, ale teraz widział wyraźnie, że robił to dla nich, i ta rzadka oznaka altruizmu była czymś, z czego jednak mógł być dumny. Nie rozumiał, dlaczego Willem i Harold chcą, żeby żył, wiedział tylko, że tego chcą, więc żył. W końcu nauczył się ponownie odkrywać zadowolenie, a nawet radość. Ale z początku tak nie było.

A teraz życie znowu wydaje mu się coraz trudniejsze, każdy kolejny dzień mniej możliwy do przeżycia od poprzedniego. W każdym jego dniu stoi drzewo, czarne, umierające, z pojedynczym konarem sterczącym w prawo, niczym jedyne ramię stracha na wróble, i z tego konaru zwisa on. Z nieba ciągle pada mżawka, więc gałąź robi się śliska. On jest przerażony, że ją puści i wpadnie do czarnego dołu; wie, że w końcu to się stanie, że musi się stać, bo jest taki zmęczony. Jego uchwyt rozluźnia się odrobinę, tylko odrobinę, z każdym tygodniem.

A zatem z poczuciem winy i żalu, ale też nieuchronności omija swoją obietnicę daną Haroldowi. Oszukuje, gdy mówi Haroldowi, że wysyłają go w delegację do Dżakarty i dlatego nie będzie na Święcie Dziękczynienia. Oszukuje, kiedy zapuszcza brodę, która, ma nadzieję, zamaskuje kościstość jego twarzy. Oszukuje, gdy mówi Sanjayowi, że czuje się świetnie, że miał tylko grypę jelitową. Oszukuje, gdy mówi swojej sekretarce, żeby nie przynosiła mu lunchu, bo kupił sobie coś po drodze do biura. Oszukuje, gdy odwołuje przyszłomiesięczne spotkania z Richardem, JB i Andym, tłumacząc się nawałem pracy. Oszukuje za każdym razem, gdy wewnętrzny głos szepcze mu nieproszony: *Już niedługo, już niedługo*. Nie jest takim fantastą, żeby myśleć, że zdoła dosłownie zagłodzić się na śmierć – ale myśli, że przyjdzie dzień, bliższy niż kiedykolwiek dotąd, w którym będzie tak słaby, że potknie się, upadnie i roztrzaska sobie głowę o betonową posadzkę hallu na Greene Street albo złapie wirusa i nie będzie miał siły go zwalczyć.

Przynajmniej w jednym nie kłamie – rzeczywiście ma za dużo pracy. Za miesiąc czeka go rozprawa apelacyjna; cieszy się, że może spędzać tyle czasu w biurze, gdzie nigdy nie spotkało go nic złego, gdzie nawet Willem wie, że nie należy mu przeszkadzać nieprzewidzianym pojawianiem się. Pewnego wieczoru słyszy, jak Sanjay, przechodząc obok jego gabinetu, mruczy pod nosem: „Cholera, ona mnie zabije"; podnosi oczy i widzi, że to już nie noc, lecz dzień i rzeka Hudson wygląda jak roztarta pomarańcza. Rejestruje to, ale nie czuje nic. Tutaj jego życie się zawiesza, tutaj mógłby być kimkolwiek, gdziekolwiek. Może tu siedzieć tak długo, jak mu się spodoba. Nikt na niego nie czeka, nikt nie będzie rozczarowany, jeśli nie zadzwoni, nikt nie będzie zły, jeśli nie wróci do domu.

W piątek przed rozprawą też pracuje do późna, gdy jedna z sekretarek zagląda do niego z informacją, że ma gościa w hallu, jakiegoś doktora Contractora. Czy przysłać go na górę? On waha się, niepewny, co robić. Andy do niego wydzwaniał, a on nie oddzwaniał; wie, że Andy tak po prostu sobie nie pójdzie.

– Tak – odpowiada. – Proszę go przyprowadzić do południowo-wschodniej sali konferencyjnej.

Czeka w tej sali, która nie ma okien i zapewnia największą prywatność, a kiedy Andy wchodzi, widzi, że zaciska usta. Mimo to podają sobie dłonie jak obcy i dopiero po wyjściu sekretarki Andy wstaje i podchodzi do niego.

– Wstań – rozkazuje.

– Nie mogę – odpowiada on.

– Dlaczego?

– Nogi mnie bolą – kłamie.

Nie może wstać, bo protezy już nie pasują. „Zaletą tych protez jest to, że są bardzo lekkie i idealnie dopasowane – powiedział mu protetyk, kiedy zdejmował miarę. – Ich wadą jest to, że łożyska mają

stosunkowo małą tolerancję. Wystarczy, że przybierze pan lub straci dziesięć procent wagi ciała – w pana przypadku oznacza to plus minus czternaście, piętnaście funtów – i albo trzeba wrócić do dawnej wagi, albo obstalować nowe protezy. Ważne jest więc, żeby zachowywał pan stałą wagę". Od trzech tygodni jeździ na wózku i chociaż przypina nogi, to są one wyłącznie na pokaz, do wypełnienia spodni. Protezy obluzowały się tak, że są nie do użytku, a on jest zbyt zmęczony, żeby wybrać się do protetyka, zbyt zmęczony na nieuniknioną z nim rozmowę, zbyt zmęczony na zmyślanie usprawiedliwień.

– Myślę, że kłamiesz – mówi Andy. – Myślę, że tak bardzo schudłeś, że protezy ci się ześlizgują, mam rację?

On jednak nie odpowiada.

– Ile funtów straciłeś, Jude? – pyta Andy. – Kiedy widziałem cię ostatnio, ważyłeś już o dwanaście funtów mniej. Ile to jest teraz? Dwadzieścia? Więcej?

Znowu cisza.

– Co ty wyrabiasz, do cholery? – pyta Andy, jeszcze bardziej ściszając głos. – Co ty sobie robisz, Jude? Wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Wyglądasz koszmarnie. Wyglądasz jak chory. – Milknie. – Powiedz coś, do cholery, Jude!

Jude wie już, jak ta rozmowa będzie przebiegała: Andy nawrzeszczy na niego, on nawrzeszczy na Andy'ego. Potem ugoda, która niczego nie zmienia, która jest czystą pantomimą: on podda się czemuś, co nie będzie rozwiązaniem, ale w miarę zadowoli Andy'ego. A potem zdarzy się coś gorszego i pantomima zostanie obnażona, a on zostanie zmuszony do niechcianej terapii. Andy zadzwoni do Harolda. Jude wysłucha tasiemcowego kazania i będzie kłamał, kłamał, kłamał. Ten sam cykl, to samo błędne koło, jeszcze raz to samo, obrót sprawy tak przewidywalny jak przychodzenie klientów do motelu, nakrywanie przez nich łóżka własnymi prześcieradłami, odbywanie z nimi seksu, wychodzenie. A potem następny i następny. I dzień po dniu to samo. Jego życie jest serią koszmarnych schematów: seks, cięcie się, to, tamto. Wizyty u Andy'ego, wizyty w szpitalu. Nie tym razem, myśli sobie. Tym razem zrobi coś innego: tym razem ucieknie.

– Masz rację, Andy – mówi głosem spokojnym i wyzutym z emocji, jakim przemawia w sali sądowej. – Straciłem na wadze. I przepraszam, że nie zgłosiłem się do ciebie wcześniej. Nie zrobiłem tego, bo wiedziałem, że się zmartwisz. Przeszedłem jednak bardzo ciężką grypę jelitową, której nie mogłem się pozbyć, ale mam to już za sobą. Jem, daję ci słowo. Wiem, że wyglądam okropnie. Ale daję ci słowo, że nad tym pracuję.

Jak na ironię rzeczywiście je więcej od dwóch tygodni – musi przetrwać rozprawę. Nie chce zemdleć w sali sądowej.

No i co na to może powiedzieć Andy? Jest mimo wszystko podejrzliwy. Ale nie może zrobić nic.

– Jeżeli nie przyjdziesz do mnie w przyszłym tygodniu, wrócę tutaj – mówi Andy, zanim sekretarka odprowadza go do drzwi.

– Doskonale – mówi on miłym tonem. – We wtorek za dziesięć dni. Będę już po rozprawie.

Po wyjściu Andy'ego przez chwilę czuje się triumfatorem, jakby był bohaterem baśni i właśnie pokonał niebezpiecznego wroga. Tylko że Andy nie jest jego wrogiem. Jude wie, że jego zachowanie jest śmieszne, i poczucie triumfu szybko przechodzi w rozpacz. Czuje, od pewnego czasu czuje coraz dotkliwiej, że jego życie jest czymś, co mu się przydarzyło, a nie czymś, w czego stworzeniu odegrał jakąkolwiek rolę. Nigdy nie umiał wyobrazić sobie, jakie może być jego życie – nawet jako dziecko, nawet gdy marzył o innych miejscach, innych życiach, nie był w stanie ich sobie wizualizować, wierzył we wszystko, czego go nauczono o tym, kim jest i kim się stanie. Ale jego przyjaciele: Ana, Lucien, Harold i Julia – oni wyobrażali sobie jego życie za niego. Widzieli w nim kogoś innego, niż on widział, pozwolili mu uwierzyć w możliwości, jakie jemu nie przyszłyby do głowy. On widział swoje życie jako aksjomat równości, a oni postrzegali je jako zagadkę, *Jude = x*, i pod ten *x* podstawiali wartości, jakich ani brat Luke, ani opiekunowie z domu dziecka, ani doktor Traylor nigdy mu nie wymyślili ani nie zachęcali go, żeby sam wymyślił. Żałuje, że nie może uwierzyć w dowody przyjaciół tak, jak oni w nie wierzą; chciałby, żeby mu pokazali, jaką drogą doszli do swoich rozwiązań. Gdyby wiedział, jak przeprowadzili dowód, wiedziałby, po co warto żyć. Potrzebuje tylko jednej odpowiedzi. Chce tylko zostać przekonany, jeden raz. Dowód nie musi być elegancki; wystarczy, że będzie logiczny.

Przychodzi piątek, dzień rozprawy. Jude dobrze spisuje się w sądzie. Potem w domu jedzie wózkiem do sypialni, kładzie się do łóżka. Cały weekend przesypia nieznanym, dziwnym snem, nie tyle snem, ile jakimś ślizgiem, jakby poruszał się w stanie nieważkości pomiędzy dziedzinami pamięci i fantazji, nieświadomości i świadomości, napięcia i nadziei. To nie jest świat snów, myśli przez sen, ale jakieś inne miejsce, i chociaż budzi się przytomny – widzi żyrandol nad sobą, pościel wokół siebie, kanapę z obiciem w jodełkę naprzeciwko – nie jest w stanie rozróżnić, co zdarzyło się w jego widzeniu, a co naprawdę. Widzi siebie, jak przykłada żyletkę do ręki i tnie do żywego mięsa, ale z rany wyłażą zwoje metalu, wata i końskie włosie, więc dochodzi do wniosku, że przeszedł mutację i nie jest już nawet człowiekiem. Sprawia mu to ulgę, bo nie będzie musiał łamać obietnicy danej Haroldowi; został zaczarowany, jego zdolność ponoszenia winy zniknęła wraz z jego człowieczeństwem.

Czy to jest prawda? – pyta jego wewnętrzny głos, cienki i pełen nadziei. – *Jesteśmy teraz nieożywieni?*

Nie umie sam sobie odpowiedzieć.

Wciąż na nowo widzi brata Luke'a, doktora Traylora. Im bardziej słabnie, im bardziej oddala się od siebie, tym częściej ich widzi, i chociaż Willem i Malcolm stracili na ostrości, brat Luke i doktor Traylor wcale nie.

Czuje, że jego przeszłość to rak, że już dawno należało ją leczyć, ale on to lekceważył. A teraz brat Luke i doktor Traylor rozrośli się, teraz są już zbyt wielcy i zbyt potężni, żeby zdołał ich wyeliminować. Teraz, kiedy się pojawiają, to bez słów: stają przed nim lub siadają, jeden przy drugim, na kanapie w jego sypialni, i wpatrują się w niego, a to jest gorsze, niż gdyby mówili, ponieważ on wie, że knują, co z nim uczynić, i wie, że każda ich decyzja będzie gorsza niż jego najgorsze wyobrażenia, gorsza nawet od tego, co działo się dawniej. W pewnym momencie widzi, jak szepczą do siebie, i wie, że mówią o nim. „Przestańcie – krzyczy na nich – przestańcie, przestańcie", ale oni go ignorują, a kiedy chce wstać, żeby ich przegonić, nie może się ruszyć. „Willem – słyszy własne wołanie – obroń mnie, pomóż mi, każ im wyjść, spraw, żeby sobie poszli". Ale Willem nie przychodzi, więc on uświadamia sobie, że jest sam, i ogarnia go strach, chowa się pod koc i leży tak nieruchomo, jak tylko potrafi, przekonany, że czas złożył się wpół i przyjdzie mu przeżyć całe życie jeszcze raz od początku. W końcu będzie lepiej – obiecuje sam sobie. – Pamiętaj, dobre lata przyszły po złych. Ale tego zrobić nie może: nie może przeżyć ponownie tamtych piętnastu lat, tamtych piętnastu lat, których półżycie było takie długie i rezonujące, że przesądziło o wszystkim, co kiedykolwiek robił i czym był.

Gdy budzi się na dobre w poniedziałek rano, wie, że przekroczył jakiś próg. Wie, że jest blisko, że przenosi się z jednego świata do drugiego. Dwa razy traci przytomność, próbując przenieść się na wózek. Mdleje w drodze do łazienki. A jednak jakimś cudem nie robi sobie krzywdy, jakimś cudem wciąż żyje. Ubiera się – garnitur i koszula, które miesiąc temu dał do zwężenia, znów są za luźne – wsuwa kikuty w protezy i zjeżdża na dół, gdzie czeka na niego pan Ahmed.

W pracy wszystko jest jak zwykle. Jest nowy rok; ludzie wracają z wakacji. Na posiedzeniu zarządu wbija sobie palce w udo, żeby zachować przytomność umysłu. Czuje, jak słabnie jego chwyt na gałęzi.

Sanjay wychodzi tego wieczoru wcześniej; on też. Dzisiaj Harold i Julia sprowadzają się do miasta; obiecał im, że do nich przyjedzie. Nie widzieli się od przeszło miesiąca i chociaż on nie jest już w stanie ocenić swojego wyglądu, ubrał się w dodatkowe warstwy – podkoszulek, koszula, sweter, kardigan, garnitur, płaszcz. Portier wpuszcza go do domu Harolda; Jude jedzie na górę, starając się nie mrugać, bo od mrugania bardziej kręci mu się w głowie. Zatrzymuje się przed drzwiami i ściska głowę dłońmi, aż czuje się dostatecznie silny, a wówczas przekręca gałkę, wtacza się do środka i wytrzeszcza oczy.

Są wszyscy: Harold i Julia, to oczywiste, ale też Andy, i JB, i Richard, i India, i obaj Henry Youngowie, i Rhodes, i Elijah, i Sanjay, i nawet Irvine'owie, wszyscy upozowani na sprzętach jak do

fotografii, więc przez sekundę Jude boi się, że parsknie śmiechem. A potem pyta siebie: Czy ja śnię, czy to jawa? Przypomina mu się wizja siebie samego jako zapadającego się materaca i myśli: Czy wciąż jestem rzeczywisty? Czy wciąż jestem świadomy?

– Chryste – mówi, kiedy w końcu jest w stanie coś wykrztusić. – Co to, u diabła, ma znaczyć?

– Dokładnie to, co myślisz – słyszy głos Andy'ego.

Nie zostaję na tę szopkę – chce powiedzieć on, ale nie może. Nie może się ruszyć. Nie może spojrzeć na żadne z nich: patrzy na swoje dłonie, lewą z blizną, prawą normalną, a Andy przemawia. Obserwują go od tygodni: Sanjay zaznacza dni, w których widział go jedzącego w biurze. Richard zaglądał do jego mieszkania, żeby sprawdzić zawartość lodówki.

– Utratę wagi mierzymy w stopniach – słyszy głos Andy'ego. – Utrata od jednego do dziesięciu procent wagi ciała to stopień pierwszy. Utrata od jedenastu do dwudziestu procent to stopień drugi. Przy stopniu drugim rozważamy karmienie pacjenta przez sondę. Wiesz o tym, Jude, bo już cię to spotkało. A patrząc na ciebie, mogę powiedzieć, że osiągnąłeś stopień drugi, co najmniej.

Andy gada i gada, a jemu się zdaje, że zaczyna płakać, ale nie może wytworzyć łez. Wszystko poszło tak źle – myśli. – Jak to się stało, że wszystko poszło tak źle? Jak to się stało, że doszczętnie zapomniał, kim był przy Willemie? Jest tak, jakby tamta osoba umarła razem z Willemem, a jemu pozostało tylko elementarne ja, ktoś, kogo nigdy nie lubił, ktoś niezdolny wypełnić jego życia, tego życia, które jakimś cudem sobie urządził, wbrew sobie.

W końcu podnosi głowę i widzi wpatrzonego w siebie Harolda, widzi, że Harold płacze cicho, nie odrywając od niego wzroku.

– Haroldzie – mówi, chociaż Andy nie przestaje gadać – uwolnij mnie. Zwolnij mnie z obietnicy, którą ci dałem. Nie każ mi dłużej tego robić. Nie każ mi dalej żyć.

Ale nikt go nie uwalnia: ani Harold, ani nikt inny. Przeciwnie – zostaje pojmany i odwieziony do szpitala, a tam, w szpitalu, zaczyna się buntować. Moja ostatnia walka, myśli, i walczy zajadlej niż kiedykolwiek, tak zajadle, jak walczył, będąc dzieckiem w klasztorze, zamieniając się w potwora, którego mu ciągle wmawiali. Wyje i pluje w twarze Harolda i Andy'ego, wyrywa sobie kroplówkę z ręki, rzuca się na łóżku, próbuje drapać Richarda, aż wreszcie pielęgniarka, klnąc głośno, wbija mu igłę ze środkiem uspokajającym.

Budzi się z nadgarstkami przypiętymi pasami do łóżka, bez protez, bez ubrania, z uciskiem opatrunku na obojczyku, pod który, wie, wszczepiono mu cewnik. Znowu to samo – myśli – to samo, to samo, to samo.

Ale tym razem nie jest tak samo. Tym razem nie dają mu wyboru. Tym razem jest karmiony przez sondę wprowadzoną przez podbrzusze do żołądka. Tym razem zostaje zmuszony do wznowienia

spotkań z doktorem Loehmannem. Tym razem będzie obserwowany przy każdym posiłku: Richard będzie go pilnował przy śniadaniu. Sanjay będzie go pilnował przy lunchu. Harold będzie go pilnował w weekendy. Nie wolno mu wyjść do łazienki wcześniej niż godzinę po posiłku. Co piątek musi chodzić do Andy'ego. Co sobota musi się widywać z JB. Co niedziela musi się widywać z Richardem. Musi się spotykać z Haroldem, kiedy Harold tak zdecyduje. Jeżeli zostanie przyłapany na pominięciu posiłku albo wizyty u Loehmanna czy też na pozbywaniu się jedzenia, będzie hospitalizowany, i to nie przez parę tygodni, lecz przez parę miesięcy. Przytyje minimum trzydzieści funtów i zostanie zwolniony z reżimu dopiero wtedy, gdy utrzyma wagę przez pół roku.

I tak zaczyna się jego nowe życie, życie poza upokorzeniem, żałobą, nadzieją. W tym życiu zmęczone twarze jego zmęczonych przyjaciół obserwują go, kiedy zjada omlety, kanapki, sałaty. Śledzą go z drugiej strony stołu, gdy nawija makaron na widelec, gdy zanurza łyżkę w rosole, gdy obiera mięso z kości. Patrzą mu w talerz, w miskę i albo kiwają głowami – dobrze, może odejść – albo kręcą głowami: Nie, Jude. Musisz zjeść więcej. W pracy on podejmuje decyzje, a ludzie go słuchają, ale potem, o pierwszej, dostaje lunch do biura i przez pół godziny – chociaż nikt w firmie o tym nie wie – jego decyzje się nie liczą, bo władzę absolutną sprawuje Sanjay i on musi być mu posłuszny. Sanjay jednym esemesem do Andy'ego może go wpakować do szpitala, gdzie go znowu zwiążą i będą mu wmuszać jedzenie. Wszyscy mogą to zrobić. Nikt nie przejmuje się, że to nie jest jego życzenie.

Czyście wszyscy zapomnieli? – chce ich zapytać. – Zapomnieliście go? Zapomnieliście, jak bardzo go potrzebuję? Zapomnieliście, że nie umiem być żywy bez niego? Kto mnie może nauczyć? Kto może mi powiedzieć, co powinienem teraz zrobić?

Ultimatum wysłało go do doktora Loehmanna po raz pierwszy, ultimatum przyprowadza go tam z powrotem. Zawsze odnosił się do Loehmanna serdecznie, serdecznie i z dystansem, ale teraz okazuje mu wrogość i lodowaty chłód.

– Nie chcę tu być – mówi, kiedy doktor cieszy się z jego powrotu i pyta, co chciałby omówić na początek. – I proszę mnie nie okłamywać, nie jesteś szczęśliwy, że mnie widzisz, a ja nie jestem szczęśliwy, że tu jestem. To strata czasu, twojego i mojego. Jestem tu pod przymusem.

– Nie musimy omawiać, dlaczego tu jesteś, Jude, jeżeli sobie tego nie życzysz – mówi doktor Loehmann. – O czym chciałbyś porozmawiać?

– O niczym – odburkuje i zapada cisza.

– Opowiedz mi o Haroldzie – proponuje doktor Loehmann, a on wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– Nie ma nic do opowiadania.

Chodzi do Loehmanna w poniedziałki i czwartki. W poniedziałki wieczorem wraca po wizycie do pracy, ale w czwartki musi odwiedzać Harolda i Julię, wobec których też jest demonstracyjnie

niegrzeczny, a nawet więcej niż niegrzeczny: złośliwy i mściwy. Zdumiewa go własne zachowanie, nigdy w życiu się na takie nie odważył, nawet kiedy był dzieckiem. Za takie zachowanie każdy inny by go zbił. Ale nie Harold i Julia. Nigdy nie zwracają mu uwagi, nigdy go nie karcą.

– To jest obrzydliwe – mówi tego wieczoru, odpychając talerz z potrawką z kurczęcia przyrządzoną przez Harolda. – Nie będę tego jadł.

– Przyniosę ci coś innego – mówi pospiesznie Julia, wstając od stołu. – Co byś zjadł, Jude? Chcesz kanapkę? Może jajko?

– Cokolwiek – odpowiada. – To smakuje jak karma dla psów.

Lecz mówi to do Harolda, patrząc mu bezczelnie w oczy, czekając, czy się wzdrygnie, załamie. Z napięcia czuje puls w gardle – już widzi, jak Harold zrywa się z miejsca i uderza go w twarz. Widzi, jak Harold zalewa się łzami. Widzi, że Harold każe mu wynosić się z domu. „Wynoś się stąd, Jude – powie Harold. – Wynoś się z naszego życia i nigdy nie wracaj". „Świetnie – powie Jude. – Świetnie, świetnie. I tak cię nie potrzebuję, Haroldzie. Żadnego z was nie potrzebuję".

Co to będzie za ulga dowiedzieć się, że Harold nigdy go tak naprawdę nie chciał, że adopcja była jego przelotnym kaprysem, szaleństwem, którego nowość już dawno się wytarła.

Ale Harold nic takiego nie robi, tylko patrzy mu w oczy.

– Jude – mówi w końcu, bardzo cicho.

– Jude, Jude – przedrzeźnia go on, skrzecząc swoje imię niczym sójka. – Jude, Jude.

Jest strasznie zły, jest wściekły, nie ma słowa na to, co czuje. Nienawiść pulsuje mu w żyłach. Harold chce, żeby on żył, i teraz życzenie Harolda się spełnia. Teraz Harold widzi go prawdziwego.

Wiesz, jak dotkliwie mógłbym cię zranić? – chce spytać Harolda. – Wiesz, że mógłbym powiedzieć rzeczy, których nigdy nie zapomnisz, których nigdy mi nie wybaczysz? Wiesz, że mam taką moc? Wiesz, że każdego dnia, odkąd się znamy, okłamuję cię? Wiesz, jaki jestem naprawdę? Wiesz, z iloma mężczyznami byłem w łóżku, co pozwalałem ze sobą robić, ze sobą i w sobie, jakie wydawałem odgłosy? Jego życie, jedyna rzecz, która jest jego, zostało przejęte: przez Harolda, który nie pozwala mu umrzeć, przez demony grasujące w jego ciele, czepiające się jego żeber, przekłuwające szponami jego płuca. Przez brata Luke'a, przez doktora Traylora. Po co jest życie? – pyta sam siebie. – Po co jest moje życie?

Och, czy ja nigdy nie zapomnę? Czy tym tylko jestem, po tych wszystkich latach?

Czuje, że z nosa zaczyna mu lecieć krew, więc zrywa się od stołu.

– Idę – oświadcza, kiedy Julia wchodzi do pokoju z kanapką.

Widzi, że poodcinała skórki z chleba i pokroiła go w trójkąty, jak dla dziecka, więc przez sekundę waha się i omal nie wybucha płaczem, ale natychmiast przywołuje się do porządku i znów gromi Harolda wzrokiem.

– Nigdzie nie wychodzisz – mówi Harold, bez złości, ale kategorycznie. Wstaje z krzesła i wskazuje go palcem. – Zostaniesz i skończysz jeść.

– Ani mi się śni. Dzwoń do Andy'ego, wszystko mi jedno. Mam zamiar się zabić, Haroldzie. Mam zamiar się zabić bez względu na to, co zrobisz, i nie zdołasz mnie powstrzymać.

– Jude – słyszy szept Julii. – Jude, proszę.

Harold podchodzi do niego, bierze po drodze talerz od Julii, a on myśli: Stało się. Unosi podbródek, czeka na Harolda, żeby mu dał tym talerzem w twarz, ale Harold tego nie robi, po prostu stawia talerz przed nim.

– Jedz – mówi Harold zdławionym głosem. – Masz to natychmiast zjeść.

Jude'owi niespodziewanie przypomina się pierwszy atak, którego dostał przy Haroldzie. Julia była w sklepie, a Harold siedział na górze i drukował niebezpiecznie skomplikowany przepis na suflet, który zamierzał upiec. On zaś leżał w spiżarce, starając się nie wierzgać nogami w nieznośnym bólu; słyszał, jak Harold schodzi w kapciach po schodach i idzie do kuchni. „Jude?", zawołał, nie widząc go, on zaś, choć starał się być cicho, wydał jakiś odgłos i wtedy Harold otworzył drzwi i go znalazł. Znał już wtedy Harolda od sześciu lat, ale zawsze traktował go ostrożnie, lękając się, a zarazem oczekując dnia, w którym objawi się przed nim jako ten, kim naprawdę jest. „Przepraszam", spróbował wykrztusić, ale tylko zacharczał. „Jude! – Harold się przeraził. – Słyszysz mnie?". On skinął głową, więc Harold wpakował się do spiżarki, pomiędzy piramidy papierowych ręczników i butelek z płynem do prania, usiadł na podłodze i delikatnie przyciągnął jego głowę na swoje kolana, i przez sekundę Jude pomyślał, że nadszedł ten moment, którego zawsze na wpół oczekiwał: że Harold rozepnie spodnie, a on będzie musiał zrobić to co zawsze. Ale Harold pogłaskał go tylko po głowie, a po chwili, kiedy Jude skręcał się z bólu i stękał, cały sztywniejąc, czując gorąco w stawach, uświadomił sobie, że Harold mu śpiewa. Nigdy nie słyszał tej piosenki, ale instynktownie rozpoznał, że to dziecinna piosenka, kołysanka. Jude parskał, syczał, szczękał zębami, otwierając i zamykając lewą pięść, a prawą zaciskając na szyjce najbliżej stojącej butelki oliwy, a Harold śpiewał i śpiewał. Kiedy tak leżał, skrajnie upokorzony, czuł, że po tym incydencie Harold albo się od niego odsunie, albo zbliży jeszcze bardziej. A ponieważ nie wiedział, która z tych wersji się sprawdzi, złapał się na tym, że ma nadzieję – jak nigdy przedtem ani potem – że ten atak nigdy nie minie, że piosenka Harolda nigdy się nie skończy, że on nigdy nie będzie się musiał dowiedzieć, co nastąpiło potem.

A teraz jest o tyle lat starszy i Harold jest o tyle lat starszy, i Julia; są trojgiem starych ludzi, a jemu daje się kanapkę jak dziecku i rozkaz „jedz", też jak dziecku. Jesteśmy tacy starzy, a staliśmy się na nowo młodzi, myśli sobie i podnosi talerz, i ciska nim o ścianę. Fajans rozpryskuje się na kawałki w sposób wielce widowiskowy. Widzi, że kanapka była z grillowanym serem, widzi, że jeden z trójkątów przywiera do ściany, a potem po niej spływa białymi glutami stopionego sera.

Teraz – myśli niemal w upojeniu, gdy Harold zbliża się do niego ponownie – teraz, teraz, teraz. A Harold unosi rękę, więc on czeka na cios, tak silny, że ten wieczór się skończy i on obudzi się we własnym łóżku i na moment będzie w stanie zapomnieć tę chwilę, będzie w stanie zapomnieć, co zrobił.

Ale Harold opasuje go ramionami, on stara się go odepchnąć, jednak Julia także go trzyma, pochylona nad landarą jego wózka; jest uwięziony między nimi.

– Zostawcie mnie! – ryczy na nich, ale energia go opuszcza, jest słaby i głodny. – Zostawcie mnie – próbuje znowu, lecz jego słowa są bezkształtne i bezużyteczne, równie bezużyteczne jak jego ręce i nogi, więc przestaje próbować.

– Jude – mówi cicho Harold. – Mój biedny Jude. Moje biedne kochanie.

Wtedy on zaczyna płakać, bo nikt nigdy nie nazwał go kochaniem od czasu brata Luke'a. Niekiedy Willem próbował – „kochanie", mówił do niego na próbę, „kotku" – ale on na to nie pozwalał: to pieszczotliwe określenie brzydziło go, pochodziło ze słownika poniżenia i deprawacji.

– Moje kochanie – powtarza Harold, a on chce, żeby Harold przestał i żeby nigdy nie przestawał. – Moje maleństwo.

Szlocha i szlocha, płacze nad wszystkim, czym był, nad każdym dawnym szczęściem, płacze ze wstydu i radości, że został nareszcie dzieckiem, ze wszystkimi dziecinnymi kaprysami i zachciankami, i niepewnościami, płacze, bo otrzymał przywilej złego zachowania, które zostaje wybaczone, luksus czułości, tkliwości, dostawania pod nos posiłku i bycia zmuszanym do jedzenia, bo nareszcie, nareszcie, otrzymał zdolność wiary w rodzicielską opiekę, wiary w to, że dla kogoś jest wyjątkowy pomimo swoich błędów i wad, z *powodu* swoich błędów i wad.

Kończy się na tym, że Julia wraca do kuchni i szykuje drugą kanapkę; kończy się na tym, że on tę kanapkę zjada, prawdziwie głodny po raz pierwszy od miesięcy; kończy się na tym, że nocuje w gościnnej sypialni, a Harold i Julia całują go na dobranoc; kończy się na tym, że zastanawia się, czy czas rzeczywiście nie zatoczy pętli i nie cofnie się, tylko że tym razem będzie miał Julię i Harolda za rodziców od samego początku i kto wie, na kogo wyrośnie, ale na pewno będzie lepszy, będzie zdrowszy, będzie grzeczniejszy, nie będzie czuł potrzeby takiego mocowania się z własnym życiem.

Ma wizję siebie jako piętnastolatka: wbiega do domu w Cambridge, wykrzykując słowa „Mamo! Tato!", których nigdy przedtem nie wymówił, i chociaż nie wie, co tak podekscytowało jego ja ze snu (obserwował wprawdzie normalne dzieci, ich pasje i zachowania, ale szczegóły ich życia zna słabo), rozumie, że jest szczęśliwy. Może ma na sobie strój piłkarza z odsłoniętymi rękami i nogami; może towarzyszy mu przyjaciel, może dziewczyna. Zapewne jeszcze nigdy nie uprawiał seksu i zapewne próbuje przy każdej okazji to zrobić. Czasami zastanawia się, kim będzie w przyszłości, ale nigdy nie przychodzi mu do głowy, że mógłby nie mieć kogoś do kochania, do seksu. Jego stopy biegną przez łąkę miękką jak dywan. Wszystkie te godziny, wszystkie te godziny spędzone na cięciu się i ukrywaniu cięć, i odpędzaniu wspomnień… co on by zrobił z tymi wszystkimi godzinami? Byłby lepszym człowiekiem, to wie. Byłby bardziej kochającym człowiekiem.

Ale może – myśli – może nie jest za późno? Może da się jeszcze raz udać i to ostatnie udawanie odmieni dla niego wszystko, uczyni go osobą, którą mógł się stać? Ma pięćdziesiąt jeden lat; jest stary. Ale może jeszcze ma czas? Może można go jeszcze naprawić?

Myśli tak nawet w poniedziałek, jadąc do doktora Loehmanna. Usiłuje odpowiedzieć sobie na swoje pytania, i to uczciwie. Próbuje zacząć opowieść, którą zrelacjonował jak dotąd tylko raz w życiu. Lecz to bardzo trudne, nie tylko dlatego, że ta historia ledwie przechodzi mu przez gardło, ale także – głównie – dlatego, że nie jest w stanie jej opowiadać, nie myśląc o Willemie i o tym, że po opowiedzeniu jej w końcu był z kimś, kto postrzegał go tak, jak nikt inny od czasów Any, z kimś, kto pomimo przeszłości umiał dostrzec jego, i to jego całego. Nagle dopada go smutek, bezdech, więc obraca się gwałtownie z wózkiem – brakuje mu jeszcze sześciu czy siedmiu funtów do ponownego używania protez – przeprasza doktora Loehmanna i wyjeżdża z jego gabinetu i jedzie korytarzem do łazienki, gdzie się zamyka, oddycha powoli i masuje okolice serca, jakby chciał je uciszyć. W łazience, która jest zimna i cicha, rozgrywa z sobą swoją starą grę w „gdyby": Gdybym nie poszedł za bratem Lukiem. Gdybym nie pozwolił się wziąć doktorowi Traylorowi. Gdybym nie wpuścił Caleba. Gdybym bardziej słuchał Any.

Gra i gra, jego oskarżenia wybijają rytm w głowie. Ale potem myśli także: Gdybym nigdy nie spotkał Willema. Gdybym nigdy nie spotkał Harolda. Gdybym nigdy nie spotkał Julii, Andy'ego, Malcolma, JB, Richarda, Luciena, tylu innych osób – Rhodesa, Citizena, Phaedry, Elijaha. Henrych Youngów. Sanjaya. Wszystkie najstraszniejsze „gdyby" dotyczą ludzi. Wszystkie dobre też.

W końcu opanowuje się i wyjeżdża z łazienki. Wie, że mógłby pojechać do domu. Jest winda, a po płaszcz mógłby posłać na górę pana Ahmeda. Ale nie robi tego. Jedzie w przeciwną stronę i wraca do gabinetu, gdzie doktor Loehmann wciąż siedzi w fotelu i czeka na niego.

– Jude – mówi doktor Loehmann. – Wróciłeś.

On bierze oddech.

– Tak – mówi. – Postanowiłem zostać.

VII

Lispenard Street

W drugą rocznicę twojej śmierci pojechaliśmy do Rzymu. Był to właściwie zbieg okoliczności, ale też nie. On wiedział i my wiedzieliśmy, że powinien znaleźć się daleko od miasta, daleko od stanu Nowy Jork. I chyba Irvine'owie czuli się podobnie, bo na ten dzień wyznaczyli ceremonię. W samym końcu sierpnia, gdy cała Europa wyemigrowała w inne rejony, my lecieliśmy do niej, na ten kontynent ogołocony ze swych krzykliwych stad, z całej tubylczej fauny.

Zamieszkaliśmy w American Academy, gdzie Sophie i Malcolm kiedyś pracowali i gdzie Irvine'owie ufundowali stypendium dla młodego architekta. Uczestniczyli oni w wyborze pierwszego beneficjenta, którym okazała się wysoka i uroczo nerwowa dziewczyna z Londynu. Budowała przeważnie nietrwałe konstrukcje, skomplikowane budowle z ziemi, mułu i papieru, które miały dezintegrować się stopniowo z upływem czasu. Ogłoszono więc, kto zdobył stypendium, a potem odbył się bankiet, podczas którego przemawiała Flora. Oprócz nas i kolegów Sophie i Malcolma z firmy Bellcast byli jeszcze Richard i JB, bo obaj byli akurat w Rzymie, a po ceremonii wybraliśmy się do pobliskiej restauracyjki, którą Sophie i Malcolm lubili, kiedy tu mieszkali, i Richard pokazał nam, która część ścian budynku jest etruska, a która rzymska. Chociaż było miło, serdecznie i pogodnie, posiłek upłynął właściwie w milczeniu. W pewnym momencie zauważyłem, że nikt z nas nie je i wszyscy gdzieś się gapią – na ściany, na talerze, na siebie nawzajem – myśląc każdy własne myśli, a jednocześnie, wiedziałem, wspólne.

Następnego popołudnia Julia się zdrzemnęła, a my poszliśmy na spacer. Mieszkaliśmy po drugiej stronie rzeki, przy Schodach Hiszpańskich, ale kazaliśmy się zawieźć przez most na Zatybrze, gdzie pospacerowaliśmy po ulicach, wąskich i ciemnych jak korytarze, aż wreszcie doszliśmy do placu, maleńkiego, precyzyjnego i ozdobionego jedynie światłem słońca, i przysiedliśmy na kamiennej ławce. Starszy pan z białą brodą, w lnianym garniturze, usiadł na drugim końcu i skinął nam głową, a my jemu.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy tak w milczeniu i upale, gdy nagle Jude powiedział, że pamięta ten plac, że był tu kiedyś z tobą i że zaledwie dwie ulice stąd jest słynna lodziarnia.

– Mam pójść po lody? – zapytał mnie z uśmiechem.

– Sądzę, że znasz odpowiedź – odparłem, a on wstał.

– Zaraz wracam – rzucił.

– Stracciatella – przypomniałem mu.

– Wiem.

Patrzyliśmy za nim – ten starszy pan i ja – a potem on się do mnie uśmiechnął, a ja do niego. Dostrzegłem, że właściwie nie jest taki stary, najwyżej parę lat starszy ode mnie. Tylko że ja nigdy nie umiałem (i nadal nie umiem) myśleć o sobie jako o starym człowieku. Mówiłem o sobie, jakbym to umiał: narzekałem na swój wiek, ale to była tylko komedia albo chęć sprawienia, by inni poczuli się młodsi.

– *Lui è tuo figlio?* – zapytał mężczyzna, a ja skinąłem głową.

Zawsze byłem zdziwiony i uradowany, kiedy rozpoznawano w nas tych, kim byliśmy dla siebie, gdyż wcale nie łączyło nas podobieństwo rysów, a jednak myślałem, miałem nadzieję, że w naszym sposobie bycia razem jest coś, co stanowi mocniejszy dowód naszej relacji niż proste podobieństwo fizyczne.

– Aha – powiedział mężczyzna i spojrzał na niego jeszcze raz, zanim Jude skręcił za róg i zniknął nam z oczu. – *Molto bello*.

– *Si* – przyznałem i nagle ogarnął mnie smutek.

Mężczyzna spojrzał wtedy chytrze i spytał, a raczej stwierdził:

– *Tua moglie deve essere molto bella, no?*

I uśmiechnął się szeroko na znak, że to był żart i komplement zarazem, bo nawet jeśli byłem pospolitej urody, to miałem szczęście, że trafiła mi się tak piękna żona, która mi dała takiego przystojnego syna, więc nie mogłem się obrazić. Odpowiedziałem mu uśmiechem od ucha do ucha.

– To prawda – powiedziałem, on zaś uśmiechnął się bez zdziwienia.

Mężczyzna zdążył już odejść, zanim wrócił Jude – a szedł, kiwając do mnie głową i wspierając się na lasce – z lodami w rożku dla mnie i pojemnikiem cytrynowego sorbetu dla Julii. Chciałem, żeby dla siebie też coś kupił, ale nie zrobił tego.

– Musimy już iść – powiedział i tak zrobiliśmy.

Tego wieczoru położył się wcześnie, natomiast następnego dnia, w rocznicę twojej śmierci, nie widzieliśmy go wcale: zostawił nam wiadomość w recepcji, że wybiera się na spacer, że spotkamy się jutro i że przeprasza. My też przełaziliśmy cały dzień i chociaż miałem nadzieję, że go spotkamy – Rzym to w końcu nie takie duże miasto – nie spotkaliśmy. Jednak dopiero wieczorem, gdy rozbieraliśmy się do łóżka, uprzytomniłem sobie, że szukałem go na wszystkich ulicach, w każdym tłumie.

Nazajutrz rano zastaliśmy go przy śniadaniu, czytającego gazetę, bladego, lecz uśmiechniętego; nie pytaliśmy, co robił poprzedniego dnia, a i on nie pospieszył z wyjaśnieniem. Cały dzień spacerowaliśmy po mieście naszą niewymiarową trójką – za szeroką na chodniki, więc szliśmy gęsiego, zmieniając co jakiś czas lidera – ale odwiedzaliśmy tylko znane, popularne miejsca, miejsca niekryjące sekretnych wspomnień, żadnych intymności. W pobliżu Via Condotti Julia zerknęła w witrynę malutkiego sklepiku jubilerskiego i weszliśmy do środka, wypełniliśmy całe wnętrze i wzięliśmy po kolei do ręki kolczyki, które zachwyciły Julię na wystawie. Były przepiękne: z solidnego, ciężkiego złota, w kształcie ptaków o oczach z okrągłych rubinków, trzymających w dziobkach małe gałązki. On kupił je dla Julii, która była zakłopotana i uszczęśliwiona – nigdy nie nosiła dużo biżuterii – on zaś był wyraźnie szczęśliwy, że mógł to zrobić, a mnie uszczęśliwiło jego szczęście i szczęście Julii. Wieczorem spotkaliśmy się z JB i Richardem na pożegnalnej kolacji, a następnego dnia rano wyjechaliśmy na północ, do Florencji, skąd on miał wracać do domu.

– Do zobaczenia za pięć dni – powiedziałem.

– Bawcie się dobrze – odparł, kiwnąwszy głową. – Cudownych wakacji. Zobaczymy się niedługo.

Machał nam ręką, kiedy uwoził nas samochód, a my odwróciliśmy się, żeby też mu pomachać. Miałem, pamiętam, nadzieję, że mój gest telegrafuje do niego to, czego nie zdołałem powiedzieć: Nie waż się. Poprzedniego wieczoru, gdy on i Julia rozmawiali z JB, poprosiłem Richarda, czy mógłby pod naszą nieobecność przesyłać mi raporty, a Richard się zgodził. Jude odzyskał już prawie wagę wymaganą przez Andy'ego, ale miał dwa regresy – w maju i czerwcu – więc obserwowaliśmy go nadal.

Czasami miałem poczucie, że przeżywamy naszą relację w porządku odwrotnym, bo zamiast martwić się o niego coraz mniej, martwiłem się coraz bardziej; z każdym rokiem coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z jego kruchości, byłem coraz mniej przekonany o własnej kompetencji. Kiedy Jacob był niemowlęciem, z miesiąca na miesiąc czułem się przy nim pewniej, miałem wrażenie, że im dłużej przebywa na świecie, tym mocniej się w nim zakotwicza, jakby przez sam fakt bycia żywym zyskiwał prawo do życia. Była to z mojej strony arogancja i przekonałem się o własnym błędzie w najgorszy możliwy sposób. Ale nie umiałem przestać myśleć, że życie pociąga za sobą życie. A jednak w pewnym momencie życia Jude'a – po Calebie, gdybym miał sprecyzować datę – doznałem wrażenia, że on unosi się w balonie na gorące powietrze, przytwierdzonym do ziemi długą, skręconą liną i że z każdym rokiem ten balon coraz bardziej się szarpie, usiłując wyrwać się do nieba. A my na dole próbujemy go ściągnąć na ziemię, na bezpieczny grunt. Dlatego stale się o niego bałem i stale się go bałem.

Czy można utrzymywać prawdziwą relację z kimś, kogo człowiek się boi? Oczywiście, że tak. Przerażał mnie, bo on miał władzę, a ja jej nie miałem: gdyby się zabił, gdyby zabrał mi siebie, wiedziałem, że bym przeżył, ale wiedziałem też, że przeżycie byłoby ciężką pracą; wiedziałem, że już zawsze polowałbym na wyjaśnienia, przesiewając przeszłość w poszukiwaniu błędów, które popełniłem. Wiedziałem też oczywiście, jak strasznie bym za nim tęsknił, bo chociaż miałem za sobą jego próby ostatecznego odejścia, to nigdy nie nauczyłem się, jak z nimi postępować, i nigdy do nich nie przywykłem.

Ale potem wróciliśmy do domu i wszystko było jak dawniej: pan Ahmed czekał na nas na lotnisku i odwiózł nas do domu, a u portiera czekały na nas torby jedzenia, żebyśmy nie musieli zaraz lecieć do sklepu. Następnym dniem był wtorek, więc on przyszedł do nas i zjedliśmy razem kolację, i wypytywał, co widzieliśmy, co robiliśmy, a myśmy mu opowiadali. Potem zmywaliśmy po kolacji, ale kiedy podawał mi miskę, wyślizgnęła mu się z palców i rozbiła o podłogę.

– Cholera! – krzyknął. – Strasznie przepraszam, Haroldzie. Jestem taki beznadziejny. Taki niezdarny.

Chociaż perswadowaliśmy mu, że to żaden problem, denerwował się coraz bardziej, tak bardzo, że ręce zaczęły mu drżeć i dostał krwotoku z nosa.

– Jude – tłumaczyłem – wszystko jest okej. To się zdarza.

Ale on kręcił głową.

– Nie – upierał się. – To ja. Wszystko psuję. Czegokolwiek się tknę, obracam w ruinę.

Popatrzyliśmy z Julią po sobie ponad jego głową, kiedy zbierał skorupy, niepewni, co należy powiedzieć lub zrobić: jego reakcja była tak nieproporcjonalna do wagi zdarzenia. Ale już w poprzednich miesiącach – od czasu gdy rzucił talerzem o ścianę – zdarzyło się parę incydentów, które po raz pierwszy mi uświadomiły, ile jest w nim złości, jak ciężko musi codziennie pracować, żeby tę złość okiełznać.

Po incydencie z talerzem, który był pierwszy, nastąpił drugi, parę tygodni później. Tym razem w Domu Latarni, którego nie odwiedzał miesiącami. Rano, tuż po śniadaniu, wychodziliśmy z Julią do sklepu, więc zajrzałem do niego, żeby zapytać, czego potrzebuje. Siedział w swojej sypialni, drzwi były lekko uchylone, ale kiedy zobaczyłem, co robi, nie zawołałem go po imieniu ani nie odszedłem, tylko stałem cicho na zewnątrz i obserwowałem. Miał założoną jedną protezę i zakładał drugą – nigdy wcześniej nie widziałem go bez protez – więc patrzyłem, jak wsuwa kikut lewej nogi w łożysko, naciąga elastyczny mankiet na kolano i udo, a potem spuszcza nogawkę spodni. Jak ci wiadomo, te protezy miały stopy z ukształtowanymi palcami i piętą, więc patrzyłem, jak on wkłada skarpetki i buty. Potem odetchnął głęboko i wstał; zrobił jeden krok, potem następny. Ale nawet ja zauważyłem, że coś

jest nie w porządku – protezy były nadal za luźne, a raczej on za chudy – i zanim zdążyłem krzyknąć, zachwiał się i runął na łóżko, gdzie chwilę leżał bez ruchu.

A potem sięgnął i zerwał obydwie nogi, jedną po drugiej, i przez sekundę – protezy nadal były ubrane w skarpetki i buty – miałem wrażenie, że to jego prawdziwe nogi, że właśnie wyrwał sobie brutalnie część ciała, oczekiwałem wręcz fontanny krwi. Tymczasem on chwycił jedną nogę i rąbnął nią o łóżko, raz, drugi, trzeci, stękając z wysiłku, po czym cisnął ją na ziemię i siadł na skraju materaca, z twarzą ukrytą w dłoniach, wsparty łokciami na udach, bujając się bezgłośnie. „Proszę – usłyszałem go – proszę". Nie dodał jednak nic innego, a ja, zawstydzony, oddaliłem się chyłkiem do naszej sypialni, gdzie usiadłem w pozie naśladującej jego pozę, czekając tak jak on nie wiadomo na co.

W tamtych miesiącach często myślałem o tym, na co się porywam, jak trudno jest utrzymać przy życiu kogoś, kto nie chce żyć. Najpierw próbujesz logiki (masz po co żyć), potem poczucia obowiązku (jesteś mi to winien), potem złości, gróźb, próśb (jestem stary; nie rób tego staremu człowiekowi). Ale potem, gdy tamten już ulegnie twoim namowom, musisz sam siebie oszukiwać, bo przecież widzisz, ile to go kosztuje, widzisz, jak bardzo nie chce tu być, widzisz, że sam akt istnienia działa na niego osłabiająco, więc musisz sobie codziennie powtarzać: robię rzecz słuszną. Pozwolić mu zrobić to, co chce, byłoby wbrew prawom natury, wbrew prawom miłości. Rzucasz się na szczęśliwe chwile, wystawiasz je jako dowód (Widzisz? Dlatego warto żyć. Dlatego go zmuszałem, żeby się starał) – choć przecież jedna chwila nie może zrekompensować wszystkich innych chwil, większości chwil. Myślisz, jak myślałem przy Jacobie: po co jest dziecko? Po to, żeby przynieść mi pociechę? Czy po to, żebym ja mu przyniósł pociechę? A jeżeli nie da się dłużej pocieszać dziecka, to czy mam obowiązek pozwolić mu odejść? A potem myślisz znowu: przecież to jest niegodne. Nie mogę.

Więc próbowałem oczywiście. Próbowałem i próbowałem. Ale z każdym miesiącem czułem, że on się ode mnie oddala. Nie chodzi mi o znikanie fizyczne, bo do listopada odzyskał dawną wagę, w każdym razie jej dolną granicę, i wyglądał chyba lepiej niż kiedykolwiek. Ale był milkliwy, jeszcze bardziej milkliwy, a przecież nigdy nie był gadułą. Teraz jednak mówił naprawdę bardzo mało, a gdy byliśmy razem, widziałem czasem, że patrzy na coś, czego ja nie widzę, a po chwili kulił lekko głowę w ramiona, tak jak koń tuli uszy, i wracał do siebie.

Raz spotkaliśmy się na naszym czwartkowym obiedzie i on miał sińce na twarzy i szyi, tylko po jednej stronie, jak gdyby późnopopołudniowe słońce rzuciło na niego cień. Siniaki miały brzydki rdzawy kolor, jak zaschnięta krew. Zatkało mnie na ich widok.

– Co się stało? – spytałem.

– Upadłem – odpowiedział krótko. – Nie przejmuj się.

Ale oczywiście się przejmowałem. A gdy ponownie zobaczyłem go posiniaczonego, spróbowałem go przytulić.

– Powiedz mi – poprosiłem, ale mi się wyrwał.

– Nie ma o czym mówić – odparł.

Więc nadal nie wiem, co się stało. Czy on sam sobie coś zrobił? Czy pozwolił na to komuś innemu? Nie wiedziałem, co jest gorsze. Nie wiedziałem, co robić.

Tęsknił za tobą. Ja też za tobą tęskniłem. Tęskniliśmy wszyscy. Myślę, że powinieneś to wiedzieć: nie tęskniłem za tobą tylko dlatego, że on przy tobie czuł się lepiej, tęskniłem za tobą dla ciebie samego. Tęskniłem za widokiem przyjemności, z jaką robiłeś swoje ulubione rzeczy, czy to jedzenie, czy bieganie za piłką tenisową, czy skoki do basenu. Tęskniłem za rozmową z tobą, za twoim poruszaniem się po pokoju, za twoim tarzaniem się po trawniku z bandą wnuków Laurence'a, gdy udawałeś, że nie możesz się wydostać spod ich ciężaru. (Najmłodsza wnuczka Laurence'a, ta, której wpadłeś w oko, uplotła ci bransoletkę z mleczy, a ty jej podziękowałeś i nosiłeś tę bransoletkę cały dzień, a ona, ile razy spostrzegła ją na twoim przegubie, biegła do ojca i wciskała buzię w jego plecy: za tym też tęskniłem). Ale najbardziej tęskniłem za widokiem was razem; za tym, jak na niego patrzyłeś i jak on patrzył na ciebie, za waszą wzajemną delikatnością, za tym, jak słuchaliście się nawzajem z największą uwagą. Ten obraz, który namalował JB – *Willem słuchający Jude'a opowiadającego historię* – był niesamowicie prawdziwy w swojej ekspresji: wiedziałem, co się na nim dzieje, jeszcze zanim przeczytałem tytuł.

I nie chcę, żebyś myślał, że nie było także szczęśliwych chwil, szczęśliwych dni, po twoim odejściu. Było ich mniej, oczywiście. Trudniej je było znaleźć, trudniej stworzyć. Ale istniały. Kiedy wróciliśmy do domu z Włoch, zacząłem prowadzić seminarium na Columbii, otwarte zarówno dla studentów prawa, jak i studentów innych kierunków. Kurs nosił tytuł „Filozofia prawa, prawo filozofii" i prowadziłem go wspólnie z moim dawnym przyjacielem; omawialiśmy sprawiedliwość prawa, moralne podteksty systemu prawnego i to, jak bywają one sprzeczne z naszym narodowym poczuciem moralności. Drayman 241, po tylu latach! Popołudniami widywałem się z przyjaciółmi. Julia zapisała się na lekcje rysunku z natury. Zgłosiliśmy swój akces do wolontariatu, który pomagał specjalistom (lekarzom, prawnikom, nauczycielom) z innych krajów (Sudan, Afganistan, Nepal) znaleźć pracę w swojej dziedzinie, nawet jeżeli jej podobieństwo do ich poprzedniego zajęcia było nikłe: pielęgniarki zostawały asystentkami lekarzy, sędziowie zostawali urzędnikami. Kilku pomogłem zapisać się na studia prawnicze, a gdy ich potem spotykałem, opowiadali mi, czego się uczą, dziwiąc się, jak inne jest to prawo od znanego im przedtem.

– Uważam, że powinniśmy podjąć wspólny projekt – powiedziałem mu tamtej jesieni (nadal działał w wolontariacie udzielającym pomocy artystom, który – gdy sam zgłosiłem się tam do pracy – okazał się znacznie bardziej poruszający, niż przypuszczałem. Myślałem, że zastanę bandę beztalenci próbujących na siłę urządzić sobie twórcze życie, którego nigdy nie osiągną, i chociaż okazało się, że tak jest, to zacząłem podziwiać tych ludzi tak samo jak on za ich wytrwałość, tępą, szczerą wiarę. Tych ludzi nikt i nic nie zdołałoby zniechęcić do życia, które uważali za swoje).

– Na przykład jaki? – zapytał.

– Mógłbyś mnie uczyć gotowania – odparłem, a on spojrzał na mnie z tym swoim prawie uśmiechem wyrażającym rozbawienie, którego nie chce okazać. – Mówię poważnie. *Naprawdę* gotować. Sześć czy siedem dań, które mógłbym mieć w swoim repertuarze.

Zgodził się. W sobotnie popołudnia, kiedy skończył pracę albo wizyty u Luciena i Irvine'ów, jechaliśmy do Garrison, sami albo z Richardem i Indią, albo z JB czy którymś z Henrych Youngów i ich żonami, a w niedzielę gotowaliśmy. Okazało się, że moim głównym problemem jest brak cierpliwości i niezdolność do zaakceptowania nudy. Odchodziłem od kuchni, żeby poszukać czegoś do czytania, i zapominałem, że zostawiam na ogniu risotto, które rozgotowuje się na klajster, albo zapominałem zamieszać marchewkę duszącą się na oliwie i po powrocie znajdowałem ją przywartą do dna rondla. (Wyszło na to, że znaczna część gotowania to mycie, klepanie, dolewanie, odcedzanie, przekładanie, doglądanie: te wymogi kojarzyłem dotąd z niemowlęctwem). Moim problemem numer dwa, jak się dowiedziałem, była uporczywa potrzeba innowacji, która stanowi gwarancję klęski w przygotowywaniu wypieków.

– To jest chemia, Haroldzie, a nie filozofia – tłumaczył z tym samym półuśmiechem. – Nie można oszukiwać na ilości składników, mając nadzieję, że jakoś to wyjdzie.

– Może wyjść lepiej – odparłem, głównie, żeby go rozbawić; zawsze chętnie grałem głupka, jeśli mogło mu to sprawić przyjemność.

I wtedy się uśmiechnął, naprawdę uśmiechnął.

– Nie może – odpowiedział.

W końcu jednak nauczyłem się robić pewne rzeczy: nauczyłem się piec kurczaka, gotować jajko w koszulce, dusić halibuta. Nauczyłem się piec ciasto marchewkowe i chleb z mnóstwem różnych orzechów, które lubiłem kupować w piekarni w Cambridge, gdzie on kiedyś pracował. Jego przepisy były genialne, więc tygodniami piekłem jedno po drugim.

– Świetne, Haroldzie – pochwalił pewnego dnia, spróbowawszy mojego wypieku. – No widzisz? Teraz będziesz mógł sam sobie gotować, kiedy skończysz sto lat.

– Co to znaczy: sam sobie gotować? – obruszyłem się teatralnie. – Ty będziesz musiał dla mnie gotować.

Odpowiedział mi na to dziwnym, smutnym uśmiechem i nic nie powiedział, a ja prędko zmieniłem temat, zanim zdążył rzucić coś, czego musiałbym udać, że nie dosłyszałem. Zawsze starałem się robić aluzje do przyszłości, snuć odległe plany, żeby on się w nie włączył i żebym potem mógł trzymać go za słowo. Ale był ostrożny: nigdy niczego nie obiecywał.

– Powinniśmy obaj wziąć lekcje muzyki – powiedziałem kiedyś, sam nie bardzo wiedząc, co mam na myśli.

Uśmiechnął się blado.

– Może – powiedział. – Jasne. Jeszcze o tym pogadamy.

I to było maksimum jego przyzwolenia.

Po lekcji gotowania szliśmy na spacer. Gdy byliśmy w domu na wsi, wędrowaliśmy ścieżką wytyczoną przez Malcolma, obok tego miejsca w lesie, gdzie kiedyś musiałem go zostawić opartego o drzewo i dygocącego z bólu. Szliśmy do pierwszej ławki, do drugiej, do trzeciej. Na drugiej ławce zawsze siadaliśmy na odpoczynek. On nie potrzebował odpoczynku, nie to co dawniej, a że szliśmy wolno, ja też nie byłem zmęczony. Ale zawsze robiliśmy ceremonialny przystanek, ponieważ z tego miejsca był najlepszy widok na tył domu – pamiętasz? Malcolm wykarczował tutaj część drzew, aby z ławki widać było dom na wprost, a gdy stało się na tylnej werandzie domu, widać było tę ławkę.

– Jaki to piękny dom – mówiłem, jak zawsze, mając nadzieję, że usłyszy w tym zdaniu dumę: z domu, który zbudował, i z życia, które zbudował w tym domu.

Pewnego razu, jakiś miesiąc po naszym powrocie z Włoch, siedzieliśmy na tej ławce, gdy zapytał:

– Myślisz, że on był ze mną szczęśliwy?

Wyrzekł to tak cicho, że nie miałem pewności, czy się nie przesłyszałem, ale on spojrzał na mnie i zrozumiałem, że nie.

– Oczywiście, że tak – odparłem. – Wiem, że był szczęśliwy.

Pokręcił głową.

– Było tyle rzeczy, których nie robiłem – wyznał po chwili.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale to nie zmieniło mojego zdania.

– Cokolwiek to było, wiem, że nie miało znaczenia – zapewniłem go. – Wiem, że był z tobą szczęśliwy. Powiedział mi to.

Wtedy znów na mnie popatrzył.

– Ja to wiem – powtórzyłem. – Wiem.

Nigdy mi tego nie powiedziałeś, nie dosłownie, ale wiem, że mi wybaczysz; wiem, że tak. Wiem, że chciałbyś, żebym mu tak powiedział.

Innym razem zagadnął:

– Doktor Loehmann uważa, że powinienem ci pewne rzeczy powiedzieć.

– Jakie rzeczy? – spytałem, starając się na niego nie patrzeć.

– O mnie – odpowiedział, a potem zrobił pauzę. – O tym, kim jestem – poprawił się.

– No cóż – odezwałem się po chwili. – Ucieszyłbym się. Chciałbym wiedzieć więcej o tobie.

Wówczas się uśmiechnął.

– Dziwnie to zabrzmiało, prawda? „Więcej o tobie". Znamy się od tak dawna.

Podczas tych rozmów zawsze miałem uczucie, że chociaż może nie istnieć jedna poprawna odpowiedź, to na pewno istnieje jedna niepoprawna, po której on się więcej do mnie nie odezwie, więc ciągle kombinowałem, jak ta zła odpowiedź może brzmieć, żeby jej nie udzielić.

– To prawda – powiedziałem. – Ale ja zawsze chcę wiedzieć więcej, gdy idzie o ciebie.

Spojrzał na mnie przelotnie, a potem popatrzył na dom.

– No cóż. Może spróbuję. Może coś napiszę.

– Byłbym uszczęśliwiony – odrzekłem. – Kiedy tylko będziesz gotowy.

– To może mi zająć trochę czasu.

– Nie szkodzi. Masz tyle czasu, ile chcesz.

Długi czas to dobra wiadomość, pomyślałem. To znaczy lata, lata zastanawiania się nad tym, co chce powiedzieć, i chociaż to będą trudne, mordercze lata, on przynajmniej będzie żył. Tak sobie myślałem: że wolę, żeby cierpiał i był żywy, niż żeby umarł.

W końcu jednak wcale nie zajęło mu to dużo czasu. Był luty, prawie rok od naszej interwencji. Gdyby udało mu się utrzymać wagę do końca maja, przestalibyśmy go kontrolować i mógłby, gdyby chciał, przestać odwiedzać doktora Loehmanna, chociaż zarówno Andy, jak i ja byliśmy za kontynuowaniem tych wizyt. Ale decyzja już nie należałaby do nas. W tę niedzielę zostaliśmy w mieście i po lekcji gotowania na Greene Street (zapiekanka ze szparagów z karczochem) poszliśmy na nasz spacer.

Dzień był chłodny, ale bezwietrzny, więc ruszyliśmy Greene Street na południe, dotarliśmy do miejsca, gdzie Greene przechodzi w Church, i szliśmy dalej, przez TriBeCa, przez Wall Street, prawie na sam koniec wyspy, gdzie stanęliśmy, patrząc na rzekę chlupoczącą szarymi wodami. A potem zawróciliśmy i poszliśmy na północ, tą samą trasą: Trinity do Church, Church do Greene. On był cichy przez cały dzień, spokojny i cichy, za to ja gadałem o mężczyźnie w średnim wieku, którego poznałem

w pośrednictwie pracy, uchodźcy z Tybetu, mniej więcej o rok starszym od niego, lekarzu, ubiegającym się o przyjęcie na amerykańską uczelnię medyczną.

– To godne podziwu – skomentował. – Trudno zaczynać wszystko od nowa.

– To prawda – przyznałem. – Ale ty też zaczynałeś od nowa, Jude. Też jesteś godzien podziwu.

Zerknął na mnie i odwrócił wzrok.

– Mówię serio – dodałem.

Przypomniał mi się pewien dzień, mniej więcej rok po jego wyjściu ze szpitala po próbie samobójczej, gdy był u nas w Truro. Wtedy też wybraliśmy się na spacer.

– Chciałbym, żebyś wymienił trzy rzeczy, które twoim zdaniem robisz lepiej niż inni – powiedziałem mu, kiedy siedliśmy na piasku. On sapał ze zmęczenia, nadymając policzki i wypuszczając powietrze ustami.

– Nie teraz, Haroldzie.

– Spróbuj – zachęcałem. – Trzy rzeczy. Trzy rzeczy, które robisz lepiej niż ktokolwiek, i przestanę cię męczyć.

Lecz on myślał i myślał, i niczego nie potrafił wymyślić, a we mnie przez to jego milczenie zaczęła wzbierać panika.

– No to trzy rzeczy, które robisz dobrze – spuściłem z tonu. – Trzy rzeczy, które w sobie lubisz. – Teraz już go prawie błagałem. – Cokolwiek. Cokolwiek.

– Jestem wysoki – rzekł wreszcie. – Dość wysoki, w każdym razie.

– Dobrze jest być wysokim – przytaknąłem, chociaż liczyłem na coś innego, coś bardziej jakościowego. Postanowiłem jednak przyjąć tę jego odpowiedź. – Jeszcze dwie.

Ale niczego więcej nie wymyślił. Zauważyłem, że się zniechęcił i zawstydził, więc dałem spokój tematowi.

A teraz, kiedy szliśmy przez TriBeCa, rzucił od niechcenia, że zaproponowano mu stanowisko prezesa firmy.

– Mój boże – powiedziałem – to niesamowite, Jude. Mój boże. Gratulacje.

Kiwnął głową, raz.

– Ale ja się nie zgodzę – powiedział, a we mnie jakby piorun strzelił. Po tym wszystkim, co dał pieprzonemu Rosenowi, Pritchardowi, po tych wszystkich godzinach, latach, nie zamierza przyjąć stanowiska? Popatrzył na mnie. – Myślałem, że się ucieszysz.

Pokręciłem głową.

– Nie – odparłem. – Wiem, jak wiele… jak wiele satysfakcji daje ci ta praca. Nie chcę, żebyś myślał, że cię nie popieram, że nie jestem z ciebie dumny.

Nie odezwał się na to.

– Dlaczego nie zamierzasz tego przyjąć? Byłbyś świetny. Urodziłeś się do tego.

Wówczas on się skrzywił – nie wiem dlaczego – i odwrócił wzrok.

– Nie – powiedział. – Nie sądzę, bym był świetny. To była zresztą kontrowersyjna decyzja, z tego co wiem. Poza tym… – zaczął, ale urwał.

Bezwiednie przestaliśmy iść, jakby mowa i ruch były czynnościami sprzecznymi, i przez chwilę staliśmy na zimnie.

– Poza tym – podjął – myślę, że odejdę z firmy za jakiś rok. – Popatrzył na mnie, jakby chciał sprawdzić moją reakcję, a potem spojrzał do góry, w niebo. – Myślę, że może będę podróżował – powiedział, lecz jego ton był pusty i nieradosny, jakby go skazano na odległe życie, na które nie ma zbytniej ochoty. – Mógłbym wyjechać – powiedział, prawie do siebie. – Są miejsca, które powinienem zwiedzić.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Gapiłem się na niego.

– Mógłbym pojechać z tobą – wyszeptałem, a wówczas on ocknął się i spojrzał na mnie.

– Tak – zgodził się i zabrzmiało to tak pewnie, że poczułem się podniesiony na duchu. – Tak, mógłbyś pojechać ze mną. Albo we dwoje moglibyście przyjechać do mnie w jakieś miejsce.

Ruszyliśmy dalej.

– Nie chciałbym niepotrzebnie opóźniać przyjęcia przez ciebie roli podróżnika po świecie – powiedziałem – ale myślę, że powinieneś przemyśleć propozycję Rosena, Pritcharda. Może popracujesz parę lat, a potem odbijesz na Baleary, do Mozambiku czy gdzie tam chciałbyś jechać. – Wiedziałem, że jeżeli przyjmie prezesurę, to się nie zabije; był zbyt odpowiedzialny, żeby zostawiać niedokończoną pracę. – Okej?

Uśmiechnął się wtedy swoim dawnym, promiennym, pięknym uśmiechem.

– Okej, Haroldzie – powiedział. – Obiecuję, że się zastanowię.

Byliśmy już parę przecznic od domu, ale uświadomiłem sobie, że idziemy Lispenard Street.

– O boże – powiedziałem, próbując zbić kapitał na jego dobrym humorze, który dodał skrzydeł nam obu. – Znaleźliśmy się oto w miejscu wszystkich moich koszmarów: Najgorsze Mieszkanie na Świecie.

On się roześmiał i skręciliśmy z Church na prawo, a po przejściu pół przecznicy stanęliśmy pod waszym starym domem. Przez chwilę utyskiwałem na to miejsce, na jego ohydę, przesadnie krytykując efekciarskie zdobienia, aż on zaczął się śmiać i protestować.

– Zawsze się bałem, że tu wybuchnie pożar i obaj zginiecie – powiedziałem. – I nieraz mi się śniło, że dzwoni pogotowie z informacją, że znaleźli was obu pokąsanych na śmierć przez stado szczurów.

– Nie było aż tak źle, Haroldzie. – Uśmiechnął się. – Prawdę mówiąc, mam bardzo miłe wspomnienia z tego miejsca.

I nagle nastrój znów się odmienił, i staliśmy obaj przed tym domem, myśląc o tobie, o nim, o wszystkich latach między tym momentem a chwilą, w której go spotkałem, takiego młodego, tak straszliwie młodego, w owym czasie jeszcze studenta, jednego z wielu, przerażająco bystrego i sprawnego intelektualnie, ale nic więcej, nie osobę, którą miał się dla mnie stać.

I wtedy, by poprawić mi humor (obydwaj graliśmy dla siebie przedstawienie), powiedział:

– Opowiadałem ci kiedyś, jak skakaliśmy z dachu na schody przeciwpożarowe za oknem naszej sypialni?

– Co takiego? – spytałem, autentycznie przerażony. – Nie, nigdy mi tego nie mówiłeś. Przecież chyba bym pamiętał.

Ale chociaż nigdy nie wyobrażałem sobie, że on stanie się dla mnie tym, kim się stał, wiedziałem, w jaki sposób mnie opuści. Pomimo wszelkich nadziei, błagań, insynuacji, gróźb i myślenia magicznego – wiedziałem. I pięć miesięcy później – dwunastego czerwca, w dniu niebędącym żadną szczególną rocznicą, takim nie dniu – zrobił to. Mój telefon zadzwonił i chociaż nie była to zła godzina nocna, i chociaż nie zdarzyło się nic, co mógłbym sobie później interpretować jako zapowiedź – wiedziałem, wiedziałem. Na drugim końcu linii był JB. Oddychał dziwnie, spazmatycznie i zanim jeszcze zaczął mówić, ja wiedziałem.

Miał pięćdziesiąt trzy lata, od niecałych dwóch miesięcy miał skończone pięćdziesiąt trzy. Wstrzyknął sobie powietrze do żyły, powodując udar, i chociaż Andy powiedział mi, że to śmierć szybka i bezbolesna, sprawdziłem później w internecie i przekonałem się, że mnie okłamał: zabić się w ten sposób oznaczało wkłuć sobie w żyłę co najmniej dwukrotnie igłę grubości dzioba kolibra. To musiał być nieznośny ból.

Kiedy wreszcie poszedłem do jego mieszkania, panował tam nienaganny porządek: w gabinecie rzeczy popakowane w kartony, lodówka opróżniona, a wszystko – jego testament, listy – ułożone w wachlarz na jadalnym stole, niczym wizytówki na weselu. Richard, JB, Andy, wszyscy wasi starzy przyjaciele kręcili się tam nieustannie, wymijaliśmy się na każdym kroku, zaszokowani, ale też niezaszokowani, zdziwieni tylko własnym brakiem zdziwienia, pogrążeni, pokonani i nade wszystko bezradni. Czyżbyśmy coś przeoczyli? Czy mogliśmy zrobić coś inaczej?

Po nabożeństwie – przyszli wszyscy, jego przyjaciele i twoi przyjaciele z rodzicami i rodzinami, jego koledzy ze studiów, jego klienci, personel i patroni wolontariatu artystów, cała załoga kuchni dla bezdomnych, ogromna rzesza pracowników Rosena, Pritcharda, byłych i obecnych, a wśród nich Meredith, która przyszła z niemal kompletnie zdziecinniałym Lucienem (który żyje, o ironio, po dziś

dzień, chociaż w domu opieki w Connecticut), nasi wspólni przyjaciele, a nawet osoby, których bym się nie spodziewał: Kit, Emil, Philippa i Robin – Andy podszedł do mnie, zapłakany, i przyznał się, że jego zdaniem wszystko zaczęło się psuć po tym, jak mu powiedział, że zamyka praktykę, a więc to jego wina. Nawet nie wiedziałem, że Andy kończy pracę – nigdy mi o tym nie wspomniał – ale pocieszałem go, że to nie jego wina, absolutnie, że zawsze był dla niego dobry, że on zawsze mu ufał.

„Dobrze przynajmniej, że Willema tu nie ma – powiedzieliśmy sobie wzajemnie. – Przynajmniej Willem tego nie widzi".

Chociaż gdybyś ty tam był, to czy on nie byłby tam również?

Wprawdzie nie mogę powiedzieć, że nie wiedziałem, jak on umrze, ale jest wiele rzeczy, których nie wiedziałem. Nie wiedziałem na przykład, że Andy umrze trzy lata później na zawał serca, że Richard umrze dwa lata później na raka mózgu. Wszyscy poumieraliście tak młodo: ty, Malcolm, on. Elijah na udar, gdy miał sześćdziesiąt lat, Citizen też jako sześćdziesięciolatek, na zapalenie płuc. Został tylko JB, któremu on zapisał dom w Garrison i którego często widujemy – tam albo w mieście, albo też w Cambridge. JB ma teraz poważnego chłopaka, bardzo dobrego człowieka imieniem Tomasz, specjalistę od średniowiecznej sztuki japońskiej w Sotheby's, którego bardzo lubimy; wiem, że ty i on też byście go polubili. Źle mi samemu, źle mi, gdy myślę o was wszystkich, oczywiście, ale najbardziej żal mi JB, pozbawionego was wszystkich, pozostawionego samotnie na progu starości, z nowymi przyjaciółmi, bez wątpienia, ale bez większości tych, którzy go znali od dzieciństwa. Ja go przynajmniej znam, odkąd miał dwadzieścia dwa lata, może z przerwami, ale żaden z nas nie odlicza lat przerwy.

JB ma teraz sześćdziesiąt jeden lat, a ja osiemdziesiąt cztery; Jude nie żyje od sześciu lat, ty od dziewięciu. Ostatnia wystawa JB nosiła tytuł *Jude, sam* i składała się z piętnastu obrazów przedstawiających tylko jego, ukazujących wyobrażone momenty z lat po twojej śmierci, z tych niemal trzech lat, które jakoś wytrzymał bez ciebie. Próbowałem, ale nie mogę na nie patrzeć: próbuję i próbuję, ale nie mogę.

Było więcej rzeczy, o których nie wiedziałem. On miał rację: przenieśliśmy się do Nowego Jorku tylko dla niego, więc po rozdysponowaniu jego spadku – egzekutorem był Richard, ale ja mu pomagałem – wróciliśmy do domu, do Cambridge, żeby być blisko ludzi, którzy nas znają od bardzo dawna. Dosyć miałem sprzątania i sortowania – przejrzeliśmy z Richardem, JB i Andym wszystkie jego papiery osobiste (nie było ich dużo) i ubrania (serce się krajało na widok jego coraz bardziej zwężanych garniturów), a także twoje ubrania; przejrzeliśmy razem twoje teczki w Domu Latarni, co nam zajęło wiele dni, bo ciągle przerywaliśmy, żeby popłakać albo wykrzyknąć, albo puścić w koło zdjęcie, którego żaden z nas wcześniej nie widział – ale kiedy wróciliśmy do domu, do Cambridge,

porządkowanie okazało się czynnością odruchową, więc siedziałem pewnej niedzieli, przeglądając zawartość regałów, (ambitny zamysł, którym szybko straciłem zainteresowanie, aż nagle znalazłem, wetknięte między książki, dwie koperty z naszymi imionami wypisanymi jego charakterem pisma. Otworzyłem swoją i serce mi podskoczyło, gdy zobaczyłem nagłówek – „Drogi Haroldzie" – i przeczytałem jego list sprzed kilkudziesięciu lat, z dnia adopcji, i płakałem, szlochałem, naprawdę, a potem wsunąłem płytę do komputera i słuchałem jego głosu, i chociaż rozpłakałbym się i tak tylko z powodu jego piękna, płakałem jeszcze bardziej, bo to był *jego* głos. A potem Julia wróciła do domu i znalazła mnie, i przeczytała list do siebie, i płakaliśmy razem.

Dopiero parę tygodni później byłem w stanie otworzyć list, który zostawił dla nas u siebie na stole. Wcześniej bym tego nie zniósł; nie byłem pewien, czy zniosę teraz. Ale otworzyłem. List miał osiem stron, był pisany na maszynie i była to spowiedź: o bracie Luke'u i doktorze Traylorze, o tym, co go spotkało. Czytaliśmy ten list przez kilka dni, bo chociaż był krótki, był też nieskończony, i musieliśmy odkładać na bok jego kartki i odchodzić od nich, a potem brać się w garść – „Gotowy?" – i siadać z powrotem, i czytać dalej.

„Przepraszam – pisał. – Proszę, wybaczcie mi. Nigdy nie chciałem Was oszukiwać".

Wciąż nie wiem, co powiedzieć o tym liście, wciąż nie mogę o nim myśleć. Wszystkie te odpowiedzi, których chciałem, odpowiedzi na pytanie, kim i dlaczego jest, miałem przed sobą i była to udręka. To, że umarł tak samotny, przerasta mnie; to, że umarł z myślą, że jest nam winien przeprosiny, jest jeszcze gorsze; to, że umarł, uparcie wierząc we wszystko, co mu o nim wpojono – po tobie, po mnie, po nas wszystkich, którzyśmy go kochali – każe mi myśleć, że moje życie było jednak porażką, że zawiodłem w jedynej sprawie, która się liczyła. W takich chwilach najczęściej mówię do ciebie, schodzę na dół późną nocą i staję przed *Willemem słuchającym Jude'a opowiadającego historię*, który teraz wisi nad stołem w jadalni. „Willem – pytam cię – czy czujesz się tak jak ja? Czy myślisz, że on był ze mną szczęśliwy?". Bo on zasługiwał na szczęście. Nikt nam szczęścia nie gwarantuje, nikomu z nas, lecz on na nie zasługiwał. Ale ty się jedynie uśmiechasz, nie do mnie, tylko gdzieś przeze mnie, i nigdy nie dajesz odpowiedzi. W takich chwilach żałuję, że nie wierzę w życie po życiu, w to, że w jakimś innym uniwersum, może na małej czerwonej planecie, gdzie zamiast nóg mamy ogony, gdzie taplamy się w atmosferze jak foki, gdzie samo powietrze jest pożywne, złożone z miliardów molekuł protein i cukru, tak że wystarczy otworzyć usta i inhalować, aby pozostać żywym i zdrowym, może tam wy dwaj jesteście razem i bujacie w przestrzeni? A może on jest jeszcze bliżej – może jest tym szarym kotem, który zaczął siadywać przed domem naszych sąsiadów i mruczy, gdy wyciągam do niego rękę; może jest tym nowym szczeniakiem, który szarpie się na smyczy drugiego sąsiada; może jest tym malcem, który biegał po

placu parę miesięcy temu, piszcząc z radości, a rodzice pędzili za nim; może jest tym kwiatem, który znienacka zakwitł na krzewie rododendronu dawno spisanym przeze mnie na straty; może jest tą chmurą, tą falą, tym deszczem, tą mgłą? Nie chodzi o to, że umarł ani jak umarł: chodzi o to, w co wierzył, umierając. Dlatego staram się być dobry dla wszystkich stworzeń i we wszystkim, co widzę, widzę jego.

Ale wtedy, na Lispenard Street, nie wiedziałem jeszcze tego wszystkiego. Wtedy staliśmy, patrząc na stary dom z czerwonej cegły, i ja udawałem, że nigdy nie musiałem się o niego bać, a on pozwolił mi się łudzić, że wszystkie niebezpieczne rzeczy, które mógł zrobić, wszystkie sposoby złamania mi serca, należą do przeszłości, do historii, że czas, który mamy za sobą, jest straszny, a czas, który mamy przed sobą, taki nie jest.

– Skakałeś z dachu? – powtórzyłem. – Dlaczego, na boga, coś podobnego strzeliło ci do głowy?

– To dobra historia – odparł. Nawet uśmiechnął się do mnie szelmowsko. – Opowiem ci ją.

– Proszę – powiedziałem.

I opowiedział.

Za eksperckie porady z dziedzin architektury, prawa, medycyny i kinematografii bardzo dziękuję Matthew Baiotto, Janet Nezhad Band, Steve'owi Blatzowi, Karen Cinorre, Michaelowi Gooenowi, Peterowi Konstantowi, Samowi Levy'emu, Dermotowi Lynchowi i Barry'emu Tuchowi. Specjalne podziękowanie Douglasowi Eakeleyowi za erudycję i cierpliwość oraz Priscilli Eakeley, Drew Lee, Eimearowi Lynchowi, Sethowi Mnookinowi, Russellowi Perreaultowi, Whitney Robinson, Marysue Rucci oraz Ronaldowi i Susan Yanagihara za niezłomne wsparcie.

Najgorętsze podziękowania genialnemu Michaelowi „Bitter" Dykesowi, Kate Maxwell i Kai Perina za rozweselanie oraz Kerry'emu Lauermanowi za pociechę. Od dawna myślałam o Yossi Milo, Evanie Smoaku, Stephenie Morrisonie i Chrisie Uptonie jako modelach czułej relacji; doceniam i podziwiam ich z wielu powodów.

Jestem wdzięczna oddanemu i wiernemu Gerry'emu Howardowi i niepowtarzalnemu Raviemu Mirchandaniemu, którzy poświęcili się tej książce z wielkim oddaniem, oraz Andrew Kiddowi za jego wiarę, a także Annie Stein O'Sullivan za cierpliwość, odporność i konsekwencję. Dzięki wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, a zwłaszcza Lexy Bloom, Alexowi Hoytowi, Jeremy'emu Medinie, Billowi Thomasowi i Posiadłości Petera Hujara.

Na koniec wyznaję, że nigdy nie napisałabym tej książki bez rozmów z Jaredem Hohltem, moim pierwszym i ulubionym czytelnikiem, sekretnym kustoszem i Gwiazdą Polarną, który okazał mi tyle dobroci, empatii, wybaczenia i mądrości. Jego cenna przyjaźń to najpiękniejszy dar mego dorosłego życia.

[1] *Smegma* (łac.) – mazista wydzielina gromadząca się pod napletkiem (przyp. red.).

[2] Homer, *Odyseja*, przeł. Lucjan Siemieński, Ossolineum 1992.

Przekład: Jolanta Kozak

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Katarzyna Skwark, Katarzyna Pawłowska

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Fotografie wykorzystane na I stronie okładki: © javarman/shutterstock.com; © Andriy Prokopenko/Getty Images; © Bill Turnbull/NY Daily News Archive via Getty Images; Robert Recker/Corbis/Profimedia; © Alexander Fried

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3247-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

